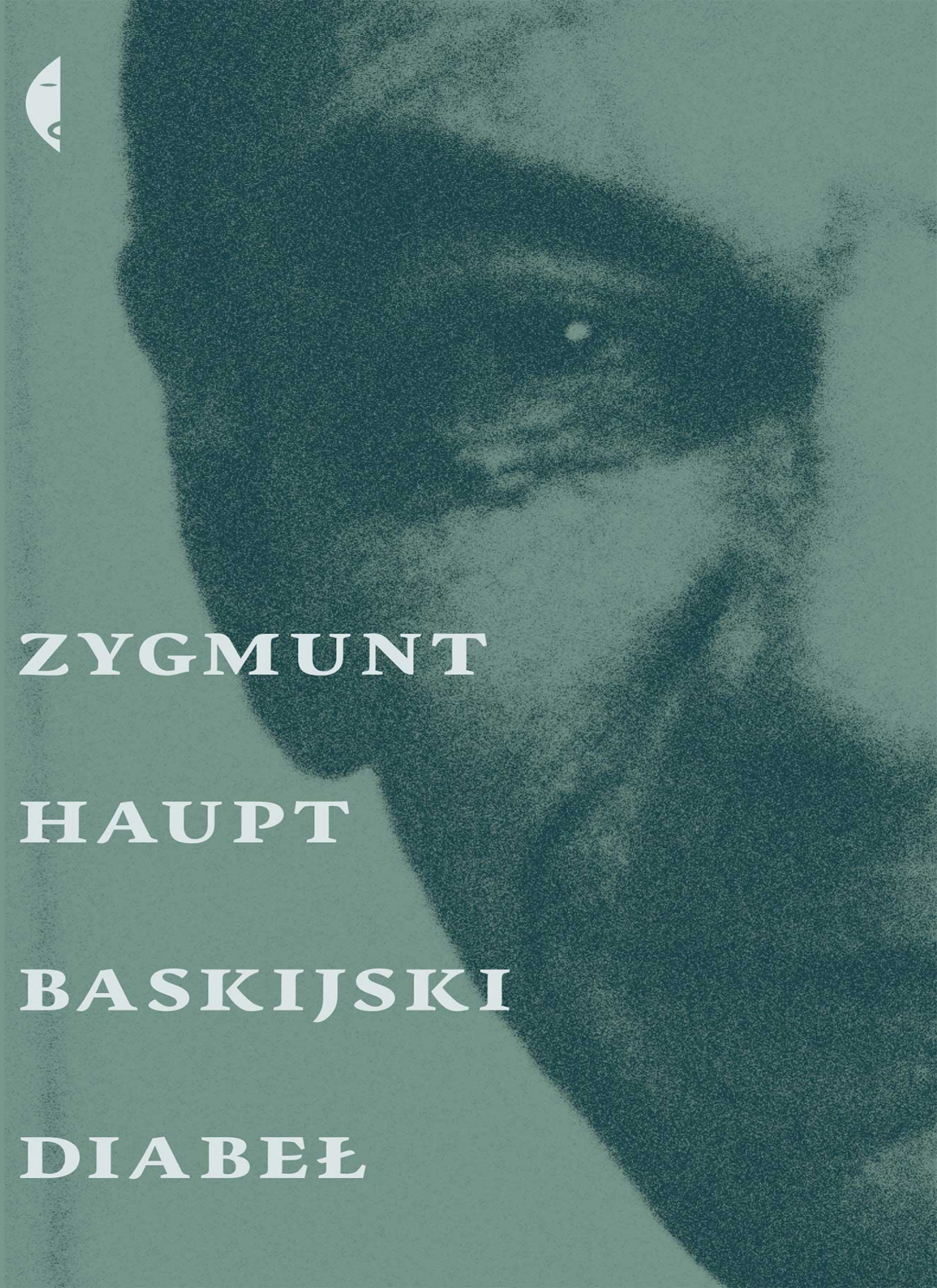

ZYGMUNT HAUPT

BASKIJSKI DIABEŁ

Zygmunt Haupt

Baskijski diabeł

Opowiadania i reportaże

Zebrał, opracował i notą edytorską opatrzył Aleksander Madyda

Wstęp Andrzej Stasiuk

Wydanie II zmienione i poprawione

Wołowiec 2016

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka
Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl
Fotografia na okładce pochodzi z archiwum Arthura Haupta

Copyright © by Arthur Haupt
Copyright © for the *Odwrócona ciemność* by Andrzej Stasiuk

Wybór, redakcja i nota edytorska Aleksander Madyda
Korekta Agata Czerwińska / d2d.pl
Redakcja techniczna i skład Robert Oleś / d2d.pl
Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8049-269-1

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Wołowiec 2016
Wydanie II zmienione i poprawione

SPIS TREŚCI

Strona tytułowa
Strona redakcyjna

Andrzej Stasiuk Odwrócona ciemność

OPOWIADANIA [1946]

I Cztery pory roku
Entropia
Faites vos jeux!
„Kiedy będę dorosły”
Wesele u chłopów
II O Pannie herbu Panna na Niedźwiedziu
Polowanie wigilijne z Maupassantem
Odwilż
Kulig
Wyjazd o świcie
Kapitan Blood
Appendicitis
Gołębie z placu Teodora [I]
Ogród Jezuicki
Wyspy Galapagos i wyprawa na Mount Everest
PIM [I]
Nuda
III *Pageant Ward*
Cyrk
Polonez na pożegnanie ojczyzny (Opowiadanie ułana Czuchnowskiego)
Pejzaż armorykański
Sur le pont d’Avignon
W drodze na morzu
Rigor mortis
Ułan Czuchnowski (Opowiadanie dydaktyczne)

PIERŚCIEŃ Z PAPIERU [1963]

Stypa
Co nowego w kinie?
Coup de grâce
W Paryżu i w arkadii
O Stefci, o Chaimie Immerglücku i o scytyjskich bransoletkach
Poker w Gorganach
Meine liebe Mutter, sei stolz, Ich trage die Fahne
Madrygał dla Anusi
Deszcz
Polowanie z Maupassantem
Biały mazur
PIM [II]
Jak wiosna przyjechała
Gołębie z placu Teodora [II]
Dziwnie było bardzo, bo…
Jeździec bez głowy
Marsylianka
„Dziewczynka z nóżkami na księżycach”
Barbarzyńcy patrzą w krajobraz podbitego kraju
Kawaler z morskiej pianki
Pejzaż ze wschodem słońca i obiektami ze stali
Henry Bush i jego samolot
Z kroniki o latającym domu
Pierścień z papieru
Fragmenty

OSTATNI ZBIÓR OPOWIADAŃ [1972]

Wstęp
I
Lutnia
Lili Marleen
To ja sam jestem Emmą Bovary
Dwie wizyty
II
Nietota
Perekotypołe
El Pelele

Baskijski diabeł
Balon
Trzy
III
„Światy”
Warianty
Strachy
Zabawa w „zielone”
IV
Szpica
Do dwu razy sztuka
Meldunek o nieprzybyciu Wełnowskiego
Więzień z Isle of Ely
Z Laczczyny

UTWORY ROZPROSZONE Wybór [1937–1950]

Aspekt Śląska
Moi przyjaciele
Krzemieniec
Fluctuat nec mergitur
Wspomnienie z III Zawodów Szybowcowych w Rhön Polski – Ustjanowej
Tarok
Elektra [I]
Elektra [II]
Ułan Czuchnowski
Dzień targowy
Luizjana
W barze Harry’ego
Zamierzchłe echa
Oak Alley nad Missisipi
Cyklon
Czuwanie i stypa
Nota edytorska

Przypisy

Andrzej Stasiuk

Odwrócona ciemność

Zastanawiam się, jakie przedmioty pozostaną z naszego świata. W końcu nie jest to bez znaczenia, skoro pamięć ma strukturę podobną do światła: załamuje się na krawędziach rzeczy, rozszczepia i powraca odbita.

Gdy zaglądamy w stare lustra, nasze odbicie dołącza do tych wszystkich minionych. Stajemy jako pierwsi, lecz za nami stoi nieskończony rząd postaci, jak przypomnienie albo ironiczna pociecha, że koniec końców, dopóki lustro będzie trwało, przetrwamy i my. W spokojnych czasach lustra na ogół żyją dłużej niż ludzie, którzy noszą nas w pamięci.

No więc jak jest z tymi rzeczami? Albo z rzeczownikami? To one przecież odbijają promień pamięci. One i jeszcze przymiotniki, sadowiące rzeczowniki w przestrzeni. Czasowniki to wrogowie pamięci. Opisują ruch, są sprzymierzone z upływem, usiłują unieważnić pamięć.

No więc jakich rzeczowników, jakich przymiotników będziemy musieli użyć do opisania minionego świata w enigmatycznej przyszłości, zakładając, że w ogóle znajdzie się słuchacz? Wszystko wskazuje na to, że desygnatyka unicestwi leksykę; inaczej mówiąc, po prostu zabraknie nam słów do nazwania rzeczy. Już teraz widać, że liczba przedmiotów przekracza liczbę słów. Przedmioty uzyskały wolność, język przestał nad nimi panować, nie znajduje już sił na czynienie sobie świata poddanym. Spróbujmy przejść ulicą i zrobić katalog rozmaitości wystawionych w witrynach, a potem wyobraźmy sobie magazyny na zapleczach tych witryn i jeszcze (jeśli nie boimy się szaleństwa) postarajmy się przenieść

w myślach do fabryk produkujących tę rozmaitość. Wrócimy porażeni niemotą.

*

„A we dworze jest pstryka, woda leje się ze ściany, a pali się smrodem”. Któregoś dnia postanowiłem odnaleźć ten dwór, gdzie przed wojną (tą ostatnią) gościł Zygmunt Haupt. Elektryczność, kanalizacja i gaz nazwane w chłopskiej gwarze jakoś dziwnie podziałały na moją wyobraźnię. A poza tym ten Szymbark z opowiadania *Meine liebe Mutter, sei stolz, ich trage die Fahne* był blisko, był osiągalny. Wszystkie inne miejsca z Hauptowskich opowiadań leżały już od dawna za granicami. Czas został tu poddany działaniu geografii, i to w dodatku geografii politycznej. Dwór, austriacki cmentarz z pierwszej wojny, szyby naftowe – tyle w tym opowiadaniu było topografii i tyle chciałem odnaleźć.

Było popołudnie, zima, jechaliśmy szosą od Żmigrodu. Ta szosa odcina Beskid od reszty świata. Po prawej jest plaskata północ, po lewej trochę równi i od razu, bez żadnych uwertur wyrasta spod ziemi cielsko Magury Wątkowskiej. Dopiero gdy pionowe tak nagle spotyka się z poziomym, możemy zyskać jakie takie pojęcie o tym, że widzialny świat został skonstruowany prawdopodobnie tylko po to, by w przystępny sposób wyrazić ideę nieskończoności. Tak samo jak dla unaocznienia idei czasu wykonany został człowiek.

W Samoklęskach w środku wielkiej białej łąki stał błękitny autobus. Śnieg jak woda podnosił się do połowy kół i żaden ślad nie wiódł w stronę pojazdu. W Pielgrzymce zaspy przy szosie były wysokie jak mur. Spychacze rozgarnęły je i jechało się jak przez ruiny. Na takiej równinie wiatr nabiera rozpędu i zwiewa wszystko w wąską szczelinę drogi.

Splot myśli i rzeczy w prozie Zygmunta Haupta tworzy tkaninę tak gęstą, że władze rozumu stają się bezsilne i w dodatku najzupełniej zbędne. Nitka dyskursu pojawia się, znika, znowu wypełza na powierzchnię, lecz właściwie mogłoby jej nie być; jest jedynie ustępstwem na rzecz linearności umysłu, który czuje się niepewnie, gdy nie podąża skądś dokądś. Opowieść

zazwyczaj polega na zatrzymaniu odcinka czasu, na wyjęciu go z kontekstu egzystencji i przeniesieniu w dziedzinę umysłowej percepcji w taki sposób, by utracił jak najmniej dynamizmu. Chodzi o to, by zamrożone w procesie pisania życie zachowało jak najwięcej swoich cech i zapachów po odmrażającym procesie lektury. Czas jest tak samo wrogi literaturze jak żywności. Niszczy zwłaszcza prozę: po pierwsze, często ją po prostu unieważnia; po drugie, rozkłada ją od wewnątrz, przeżera niczym rdza, gdy naczynie wykonane zostało z języka w kiepskim gatunku. Pamięć rozlewa się wtedy, staje się bezkształtna jak plama kawy na knajpianym blacie. Nie mówi nam nic, jest lustrem odbijającym własną czerń.

„Ani nie widzieć na tysiąc mil, ani na dwadzieścia tysięcy, kiedy rozwiną przed nami rulony map, kiedy wysypią przed nas mak statystyk, indeksy diabelskie, kiedy ukażą nam widma spektroskopu i babilońskie kartoteki i wyryją nam to w kamieniu, i utwardzą na taśmie filmowej, i otworzą ludzkie czaszki, ażeby pokazać fałdy szarej masy mózgu, kiedy powiedzą nam słowo i inne słowo, i tysiąc innych słów, i dwieście tysięcy innych słów, i powiedzą, że tak już było, że to, co jest teraz sekwensem, to tego, co już było, że przeszłość wżera się w teraźniejszość, że tu jest okrąg, a tu jest granica, że to jest dobre, a to jest złe, że to jest kula, a to jest pseudokula, to jest ojciec, a to jest syn, to jest »Przybądź Duchu Święty, oświeć serca i umysły nasze…«, a to jest »Łączę wyrazy poważania i szacunku«, a to jest »Potrzebny od zaraz zdolny kamizelkarz. Warunki według umowy«, a to jest »…dokolusineczka, moja kochaneczka!«”.

Tak wygląda powrót do Edenu. Wiedza i rozróżnienie są przecież powodem i następstwem grzechu. Wiedza i rozróżnienie mogą istnieć jedynie w czasie. W wieczności są bezużyteczne. Precyzyjna struktura umysłu stała się karą, która umożliwia egzystencję. Pojmując świat w bezpośredni, zwierzęcy sposób, przepadlibyśmy w nim tuż po narodzinach. Zygmunt Haupt szuka raju utraconego tam, gdzie może go znaleźć pisarz: we wnętrzu języka, w kosmosie, w którym zamiast gwiazd wirują słowa, a trajektorie i orbity wyznaczone są przez brzmienia, sensy i napięcia. Jak każdy prawdziwy utopista wierzy, że rzeczywistość

wyobraźni i literatury jest naprawialna – wystarczy znaleźć błąd i go usunąć, wystarczy wykryć robaka, który drąży stworzenie, wystarczy usunąć pierwotną pomyłkę, a wszystko powróci na swoje miejsce. W dodatku w odróżnieniu od utopistów zajętych naprawą realnego świata jego wiara znajduje spełnienie. Czas, cichy i wszechobecny wróg wyobraźni i kreacji, zostaje w jego prozie unicestwiony. Jeżeli skondensowaną, sprężoną formą czasu jest nuda, a w szczególności nuda lektury, to w przypadku Zygmunta Haupta doświadczamy czegoś odwrotnego: książka wypada nam z rąk, bo władze naszej percepcji są zbyt ograniczone, by pojąć i objąć to wszystko, co Autor przedstawia nam na jednej stronie czy dwóch. Język – substancja w końcu lekka, kapryśna, zbytkowna i zbyteczna – wypiera, wbrew prawom grawitacji, ciężką i złowrogą materię czasu. Cudowność jest zawsze zawieszeniem reguł fizyki i jakkolwiek byśmy się starali, neguje albo przestrzeń, albo przemijanie.

No więc Pielgrzymka. Stanęliśmy w knajpie, którą prowadził wtedy Piotrek Nowak, basista z pierwszego składu Breakoutów. Ale w środku był tylko ziąb i barman, więc wypiliśmy po piwie i ruszyliśmy dalej. Nikt prócz nas nie jechał białą i śliską szosą. Na tym pustkowiu domy zbijały się w ciasne stada, jakby spodziewały się najgorszego. Przed Rozdzielem na nagim wygwizdowie stały wielkie hale z niebieskiej blachy. Coś, co miało tu powstać, nigdy nie zaczęło działać. Właściwością naszego świata jest to, że wytwarza rzeczy całkowicie zbędne – albo jednorazowe, albo potrzebne tylko przez chwilę. Niektóre stają się ruinami już w chwili budowy, inne zmieniają się w śmieci w chwili, gdy z nich skorzystamy. Betonowe rumowiska osiedli, miliardy puszek po piwie. Trwanie tych rzeczy obliczone jest ledwo na jedną czynność – niezależnie od tego, czy będzie to zamieszkanie, czy ugaszenie pragnienia. Trudno sobie wyobrazić opis tych przedmiotów, opis, który nie nosiłby w sobie jednocześnie zapowiedzi rozpadu. Niewykluczone, że właśnie dlatego literatura ostatnich kilkudziesięciu lat przestała interesować się światem i zajęła tak zwanym wnętrzem, duszą albo psychiką artysty czy pisarza. Trudno zajmować się

czymś beznadziejnie zmiennym, upadającym i już w chwili narodzin skazanym na zagładę. Andy Warhol może namalować puszkę zupy, W. C. Williams może napisać wiersz o stłuczonej butelce, lecz nikt poza grafomanami i miłośnikami awangardy nie wytrzyma dwudziestu stron prozy na podobny temat. Rzecz w tym, że przedmioty, rzeczywistość i w ogóle świat widzialny mają strukturę nieco geologiczną. Sensy i znaczenia narastają w nich stopniowo. Same w sobie są niewiele warte. Uszlachetnia je dopiero ciągłość percepcji, czyli wszyscy ludzie, którzy przed nami dotykali ich myślą, słowem albo po prostu ręką.

Nie da się opisać tej prozy. Dlatego kluczę, krążę i odbiegam, i za sposób obrałem sobie podróż, którą zawsze można przerwać albo skręcić gdzieś na Cieklin czy Wapienne. Nie da się opisać tych opowiadań inaczej niż tylko jakimś przewrotnym antyopisem, czyli przemilczeniem albo przedstawieniem świata, którego Hauptowski język tknąć by nie chciał lub który obejrzałby tylko z oddali, jak w odwróconej lunecie. Bo rzeczywistość *Pierścienia z papieru* czy *Szpicy* jest ukształtowana i ostateczna. Jest to wprawdzie przeszłość, ale przeszłość heroiczna, bo nie rozpadła się pod własnym ciężarem, lecz została unicestwiona. Nieskończona liczba przedmiotów wymienionych w dziele Haupta została powołana, by trwać. Konie, uprzęże, naczynia, broń myśliwska, gatunki drewna, rodzaje skóry, zapachy pór dnia i roku, światło we wszystkich odmianach, meteorologia, topografia, architektura, lary i penaty całego świata, katalog, spis wszystkiego, co oko pochwyciło, a pamięć zatrzymała, rysunek balkonowej kraty, deseń tkaniny, ruchliwy cień drzewa w wietrzny dzień, pochód rzeczowników, karawana przymiotników, które opuściły słownik, by odcisnąć się w czasie, przyszpilić go jak motyla w gablocie, by – chociaż nieruchomy – trwał dłużej od swego brata na wolności.

I tylko czasem spod tej materii przeziera twarz Autora. Lecz ani na moment nie przesłania przedstawionego świata. Po czymś takim poznaje się dawnych mistrzów. Ich pracą kierowała pokora wobec stworzenia, a opis własnej duszy czy też jej braku uznaliby pewnie za wyraz pychy. Albo głupoty – bo cóż nowego może mieć do powiedzenia człowiek w dziedzinie siedmiu grzechów i niewielu cnót?

A tutaj, z prawej, ten poroniony PGR. Szary beton, rozpierducha, rzecz wyrzucona jeszcze przed użyciem i nikt nad tym łzy nie uroni, że o przechowaniu w pamięci nie wspomnę. Jest równie bezużyteczny i obojętny jak góry po drugiej stronie szosy. Bo w paradoksalny sposób jesteśmy coraz bardziej naturalni i tak jak zwierzęta stajemy się powoli jedynie wehikułami gatunku. Jemy, żeby mieć energię, mieszkamy, żeby się przechować, i żadna z tych czynności nie nosi piętna czegoś ponadutylitarnego. Kultura powoli zmienia się w rozrywkę i zabawę, religia staje się terapeutyczną techniką. Wytwarzamy miliony zbędnych rzeczy, które natychmiast stają się niezbędne. Wystarczy wyobrazić sobie materialne ubóstwo ludzi sprzed dwóch czy trzech stuleci, by pojąć, jakim zbytkiem, luksusem, czyli „przedmiotem kultury", była dla nich każda rzecz, której nadawano indywidualne piętno artystyczne czy rzemieślnicze (co wtedy zresztą wychodziło na jedno).

Wystarczy spojrzeć na współczesny dostatek, by zrozumieć, że niemal wszystkie przedmioty zbytku i luksusu natychmiast stają się nieodzowne, a jednocześnie nie mają nic wspólnego z przedmiotami kultury. Chyba że podeprzemy się sofizmatem kultury technicznej. W końcu nieprzypadkowo zamiast reprodukcji takiego, dajmy na to, Kossaka wieszamy sobie dziś na ścianach wizerunki najnowszych modeli samochodów. Podobnie jest z architekturą: jedyną ciekawą propozycją jest dziś architektura wielkich zakładów przemysłowych. To ona góruje nad miastami czy też przedmieściami na podobieństwo dawnych zamków czy katedr, w jej monumentach uwięziony jest duch czasu. Współczesne kościoły, muzea czy supermarkety są jedynie jej powtórzeniem i pomniejszonym odbiciem. Lecz nie mogę sobie wyobrazić, by huty i rafinerie stały się kiedyś zabytkami. Niewykluczone jednak, że to tylko niedowład wyobraźni.

Nic więc dziwnego, że przedmiotem współczesnej literatury jest rozpad. Jeżeli coś zostanie zniszczone, nie będzie trzeba tego zapamiętywać. Albo inaczej: lepiej to zniszczyć, bo w przeciwnym razie musielibyśmy to zapamiętać, nie mając w zamian niczego lepszego.

Zygmunt Haupt malował dla pieniędzy stacje Męki Pańskiej w wiejskich kościółkach Podola. Do końca życia malował też obrazy. Malarstwo jest bliżej barbarzyństwa. Przemawia językiem barwy, kształtu i światła, czyli językiem natury. Niezależnie od tego, czy wizja przedstawia Ukrzyżowanego, czy pejzaż – zawsze skłania się ku widzialnemu, zawsze jest pokrewna temu, co może zobaczyć pies, kot albo ryba. Nasza zwierzęcość znajduje w obrazach, w rzeźbie czy muzyce wysublimowane zaspokojenie. I jeśli kontemplacja polega na zjednoczeniu z tym, co kontemplowane, to powracamy w ten sposób do świata materii, z którego wyszliśmy. Można podejrzewać, że oglądaniu obrazów towarzyszy nieuświadomiona chęć redukcji (czy rozbicia własnego istnienia) do form elementarnych, z których można by ten obraz odtworzyć. Piękno zawsze ciągnie nas w stronę zatraty.

Na szczęście człowiek jest również istotą kulturalną i przed cofnięciem się na szczebel minerału czy rośliny chroni go zdolność mowy, czyli wyrażania tych wszystkich stanów i pragnień, które w innym wypadku musiałby przeżywać bezpośrednio.

Niezwykła siła prozy Zygmunta Haupta polega na połączeniu tych dwu umiejętności: na barbarzyństwie widzenia i na kulturze wyrażenia. Malarz i pisarz. To, co powszechne, „wszechświatowe” albo kosmiczne, przekazać językiem jednego gatunku czy nawet językiem jednej, dość pośledniej tego gatunku podgrupy: czyli po polsku.

Pyszna pogańskość tego pisarstwa polega na tym, że przepadają w nim rozróżnienia. Wyobrażone i wyrażone splata się w materii języka, który, śmiem twierdzić, nie ma sobie równego w polskiej literaturze XX wieku. (No, może jeden Bruno Schulz…) Proces kreacji jest zawsze częściową negacją, coś trzeba odrzucić, by to, co pozostało, zyskało na znaczeniu. Tymczasem u Zygmunta Haupta tej skazy właściwie nie widać. Opowieść rozwija się i rozwidla nieustannie, i pokrywa świat siecią podobną do siatki południków i równoleżników. Wszystkie stopnie, minuty i sekundy są zaznaczone, wszystko, co istnieje, musi być uwzględnione. Dla pisarza z prawdziwego zdarzenia mapa świata zawsze jest pełna białych plam. Nieustanny jęk nad kryzysem literatury, nad jej wyczerpaniem dotyczy

w istocie nie tyle samej literatury, ile kryzysu wyobraźni. Po prostu okazało się, że wyobraźnia, jeżeli zdaje się na samą siebie, wyczerpuje się równie szybko jak pojemność przestarzałych central telefonicznych w rozpadających się miastach. Bo rzeczywistość najzwyczajniej w świecie przekracza każdą, nawet najbardziej niezwykłą wyobraźnię. Nuda, cena, jaką przyszło zapłacić za lucyferyczne tęsknoty pisarzy, jest niezbyt wygórowana. Zwłaszcza że najbardziej w swoich alternatywnych i konkurencyjnych rzeczywistościach nudzą się sami pisarze.

Dojechaliśmy do Gorlic. Szosa ledwo je musnęła, szturchnęła zgiętym ramieniem Zawodzie i pomknęła prosto na zachód. W Szymbarku byliśmy o zmroku. Od Chełmu, od Bartniej Góry snuł się niebieskawy cień. Wyglądało na to, że noc wypływa gdzieś z wnętrza gór jak dym z na wpół uśpionych wulkanów. Wydrapaliśmy się kamienistą drogą ponad wieś. Z wysokości ludzkie osiedla wyglądają jak zbieg okoliczności, chaos przypadków i nieporozumienie. Trzeba czekać, aż ciemność zgęstnieje na tyle, że pozostaną same światła świecące sobie a muzom. Nie znalazłem ani cmentarza, ani dworu, ani ogni z naftowych szybów. Domy znikały, powietrze mroczniało coraz bardziej, wypełniało dolinę i usuwało z niej wszystko, co widzialne. Czy pejzaż, który jest zakryty, pozostaje pejzażem?

I pomyślałem sobie wtedy, że proza Zygmunta Haupta jest odwróconą ciemnością – przypomina pożar. Pożar, który się przetacza i po którym zostaje czarna, naga ziemia. Opis unicestwił wszystko: ludzi, ich uczynki i uczucia, zieleń, zwierzęta, miasta, wsie, historię zastygłą w murach, życie pokoleń zawarte w przedmiotach i sprzętach, pamięć i czas; zagarnął wszystko, zamienił w dym i uniósł w dziedzinę literatury, by istniało tam ocalone, nieruchome i trwalsze od wszystkich widzialnych rzeczy. Jak ogień pożaru, który o zmierzchu odbija się w lustrze chmur.

OPOWIADANIA [1946]

I Cztery pory roku

Entropia

Kto zajmował się termodynamiką, natknął się zapewne na pesymistyczną formułę powiadającą, że „entropia wzrasta do zera”. Różne temperatury dążą do wyrównania. Takie samo zjawisko inwolucji zachodzi wszędzie. Napięcia elektryczne chcą się wyładować, kolory zmieszane dają jeden kolor szary, jesteśmy świadkami powolnej niwelacji ziemi prowadzącej do tego, że kiedyś góry wypełnią doliny i z morzami stworzą jedną wielką płyciznę. W sferze spraw ludzkich takie zszarzenie i płycizny da powolny proces ujednostajnienia i zestandaryzowania nie tylko przez zmechanizowaną cywilizację, która staje się nawet z drobiazgami powszedniego życia i strojem jednakowa i tandetna, ale radio, prasa i kino robią z nas powoli miliony i miliardy jednakowo zaopatrzonych w sztancowane ideje ludzi. Entropia wzrasta do zera.

Kiedy się tak wędruje po świecie, wydaje się, że nawet pory roku tracą swe oczywiste granice i zlewają się w jedną szarą, gdyby nawet była wieczną kalifornijską wiosną, porę roku.

.....

Mój kraj – od doliny jednej rzeki do drugiej, od jaru do jaru, od Miodoborów i Pantalichy do zębiastej sierry Karpat – mój kraj w soczyste lato, kiedy zieleń kopuł drzew idzie w zawody z zielenią łąk, a srebro falujących łanów żyta odbija niebo, w czerwoną jesień, kiedy w wieczór zaduszny palą się naokoło widnokręgu cmentarze jak ognie alarmowe, w matowobiałe noce zimowe, kiedy zadymka porywa z zasp śnieżnych sztandar kurzawy, wyjącego tryumfu nad bezsiłą człowieka, a nagie gałęzie drzew smagają bluźnierczo niebo, w dnie przedwiosenne, kiedy znad kałuż błota nadlatuje najbardziej mistyczny, upajający zapach, mój kraj roślin sprzyjających człowiekowi i ścielących się u jego stóp, i rozwieszających nad głowami w bezcenne tło, kraj zwierząt najłagodniejszych i najprzedziwniejszych

w formie i czarze ruchów, kraj ludzi naiwnych i prostych, od urzędnika XI kategorii izby skarbowej, kowala i powroźnika miasteczkowego, astmatycznego rządcy folwarku, policjanta zgarbionego na podwodzie, dziewczyny o złotych kosmykach włosów na karku i czerwonych rozchylonych ustach, kiedy pochylona nad okopywaniem ziemniaków, kłusownika spotkanego na przesiece leśnej, nie ogolonego kierowcy żydowskiego odrapanego autobusu – mój kraj jest krajem czterech pór roku.

Jest gorące lato. Z granatowej kopuły nieba leje się żar. Pola z nie poruszonymi kłosami zbóż są w południowej porze puste upiornie. Jedynie strzyga południcy tańczy i wiruje na rozstajach miedz. Ultramarynowy cień nad przyzbą chaty. Mała i ciemna sień i puste ubóstwo izby z wonią starych wianków i zaduchem chłopskiej biedy. Muchy gęsto popstrzyły obłupaną emalię tarczy tandetnego zegara wiszącego na oddrzwiowej ścianie, tarczy z naiwnym jarmarcznym malowidełkiem kwiatów. Od garnków na dymiącym ognisku na zgrzytających dwanaście uderzeń odrywa się młoda zdrowa kobieta z kapryszącym niemowlęciem na ręku. Patrząc w górę na zegar, podnosi ciężarki pordzewiałe i czarne.

Na wiórach i plewie podwórza stoi rozkraczony wóz, podniesionym dyszlem celujący w zenit. Piasta i dzwony kół nieomylnie wykreślone cyrklem, wyrobione bardą i toczydłem kołodzieja, który umiejętność swoją odziedziczył w nie zapisanych prawidłach od całych pokoleń nauczycieli, wykonujący je w ociekającym potem trudzie w zimowe krótkie dni. Nie wiem, czy czoło jego marszczyła myśl, raczej sądzę, że w hieratycznych sposobach i nakazanych ruchach było więcej jakby instynktu i odruchu. Ściosywał włókna drzewa ośnikiem, parzył grabowe kręgi dzwonów, jakby odprawiał nabożeństwo o swoistej liturgii. Oto wytaczał dzieło swych rąk na światło dzienne, osądzał okiem nieomylne proporcje i stosunek rozwory, luśni, kłonic, wag.

Brony pod ścianami szczerzyły swe kły do słońca, ściągnięte łykowymi obręczami putnie z drzewa poczerniałego od starości i wody wiszą u żurawi nad czarnym lustrem krynicy. Pod okapem strzech, na tle białych i farbkowatosinych ścian lepionych z warkoczy słomy umazanych w glinie

wiszą złote kaczany kukurudzy. Ażur liści jesionowych przepuszcza promienie słoneczne w japońskie obicie liści bambusu. Około chat rosną pokrzywy, łopiany, burzany – tłum roślin homotropijnych, towarzyszy człowieka, pariasy śmietniskowe. Przywędrowały tu za nim ze stepów środkowoazjatyckich, sprzyjacielone z nim na dolę i niedolę. Malwy pną się pretensjonalnym ornamentem na tle ścian i wdzięczy się drzewko wiśni cudowne zawsze i zachwycające „w opłotkach brudnych wsi”.

W gorące lato, kiedy się szło do dalekiej kąpieli całym naskórkiem spragniony zanurzenia się w stojące wody stawów, wspominam ścieżki do nich wiodące – elastyczne i miękkie, odbijające wiernie ślady stóp ludzkich, malutkie podkówki butów chłopek – wśród zwisających gałęzi wierzb, czered białopiórych gęsi na rozległych wygonach. Stojąca w szuwarach woda wydziela ostry zapach butwiejących trzcin, ostry i rybi. Z rozkoszą pomieszaną ze wstrętem zanurzałem się w ciemną toń porosłą trzciną i żabim skrzekiem. Żuki na szczudłowatych nogach pobiegały po jej powierzchni. Grube skórzane liście lilii wodnych leżały płasko na wodzie. Łodygi wodorostów oplątują i łaskocą nogi i pęcherzyki gazu błotnego z bulgotem pryskają naokoło mnie. Grobla zamykająca stawy szczerzyła się próchniejącymi patykami faszyny i leniwie przeciekała woda w brodatym od mchów wodnych jazie. Mokną obręcze kół wozów po osie w wodzie stojących i kręgi rozchodzą się z miejsc, gdzie kapią krople z pysków pijących koni.

Potem leżałem nago na stratowanej trawie brzegu, mając trochę gęsią skórkę od zetknięcia się z taką surowizną bez izolacji ubrania. Patrzyłem w przepaść nieba rozwartą nade mną czy pode mną?

Patrzyłem na obłoki. Podobno była to ulubiona zabawa królów perskich – patrzenie na chmury, na obłoki. Te najczarowniejsze wykwitają na południo-wschodzie. Układają się w głąb zdecydowanie wyraźnie. Ta stereoskopowość zależy w znacznej mierze od oświetlenia słońcem w porze popołudniowej. Rzucają na siebie wzajem cienie i te w cieniu nabierają fiołkowej barwy w odróżnieniu od różowej bieli ich partii oświetlonych. Nagrzany słońcem słup gorącego powietrza zaczyna znaczyć swój komin wznoszącym się kłębem cumulusu, przeradza się niewidocznie w kształty,

które kaprys i wyobraźnia przyodziewają w porównania od banalnych asocjacji wzrokowych do surrealistycznych kompozycji. Rozpływa się potem w charakterystycznym kowadle chmur. Sztuka obserwacji chmur jest nieodłączna od stanu rozleniwienia, który absolutnie nie pozwala na rzeczowe skojarzenia i logikę trzeźwości.

Albo inne, kiedy z wujem mym, Mamertem Górskim, wyjeżdżałem małym wózkiem o jednym dużym siedzeniu, tak zwaną amerykanką, w pole do robót. Przy niebosiężnych stertach zboża dymił komin lokomobili i w straszliwym pyle i kurzu młocarni zwijały się dziewczyny w czerwonych zapaskach, a bęben młocarni wył ponuro w chwilach wolnych między jednym a drugim kęsem chrzęszczących snopów. Tymczasem fornalskie czwórki na gorąco zaorywały ścierniska między stertami i czarnoziem na lśniących skibach dymił w zachodzie słońca. Jakieś drzewa rozczapierzały się wzdłuż drogi i ja, czekając na koniec rozmowy, jaką miał mój wuj z ekonomem, patrzyłem na obłoki południo-zachodu, obłoki układające się kompozycyjnie jak dalekoplanowe pejzaże u malarzy quattrocenta, wydłużające się w dalekie perspektywy, w dale kłębiące się kopułami i minaretami Bagdadu chmur, stwarzające dantejskie kręgi, przestylizowujące się w feerie o klasycznej harmonii.

Nie miałem świadomości, patrząc tak, nie miałem wyczucia przepływającego czasu czy też wydawało mi się, może najsłuszniej, że ta chwila sama jedyna w sobie powinna mi wystarczyć na zawsze, że, urągając przemijalności, pozostanie moją nieodpartą własnością raz utrwaloną i jedyną.

.....

Chodziłem popołudniami na długie wędrówki po wzgórzach. Towarzyszył mi w tych peregrynacjach młody pies, bastard legawej suki i jakiegoś kundysa, po którym odziedziczył ordynarny czarny włos, a po niej – piękne kształty. Imienia jego nie przypominam już sobie. Jak wszystkie młode psy, miał ciężkie grube łapy i zdyszany opierał się na mnie, brudząc mi błotem ubranie.

Chodziliśmy ścieżką wspinającą się na południowe garby wzgórz. Z tyłu, za nami pozostawał tor kolejowy z wzniesionymi na przejeździe barierami. Potem mijało się zabudowania cegielni z całym otaczającym ją terenem dołów po wybranej glinie. A potem zaczynały się równolegle biegnące pasma wzgórz. Pokrywał je jakiś nieświetny rodzaj gleby wapiennej i szczerzył się na niej nijaki plon. Dalej smużyły się lasy.

Wiódł mię mało uczęszczany szlak-ścieżka. Schodziło się z garbu w niezbyt rozległe aluwialne doliny i zaczynało się podchodzić na nowy wał. Doliny były przepiękne w maju. Zarastały wspaniałą trawą przetkaną kwiatami, których świeżość i delikatność nieziemska chwytała wzruszeniem za gardło. Nad biegnącą środkiem strugą wyrastały pochylone pnie wierzb, które, okaleczone w młodości, stroszyły się kulami gałęzi. Ich wici o młodej połyskującej korze krzyżowały się i splątywały z sąsiednimi. Trawa rosła prosto i strzeliście i nadawała całemu terenowi urok jakiejś dziewiczości i wrażenie, że to kraina nie tknięta przez człowieka od stworzenia świata. Potok sączył się między urwistymi brzegami i chlupotał na wyrwiskach lub napotkanej spadłej, zagradzającej przepływ gałęzi. Dmuchawce znaczyły pole nietrwałymi punktami i polatywały płatki motyli kapustników. Cały przedziwny, rozrzutnie rozmaity świat kwiatów zalegał dolinę. Było tam dobrze aż do niepokoju, do niemożności pozostania w miejscu; można było w tym przesycie harmonii i spokoju wytrwać czas ograniczony.

Odchodziłem stamtąd z niezmierzonym żalem i ulgą.

Ten czar trwał określone terminy wiosenne. Ale w jesieni łąka stawała się pusta i łysa, jej cały wyraz ulatywał wraz z kulami dmuchawców, jej starcza martwota nie miała w sobie ani szczypty atrakcyjności. Przebywałem doliny z mym wiernym psem szybko i wstydząc się niezrozumiałych i miękkich uczuć czasu wiosny.

Mieliśmy ważniejsze sprawy. Ciekawił nas niezauważalnie zmieniający się w oczach koloryt pejzażu w jesieni. Po zbiorach, kiedy grunty zostały zaorane, a oziminy jeszcze nie wzeszły, ziemia, jak odarta ze skóry, czerwieniła się kolorem gliny. Lasy czerniły się nieregularnymi plamami i przechodziły w kobaltowe smugi na horyzoncie.

Panował już ostry chłód i bieliły się urwiska gliniastych wzgórz plamami pierwszego szronu, kiedy ja i pies zawędrowaliśmy tam jednego dnia. Przedzieraliśmy się dżunglą nieprzebytą pni leśnych, zagajników i polan z wysoką na wzrost człowieka żółtą, jeszcze letnią trawą. Graby i dęby, świerki i dzikie grusze. Wjazdy do tajemniczych swymi perspektywami linii leśnych, zamknięte z gruba ociosanym pniem, na którym płoszymy złotopiórego bażanta. Sokół, jak hawker hurricane, unosi się wysoko w zenicie. Zapuszczamy się w gąszcz z drgnieniem i uciskiem serca. Wieje od lasu pustką i pełnią spraw, które są nie do poznania dla człowieka. Jest niezrozumiały i upokarza mię jego zamknięcie się w sobie. Tylko kojące są wdzięczne i smukłe, jak panny, drzewka brzóz. Błyskają jedwabiem kory i obsypują się pyłem drobnych żółtych listków. Żółtość ta jest specjalnego rodzaju: bardzo ciepła, jakby dla brzóz tylko zarezerwowana.

Pochylam się na krętej drodze leśnej nad ścierwem lisa. Jego futerko płomieni się, w wyszczerzeniu się śmiertelnym zębów naśmiewa się i odgradza od świata, zanim milczący koniec sprawią mu krogulce i wrony.

Wracaliśmy pod wieczór w pobok wsi. Ze wzgórz, z kęp drzew, z osiedli i samotni wyrastały cerkwie. Trzy piętrzące się piramidy dachów: czworo- i ośmiościanów. Stare gonty zastępuje często sina biel blachy cynkowanej. Wyglądają z daleka jak galeony z rozpiętymi wszystkimi żaglami. Płyną ze wschodu na zachód po tajemniczych farwaterach, według niezgłębionych róż wiatrów. Czerwienią się w zachodach słońc, czernią na tle wygwieżdżonego nieba, kołyszą w tumulcie świątecznego pośpiesznego bełkotu dzwonów, palą się w nich ikonostasy i carskie wrota, wierna załoga diaków, popów i dziadów okadza ich święte przyciesie i zręby. Ich zewnętrzne okapy osłaniają wyparte przez jarmarczne oleodruki naiwne prymitywy sztuki malarskiej Bizancjum. Wyobrażona na nich Trójca Święta surowo odgraniczy dobro od złego, niebo od czeluści piekielnych, na których czerwonym tle straszni i komiczni szatani wykonują smutny obowiązek dręczenia potępionych. Budowane są bez użycia funta żelaza. Ich ściany z dyli kładzionych wieńcem łączone są na zawiły zamek, którego skomplikowany, uświęcony wiekami zacios został przyniesiony tu

z pamięcią cedrowych słojów drzew Pamiru czy od czasów, kiedy wikingowie, porzuciwszy swe kościoły z przewróconych dnem do góry łodzi, zaczęli stawiać swe pierwsze gontyny. Cmentarz około cerkwi, święty teren zabaw i gier tak starych prawie, jak aluwialne doliny, w których stoi cerkwiszcze, otacza sędziwy parkan o deskach wypuczonych i stlałych od starości.

Kiedy wracaliśmy do domu, to już ostre ćwieki gwiazd nabijały dekoracje stratocumulusów na południu.

.....

Siadywaliśmy wieczorami w pokoju na dole, pokoju, który w miesiące zimowe służył za salon, jadalnię, pokój lekcyjny itp. Był urządzony ze spartańską prostotą pozwalającą na połączenie kompletu wiktoriańskich mebli, ciężkiego gdańskiego kredensu i wyplatanych trzcinowych foteli. Na kaflowym gzymsie kominka stało kilka greckich miniaturowych dzbanuszków z bladymi śladami malowanych liści akantu i srebrny komplet do czarnej kawy z zimnymi błyskami na polerowanych płaszczyznach.

Salon był pomalowany na różowy „pompejański" kolor i na tych ścianach odcinały się jedynie złocone owalne kopie Fragonarda wycięte ze świątecznych numerów „L'Illustration". Ciężka zasłona z zielonego wojłoku dzieliła salon od sieni-hallu. Tu czerni się podłużna szafa stojącego zegaru. Pociemniały mahoń lśni w blaskach ognia. Za szkłem bezszelestnie chodzi tam i z powrotem dysk wahadła. U góry blada matowa tarcza z wydłużonymi rzymskimi XII, I, II, III, IV, VIII, jak szprychy koła zbiegającymi się do środka. Pośrodku wycyzelowany napis: „***John Wait London***".

Wśród blaszanosuchych dożynkowych wieńców roztaczają swe skrzydła wypchane orły i rybołowy. Pełno gratów ze wsi i szlacheckiego gospodarstwa. Jakieś panwie miedziane i pokryte grynszpanem do smażenia ryb, rogi kozłów, wieńce jelenie utwierdzone na drewnianych tarczach z wypaloną na nich datą i miejscem zdobycia trofeum: „Hurcza 1878", „Zielony Kąt w marcu 1888", „1867 Halileja", kły i czaszki dzików,

wyleniałe skóry borsucze, muszle morskie białe i kolorowe, gładkie i nakrapiane, z niezapomnianym szumem dalekich mórz, kiedy ich różowe konchy zbliżyć do ucha, szatkownice do kapusty, beczki, kufry, skrzynie, meble i fotele z wyłażącym włosiem, przesiąknięte zapachem cygar, rozmaitego rodzaju bibeloty, świeczniki, fajki, popielniczki, dywany stare i wytarte, na których utkane były i wyobrażone sceny z tawern, gdzie kawalerowie w kapeluszach ze strusimi piórami i w butach z wywiniętymi cholewami umizgali się do piersistych i koronkami przybranych Flamandek albo psy monstrualne i rasowe obracały swoje łagodne oczy na pawie i perlice. Sztychy, litografie kolorowe i staloryty.

Na zewnątrz tło stanowią potężne drzewa. Wyrosłe przy domu, osiadły słupami pni przechodzących w górze w czarną i fiołkową siatkę gałęzi i gałązek. Na trawniku przed domem, trawniku pocukrowanym teraz śniegiem, na kamiennym empirowym postumencie zegar słoneczny. Szara, poczerniała od deszczów płyta ma wrysowany, wryty „*sundial*”; skośnie osadzony śpiżowy wskaźnik jest pokryty zielonym nalotem.

Kiedy na świecie jest ponury, zaciągnięty chmurami dzień, kiedy smugi śniegu wleczone wiatrem sieką szare mury i okna domu, wydaje się, że zegar słoneczny emanuje z siebie akumulowane w gorące dni lata światło słoneczne.

Odwoziłem Pannę na stację kolejową, kiedy wyjeżdżała do Lwowa. Było niedzielne popołudnie, a właściwie: wieczór, kiedy tak szybko zapada zmrok na zsiniałe w mrozie pola śniegu. Nie chciałem psuć fornalowi niedzieli i sam poszedłem do stajni „zakładać”. Wrota stajni zawsze otwarte, zima czy lato, kryły czeluść mroku. Ostry zapach końskiego nawozu. Po ciemku zachodzę konie od tyłu. Na pamięć odnajduję uprząż. Parciane szleje z guzowatymi postronkami, szorstkie lejce; naszelniki z dzwoniącymi łańcuchami zostają zawsze u dyszla sań. Konie posłusznie na głos: „Nastąp!” przypierają się do przedzielników, na chwilę odrywają pyski od chrupiącego obroku. Nakładając uprząż, obejmuję ich drgające życiem szyje oburącz. Opierają się, kiedy je kiełznam i wyprowadzam ze stajni. Trudno jest zaczepić stwardniałe jak żelazo pętle postronków o orczyki.

Wodze rozdzielone. Przysiadam bokiem niskie sanie przysypane podściółką słomy tak, że nie widać niskich płóz w śniegu. Popuszczam wodzy niecierpliwiącym się koniom i zrywają z miejsca. Łukiem zajeżdżam przed ganek. Panna jest w dużym futrze, w lisim kołnierzu znika jej twarz, oczy tylko błyszczą pod kresą kapelusza. Udaje mi się przykryć słomę kraciastą derą i nam nogi ciężką baranicą. Konie ponoszą z miejsca. Sanie płyną między niewyraźnymi brzegami drogi. Śnieg jest kopny i sypki. Kiedy wyjeżdżamy poza ostatnie płoty zabudowań, dostajemy uderzenie wiatru i niesionego śniegu. Widzę przed sobą tylko buchające parą kłęby końskie w rytmie wyciągniętego kłusa. Biel śniegu zlewa się z mleczną kopułą nieba w jedną białą kulę. Powietrze łopocze jak sztandar na wietrze i huczy jak żagle brygantyny. Wychynie od czasu do czasu cień samotny przydrożnej wierzby, ledwie widoczny za muślinem zadymki. Mróz pali twarz i czuję jego kleszcze w końcach palców, mimo rękawiczek. Koło oczu przelatują grudy wyrwanego kopytami śniegu.

.....

Kiedy pierwsze wiosenne promienie słońca tają śnieg na wydeptanych drogach ludzkich, górą, w zenicie, przeganiają się obłoki, w pośpiechu gnane przez ciemnolazurowe zatoki nieba. Wicher zimny potrząsa nagimi gałęziami drzew. Czarne wody rozlewisk wiernie odbijają niebieskie gonitwy. Jest to może okres, kiedy niebo jest najbliższe ziemi. W innych porach roku dotkliwie odczuwam „splendid isolation” przepaści niebieskich, odosobnienie olimpijskie ich spraw od tak zwanego ziemskiego padołu.

O wiośnie jest bardzo trudno pisać – bardzo łatwo jest wpaść w banał, emfazę i patos. Wobec jej wspaniałego zjawiska powtarzalnego cudownie co roku stajemy popodpierani zewsząd pleonazmami i truizmami – wydawałoby się, że jest to wszystko znane i otrzaskane do znudzenia.

Wychodziłem rano na gazon, gdzie stał okaleczony pień – kadłub kasztana. Był skośnie ścięty piłą na wysokości półtora metra, ale oszczędzono mu jakiejś gałęzi, która, groteskowo i kapryśnie powykręcana,

jak namalowana tuszem na chińskim obrazku, odstrzelała w bok od martwej masy pniaczyska. Jej zgrubienia i zakończenie wypuściły pęki skupione brązowe i lepkie. Czuło się w nich niebywale skupione, zamagazynowane życie. Co ranka widzieć można było postęp uparty i samolubny w ich rozwoju. Oto pąki nie są już zbite i caliste, ale zaczynają się delikatnie rozluźniać i rozczapierzać. Brązowa łuska odchyla się i ukazuje delikatną zieleń wnętrza. Jeżeli pochodzi się tak przez tydzień do tego wybranego pnia i myśli się potem w skrócie, to ma się efekt filmu „*au ralenti*”, jakby jakiegoś popularnonaukowego filmu z życia roślin. Przymknąć tylko oczy i gałąź rusza się i wije przerażająco, i rośnie w oczach, i wydłuża, bezwstydny poród na oczach odbywa się z całą siłą i energią natury. Pszczoły, wczesne i odważne pszczoły pierwszych dni wiosny, dają się nabierać na ostry zapach pęków i przyklejają się do ich ociekających roślinną posoką łusek. A potem rozprostowują się pierwsze listeczki. Są jasnozielone, mają jeszcze swe delikatne fałdy i złożenia i dopóki nie podrosną, są trochę wstrętne i miniaturowo zniekształcone jak embriony wczesnych miesięcy poczęcia, widziane w słojach kliniki położniczej.

Potem już wybuchają w zawrotnym tempie pierzaste skupiska liści rezolutnych i tak naturalnie się czujących, jakby tu trwały od czasu lasów paprociowych okresu dewońskiego. Kiedy będzie to rok rójki chrabąszczów, to niedługi będzie ich pyszny żywot. Zostaną po nich objedzone łodygi i drzewo długo przecierpi, zanim wyda ich następną edycję, anemiczną i schorzałą, już w pełni upalnego lata.

Nie można zapatrywać się na wyłączne zjawisko wiosenne kasztana, choćby to dla nas było łatwe takie ześrodkowanie, ale należy patrzeć uważnie, co się dzieje dokoła. Trawa, naturalnie, już dawno i niepostrzeżenie wybujała po rowach, sadach, łąkach, skarpach, pastwiskach, między grządkami, na starych dachach i murach. Wszędzie, gdzie jej nie posiali. Jest pierwsza, ale ustępliwa. Toruje drogę, daje przykład tysiącu fantastycznych bylin i roślin, które zaczynają prześcigiwać się w konkursie kształtów, oryginalności i ekskluzywności wyglądu, odcieni zieleni, pór kwitnienia i umierania. Rośnie to wszystko na grobach swych przodków sprzed roku, tu odbywa się ceremoniał ich aktów

miłosnych, tu popieleją potem w blaskach gorącego słońca i gniją w wilgoci wielodniowych słót. Depcze po nich stopa niecierpliwego człowieka i kopyto cierpliwego zwierza. Chylą się w wietrze dmącym od północo-zachodu i plami je cętkowany cień słońca. Patrzą kwiatami jednych w niebo i zamyślają [się] pochylonymi kielichami innych nad próchnicą. Upadają, gdzie je stratowano, i podnoszą się tam, gdzie słońce i woda najbardziej sprzyjają. Pachną nazwami, jakie im nadali uczeni maniacy, znachorzy leśni lub zakochani.

Do miasteczka jechało się przez tak zwane Czarne. Droga powoli wspinała się na płaski garb, na którego szczycie rozpinał ramiona krzyż zapomnianego cmentarza wojennego. Potem biegła wśród akrów zielonej oziminy, przechodziła rozlewiska strugi, zające podrywały się spod miedz i daleko podlatywały z najsmutniejszym krzykiem czajki. Koło karczmy na rozstaju wózek miękko kołyszący się w cieście błota chwytał wartki rytm na bitym gościńcu. Siedzący na koźle Pańko, sztywny i poprawny, umiejętnie wybierał lepsze miejsca źle utrzymanej arterii komunikacyjnej. Ściśnięty pasem, z podwiniętym kraciastym kocem podróżnym nigdy się nie oglądał i oszczędnie zażywał bata rwącym i tak koniom.

Droga znaczona pryzmami tłucznia szła zdecydowanie prostą linią od zakrętu do zakrętu. Po obu stronach zieleniała przetykana plamami piasku trawa. Dął wiosenny wiatr i lśniły wiosenne kałuże. Sosny małe i rozkrzaczone chyliły swe srebrnosiwe korony. Z turkotem mijało się most młynówki w cieniu wielkiego gmaszyska młynu. Na bramie wjazdowej widniał runiczny Lis – ᛏ, herb jakiegoś magnackiego właściciela. Znów zakręt i wjeżdżało się w zwarty las sosnowy. Nadbiegały dalekie i świetliste perspektywy linii i przesiek leśnych. Wśród drzew rządziły się sroki o długich ogonach i błyskały białymi piórami.

Potem las kończył się i niespodziewanie ukazywały się zabudowania miasteczka. Chaos dachów, beznadziejne słupy telegraficzne z lśniącą bielą porcelanowych izolatorów. Trzeba było długo czekać przed zamkniętym przejazdem kolejowym, za którym sapała spocona lokomotywa.

W końcu z budki nastawniczego wychodził zgarbiony kolejarz i kręcił korbą mechanizmu rampy.

Miasteczko ze swymi domami, które słoty i ubóstwo poplamiły trądem, było szare i płaskie pod sklepieniem niebios. W uliczkach biegnących do rynku cisnęły się do siebie żydowskie sklepiki. Otwierały swe drzwi z łuszczącą się na deskach farbą, obwieszone żelaziwem, łańcuchami, tandetą manufaktury, wiankami cebuli i krzykliwymi reklamami cykorii z emaliowanej blachy. Ubóstwo i codzienność tego miasteczka przenosiły je prawie w sfery mistyczne. Chodziliśmy z Panną wśród tych uliczek za jakimiś interesami, ale właściwie byliśmy jak zaczadzeni. Niebieskie niebo przezierało ponad dachami, które przeżarła rdza tam, gdzie znikło posrebrzenie cynkowe. Ściany domów bladoniebieskie lub bladoróżowe popstrzone były odpryskami błota i gliny.

Obszerny rynek jest źle zniwelowany i podle zabrukowany, ale dzieje się to w cieniu wspaniałej kolegiaty o liniach renesansu tak czystych, że doznaje się po prostu fizycznego ukojenia. Harmonia gmachu, jego spokój, duma, skończoność dają wrażenie zamkniętej myśli ludzkiej. To nic, że dzieje się ta architektura na najbardziej ubogim tle, że ubóstwo i pustka jej towarzyszące, zapomnienie i nieuchronna groźba czasu nad nią zawieszona chciałyby pomniejszyć tę wspaniałość. Chodzimy naokoło tego kościoła, dotykamy ukradkiem chropawych murów, zanurzamy się w cień jego wnętrza. Różowy marmur jest świeży i rumiany, jakby nim okładano ściany nie trzysta lat temu, ale wczoraj. Ciężkie płótna obrazów Altomontego czernią się kolosalnymi kwadratami na murach naw i u dołu wiszą fałdą jak żagle. Alabaster pomników nagrobkowych ma ciepło skóry kobiecej. Kopuła na transepcie pęka i wpuszcza wodospad światła.

Stoimy w otoczeniu żydowskich dzieci i niedojdy nosiwody miasteczkowego i podziwiamy jeszcze portal kościoła, który jest już barokowy, z wrzeźbioną infułą i herbem biskupa, którego czarny szkielet leży pod wydeptaną płytą w głównej nawie, potem znów chodzimy po zaułkach miasteczka, zaglądamy w bezdenną studnię u zejścia nad stawy, mijamy domki i drewniane i oszklone ganeczki mieszczan, chodzimy zabłoconymi drewnianymi chodnikami, niedostępnymi dla dostojnych i szanownych jak w Indiach krów.

To było żydowskie święto Hamana i te dzieci ciągnące się za nami były niezdarnie i litościwie śmiesznie poumazywane na twarzach prymitywnymi kolorami i węglem i w papierowych przybraniach głów. Dzieci były krzykliwe i wyraźnie nami urzeczone. Trzymaliśmy się z Panną pod ręce, z trudem zachowywaliśmy równowagę nad kałużami, które otwierały pod nami przepaście z błękitniejącym niebem. Chodziliśmy po składach drzewa, gdzie żywiczno-terpentynowe wonie rozlewały się między stosami desek. Trociny zasypywały błoto żółtawą mąką. Wychodziliśmy ze składów i znów natykaliśmy się na dziecięcoapokaliptyczne pochody.

Słońce przetaczało się ponad miasteczkiem i rzucało urzekające blaski na dachy i płoty. Pańko odmotywał wodze od słupa i kiełznał niecierpliwiące się konie. Długie skośne promienie leżały w poprzek drogi. Szczyty drzew złociły się jak unurzane w złocie. Furman nie oglądał się wstecz.

[prwdr. „Nowa Polska” 1944, z. 3–4, pt. *Entropia wzrasta do zera*]

Faites vos jeux!

Jedną z moich przyjaźni-znajomości był Fortunat Zajączkowski. Mieszkał przy ulicy Bonifratrów pod szóstym numerem. Był to starzec niezmiernie wysoki, asthenicznej budowy, aż mnie dziwiło, że dożył lat siedemdziesięciu paru. Był niezmiernie dobrze ułożony i uderzająco grzeczny, i odznaczał się niecodzienną kulturą.

Zapoznał mnie z nim jego kuzyn – młody człowiek, którego łączyło ze starym jedynie jakieś pokrewieństwo i nic chyba poza tym, bo byli o najbardziej biegunowych zainteresowaniach, no i dzieliła ich różnica wieku. Nazywał go „Zającem” i od czasu do czasu sygnalizował mi, że „Zając” pytał o mnie i chciałby mnie zobaczyć. Nieraz też spotykałem Fortunata na samotnej przechadzce i wtedy budził się z zamyślenia i pochylał ku mnie w swej czarnej alpakowej marynarce, która na jego skośnych obojczykach wisiała straszliwie pofałdowana i luźna.

Wymienialiśmy z początku parę obojętnych zdań i zwrotów na temat jego zdrowia, przy czym urywał on tę rozmowę bardzo szybko i bardzo grzecznie zapytywał mnie, czy nie miałbym nic przeciwko temu, żebyśmy razem przeszli się, ale niezbyt szybko i nie gdzieś pod górę ze względu na jego wadę sercową. Szliśmy razem, ja zawsze po jego prawej stronie, bo niedosłyszał na lewe ucho.

Temat rozmowy obracał się przeważnie około ostatnio przeczytanych książek. Ja wyciągałem jakieś swoje rewelacje, on znów mówił o swych ostatnich wrażeniach. Wbrew swemu wiekowi nie był tolerancyjny, był bardzo nieprzejednany w swoich sądach o książkach zarówno, jak i o ludziach, mówił z pasją, nie żałował inwektyw, zawsze jednak spostrzegał się, opanowywał, był zażenowany i znowu poprawny.

Zasadniczo byliśmy dla siebie obojętni, służyliśmy sobie tylko jak kamienie probiercze: ja górowałem spokojem i świeżością, jakie daje młody wiek, on miał w sobie wyższość i siłę człowieka, który jest stary,

wszystko stracił, nic nie ma do zyskania, jest wyzwolony z jakiejkolwiek magii.

Ale nie – nie był zupełnie wyzwolony. Z plotek, jakie mówił mi o nim jego siostrzeniec, wiedziałem, że miał jedną namiętność, która go niebywale frapowała, mianowicie: grę. Zresztą sam mi o tym nieraz mówił. Był emerytowanym radcą miejskim, miał, zdaje się, pokaźną pensję i żył ze swoją żoną, cichą i krótkowzroczną kobietą, przy ulicy Bonifratrów, żyli bardzo oszczędnie, ażeby on mógł odłożyć na grę. Kiedyś jeździł na Riwierę, teraz zostało mu kasyno w Sopotach.

Podobno napięta w nim żądza gry dojrzewała pewnego dnia do tego stopnia, że rano zrywał się z łóżka, telefonował do LOT-u o bilet samolotowy do Gdańska, w pośpiechu pakował walizkę i tego samego dnia wieczorem lądował we Wrzeszczu, i tego wieczora siedział przed stołem kasynowym.

Zwierzał mi się, że miał bardzo absolutne i racjonalne pojęcie o grze. Nie frapowały go żadne systemy ani też nie przejmował się passą – wszystko sprowadzało się do przypadku rządzącego wszelkimi wariacjami i kombinacjami możliwości. Szczęście sprzyjało mu więcej lub mniej i to określało, jak zasadniczo długo miał trwać jego pobyt nad morzem. Pieniądze zaoszczędzone na tę eskapadę stawiały go wobec możliwości w czasie, z góry był przygotowany na przegraną i z tym pogodzony. Jeżeli nie widziałem go przez długie tygodnie, to znaczyło, że odgrodzony w czasie, jak za ścianą izolacyjną, trwa przy zielonym stole.

Długie palce u rąk miał zakończone wyszlifowanymi żółtymi starczo paznokciami monstrualnie długimi, które hodował i pielęgnował dla zgarniania sztonów w kasynie gry.

Mając lat siedemdziesiąt parę, uczył się angielskiego. Nie miał jakiejkolwiek pretensji do zużytkowania tego praktycznie ani też nie marzył, żeby jego stronę fonetyczną poznać i udźwiękowić poprawnie, chodziło mu tylko o możność czytania przed śmiercią, której przy swoich latach i wadzie serca spodziewał się każdego momentu, chodziło mu o możność czytania Szekspira. Tłumaczenia polskie znał doskonale,

czytane wielokroć, i teraz opanowała go nieprzemożona chęć poznania go w jego własnym języku.

Mówił mi nieraz o tym, że myśli o czekającej go śmierci. Był człowiekiem, który mógł o tym mówić z największą pewnością. Niczyje plany i przewidywania nie miały nigdy rychlejszego widoku ziszczenia się, jak jego, kiedy o tym mówił. To był niesamowity interlokutor.

„Widzi pan, rodzimy się i przychodzimy na świat w całej nieświadomości tego – początek życia jest w mrokach. Przybierając na wadze, reagując na światło i pokarm, stopniowo właściwie rodzimy się i nasze wejście we wszechświat nie dzieje się nagle. To samo można by powiedzieć o zejściu stąd. W przeważnej ilości wypadków dzieje się to również poza naszą świadomością: w gorączce długiej choroby, w wycieńczeniu, osłabieniu ośrodków mózgowych; człowiek umierający na przykład na zapalenie opon mózgowych umarł właściwie swą tak zwaną duszą – może na wiele tygodni przed śmiercią fizyczną – z chwilą, kiedy stracił zdolność myślenia i przytomność. Samobójstwo nie daje samobójcy tej świadomości przejścia w inny świat – jest to zjawisko patologiczne. Człowiek ginący na wojnie, weźmy, od kuli albo wypadku, także tego nie ma. Jest to zbyt nagłe albo dominanta fizycznej śmierci zabija w nim wszelkie odczuwania. Starość, na którą przeważnie się umiera, jest już zupełną atonią zdolności myślowych”.

Zamyślił się.

„Jedynie może” – zaczął znowu – „jedynie może skazańcy ginący wbrew własnej woli mają pełną świadomość tego stanu przejścia do nicości. Widzi pan, ja jestem »*old-fashioned man*«, te sprawy przemyślałem i ta nieunikniona śmierć, która jest niedaleko mnie, nicość – pan wybaczy, może to pana razi, ale nie mam żadnego umówionego podkładu religijnego ani spekulacyjnego i nie mam żadnej podpory w nikim ani w sobie – to mnie przeraża… Jest to coś trudnego do zniesienia…

Kim ja jestem? To, co tu mówię, choćby to były historie jak najbardziej oderwane, jest mną samym tylko, cząstką mnie, i nie będzie żadnym egocentryzmem, jeżeli spróbuję mówić sam o sobie i jeżeli za pomocą tak

niezdarnego instrumentu, jak mowa, zechcę przetłumaczyć równie niedołężne usiłowanie przedstawienia siebie, jakie mi daje moja myśl.

Jestem przede wszystkim dosyć do siebie przyzwyczajony, ażeby mieć już jakiś błędny schemat o samym sobie wyrobiony – to raz – a przy tym moja sytuacja w samointrospekcji – co za dziwaczne słowo potwór! – uczę się angielskiego – Anglicy mówią na to *self-consciousness* czy coś w tym rodzaju – więc jest to tak, jakbym chciał wyrobić o sobie zdanie, jak wyglądam fizycznie, nie mając lustra. Co to jest to »ja«? Dlaczego staram się, jestem jeszcze – nie do uwierzenia w moim wieku! – jestem jeszcze w pretensjach i chodzi mi nawet o moją powierzchowność – nawet być ubranym dobrze. Przy tym mam w sobie tyle kompleksu, tego niemożliwego znów niemieckiego *Minderwertigkeitkompleksu*, że jestem w poczuciu swej długiej osoby – wpływ zaburzeń tarczycy, zgarbienia, włóczącego chodu, starczej niemrawości, swojej spóźnionej reakcji, nie mówiąc o całym szeregu przywar natury duchowej.

To jest samokrytycyzm, który pozwala mi jednak być na ogół dość zadowolonym ze siebie, zresztą jest to dosyć naturalne i wspólne, zdaje się, wszystkim…

Ale trapią mnie inne sprawy. Moja osobowość jest jedynym wyjątkiem, chociaż mi tak bliska, jest wyjątkiem, jak gdyby czymś nienaturalnym, czymś w swej jedyności teratologicznym, anormalnym, nie ma nic do mnie podobnego na jotę. To rola jakiegoś świadka dziejących się rzeczy, kontemplatora od siedmiu boleści, który od czasu do czasu sam jest tragicznie zamieszany w dzianie się spraw. Jestem tu, widzę rzeczy w zasięgu moich oczu i tych jestem bezwzględnie pewny, mniej jestem pewny tego, co widziałem dawno, na przykład tego, co widziałem w dzieciństwie…

Na przykład w moim dzieciństwie w Przemyślu stał austriacki pułk piechoty Mazzucchelli…

Albo: pamiętam raz z dzieciństwa, byłem wtedy bardzo mały, myślę, że nie miałem więcej jak pięć lat, byliśmy na jakimś spacerze na szczycie jakiejś góry porosłej lasem, musieli być przy tym rodzice, bo nic nie zakłóca w mojej pamięci poczucia bezpieczeństwa, otóż szliśmy łąką

międzyleśną, były wysokie trawy nie tratowane przez ludzi ani zwierzęta, bardzo dziewicze, i nagle ktoś, nie pamiętam kto, może to był mój ojciec, ten ktoś pokazał nam w miejscu, gdzie wprost z ziemi wyrastały trzy pnie, zdaje mi się, grabów, ukryte gniazdko ptasie, w którym było kilka jajeczek pstro i egzotycznie nakrapianych.

Pamiętam ten moment ogromnie wyraźnie, chociaż to, co było przedtem, i to, co się działo potem, tonie we mgle zupełnego zapomnienia, tak jakbym przedtem ani potem w ogóle nie istniał.

Wezmę inny przykład: lata szkolne. Było ich dużo, szalenie ciężyły na mej osobowości, szkoła tych czasów nie należała do najbardziej udałych instytucji, okresy międzywakacyjne wydawały się geologicznymi w swej dłużyźnie, a jednak teraz skurczyło się to we mnie do bardzo niewielkiej ilości wspomnień nieważnych i przeminiętych, tak jakbym to nie ja był tam wtedy, tylko ktoś daleki i obcy o tym mi opowiadał. Więc nawet nie jestem sobą samym tak, jakbym chciał, nie tylko w przestrzeni, gdzie wychodzę przez marzenia i kontakty z ludźmi i ich dziełami poza siebie, ale nie jestem samym sobą w czasie…”

Potem nie mówiliśmy już, a niedługo starszy pan pożegnał mnie i na odchodnym ściskał moją rękę i przepraszał mnie.

W tygodnie później przypadkowo spotkałem jego beztroskiego siostrzeńca. Z daleka błyskał szkłami w rogowej oprawie i wołał:

„Ależ to farsa! Wie pan? – »Zając« się powiesił! Miał trudności pieniężne, jego żona w tajemnicy przed nim narobiła długów, trudno jej było dom utrzymać, wydało się to, a stary miał właśnie atak ostry pożądania narkozy – tej gry. No i powiesił się!”

To było pod drugą jesień.

„Nowa Polska” 1945, z. 6, pt. *Uwagi i spostrzeżenia Fortunata Zajączkowskiego*

„Kiedy będę dorosły”

Wracałem do Z. koleją. Kiedy się siedzi w ciasnym wagonie 3. klasy, wagonie nieluksusowej edycji Sanockiej Fabryki Wagonów, drganie i stukot kół na złączach szyn wprawiają człowieka w stan hipnozy. Szare twarze pasażerów zlewają się w jedną masę bezkształtną. Ciężkie obłoki, jak świeżo, na mokro namalowane akwarelą, tłoczą się nad pobliźnionymi miedzami polami. Słupy telegraficzne migają z rozpaczliwą jednostajnością za szybą wąskiego okna. Do ich monotonii wmiesza się czasem, jak dysonans, słup urządzenia blokowego lub rampy i zaświeci jaskrawym, bezczelnym kolorem. Wagony lekko przechylają się na krzywiznach trasy. Pejzaż nie jest kalejdoskopowy. Równina, jakieś łąki bardzo podłej klasy popstrzone milionami kretowisk. Daleko, daleko czuby drzew i zamazane zarysy zagród. Ubogie przystanki z naftową latarnią u wejścia do telegrafu i pół chłopem, pół kolejarzem u nastawnic blokowych. Pociąg znów rusza w swą pośpieszną wędrówkę.

Cieszę się podświadomie z powrotu i od czasu do czasu muszę to sobie uprzytamniać, kiedy gubię się w myślach. Dzieje się to dlatego, że nie mam ich ustalonego porządku. Zastanawia mię mechanizm myślenia. Jestem pewnie wzrokowcem i myślę prawdopodobnie obrazami. Jeżeli powstają w mym mózgu skojarzenia, to na podstawie reminiscencji obrazowych. W tej chwili na przykład jazda koleją przypomina mi pierwsze w życiu wrażenia na ten temat, to nieodparcie wstrząsa mną dreszcz, jakiego doznawałem w dzieciństwie na widok zajeżdżającego pociągu. Pamiętam jak przez mgłę ten moment, kiedy po błyszczących szynach zajeżdżał w obłoku pary i przy akompaniamencie szumu i syku przerażający potwór lokomotywy. Ku szyderstwu i zdziwieniu mych rodziców i rodzeństwa nie wytrzymywałem nerwami tego zjawiska i najprościej w świecie uciekałem w jakieś labiryntowe poczekalnie, gdzie odnajdowała mię współczująca i rozbawiona matka. Ale niezaprzeczenie samo wyimaginowane

niebezpieczeństwo potrafiło zadzierzgnąć u mnie pragnienie równie silne, jak trwogę, i oplątało mię w sieć swoją. Drgającym wzruszeniem i tęsknotą napawał mię odtąd zawsze ostry i narkotyczny zapach spalin węglowych, jaki zawsze unosi się w pobliżu stacji i dworców kolejowych. Wywołuje u mnie reakcje wspomnień jak smak ciastka u Prousta. Wywołuje u mnie obraz matki tak młodej i pięknej, wychylonej z okna wagonu. Na żwirze u kół wagonu stał austriacki oficer w niebieskim mundurze, w czarnej, złoconej czapce, uśmiechał się białymi zębami pod czarnym zakręconym wąsem. Dotykał ręką najdziwniejszej w świecie rzeczy zawieszonej u klapy wafenroku, mianowicie był to jaskrawy zielono-żółty krokodyl miniaturowy, i powtarzał słowo: „tango".

Mój wuj z Czarnokoniec był to jegomość o potężnej tuszy i zawiesistych wąsach koloru słomy. Był przy tym łysy i mówił „wiolonczelowym" głosem. Miał bardzo przystojną drugą żonę, którą słabo pamiętam, i dwie córki z tego drugiego małżeństwa. Miałem wtedy sześć lat, kiedy zostałem przez niego przyłapany na gorącym uczynku zdzierania ze starego, spróchniałego dachu gontowego domu zielonych narośli mchu. Robiłem to przy pomocy tak zwanej „kociuby" i wzdrygam się teraz, jak to musiało być straszne dla dorosłego mózgu, owo dodzieranie się żywcem do dziur w dachu szanownego domostwa. Ten mech to był potrzebny do nieodzownych rekwizytów dekoracyjnych w jakimś przedstawieniu czy żywym obrazie z wróżkami, jakie urządzały moje siostry. Dochodził on do całego kwantum gałęzi, zielska, młodych brzózek, paproci i łopianów, przy których uczestnictwie niski salon domu został na długie dnie zaśmiecony. Zostałem w bezprzykładny sposób skrzyczany. Na dopełnienie wszystkiego moja idiosynkrazja do fasoli i „karmenadli" napotkała w czasie obiadu [na] jego dezaprobatę, która potrafiła stoczyć mię na dno upadku.

Myślę, że te przykrości, jakie miałem z wujem, wynagradzała mi pełna możliwość sportowych wrażeń w dziedzinie ekwitacji. Może tylko częściowo ten symbol dałby się zastosować, bo ograniczało się to do powożenia beczką z wodą zaprzężoną w mulicę czarną i kłapouchą, której, idąc truchtem obok, towarzyszył buropopielaty z pręgą wzdłuż grzbietu osioł. Wbrew zasadzie przyczynowości i odwracając naturalny porządek

rzeczy, zapewniono mię, że jest on tej mulicy potomkiem, i dosyć łatwo było mi w to uwierzyć – takie sprawiał wrażenie, jak źrebak trzymający się zaprzęgu. Nie czułem się wcale upośledzony ograniczeniem moich środków do tej jedynie rodziny – konie były dla mnie niedostępne i na wysokość ich lśniących grzbietów moje marzenia nie sięgały.

Ogromnie trudno jest uprzytomnić sobie topografię tamtych stron, okolicę tych Czarnokoniec. Dotychczas mam wrażenie nieskończonej płaszczyzny, a jednak wspomnienie stromych ścian jaru, u podnóża łupkowych skał mała kapliczka z bijącym spod jej progu źródłem, niebywałe wrażenie zieloności pełnego lata.

Jeździło się do małego miasteczka na jarmarki – nazywało się Probużna i było stolicą i Metropolis na cały okręg w zasięgu czterdziestu kilometrów. Pamiętam fornali w niedzielę wystrojonych w marynarki z taniego sztywnego materiału, z papierosami w zębach i strzykających przez zęby śliną na różowy kurz drogi. We wstążkę od kapelusza mieli wetknięte kolorowe kwiaty z jaskrawoczerwonego celuloidu. Jeszcze pamiętam rodzinę ekonoma: dużo dorastających panien, grubą matkę rodziny i z pretensjami do czegoś lepszego, z nieodzownym i krytycznym obserwowaniem domu i życia mego wuja. U nich też w domu wstrząsnął mną romantyczny obraz reprodukcja przedstawiający, jak brodaty Maćko Borkowic skazany na śmierć głodową zstępuje po drabinie do kaźni. Długie noce nie dawała mi spać jego wizja, wżywałem się w okrutność jego losu i dzban wody i wiązka siana, jakie były wyobrażone na reprodukcji, wydawały mi się najtragiczniejszą materialną ostatecznością. Musiały mię panny ekonomówny uspokajać. Bardziej tragiczne przeżycia spływały po mnie jak woda. Na przykład tak hałaśliwe zdarzenie, jak to, kiedy na długich posiedzeniach-wizytach z Józiem Waszewskim w kancelarii pisarza „prowentowego” machinalnie nacisnąłem kurek starej i zakurzonej, a wiszącej od lat w tym samym położeniu na gwoździu strzelby. Nastąpiła detonacja i w kłębach czarnego dymu prochowego wyłoniła się wywalona potężnym ładunkiem ołowiu dziura w suficie. Józio Waszewski powinien by być w mych wspomnieniach całym rozdziałem chociażby dlatego, że potrafił dla mego dzieciństwa stworzyć osobny mechaniczny świat lalek,

ich pałaców, broni zabawek, ozdób i cudów. Wtedy ten sezam wydawał mi się czymś naturalnym, a przy pracowitości Józia Waszewskiego i obfitości – czymś nawet nudnym; teraz dopiero sobie uprzytamniam, że właściwie były to rzeczy fenomenalne: wyklejane z dykty, drzewa lipowego, gałązek świerkowych, pluszu, pozłótki, korka, zapałek, wypolerowane glaspapierem, politurowane i malowane, niebywale dowcipne i wdzięczne. Nawet nie pamiętam, kiedy i jak on to robił, ten chudy dorastający chłopak o wyblakłych włosach, wstydliwy i nie lubiany przez mego wuja. Miałem jednak zawsze przekonanie, że jest on nadzwyczajnym człowiekiem i do dzisiaj zastanawia mię jego los – wiem, że był skromnym urzędnikiem w izbie skarbowej w Brzeżanach – i teraz znów zastanawia mię, że nigdy potem nie starałem się podziękować mu ani wtedy doraźnie za to wszystko, co dla mnie zrobił. Także jak przez mgłę przypominam sobie huzarów rosyjskich, którzy wtedy stali po całym folwarku i po wszystkich domach na kwaterach, i pamiętam tylko, że wszystkie pasy skórzane mieli białe i u sercowatego wycięcia cholew u butów mieli białe rozety, i nie mieli szabel-*szaszek* noszonych odwrotnie krzywizną w całej armii, ale pałasze z gardami w metalowych pochwach.

Mój wuj przesiadywał w kancelarii nad rachunkami i jeżeli zdarzyło się tam wpaść którejś z jego córek lub mych sióstr, to deklamował zamyślony i *absent-minded* na jej widok:

„…Otóż ona – nieszczęśliwa Antygona…”

i one bardzo tego nie lubiały.

W jakiś czas potem, kiedy już wróciłem z tych wakacji, umarła ta piękna ciotka, żona mego wuja, która przy jego korpulentnej postaci była tak wiotka i delikatna. Mój wuj, zdaje się, bardzo ją kochał. Nie bardzo mię dziwi, że nie przeżył jej długo. Po jego śmierci bałagulska czwórka przywiozła do nas jakieś meble, graty i naczynia, do naszego domu, i mieszczańskie mieszkanie nasze zapełniło się nowymi rzeczami ze szlacheckiego gospodarstwa.

Między nimi znalazłem tom in octavo *Podróż naokoło ziemi* na pożółkłym papierze z wgłębioną czcigodną czcionką i grawiurami-

stalorytami co druga strona. Wyobrażały one i imaginowały spokojnym i zasiedziałym mieszkańcom Podola, jak piętrząca się piramidami żagli brygantyna opuszcza omurowania portowe Plymouth, a eleganci i damy w bufiastych spódnicach powiewają chustkami, a mewy zakreskowują niebo pokryte wełnistymi chmurami, mija się Biskaje z wyjącym z kart książki huraganem i ułomek masztu wśród falowiska oddanego pedantycznie charakterystycznymi ząbkami malejącymi perspektywicznie, dalej Pic de Tenerife, a na Maderze czarnowłosi Portugalczycy poganiają sanie ciężko sunące po kamieniach pod górę, zaprzężone w woły albo już bez nich sterują je przy zjeździe z góry, a w palankinach rozkrzyczane *ladies* i wąsaci globtroterzy.

Na Wybrzeżu Kości Słoniowej chwieją się palmy i dzicy w „pirogach" podpływają do okrętu o opuszczonych żaglach. Góra Stołowa ucięta jak nożem wznosi się ponad drobnym maczkiem zabudowań, a port pełen jest masztów i rej okrętowych i wygląda to z dala trochę jak cmentarz na wodzie. Asystuję na Madagaskarze ceremonii królewskiej w Tananarive, Madagaskarczycy są czarni i wstrętni i noszą niepokalanie białe szaty, a zaraz obok prezentuje mi się lemura w niepokojącym powiększeniu, z oczami świecącymi jak wielkie guziki i cienkimi lepkimi palcami odnóży. Coś pomięszało się w kolejności, bo oto znów piętrzy się Rock Gibraltaru i żołnierze brytyjscy w wysokich czapkach i Szkoci w kraciastych spódniczkach i beretach z pomponami pozują w romantycznych kontrapostach parami przy działach szczerzących swe paszcze z otworów wykutych w skale, a równe, pedantyczne piramidki okrągłych kul działowych sprawiają i potęgują jeszcze wrażenie niezdobywalności tej twierdzy.

Jesteśmy wśród poławiaczy pereł w Zatoce Perskiej i zaraz przedstawia się nam małżeństwo syngaleskie w całej okazałości ich muskulatury jak najbardziej klasycznej, tylko kobieta ma potworne i nie zasłonięte piersi wyglądające jak rogi poduszki. Bombaj, jeżeli wierzyć sztychowi, jest bardzo europejski ze sztywnym szyldwachem przed pałacem gubernatora, na dalszej stronie przerażający obraz egzekucji w Indiach dokonywanej przez słonia. Sam słoń, jego kornak tudzież świadkowie tego aktu mają jak

najbardziej okrutne twarze, jedynie delikwent zachowuje spokój, a nawet, można by powiedzieć, pewien rodzaj humoru. Na płaskiej plaży Madrasu wściekły przypływ piętrzy fale w dokładnie i gładko zaczesany wałek, po którym ślizga się jakimś cudem szalupa okrętowa bardzo przepełniona.

Miałem wtedy niebywałą pasję do książek. Nowe rzeczy ukazujące się za szkłem wystaw były w przeważnej części niedostępne dla mnie. Toteż kontemplowałem je jedynie przez szyby wystawowe i doszedłem do tego, że tych kilka ważniejszych witryn znałem w każdym okresie na pamięć. Zazdrościłem ekspedientom księgarnianym ich zajęcia i nieraz zadziwiała mię ich obojętność wobec wspaniałego świata półek księgarskich, w jakim żyli, no i ich ignorancja w materii książek, których tytuły jedynie znali i odcyfrowywali tajemnicze znaki na rogu broszur, i tłumaczyli je na mniej lub więcej ekspensowne cyfry.

Raczej były mi dostępne książki w antykwarniach. Raz – przez niebywale czasem okazyjne ceny, po wtóre dlatego, że tu można było wejść i buszować, ile się dało, pod bardziej przychylnym okiem antykwariusza. Stąd przeważnie pochodziła podstawa moich zbiorów. Na wydawnictwach znałem się i sztukę tego znawstwa doprowadziłem do majsterstwa. Potrafiłem z samego druku i papieru książki odgadnąć firmę, przez którą była wydana, ba, nawet rok i ewentualnie drukarnię.

Pamiętam, miałem *Bohaterów* Carlyle’a w wydaniu Paprockiego w Warszawie – czcigodny tomik w szesnastce, na którego okładce wyobrażona była drzeworytem jakaś muza z nieodzownymi akcesoriami wiedzy, jak jakieś pochodnie, laury, ułamek kolumny. Sama zaś dziewica była osłonięta do połowy, naturalnie, obficie pofałdowaną draperią, od pasa w górę zaś – trzeba pamiętać, że wydawnictwo datowało się w jakichś latach osiemdziesiątych – więc od pasa w górę miała zaznaczony przez sztycharza jakiś chorobliwy biust, wypukłość nie zróżniczkowaną w miejscu, gdzie zwykle naturalną koleją rzeczy znajdują się u kobiet piersi. Ten tors był torsem manekina, na którym krawczynie upinały wiktoriańskie suknie. Druk tej książki, zaraz, przypominam sobie, że miał wszelkie cechy czcionek Anczyca z Krakowa, myli mię tylko to, dlaczego i jakim sposobem drukowałoby wtedy tam warszawskie wydawnictwo.

Druk ten był bardzo przyjemny – pewnie, że daleko mu byłoby do kroju Półtawskiego, ale stanowczo wolałem go od secesyjnych czcionek, jakimi drukowane były „Chimera”, lwowski „Lamus” i *Kryjaki* Jehanne Wielopolskiej. Aha, i jeszcze pierwsza *Wierna rzeka*. Tam strony znaczono na dolnym marginesie i wszystkie szóstki zadzierały ogon ponad linię wiersza, a wszystkie dziewiątki – poniżej. Tak drukowała przez pewien okres Drukarnia Narodowa w Krakowie i wyobrażam sobie, jak przychodził tam z autorem Wyspiański i autorowi w wysokim wykładanym kołnierzyku tudzież „mesztach” zapinanych na guziki doradzał wybór czcionki, i ogłupiali swym smakiem usmolonego i tęskniącego do żony metrampaża, który im nie potrafił się zbuntować.

Owych *Bohaterów* Carlyle’a czytałem w przepiękną wiosnę w moim domu, kiedy zieloność drzew i traw bucha jak powódź i kwiaty pienią się poza brzegi naczynia świata wypełnionego wiosną. Chodziłem z nią do parku w jego cieniach szmaragdowych i paprociowych nad leniwą rzeką płynącą w głębokim gliniastym żłobie, przewracałem jej kartki w rozkoszy i natchnieniu. Albo w odurzających zapachach ogrodu w domu, kiedy kurzem drogi wracały plutony strzelców konnych do koszar i śpiewały:

„Kradną oczka, kradną, za dziewczyną ładną…
Obiecała, a nie dała chusteczkę jedwabną…”

A ja czytałem o Thorze i skandynawskich olbrzymach, których zwojami mózgowymi były chmury, a sklepienie czaszki to pieczary, westchnienie piersi to orkan, krok to trzęsienie ziemi, a głos piorunem. O prorokach, Chrystusie, Buddzie, Mahomecie, o walkach szyitów i Korejszytów. O bohaterstwie.

Z Drukarni Narodowej w Krakowie wyszedł także Nietzsche na bibulastym papierze i z kapryśnymi secesyjnymi ornamentami winietek na pustych przestrzeniach nad zaczynającymi się rozdziałami. *Między dobrem i złem, Tako rzecze Zaratustra*. *Zaratustrę* czytałem w górach, kiedy w deszczowy i mglisty poranek marzłem pod dachem koliby na stoku góry uciekającym w dół i ginącym we mgle. Wydawało się, że jestem u krańca świata, zawieszony na tej tragicznej równi pochyłej między niebem

a ziemią, kiedy wszystko sprowadzało się do tego skosu ginącego w górze i w dole w bezblasku i ostateczności białej waty. Zaczytywałem się w Berentowskich okresach i powtarzałem w pustkę: „…i uradował się Zaratustra posochowi temu…” I śmiałem się potem sam z siebie i swych wewnętrznych napięć, kiedy wieczorem wracałem spacerowym pociągiem, a na stacyjkach w dolinie Prutu zbierali się na żwirze znudzeni letnicy porozbierani niemożliwie i wołali w stronę pociągu: „*Huules!*”

„Rola” Jana Buriana drukowała na drzewiastym, wojennym papierze.

Na takim drzewiastym papierze u Buriana drukowano Żeromskiego powojennego. Jego natchnione strofy i, powiedzmy także, naiwne gadulstwo samouka. Tam przez jego rekomendację poznałem i brzydotę eurazjatycką, i przepiękny urywek z rosyjskiego:

„*I niet jejo – i czerniejet swiet…*”

Tam także *Słowo o bandosie*, w którym znów odnalazłem jego odę do młodości: „Młodości – wszystkiego dziedzicu! O, pokolenie przyszłą wiosnę niosące! Płomień zza krawędzi mroku znowu wytryśnie! Zakwitnie wiśnia w sadach, w opłotkach brudnych wsi!” I dalej: „Niech się zjawi i zagrzmi dobosz nowej sprawy…”

Połoniecki we Lwowie drukował swoje tomiki klasyków z *Kubusiem Fatalistą* Diderota, biskupem Newmanem, Hebblem, Franciszkiem Marią Arouetem, którego także nazywano Wolterem, *Maksymami* diuka de La Rochefoucaulda, jednym słowem: tak zwaną sałatę. Zakłady Graficzne „Tęcza” biły bardzo solidnie, na porządnym papierze i nie byle kogo. Tak jak K. S. Jakubowski wydawał tylko ciężkie rzeczy z zakresu nauk ścisłych, podręczniki uniwersyteckie i politechniczne, które dosłownie liczyły się na wagę złota. Zygmunt Pomarański poczciwie i prowincjonalnie drukował sobie taką specjalność, jak Zielińskiego z jego klasycystycznymi kolubrynami, i do tego dorabiał mu okładki secesyjne profesor Witwicki, który był jeszcze wtedy belfrem gimnazjalnym.

Wydawnictwo Mortkowicza miało Żeromskiego, znów bydgoska Biblioteka Polska drukowała Niemojewskiego „*en exclusivité*”.

Gabriela D’Annunzio czytałem niewiele, w każdym razie zrobił na mnie wielkie wrażenie. Nie wiem, nie pamiętam już, co to było: *Il Fuoco* czy

Dziewice wśród skał. Sam D’Annunzio był dla mnie niesympatyczny ze swą łysiną, pozerstwem, pancernikiem w podarowanym mu ogrodzie i całą aferą Fiume. Należał do… mieszało mi się to zawsze z symbolistami, Maeterlinckiem i całą dekadencką hebrą czasów dobrego króla Edwarda VII. Wtedy to także były modne powieści drukowane in octavo i z rysunkowymi winietami przed każdym rozdziałem (ewentualnie a capite rozdziałów zaczynały się dużą ozdobną literą).

Ale Gabriele D’Annunzio umarł i pogrzebano go z całą faszystowską pompą i sztyletami, jako też i pierogi, i haftowane palmy akademickie były przy tym obecne. Włosi dodali do Fiume jeszcze Sušak, życie idzie naprzód, jedynie sztuka odmienia swe koleje wedle starych, ustalonych porządków.

Martwi mię i brzydzi nuda wynikająca z konsumowania czy kontemplowania [sztuki]. Niechby to była najprawdziwsza i najgłębsza rzecz w świecie – staję u jej kresu, jej ograniczoności bezsilny i nie zaspokojony i natykam się jakby na ścianę z mlecznego szkła, za którą kryje się to właściwe niewypowiedziane, to, co jest skończonością, to, co, jestem pewien, nigdy dla mnie nie będzie do poznania. Wydaje się tuż!

To było.

Pociąg przetaczał się koło stosów impregnowanych podkładów kolejowych, wymijał ogrzewalnie i po krótkim postoju skierował się do ostatniej stacji. Wjechaliśmy w znajome lasy. Bór za oknem stał zwartym tłumem, wierzchołki drzew kołysały się w nakazany, niesiony przez wiatr rytm. Z daleka zaświeciły czerwone oka semaforów. Nadpłynęła Zielona i łagodnie stanęła u drzwi wagonu. Błogosławiony spokój jej zielonych traw, czerwonych pni, srebrnych czubów sosen, szanownych granic lasów, polan międzyleśnych miał stać się świadkiem ponurych Kann. Wyobraźnią widzę stłoczone i spiętrzone sznury pociągów na bocznicach. Działa zepchnięte w rowy, stosy karabinów na polanach leśnych, wory mąki i skrzynie sucharów w grzęzawisku, dymiące spalone samochody i ciągniki z urwanymi błotnikami i przedziurawionymi chłodnicami, stosy trupów końskich rozdętych rozkładem i nie pogrzebane ciała żołnierzy. Drzewa świecące białym mięsem pod zdartą pociskami korą, hełmy zawieszone na

ich gałęziach, stosy pocisków armatnich świecące złotem mosiężnych łusek, wypatroszone torby masek gazowych, popieliska pośpiesznie palonych papierów i sprzętu. Nad tym szumi las, który był, kiedy nas nie było, i który tu róść będzie po nas.

To miało być.

Za sztachetami ogrodzenia stacyjki czekały konie i wpraszał się na towarzysza urzędnik skarbowy. W jego nijakim towarzystwie, kołysząc się nad bajorami leśnymi na miękkich resorach wózka, dojechałem do Z. Z daleka świeciły okna domu i jamniki wypadły z wściekłym ujadaniem na moje powitanie.

[prwdr. *Wiek klęski. Almanach historyczno-literacki*, Londyn 1946, pt. *Stacja Zielona*]

Wesele u chłopów

Pani Ł. była przewodniczącą kół gospodyń wiejskich, zdaje mi się, na powiat R. Nie bardzo orientuję się w całości poczynań społecznych tych inicjowanych przez ówczesny rząd stowarzyszeń – myślę, że i w tym miał cele przenikania w głąb, jak każdy rząd totalizujący. Przy pomocy rozmów prowadzonych przy stole miałem sposobność, chcąc nie chcąc, rozszerzyć swoje horyzonty na temat dosyć mgliście zarysowującej się pracy kobiet w społeczności, jak gdyby to, co robią przez instynktowny biologicznie nakaz, nie było aż nadto. Jedna z tych pań ze zgrupowania Wólka Tarnowiecka miała wyjść za mąż, co na terenie świeżo zainicjowanych kół było zdarzeniem, w zasadzie zaś było starą jak okoliczne bory historią.

Któregoś dnia przed kuchenne schody zajechał wóz wymoszczony słomą i przyszła oblubienica czerwona od jazdy i zakłopotania, wśród szeptania pokojówek, schylając się nisko, nie jak uświadomiony członek koła gospodyń, ale bardzo po pierwotnemu, zapraszała na wesele.

Potem minęło parę dni, kilka razy przypominano sobie zaproszenie, nie decydowano się, zwyczajem wsiowym – nigdy na wsi nie spotkałem się z ostrą decyzją – w końcu jednak ustalono wyjazd. Ponieważ w tamtą stronę było daleko, więc zadecydowano jazdę samochodem.

Przed ganek w zgrzycie żwiru pod cykającymi oponami zajeżdżał sześćdziesięciokonny buick, a od strony folwarku w stępie kopyt, z fornalem na grzbiecie lejcowego konia, z nogami przewieszonymi niedbale, „po damsku” – czwórka koni. Był to nieodzowny naddatek, ta kwadryga końska wlokąca po grudzie wagi z orczykami. Miała odrobić pierwsze pięć kilometrów za sześćdziesiąt koni mechanicznych rwących się do skoku, pięć kilometrów, które po niedawnej słocie były pasem przemieszonego obręczami kół, gęstego błota, a w miejscach, gdzie się urywało – wydmami piasku i jeziorami kałuż.

Pani Ł. uparcie przywdziewała haubę samochodową pamiętającą stylowe czasy pierwszych panhard levasseurów, jamniki szczekały, wijąc się między kołami pojazdu i pęcinami cierpliwych koni, pan Ł. sceptycznie, lecz aprobująco obserwował przygotowania z odrzwi domu, fornal na: „Gotowe!” strzyknął śliną spomiędzy zębów na żwir zajazdu i dziwaczna kombinacja nowoczesności z tradycją ruszyła wzdłuż łuku gazonu w drogę. Dziewczyny pracujące przy kopcach naprzeciw obory podnosiły twarze koloru ochry i patrzyły nieciekawie za nami. Kłęby dymu odczepiały się od rdzawego komina gorzelni, ośmielone swą samodzielnością puszczały się w niewiadomą północno-zachodnią drogę i ginęły, rozwiewane w nicość, dając wolne pole następnym pokoleniom zatraty. Niebiesko-biało malowany krzyż kamienny na rozstaju ginął w rozczapierzonych krzakach głogu. Zostawialiśmy z prawej wyciągnięte rzędy chałup, dzwoniły żelazne ogniwa orczycy ciągnącej machinę „General Motors”, las zbliżał się szybko, błoto jakoś nie dawało się we znaki. Chlusnęła pod oponami szeroko woda pierwszych leśnych kałuż i zmącił się i załamał w nich czysty obraz nieba. Pomiędzy niskimi pniami drzew polatywały ptaki i czerwieniła się kora drzew na porębie leśnej. Potem zastukała twarda nawierzchnia szosy pod kopytami koni i zatrzymaliśmy się, ażeby wyprząc.

Potem z szosy skręcaliśmy na drogę do Wólki Tarnowieckiej. Wóz ciężko huśtał się na wybojach i ujadały psy podwórzowe z zagród. Widziało się grupki ludzi: mężczyzn w nowych wymiętych cajgowych marynarkach i kobiety oparte łokciami o płoty domów. Zziajane dzieci towarzyszyły powolnie posuwającemu się wozowi. W jakimś miejscu było więcej grupek ludzi przed jednym domem, a na drodze odróżnić można już było postać panny młodej, która, podniecona weselem i niebywałymi gośćmi, wyszła daleko przed dom, aby witać, i robiła to trochę z pewną siebie uhonorowaną dumą, nieco zmieszana, wysoka, brzydka, o czerwonej twarzy, w sukni z białego taniego muślinu mającej symbolizować jej dziewictwo. Było w tej biednej sukni coś smutnie cmentarno-pogrzebowego – zawsze na mnie suknie panien młodych robią takie wrażenie; mają w sobie, w swej taniźnie, w swej jedyności, bo ubiera się je przecież raz jedyny tylko, coś trumiennego. Były tam jeszcze jakieś bardziej pryncypialne towarzyszki,

wszystkie twarze wyrażały usatysfakcjonowany podziw z pewną dozą podkreślanej swobody, że oto mniej może przewodnicząca kół, ale raczej: dziedziczka, wspaniałym samochodem, co już miało być wyrazem zahaczenia o niebosiężne sfery dobrobytu, bogactwa, feerii powodzenia i wyniesienia ludzkiego, jest tutaj, ma być razem na równi i w jednej zabawie-uroczystości.

Dzieci płowiaste usmarkane i z rozwartymi do niemożliwości oczami wspinały się na przyzby, czepiały się nóg starszych i plątały niemożliwie pod kołami manewrującego w ścisku samochodu. Słońce wyjrzało zza chmur i złotymi plamami położyło się na ściany domów. W końcu było nam dane odróżnić między zebranymi i pana młodego o przystojnej twarzy. Był o pół cala niższy od swej młodej żony, miał na sobie czarną marynarkę i trochę przybrukany biały krawat.

Zapraszano nas do wnętrza domu. Trzeba było potknąć się o wychodzony próg, trudno było obrócić się w ciasnej sieni, w końcu skierowano nas, na szczęście, do prawej strony domu, gdzie, w przeciwieństwie do lewej, piekielnie gorącej od sąsiedztwa kuchni, było chłodno i puściej. Kolorowe obrazy świętych pańskich uszeregowano pod sufitem, niżej wisiały stereotypowe fotografie rodzinne, poza tym były ślady z uprzątnięcia jakichś mebli, pewnie w celu zrobienia miejsca dla ewentualnych tańców. Stały tylko nieduży podłużny stół i ławki oraz krzesła ustawione pod kątem w rogu izby.

Do sieni i na drugą stronę domu wchodziła orkiestra: bęben obciągnięty opalizującą pergaminową skórą z mosiężnymi, niezdarnie wyciętymi z blachy brzękadłami, skrzypek trzymał pod pachą wyślizgane skrzypce. Przewodnikiem tej trupy był młody wysoki chłopak o wesołej rezolutnej twarzy. Kręciły się dziewczęta i kobiety, zaglądały zainteresowane i zażenowane do naszej izby. Nasi gospodarze zajmowali się nami przesadnie gorliwie – miało to ten fatalny skutek, że chwilami w ich natarczywym zajmowaniu się nami następowała kłopotliwa luka, w której ani my, ani oni nie wiedzieliśmy, co robić. W końcu wybrnięto z tego w ten sposób, że wniesiono na tacy wódkę w karafce z mętnego szkła i ciągle donoszono kieliszki, których ilość ustawicznie była niewystarczająca.

Nalewano tę wódkę trzęsącymi się z emocji rękami i podsuwano natarczywie. Mylono kolejność i porządek dostojeństw w traktowaniu, alkohol rozlany na tacy i stole leciutko parował w atmosferze izby i wnosił odurzający zapach. Kieliszek wychylony pod zainicjowane przez panią Ł. zdrowie państwa młodych był ostry i zakręcał myślami pod czaszką. Potem kazano wypić drugi i w szczęku talerzy i zbieranych rozmaitego autoramentu sztućców nakrywano do stołu, bo tymczasem czyjeś zapobiegliwe ręce zaczęły znosić właśnie z tej otchłannie gorącej kuchni, gdzie uwijały się czerwone kucharzące kobiety, pierwsze dania pod wódkę: jakieś przetwory z zabitej na wesele świni. Potem powtarzał się ceremoniał zasiadania do stołu i zapraszania do jedzenia.

Z drugiej strony domu niespodziewanie uderzyła muzyka. Skrzypce wiolinowo i cienko zaniosły się swą dominantą, której nie potrafiły zagłuszyć ani niski klarnet, ani rytmiczne dudnienie bębna. Muzyka ożywiła zgromadzenie, które i tak było dostatecznie podniecone, ośmieliła kobiety i podziałała elektryzująco na cisnące się u wrót i pod oknami dzieci. Wchodziły nowe osoby, z którymi nas zapoznawano dość chaotycznie – trzeba było koniecznie wypić jeszcze jeden kieliszek, uciekając od krytycznego spojrzenia pani Ł.

Dzieje się to wśród krajobrazu, który zdaje się cały wstrząsać: jego pola, lasy, piaszczyste wzgórza chodzą i wibrują od niezwykłości tego, co się dzieje tu – w pośrodku między horyzontem i horyzontem.

Droga powrotna wiedzie doliną Raty wśród lasów sosnowych i piaszczystych wydm. Przeciekają ją strugi niezdecydowanie wijące się chłopskim meandrem, błędzikiem, i osuwa się ziemia ciężka zieloną murawą z ich urywistych brzegów, szumi trzcina na rozlewiskach i wiatr pochyla wysokie badyle traw na łąkach. Drzewa zielonym różańcem ciągną się wzdłuż drogi i pola w kolorowy indiański deseń dostosowują swoje prostokąty do zakrzywionych miedz i zbiegają się u kalwarii na rozstajach. Dzieci chłopskie pasące bydło na wygonach bawią się w swoje dzikie dziecięce, nie skoordynowane zabawy albo zamyślają się najniespodziewaniej w świecie. Rządca folwarczny z karkiem opalonym na granatowo idzie na przełaj przez niwy, rozbijając końcem okutej laski grudy

ziemi, i szybciej na jego widok przebierają sapami rozsypane jak paciorki dziewczyny w swym pozbawionym wdzięku pochyleniu nad pielonymi burakami. Fornal tylko, który przejeżdża w kurtyzowane dworskie chabety, jest cyniczny, niedbały i niezależny. Mówi dziewczętom opryskliwe ordynarne słowa i głos mu się miękko zmienia, kiedy pieszczotliwie napomina podręczną klacz.

Przepływa obok nas Zielona. Błogosławiony spokój jej zielonych traw, czerwonych pni, srebrnych czubów sosen, szanownych granic lasów, polan międzyleśnych, gdzie niezapomniane wzruszenia ogarniają na widok chodzących w czerwonym zachodzie słońca saren.

Waży się jastrząb w niebiosach i na garbie horyzontu przechytrze i - leniwie obwąchuje powietrze lis, który znudził się monotonią lasu.

„Wiadomości Polskie Polityczne i Literackie” 1944, nr 4, pt. *Wesele na wsi*

II O Pannie herbu Panna na Niedźwiedziu

Polowanie wigilijne z Maupassantem

Przede mną szedł pan Ł. w grubej kurtce podbitej lisami. Wydawał się, mimo średniego wzrostu, wyższy. Może to sprawiał jego zarost, może niezgrabna myśliwska czapa z jakiegoś bobra, przechodząca w daszek nad czołem. Niósł na rzemieniu, pod pachą amerykańskiego savage'a z lunetą zgrabnego: o cienkiej lufie i delikatnym wycięciu ujęcia pistoletowego. Jakieś wyblakłe zielone pończochy wyłaziły z cholewek jego bucików i kończyły się pod kolanami, pod fałdem *knickerbockerów*.

Szedłem za nim w trop, oglądając się na prawo i lewo. Przechodziło się podmokłą łąkę, potem kawałek dróżką w świerkowym lasku, gdzie ślisko było od spadłych szpilek. Pod chatą Pawła czerniła się gromadka chłopców z nagonki w fantastycznie dużych surdutach i kurtkach ściśniętych mocno w pasie, i za dużych buciorach. Każdy zaopatrzył się już w kij i rękawem ocierał krople zwisające z zsiniałego nosa.

Paweł w jaskrawozielonej kurtce i małym zielonym okrągłym kapeluszu zbierał na początku jakąś reprymendę i organizował, i podsuwał półgłosem pierwsze mioty. Niecierpliwiłem się do samotności pierwszego miotu. Jeszcze trochę chodu po trzaskających gałązkach lasu i zapadało się w linię.

Z mokradła wprost wyrastał las. Smukłe piękne trzony drzew wyrastały razem po kilka z wody wprost. Olchy czerwieniały soczyście spod kory, brzozy cienkie jak w tundrze wydawały się przy nich dziwnie suche, wisząc miotłami guzowatych i długich gałązek. Bardzo w lewo jaśniała łąka wśród lasu z zaplutą przez deszcze kopicą siana.

Jakieś niewiadome koleiny, jakby Wielki Wóz w pochmurne noce jeździł między lasami, znaczyły zarośniętą linię. Dojmujący chłód i wilgoć były jakieś rzeźwe i przyjemne. Masy spadłego śniegu tworzyły wilgotny i miękki materac pod nogami. Ostra trawa bagienna rosła pękami. Chyliły się wysokie miotły długich traw z wywianym już nasieniem. Żółto błyskały nad czarną wodą. W lesie było nadzwyczajnie cicho, tak że furkot jakiegoś

małego ptaszka wśród gałęzi wydawał się jak łopotanie orła. Daleko na łące polatywały sroki.

Cztery sarny szare i płaskie jak wycięte z blachy przeskoczyły przez linię.

Pierwsze mioty zaczynaliśmy od wysuniętego na wschód języka lasów, a raczej: młodniaków. Graniczył on od północy ze zwartą ścianą lasów poddębieckich, od południa – z mało uczęszczanymi wygonami chłopskimi. Była to dziwna kraina: kępy brzóz i sosen, wysoka mietlista trawa, zarośla pozbawione liści. Śnieg przysypał to wszystko teraz niezbyt sutym kobiercem, a mróz powlekł kałuże leśne nietrwałą powłoką. Droga wiła się tam niezdecydowanie zakrętami, w których plątaninie błąkał się nie wtajemniczony przybysz.

Nagonka poszła naprzód. My, idąc gęsiego za gospodarzem, na jego milczące skinienie zostawaliśmy kolejno na stanowiskach. Znałem tę partię lasu – zawsze na tych beznadziejnych pustkowiach szła pierwszy raz nagonka, niczego nadzwyczajnego nie można się było spodziewać, ale ogarniała z miejsca gorączka łowiska. Stawałem starannie na ścianie przesieki od strony nagonki, wybierając wyglądające przedpole. Przede mną kapryśnie rozwidlały się łysiny międzyleśne, niektóre otwierały wąskie perspektywy na kilkadziesiąt kroków w przód. Rzut oka w prawo i lewo pozwalał mi ujrzeć pomniejszone i wyczekujące sylwety moich najbliższych sąsiadów, pustą strzałę linii leśnej i daleko na skraju pochylone łby koni z oczekującymi sańmi. Wsuwam nabój do lufy, przy czym wydaje ona dzwoniący szczęk zimnej stali. Jest dojmujące zimno, mimo rękawic palce mam skostniałe, biorę strzelbę pod pachę. Jest niebywale cicho, aż do dzwonienia w uszach. I przy tym zupełnie martwo. Wszystko zastygło w bezruchu. Nie ma zupełnie wiatru. Siatka zarośli przede mną jest sztywna jak druciana.

Naprzód moja normalna wyobraźnia, która mi zawsze służy na stanowisku w miocie, każe mi spodziewać się szeregu możliwości mniej lub więcej fantastycznych, uprzytamniam sobie sytuacje i reakcje i niespodziewanie wpadam w marzenia. Myśl moja, łagodna i upojona sportem, wyszpula się ze mnie i błądzi. Rozproszone światło, które biel

śniegu zwraca bez reszty światu, nie daje żadnych kontrastów. Sprzyja tej myśli, jest jak sen. Myśl, jak niewidzialna fala głosowa, oddala się sferycznie, łagodnieje jej amplituda, potrąca i sumuje się ze wspomnieniami, powstają nowe kręgi i nowe skojarzenia.

Myślę o tym, jaka jest wieś. Świat ogromnie odległy od tego, co zamykają ludzkie skupiska miast. Nawet inne prawa przestrzeni tu rządzą, nie mówiąc już o czasie. Odległości są tu mierzone nie tyle przyjętymi konwencjonalnymi jednostkami, ile tym, co się dzieje i darzy dla nich w tej przestrzeni. Więc „na Brzeźniaki" jest o tyle daleko, o ile idzie się tam rozbawionym towarzystwem po obiedzie lub o zachodzie słońca na spacer, a inaczej jest z tym, jeżeli jest tam od tygodnia zbiórka markowych kartofli, kiedy liczy się ilość obróconych „gar", a inaczej, kiedy włóczą tam brony, a inaczej, kiedy o sinym mroku idę miedzami podpatrywać sarny o najlękliwszych w świecie sercach i giętkich szyjach. Inna jest wieś w pracy, inna – w pryncypialnych pogaduszkach miejscowych rezonerów, inna – w trywialnie naiwnej pornografii życia seksualnego. Humor i filozofia ludzi ze wsi są im bardzo właściwe i osobne.

Nawet kiedy własne życie miało mię pochłaniać kompletnie, musiałem przeżywać obok siebie życie tych ludzi na wsi. Wydawało się, że przez swój egzotyzm będzie ono bardzo atrakcyjne. Tymczasem kiedy usiłuję przywołać wspomnienia, zjawiają się one i regenerują bardzo chaotycznie. Z mgły wspomnienia występują te lub inne twarze i przepadają potem w nicości. Prawie że nicością wydawało się ich życie dla mnie, a czy nie dla nich samych?

Więc czy są czymś jeżeli nie indywidualnie, to może w masie? Ale w masie rzadko albo prawie nigdy ich nie widziałem. No a, powiedzmy, jarmarki albo święta?

Poniedziałkowy jarmark spełniał jakieś raczej towarzyskie funkcje, bo w owoczesnych warunkach ekonomicznych wsi trudno sobie wyobrazić, żeby wiezienie nie dochowanej świni dwadzieścia kilometrów przy fatalnych drogach było pochodną racjonalnej kalkulacji. Na targ ten ciągnęły szosą wozy. Był chaotycznym zbiorowiskiem ludzi ściśniętych na placach i targowiskach żywca lub na rynku. Wałęsanie się od jednego

tandetnego żydowskiego sklepiku do drugiego. Wśród tego krążyli spryciarze i zgonnicy nierogacizny, niesłychanie szczwane typy, naginające się jednak do hieratycznego sposobu i zwyczaju tego podludzkiego stanu zbiorowiska.

Inny rodzaj zgromadzeń to z okazji uprawiania praktyki i dyscypliny religijnej. Ale to nie była ta bezcelowość, to było skostnienie w tym, kiedy skupiano się po niedzielnych nabożeństwach na cmentarzysku cerkiewnym.

Czasem wydaje mi się strasznym rodzaj gromadnego obcowania ludzi, niedużej komuny, na niedużym terenie, kawałku ziemi. Właściwie nie ma dla nich wzajemnych tajemnic, żyją jak ćmy w jednej jaskrawo oświetlonej latarni, znają przede wszystkim swoje wzajemne słabości na wylot i używają ich przeciwko sobie. Pewnie mają także swoje tereny marzeń niedostępne dla innych indywiduów, swoje mniej lub więcej wspólne tabu i uwarunkowania bronione milczeniem, niedomówieniem, ostatecznie – prymitywnym cynizmem.

Są bardzo zwierzęcy, wydaje się, jakby, idąc za Czechowem, jedynie ból miał być dla nich jedynym ich przeżyciem i tym jedynie, co ich uszlachetnia. Chociaż i przeciw temu byli dostatecznie zahartowani. Osobiście dla tak zwanego prostego człowieka żywiłem pewien sentyment wzruszeniowy, nie pozbawione to było nawet pewnej dozy łzawistej, ale może górowała w tym zazdrość o surowy prymitywizm, jaki im przypadł w udziale, daje może to większą łatwiznę w przeżywaniu życia, ma ostry zapach surowizny i potu, jest dalekie od jakiejkolwiek histerii i przemądrzania, od których wstydu nie ma ucieczki. Z drugiej strony, ten sam prymityw owadzi już zupełnie, nie ciasnota, ale brak myśli, natykanie się na pryncypialność pustki, roślinność człowieczeństwa w dzikim, chaotycznym świecie, który nie jest jeszcze światem (żyjemy w świecie okresu aluwialnego – taki sam okres geologiczny, jak sylurski), wydaje się ciasnotą i jedyną ostatecznością. Daleki byłem od jakichkolwiek patetycznych buntów, walk wewnętrznych i to było może dla mnie gorzej, bo nawet nie miałem tego, co daje – usiłowałem nazwać to sobie – prostracja i fizjologiczna reakcja po wyczerpaniu…

Budzi mię, jak grom z jasnego nieba, strzał sąsiada. Wysoka ściana lasów poddębieckich odpowiada stentorowym echem. To pewnie pierwsze ruszyły zające i ktoś zapomniał o lakonicznym gospodarza: „Pierwszy strzał nie do zająca…” Ale momentalnie wszystko we mnie się skupia, mam nieprzemożoną pewność, że za chwilę coś będzie się działo. I dzieje się w kolejności takiej, jakbym już kiedyś to przeżywał z całą wyrazistością, czuję uśmiech, jaki mam na twarzy, i działam tak mechanicznie, jakbym sam siebie kiedyś podpatrywał w takiej samej sytuacji. Przez gęstwinę obsypanych śniegiem świerków przedziera się coś pośpiesznie, dzieje się to w ułamkach sekundy, i na chwilę widzę na dwadzieścia kroków szare cielsko dzika w susie nad rowem leśnym, który tworzy jedyną otwartą lukę przede mną.

Ale dzieje się to zbyt szybko i nie reaguję, chociaż przebiega na dwadzieścia pięć kroków ode mnie. Czuję, co teraz nastąpi. Szedł skośnie do linii przesieki i za chwilę wypadnie na drogę! Czekam na ten moment, starając się opanować z kolbą przy policzku. Jest! Sekundę prowadzę go i ściągam język spustowy. Huk wstrząsa powietrzem ostro i sucho. Zwierzę przekopuje się w galopie przez śnieg, zadziwiająca jest zwinność i akuratność jego ruchów. Dzieje się to już na znaczniejszej odległości sześćdziesięciu–siedmdziesięciu kroków i ta odległość piorunująco szybko się zwiększa. Wyrzucam łuskę z repetiera i składam się znowu. Dygocę z emocji i dzikiej radości. Puszczam jeszcze jedną kulę za szarą sylwetką śmigającą między drzewami i kiedy repetuję znowu, nie ma nic.

Za chwilę, w ciszy nastałej po tych paru strzałach – wszystko jakby ze wstrzymanym oddechem – nadchodzi pan Ł. Patrzy pytająco na mnie i od razu wszystko rozumie. Potem objaśnia mię, co działo się u niego. Odyniec wyszedł na skośny promyk na jego stanowisku, wykonał w tył zwrot i wtedy dopiero wypadło mu strzelać. Słyszał moje strzały i nieomylnym słuchem starego bywalca kniei wiedział, że nic ważnego nie przynoszą. Idziemy na ślad. Po kilkunastu krokach pierwsze kropelki krwi rozpylone na śniegu. Świeże i jaskrawoczerwone. Obaj mamy ciche pretensje do tego, kto to spowodował. Ślad kul po śniegu! Paweł odchodzi trochę dalej

i mówi: „Ooo, kula!” Widać rysę smagnięcia po śniegu rozpalonego stożka pocisku. Skrupulatne badania nic nam jednak nie mówią.

Obchodzimy z daleka i ostrożnie ostatni miot. Przechodzi paru ludzi nagonki milcząco i nie ma nic, dosłownie nic. A mnie niebo pali się nad głową i śmieję się w duchu. Dzisiaj rano, wychodząc do sań, wywołałem Pannę z jej pokoju i nagle pochyliwszy się, objąłem ręką jej kolano w myśl przesądu myśliwskiego o kolanie dziewczyńskim przynoszącym szczęście. Panna stała przez chwilę zdumiona, a potem z krzykiem cofnęła się do pokoju. Śmiałem się z tego zdarzenia i gratulowałem sobie pomysłu i przedsiębiorczości, która mię samego zadziwiła, i trochę byłem niespokojny o reakcję Panny.

Teraz było ważne dla mnie, jak przedstawi się dalszy ślad, który nieomylnie poszedł. O, jest! W głębokim śniegu widać galop wytężony i ślad krwi jeszcze żywej i dużo. Ale idzie do bliskiej granicy i tam ginie. Stop! Dalej święta własność cudza. Patrzymy w nie znany krajobraz i bardziej egzotyczny wydaje mi się z uchodzącym weń postrzelonym dzikiem.

Wracamy do domu. Pan Ł. przywdziewa smoking staromodny i śmieszny i jedzie do sąsiadek – kilku sióstr, starych panien – prosić o pozwolenie podjęcia na ich terytorium postrzelonego zwierza. Ja zapomniałem o Pannie, obchodzę strzelby pozawijane w dery i potniejące po mrozie, przed czyszczeniem. Czekam jutra. Teraz jest już ciemno i pokojówki zapalają kolejno lampy w pokojach. W moim podnieceniu nikt mi nie przeszkadza. Panna także. Ma wyrobiony naturalny szacunek dla wyłączności spraw męskich, nie zastanawia się nad nimi i afirmuje w pewnym stopniu bezmyślnie. Znowu ja mam pewną satysfakcję, że te sprawy męskie oddzielają mnie od niej i stwarzają mi inny, uniezależniony teren. Poza tym jestem w poczuciu swej męskości, chociaż dzieje się to tylko przez ułatwioną sytuację człowieka korzystającego z dobrodziejstw cywilizacji: ogrzanego ciepłym mieszkaniem, regularnym posiłkiem zapewniającym mi w ten dzień mrozu odpowiednią ilość kalorii, cywilizacji dającej mi w rękę precyzyjną gwintowaną broń szybkopowtarzalną,

wysyłającą ekspansywne pociski, które rwą arterie i druzgocą tkankę kostną zwierza.

Następnego dnia pan Ł. jest niespodziewanie zajęty i ja sam, w towarzystwie Pawła, jadę do poddębieckich lasów. Panna już jest zniecierpliwiona i zaniepokojona o swój stan posiadania. Nie daje mi tego słowami poznać, ale czuję jej dezaprobatę. Dzisiaj nie dotknąłbym już jej kolana, chociaż ten gest wczoraj po powrocie zjednał mi jej śmiejący się błysk oczu.

Ale się wyrywam i od razu wpadamy w samo słońce, takie, jakie może tylko być wspaniałe słońce krótkiego zimowego dnia, kiedy jest prawie dwadzieścia stopni mrozu. Jedziemy niskimi sańmi naprzód przez wieś: wśród rozrzuconych chałup, rozrzuconych i pochowanych w zaspach domów z wysoko sterczącymi miotłami drzew i zabawnymi figurkami dzieci w zimowym okutaniu. Potem jest pole poranione miedzami i skibami i czerniejące czarnymi łatami wywianego śniegu. Porzucamy wreszcie drogę i zjeżdżamy ku ścianie lasów poddębieckich, gdzie ma być gajówka.

Dom gajowego stał kiedyś na skraju samego lasu, ale teraz między nim a lasem jest obszerna pustać poręby. Dom stoi teraz na wydmuchowisku i wśród przewianych śniegiem ogrodzeń. Kiedy tam wchodzimy, uderza w twarz gorąco wnętrza izby i zaduch biedy, dzieci i jakiegoś żywego dobytku trzymanego w izbie. Gajowy poddębiecki jest młody i przystojny. Wciągał właśnie buty, był uprzedzony o naszym przybyciu i jego celach. Jego żona, także młoda kobieta, trzyma na ręku kapryszące niemowlę, idzie od niej zapach mleka, dwoje innych dzieci, prawie nagich, siedzących na łóżku, przerywa swe zabawy tam i otwiera na nas oczy okrągłe ze zdumienia i ciekawości. Są małe, tak że niewiele jeszcze wrażeń miały w życiu i nasze zjawienie się na tej pustaci jest dla nich piorunującym fenomenem. Ich ciekawość krępuje mię, zawsze krępuje mię, kiedy wobec dzieci mam reprezentować dorosłe społeczeństwo. Izba jest bielona, widać, kilkakrotnie w miejscach, które jej biel najbardziej narażały na szwank. Wisi kilka jaskrawych obrazów religijnych – ordynarne jarmarczne litografie – za jednym zatknięta jest palma wielkanocna w papierowym przybraniu popstrzonym przez letnie muchy. Jeszcze jakieś fotografie,

jakieś grupy rodzinne czy wspomnienia ze służby wojskowej. Na stole znajdują się źle utrzymana dubeltówka strażnika i resztki śniadania, które do bukietu woni tego mieszkania domieszały swój mdlący zapach.

Gajowy jest grzeczny i jakby trochę drwiący, jego żona jest trochę zażenowana nieporządkiem domu, ale nie bardzo. Mój Paweł odprawia jakieś przepisane dobrym tonem i obyczajem banalne rozmowy na tematy zawodowe i ostatnich nikłych zdarzeń dziejących się w najbliższym promieniu trzydziestu kilometrów, wreszcie zabieramy się. Dopiero sadowiąc się na sanie, zaczepiamy o właściwy przedmiot i cel naszego tu przybycia, tamci zaczynają operować nazwami i topografią nie znanego mi terenu, siedzę jak na tureckim kazaniu. W każdym razie kopiemy się w nieomylnym kierunku. Konie idą dobrze, sanie zapadnięte w śniegu po szczeble przykrycia suną gładko i śnieg rozpylony przez kopyta wznosi się tęczową kurzawą w promieniach słońca.

Potem oni przechodzą na obce mi tematy, a ja zastanawiam się nad życiem tego młodego człowieka, życiem, w które przed chwilą zajrzałem. Musi to być coś o podkładzie bardzo fizycznym. Zagubieni na skrajach lasów, sami ze swoją miłością, robiący dzieci. Nad nimi jedynie czasza nieba zmienia się i ubiera w tła rozmaite dnie i noce. Usiłuję wyobrazić [sobie] siebie i Pannę w takim życiu: oderwanym, wypranym zupełnie z jakichkolwiek innych pożądań, pretensyj, marzeń i zawodów. Czy byłoby ono tylko jednym dniem, czy całą wiecznością?

Przywodzi mi to na myśl gdzieś kiedyś czytaną nowelę Maupassanta o córce pułkownika kawalerii, która ucieka z podoficerem. Mieszkają na Korsyce i autor słyszy jej opowieść, kiedy ona jest już staruszką sprościałą i zniszczoną przez warunki i czas, zgłupiałą i zordynarniałą u boku roztyłego męża, który teraz jest tylko resztką człowieka w roślinnym przeobrażeniu roślinnego życia i w czasie, w prymitywie warunków. Ale, zapytana o istotę rzeczy, zbiera resztki zagłuszonej inteligencji, żeby móc powiedzieć, zapatrzona wstecz: „Byłam niezmiernie szczęśliwa…” To jest literatura, ale myślę nad tym, nie brak mi wyobraźni, żeby sobie wyobrazić nas, z Panną, oderwanych, samych, w prostocie, szarzyźnie i takim

sprościeniu, gdzie by szczęście miłości było naprawdę. Siedzę tak i myślę tak długo, aż obruszam się sam na siebie za ten rodzaj egzaltacji.

Droga jest drogą leśną, kręci się i załamuje niespodziewanie, lasy tu są, mimo swych obszarów, w trakcie gorliwej, w miarę dozwolonych granic, eksploatacji i nie ma śladów życia – nie to, co w lasach pana Ł., który gospodaruje łowiecko i z zamiłowaniem. Zwierzyna przychodzi tu w poszukiwaniu warunków albo, jak w tym wypadku, z farbą. Nasza droga naprowadza nas w końcu na granicę i w pewnym miejscu wszyscy trzej równocześnie widzimy ślad przeskakujący drogę. Zeskakujemy ze sań.

Słońce jest kosmate od promieni na niebie głęboko błękitnym. Nie czujemy kąsającego mrozu. Odbywamy naradę. W jej wyniku gajowy poddębiecki ma zajść w najbliższym kwartale drogę, a ja z Pawłem będziemy iść po śladzie. Konie odchodzą, żeby czekać w wiadomym miejscu. Zaczyna się pościg. Idę przodem z repetierem w zmarzniętych rękawiczkach, za mną w przyzwoitej odległości idzie Paweł. Wpadamy w nieprzebyte chaszcze porastające stare poręby. Ślad jest wczorajszy i krwawi. Idę naprzód ze słabą świadomością tego, że idę za rannym dzikiem, co podobno nie jest najpewniejszą asekuracją życia. Nie mam nawet świadomości jakiejś szczególnej odwagi, myślę, że nie należę do ludzi odważnych w szczególnie doraźnym znaczeniu, raczej dzieje się to u mnie wtedy w jakimś transie, za to sytuacje przypuszczeń, przywidywań i nerwów stwarzają u mnie stany wahania, które wywołują rumieniec.

W każdym razie teraz, pchając się przez krzaczowiska i gałęzie, na pół oślepły od sypiącego się zewsząd potrącanego śniegu i pole widzenia w rzadkich chwilach swobodniejszych na pięć kroków zaledwie, nie tyle nęka mię myśl nalezienia na rannego i zagniewanego odyńca, ile nieprzyjemna obecność Pawła z tyłu, za plecami, z napiętą iglicą starego pordzewiałego wojskowego karabinu, który jest jego służbowym wyposażeniem.

Przechodzimy w ten sposób jeden i drugi kwartał; po każdym wyjściu na linię wytrzepuję góry śniegu zza kołnierza. Ślad niknie i pokazuje się. Promienie słońca sączą się przez wzór z gałęzi osypanych śniegiem. Gorączka pościgu przejmuje mię, częściowo udziela się mym towarzyszom.

Wreszcie natykam się w zadętym śniegiem krzaczowisku na miejsce, gdzie leżał przed chwilą. Spędził tu noc i kałuża krwi oraz wygniecione w śniegu wgłębienie znaczą miejsce jego złego spoczynku. Ruszyło go przed chwilą nasze zbliżanie się. Przed chwilą tu był i ważył szanse ucieczki lub ataku. Kiedy byłem przed półminutą o dwadzieścia kroków z rękami ściskającymi broń, wtedy tak nieużyteczną i niezdarną w tej gęstwinie i oślepieniu, gotował się może do nagłego wypadu swego trzystokilowego cielska, swej inteligencji instynktu i decyzji rozstrzygnięcia sytuacji obcej dlań i wstrętnej, jak tylko wstrętna może być śmierć w naturze.

Potem podniósł się na nogi i poszedł na północo-wschód szlakiem najbardziej dziczym i wybranym ze wszystkich innych nieomylnie i nonszalancko. Ślad znaczyło jeszcze parę kropli krwi, a potem już nic. Zostaliśmy sami; bez porozumienia wiedzieliśmy, że na nic wszystko, że tyle widzieliśmy.

Ale dzień był wspaniały i wracałem jak upity. Dzieliłem się tym, co miałem w kieszeni brzęczącego, z mymi perypatetykami, którzy zawsze pozostaną materialistami, i zadowoleni ze siebie pożegnaliśmy się na skraju pól.

Teraz dopiero zobaczyłem, że krótki zimowy dzień kończy się.

[prwdr. „Wiadomości Polskie Polityczne i Literackie” 1943, nr 51–52, pt. *Polowanie świąteczne i Maupassant*]

Odwilż

Nie miałem czasu umyć się nawet i tak jak byłem zakurzony i nie umyty, wszedłem od razu do jadalnego pokoju. Siedzieli oboje i ich córki, i jeszcze jakaś panna, której nawet nie miałem czasu się przyjrzeć, kiedy gremialnie witałem się ze wszystkimi. Nie wiem, czy to już wtedy, czy może sam sobie narzucam we wspomnieniu, jej oczy wydały mi się jak smuga błękitu. Jeszcze przedtem mówił mi któryś z chłopców, że „jest nowa nauczycielka o białych aż do niebieskości oczach”.

Naturalnie, nie zwróciłem na nią żadnej uwagi i przejęty byłem sam tym, co opowiadam. Kłębiło mi się jeszcze od tego, co widziałem w czasie ostatnich tygodni, i uostrzyłem to jeszcze, kolorowo opowiadając. Zwierzyłem się pani Ł. co do swego projektu uczenia się po angielsku i słuchająca dotychczas uważnie i w milczeniu Panna ofiarowała się żywo, że służyć mi będzie swymi podręcznikami.

Po obiedzie gospodarze przeszli gdzieś w głąb domu, dzieci pobiegły do siebie, a ja przystawałem przed pastelowymi obrazkami pani Ł., chodziłem po nierównych podłogach zapastowanych na kolor czerwony, w końcu w towarzystwie jamników wyszedłem na ganek. Po lewej stronie od drzwi wejściowych siedziała Panna i, oparta na trzcinowym stole, trzymała przed sobą blok listowy nad rozrzuconymi kopertami. Wydawało mi się, że czeka na coś czy na kogoś. Kiedy ukazałem się, powiedziała żywo, że pani Ł. czeka na mnie tam i tam. Wtedy po raz pierwszy widziałem lazur jej oczu. Jak przez mgłę przypominam sobie, że miała gładko zaczesane włosy jakiejś pensjonary czy nowicjuszki zakonnej, zebrane z tyłu nad karkiem w węzeł. Brwi schodziły się jej między oczami, co nadawało jej pozór tajemniczości i niesamowitości. Kości policzkowe obciągnięte były okrągłą skórą zaróżowioną i zwężały się ostro w brodę i usta energicznie ostre i zaciśnięte. W tym oczy jasnoniebieskie, sine – nie, coś jak ultramaryna, rozrobiona bielą farba z czarnymi punktami źrenic. Oczy błyszczały, Panna

mówiła trochę emfatycznym głęboko głosem i była jakby uniżona. Nie orientowałem się jeszcze, że było w tym wiele z głębokiej uprzejmości nabytej przy odpowiednim wychowaniu.

Ofiarowałem się panu Ł., że jeżeli mam tu dłużej pobyć, to bardzo chętnie pomogę w gospodarstwie. Polecono mi pomóc przy nadzorowaniu wykopywania markowych kartofli.

Wstawałem rano około siódmej i po zjedzeniu śniadania wychodziłem w pole, gdzie ciągnęły już dziewczęta z motykami na ramionach. Fioletowe kartofliska ciągnęły się pobrużdżonymi pasami ze zwiędłymi badylami. Wyszarpywane z ziemi ziemniaki o młodzieńczej różowości albo chorobliwie żółte leżały, obsychając, na swych rozkopanych szańcach. Dziewczęta w kolorowych przybrudzonych zapaskach w charakterystycznie niewdzięcznych schylonych pozach drobiły szybko motykami, nie ustając przy tym w rozmowie. Od czasu do czasu któraś prostowała się, wyginając się w tył dla ulżenia mięśniom, i rzucała przy tym spojrzenie aż wprost w niebo. Potem schylała się znowu. Kwiatki ubogich perkalików i barchanów mieszały się z opaloną skórą i lnem włosów robotnic.

W towarzystwie czarnej, rudo podpalanej suki dobermanki przyjeżdżała na rowerze Panna. Przywoziła mi papierosy i przyjaźnie-surowo lustrowała, co sobie tu na polu poczynam. Manię palenia miałem już w sobie silnie rozwiniętą i kiedy mi brakowało papierosów, niecierpliwie czekałem na przyjazd Panny. Panna przystawała na dróżce między zagonami.

Kiedy wracałem od kartofli, wstępowałem do rozłożonego na stoku ogrodu z rozsadzonymi pod linię drzewami owocowymi, które na tym wydmuchowisku rosły uparcie i surowo, opatulane właśnie przez ogrodnika w osłony włochate z gałęzi świerkowych, i patrzyłem, jak między tymi rzadkimi jabłonkami fordson wyoruje ciężkie skiby. Przyłączałem się do tej pracy. Zapijaczony palacz z gorzelni, który w tym wypadku spełniał rolę mechanika, dosyć chętnie ustępował mi swego miejsca i windowałem się wysoko na metalowe ażurowe siedzenie. Mrok już przesiał wszystko dokoła. Nagie rózgi drzew wyrzynały się ostro na indygowym niebie wieczoru, reszta tonęła już w ciemnościach. Rozpalone do ciemnowiśniowej czerwoności rury wydechowe fordsona żarzyły się

w ciemności. Trudno było zapalić strzelający motor, potem wycisnąć prymitywne sprzęgło i szczęśliwie włączyć bieg, kiedy wszystko z głęboko zaoranymi żelazami pługa sprzysięgało się, żeby pracę utrudnić. Na końcu zagonów lśniły pogięte bańki z wodą do chłodnicy.

Fordson, szarpiąc i zgrzytając, rzucał się w przód, przychylony na bok, trzymał się jednak wyoranej pługiem koleiny.

Wieczorem o szóstej, na godzinę przed kolacją, chodziłem do Panny na lekcje angielskiego. Używała do nauki jakiegoś podręcznika, bodajże francuskiego. Znała sama ten język poprawnie i podręcznikowo. Siedzieliśmy przy kwadratowym, czarnym stole – ona w amerykańskim drewnianym krześle na przegubie pozwalającym nachylać je do każdej pozycji. Mała naftowa lampa z mlecznym kloszem rzucała blask tylko na powierzchnię stołu. Panna miewała na sobie jakąś bluzkę trykotową brązowego koloru i pochylała swoje ciężkie włosy nad książką. Podnosiła na mnie swoje niebieskie oczy z czarnymi punktami źrenic, które teraz w nikłym świetle były rozszerzone. Patrzyła i słuchała badawczo. Przechodziliśmy początkowe: „*I have! You have! She has!*”. Mówiła mi, że gdzieś tam u siebie na wsi miała Angielkę, z którą rozmawiała po angielsku; ja patrzyłem na jej profil. Bardzo serio uczyliśmy się po pół godziny, potem rozwlekaliśmy to w rozmowę. Czułem przyjemność przebywania koło młodej dziewczyny wyraźnie podnieconej seksualnie. Miała dużo w sobie pensjonarskości bardzo świeżo wyniesionej z Sacré-Cœur, pensjonarskości mnie osobiście trochę irytującej, trochę ujmującej przez to, że wnosiła w mój krąg kobiecość prawie regulaminową.

Panna przenosiła się z podręcznikiem na kanapę. Naturalnie, nie pozostawało mi nic innego, jak przenieść się tam za nią. Przybierała wdzięcznie omdlewające pozy i ja, żeby móc korzystać z podręcznika, musiałem odpowiednio naginać się do sytuacji. Irytowało mię to po trosze, byłem w całym poczuciu swoich schodzonych i zaopatrzonych w łaty, „przyszczypki”, półbucików i swojej nie olśniewającej młodomęskości. Pochlebiało mi po trosze to powodzenie, zepsute nieco refleksją: „Na bezrybiu…”, ale nie reagowałem znów tak szybko. Przerywaliśmy naukę na dobre i Panna proponowała mi zabawę pewnie dziecinnie uprawianą

w pensjonacie, co przypominam sobie z jakiejś książki o dzieciach; nazywało się [to] „wytrzeszczem”. Należało wypróbować siłę swego wzroku. Pochylony ku Pannie, patrzyłem jej w oczy. Nie można naturalnie robić tego bez przymykania raptownego powiek. Oczy schną i nie można równocześnie patrzeć w oczy oba. Widziałem przed sobą kolejno albo jedno, albo drugie oko Panny. Wydawało się, że patrzy się w jakąś studnię, w coś niematerialnego. Oko z bliska traci swoją wypukłość, tęczówka niebieskopopielata zbiega się promieniście do czarnego środka. Na lśniącej spojówce odbija się błyskotliwie krata jasnego okna. Śmieszyła mię ta sytuacja. I trudno opanować się, żeby wytrwale patrzeć. Pomagałem sobie trzeźwym określaniem sytuacji. Mówiłem sobie w duchu ordynarnie i obrażająco: „Ach, ty kurwo jedna!” i śmiałem się do siebie. Brew nad okiem Panny, zachodząca daleko i schodząca się z drugą, z bliska widziana wydawała się rzadka – można było rozróżnić poszczególne włosy twarde i sprężyste.

Upłynęło może pół minuty, może pięć minut. Panna nie mogła wytrzymać mego wzroku i uchyliła głowę. Była zawstydzona, trochę jakby zgwałcona i zabieraliśmy się do roboty. Znowu: „*to be*, *to know*”, aż zadzwoniono na kolację.

Okrągły stół błyszczał od platerowanych widelców. Pan Ł. systematycznymi swobodnymi ruchami kładł przy nakryciu okulary, rozścielał na kolanach serwetę i patrzył ni to pytająco, ni żartobliwie na swoje brzydkie córki, które dobrodusznie przekomarzały się między sobą. Panna siedziała bardzo poprawnie naprzeciw mnie, patrzyła w talerz i grzecznie rozmawiała ze stołownikami. Podnosiła czasem oczy na mnie i widziałem wtedy krótki znajomy błysk.

Na święta Bożego Narodzenia Panna wyjechała do krewnych do miasta. Przed jej wyjazdem siedziałem na schodach domu i patrzyłem na plamy parku. Panna znalazła mię tam rozproszkowanego i rozczulonego własną samotnością. Rozmawialiśmy o jej wyjeździe i pół żartem, pół serio mówiłem jej, że mnie zapomni. Pochyliła się ku mnie, patrzyła mi w oczy, czułem dotykalnie ich błękit, i dobitnie, jak przysięgę, powtarzała, że nie, że będzie taka sama, że się nie zmieni, chociaż nie określiliśmy tego, od

czego ma się nie zmienić. Potem przy lekcji napisała mi kilkakrotnie: „Nie zmienię się! Nie zmienię się!”, jakby to miał być jakiś cyrograf czy deklaracja. Wydawało się nam, że już coś między nami zaszło i może te nieokreślone dreszcze, myśli, udręki, jakich doznawaliśmy, były już czymś, co pretendowało do realności, co mogło już być przedmiotem przysiąg.

Trochę mi ulżyła jej nieobecność. Było już bardzo zimno i śnieg swoim zwyczajem spadł przed samą Wilią. Niewiele, tyle tylko, żeby pojaśnić krótkie jak mgnienie powieki dnie grudniowe. Zdarzenia przedświąteczne, same dni świąt i po nich toczyły się utartymi zwyczajem koleinami. Popijaliśmy w stołowym pokoju ostrą wódkę, zagryzaliśmy świątecznymi specjałami, urządzaliśmy amatorskie przedstawienia, za oknem widać było park pocukrowany wzwyż wzmiankowanym, jeszcze przedwigilijnym śniegiem. Od strony kuchni wisiał dzik ubity na wigilijnym polowaniu i kruszał na parostopniowym mrozie, a łakome sroki polatywały na tle bezlistnych gałęzi drzew. Jamniki, wypłoszone ze swej permanentnej sjesty nienormalną ilością gości, przetaczały się niezadowolone po pokojach.

Panna nie była tak popularną w domu, żeby wyraźnie odczuwano jej brak.

Na Nowy Rok przyniósł mi fornal rano od rządcy jakiś list, a właściwie: wieczorem dnia poprzedniego, ale schowałem go machinalnie do kieszeni i dopiero rano właśnie go otworzyłem. To był list od Panny. Pierwszy list od niej. Byłem tak poruszony nim, że do teraz nie wiem, a wtedy nie dowiadywałem się, jakim cudem list nie przyszedł normalną drogą: w zrudziałej torbie pocztowej przywożonej przez mleczarza w południe, tylko najfantastyczniejszą – przez folwark. Myślę, że Nemezis dla dodania uroku sprawom wielkiego kalibru, które wwalają się w najbardziej szare życia, zrządza takie dziwne i nieartykułowane sztafaże. Widocznie, żeby było bardziej wstrząsająco.

Było w tym liście o jakiejś babci, „babuni”, której nie byłem ciekaw, która to babunia urządziła dla niej jakiś strasznie wielkopański raucik, jakieś coś, co było w jej życiu zdarzeniem i co ja w swym samolubnym odosobnieniu uważałem za zbytkowne, dziwaczne i nieinteresujące. Przeraziła mię trochę jakaś jej interwencja w moich zawodowych sprawach

u wysoko postawionych, ale najnaiwniej w świecie wybranych postaci, ale przebolałem, rozczulony, ten incydent. Było tam także dla mnie zdjęcie ulicznego „lejkarza” na temat jej osoby, jak to zdjęcia lejkowskie: trochę z góry, z szarego papieru, bez światła, z wyraźnie zarysowanymi płytami chodnika i kilku głupimi twarzami przechodniów na dalszym planie uciekającym wściekle w skrócie perspektywicznym ku tyłowi. Panna wyglądała na nim nieświetnie, ale były powab jej postaci i zadzierżysta fantazja włącznie z nie dobranym do twarzy kapelusikiem. To zdjęcie, jak mię objaśniał list, miało być podarkiem dla jakiejś znów ciotki, która gdzieś tam mieszkała i wywierała na życie Panny wpływ dominujący, i wisiała nad nim ciężarem przygniatającym. Coś tam z tej poprzedniej dedykacji zostało obcięte i ja stałem się posiadaczem tego souveniru.

W liście tym było jeszcze, że przyjeżdża wtedy i wtedy. Mam predylekcję do dat i terminów, urzekają mnie okresy kalendarzowe. Urzeczony chodziłem na swoje samotne spacery po polach, kiedy rudopłowa ścierń chrupie na równi ze śniegiem pod nogami, wybierałem sobie ubogie horyzonty między odrapaną masą budynków gorzelni z rudym od rdzy kominem blaszanym uwieńczonym u góry koroną pary i dymu, błotnistym dojazdem do folwarku a dekoracyjnym płaskim profilem przysiółka z wysoko strzelającymi koronami drzew, których wici czerwone były na mrozie. Nie patrząc, chodziłem w poprzek wyoranych zagonów z rękami zapchanymi głęboko w kieszenie płaszcza, nie widzącymi oczyma zaczepiałem o chwiejące się badyle zeschłych traw pod zimnym tchnieniem wiatru i powtarzałem uparcie jej imię.

Nie przypominam sobie, jak wyjeżdżała i jak przyjechała. Pewnie zatarło się to w normalnych rekwizytach przyjazdów i wyjazdów, jak to na wsi, ginie zawsze w człapaniu koni przed zajazdem, w ciasnocie przedpokojów, kiedy ludzie rozwierają szeroko ręce do wdziewania ciężkich bund i futer, w usłużnym bieganiu pokojówek i przejmującym dreszczem grzecznie wychodzących na ganek zimny do pożegnania. Nie pamiętam więc, jak przyjechała zaróżowiona od kilkukilometrowej jazdy wieczorem przez las, z wielkomiejskim uśmiechem na twarzy.

W długie noce zimowe, kiedy nadlatywał czarny wicher od opustoszałych horyzontów, giął nagie konary drzew wznoszących się wokół domu i huczał w pustych przestrzeniach jak akordy w pudle fortepianu, budziłem się u boku Panny w jej panieńskim łóżku, ze zgrzytającymi zębami i paznokciami wbitymi boleśnie w dłonie. Czułem obok siebie jej ciało, słyszałem równy oddech snu i muskał mię jej włos rozsypany na poduszce. Wiatr tłukł szyby okien jak werbel alarmu. Zbierałem myśli rozgonione przez zmorę snu. Uprzytamniałem sobie straszliwie bliskość śmierci, jej pewność i nieuniknioność, jej bliskość straszną w czasie, bliskość straszną aż do obłędu i tak bezpośrednią, że nie przeganiało jej drgające i kojące uczucie miłości.

Panna budziła się, jakby niemy krzyk wydzierający się ze mnie potrafił przeniknąć do niej, tak bliskiej i tak dalekiej równocześnie. Pamiętam, że rozdygotanym od wzruszenia głosem mówiłem: „…śniła mi się śmierć – jej straszna bliskość!” Czułem jej zdumienie, była zaalarmowana jak przed groźbą utraty rzeczywistej, czułem jej nieporadność, która rosła z niepokojem, kiedy przychodziła do siebie. Obejmowała mię, nakrywała swymi dłońmi, zdawało mi się, że widzę, jak niespokojnymi oczyma ogląda się w ciemności, skąd nadchodzi groźba. Potem już nie spała. Ja zasypiałem sam nie wiem kiedy, pewnie zdrowo i już beztrosko, a ona zostawała sama w tych ciemnościach, sama na pastwę huczącego wichru, niezrozumiałych dla niej niepokojów i zdana na to, żeby bronić mnie i siebie w otchłani, w którą ją pociągałem.

Rano spotykaliśmy się jak gdyby nigdy nic. Panna była precyzyjnie punktualna, jamniki zrezygnowane towarzyszyły jej lekcjom, pan Ł. wielkimi krokami powracał z porannego obchodu gospodarstwa, czarne chmury odwilży przetaczały się ponad domem. Dom świecił białymi plamami ścian na tle pni drzew, wśród czarnych kulis zarośli. Odwilż nadała bieli śniegu cechy miękkości jedwabiu. Obtajał przy odziomkach pni we wklęsłe misy. Gdzieniegdzie rudziały na nim spadłe pod ciężarem lodu gałęzie. Okna odbijały topiel niebieską. Chodziłem po dziewiczych alejkach parku serpentynami między gąszcze, nad którymi w górze kołysały się ciężkie czuby świerków i nagie piramidy modrzewi. Otwierały się

w wyciętych przesiekach parku nieprzyjazne perspektywy zimowe. Czepiały się dachów zabudowań folwarcznych kłębki pary porywane z komina gorzelni. Obchodziłem zaniedbany kort tenisowy, który był w tej chwili jedną wielką regularną kałużą wody. Na schodach domu, pod kolumnami ukazała się postać Panny. Odrywała się od swych zajęć i natarczywie szukała mnie, tocząc niebieskim i spokojnym wzrokiem po drodze. Nie było w jej oczach nic porozumiewawczego – ani kokieterii, ani pożądania. Jamniki karykaturalne w swym przerasowieniu otaczały ją demonicznym rozedrganym kołem. Krople odwilży dzwoniły szklanym różańcem o dachy i rynny domu. Oczodoły okien domu patrzyły w mą stronę uważnie i krytycznie. Podchodziłem do ganku. Staliśmy tak blisko, że oboje mogliśmy trzymać się esów-floresów krat okiennych. Z bliska oczy Panny straciły swój demoniczny blask. Były ciepłe i znane, i dobre.

Poprzez słowa banalne i dystans białego dnia patrzyliśmy sobie w twarze otwarcie, solidarnie, tak jak tylko mogą patrzeć ludzie, którzy przetrwali trwogę nocy, kiedy jest odwilż i czarny wicher huczy za oknami domu.
Raz było to tak: Pani Ł., która przyjaźnie i z ciekawością była przytomna naszym namiętnościom, które się budziły, pewnego dnia po prostu przerażona tym, co się dzieje, usiłowała naprawić rozpętujący się porządek rzeczy. Pierwsze sankcje zostały zastosowane – to było przerwanie słynnych lekcji angielskiego. Żeby jednak nie stwarzać nienaturalnych sytuacji, nazwała to ujęciem [sprawy] we własne ręce. Panna z godnością i opanowaniem przeszła nad tym do porządku dziennego, tak że i mnie się to udzieliło i jakoś lekko przebolałem to, że nasze długie chwile lekcyjne sam na sam się urwały.

Kiedyś po niezmordowanej godzinie z panią Ł. poszedłem z jakąś sprawą do pokoju Panny i mimo że pukałem, nie słyszała mnie. Zastałem ją leżącą na łóżku z głową w poduszce i pożeraną przez zazdrość. Nigdy potem, nawet w godzinach największych zbliżeń i najgłębszych zwierzeń, nie przyznała mi się do tej chwili, w której z pociemniałymi granatowymi oczyma milcząco podniosła się z łóżka.

[*Courtesy of Department of Special Collections, Stanford University Libraries*]

Kulig

Wszystkie chwile, które spędziłem z Panną, pamiętam tak dokładnie, jakby to było wczoraj. Daty utkwiły mi głęboko w pamięci. Przypomnę sobie zawsze dnie, jakie przytomne były naszej miłości, słońca, które nad nią świeciły, i niepogody, które osnuwały ją w swych cieniach. Nie zapomnę nigdy jej strojów i sukien, jej upodobań, jej drobiazgów. Obsypywała mię rozmaitymi prezentami, zawsze o niebywałej wartości utylitarnej. Nigdy nie chciała niczego wziąć ode mnie. Raz wmusiłem w nią malutki tomik poezyj Elżbiety Barrett Browning i myślę, że jedynie dlatego go przyjęła, bo wypisałem na nim na pamiątkę naszych lekcyj angielskiego dedykację po angielsku: „*To you – Darling*”.

Ja natomiast kolekcjonowałem bezwstydnie rozmaite upominki. Całe ich continuum towarzyszyło mi potem wiele miesięcy, roztrzęsły się po świecie, do teraz została mi tylko mała portmonetka – sugestywny podarunek, praktyczny souvenir ze skóry w kształcie podkowy. Wewnątrz był mały szkaplerz, na którym wyobrażenie świętej Teresy, patronki Sacré-Cœur. Nie noszę inaczej drobnych pieniędzy, jak „luzem” w kieszeni, i upominek ten niszczeje po prostu przez działanie czasu. Może mię przetrwa przez swą bezwartość wewnętrzną i na jakimś polu wiatr wywieje kawałek stwardniałej skóry kształtu podkowy – kształtu szczęścia.

Panna nosiła ku zgorszeniu i krytyce rzeczowej pani Ł. same jedwabie. Do swej celtyckiej urody ciemnych włosów i niebieskolazurowych oczu stosowała całą gamę niebieskich i lapis-lazuli kolorów. Na wspaniałej szyi osadzonej na przepięknych ramionach nosiła sznur niebieskich pereł. Raz kupiliśmy w jakimś kramiku przypadkowo czerwone szklane paciorki i Panna przyłożyła je cudownym wzniesieniem obu rąk do twarzy, i byłem olśniony, jak jej było w tym przypadkowym przybraniu. Jej usta, które wydawały mi się ostre i zacięte, wykwitły jak czerwone jagody głogu.

Malowałem jej portret w ciężkim lisim futrze pokrytym ciemnym materiałem. Wkładała do tego koloru kapelusz, który moda nakazywała zesuwać na jedno oko. Z tego powodu, urągając klasycznym zasadom sztuki portretowej, obraz jej był jednooki, a moje deformacyjne upodobania nie pozwoliły mi na to, żeby nie uwydatnić jeszcze jej szerokich kości policzkowych, które urodzie Panny nadawały cechy jakieś eurazjatyckie. Poza tym siadałem przed nią, kiedy miała lekcje lub kiedy uczyła się ślepej metody pisania na maszynie, i obserwowałem ją długie kwadranse, kontemplowałem jej osobowość do stanu hipnozy, usiłując wyobrazić w niej sobie wszystko i dokompletować wszechświat do jej zjawiska. Tolerowała to ze zmarszczeniem brwi i w zmieszaniu, które w podobnych okolicznościach ją ogarniało nawet w czasach naszych najbardziej zażyłych stosunków.

W moim pokoju okna wychodziły na park. Znudzony wystawaniem przed sztalugami szedłem do okna. Spod śniegu wystawały przycięte łodygi świetnych kiedyś w lecie rabatów, lipy roztaczały swe nagie konary, a przed oknem wyrastało pękiem kilku wiotkich pni drzewo, którego polerowane liście pamiętałem z lata, liście ciemnozielonego koloru, teraz obleciałe. To drzewo, obcy świadek mych udręk, obce w tym polskim ogrodzie jak przybysz z chłodną ciekawością obcujący wśród pospolitych w swej powszechności drzew tego ogrodu, to drzewo przyciągało mój wzrok. Wydawało się nieokreślone jak moja własna myśl. Myślałem o Pannie. Była tuż obok, za ścianą. Myśleć o niej to przywoływać sobie przed oczy rysy jej twarzy, coś bez cienia, pasma włosów przez uszy spadające na kark, ręce o niewymownym wdzięku. To, co myślałem wówczas, nie da się ująć w okresy, składnia więzi mię, nawet surrealistyczna recepta Bretona wydaje mi się czymś uporządkowanym.

Jeżeli uprzytamniam sobie ciążące boleśnie miesiące naszej miłości w Z., to odbywała się, mimo pozorów, w warunkach najbardziej groźnych i wstrząsających. Mimo pozorów, bo wydawałoby się, że atmosfera ziemiańskiego domu z jego dobrobytem, tolerancją przytomnych ludzi, łagodnością zwierząt – w nieodpowiedzialnej atmosferze nie skonkretyzowanych planów, w czadzie, który wydziela rozpalona miłość

jak świeżo przelana krew, mimo pozorów obracaliśmy się, jak w oku cyklonu, w drgającym wzruszeniu spraw miłości i przeczuć.

Jechaliśmy najsmutniejszym w świecie kuligiem. Był to jeden z fantazyjnych pomysłów pani Ł. Zajechało kilka sań wymoszczonych słomą przyrzuconą derami i kilimami. Kilku konnych fornali zapalało naftowe pochodnie rzucające krwawe blaski na śnieg. Dalej oślepione oczy potykały się o atramentową ścianę ciemności. Sanie sunęły gładko jak po jedwabiu. Jedynie na wyślizganych przez płozy partiach drogi szły czasem w zawrotne zatoki przy akompaniamencie krzyków rozbawionych dziewcząt.

Ulokowaliśmy się z Panną razem i dla pewności przy chwiejnej równowadze sań leżeliśmy jak dłudzy przykryci z powodu trzaskającego mrozu po brody baranicą. Powożący fornal, jeden z tych najbardziej bezimiennych ludzi „stamtąd”, przykląkł tylko sanie po lejcowej stronie i, ściśnięty rzemieniem po wyszarzanej kurcie, trzymał przez rękawice z baraniej skóry włosem do wewnątrz wodze i sękate biczysko. Konie fornalskie, wypasione na gorzelnianej braże, dymiły w niespokojnych blaskach pochodni i rwały z kopyta. Dudniał las pod kołdrą śniegu i sypała się okiść z drzew.

Byliśmy w stanie jednej z kłótni i oboje milczeliśmy uparcie po poprzedniej wymianie zdań. Panna miała na sobie swoje ciężkie lisie futro. Ciemno było i nie widziałem jej zupełnie, ale czułem na ten krótki dystans jej niespokojny dąs. Ja byłem wściekły i cierpiałem aż do bólu, aż do stanu przyjemności.

Miałem swoje tereny, na które sromotnie uciekałem w owe wszystkie momenty, kiedy czułem, że nienaturalność naszego związku, wszystkie jej towarzyszące oznaki beznadziejności i absurdalności stoczą mię w nieuniknioną czeluść. Cofałem się, gdzie mój oderwany projekt-ideał, który pozwalał mi najbezwstydniej chronić się w strefy innego klimatu i pozwalał mi na ratowanie siebie, podczas gdy Pannę pozostawiałem na pastwę demona rozdźwięku. Ona nie miała pomocy w wyrafinowanych konstrukcjach myślowych, a myślę także, że w całej prawości i odwadze swego charakteru może nie korzystałaby z tej łatwizny. Co więcej, potrafiła

cierpieć z prawdziwą godnością i nawet nie chciała, ażebym ja był tego świadkiem. To było jej zachowanie się godne prawdziwego mężczyzny. Nic z demonstracji nie było w tym albo jakiejkolwiek gry psychologicznej. Było to w niej tak surowe, [że] aż przerażające.

A to było tak: Byliśmy u stelmacha folwarcznego z Panną i jedną z dziewczynek. Potem poróżniłem się na jakiś temat z Panną i trwało to tyle, że dziewczynka pobiegła tymczasem w stronę domu, a my jeszcze staliśmy na wydmuchowisku podwórza między śpichrzami i wozowniami, z rozżaleniem i gniewem patrząc na siebie.

Wzburzony mówiłem ostre słowa. Żegnałem się niezdarnie i nagle na zawsze. Panna była trochę rozbawiona sytuacją, trochę jakby usatysfakcjonowana tym, że ma oczywisty dowód mej rozpaczy i wzburzenia, ale zaczynało ją to przerażać aż do rozszerzenia źrenic. Wtedy tłumaczyła mi coś przez chwilę, usiłowała perswadować, a potem prosząco-energicznie wzięła mię za rękę i poprowadziła przez bramę obok kuźni, jak sterty i brogi, po pochyłości, za którą był rów; dalej już stok wzniesienia falistego z ostro zarysowanym równym monotonnym profilem na tle nieba.

Nie przychodzi mi łatwo porozumieć się z innymi ludźmi. Nie dlatego, żebym był szczególnym rodzajem mizantropa, ale obcość, zwłaszcza nowo spotkanych, ogromnie mnie zraża, chociaż nie zawsze. Z obcowania z ludźmi wynoszę przede wszystkim wrażenie zatracania własnej osobowości. Pewnie, że każdy z nas w zetknięciu się z drugim osobnikiem staje nagle wobec całego rodzaju zależności – przez sam kontrast. Człowiek nie nosi ze sobą jakiejś skali własnej jak wzorcowy metr z Biura Miar i Wag w Sèvres, ale zależnie od okoliczności dokonuje pomiarów w zasadzie mylnych. Obserwować to można szczególnie u dzieci, jak zaczynają się krygować i grać rolę, kiedy na nie zwrócić uwagę. Kobiety mają to w wybitnym stopniu, zwłaszcza dzieje się to u nich na podkładzie seksualnym.

Panna miała tego dużo i wysoce rozwinięte. Przede wszystkim pewnie przez rodzaj wychowania. W towarzystwie była niezmiernie dobrze wychowana i do pasji mię doprowadzał jej uśmiech, który przyklejał się do

jej twarzy na czas, kiedy siedziała wśród gości, z których zdarzali się tacy, że niewarci byli jednego skurczu mięśni jej twarzy. Dokuczałem jej z tego powodu, przedrzeźniałem potem jej głos i maniery, ale w gruncie rzeczy cieszyło mię to, że swój prawdziwy uśmiech, którego nikt nie znał, miała tylko dla mnie; sama może o tym nie wiedziała. Cudowne rozchylenie ust, tak inne od wyuczonego czy zmanierowanego zesznurowania warg, co widocznie miało być bardzo dystyngowane i high life'owskie.

Stały tam na ażurowych rusztowaniach dachy brogów częściowo wypełnionych płowochrzęstym słomowiskiem. Żeby wejść tam, trzeba było okraczyć szerokie bale podwalin. Usiąść nie było gdzie, tylko oprzeć się można o słupy. Tu staliśmy w obliczu pustki smutnego horyzontu widzianego przez kraty belkowań i Panna uparcie, zawzięcie tłumaczyła mi i prosiła, a ja ścinałem się w swym uporze. Gorzko mi było w ustach i czułem zły błysk własnych oczu, i sam do siebie czułem w tej chwili nienawiść, i bladłem z nieokreślonej wściekłości, czując, że sam chcę ją właśnie stracić. Pamiętam tylko, że wtedy zrozpaczona Panna kilka razy wypowiedziała: „przepraszam…" i że „nigdy…"

Nie porozumieliśmy się, a ja raczej w swej głupocie nie chciałem do tego dopuścić. Wracaliśmy smutni do domu. Szliśmy powoli grzędami, na których w czasach trwania lata rosły krzaki truskawkowe, a teraz wszystko przysypane było śniegiem. Regularne rzędy badyli malinowych znaczyły swe alejki. Ku nam spadał omszały i dziurawy gontowy dach wozowni, przed nim bieliły się wapnem malowane słupy i klatka stacji meteo z przychylonym masztem, na którego szczycie czerwieniły się rdzą ostry krzyż róży wiatrów i skala Wilda.

U drzwi domu rozstaliśmy się. Starałem się nie widzieć uparcie zawieszonego spojrzenia Panny, tylko odniosłem wrażenie jakby niebieskiej smugi z błyskiem rozpaczliwego gniewu.

No i na to pani Ł. zaprojektowała i w czyn wprowadziła ten kulig doraźnie, jak to było w jej stylu. Myślałem, że to sprawi mi ulgę, że zostanę sam, i dla ukazania swej niezależności poszedłem sobie osiodłać konia. Nakładałem cierpliwemu wałachowi spłowiały czaprak, dopasowywałem strzemiona, które zawsze ktoś poskracał, przekładałem wodze przez kark

koński i martwiłem się serdecznie stworzoną sytuacją. Wgramoliłem się na siodło i podjechałem do zajazdu, gdzie spore towarzystwo ładowało się do sań.

Panna była zaskoczona i zainteresowana moim ukazaniem się, ale sucho zapewniałem, że towarzyszę im tylko kawałek, co leżeć ma w programie mojej wycieczki. Kilkoro sań i jeźdźców ruszyło i eskortowałem je ponuro na końcu, bez okrycia i czapki.

To było jeszcze po południu. Jechaliśmy przez wieś. Po obu stronach wyboistej drogi, drogi nieregularnej w swej szerokości, sterczały rzadkie palisady płotów obejść chłopskich. Strzechy strzeszyły się nieregularnymi liniami okapów. Cienkie i nagie drzewka wiśniowe ogródków rysowały się na tle zimowo nie pobielonych ścian, często opatulonych w grochowinowe zahaty. Czasem obejście od drogi odgradzał rów bezcelowy i krótki, nieregularnie wybrany łopatą. Podwórza stereotypowo zagracone były wiórami, drzewem opałowym, prymitywnymi narzędziami rolniczymi i śmieciem. Małe okienka chat zasnute były bielmem brudu i pary osiadłej z wewnątrz i miały martwe spojrzenia apatycznej biedy i beznadziei. Czasem na nasz huczny przejazd wyjrzała głowa kołtuniasta i obojętna jak głowa Indianina Pueblo, złociły się nieliczne i ocalałe liście drzew na ich drucianych gałęziach. Potem mijało się z lewej strony cerkiew drewnianą i sztywną w swym hieratyzmie, w straży wyniosłych topól, z parkanem z desek grubych na trzy cale i wykręconych przez czas i wilgoć.

Panna siedzi głęboko w saniach. Czuję, że patrzy na mnie, czuję jej świdrujący wzrok, czuję, że niepowstrzymanie mię kocha. Miałem zawsze wiele z kompleksu niższości, zwłaszcza kiedy natykałem się na kobiety w mym życiu. Nie mówiąc już o „warunkach zewnętrznych”, które odgrywają niepoślednią rolę na samopoczucie, miałem zahamowania spowodowane po prostu przez pogardę dla trywialności, jaką przedstawia dla mnie coś udałego. Istnieje kategoria ludzi, którym niesamowicie się wiedzie we wszelakich życiowych poczynaniach, wychodzą im, przy całej ich symplice, bardzo udane i szczęśliwe skojarzenia – szczęściarze, mimowolni efekciarze, ludzie, którzy nie płoszą siebie i innych nieporadnością, nie zaskakują dzikością poczynań, nie rażą innych czymś,

co jest po prostu niesamowite, po prostu mają styl, styl, co do którego można by mieć zastrzeżenia, styl na granicy komunału: poprawność prokurencka zawiązania węzła krawatu, czyściuchostwo, poprawność i niekanciastość ruchów *pedigree*. Czuję się nierasowo w swej posturze, obyczajach i jest mi z tym dobrze, i to stwarza ten kompleks.

W całym poczuciu braku tego wzwyż wzmiankowanego stylu (pozwala on jego przedmiotom ziewać wobec najbardziej interesujących rzeczy), w całym poczuciu mojej kanciastej postaci, swych nerwów i swej spóźnionej reakcji byłem niebywale zaskoczony tym, co mię spotkało.

Jeżeli wiele miesięcy po jej stracie uprzytamniałem sobie kolosalne szczęście, jakie mi przypadło w udziale w owych dniach, to dziwi mię i smuci, jak mało jestem zdolny objąć i pojąć samą chwilę szczęścia czy tego, co może właśnie potem nazwałem szczęściem. Może dlatego, że wtedy sobie nie uprzytamniałem tego, nie wmówiłem sobie tego dostatecznie? Bo jak to się właściwie zaczęło? Panna wzięła mię po prostu i moja miłość własna została znakomicie usatysfakcjonowana. W naturze innych rzeczy także narodziny nowych rzeczy wywołane są impulsami z zewnątrz. Smuci mię to, dlaczego, pochylając się nad drogą twarzą, nie potrafię zsumować do kompletu tych wszystkich uczuć, spleść wszystkich wzruszeń, ażeby uświetnić ten *holy day* całkowicie.

Las!

Konie wpadają w las. Las zachował najbardziej pierwotne oblicze ziemi. Nawet jeżeli widać w nim ślady kultury czy też kulturowania, jest jednak samym sobą i wyrasta pniami i krzaczowiskiem, szczerzy się na fałdowiskach ziemi samotnie i tak obco dla wszystkiego, co jest człowiecze, że doznaje się w jego obliczu wstrząsu. Kapryśnie i nieoczekiwanie skupia się i rzedzi wśród wilgoci i suszy. Wiatr przebiega jego wierzchołkami.

Jest już ciemno. Nie bardzo go widać, ale czuje się go w powietrzu, przy sobie, nad sobą. Płozy sań pośliznią się od czasu do czasu na korzeniu sosny. A jeżeli chodzi o ciszę, to właściwie jest ona w uporządkowanym szumie gałęzi drzew, szumie tak jednotonowym, że nie działa na zmysł, jak nijaka jaśń śniegu i nieba daje wrażenie ślepoty.

Po omacku, na pamięć mijamy z prawej tak zwane Sośniaki, z lewej znów – Jakobichę, dalej znów – poddębiecką granicę, konie idą cwałem, błysnęły zawiane i opatulone zahatą okienka karczem żydowskich i wpadamy w ogrodzenia Wandzina. Zanim omotałem wodze swego konia o pręty ogrodzenia i pomogłem zdrętwiałej Pannie uwolnić się z przykryć, inne sanie zajechały w blask otwartych drzwi domu.

Panna wyrzuciła triumfalnie trzymane w ręku śniegowce bezradnie, wybuchnęła śmiechem i rzuciła mi się na szyję, kiedy stałem sobie dość ogłupiały.

Panna opowiadała mi o sobie niewiele. Z przeszłości prawie nic. O matce. Musiała mieć dla niej miłość do osoby nie znanej, bo straciła ją, zdaje się, kiedy była jeszcze zupełnie dzieckiem. Mieszkały w Kijowie w czasie rewolucji i stamtąd przywędrowały jakimiś fantastycznymi drogami już przez kordon graniczny, ale to u niej samej gubiło się we mgle zapomnienia.

Pokazywała mi jej fotografie – na jednej jej matka, bardzo do niej podobna, siedzi w fotelu, obok którego stoi wyprostowany typ młodego szlagona z Ukrainy. Tło obrazu przechodzi ku ramkom w „*soft*” i złoci się w rogu marka firmy fotograficznej w Żytomierzu. Więc ona urodziła się w tamtych stronach… Usiłuję wyobrazić sobie tamto miasto. Ma w tych moich myślach coś z rodzajowych scen kontraktów ukraińskich Brandta czy Kossaka, wydaje mi się, że widzę niskie brzegi Teterewu i konny tramwaj, a w górze – cebulaste wieże cerkwi. Egzotyka miejsca, skąd pochodzi, bawi mię w jej inności.

Usiłowałem wyobrazić sobie ich mieszkanie kijowskie, kiedy Panna była jeszcze dzieckiem. Ją samą jakoś nietrudno było sobie odtworzyć, odrodzić. Wydaje mi się, że była małą dziewczyneczką o dużej głowie z górą ciemnych włosów i pulchną twarzą dziecka, którą natura w dziwaczny sposób odróżniła od twarzy ludzi dojrzałych, z wypukłym czołem, wydętymi zabawnie policzkami i maleńkimi usteczkami. Cudowna świeżość skóry dzieci z zorzą rumieńca, z tak zdrowym i świeżym blaskiem oczu, który się z niczym nie da porównać. Wieczny niepokój nóg, w ogóle ruch marnotrawny i eksplodujący małego organizmu, nadmiar siły

życiowej, co mię zaskakuje zawsze i olśniewa, choć cudowność tego zjawiska jest czymś najbardziej pospolitym z objawów życia.

Zapamiętała sobie także pewien wierszyk z tych czasów – pewnie w ciemne, bez światła wieczory zaśpiewywała jej to Ukrainka, jej niańka, i przyszło z nią to i utonęło niepotrzebnie w mej pamięci:

„Jabłuszko czerwone – dokąd toczysz się?…”

Nie wiedziała, że ta piosenka rewolucji, że te słowa o „czerwonych jabłuszkach” mówiły o krwawych głowach „białych” toczących się po ziemi od zamachu *szaszek krasnoarmiejców*.

Więc takie były *nursery rhymes*, które jej śpiewano w dzieciństwie…

Potem był dom ciotki. W nim, zdaje się, nie zagrzewała długo, wysłana do klasztoru, do Góry.

Tu miała kiedyś wstrząsający wypadek. W piwnicach zakładu trzymano wilczury, które w nocy strzegły, złe i rozhasane, murów klasztoru. Wilczyca miała szczenięta i należało do pensjonarskiego sportu pochwalić się, że się widziało ten pomiot najbardziej wzbudzających grozę stworzeń. Moja Panna, podekscytowana perspektywą zdobycia niebywałej sławy, na oczach całego konwiktu, zgromadzonego bezpiecznie za oknami pięter, schodzi po ciemnych schodach [do] piwnicy i tu zostaje opadnięta przez solidarne stadło złe i groźne [i] bez takiej podniety, jak niepokój o małe. Panna, cofając się, upadła i została w niemożliwy sposób pogryziona przez psy, dotkliwie ją także bolało ukąszenie przez niespodziewanie wrogi świat.

Przypomniała sobie ten epizod z tych czasów, który usiłuję tu powtórzyć, choć wstrząs tego może w wyczuciu być ściśle ograniczony do najściślejszego grona piastunki i kochanka.

Panna opowiedziała mi ten trywialny incydent i głęboko w tym były ukryte żal i rozczulenie nad samą sobą, i nie wypływało to skądinąd, tylko z najbardziej gorzkiego dzieciństwa i sieroctwa. Jakimś dziwnym trafem zrozumiałem to i dziwię się, że potrafiłem, tym bardziej że musiałem popełnić wiele grzechów niezrozumialstwa.

Więc kiedy tak piszę tę historię swojej miłości, doznaję oczywistego wrażenia pracy balsamatora czegoś umarłego, co chciałbym zachować

w wyrazie i odczuciu jak żywe. Wyjmuję tej miłości mózg, serce, wnętrzności, nastrzykuję w jej mięśnie i pod skórę arszenik, obserwuję z napięciem preparatora-artysty efekty swej pracy. Nie mam zadowolenia. Policzki jej są trupio zapadłe, palcem unoszone powieki ukazują matową i mętną spojówkę; bezwład i nienaturalna sztywność członków i tchnienie śmierci. Myślę, że za daleko już zabrnąłem, że pracy swej dokonam, uszminkuję ją i wypcham kłamstwem, a za szkłem nabierze połysku i starczy na widowisko.

Swoją przeszłą miłością potrafiłem straszyć żywych zaraz po jej śmierci. To bardzo oczywiste, jeżeli spotkanej kobiecie zdradzić ślady tamtej miłości, ukazać twarz odwróconą w tamtą stronę z rozpaczą i szaloną beznadziejną nadzieją, to bardzo oczywiste, że to może wstrzymać ją w pół kroku w grozie.

Amatorom i zrezygnowanym odradzam stanowczo tych reminiscencji w przytomności nowych kobiet.

[*Courtesy of Department of Special Collections, Stanford University Libraries*]

Wyjazd o świcie

Wracam do miłości mojej i Panny. Byliśmy jej pełni jak naczynia przelane wodą. Dni porozumienia i noce namiętności stworzyły z nas jedną całość. Zdawałoby się. Jakkolwiek byliśmy oboje solidarni i lojalni, zapatrzeni w siebie, trzymający się za ręce, nie wiem do teraz, czy to, co tworzyliśmy razem, było czymś skończenie harmonijnym, tym, co stanowi jedność. Nie wiem.

Nadszedł czas, kiedy miałem wyjechać, ażeby przygotować świat i miejsce na naszą w nim miłość. Następowały terminy jedne po drugich i nie mogliśmy się od siebie oderwać. Wszystko przemawiało za tym, żeby skierować nasze sprawy na bardziej realne tory. Zbierałem swój wielomiesięczny dorobek – rzeczy udałe i nieudałe, byliśmy niespokojni o siebie i w trakcie najrealniejszych rzeczowych omówień splataliśmy się w uścisku, kiedy oboje spostrzegaliśmy się u skraju naszej miłości i zwierzęcej, mechanicznej reszty świata. Ratowała nas od rozpaczy nasza własna zwierzęcość.

Był naznaczony jakiś piątek na mój wyjazd. Zabijałem obrazy w skrzynie i klatki z drewnianych szczebli, wypełnione słomą, Panna pomagała mi w tym gorliwie do narażenia własnych palców pod uderzenia młotka, wypisywała koszlawymi literami, uroczymi przez to i złowrogimi, moje nazwisko i adres na złotych słojach sosnowych desek. Swój zrównoważony zapał wniosła do mej rozdrażliwionej nerwowości.

Poróżniliśmy się na temat czegoś nieważnego i czułem głupią pasję, z jaką krew napływała mi do głowy. Panna była urocza nawet w sporze, nawet wtedy, kiedy niecierpliwiła, i myślę, że złość moja wypływała już z nadmiaru upojenia się nią, jak wtedy, kiedy słodycz, jaką przynosi smak cukru w nadmiarze, przekracza pewien próg i nagle staje się goryczą. Nie rozumiałem tego wtedy tak wyraźnie, w ogóle wiele rzeczy zrozumiałem dopiero bardzo późno.

Opanowałem się, żeby nie cisnąć młotkiem o ziemię, tylko najpowolniej położyłem go na skrzyni i wyszedłem gwałtownie z pokoju, przeszedłem sień, hall i wszedłszy do salonu, zagłębiłem się w fotelu z pierwszą chwyconą ze stołu książką, z krwią bijącą z emocji w skroniach. Ilekroć urządzałem tego rodzaju sceny, to obok prawdziwej satysfakcji na dnie tego wszystkiego skradała się straszliwa trwoga. Ona nie przyjdzie, nie zawoła, zostanie. Zdarzało się nam to wiele razy, wiele razy przeżywałem tę trwogę mniej lub więcej świadomie i ona nie zawodziła.

Ukazała się na tle słynnej ciemnozielonej wojłokowej zasłony dzielącej hall od salonu. Szukała mnie oczyma. Była po raz tysiączny zaniepokojona, chociaż istniało przedtem tysiąc innych precedensów naszych sprzeczek i naszej zgody. Ile razy się to zdarzało, że patrzyliśmy się na siebie złowrogo, ile razy pamiętam jej błyskawicę granatowego gniewu! Ile razy przypieczętowaliśmy naszą zgodę aktem gwałtownego i wyuzdanego zbliżenia na łóżku! Tym nie różniło się to od tysięcy i setek innych uświęceń zgody dziejących się od suteren do hoteli w Palm Beach.

Panna podeszła do mnie, nakryła dłońmi książkę przeze mnie trzymaną i wiele razy powtarzała: „przepraszam”.

Pan Ł., który był mimowolnym i niemym, i nie zauważonym świadkiem wobec wagi chwili, patrzył na nas zdziwiony.

Nieodwołalny piątek się zbliżał. Panna kładła czarny dysk na suknie kryjącym krąg patefonu i zwalniała sprężynę. Drewniana muzyka mechanizmu wypełniała pokój. Ktoś ostatnio przywiózł modny i pretensjonalny rewiowy kawałek. Nazywało się to „Ta ostatnia niedziela…”, przy dźwiękach tego smętnego chorobliwie tanga, ogromnie i okresowo spopularyzowanego, jakiś szofer taksówki, upiwszy się na dancingu, strzelił sobie w okolicę worka sercowego. To było potem, ale teraz wulgarna melodia i treść działały na mnie wstrząsająco. Panna pochylała się ku mnie i prosiła, żebym został jeszcze przez tę ostatnią niedzielę.

Uparłem się w sprzeciwie. Nie chciałem absolutnie zostać. Jak gdyby te dwa czy trzy dni miały w jakiś przedziwny sposób zaważyć, jakby gorycz

słodyczy zmuszała mię do wyjazdu. Potem miałem wiele razy żałować tej ostatniej niedzieli.

Co za cuda wyprawiała Panna z moim wyjazdem! Robiła ostre i żenujące mię przeglądy mojej garderoby, wraz z całym sztabem pracownic usiłowała jej nicość sprowadzić do jakiegoś znaczącego mianownika. Trwoga ją chwilami oblatywała na wspomnienie mojej bezbronności wobec świata i jego otwartej przede mną czeluści. Poza tym pożerała ją zazdrość wobec wszystkich możliwości, jakie spotkam, wobec kobiet, które z dala od niej spotkam na swej drodze. To był jej intymny i najwstydliwiej kryty świat myśli.

Potem przyniosła mi swoje oszczędności. Wmusiła je we mnie i brałem pieniądze zaczerwieniony, mając wrażenie, że jestem kochankiem służącej zabierającym bezwstydnie jej dziewictwo i zawartość kuferka. To miało budować dom dla naszej miłości.

Co chwilę, ponoszona furii pełnym porywem, przynosiła mi drobiazgi ze swego neseseru toaletowego, zagłębiała się nad cerowaniem i zeszywaniem, rzucała mi się na szyję. Manifestowała swoją miłość otwarcie i bezwzględnie, bo jakkolwiek to, żeśmy się kochali, było już dawno tajemnicą poliszynela, to jednak zachowywaliśmy pozory jak najdłużej, a teraz Panna nonszalancko i otwarcie bała się o mnie, kochała mię.

Ostatnią noc nie spaliśmy, a przynajmniej wiem, że nie przespała jej Panna. Już ostatecznie byłem zapakowany, jeszcze jednak znalazła coś do zrobienia przy moim płaszczu. Żegnałem jej pokój, jej panieński pokój, w którym tyle przesiadywałem w czasie jej krótkich [lekcji] i nauczyłem się go na pamięć. Czarny kwadratowy stół, amerykański drewniany fotel biurowy na przegubie pozwalającym nadać i zachować wszystkie przemyślne pozycje. Żelazne pensjonarskie na biało lakierowane łóżko, ściany wyszarowane grubym piaskiem i powleczone na biało wapnem. Przedziwne drobiazgi jej panieńskiego życia, uszykowane zwykle pedantycznie, a teraz rozbiegłe po stole i stolikach w rozgardiaszu spowodowanym moim wyjazdem. Powiedziałem sobie, że już tu nigdy nie wejdę, że nie powrócę już nigdy do tego domu, do tych stron, gdzie

zaznałem największego szczęścia – wszystko jedno, czy będzie ono przedłużone, czy zostanie zgładzone z powierzchni ziemi. Powtarzałem sobie to po wielokroć.

Kiedy piszę tu o tych sprawach, to zastanawiam się, ile w tym może być z dzieła sztuki, czy czyni ono zadość regułom, które przez nie są wymagane. Nie ma w tej historii ani początku, ani końca, nie zdarza się w nim nic, co by zakrawało na „zawiązanie się węzła dramatycznego” w artystycznym tego słowa znaczeniu, nie jest ono pisane według żadnej tak zwanej recepty, nawet surrealistycznej Bretona. Sam fakt, że posługuję się w pisaniu słowami, zdaniami, okresami, jest czymś przypadkowym, jak to, że piszę te słowa nie gęsim piórem ani nie mówię do dyktafonu, tylko wystukuję dwoma palcami na klawiszach mojej maszyny do pisania. Jakie są impulsy, które mną kierują w wypisywaniu tych bądź co bądź ekshibicjonizmów? W dużej mierze, myślę, to, że nie jestem właściwie, przy całym ładunku, jaki noszę w sobie, zdolny do tworzenia produktywnego. Mam nieprzemożoną ochotę przetworzyć to, co stanowiło dla mnie treść myśli (czy myśli? czy to, co czułem, da się wszystko wyrazić w myśli?) przez wiele miesięcy, uporządkować i stworzyć dla czegoś tak nie powtórzonego korelację w innej płaszczyźnie. Może to będzie tylko schematem nieudolnym tego, nie pozwoli mi to opanować całości, ale posłuży mi jak grafikon, ukaże mi samego siebie tak mechanicznie, jak rachunek statystyczny, może mi ukazać nicość tego, co przeżyłem, albo tego naturalność, może mię wyprowadzić z błędnego koła kompleksów, fetyszyzmów, uwarunkowań i może także wyrzucić moje wyplute i przeżute resztki na pastwę nudy i nicości.

Piszę także dlatego, że mię to smutnie bawi i nieodpowiedzialnie zajmuje. Starzeję się, jak nieuniknienie wszystko. Podobno organizm ludzki odnawia się co okrągłe siedm lat, jak mówi każda popularyzowana fizjologia i histologia. Za lat trzy nie będzie we mnie już ani jednej komórki, które mię tworzyły i sprawiały bicie mego serca, kiedy kochaliśmy się z Panną. Nie będzie podobno ze mnie ówczesnego we mnie teraźniejszym nic, dosłownie nic. Stare komórki i zwoje mózgowe przekażą mi wspomnienia i miłość jak luzująca się warta.

Jeszcze dla jednej sprawy chyba to piszę. Chcę, żeby to po mnie pozostało. Przebiegam oczami linijki maszynopisu i w pełnym poczuciu nieznajomości tego, czy to jest coś warte, czy nie, potrzebne czy nie, pozostawiam te kartki za sobą. Czy jestem w tej presji pod wpływem jakiegoś naturalnego impulsu, czy dzieje się to przez jakiś automatyzm?

[*Courtesy of Department of Special Collections, Stanford University Libraries*]

Kapitan Blood

Kiedy po długiej niebytności wraca się do miasta, narzuca się nieodparcie smutek. Zabija on radość powrotu do rzeczy, spraw i ludzi bliskich, których tyle miesięcy było brak i które to rzeczy za chwile zapomnienia mszczą się tym, że cynicznie, bez narkozy, którą jest codzienny kołowrót bytowania, ukazują czas przebieżony. Pociąg mija znajome mi i obce zarazem lasy podmiejskie, potem migają przez okna śmietniska przedmieść, mury i kominy fabryk, pociąg chwieje się i zgrzyta na rozjazdach zwrotnic.

Przed dworcem tłok porannych przyjazdów. Jest smutny świt na niebie różowym jak z „papier mâché”, a z zamiatanych przez motorowe ścieraczki kamieni bruku unoszą się opalizujące w cieniu kamienic obłoki miejskiego kurzu. Idę chodnikiem w chłodzie poranka, uderza mię spokój i sielankowość miasta, które kiedyś było dla mnie, kiedy mię pierwszy raz tu przywiozła matka, Metropolis i Labiryntem. Jedynie czcigodne kasztany tych samych wymiarów, co wszędzie, różowiły się czubami w skośnych promieniach słońca. Nędza patrzy z oczu stróżów kamienicznych u bram domów i z jeżącego się szczypioru trawki rosnącej między kostkami bruku.

Wzruszony i smutny docieram do swego schroniska. Nic się nie zmieniło w ścianach, które widziałem tak dawno. Kiedy myłem się w wodzie, która wesoło i burzliwie tryskała z kranów umywalni, byłem w dalszym ciągu przygnębiony. Wyciągnięty jak długi na łóżku śledziłem czarne kreski śmigających za oknami jaskółek. Pustka mej pracowni odbijała wiernie hałasy podwórzowe. Byłem zmęczony drogą i zasnąłem sam nie wiedząc kiedy.

Zbudził mię głód i hałas drukarni pod moją pracownią, hałas uparty, od którego odwykłem. Ranny przyjazdowy pesymizm gdzieś się zapodział. Byłem ciekaw miasta i konfrontacji z nim.

Czymś niebywale przypadkowym i bezplanowym jest takie zbiorowisko domów, podwórz, placów, skwerów, ogrodów i ogródków. Właściwie

z miasta zna się tylko niewielki procent odkrytych dla oka przechodnia powierzchni „komunalnych”, perspektyw ulic obramionych schodkowatą linią fasad domów i jest się zaskoczonym, kiedy jakieś sprawy zaprowadzą w środku znanego kręgu budowli na jakieś podwórze lub piętro, gdzie pojawia się przed zdumionymi [oczami] egzotyka nie widzianego nigdy z ulicy miejsca. To tak jak ze znanymi twarzami, które kryją za sobą czeluście dziwaczne i frapujące, kiedy przez kaprys przypadku znajdziemy się poza ich zwykłym dniem. Miasto ma tych nie znanych twarzy tysiąc, a drugi tysiąc był w czasie przeszłym i zabawnym zajęciem jest dopatrywanie się tych byłych obliczy, które z antykwarskich stalorytów i naiwnych biedermeierowskich akwarelek usiłuję sobie dofantazjować.

A kamienica w moim mieście była dla mnie czymś najbardziej smutnym w świecie. Stercząc fasadą w stronę ulicy, stereotypowo rozbudowana ku podwórzu, z jednym schematem-planem, z klatką schodową, parterem, mezaninem i piętrami, gdzie rozchodziły się po obu stronach pokoje i przestrzenie mieszkalne z systemem „korytarzowym” lub bez, mieszkania nieszczelne z łazienką z czerwonym od rdzy opalanym węglem piecem, łazienką, która chronicznie nie była używana i miała najbardziej odstręczający charakter ze wszystkich ubikacji domu. Niektóre narożne domy były rozbudowane w gloriety, *turret windows*, okna weneckie, inne sterczały pustym narożnikiem. I wszędzie klatki balkonów w floresach żelaznych poręczy więżące mieszczański smutek i nudę. Czasem bliżej centrum dom o nieposzlakowanej linii architektury empirowej. Przeważnie jednak długie ulice, które były kiedyś drogami dojazdowymi do miasta, z domami wybudowanymi w latach osiemdziesiątych, kiedy po światowym kryzysie ekonomicznym rzucano się do lokowania kapitałów w budowlach, cechowała je architektura reminiscencyjna wszystkich stylów klasycznych z dominującym typem renesansowych pałaców włoskich: jakichś Palazzo Chigi, Palazzo Ricardi na mieszczańską skalę, z rustyką i boniowaniem, z gipsowymi szczegółami ulepionymi na poczciwym „szarowaniu” piaskiem z Góry Piaskowej (stamtąd wiozą jednokonne wozy piaskowe, z tej Góry Piaskowej, ten piasek, sieje się on, jak z klepsydry, spomiędzy szczelin desek na bruk i: „wiśta, wio!” kroczącego obok furmana).

Naturalnie, secesja wiedeńska wykwitła bogato girlandami nenufarów i „szelkami”. Potem przyszedł styl nowy. Młodzi studenci architektury o rozwichrzonych czuprynach i tudzież świetnych pulowerach wertowali z zapałem w salach rysunkowych „Wasmuths Monatshefte für Baukunst”, „L’Architecture d’aujourd’hui”, Lloyda Wrighta, zachwycali się Dudokiem, domami z Hilversum, architekturą kafli, szkła i metalu z Haarlemu, Rotterdamu, krytykowali Le Corbusiera, rysowali dyplomy i szli na architektów w oddziale budowlanym miasta, i pod możnym przymusem starego porządku odbijali stare domy z dolepionymi holenderskimi twarzami, hojnie szafując kolorowymi terazytami ku zadowoleniu świeżych kamieniczników.

Żadna z tych architektur nie mogła zabić piękności miasta. Może to wypływało z jego położenia w dolinie wśród wzgórz, kiedy fala dachów zbiegała z nich ku wąwozom, w których dymiło i drżało w blasku rozgrzanego powietrza. Najpodlejsza, najsmutniejsza pod słońcem ulica miała swoją daleko smużącą się perspektywę albo niespodziewany czarodziejski spadek lub zakręt. Nieporządek i bezplanowość zabudowania stwarzały romantyczne i niespodziewane pustacie, pozostawał w ruchliwym miejscu jakiś dom pokryty zapomnianym, czcigodnie zmurszałym gontem, z ogrodem anachronizmem za wysokim częstokołem z pordzewiałych prętów żelaznych ogrodzenia. Ulice zwężały się lub zakręcały w sposób urągający jakimś zasadom przelotności, logiki, racjonalności i wychodziły na majestatyczne place i fora, naokoło których nie było nic. Szło się ulicą wybrukowaną normalnie po miejsku mozaiką, sterczą po obu stronach słupy latarń elektrycznych, zielenią się oliwkowo metalowe budki transformatorów, łuszczy się emalia na tabliczkach wskaźników hydrantowych, leżą w spadłych liściach kasztanowych metalowe znormalizowane kubły na śmiecie, a obok za zwartym szeregiem domów mieści się gaj Hesperyd. Obłe wzgórze ciągnące się do stóp dalekich i świecących oknami zabudowań kliniki jest zielone od trawy i pochylone nad nim stare jabłonie omszałe i drżące od wiekowości. Ich gałęzie i gałązki w ostatecznym wysiłku rodzenia nielicznych liści i płodzenia kwaśnych i małych jabłek delikatną siateczką zarzucają koronkę czarną na

błękit nieba. Są starczo zidiociałe, nie myślą i nie przeczuwają już życia, a w ich korzeniach i konarach tli się jednak jeszcze wspaniały kiedyś i silny impuls, élan życiowy. Są zapomnianym cmentarzem drzew w środku miasta.

Miasto powitało mię „uchylającym zza rogu kapelusza Kohnem". W jego towarzystwie miałem je odszukać.

Indaguje mię i informuje. Jest poranek recytacyjny młodej poezji. Już późno, ale jeszcze coś złapiemy. Po drodze akuratne i pilne studiowanie anonsującego recytację afisza. Jest krytyka rzeczowa jego strony graficznej, którą komponował amator dosyć pretensjonalnie, włącznie z czarnym kołem – punktem mającym idealnie i kompozycyjnie zaakcentować nowoczesność, odżegnać to wszystko, co obwieszcza, od jakiegokolwiek paseizmu i kwiatków.

„Z tą młodą poezją" – krytykuje mój cicerone – „to tak, jakbyś mówił, że byłeś kiedyś wicemistrzem gimnazjum przemyskiego w tenisie. Wygląda to bardzo przekonywująco, kiedy mówisz: »wicemistrz«, podczas kiedy »mistrz« byłoby już fanfaronadą i nagim kłamstwem. Nie mogliby tego nazwać tylko poezją – nawet przez jakieś monstrualnie wielkie »P«. No a największe laury będzie – typuję – zbierać »Wujaszek«…"

„Wujaszkiem" – nie wiem, dla jakich przyczyn – nazywaliśmy poetę i najbardziej niebezpiecznego pojedynkowicza, jak wyciętego z komedii Bałuckiego.

„…ale Wara nie bierze dzisiaj udziału, za to będziemy go mieli z całą komsomolską bojówką – no a jeżeli i Połmiński tam będzie, to nie ma już po prostu miejsca dla reakcji. Ale widziałem dzisiaj Tadzia, jak wiózł, no, tą… dorożką po mieście – a ona mi się całkiem nie podoba, robi wrażenie chudej Blumenfeldowej".

Prelekcja odbywa się w „Rozmaitościach", inaczej: Domu Ludowym, inaczej: Narodnym Dimie, i właściwie trudno dociec, jakimi drogami chadza przeznaczenie i utylitarność tego lokalu wylepionego złoconymi stiukami. Idziemy tam najkrótszą drogą. Żyję w mieście zawsze bardzo oderwanym życiem, ale nigdy nie byłem bardziej poza jego nawiasem niż te dni wtedy. Ulice znane i opatrzone jak do drażliwości znane rysy twarzy

bliskich osób. Wśród znanych murów i ścian traci się wyczucie tej przestrzeni, nie ma nic, co by odświeżało zmysły orientujące w trzech wymiarach, doznaje się ich atonii. A sprawy własne albo wyprzedzają nas, albo opaźniają. Czy nie jestem bardziej w tym właśnie miejscu, do którego zdążam, jeżeli moje myśli przewidują już nowe okoliczności, nastrajają się do nich, mam wizję ich klimatu, moje doświadczenie potrafi mi ocenić z dużą precyzją wszelkie ewentualności, dedukcja pracuje całą parą, a faktycznie dopiero idę ku temu, jeszcze temu wszystkiemu nie nadążyłem?

To było około dwunastej i właściwie byliśmy spóźnieni. Na Wałach trzeba było długo czekać. Było to nieprzyjemne. Falował nie skoordynowany tłum. Byłem tak zajęty swoimi sprawami, że nie uważałem, nie widziałem. Nie potrafię powiedzieć teraz, jaki to był tłum. Zbity i luźny, bez oblicza, prowodyra, bez akcji. Jedyną cechą jego była inercja. Daleko ponad głowami widać było wyniesione sylwetki konnych policjantów.

Jesteśmy w „Rozmaitościach" pod koniec. Jestem po wsi trochę oszołomiony rozgardiaszem świata ludzi zmieniających bardzo szybko swe *attachement* do rzeczy, jak to jest w mieście, trochę jestem przybity brudem, ciasnotą i smrodem ludzi w mieście i jest mi trochę smutno.

Siedzę za kulisami teatru, gdzie dziwaczny i przeobrażony dochodzi głos recytatorów, szmer sali i gdzie świeci stalowy hełm strażaka zasłuchanego nieruchomo w aliteracje i asonanse młodej poezji.

Po tym poranku idziemy nieporządnie, ludzie znani i nie znani, do knajpy w rynku na obiad. Czcigodne studnie rynku: w pośrodku rozety muszli zbierającej wodę z brązowych paszcz delfinów na cokołach wznoszą się prosto i w wdzięcznym kontrapoście mitologiczne postacie Neptuna, Diany z liżącymi jej kolana chartami i konającym jeleniem – Akteon oparł stopę o groźny kłami łeb dzika, niewinne i przeczyste gołębie polatują nieregularnym trzepotem wśród tego i cyniczne kawki popstrzyły odchodami dumne głowy bogów i półbogów. Plac rynkowy właśnie uprzątają po targu, który trwał do godziny dwunastej, i dzieje się to w zgartywaniu kup naci rozmaitych warzyw i kwiatów i ściąganiu stołków i straganów znaczonych literami: „MUT" (Miejski Urząd Targowy).

Narożna knajpa rynkowa mieściła się w starej siedemnastowiecznej kamienicy podpartej przyporami, pomiędzy którymi były wejścia do sklepów albo do piwnic. Zanim się jeszcze weszło, wiało stamtąd – jakiś kwaśno-słodko-fermentujący zapach odurzający i miły, i przykry. Było to jedno z miejsc, gdzie się chodzi z odrazą, a jednak stale się chodzi. Przepisowo wszyscy byli gwarliwi i bezceremonialni, i nonszalanccy. W przejściu między bufetem napiętrzonym śledziowymi kanapkami a roślinnie apatyczną grubą kasjerką kłóciło się zaindyczonych dwu jegomościów („…ja sobie wypraszam! – pan wie, z kim pan mówi?!”), dalej były małe salki pod ciężkimi sklepieniami.

Perorował przy stole profesor Deresz wielki i otyły. Unosił swą masywną głowę nad złożonymi na stole rękami, świecił szkłami okularów, uśmiechał się plombami spomiędzy mięsistych warg. Mówił o swoim ostatnim pobycie w Paryżu:

„…ten kongres estetologów, o który mię państwo pytacie” – mówił jak na uniwersyteckiej prelekcji: z pauzami i retorycznymi przestankami, głębokim emfatycznym głosem – „to było coś niezmiernie ciekawego. Spotkałem tam Lalo – znałem go jeszcze z dawnych czasów, ma niezmiernie ciekawe koncepcje – ale muszę wam powiedzieć, że zapoznał mię z niezmiernie ciekawym młodym malarzem holenderskim. Byłem w jego pracowni – to, co mi pokazywał, to było coś rewelacyjnego. Nie chodzi mi tutaj o formalną stronę, co do której można by się spierać, ale ma swój własny sposób na rozwiązanie perspektywy. Interesowało mię to ze względu na moje własne doszukiwania się na ten temat, moją perspektywę odwróconą; u niego ma się do czynienia z czymś bardzo wyrozumowanym a zarazem robiącym wrażenie, że wypływa to z jakiegoś pozaziemskiego natchnienia. Z czym by to porównać, proszę państwa? – to coś przypominającego poczynania, świadomy pewnik siebie u drzeworytników wczesnego…”

Piliśmy kolorowe wódki – specjalności lokalu, wchodzili nowi goście, z trudem rozdziewając się z płaszczy i kapeluszy w ciasnych przejściach. Alkohol uderzał z lekka do głowy. Ktoś usiłował sobie przypomnieć nazwę francuskiego aperitifu z Arles, literat z Warszawy siedział znużony

i natarczywie bawiony przez innych. Na stole na półmiskach czerwieniła się krwawo szynka litewska podana z sosem tatarskim i kaparkami, ktoś inny mówił o filogenezie. Ciężkie wiśniowego koloru boazerie drewniane ścian lśniły w blasku lamp palących się mimo pełnego dnia z powodu niedostatecznego oświetlenia przez małe okna i furczał rozpędzony wentylator elektryczny. Gwar głosów mówiących razem przygłuszał wzajemny sens zdań, wybijał się tylko ostry falset Tadzia Wary:

„…takich jak wy pierwszych postawi się pod ścianę, najniebezpieczniejszy społecznie jest lumpenproletariat…”

Ktoś usiłował uruchomić wielki gramofon stojący pod ścianą i wymuszone w końcu z niego dźwięki zachrypniętego walca popłynęły ku kolorowym włoskim afiszom reklamowym win rozwieszonym na ścianach. Pamiętam jeszcze Fiesole, Akwileję, Capri, Forlì, Katanię, Palermo, Lago Maggiore spływające ku nam z zadymionych ścian knajpy. Blaty stołów były wymyte w ciągu wielu lat do białego mięsa i chropowate od słojów.

Słychać było głos majora Bliskiego, jak opowiadał:

„…Piąty Ułanów, spieszony i rozsypany w terenie, koncentrował na sobie ogień bolszewickich cekaemów. Generał niecierpliwił się w oczekiwaniu na Drugi Szwoleżerów i od samego rana wysyłał kogoś na ich spotkanie. W końcu przyszła kolej na porucznika – zaraz, wiem, jak on się nazywa – który właśnie skądś wrócił, miał zhasanego konia, słabo zaprotestował: panie generale, moja kobyła, ale generał na niego z góry, tak że siadł i pojechał, kobyła rzeczywiście chuda jak… z miejsca ruszył galopem, za piętnaście minut, czuję, moja kolej. Od rana wczesnego trzy razy już jeździłem, ale nie próbowałem nic powiedzieć, pojechałem. Ujechałem sto metrów, Drugi Szwoleżerów – nooh! tym razem mi się udało…”

„…co to jest czas?” – krzyczał niepotrzebnie Wara ze swoją głową *caput mortis*, w której oczodołach świeciły jego niebieskie oczy – „czy nie ma czasu? Czy czas jest tylko złudzeniem? My tylko zmieniamy się w przestrzeni i to daje nam złudzenie przepływającego czasu. Tak jak materia przepływa przez nas jak przez maszynę, przez fizjologiczny mechanizm, a potem wracamy i włączamy się w ten sam zasób materii.

Więc jeżeli wrażenie zmiany – powtarzam: zmiaaany! – nazwiemy czasem, to czas będzie niczym innym, tylko ruchem. A więc nie przestrzenią, a ruchem, a ruch znowu jest zależny od przestrzeni, więc: jedność czasu, ruchu i przestrzeni. Bertrand Russell powiada, że właściwie we współczesnym świecie mamy całkowity przekrój czasu: z czasem przyszłym w Stanach Zjednoczonych, rokokiem w Chinach i tak dalej… Można by to rozszerzyć na okresy geologiczne: gdzieś pod biegunami jest okres lodowy, z krateru Etny wylewa się magma czasów krzepnięcia Ziemi, na Nowej Zelandii żyją ptaki dyluwialne…”

„…to wycofano wtedy tę dywizję piechoty za Bug” – niepotrzebnie przerywa Bliskiemu pułkownik.

„…jechaliśmy w nocy. Co za prześliczna to była noc: księżycowa wśród lasów, takie drzewa – liściaste, szpilkowe, byłem śmiertelnie głodny. Patrzę: domy, sztab stoi, przedtem jeszcze szef sztabu powiedział do mnie: pan, poruczniku, zaczeka tu na Drugi Szwoleżerów, bez niego niech pan nie przychodzi; znacie tę głupią sytuację – ja podporucznik. Ale rotmistrz Rupp powiada do mnie: to są moi ludzie, sześćdziesiąt szabel, jakie jest pańskie życzenie – jedziemy zaraz czy czekamy na drugi szwadron? No to czekamy na drugi szwadron. No a przed tą chatą siedzi dwu ułanów i zajada taką misę sera ze śmietaną i z cebulą, a ja od świtu nic w ustach nie miałem. Więc zaraz do baby, najadłem się; tu sztab – gdzie mnie! – podporucznik do stodoły na słomę. Rano wychodzę, tu tymczasem bateria zajechała za jakiś parkan i jak nie huknie mi nad uchem! Jedziemy dalej, ściąga się wszystko, artyleria wali po Dwunastym Ułanów…”

„No taak” – mówi z przekonaniem pułkownik.

„…przyjeżdżamy na groblę…”

„Aha, aha” – poruszają się słuchacze.

„…przed nami poszła brygada kozacka, jakieś sześćset szabel, dowiedzieliśmy się o tym na drugim przyczółku grobli, ubezpieczenia nie było, dywizja jechała na ogonach straży przedniej, dojeżdżamy, a tu Piąty Ułanów rozwinięty harcownikami na polu-polanie, dookoła lasy jak na dłoni, strzały rozpoznania, bolszewicy ustawili dwie baterie i jak gruchną! strzelali bardzo celnie: tu ułan wylatuje z koniem, granat, ułan wylatuje

z koniem” – major Bliski rysował półkola na stole – „nasza bateria zajęła tu stanowisko, tędy kozacy dwa razy poszli do szarży, ale ich kartaczami odparto, Piąty Ułanów spieszył się, odesłał tu konie, kozacy obeszli tędy i tak z koni wystrzelali konie artyleryjskie. Mnie wysyła szef sztabu do Drugiego Szwoleżerów, ażeby szarżował. Jadę, nie ma szwoleżerów, Rupp sam wykombinował na szczęście lepiej, poszedł na kierunek dziewięćdziesiąt stopni inny, i dobrze, tam byłby trafił na pustkę, wyrąbał szablami dwie baterie tędy, o…” – nowa rysa paznokciem na stole.

„…naturalnie, wszystko zależy od wyboru formy” – dowodził profesor Deresz – „bo fikcja sama w utworze literackim nie istnieje. Wszystko, co jest napisane, to już było, jeżeli nie dosłownie jako fakt zaszły, to w takim razie jako jedna z bardzo bogatych możliwości, jakie daje życie. Jeżeli przez psychobiologów jest dostatecznie dowiedzione, że mózg ludzki zdolny jest do opanowania myślowo straszliwie dużej, lecz w konsekwencji ograniczonej, proszę państwa, ilości pojęć – powiedzmy, dziesięć milionów – to ta liczba jest wypowiedzialna dla tego mózgu i czy to zostanie przetworzone wcześniej, czy później, jest to tylko kwestia czasu – jak by powiedział Czechow…”

„…demontowali właśnie ostatnie działo… Poszła kozacka szarża – patrzę: bagno usiane naszymi ludźmi i końmi. Wycofujemy się groblą, nasze konie potonęły zaraz, jesteśmy jak na dłoni, a tu, na tej wyspie, pluton kozaków bije w nas. Ułani idą przy grobli, ciągną konie, usiłujemy ich ustawić na grobli, porucznik ten i ja… ale co ośmiu poradzi i niech tylko odwrócić oczy, porucznik strzela sam; patrzę: ciągnie jeden jucznego konia z cekaemem, szef sztabu powiada do mnie… ale gdzie tu!… bagno, ale rozkaz, więc jeden koc, drugi, dery i wszystko w wodę. Nagle ci kozacy wieją. Patrzę: jedzie Drugi Szwoleżerów, jedzie dwójkami, tamtędy znaleźli jakąś drożynę i wyobraźcie sobie! po jednemu przejechali, a kozacy, ci z przyczółka, bali się podsuwać… Wracamy na groblę – a byliśmy w wodzie często po pas; byłem spragniony – jak się położyłem, zacząłem pić wodę pełną komarów, glist, taką ciepłą i zieloną. Na grobli biało: ludzie pozrzucali mundury, w gaciach, strasznie to miękki naród – kazałem

ubierać się, brać broń; idziemy, patrzę, a tu jakaś kawaleria wyciągnięta, ale to byli nasi – x-ty Ułanów…”

Obiad się kończył i ktoś poddał, żebyśmy się wybrali na film *Kapitan Blood*. Literat z Warszawy poprawił prowincjusza, że wyjątkowo nie wymawia się „blud”, ale „blad”. Kiedy wyszliśmy na ulicę, okazało się, że w międzyczasie spadł deszcz i znów było pogodnie, i słońce jaskrawo świeciło nam w twarze, i drugie, odbite od mokrych płyt chodnika, świeciło i raziło nas z dołu, i nie było od niego ucieczki, ale byliśmy podnieceni i weseli, idąc tak dużą paczką do kina.

Na ekranie dział się film z Errolem Flynnem i czarno-białe pejzaże dalekich wysp wysypywały się na jego prostokąt.

[prwdr. „Nowa Polska” 1945, z. 2 (luty)]

Appendicitis

Panna napisała do mnie w czasie jednego z największych rozgardiaszów, że przyjeżdża na operację. „I niech wanna zniknie z twego pokoju!” – dodawała, wiedząc, że sąsiadka moja w czasie mej nieobecności między innymi wtłoczyła wannę do mej pracowni.

Wanna została wyprowadzona, na czas spacerowałem przed wyjściem dla przyjeżdżających pasażerów na dworcu kolejowym, a jeszcze nie uprzytamniałem sobie wagi zdarzeń, które się teraz potoczą i wyprowadzą mnie na szereg dni z pewności siebie, i zanurzą w otchłań rozpaczy i zatracenia.

To miała być najprozaiczniejsza operacja ślepej kiszki, *appendicitis*, i ten wynalazek amerykańskich doktorów, mający uszczęśliwić ludzkość, a im napełnić kieszenie, był dla mnie jak myśl o wyrwaniu zęba, jak jakiś kobiecy zabieg kosmetyczny i raczej myślałem o nowej i niezwyczajnej dla mnie sytuacji oczekującego na Pannę na dworcu, nadawało to zupełne cechy jej posiadania, już dawno nie czekałem na nikogo, przynajmniej w tym intymnym znaczeniu, i bawiło mię to, i przygłuszało istotną radość, że ją zobaczę.

Przyjechała rzeczywiście, była bardzo po podróżnemu *fashionable* i trochę jakby chłodna, ale to było tylko takie wrażenie, dopóki nie spojrzeliśmy sobie w oczy. Była ogromnie ciekawa mego mieszkania, jakby zazdrosna o nowe miejsce i o to, co mię otacza, spieszyła się bardzo i dojechaliśmy w końcu do domu. Nie zdejmując kapelusza i nie rozpinając futra, chodziła po mej pracowni, stawała w oknach śmiało i wyzywająco, jakby chciała się bezwstydnie skompromitować wobec poczciwego światka mojej kamienicy, jakby to miało zamknąć drogę jakiegokolwiek odwrotu. Zdecydowała, że tu zostanie na noc, a jutro przed babką skłamie, że przyjechała o dzień później, przed babką, u której miała się zatrzymać. Włosy mi z lekka wstawały na głowie, kiedy uprzytamniałem sobie już nie

spartańską prostotę, ale po prostu nędzę tego, co przedstawiała moja pracownia. Nigdy nie miałem ani środków, ani idei, żeby gromadzić rzeczy i stwarzać jakąś atmosferę mieszkalną, albo też eksperymentowałem dziwactwami, a teraz do tego przede wszystkim absorbowała mię mająca dojrzeć wystawa.

Pannie wszystko podobało się, była szczęśliwa i przekołysaliśmy ten dzień, i przeszaleliśmy noc.

Następnego dnia z furią wróciła do rzeczywistości. Rano poszliśmy do fryzjera. Ucięła włosy i cały ich pęk wsadziła mi do kieszeni. Te ciemne włosy spięte jej szpilką do włosów miałem potem lata. Lśniły w rzadkich chwilach fetyszystycznych kontemplacji iskrami rozczepionego światła. Odwiozłem ją pod dom babki. Wzięliśmy dorożkę z postoju koło głównej poczty, był to grat bardzo charakterystyczny z nieudanymi opływowymi liniami i potem wiele miesięcy widywałem ten samochód w swoim mieście, „gondolę miłości”.

Wypadki potoczyły się bardzo szybko. Wieczorem byłem w domu jej babki na górze Ogrodu Jezuickiego, w dzielnicy St-Germain mego miasta. Przez olbrzymią sień wchodziło się na schody wiodące na piętro. Boazerie drewniane ścian nadawały ponury wygląd domowi. Oszklone drzwi przedzielone kolumnami prowadziły do salonu. Wszystko przesiąknięte było zapachem starości i muzealnym. Stały tam wiktoriańskie meble, lśniły matowym złotem ramy obrazów, półmrok oszczędnych żarówek otulonych abażurami omotywał wszystko w starczą i niemiłą obcość.

Za chwilę Panna nadbiegła i ująwszy mię za rękę, zaprowadziła przez inne, ciemne zupełnie, pokoje do sypialni czy pracowni babki. Świeciło się tu niemiłe czerwone światło i przywitała mię mała staruszka o włosach siwych i zaczesanych tak, jak czesały się damy pod koniec ubiegłego stulecia. Panna mówiła do niej: „babciu” i wydawało się to w jej ustach bardzo miłe, i usposobiło mię bardzo przyjaźnie do staruszki. Była ona dla mnie bardzo godnie uprzejma i odrobinę ciekawa; myślę, że i tego było dużo na jej wiek. Poza tym była tam jakaś inna kobieta: o dziwnej powierzchowności i bezmyślnej twarzy, nasuwająca mi jakieś podejrzenia, dopóki ostrożny szept Panny, niezupełnie dosłyszany przeze mnie, dał mi

znać, przynajmniej tak to doszło do mojej świadomości, że jest to jakaś idiotka czy coś w tym rodzaju. Babunia – to inne zdrobnienie, które jej Panna nadawała – była oficjalnie-obojętnie zainteresowana operacją Panny i to mię trochę ubodło. W ogóle w czasie tego, kiedy wszystko, co obejmowało świat Panny, ogromnie mię interesowało, odniosłem wrażenie, że nie darzyli jej ludzie nigdzie i nigdy oznakami sympatii, i to mię zawsze bolało, a po trosze sprawiało satysfakcję, że skazana jest na moją wyłączną i jedyną miłość – po prostu warunki sprzyjały mojej ekskluzywności.

Potem pojechaliśmy do szpitala, który był wspaniałym nowoczesnym gmachem wznoszącym swoje szklane ściany na stoku wzgórza dominującego nad miastem. Stok był tak stromy, że droga wiodąca do jego bramy zygzakowała na szkarpach, obfitując w karkołomne zakręty. Szpital robił, pomimo zewnętrznych pozorów, wrażenie zaniedbanego. To wrażenie wypływa może stąd, że imaginuję sobie te instytucje w charakterze bardzo czystym w znaczeniu, że po prostu idea niesienia pomocy „cierpiącej ludzkości” winna być tam wyniesiona do ekstazy, tymczasem lekarze, pielęgniarki i tłum innych ludzi tam zajętych są takimi samymi [sprawami], jak inni – jedzący befsztyki, dłubiący w nosie i mający dokuczliwe materialne zmartwienia. Długo czekaliśmy na roztargnionego portiera, który szukał za chłopcem od windy, potem nas sam zawiózł aż na pierwsze piętro, tu znowu jakiś dyżurny lekarz zdziwiony naszym zjawieniem się, jak gdyby zdziwiony był prokurent banku, gdybyśmy się u niego zjawili w sprawie operacji ślepej kiszki, potem Pannę zabrano gdzieś, a ja chodziłem znudzony po wysłanej linoleum posadzce korytarza. Panna zjawiła się bardzo nagle i powiedziała mi, że już dzisiaj musi tu zostać, że w ogóle nie chciano jej wypuścić, ale zdobyła parę chwil i musimy gdzieś pójść. Schodziliśmy powoli po serpentynach skarpy, trzymałem Pannę silnie pod ramię, nagle zaniepokojony i zaalarmowany. Uspokoiłem się dopiero na ulicy, która pocieszyła mię swym normalnym wyglądem. Szliśmy wzdłuż muru klasztoru Karmelitanek i w bramę ze schodami skręciła Panna, ukazując mi drogę do kościoła. Chciała się wyspowiadać. Przed drzwiami zatrzymała się nagle i zwróciła się do mnie porywczo:

„Słuchaj, musisz się wyspowiadać! Zrób to dla mnie! Dla mego spokoju! Ja nie wiem, czy ja wyjdę z tego, a jeżeli tego nie zrobisz, to ja umrę na pewno. Słyszysz?!” – patrzyła mi uporczywie w oczy, ostro i błagalnie.

Byłem szalenie zmieszany. W pierwszej chwili zjeżyłem się w sobie i wszystko we mnie skurczyło się jak od nagłego chłodu. Czułem, że muszę Pannie dać konieczną satysfakcję, że jestem jej to winien, że zaspokojenie tej jej egzaltacji będzie z pewnością dla niej zbawienne, a równocześnie czułem gwałt zadawany mnie, sytuację nie do uniknięcia i to prowokowało we mnie pasję. Czas naglił, Panna nie wypuszczała moich rąk i patrzyła błagalnie, raczej to wyczuwałem, bo już było zupełnie ciemno. Zgodziłem się gniewnie i szybko. Była jakby zawstydzona swym żądaniem i przepraszająco tuliła się do mnie.

Wnętrze kościoła było puste i słabo rozjaśnione przez nieliczne światła. Panna znalazła jakąś tercjarkę i poszeptała z nią, i ta znikła gdzieś w drzwiach wiodących do klasztoru. Czekaliśmy bardzo długo. W końcu ukazał się ksiądz, pośpiesznym krokiem szedł do konfesjonału, zdejmował wiszącą w nim stułę i całował krzyż na niej wyszyty. Panna uklękła w cieniu kraty. Pozostałem w cieniu u wejścia do kościoła. Wąskie pulpity ławek lśniły pionowymi blaskami świateł w nich odbitymi. Każdy szmer czy stuk w kościele rezonował echo, któremu towarzyszył szum: długi i drgający ton. Przypominało mi to w dzieciństwie słyszany w czasie wojny z Ukraińcami głos karabinów maszynowych. Naprzód ostre szczekanie serii, a potem idący ścianami lasów szum wielokrotnie zmieszanego echa.

W prezbiterium bardzo oddzielonym od naw zaczęły się jakieś nakazane regułą klasztorną modły. Głosy kobiece zmienione w intonacji i schematyzowane liturgicznym skandowaniem odmawiały litanię. Było w tym dużo uroku i obcości, wrażenie zrealizowanego mistycyzmu, duże wrażenie teatralności. Zastanawiałem się, jak wybrnąć z narzuconej mi sytuacji. Nie praktykowałem już od okresu przełomowego dzieciństwa, poza tym spowiedź przy mej zamkniętej naturze była dla mnie formą ekshibicjonizmu wstrętną, czułem znów, jak kurczę się wewnętrznie przeciw temu, rozumiem niechęć do niej Anglosasów. Z drugiej strony zobowiązywało mię dane przyrzeczenie i za nic bym nie chciał zawieść

widocznego spokoju Panny, spokoju, jaki uzyskała. Patrzyłem teraz na nią klęczącą, byłem na nowo uderzony tym, zapytywałem się, jaką ona może mieć naturę, co z tego, co przeżyliśmy razem, uważa za grzech i jeżeli uważa, to czy tak łatwo jest odwrócić się od tego i czy to samo nie jest także grzechem większym – grzechem nielojalności, grzechem powrotu do spraw łatwiejszych jak miłość, która powinna zawsze być najpiękniejszą łaską daną człowiekowi, choćby wybuchała ona w formie najbardziej fizycznej.

Spowiedź jej trwała bardzo długo albo straciłem rachubę czasu.

Potem widziałem ją, jak wstała z klęczek i podeszła w kierunku prezbiterium. Zdecydowanie zająłem jej miejsce. Pochylony w kierunku kratki konfesjonału milczałem niepokojąco długą chwilę, potem na poruszenie zniecierpliwionego księdza zacząłem mówić:

„Proszę księdza, bardzo mi przykro, że w tym miejscu i czasie znajduję się niewłaściwie. Robię to dlatego, że przyniesie to spokój dziewczynie, którą czekają ciężkie chwile. Nie mogę powiedzieć, czy jestem wierzący, i to nawet nie przez jakikolwiek rodzaj indyferentyzmu, tylko są to sprawy dla mnie zbyt skomplikowane, ażeby je móc samemu sobie rozstrzygnąć. Nie czuję tego, co się nazywa darem łaski, co pomaga może innym w tych sprawach. Proszę nie brać mi za złe, że nie dla siebie w takiej mierze, jak dla kogo innego, stwarzam tę… tę sytuację, a i tak jest to dla mnie ciężkie i nie dzieje się dla mnie bez trudności, i jest to… jest to dla mnie ciężkie. Bardzo księdza przepraszam i odwołuję się do jego ludzkich uczuć. Jestem przy tym śmiertelnie niespokojny i dostatecznie w tej chwili nieszczęśliwy, żeby zapomnieć o tym, że to, co mówię i robię, może być przykrym do słuchania i pojęcia dla kogo innego. Tyle…”

Człowiek za kratkami milczał. Przypuszczam, że był dostatecznie zdumiony i zdezawuowany. Żal mi go było, bo teraz, kiedy ja wytchnąłem ze siebie to, co mię gnębiło, jego koleją był trud. W końcu zaczął mówić. Był na tyle inteligentny, że potrafił zrozumieć mię przynajmniej w pewnej mierze, usiłował nie wypaść z roli, mówił mi oschle i dogmatycznie, nie czułem zresztą żadnej kultury u niego, zresztą czekałem chwili, kiedy się to skończy – sytuacja nieprzyjemna dla nas obu. Czułem pewien żal w jego

głosie i pretensję jak gdyby, ale zarazem zdobył się na tolerancję, której nie spodziewałbym się, sądząc po bardzo prostolinijnym sensie i chwytach spowiednika. W końcu ustał jego szept, wiedziałem, że się teraz modli, potem – „*Ego te absolvo in nomine…*”

Wychodziliśmy z Panną szybko i jak po przykrej kąpieli. Teraz Panna była optymistyczna, a ja z kolei wpadłem w czarne przeczucia. Długo na korytarzu szpitalnym nie mogliśmy się rozstać, niecierpliwił się portier i chorzy nieliczni przemykali się w swych kitlach i szlafrokach szpitalnych w przyćmionych światłach przejść. Potem schodziłem sam z góry i niebo granatowe nad miastem rozpękło się w kawały nad moją rozpaczą i samotnością.

Cała ta historia trwała tydzień – myślę, że najdłuższy w mym życiu. Wstawałem rano z wrażeniem czegoś straconego. Przede wszystkim chciałem biec zobaczyć Pannę. I tu zjawiła się przede mną przeszkoda nie do pokonania. W jakim charakterze? Przecież nie jestem ani jej krewnym, ani mężem – dwie sytuacje naturalne i usprawiedliwiające moją troskliwość. Poza tym strażnicy bram szpitalnych na dole szkarpy okazali swój sprzeciw zniecierpliwiony. Byłem oszołomiony i wściekły. Jak to? To żeby ją oddać tu na pastwę, nie było tu nikogo, a teraz ten mur nieprzebyty? Ukazują mi ogłoszenie wypisane wersalikami na portierce: „Odwiedziny chorych w niedziele i czwartki. Od 4-tej do 6-tej po p.” Przecież niedziela dopiero pojutrze. A jutro operacja, po której może nie będzie wskazanym jej niepokoić. Nic nie pomaga, patrzą na mnie jak na pomylonego. No trudno. Palę papierosy, idę ulicami, wszystko straciło swój smak.

Myślę o operacji. Jak to się odbywa? Szkło, białe malowane olejną farbą ściany, wszystko lśni i odbija. Ordynarny chirurg rezonujący i pryncypialny pochylony nad stołem, gdzie mają uśpić właśnie leżącą nienaturalnie wyprostowaną i długą Pannę. W tym wyobrażonym przeze mnie pejzażu sali operacyjnej staje się dla mnie obca przez dziwaczne koleje, jakie ma przejść, bardziej odsunięta ode mnie, zagarnięta przez sprawy i własne organizmowe perypetie, w które nie sięgnie moja ingerencja. Panna była mniej niż inne mi znane kobiety zaprzątnięta wiednie czy bezwiednie swoją kobiecością i to mię bardziej dla niej usposabiało. Wszystkie te kobiece

historie i histerie, menstruacje, choroby i stany podniecenia, osobowość, wulgarność kobiet, ich logika swoista, swoiste poczucie porządku, gruby materializm, to, co stworzyło tysiące o nich komunałów i płaskich aforyzmów, atmosfery buduarów i niezupełnie schludnych szlafroczków, ten światek i to dziewictwo, i te wszystkie sprawy z nimi związane były mi obce i niemiłe, i z tym nie spotykałem się u Panny w znaczeniu tym, żeby to dominowało w jej życiu kobiecym, i z tym było dobrze. Poza tym wiem, że mię kochała, i przeświadczenie tego położonego w miłości zaufania zobowiązywało, takie „*noblesse oblige*” miłości.

Nie mogłem spać u siebie i przeniosłem się do znanego poczciwosza, naszego wspólnego znajomego, wiecznego studenta medycyny i zaprzysiężonego nudziarza w tej szerokości geograficznej. Zakłopotany wyjaśniłem mu niezgrabnie i z daleka motywy mego najazdu na jego mieszkanie i doskonale mię zrozumiał, i przesadnie manifestował mi swoje współczucie, i bagatelizował szczególne powody mego niepokoju. Piliśmy herbatę i znając jego wstręt do tytoniu, wychodziłem na korytarz dla wypalenia papierosa. Okno korytarza domu położonego na wzgórzu wychodziło dziwnym trafem naprzeciw wzgórz, na których wznosił się szpital. Było stąd bardzo daleko, granatowe cienie gmachów kładły się skośnie na jego ścianach, obliczałem topografię budynku i mogłem ocenić, w którym mniej więcej miejscu znajduje się pokój, w którym położono Pannę. Szpital-sanatorium wyglądał z daleka jak latarnia, oddzielony od miasta wysokością, na której się znajdował, i był dla mnie w tej chwili czymś tak niedostępnym, jak legendarna szklana góra. Zaciskałem zęby i wracałem do rubasznych rozmów z przyjacielem, rozmów, które działały jak narkotyk.

Wieczorem kładłem się do łóżka ze ściśniętym sercem, pełen fantastycznych przewidywań, optymistycznych nadziei i czarnych przypuszczeń. Sam nie wiem kiedy zasnąłem i rano dziwiłem się, że mogłem mieć sny tak obojętne i oderwane od tego, co mię trapiło i ciążyło czarnym osadem na mózgu. Myłem się szybko w umywalni i przerwawszy tę czynność, zbiegłem do portierni do telefonu. Myliły mi się numery i trudno było dostać połączenie ze szpitalem, który był instytucją

ubezpieczalni społecznej i liczył dziesiątki i setki strapionych klientów. W końcu połączono mię z oddziałem chirurgicznym i tu obojętny i pośpieszny głos poinformował mię, że operacja właśnie jest zaczęta, że o wyniku mogę się dowiedzieć tą drogą nie prędzej, jak około godziny pierwszej.

Wyszedłem bez śniadania na miasto i chodziłem bezcelowo. Usiłowałem odpędzić od siebie natrętną myśl, która polatywała jak ćma wokoło mej świadomości. Jest pewien ułamkowy procent możliwości nieudania się, są kwestie serca, to były racjonalne powody, ale miałem jakieś dziwaczne trwogi z innego wymiaru: uczucie drżenia i niemocy, stany niepokoju, jakie chyba przechodzą brzemienne kobiety albo somnambulicy. W ciągu tych paru godzin tysiąc razy ją utraciłem i tysiąc razy ją odzyskałem. Zabłądziłem pod bramy szpitala i myślałem, że ta bliskość mię uspokoi, ale zaraz uciekłem stamtąd, tak właśnie była ona straszną, potem znów zawróciłem i już pozostałem w tamtej okolicy.

To było na grzbiecie wzgórza dzielącego miasto od jego części może najbardziej uprzemysłowionych. Na szczyt grzbietu szedł tramwaj, jego wąsko rozstawione szyny pokonywały wzniesienie ostrymi krzywiznami, na których gwałtownie hamowane wozy wypolerowały ich głowy w lśniące wiraże. Potem był już ostatni szczytowy przystanek, gdzie te szyny urywały się ostro i donikąd już nie można było jechać. Tłuste brunatne plamy smarów na tym ostatnim postoju znaczyły ten „*terminus*”. Szczyt zalegały drzewa parkowe: kasztany i akacje. Budka z papierosami, lemoniadami pomalowana była na szarostalowy kolor. Dalej było ogrodzenie, jakieś sztaby zamocowane w chropowatych betonowych słupkach, i stok góry uciekał raptownie i niespodziewanie w dół, gdzie kłębiły się korony drzew.

Za tą gęstwiną drzew najbardziej zaskakującą, odległą perspektywą rozkładały się zabudowania i tory kolejowe Dworca Podzamcze. Brudnoczerwone pudełka wagonów, czarny żwir popielisk, ostre nici „*marshalling yardów*”, kłębki pary, dalej szara masa dachów kamienicznych i wielookienne tułowie budowli fabrycznych. Kratka ogrodów podmiejskich, śmietniska, składy, domy, domki, małe z daleka reklamy na deskowiskach parkanów, znów fabryki i wyskakujące podłużne

w stosunku do mnie arterie ulic i dróg. Potem pola, osady, kępy drzew, znów fabryczki i zwarta czapa krzaczowisk na terenach rzeźni miejskich. I horyzont, jak brzeg misy na wysokości moich oczu, z obłymi i pustymi wzgórzami i w lewo siniejące lasy Borków Dominikańskich.

Patrzyłem na te horyzonty, nie przeczuwając, że w parę lat potem wyszlę śmierć zamkniętą w skorupach setek granatów na przywarte do ziemi tułowie niemieckiej piechoty w „feldgrau” i obładowanej nabojami i termosami, i zapędzonej tu, i wybitej, żeby zrobić ze swych kości kolię memu miastu.

Przestałem zupełnie myśleć.

O pierwszej poinformowano mię sucho, kiedy nakręciłem numer szpitala, że po operacji, że wszystko dobrze, i powieszono słuchawkę, kiedy właśnie miałem pytania i pytania, i pytania. Znów nie mogłem usiedzieć i znów miasto mię trapiło sobą do niemożliwości. Przeprowadziłem się do siebie z powrotem, starałem się nawiązać strzępy porozumienia ze światem i moja niedawna rozpacz wydała mi się śmieszna, niemęska i zawstydzająca. Napisałem masę słów do Panny, rozczuliłem się przy tym niemożliwie, zamazałem list łzami i nakupiwszy kwiatów i pomarańcz (tak! po operacji ślepej kiszki!), zrujnowałem się ostatkiem pieniędzy na królewski napiwek, który sprawił, że zimny i cyniczny portier z dołu pomknął pod górę jak jeleń, zostawiając wierzeje szpitalne na pastwę losu. Wrócił niebawem i powiedział mi, że pacjentka śpi po operacji. Zaciągnęliśmy się papierosami i zeszedłem do miasta.

[*Courtesy of Department of Special Collections, Stanford University Libraries*]

Gołębie z placu Teodora [I]

Na plac Teodora nigdy nie doszliśmy, nigdy tam przedtem nie byłem i nigdy może tam nie będę. Pewnie pozostanie mi tylko jak obraz własnej wyobraźni – nie sprawdzony, nie skonfrontowany z rzeczywistością. Jak wiele innych, które pozostaną terenem fantazji, nie przyniesie rozczarowań ani nie zaskoczy biegunową innością. Nie bardzo nawet wiem, jak go umiejscowić topograficznie w swoim mieście. W każdym razie, kiedy wybieraliśmy się tam, to w pewnym przeświadczeniu, że dzieje się on gdzieś w stronie, gdzie Krakowskie Przedmieście, plac Solskich, „Paryż".

To było tak: Panna chciała przywieźć swojej koturnowej ciotce jakiś prezent, coś, co miało podpierać pomosty łączące tę damę z nią i jej sprawami. Myślę nawet, że mogła sobie oszczędzić tej fatygi, bo były sprawy i tak bardzo ezoterycznie wiążące ją ze światem jej ciotki. Nie zastanawiałem się nad tym poważnie.

Ten prezent to miał być właśnie z placu Teodora. Więc jeszcze zanim tam wybraliśmy się, stworzyłem ten plac bardzo kunsztownie i precyzyjnie w mojej wyobraźni. Pewnie miał się nie bardzo różnić od innych *marchés aux puces* wielkich miast. A zatem za plecami potrzeba było mieć gmach Wielkiego Teatru i ruch żydowskiej handlowej dzielnicy, a przed sobą szare i ceglane prostokąty „ślepych" murów. I ulice zabłocone i zabrukowane, łamiące się w takt występów i cofnięć bezplanowo wznoszonych ruder. Sklepy, sklepiki, magazyny, stolarnie, składy wapna i skór, budki z wodą sodową i papierosami, zabłąkane drzewka i skwerki, stajnie i wozownie ciężarowych lor, plakaty kinowe palące się na parkanach, rudery, piekarnie i składy masarskie, szyldy: „NAFTA" i „HANDEL ZBOŻA", furmanki chłopskie przy krawężniku, wozy węglowe, smutne czeluście podwórz, wytwórnie lodów i materacy, rajcujące gromadki handlarzy starzyzną, sutenerów i paserów, składy rupieci i mury unickiego klasztoru, kasztany za ogrodzeniami, trzęsące liście na chodnik, i zakurzone szyby bóżnic, szyny

tramwajowe i słoma w poprzek ulicy, bele przędzy konopnej zeszyte stalowymi taśmami i dykta pudeł z drobnicą, rury kanalizacyjne złożone obok kup wyprutej przy robotach ziemnych gliny, niebo w kłaczkach chmur, wróble wirujące w spiralach śmieci podnoszonych wiatrem, krzątanina i ruch gatunku człowieczego przedmieścia, kramy z lichymi ubraniami i żelastwem, i gratami, i tandetnym naczyniem, papierami, pordzewiałymi lustrami i makulaturą.

Mieliśmy tam pójść i znaleźć ten plac Teodora. Nietrudno przyszłoby to, bo już z daleka powinno by się go poznać. Wiatr nanosiłby stamtąd posłańce lekkie i widmowo błądzące w powietrzu, wahające się niezdecydowanie, i białe i kolorowe pióra ptasie: ogony bażancie, lotki gęsie, puch kaczy, pawie oka i bersalierskie trzęsienia kogucich ogonów. No i zaraz zaszumiałby i zatoczyłby się zaułkami gwar ptasich głosów, wieża Babel rozhoworów i konkurs piękności głosów, i challenge wytrwałości na czas i wysokość tonów. A gdybyśmy tam doszli, to znaleźlibyśmy się w jarmarku kolorów i dźwięków, jak na tle śpiewającego dywanu. Pewien nawet nie jestem, czy w fantazji swojej nie przywidywałem nawet zagubienia się i zatracenia naszego w tym oczekiwanym świecie, najbardziej dopasowanym do naszego ówczesnego świata.

Los chciał, że nie doszło do tego. Szliśmy w tym przeczuwanym kierunku, szliśmy ulicą Chorążczyzny, blask słońca łamał się na gipsowych stiukach kamienicznych i w bramie domu, mimo którego przechodziliśmy, stał sobie człowieczek w zniszczonym ubraniu i niewyraźny, i zachciało mi się zapytać, gdzie jest plac Teodora.

„Pewnie, że wim, gdzie, abo co? co panu na placu Teodora?” – powiada pewnie do mnie i jakby wiedział, o co mi chodzi.

„Chcielibyśmy kupić parę gołębi” – powiedziała Panna, patrząc na niego uważnie; szalenie lubiałem ją taką, kiedy rozmawiała z obcymi. Wydawała się, jakby była ich ciekawa, trochę zażenowana, zawsze dobra, niby to ona miała do darowania mu parę wspaniałych gołębi.

„Można – mogie dostarczyć” – powiedział jegomość, ściągając szalik na szyi; ukradkowo spojrzał na mnie, a potem zwrócił się do Panny znów,

jakby to sprawa miała być tylko z nią.

„My chcemy z placu Teodora” – powiedziałem z żalem, że mi ten plac ucieka znowu w niepoznane, i Panna zaraz solidarnie powtórzyła:

„My chcemy z placu Teodora”.

„Ma się rozumieć, proszy państwa, z Placu, ja sam przyniosę”.

Spojrzeliśmy na siebie, potem na oferenta i przystaliśmy; widocznie Placu nie będzie nam danym poznać, zresztą równie dobrze możemy się tam jutro wybrać.

Stanęło na tym, że jutro po południu przyjdzie do nas – do domu, tam gdzie mieszkałem – przyjdzie ze swoim towarem.

Na pierwszym piętrze domu, w którym mieszkałem, od frontu mieściła się redakcja „Głosu Powszechnego”. Wchodziło się tam po schodach oświetlonych wysoko, gdzieś na czwartym piętrze, światłem przepuszczonym przez szyby kolorowe witrażu, który nadrabiał braki smaku artystycznego patriotycznymi epizodami.

Dziennik był organem rzekomo niezależnym. Nieprzyjaźni twierdzili wprost, że dysze dzięki pieniądzom z wydziału bezpieczeństwa. W każdym razie było tam krucho z tymi pieniędzmi i zdarzało mi się być świadkiem żenujących i nieprzyjemnych sytuacji. Myślę, że dziennikarstwo jest w swych objawach bardzo zbliżone do funkcji par excellence fizjologicznych i na przykład redaktor piszący artykuły wstępne może dać znakomity, wprost kliniczny obraz po prostu sprawności trawiennej swego żołądka czy skutków używanych narkotyków.

Redakcja przypomina mi sztab brygady kawalerii. Jest drugi redaktor od wstępniaków – rodzaj zastępcy i szefa sztabu. On prowadzi politykę dziennika, patrzy na niebezpieczne horyzonty. Kierownik administracyjny, kwaśny i rzeczowy, urzęduje ze swymi adherentami, zagłębiony w papierach i kwitach jak kwatermistrz. Redaktor sportowy, elegancki i rzadki jak kanar w siedemnastym wieku, zlatuje na mgnienie oka i pozostawia za sobą zielone sportowe serwisy PAT-a. Redaktorka działu kobiecego, spokojna i zrównoważona w tym odrapanym lokalu, pomaga właściwie wszystkim po trosze. Jest jeszcze poza tym reporter sądowy, reporter miejski i dwu redaktorów nocnych. Aha, jeszcze

specjalista od kroniki prowincjonalnej. Na najniższym szczeblu Grzegorz, goniec redakcyjny.

Jeżeli chodzi o redaktora naczelnego „Głosu Powszechnego”, to była to osobistość może najmniej mi znana. Stale robił na mnie wrażenie człowieka jakby sobą samym zażenowanego: swą śmiałością, że potrafi, da radę prowadzić dziennik, swą rolą miniaturowego Hearsta. Był należycie, jak na dużą odpowiedzialność i ekwilibrystykę dziennikarską, zajęty i rozczepiony na czworo, ale w zetknięciu się ze mną, w chwilach przytomności miał jakieś uczucie podziwu i niespotykanej u niego ciekawości widzenia stworu o najodmienniejszym trybie i dezyderacie życia.

Redakcja mieściła się w kilku pokojach, które tworzyły prawdziwy labirynt, skomplikowany jeszcze przez całe continuum szaf, półek i stosów starych gazet. Jedno z labiryntowych przejść prowadziło do drukarni, której okna wychodziły na wybetonowaną studnię podwórza. Tu schodziłem ze swego piętra w oficynach, kiedy o jedenastej wieczorem rzucałem w kąt czytaną książkę i wiedziałem, że siedzący pod jaskrawą lampą redaktor nocny ucieszy się na mój widok. Trzymając w tej samej ręce bułkę z szynką i słuchawkę telefonu, notował jakąś korespondencję i kiwał mi porozumiewawczo głową. Siedział przed stołem, na którym prócz telefonów pokaźne miejsce zajmował słoik z klejem zastygłym na jego ścianach w narośle koloru bursztynu. Poza tym błyszczały tam nożyce, które mi nieodwołalnie przypominały Hamsunowskiego nożyczkarza z *Głodu*.

Wertowałem plik gazet rozmaitego autoramentu, zeszyty w „komplet”, poza tym z nudów zagłębiałem się w periodyki wszelkiego rodzaju, którymi wymiennie obsyłano redakcję. Moje nieodpowiedzialne zainteresowania, automatyzm i nuda kazały zagłębiać się w tygodniki polityczne, traktaty ekonomiczne, miesięczniki z zakresu racjonalnej hodowli konia wyścigowego, biuletyny katedry kosmogonii i astronomii wydawane przez uniwersytet, serwisy humorystyczne agencji budapeszteńskiej. Szmer redakcyjnego wodociągu w wieczornej akcji był znakomitą kanwą do moich myśli.

Powracałem do siebie przez drukarnię, gdzie mnie wszyscy tolerowali. Wymieniałem skinienia głową z maszynkarzami od linotypów, grubym i olbrzymim panem Wolfem, pierwszym maszynistą, i zecerami od składu ręcznego. Arystokracja pracowników graficznych – metrampaże byli ze mną w przyjaznym porozumieniu. Nawet z cynicznymi pracownikami ekspedycji byłem w stosunkach grzecznej i chłodnej komitywy.

Stara płaska maszyna bijąca „wywieszkę" ostatni raz ruszała w nocy około pierwszej. W stosunku do mojej czwartopiętrowej pracowni była bardzo głęboko w pionie położona – w suterynach, ale grzmot i łoskot jej ruchu potrafiłyby śmierć samą obudzić. Naturalnie z czasem znakomicie się do niej przyzwyczaiłem, jej regularny, okresowy marsz nie robił na mnie wrażenia.

Dom poza tym zajmowały jeszcze jakieś biura, poza tym mieszkali tam jeszcze ludzie, których, mimo wieloletniego sąsiedztwa, nigdy nie poznałem i którzy mnie zgoła nie interesowali. Na kilku wychodzących na podwórze balkonach służące rano trzepały mieszczańskie kurze i to – ten poranny werbel – doprowadzało mnie zawsze do wysokiego punktu rozbawionej rozpaczy.

Następnego dnia około umówionej pory zjawił się ów niepozorny jegomość w szaliku na szyi i pod połą luźnej marynarki, za druciane ucho trzymał klatkę z parą gołębi. Mrugnął do mnie porozumiewawczo i pokazał w uśmiechu popsute zęby. Gołębie były nastroszone i grdukało w ich puszystych gardłach, i było im ciasno w klatce o zardzewiałych drutach i zaśmieconej odchodami ptaków i łuskami nasion.

Powiedział: „Całuję-rączki" w kierunku Panny, wyjmował te gołębie, zręcznie przytrzymując uchwytem palców ich rozczapierzone ogony i koralowe szpony – robił się beztroski i swobodny: „Fajne ptaki – niedrogo – to z Placu" – ale nie ukrywało to jego niepokoju i nerwowego tiku, z jakim oglądał się poza siebie. Nie było to uderzające, ale atmosfera stała się w dziwny sposób niezwyczajna i naelektryzowana.

Moja sąsiadka, zainteresowana naszym zakupem, poradziła mi zasięgnąć opinii pana Szczepaniaka, który był starym zecerem od składu ręcznego i podobno zamiłowanym hodowcą i znawcą gołębi.

Na pierwszym piętrze oficyny mieściły się drukarnie. Były wyraźnie przedzielone na linotypy i zecernię od składu ręcznego. Sala linotypów wypełniała podwórze szelestem i stukiem maszyn, zecernia była ciemna od czernidła drukarskiego i tutaj, wśród skośnych kaszt z czcionkami, panowały spokój i cisza. Jak wiadomo, składanie szpalt nie odbywa się przez potrząsanie czcionek w przetaku. Mechanicznymi ruchami wybierają zgarbieni zecerzy czcionki z kaszt, przedzielają je spacjami i wiążą w gotowe składy. Czarna pajęczyna czepia się żałobnym welonem kątów sali. Tłusto lśni rozwałkowane czernidło.

Pana Szczepaniaka znalazłem w tej ciemnej zecerni i znalazłem go wcale opryskliwym i nieufnym, ale temat mej sprawy powoli go atrapował. Tak – znał się na tym – panie tego – nie od dziś – ale – panie tego – co za zainteresowanie się u mnie – patrzył na mnie nieprzychylnie sponad okularów – pewnie – pewnie – znawstwa gołębi nie nabywa się – panie tego – z dnia na dzień – owszem, ma gołębie – państwo szukali na Placu – tam mają – ale ja tam – panie tego – ja nie chodzę – to nie mój interes – mówił, niechętny i zagniewany.

Ale kiedy wychodziliśmy, to szedł za nami, jednak amator, interesował się, przytrzymywał mnie za rękaw i: to niech pan pokaże, przyniesie – powiedział i wrócił do kaszt.

„Pierwszorzędne” – rozpoczął zachwalanie człowiek w szaliku na szyi – „państwo mają szczęście, żebym się z tego miejsca nie ruszył: królewska para i młode to, i zji niedużo, sam więcej znajdzie, za nic, za bezdurno – z Placu – ja mówił, że z Placu” – instynktownie czarował tym Placem i wydawało się, że zamknięty z ptakami w klatce plac Teodora wylewa się przez uchylone druciane drzwiczki na pokój, wylewa z okien w podwórze kamieniczne i milczącym zgiełkiem przewala się ponad dachy domów.

Panna tuliła policzki do nastroszonych piersi gołębich – byłem niezdecydowany. Zdumiony i urzeczony patrzyłem na gołębie, które przekrzywiając głowy na bok, patrzyły na mnie paciorkami oczu – raz jednym, raz drugim.

Człowiek w szaliku przytrzymywał uprzykrzone drzwi, brał gołębie z rąk Panny, gruchał jak one, dmuchał w puch ich piór, z przepaścistej kieszeni

wysypywał na dłoń proso i podsuwał im do dziobów, wzywał na świadka ciekawą sąsiadkę, która tymiż drzwiami usiłowała się wcisnąć, pieszczotliwie wzywał swoje gołębie ich imionami i gwizdał na nie, i było to gwizdanie podobne do świstu wiatru w kominie.

„Ma się wiedzieć” – mówił – „w dobre ręce pójdą, tylko im prosa podsypać, a klatkę, niech stracę, dodam; gwarancja, dobrodziejko, że para, takiej drugiej nie znajdzie na Placu. Niedrogo – dziesiątkę – klatka na dokładkę – słowo uczciwości: para”.

Byłem niezdecydowany. Sąsiadka patrzyła powątpiewająco; łypnął na nią obrażonym okiem i uciekła.

Panna śmiała się, siedząc na mym łóżku, i tuliła krętoszyje, ozdobne kryzami i o pierzastych łapkach gołębie, i wyglądała jak Velázquezowska Wenera z gołębiami.

„Zaraz” – powiedziałem i przez okno, w podwórzowej bramie zobaczyłem dwu innych: jeden gruby w płaszczu i drugi z klatką pod pachą, i mówili coś z żoną stróża, i pokazywali na moje okna.

„Zaraz” – powtórzyłem i skierowałem się do drzwi, i w drzwiach zderzyłem się z żoną stróża, która wycierała ręce w fartuch i miała jakieś widoczne pretensje do mnie. Nie byłem najświetniejszym ani też najczcigodniejszym lokatorem i Circe pytała mnie ironicznie, czy Plac to mój interes i czy wiem, że pan Szczepaniak ataku sercowego dostał, i czy oni – ludzie pracy – to znaczy: ona i jej mąż, nie mogliby mieć spokoju, kiedy są uczciwi, i czy pan major Sobolewski, gospodarz, wie, i że w rezultacie ma mi coś powiedzieć, i ciągnęła mnie za rękaw. Mówiła głośnym szeptem:

„Panie, taż to, uchowaj Boże, czy pan wie, co to u takich pchnąć człowieka nożem? to nic; że »konkurencyja« dla [takich] to jak dla wściekłego psa? co pan sobie i nam nieszczęście na głowę sprowadza?! Ja nic do tego nie mam, ale niech Matka Boska broni…”

Nie rozumiałem, o co chodzi. Na schodach stali maszynkarze od linotypów, w kamizelkach, z rękawami koszul zakręconymi po łokcie, żulikowskie typy z ekspedycji zamieniali ironiczne wyzwania z podwórzem.

„Gdzie pan Szczepaniak?” – zapytałem dwu chłopców praktykantów zecerskich – stali w oknie, zainteresowani, i patrzyli w bramę domu, i tam zobaczyłem opartych niedbale o poręcze schodów, rajcujących w bramie i kupiących się u wyjścia ludzi: wyrostków, tęgich kupców. W klatkach pod klapami podniesionymi surdutów trzepotały się skrzydła i rozkładały wachlarze ogonów gołębie – białe, siodłate, srebrne, szare jak sól z pieprzem, siwe, popielate, dropiate, perłowe, brunatne, indygowe, mieniące się tęczowo i gołąbkowego koloru gołębie, i gruchanie słodkie i gołębie wypełniało podwórze domu. Plac przywędrował aż tu, dotąd.

Pana Szczepaniaka znalazłem w kącie, dłubiącego w kasztach; na mój widok obrócił pobladłą twarz i powiększone źrenice oczu w czerwonych obwódkach powiek. Był zdekoncertowany i szeplenił coś niewyraźnie, z czego jedynie „panie-tego” zrozumiałem. Nie chciał w końcu ze mną zresztą mówić i wypraszał mnie bezceremonialnymi gestami z zecerni. Co u licha?! Chłopcy z zecerni śmiali się niespokojnie, a ja, nie mogąc nic wydusić ze starego, wróciłem na górę.

Gruby pan Wolf od maszyny rotacyjnej, czerwony i zasapany, ukazał się z suteryn, gdzie naoliwiony potwór maszyny rotacyjnej lśnił w kaskadach światła elektrycznego. Pan Wolf, olimpijski i olbrzymi, miał dla mnie pełną dystansu i godności sympatię i teraz, wbrew zwyczajowi, przełamał swą rezerwę i informował mnie przyciszonym basem:

„To mafia, panie, ci gołębiarze, to gorzej niż frankmasoni. Patrz pan, Szczepaniaka mało szlag nie trafił ze strachu, oni się znają między sobą i kundmanów sobie wydzierają, i amator to dla nich wróg, i lepiej niech to pan zostawi dla spokoju, panie szanowny – to gangsterzy i sitwa. Pójdź pan i zobacz. Ale co – pluń pan na to” – i chrząknąwszy z niesmakiem, schodził do hali rotacyjnej po spirali żelaznych schodów, które gięły się pod jego ciężarem.

Śmiać mi się chciało na myśl o gołębiarzach – czerwone i skrofuliczne twarze, postawione kołnierze i wymięte czapki konkurentów – gołębiarze – jakieś Trinity House czy Rotary Club ekskluzywności. Byłem oszołomiony tym wszystkim. Mam się za człowieka pozytywnego i oto, jak w powieści Kafki, coś irracjonalnego zaczyna dziać się koło mnie. Astralna orgia.

Panna w obłokach i tęczy skrzydeł gołębich, tęczowe lśnienia promieni słonecznych na szybach, furkot i łopotanie lotek, barokowe i ażurowe klatki i zgrzyt nasion pod obcasami. Przedmioty tracą swe oczywiste wymiary: bliższe, wbrew prawidłom perspektywy, uciekają i maleją jak widziane przez odwróconą lornetkę, inne, dalekie, chorują na elephantiasis i rosną, i mętnieją w swym nienaturalnym przybliżeniu, klasyczna jedność i czasu, i akcji, jakiej podlegamy, gubi się w tym delirium.

Usiłuję przywołać się do porządku i zapędzić rozbiegane myśli i obrazy z powrotem na dawne miejsca. Decydujemy się bez wielkiego targu.

Plac zaczyna się powoli ulatniać z naszego domu. Odurzający jak zapach rozlanego eteru, jak eter ulatnia się i umiera. Jego heroldzi nakrywają klatki połami zniszczonych palt. W studni podwórza lądują ostatnie puchy piór. I dom wraca do dawnego porządku. Maszynkarze stukają w klawisze linotypów, stróżka pochyla się nad mydlinami w balii i Grzegorz, goniec redakcyjny, gwiżdże, zbiegając po schodach.

Klatkę pomalowałem na czerwony wesoły kolor i długo schła potem, plamiąc nam palce. Gołębie okazały się parą samic, jak uspokojony i niepoprawny jednak amator, pan Szczepaniak, zawyrokował, kiedy przyszedł do siebie po nerwowym szoku. Zostaliśmy bezwstydnie oszukani. A koturnowej ciotki i tak to nie zjednało dla mnie.

Na prawdziwy plac Teodora nigdy jednak nie doszliśmy, nigdy tam przedtem nie byłem i nie wiem, czy kiedy będę.

[prwdr. „Wiadomości Polskie Polityczne i Literackie” 1944, nr 7]

Ogród Jezuicki

Można przesiadywać godzinami pod wysokimi drzewami Ogrodu Jezuickiego. Leży on na łagodnym stoku nachylonym ku północy, dlatego nigdy nie będzie wypalony przez prostopadłe promienie słońca, a wysokie drzewa użyczą mu zawsze ochrony.

Wysokie drzewa! Rosną grupami, ich pnie nie zawsze pionowo wznoszące się zaczynają się rozwidlać dopiero na zawrotnej wysokości kilkudziesięciu metrów. Srebrny liść topoli nadwiślańskiej przeplata się z czerwonym liściem buku. Chyba nic na ziemi nie uwydatnia tak dobitnie naszej zależności i pędu do słońca, jak gałęzie drzew. Bo żeby się tak oderwać od ziemi, rozstrzelić na tysiące gałęzi i gałązek, które zazdrośnie i przemyślnie szukają własnej drogi do słońca, zakołysać się w osiągnięciu i zachwycie pod jedyną i nieziemską czaszą błękitu, to potrafią to tylko drzewa. Myślę, że najbardziej chyba godnym przetrwania i najwspanialszą reinkarnacją dla człowieka byłoby przeistoczenie w drzewa – być parą Filemona i Baucis i zostać wiecznie razem drzewami.

Od czasu do czasu miałem być świadkiem śmierci drzew. Bywało, że jakiś energiczny kierownik parków miejskich przerzedzał albo usuwał chore czy niepotrzebne osobniki. Wtedy przez długie dnie można było widzieć flegmatycznych drwali pochylonych i manipulujących u dołu pnia wybranego drzewa. W otoczeniu niezawodnej grupki gapiów przy pomocy wyślizganych przez pracę i ręce narzędzi podcinali u dołu nieobjętego kolosa. Dziwnym było patrzeć, jak korona drzewa żyła i szumiała wysoko w górze, na wyżynie sześćdziesięciu metrów, a szeroka piła w zęby w jaskółczy ogon cięła włókna i słoje, a stalowe obuchy toporów wbijały kliny o rozczapierzonych głowach.

Potem w jakiejś niewiadomej chwili następowało kołysanie się wahające drzewa, które nagle wyrwane zostało z życia i postawione na krawędzi nieuniknionego, i nagle! rwąc liny i łamiąc z trzaskiem drzewa i bariery

wokół, w rozpaczy walił się ten świat zielony na ziemię. Potem jeszcze parę trzasków, jakieś stare liście – nie wiadomo, skąd się wzięły – zakręcają się w powietrzu i lądują między gmatwaniną gałęzi – i spokój…

Przez wiele dni potem najemnicy przecierają trzon na olbrzymie człony, siekiera unosi się z zamachem nad kolanami gałęzi, gapie mniej widowiskowo, raczej filozoficznie asystują tym pogrzebowym obrządkom. Po tygodniach miejsce zostało wykarczowane i przekopane, zieloniutka ruń świeżo zasianej trawki ukazuje się spomiędzy czerwonych grudek i jedynie naprawione ogrodzenie świeżością drzewa i naciągiem drutów wskazuje, gdzie padło drzewo.

Nie należy do najweselszych zajęć obserwowanie śmierci, a śmierć drzewa potrafi być równie wstrząsająca, jak śmierć człowieka.

W tym to Ogrodzie Jezuickim przesiadywały niańki z żydowskimi dziećmi z rodzin postępowych, bezrobotni, weterani powstania [18]63 roku, studenci prawa nad pandektami i w niedzielę po południu służące, które mają „wychodne”, i żołnierze na przepustce (*servantes et les militaires* – jak mówiła babcia Panny).

Dom babci stał naprzeciw Ogrodu.
Czarne gałęzie drzew parkowych na tle czerwonych ścian tego domu wycinały się jak siatka na czerwonej popękanej lace. Okna były zakratowane i okno pokoju Panny znajdujące się ponad bramą wjazdową wydawało się oknem, przez które zaraz wyjrzy kasztelanka – tyle dziwacznej sztuczności, jakiegoś chorobliwego romantyzmu, w ogóle - atmosfera kompleksów zaczęła narastać wokół tego wszystkiego.

Kiedy zdarzyło się, że w okresie rekonwalescencji przyszedłem raz do szpitala (był to dzień odwiedzin chorych z tymi straszliwymi „od 14-ej do 15-ej”) i kiedy w czeredzie kochających bliskich tych wszystkich, którzy tu cierpią, obładowanych rozmaitymi rzeczami do jedzenia i innymi niepotrzebnymi, wszedłem w podwoje szklanego sanatorium i po lśniącym linoleum do sali, gdzie było jej łóżko, przekonałem się, że jest ono puste. Chore towarzyszki z zaciekawieniem i satysfakcją, i współczuciem powiedziały mi, że Panna wyjechała już dzisiaj w towarzystwie ciotki dorożką. Jakbym dostał obuchem w głowę!

Wróciłem do miasta, kąsając wargi, i chwile minęły z czerwonymi płatami żalu i wściekłości przed oczyma, zanim nie zacząłem pisać listu. Potem zaklejałem go i śliniłem znaczek, przylepiając go w rogu.

List odniosłem na pocztę, a sam poszedłem, gdzie Ogród Jezuicki i dom jej babki. Wiedziałem, że tu jest, że nigdzie dalej jej nie powieziono, i chodziłem krętymi ulicami parku, drzewa mijały się ze mną i pomiędzy sobą i czerwony dom zasłaniał się i odsłaniał wzgórzami i fałdami Ogrodu. Żwir zgrzytał pod podeszwami spóźnionych przechodniów i szemrał daleki ruch uliczny.

Potem zaraz dostałem list od niej, list ogromnie przestraszony i tłumaczący coś, ale przede wszystkim wzywała mię do siebie i zaraz, natychmiast poszedłem do tego czerwonego domu. Ona stała w tym oknie nad bramą zabawna, urocza i kochana, jak kasztelanka z romansu dla kucharek. I wyszła do mnie na schody, i zaprowadziła do ciężkiego wiktoriańskiego salonu, niczego nie widziałem, tylko ją samą.

Ignorowaliśmy domowników, którzy – obrażeni, nadąsani i arystokratyczni od pokojówek do ciotek – dyskretnie, uprzejmie demonstrowali wstręt do tej nieuniknionej sytuacji.

Pojawił się na horyzoncie karzełkowaty gryfon As, Asik, i on jeden raczej przychylnie ustosunkował się do nas dwojga.

Puls wybijał mi czas.

Panna przyniosła jakiś tam aparat fotograficzny z nieskomplikowanym obiektywem i w słońcu balkonu od podwórza narobiliśmy ogromnie wiele „*snapshotów*” nawzajem sobie i w towarzystwie Asa.

A potem nie trzeba było tłumaczeń i wyszedłem, i mieliśmy się znowu widzieć.

Było już późne popołudnie, wieczór, i zapamiętam to popołudnie, ten wieczór, na całe życie.

„Panie mistrzu, nie da pan szluga?”

Dziunek Fisz mówił najohydniejszym slangiem i miał delikatne ręce o długich wrażliwych palcach.

Dziunek Fisz miał najdłuższy okres zarobkowy w swym życiu, kiedy raz przez trzy dni zrzucał śnieg z dachu Hotelu Krakowskiego po nawałnicy

śniegowej, która zatopiła miasto w białej pierzynie.

Kiedy duca d'Aosta podbijał Abisynię, wybierał się ten Dziunek do Addis Abeby i nosił przez szereg tygodni przydomek „Abisyńczyka".

Potem wybierał się na wojnę domową do Hiszpanii, nie precyzując i niepewny, czy jest po stronie falangistów, czy republiki.

Normalnie jednak sprzedawał w pasażu Mikolascha drut ołowiany pocięty w kawałki jako „kamyczki-do-zapalniczki" albo prezerwatywy „»Olla«…gum?", patent odznaczony złotym medalem na wystawie higienicznej w Cluj, a wieczorem można było słyszeć, jak recitativo skandował na ulicach: „»Falianga« – pismo-przeciwko-Żydom-kurwa-ich-w-dupę-dyszlem-zajebana-mać-dziesięć-groszy – »Falanga«!" – kończył tryumfalnie jednym tchem wyparty slogan.

„Daj pan się sztachnąć!"

Ale Dziunka Fisza spotkałem już zupełnie późno wieczorem.
Kiedy przed wieczorem wyszedłem z domu „babci" mojej Panny – zgrzytnęło szkło pod moimi obcasami.

Wieczór zasnuwał się ciężkimi chmurami, ciemnogranatowymi chmurami. W jednym tylko miejscu psuł się ten ich kolor na brudnorudoczerwony i ta osobna chmura na tle tamtych, martwo zawieszonych w powietrzu, żyła i kłębiła się, i rzedła, i nadpływały jej z dołu w sukurs kłęby nowe i tłuste. I wtedy uprzytomniłem sobie, że nie jest to chmura – pali się gdzieś – pomyślałem.

Paliło się w stronie, jak Kazimierzowska ulica.

Koło poczty szkło znów zgrzytnęło na chodniku. Rolety sklepów były opuszczone, ale niektóre wisiały krzywo, inne w ogóle nie były zaciągnięte i wtedy można było widzieć tafle szyb wystawowych pęknięte i wywalone kawałami na chodnik.

Ten nieporządek i nienormalność zaczęły mię, zajętego myślami, drażnić i powoli wdzierać się do mojej świadomości.

Ulice były puste i bez życia, wieczorne światło nieciło błyski w tych szklanych inkrustacjach bruku.

Nie było żadnego ruchu.

Kiedy wszedłem na ulicę Kazimierzowską, przekonałem się, że pali się nie tam, ale wyżej, jak początek Gródeckiej, gdzie były jakieś składy, i widać tam było czerwone iskry buzujące w powietrzu, i łuna czerwona odbijała się w szynach tramwajowych.

W poprzek ulicy leżał wywrócony tramwaj; wydawał się bardzo ażurowy bez szyb, które rozsypały się szklanym pyłem. Był czerwony jak pomadka do ust i jego spód, jak podbrzusze chrabąszcza, wstrętny i inny od gładkiego i malowanego nadwozia, ukazywał ukrytą za normalnego dnia maszynerię silnika elektrycznego „Siemens-Schuckert $" i skomplikowany system pneumatycznych hamulców „Brown Bovery". I mimo tego wydawał się tandetny jak zabawka nakręcana kluczem popsuta i pozostawiona w niełądzie na środku dziecinnego pokoju.

Teraz już szkło nieprzerwanie zgrzytało i zgrzytało pod nogami i w tym zgrzycie nadchodził ktoś naprzeciw mnie, i był to ktoś znajomy – doktór Chełdziarz.

Doktór Chełdziarz chciał specjalizować się w kardiografii, ale dyżurował na stacji ratunkowej.

Wpadł na mnie i zapytał:

„Nie ma pan papierosa?"

Zdziwiony, bo nienawidził tytoniu, poczęstowałem go i zaciągnął się, i zaklął:

„Do dupy – rozumie pan? – do dupy z całym humanitaryzmem i resztą. Czy pan wie, ilu ja dzisiaj obrobiłem?" – chował poplamione mankiety od koszuli…

„Co się stało?"

„Co się stało?…"

Poprzedniego wieczoru szedłem z Tadziem Warą na nasze zebranie.

„Poczekaj – zaraz" – mówił mi przed drzwiami Tadzio Wara – „już mam! –

…Gdym po raz pierwszy w dom ten wchodził,
Ktoś z bywałej tutaj młodzi
Tak mi rzekł o domu tym:
– Mama kurwa, tato złodziej,

Syn, rzekłbym, mię nie obchodzi…
Ale córkę poznałbym…”

Schodziliśmy się bardzo przypadkowo. To były półoficjalne *meetingi*, te rzadkie posiedzenia Trubadurów i Truwerów z przewodniczącym, zbieraniem składek (nie wiadomo na co) do kapelusza. Nieodzownych parę dziewcząt, które co żądniejsi ekscytującej atmosfery sprowadzali. Spóźniliśmy się na to i już zastaliśmy Bochenka, który zagłębiony w fotelu, bez śladu swego ulicznego zakłopotania i tępoty, w wypchanych spodniach i wykrzywionych butach mówił pryncypialnie na tematy filozoficzno-literackie z erudycją seminaryjną pomieszaną z paradoksami i oryginalnością jednokierunkowej manii.

Tadzik Wara ze swą trupią głową i świecącymi w oczodołach błękitnymi oczami ukazywał w szyderczym uśmiechu zęby jak zęby *caput mortis* i przerywał mu dowcipami, które swą brutalnością i „*obscenity*” szarpały nawet nas, tak zblazowanych.

Połmiński siadał do fortepianu – miał nieprzyjemny tik przed grą: prężył się, przecierał sobie, a raczej naciskał gałki oczne palcami, zanim te palce położył na klawisze, widać je było odbite w lśniącym lustrze pokrywy, tam gdzie nie było złotego napisu: „W. Szkielski i Syn, Fabryka Fortepianów” – i Rachmaninow wypełniał wnętrze pokoju. Nie lubiałem jego interpretacyj, które wychodziły jak utwory paranoiczne z szumiącym u szczytu snobizmem i minoderią.

Nowi goście rzucali płaszcze w przedpokoju na stos i nonszalancko ignorowali panią domu, na którą tym razem padł los goszczenia zebrania. To, zdaje się, wtedy była pani Bentzowa, przezywana „Mercedes”, a jej córka kolejno adorowana przez Trubadurów miała więcej realnego poglądu na te sprawy aniżeli mama.

Wszyscy mówili hałaśliwie i prawie naraz.

„My, ludzie sztuki” – zagłuszał innych Bochenek – „jesteśmy, prawie można to generalizować, jesteśmy bez charakteru. Jeżeli jest to smutne z jednej strony, to z drugiej właśnie ten brak charakteru, rachityczność kręgosłupów, ciastowatość psychiki daje nam możliwości, materiał, jakiego

nie będzie miał pierwszy lepszy posągowy i jednotonowy przedstawiciel solidności i nudy”.

„O bohaterstwie” – wpadła Halina Chwacka – „może napisać coś porządnego jedynie człowiek, który zaznał szalonej, zapędzonej w beznadziejność trwogi”.

Wara: Ależ, myszo polna, nie może być to atonia cech charakteru, gdyż rezultatem byłaby matowość, jak u tych posągowych.

Halina Chwacka nie lubiała Wary, ograniczyła się do pokazania mu języka.

Połmiński (od fortepianu): Raczej to będą stałe niepokoje, nawrócenia i feniksowość zjawisk.

Bochenek: W każdym razie ten brak charakteru nie jest czymś przyjemnym. Czy nie zdarza się wam spotkać kogoś spoza naszego koła i czy nie jesteście – mówię o przykładzie egzo, bo na siebie nie jesteśmy już czuli – i czy nie jesteście potem ogromnie rozczarowani? Temu nie można zaradzić. Wypływają oczywista dysproporcja i fałsz pomiędzy tym, co piszą, a jak żyją, jak wyglądają, jak są prostaccy, bez manier – naturalnie w tym metafizycznym znaczeniu – pretensjonalni, często gromadzący w sobie dużą część grzechów głównych.

Wara: Naturalnie, ponad tym wszystkim góruje kabotyństwo…

Bochenek: Wydaje się, że ludzie sztuki – może nie wydaje się, ale tak jest w rzeczywistości – z powodu odżegnywania się od przeżywanej rzeczywistości boją się potem o te utracone okazje, zaklinane przez nich w tłuszczu farby drukarskiej, i starają się zrekompensować to w jakichś gierkach, które właściwie są niegodne nie tylko ich, ale człowieczeństwa w ogóle.

Wara: Ależ gra, aktorstwo są bardzo, przyrodzenie ludzkimi. Myślę, że tylko bardzo roślinne natury instynktowców są tego pozbawione. To jest świadomość, żądza świadomości istnienia i to właśnie odgrywa w tym taką rolę. Nie przerywaj, myszo polna – to twoje bohaterstwo, najbardziej bezimienne bohaterstwo, kiedy jest niezauważalne dla samego subiektu tego bohaterstwa, właściwie nie jest już nim, jest niczym. Jeżeli na przykład zechcemy wyobrazić sobie jakiś skoncentrowany oszałamiający czyn, to

jeżeli będzie on pozbawiony tła porównawczego, widza, warunków dramatyczności – to właściwie będzie on niczym jeszcze raz. Jeżeli w pierwszych dniach stworzenia działy się na ziemi rzeczy wspaniałe, straszne: jakieś erupcje fantastyczne, orgie drgających kolorów widm płomieni, które od milionów lat już nie wybuchają, wypalone, albo gigantyczne symfonie dźwięków, to wszystko wspaniałe, godne chwili stawania się rzeczy – i nie były przy tym obecne i przytomne egzemplarz mózgu i jakaś świadomość gotowa do odebrania, apercepowania tego, to właściwie tamto wszystko nie istniało równie dobrze dla nas, po prostu marnowało się do tego stopnia, że nie warto temu poświęcać myśli.

Połmiński: A ja wam powiem, że dochodzenie tych rzeczy to tak jak na przykład doszukiwanie się już archeologiczne mowy sprzed tysiąca czy dwu tysięcy lat, żeby z zachowanych ułomków posklejać jakiś cień tego, co było i żyło, i to jest manią bez wartości, jak zbieranie starych korków. Jedynie godne człowieka jest przeżywanie tego, co jest teraz. Jest to najbardziej szlachetne i godne – żyć! Stąd wypływa instynktowne przywiązanie do życia u wszystkich: u ludzi bez wyjątków, u zwierząt, u roślin. Cała pełnia życia wynika z potwierdzenia jego istnienia. W pewnej mierze możemy to potwierdzenie mieć w sobie, w pewnej mierze dobudowujemy je sobie, jest możliwe dla nas dzięki naszej zdolności kontemplacji zjawisk. Dlatego, mając to doświadczenie widzów, wiemy, jaką wartość powtórnego przeżywania daje aktorstwo, i dlatego dogrywamy jeszcze swoją rolę, i stąd to Warowskie aktorstwo.

Umilkł, przegrał jakiś pasaż, żeby mu ktoś nie wpadł w słowa, ale dokończył zniechęcony:

I ta satysfakcja jest okupiona w nas samych goryczą tej świadomości…

Potem piliśmy wódkę, głosy się zmieszały, ktoś informował: „…ależ kamena to jest nimfa leśna…”, ktoś żałował, że nie ma Bronka Wojtskiego, mistrza w grze na ustnej harmonii, a Bochenek mówił:

„Dzisiaj zajęty Pauliną – gra na jej organach płciowych…”

„…zdrowie dam pije się dlatego” – falset Wary – „bo kiedy damy są zdrowe, to i my jesteśmy zdrowi”.

To już było późne rano, kiedy pijani wracaliśmy rynkiem. Stosy zieleniny zwożonej na targ i ruch porannego handlu.

Z trudem udało nam się ściągnąć ze straganu Połmińskiego. Wydrapał się tam, żeby mieć mowę do przekupek.

W dwie godziny potem bezrobotni stali tam tłumem i z magistratu wyszli ich delegaci.

W pół godziny potem jeden z nich w nielegalnym pochodzie przez plac Akademicki został zabity kulą z policyjnego rewolweru. Jego zwłoki rzucono na pustą lorę meblową, wyprzęgnięto konie i ta lora, wleczona w pośpiesznym demonstracyjnym orszaku, została pozostawiona na placu Bernardyńskim, kiedy rozszalały ze strachu tłum rozbiegał się pod poszerzanym niezdarnym zdenerwowanym ogniem z policyjnych karabinów maszynowych…

To już było południe i wtedy byłem w domu babci Panny, tam gdzie Ogród Jezuicki.

„Co się stało?”

„Panie – jak się siedzi w tym od pierwszego pokazu prosektora, to można już być zblazowanym wreszcie. I nawet jestem dumny ze swego cynizmu – ale jak się stanie twarzą wobec takiego zjawiska epilepsji, jakie da tłum, to może wstrząsnąć. Czy pan wie? Och, wyobraź pan sobie dwa tłumy: wielki tłum – chaos, ekscytacja, trwoga, i drugi – mały, kilkunastu tchórzów, i ten strach – ani tu, ani owdzie myśli. Czy pan wie? Taśma karabinu maszynowego – cyrk, loteria, druga taśma – czy pan to rozumie? Dostaję do rąk ludzi – *haemorrhage* i są podnieceni, i śmierdzi od nich potem i uryną z tego zwierzęcego strachu i z tego, że nie wiedzą, skąd, kto, dlaczego…

Gdzie źródło tego? Co jest w tym? To jest nie do zduszenia. Panie – jak byłem studentem – jeździłem z taką kolumną przeciwdurową. Mamy stałe, nie wygasające ogniska tyfusu plamistego na Pokuciu – ale co – tu – czterdzieści kilometrów stąd, w Jaworowskiem, takie nie wygasające ogniska – tak samo jak mamy okręgi, gniazda permanentnego – nie przednówkowego, panie, ale permanentnego głodu – z puchliną głodową – czy pan to rozumie? Raz w takim tyfusowym okręgu złapaliśmy

żebraczkę – została ostrzyżona, wykąpana, przebrana i wie pan? trzeba ją było wpakować do łóżka i puszczać krew – bo dostała nadciśnienia krwi – pan to rozumie? – tyle z niej dziennie wszy tyfusowe wytaczały… Więc powiedzmy, że to miasto, tę nędzę jakaś gigantyczna ręka nakarmiła i wyniańczyła w dobrobycie – czy wtedy mielibyśmy nadciśnienie krwi, czy już teraz je mamy, kiedy się ją wytacza?…”

Machnął ręką i poszedł. Mrok zagęszczał się i tylko ostro na niebie odcinały się, jak linie nutowe, linie telegraficzne i odróżniający się od nich solidny napowietrzny kabel telefoniczny, i pocięły to niebo w przypadkowe i niepokojące wielokąty.

Znów zgrzytnęło szkło i włóczącym krokiem nadchodził, i poznał mię Fortunat Zajączkowski:

„To niepodobne do tego miasta – prawda? do tej dużej wsi – było tak raz, była masakra na placu Strzeleckim, kiedy Leon Piniński był namiestnikiem Galicji – i w czasie tego ten kabotyn! siedział u siebie i grał Szopena na fortepianie – ten błazen!” – obruszał się nieprzejednany w swych sądach „Zając”.

„Kto są ci ludzie, czym jest to miasto? Miasto profesorów? urzędników? nie, ani nie tej burżuazji, co stanowi leciutką warstwę nadającą połysk tej kuli. Ani tych »biednych« Żydów, co zawiedli na pożyczkę inwestycyjną, tych »biednych«, bo nie mówię o kilku multimilionerach. Ani nie komsomołek z getta Krakowskiego Przedmieścia, obsiadających paradyz na Schillerowskich dramidłach, ani kolejarzy ze związku zawodowego. Panie – to miasto to jest wieś, co tu przywędrowuje – nadmiar z przysiółków, wydm, jarów, wzgórz tego kraju, co powoli przesiąka i nabiera *mimicry* miejskiej – przynoszą tu swój język, słowa, miesza się to w tym tyglu, topi, nabiera swoistego akcentu nie nazbyt wdzięcznego – zgódźmy się, lwowszczyzna nie jest najwdzięczniejszą – robi się sos: zwyczaj polski, przesąd ruski, szmonces żydowski, i z tego powoli wyrabia się coś, co jest nowe, swoiste i jedyne… Co mi ktoś porównywał, że z Cmentarza Stryjskiego to wygląda jak Florencja z kopułą Brunelleschiego i Signorią… Zostawmy to…”

„Zając” wyprostowany i szczudłowaty powiedział potem nie wiem czemu: „Przepraszam!” i poszedł w kierunku, gdzie był jego dom.
Kiedy już wracałem do siebie, na rogu zaszeleściły koła samotnej taksówki i pisnęły hamulce. Była to „gondola miłości”. Znad kierownicy wychyliła się głowa w kaszkiecie i szaliku i zdziwiło mię to, że nie prowadził jej właściciel.

„Co się stało z Machorskim?”

Machorski był właścicielem wozu. Wielki i przystojny, w zimowe dni w grupie innych szoferów stał na rogu mojej ulicy, gdzie był postój taksówek, i zawsze nakładałem drogi, żeby nie przechodzić obok tego postoju – bo zawsze mi się kłaniał i było mi niewyraźnie i jemu było niezgrabnie, bo byłem tylko klientem bardzo od okazji i nie przysługiwała mi ta rewerencja, a z drugiej strony, kiedy raz zaczął mi się kłaniać wobec tych szoferów, nie wypadało mu wypaść z tej rutyny i mieliśmy stworzoną taką wspólną udrękę.

Machorski był poprzednio parę miesięcy w kryminale.

„Pan redaktor (*ten pomocnik Machorskiego nazywał mię tak, bo tam, gdzie mieszkałem, była redakcja*), pan redaktor do domu? Pan wi, jak z brygady śledczej przyszli i pytali, co się stało z jego żoną – mówi im: wyszła – no jak? wyszła i nie wróciła? – i nie wróciła – to już go trzymali trzy miesiące i w końcu puścili – i poszedł, i pił wódkę, i kazał sobie zagrać orkiestrze, rzucił dwadzieścia złotych i kazał zagrać »Ta ostatnia niedziela…«, i strzelił do siebie, i zabrała go stacja ratunkowa, i zanim dowieźli, to skonał w tej budzie. Ja mu pomagałem wtedy w warstacie i teraz rodzina zabiera to do masy (*mówił to: „massy”, z wieloma „s”*), do masy spadkowej, i jeszcze dla nich trochę jeżdżę na taksę…

Zarekwirował mi dzisiaj taksę ten podinspektor z wydziału bezpieczeństwa” – ściszył głos taksówkarz – „i kazał się wieźć od Województwa do koszar, i słyszałem, jak go na podwórzu koszarowym jebał dowódca pułku piechoty: »Won!« – krzyczał i tupał nogami, i mało go krew tam nie zalała – »chce się waszemu wojewodzie asystencji? Won! – powiadam – taki były ułan – ‘jakby dziewczyna’ – zaczarowany w biurokratę – won! – mówię – niedaleko mu od ułańskich do

biurokratycznych hemoroidów – won!…« – i mało go szlag nie trafił na tym podwórzu…”

Byłem pod domem. Właśnie tam spotkałem jeszcze jedną osobę monologów dzisiejszego wieczoru: Dziunka Fisza.

„Nic ma pan szluga, panie mistrzu?”

Papierosów już nie miałem.

[prwdr. „Nowa Polska” 1944, z. 6]

Wyspy Galapagos i wyprawa na Mount Everest

Czasem, pisząc o Pannie, mam wrażenie, że popełniam wobec niej grzech nie do darowania. Po prostu obnażam i utrwalam najintymniejsze rzeczy, które między nami się działy, sytuacje i sploty, sprawy, które może nawet nie są tym, czym były wtedy, jakieś quasi-artystyczne przefiltrowywania, analizy, prawdę i wrażenia, głupstwa i dramat. Że jest to niegodne, niemęskie, że z tego, co nas topiło w rozhuczanym płomieniu miłości, używam do płaskiej, chorobliwej i pretensjonalnej narracji, sprowadzam do schematów i usiłuję wyfilozofować sobie spokój. To nawet jest do przypuszczenia, że tak jest. Dlaczego to robię? Czy jeszcze raz chcę [to] przedłużyć w tej formie, wstrząsnąć jeszcze raz sobą, póki to wszystko tak nie zapadnie się poza mną, że jedynie odtajałe uwarunkowanie na ten temat każe mi się wzdrygnąć, kiedy przypadkowo szarpnie mną nagłe wspomnienie, jakaś podobna twarz, kolor włosów, lis przerzucony przez ramię, błękit odległy zmroku, ogień na kominie lub ból inny zadany?

Zbudziłem się raz ogromnie wcześnie rano. Długie skośne promienie letniego wschodzącego słońca padały na przestrzał naszego pokoju. Jego ściany malowane ultramarynowym zimnym kolorem „złamanym” przez czarny nadawały pustej przestrzeni bryłowatości wnętrza. Tej surowości urągały rozmaite przedmioty, przedmiociki, suknie, ubiory należące do Panny. Wszystko było rozrzucone w nieporządku.

Panna spała. Jej ciemne włosy pełzały jak węże po poduszce. We śnie była jak nadąsana, jej zamknięte powieki pokreskowały rzęsami delikatną skórę wgłębień pod oczami. Było w niej coś z dziecka włącznie z różowym rumieńcem snu na policzkach i czerwonymi ustami. Spała spokojnie i było w tym śnie coś z łagodnej fali przypływu, kiedy morze jest najspokojniejsze pod słońcem. Pod narzuconym przykryciem rysowały się najwdzięczniejsze kształty.

Leżałem na wznak syty miłości i jej bliskości. Było bardzo wcześnie rano, początek czerwca, wtedy wschód jest ogromnie małej godziny, nie bałem się, że Panna się zbudzi, byliśmy wtedy tak spokojni czasu trwania tej kanikuły, nie drżały w nas nerwy, niebo dniami tymi było niezmierzenie czyste, cienie domów kładły się pewnie w poprzek ulic, jak gdyby nigdy nie spędzał ich cień wielomiesięcznych słot i kwartałów nieuwagi ludzkiej.

Było w tym zbiorowisku ludzi i cegieł, które stanowiły moje miasto, coś z uroku i pustki wysp Galapagos. Dlaczego wysp Galapagos właśnie? Wysp, gdzie uciekali bogaci zblazowani kochankowie.

Te dnie, które wtedy przeżyliśmy razem, nazwałem później „dniami Galapagos”. Jak łatwo takie porównanie może narzucić się nawet komuś, kto ma wstręt do metafor, a cóż dopiero mnie, który ich tyle wypiastowałem!

Czytałem kiedyś w prasie tajemniczą historię, która nieznacznie tylko zafrapowała moją uwagę. Jacyś ludzie – kilkoro ich, ktoś ze zblazowanej plutokracji amerykańskiej – szukając spokoju czy dreszczy czy narzucając sobie wysztuczniony sztafaż dla wyuzdania, czy uciekając od automatyzmu dziejących się rzeczy w ich dotychczasowym świecie, przybili – ma się rozumieć, luksusowym jachtem – do tych wysp.

Historia jak wycięta z trzeciorzędnego banalnego melodramatu filmowego zakończyła się dramatem. W jakichś warunkach, których już nie pomnę, nastąpiły tam spięcia fantastyczne, kolizje, przerafinowane sytuacje psychiczne. Dosyć, że znaleziono uczestników tej eskapady, a raczej: ich resztki, trupy, i to w ilości wystarczającej na barokową tragedię.

Kiedy sobie o tym przypadkowo myślałem, to wyobrażałem sobie tło tego: żółte piaski plaż, grzmot fali przypływu, fantastyczną roślinność tropikalną z nieodłącznymi głowami wysokich palm, monstrualne żółwie, wyobrażałem sobie nieba, które tam rozpinały się nad tymi dniami, chmury powstające znad bliskich horyzontów, wspinające się ponad pianę wody, trochę to wszystko czarno-białe, trochę technikolor jak z filmów podróżniczych panoramowych Fitzpatricka, trochę jak z opisów Roberta Ludwika Stevensona lub Melville’a. A jako że ani morza, ani tropików

nigdy nie widziałem, pewnie to było w rezultacie podobne do obrazów Douaniera Rousseau.

Ten cały sztafaż przenosiłem bez trudności na teren mego miasta.

W owe dni byliśmy absolutnie sami i oderwani we wszechświecie jak Pretensjonalni z wysp Galapagos. Siadywaliśmy godzinami na płaskim dachu mojej pracowni wysypanym gładkim żwirem, spomiędzy którego wyrastała, o cudzie! macierzanka i zwabiała setki pszczół. Siadywaliśmy w ich brzęku jak na piaszczystej *beach* Galapagos, ślepe mury sąsiednich kamienic wznosiły się jak ściany kredowe, a przestrzenie podwórzowe otwierały swe tonie i głębizny u naszych stóp.

Wybieraliśmy się razem na wyprawy i w drogi, które przechodziłem z Panną jakby po raz pierwszy w życiu. Moje miasto przemieniło się w archipelag Galapagos.

Chodziliśmy przeważnie bezcelowo, jakkolwiek Panna usiłowała podkładać pod to racjonalne powody.

Więc tak: Panna miała upodobania i znajomości-przyjaźnie bardzo odległe od sfery i środowiska, z którego pochodziła. Była na przykład rodzina tego samego, co jej, nazwiska, która jednak w żaden sposób nie była z nią spokrewniona. Ci ludzie odnosili się do niej z pewną mieszczańską rewerencją, a na mnie patrzyli dosyć niechętnie jak na człowieka, który im ją w pewnej mierze zabiera, i w ogóle jak na coś, co w ich normalnym światopoglądzie razi. Byli wyraźnie z nizin, czuło się u nich tak zwany „*Armeleutegeruch*”, a ciekawe, że odnosili się do mnie z identyczną nieprzyjaźnią, jak jej arystokratyczne ciotki i kuzynki. Nieufność do czegoś tak niekonkretnego, co nie daje się podchwycić i ujrzeć, apercepować ich normalnymi zmysłami, coś, co się nie da na żaden im znany barwik zabarwić. Muszę przyznać, że ta rezerwa nasza była dosyć wzajemna. Miała poza tym jakieś poprawne przyjaźnie blade dla mnie i obojętne, jedynie zastanawiające mnie teraz przypadkowo przez jeden fakt: zdaje się, Panna była dla nich w jakimś znaczeniu podporą, pomocą finansową, po prostu: pożyczała im od czasu do czasu. Czym to było dla Panny, niezbyt wtedy rozumiałem, potem, w miesiące później, miałem

poznać, że to było dla Panny dosyć ważne – strona pieniędzy w jej życiu musiała odgrywać niemałą rolę.

U jednych bywaliśmy razem, u innych – tylko ona, a ja czekałem na dole domu, obserwując ramy okienne, niebo nad dachami i puste perspektywy ulic. Czasami kłaniała się swym skinieniem głowy najwdzięczniejszym w świecie jakiejś damie o takim czy innym podeszłym wieku i mówiła mi: „to jest moja ciotka czy babka, czy kuzynka". Tych była zatrważająco wielka liczba. Czasami jednak raptownie wchodziła do pierwszego sklepu, jaki się nadarzał po drodze, i zaczynała kupno najfantastyczniejszego przedmiotu, jaki się jej narzucał z brzegu, nie dokonywała jednak tej transakcji wobec mnie w najwyższym stopniu zdumionego i potem dopiero okazywało się, że to była komedia, wybieg, konieczność usunięcia się z widoku jakiegoś świadka nadchodzącego ulicą.

Trudności rozpoczynały się od następującego punktu: Panna pochodziła z tak zwanej „dobrej rodziny", była, jak się potocznie mówi, dobrze urodzona. Nie jest to czymś ani okoliczności temu towarzyszące nie są czymś, co by nie było znane w strukturze naszego życia. Środowisko, kultura szlachecka, szlachetczyzna, nieodłącznie z tym związany snobizm, snobizm w grubym gatunku i snobizm wysublimowany, zapaszek ekskluzywności, przeważająca w tym sprawa podkładu materialistycznego – wszystko to są truizmy, o których już bardzo dużej ilości filozofów się śniło.

Pierwszy raz zetknąłem się z tą stroną jej życia, kiedy jeszcze w owym słynnym „pompejańskim" saloniku w Z., owym pokoju do wszystkiego, czytając książkę, zwróciłem uwagę na jej rozmowę z panem Ł. Było to w początkach naszej znajomości. Wymieniali rozmaite nazwiska, cały szlachecki almanach gotajski. Niezauważenie przeszło do mojej świadomości, że Panna jest skuzynowana w rozmaity i fantastyczny sposób z rozmaitymi nazwiskami.

Kiedy takie rozmowy miały miejsce jeszcze w rozmaitych okresach później, rozmowy i asocjacje o charakterze prawie hermetycznych misteriów, skląłem w duchu Bogu ducha winnego pana Ł., a Pannie z zamagazynowanym arsenałem złośliwości i ironii w rezerwie zrobiłem

wymówki i mój należyty pogląd na te sprawy wyłożyłem okrutnie i bezlitośnie. Cała gorycz powstała we mnie, że może istnieć jakiś świat, sfera czy, u licha, jakiśkolwiek zabobon, czy znak kasty, który mię może od niej oddzielić. Nie byłem wtedy jeszcze zaangażowany uczuciowo, a przynajmniej nie uświadamiałem sobie tego na tyle, żeby powstały pomiędzy nami przedział miał grozić mi zachwianiem, ale bolało mię to dotkliwie. Nie pamiętam już tego, co powiedziałem wtedy, ale musiało to być bardzo drastyczne, bo Panna wystrzegała się od tego czasu jakichkolwiek aluzji i wzwyż wspomnianych asocjacji na ten temat.

Istniała gdzieś jakaś ciotka mojej Panny, która od dzieciństwa nią się opiekowała. Ta dama miała, zdaje się, nieprzemożony wpływ na nią. Była wykopaliskiem, przypuszczam, z epoki kamienia gładzonego, a jeżeli to przesada, to w każdym razie z dalekiej przeszłości. Rezydowała gdzieś daleko na wschodzie, na styku Wołynia i Podola.

Panna wspominała ją zawsze z nienawiścią pomieszaną z podziwem. W rozmowach naszych musiała zaczepiać często o tę postać, ale początkowo nie zwracałem na to uwagi. Im dalej brnęliśmy w naszą miłość, tym wyraziściej zaczęła się rysować z mroku niebytu postać jej ciotki. Zaczynała być osobą dramatu i nabierać cech ważnych. Potem wystąpiła już na plan pierwszy.

Byliśmy absolutnie sami. Ludzie, światło, ruch towarzyszyły nam swym tłem tylko w naszej sprawie, naszemu dualizmowi. Mam wrażenie, że wystarczaliśmy sobie w zupełności, uzupełnialiśmy się wzajemnie jak coś, co pretenduje do dzieła sztuki. Było coś w tym nie zwierzęcego, ale roślinnego – w tej absolutnej harmonii, w jakiej stanie znajdowaliśmy się.

A jednak mieliśmy troski materialne, natury religijnej, przyszłości, troski na temat naszego prestiżu. Poza tym mieliśmy punkty sporne. Przede wszystkim musiałem walczyć z kompleksem niższości u Panny. Nie wiem, dlaczego moja Panna wyobraziła sobie, że jestem niesłychanie pod względem intelektualnym wyniesiony ponad jej poziom, co było dla mnie równie fantastyczne, jak to, że mię kochała. Dlatego też nienawidziła moich przyjaciół.

A ja się śmiałem. Mówiłem jej:

„Jesteś przecież nawet herbu Panna na Niedźwiedziu”.

Podlegaliśmy pewnie tym samym uczuciom i te same zjawiska zachodziły w świecie naszej miłości, co w miliardach podobnych, które były przed nami i które będą po nas. Myślę nawet, że w tym, że uważaliśmy naszą miłość za coś wyjątkowego i bez precedensu, byliśmy podobni do wszystkich byłych i przyszłych kochanków. Normalny slang zaklęć i przysiąg pozwalał mi na cyniczne dygresje, ale właściwie harmonia naszego stosunku nie była głębiej zakłócona.

Czy były między nami rozmowy? Jeżeli cofnę się pamięcią wstecz, to uprzytamniam sobie je raczej tak, jak gdybyśmy się porozumiewali jakimiś innymi zmysłami. Pewnie, że wiele razy byłem speszony jej prymitywnym zachowaniem się, w którym było wiele pensjonarskości, zakłopotania uroczego i naiwnego, maskowanego przez nonszalancję pełną zażenowania.

Leżąc i patrząc na promienie skośne słońca, podczas kiedy Panna spała obok mnie, byłem przesycony miłością i po raz pierwszy i chyba jedyny ją zdradziłem.

W dzieciństwie, leżąc przed zaśnięciem, marzyłem, jak marzy każde dziecko. Jest to nieszkodliwa mania, która towarzyszy mi do teraz. Leży się i puszcza myśli w czarną otchłań nocy. Marzyłem o Mount Evereście, o górze nazwanej tak imieniem gubernatora Survey of India przez jakiegoś urzędnika usiłującego przypodobać się swemu szefowi, jako że Anglicy mają także ludzkie przywary. Widziałem na tle czarnego nieba trójścian góry biały z uczepionym u szczytu sztandarem zwiewanego śniegu. Myślałem, marzyłem o takim absurdzie, jak zdobycie tego szczytu. Czytałem o japońskich miniaturowych ogrodach zbudowanych z kolorowych kamieni, karłowatych sosenek, paproci, mchu i kwiatów, wysypanych piaskiem, z mikroskopijnymi basenami i mostkami, w których ich właściciele i twórcy przesiadują i marzą. Stworzyłem sobie z najwyższej góry na ziemi taki miniaturowy ogród marzeń.

Więc jeszcze zanim Pannę poznałem, działo się to ze mną, że miałem tę idée fixe, która powoli wyrosła we mnie i zaabsorbowała określoną dziedzinę marzeń. Powstała ona we mnie nie w sposób prosty, ale jako pochodna najbardziej złożonych mego nie uporządkowanego trybu życia.

Nie powinno może nawet jej powstanie należeć do spraw tu omawianych. Żeby pokrótce wyjaśnić: na marginesie zawodów czy zawiedzionych ambicyj postanowiłem, nie dorabiając się cudów w dziedzinie, którą przypadek, upodobania i łatwizna mi wskazywały, to znaczy: w przestrzeni zawartej pomiędzy pudłem farb, paletą i sztalugami, postanowiłem bardzo nieodpowiedzialnie (proszę nie zapominać, że dzieje się to w krainie marzeń, na co może sobie pozwolić także masarz za ladą sklepową) dokonać równoważnego czynu, skoncentrowanego w czasie i przestrzeni za pomocą jednego *rush up*.

„…pewnego dnia, działo się to w roku tysiąc ośmset siedemdziesiątym którymś, rachmistrz w biurze pomiarów topograficznych Survey of India, przerachowując i logarytmując wyniki rozmaitych pomiarów dokonywanych w Darjeeling w górach Nepalu i Bhutanu, otrzymał czarno na białym, że szczyt widziany rzadko w chmurach monsunowych, zwany przez pasterzy tybetańskich Czomolungma, co znaczy: Bogini Matka Gór, ma niezaprzeczoną wysokość ponad dwadzieścia cztery tysiące stóp, czyli jest najwyższym szczytem na powierzchni ziemi…” – słuchałem tubalnego głosu prelegenta. Był to monstrualnie gruby i potężnej statury jegomość, docent Rajmund Ceglarski. Był to zaprzysiężony propagator nowoczesności, postępu techniki, popularyzator idei naukowej organizacji pracy i innych podobnych bzdur, które mieszał w swym moździerzu, zaprawiał mdłym zapaszkiem jakiegoś zapału, poezji i staropanieńskiego sosu egzaltacji i podawał to w sali Instytutu Bourlarda, tak zwanej Sali Żółtej.

Nie było wtedy jeszcze na świecie książki Céline’a o mistrzu Kurcjalu, ale mag z Sali Żółtej był niezaprzeczonym jego prototypem. Wydawał także popularyzatorskie broszury na najrozmaitszy temat związany z postępem przez wielkie „P”. Skąd wpadł także na pomysł, żeby napisać coś o Mount Evereście pod szumnym tytułem *Walka o szczyt świata*, nie wiem. W każdym razie i takiego coś było.

Miałem dużo czasu i zagłębiłem się w całą dostępną mi literaturę dotyczącą się tego everestowskiego ewenementu. Byłem członkiem nie płacącym składek Karpackiego Towarzystwa Narciarzy, dzięki czemu

miałem wstęp do biblioteki, wyciągałem stare roczniki „Taternika”, wydawnictw i biuletynów rozmaitych Alpine Clubów, Alpenvereinów, Club Alpin des Alpes, zagłębiałem się w te rzeczy pełne ekskluzywności i maniactwa ludzkiego. Miałem w ręku książki generała Younghusbanda, Irvinga, Smythe’a. Typowe angielskie wydawnictwa w solidnej oprawie, tłoczone na grubym papierze. Wpatruję się w fotografie. Grupy mężczyzn zarośniętych w słońcu palącym wyżyny kilku tysięcy metrów. Przezabawne sportowe marynarki sprzed lat piętnastu, wymięte w czasie wielotygodniowych noclegów po namiotach. Potężne górskie buty świecą gwoździami podkuć. Oto odróżniam Mallory’ego – wysoki, wybujały, z odstającymi uszami, przejrzystym wzrokiem, z ledwie wysypanym zarostem. Był podobno bardzo młody i został na grani szczytowej, skąd po latach zniesiono tylko ułamek jego czekanu świadczący, jak wysoko zaszedł. Wczytywałem się w traktaty już o podkładzie mistyczno-filozoficznym na temat nieprzemożonej siły i élanu wypełniającego dusze ludzi idących na zdobycie tak iluzorycznego efektu, jak wstąpienie na najwyższy punkt tego, co stanowi skorupę ziemi. Były tam rzeczy ścisłe i suche o wyekwipowaniu, o aklimatyzacji, o taktyce: taktyka powolna i „*rush up*”. Wszystko zakańczał wczesny wiosenny monsun, zasypujący piramidę szczytową nawałnicą oceanu śniegowego.

Kiedy przychodziły u mnie chwile prostracji, zawodu lub przesytu, miałem swój teren, na który przenosiłem się samolubnie i, powiedzmy, dosyć łatwo. To jest jeden z grzechów głównych, jakie popełniałem w czasie trwania naszej miłości.

[*Courtesy of Department of Special Collections, Stanford University Libraries*]

PIM [I]

Panna wyjechała na wieś do ciotki swojej, owej koturnowej ciotki, pani Laury Dołżeńskiej. Po miesiącu wszystko było zerwane. Pani Laura ujęła to w swoją żelazną pięść. Nawet może z nią więcej korespondowałem na ten temat aniżeli z Panną. Pannie zrobiono „skrobankę” i wydano szybko za mąż za sąsiada, który nawet do Lwowa stamtąd jeździł tylko bałagulską czwórką.

Przeszedłem wszystkie symptomy po tragicznej miłości. Albo dniami nie jadłem nic, albo też jadłem bardzo dużo. Wobec bliskich i znajomych zachowywałem formy i uśmiech i najniespodziewaniej wpadałem w wynurzenia przed osobami, które spotkałem pierwszy raz w życiu.

Najpiekielniejszą męką było żyć wśród miejsc, które z nią znałem i które były tłem naszej miłości. Przez „*l’esprit de contradiction*” chodziłem w te miejsca i nawet raz pojechałem do Z.

Za czasów owego pobytu w jesieni i w zimie moja pomoc w gospodarstwie ograniczyła się do tego zbioru markowych kartofli i potem jedynie zajmowałem się stacją meteo. Była to x-tego rzędu stacja PIM-u, czyli Państwowego Instytutu Meteorologicznego, i do moich obowiązków należało trzy razy dziennie: rano o siódmej, w południe i o siódmej wieczorem, kontrolować instrumenty i zrobić zapiski. Raz na miesiąc - preparowałem raport i „średnie”.

Nawet lubiałem tę codzienną rutynę. Szło się tam przez furtkę w ogrodzeniu i wśród grzęd truskawkowych, na podpróchniałych słupach trochę pochylona była skrzynka z pulpitowym dachem i żaluzjowymi ze drewnianych szczebli ścianami, otwierałem kłódkę i odnajdowałem tam dwa termometry: jeden maksymalny i jeden minimalny, aneroid i higrometr, i było tam jeszcze kalibrowane naczynie szklane do mierzenia ilości ewentualnego opadu. Naczynie to kiedyś zostało stłuczone i potem troskliwie posklejane „japońskim” kitem. Była tam jeszcze książka

porubrykowana liniami do robienia tych zapisków i rogi kartek od tego regularnego przewracania pozwijały się w ośle uszy. Obok na wysokim maszcie była zamocowana róża wiatrów i skrzypiało blaszane skrzydełko skali Wilda do mierzenia siły wiatru.

Do tej stacji, naturalnie, nikt inny poza tym nie chodził, tylko ja sam. No tak, zawsze mi w tym codziennym rytuale towarzyszyły psy: jamniki i suka dobermanka. Ale kiedy one uganiały wokoło i płoszyły trznadle z malinowych rózg, ja szedłem najkrótszą drogą i przez wiele dni i tygodni wydeptałem własną ścieżkę – ja sam, tylko ja. Trochę jest nawet wstrętna taka ścieżka, którą się samemu wydeptuje. W życiu depcze się drogi, ścieżki pospołu z innymi. W takiej własnej ścieżce jest coś wariackiego, coś paranoicznego. Pomyślałem tam: wracam znów na własną ścieżkę…

W czasie tej krótkiej wizyty w Z. poszedłem jeszcze w pole, do tych kartofli. Było gorące popołudnie i w kurzu polnej drogi, zamyślony, jeszcze zanim doszedłem do miejsca, poczułem je – te kartofle. Te markowe kartofle, podobno bajecznie odporne na raka ziemniaczanego, „mozaikę” kartoflaną i inne straszne kartoflane choroby, te kartofle, niedbale zakopcowane – zmarzły i wiele tych „gar” pozostawiono tam, i psuły się one w pełni lata, i na wiele staj dawały znać o tym. Smród psujących się kartofli jest potworny, nie do zniesienia. Ścieki fabryczne, plugawa woda brudnych basenów portowych, kiedy jest odpływ morski, nawet rozkładające się trupy końskie i ludzkie na pobojowiskach – ale nie, to nie to, to zbyt łagodne. Zawróciłem od tych kopców.

Byłem tam, w Z., przed samą wojną. Potem zostałem powołany do wojska, a w pierwszych dniach wojny pan Ł. umarł i mimo gorączki wojny „okolica” zjechała się na jego pogrzeb bardzo tłumnie. Ten pokaźny orszak pogrzebowy, jak mi ktoś po latach opowiadał, był ogromną pokusą dla heinkla 111 i przejechał się tam salwą z karabinu maszynowego po tym pogrzebie wśród pól.

Ale to… ten „danse macabre” nie dotyczył już pana Ł., który umarł w tych pierwszych dniach wojny.

[*Courtesy of Department of Special Collections, Stanford University Libraries*]

Nuda

Idę z Tadziem Warą w stronę dancingu. Jesteśmy po okropnej nocy pijaństwa i, mówiąc określeniem ci-devant, orgii. Zaczynaliśmy w knajpie rynkowej. Pomarańczowe światła żarówek lśniły w szkle kieliszków i gwar głosów zagęszczał się w ciasnych sklepieniach. Pod wpływem alkoholu mówiliśmy dużo i na różne tematy. Potem wychodziliśmy na ulice, wąskie i czarne ulice Starego Miasta. Znane mi z dnia czarowne fasady były zmienione, perspektywy podeformowały się i rzadkie postacie przechodniów rozczepiały włosy światła gazowych syczących latarni. Echa kroków rozlegały się pretensjonalnie wśród murów domów pełnych nieobecnego snu mieszczuchów.

Ciąży nam ta pustka, atramentowość nocy, przynajmniej mnie, bo mój towarzysz robi te sprawy inaczej. Nie wydaje się, żeby ten nieporządek życiowy specjalnie mu dolegał, przeciwnie, znosi to żywiołowo i jest to dla niego tak samo naturalne, jak pedantyzm i przenikliwość dominujące w jego dialektyzmie. Pisze i żyje bardzo nieartykułowanie i, szczęśliwiec, ma w tym taką decyzję, jak gdyby żył najbardziej wstecznym mechanizmem zwykłego życia. Mechanizmem, którego nienawidzi i nie czuje, że jest wciągnięty weń według wszelkich prawideł *mimicry*. Oto potrafi zapić się w ciągu jednej nocy, nastwarzać nieproporcjonalnie wiele paradoksów, które zraziłyby do niego samego Lucyfera za ich pretensjonalność, napopełnia wiele grzechów głównych i ma na zakończenie moralność dialektycznego kwakra. Zazdroszczę mu.

Omijamy biedne i bezczelne prostytutki w załomach ulic i lądujemy w jaskrawym dancingu. Jest już dawno po dnie kryzysu, a jednak jest tu pusto i łatwo jest zadawać fasonu jakiemuś podtatusiałemu ziemianinowi, który wyrwał się do miasta, tudzież paru podróżującym handlowcom. Ponieważ nic nam już nie zaszkodzi, więc dopijamy dalej. Mam chwile spokoju, bo mój towarzysz odznacza się tak zwanym zmysłem towarzyskim

i przysiada się do znajomych stolików. Fordanserki ze swoją zmiętą i zmęczoną kobiecością, ordynarnymi twarzami i podkrążonymi oczami siedzą przy drzwiach. Dyrygent orkiestry, Żyd we fraku gruby i niemiły, jest tak obojętny, prowadząc swą pracę, jakby czytał cudzy nekrolog, jedynie kelnerzy są mili i ludzcy pod tymi kolorowymi światłami. Mają w sobie coś, może robią to białe smokingi, coś z pielęgniarzy szpitalnych.

Jazz emanuje z siebie synkopy, mój towarzysz sprowadza do naszego stolika najobojętniejszych ludzi, parkiet lśni pod bocznymi światłami „lóż", myślę o Pannie. Byłem kiedyś z nią tutaj na krótko, przetańczyliśmy parę razy i wynieśliśmy się z naszą miłością, było to w pałającą wiosnę, a teraz jest przedzimie bezśnieżne i nijakie. Po pijanemu jest mi beztrosko i optymistycznie i sam nie wiem, jak może mi tak być, kiedy myślę o niej. Zdaje mi się, że w każdej chwili mogę się wyzwolić od tej miłości, wystarczy mi tylko zechcieć, żeby ona odpłynęła, jestem panem swoich zmysłów i swoich przywidzeń, i że są ważniejsze sprawy – nie bardzo wiem jakie, ale są – i im winienem się oddać, gwiżdżąc na całą przebytą historię.

Mój towarzysz zjawia się nagle przede mną jak diabeł wyskakujący za naciśnięciem sprężyny z pudełka. Jest mały, czarny, z nieludzkim błyskiem w oczach, zwinny jakąś zwinnością zwierzęcia-niezwierzęcia, jest bystry i dziwaczny.

Jak na zamówienie, aż cofam się ze zdumienia, zaczyna mi recytować biały wiersz Gumilowa:

„…Rudy bradiaga w Addis Abebie, któremu słońca wszystkich wydmuchowisk światła spaliły skudlony włos… przyszedł do mnie i dziękował mi za moje wiersze…

…Kapitan kanonierki, który w ogniu wyjących *czimozą* pocisków, wśród falowiska piekielnego tajfunu modlił się bluźnierstwem przekleństwa… przyszedł do mnie i dziękował mi za moje wiersze…

…Człowiek, który zaklął skoncentrowaną śmierć w kruchym szkle laboratoryjnych próbówek i stokrotnie w ciągu dnia był zarażony, i ocalał… przyszedł do mnie i dziękował mi za moje wiersze…

…zaznał wszystkich goryczy… przyszedł do mnie i dziękował mi za moje wiersze…

…Bo ja uczę ich” – skandował mój przyjaciel mały, groźny i natchniony – „bo ja uczę ich, jak należy postępować, kiedy się stoi bez zmrużenia powiek przed lufami plutonu egzekucyjnego… i jak należy, kiedy kobieta powie: nie! uśmiechnąć się i pójść w swoją drogę!” – zakończył emfatyczny, płaski i pretensjonalny rosyjski wiersz, odtwarzał go i grał mi na nerwach.

Cały mój pijacki optymizm wywiał gdzieś, w gardle mi było gorzko i chwiejąc się, nie zauważony przeszedłem przez parkiet sali, cicha i skromna garderobiana nie upomniała się o napiwek, przeszedłem hall hotelowy i zostałem sam w zimnie ulicy.

Automatycznie skierowałem się w dzielnicę, gdzie leżał szpital. Głuchy przedświtowy czas. Pustka i obojętność nieskończone. Doszedłem do tego miejsca, skąd było podejście na stok, gdzie wznosiły się mury sanatorium. Golenią poczułem niskie żelazne ogrodzenie skwerku ulicznego, jakie normalnie chroni lichą trawkę zieleńców mego miasta. Pochyliłem się, dotknąłem ręką zimnego żelaza i usiadłem; musiałem podkurczyć nogi, tak niskie i niewygodne było to siedzenie. Patrzyłem w tę stronę, gdzie, domyślałem się, jest miejsce, gdzie kiedyś Panna różowa z gorączki zarzuciła mi ręce na szyję, kiedy przysiadłem na jej szpitalnym łóżku, i przytuliła rozpalony policzek do mojej twarzy. Przypomniał mi się zapach jodoformu czy jakiegoś innego środka sterylizacyjnego. Teraz było mi zimno mimo podniesionego kołnierza płaszcza.

Nie ma dwu jednakowych samotności na świecie, jestem tego pewien. Wypróbowałem samotności sam nadosyć, żeby móc o niej mówić. Nawet sama samotność da się jedynie określić wobec jakiegoś towarzystwa. Jeżeli wezmę coś takiego, jak zasób myślenia, cały, jakim rozporządzam…

Ale zacznę od tego, co sprowadziło mię na tory myślenia o samotności, którą tak dobrze znałem z przeszłości. Po strasznym rozstaniu się z Panną natura jakby sprzyjała memu tragizmowi. Od połowy lata zaczęły padać deszcze. Długie strugi deszczowe podobne do zasłon z szklanych paciorków, jakie mieszkańcy Prowansji zawieszają w drzwiach swoich

domów, zwisały z ołowianego nieba. Kamienie mokre i świecące od wody deszczowej matowiały w przerwach między jedną ulewą a drugą. Rzadkie dnie, kiedy pokazywało się słońce, ukazywały tylko ciągłość tej słoty.

Leżałem całymi dniami w swej pracowni odwrócony do ściany i zmęczony kontemplowaniem przeszłych rzeczy wpadałem w kojącą bezmyślność. Czas z tego okresu wydaje mi się nie do zmierzenia. Nie mogę powiedzieć, czy te miesiące deszczowe (dosłownie przypominam sobie, że deszcze rozciągały się wtedy na miesiące) były dla mnie długie, czy też przeminęły ogromnie szybko. Przyzwyczaiłem się wtedy do samotności. Każdy rzadki gość, który się wtedy u mnie zjawił, witany był przeze mnie wzrokiem tak pozbawionym jakiegokolwiek ludzkiego porozumienia, że zostawiał mię co rychlej i szedł zaniepokojony i zmrożony do swych spraw.

Naturalnie, musiałem ze względów czysto praktycznych nawiązać niezdarne kontakty z życiem. Niezbyt szczęśliwie to robiłem w normalnych czasach, a teraz robiłem to zupełnie niezręcznie. Z długich dni samotności zarezerwowałem sobie popołudnia niedzielne. Był to czas uświęcony nawet przez notorycznych nudziarzy, którzy potrafili w inne pory urządzać niespodziewane i nieuniknione najazdy.

Z trzaskiem zamykałem drzwi niedzielnego popołudnia, cisza wiała z opustoszałych drukarni i wczesny miesiąc jesienny wytaczał się ponad dachy domów. Kontemplowałem stosy książek, periodyków i papierów, i gratów zawalających moją pracownię. Szczęśliwie zasłoniłem lustro, w którym zwykle korygowałem odwrócone obrazy moich malowideł, bo myślałem, że widok mojej własnej twarzy mógłby mię doprowadzić do ataku histerycznego. Sufit mojej pracowni, nakrytej płaskim dachem, z powodu jakiejś wady nie doglądanej budowli zaczął przeciekać i smutne plamy wystąpiły na wapienną biel tynku.

Nienawidziłem miasta z jego bezplanową, chaotyczną urbanistyką, nienawidziłem ludzi drobnomieszczan z ich komunałami i zwierzęcością, motłochu płodzącego się, grzebiącego i trwającego jednakowo na wszystkich szczeblach społecznych, nie miałem rodziny w tym znaczeniu, że mógłbym do kogoś z nich wypowiedzieć dwa słowa na temat mię

szarpiący, moi przyjaciele byli tak pretensjonalni i płytcy, że jedynie [to] może usprawiedliwiało ich egzystencję, nudziła mię natura monotonna i szara w swej bezduszności.

Kiedy w takie niedzielne popołudnia przesiadywałem w swej pracowni na górze, myślałem. Nie było to uporządkowane myślenie człowieka o pewnym zawodzie. Zawód, zawodowość, wszystko jedno, jakiego będzie ona autoramentu, jest wspaniałym stalowym gorsetem, w którym zasznurowany człowiek utrzymuje się i patrzy prosto, choćby nie wiem jak miał rachityczny lub przetrącony stos pacierzowy. Siedzi sobie w swej zawodowości, nie musi być ona konkretna jak specjalność rzemieślnicza, może ona nawet być zniechęceniem do danej formy życia, jej abnegacją, może być wynaturzeniem, ale ma wszelkie więzy łączące z życiem. Daje wspaniałe możliwości do snucia planów, marzeń, do cynizmu, wyuzdania. Patrząc w twarze ludzi spotkanych, mogłem zawsze powiedzieć sobie, że mają coś, co ich handicapuje wobec mnie, czyni ich silniejszymi, choćby byli przełamani chorobą albo przez zaciekłość losu jedzenie przemieniało się w ich rękach w kamienie. Nie miałem tego.

Myślałem bez marzeń. Przyciśnięty do muru przyznałbym się do takich czy owakich pretensyj, miałbym takie czy inne zachcianki, ale też musiałbym powiedzieć, że nie miały one wypływającego z głębi instynktu zapału życiowego. Myślałem nieskoordynowanie, znakomicie mi w tym pomagał kolosalny balast jakiejś encyklopedycznej wiedzy mnie i nikomu na nic nie zdałej, a przyprawiający mię o spuchnięcie głowy. Posługując się tym balastem, myślałem-marzyłem o szeregu spraw, które się wiązały ze sobą luźnie lub nie miały całkowitego związku. Nasuwały mi się nazwiska, twarze przyjemne i nieprzyjemne, podkładałem spodziewane lub przypuszczalne sytuacje pod te napomknienia, zależnie od ich sympatii lub wrogości powstawały we mnie stany błogie lub męczące, jak we śnie.

Wydawało się, że z przeszłości zapamiętuje się jedynie sytuacje przyjemne, zbliżone do szczęścia, ale taka sama ilość wrażeń przykrych, które czujna świadomość potrafi odganiać, powstaje natrętnie i bruździ spokojny tok myślenia. Idee zaczepiają jedna o drugą i następują najdziwaczniejsze przeskoki: od spekulacji czystych i oderwanych do

śmiesznych realnych spraw, do najdziwaczniejszych skojarzeń. Powstają jedne po drugich, jedne rodzą logicznie następne, inne zjawiają się jak odruchy, tak jakby dusza czy to, co się nią nazywa, reagowała jak drgająca rzęsa oka, któremu zagraża uderzenie, albo jak skurcz mięśnia pod wpływem zimna tworzący gęsią skórkę. Obok skojarzeń, konstrukcji o niewyraźnym aspekcie, nie dającym się oddać ani słowem, ani kształtem, pojawiają się nazwy i obrazy konkretne, stowarzyszają się z tą abstrakcją, ich bastardy kłócą powstającą harmonię i wszystko tonie w nieodpowiedzialnym nurcie myśli. Jest w tym stanie coś nienaturalnego, coś przeciwnego zdrowemu dzianiu się rzeczy, wydaje mi się, że popełniam jakiś grzech przeciw naturze, wobec którego narcyzmy i kazirodztwo wydają się być zrozumiałe i przyrodzone. Po godzinach takiego myślenia stałem, jak nad własnymi wymiotami, słaby i u ostatecznego wyczerpania.

Wychodziłem już późno wieczorem na miasto, na jego peryferie. Zachód słońca umierał poza parkanami boisk sportowych i wspaniały chłód kładł się na skronie. Lampy gazowe paliły się wzdłuż perspektyw ulic i dzwonił czerwony tramwaj.

[*Courtesy of Department of Special Collections, Stanford University Libraries*]

III *Pageant Ward* [1]

Cyrk

Noc

Zostałem wysłany do 21. Ułanów jako oficer łącznikowy. To było w nocy koło pierwszej, zanim znalazłem miejsce postoju dowódcy w środku miasteczka.

Na schodach, w przejściach stali, siedzieli, leżeli żołnierze. W pokoju przy stole słabo oświetlonym naftową lampą siedział oficer, któremu zameldowałem się służbiście: „Panie rotmistrzu, podporucznik …, oficer łącznikowy” i ze zgrozą skonstatowałem, że to jest pułkownik, właśnie dowódca 21. Ułanów, i byłem zmartwiony swoją pomyłką w tytułowaniu go. Siedziałem tam do świtu, kombinując ciągle rozmaite ad rem, jakie miałbym do zameldowania, żeby mieć sposobność naprawienia popełnionej gafy i wsadzić przy tej okazji to: „panie pułkowniku…”

To, a także nerwy pierwszego dnia wojny nie pozwoliły mi spać tej nocy.

Myślę: wojna. To jest wojna! Wooojna…

Właściwie to tak siedziałem obwieszony i pozapinany ekwipunkiem, hełm stalowy kiwał mi się na głowie ciężarem przygniatającym, pułkownik siedział osowiały nad tymi mapami, inni oficerowie pocztu spali, siedząc, oparci na łokciach lub czołem o stół, wyglądało to trochę jak poczekalnia na dworcu kolejowym w nocy, pułkownik jedynie nie spał albo tak jakby nie spał.

Na zewnątrz trzask motocykli. Wyszedłem. W nikłym świetle gwiazd słyszę: „…Pierwszy Pluton do walki pieszej!…”, wzdłuż ścian domów stoją kolumienki ułanów – bagnet na broń! – znikają w nocy, tylko [zgrzytają] podkute buty o kamienie drogi. Poszedł wypad odwodu 2. Szwadronu.

Wracam do wnętrza.

Pułkownik siedzi nad tymi mapami.

Naprzeciw niego stał mały jegomość w cywilnym ubraniu i monotonnym głosem klarował i przedstawiał pułkownikowi jakąś sprawę, której tamten, zdawało się, uważnie słucha, ale właściwie nie słuchał, tylko patrzył w te mapy i czerwone światło lampy jarzyło się tam, i ten człowieczek w cywilu tłumaczył coś, z czego ledwie rozumiałem, że chodzi o to, że ma sześć tysięcy złotych, że chce wyjechać z tego miasta, że tu ma być teren walki, a znów tych pieniędzy nie chce brać i żeby pułkownik… a w kącie przy łącznicy telefonicznej siedział telefonista blondynek o pucułowatej twarzy, ze słuchawkami na uszach i: klik, klik! wtykał i wyszarpywał wtyczki łącznicy, i: klap, klap! spadały klapki, i czasem wołał w muszlę mikrofonu: „»Demon«! »Demon«! – czemu się nie zgłaszacie? »Demon«! – »Tygrys«!” – i znów: „»Demon«!” – i wydawało mi się, że się noc ta wlecze w nieskończoność, i ile razy ocykałem się, to pułkownik siedział nad tymi mapami i słuchał uważnie, jak ten cywil klarował o tych sześciu tysiącach złotych, a telefonista: klik, klik! manewrował wtyczkami i wzywał „Demona”, „Tygrysa” i „Smoka”. Co za zbieg okoliczności – myślę – właśnie te elementy i szyfr na dzisiaj, kiedy te demony i smoki wędrują za mną!

Tuż przed wybuchem wojny ktoś powiedział przy obiedzie (staliśmy po wsiach na kwaterach – cała zmobilizowana brygada), że do sąsiedniego miasteczka przyjechał cyrk. Znalazło się nas kilku amatorów, ktoś poprosił majora o wóz i pojechaliśmy tak całą paczką – bardzo przyjemnie jest czasem tak chodzić paczką, trochę zatraca się w takim teamie własną osobowość i w rewanżu nabywa się cechy i standard, i *l’esprit de corps*, i uwalnia to od siebie samego, dodaje pewności siebie i nonszalancji – uniform i team.

Namiot cyrkowy w zapadającym mroku jarzył się przez płótno światłem jak chiński lampion. Festony żarówek kolorowych rozwieszały się między wiszącymi ciężko w bezwietrzu flagami, przed cyrkiem kurz wzbijał się deptany tłumem nóg, przez megafon wytaczała się muzyka i zagłuszał ją czasem turkot agregatora wytwarzającego prąd elektryczny, i unosił się w powietrzu słodkawy smród menażerii.

Wewnątrz oślepiało światło reflektorów i ogłuszał gwar tłumu.

Do cyrku dorosłym chodzi się bardzo rzadko i od razu zapomniany w dzieciństwie dreszcz budzi się – jak to było w dzieciństwie, kiedy cyrk był niesamowitym zdarzeniem w kręgu codziennego świata. Widowisko cyrkowe jest jedyne w swoim rodzaju.

Na zewnątrz zrobił się ruch. Wyszedłem przez korytarz na próg i tu stali żołnierze i ambulans z wymalowanym czerwonym krzyżem, i ktoś z tego ambulansu powiedział mi: „Zostawię tutaj – już nie żyje…”, i wyciągali nosze, na których leżał ułan – i to był pierwszy zabity tej wojny, jakiego widziałem. Ten sanitariusz mówił: „…jak dostali do spieszenia i szli rowem – to jednemu wypalił karabin przewieszony lufą do przodu i tu dostał…” i pokazywał na obandażowaną białą kulę, którą była głowa zabitego, w miejsce, gdzie jest „*arbor vitae*”.

Dziwnie mi się zrobiło – pierwszy zabity, i to własną kulą. Nosze leżały na ziemi, na kocu żółte w świetle latarki ręce i te ręce zaczęły wykonywać grzebiący agonalny ruch, szarpać ten koc. Zdenerwowany krzyczałem na sanitariusza: „Zabierać go, chcecie tu żywego zostawić?! – Zabrać!” i wsunęli te nosze do ambulansu, zawarczał motor i ambulans potoczył się w czarną czeluść nocy.

Wróciłem do pokoju i pułkownik siedział nad mapami, mały człowiek w cywilu nieskończenie klarował o tych sześciu tysiącach złotych Państwowego Urzędu Ziemskiego, telefonista miał oczy czerwone z niewyspania i mówił tam: „»Dziwoląg« – ty, kurwa twoja mać – »Dziwoląg«! – sprawdź uziemienie – »Dziwoląg«! – pokwitujcie odbiór zaraz potem…”

Te potwory – „Demony”, „Smoki”, „Tygrysy”, „Dziwoląg i” – były w cyrku na samym końcu. Naprzód typowa, normalna sztampa cyrkowa. Błazny i klowni policzkowali się z głośnym: klap! po twarzach i wywracali kozły, bat mastra klaskał, kiedy ciężki palfrey z woltyżerką w trykocie (trykot woltyżerki fałdował się tam, gdzie wstydliwe części aktu, i to było, kiedy byłem dzieckiem, bardziej podniecające niż sama naga nagość by była), rodzina akrobatów po każdej figurze składała ukłon: unisono, z charakterystycznym wzniesieniem i zaakcentowaniem palców wskazujących, zamknięcie, okrągłość i skończoność arcydzieła pokazu,

wszyscy z tym martwym, sztucznym uśmiechem na twarzy, przez który przebija zatroskanie i napięta uwaga ludzi cyrku, do której daleko tremie aktorów scenicznych w jej wyrazie. To samo zatroskanie, ta napięta uwaga, trwoga o efekt jest na twarzach wszystkich: klownów u wejścia na zasypaną trocinami arenę, posługaczy i dyrektorów, poskramiaczy, dobosza, kiedy wybija werbel, wpółobrócony, kiedy pod kopułą cyrku na trapezie rozhuśtanym jak ryby w akwarium krążą i wymijają się cienie linoskoczków.

Słoń wspina się przednimi pniami nóg na kolorowy skośny graniastościan.

I znów woltyżerka na palfreyu, i głucho tętnią kopyta w trocinach lub czasem ostro o drewniany parapet areny, i: „hopla!…”

Potwory były na samym końcu repertuaru.

W drzwiach zrobił się ruch: 2. Szwadron, który robił wypad, dostawia jeńca.

To był pierwszy Niemiec. Wachmistrz, młody chłopak o twarzy bladej ze zdenerwowania. Stał wyprostowany, tylko mu się mundur pofałdował, kiedy dłonie przyciskał do szwów spodni. Miał kurtkę koloru feldgrau z oszyciem naramienników i kołnierza i numerem pułkowym, na prawej piersi ponad kieszenią wydłużone skrzydła orła i w szponach swastyka w laurce. Kurtka feldgrau z tandetnej namiastki wełny – wolstra, takież ciemniejsze zielonobure spodnie. Materiał zachowuje niezmiennie fałdy w zgięciach łokci, barków i kolan. Sprzączki oksydowane na oliwkowy kolor. Nogi mu drżą w krótkich butach, kieszenie ma nieporządnie porozpinane – przeszukiwali go.

Ułan, który go przyprowadził, jest o pół głowy wyższy, ma karabin z nasadzonym bagnetem przewieszony przez łokieć, „po żandarmsku”. Okap hełmu rzuca cień na jego kamienną ze zmęczenia twarz.

Na stole leży hełm szarego koloru, po jednej stronie ma wymalowany trójkolorowy znak Reichu, po drugiej – orła, parabellum (pustą pochwę Niemiec ma na pasie). Z wypatroszonej torby podoficerskiej wysypują się na ten stół kartonowe pudełka z zapasową amunicją do pistoletu, czekolada, podła czekolada w jaskrawym opakowaniu, mapa, kompas. Z kieszeni

wybrane papiery – list, pułkownik trzyma ten list w palcach, patrzy na Niemca. Termos. Jeszcze maska przeciwgazowa Niemca.

Niemiec stoi wyprostowany. My wszyscy naokoło pobudzeni, ciekawi patrzymy na niego.

Niemiec jest przystojny, ale niesympatyczną białoróżowo-blondynowatą przystojnością Wagnerowskich bohaterów z *Nibelungów* – mruga w świetle lampy białymi rzęsami i patrzy tylko w pułkownika.

Pułkownik bardzo poprawną austriacką niemczyzną pyta, skąd jest.

– *Fünfzehn Kraftradfahrerbataillon von Baden…* – przełyka ślinę i mówi gardłowym głosem Niemiec.

To jest jeden z potworów cyrkowych! Wychynął właśnie na arenę wysypaną trocinami.

Jest cisza, tylko: klik! łącznicy, telefonista mówi do mikrofonu: „»Smok«! – tu »Demon«! – »Smok«!” – i znów: klik! wtyczek.

Tu „Demon”!

Cyrk był trzeciorzędnym wędrownym cyrkiem: wozy pomalowane w wypełzłe jaskrawe kolory, z wielkimi napisami: „CYRK”, firaneczkami w oknach, z kilkoma nędznymi zwierzętami w śmierdzących klatkach, nawet skóra starego słonia wydawała się zniszczona i wytarta jak skóra starej walizy, umączone i posmarowane twarze klownów i ich najtrywialniejsze jarmarczne numery, wystające przez skórę obojczyki woltyżerki i przybrukany trykot akrobatów.

Na zakończenie jednak był numer, finał, doskonale zrobiony i pokazany.

Jeszcze był pokaz akrobatycznej jazdy na rowerach, banalne i prymitywne sztuczki, muzyka zagrała tusz i – nagle z czeluści wejścia na arenę zaczęły wjeżdżać na rowerach, welocypedach, bicyklach, trycyklach, na karykaturach kół, na kołach elipsowatych, na fantastycznych kombinacjach kół, na ich obręczach opisujących jakieś ewoluty i ewolwenty, i epicykle potwory, maszkary, klowny, pierroty, motyle, stwory, niedźwiedzie, małpy, ptaki, owady, żyrafy, co tylko teratologia ma w zapasie, jakieś fantazje jak z obrazów Bruegla lub kuszenia świętego Antoniego, harpie, ludzie-żołądki i ludzie-lichtarze, węże, lamparty i zupełne fantazje do niczego niepodobne, i ten tłum strzyg i dziwolągów

krążył obłędną karuzelą, *merry-go-round*, wirem, malstromem absurdu pod kaskadami światła, jakby świat z *Ali w Krainie Czarów* wypełnił nagle nędzne wnętrze namiotu prowincjonalnego cyrku.

A rano budził mię adiutant i wołał do mnie: „»Wykonać 390«! Pomóż mi, na miłość boską, telefonuj po bateriach!”

Kiedy wyjrzałem na dwór, późny księżyc wschodził i w jego bladym świetle widziałem, jak przyszedł wyczekiwany pułk piechoty Młyńca i po marszu każdy padał tam, gdzie stał, i rynek wyglądał jak pobojowisko: leżące ciała, hełmy, karabiny, spali po śmiertelnym marszu.

Rano

Co dzień wstawało to samo słońce w różowych obłokach poranka. Z szarego mroku gałęzi maskujących wyłaniały się działa ciężko wryte lemieszami w ziemię. Wilgoć lśniła na złotych usmolonych łuskach wystrzelonych pocisków. Kanonierzy obsługi zawinięci w płaszcze mokre od rosy budzili się pod nawoływaniem działonowych.

W działonie grubogłosego kaprala Ogórka, w 4. Działonie, jakieś rozmowy i konszachty trwały zresztą całą noc.

Gdzieś z tyłu zajechała kuchnia z kawą i od razu wszystkie głowy skierowały się w tamtą stronę. Chudy wysoki kucharz z owiązaną ręką rozlewał kawę w obłokach pary i dzwoniąc warzęchą o menażki, zezował w stronę błękitnego nieba Krzeczowa.

Buchnął w tej stronie wystrzał armatni i zaszumiał pocisk. Potężne: baaach!! między świerkami i za chwilę nowy wystrzał i nowa detonacja. Patrzę za obsługą, która przylepia się do wyrzuconego piachu dołów. Obok ciemnieje masa jaszcza.

Artyleria nieprzyjaciela strzela nieregularnie. Górzysty teren wciąga jedne pociski w głębokie parowy, inne wykwitają na stokach i rozwlekają dymy w wilgoci poranka.

Potem ucicha. Dowódca 2. Plutonu zdjął koszulę, przychylił tors nad małym szkiełkiem lusterka i porozrzucał koło siebie, goląc się, niebieskie papierki z opakowania „Gillette”.

Nie spałem tej nocy i nie wiem, czy się kiedy wyśpię.

Południe

Jedną piaszczystą drogą ciągnęły trzy kolumny wozów. Bokami drogi – ludzie. Zagnane trwogą gromady kobiet, dzieci niosły swój dobytek w walizach, tobołach, na wozach, taczkach, na zgiętych plecach. Szli z nogami owiniętymi szmatami, boso, kobiety w pantoflach z wykręconymi obcasami. Kolumna utykała co chwilę. Widać czołg „Vickers” na środku drogi. Na jego wieżach zapyleni po włosy siedzą i wiszą ci, których litościwa załoga nie spędziła. Usmoleni żołnierze z czołgów, z twarzami i rękami czarnymi od oliwy, grzebią się przy urwanej gąsienicy. Wlecze się Żydówka i dźwiga na plecach ciało otyłe i bezwładne kilkunastoletniego chłopca, oczywistego i tępego matołka-idioty. Żydówka ugina się pod tym ciężarem, jak gdyby to, co niesie i wlecze, było najlepszą częścią tego świata i jak gdyby chciała to dla świata tego uratować. Obok biwakują przy dymiących gałęziach więźniowie z ciężkiego więzienia w Wiśniczu. Zostali wypuszczeni, kiedy niemieckie pociski zapaliły dach nad ich głowami, i zrzuciwszy więzienne ubrania, wędrują tak, w tych gaciach, przez pół Polski. Obok w rowie przychylony karkołomnie pali się samochód ciężarowy.

Już nie drogą, ale czystym polem wlecze się cyrk wędrowny. Ten cyrk! Jaskrawe litery reklam na wozach, porwane firaneczki w oknach bud cyrkowych, wiszące w nieładzie płótna namiotów pomarszczone jak skóra na słoniu prowadzonym obok.

Więc już stanowimy jedną całość. My i potwory, i dziwolągi. Łączymy się w jedną feerię teratologiczną Krainy Czarów.

Nalot! Zza postrzępionej piły sosnowego lasu wypływają w jednostajnym rzężeniu silników podłużne „ołówki” dornierów. Na drodze powstaje panika. Ci, którzy wlekli się dotychczas zmęczonym krokiem albo przysiedli na szkarpach drogi, znaleźli nagle utracone siły. Ludzkie postacie rozsypują się po polu, biegają we wszystkich kierunkach.

Pierwszy klucz bombowców jest już nad drogą. Za nim następna trójka i znowu, i znowu! Widać odrywające się od kadłubów czarne punkty bomb. Chwila oczekiwania zapierającego dech w piersiach i nagle przetacza się

grzmot salwy pierwszych bomb. Po obu stronach drogi i na niej rosną wulkany i gejzery wyrzuconej ziemi i pyłu. Kwik straszny koni tarzających się w wyrzuconych kiszkach, dusząca woń trotylu, trzask wozów najeżdżających na siebie i nad wszystkim górujące dudniące rzężenie motorów…

Wieczór

Wszyscy byli już śmiertelnie pomęczeni wielu nie dospanymi nocami.

Zostawiłem baterię na skraju spalonej wsi i szedłem w poszukiwaniu miejsca na biwak. Wieś była spalona do szczętu. Starostowie w wydziałach powiatowych propagowali i premiowali dachy z blachy cynkowanej i teraz te dachy powykręcane, cynobrowe i zakopcone leżały dokładnie na ziemi. W niebo sterczały jedynie kominy i czarne, opalone od strony pożaru drzewa i wyglądały jak formistyczne dekoracje teatralne Pronaszki.

Szedłem na przełaj przez jakieś ugory, czerwony czerep słońca zapadał się za linię horyzontu. Nagle poczułem się szalenie samotny, bateria na szosie znikła mi z pola widzenia i nie słyszałem głosów ludzi. Tylko swąd spalenizny zdawał się jeszcze ciągle unosić w powietrzu.

Na tym polu natknąłem się na nich. Para uciekinierów, chłopów. On był rosły o zapadniętych z nieszczęścia policzkach, ona – przystojna o surowej, niewesołej twarzy. Oboje byli zgięci pod jakimiś tam tobołami z dobytkiem zabranym naprędce i niesionym tak donikąd.

Musiałem ostro na nich krzyknąć, tak niechętne i niemile niespodziewane wydawało im się spotkanie ze mną. Musiałem sobie w zmęczonych myślach uprzytomnić mój wygląd: z brudem i zarostem wielu dni na twarzy, w nasuniętym niemieckim hełmie szturmowym, jakie nosiła nasza brygada, i z kolekcją ręcznych granatów uwieszonych na pasie.

Stali już i czekali na moje zbliżenie się. Odpowiadają na pytania. Skąd idą, dokąd, co to za przysiółek tam w kępie drzew, skąd idą? Odpowiadają razem, oboje, w zachowaniu się mężczyzny jest cała nieprzyjaźń połączona z pewną dozą jak gdyby uniżoności – wiadomo, jest wojna, nie można sobie pozwolić na cień niezadowolenia wobec człowieka uzbrojonego, od którego kaprysu zależy, czy będą mogli spokojnie pójść w swoją nędzną,

beznadziejną drogę. Kobieta za to jest bezapelacyjnie wroga, jakby cała jej nienawiść za to, co się dzieje, była skierowana we mnie.

Chciałbym im powiedzieć, że wszyscy jesteśmy już potworami. Że przekroczyliśmy taflę magicznego zwierciadła Krainy Czarów. Że to, co się z nami dziać teraz będzie, to będzie karykaturalne odbicie tego świata, który był, że tylko będziemy małpować stare ruchy, ale serca nam przewędrowały z lewej na prawą stronę, że to, co było miłością, już nie wróci, że będzie nienawiścią, że jesteśmy już w odwróconym świecie potworów…

[prwdr. „Dziennik Żołnierza” 1941, nr 374, 375, 376, pt. *Wspomnienie o baterii motorowej*]

Polonez na pożegnanie ojczyzny

(Opowiadanie ułana Czuchnowskiego)

„…Bracie – staliśmy tam w nocy, na tej drodze, i góry naokoło jak cholera, i ciemno, tylko w dole szumi woda, i co się posuniemy dwadzieścia kroków, znowu stoimy. Ten mój kamrat, co szoferował, to spał na kierownicy i za każdym razem tom go musiał budzić. A z tyłu naładowały się nam obce ludzie: piechociarze, jakaś zakonnica i takie dziewczyny, co się pogubiły od rodziny. Od granicy szli także. Jakiegoś zatrzymali, pytają, »Nasermater, Węgry nie puszczają, każą podpisać, że na trzy lata na roboty, na obóz koncentracyjny – a jeden oficer to sobie tam na samej granicy w łeb strzelił…« – to mię złość wzięła, jak tak mówił – cholery! jak to się zmieniły – idzie! Broń odbierają! To ja siedzę i aż mię ściska w dołku, ciężko, cholera, i choć zmordowany jestem, to spać nie mogę, i wszyscy śpią naokoło, gdzie kto głowę przyłoży. Jechaliśmy tak cały dzień przedtem i żeby nie to, że się nałykasz kurzawy i żeś nie spał naprawdę dwa tygodnie przedtem, to można by myśleć uczciwie i powiedzieć sobie: wracam albo jadę – ale tak to stoisz po nocy. A gardło mam zdarte od krzyczenia, bo jakbyś nie poszedł naprzód i nie sklął, tobyśmy się nigdy nie ruszyli…

Ten kraj, bracie, tośmy sobie w dwadzieścia lat na glanc oswoili i żebyś czuł, jak to jechać z Polski, a po drogach stoją wzdłuż ludzie i patrzą: Rusiny, Ukraińcy – młode chłopy, baby – i nie wiedzą jeszcze, czy tu się cieszyć, czy co, to za straszne dla nich to wszystko. I jechał taki szwadron golędzinowski: chłopy jak byki, a szare na pysku ze strachu, a konie pod nimi i siodła *first-class*, a powiadał mi tak kamrat, że jak strilce siczowi gdzieś strzelali, to te konne granaty rzucali do domów po drodze… A już

jak wjeżdżaliśmy w te góry, to nadleciał nisko nasz samolot, leciał na Węgry, ale trochę dalej to wylądował na polu, znalazł kawałek płaski, i wieczór już był, i palił się, nie wiem, czy go sami zapalili, czy skraksował, i ludzie biegli do pożaru jak na widowisko, i palił się ciemnoczerwonym ogniem – już był wieczór…

A ta cholerna noc, wydawało się, że się nie skończy. Woda szumi i od czasu do czasu: pak, pak! strzela z gór, i nie wiesz sam, kto i po co. Albo jak huknie! – granat ręczny… I zmęczonyś, i głowa ci pęka, i nie wiesz, co robić. Wyciągnąłem z kieszeni papiery: legitymacje z warsztatów i listy, i fotografię żony, i darłem to na drobne strzępki – niech nikt nie maca tego palcami…

Aż rano, jak się jaśniej zrobiło, to powoli ruszyło i znów trochę stoimy, i znów zatkało. Taki na spa za nami, z Poznania, krzyczy: »Jechać zaś! pierona!« Pieron, a to trzy kolumny się cisną, wóz od Stanisławowa toruje pierwszym biegiem, woda nam się dwa razy całkiem z chłodnicy wygotowała. Kupa lotników w niebieskich mundurach na wysoko załadowanym wozie i działo przeciwlotnicze »Bofors«, a celowniczowie śpią na swoich siedzeniach, tylko im głowy wiszą jak zarżniętym kurczakom. Taki packard – *roadster*, sto koni – chciał obok nas wykręcić i przewrócił się do góry kołami, i siedział w nim jakiś rotmistrz i jakiś ksiądz, i nic im się nie stało, i stali teraz nad nim, mało nie płaczą…

Mój kamrat, taki ze Śląska, Günther Nietche, ten, co szoferował, to wyciągnął ze skrzynki narzędziowej flaszkę wódki – klawo! napiłem się, a tu ścieżkami z gór, widać z daleka, wysoko w górze, schodzą ludzie tymi ścieżkami i to już inny gatunek człowieka: dla nich ta cała wojna, to wszystko, to tylko niespodziewane widowisko dla tych Hucułów. Poubierali się na to jak na święto i z daleka w tych kolorowych wyszywanych kożuszkach baranem na wierzch, i prowadzili dzieci, i stali przy drodze, i patrzyli na to wszystko bez nieprzyjaźni, bez grozy, jak ten świat ludzi z dołów się przewraca i rzuca w konwulsjach, i zazdrość mnie brała, że dla nich tylko spokój i godność.

Staliśmy tam jeszcze i jeden z obsługi kaemu pelot wyciągnął akordeon, przysiadł na błotniku, poprawił szelki tej harmonii, rozciągnął miech

i zagrał: »…bo w Brzuchowicach festyn klawo gra…«, podchodzili żołnierze z innych wozów i ci górale słuchali, mieli otwarte usta do tej muzyki, i to był taki *Polonez na pożegnanie ojczyzny*, bo staliśmy już przed samą granicą…

Potem ruszyliśmy znów, na szlabanie granicznym paliła się kupa papierów i wiatr porywał czarne zetlałe pokurczone ich zwęglenia, stało dużo ludzi, przepchaliśmy się i już byliśmy po węgierskiej stronie, i tu stali węgierscy oficerowie z grozą na twarzy, a ta fala i ten wodospad ludzi, wozów, sprzętu przepychał się, i stał tam taki młodziutki oficerek honwedów, mikrus z różowymi policzkami, widać taki z dobrej rodziny, sztywny po wojskowemu, w zapiętym kołnierzu, jego honwedzi leżeli z karabinami na szkarpie zakrętu drogi, z lufami karabinów w stronę nas, i ten oficerek sztywny i drżący ze wzruszenia patrzył na ten wodospad ludzi, i myślałem: Napatrz się na to – ty, twoja mać taka-owaka, myślałeś, że życie to fartuch twojej matki i złoty kołnierz – to się napatrz…

Na węgierską stronę droga schodzi od razu w strome serpentyny i zaraz działo zmotoryzowane z ciągnikiem i jaszczem poleciało w dół, wyrzucone na pierwszym zakręcie, kiedy za późno włączył kierowca reduktor, i leciało na tle nieba po stromym urwisku, łamiąc jodły i waląc je na piątej serpentynie w poprzek drogi. Nic nie zatrzymuje nas. Idzie spieniona kolumna koni stadniny państwowej z Włodawy. Zakurzone po grzywy, w chrapaniu i stękaniu ściśnięte, w tupocie kopyt młode konie, dwulatki, błyskają im białka oczu i spocone kłęby…

W Rachov olbrzymie obozowisko ludzi, sprzęty, palą się stosy karabinów rzucone na kupę, leżą wysypane do rowów wory z kawą, skrzynie konserw, walają się maski pe-gaz, zdefektowane samochody, wesołym kolorem i mosiężnymi częściami bawi oko motopompa z wielkim napisem: »Straż Ogniowa Miasta Bydgoszczy«.

Tam spotkałem mego kolegę ze Lwowa – taki był piegowaty i nazywał się Dziunek Fisz.

Było pod wieczór i on wiązał worek, i mówił mi:

»Ja wracam. W dupę dyszlem zajebana mać! wracam. Jak się kucasz, to zostań!«

»Ty, magik« – mówię – »na granicy już Rosjanie…«

»Jo? To ja ci powiem tak: Jak byliśmy pod Myślenicami, cofaliśmy się, to był taki dom na górze przy drodze, szac dom, i schodami z góry schodziły dzieci i znosiły nam w kieszeniach, podołkach jabłka, jeszcze zielone jabłka… i wszyscy tam z tego domu, co może zaraz potem palił się od zapalających pocisków, wszyscy tam mieli twarze blade od nieszczęścia i stali tam w miejscu, i nie uciekali, i stali, i, jak Boga mego, jak tak stali i nie ruszali się, to wydawało mi się, że to oni są wojsko, a nie my. Ja wracam. Ja chcę stać, tak jak oni, w miejscu…«

Pomogłem jemu i jeszcze jakiejś pannie wracać do granicy. »Pod włos« w nocy przez węgierskie posterunki, ale jak przyciśniesz gaz do deski, to ominiesz wszystko. Pod granicę dojechaliśmy nad ranem. Wóz zostawiłem na drodze i we troje zaczęliśmy się wspinać, ja pomagałem nieść walizkę tej panny, co gwałtem wracała z zagranicy, i ta walizka wyklejona była hotelowymi naklejkami, i śpieszyło się tej pannie do Polski z powrotem, jak temu memu koledze, co się nazywał Dziunek Fisz.

Kolega schował mój list do żony we Lwowie za mundur, popatrzył jeszcze uważnie na mnie, potrząsnął moją rękę: »Serwus!«, i zaczął iść z tą panną na wartownika sowieckiego, co się czernił w swym długim płaszczu po drugiej stronie przesieki, i gałęzie trzaskały im pod nogami, i bolszewik na granicy obrócił się na nich, i zdenerwowanym głosem krzyczał:

»*Stoj! Po-stoj!*…«

I repetował karabin, i brał na cel.

Usłyszałem jeszcze głos kolegi taki, jak ma ktoś, co ma sprawy do załatwienia i przeszkadzają mu w tym, i nużą. Usłyszałem jeszcze jego słowa niecierpliwe:

»Ta już stoji! stoji…«

Zacząłem schodzić stromą górą między świerkami – tędy, jak droga na Węgry…

Taki Dziunek Fisz…”

[prwdr. „Tygodnik Polski” 1947, nr 7, pt. *Polonez na pożegnanie ojczyzny*]

Pejzaż armorykański

Nasze kasyno mieściło się na tyłach sklepiku. Właścicielem sklepu był czarny jak Cygan jegomość nazwiskiem, o ile sobie przypominam, Jaloux-Huchet. Miał, jak na stosunki francuskie, ogromnie liczną rodzinę. Spłodził tę masę dzieci do spółki ze swą małą żoną, miłą kobietą o zatroskanych oczach. Zdaje mi się, że dzieci było ośmioro: od chłopca ośmnastoletniego do ledwie zaczynającej chodzić małej Renée.

Te dzieci spotykałem rano na swej drodze w drewnianym stukocie sabotów idące do szkoły w późne zimne bretońskie poranki. Chłopcy chowali czerwone od zimna ręce do kieszeni spodni, musząc wysoko podnosić czarne klotowe fartuchy, jakie mali chłopcy we Francji noszą na ubraniach. Poślizgiwali się na zlodowaciałej powierzchni szosy obramionej niskimi kamiennymi murami oplecionymi cierniem głogów. W parowie prymitywna, przywieziona tu w lecie prasa do tłoczenia cydru stała nieczynna pod niskim niebem styczniowym.

Na obiad schodziliśmy się koło godziny pierwszej. Nasza jadalnia, jak wspomniałem, mieściła się na tyłach sklepiku i w normalnych czasach była pewnego rodzaju odciętym pokojem dla bardziej szanownych czy pragnących samotności gości. Była wąska i obie ściany zajmowały półki z ubogim towarem sklepiku. Kolorowe barchany i drelichy, kapelusze słomiane sprzedawane w lecie, nadziane jeden na drugi w wysokie kolumny, rzędy komicznie kolorowych sabotów oszytych skórą i ewentualnie podbitych solidnie gwoździami. Stały tam jeszcze maszyna do szycia i za szkłem szafki stare i zużyte od przewracania książki do nabożeństwa. Jedno z okien wychodziło na głębokie podwórze, które właściwie było miejscem po wybranym kamieniołomie. Czerwone ściany masywu armorykańskiego wznosiły się jako naturalne ogrodzenie tego podwórza, po którym przechadzały się, gubiąc pióra, znudzone kury i perlice.

Któryś z kolegów nakręcał gramofon „Pathé” i nakładał jeden z ogranych dysków. Najbardziej do tego klimatu pasowała może płyta piosenki z folkloru, w której każdy dwuwiersz powtarzał się rytmicznie jak rytmiczne i powtarzalne prostacko jest życie tych ludzi tutaj:

„C’était une jeune fille,
Elle n’avait pas quinze ans…
C’était une jeune fille,
Elle n’avait pas quinze ans…
Elle était endormie…
. . . . . ”

Zapytałem, naturalnie, małą kilkunastoletnią Huchet, która przynosiła widelce i noże i nakrywała do stołu, czy ma ona już piętnaście lat.

„*Pas encore, m’sieur…*” – powiedziała zawstydzona, nie patrząc na mnie.

Była prześliczna. Może to wydawało się z powodu życia w pustce, gdzie spotkane kobiety były pozbawione jakiegokolwiek powabu w czarnych sukniach swych, czerwonej cerze, jakichś drewnianych ruchach, kobiecości ogromnie odstręczającej. Musiała mieć czternaście–piętnaście lat, miała długie nogi podlotka, piersi jeszcze nie rozwinięte i czerwone zniszczone od wody, pracy w domu i zimna ręce. Miała typową antropologicznie bretońską głowę z gładko zaczesanymi włosami, zaplecionymi w warkoczyki zwinięte w węzeł na karku. I miała prześliczną twarzyczkę z delikatnymi łukami brwi i cudowną okrągłością policzków.

Rozmowy w kasynie były z reguły na obojętne tematy. Nie o wojnie, nie o Polsce, nie o rodzinach.

Dyplomowany kapitan S. opowiadał o swoim stażu w kawalerii włoskiej jeszcze przed wojną:

„Marsze zawsze kłusem i galopem”.

„Ciekawe” – mówił pułkownik – „a właściwie to można tak, tylko trzeba dobrze karmić; zawsze sam byłem zdania: karmić, doglądać i gnać. A jakie konie?”

„Dobre. Szwoleżerowie mieli lekkie konie, ale dragoni i »lanczieri« – dlatego tak się pewnie nazywali, że w przeciwieństwie do dragonów i szwoleżerów nie mieli lanc – dragoni i »lanczieri« mieli kościste, ciężkie.

Moja klacz była twarda w pysku, jakbym miał wodze uwiązane do pnia. Jakie rzędy? Czerwone od rdzy, szeregowcy na siodłach po prostu historycznych, przykrytych kozimi skórami, wszystko przy siodle: szabla, karabinek w olstrze. Dużo jazdy w terenie. Czy specjalnie dobrze jeżdżą? Ułani, jak u nas – przeciętnie, oficerowie – poprawnie. To tak wyglądało: pobudka o drugiej, za to praca wcześnie się kończy, obiad i po obiedzie wszystko śpi obowiązkowo – sjesta – właściwie mają to podzielone: śpią dwa razy w ciągu doby – to tam na tamten klimat. A dragoni mają wspaniałe czaka – takie…”

Po obiedzie wracaliśmy do zajęć. Po wyjściu z kasyna robiliśmy gremialnie psipsi, stojąc w śniegu bretońskiej zimy.

„Jest awizo” – zwrócił się do mnie pułkownik. – „Jutro na stacji w Guer – transport – około stu koni. Pojedziesz – o szóstej trzeba być na miejscu; ludzie, kantary – sobie oblicz: około setki koni”.

Zanim o koniach – o ludziach:

Zajrzałem do notesu – trzeba wybrać ludzi. Kto może pójść? Dzisiaj o dwunastej bateria wystawiała wartę: 1 + 3 + goniec. Dowódca warty: Grzesiak, potem: Szkoła, Grot – Grot jest przekreślony, poszedł Adamek – no i Majda. Goniec: Kołodka, ale mam zapisane, że trzeba wyjaśnić, bo gońca dawaliśmy wczoraj. Kapral Ogrodnik jest podoficerem służbowym, a kanonier Antczak – zastępcą. Natykam się na memorandum, że ma być podana zmiana adresu, ale jaki, u licha, jest ten nowy adres? Gdzie go zapisałem? Meldunek o nieprzybyciu Winnickiego. Wykaz kwater – do siódmego. Lista żołdu – do ósmego. Meldunek: buty – jedenaście par za małych. Aha! Jest! „Secteur postal 370”. Aha! – jutro kanonier ze starszego rocznika mówiący po francusku – u księdza o ósmej.

Wszyscy mówią po francusku. Niektórzy nawet nie mówią po polsku. Kto są ci ludzie?

Patrzę na listę bateryjną: Antczak Stefan, Bat Jan, Bożek Piotr, Bachowski Bolesław, Dziektarz Leon, Dłubak Józef, Foryś Wacław, Fryga Franciszek, Fryga Marian – to bracia… Makara Michał (dlaczego zapisałem przy nim: „Departament Tarn-et-Garonne”? – pewnie dlatego, że to osobliwość, bo wszyscy są z Nord: albo Pas-de-Calais, albo Seine-et-

Oise), patrzę dalej: Piecko Józef, Pacułt Stanisław, Rzepisko, Rozwałka, Rożniecki… Stasik, Sobkowicz…

Patrzę, gdzie mam zapisane: uprząż. Kantary. Kantarów surowcowych ze sznurami: 28, kantarów surowcowych z łańcuchami: 39, kantarów bez niczego: tyle… Razem…

Kto są ci ludzie? Rano o siwym świcie, kiedy stoją milczącym murem na zbiórce, szef składa mi raport i głucho pod bretońskim niebem odpowiadają: „Czoł… panie …ruczniku!…” Nawet Kuśnierz, który nie umie zupełnie po polsku. Patrzą uważnie – ani przyjaźnie, ani nieprzyjaźnie. Nie mają pretensji. Ironia naleśnikowatych sienników, niebieskich drelichów ćwiczebnych na tę zimę, błota i nawozu dróżek prowadzących do porozrzucanych ferm, gdzie kwaterują. Ironia wojny polskiej, która za nimi przywędrowała na emigrację. Nie protestują, nie mówią nic. Patrzą, słuchają. Są nieodgadnieni. Czasem nawet wolałbym, żeby mówili, żeby zaczęli. Nic. Nie ma pomostu między nami.

Ale – myślę – zmieni się to, jak nas łupnie po grzbiecie granatem i odłamkami po krzyżach. Jak pójdziemy na tę wojnę. Jak razem ściśniemy się w jednym dole, kiedy górą zaszeleszczą skorupy niemieckich granatów. To wyrabia solidarność. Jak pójdziemy na tę wojnę…

W noce ciemne jak atrament, poświecając sobie latarką elektryczną, chodziłem, potykając się po kamieniach i ciapiąc w błocie po kostki, po odległych fermach Breil du Coq, Pluneret, La Turtelière, St-Gildas-des-Bois, podsłuchiwałem pod oknami, za którymi jarzyło się czerwone światło latarni i leniwe cienie żołnierzy poruszały się po suficie. Słyszałem: „*dit donc, mon vieux – sans blague*” – „u nas w Melun” – „a u nas w Avesnes to ci, bracie” – i szedłem dalej, i natykałem się na dyżurnego stajennego, który nigdy nie spał, i przypominałem niepotrzebnie, że jutro… niepotrzebnie, bo nigdy się nie zaniedbywali. I znów mimo okien słyszałem: „*qu’est-ce que tu voudras, eh, tois?!*” – „*ça va?*” – „*merd’alors!*” – „*eh, ne bougez pas*” – i to Konieczny Piotr, Kutyła Kazimierz, Kowal Michał, Kluba Roch, Kazek, Kędzia, Pogoda, Sagan, Stuż, Wielobób, Zych, Żyła…

Ale to nic… To się zmieni, jak pójdziemy…

Mówiłem im o pryncypiach postawy strzeleckiej: dłoń obejmuje szyjkę karabinu, palec wskazujący na języku spustowym, ściąga się drugim członem palca, wykładałem o erkaemie wzór 36, szybkostrzelność teoretyczna 400 strzałów na minutę, granat zaczepny, granat odporny, „Celowanie na kątomierz busolę! Krąg tyle…”, uprząż francuska artyleryjska szorowa: pas obiegowy, naszyjnik, szelka nośna, wrotnik… miałem lekcje geografii Polski, rozpoznawaliśmy sylwetki: Ju 87 i dornier 219, i Me 109, i mówiłem o objawach zatrucia fosgenem, czyli gazem musztardowym, i o błogosławionym w skutkach wczesnym zgłaszaniu oznak zarażenia chorobą weneryczną, i znów trójkąt błędów, postawa strzelecka, karabin maszynowy „St-Étienne” (niestety, trójnogi do nich dostaliśmy od hotchkissów) i granat wzór 17 ze stali surówkowej, i luizyt, i heinkel 111 – i dalej byliśmy na dystans…

Będzie inaczej, jak pójdziemy na tę…

Ale konia miałem jak kupiecka córka! Kasztanowata klacz z białą strzałą na nosie i białymi pęcinami tylnych nóg. Dyżurny osiodłał mi ją i przyprowadził pod dom jeszcze o nocy, kiedy myłem się w lodowatej wodzie i wciągałem buty na swej kwaterze.

Do wsiadania nie trzeba było jej trzymać, ale nosiła wytok, bo łbem rzucała tak, że mogła zabić.

Jechałem jak najbardziej brzegiem szosy, gdzie wąski pas miękkiej bankiety, i patrzyłem w gwiazdozbiory wirujące nad moją głową. Potem puściłem ją trochę kłusem i kłaniałem się gałęziom wiszącym nad drogą, i głucho dudniły podkowy końskie: du-du, du! – du-du, du!… Potem znów stępem i klepałem piękną szyję klaczy tak sprężystą i silną, kiedy ciemniała jej sierść od potu.

Głuchy świt wstawał wśród kurtyzowanych i włochatych od gałęzi drzew Bretanii. Przejeżdżam koło Forges z prawej strony, gdzie piękny rokokowy pałacyk hrabiego de Lespinasse’a i jego siedmiu starzejących się i niechętnie myjących się córek hrabianek. Mijam osiedla i fermy kamienne i uśpione, i pola w żywopłotach zawiezione nawozem i czarne, i poplamione płatami śniegu. Skrzypi skóra puśliska i dźwięknie podkowa o kamień.

Na stacji w Guer czeka moja partia z kantarami – wyszli wcześniej – i równocześnie zajeżdża nieskończenie długi transport-pociąg. Jest samochodem *major de la zone*, pułkownik Vincent, którego twarz kraśna od befsztyków i wina ukazuje się za szybą auta.

Pułkownik Vincent jest w furii. Koni przyszło dwieście. Dwieście! Czarni Senegalczycy, którzy mają rozkaz wydać je bez kantarów, wyprowadzają opierające się konie z wagonów na rampę i po prostu puszczają luzem. „*Maréchal des logis*”, który je dostawił, odpowiada na cambronnowskie epitety pułkownika wzruszeniem ramion i: „*Oui, mon colonel*”.

Moi ludzie (pamiętamy, że było ich i kantarów na sto koni) wiążą je za szyje łańcuchami, sztukują, sprzęgają zdjętymi pasami. Na rampie rozrzucona słoma i poślad koński, pułkownik Vincent uspokaja się powoli, cały kłopot jest zasadniczo moim kłopotem. *Ça ira*. I rozmawiamy już o czym innym: o winie, o jego miarach.

„Wie pan – poruczniku – *une chope*, *une chopine* to właściwie pozostałość – nazwa z dawnych czasów – paliatyw – system metryczny i litr są w Sèvres, a tu jeszcze piją *une chopine de cidre*, to właściwie wbrew i na przekór systemowi biurokratycznemu miar i wag – *n’est-ce pas?*”

Zaczęliśmy się zżywać jeszcze przed „deszczem” niemieckich granatów. Zrobiły to właśnie te konie. Konie i konie. Czyszczenie koni. Maneż. Maneż. Furażowanie. Choroby. Zołzy, gruda, zatratowania. W nocy dyżurny dobijał się na moją kwaterę: „Panie poruczniku, na Breil du Coq dereszowata klacz ma kolki!” Wszy. Boże! nie miałem pojęcia, że francuskie konie mogą być tak zawszone. Śmierdzieliśmy lizolem.

O ludziach myślałem kategoriami końskimi. Wielobób to stalowa para dyszlowa, a Rożniecki to bułany, który rozciął sobie łopatkę, kiedy potknął się w czasie baterii zaprzężonej i szóstka pociągnęła go po ziemi. Zych to w mym umyśle stwór teratologiczny hermafrodyty z klaczy (nieuleczalna zołza) i wałacha przedniej pary drugiego działa.

Kiedy w półkolu audytorium uczyłem, jak wiązać postronki w nowej uprzęży – postronki przedniej pary na pełną długość, postronki drugiej do

połowy skrócone – skóra śmierdziała juchtem. Ale spróbujcie dla zawiązania ósemki postronków dyszlowej pary, spróbujcie przepchać poczwórnie złożoną linę przez ucho pasa pociągowego, ucho obszyte nową skórą, to także połamiecie sobie wszystkie paznokcie – to był tryumf! – para zaczepiona do jaszcza pociągnęła i postronki zaciągnęły się we wspaniałe węzły.

Tego dnia wieczorem Marcel Maduzia, który sprzedał przed pójściem do wojska zakład fryzjerski w Douai, przyniósł na moją kwaterę 8000 franków i mnąc furażerkę, prosił o przechowanie. To był tryumf!

W połowie kwietnia, jak Bretania długa i szeroka, zakwitły jabłonie. Jeszcze raz była biała.

Bretonki noszą swe kornety-czepki, „*coiffes*”, każda parafia inne. Nawet zacząłem już odróżniać: te czepki z Ploërmel, a te koronki to z Pontivy, a te krochmalone to Carhaix, Plouigneau, St-Brieuc, Paimpont… Ale jabłonie kwitły wszędzie jednakowo, tak samo białobladoróżowo i sypały płatkami na gnój Bretanii.

Tam, gdzie nie było drzew, na pustym stały smutne druidyczne menhiry i kromlechy.

Na wzgórzach szczerzyły się purpurowe skały wysterczające spod murawy jak żebra ziemi – skały masywu armorykańskiego, i na te ubogie pastwiska dzieci bretońskie wypędzały bydło, stukając sabotami po drodze, i śpiewały podchwycone u maszerujących oddziałów polskie zwrotki – słowa, których nie rozumiały:

„Rrano, rrano, rraniusieńko,
Rrano po rosie…”,

i dziwnie to „r” brzmiało w ich ustach.

W tę kwitnącą wiosnę pułk wyruszał na front. Dano mi znać, że jestem przewidziany do czego innego – i że nie pojadę…

Bateria ładowała się i wyciągała na drogę. Chodziłem wzdłuż zaprzęgów, poprawiałem, dopinałem sprzączki, ludzie byli podnieceni pakowaniem, troczeniem, wyjazdem, nowe hełmy stalowe, maski, nowe rzemienie, troki, karmiaki, podkowiaki, skrzynie z amunicją, siano prasowane na jaszczach,

liny biwakowe, kwik wierzgających koni. Słońce nieciło zimne błyski na chromoniklowej stali tarcz działowych.

Byłem już poza nawiasem tego, asystowałem. Poszedłem jeszcze poklepać po szyi na pożegnanie moją złotą kasztankę. Gryzła niecierpliwie munsztuk, którego tak nie znosiła, a który należy do bojowego rzędu.

Potem poszedłem do pustego kasyna na obiad, żeby nie widzieć odjazdu. Ale siedziałem sam nad talerzem pełnym zupy i, wstyd powiedzieć, łzy mi ściekały po nosie do tej zupy.

Ocknąłem się – przede mną stała ta mała Huchet – przyniosła mi drugie danie i oczy miała szeroko otwarte ze zdziwienia na mój widok. Zapytała:

„*Vous avez des chagrins, m'sieur?…*”

[*Courtesy of Department of Special Collections, Stanford University Libraries*]

Sur le pont d’Avignon

Przejeżdżałem przez Paryż koło dwudziestego maja. Było to w trakcie walk we Flandrii, kiedy ekspedycyjna armia angielska i francuska po zdradzie Leopolda cofała się ku morzu, a na południe Niemcy sięgali do Sommy.

Paryż był bardzo opanowany. Naturalnie, miał swój wojenny wygląd, jaki znałem sprzed paru miesięcy, ale ludzie snuli się koło swych spraw codziennych. Na bulwarach Garde Mobile kontrolowała karty *identité*.

Wsiadłem do metra koło Gare du Nord. Zatrzasnęły się i targnęły drzwi wagonów i pociąg potoczył się tunelami. Obok mnie na ławce siedziała młoda para. Pod pomarańczowe światła lamp oglądali, objęci, negatywy jakichś filmów, pewnie zaklęte w emulsji przebyte chwile amatorskiego szczęścia. Wzniesione ich oczy, jak zamodlone w przebytym czasie, czytały z czarno-przeźroczystych plam to, co było.

Wysiadłem w Châtelet i szedłem wzdłuż *quais* prawego brzegu Sekwany. Sąsiadują tam ze sobą nieprzeliczone sklepy i zoa z klatkami i paczkami pożywienia dla wszelakich kanarków i papug. Zadumani ornitolodzy i *fantassin* z przewieszoną torbą maski gazowej kontemplują wystawione na słońce i w klatkach jak w średniowiecznych pręgierzach egzotyczne okazy bażantów, papug i szczygłów.

W kurzu trotuarów bawiły się beztroskie i nierasowe szczenięta.

Paryż był spokojny.

Lapalud leżało jakieś pięć kilometrów od Rodanu w misie, jaką rzeka wyżłobiła w ciągu wielu setek tysięcy lat swego pędu do morza. Gorąca w pierwszych dniach swego pobytu nie czułem jakoś – zawsze mię nowe strony denerwują i wyważają z równowagi. Za to zieleń i soczystość całej krainy w czerwcowym słońcu oszołomiły mię w niesłychany sposób, tak że nie obeszły mię zapowiadane jeszcze przed mym przyjazdem pustka i wymarłość miasteczka. To znany i banalny truizm na temat wyludniania się prowincji francuskiej, exodusu do miast i tam dalej. Potem

zainteresowałem się tym w znaczniejszym stopniu. Na razie cieszyłem się niespodziewanymi wakacjami, jakie mi nagle przypadły w udziale.

Ogarnęła mię z miejsca znana mi pasja zapoznawania się z topografią mego otoczenia. Robię te sprawy jak pod wpływem jakiegoś wyższego nakazu, jak pod wpływem instynktu i dotąd nie mogę spocząć, dopóki nie przemierzę i nie przeoglądam okolicy w promieniu dwudziestu kilometrów, potem napełniam się spokojem i już nic nie sprawia mi utrapień.

Zaczęło się od hotelu. Gruby i flegmatyczny południowiec, jego właściciel, siedział godzinami w cieniu werand i podtrzymywany na duchu przez kieliszek cap corse'a, wczytywał się w gazety.

Z kobaltowego nieba Prowansji lał się upał. Metalowe liście platanów zwisały ciężko z kurtyzowanych konarów drzew. Muślinowe lub z nanizanych na sznurek korali zasłony w drzwiach domów były nie poruszone. Ciszę mąciły krzyki chłopców grających w „*boules*". Płaskie dachy różowiły się dachówką w pozłocie słońca. Asfalt magistrali przebiegającej Lapalud posoczył się w jego gorącu czarną smołą.

Nurzałem się w samotności własnego pokoju, własnej przestrzeni wśród zielono-srebrnych łąk nad rwistym Rodanem i pustaci smutnych wzgórz Bari. Tak dalekie to wszystko od jarmarku wojny.

Tu nawiedzały mnie wspomnienia. Potem zacząłem coś pisać.

„Miasteczko było jak wymarłe. Ogromnie łatwo było znaleźć całe umeblowane mieszkanie i Cyryl rozglądał się w nowym miejscu, kiedy walizę i worek z zawiązanymi rzeczami rzucono na środek pokoju. Mieszkanie dawno nie zajmowane było pozbawione jakiegokolwiek zapachu i to dołączyło jeszcze jedną satysfakcję do czekającego go tu pobytu.

Z otwartego okna szły spokój i zieleń bocznej ulicy. Widać było różową dachówkę i błękitne płótno nieba. Zaczął wypakowywać książki i ustawiać je na parapecie jakimś, ale prędko rzucił to i zeszedł na dół, i ścieżką ogrodu do furtki. Ulica nakryta była dachem zielonym platanów i biegła równolegle do głównej arterii z wyślizganą smołą nawierzchni. Malutka kawiarnia wysypała czerwone stoliki i pod pasiastą markizą jedynego

hotelu drzemał właściciel gruby i bez marynarki nad płachtą »L'Éclaireura du Midi«.

Miasteczko opuściła połowa mieszkańców, migrując do miast. W drzwiach domów wisiały paciorkowe zasłony nieruchome w upale lata. Cienie wąskich szyjek-uliczek kontrastowały oślepiająco białymi w słońcu murami.

Cyryl przewędrował wkrótce okolicę wzdłuż i wszerz. Zielone łąki do Rodanu, kamieniste drogi w stronę Bollène i szosa do Pont-St-Esprit. W Pont-St-Esprit był burdel z czerwoną latarenką nad drzwiami, w Rodanie kąpiel w lodowatej wodzie rozlewisk odgraniczonych wałem od głównego, szalonego nurtu i w zielonych zaroślach bambusu. W lewo od Bollène martwe i różowe wzgórza Bari.

Boże! wszystko mu się chciało robić, tylko nie malować. Martwa natura więdła na zakurzonych fałdach draperii, na kawałku płótna różowiły się zaczęte dachy Lapalud. Chodził na szklaneczkę cap corse'a do kawiarenki i zaciągał się czarnym tytoniem »Caporal Bleu«.

Dolce far niente psuł czasem mistral. Wiał doliną Rodanu i porywał muślinowe zasłony okien – ciężki i ciepły, i przytłaczający. Odzywały się wszystkie zapomniane newralgie i kurz wsypywał się do pokoju. Ale mijał prędko i znowu wracały słodkie dnie.

Nie miał znajomości i poza paru słowami zamienianymi z gospodarzem – monsieur Meunier, »*retraité de gendarmerie*« – i czerwonolicą właścicielką kawiarni miał właściwie pożądaną pustkę i głębokość odosobnienia dna oceanu.

Główną ulicą przeciągały jedynie auta, szeleszcząc oponami po nawierzchni. Przetaczały się ciężkie »*remorqueurs*« z winem i przystawał autobus z czarnym południowcem kierowcą.

Nie potrafił przypomnieć sobie momentu, kiedy widział pierwszy raz dziewczynę, która mieszkała w domu za wysokim murem przy końcu jego ulicy. Musiał ją spotkać przedtem parę razy, kiedy wychodziła za jakimiś sprawami do miasteczka w towarzystwie małego chłopczyka z długimi włosami i w zabawnym *overallu*. Raz przy jakiejś okazji zetknęli się w sklepiku z owocami, innym razem wracała z butelką mleka i uśmiechnęła

się do niego, jakby to było coś zabawnego spotkać tego samego dnia kogoś, kogo się widziało rano. Za trzecim razem nawet zaczęli rozmawiać, ale takie oderwane zdania:

– To pan jest Polakiem?

– To pani tu na letnisku?

– Tak, ja jestem z Tulonu.

– O, jaki miły chłopak! – a miły chłopak zawstydzony patrzył w bok i błagalnie czepiał się spódnicy panny.

– Aha! Jak pani na imię?

– Renée…

– Och, Renée, co pani robi tak cały dzień?

– Nic, właściwie nic. O – mały mię zajmuje; no, jestem tu z ciotką…

Właściwie to tak oboje stali i rozmawiali bardzo nawet obojętnie, niepotrzebnie, bo Cyryl nie przyjechał tu po to, żeby zawierać znajomości, i nawet usiłował oswobodzić się od tej rozmowy, a ona wyglądała sennie i nietajemniczo, ale doskonale obojętnie jak bohaterka z pesymistycznego D’Annunziowskiego dramatu.

I przez paradoks, ażeby się pozbyć tego, Cyryl zakończył rozmowę propozycją: A może byśmy się gdzieś wybrali razem?

Więc Bari. Ale przede wszystkim – jak ona wyglądała? Cyryl teraz i wtedy nie bardzo sobie to uprzytamniał. Włosy – jakie włosy? Miała okrągłe ramiona i wspaniałą pierś, właściwie: pas na wysokości ramion nigdy nie opalony przez słońce, unoszący się w łagodnym rytmie oddechu.

Bari zaś to było stare wymarłe miasto rzymskie na pierwszych od wschodu wzgórzach. To się szło naprzód drogą i wśród pól i było to przyjemnie i nużąco. A potem teren zaczynał się powoli podnosić. Rosły oliwki o smutnym srebrnym liściu i głogi i wszędzie szczerzył się kamień wapienny. Było gorąco, ale dziewczyna nie wydawała się zmęczona. Obojgu koszule przylepły do pleców od potu.

A potem dziewczyna wydała mu się bardziej nieprzystępna aniżeli przed spotkaniem. Po prostu wydawała się chłodna. I było to tym bardziej nienaturalne, że jeżeli pochodziła z Południa, z Tulonu, była czarna i »południowa«, powinna mieć inny temperament. Cyryl się

gniewał i obrażał na ten paradoks i łapał się na gorącym uczynku, że kłóci się to z jego banalnym sądem, sądem z dykcjonarza komunałów – Flaubertowskiego słownika.

No dobrze – niech będzie chłodna. Raz tam na wzgórzach Bari wydała się nie taka, ale to nie ona właściwie – to wiatr unosił jej suknię i rozwiewał włosy, a policzki jej pałały i miała oczy błyszczące od wspinania się pod górę. Ale sama była oczywiście zimna.

Jak to było, kiedy szli wymarłymi ulicami Bari? Ulice, a właściwie: ulica biegła stromo i kręto pod górę. Koła starożytnych rzymskich dwukołowych big wryły dwie głębokie koleiny w białym kamieniu. W skale otwierały się czarne czeluście mieszkań w nich wykutych: atria i cubicula skalne. Z domów, które stały wolno, zostały jedynie zarysy fundamentów, ułomki nadproży i ziarno drobnych kolorowych kamyczków, w które rozsypały się mozaiki posadzek.

Bari było położone wysoko i górowało nad zielonym pejzażem doliny Rodanu. Na wschód rozciągały się sine i fioletowe zęby górskie Alpes Maritimes, na zachód zgadywało się Massif Central.

Na szczycie Bari dął wiatr i giął kolczaste krzaki głogu i gałęzie drzew oliwkowych rosnących między ruinami. Ten sam wiatr porywał białą spódnicę Renée i obciskał dokoła jej ud. Ten sam wiatr lepił kosmyki jej ciemnych włosów w poprzek jej policzków uparcie i jadowicie jak zwoje żmij lub ramiona sepii-ośmiornicy. Spomiędzy pasem włosów lśniły jej oczy i bielały zęby w rozchyleniu warg. Ale ona nie mogła być zimna i żałowali tej chwili, kiedy spokojnie i poprawnie schodzili po stoku góry.

Zdawało się, że wymarłe miasto zatruło atmosferą śmierci na mile wokoło całe życie. Więc fenomenem wydawało się spotkanie tu człowieka. A jednak spotkali i nie usprawiedliwia tego spotkania nawet to, jak ten człowiek wyglądał i kim był.

A wyglądał tak: był bardzo stary, to poznać już było z łuku starczego grzbietu i zgiętych kolan. A z bliska – kiedy spojrzało się w jego twarz, twarz *caput mortis* obciągniętej skórą, spod której z anatomiczną poglądowością zarysowywały się łuki jarzmowe, kość nosowa, oczodoły orbit i żuchwy bezzębne trupiej czaszki. Indycza skóra twarzy zwisała

pomarszczona w sieć fałdów. Oczy starcze i nie widzące uciekły pod sklepienie czaszki, ręce były preparatem z prosektorium, pokazem oczywistym z laboratorium Roentgena, jak w widmie *X-rays*. To był matuzalem!

Matuzalem okazał się wcale rozmowny. Mówił nawet dużo. Tak – był bardzo stary. No tak – w 1870 był za młody do wojska, ale w 1914 już był za stary i w ten sposób oszukał śmierć i żyje dotąd. Tak – życie… Czy wiedział coś o nim jeszcze? Już miał tylko inteligencję długowiecznego żółwia”.

[*Courtesy of Department of Special Collections, Stanford University Libraries*]

W drodze na morzu

Statki stały daleko na redzie, kiedy mieliśmy się ładować. W miniaturowym porcie urzędował zdenerwowany francuski *capitaine de vaisseau* – komandor, był jednak poprawny i ogolony, tylko błękitniał mu na podbródku i policzkach silny zarost bruneta. Wyładowałem swoich ludzi i stali na krawężniku posłusznie w dwuszeregu z poskładanym u nóg całym niepotrzebnym dobytkiem żołnierza. Wejścia do basenów portowych pilnowali marynarze z „*baïonnette au canon*”, mieli stroskane twarze, z którymi nie licowały wesołe pompony czapek i zuchowate nagie szyje nad pasiastymi koszulami.

Komandor w towarzystwie wysokiego chudego porucznika zachęcał mię, żebym się jak najszybciej ładował, ale przede wszystkim pytał o karabiny maszynowe dla ochrony portu. Wysłałem podchorążego wracającym do Bayonne autokarem, żeby wziął cekaemy z ochrony pociągu, i sam na próżno starałem się dostać jakąś gazetę. W międzyczasie wyrósł jak spod ziemi kapitan angielski w battledressie, miał hełm przewieszony na podpince przez ramię i był tak przysłowiowo rudy i bez nerwów, że omal nie wybuchnąłem śmiechem na jego widok. Naturalnie, mówił po francusku fantastycznie źle, ale za to zaaplikował mi rosyjszczyznę w pytaniu: „*Goworitie po russki?*” Zrozumiałem go na tyle, że jednak zależało mu również na jak najszybszym załadowaniu.

W basenie portowym czekały motorowe holowniki do załadunku. Załogi tych stateczków czekały cierpliwie – ludzie w wypranych przez wodę morską drelichach granatowoniebieskich bosymi nogami wczepieni w pokład.

Zacząłem ładować ludzi. Stałem na podmurowaniu i krzyczałem do ochrypnięcia na tłoczących się ludzi, ciągnących uporczywie swój dobytek: tysiące niepotrzebnych gratów. Nie słuchali, kiedy im kazałem siadać, kazali mi im tłumaczyć, że statki są bardzo wywrotne, że należy jak

najbardziej obniżyć środek ciężkości, ale oni, wyważeni niebywałym otoczeniem, nieznanym losem, rwetesem załadowania, nie przespanymi nocami, kręcili się i przekładali swe pakunki i tornistry. Patrzyli ku mnie, ku górze, pytająco i musiałem wytrzymywać ich spojrzenia. Samemu było mi nijako, ale ten rodzaj odpowiedzialności kazał mi nadawać sobie pozory jak największej służbistości i autorytetu, jak gdyby nowa zmiana, astronomicznie różna od tego, co przeżywaliśmy dotychczas, była czymś mniej ważnym od tego, czy plutony załadują się w kolejnym porządku i czy będzie odpowiedzialny podoficer na każdym holowniku.

Oto pierwszy ruszył do bramy basenu, tocząc przed sobą grzywiastą falę. Za nim – drugi i trzeci. Z ostatnim działonem zstąpiłem na chwiejący się pokład, zaterkotał motorek i podmurowanie uciekło. Siadłem na burcie koło sternika, który okraczył rudel steru. Właściwie prowadził statek jakiś inny ogorzały typ stojący tuż przed nadbudówką maszyny i kręcił małym kołem sterowym, a ten przy mnie wyrównywał rudlem jakieś niuanse krzywej, jaką zataczała motorówka.

Rzuciło nami zaraz porządnie, kiedy znaleźliśmy się poza bramą basenu portowego. Nadlatujące od morza potężne fale uwieńczone spienionymi grzywami ukazały mi bezapelacyjnie naszą nicość. Idealnie logiczny kształt naszej łodzi, czysty łuk jej piersi, sens setek lat doświadczeń i rachunek jej budowniczego stworzyły coś, co swym kształtem, wypornością miało po prostu tę łódź ożenić z morzem jak męża z żoną. Tymczasem w rzeczywistości nasz kruchy statek wśród zielonoszarego falowiska wydawał się czymś tak ordynarnie niezdarnym, czymś tak obcym, że gdyby nie poprzednie i istniejące precedensy, to miałbym wrażenie czegoś nietaktownego, jakiegoś, jeżeli już powrócę do poprzedniego porównania, zboczonego stosunku. Całym szczęściem ogrom morza i nasza nijakość sprawiały, że nienaturalność tego stosunku ginęła jakoś przygłuszona u przeważnej części nas, argonautów, żenującym i irytującym uczuciem, powiedzmy otwarcie, strachu. Może na usprawiedliwienie trzeba przyznać, że morze wtedy było wzburzone – wyraźnie „*mauvais temps*”.

Dzioby motorówek ostro parły w morze, wspinały się na grzbiety fal i toczyły w dół ku ich rozpadlinom. Brzeg oddalał się wyraźnie. Ostre

skosy skał czerwonych i dziwacznych – skał St-Jean-de-Luz i Hendaye – zasnuwały się pyłem wodnym.

Daleko na redzie szarzały kadłuby dwu transportowców. Minął nas dygocący od ruchu motoru i wściekłych uderzeń fal statek patrolowy. Na dziobie siedmdziesięciomilimetrowe działo szczerzyło swój wylot w poszukiwaniu łodzi podwodnych. Załoga nie widziała nas – patrzyli w martwy ruch fal, patrzyli uparcie, jakby ich własne życie od tego miało zależeć.

Transportowce wyrastają tuż przed nami. Kadłuby malowane na czarnobury nierzeczywisty kolor, nadbudówki – na brudnożółty. Zadziwiają mnie duże białe krzyże wymalowane w pośrodku statku. Potem ktoś mi powiedział, że statek uzbrojony jest w kabel przeciw minom magnetycznym. Czerwona krecha linii wodnej krwawiła się nad falami. Łańcuch kotwiczny rzucał cień na kolumnę rzymskich cyfr oznaczających jego zanurzenie. Skośnie zbiegał trap na linowych skomplikowanych blokach. Nasza motorówka zawirowała pod osłoną cielska okrętu w oczekiwaniu na miejsce po innych i motor zwolnił rozpaczliwe tempo przejazdu. Załoga niesłychanie zwinnie odprawiła ceremonię przybicia do trapu. Dwu chwyciło kłąb liny rzucony z pokładu na nasz stateczek. Młody chłopak o twarzy dziecka, który spełniał już najtwardszą pracę marynarza, stał z osękiem i utrzymywał należyty dystans między naszym nadburciem a nitowanym poszyciem transportowca. Na wszelki wypadek starcia amortyzowały wywieszone za burty stare opony samochodowe służące za zderzaki.

Wyłaziliśmy po chwiejącym się trapie ku wysokiej górze, skąd wychylały się ku nam zaciekawione twarze załogi.

Po wymytych deskach pokładu podszedłem do burty. Długo musi szukać nie wtajemniczony miejsca, skąd można objąć okiem szerszy horyzont. Zawsze przeszkadzają jakieś niebywałe żurawie szalupowe, występy, ramy, pokłady uciekają w głąb, natyka się na nowe nadbudówki, ale w końcu, oparty o szeroką osłonę, szukam oczyma horyzontu. Światło słoneczne jest jakby zaciągnięte mokrym muślinem, sączy się i dokucza jak przepuszczone przez soczewkę. A przy tym nie jest ciepło – ostra bryza

przywiewa do skóry. Morze rusza się i żyje, miga tysiącem refleksów. Woda morska jest zielona i niebieska, jak ją widywałem na obrazach zaprzysiężonych marynistów, ale przede wszystkim robi wrażenie brudnej.

Fale idą nieustannie – z początku bawi i cieszy ich ruchliwość, ale potem nudzą w swej monotonii, a w końcu ich uparte życie, ich nieprzemożona siła, zaciekłość i nieskończoność tego ruchu wzbudza uczucie niepokoju, ciąży na mózgu, trapi, każe się oderwać, szukać spokoju w zaczepieniu o konkretne, choć znikomo kruche i nietrwałe w obliczu morza kształty naszego okrętu.

Daleki brzeg morski wydaje się już jak ziemia martwa i niezamieszkała. Skośne i podobne w swej gładzi i nachyleniu skały St-Jean-de-Luz nabierają cech brył, ścian matematycznych.

Nasz statek w oczywistym zamiarze niestwarzania U-Bootom zdecydowanie poruszającego się celu szedł zygzakiem po morzu. Kiedy stało się na rufie na owalnie zatoczonym pomoście z grubo łączonych blach, gdzie wmontowane było działo, widziało się trakt wyorany przez pierś okrętu daleko w tył. Woda pieniła się tam i wracała uparcie i pośpiesznie do dawnego miejsca. Nadbiegające fale w zdumieniu napotykały na swej drodze zmieniony i nieoczekiwany stan rzeczy, jakby były stropione i wahały się w swym wytężonym marszu od horyzontu do horyzontu. W szerokiej bruździe, którą przebył nasz statek, powstawały jakieś stany wahania, jakieś kataklizmy jak w pierwszym dniu stworzenia, powstawały gładzie o dziesiątkach metrów kwadratowych, w innych dyslokacjach piętrzyło się i pieniło piekło. „Kilwater”, jak się nazywa ślad świeży przebytej drogi, mienił się innym kolorem od otaczającej wody. Jasny przeźroczysty seledyn, w cieniach karminowe zygzaki i wszystko w sieci białej i kapryśnej piany morza. Daleko w perspektywicznie zwężającej się ścieży widać było zwrot, jaki okręt wykonał przed minutą, ale dalej wszystko, wszystek ślad ginął i był pożarty przez wściekłe i - tryumfujące już morze.

Trzeba było oderwać wzrok od ostatniej ostoi, jaką dawało to, pozostać samemu z furią i bezmiarem żywiołu.

Ruch jako zjawisko fizyczne na morzu spada do roli abstrakcyjnego wymysłu mózgu urodzonego na suchym i niedużym skrawku tego, co morza oblewają na globie. Ruch na morzu zdaje się nie istnieć. Ma się niesamowite uczucie trwania na miejscu. Morze nie zachowuje swego poziomu, jego niezaprzeczona płaszczyzna zamknięta krechą horyzontu nachyla się w mych zmęczonych oczach, przenika się z opalową kulą nieba jak szklana płaszczyzna jakiegoś monstrualnego planetarium; mam wrażenie, że okręt zajmuje wszystkie możliwe miejsca w trójwymiarowej przestrzeni, że zależnie od kaprysu płynie w dowolnym kierunku. Aż zaglądam tam, gdzie okryty brezentem kompas rufowy, przy którym jest skrzynka ze znudzonym i nieczynnym telefonem.

Wytrzymałem wiele, potrafiłem długie chwile patrzeć w oblicze morza i miałem prawo zwrócić się do nieba, które znałem. Miałem prawo zwrócić się po sprawdzian. Odnachodziłem się jak w starym kraju znanym z krótkich chwil szczęścia i długich chwil cierpień, i jeszcze dłuższych chwil nudy i prostracji. Jedynie muślin mglisty jak wspomnienie maligny odgradzał mię od znanych i czcigodnych przepaści. Cumulusy jak z bajki wyczarowywały się na południowo-wschodzie, stratonimbusy rozwlekały swe welony w zenicie i ostry mroźny błękit palił się tam, gdzie wschodzi konstelacja Oriona.

Te dnie puste miały może największy urok w mej wędrówce po morzu. Później weszliśmy na ruchliwy farwater, kiedy leniwe sylwetki transportowców ukazywały się i znikały z różnych stron horyzontu jak w diabelskim lunaparku i wbrew temu, co można nazwać zdecydowanym kursem, ukazywały raz z jednej, raz z drugiej strony zarys swej sylwety. Byłem już wtedy dosyć zmęczony długą służbą, jaka mi przypadła w udziale (wzmocniliśmy obsługę dział okrętowych i ja miałem pilnować tego porządku). Moja amatorska ciekawość prawideł nawigacji nie pozwalała mi jakoś skoordynować fantastycznych obrazów wzwyż wzmiankowanego planetarium.

Trochę może jest w tym fantazjowania na temat niesamowitości i niebywałości nowego przeżycia, ale bijąc się w piersi, muszę się przyznać do prawdziwości tego, co przemyślałem i przeczuwałem na morzu.

[prwdr. „Dziennik Żołnierza” 1941, nr 403, 404, pt. *W wędrówce na morzu.* (*Fragment z pamiętnika*)]

Rigor mortis

Czekałem na nią u wejścia do dworca kolejowego. Był wieczór. Ponure rozproszone światło. Tłumy niedzielnego wieczoru przewalały się tędy i owędy. Masa mundurów khaki i ciemnogranatowych marynarzy. To światło skośne i długie nieskończenie ciągnącego się wczesnego zmroku wieczornego, kiedy chmury jak wykute w szarym granicie wiszą ciężkim sklepieniem nad miastem i widnokręgiem.

Czekam na nią. Już przyzwyczaiłem się do tego wyczekiwania. Jest mi pusto i niedobrze wśród tych tłumów i pod tym ciężkim niebem. Mierzi mię to, że muszę tak wyczekiwać na widoku, zdaje mi się – wraca stare, towarzyszące mi wrażenie surrealisty, że wszyscy patrzą na mnie, mam wrażenie człowieka nagiego albo o jakimś kalectwie, wystawionego przed krytyczne audytorium.

Patrzę na zegar na wieży jakiejś budowli, zatrzymuję się w swym niespokojnym spacerze: pięć kroków w przód i pięć z powrotem. Przystają koło mnie żołnierze, prostytutki, spacerowicze, ludzie się wymijają i potrącają.

W pewnej chwili tu i tam ktoś zatrzymuje się i zadziera niemożliwie głowę do góry, zarażeni tym inni robią to samo. Mam automatyczną chęć zrobienia tego samego, pójścia za tym stadowym impulsem, wydaje mi się to wulgarne, w końcu zaczynam także szukać oczami tego czegoś, co jest wypatrywane tak przez przemożną część tłumów. To jest coś, co właściwie trudno określić. Jakiś poszarpany strzęp, płachta, zasłona unosząca się i powiewająca w wietrze na zawrotnej wysokości kilkunastu setek stóp. Zwija się i rozkłada za kaprysem wiatru, który powoli unosi ją w stronę portu i morza. Ponuremu wieczorowi nad miastem nadaje to jeszcze potęgi niesamowitości. Dodaje się to do ponurej i samotnej mojej miłości, którą przepalony i skłócony, czekam tu na obcą i obojętną dziewczynę pośród

tego tłumu. Wydaje mi się, że to jakiś znak niesamowity rozwinięty na niebie, żeby mię po raz ostateczny ostrzec.

Może ona czeka w hallu lub *lounge'u*? Przepycham się przez *tourniquet*, hall jest jaskrawo oświetlony i tu także dużo ludzi, przeważnie w mundurach. Wychodzą, wchodzą, stoją w przejściach i tam, gdzie wejście do windy. Z anglo-amerykańską akuratnością i upodobaniem są poznaczeni i posegregowani. Na rękawach mundurów naszyte, wyhaftowane nazwy krajów i miast, skąd pochodzą: „New Zealand", „Mauritius", „Nova Scottia", „Trinidad", „Tanganyika", „Malta", „Hertfordshire Fusiliers", „Argyll & Sutherland", „Jamaica" i Nowa Fundlandia… Wydaje się, że to rozsypany album znaczków pocztowych. Ludzie-znaczki pocztowe. Hall hotelowy jak aukcja filatelistyczna.

Nie ma jej tu. Może w *lounge'u*.

Siedzę w *lounge'u* hotelu. *Lounge* jest okrągły ze świetlnią kopulastą ponad środkiem, teraz założoną papierem dla zapewnienia warunków blackoutu. Przy stolikach jest mało ludzi. Chodzi niespokojnie tam i z powrotem młodziutki blondynowaty *midshipman* – „*middy*". Na klapie marynarki ma romby szaroniebieskiego koloru z błyszczącym guzikiem. W końcu doczekał się młodej dziewczyny w uniformie i oboje gdzieś siedli przy bocznym stoliku.

Są jeszcze dwie jakieś starsze panie: śmieszne stare panny, pewnie siostry, bardzo podobne z nijakich rysów twarzy zgaszonych przez fałdy staropanieńskiego tłuszczu. Błyszczą szkła ich okularów, kiedy wodzą twarzami za wchodzącymi osobami.

Przeszedł przez *lounge* jakiś wysoki pan o sztucznej nodze, której mechanizm w jakiś sposób szwankuje, bo przy każdym jej kroku słychać niemiły dźwięk: skrzyp stali i sprężyn. Wchodzi jeszcze pani z dwoma chłopcami pięcio–sześcioletnimi, obaj ubrani w miniaturowe marynarkowe ubrania dorosłych ludzi. Mają starannie zawiązane krawaty i chustki w górnych kieszeniach marynarek. Są karzełkowaci i komiczni, zwłaszcza przy bezceremonialnym zachowaniu się dzieci.

Przeszedł jeszcze jakiś niski starszy pan. Widzę go tylko z tyłu: ma rzadkie siwe włosy zaczesane na bok. Widzę jeszcze w kieszeni jego

tweedowej marynarki wystającą książkę. Uśmiecham się na czerwoną okładkę, której brzeżek widać spod zielonego papieru, z którego spreparowano *dust jacket* (lubię książki i interesuje mnie ich tak zwana szata, i książkę, którą raz miałem w ręku, poznam z daleka).

Nie jest to pozbawione komizmu, że właściwa solidna płócienna okładka jest tak odmiennie jaskrawoczerwona. Jest to Cecila Robinsona *The Awkward Man*. Kiedyś w godzinie nudy ta książka była w zasięgu mojej ręki. Z początku nic mi nie mówiła. Po pierwszych kartkach zacząłem sobie uprzytamniać, że autorem jest publicysta z „Chronicle", które to pismo w miarę popularne, bardzo rozpowszechniane, o milionach nakładu dziennego, jest w pewnym stopniu brukowcem z pretensjami do poważnego nastroju, o dużym wpływie na szeroką opinię, z pewnymi pretensjami w kierunku realizmu i sprawiedliwości społecznej, ordynarnie oczywiście schlebiające tym szerokim masom, redagowane śmiało, sensacyjnie i dzięki stosunkom brytyjskim pozwalające sobie na wiele. Artykuły Robinsona są oczekiwane i cenione przez wzwyż wspomnianą opinię. Nawet teraz, kiedy ją, tę książkę, wspominam, bardzo mgliście powraca mi w pamięci jakiś jeden lub dwa artykuły Robinsona względnie jakieś reminiscencje.

Uśmiecham się na tę zieloną okładkę. Uśmiecham się na to, co u wstępu daje autor. Będę abstrahował od psychoanalitycznych dygresji, jakie nasuwają się od pierwszego faktu, jaki podaje autor o jakimś swoim kalectwie, które w sposób taki i taki zaciążyło na początku jego życia i ambicjach. Daje to w rezultacie ładnie zaokrąglony frazes.

Autor potem wtajemnicza nas, jak „wstąpił" do buchmanitów, czyli Grupy Oksfordzkiej. Zbieg przyczyn składający się na jego nawrócenie. Zdarzyło mu się w tym kraju prosperity, apogeum ludzkiej organizacji i uwieńczonej zdobywczości, kraju, którego import i eksport na schematach map statystycznych oplata i dławi rozpuchłymi liniami jak ramiona ośmiornicy, gdzie złoto wszechobecne promieniujące jak rad przez pancerne kasy banków sprawia indukcyjną atmosferę, w której wszystko, jak u króla Midasa, zamienia się w złoto – zdarzyło mu się być świadkiem, jak ojciec, robotnik, niósł na pogrzebanie umarłe ciało dziewczyneczki-córki w usmolonym worku jutowym w pośrodku milionowego miasta

dobrobytu. Zdarzyło mu się być świadkiem wśród hałd szlaki i marglu, w zakopconym krajobrazie Midlandu, jak tłumy bezrobotnych górników obsiadały amfiteatry tych hałd w widowiskowym audytorium najbardziej interesującego dnia w tygodniu, kiedy kilku strażaków usiłowało odnaleźć w plugawej wodzie fabrycznych ścieków zwłoki samobójcy.

Maniacy Grupy Oksfordzkiej w swej bezinteresownej spekulacji mistyczno-religijno-ekonomicznej przywołują mi obraz:

Obraz tutaj bardzo dziwny. Pejzaż, na który składały się równo ucięty spad wzgórz i płaska dolina Ikwy. Ziemia przesiana była krzemieniami o muszlowym przełomie i była popstrzona nimi jak okiem sięgnąć. Zieleń za to była ta sama wszędzie.

Stacja kolejowa była na zakończeniu linii ślepej. Zbiorowisko przeważnie niskich budynków pociągniętych olejną farbą w kolorze różu indyjskiego. Dojazd wybrukowany otoczakami, które mają niezgrabne miano „kocich łbów". Kilka dorożek – typowe faetony z bardzo wysokim siedzeniem. Woźnice, jak kręcący się tu i owdzie chłopi i robotnicy, mają czapki o stromym daszku, bez podpinki – „furażki" wielkorosyjskie.

Na stacji kilkoro oczekujących na pociąg ludzi, jakieś kobiety z tobołami. Wszyscy zebrani w gromadę perorują nad czymś. Między nimi stoi mężczyzna obowiązkowo w „furażce", przepoconej koszuli pod wypłowiałą marynarką. W ręku trzyma wyślizgany hebel, dalej widać pod budynkiem stacyjnym wióry i jakąś jego stolarską porzuconą robotę.

Konstatuję ze zdumieniem, że dyskusja jest na temat religijny. Mówią po rusku, po ukraińsku, z dużymi naleciałościami rosyjskimi i miesza się jeszcze do tego starocerkiewny z przytaczanych i cytowanych pasażów z *Pisma świętego*.

Razi mię to bardzo, wydaje mi się, że te pryncypialne bajdurzenia na tematy, które są nie do omówienia przez najbardziej wćwiczone umysły, są haniebną pozą i nie przystają absolutnie do życia, które jest najbardziej związane z materialną stroną bytowania.

Zwłaszcza pryncypialność, z jaką [są] wypowiadane chaotyczne sądy, upór maniacki…

Ten świat wyczarowany kolorową okładką książki nadpłynął i nawiedził mię w mdłym *lounge'u* hotelowym. Ukazała się w drzwiach dziewczyna zadyszana i spóźniona i coś tłumaczyła, ale nie było czasu i ledwie zdążyliśmy na odjazd pociągu…

Przede wszystkim: jak ona wyglądała? Pierwsze wrażenie, jakie wywierała, było niebywale sympatyczne – coś przedziwnego w całej postaci, uśmiechu czy raczej: półuśmiechu, żywości jej wdzięcznej osoby. Była w kolorze, który może mi nie najbardziej odpowiadał. Jasne włosy, biała niezwykle cera antropologicznego typu blondynowatego, kiedy rumieńce występują czerwono i ceglasto.

Kiedy ją poznałem – było to, zdaje się, tak, że John wprowadził ją do mojej pracowni – nie zważałem całkiem na nią, była rozlewnie roześmiana i zeszliśmy razem na parter do kuchni studenckiej na obiad.

Tu dowiedziałem się od niej, że kiedyś, dwa czy trzy lata temu, studiowała tu, i widać było po niej, że szalenie jest przejęta chwilowym powrotem do dawnego miejsca, i bardzo mię to bawiło, że ktoś tak szalenie młody może mieć już wspomnienia i wracać do nich, i wzruszyło mię to co nieco, bo sam jestem tak wrażliwy na straszliwość czasu, i wtedy to zwróciłem na nią baczniejszą uwagę.

Toczyła wzrokiem po sali jadalnej pełnej młodych dziewcząt, widać, że niewiele zostało z jej dawnych znajomych, ale z chwilą wykrycia kogoś z dawnych czasów jej twarz, i tak promienna, rozpromieniała się do kwadratu. Nieodzownie wtedy wykonywała dla niej tak charakterystyczny gest powitania i wtedy także zetknąłem się z tym, co u niej było generalnym i niebywale charakterystycznym: gest! Było tak to zauważalne, tak dla niej specjalnie znaczące, że nie omieszkałem jej tego zaraz powiedzieć.

Siedzieliśmy przy stole pokrytym ceratą jadłodajnianą i mieszaliśmy łyżkami w mdłych i mącznych daniach jadłodajnianych, a ona kręciła się na swoim miejscu i witała się, tak młoda, ze swoim niedawnym życiem.

Potem wyszliśmy, na korytarzu żegnała się z charakterystyczną dla niej wylewnością i naturalnie kiwając wdzięcznie na pożegnanie, długim, niedziewczęcym krokiem skierowała się do wyjścia.

Na ten pierwszy raz zapomniałem o niej, jak przez mgłę tylko przypominam sobie jej nakrycie głowy zrobione z futerka jakiegoś, zakrywające przód głowy, nazywało się to, ten model, „Alaska”, i było wtedy w modzie, i przypominam sobie, że nie bardzo słusznie, bo miało upodabniać się do traperskich czapek ze skóry żbika, w jakie bohaterowie kapitana Mayne Reida i Fenimore Coopera stroili się na poczciwych drzeworytach książek, za którymi szalałem, kiedy byłem chłopcem. Miała na sobie wtedy krótki zielony płaszcz i nogi trochę za silne i obute w tanie pretensjonalne pantofle. Zaraz potem zapomniałem o niej zupełnie i na śmierć.

W tydzień potem, kiedy wyjeżdżałem już z miasta, spotkał mię John i zaklinał na wszystkie świętości, żeby przyjść koniecznie na jakiś wieczór-zabawę czy coś w tym rodzaju do jakiejś dziewczyny, i długo sobie przypominałem, zanim uprzytomniłem sobie, że chodzi o tę właśnie białoróżową znajomą poznaną tydzień temu w Art College. Obiecałem mu to i nawet dosyć o tym pamiętałem, i kiedy przyjechałem spóźniony, to tylko dzięki adresowi i wyrysowanemu planowi, które John wysmarował w moim notesie, trafiłem już całkiem spóźniony na któreś piętro domu przy Duke Street, numeru nie pomnę.

Na moje przywitanie wyszła ona. Z wnętrza bił gwar osób i to działało na mnie nieprzyjemnie – nie lubię nowych osób i włażenia w obce i nie znane mi towarzystwo.

Ona była ubrana na wieczorowo i stąd wywnioskowałem, że wszyscy wybierają się na jakąś zabawę, co specjalnie nie uradowało mię. Znałem ten typ zabaw w tym kraju, zabaw, które mają w sobie wiele ze sportu, coś w rodzaju krytej hali letniej do ślizgawki. Zapomniałem dodać, że poprzednio John, który tak gorliwie zapraszał mię na tę zabawę, pokazywał mi list czy kartkę tej dziewczyny, w którym i moje nazwisko było wymienione, a raczej: imię, wypisane bardzo poprawnie, co mię szczególnie ujęło – zawsze jest to bardzo ujmujące, jeżeli ktoś zwraca na nas uwagę, pamięta o nas i zależy mu na tym, żebyśmy byli tam i tam. To był główny motor, który powodował, że nie omieszkałem udać się na Duke Street, a także i to, że w podświadomości chciałem zobaczyć jeszcze raz

mgłę kolorów, jakie towarzystwo tej dziewczyny dawało ze siebie w emanacji.

Oto i miałem ją tuż przed sobą. Była ta sama pomimo jakiejś kombinacji wieczorowej sukni składającej się z długiej wąskiej spódnicy czarnej i atłasowej i białej bluzki z jakimiś koronkowymi historiami od pach do szyi. Teraz uderzyło mię uczesanie jej głowy. Włosy popielatoblond zaplecione w długie warkocze okręcone wokoło głowy, co czyniło jej dużą i tak głowę i dużą twarz jeszcze większymi.

Z jej twarzy patrzyły przymilnie i nieuważnie oczy czarne, błyszczące i blisko osadzone. Wszystko to razem, te szczegóły, które w swym obojętnym określeniu są raczej dla mnie niesympatyczne, jak na przykład wąsko osadzone oczy, składało się u niej na całość przemiłą i przewdzięczną.

Zostałem zaprowadzony do czegoś w rodzaju salonu i przedstawiony w sposób tak wulgarny i niezobowiązujący, że duży kamień spadł mi z serca, że nie muszę tych wszystkich obcych i najbardziej mi obojętnych panien witać ani dotykać… Wszyscy byli już podchmieleni, włączając w to moich przyjaciół, którzy stanowić muszą osobny rozdział w opisie ich prostackich i szarmanckich manier, przeniesionych do starożytnej Kaledonii. Wobec czego załadowaliśmy się do tramwajów, nie! taksówek i wybraliśmy się do jakiejś „Plazy” czy czegoś w tym rodzaju. Tu miała zacząć się zabawa na całego.

Przyglądałem się dziewczynie i powstawał we mnie dziwny stan, jakieś przekorne uczucie, jakie ma się chwilami bezmyślnego bawienia się drobiazgami, przedzierania skrawków papieru czy liści, nie obowiązującego kreślenia esów-floresów ołówkiem, błądzenia oczami po rozległych horyzontach, których właściwie się nie widzi – typowe stany nieuwagi, nielogiczności, kiedy wydaje się, że właściwie coś za nami za nas pracuje i myśli z napiętą uwagą, a my przyjmujemy rezultaty tego tylko dlatego, że nie jest to obowiązujące, wydaje się to nam czarowne i miłe i jesteśmy pełni nonszalancji, na którą w tej beztroskiej chwili możemy sobie pozwolić.

W sposób nieodgadniony powstawać zaczęła we mnie myśl, tego nie potrafiłbym nawet sformułować słowami, że właściwie mógłbym tę osobę – kochać. Nie przypominam sobie dokładnie, kiedy to zaczęło się we mnie budować. Nie potrafię nawet powiedzieć, czy to było właśnie tego wieczoru. Myślę nawet, że to było później: może następnego rana, może dzień albo dwa dni później.

Chciałbym odtworzyć ściślej tę paradoksalną ideę, jaka we mnie powstawała. Gdyby to ująć słowami, to mniej więcej brzmiałoby to tak: „Dlaczego nie miałbym kochać tej dziewczyny? Uwolniłbym się przede wszystkim od całego balastu przeszłości, nazwawszy to swoją pierwszą prawdziwą miłością, a to wszystko, co było, to tylko były takie historie, jakie się zawsze przechodzi chronicznie. Sytuacja jest bardzo łatwa. To, że jest wyraźnie wulgarna i naokoło niej wszystko wulgarne, dodaje tylko posmaku egzotycznego całej tej historii. Będzie to przedziwnie zabawne i rozweselające: zacząć się po tym wszystkim, w tych warunkach, w tej atmosferze – kochać. Będę siebie widział jeszcze raz w roli Celadona ze wszystkimi miłymi wzruszeniami, jakie w takiej sytuacji się rodzą, do boleśnie rozkosznego uczucia zazdrości, jakiego zachowanie się tej osoby mi przysporzy”.

Wracaliśmy pociągiem i ja, siedząc naprzeciw niej, patrzyłem na nią po raz tysięczny, i hipnotyzowałem się widokiem jej twarzy, jakbym miał widzieć ją po raz ostatni. Wiedziałem, że ona czuje na sobie mój wzrok, i pozostawało dla mnie gorzką i jedyną satysfakcją.

Za oknem przedziału śmigał w rytmicznym tętnie przejazdu krajobraz. Czerwone mury zabudowań fabrycznych jak umazane zeschłą krwią, czarne od węgla kratowe słupy urządzeń blokowych i semaforów, skarpy, zielone trawniki, podwórza osiedli robotniczych z flagparadą porozwieszanych na sznurach świeżo wypranych sztuk kolorowego materiału, smutnie usiłujące rozweselić ponury krajobraz. Pociąg dudniał w sztolniach tunelów i korytach wykutych w czerwonym kamieniu. Przelatywały mimo stacje z emaliowanymi reklamami i czasem zakołysał się pociąg nad uroczą doliną obsadzoną bukietami drzew i popstrzoną pasącym się stadem owiec. Dzieci w osiedlach ze znudzeniem i obowiązkowo powiewały rączkami

w stronę nas i maszynista manewrującego na bocznicy pociągu wychylał się błyszczącą zatłuszczoną czapką.

W mglistym zwierciedle szyby okiennej w szczęśliwych przypadkach, kiedy przebiegała na bardziej ciemnym tle krajobrazu, widziałem odbicie twarzy dziewczyny i wtedy zdawało się, że patrzy ona uważnie i zdecydowanie na mnie i że jest w tym spojrzeniu coś, czego szukam, co straciłem, i starałem się oszukać tym złudzeniem i wyobrazić sobie, że tak jest naprawdę, i za chwilę uprzytamniałem sobie cały ten trik, i byłem nieskończenie zły na nią, a potem – na siebie.

Mijaliśmy *marshalling yardy*, brudnoczerwone pudełka wagonów węglarek z wielkimi napisami: „OCEAN", „WIGAN COLLIERY", „NEWCASTLE" i znów „OCEAN"…

Właściwie przez całą drogę niewiele mówiliśmy do siebie i w ten sposób przyjechaliśmy w ten smutny wieczór do miasta.

Przeszliśmy szybko tłumne ulice i wchodziliśmy milcząco stromymi schodami jej domu. Ona odzyskała swój klimat monotonnego życia i była zamyślona, rozbierając się powoli, i czasem uśmiechnęła się, patrząc ku mnie, ale oficjalnie i nieuważnie, jak to ona.

W małym *dining roomie* siedział John zagłębiony swymi krótkowzrocznymi oczami w jakichś podręcznikach medycznych. Niemile wypadło to spotkanie dla mnie – nie lubiałem go, może dlatego, że był on tak familiarny i ona tak doskonale porozumiewała się z nim, i wtedy ich całkiem nie rozumiałem, kiedy mówili do siebie tym własnym językiem. Mama domagała się gorliwie relacyj z wycieczki i nakrywała do pośpiesznego obiadu czy kolacji, gromadząc na stole porcelanowe solniczki, sosjerki, talerze, widelce, plecione podstawki pod nakrycia, a ona tymczasem przepadła gdzieś w głębi mieszkania. Zielona papuga Polly darła się uprzykrzenie w swej zaśmieconej odchodami klatce i głuchy i wstrętny dla mnie kot kastrat idiotycznie zabawiał się niczym na dywanie przed gazowym kominkiem i bezmyślnie wytrzeszczał swoje czerwone oczy albinosa na płomyki gazu.

Wybrałem się kiedyś z nią do ogrodu botanicznego. To był dosyć stereotypowy program dla wieczorno-sobotnich gości: marynarzy i huzarów

z Queens Greys, jakich w myśl nakazów społecznych goszczenia Forces siłą wyciągały z domów noclegowych YMCA, a ja przypadkowo znalazłem się w ich continuum. Wybrałem się niezbyt nawet ciekawy, raczej: przez inercję, a także, że przecież czas koło niej czymś trzeba było wypełniać.

Tramwaj zawiózł nas w kierunku północnym miasta i tu przy jakiejś ulicy, najmniej spodziewanej w świecie, normalnej, z bardzo czynszowymi twarzami drugiej kategorii *flatów*, wysiedliśmy. W luce nie zabudowanej między dwiema kamienicami była prosta brama i wiodła droga wysypana żwirem na niedługiej przestrzeni, gdzie wejście przepuszczało mimo portierni i administracyjnych budyneczków do właściwego ogrodu.

Jeszcze kilka słupów z niemożliwą ilością przestróg, zakazów i uwag i znaleźliśmy się w obliczu zielonych trawników parku. Dziewczyna doskonale orientowała się w terenie i skierowała nas przede wszystkim w stronę ogrodów górskich czy kamiennych, jak one nazywają się – „*rock gardens*”. Tłumaczyła mi obficie, że ma to być największy w świecie kompleks, że rywalizuje jedynie z nim ogród tokijski i rości sobie do prymatu pierwszeństwo. Że jednak ten jest rzeczywiście największy i tak dalej, i tak dalej.

Głazy i skały ogrodu wznosiły się na łagodnym garbie wzgórza. Z początku przyzwyczajonemu do soczystości naszych ogrodów, nie kokietujących i nie wysuszonych obecnością kamieni, trudno zdecydować się na pierwszy nawet już nie podziw, ale w ogóle na jakikolwiek sąd. Trzeba naprzód przyzwyczaić się do samego faktu istnienia podobnego dziwoląga. Spotykałem u nas sporadycznie podobne próby, ale u nas raczej czuło się w tym trochę snobizmu jakby… jakby, ucieknę się do porównania, jakby w prowadzeniu na smyczy rzadkiego rasowego psa. Tutaj jest to po prostu w klimacie. Jest to tu po prostu bardzo naturalne.

Idziemy powoli pod łagodne wzniesienie ścieżką bardzo schludnie wysypaną żwirem. Kamienie są szare i różowe, i pstrokate, ale kolory ich raczej są zneutralizowane. Powietrze, pomimo późnej pory wiosennej, jest ostre i znakomicie to odpowiada temu ogrodowi górskiemu. Widzę z daleka jakieś barwne kwiaty, wszędzie ostrozielona trawa – rośliny w tym kraju wydają się jednak bardziej zahartowane.

To jest ogród botaniczny, więc, naturalnie, już pierwsze rośliny rosnące między szczelinami kamieni są obficie zaopatrzone w etykiety: sztancowane w blasze litery objaśniające nazwy i rodzaje łacińskimi genetivusami. Z jednej strony zadowalnia to mój zmysł mechanicznego poznawania, dając mi na krótki błysk oka satysfakcję jakiejś nazwy, z drugiej strony jest to trochę irytujące, zwłaszcza że ona czyta je z angielska fonetycznie w sposób okropnie brzmiący dla mego nastrojonego na poprawną, klasyczną kontynentalną melodię słuchu.

Myślę, że nie ma innych ogrodów podobnych do botanicznych. Kompozycja ich, będąca przede wszystkim na usługach czystej nauki i poglądowości, jest i daje rezultaty, jeżeli chodzi o jakąś sztukę, raczej przypadkowe i na tę przypadkowość nie można się skarżyć.

Jeżeli chodzi o opis tego, co się tam widziało, to jest to eksperymentem nie najłatwiejszym. Przecież trzeba przetransponować na słowo coś z innego wymiaru: kształt, barwę i przede wszystkim wrażenia wywołane czymś, jak kwiat, liść, splot lub jeżąca się szczotka czerwonych piór, konar, liść, łopuch, kiść kwiatów, jakieś socjalne skupisko nasiennych organów – wszystko obce nam, naszej kinetycznej naturze, owa dostojna potencjalność życia, jaka onieśmiela mię, kiedy kontempluję niemą doskonałość roślin.

Patrzę zdziwiony i nie potrzeba mi zachęt z jej strony, kiedy się emocjonuje („*isn’t it awfully beautiful?! lovely?!*” itp.). Oto rośnie drobno krajanymi liśćmi zebranymi w pęki jakaś niesamowicie srebrna trawa, srebrnoszara, w sąsiedztwie grup kwiatów o niezapomnianym kolorze, a obok ten sam gatunek, ale kolor niby ten sam, ale znakomicie różny, a obok jeszcze ten sam, ale o wspanialszym tonie. Wygląda to jak cennik Winsor & Newton z całymi stronami prostokącików niby tego samego koloru, ale każdy o jakiś ułamek niuansu różni się od poprzedniego. I na to trzeba, żeby z sąsiedniego załomu między kamieniami eksplodował krzak kwiatów o kształcie i kolorze tak diametralnie różnym, że wydaje się, jakby wydała go na świat inna planeta.

Szliśmy pod drzewami i nagle ogarnął mię szalony niepokój. Poprosiłem ją, zdziwioną i zaskoczoną, ażebyśmy sobie poszli stąd, i skręciliśmy bocznymi ścieżkami w stronę wyjścia. Nie podniosłem oczu, póki bruk nie

zastukał pod nogami i nie zaszumiał ruch uliczny. Moja towarzyszka wzruszyła ramionami na te moje humory. Nie wiedziała. Nie wiedziała, że samemu trudno by mi to było ubrać w opowieść. Chociaż to, wydawałoby się, bardzo nawet zrozumiałe i logiczne. Przecież to był ogród botaniczny.

Bałem się tam, że między zielonymi alejami ogrodu natknę się na obce i ironiczne drzewo, jakie rosło, cudzoziemskie i dziwaczne, w parku w Z. Nie chciałem tego spotkania.

Po kolacji John bezceremonialnie zagłębił się w swej pracy i podniósł się dopiero, kiedy sięgnąłem machinalnie po jeden z jego podręczników i bezmyślnie zacząłem przewracać kartki książki.

Był to jakiś podręcznik medyczny i kilka pierwszych ilustracji zastanowiło mię swym tematem, i spojrzałem zaraz na tytuł. Było to coś z zakresu medycyny sądowej, „*forensic medicine*" – dział, w którym John specjalizował się na uniwersytecie. Początkowe rozdziały były pod tytułem i na temat rigor mortis – spazmu przedśmiertnego. Tu następował cały szereg zdjęć fotograficznych i reprodukcji wybranych naukowo i pedantycznie, wstrząsających w swej grozie i wyrazie. Pokurczone straszliwie i zastygłe w nienaturalnym bezruchu ofiary wypadków ulicznych, mordu, samosądu.

Jedno zwłaszcza zdjęcie, przedstawiające makabryczną kompozycję z wnętrzem pokoju, w którym na podłodze – długi i wyciągnięty, z rewolwerem w zaciśniętej pięści – leży mężczyzna. Kałuża krwi wytaczającej się z rozwalonego mózgu tworzy na szarej reprodukcji jedną czarną plamę, a na drugim planie – w pozycji siedzącej, z głową odchyloną daleko, nienaturalnie w tył, z nogami do środka, piersiami obwisłymi pod bluzką i bezradnym rozłożeniem rąk na kolanach – postać młodej dziewczyny czy kobiety.

Straszliwa tragedia sucho i pedantycznie podana w podręczniku wstrząsa mną jak zanurzenie się w zimnej wodzie. John z perwersją i cynizmem tępego medyka, przysiadłszy się na poręczy mego krzesła, ukazuje mi jakieś inne sprawy zawarte w tej książce, ale ilustracje na temat zachowania się ciał ludzkich po trzymiesięcznym przebywaniu topielca we wodzie albo charakterystyczne cechy, po jakich poznaje się defloracje u nieletnich, nie

dochodzą już do mojej świadomości. Palę nerwowo papierosy i słucham, nie słysząc głosów innych, kiedy tak siedzieliśmy po tej kolacji. Staram się jej nie widzieć i nie słyszeć jej głosu.

Teraz, kiedy myślę na temat tego wszystkiego, i wtedy to nagłe i wstrząsające mną do głębi wejrzenie poza to, co jest życiem, wydawało mi się przede wszystkim, jeżeli przetłumaczyć to na potoczny „żyjący” język, czymś brutalnym. Ochłaniałem powoli i starałem się opanować i rozsądnie o tym pomyśleć. Więc tak: ja tu żyję, jem, trawię, myślę, spalam kalorie, gorączkuję się i jestem znudzony, zmęczony lub pełen dobrego samopoczucia, przejmuję się tymi sprawami, zaniedbuję tamte, śpię lub bolą mię zęby, mam ambicje artystyczne lub miałbym apetyt na zjedzenie czegoś – i oto nie ma mnie. Myślę trochę o tym jak młokos, który w czasie studiów przyrodniczych przechodzi normalne burze okresu dojrzewania. Ale to wyjście poza siebie jest wstrząsające. Więc nie ma mnie. Jestem umarły. Cały fizjologiczno-chemiczny zestaw, jakim jest mój organizm, przestaje działać lub raczej: zaczyna działać przekształcająco. Cały świat myśli, pragnień, wyobrażenie tego świata, które mię otula i przybiera, wali się w otchłań i przepada. To samo dzieje się z tą moją czy inną miłością i wszystkimi towarzyszącymi im aspektami.

Patrzę na nią. Zupełnie nieznaczne i mechaniczne zmiany mogą ją w każdej chwili przeobrazić w kupę rozkładającego się białka i związków azotowych. Pewnie bym nawet tragizował i trzymał dłoń wybranej, zimną dłoń, kiedy tężec pośmiertny jeszcze nie zaczyna działać, a potem miałbym długie tygodnie psychologicznej prostracji, a potem miesiące i lata uwarunkowań, a potem już znowu, starszy pan, zadurzałbym się kolejno w nierówieśnych ku własnej pseudosatysfakcji i pociesze bliźnich.

Wszystko to napawa mię niesmakiem. Pewnie muszę już być bardzo rozhisteryzowany. Trzeba by pomyśleć o sporcie.

Kiedy pożegnałem się i szedłem ciemnymi ulicami zanurzony w black-oucie jak mucha w kałamarzu, jednak zbliżenie i otarcie się przez głupią przypadkowość (mój Boże, jak szalenie przypadek odgrywa rolę w naszym życiu, nawet głupi przypadek!), to otarcie się o śmierć ochłodziło mię i dało mi trochę nekrofilskiej bezwładności. Więc dlaczego tak jest? – pytałem

siebie i nie umiałem znaleźć odpowiedzi. I co na to zrobić? Co robią inni? Usiłowałem sobie to uporządkować. Potem straciłem wątek myśli i byłem bardzo rad temu. Wydawało mi się, że tuż-tuż jestem u rozwiązania wszystkich problemów, wszystkich myśli, ale bałem się rozczarowania czy też…

Byłem sam.

[prwdr. „Nowa Polska” 1946, z. 2]

Ułan Czuchnowski

(Opowiadanie dydaktyczne)

Nieskończenie długo ciągną się godziny zimowych nocy. Przez nie domknięte wrota stajni w pogodne bezchmurne niebo grudniowe, w gwiazdozbiory wirujące na granatowych jego polach patrzy i kontempluje je ułan Czuchnowski.

Inaczej i ubogo nazywa je kosmogonia ludowa. Ułan Czuchnowski nie wie, że „Kosiarze", gwiazdy kolejno ukazujące się zza widnokręgu, są świetnym Pasem Oriona, a rzadkie „Sito" ma inną, barokową nazwę Plejad. Konie parskają i dzwonią łańcuchami o żłoby jak skrzypce rezonujące, przestępują głucho podkowami w słomą oplecionych boksach i przenikliwie ćwierka świerszcz przebudzony ciepłem stajni.

Gwiazdy urzekły dziś ułana Czuchnowskiego. W codziennym trudzie żołnierza, wśród zgrzebeł, rzemieni, między ostrym zimowym wichrem ujeżdżalni, twardym łóżkiem izby żołnierskiej, przez pustkę pogranicza i twardą służbę na placówce drąży się jego myśl.

Jeżeli przegrodzić życie człowieka banalnymi faktami urodzin, opuszczonego dzieciństwa, szarej, zagonionej do pracy młodości, przedwczesnej, zepsutej dojrzałości, życie obracające się między dniówkami, zepsuciem i nędzą przedmieścia, pogranicza wielkiego miasta i wsi, między ubogą radością dni świątecznych i sobót zakropionych lichą wódką, to życie ułana Czuchnowskiego było nijakie. Ułan Czuchnowski powoli dorabiał się własnego światopoglądu. W poborowej wiośnie życia był już spopielały i spłowiały pod nalotem młodzieńczego zgorzknienia i cynizmu jak bezlistne drzewko w podwórzu kamienic przedmieścia.

Naturalnie, w szwadronie pod twardą pięścią wachmistrza Rojka, między rzędami siodeł, w rytmicznie pulsującym życiu wojskowym, życiu, które absorbuje i wchłania całego człowieka samolubnie i bezapelacyjnie, ułan Czuchnowski nie miał czasu na swoje filozoficzne dygresje. Czerwone wschody słońc, zadeszczone horyzonty jesiennych dni, krwawe sęki sosnowej podłogi strażnicy KOP-u, muzyka popularna radia i ciężki kożuch wartowniczy otulały jego życie i przybierały w nowość nie frapującą i obojętną dla jego wzwyż wzmiankowanego cynizmu. A jednak…

Była jedna rzecz, sytuacja szczególna, która zmieniała i przeinaczała ułana Czuchnowskiego radykalnie. Była to służba na granicy.

Przed nim szedł rozprowadzający: ospowaty kapral Tymiński. W grubym płaszczu wydawał się, mimo średniego wzrostu, wyższy. Może dopełniały to grube rysy jego twarzy, okuty daszek ciężkiej czapy kopisty. Niósł na rzemieniu, pod pachą mauzera z nasadzonym bagnetem, z matowo błyszczącymi częściami zamka i wyślizganym drzewem ujęcia pistoletowego. Harmonijkowate fałdy i przeguby cholew ginęły pod połami płaszcza.

Ułan Czuchnowski szedł za nim w trop, oglądając się w prawo i lewo. Przechodziło się podmokłą łąkę, potem kawałek dróżką w świerkowym lesie, gdzie ślisko było od spadłych szpilek. Pod wiadomym drzewem czerniła się postać wartownika w płaszczu ściśniętym mocno w pasie i fantastycznie dużych buciorach. Karabin trzymał między kolanami i ocierał krople zwisające z zsiniałego nosa.

Kapral odprawiał normalny rytuał zmiany, ułan Czuchnowski niecierpliwił się do samotności. Jeszcze trzask oddalających się kroków po spadłych gałęziach drzew i zapadało się w las.

Las wyrastał wprost z mokradeł. Smukłe piękne trzony drzew wystrzeliwały po kilka z rozlewisk wody. Olchy czerwieniły się soczyście spod kory, brzozy cienkie jak w tundrze wydawały się przy nich dziwnie suche, wisząc miotłami guzowatych długich gałązek. Bardzo w lewo jaśniała łąka z zaplutą przez deszcze kopicą siana.

Jakieś niewiadome koleiny, jakby Wielki Wóz w pochmurne noce przetaczał się między lasami, znaczyły zarośniętą linię. Dojmujący chłód

i wilgoć były jakieś rzeźwe i przyjemne. Masy spadłych liści tworzyły wilgotny i miękki materac pod nogami. Ostra trawa bagienna rosła pękami. Chyliły się miotły długich traw z wywianym już nasieniem i żółto połyskiwały nad czarną wodą. W lesie było tak cicho, że furkot jakiegoś małego ptaszka wydawał się jak łopotanie skrzydeł orła. Daleko na łące polatywały sroki.

Kiedy się stoi na takiej wysuniętej placówce, chwilami z niewiadomej części lasu dochodzą odgłosy, których rodzaju i powodu nie można się dopatrzyć. Wydaje się, że jakiś dyluwialny potwór przeciska się między drzewami albo że czyjaś ręka porozwieszała wśród drzew, ich gałęzi, harfy eolskie, które trąca nadlatujący wiatr. Albo monotonny skrzyp obracanego toczydła, na którym Parki ostrzą swe nożyce. Drzewa stoją nagie i nieme. Trzymany na: „gotuj!” karabin wędruje pod pachę, nie można go utrzymać długo w męczącym chwycie – i marzenia ogarniają ułana.

Nagle! – spóźnione przebudzenie i – cztery sarny szare i płaskie jak wycięte z blachy przeskoczyły przez linię.

Na patrol na wybrzeżu szło się zawsze wtedy, kiedy wypadały imieniny kolegi albo kiedy najniespodziewaniej zaczynały boleć zęby trzonowe, albo kiedy z wydm piaszczystych północno-wschodni zimny wiatr porywał zacinające jak bicz flagi kurzawy.

Dwucalowa warstwa śniegu okrywającego wzgórza na horyzoncie nie dochodziła do morza. Mały trzy ćwierci tony ford huśtał się na wybojach po zjechaniu z asfaltowanej szosy. Ruda trawa trzymała się uparcie jałowego gruntu. Długie kałuże pokryte były lodem, który pod kołami samochodu łupał się w tafle jak szyby wystawowe.

Podjeżdżało się pod wydmy, gdzie dalej nie było już przejazdu, i patrol zbierał się, automatycznie odwracając się tyłem do siekącego wichru. Potem brnęło się pod górę i z jej grzbietu odkrywało się nagle morze, jakby ktoś nagle uchylił pokrywy gigantycznego kotła. Szum i huk przypływu należy już do natury rzeczy i jest monotonnym tłem, jednym drganiem dźwięków podtrzymywanym przez szturmujące fale na dziesiątkach mil wybrzeża.

Idzie się wzdłuż zasieków z drutów kolczastych wydeptaną w piasku ścieżką i zapada się nagle w schronie, który magazynuje w sobie jeszcze ciepło ludzi, których się luzowało przed chwilą.

Czuchnowski znajduje znany przełaz i schodzi na wilgotny wyszorowany piasek wybrzeża. Blask słońca przebijający przez indygowego koloru chmury, stokrotnie powtórzony przez ruchliwe morze, utorował sobie drogę na wprost i przedłużył się w schlastanym przez fale piasku plaży. Na tej srebrzystej drodze urządzają swoje milczące *meetingi* mewy, nurki, kormorany. Te *sea gulls* obojętnie raczej niżeli nieprzychylnie znoszą obecność obcego człowieka.

Czasem długie dymy rozwleka na horyzoncie leniwy jak z kartonu wycięty transportowiec, czasem wiatr doniesie warkot silników wodnopłatowca, który przekreśli srebrne halo światła, przesączające się w miejscu, gdzie winno być słońce.

Czuchnowski odnajduje się w swym świecie samotności.
W tym czasie okrąg świata, jak toczydło, na którym Parki ostrzą swe nożyce, obrócił się setki razy. Odmieniały się wschody i zachody i przypływ, jak olbrzymie westchnienie morza, zalewał wybrzeża lądów.

Przyszedł czas, kiedy Czuchnowski wraz z innymi przekraczał granicę. Był wtedy wieczór i zapamiętał sobie, jak wzdłuż strojonej kolumny wozów szedł tabun koni. Jakaś stadnina państwowa przeprowadzała przez granicę remonty. Młode konie zakurzone po grzywy, w zmęczonym chrapaniu, stłoczone i spotniałe od długiej wędrówki, szły w tętencie i szczęku podków. Ta stłoczona kolumna dwulatków, żyjąca metafora – nie łagodził widok jej goryczy i żalów ułana. Nie broniła go warstwa izolacyjna cynizmu, o którym wzwyż wzmiankowaliśmy. Najbardziej może sprzyjało mu zmęczenie.

A potem właściwie nie mógł się nawet bardzo uskarżać. Ludzie mijani byli ludźmi zwykłymi, a dla ułana byli takimi, jakimi kazał im być sentyment, dobre czy złe trawienie, samopoczucie. Ludzie obcy. Trzymał się swoich. Razem z nimi znosił złe, razem z nimi dążył do dobrego.

W ten sposób dobrnął nawet do starożytnej Kaledonii, czyli Szkocji. I tutaj po kryjomu, na marginesie swego młodocianego cynizmu, który

pozostał mu z nielicznych drobiazgów przyniesionych aż tu z kraju, przebudowywał swój światopogląd.

Jeżeli miał kiedyś marzenia – a w to przychodzi nam wątpić od czasu, jak dotrzymywaliśmy mu towarzystwa na samotnej placówce nad wschodnią granicą – to, obcując z zimnymi i rzeczowymi mieszkańcami Kaledonii, potrafił wyczuć ich pogardę dla jakiegokolwiek „*wishful thinking*”. Mógł mu ten czy ów z współrodaków zgorzkniały czy zniecierpliwiony nagadać o tym, że jest wykolejeńcem, że służy w rzeczy, która jest celem sama w sobie, że jest narzędziem reakcji, że jest więźniem paradoksu, że podczas gdy on służy, inni nie, że jest symbolem, że to psu na buty, że tysiące innych rzeczy, jakie ślina demagogii, słabeuszostwa albo po prostu gadulstwa przynosi ludziom na język. Tu jego młodociany cynizm, źródło goryczy i pesymizmu, znajdował przyjazną atmosferę. Ale jak wtedy, tak i teraz nie potrafiło to mu odebrać jednej rzeczy.

Jak wtedy, kiedy w grudniowe noce szedł na służbę na granicy, tak teraz, idąc piaskiem wybrzeża zmywanym przez słoną wodę, odnajdował najtajniejszą satysfakcję, z jakiej nie zwierzyłby się nawet największemu przyjacielowi. Stał na straży między dobrem i złem. Stał w tej służbie najbardziej bezinteresownie. Wiedział, że przestoi w ten sposób najpiękniejszą swą młodość, że powróci do nędzy przedmieścia, skąd wyszedł, jeżeli los każe mu przetrwać, że nie dosłuży się korzyści, że jednak danym mu jest pilnować granicy światła i ciemności. Ta służba najtwardsza i najbardziej odległa od patosu, ta służba najbardziej bezinteresowna była mu nagrodą, którą nie zamieniłby się z nikim.

Była już noc. Chmury niepostrzeżenie zrzedły i poprzez ich welon świeciła nad nim konstelacja Oriona i drżały gwiazdy w znaku Plejad.

[prwdr. „Dziennik Żołnierza” 1941, nr 420, 421, pt. *Dwie placówki*]

Pisane w latach 1940–1944

PIERŚCIEŃ Z PAPIERU [1963]

Stypa

W przedziale było bardzo gorąco i jaskrawo od palących się gazowych lamp, i ciasno od tłumu jadących. Ale nie mogłem zasnąć i patrzyłem na jadących współpasażerów: trochę inteligentów, baby z koszami i szwargoczący Żydzi. Za szybą była czarna noc migająca w szybkim biegu pociągu i odbijały się w niej światła wagonu i jego wnętrze.

Ojciec siedział nic nie mówiący z przymkniętymi oczami i wydawało się, że śpi-nie śpi. Potem pochylił się ku mnie i położył mi głowę na kolanach, i wydawało się, że zasnął. Coś mi ścisnęło gardło od tego – od tego, że ojciec złożył swą głowę na mych kolanach; widziałem jego siwiejące włosy i żyły na skroniach. Było mi trochę wstrętnie od tego i niezwyczajnie – nigdy nie było między nami rozczulających gestów i zbliżeń. Ale byłem bardzo zmęczony i odurzony podróżą.

Nawet nie wiem, kiedy stanęliśmy na stacji przeznaczenia. Było już bardzo późno w nocy, a przed nami mieliśmy jeszcze długą drogę końmi.

Pod zajazdem stacji czekały sanie i chłop w baraniej czapie i kożuchu, z sękatym biczyskiem i jeszcze ktoś przysiadał się do nas na tę podróż. Na dworze było czarno od nieba i biało od śniegu. Włożono na mnie jakieś płaszcze z dorosłych osób, kilka takich płaszczy i bund, ojciec wciągnął na siebie olbrzymią szubę baranią – wyglądał w niej jak góra. Zagrzebano mię w nogach siedzenia w słomę i przykryto po czubek nosa.

Sanie zasunęły zaraz po śniegu i ruszyliśmy. Naprzód jechało się od stacji gościńcem białym teraz od śniegu w stronę miasteczka; słupy telegraficzne i ogrodzenia ogrodów niknące w nocy. Potem krótko miasteczko z bardzo skąpymi światełkami o tak późnej nocy, potem przejeżdżało się koło młyna nad zamarzniętym stawem i droga była już gminna i krzywa. Było potężne zimno, mróz, ale cicho i jedynie od pędu sań w kłusie zawiewało tym mrozem po policzkach i kłuło w nosie. Ciekawie wyglądałem spod mego przykrycia, już bardzo wytrzeźwiałem ze

snu. Konie szły kłusika, nie poznawałem ich, były gniade i włochate, i nieznajome. Śmierdziało od nich końską stajnią. Jak z tyłu patrzeć na nie, to zabawnie: tylko zady i iksy nóg szybko odrywających się od ziemi i wyżej widać strzygące uszy, i parskanie. Małe grudki śniegu odrywały się od podrywanych kopyt i śmigały w tył i głuchy tupot po śniegowej warstwie, jakby biegły w filcowych pantoflach, i jedynie czasem lejcowy wałach, zaczepiając kopyta tylnych nóg, krzesał iskrę o podkowy i dźwięczała sucho podkowa. Czasem sanie szły w zatokę, kiedy wyślizgany lód pod śniegiem nie dawał oparcia bosym saniom, i raz lub dwa szły całkiem w poprzek drogi, i wtedy woźnica zdzielał je batem po grzbietach i klął: „*A szczob tebe!*…”, i zmuszał do wyprostowania sztywnego dyszla. Słoma, w której mię zagrzebano, kłuła mię w uszy.

Jak patrzeć było w noc, to nic nie było widać. W górze niebo, które było czarne i granatowe i mogło być bardzo wysoko albo tak nisko, że jak wyciągnąć rękę, to można było dotknąć jego niskiego pułapu. A pole uciekało zaraz na krótki dystans i nic dalej. Czasem czernił się mijany krzak głogu kolczasty i nagi. Czasem mijało się figurę kamienną: krzyż pobielony wapnem, tak bliski temu śniegowi, że prawie go nie było widać, a cóż dopiero mówić o wyrzezanych w kamieniu szczegółach… A ja sobie uprzytamniałem tam widziane za innych dni: kalwarię bardzo niezdarnie w kamieniu wyrobioną, kiedy Chrystus skłania głowę w koronie cierniowej na ramię i głowy Jego i stojących na tym samym poziomie Marii i Jana apostoła są nieproporcjonalnie duże w stosunku do tułowi, i zeschnięte kwiaty adoracji w czasie lata, i pracowity a koszlawy napis wydłubany w piaskowcu: „Христа Господа Мука Сьвята”.

Nie było drzew, nie było ich w tych bezdrzewnych stronach. Od Zborowa, przez Cecowę, Glinnę, Płauczę Małą, Płauczę Wielką, Taurów, Kozowę, Końskie, Popławy kraj leżał płaski jak tarcza pod łukiem nieba, otwarty i pusty, leżał polem, jednym oddechem – jak ręką zatoczyć, jak okiem zamieść. Czasem urywał się urwiskiem jaru, w którym przeciekała rzeka, która wymyła go tysiące lat przedtem i płynęła teraz kapryśnie wybranym łożyskiem, ażeby z następną powodzią przenieść się w inne i zaróść szuwarem i tatarakiem. U urwisk jarów czepiały się wsie jak

zbiegłe do wody stadko gęsi. Chowały się w lecie w gajach konopnych i sterczały nad nimi kopuły cerkiewne i grusze o osiczynowych liściach.

Ale były to bardzo bezdrzewne okolice. Chaty lepione były ze słomianych okłotów i gliny, stodoły – wyplatano im ściany z chrustu i miast ogrodzeń i płotów sypano wały, na których sadził się krzak kolczasty dzikiej róży, głogu i jeżyny. Drzew nie było i budulec woziło się wozami z odległych powiatów, i ceniono go na wagę złota, a w piecach palono słomianymi powrósłami. Na całą okolicę słynne dlatego były świerki przed domem mego dziadka. Dziadek zasadził je jeszcze, kiedy się tu zakładał i dom stawiał, i z tych małych świerkowych choinek po latach wyrosły czarne samotne, widne z daleka na horyzoncie piramidy świerków, które, czarne i żałobne w gorące lato, szarpane wiatrem jesiennym jak chorągwie, stały czarną piłą w pośrodku pól na straży – urągowisko i pohybel bezlistnej pustce tego kraju.

Po jakimś czasie zgubiliśmy drogę. Furman wstrzymał konie: „Hoou!” i zeszedłszy z sani, podszedł ku przodowi, i zasłoniły go konie, rozbiegany poprzednio dzwonek, zaczepiony u końca dyszla, zajęczał raz i drugi samotnie i krystalicznie w ciemności nocy. Ojciec pochylił się z siedzenia i poszukał dłonią w rękawiczce po śniegu, i powiedział: „Skiby”. Potem furman ujął konie za wodze przy pysku i zaczęliśmy nawracać, ujechaliśmy stępa kilkadziesiąt kroków i znów zawrócił sanie pod kątem 90 stopni. Było tak czarno, że dalej jak dziesięć kroków nie było widać.

Ojciec kazał mi wygrzebać się i biec koło sani. Śnieżku było niedużo tutaj – tyle, że przykrywał skiby – i potykałem się, i było mi zimno, ale ojciec oglądał się na mnie i wołał: „ruszaj się!”, i nagle zaczął kląć parobka od matiery, ale tamten nic, tylko prowadził konie przy pysku. Zaczęliśmy teraz podchodzić pod jakąś górę i dziwnie mi było z tą górą, bo były to strony bardzo, zupełnie płaskie i skąd znowu góra?

Dopiero jak ojciec w swej długiej baraniej szubie zaplątał się w jej poły i upadł w śnieg, przestraszyłem się. Nagle myśl straszna przeszła mi przez głowę: zabłądziliśmy! Dotychczas nic, a teraz, jak widziałem, że ojciec taki wielki, olbrzymi w swej szubie, że uosobienie siły i upada w śnieg, to było

zbyt wstrząsające. Zacząłem trząść się z dygotu i zimna, które dopiero teraz poczułem.

Wtedy także zaszedł jeden incydent, którego nigdy nie mogłem zrozumieć. Usłyszeliśmy w odległości, w dole głos jakiś i jak było wytężyć wzrok, to można było dalej, w ciemnościach zobaczyć coś: plamę ciemną, która, zdaje się, była inną parą sani, i widać tam było jakiegoś człowieka: postać chłopa, który w naszą stronę coś krzyczał i gestykulował. Byłem zmęczony, śpiący i nie mogłem ani tego zrozumieć, ani pojąć. Mogłoby to być coś w rodzaju tym, że inny człowiek zabłądził po nocy, albo też mógł to być ktoś, kto nas naprowadzał na dobrą drogę i objaśniał, czegoś innego trudno było dopatrywać się w tym, a jednak wydawało mi się, że ten człowiek w nocy złorzeczył nam i wygrażał, ale co mogłoby być tego powodem, tego wygrażania i złości do zbłąkanych podróżnych, tego nie mogę pojąć. Może to urodziło się jedynie w wyobraźni niewyspanego i zmęczonego mózgu.

Potem byłem już tak zmęczony, że nie wiem dokładnie, co się działo i jak wybrnęliśmy. Przypominam tylko sobie, jak sanie ślizgały się w poprzek skib i miedz albo tarły po oziminach lekko przysypanych śniegiem, konie zapadające w rowy po brzuchy w śnieg, jak gramoliliśmy się do sani i jak w końcu o późnej nocy zaczerniały gałęzie świerków przydmuchanych śniegiem i psy ujadające przed domem.

W domu było napalone i nieznośne gorąco, i jacyś krewni i ludzie, i jaskrawo od światła, i zaraz zapakowano mię do łóżka – miałem trochę gorączki od tej jazdy i było przyjemnie od tej gorączki i od ciepła, głowa uciekła mi gdzieś w dół i nie wiedząc kiedy, zasnąłem zmorzony.

A rano, zanim obudzono mię i zanim ubrałem się, to wszystko zbliżało się ku końcowi. Nawet czarna trumna stała już na zewnątrz domu na ławie przed czarnymi świerkami oddzielającymi dom od drogi i przed nią stał pop w wielkiej czarnej kapie narzuconej na komżę opinającą się na futrze, czytał z modlitewnika o złoconych brzegach i sięgał kropidłem do miedzianego naczynia trzymanego przez diaka. Na schodach domu, w przejściu, w bramie i na drodze czernił się tłum: chłopi w kożuchach i baby w chustkach otulających im głowy. W samej bramie stał dziadyga

oburącz trzymający drzewce wysokie chorągwi czarnej i oszytej, obrzeżonej srebrną frędzlą, i na czarnym jej tle naszyty był znak trupiej głowy i skrzyżowane piszczele, jakie znałem z książek o piratach i co tam nazywało się „*Jolly Roger*”, i tam przywodziło na myśl awanturę i przygodę, a tutaj chorągwisko przyniesione z kąta zakrystii cerkiewnej łopotało się na wietrze, kiedy odnoszono trumny na cmentarz.

Cmentarz był prawie o płot – pogarbiony chłopskimi mogiłami pod śniegiem. Chłopi stali już tam także tłumkiem, mali chłopcy ześlizgiwali się z tych pagórków, gdzie spychali jeden drugiego, ażeby lepiej widzieć. Czarna ziemia wyrzucona przez łopatę grabarza mieszała się ze śniegiem. Pop zaciągnął: „*Hospooody, pomyyyłuj!…*” i wrony zerwały się z drzew akacjowych koło cerkwi. Niebo było białe jak mleko i ciemniało, schodząc ku horyzontowi nad ośnieżonymi strzechami chat.

Potem wracaliśmy drogą do domu i była jakaś ulga po tym zimowym dniu.

W domu przede wszystkim podano na tacy wódkę. Naprzód ktoś odkorkował butelkę ze srebrną główką i porozlewał wódkę do kieliszków, których było tak dużo, że niektóre były innego kalibru, i trochę wódki się porozlewało. Na półmisku były także nakrajana kiełbasa i widelce i każdy, jak chciał, tak brał na widelec.

„Dlaczego styczeń się tak nazywa?” – pytał tłustej żony pocztmistrza pan Fałdziński, geometra z Taurowa. Pan Fałdziński miał brodę i filuterne czarne i kaprawe oczka i wydłubywał zapałką kawałeczki mięska z tej kiełbasy spomiędzy popsutych zębów, i filuternie patrzył na biust pocztmistrzowej.

„…a bo w styczniu wilki się stykają, aha!”

Było gwarno i ciasno od ludzi, w piecach okropnie napalone, ale było to po tamtej ponurej chwili bardzo przytulne i wesołe i chociaż byłem taki niedorostek, sam między tymi wszystkimi głośno gadającymi, to kręciłem się, unikając widoku ojca.

„Ho, ho, ho! Ho, ho, ho!” – grubym basem śmiał się ksiądz Czmoła, pop, który po zdjęciu aparatów cerkiewnych był dalej duży i tęgi, nawet bez

futra, ale w swej wyświeconej na brzuchu sutannie, z czerwoną twarzą i roześmianą gębą był taki inny i ludzki.

„To się nazywało bardzo elegancko »pudreta«, a to nie było nic innego, tylko mielone suszone gówno. Jak raz mieliśmy to w worku w polu i deszcz trochę przykropił, Iwan przyszedł i sięgnął ręką w worek, i powiada do mnie: »Ktoś nasrał do worka – panie rządco«”.

„Co, panie, Szynda? Taż, panie, jakbym, panie, tego waszego Szyndę, panie, jakbym wziął go za nogi, tłukł mu głową w podłogę, toby waszemu Szyndzie, panie, szóstka z portek by nie wyleciała, panie? co pan? panie…”

„…to jemu już chałupa śmierdzi, a mnie nie śmierdzi, to *ne daj Boże z Iwana pana*…”

„Radziłabym pani tylko do Czarnomskiego. Inni jeżdżą po doktorach albo do Lubienia, albo Buska, majątki tracą. Co się stało ze Stasiem Jaworowskich? Nie mogli mu poradzić i nie mogli, co się najeździli! do kliniki do Krakowa i do Wiednia jeździli. A Czarnomski przepisał mu tylko nacierania i dietę, i żeby leżał w ogrodzie i patrzał na zielone. Tak patrzał na zielone, moja pani…”

Mój wuj zniżonym głosem mówił do Stahrembergowej z Płauczy Wielkiej:

„Te kraty trzymałem za oborą i ile razy matka je tam widzi, to, zmiłujcie się, gryzie mnie, że ich nie postawiłem. A u Lenartowicza je zamówiłem w Zborowie, co? pięć lat temu. A teraz się postawi, podmuruje się i krzyż postawię…”

„*Swynia lubyt bołoto*” – nie udał się dowcip księdzu Czmole, kiedy nakładłszy gotowanej wędzonki, mieszał kapustę i kartofle na talerzu.

Powietrze było gęste od tytoniu, gorąca, zapachu potraw. Na rzeźbionym zegarze u szczytu otworzyły się drzwiczki i drewniany ptaszek wyskoczył, i w gwarze można było domyślić się tylko, że wykukał pierwszą. Za szybami zielonymi widać było śnieg.

[prwdr. „Kultura” 1950, nr 2–3, pt. *Czuwanie i stypa*]

Co nowego w kinie?

To już wiele lat, kiedy ona była. Już tyle uleciało mi z pamięci i w rozpaczy, i gorączkowo ścigam przeszłość, żeby ją wydobyć z tego zapomnienia. Gdzieżeś to, Elektro? Elektro, och, Elektro!

„Król się o tym dowiedział,
dowiedział,
W sześć par koni przyjechał…
Pokochajże mię, piękna Krakowianko…”

– nuciła Elektra.

Wyobrażałem sobie, jak moja ciotka, wyprostowana i sztywna w swej czarnej sukni i z zaciśniętymi ustami wąskimi, siedząc w fotelu nad jakąś robótką, obróciła powoli głowę na Elektrę.

„To wulgarne – to, co śpiewasz” – usłyszałem.

Nasz dom w mieście był osobny i samotny jak ponura skała na płytkim wybrzeżu. Nie utrzymywaliśmy stosunków z nikim.

Ojciec przesiadywał cały dzień w banku i chodził tam także wieczorami, i przechodząc ulicą, mogłem widzieć błysk lampy na jego czole, kiedy, pochylony nad papierami nad biurkiem, był widoczny przez zakratowane okna. To była jedyna droga, którą robił pieszo – z domu do banku. Gdziekolwiek się poza tym udawał, to zawsze końmi.

Mieliśmy parę rosłych koni – para: gniady wałach i siwy ogier – i do tego ciężki powóz o klekocących piastach kół i wyścielony popielatym „sztruksem”. Powoził stangret – Michał Okszański mu było – małomówny, trochę tępawy i wstydliwy chłopak, który był w artylerii u Żeligowskiego, kiedy był ostatni zajazd na Litwie, i wrócił z tej wojny inwalidą. Za uchem z prawej strony miał dziurę, z której czasami mu ciekło, i ta nie gojąca się rana była powodem także jego pewnej głuchoty. Mój ojciec nie lubiał tego Michała i sporadycznie go brutalizował, i nie wpływało to ośmielająco na niemrawego i tępego furmana.

Mój ojciec uważał, że jeżeli nie jestem zdały do czegoś, to powinienem przynajmniej pomóc w tej bankowej robocie, i przynosił do domu grube księgi, które miałem rubrykować, albo papier, z którego dla oszczędności miałem kleić koperty. Nienawidziłem tej roboty i zdegradowany i rozgoryczony liniowałem kartkę za kartką grube tomy albo wycinałem te koperty w tym pokoju na górze, i z góry słyszałem głosy ciotki i Elektry.

„Kat przyjechał w czerwieni,
w czerwieni…
Krakowianka w zieleni…”

– nuciła dalej Elektra.

Ciotka przerwała robotę i rozpoczęła tyradę:

„To wulgarne, co śpiewasz. Czy wyobrażasz sobie, że nie wiem, że byłaś rano u tych panien Domereckich? Czy towarzystwo mieszczek odpowiada ci w jego parafiańskim zapachu? Czy musisz importować tę atmosferę tutaj?”

Panny Domereckie, dziewczyńskie i rozkwitające w swych halkach obrębionych i haftowanych ręcznie, były córkami szanownego masarza i handlarza nierogacizny i atrapowały bardzo Elektrę.

Próbowała bohatersko bronić straconej pozycji:

„To są przyzwoite dziewczyny, a czymże mam od nich być lepsza? Że u panien benedyktynek jestem w pensjonacie? Że noszę jedwabne kombinacje, a nie krochmalone halki?…”

Ciotka była silna postawą:

„Wulgarne jest to, że grawitujesz do ich omdlewającej małomiasteczkowej atmosfery krochmalonego dziewictwa i tęsknot. To niegodne i nieodpowiednie i” – ciotka była rozdrażniona – „i nie wprowadzaj tego, proszę ciebie, tutaj, to jest łatwizna, i jeżeli masz być dobrze wychowana, to pierwszym warunkiem jest kontrola samej siebie i wybór”.

„Wybór czego?”

„Wybór stylu. To wychowanie ma ci dać styl”.

„Czy to jest życie – styl?”

Ciotka odpowiedziała bez wahania i z żelazną konsekwencją:

„Tak, życie to styl”.

„Nie chcę stylu… To obojętne, jaki styl mam przybrać…”

„To nieobojętne. Jakby to miało być obojętne, czy jesteś panną z dobrego domu, mieszczką czy ulicznicą…”

Mazgaj zaczął ujadać w ogrodzie i zagłuszył ich rozmowę. Potem słyszałem:

„Proszę mnie nie obrażać…”

„Nie bądź śmieszna”.

„Och, ja wiem, że byłam dzieckiem niepożądanym…”

„Nie histeryzuj”.

Minąłem Elektrę na schodach, kiedy zostawiwszy robotę, schodziłem, gdzie siedziała moja ciotka. Ubiegając jakąkolwiek mą interwencję, ciotka zaczepiła mię pierwsza:

„Spuściłeś Mazgaja z łańcucha i znów będzie buszował w ogrodzie i łamał krzaki pomidorowe – ojciec odgrażał się, że go zastrzeli”.

Mazgaj był bastardem po legawej suce i po jakimś kundysie. Po niej miał przepiękne kształty, po nim – ordynarny, szorstki włos i wisielczy humor żulika.

Rano skowytał i szarpał się na łańcuchu i jakimś cudem zatrzask z obroży otworzył się i tymże samym cudem zaczepił i złapał go za tylną łapę – tam gdzie psie ścięgno Achillesa. Byłby je sobie zerwał, ale przytrzymałem go, pomimo że ze ślepego bólu pokąsał mię w dłoń dotkliwie, i teraz, szczęśliwy i niepomny na niedawne rozpacze, hasał po ogrodzie i płoszył perlice.

Sympatyzowaliśmy bardzo, ja i ten Mazgaj, i odpychałem to od siebie, nie chciałem tej przyjaźni psa i człowieka, wydawało mi się to wstrętne trochę – przecież to było po prostu zwierzę! Miało to ten skutek, że byłem nierówny w stosunku do niego: raz przyjacielski, raz chłodny, i już pewnie nie zapomnę zdziwionego wyrazu oczu Mazgaja, lojalnego Mazgaja, natykającego się u mnie na tę chwiejność, człowieczą kulawość.

Siedzieliśmy w moim pokoju na górze. Chciałem napisać wiersz. W głowie miałem już mgliste zarysy i wcale mi to nie przeszkadzało, że Elektra leżała

na mym łóżku i z respektem obserwowała mię, siedzącego nad kartką papieru.

Ale wiersz mi się nie kleił. Miałem zaledwie tytuł i ostatnią linię, i parę asonansów, które nie bardzo mi smakowały.

Tematem miało być senne marzenie: sen kogoś, komu się śni, że się otruł cyjankiem potasu – cyjankali. A potem się budzi z tym strasznym wrażeniem. Więc jak to jest z tym cyjankiem? Szalenie zabójcza rzecz! Podobno miligramy tego wystarczą do zabicia człowieka. Ileż to? 0,005? Tytuł wiersza! *0,005 cyjankali*. To miało od razu narzucić swą pedantyczną rzeczowością, że wiersz jest modernistyczny: akuratność liczby, magia arabskich cyfr i komy. Wiersz miał się kończyć obudzeniem i miało to brzmieć temu komuś, komu śnią się te idee suicydalne i kiedy budzi się, i:

„…oddali
Gorzkie łzy, gorzkie jak cyjankali…”

Jeszcze miałem niezgrabny asonans na początek wiersza:

„…i słońc szalonych trajektorii
Zatraca mię i świat w agonii…”

To „trajektorii” i „agonii” samemu mi się wydało podejrzane i nie mogłem ani rusz zacząć.

Elektra traciła powoli respekt dla mnie – miała za dużo poczucia humoru, żeby długo kontemplować ten poród, i znudziła się trochę:

„No, przeczytaj, co napisałeś”.

„Och, nie przeszkadzaj…”

„Też, te wiersze, to łatwe, te… »na szarym kocu nieba«, »perłowy guzik księżyca«” – drażniła mię Elektra.

Nie mogłem jednak się rozgniewać na nią – było mi przyjemnie, że siedzi u mnie – i dałem za wygraną.

Zmiąłem ten papier, ulepiłem z niego pigułę i zacząłem na niej smarować oczy, usta, nos, i atrament się pozalewał, i wyszło z tego coś podobnego do „*tsantsas*” – preparowanych głów indiańskich znad Amazonki.

„Gdzie widziałeś, naprawdę widziałeś te *tsantsas*?” – pytała Elektra.

„Widziałem u rotmistrza Ruppa” – powiedziałem – „kiedyś był w Ekwadorze i stamtąd przywiózł. Są śliczne: główka mała jak piąstka i zamknięte oczy, i wargi zeszyte kolorową frędzlą, i włosy, takie indiańskie włosy: czarne, z wplecionymi prześlicznymi piórkami papużek. Jedna mała tak, że można ją nosić w butonierce”.

„Jak to oni robią, to naprawdę prawdziwe?”

„Wiesz, po prostu bardzo umiejętnie ściągają skórę z całej głowy, taki skalp z twarzy, potem to suszą, wypychają czymś, preparują i tak kurczy się”.

Elektra wzdrygnęła się.

Chciałem ją bardziej przestraszyć – taka głupia satysfakcja:

„To wyrabiają Indianie Jivaros. Ale jak powstał na to popyt, to są oszuści, imitują genialnie te wyroby, specjalista się ledwie pozna, że to oszustwo, że czasem taka wędzona »*tsantsa*« była głową białej kobiety”.

„Och, Żorż! to straszne!”

Efekt mi się udał i egzotyka wiszarów Amazonki, Orinoko i Rio Negro nadpłynęła dżunglą zieloną nad dachy cynkowane i popołudniowy kurz ulic miasteczka.

Nagle na podwórzu usłyszeliśmy dwa strzały pistoletowe i krótki skowyt psa. Rzuciłem się do okna.

Na schodach domu stał mój ojciec. Był bez marynarki, tylko w kamizelce. W opuszczonej ręce trzymał pistolet. Na drugim końcu podwórza w słońcu przy furtce leżał Mazgaj. Strumyczek krwi wytaczał się spod niego i szybko wsiąkał w piasek. Na betonowych schodach widać było wyrzucone żółte i usmolone od spalonego prochu łuski wystrzelonych naboi pistoletowych.

Słychać było płacz kucharki. Mój ojciec stał jeszcze chwilę i gorzko się uśmiechnął – to był dobry strzał! na tę odległość – i potem podniósł pistolet do oczu i przesunął bezpiecznik, i wszedł do domu.

Elektra leżała na moim łóżku i zanosiła się od łkania, i w przerwach wybuchała:

„Nienawidzę go, ach, nienawidzę!”

Byłem wzburzony także, ale starałem się opanować.

„Och, co mu winien biedny Mazgaj…” – łkała prawie histerycznie – „nienawidzę go…”

„No, dajże spokój” – powiedziałem – „ktoś może być drażliwy na punkcie psa, inny – na punkcie pomidorów”.

Przestała płakać.

„Ach, głupia jestem” – powiedziała, już wstając z łóżka, i miała czerwone i mokre od płaczu oczy, i przez te łzy uśmiechnęła się do mnie przepraszająco.

Dom stał na skraju miasta. Był odosobniony i jedynie po drugiej stronie ulicy długim szeregiem parterowych stajen i budynków ciągnęły się koszary x-tego [Pułku] Ułanów.

Dom był drewniany o dziwacznym planie i wyglądzie, projekt dyletancki mojego ojca: kombinacja szaletu szwajcarskiego, mieszczańskiej willi i dworu empirowego. Nie był stary, ale nisko położony; grunt podmokły, wybujała zieleń ogrodu i atmosfera postarzały go i wydawało się, że toczy go już grzyb i powoli zamienia się, w długie ciemne noce zjadany przez rozkładające bakterie, zamienia się w próchno.

Mój ojciec był genialnym dyletantem w każdej dziedzinie. Między innymi w ogrodnictwie i pomologii. Jeszcze na długo przed wybudowaniem domu ponasadzał w ogrodzie dużo drzew owocowych, niektóre wyszukanych rodowodów, i na ich gałęziach zawieszone na rdzewiejących drucikach były tabliczki drewniane z troskliwie powypisywanymi nazwami i po łacinie.

Pomimo pieczołowitego nawożenia, doglądania i skrapiania „sinym kamieniem” od razu zalęgły się robaki i każdy jesienny zbiór był wspaniałym plonem olbrzymich jabłek: rumianych i stoczonych przez robaki.

Ogrodzenie przerośnięte było żywopłotem z bzów i malin i stało murem zielonym pomiędzy domem i ulicą.

Na podwórzu, częściowo wybrukowanym dzikim kamieniem, częściowo wysypanym piaskiem, ciągnął się budynek stajni, wozowni, pralni, osobno był chlew dla wieprzy i duża studnia z betonowych rur. Studnię kopano

i stopniowo nakładało się te rury, i partacz-studniarz w rezultacie zrobił ją na krzywo.

Do wody nie było daleko. Dom i koszary stały na niskim gruncie, tuż za koszarami płynęła rzeka w urwistym żłobie i poziom wody w studni był na poziomie wody w rzece – woda zaskórna czy prawo naczyń połączonych. To zwierciadło wody w naszej studni podnosiło się i opadało ze stanem wody w rzece i woda studzienna nie różniła się od rzecznej: była ciepła, mętna i słodkawa w smaku i używano jej w domu do wszystkiego: do gotowania, prania i do picia.

Kiedy rano siedzieliśmy w ogrodzie – gorące lato – byliśmy doskonale izolowani od świata za zielonym murem zieleni. Sercowate ciemnozielone polerowane liście bzu błękitnie odbijały niebo, krzaki róż na trawniku były kosmate od kolców i przylatywał od nich słodkawy zapach płatków różanych. Dzikie wino pięło się po ścianie domu i wydawało mi się, że po tej zieloności kapilarnymi rurkami pnączów podnosi się wilgoć z ziemi i wżera w ściany domu.

Elektra rano chodziła niedbale ubrana, w jakichś szlafrokach, i nie było to u niej, to zaniedbanie, rażące przy jej świeżości i pewnej omdlałości, bardzo to jej pasowało.

Pod wysuniętymi okapami dachów jaskółki poulepiały gniazda i z piskiem nadlatywały z otwartej pod dzwonem nieba przestrzeni, i smugi ich odchodów popstrzyły ściany domu.

Siedzieliśmy pod baldachimem zielonych liści, czytałem Carlyle’a *Bohaterów,* ale właściwie: nie czytałem, tylko znad kartek książki rzucałem szybkie spojrzenia na jej piersi. Szyła coś i była pochylona, i włosy jej opadały na tę robotę, i ten szlafrok trochę się rozchodził, i widać było górną część jej piersi i wgłębienie między nimi, i różowe jej policzki.

Rozmawialiśmy.

Na zamszowym oszyciu moich spodni do konnej jazdy kluczem znalezionym w kieszeni drapałem jakiś deseń i łatwo było go zetrzeć jednym przetarciem dłoni, tak miękki był ten zamsz.

Drogą w pyle i tupocie podków wracał z ćwiczeń szwadron karabinów maszynowych. Drelichy ułanów były prawie białe od prania, ukośnie przez

plecy mieli zaszmelcowane plamy od natłuszczonych karabinów. Przez gałęzie bzu widziałem ich, jadących trójkami, albo dwójki koni tam, gdzie konowodny prowadził jucznego konia. Na jukach po jednej stronie karabin maszynowy „Maxim” z rurą chłodnicy, po drugiej złożony trójnóg podstawy schwartzlose, na górze skrzynki z amunicją. Śpiewali:

„Po czymżeś mię poznała,
Umtarija-raz,
Żeś mię panem nazwała,
Umtarija-raz…”

Szwadron przeciągnął, kurz opadł i gorąco wypełniło powietrze. Jeszcze dochodził urywek śpiewanej przez niego piosenki:

„Jakże ja cię puścić mam,
Umtarija-raz,
Jak ja biedna, a tyś pan,
Umtarija-raz…”

Z ławki widzieliśmy: daleko, na drugim końcu ogrodu, tam gdzie pod parkanem gęstwiły się krzaki malinowe, Franciszek Salezy Stuż, ogrodnik, kopał grób dla Mazgaja.

Franciszek Salezy Stuż, ten ogrodnik, był przez nas nazywany Kamczadalem. Nazywaliśmy i przylepialiśmy przezwiska wszystkim naokoło, tak że rozmowy moje z Elektrą miały charakter hermetycznego szyfru. Prokurent i jedyny urzędnik w banku mojego ojca nazywał się Reyowski, ale przezywaliśmy go Ryjem, ojca nazywaliśmy Pawłem, chociaż miał imię Stefan, infułata Izydora Kunaszowskiego – Tertiumnondatur, a doktora Goldfisza – Solange.

Otóż Franciszek Salezy Stuż był na Kamczatce jako jeniec wojenny przez całą poprzednią wojnę. Na samym początku tej wojny, w sierpniu jeszcze 1914 roku, został zmobilizowany jako austriacki landszturmista i nawet nie ruszył się z miasta. Po prostu kiedy Rosjanie zbliżali się do tego miasta, mały oddziałek landszturmu wycofał się do lasu na okolicznych wzgórzach i ponieważ to był gorący, upalny dzień, więc koledzy wysłali Franciszka Salezego, autochtona, po piwo do rodzinnego osiedla i tu go złapał pierwszy patrol kozacki, i wprost został wysłany etapami na

Kamczatkę. W cztery lata poza kołem biegunowym Franciszek Salezy stracił na szkorbut wszystkie zęby i dlatego, niezupełnie jeszcze wiekowy, wydawał się staruszkiem zgrzybiałym. Za tę Kamczatkę przezwaliśmy go Kamczadalem.

Kamczadal kopał grób dla Mazgaja. Zasadniczo był ogrodnikiem, ale przed paru laty zrobił odkrycie. Wynalazł cement portlandzki. Więcej niż zieleniną zajmował się cementowaniem wszystkiego wokół. Wyłudzał od mego ojca pieniądze na pół papierowego worka cementu „Firlej" i mieszał go, i betonował, i cementował. Schody, ścieki, kanały, studnie, parapety wokół naszego domu były zawsze w stanie korekty, naprawy i przebudowy. Chropawe deski osłaniały świeże, tężejące konstrukcje i kiedy je, te formy, rozbijał – ukazywało się lico betonu z wiernie odbitymi słojami drzewa, jak gdyby las skamieniały miał się budować wokoło naszego domu.

Kiedy przychodziły ulewy, stawaliśmy zadziwieni – Elektra, ja i Kamczadal – i patrzyliśmy zawiedzeni i zwarzeni, jak wskutek nie przewidzianych przez Franciszka Salezego praw niwelacji i sił denudacji woda deszczowa, burzliwie urągając jego irygacyjnym systemom kanałów i ścieków, płynęła na przekór i żłobiła obok i w poprzek kaniony i kolorada w błocie i ziemi, chlupotała o te betonowe rury i niosła zielsko i trawę, żeby rozlać się w nieoczekiwanych miejscach w kałuże i sadzawki. Nigdy, o ile sobie przypominam, nie poznał jej kaprysów.

Łopata plasknięciem oklepywała kopczyk-mogiłę Mazgaja. Niedługo spłaśnie, a nawet zapadnie się ten grób i rozkładające się i toczone przez robaki ścierwo wesołego Mazgaja będzie sączyć w ziemię i ogród jad i posokę sobaczą, i będzie zatruwać krzywą studnię, i łodygami pnączów będzie się wspinać i wsysać w ściany domu, i trapić sen tu mieszkających w zemście i sobaczym skowycie za śmierć mu zadaną, kiedy był dzień i cienie słońca żeniły niebo z ziemią.

„Biedny Mazgaj" – powiedziała Elektra – „słuchaj – czy zwierzęta mają jakąś duszę?"

Potem, nie czekając na rewelacje z mej strony, powiedziała:

„Śmierć, to straszne jest – śmierć…"

Żal mi było Elektry.

„Och, głupstwo” – powiedziałem – „nie ma nas czy jesteśmy, to przecież takie przypadkowe. Czy wiesz, jak życie jest przypadkowe? Wyobraź sobie, że ryby składają miliony ikry, żeby jedna przetrwała i zahaustnęła się życiem. A u ludzi, to wiesz, na ile spermatozoonów…?”

Połapałem się, że ona przecież jeszcze jest dziewczynką, i powiedziałem niechcący:

„Ale jesteś jeszcze na to za głupia, za niedorosła”.

I znów mi się jej żal zrobiło – miała łzy w oczach.

„Właśnie, że nie – ty brutalu, ty samolubie” – i rozpłakała się.

U nas nie było w zwyczaju czulenie się. Nie mówiliśmy w domu pieszczotliwych słów, nie uznawaliśmy pocałunków i nie wiedziałem, co jej powiedzieć. Położyłem niezgrabnie rękę na jej ręce i uśmiechnęła się, i powiedziała:

„Pokaż rękę. Ugryzł cię ten Mazgaj, czy boli? Wiesz, ja tam, u benedyktynek, miałam taką historię, ale nic w domu nie mówiłam i panny benedyktynki były, nooh! dyskretne – ale co musiałam się nasłuchać! Tam są takie straszne psy, wilczury, i nocą spuszczają je, i uganiają, rozhasane, wokół murów klasztornych, i szczekają. I wiesz – miały szczenięta i trzymali je w piwnicy klasztornej, i byłam głupia i powiedziałam do Maryśki Zuberówny, że wcale bym się nie bała zejść tam, do tych szczeniąt, i Maryśka głupia i wierząca taka we mnie rozpaplała, i tamte sprowokowały mnie. Wszystkie, naturalnie, bezpiecznie – na pierwszym piętrze, za szybami – a ja sama na tym podwórzu i bałam się strasznie, i schodzę tymi schodami, ciemno, i zanim usłyszałam pisk szczeniąt, a te wilczury rzuciły się na mnie, i cofałam się tymi schodami, wlokąc na sobie uwieszone te dwa potwory – dziwię się, że nie zwariowałam – i zemdlałam na górze. Potem, jak leżałam tygodnie w łóżku obandażowana, to myślisz, że mi która współczuła? – gdzie tam, fałszywie przy pannach mówiły: »a widzisz, sama chciałaś«; dlaczego te drwiny, Żorż?”

„Nic te panny benedyktynki nie zdradziły” – powiedziałem pocieszająco.

„One nie takie, a wiesz, wszystkie z dobrych rodzin; żeby tam być, trzeba było wiana i mało już takich. Są bardzo stare”.

„Jakież one są? To bardzo surowa reguła?” – zapytałem.

„Och, nasza ksieni staruszka, wyobraź sobie, nigdy w życiu nie widziała kolei, bo jak wstępowała do klasztoru, to kolei jeszcze nie było, a więcej potem nie wyszła. No tak, parę lat temu jeździła do Pohrebyszcza zobaczyć folwark, ale w karecie o zapuszczonych firankach”.

„To one takie?…”

„Wiesz, noszą takie tołuby na głowach, jakie widzisz tu, w kolegiacie, na płycie wojewodziny bełskiej. No a ksieni na okazjach podpiera się takim pastorałem biskupim. Jada na obiad kwiczoły” – śmiała się Elektra.

„Co, te altruistyczne kwiczoły, które same się nadziewają tarniną i nawet ich nie patroszy się do pieczenia?”

„No, tak opowiadają. A znów raz podkradłyśmy się z tą Maryśką, żeby zobaczyć obłóczyny. Bardzośmy się bały; zakradłyśmy się na chór, a tam na pulpicie wypalone szpony diabelskie – kiedy szatan położył rękę na świadectwo, jak był sąd boży nad chorążym z Krasiczyna – nie myśl, że ja wierzę w te folklory, ale się bałam bardzo. Więc te obłóczyny to straszne – ona była w bieli i welonie jak panna młoda i leżała krzyżem na posadzce, i przykryto ją czarnym całunem, i na rogach stanęły świeczniki jak do katafalku, i ksiądz śpiewał *Requiem*, i te śpiewy – myślałam, że znów pójdę do infirmerii po tym zwariowanym wieczorze. To jest śmierć za życia…”

„O czym wy, panny, rozmawiacie między sobą, kiedy jesteście same?” – zapytałem podstępnie.

Elektra się śmiała:

„O czym? Wiesz – z zasady o chłopcach. Aż mi czasem wstyd…”

Umilkliśmy i było cicho i gorąco w słońcu dnia.

Na ścieżce ogrodowej w blasku słonecznym ukazał się kot. Był to jeden z pokolenia, którego generacje następowały po sobie i to przechodzenie z jednego życia w drugie odbywało się na oczach. Naprzód włochate niemowlę przetaczające się po dywanach, dla którego świat cały był jednym drażniącym i przekornym przedmiotem gry i wyzwania, potem wyrastało obojętną i chłodną miniaturą tygrysią o elastycznych ruchach i nerwowych skrętach ogona lub w przeważnej części dnia kłębek, węzeł gordyjski snu, drzemania i zamkniętego, cofniętego życia. Kotka następnie przechodziła ciążę i z rzuconego pomiotu zachowywało się elekta, resztę

topił Franciszek Salezy w sposób urągający ideałom eutanazji Ligi Opieki nad Zwierzętami. I wyrastała nowa generacja, i drzewo genealogiczne tego rodu rozczepiało się w nową gałąź.

Agrestowe oczy kota w blasku słońca ukazywały źrenice zredukowane do cienkich kresek. Siedzącym nam tak w cieniu wydawało się, że zbliżający się po ścieżce kot olbrzymieje, wydawało się, że delikatne nogi o najczulszych poduszeczkach palców puchną w lwie łapy, a okrągły łeb rozewrze się szczękami tygrysa jaskiniowego. Skala – jak mylną jest skala! Nie daj się uwieść skali! Kto ci przyjdzie z pomocą, kto zmierzy proporcje, kiedy dyluwialny tygrys rozewrze nad tobą szczęki o żółtych kłach?!

Albo też to lampart! Strzeż się lamparta plamistego! To symbol wyuzdania, trucizny pożądania. Patrz! w jego ruchach cynicznych jest tyle lubieżności, patrz! w miękkim, drapieżnym położeniu łapy, w gotowości przyczajonej do skoku, w migocie sierści, gdy skóra pokrywa grę muskułów, jest skok nagły i koci. Czy w tym plamistym lamparcie, symbolu złego pożądania, czy we mnie samym? We mnie samym drzemał ten symbol w zdradzieckim węźle gordyjskim i oto powstał, i pręży lędźwie, i gotuje się do skoku.

„Kici, kici…” – pochyliła się Elektra i palcami drobiła nad ścieżką, chcąc zwabić pieszczochę.

Odetchnąłem z ulgą.

Kotka obejrzała się leniwie na nas i jednym płaskim giętkim skokiem znalazła się na parkanie oddzielającym ogród od ulicy.

Kluczem zacząłem rysować i wyciskać na miękkim zamszu mych spodni do konnej jazdy cętki lamparcie. Jak łatwo je było zetrzeć jednym przetarciem dłoni…

I wtedy Elektra zemdlała. Powiedziała po prostu: „A!” i osunęła się z ławki na ziemię.

To było po ukazaniu się lamparta symbolu. A poprzednio ja mówiłem na temat zadany.

„Boję się” – powiedziała Elektra – „opowiedz coś o jakichś Indianach…”

„Nie bój się. Wiesz, Elektro, widziałem taki film Eisensteina o Meksyku. Właściwie: o takim święcie meksykańskim, takie meksykańskie Zaduszki.

To jest najweselsze święto na świecie – na temat śmierci. Wyobraź sobie tak: kiermasz, karnawał, muzyka jarmarczna, starzy, młodzi, dzieci tańczą, cisną się u kramów, dzwony kościołów rozkołysane. Ale maski na twarzach rozbawionych par to wyobrażenie trupiej czaszki z »papier mâché«, na żerdziach straganów rozhuśtane i podrygujące lalki i kukły to szkielety, pajace tańczące za pociągnięciem sznurka to prześmieszny i ironiczny kościotrup. Ten Eisenstein to mistrz montażu kinowego: dobrał te sceny i zbliżenia w fantastyczną kompozycję. Widzisz takie małe Indianię oczarowane otrzymaną zabawką, która się nazywa »Mój malutki pogrzeb« – z księdzem, karawanem i żałobnikami-kukiełkami, a trumienka otwiera swe wieczko, jak tabakierka, i ukazuje zawartość: szkielecik… Malutkie pulchne niemowlę indiańskie, »*papoose*«, wżera się w kolosalny smakołyk polukrowany i uszminkowany bakaliami na kształt trupiej głowy. A dorośli, pijani tym ich narodowym napitkiem, bodajże z agawy, pulque, tańczą i śpiewają, i śmieją się do tej śmierci, której, uważają, nie należy się bać, śmierć jest im bliska i przyjacielska, oswojeni z nią, z jej wyobrażeniem na kamieniach rzeźb Majów i Azteków, i widzisz, Elektro, ma to sens, to przemieszanie życia i śmierci, bo gdzież jest granica?… Więc nie bój się, Elektro…”

Elektra marszczyła brwi, uśmiechnięta i zamyślona, i wtedy właśnie zemdlała.

„Co ci to, Elektro?” – przestraszyłem się i nogi mi wrosły w ziemię, i przemogłem się, i skoczyłem po wodę. Byłem tak zdenerwowany, że ochlapałem ją całą wodą z tego pośpiesznie przyniesionego dzbana, i osunął się z niej szlafrok, i mokry *nightdress* olepił się o jej kształty.

Kiedy widziałem greckie rzeźby – wspaniałe i kolumnowe kobiety: kariatydy, Niki i Parki, Diany i Persefony, i Nioby, i kanefory, to żłobili je Grecy w marmurze opięte w fałdy chitonów, które leżą gładko na ich udach i piersiach, i biodrach i fałdują się, i kanelurują w zgięciach i zwisie jak zastygłe strugi miodu i jak zamarznięte wodospady. Po prostu grecki rzeźbiarz przybierał i drapował modele-kobiety w mokre płótna i te ulepione na mokro formy fałd przenosił i odnajdował w marmurze.

Elektra w omdleniu, jak grecki posąg, z mokrymi fałdami zbiegającymi się u jej stóp i jej różowe piersi prześwietlały się przez muślin jak marmur, i okrągły brzuch, i uda, i w rozrzuceniu złotych włosów była jak grecki posąg z chryzelefantyny.

Nie mogłem jej dźwignąć, tak była ciężka, i nadbiegł Franciszek Salezy, i przy jego pomocy (mruczał: „Na, tego, ażeż to, uchowaj Boże – ouszem – nic się nie stało…”) usadowiliśmy ją na ławce, otworzyła oczy, mrugając w blasku słonecznym, i szukała czegoś, co miała do powiedzenia, i: „Już się nie boję” – powiedziała.

Kolory jej wracały na policzki i śmiała się, szczęśliwa, ach, szczęśliwa! Ale po południu doktór Goldfisz, którego wezwano, żeby zbadał Elektrę, mówił na schodach, zabierając się do domu, mówił zatroskany, szczypiąc swą semicką tłustą dolną wargę palcami:

„To zemdlenie? to nic, to takie panieńskie historie; czy ja mówię, że to coś poważnego? Ale, żeby nie urzec, dlaczego państwo nie poślecie Elektry do specjalisty piersiowego?” – zakończył konsultację tym szeregiem, na żydowski sposób, pytań.

[prwdr. „Nowa Polska” 1944, z. 8, pt. *Elektra*]

Coup de grâce

Opowiadano mi urywek dziania się jednej sprawy, który w swoim tragizmie i bezcelowości jest najbardziej wstrząsający. Jest to opowiadanie o kimś z naszego kręgu, wspominano mi to z westchnieniem współczucia, opowiadano mi to, jak to się opowiada, ale sobie można odbudować to w jakiś sposób do ostatecznej granicy realiów. Więc było to małżeństwo, pewnie młode, mogę sobie ich wyobrazić, byli to może nauczyciele albo może był on urzędnikiem akcyzy, może dependentem adwokackim, można to sobie wyobrazić i ją także, pewnie była bardzo sobie polska kobieta: szare włosy i trochę wystające kości policzkowe, i jakaś tam sukienka, z owych czasów może boa także i kapelusz z wielką szpilą, i pocerowane rękawiczki. On musiał być młody, pewnie miał dobrze utrzymane wąsy i uczciwe oczy, może miał włosy „na jeża” i mieli walizy, walizkę, która nazywa się „Gladstone”, i kosz z zawiasami i na trzcinowy skobelek zamykany na kłódkę, i palito do tego, i trochę austriackich koron, wszytych w kołnierz surduta, zegarek na łańcuszku, spinki u mankietów w kształcie podków końskich, i podróżowali w ten czas wojenny za czymś tam swoim: może do rodziny żony, może jakieś inne kłopoty, ruszyło ich z miejsca, no i już, i jechali najętą furą jakiegoś Salewicza: parą koników z wystającymi kośćmi miednicowymi, w ich parcianych szlejach, terkocząca fura na grudach gościńca, trzeszczące deszczułki drabin i słoma, z której wymoszczone siedzenia, które w ciągu długich godzin jazdy zapadają się w doły, przykryta ta słoma weretą. Jest zmęczenie długimi godzinami jazdy, kiedy wszystkie mięśnie bolą z osobna od turkotu wozu. Kiedy widzi się przed sobą garb furmana i jego rudą siermięgę, bat, i kłapanie kopyt końskich, słupy telegraficzne przy gościńcu, odrapane chaty przydrożne, pustka wojennego gościńca. Niskie niebo z chmurami, kałuże po polach jak rozsypane w kawałki inne niebo, wilgoć czepiająca się gałęzi wierzb, dalekie wrony na polach – ni to przyjazny, ni to nieprzyjazny krajobraz.

Potem gdzieś stanęli – może to była karczma miasteczkowa, może zajazd, hotelik albo może to był sklepik, gdzie trzeba było kupić jakichś wiktuałów. I tam, na ich nieszczęście, przyszło im natknąć się na żołnierzy – może to byli Kozacy dońscy, może Czerkiesi, może to byli huzarzy na jakiejś oficjalnej funkcji patrolowania albo na furażu, albo odbili się od swoich, albo też po prostu maruderzy. Nie to jest najważniejsze. Najważniejsze jest to, że byli to ludzie, którzy byli wybici z miejsca, wojna poniosła ich na kraj świata, pewnie równie młodzi ludzie, którzy pod twardym chuchem wojennym wyzbyli się instynktu siedzenia i godności uczepienia się jednego miejsca, byli jak wygotowane z tego uczucia skorupy.

Co tam się mogło dziać? Przypuszczalnie najeźdźcy, pełni pogardy, trwogi i pogardy, dla najechanych, kiedy zdarzyło im się indagować podróżnych, najeźdźcy, to znaczy ludzie uzbrojeni, mogący wywrzeć swą przemoc nad bezbronnymi w swej nienawiści innych, pomieszali prymitywnie prawa wojenne interrogacji i prawo poszanowania człowieka czy jego własności do tego stopnia, że potrafili pani ściągnąć brutalnie zegareczek zawieszony na szyi i zatknięty za pasek bluzki, a kiedy pan sprzeciwił się niezgrabnie temu, został uderzony w twarz.

Uderzenie w twarz człowieka przez człowieka. W pewnych czasach i okolicznościach, w pewnych formach społecznych to jest bardzo symboliczne i drastycznie piętnujące odstawanie od utartych form etycznych i honorowych, u południowców i Włochów czy Francuzów to bardzo impulsywne i po prostu załatwianie skomplikowanych bardziej form fizycznej satysfakcji w starciu. Francuzka policzkuje swoje dziecko, kiedy ono spsoci, trochę dla nas jest to za drastyczne, ale u nich – zrozumiałe. A pamiętam, że w rosyjskim wojsku miało to inne znaczenie, kiedy policzkujący sierżant i policzkowany jegier uznawali to za zdrewniałą formę stosunku korygującego. W tym poszczególnym wypadku miało to inne znaczenie. Miało to uwielokrotnione znaczenie. Policzkujący kawalerzysta, suchy i zgrabny w swych wytartych od puśliska cholewach i z nahajem u przegubu ręki zawieszonym, w zapadłych od fatygi policzkach i strapieniu wojennego człowieka, szukał takiego samego

spięcia, jakie miał w ruchu na siodle pod serią z kulomiotu w polu, było to prawdopodobnie, według jego mniemania, bardzo szybkie, zwięzłe, męskie załatwienie sprawy – uderzyć w twarz człowieka, mężczyznę podbitego kraju, impregnując w ten sposób *błagonadiożnost'* dla całej najeźdźczej struktury w skrócie edukacyjnym uderzenia w twarz.

Człowiek uderzony w twarz miał inne uczucia. Poza nieostatnią rzeczą fizycznego bólu uderzenie w twarz jest także bolesne, poza doraźnym szokiem psychicznym, [bólem] uderzenia w obecności ukochanej kobiety, bezsilności nieuzbrojonego, w spętanym środowisku, wobec siły; miał do tego jeszcze do strawienia, i to szybko do strawienia, olbrzymi problem napotkania rzeczy nigdy przedtem nie napotykanej. Odbieranie fizycznego bólu kary nie leżało w jego praktyce, to nie jest codziennym zjawiskiem, codziennym zajściem być uderzanym w twarz – jest to coś, co nadchodzi z czeluści świata i pod uderzeniem tego wali się prawie wszystko, dezintegruje i sypie w gruzy. Wyobrazić sobie: jedno uderzenie w twarz!

Potem jechali tą samą furą w swoją drogę. Był wieczór. Ona mówiła może do niego: „Stachu – to nic, Stachu, Staaachu… Będę się modliła, żeby Bóg wziął to od nas, żebyśmy zapomnieli, Stachu…” On nic nie mówił. Może zapatrzyli się w wieczorny zmrok – dwoje nieszczęsnych wybrańców losu do przeżycia. Może trzymali się za ręce, ale i tak nic nie mogło zwalić przegrody, jaka pomiędzy nimi wyrosła tego dnia, kiedy tu byli oni dwoje, a tu przychodzi chwila, jaka mogła być udziałem kogoś innego, mogła ominąć ich, były wszystkie szanse na ominięcie jej i nie! właśnie oni mieli być w niej, i dlatego ta przegroda fatalna: nie odstanie się i nie odstanie! Może ona zdrzemnęła się snem niespokojnym, nie mającym nic wspólnego z tym marzeniem, a on pewnie siedział w tym zgięty jak drzewo grabu zgięte raz i już nic nie potrafi odprostować mu się, siedział pewnie ogłupiały od bólu swego wybrania. A furman prawdopodobnie spał w swej wytartej guni zgarbiony u wagi wozu, bo kiedy gościniec podniósł się lekko u przejazdu kolejowego, gdzie sterczały szczątki nieczynnego szlabanu, nadeszła szybko mała śmieszna manewrująca lokomotywa w obłoku zimnej pary i jednym strasznym uderzeniem powlokła ubogą furę i zmęczone chabety u jej dyszla, i chudą załogę, i stało się to w mgnieniu oka, i w ten

sposób, tym *coup de grâce*, los zakończył tragedię jednego dnia jesiennego. Było to w czasie tamtej wojny.

[prwdr. „Wiadomości” 1950, nr 4]

W Paryżu i w arkadii

W wewnętrznej kieszeni marynarki, w przedziale zniszczonego portfelu, złożony we czworo, przechowywałem czek, który dostałem od Elektry, czek opiewający na pięćset franków, wystawiony na Bank Westminsterski. Czek ten od częstego oglądania i oglądania, i upewniania się był wymięty, rożki papieru zaokrągliły się; był pożółkły, ale miał swoją pełną wartość. Czasami chodziłem na Place Vendôme, gdzie był oddział Banku Westminsterskiego, i upewniałem się, że grube, solidne mury banku stoją nie naruszone, z satysfakcją konstatowałem identyczność instytucji na jej potężnych tablicach z polerowanego brązu.

Kiedy zdarzało mi się, że nie miałem pieniędzy, na stole stały puste i nie myte butelki z mleka (w ciągu dwu dni muchy złożyły w nich niewidoczne jajeczka i teraz wylęgły się z nich malutkie gąsieniczki, wypasione na resztkach tego mleka, i pełzały po mętnej ścianie naczynia) i kiedy było dojmująco bolesne wałęsanie się wzdłuż ulic z wystawionymi i odkrytymi na świat boży wiktuałami: warzywami, kotletami i chińską torturą wystaw „*pâtisserie*”, to wtedy odbywały się u mnie na górze fetyszystyczne kontemplacje czeku na Bank Westminsterski.

Ten czek był dla mnie magicznym paszportem, firmanem na powrót, był dla mnie także patentem na fiasko życiowe, na rezygnację z podboju świata, jeżeli już zagubiam się w barokowych porównaniach, ten czek…

Albo przesiadywałem w Jardin des Plantes i wtedy cienie platanów leżały naokoło mnie, po żwirze skrzypiały podeszwy prowincjuszy zmęczonych Paryżem i upałem i czekających na porę „*déjeuner*”, a za siatką ogrodzenia czochrała się o zakurzone drzewko wyleniała antylopa gnu i zaaferowane złotopióre i czerwonopióre, i koloru indygo kaczki przetaczały się na swych kulawych nogach, i delikatne różowe flamingi szczudłowały poważnie po płytkiej wodzie stawów ogrodowych. Z tyłu poza mną były mury antropologicznego muzeum, gdzie dziesiątki tysięcy

żółtych i poznaczonych numerami czaszek ludzkich leżały uszeregowane na półkach w monotonny deseń, jak w katakombach Kapucynów w Neapolu. W powietrzu, wydawało się, że unosi się cieniutki i daleki zapach starych beczek z Hal Wina.

Albo, zdenerwowany miastem, chodziłem po rampie biegnącej od Luwru do szarego budynku La Salle du Jeu de Paume, rampie w powszedni dzień pustej, a w niedzielę zaludnionej grupkami Polaków paryskich, którzy tu, jak w Polsce, przed nabożeństwem w pobliskim kościele przy rue du Faubourg St-Honoré, tak jak w Polsce na cmentarzu wiejskiego kościoła, stali grupkami, rajcując, w swych niedzielnych ubraniach, niedzielnemu towarzyskiemu spotkaniu wierni gadulstwem i sentymentem. Ale w powszedni dzień było pusto, zabuczał czasem głęboko zanurzony holownik i łamał komin dymiący pod arkadami mostów.

Albo jak dojechałem metrem do Porte d'Orléans i poszedłem trochę dalej, to tu Paryż ucinał się jak nożem, „*octrois de Paris*", i zaraz było miasto wybudowane ze skrzynek z pomarańczy, puszek blaszanych, szmat i łachów, bez ulic, kanalizacji, światła – ziemia niczyja, Szanghaj, Marrakesz brudu, Chinatown egzotyki, *no man's land* między bogactwem a resztą świata.

Albo, przygnębiony obcością i nudą, szedłem tam, gdzie Instytut Słowiański przy rue Michelet, gdzie można było poczytać starego „Ikaca", a w nim proces Gorgonowej, albo dyskusja z Ukraińcem ze Lwowa o zapadłych z głodu policzkach i z sarkastycznym uśmiechem zapewniającym mnie: „…a wasz problem, milionów Polaków w zachodniej Ukrainie? Nie ma tego problemu! Wyrżniemy!…" – i pożyczał siedemdziesiąt centymów na metro.

Albo wracałem do siebie i jeszcze przedtem wstępowałem na „*bock*" wina do małego bistra przy rue Cujas, które było miejscem spotkania południowych Amerykanów – Iberoamerykanów: młodych ludzi, z których każdy miał coś na sumieniu w swojej republice, każdy nosił w tylnej kieszeni od spodni rewolwer i każdy miał czarne włosy wypomadowane „*gominą*". Właściciel – w fartuchu barmana, wielki i otyły, z zakasanymi rękawami koszuli – poruszał się, pomimo tuszy, jak kot, w ogrodzeniu za

barem, wysypanym trocinami, i błyskawicznie nalewał kolorowe pernod i quinquina, i równocześnie uważał na wyniki wyścigów wyszeleszczające się z automatu, odpowiadał na uwagi pomimo gwaru i przygłuszającego wszystko: „*cojones*” i „*hombre*”. Pożyczał także na krótki termin, kiedy pieniądze się kończyły.

Albo szedłem wzdłuż bulwarów mimo szyb wystawowych w gęstym wieczornym tłumie, ocierając się o stoliki kawiarni zalegające chodnik, przystawałem przed wystawami jubilerskimi: firmy ekskluzywne i o dziwacznych nazwach, jak na przykład „Kepta”, a „kepta” u nas to były chwasty, zielenina, którą żęła zakrzywionym sierpem do zgrzebnej płachty o porannej lub wieczornej rosie chłopka, ażeby zadać jeszcze paszy niecierpliwej przy udoju krowie, a „kepta” tu to szkło i niklowana rama jubilerskiej wystawy z kolią brylantową i dwoma sznurami pereł na bladoniebieskim aksamicie.

Albo patrzyłem i przepychałem się wśród tłumu na kiermaszu dorocznym koło Saint-Sulpice albo przed Inwalidami: namioty i kramy, koła szczęścia i budy, w których strzelało się do glinianych fajek albo łowiło na wędkę budzik lub flaszkę mousseux, albo tam, gdzie więcej gapiów, a ktoś trafiał w tarczę zawieszoną nad łóżkiem, gdzie w różowym dezabilu, pod kołdrą leżała kobieta i był napis: „*Ne laissez pas la belle dormir…*”, i ryczały i zagłuszały potoki muzyki jazzowej i harmonia z głośników. I tam widziałem, jak jakiś mały wymięty i wypomadowany jegomość został przytrzymany za klapy i zbity po pysku, zanim jeszcze zawołano policjanta, za to, że w ścisku, koło jakiegoś koła szczęścia, kiedy rodzice się zagapili, skorzystał, że mała dziewczynka… ale właściwie sam nie wiem, co to było.

Albo jak wsiadłem koło Gare de Lyon do metra. Zatrzasnęły się i targnęły drzwi wagonów i pociąg potoczył się tunelami. Obok mnie na ławce siedziała młoda para. Pod pomarańczowe światła lamp oglądali, objęci, negatywy jakichś filmów, pewnie zaklęte w emulsji przebyte chwile amatorskiego szczęścia. Wzniesione ich oczy, jak zamodlone w przebytym czasie, czytały z czarno-przezroczystych plam to, co było.

Wysiadłem koło Châtelet i szedłem wzdłuż *quais* prawego brzegu Sekwany. Sąsiadują tam ze sobą nieprzeliczone sklepy i zoa z klatkami i paczkami pożywienia dla wszelakich kanarków i papug. Zadumani ornitolodzy i *fantassin* z przewieszoną przez ramię *musette* kontemplują wystawione na słońce i w klatkach jak w średniowiecznych pręgierzach egzotyczne okazy bażantów, papug i szczygłów.

W kurzu trotuarów bawiły się beztroskie i nierasowe szczenięta.

Paryż był spokojny.

„*Patron*” bywał kapryśny albo miał jakieś swoje polityki finansowe, bo czasem odmawiał i wtedy wracałem do siebie na górę, unikając wzroku konsjerżki, kiedy ta ze swej loży odpowiadała na moje „*bon soir*”: „*M’sieu?!…*”

U siebie, na górze, odnajdywałem się w moim samotnym świecie krzywych ścian mansardy z odklejającym się papierem tapety, wodą sączącą się z nieszczelnego kurka umywalni i podłogą dziwnie pochyłą, z przezierającymi spod wytartego linoleum czerwonymi kamionkowymi kaflami posadzki. Okno otwierało się na wąską szyję ulicy i z dziwnym zapachem paryskim: mieszaniną roztartej na asfalcie gumy i wina, dobiegały tu melodia akordeonu i głosy pijących w małym bistrze.

Po nocy lunatyczny krajobraz dachów z monotonią skorup i rur kominów, szczytami i graniami dachów nabijał się ostrymi punktami dalekich latarń ulicznych i pomarańczowymi prostokątami okien.

Słuchałem dzwonów zegarowych kościoła St-Étienne-du-Mont, jak toczyły w przestrzeń szklane kaskady i dzwonienia, bijąc kwadranse i godziny. Wydzwaniały kuranty i trele i wdźwięczały się łańcuchem potępieńczym do mojej mansardy, i odbijały się od krzywych ścian, i spiżowymi obcęgami obejmowały moje skronie. Zaciskałem oczy i wtedy nawiedzały mnie i przychodziły z wałęsanin wśród ulic zapamiętałe reklamy i reklamy – laseczniki zbiegłe ze ścian i murów i pełzające po mym mózgu…

„…AU PRINTEMPS… PNEUX MICHELIN… DEFENSE EXPRESSE DE CRACHER… PARC DES PRINCES… SALON… VU… LU… NORD… SUD… ÇA VA BIEN!… LIBERTE, EGALITE, FRATERNITE… SHELL-MEX… MEUBLES

CHARPENTIER… VICHY-CELESTINS… DUBO DUBON DUBONNET… VISITEZ LA COTE D’AZUR… GRAND… PHARMACIE… CREDIT LYONNAIS… GALA DE BIENFAISANCE… DEFENSE D’AFFICHER LOIS DU 29 DECEMBRE 1882… PENSION DE FAMILLE… CIRQUE D’HIVER… FLEURS… CHEMINS DE FER D’ETAT… LIQUEURS COINTREAU… L’ENSEIGNEMENTS AUX DRAPEAUX… PATOU… 100.000 CHEMISES… L’AUBE… BOUCHERIE CHEVALINE… FIRESTONE… GOODYEAR… SOCIETE LAITIERE MAGGI… CITOYENS!… PIRELLI… BAR AMERICAIN… L’INTRANSIGEANT… LA COUPOLE… DEFENSE DE FUMER (MEME GITANES)… ROND-POINT DES CHAMPS-ELYSEES… METRO CADET… COTY… LUMIERES JACOPOZZI… PARIS–LYON–MEDITERRANEE… BOULEVARD ARAGO… CLOTURE ANNUELLE… LA BELLE JARDINIERE… SIX JOURS SIX JOURS… Y’A BON BANANIA!… MUTUALITE… AIR FRANCE… VIEUX-COLOMBIER… CHOCOLAT MEUNIER… BIERE DE LA COMETE… AVIS AUX CITOYENS!… BAINS-DOUCHES… CI-GIT GUY… ISAAC DUC DE LA …CHEFOUCAULD (*zatartymi blokami na marmurze nagrobka na cmentarzu Montparnasse*)… A BAS LES CURES! (*ołówkiem na ścianie pisuaru*)… LA SALLE DES PAS PERDUS… GAULOISE JAUNE ET CAPORAL BLEU… ROD LA ROCQUE AU POTEAU!!!… VINS CHARBONS… PAVILLLON MARSAN… QUINQUINA… PERNOD FILS… BANANIA… ODOL… ODOL… SAMARITAINE… XVII ARRONDISSEMENT… ARMEE DU SALUT… TINO ROSSI… N’URINEZ PAS AU LONG DE CE MUR S.V.P… TOUS EST BON CHEZ DUPONT… VAUCLOIS… SUZY… ANTANT… BRIC-A-BRAC… CHOUX… PONT… S’IL… BRES… ACY… AUX…” I „KEPTA… KEPTA…” – co to jest „kepta”?

Ale litery reklam idą, szeregują się, zaostrzają w ostrza jak ostrza bagnetów, falują jak ostrza bagnetów niesionych przez piechotę…

Kiedy dzwony zegarowe milkły, to można było słyszeć nikły i szklany chlupot wody uciekającej z nieszczelnego kurka wodociągu, jak bulgot fontanny w ogrodach Persji, szklany i cienki.

Więc kiedy nie mogłem zasnąć, to pomagałem sobie, przypominając, jak to szła piechota, i wspomnienie, i daleko… i w końcu nad ranem zasypiałem…

Szła kolumna piechoty drogą w kurzu i spiekocie, i gorącu lata. Ludzie powynosili wiadra z wodą i stawiali je przy drodze, i idący żołnierze czerpali z nich albo po prostu taki piechur pił wprost z wiadra i widać było, jak mu gardło chodzi przy tym łykaniu i pała czerwona od upału skóra twarzy, i pot cieknie brudnymi strużkami za kołnierz przepoconego i szarego od kurzu munduru.

Jak kiedy szło wojsko drogą, to nie tylko my, dzieci, ale dorośli wychodzili i biegli, i patrzyli, pomimo lat wojny, która się ciągnęła, i pomimo wielu wojsk i orszaków wojennych ze wszystkich stron świata, które ciągnęły przez nasze strony, pomimo tego zawsze lecieliśmy do tego i patrzyliśmy – pewnie to było ucieczką od nudy, monotonii zwykłego dnia albo myśleli ludzie, że kolumny wojsk z kurzem drogi, co kładł się na parkanach, liściach drzew i łopuchach, z kurzawą wojenną, co rdzawą śrežogą zawlekała słońce, przyjdzie jakieś nowe i niespodziewane życie, i dlatego szli i biegli do drogi, i patrzyli.

Więc szła kolumna piechoty nie w krok, rozciągnięta, żołnierze ciężkim, powłóczystym krokiem, kulejącym, ze zbieranym ekwipunkiem, czapki zsunięte na tył głowy, czasem niektóry miał francuski hełm. Widać było między nimi paru ukraińskich jeńców, zakurzonych także i obdartych, dźwigających na ramieniu ręczny karabin maszynowy albo skrzynki z amunicją.

Rosyjska piechota szła ciężką falą w rozmieszonej od deszczów, szarej mazi bitego gościńca: przemieszane trójki żołnierzy w rdzawych długich szynelach, koc zwinięty w wałek i spięty rzemieniem lub drutem w literę „O”, i przełożony przez ramię, z uczepionym kociołkiem-menażką z czerwonej i pogiętej miedzianej blachy, pobielonej wewnątrz białym metalem, mieli poza tym torby i nieśli części namiotów-„*pałatek*” ze składanymi na części palikami namiotowymi, i te części ekwipunku sterczały im ponad ramieniem i niesione pochyło na ramieniu karabiny: płot, las karabinów, *orużyja* z trójgraniastymi żądłami bagnetów, bagnety, bagnety nasadzone tulejką na lufy karabinów, niektóre odwrotnie, tak że ostrze było przy łożu broni, skierowane do zamka. Szli i szli, patrzyli w tym

marszu bez ciekawości i zmęczeni na ludzi i domy i mijali, żeby tu już nigdy potem nie być pod spojrzeniami ludzi, i za rotą nowa rota, i nowa.

Za piechotą ciągnęły treny: dwukołowe wozy z budami, przepisowe wozy wojskowe, ale z tymi przemieszane zarekwirowane wozy i „forszpany" z całego świata: od wysokich i dziwnych dla naszego oka tarantasów z Wielkorosji z malowanymi w kwiaty skrzynkami wąsągu i koniem w hołoblach, i z krzywą dugą, i drugim koniem na przyprzążkę, uprząż końska z żółtej skóry z surowca i wiązana w węzły, i „*izwozczik*" w stromej furażce na głowie i kolorowej, przepasanej pasem rubaszce z barchanu albo też już nasze znajome wozy z sąsiedniego powiatu i spiczaste kłęby chudych koni w tragicznym i bolesnym patetycznie zaparciu się w szleje, kiedy ciągną skrzypiące od ciężaru półkoszki z cudzym wojennym mieniem na zachód i na zachód.

A za tym znów piechota i las pochyły bagnetów pod szarym niebem jesiennym, i maź roztartego szutru gościńca, rozlewająca się w rowy, lepiąca do butów i walonek, i powoli obracających się obręczy i szprych kół.

A niemiecka piechota to znów szła na wschód w lecie, upale – ludzkie postaci obładowane ekwipunkiem: karabin „Mauser" uwieszony z przodu na szyi i przytrzymywany jedną ręką i buty krótkie, koziaki, o szwie z boku, mundury brudnoszarego koloru, workowate, bawarskie pułki z koroną na oksydowanych na oliwkowy kolor guzikach, pasy ciężko obładowane amunicją w ładownicach, wiszące na hakach wszytych pod pachami w mundur, i łopatki z jednej strony nazębione w piłę i spięte rzemieniem razem z bagnetem, i pasy zapięte na klamrę, na której był w kole wytłoczony napis w metalu: „*Gott mit uns*", patetyczny i ubliżający Bogu napis. I hełmy o ciężkim okapie, hełmy jak u lancknechtów na miedziorytach Dürera.

Kompania zatrzymała się i mieli odpoczynek. Walili się w rów, w zakurzoną trawę przy drodze. Niektórzy z niemieckim upodobaniem do ekshibicjonizmu rozpinali i zdejmowali kurtki i koszule i ukazywali ciało niemieckie: białe i różowe. Jeden młody chłopak o krótkich, przystrzyżonych włosach i białych rzęsach miał purpurowe pręgi od pasów

tornistra. Staliśmy u furtki domu i powiedziałem chełpliwie do matki: „Mamo, ja będę także żołnierzem, jak dorosnę!”, na co ten Niemiec, który może zrozumiał, a może wyczuł z intonacji, zaprotestował niecierpliwie i zgorszony: „Ne! Ne!” i to miało być potem anegdotą rodzinną, jak to ja chciałem być żołnierzem i jak to ten Niemiec obłudnie protestował.

Więc czy szła ta piechota „*wojennom szagom*”, czy niemiecka – uparcie, tośmy szli do drogi i patrzyli. Płoty domów już dawno znikły, rozebrane i rozniesione przez koczujące oddziały, i zatarły się granice posiadłości ludzkich, i ludzie patrzyli martwo na przeciągające wojska, ale patrzyli bez entuzjazmu, ale bez nienawiści pierwszych dni, kiedy byli nawet zdolni do przekleństwa: „…a żeby cię pierwsza kula nie minęła…”

Na końcu tedy szła własna piechota w czasie tej własnej wojny domowej i nie było już nawet mieszczańskiego entuzjazmu dla posrebrzonego ptaszka siedzącego na barokowym kartuszu czy, jak inni chcą, na klasycznym obuchu rzymskiego topora. A my, jak to dzieci, znajdowaliśmy nowy rodzaj uciechy i ucieczki od monotonii małomiasteczkowej nudy.

Jeszcze w nocy i rano przynieśli tę wojnę domową. W nocy siedzieliśmy na schodach ganku i rechotały żaby w stawie, i w to rechotanie wmieszały się serie z karabinu maszynowego. Długa seria i potem szedł długi szum-echo ścianami lasów, i potem znów staccato serii i szum echa po lasach. Potem huk wystrzału armatniego i daleka eksplozja i znów wystrzał, i znowu… Liczyliśmy te wystrzały i w ciągu nocy naliczyliśmy ich pięćdziesiąt jeden. To była biedna ta wojna domowa i nie było wiele amunicji do marnowania. Strzelała jedyna ukraińska haubica Škody, ustawiona koło stacji kolejowej, strzelali granato-szrapnelem, który był wynalazkiem austriackiego generała artylerii Rozwadowskiego (potem, kiedy dorosłem i byłem wreszcie sam żołnierzem, nasz instruktor, porucznik Kopacz, z uznaniem mówił o tym wynalazku: „…bardzo demoralizujący: naprzód lotkami po krzyżach i granatem po d[upie], ale szkody to niewiele zrobi…”).

Mój ojciec zapiął na marynarce pas, na którym był uwieszony ciężki austriacki sztajer, który przywiózł mu ktoś z włoskiego frontu, i jeszcze przed świtaniem entuzjastycznie poprowadził ogrodami tyralierę, pokazując

drogę do stacji, skąd strzelała ta škoda. Matka miała migrenę z niepokoju o niego, ale my, dzieci, entuzjazmowaliśmy się przemarszem piechoty.

Na żelaznych sztachetach, pod figurą świętego Rocha przed kościołem (święty Roch został tam postawiony po epidemii czarnej ospy i musiało to być dawno, bo święty był sam jak po ospie od deszczów i słot, i pies kamienny lizał kolana świętego), otóż na tych żelaznych sztachetach zahaczony pod pachy o groty i miał zdarte strzępy koszuli i spodnie ściągnięte do lędźwi, i wisiał tam od przedwczoraj rozstrzelany trup szpiega. O czym informował kawałek tektury z kartonowego pudełka uwieszony na piersi i było na nim wypisane cyrylicą: „*Szpion*”. Ta wypięta pierś, ukazująca żebra jak pierś Chrystusa w pasji, miała kilka czarnych i zaschniętych dziur, przestrzelin, i u nich zbierały się muchy łakome i zielonkawe.

Wspominam tu o tym, jak patetyczne i drastyczne epizody wojny przeplatają się z nudą i idyllą miasteczka.

Czytałem w ogrodzie pod bzami *Przygody Hucka* Marka Twaina, którą to obiecaną książkę przyniósł mi radca Vogler. (Radca Vogler stołował się u nas dlatego, że przychodziła do nas panna Janka Chołodecka, i musiałem mu obiecać, że nie będziemy z Elektrą, siedząc na gałęziach jabłoni, wołać bez sensu, kiedy się ona pojawi: „Panna Janka Chołodecka w majtałasach!”, o co ona zresztą się nie obrażała).

I znów wybiegałem na drogę patrzeć na wojsko. Na placu koło drogi rozłożyła się kompania. Jeden stał oparty o mur i grał coś bardzo skocznego na ustnej harmonii, a dwu innych, na przekór zmęczeniu, jeszcze obładowani ekwipunkiem i tupiąc ciężko butami, imitowało jakiś taniec, co miało być prawdopodobnie czymś bardzo ironicznym i przedrzeźnieniem zuchowatości samej. Kilku nabijało na specjalnej maszynie taśmy do karabinu maszynowego. Jeden przysiadł się do leżącego na trawie ukraińskiego jeńca i przeprowadzał z nim bardzo jednostronną transakcję. Wyjął z kieszeni metalowe pudełko na tytoń, tak zwaną „tiutiunierkę”, i kazał jeńcowi pokazać jego własną. Pudełko jeńca, podobne w kształcie i trywialnej taniźnie, było o jakiś ułamek lepszym wyrobem; nawet na wieczku, zamykającym się z trzaskiem, był wyobrażony konterfekt

dziewczyny jak malowanie, z rumieńcami i powłóczystym spojrzeniem. Nastąpiła przymusowa zamiana i było to czymś tak logicznym i naturalnym, i oczywistym, że w oczach jeńca nie widziałem jakiegokolwiek żalu.

Mój ojciec codziennie w czasie tej wojny chodził do banku i, chociaż nie było tam nic do roboty, przesiadywał tam swoje urzędowe godziny, za jego plecami stała do połowy otwarta kasa ogniotrwała, ostentacyjnie ukazująca pustkę swego wnętrza, malowanego na szary kolor, podczas gdy zewnątrz zdobiła ją powłoka farby pociągniętej tak, ażeby wydawało się, że jest z mahoniu. A po powrocie do domu w dalszym ciągu był pełen marzeń, których nie mąciło iście rowlandsonowskie wnętrze jedynego mieszkalnego pokoju z dziećmi, utensyliami rodzinnego życia i piecem kaflowym, napalonym do niemożliwości. Mój ojciec stawał oparty o kafle tego pieca, przypiekające mu łopatki, i patrzył przez okno na krótkie horyzonty zimowych zachodów słońca.

A teraz miał swój dzień. Wrócił z porannej wyprawy na stację kolejową, gdzie zabrali do niewoli haubicę Škody, i miał przewieszonego przez ramię austriackiego manlichera, i wziąwszy mnie i Elektrę za rękę, przeparadował przez miasto, i był dzień i słońce, i wszyscy nas widzieli, i na pasie zapiętym na marynarce dyndał mu się ciężki sztajer.

W ogrodzie koło naszego domu ukrywał się między krzakami malinowymi ksiądz Czmoła. Wielki był ten Czmoła, był greckokatolickim popem i przyjacielem mego ojca, głównie dlatego, że ojciec miał zadawniony spór z infułatem Kunaszowskim i od wielu lat nie znali się i nie kłaniali się sobie, i kiedy urodziłem się i zaraz po urodzeniu, wskutek niezdarności miasteczkowej akuszerki, która mnie pierwsza uderzyła po tyłku, byłem „*in articulo mortis*”, ojciec wezwał tego księdza Wasyla Czmołę, ażeby mnie ochrzcił, i stąd ta nasza zażyłość.

Ksiądz Czmoła był, należał do tak zwanych starorusinów, którzy znów byli zażartymi wrogami nacjonalistów galicyjskich czy, jak inni chcieli, Ukrainy Zachodniej – Piemontu ukraińskiego. Pomimo potężnej postury i byczego karku ksiądz Czmoła pełen był jakichś trwóg i lęków.

Jak przechodziła jakaś piechota, to, wywlekany przez trwogę, ukrywał się w naszym ogrodzie, jak gdyby on sam był odpowiedzialny za piromaniaka-demiurga, który świat podpalał. Wielki, barczysty i czerwony na twarzy, w swej wyświeconej sutannie, której dziurki od małych guziczków były wytarte do białych nici, z herostratesowskim błyskiem winy i trwogi w oczach głośnym szeptem mówił mi, ażebym uprzedził matkę, i sam cofał się w cienie nocy. I napełniał mnie trwogą, i robił mnie współwinnym za to, że szarym gościńcem sunęły kompanie i bataliony rozmaitych wojsk: od austriackich pułków landszturmu z tornistrami pokrytymi cielęcą skórą, od utaplanych w błocie długich szyneli i cienkich papach bawełnianych karakułów syberyjskich strzelców, szwadronów ułanów w czerwonych portkach i z włosiennym przybraniem paradnych czak (a ułani to byli czarnowłosi Bośniacy i klęli: „*Jebem ti duszu!*”), a jeden z tych ułanów w czasie odwrotu siedział zakurzony i ranny na schodach naszego domu i wszystka krew z twarzy mu uciekła i wsiąkała mu w te czerwone spodnie, i nie było jej widać, dopóki go nie zabrali w końcu, i wtedy na progu naszego domu została rozlana krwawa plama, która niczym się potem nie dała zmyć.

A znów Kozacy dońscy z lampasami u spodni i wlokący za sobą *szaszki* o drewnianej pochwie, obszytej czarną skórą, uwiązywali konie do jabłoni w naszym ogrodzie i garbonose dońskie konie obgryzały korę drzew do bolesnego różowego mięsa drzewek (już nigdy potem ta kora nie odrastała i nagie i śliskie, i poczerniałe, jak po trądzie, pnie drzew pozostały pamiątką po tej wojnie), i wysokie kulbaki kozackich siodeł, i Kozacy uspakajali: „*Stoj! Postoj!*” kwiczące i gryzące się konie, kiedy im zadawali paszy ze słodkich trzcin kukurudzy, jaką nacięli w naszym ogrodzie zamachami *szaszek*.

A niemieccy huzarzy śmierci mieli kołpaki przyozdobione błyszczącą, wielką jak pięść trupią głową nad skrzyżowanymi piszczelami, znak Totenhuzarów, w drewnianych olstrach automatyczne pistolety Mausera – pistolet taki utwierdzało się na tej drewnianej pochwie i służyła ona wtedy jako kolba – ale te kołpaki były pokryte pokrowcami ochronnego koloru i wszystkie części ekwipunku były oksydowane na matowo, a konie mieli

półkrwi i kurtyzowane, ale ta kawaleria niemiecka była na pokaz, i małe, żylaste typy żołnierzy, którzy na tchórzliwych patrolach i furażach byczyli się i wyżywali w brutalizowaniu bezbronnych i zagnanych w trwogę chłopów, i byli najgorszym typem człowieka marudera na peryferiach wojny, wybijającego kolbą mauzera zęby, żrącego źle obrany z puchu pieczony drób i gorzkim grymasem sadystycznej gęby przedrzeźniającego człowieczeństwo.

Do tego były niezliczone treny, artylerie, łodzie pontonowe na kołach, szpitale polowe, etapy, smród wlokący się za kolumnami wojsk, pordzewiałe puszki z konserw na postojach, przegniłe płótna namiotowe, puste skrzynie z amunicji, śmietniska kuchni wojskowych, szlachtuzy, piekarnie polowe, pokrwawiona wata i zlewy punktów opatrunkowych, onuce, poślad koński i słoma, „*Tankstelle*”, „ETAPPENKOMMANDO”, sznury od naganów na szyjach żandarmów, budy wysokich ciężarowych packardów, kiedy ciągnęły od horyzontu do horyzontu gościńcami wysadzonymi czereśniami i brzęczącymi słupami telegraficznymi, broń w kozłach i posterunek w baszłyku z bagnetem na mrozie, *siestrice* szpitali rosyjskich i złote pętle na lewym ramieniu wafenroku u austriackich, wiedeńskich żigolaków z kawalerii, białe pasy i rozety u sercowato wyciętych butów gwardyjskich huzarów rosyjskich, na polu poza żydowskim cmentarzem podrygujący na cienkich kołach podwozia oplatany pajęczyną linek naciągowych dwupłat Farmana i rosyjscy lotnicy w skórzanych kurtkach i watowanych haubach, i jeden z nich na pół spalony w resztkach skraksowanego aeroplanu, i ranni w szpitalnych kitlach, palący machorkę, i kikuty, i Kirgizi, i sowiety żołnierskie z czerwonymi kokardami u furażek.

Ale wszystko to przesłaniał kurz wzbijany przez przeciągającą piechotę.

Tedy ksiądz Czmoła przekradał się do naszego ogrodu i chował się w krzakach malinowych. Jak potem dorosłem i czytałem rozmaite traktaty psychologiczne, to wydało mi się to bardziej proste: że ironiczna natura takie figle sobie asocjuje, że wielcy i sążniści bać się będą, a mali i niewyraźni okażą w przeciwnościach wspaniałego ducha.

Na przykład mój ojciec… Tylko jedno popsuło mu jego poranne zwycięstwa i przewagi. Kiedyśmy szli poprzez miasto z ojcem trzymającym nas za ręce, Elektra drepcząca po drugiej stronie wołała, pokazując na jego krótki cień:

„…Popatrz, jaki twój cień jest mały…”

Ojciec, jak wszyscy ludzie niskiego wzrostu, był głębiej niżby się zdawało dotknięty tą oczywistością.

„Zrujnowałaś mi dzień” – powiedział niewinnej i nie przeczuwającej Elektrze.

Okazało się, że dzień był zrujnowany, ale nie przez Elektrę. Zapędzony w tej wojnie za daleko baon piechoty miał się po południu z powrotem. Z pośpiechem pakowano na skrzypiące furmanki ciężej rannych, nad stawem słychać było karabin maszynowy, ojciec skompromitował się na tyle, że jedyne, co mu pozostało, to pożegnać nas na czas jakiś i powędrować na zachód. Ale tok życia nie nazbyt był naruszony. Kury grzebały w zalanym słońcem podwórzu, słychać było palcówki i gamy w pokoju od ogrodu, gdzie panna Janka Chołodecka miała lekcję fortepianu z Elektrą, matka, mimo migreny, pamiętała o robieniu jakichś zapasów do jedzenia na drogę dla ojca. Ojciec uważał, że należy nam dać naukę przed rozstaniem, i kazał mi zawołać Elektrę, i zaczął od tego, „żebyśmy nie dręczyli matki, że zostajemy tu nie na dolę, ale na niedolę…”, ale nie było czasu, bo słychać było strzelaninę na grobli i ksiądz Czmoła znów ukrywał się w naszym ogrodzie.

Kiedyś, jak byłem dojrzałym człowiekiem, to pojechałem w te strony jeszcze raz i dziwne było być tu raz jeszcze. Wielkie drzewa koło stacji kolejowej były wycięte, staw zarósł oczeretami, miasteczko wydało się pomniejszone, trudno było w ciasnocie płotów i ogrodzeń zorientować się, ale nade wszystko wrażenie, że domy, rzeczy i krajobraz są pomniejszone, jakby patrzeć przez odwróconą lornetkę, wrażenie spokoju i smutku.

„Oto mój dom ubogi,
Też bielone ściany,
Też okna różnoszybe,
Piec nie polewany…”

Trułem się swoją klęską i równocześnie drżałem z radości. Upewniałem się, że czek na Bank Westminsterski jest na swoim miejscu.

Ale musiałem jeszcze raz spotkać tego UNR-owca z sarkastyczną gębą. Naturalnie, za nic nie powiedziałbym mu o swoim postanowieniu i o swojej klęsce.

„Z ciekawości" – opowiadał mi – „przeszedłem koło Podwołoczysk na tamtą stronę, to mnie złapali, dali w zęby, przytrzymali na strażnicy, pytali: kto? po co? dlaczego? kto wysłał? i przepchali z powrotem. No to na placówce KOP znów dostałem w zęby, pytali, dusili… Ale zębom nie dali rady…"

Gadaj sobie zdrów, myślałem, jak ci tam… mój mleczny bracie, i nie mogłem się obronić uczuciu zawiści.

Pomyślałem: To tylko Rusin o czarnym podniebieniu…

Nosił płaszcz nawet w gorące lato, ażeby przykryć dziury na łokciach niemożliwie wytartej marynarki, na tył głowy miał zesunięty kapelusz nieokreślonego koloru – wstążka kapelusza była przepocona i świecąca – i wypchane na kolanach spodnie.

Ten Ukrainiec z Instytutu Słowiańskiego przy rue Michelet. Już mnie drażniły te wszystkie jego: „wy", „wami", „wyście", „wasza", „was" i chciałem mu powiedzieć coś jadowitego, i powiedziałem:

„O waszej Ukrainie to można by powiedzieć to, co napisał Joyce o Irlandii: że Irlandia to świnia, co zżera własny płód…"

Na co uśmiechnął się rzeczywiście bardzo krzywo i ukazując śliczne białe zęby w chudej twarzy. Mały chłopczyk, który bawił się koło sąsiedniej ławki, gdzie siedziała jego matka, ośmielony tym uśmiechem, poturlał kolorową piłkę w naszą stronę. Mój towarzysz stropił się i obracał piłkę w palcach niepewnie, i w końcu niezgrabnie odrzucił ją w stronę dziecka.

Było bardzo gorąco i obliczywszy swoje możliwości, zaproponowałem:

„Napilibyśmy się piwa albo co…"

„To pańskie piwo" – powiedział – „widziałem, jak się to robi, jak pracowałem w browarze Bière de la Comète we Fresnes, dopóki mnie nie wyrzucili. Gorąco, do połowy nagi, gdzie kadzie w fermentowni i brudną szczotką zgartywałeś wszystko z podłogi, co tam było: śmiecie, plwociny –

do kostek w drewnianych chodakach – to wszystko do tych kadzi. *Non! merci…* Ale pożyczyłbyś pan siedemdziesiąt centymów na metro?”

Poszedł aleją pomiędzy awiarie i ptaszowiska Jardin des Plantes. Pod kopułami drucianymi, pod sklepieniami i łukami z siatki trzepotały się, rozczapierzały swe pióra i ogony, przefruwywały ptaki rajskie, papugi, sokoły, sępy, tukany i pieprzojady, uwięzione.

Następnego dnia zrealizowałem czek na Bank Westminsterski na placu Vendôme i kupiłem bilet u Cooka. Spakowałem swoje ruchomości do walizki. Kiedy przyjechałem na Gare du Nord, było jeszcze wcześnie. Był wieczór i latarnie paliły się na boulevard Magenta. Poszedłem jeszcze wzdłuż bulwaru. Wstąpiłem do jaskrawo oświetlonego sklepu „Boîte à musique” i wykupiłem sztony do automatu-gramofonu. Wcisnąłem je do maszyny i słuchałem zdartej płyty:

„L’amour ne serait pas venu,
si l’on n’y était pas connu…”

Potem jechałem w nocy pociągiem, szyby wagonu drgały rytmicznie i mijaliśmy nocny krajobraz. Już po dniu było Charleroi, potem Aachen, Essen, Hamm, Stendal – obcy kraj. Na kominach fabryk i parkanach wyrysowane smarem były swastyki.

W przedziale jechała rodzina emigrantów, wracali do Polski, „*chômeurs*”, jechało ich więcej tym samym pociągiem, we Francji nie było dla nich miejsca. On był górnikiem, ona pracowała w fabryce tekstylnej, ich mała córeczka wyglądała przez okno i wołała do rodziców:

„*Vois tu, le petit chevrillard!… Drôle comme ça…*”

Myślałem, jak to będzie, jak się wróci – czy tak, jakby patrzeć przez odwróconą lornetkę?

Na stacji w Zbąszyniu komitet opiekuńczy czekał na peronach z kuchniami na emigrantów. W ich tłumie i ja zostałem przywitany pełnym talerzem kiełbasy z kapustą…

[prwdr. „Nowa Polska” 1945, z. 4]

O Stefci, o Chaimie Immerglücku i o scytyjskich bransoletkach

„I czemu, panno Stefciu?”

Panienka siedziała na oknie, wszystko bardzo ładnie, obciągnęła spódnicę tak, ażeby jej przykrywało kolana, ażebym, broń Boże, nie zobaczył powyżej ciasnego zbiegu jej ud. Ani tam byłem ciekawy – pewnie sobie powiedziałem, że nie była w moim guście. Taka biała, blondynowata, leciutkie piegi i bezbarwne wargi, i trochę jakby nadęte policzki, i podbródek, i ręce, nie wiedziała sama, co z nimi zrobić. To tylko wydawało się, bo na ogół wiedziała, co ma robić, albo właściwie: wiedziała, czego nie będzie robić.

Siedzę naprzeciw niej na krześle, patrzę na nią. Włosy ma bardzo jasne, trochę jakby tłuste, trochę jakby suche. Sukienkę to miała sukienczynę: ześcibione to i tak amatorskie, zebrane w fałdziki tam, gdzie ma być dopasowane, i wisiałaby na niej, gdyby nie to, że upina się trochę na górnej części brzucha, trochę na górnej części piersi. Ale robi to swoje, robi ta sukienczyna wrażenie amatorskości. Cała jest amatorska – dziewczęcość sukienczynowata.

Trochę się boję czy wzdrygam, ale jak już zacząłem…

„Eee, panno Stefciu, jak można było…”

To dziwne i śmieszne, ale jak teraz myślę o Stefci, o tamtych czasach, to wydaje mi się, jakby tego naprawdę nie było, jakbym czytał coś o tym za dawnych lat, i same wspomnienia o tym układają się jakoś zanadto kompozycyjnie. Wiadomo, że najprostszym elementem kompozycyjnym, materiałem, jaki narzuca się z przeszłości, jest wspomnienie chwil i zdarzeń przyjemnych, głaszczących po duszy, a nie – wspomnienie bólu i przykrości, i poniżenia. To jak myślę o Stefci, to na przekór temu strasznemu, co się stało, boję się, że będę się oszukiwać.

Bo jak sobie przypominam Stefcię taką, jaka mi się wyłania spośród zdarzeń, to tak sobie pewnie dopasowuję te wspomnienia, tak sobie dobieram światłocienie, że wychodzi mi ona przychylnie przytakująca temu odległemu życiu. To bardzo ładnie tak sobie wyobrażać: ja tu jestem, zagubiony wpośród dalekich spraw i ludzi, a tam kiedyś układało się tak, że do koedukacyjnego gimnazjum chodziła dziewczyna z twarzą w cieniu pensjonarskiego beretu i z paką książek w objęciach i że wtedy była ona moja i niczyja więcej, i myślała o mnie, i oddawała mi się wpośród leniwego życia miasteczka. I wszystko wobec tego miało się układać na moją glorię, zamek i kolegiata zanosiły się pod niebo wieżami i szczytami, po to zasadził ktoś tam niebotyczne srebrne topole, ażeby wzbiły się i rozprzestrzeniły gałęziami po niebie, ażeby ubrało się to w płaszcz, utkało się to w delię dla mojej pychy.

To pewnie za to jestem teraz skazany na odległość – za tamte sprawy…

Ale przecież ja potrafię wzbudzić w sobie pokorę. Przecież pomimo wszystko potrafię pomyśleć o tamtych czasach tak, jakby jednak istniały one tylko dla siebie, potrafię nagiąć się i powiedzieć sobie, że beze mnie także by tam było. Potrafię skazać się na nicość po to tylko, ażeby dać oddech i życie tamtemu. Potrafię zrezygnować i rozdać się, wyzbyć się wszelkiego dobra, ażeby zapewnić tamtemu życie. (Bo czyż nie rozdawałem się, czy nie unicestwiałem się za tamtych czasów? Jak szedłem na przykład wieczorem na głupi spacer podmiejski, jak zapatrzyłem się w mokre pola, w chmury ciężko kładące się o zachodzie, w wierzby rozczapierzone i pokręcone nad miedzami i w kolor rudy, czerwony, lisi, fioletowoczerwony, marchewkowy, asfaltowy jesieni – mogłoby się wydawać, że wchłaniałem to w siebie samolubnie. To odwróćmy ten proces – przecież to ja oddawałem się temu jesiennemu krajobrazowi, rozstrzeliwałem się w horyzont jak śrut z wystrzelonego ładunku. W jednym mgnieniu oka unicestwiałem się na korzyść, na dobro zewnętrzności).

Więc jeżeli teraz najskwapliwiej i najzachłanniej zbieram ułomki z tamtych czasów i składam je na nowo, to mam pełne prawo, prawdziwy

serwitut na owych czasach, odbieram, co moje, odbieram i odzyskuję ułamki samego siebie.

Czasem sobie myślę: a jak by to było, gdyby tak cofnąć czas, nawrócić, tak jak się myśli, że można by jeszcze raz rozegrać partię rozpoczętą pod złymi auspicjami? Oczywiście, że jest to absurdalne i jest to tylko takie pomyślenie. Gdybym mógł nawet zwierzyć się z tego Stefci, to boję się, że wyśmiałaby takie ekstrawagancje. Bo, myśląc bardzo trzeźwo, powiedziałaby zaraz instynktownie, że powtórzenie takie miałoby fałszywy dźwięk jak uderzenie w pękniętą blachę. Ale przede wszystkim nie starczyłoby jej wyobraźni.

A znowu jeżeli spisuję tamto niepowtarzalne, czyż nie łapię się sam na praktykowaniu czarnoksięskich sztuk, wywoływaniu duchów, czyż nie jest to czymś z kategorii jarmarcznego panoptikum i estrady z magikiem i mistrzem autohipnozy na gościnnych występach? Używam autentycznych akcesoriów, ażeby to prawdziwiej wyszło, przywołuję na pamięć autentyczny sęk w desce, spędzam, płanetnik, te same chmury popołudnia letniego przed burzą, zanurzam w czerwone chmury słońce zachodu – taką samą „rozżarzoną podkowę”, jaka syczała w deszczu zachodu sprzed lat, zamieniam słowa banalne i stereotypowe z Chaimem Immerglückiem, właścicielem budy z żelazem, farbami i łańcuchami w uliczce biegnącej od rynku, jakbym chciał tymi łańcuchami sprząc i związać przeszłość i teraźniejszość.

Powtarzam sobie: było, było, było, jakby tryb oznajmiający czasu przeszłego miał mnie z tym związać na przekór temu, że zatarł mi się deseń sukienki, jaką Stefcia miała wtenczas na sobie, kiedy siedziała na oknie; było, a nie pamiętam daty miesiąca, a bodajże roku, kiedy to było; było, bo jakby nie było, toby mi czary nie wyszły.

Ktoś mógłby zapytać: a skądże te pretensje do tego, żeby odtwarzać to, co było? Weźmy Stefcię. Przecież to naprawdę dziewczyny nie znałeś, więc jak możesz z taką pewnością siebie mówić: było?

Więc przede wszystkim, pomimo wszelkich przedziałów pomiędzy nami, spotykaliśmy się częściej, aniżeliby się wydawało. Na przykład: idzie Stefcia z wypożyczalni, niesie pod pachą wypożyczone książki. W tej

wypożyczalni spotkaliśmy się czołami nad książką. Stefcia położyła książkę na wyślizganym blacie stołu wypożyczalnianego i ponad jej kark pochylony z kręcącymi się kosmykami włosów patrzę w czeluść książki, a kiedy obróci oczy ku mnie, to tak bliźniacze z przepaścią książki… A więc prawda i szalona satysfakcja z tego przypomnienia. I inne – odkładają się, przetasowują raz jeszcze, raz jeszcze; co zaczepić oko o jakiś szczegół, to tak, jakby się go samemu stworzyło: ni stąd, ni zowąd powstaje na nowo – ten sam, a wymarzony. Nie było go, a jest – taki sam, wymarzony w tęsknocie, do której sam nie przyznam się za Boga…
Stefcia ma osiemnaście lat. Tego roku w maju będzie zdawać maturę – o tym wiem, ale gdybym nie wiedział, to nie wiedziałbym, jak ją nazwać. Czy jeszcze była dziewczynką, czy była już dorosłą panną? Jak mówię: Stefcia, to, naturalnie, tak jak o dziewczynce, ale jak dodaję: panna, to już awansuje to ją na panieńskość.

Mówi do mnie przez „pan”, a ja do niej przez „panno Stefciu”. A przecież kiedy byliśmy dziećmi, to bawiliśmy się razem. No, co prawda, to tego nie było dużo, bo jednak dzieliła nas różnica wieku. Raz – ile to ja wtedy miałem lat? trzynaście, no to Stefcia miała wtedy siedem – pamiętam, jak chodziliśmy na zamek. Zamek jedną skarpą wyniósł się nad rzeką i wysterczały tam potężne fundamenty i przypory murów. Sam zamek służył jeszcze partiami jakimś celom, ale przychodziły zmiany. Jak przychodziły zmiany, jak jedna część się wypaliła, to przykrywano dachem inną i tam się coś urządzało i gnieździło. Za naszego dzieciństwa to w jednym skrzydle była jeszcze, ale już nieczynna, fabryka cygar i papierosów, a drugie było w ruinie. Teraz to, o ile wiem, to na odwrót: ten tabaczny interes był w ruinie, a w nowej części, odnowionej, był sąd grodzki.

Kiedy raz ze Stefcią tamtędy przebieraliśmy się, szukając wpośród kamieni i pokrzyw i zaglądając w sypiące się dziury w murach, w jednym miejscu wydarzyło się, że Stefcia nalazła na walający się drut kolczasty i przebiła sobie podeszwę nie obutej nogi. Nic to nie było nadzwyczajnego: na podeszwie nogi czarnej od stąpania po gołej ziemi ukazała się kropla krwi jak koral. Stefcia była blada i trzymała się mego karku, kiedy tak stała

na jednej nodze, a ja chusteczkę do nosa zawiązywałem w kunsztowny węzeł.

To wtedy był właściwie ostatni raz naszej komitywy. Bo potem powstał już bardzo duży przedział w latach: kiedy byłem w gimnazjum, to Stefcia ciągle jeszcze była dziewczynką, a potem, jak byłem na uniwersytecie, to spotykałem ją idącą do szkoły z paczką książek w objęciach i w berecie zasłaniającym jej czoło i włosy. Udawałem wtedy, że jej nie widzę, bo wydawało mi się śmiesznie być w komitywie z niedorosłą dziewczynką, w ogóle – dziewczyną. Ale miałem wrażenie, że po owej niewinnej przygodzie wpośród sypiących się ruin zamku Stefcia miała jakby jakieś pretensje o to, że jakoby coś pomiędzy nami było już, coś zaszło, jakby do tego przywiązywała szczególną wagę, nagięła się raz ku temu, i już, i że ja, niby skompromitowawszy ją, miałem ponieść tego konsekwencje.

A teraz, po raz pierwszy od tamtego czasu, jesteśmy swobodni. Przychodzę o każdej porze dnia, przyjmuje mnie najspokojniej w świecie, rozmawiamy godzinami. Jak po południu nie mam co robić, to wybieram się na drugi koniec miasta, do Stefci. Zachodzę, kucharka Krystyna mówi mi: „Niech pan tamój poczeka…”, czekam więc w saloniku, patrzę po bibelotach na etażerce, oglądam książkę z wypożyczalni *Sprawa Mauriziusa* Wassermanna, na ścianie wielka reprodukcja Wyspiańskiego: święta Salomea na witrażu, za książkami na półce poustawiane są słoiki z konfiturami truskawkowymi. Potem słyszę tupot kroków po schodach i Stefcia mówi mi: „Czemu pan nie siada?”

Bo Stefcia ma narzeczonego. Jest to sprawa już powszechnie wiadoma: narzeczony jest młodym lekarzem, internistą w powiatowym szpitalu, a teraz nawet, w czasie nieobecności prymariusza, wszystko jest na jego głowie i nie ma zupełnie czasu przychodzić. Ale na wiosnę, kiedy miał więcej czasu, to chodził zawsze ze Stefcią na spacery popołudniami, ale zawsze z mamą, która szaperonowała – zawsze z nimi, ale żeby nie przeszkadzać, to zawsze o trzy kroki z tyłu – i można było zobaczyć tę grupę popołudniami, schodzącą ku rzece łąkami: naprzód Stefcia i młody eskulap, a za nimi o trzy kroki mama z autentyczną parasolką przy każdej pogodzie.

Teraz spacery się urwały – doktór Zawichowski (tak się nazywał pretendent do rączki Stefci) jest szalenie zajęty. Spotkałem go, Stefcia nas poznała i doktorek nawet mi się podobał: młody, miał szare oczy i czarne przystrzyżone wąsy i nie był wcale głupi, mówił bardzo szczerze, był bardzo zainteresowany swoją robotą, był bardzo zainteresowany Stefcią, trochę mu imponowała jej pozycja, pożal się Boże, socjalna: córeczka prowincjonalnego mecenasa i mieli dla niej mały posag i drugi dom, doktór był oczytany, maniery miał trochę szwankujące: obgryzał paznokcie, ale wcale nie oznaczało to słabości charakteru, bo był pewny siebie i wiedział, czego chciał.

Przychodził czasami Franek Wójcicki. Ale Franek nie liczył się, nie mógł się liczyć. Bo Franek Wójcicki to był mały chłopaczek z różową twarzyczką i kręconymi włoskami amorka i przygotowywał się do matury, a potem miał iść do lotnictwa. (I poszedł potem do tego lotnictwa, i skraksował na myśliwskim płatowcu, i zabił się, i już go więcej nie było. Franek Wójcicki, który nawet w mundurze pilota zachował pucułowatą twarzyczkę amorka i niebieskie, niebieściutkie oczy).

Przychodzili i inni. Taka zabawna kamaraderia z koedukacyjnego gimnazjum; co niektóry zaśpiewywał, bo przechodził właśnie mutację. Byli i dzisiaj, przede mną. Stefcia po tym wypadku z samochodem musiała zostać parę dni w domu, przyjść do siebie, miało się po tej samochodowej sprawie załagodzić, to przyszli ją solidarnie odwiedzić, zachowywali się niby swobodnie, ale było to nadrabianie. Przekomarzali się pomiędzy sobą. Mietek Schabowski czesał się z przedziałkiem na środku głowy i jeden z nich nasypał mu w ten przedziałek fiołków, które przyniósł dla Stefci, ale wydało mu się niezgrabnie te fiołki ofiarować, to gniótł je tak długo w garści, aż je nasypał Mietkowi Schabowskiemu w przedziałek fryzury.

Ich głosy szczeniakowskie maturzystów, żargon szkolny: „…gwizdam na to z magistratu… sztemp… ale szac!… ty, nassypali piasku…”, wreszcie pozabierali się, poszli.

Wtedy Stefcia siedziała na oknie. Wtedy zapytałem:

„I jak to było?”

„Proszę pana, przecież będę zdawać maturę… Mało to uczyliśmy się propedeutyki filozofii? Na ile tysięcy lat przed Schopenhauerem byli eleaci?… Po co to wszystko?… Dlaczego?…”

Wargi jej się trzęsły. Ale próbowała się uśmiechnąć.

„Ten szofer był bardzo czerwony na twarzy i zły, i przestraszony, i nawet przeklinał mnie. I nie dziwię się mu, zwłaszcza że powiedział, że on przecież ma żonę i dzieci”.

Mogłem nawet wyobrazić sobie tego czerwonego na twarzy szofera, słyszę skrzyp hamulców jego wozu, kiedy widział Stefcię leżącą w kurzu drogi pod kołami samochodu na małomiasteczkowej ulicy. Stefcia miała potem policzek zabrudzony z jednej strony, rozdartą na ramieniu sukienkę i nie mówmy już o reputacji. Bo była to już sprawa poza krawędzią, do jakiej dochodziły w swej ostateczności konflikty małomiasteczkowe, i potem to zostało raczej nie domówione, nie dokomentowane i nie wyspekulowane w skromnym zasięgu, rozwarciu się spraw pod niebem nad zamkiem, kolegiatą i szczytami srebrnych topoli.

Przecież kiedy to do mnie tylko doszło – do mnie, który przejrzał wszystkie sytuacje, naprzysłuchiwał się najbardziej wyszukanym rytmom, baudelaire’owsko-huysmansowskim – to nie umiałem sobie tego zmieścić. Miałem i podziw i czułem żal i gniew za to, że panna Stefcia chciała mi zabrać tamtejsze życie, tak jakby unosiła je z zeszytami i książkami w objęciach, kiedy szła na drugą stronę.

Oj, Stefciu, Stefciu, a niedobra, to to tak? To w tak zwanym kwiecie wieku, we wiośnie tak zwanej życia zachciało ci się uciec na tamtą stronę? Niesłusznie zarzucać by ci ciekawość, bo nie z ciekawości, ale ze wstrętu do życia, do napotykanego – niby gdzie? W nicość? A cóż ty wiesz o nicości? A cóż ty wiesz, jak jest tam? A wiesz ty, że jakbyś nie robiła tego z innych pobudek, jak z dziewczyńskości, to to jest grzech? Grzech nieświadomości, sprawa bodajże winna podpadać pod artykuły moralne i etyczne. Przecież chciałaś zabrać ze sobą okrąg spraw na prawo i lewo od ciebie, mogłaś ściągnąć za sobą wszystko. Cóżeś ty, Stefciu, chciała zrobić? Nie śmiej się z pytania pełnego zgrozy i retoryki. Nawet nie wiem jak, ale mam podziw dla twego śmiechu. Byłaś już tam i wróciłaś, zajrzałaś na

tamtą stronę i powróciłaś, i jesteś już inna: jakby mądra i jakby zła tą swoją mądrością…

Liczę na palcach, ileż to: dwa? trzy lata, jak tu byłem? Rynek, na rynku ta sama studnia ze statuą Matki Boskiej i z podstawy jej biją dwie szpryce wody ze źródeł na wzgórzach sprowadzanej, i wybrukowany plac naokoło, i szczeliny pomiędzy kamieniami zawsze wilgotne, i u studni miasteczkowy nosiwoda, na pół idiota, z tym samym idiotycznym: „A ga! A ga!” Zamek wystercza ponad akacjowymi drzewami i poza nim wieże kolegiaty i banie cerkwi Bazylianów. Po drugiej stronie, naprzeciw, sklep tytoniowy rozbity i szkło okienne szczerbi się i lśni na chodniku, i puste tekturowe pudełka po papierosach wszędzie porozrzucane.

Na drugim końcu rynku spotkałem Chaima Immerglücka – pamiętam go z dawnych czasów, miał sklep z żelazem i farbami, i narzędziami, sznurami i łańcuchami – i poznał mnie od razu, chociaż to dobrych parę lat, jak tu byłem. Poznał mnie z jakimś błyskiem porozumienia w oczach. To porozumienie akceptujące mnie, zjawiającego się z tą wojną, w pewnej mierze wojnę tę tu ze sobą przywiozłem, byłem jednym z jej współtwórców, jej bogów. Trudno mi sobie wytłumaczyć to porozumienie w oczach Chaima Immerglücka. Wydało mi się, że jakby nagle przedstawił sobie, że bierzemy udział w karnawale, że poznaje mnie w przebraniu, że rozumie, że nie ma pretensji, że jakby to było nawet komiczne: ja w tym przebraniu, w hełmie stalowym na głowie i z kolekcją ręcznych granatów zahaczonych o pas, z warstwą kurzu na cholewach butów, na klapach kieszeni, na policzkach, na nosie, aż po brwi.

Może błysk porozumienia w oczach Chaima Immerglücka to złudzenie, a może ma ono skontrastować, powiedzieć, że nic już nie jest ważne. Że ludzie, jakich widzę na rynku: zbieranina tępych twarzy, oddech ich zmieszany z powietrzem – a żebym był nawet zwiastunem złych czy dobrych nowin, to nie ma dla nich apelu. Są bezosobowi jak chrobot, szurgot szczurów za ścianą domu, bezosobowy i martwy chlupot wody rozbijającej się o kamienie potoku, skrzyp gałęzi giętych porywem wiatru.

Kiedy idę powoli, powoli przez ulice miasteczka, to tak, jakbym nie chciał zamącić tego, co tu jest, do czego już nie należę. Mimo że jest trochę

ludzi tych, to wydaje się pusto. Tych trochę ludzi to tak jak muchy na twarzy osoby umarłej. Podrywają się z brzękiem z kącików ust, z kącików powiek i zaraz potem siadają z powrotem, „*mouches*”, na pudrowanej twarzy, zrywają się i siadają.

Zaszedłem aż do domu Stefci. Dom był pusty. Nikogo. Uciekli przed wojną. Chodziłem po pokojach domu, tak jakbym chodził po muzeum. Podłogi były ślicznie wyfroterowane i wszystko było tak pozostawione, jak na pokaz. Żadnego rozgardiaszu wyjazdowego, nic porzuconego, nic nie walało się, ani jedna szuflada nie była nie domknięta. Było bardzo solennie, aż spojrzałem na własne buty, czy nie nanoszę jakiego brudu. Nie, było przecież sucho na dworze, chodzę po pokojach – nie gość, nie intruz, nie mieszkaniec, jestem jak duch nawiedzający stare miejsca, przenikający ściany i zamki. W oknach pelargonie w wazonkach, w kuchni świeży papier-lep na muchy, nawet niewiele much się jeszcze złapało…

A teraz ubiegajmy zdarzenia. A teraz dopiero niech nam będzie danym naprawdę zatchnąć się dziełem tworzenia. Teraz pomyślmy, jak by to było, gdyby było. Z wielką satysfakcją, na przekór wszystkim innym możliwościom i przeciwnościom, kiedy już nam dane jest stanąć nad wielką głębią spraw, ich szans, odmian, przypadków, nad wielką wodą aż czarną od nieprzeniknionej tajemniczości i aż gęstą od skoncentrowanych w niej, zmieszanych w niej i ciężkich od wyroków dziań się – zarzućmy z zamachem sieć własnych marzeń. Z takim zamachem, z takim wspaniałym gestem!

Oto poszły w głębinę i porwały się w przepaść oka mojego niewodu, pogrążają się i znikają w wodnych czeluściach. Zapada się niewód i ginie. Ciągną go w dół ciężkie, nizane ołowiem i żelazem, obramowiny mojej myśli. Woda rozwarła się pod nimi i pochłonęła je, i zamknęły się koła wodne ponad nimi, i wygładziła toń.

Boję się i rozpaczam nad tym połowem. Boję się śmieszności, która w jakiś nieodwołalny sposób łączy się z posępnym rybactwem, rybołówstwem moim (jakby podobnym do słowa „cudzołóstwo” – wstępowania w cudze łoże). Boję się śmieszności, pajacowatości i błazeństwa odstawianego na widoku publicznym patosu miłosnego.

Pokryty rumieńcem wstydu, zapatruję się w toń, w ocean przypadkowości.

Jak by to było? „Byłoby” zamiast „było”, inne aniżeli „było”, aniżeli „bywało”, aniżeli „byłe” i „odbyłe”. Byłoby i spodziewanie, i niespodziewanie. Byłoby tak, że ani to było, ani ostało się, bo byłoby – warunkowość tego odgranicza mnie od tego, co było, i pozwala mi na tchórzliwe niebranie odpowiedzialności za rzeczy, które były naprawdę.

Ale czy nie jest się odpowiedzialnym za fikcje – stany stworzone przez samego siebie, za zbrodnie na niby, za uniesienia na niby, na zabawę? Jest się za to tak samo odpowiedzialnym, jak za zgorszenie młodocianych, jak za zawiedzione nadzieje, jak za niedotrzymanie słowa, jak za myśli o sprzeniewierzeniu majątku sierót albo funduszów publicznych.

Dlatego, zanim zapatrzę się w ciężkie, oślizgłe od szlamu niewody, to daję sobie samemu słowo honoru, przysięgam się, że biorę za to odpowiedzialność.

Oto wyłaniają się mokre liny i sieci narzędzia mego połowu – niewodu. Oto wpatruję się z drżeniem w zdobycz – wodne zielsko, zatchnąłem się zapachem butwiejących w wodzie szczątków.

I czegóż dopatrujesz się w niewodzie, małomiasteczkowy Romeo, studencie wolnych sztuk z nie zdanymi egzaminami semestralnymi, pasowany na dojrzałość przez kawalerskie choroby, nie zapłacony rachunek u krawca, bijatykę po północy w dancingu, snobujący się na czytanie Sørena Kierkegaarda, a w gruncie rzeczy chory na owo kierkegaardowskie tchórzostwo?

Czyżby ciążąca sieci topielica o spuchłych wargach i oczach wyjedzonych przez żwir rzeczny, o rękach pocętkowanych trądem wodnym, czyżby to była Stefcia?

Weźże tę topielicę za rękę i odprowadź od ołtarza, a ręka ta jeszcze okręcona święconą i ucałowaną stułą. Powiedź ją poprzez próg kościelny, aż niech ugną się resory fiakra, którego chabety przystrojone są w weselne wstążki. Zagub za sobą ostatnie piszczały i dudy organowego „*Veni, Creator*”!

Poprowadź ją naprzód poprzez froterowane firmamenty posadzek, fornirowane floresy mebli, fryturę faszerowań kuchennych, fioritury fryzur modnych, fatamorgany firanek sypialnianych…

Oto następnego dnia, rana małżeńskiego, jest popsuta jak zabawka, jak lalka, w której się coś pokręciło, i już nie mówi więcej: „mama”, a jak ją położyć, to raz na zawsze zamknęła oczy i nie może ich otworzyć.

Stefcia, co oddaje się nie mnie, a księżycowi, i kapryśny satelita, zaglądający sierpem niespodziewanie poprzez wieczorne okna, ma więcej z nią do czynienia i przywłaszcza sobie moje prawa małżeńskie…

Na stoku wzgórza, wpośród krzaków kalinowych, w cieniu buków, dębów i jarzębiny, i srebrnych topoli jest grób królewny scytyjskiej. Nad nim przemienia się słońce w porankach, w niebie zmytym wodą deszczową i przepalonym krwawym świtem.

Dalekie łąki nad wodami stękają od tętentu kopyt końskich, jakie przeszły nimi setki lat temu. Jaskry na łąkach świecą żółtym światłem jak świeczki powtykane w trawy. Ziemia odwrócona odkładnicą pługów łuszczy się jak łuska rybia i opalizuje. Jak wiosna, to sypie się z drzew pył kwiatowy i przypudrowuje grób królewny scytyjskiej; jak jesień, to kładą się na nim liście jeszcze soczyste, ale już żółte od śmierci.

Jak było odwiedzić grób królewny scytyjskiej, to nadchodziło się cicho, skradająco, żeby nie zamącić tamtejszego spokoju. Leży tam w swoim scytyjskim diademie ze złotych blaszek i na przegubach jej dłoni złote bransolety.

Już dawno zamarło echo tętentu koni po szerokich łąkach nadrzecznych. Bije jeszcze w nas nasze serce, jak echo tamtego tętentu sprzed setek lat. Zakołacze się w nas i przypomnimy sobie, a potem myśl zaświergocze o czymś nieważnym i już tego tętentu nie słyszymy.

Czy zapomnieć mi o królewnie scytyjskiej, czy zagłuszyć jej wspomnienie w zgiełku wielkiej i pustej ptaszarni, *aviarium*, jakim jest moja niespokojna świadomość?…

[prwdr. „Wiadomości” 1953, nr 6]

Poker w Gorganach

Durny był ten Wacek Rogowski, durny i chytry. Był znacznie od nas wszystkich starszy i znacznie więcej wiedział, i, prześcignąwszy nas o lat dziesięć, wiedział więcej, i jakby się śmiał do siebie, co to my mamy do zapłacenia, zanim nie będziemy wiedzieć tyle, co on. Dlatego może był nawet pobłażliwy, kiedy nabijaliśmy się z niego, kiedy po prostu pogardzaliśmy nim i jak co, to mówiliśmy mu: „Ty chamie, ty idioto!” – Wacek wcale się nie obrażał.

Grał w pokera bardzo ostrożnie, nie mógł sobie pozwolić na przegrywanie – nie tak jak ja, kiedy podbijałem i stawiałem się, chociaż obgrywali mnie i wykorzystywali mój brak doświadczenia i po prostu brak nerwu do pokera. Zresztą nawet nie byłem pożądany, nie sprawiało im żadnej satysfakcji grać z takim jak ja fuszerem i takim brakiem talentu. Naprawdę to nawet nie umiałem porządnie przegrać, bo żal mi było pieniędzy, i odchodziłem zły, i bali się może, że się rozpłaczę.

Ale Wacek Rogowski to sobie chytrze i ostrożnie poczynał. Przychodził i proponował: „A może pociągniemy?” Zdaje się, że nie musiał dwa razy powtarzać, zawsze znalazł się amator jeden, drugi, potem przychodził ktoś inny, „pociągał”, no i gra się zaczynała. Jak nie miał pieniędzy, to zadowalał się kibicowaniem bardzo opanowanym i spokojnym. Jaskulski, „Jaskuła”, grał spokojnie, tylko mu grdyka drżała, takie miał nerwy, nieprzyjemnie było patrzeć. Zaleski mówił spokojnie: „Otwarcie!” Nikt nie miał otwarcia, no to wpłacają jeszcze raz i nowe rozdanie kart. Błażowski swój wachlarzyk z pięciu kart rozchylał tak mikroskopijnie, maluteńko, że jedna karta zakrywała drugą i z ułamka znaku w rogu karty, z malutkiego łuku brzuszka trójki albo koniuszka litery „K” wyzierających zza brzegu domyślał się, odgadywał „rękę” i, rozczarowany albo zbyt ostrożny, mówił: „Czekam… Poczekam…” Katz wydmuchiwał chmurę dymu i bluffował bezczelnie: „Sześć i dwanaście!” A na to Błażowski, naturalnie: „Nie dam”,

a Jaskulski przełknął ślinę i dopłacił ośmnaście, Rogowski powiedział: „Dwanaście… iii dwanaście”. Spotkali się! Katz ma strita, a Rogowski – fula, i to asowskiego fula!

Miał popryszczoną twarz i po goleniu zawsze kilka tych krostek mu krwawiło. Na szczęście można było patrzeć, bo golił się dosyć z rzadka, panie dzieju. Na tyle głowy miał już tonsurkę – mówiliśmy, że to od niechlujnego życia. Ale miał, cholera, o sobie wyobrażenie, kiedy, cholera, pozwalał sobie na estetyczne uwagi o innych. Raz, nie wiem jakim cudownym sposobem, doszło do tego, że jakbyśmy mówili o urodzie Błażowskiego. Nie mogę sobie przypomnieć, jak do tak cudownego faktu dojść mogło. Przypominam sobie tylko, że Wacek Rogowski mówi do mnie: „A jaki ma ten Błażowski długi tułów!” I rzeczywiście, mały Błażowski okazuje się dlatego taki mały, że ma króciutkie nóżki, ale tułów ma długi, dłuższy aniżeli u normalnego mężczyzny. Aż mnie zbrzydziło.

Kiedy w Związku Leśników zostały nie wykorzystane praktyki, to Rogowski najbezczelniej w świecie pojechał jako „leśnik” na długie trzy miesiące w góry. I jeszcze mnie namawiał, i obiecał, że napisze, i tak zapraszał, jakby do siebie, na swoje – taki był hochsztapler, że niech go cholera weźmie!

Wacek Rogowski napisał do mnie list z gór, ażebym przyjechał do niego. Pisał, że nie powinienem mieć żadnych skrupułów, że wszystko jest załatwione, pisał tak lekko i beztrosko, że ośmieliło mię to w zupełności i zachęciło. Pisał, ażeby przyjechać.

Głupio jest trochę jechać do kogoś, kogo się nie zna, i na zaproszenie kogoś drugiego, którego prawa pobytu i przywileje zna się aż nadto dobrze, ale zdecydowałem się i pojechałem.

Nie przypominam sobie teraz, jak się jechało tam – przypuszczalnie na Podkarpaciu trzeba było przesiadać w Stryju na Wygodę – w każdym razie dojechałem do Broszniowa i wyładowałem się na stacji. Było bardzo wcześnie rano, raczej nad ranem, i trzeba było poczekać do pierwszej kolejki jadącej w góry. Stacja kolejowa była zapchana wagonami z drzewem, całe stosy pni walały się wszędzie i zaraz za stacją paliły się jeszcze rano światła elektryczne tartaków i prychała para sponad dachów.

Widać było banie cerkwi nad uśpionymi siedzibami ludzkimi. A dalej, jak parawany wycięte z blachy nieregularnie i tak jak nożycami, zaczynały się wzgórza i góry. Było bardzo chłodno i rześko. Rosa kołysała się na liściach i lśniła na szynach kolejowych. Tylko szuter między progami kolejowymi i żwir, którym był wysypany plac koło budynków stacyjnych, wydawały się suche jak pieprz.

Poszedłem w kierunku, gdzie widać było między stosami drzew plątaninę szyn kolejki wąskotorowej. Czekało tam kilku chłopów-robotników leśnych. Gdzieś tam między stosami słychać było syczenie małego parowozu i klekot wózków zestawianego pociągu. Popytałem chłopa, który miał granatową wymiętą czapkę funkcjonariusza prawdziwej, szerokotorowej kolei, ale który manipulował coś przy wagonikach, kiedy będzie kolejka do Bystrzycy, i powiedział mi, że o szóstej. Zaczęła mię napastować myśl, czy [za] przejazd ten nie należałoby zapłacić – tak to wyglądało w organizacji, że należy to do dużej kolei – ale Wacek Rogowski wyraźnie pisał, że nie płaci się, siada się i jedzie tych kilkadziesiąt kilometrów. No to dobrze!

Powałęsałem się trochę poza stacją, zajrzałem przez parkan na cmentarz cerkiewny, koło którego rosła czereśnia, ale bezpłodna jakaś, no i tak zeszło do szóstej. Mała lokomotywa wyciągnęła już sznur krótko spiętych wagoników, dźwięczących łańcuchami wiszącymi i oplątywującymi żelazne kłonice. Na końcu był doczepiony mały kryty wagon. Robotnicy wrzucali tam właśnie swoje toboły i narzędzia. Lokomotywka była obrócona tyłem do gór, pewnie ażeby oszczędzić jej obracania. Hamulcowy obojętnie zaakceptował moją pasażerskość, lokomotywa gwizdnęła piskliwie i pociąg ruszył. Domy były jeszcze uśpione, w co niektórym unosił się dym nad blaszanym dachem i jaskrawiły się drzwi karczmy i trafiki, malowane w skośne pasy na przemian białe i czerwone. Kółka wózków potykały się na rozjazdach i pociąg wyciągnął się na wielkim łuku omijającym pierwszy garb. Zalśniła Czeczwa wysypująca białe łachy z otoczaków górskich. W miejscach rozlewała się w spokojne zwierciadlano sadzawki, w miejscach rozbijała się z szumem o głazy. Długi

płaski most drewniany z potężnymi izbicami przenosił gościniec ponad jej wodami.

Teraz tak: Z Gorganów wypływają i przedzielają je dolinami z południa na północ doliny rzek: Świcy, Czeczwy, Łomnicy, Bystrzycy. No to moja Czeczwa, jedna z nich z charakteru i topografii, przerywa przez doliny, jak tamte, może tylko jeszcze mniej znana. Po obu stronach doliny rzeki garbią się wzgórza i szczeci się na nich las jodłowy. Lasy te są państwowe i podlegają nadleśnictwu w Wygodzie, gdzie siedzi pan radca leśny – bardzo nieleśniczy tytuł w hierarchii Dyrekcji Lasów Państwowych. A w dolinie Łomnicy znowu to lasy metropolii greckiej lwowskiej i gdzieś tam, jak Bystrzyca, sąsiadują i graniczą już. Doliną Czeczwy ciągnie się wąskotorówka lasów państwowych, doliną Łomnicy – lasów metropolii.

Doliny są wąskie i zaniesione mułem dyluwialnym spłukanym z gór. Jest w nich kilka wsi większych i dosyć rozrzuconych, jest także kamienista droga; tam, gdzie wsie, to banie cerkiewne; osobno leśniczówki. I wszędzie drzewo i drzewo, nowe odziomki czerwone od kory albo fioletowe od długiego eksponowania na deszczach i słońcu. W korytach stromych wzgórz „ryzarnie”: jedne w eksploatacji i świeże, i wyślizgane, i różowe koryta, inne stare i zapuszczone, i porzucone. Chude i kamieniste pola, ich łaty na krzywych stokach wzgórz i zielenina, i ogrodzenia z żerdzi, biegnące w takt z okrąglizną stoków i wspinające się wysoko ku łąkom i połoninom. Ale ponad tym wszystkim las: pnie zwarte i gęste od poszycia, i wyżej, i coraz wyżej. Za garbem następny garb, siny od mgiełki górskiej, i następny, już fioletowy, a zachodzi za inny, ochrowy. Do tego powietrze świeże, inne, górskie, a w dole rzeka ukazuje się i znika i jest tu bardzo górsko i dziwnie, i nie tak, jak jest w dolinach. Bo w dolinach jest muł, ziemia i błoto i wszystko jest takie bardzo zniwelowane i płaskie, a tutaj jest surowo i kamień, i łom wyłazi spod cienkiej przykrywy jak spod zdartej skóry i ukazuje surowe wnętrze, i nagłe przeskoki w różnicy poziomów działają brutalnie i ostro. Nie jest sennie jak w dolinach, ale każe nam wszystko być napiętym i przygotowanym na najbardziej nieoczekiwane. Każdy szczegół w topografii, który mam na myśli: a to spadek, załom, wiszar, stok wzgórza i płycizna wyszuranego koryta rzeki, i zakręt drogi,

płot żerdziany i kupa szutru, nie mówiąc już o dalszym planie: całych wzgórzach, lasach na garbach i plecach gór i całej Sierra Nevada, jaka piłuje nieboskłon – wszystkiego jest dużo, jest to bardzo oczywiste i bezwzględne, i jeden szczegół z tego w dolinach to wystarczyłby całej okolicy na znak charakterystyczny i unikat krajobrazowy, a tutaj nikt się z tym nie liczy. Dlatego zawsze, jak zaczynam w górach, to jest dziwnie i niezwyczajnie i trudno mi przywyknąć. Jak by to wytłumaczyć? Po prostu nawet o rzeczach, które znamy, mamy wyrobiony sąd własny i uparty i jak powrócimy do nich, to nie ma na to rady, że jest to odskakujące od naszego wewnętrznego pojęcia i obrazu.

Tak mi się to wydaje z górami…

Jedziemy. Nasz wagonik klekocze na końcu całego zestawu. Razem ze mną jest jeszcze pięciu robotników leśnych: czterech starych chłopów i młody chłopaczek, który ma może najwyżej piętnaście lat, ale ma już zacięcie starego robotnika i maniery, co jest trochę śmieszne przy jego gołowąsej twarzy. Chłopi są zarośli i brudni. Każdy ma tobół lub torbę z czymściś tam i siekierę, i jest także piła szeroka o zębach w jaskółczy ogon i lśniących, świeżo ostrzonych, w odróżnieniu od wiśniowej błony taśmy. Moja obecność nie dziwi ich jakoś, jesteśmy w zgodzie.

Wagonik jest śmiesznie mały jak pudełko od zapałek położone na sztorc na kółkach. Są tylko jedne drzwi i w środku jest żelazny okrągły piecyk, i od niego rura poprowadzona jest i przepuszczona przez dziurę w dachu. Jest bardzo zimno i chłopak z niebywałą zręcznością, ale to sztukmistrzostwem, pociął i przerąbał kloc wyciągnięty z kąta wagonu i zaraz paliło się to, jakby był z prochu strzelniczego, i na chwilę zadymiło się niebiesko w środku, póki dym nie znalazł własnej drogi przez rurę. Podłoga jest brudna i zaśmiecona trzaskami, ściany są szare od brudu i porysowane zadziorami. W jednym miejscu ktoś bardzo koślawo wypisał chemicznym ołówkiem stancę następującą: „Ljampa jasna – pizda ciasna – piec gorący – chuj stojący…”, w innym miejscu było cyrylicą: „*Proklatyje Lachy…*”

Od drzwi wagonu zaniosło nagle ulewą. No pewnie, zawsze w tych górach leje, od czegoż mapy opadów pokazują zawsze tam, gdzie góry, tyle

i tyle milimetrów rocznie opadów, zawsze tam, gdzie góry, to zagęszcza się to niemożliwie. Na zewnątrz wszystko lśni teraz od wody: liście drzew, trawy, słupy telegrafu, żwir i kamienie. Rzeka zasłonięta jest welonem, najbliższy garb jest za muślinem deszczowym i ponad nim widać niską chmurę, którą wiatr przegania. Ale zanim miałem czas zasępić się nad tym deszczem, który ma mię przygnębić zaraz – bo deszcz i nie ma słońca, i świat robi się przygnieciony i szary, i ograniczony – kiedy za następnym zakrętem jest już jasno, przeźroczyście i woda lśni w promieniach tego samego słońca, które wydawało się sekundę przedtem takie przepadłe i nieobecne.

Wąziutkie szyny kolejki idą dokładnie po warstwicy stopy góry w dolinie rzeki i kręcą się tak jak warstwica, ale idą w górę i lokomotywka sapie, zadyszana, i od czasu do czasu gwiźnie cieniutko i echo powtórzy to wiernie od drugiej ściany doliny. Czasem zatrzyma się przed mostem, bardzo często przeskakuje z jednej strony rzeki nad drugą i zeskakuje z lokomotywy chłop, i wiadrem zaczepionym na sznurze zaczerpnie wody, i nalewa jej do zbiornika, i woda ścieka mokrymi plamami po żelaznych blachach maszyny. Potem znowu ruszamy i nieprzyjemnie jest, kiedy rozgrzana od słońca ściana skały, pod którą właśnie trasa przechodzi, uwalnia luzem kamienie i te z szelestem zbiegają po jej załomach. Zawsze widać tam rumowisko tych oberwańców. Ale robi się coraz lesiściej i jodły zbiegają ku nam już bardzo natarczywym tłumem, i robi się dziko i niezamieszkale.

Moi towarzysze palą straszną machorę: nazywa się to „skrętki”, palą to w fajkach o zagiętym cybuszku, bardzo kwaśny i czarny jest ten cuch z bojkowskiej fajki. Gadają sobie o czymś tam swoim i nie bardzo połapuję przy stukocie kół wagonu.

Około południa dojechaliśmy do Bystrzycy. Wacek Rogowski czekał na mnie tam, gdzie szyny kolejki rozjeżdżały się w wikłaninę rozjazdów, i poszliśmy drogą leśną w stronę domu leśniczówki, na której mieliśmy gościnę. Dom stał na stoku i był zbudowany ze świeżego drzewa, i było bardzo przestronnie.

Patrząc ku południowi, patrzyło się pod górę doliny z rzeką, która ciągle była taka sama i inna. Dolinę zamykał wyniosły stok Pohrebyszcza i między rzeką i stokiem rozbiegła się wieś: poczerniałe dachy i niebieskie banie cerkwi.

Zanim roztarasowałem swoje graty i rozejrzałem się po okolicy, zanim zapoznałem się z milczącym naszym gospodarzem – leśniczym, panem Dufkiem – zapadł wieczór, a ponieważ byłem niewyspany, to pośpiesznie zjadłem kolację, co mi tam dano, i poszedłem spać.

Spałem długo i już było późne rano, kiedy się obudziłem. Wacek nie miał jakichś szczególnych prac, no to po śniadaniu wybraliśmy się do kąpieli właśnie w tejże Czeczwie.

Wracało się trochę tak, jak przyszliśmy z ostatniego przystanku kolejki (kolejka zresztą szła dalej w góry i bardzo tajemniczo i obiecująco znikała jej dzika trasa w wąskiej dolinie potoku wpadającego do Czeczwy). Ale wracając do kąpieli: Wybraliśmy sobie miejsce na rzece w lesie, gdzie niespodziewanie rozlewała się w obszerną sadzawkę. Więc ściągnęliśmy ubrania, pozawieszaliśmy je na korzeniach drzew i po szutrowisku do brzegu. Tutaj przypomnieć sobie trzeba, jak bolesne jest stąpanie bosą nogą po najgładszych w świecie otoczakach górskich.

Po prostu nogi gną się na wspomnienie. Stopa, podeszwa, nie przyzwyczajona, wydelikatniała od miękkiej wyściółki buta, chwieje się i obejmuje zdegenerowaną podeszwą gładziznę kamienia. Jest spory kawał do wody i tęsknym okiem szukam jakiegoś dojścia piaskiem, żeby tylko ominąć te tak zapraszające, a dokuczliwe kocie łby. Wyobrażam sobie zaraz, że co by to było, powiedzmy, że nagle znalazłem się w sytuacji bez butów, powiedzmy, ograbiony z nich i puszczony luzem, to co bym robił, gdybym miał milę tak przewędrować tylko po gołych otoczakach. To co? Chybabym siadł i płakał z bezsilności.

Woda okazuje się, naturalnie, górska, bardzo zimna. Ale to lodowata! Naprzód wlazł tam Wacek i coś tam chrząkał po wskoczeniu i mamrotał, ale nie bardzo uważałem i nie wiedziałem, o co mu chodzi. Aż tu jak sam znalazłem się w tych wodach po beztroskim pluśnięciu w ich tonie, to aż mię zatkało. Bezwstydnie szybko wygramoliłem się na brzeg, słońce ładnie

sobie tu przygrzewało, ale chwilę musiałem ochłonąć po niespodziance. To to tak z tą wodą górską! – a tak niewinnie i srebrzyście przecieka sobie między kamieniami. A w miejscach, gdzie rozlewa się w sadzawkę, jest zielonooliwkowo, i jest bardzo przeźroczysta, i widać na jej dnie otoczaki, i gra ładnie smużkami prześwietlonymi z powierzchni, niektóre kamienie są włochate sobie od mchu, meszku brązowego, i tam, gdzie piasek, to złoto. Jest bardzo rozkosznie.

Wacek woła, że widzi pstrąga. Gdzie pstrąga? Nie widzę. O, tam, pod kamieniem. Rzeczywiście pod kamieniem. Jest duży i wydaje się, że jest przeźroczysty, taki celofanowy.

Teraz już zanurzam się do wody bez wzdrygania i usiłuję nurkować tak jak ten kamień. Ale jest w tym miejscu głęboko i nie mogę dosięgnąć dna. Woda podnosi mię – co się zanurzę, podrywa mię ku górze jak pusty pęcherz. Co prawda, nie umiem poprawnie nurkować, nie mogę tego robić z otwartymi oczami, usiłuję, woda łaskocze mię w gałki oczne, a pstrąg wybałuszył na mnie gały, jak głupi. Próbuję jeszcze raz i Wacek Rogowski próbuje także, bezskutecznie. Obaj przy tym dusimy się ze śmiechu. W końcu dajemy spokój.

Teraz siedzimy na słońcu. Pięćdziesiąt kroków przed nami jest stroma ściana urwiska skalnego. Więc wymarzona strzelnica. Rozpinam na niej przyniesiony w kieszeni kawał, arkusz papieru, którego środek będzie celem. Na tę wyprawę przywiozłem ze sobą mauzera repetiera, przerobionego z modelu wojskowego, przerobionego przez lwowską „Armę” bardzo pięknie i precyzyjnie. Dorobiono ujęcie pistoletowe i części metalowe i lufa są szmelcowane na błękitno. Miałem tę broń po ojcu, który kupił ją od jakiegoś rotmistrza z 6. Pułku Strzelców Konnych, kiedy ten zgrał się w karty i na gwałt potrzebował gotówki. No to dobrze! Wiozłem go całą drogę niebaczny, że nie mam ani pozwolenia na tę broń, ani karty łowieckiej, gdzie tam. Ale nic się nie przejmowałem. Amunicję zawsze można było dostać, jako że kaliber wojskowy 8,0 mm można było dostać jak nie tym sposobem, to tamtym.

No to wio, panie Rogowski!… Przysiadam na prawym kolanie, poprawnie, tak jak uczyli: lewy łokieć oparty na lewym kolanie

postawionym, kolba dobrze położona w dołku strzeleckim, prawa dłoń obejmuje szyjkę, palec wskazujący na języku spustowym, drugi człon palca – tak jak uczyli. Teraz okiem szukam tak, ażeby muszka znalazła się w żłobinie, w szczerbinie czy jak tam, na lufie, szukam chwilę, bo szczerbina jest tuż przy oku, a muszka het, daleko, na końcu lufy. Jest.

Świat kołysze się teraz i huśta. Nadbiegają mi fantazje, że co to ja z tą bronią, no, powiedzmy, zaczajony u wąwozu, las wokoło mnie na garbach wzgórz, a ja jestem wyrzutkiem społeczeństwa, który wyłamał bariery prawa, i teraz, ścigany, dognany na tej pustaci, kiedy skończyły się inne środki ucieczki, zagnany w beznadziejność, i teraz jedynie polegać mogę na swej zimnej krwi, i ich jest dwudziestu przeciwko mnie, w czerwonych kurtkach – Kanadyjska Królewska Konna, ale trzymam ich w szachu i mam strategicznie świetną pozycję: boki i tył osłonięte, i drogo będę sprzedawał swą skórę, żeby tylko był dostęp do wody, no i księżycowa noc mię poratuje. Tak tłumaczę Rogowskiemu Wackowi i ściągam spust.

Huk, panie dziejski, jest kolosalny między tymi lasami. Przez kopnięcie kolby widzę, jak zakurzyła się skruszona skała. Wacek ofiarnie i śmiesznie, jak na sprężynkach, biegnie i rzuca zabawny cień na skałę, ażeby pokazać, gdzie kula rozdarła papier, i jajka mu dyndają.

Otwieram zamek i wyrzucam łuskę usmoloną, i nabijam nowy ładunek śliski od tłuszczu. Śmierdzi trochę spalonym bezdymnym prochem. Potem strzelamy na zmianę, chociaż trochę żal mi ładunków na Wacka. Papier na skale poszedł w strzępy, no to znaleźliśmy jakąś puszkę po konserwach (skąd się tu wzięła?), ale zaczynamy być głodni, więc do domu.

Pana Dufka, leśniczego, nie ma, ale rządzimy się w jego domu jak szare gęsi. Jego kucharka (którą, zdaje się, ale nie zdaje się, ale na pewno dupczy ten pan Dufek) nasypuje nam kopiaste talerze kartofli ze słoniną, tłusto polane, i dużo kwaśnego mleka, a potem na drugie jest gotowana szynka, a na koniec dostaliśmy kawę, nawet bardzo dobrą kawę. Kury sobie chodzą przed domem i wskakują na drewniane schody, i dziobią coś tam, kudłaty Bojko rąbie drzewo pod drewutnią. Muchy brzęczą pod sufitem i tłuką się o szybki okien. Wyciągamy się teraz na swych łóżkach i coś mi tam Wacek opowiada, ale jestem bardzo senny. Jeszcze go pytam:

„A jak tam, radca z Doliny nie zajeżdża tutaj, nie egzaminował cię przypadkiem? W ogóle co tu robisz, praktykancie, masz jakie obowiązki?”

Wacek z najzimniejszą krwią mówi, że do dupy z jego obowiązkami… I że pana radcę ma także gdzieś tam…

Zasypiam.

Kiedy się budzimy, słońce jest już nisko i jest czerwieńsze znaczniej. Jest pan Dufek od swoich leśniczych zajęć. Bardzo ładnie nas toleruje, w ogóle jest jakiś milczący i dosyć, powiedziałbym, melancholijny, jest nawet przystojny i atletyczny. Do mnie bodajże i słowa jeszcze nie przemówił, ale najbardziej mię toleruje i jakby miał nawet trochę respektu dla takiego miastowca. Ale wydaje mi się, że jest jakby zawstydzony trochę prostotą domu, tą swoją kucharką, którą najwyraźniej dupczy; nasze, to znaczy moje i Wacka, ustawiczne gadanie także napawa go jakby podziwem, że można tak gadać. Wacek cholera, ile razy mówi do niego, to mruga na mnie i wydaje mi się to bezczelne, ale na miejscu. Może ten pan Dufek na takim odludziu zatracił ludzkie wymiary i jest tym zakłopotany i markotny. Pewnie siedzi tu, pohukuje jedynie na robotników leśnych i chłopów, daje się ogrywać w pokera przez takich paru jak on – nie jest to czymś anormalnym. Żeby nie wiem jak był sobą, żeby miał zajęcie takie, że zabierałoby mu czas od rana do wieczora, żeby miał zmartwienia normalne i ludzkie nie wiem jakie, to nie ucieknie tym górom, które wiszą naokoło jak draperie, jak dekoracje do opery; jak mgła, to uciekają za firankę jej muślinu i tam zaczajone czekają; jak noc, to ich nie widać i żeby wyobrażać sobie, że tam, za oknem, nic, żeby wysilić wyobraźnię i zapomnieć o tamtym, to się to nie uda, nie uda się wymyślić sobie, że jest tam płasko i krótki horyzont, że takich gór nigdzie nie ma; jak deszcz, to za jego wiszarami i osnową czekają zaczajone, żeby doskoczyć i wychynąć, i stoczyć się stokami ku przerażonemu i zmartwiałemu. Stoi sobie pan Dufek może rano, wyszedł na próg, a brytany gór powstały już na nogi i wiernie i bezczelnie czytają z oczu pana, i oblizują się ze szpiku wyssanego w ciągu nocy z kości snów. Wyobrażam sobie, jak pewnej nocy pan Dufek nie wytrzyma nerwowo i włoży sobie lufy dubeltówki do ust,

i palcem dużym u nogi, z której zzuł buty, naciśnie cyngla, i mózg roześle po suficie domu.

Mówię to Wacusiowi i cieszy mię to, że ten cynik tego nie lubi, sentymentalna jego mać.

Na dobre zapisać trzeba panu Dufkowi, że jak zeszło się jeszcze paru innych na cowieczornego pokera, to przed kolacją wyciągnął butelkę wódki i Wacek odbił korek, uderzając wprawnie w dno, i nalał kieliszki. Już denerwował się do tego pokera. Trochę pokibicowałem, jak tam pogrywali w tego pokera, potem, zaczadzony dosyć dymem, jaki unosił się w pokoju grających, poszedłem spać.

A następnego dnia była niedziela i wspaniała pogoda i rano wcięliśmy wspaniałe śniadanie, i po śniadaniu poszliśmy ku wsi do cerkwi na nabożeństwo. W cerkwi było ciemno, poczerniałe ściany wznosiły się w mroku ku górze, było ciasno i dusznie od spoconych ciał wiernych. Poczerniałe złoto carskich wrót i ikonostas ołtarza lśniły tam, gdzie kurz na wypukłościach nie czepiał się polerowanych zdobień. Świece się paliły żółto, świece spływały i ciurkały woskowymi cieniutkimi stalaktytami i pokapały brązowe ręce chłopów.

Na ścianach wisiały ciężkie płótna poczerniałe i trudno było na ich tle odcyfrować, co się na nich dzieje. Jedynie oczy świętych migdałowe i w ciężkiej oprawie brwi, nosy wyraźnie narysowane, brody patriarchów. Wśród czarnych chmur na niebie tych ikon unosił się baranek blady i srebrny, i miał aureolę, halo, naokoło swej barankowej głowy. I zawsze jakieś tam teksty w koszlawej starocerkiewnej głagolicy objaśniały coś i nauczały, ale to dla wtajemniczonych. Czasem tylko jakiś nowy akces dewocjonalny, nabyty na rocznym jarmarku, śmiał się ordynarnym kolorem i złoceniem na tle prymitywności i prostoty cerkwi.

Jako że siedzieliśmy na poczesnym, kolatorskim miejscu dzięki temu, że byliśmy z naszym gospodarzem, po Bogu i popie najbardziej dostojnym uczestnikiem zebrania, to w jakiejś tam chwili pop okadzający carskie wrota do nas podszedł i kolejno podawał do ucałowania krzyż mosiężny stary bojkowski i pozłacany, który [to] ceremoniał z należytym nabożeństwem odprawiliśmy.

A potem wychodziło się na słońce i góry i teraz było dopiero widać, jak wszystko tu jest górami i pochyłością, i stokiem. Jak chłopi tam stali na cmentarzu cerkiewnym i czarni w swych czarnych, bojkowskich guniach, szytych grubo i włochatych od węzłów samodziału, i zgrzebna, ostra białość babskich koszul, wyglądających spod zapasek-ręczników, i surowizna od tego chłopskiego, niedzielnego stroju, kiedy stali tak w grupach, i nogi w kostce grubo oplątane i owinięte rzemieniem kierpców góralskich, postołów, które z surowej skóry albo też najnowszą praktyczną modą w ten sam kształt zesznurowane i zawinięte z nie czego innego, ale ze starych opon samochodowych „Goodyear” czy „Pirelli”.

Stary chłop z bardzo pięknym siwym sumiastym wąsem wyszedł na środek i obwieścił:

„*Pan lisnyczyj kłyczut' zawtra na tołoku…*”

Po południu wybieram się z Wackiem na Pohrebyszcze. Jeszcze raz wspinamy się ścieżką prowadzącą jak do cerkwi, którą zostawiamy po lewej, i podchodzimy wzdłuż żerdziowych ogrodzeń, mijamy pasące się na stokach owce. Owce podnoszą głowy, kiedy przechodzimy, i odprowadzają nas owczymi oczami, które są beznadziejnie tępe i głupie. Trochę mi przypominają Wacka i śmieję się, i Wacek nie wie dlaczego.

Inaczej się idzie pod górę, a inaczej po płaskim. Pod górę to oddycha się więcej, jakieś tam przecież prawa fizyki to się tam stosują, że nie tylko pokonuje się tarcie przy posuwaniu naprzód, ale i za każdym wstępnięciem podnosi się własny ciężar o parę cali, razem to daj Boże wytrzymać. Garb i stok przed nami wydaje się daleki i w górze i mięśnie bolą, i trzeba przystawać dla złapania oddechu. Jeszcze raz do sumy doświadczenia dodaje się jeszcze jedno, że nie ma co się puszyć swoją jedynością i przemyślnością człowieczą w naturze, kiedy byle głupie podejście, kilkaset metrów w górę, i już nam się łydki trzęsą, i jakby co nas tknąć do żywego, to wołalibyśmy, że chcemy do mamy.

Wysypują się ku nam pierwsze jodły, forpoczty regli. Te jodły, odbite od reszty i rzadkie, jedne tu, inne ówdzie, pozbawione socjalnej zwartości lasu, są bardziej narażone na wiatry górskie i widać to zaraz, skąd przeważają te regularne pasaty, bo, proszę, od nawietrznej strony są tak obsmyczone

z gałęzi, że są tam dosłownie gołe, i jedynie od odwietrznej zostaje im „chorągiewka” – flaga z czarnych gałęzi precyzyjnie wskazująca, jak na topograficznej mapie, jakie tu meteorologiczne warunki się kształtują. Za czym zaczyna ich być gęściej i zwarciej, i las. Dolina zostaje za nami gdzieś daleko, w dole – wieś, chałupy rozrzucone bardzo, i wiadomo: te górskie wsie mają ten inny charakter rozproszenia w odróżnieniu od dołów, gdzie wsie to okolnice albo ulicówki. Na przeciwległym stoku to widać na skraju płaszcza lasu leśniczówkę pana Dufka, bliżej nas – bąble wież cerkiewnych. Ale zaraz i jesteśmy w cieniu i w lesie, i ciągle podchodzimy do góry.

Jest tu pierzasto od paproci i zgniło od zeszłorocznych liści. Ścieżkę mamy wyraźną, tylko w jednym miejscu Wacek sokolim okiem zobaczył coś interesującego, co okazuje się okopem wojennym z tamtej wojny. Kiedyś tu przebiegała, tym grzbietem, linia, dół okopu jest zarośnięty, ale widać jeszcze jakieś butwiejące resztki robót ocembrzających ściany rowu i głazy wyrzucone na przedpiersie okopu. W jednym miejscu znajduję resztki skrzyni amunicyjnej z pociskami do moździerza, teraz to zżarte przez rdzę i próchno. I wszędzie śmietnisko z czerwonych i ścieniałych na rozsypującą się błonkę resztek puszek z konserw. Ale nie dałem się sobie zadumać nad puszką z konserwy jak nad czaszką Yoricka i pchamy dalej. Wreszcie podchodzimy ku szczytowi Pohrebyszcza. Las rzednie i rzednie, i to przeważnie dzięki temu, że coś tam, zaraza jakaś rzuciła się na jodłostan na szczycie albo może to wymarzło, i stoją teraz gołe i tragiczne pnie, i mech na nich nawet jest rozczapierzały i wyschły, i większość leży padłem jak na pobojowisku, ażeby tym, co się ostały i jeszcze sterczą, nadać więcej tragizmu.

Bądź zdrowa, Czeczwo, i z Panem Bogiem twoja dolino, i żeby wam się szczęściło po kolei w kartach, szulerzy: panie Jaskulski, techniku z tartaków broszniowskich, i panie Zaleski, sługo metropolitalny, i pan[u], panie Katz, embrionie przyszłej kariery leśnej, i panie Dufek, pasterzu jodeł i kochanku, i panie radco z Doliny, którego oblicza nie danym mi było oglądać, i gromado bystrzycka: lenie, prymitywy i kłusownicy nieśmiali i zamiłowani. Bądź zdrów, Waciu, twojej to inwokacji zawdzięczam tę

przygodę, która jeszcze ściele się przede mną, z Bogiem, oportunisto i błaźnie mimowolny i nie ogolony. Przestań mrugać kaprawymi oczkami i nie życz mi źle na drogę. Cześć, panowie!

Bądź zdrowa, Czeczwo, i nie miej mi za złe, że zaraz za wsią, kiedy wezmę na lewo, to ostatni raz będę widział twe srebro i zdradzę je za platynę Łomnicy i limby w jej dolinie rosnące.

Tak sobie skandowałem, kiedy, wypchawszy kieszenie kanapkami (z chleba razowego, sera i jajek na twardo) i przerzuciwszy mauzera na plecy z fantazją i kolbą do góry, wybierałem nierówny rytm między progami kolejki wąskotorowej.

Zaraz zresztą potem, jak zapowiedziałem, skręciłem na lewo i stromą poprzeczną dolinką zacząłem przebierać się ku dolinie Łomnicy. Stowarzyszył się tam w mej drodze chłop, Bojko, z siekierą – siekiera jest tu nieodłączna chyba jak lasso u gaucza albo francuski klucz u szofera. Chłop ciekawie zainteresował się mną i zwłaszcza strzelbą. Urodzeni bo oni są kłusownicy i palą się im oczy do każdej broni. No to, żeby mu sprawić satysfakcję, zdjąłem repetiera i pokazuję: tu muszka, tu szczerbina, a to zamek. Chłop kręci głową na dosyć filigranowo wyrobioną broń, więc sięgnąłem do kieszeni i pokazałem mu w garści naboje, jakie załadowuje się do lufy, i nabrał szacunku. Potem porozmawialiśmy o tym i owym: o drzewie, o lasach metropolitalnych, o pastwiskach. Potem zagubił mi się gdzieś i byłem sam, i droga była łatwa, i w końcu dolinka przerwała się w dolinę Łomnicy.

Miałem piękną pogodę i szło mi się dobrze przez cały dzień. W karczmie przydrożnej kupiłem sobie jeszcze wiktuałów: bułek „czworaków”, i trudno mi było to podziać po kieszeniach. Karczmarz patrzył ciekawie, co to za miastowiec ze mnie. W karczmie było ciemno od malutkich okienek; był to zarazem sklep z najrozmaitszymi drobiazgami, żelaziwem i perkalikami. Lada była za klatką zbudowaną z nie malowanych szczebli drewnianych.

Potem minąłem z prawej leśniczówkę, droga szła wzdłuż rzeki, rzeka szumiała po głazach, za nią jeżyła się szczotka lasu na stokach.

Na mapie postudiowałem sobie, że trzeba mi będzie wziąć potem wzdłuż potoku, który do niej wpadał z prawej strony. Jak tylko doszedłem do jego

ujścia i puściłem się w górę jego nieregularnym brzegiem, zaraz bardzo się zmieniło. Było dziko i odludnie. Droga sczezła gdzieś i nie było jej więcej, i szło się ciągle pod górę, i potok szumiał po kamiennych progach. Czasem stok z jednej strony dobiegał do samej wody i trzeba było ostrożnie przebierać się po głazach na drugą stronę, ażeby za czas jakiś znowu robić to w dawną stronę. Czasem dało się to zrobić po oślizgłym pniu wiatrołomu – jodły leżącej w poprzek ukośnie i sterczącej patykami gałęzi. Na dobitek zaczynało się ściemniać. Robiło się błękitno od zmroku, drzewa rosły gęsto po obu stokach gardła potoku. Było już zupełnie opuszczenie i dziko.

Kiedy się tak ucieknie od swojszczyzny, gdzie wszystko jest wydeptane i wyślizgane, i poznaczone bytnością innych, i jak tak znaleźć się nagle wśród puszczy i gdzie trudno dopatrzyć się śladu innych, kiedy to „nie tknięte stopą człowieka” – wpada się we wrogą obojętność natury, wydaje się, że nie jesteśmy z tego świata, że to jakieś nieporozumienie, że znaleźliśmy się wśród tego. Boże, jak mi nagle niedobrze wśród tego zapachu dziczyzny: wydaje mi się, że mam inne wymiary aniżeli rzeczy wokoło mnie, że wszystko tu jakby miało więcej aniżeli trzy wymiary albo że ja sam zostałem zredukowany do dwu, że jestem jakiś płaski, blaszany, cieniem samego siebie. Moja stopa ślizga się po mokrym mchu, kiedy opieram ją na głazie, i głaz wydaje się strącać ją umyślnie. Jakbym wpadł do klubu angielskiego bez zaproszenia i niewłaściwie ubrany.

Gwiżdżę, pogwizduję sobie nieharmonijnie i cienko, ażeby ta nonszalancja mi pomogła, ale jakoś wychodzi to niemrawo i nędznie. Jestem przy tym już zmęczony całodziennym marszem i przecież to cały czas nieznacznie, ale pod górę i pod górę. Że jest już znacznie wyżej, to poznać po chłodzie, który zwłaszcza o tej porze wieczoru jest więcej niżeli rześki.

Robi się coraz mroczniej. Chwilami jest mi tak nieswojo, że żałuję całego pomysłu, i jest to niesamowite uczucie, kiedy wobec samego siebie przyznawać się trzeba do rejterady. A jednak jest tak i jestem zawstydzony, a jednak myślę, „ażeby tak plunąć i zawrócić”, i jest to także pomysł pożal się Boże, bo gdzie po takiej nocy łożyskiem tego potoku – anibym nie

zaszedł, anibym się położył. Mam już coś z tego, co się nazywa „chorobą górską” – z psychozy, kiedy już myśli bezładnie i panicznie wirują w tyle czaszki, i na to nic, nic. Potok dziko szumi, jodły są niebotyczne i złowrogie. Parę razy już pośliznąłem się i raz wpadłem prawą nogą w potok po pachwinę, w lodowato zimną wodę. Karabin obija mi nerki, czasem bezprzykładnie trzaśnie o kamień.

Wreszcie, o nieba! rozszerza się w malutką dolinkę i trawa porasta ją zielonym kobierczykiem, i ślady budowli ludzkiej. Jest buda z okrąglaków wcale solidna i kora rdzawi się na nie okorowanych krągliznach. Jest już zupełnie ciemno. Dochodzę, próbuję drzwi, z trudem obracają się na zawiasach, w środku jest ciemno i stęchło, i pusto, kiedy zapalam zapałkę, i tak obco i strasznie, że wycofuję się. Jest mi niedobrze z, co tu mówić, po prostu lęku. Jeszcze raz dobieram się do środka i jeszcze raz wycofuję się. Kiedy dosyć zrozpaczony tułam się w małej dolince w ostatnich blaskach zmroku, trochę po omacku znajduję ocalenie. Ocalenie w postaci stromej drabiny prowadzącej na wysoki, pokryty „hochsztand”. Jest to więc pięknie łowiecko zagospodarowane miejsce: domek dla myśliwych położony obok wysoko wyniesionego stanowiska do strzelania jeleni. Tak ja więc po tych szczeblach wspinam się na górę i wysoko jest platforemka przykryta płaskim dachem, i tutaj zamierzam roztarasować się na noc. Trochę jest to śmieszne teraz, że mając jaki taki schowek na dole, zbliżony do czegoś mieszkalnego, wybieram miejsce zawieszone dziesięć metrów nad ziemią i mam spędzić noc w rodzaju tym, jak kury to robią na grzędzie. Ale mam znakomite poczucie bezpieczeństwa przed tym czymś nieokreślonym w nocy, co nie pozwalało mi wejść pod przyzwoity dach.

A teraz nie będę opisywał długiej nocy na okrągłych szczeblach podniebnej klatki. Dosyć, że było zimno i wiało od dołu spomiędzy szczebli, i trząsłem się z chłodu, i nad ranem każdy mięsień z osobna bolał mię, jakby mię szczypano obcęgami na torturach. Długa jesienna noc wlokła się w nieskończoność. Czasami wpadałem w męczeńską drzemkę, która wprawiała mię w stan podobny do maligny.

Na domiar złego, jakby usprawiedliwić moje przednoclegowe trwogi, na dole, w puszczy, zaczęły się dziać jakieś rzeczy, których moja zmęczona

wyobraźnia nie była nawet zdolna przybrać w jakieś mniej lub więcej fantastyczne kolory. Po prostu coś się działo w męce i dłużyźnie nocy. Jakby chodził ktoś lasem w rozterce i gorączce, jakby szukał i powracał, i przypominał sobie, i zmieniał decyzję. Gadał po nocy potok i czasami wydawało się, że może jakieś lodowce tają u szczytów i przybiera im, i wełny wodne pokrywają korytowe głazy, i podnoszą swe grzebienie wyżej i wyżej, i sięgną mię na mej wysoczyźnie, i sięgną po szczyty jodeł, i poniosą wszystko ku dołom w wodospadach i kataraktach. A potem jakby to coś w dole podchodziło znowu i tłukło się między pniami drzew.

Potem znów ocknąłem się na głos niski i żałobny, do niczego niepodobny, który rozległ się w dole potoku. Po chwili odezwał się, ale w innym miejscu, ale to w zupełnie innym kierunku i w górze stoku, a potem inny przekomarzał się z nim w górze potoku. Było to, jakby ktoś stękał w otwartą pustą beczkę i wyraźnie było słychać zmęczony oddech. Serce mi biło w piersiach i tak przesiedziałem: przemoczone buty i chłód dobierający się przez cienkie płótno mojej nieprzemakalnej kurtki.

Nawet nie wiem, kiedy zaczęło szarzeć. Po prostu mogłem odróżnić nagle kontur najbliższej jodły, a potem w dole zabielała żyła potoku tam, gdzie pienił się o kamienie, a potem, jak podniosłem oczy, to mogłem rozróżnić ostrą krawędź porosłej lasem grani, a jak spojrzałem znów ku jodle sąsiadce, to był już ich tłum. Zrobiło się jeszcze jaśniej i po szarofioletowym stoku lasu przepłynęła mleczna chmura, i przepłynęła druga. Teraz już widziałem zieleń trawy dolinki i dach budy, którą tak niepysznie i w popłochu zostawiłem nie zamieszkałą. Szum potoku jakby w świetle oddalił się na przyzwoitą odległość.

Na gałęziach i szczeblach hochsztandu wisiały krople wody i odrywały się jak z kroplomierza. Na dole coś trzasło.

Kiedy spojrzałem tam, to był jeleń. Pierwszy raz widziałem wtedy w życiu jelenia. Byłem rozczarowany tym, że był tak mały. Wydawało mi się, że powinien być przynajmniej wielkości konia. A ten był wielkości dobrego cielęcia i był niespodziewanie rudy jak wiewiórka. Wyglądał jak wycięty z blachy i jakby ktoś zdjął ze ściany jelenie wieńce i przyprawił tej figurze. Miał lśniący wilgotny nos. I jeszcze jedno: To zaczynała się pora

rykowiska i ten samiec, przedzierający się całą noc przez chaszcze leśne i smagany przez leśne krzaki, podniecał się i, jak to mówią, „spuszczał”, i miał całe podbrzusze białe i ociekające od jeleniej spermy.

Więc już tak nas zahamowało na tematy seksualne, że jak się staje wobec zjawiska, że taki jeleń jak z popielniczki albo kandelabru z mieszczańskiego domu, albo z obrazka ze świętym Hubertem, że jak się nam pokaże umazany spermą, to wstrząsa nami jak niesamowitość, jak coś dziejącego się przeciwko naturze, jak obsesja z okresu dojrzewania, która, nierealna i wymyślona, czai się u wezgłowia naszego łóżka bezsennej nocy. Nie darmo siedziałem w opuszczeniu i trwodze, święty Hubert, kiedy o perłowym brzasku górskim wyczarowała się przede mną zjawa – widmo ukrytych zatajeń i domysłów, dreszczów i marzeń w surowym świcie gór, zaprzeczenie i skojarzenie nierealnego i bezmyślnego oleodruku ze ściany w taniej restauracji i dotkliwej, namacalnej i niespodziewanej rzeczywistości.

Kiedy zacząłem podchodzić znowu w górę potoku, było jeszcze bardzo rano, ale tego właściwie nie można było poznać. Było srebrzyście od mgły i deszczu skraplającego się z tej mgły. Jodły zrzedły i wstępowałem już po zboczu kamienistym po prawej stronie potoku, i pozostawiłem go gdzieś w dole. Właściwie nie prowadziła mię żadna droga ni ścieżka. Ale były ślady kopytek owiec i „bobki” i zaprowadziły mię w końcu, kiedy tak z trudem podchodziłem pod górę, nie wiem nawet, jak długo to było: może godzinę, może cztery godziny, zaprowadziły mię te ślady dzikie i we mgle-chmurze zobaczyłem u stóp łysej jodły rodzaj pasterskiego szałasu, ale nie: szałasu, byłoby to zbyt górne jako nazwa, to po prostu opartych parę żerdzi o pień drzewa i szczapy drewniane, i kora tworzyły pochyły daszek, zasłaniający jedynie od jednej strony, i otwarty poza tym schron – pulpicik ubogi. Trochę to było przy ziemi podbudowane paroma głazami i korzeniami i było to najbardziej ubogie i na wydmuchowisku.

Tutaj się zatrzymałem. Kiedy przysiadłem pod okapem dachu, to w pełni przeświadczenia, że spóźniłem się o jeden dzień tylko, a byłbym zastał gospodarza tego schronienia. Ale ten jeden dzień już był poza nami, pasterze z gór spędzili w dniu wczorajszym swoje trzody ku dolinom.

Skończyło się ich latowanie tutaj, kiedy pokazały się pierwsze czerwone liście na bukach w dolinach.

Więc spóźniłem się! No to dobrze. Po pastuchu górskim został zapach: cuch, smród legowiska prymitywnego człowieka. Wygniecione posłanie z gałęzi kosówki i parę pobielałych i wyślizganych kości, jakie obgryzał jego pies. I popiół niebiesko-fioletowy ogniska, stlałe na kruchą piankę morską węgle, i kiedy pogrzebałem w tym popiele, to był jeszcze ciepły i w głębi niego pełzało jeszcze parę czerwonych iskier.

No to zacząłem szukać jakich suchszych gałęzi i trzasek i dmuchać w ten popiół, i powoli zaczęło dymić się z mojego niezdarnego ogniska, i małe płomyczki – skakać wzdłuż cienkich gałązek. Podły był ten mój ogieniek i nie dodawał mi wiele otuchy pod dachem. A dalej zaraz zaczęło siąpić na dobre i kiedy wyciągnąłem nogi na nieprzytulnym i trochę wstrętnym dla mnie posłaniu po pastuchu, to mogłem widzieć niedaleko, ile? dwadzieścia–trzydzieści kroków w dół i w górę, bo to było na stoku góry.

Mauzera powiesiłem wysoko pod okapem, ażeby woda go nie doszła ani pył deszczowy; bardzo ładnie wisiał sobie tam, poziomo i romantycznie, jakby do obrazu z życia traperów czy poszukiwaczy złota, czy innego jakiego eksplorera, żydowskie bułki „czworaki” i kiełbasa, jakie rozdzierałem i kąsałem, były już mniej w stylu traperskim, ale jadłem – byłem głodny po tej całonocnej awanturze. Ogień dymił i dym ten mieszał się zaraz z mgłą na zewnątrz.

Kiedy się najadłem jako tako, nie mogłem zasnąć. Leżałem zapatrzony w pochyły świat, w którym się znalazłem teraz. W prawo, gdzie stok spadał, mogłem widzieć czuby paru jodeł, które w zależności od chmury przepędzanej po stoku cieniowały się raz ostrzej, raz niklej, jakby ktoś kręcił śrubką lornetki, próbując nastawić ją na ostro. Jak zatoczyć okiem w lewo, to stok niknął w górze w tych samych górskich mgłach. Stok był bardzo ostry, może nawet 45 stopni, i zaczęło mię bardzo to zjawisko niepokoić. Bo pomyśleć: być tak zawieszonym na tragicznej równi pochyłej, skosie niknącym w tej białej wacie, gdzieś to ucieka w dół – może setki, może tysiące metrów – tym nieprzyjemnym i stromym spadkiem i to samo w górę, w chmurę-mgłę, i może kosi się tam także w setki metrów,

a ja tu sam jeden, w pośrodku, uczepiony uparcie pazurami lęku i samotności do tej pochylni pod kątem 45 stopni.

Więc, uciekając od tego, wróciłem do najbliższego świata. To, co w zasięgu ręki. Oto mauzer wisi pod okapem: szmelcowana błękitna lufa i kręcone słoje orzechowe polerowanej kolby. Żółta nieprzemakalna kurtka z kieszeniami, droga i niepraktyczna, od Gabriela Starka, żółta i poplamiona błotem i plamami od zielonego mchu. W gazecie łupki z jajek i skórka z kiełbasy, które co tylko pożarłem. Poobcierane o kamienie i podkute buty, schnące przy nędznym i dymiącym ogniu. Pień jodły, o który opiera się to całe moje domostwo. I to wszystko.

A zaraz poza tym czyha i dyszy na mnie zły skos i beznadziejność pustki równi pochyłej, [która] zbiega stromo w dół i zaraz niknie w górskiej chmurze, wspina się chyżo w górę i niknie w chmurze. Czytałem o rozbitkach zmuszonych żyć na statku uwięzłym na rafach wśród oceanu i kadłub tego statku tkwił tam, przewrócony bokiem, solidnie i bezpiecznie, ale w tej nienaturalnej pozycji. I ci, co tam na nim żyli długie dnie i pełzali po jego pokładach i ścianach, i burtach, cierpieli na zachwianie zmysłu równowagi czy orientacji, bo to, co było kiedyś jako tako poziomym pokładem czy podłogą kajut, było teraz na odmianę ścianą, a znów ściany przerobiły się na podłogi i sufity. Ten zachwiany stan zmysłu równowagi, orientacji w przestrzeni podobno doprowadza nawet do zaburzeń przewodu pokarmowego i wymiotów. Jak sobie to wspominałem, to robiło mi się niedobrze. Ale, pomimo wszystko, przez takie wspomnienie, nawet pobudzające do nudności, to jednak było zaczepianie o coś konkretnego, co miało chronić mię przed niekonkretnym i wstrętnym uczuciem niesamowitości i niebywałości tego, że zawieszony jestem na równi pochyłej.

Chmura przeszła po tle jasnej chmury-mgły i zakryła jodły schodkujące w dół, potem zrzedła, potem przeszła inna chmura.

Więc oto znów schron pod daszkiem, mauzer na sęku zawieszony, ostre i pałąkowate gałęzie kosodrzewiny, buty schnące i głupie takie, puste przy tym dymiącym ogniu i oto ja sam przy tym, zgryziony i zaniepokojony samotnością, pustką, deszczem i mgłą na stoku górskim, który biegnie,

zbiega w dół nie wiadomo po co i wspina się ku górze twardo, bezdusznie i dziko.

Więc wystarczy, ażeby zdobyć się na bilet 3. klasy, przetrząść się parę godzin w nocy poczciwym wagonem, a potem zadać sobie trud, ażeby przewędrować trochę gościńcem w górach i dolinie i przebrać się łożyskiem potoku pod górę, ażeby znaleźć się w warunkach, które do codziennego, poprzedniego biegu życia mają się tak, jak nieskończoność do momentu, jak miejsce do wszechświata. Ani mię poratują zapach tamtego świata, który ze sobą przyniosłem, ani skale porównawcze, ani logika przesądu, ani poczucie humoru – mieszczański wynalazek, mieszczańskie opium dla ludu; ani obracać będą mną tutaj tryby rutyny, nawet prymitywnej rutyny wczorajszego mieszkańca tego szatra, na którego ciepłej jeszcze pościeli spoczywam, i łzy mi napływają do oczu od dymu ogniska, które poza sobą pozostawił. Ani zbawi mię zmęczenie amatorskiej włóczęgi ponocnej i nie zepchnie mię w nieświadomość snu. Palce przyjacielskie nie zapną na mnie z tyłu saint-simonowskiej kamizelki braterskiej.

Oto zawieszony na równi pochyłej pomiędzy niebem i ziemią, z poutrącanymi podporami, które w zwyczajnym dniu lenistwa, rutyny, jednakowości, umiarkowanego zapału i umiarkowanej nudy nie zawodziły mię nigdy, wytrzeszczam oczy w nieprzyjazną przestrzeń i wzdrygam się od niej. A jeżeli znajdę na to radę, jeżeli, co jest zupełnie nieprawdopodobne, jeżeli wymyślę aż matematyczny pewnik, że to, co jest wśród mnie, jest tylko fantastycznym tłem trafnego poznania, to i tak będę sam i kiedy wybiorę kij i przytnę go do mojej postury, i oprę się na nim, i „uraduję się posochowi memu”, to nie będzie on ofiarowany mi przez mych perypatetyków, i jak wstąpię na pierwszy kamień wiodący mię do góry, to za mną nie podąży nikt, bo po prostu nikogo poza mną nie ma.

Nadpłynęła szara chmura i zasłoniła znowu rzadkie jodły, zstępujące ku dołowi. Świat na zewnątrz mego szatra był oślizgły od deszczu.

Meine liebe Mutter, sei stolz, Ich trage die Fahne

Były raz trzy siostry: Stanisława, Maria i Lala. Nie powiem, ażeby imię „Stanisława” szczególnie mi się podobało, wolałem „Maria”, a już „Lala”, że nieszczególne i że powtarzało się to w ten sposób: la-la, bardzo mi przypadło do gustu. Ale Lali nigdy nie poznałem, a najstarsza, Stanisława, była niezmiernie urocza.

Otóż ta najstarsza – o tej najstarszej będę pisał, bo tam, u niej, u niej i u jej męża, zdarzyło mi się być parę razy. To było w Gorlickiem, ale już pośród gór. To tam, gdzie język etnograficzny łemkowski zachodzi aż po Beskid Wyspowy. Nazywało się to Szymbark, a ściślej: Szymbark-Bystrzyca. Sam Szymbark był polski, a nawet bardzo polski. Mówili tam, jak zawsze na pograniczu etnograficznym, polszczyzną prawie literacką. A jak przychodził ktoś, to na przywitanie kłaniał się, o, tak! kładąc rękę na sercu, i pochylając się, tą ręką wykonywał gest od serca do nóg witanego. Nawet czytałem gdzieś o tym poprzednio w „Ikacu”, o takim pokłonnym zwyczaju w Gorlickiem, a tu przyświadczyli temu, a nawet zawołali mię raz dyskretnie do kuchni, bo nadchodziła stara Kazimierzowa, i powiedzieli mi, że to się sprawdzi, ażeby zobaczyć, jak się przywita. Zresztą wołali mię także innym razem, ażeby być świadkiem, jak obraża się buldog Trefl. Trefl – ale o nim później.

Pod Gorlicami była jedna z najkrwawszych kiedyś bitew tamtej wojny światowej i także mi kazali, jak będę w Gorlicach, pochodzić po okolicy, to zobaczę. No, niewiele zobaczyłem, tylko cmentarze wojenne – cmentarze, cmentarzyki – nawet utrzymane przyzwoicie. Pochodziłem tam, to wtedy było na wiosnę, i miałem satysfakcję, że tak było wiosennie i pola, zielona ruń, a z tej wojny, strasznej bitwy, nie zostało nic, że nic z tego nie triumfuje, że przepadło to w zapomnienie, że jak taka bitwa, gdzie ważą się losy i tak dalej, a tu znowu zielono i chyba nawet tym, co leżą po tych porządnickich cmentarzach, jeżeli może im na czymś zależeć, to pewnie

satysfakcja, że z tej erupcji, stężenia ludzkich namiętności, z tej wojny, dalszego ciągu polityki, nic nie zostało im na pomnik, tylko ta zieloność wiosenna.

Mieszkałem w Szymbarku w malutkiej oficynie: drzwi zbakierowane, ale bardzo czysto i jakiś jeden i drugi mebelek antyk, muślinowe firaneczki w oknach, świeca w lichtarzu z niebieskiej emaliowanej blachy, zapałki gościnne, łóżko usłane, że to aż pachnie (lawendą?), a śniadanie to przysyłali, jak Boga kocham! do łóżka i snobowali się tam na angielskie śniadania: jajka na miękko w kubkach, dżemy, masełka, biszkopty – trochę tego, trochę owego.

A wieczorem leżeliśmy, naprawdę leżeliśmy, pokotem przed kominkiem w salonie, na kominku paliły się kloce bukowe i trzaskało w nich, a także trzaskało ze wszystkich możliwości w kasztanach „maronach”, jakie piekliśmy przy tych klocach. Czeka się chwilę i zaraz taki kasztan się napuczy i z sykiem rozpęka się, i sieje się z niego para, i strasznie śmiesznie, jak próbować je palcami wyciągnąć, bo ktoś inny ma szczypce. Stanisława, pani Stasia, leżała w swej wieczorowej sukni i ona głównie celebrowała to pieczenie kasztanów nam, którym aż ślina ciekła z ust. Kasztany są oczywiście bardzo zamorskie i słodkawe w smaku, trochę w smaku jak kartofle posłodzone. Tam, przy tym ogniu drzewno-gazowym, usłyszałem o jeszcze jednej: o Biecie. Bieta, Bietka, to pewnie skrót od Elżbiety, ale nie jestem pewien, to taki mój własny domysł teraz, bo wtedy to myślałem o niej tylko jako o Biecie. Coś bardzo kobiecego w tym „Bieta”, tak jak właśnie skrót od „kobieta”: bieta – kobieta.

Ogień, bo ogień – paliły się polana, nie: kloce, jak powiedziałem poprzednio, kloce to zaraz bardzo scenicznie, ale gdzież tu, przecież to był mały niski dom i gdzież znowu miejsce na kloce. Kominek tam był oczywiście, nie komin – kominek: kwadratowa nisza w ścianie i tam kładło się polana więcej dla dekoracji, bo główny płomień tego urządzenia to błękitny huczący płomień gazu ziemnego, jakim dom cały opalało się i wszędzie dokoła na całą okolicę w bardziej postępowych domach, bo to wszystko stało na zbiorniku gazu ziemnego i nafty. Zaraz niedaleko paliły się noc i dzień elektryczne konstelacje Wygnanki – nowych wierceń. Więc

dom, choć skromny, miał te urządzenia i ludzie w Szymbarku to mówili: „A we dworze jest pstryka (*elektryczność*, *chociaż nie dochodziła do oficyny*), woda leje się ze ściany (*wodociąg*), a pali się smrodem”.

A mąż pani Stasi to gospodarstwo miał ułatwione. Kiedy u nas, na Podolu, dziedzic od rana był w siodle i objeżdżał morgi i włóki płaskiej oddali, to mąż pani Stasi rano wychodził na podwórze i patrzył ku górze. Widział, że tam, gdzie trzeba, grabią siano, a ówdzie przykrywają łubin, jak było zapowiedziane, a tamtędy parobek wiezie sól dla bydła: czerwonej, górskiej rasy krów, a tamtędy, na grzbiecie, zieleni się owies – i po całej gospodarskiej wizytacji.

Pani Stasia i jej mąż mieli syna jedynaka: szesnastoletniego i dobrego chłopca, było mu: Janusz, ale, drocząc się z nim, wołaliśmy go: January, January i January i przyjmował to dobrodusznie. Były święta Bożego Narodzenia, więc January był w domu i że tam sobie chodził po podwórzu w swej uczniowskiej zawadiackiej czapce granatowej licealnej, pieścił swą klacz wierzchówkę Basię, w kuchni przeszkadzał w ucieraniu maku i przekładań tortowych, a za nim, jak smuga, włóczyło się dyskretne, dumne, zakłopotane, miłosne, niespokojne, lepkie, zatkane od wzruszenia spojrzenie rodziców. Naturalnie, było między nimi takie masońskie, nie wymówione porozumienie kochających się nawzajem ludzi: pół słowa, pół uśmiechu, jakieś powiedzisko, skrót, przymknięcie powieki – cały szyfr, którego wulgarny, natrętny gość, przybysz nigdy nie potrafi zrozumieć.

W tym Szymbarku-Bystrzycy byłem tylko trzy razy albo dwa – tyle lat temu, że nawet nie pomnę, ile to razy było. Wspomnienie tego bardzo odosobnione, bo to daleko od mych stron, bardzo wycięte osobno, wspomnienie tak odgraniczone, jak naklejona w albumie amatorska fotografia. Parę amatorskich dni życia osobno. I z tego tak nic się nie pamięta.

I owszem, pamiętam dokładnie ten wieczór w saloniku, wieczór, kiedy leżeliśmy pokotem na podłodze i piekliśmy marony przy gazowym płomieniu. I pamiętam tylko wtedy rozmowę tam prowadzoną ze wszystkimi szczegółami, rozmowę, tematy tej rozmowy tak jak to rozmowa

się prowadzi i kiedy potem nawrócić i śledzić jej przebieg, to aż dziwnie, jak od jednego tematu przechodzi się do drugiego.

Mówiliśmy o Biecie albo właściwie: opowiadano mi o Biecie – historię już mglistą jednak, ale sens jej mam do teraz zachowany. Że Bieta to może była jeszcze jedna siostra? Czwarta? Może należało zacząć tę historię, że były raz cztery siostry? Otóż Bieta miała starającego się, ale nastąpiły jakieś komplikacje i oddalenia, i rozdziały, jakaś tragedia na spokojnie, i wtedy miało to niby być pogrzebane i w zapomnienie miało to się zagubić, aliści jednego wieczoru, noworocznego (na Nowy Rok przychodzą ludzie rano, jeszcze do sypialni, i sieją, drobią, rzucają w nas nasiona: zboża i grochy, i jęczmienie, kąkole z nimi zmieszane i mak, i skandują: „Na szczęście, na zdrowie, na ten Nowy Rok!") – ale to, zdaje się, było w przededniu, w Sylwestra. Otóż siedzieli tu o wieczorze i napatoczyło się w rozmowie o nim: o tym odległym, odtrąconym, skazanym na zapomnienie, ale marzenie o nim zostało z Bietą, nie wyperswadowane. Jak mi to powiedzieli, to mogłem sobie wyobrazić, jak pierś Biety, kobiece łono Biety wezbrało, jak nagle przyszedł impuls, postanowienie. Jest wieczór, późno, ale to nic, długo korbuje się motor w starym buicku i ciemną nocą przez zgrudziały zajazd pojechano, wyrwano się, żeby dotrzeć do miejsca, gdzie jedynie czerwone światło pali się po nocy w samotnym oknie, i nic to, że zapomniany, tragiczny, siedział w tę noc samotnie (nad rachunkami z lasu?), ale i romantycznie to z tym, że nagły nawrót, droga do szczęścia, że skończyło się to w tę noc grudniowo-styczniową od westchnienia nagle wezbranej piersi.

Tak to miło o tym usłyszeć, ale już mówimy na inny temat: o tym, jak Trefl – Trefl: buldog rasowy, pokraczny, z nosem wklęsłym, zagubionym w zmarszczkach psiej mordy, ze straszliwie wyrobionymi szczękami, o kwadratowej klatce piersiowej i pałąkowatych nogach, Trefl, astmatyczny Trefl, jest pobudliwy, nerwowy, histeryczny jak panienka – że Trefl wzdycha i jest zazdrosny o panią Stanisławę, Trefl dąsający się, wzruszony, histeryczny, rozdygotany jak szczenię, Trefl jedyny, uważny, Trefl chorujący na palpitacje serca.

I już o czym innym – mówi się o Łosiach. Nic, tylko o Łosiach. Więc nie o Łemkach, którzy zachodzą tędy Bieszczadami, etnograficznie niezmiernie to ciekawe, ale obojętni są na Łemków, nie mówi się o innych, tylko o Łosiach. A Łosie to wieś osobna, dziwoląg, enklawa, wyspa osobna, nie wiadomo skąd; Łosie to wieś niedaleka, wieś dziwnych ludzi, zakochanych w koniach, hodujących konie, koniokradów, ludzi żyjących z koni. Miesiącami odnajmują się na wózkę, forszpany; Łosie, jak wielorybnicy z New Bedford i Nantucket, mogą poszczycić się tym, że jak do tamtych należy cały ocean okalający ziemię, tak do Łosi należy cały świat, po którym toczą się obręcze ich wozów, po którym przejdzie kopyto ich koni. Łosie, zakochane w swych koniach.

O czym to nie mówi się jednego wieczoru wiosennego przy ogniu buzującym na kominku! Nawet o zarazie pyska i racic, bo pani Stanisława hoduje czerwone bydło górskie, które niebywale odporne jest na te wszystkie plagi, ale i tak wiele z tym zachodu – i mówi się o paszy, mleczności, wzdęciach, trokarach, cieleniach się, księgosuszu. Polana wypaliły się, tylko huczy zły płomień gazowy i przestrzega o nocy.

Zanim pożegnam Szymbark, zanim zasuną się poza mną zielone wzgórza i zasłonią dom, drzewa, szyby naftowe Wygnanki, rzekę i most, zrobię szybko rachunek sumienia, cofnę się w siebie. Cała sprawa jest tak prosta i nieskomplikowana, [że] we wspomnieniu będzie wyglądać jak sznurek ideogramów, jak deseń. Że były raz trzy siostry (a może cztery?), że dom, drzewa, garby i plecy wzgórz, że spokój i wzruszenia ludzi żyjących osobno, a jednak trącić lekko, pstryknąć palcem przeźroczystą kulę, w jakiej żyją, wyda dźwięk, zadrży jak struna i odpowie temu rezonansem taka sama, napięta we mnie. Można zapomnieć wszystko, zachować tylko jeden szczegół, próbkę do sprawdzenia, szyfr katalogowy, kontramarkę, którą wystarczy pokazać w kontramarkarni, ażeby wydany mi został cały bagaż, skład pozostawiony w niepamięci.

Weźmy w tym wypadku: Janusz, January, w swej licealnej czapce szesnastu lat i za nim zakochane, zaczadzone, zawilgłe od miłości spojrzenie rodziców. Coś, co jest samo w sobie, coś bez historii, bez przyszłości, co było i czego już nie będzie.

Na dowód czego przytoczę, że kiedy szymbarska bryczka wiozła mię na stację w Gorlicach i że kiedy mieliśmy jeszcze czas, to zatrzymaliśmy się dla zobaczenia jednego z cmentarzy wojennych strasznych bitew tamtej wojny.

W jednym miejscu wpośród tego cmentarza był pomnik grobowy osobny z piaskowca, piaskowiec poczerniały od pleśni z jednej strony. Rósł przy nim krzak kaliny, oczywista kalina rosła tuż przy nim i obejmowała go swymi gałęziami, jak gdyby trzymała go samolubnie w swym posiadaniu. U góry był na czole pomnika wyrzezany miecz albo szpada w opleceniu z liści wawrzynu. Wzrok zaraz chciwie poszukał za napisem, tak samo jak chciwie, nieubłaganie ciągnie do napisów ulicznych, do liter nagłówka wleczonej po bruku gazety, jak nieomylnie ciągnie do znaku fabrycznego na przedmiocie: „*Made in USA*”, do liter. Było tam, że D.O.M. czy „*Ci-gît*”, że spoczywa w pokoju *Fähnrich* taki i taki, było arystokratyczne nazwisko z „von und zu” i że miał lat siedmnaście.

Co może ostać wokoło kamienia grobowego siedmnastu lat? Co się mogło nagromadzić w takiej przestrzeni czasu? Ile z tego było naprawdę życiem, ile snem dziecinnego pokoju, ile niepokojem dojrzewania, automatyzmem nadpoczynanych dni, jakie marzenia mogły już ubrać się w kształt? Czy wyczekiwania i dreszcze siedmnastu lat mogą być zaliczone w ludzki rejestr? Mój Boże, w siedmnastu latach życia może być tak, że tylko gorycz, że tylko ucisk serca, a kiedy to ma się skończyć nagle i bez szansy na zrozumienie, to gdzie tu miejsce na życie? Tyle tylko czasu było, ażeby zawołać, naznaczyć słowem, ażeby odróżnić tym słowem od innych, przywiązać do tego słowa odległe znaczenie, dać mu to słowo w dłonie, jak lancę z proporcem, i nazwać go chorążym, wywołać go z chaosu i czasu.

Patrzyłem i powracałem do tego kamienia grobowego cudzego dziecka. Co skłaniało mię do tych nawrotów, do zasumowań się, do wzruszeń? Chyba nie zimna elegancja i odosobnienie opuszczenia, w jakim mu przyszło stać w cętkowanym cieniu liści kaliny w plucie jesiennej, w słońcu wiosennym pośród zielonego podgórza, zielonego jak farbka, którą chłopka przygotowuje do pisania jaj wielkanocnych. Wydało mi się, że tym kamieniem została na zawsze i niepowrotnie przykryta moja własna

młodość, stała się kiedyś i teraz osobną i niezrozumiałą dla mnie samego. Tylko szpada w wawrzynie, jak klucz, którym zamknięto przeszłość na zawsze i zamurowano żywcem, świadczyła o nieodwołalności tego.

[prwdr. „Wiadomości” 1951, nr 15, pt. *Młodość utracona*]

Madrygał dla Anusi

A Anusia, Anusieczka, Anusienieczka, to była dopiero, to zachwycenie! Sam tego sobie nie chciałem powiedzieć, sam się bałem. Bywało, że podpatrzę ją, jak się ruszy do okna i spódnica jej rozciągnie się w kroku jak flaga, jak fałda chitonu Niki samotrackiej, i nogę postawi na ziemi tak solidnie, jakby była z marmuru. Bywało, zasunie się jej włos na skroni i rzęsy położą się na policzkach, a oderwie oczy od czegoś, nad czym zajęta, i zatoczy w tył, to tak, jakby nagiął gałąź agrestu.

A ręce po łokcie to miała takie niewinne, jak u dziecka. W tych rękach co wzięła, to nabierało osobnego szczęścia, żeby tam nie wiem miało to być jak trywialne. Do czego przyłożyła ręce, to było już drogie. Ręce to były jakby osobne.

Kiedyś siedzieliśmy na plaży nad rzeką Stryjem – taka małomiasteczkowa plaża, aż śmiech: piasek-piaseczek podołkowany od ludzkich stąpnięć i trawa rośnie kępkami, i dzikie łożysko Stryja: tu płyciuchno do pół łydki, tam, dalej, zapada się głęboko, głupia ta domowa woda: powysypywała okrąglaków i otoczaków, łozy na brzegu i trawa wydeptana tam w ścieżeczki, skąd się dochodzi. I zbieranina miasteczkowa kąpielowiczów, śmieszne to i nic w tym nie ma z konwenansu wszystkich innych kąpielisk, tyle że zabawne mieszczuchy i Żydóweczki paradują w najwymyślniejszych strojach kąpielowych, aż oczy bolą od koloru. Rozbiera się w krzakach, jak przystało nad Stryjem.

Moja Anusia sypie na mnie leżącego piasek z różowych dłoni jak z klepsydry i zakopuje mnie w tym białym piasku. Kiedy leżę, to widzę ją z dołu przyklękłą na piasku, jej uda w zgięciu kolan zgrubiałe i twarde i kolana, aż na nich skóra pobielała, i strój kąpielowy obcisnął się na jej brzuchu, i jest cudowne wgłębienie pomiędzy piersiami, jak obietnica, i śmieje się, a kiedy odchyli głowę od rozpylonego piasku, to policzek zbiega ku brodzie i włosy, najnieporządniej spięte, tną jej kark i szyję.

Wydaję się sobie samemu przy tym tak odstręczający i ordynarny, aż mi krew nabiega do twarzy ze wstydu; myślę sobie, że przecież każdy, każdy to widzi, że nie przystaję do tego, że skąd znowu. Zadziwia mię samego moja własna bezczelność, że jestem przy niej. Chcę się trochę podeprzeć, podreperować. Mówię sobie: już tak jest i nie daj się, nie daj sobie zawrócić głowy; zbiegło się to u niej szczęśliwie, wypośrodkowało w te dziewicze, kobiece, panieńskie proporcje, bo tak się udało, a że włosy… no bo słońce rozczepia się w tysiąc kolorów tęczy, a że uda… no przecież wiesz, jak to u kobiet, jak jest wyłożone tłuszczem, jak tapicerska robota – no nie daj się.

A Anusia sypie piasek i tam, gdzie się go zbiera, urasta kopczyk – stożek sypki i lichy, nietrwały, ale jest ich coraz więcej i zasypało mi kolana, i czuję go pod pachami, zasypywany w kurhany piaskowe.

Aż się boję i chciałbym się obronić przed tym, jakiś… jak się to nazywa? jakże to mówią? instynkt każe mi najeżyć się nagle przeciwko temu. No bo jak się „zaangażuję” zanadto, jak pójdę na to, jak mi to, psiakrew, wejdzie w żyły, to co potem? gdzie się podzieję? gdzie zatoczę chwiejącą się głowę, jak przyjdzie kryzys i nawrót, jak nie będzie więcej dołków w jej uśmiechu, jak cudowne dłonie dziecka szarpną mię za przeponę, wytargną, wywloką ze mnie, wywłóczą kiszki i wątrobę, i śledzionę, ażeby wyszarpnąć serce? Strzeż się Anusi!

A Anusia śmieje się aż po trzonowe zęby i nic nie przeczuwa z bluźnierstw i zgryzot. Zresztą, nie przeczuwając, jak zawsze Anusia, ma rację – niby skąd znowu teraz, teraz, kiedy jest inaczej i słońce, i woda, i śmieje się, skądże znowu ta wycieczka, podróż w przypuszczalne, inne, nieprawdziwe, straszne? Jak zawsze u niej, wszystko jest wspaniałe i jedyne – tak i to. To utwierdza mię raz jeszcze w tym, jak nie przystaję do niej, jak jestem z gruba, przemądrzały i niewart jej. I jeszcze raz przychodzi mi wściekłe, niesamowite, upokarzające uczucie, jak niewart jej jestem.

A czasem wydaje mi się znowu, że to ja jestem wart więcej, bo chociażby dlatego, że potrafię więcej zrozumieć, że jestem bardziej uniwersalny. Bo Anusia, Aneczka to jest jakże regionalna regionalną swoją kobiecością. To paradoks, a jednak tak i jest, pomimo wszystkich jej darów, pomimo bezprzykładnej bystrości, fantastycznej zdolności, umiejętności

przystosowania się. Ma odpowiedź zawsze gotową i celną, a ja, jakby mię zatkało, żuję w sobie gorycz albo gniew albo radość mi się rozpryskuje w dłoniach i siedzę nachmurzony, i nie wiem, jak to ubrać, a Anusia strzeli tylko słowem, zaśmieje się, zazieleni śmiechem.

Ale jest jednostronna tą swoją całą udaną kobiecością. Jest w tym coś bardzo ograniczonego, coś skończonego, aż uderzam się jak głową w mur, kiedy dochodzę do tej skończoności. Skręca się w koło jak wąż, jak obręcz, sama ze siebie wychodzi, aż mię złość bierze. Jest jak boska jałówka Io, która depcze i kroczy, okracza całą Dorykę i Jońskie Morze – kształtna i krowia, łagodna i skończona, Io sponad łąk, sponad ruczajów.

I tu jest ograniczona, bo nie może mnie zrozumieć, nie potrafi, nawet nie potrafi przeczuć, jest taka sama. Dlatego to się pewnie skończy i będę żałował, ach, jak będę żałował! ale ona nie będzie żałowała, bo to jest w innym wymiarze.

I jak tu ująć, jak tu chwycić moją Io, kiedy ucieka i zasypała mię w ucieczce gradem haftek, zatrzasek, puszków, korkami od buteleczek z wody kolońskiej? Jak ją przytrzymać, kiedy ślizga mi się w dłoniach spotniała od kobiecego potu pachnącego piżmem i biletami tramwajowymi? Gdzie ją przytrzymać, kiedy mdleje mi w rękach i włosy jej załażą mi do ust i oczu? Co jej dać, co jej zadać, ażeby się odmieniła, kiedy znika wtedy jak gąsienica w *mimicry* udająca tło: liście bzu, kwiat powoju, sadzę z komina i rozbite przypadkowo szkło?

Modli się i aż jej zazdroszczę takiej obojętności modlitwy, takiego skoncentrowania się, że wydaje się, że modli się sama do siebie.

Mówi i mówi nieprawdę, choćby to, co mówiła, zachłystywała się tym, co mówi, choćby to była najprawdziwsza prawda, to jednak to jest nieprawda, prawda sama jest za łatwa na to, ażeby, wypowiedziana, była prawdą, więc za trudna i łatwo, jakże łatwo myśleć, że to prawda. Prawda jest trudna, prawie że niewypowiedziana.

Śmieje się i śmiech jej jest jak nakręcona katarynka. Śmieje się mechanicznie, bo coś w niej łaskocze się i przewraca, ale jakbym tak stanął, gdybym miał odwagę popatrzeć na nią, zmocować ją wzrokiem, toby zalała się krwią zawstydzenia.

Dlatego to wszystko pomiędzy nami jest niby naprawdę, a jest na lotnym piasku. Tak jak ten piasek, który sieje z dłoni i zasypuje mię. Dlatego może pasujemy do siebie jak kształt i to, co otacza kształt.

Kiedy idziemy grać w tenisa, cóż to za śmiech do rozpuku nasza gra w tenisa, kort tenisowy pomiędzy poczciwymi kasztanami! Trochę mi wstyd tego snobizmu niewinnego, swoich nieumiejętności, pretensjonalnych apanaży w postaci pantofli i slazengerowskiej rakiety, ale z Anusią to nie ma wstydów, ona nadaje styl. Anusieczka, jak się schyli do zawiązania sznurowadeł, to to upnie się na niej plisowana spódnica i krew jej nabiegnie do policzków. Potem zamaszyście serwuje i rozbiegnie się do przeskakującej piłki, odpowie i odeśmieje się. Jakim bym tam nie był patałachem, to potrafię czasami tak ściąć piłkę, że moja panna rozciąga się na cały kort i nic jej z tego nie wyjdzie, i mam szaloną satysfakcję, że zmusiłem, przyniewoliłem ją – gwałt na jej różowym ciele pod słońcem, aż mi pierś stanie w zatrzymanym westchnieniu.

Jest wspaniale i rozkosznie, i osobno na prostokącie kortu odciętym od świata siatką, zapomnieć można o wszystkim, świat został po tamtej stronie, a to, gdzie my we dwoje tylko i nic i nikt więcej, to zamknięte w geometrycznym prostokącie i my sami i tylko sami, a tamto wszystko jak odkroił nożem. Nie liczy się, nie ma tamtego. To jest sztuczne odgrodzenie się, ale przypadkowo pomaga i sprawia satysfakcję. Ile razy byłem z nią, to zawsze miałem takie drobne satysfakcjonujące sytuacje. Jak niebo było pogodne, to z nią wydawało się jeszcze bardziej brylantowe. Jak miało się pragnienie, to szklanka piwa przy niej smakowała dwa razy lepiej. Taka już była Anusia.

Potem jesteśmy zmęczeni i siedzimy razem na ławce w rogu siatki, i jesteśmy znowu szczęśliwi: udało się z nią znowu, bo jakoś nie ma nowych graczy i nasz prostokątny świat należy do nas. Pocieram sobie oko, dlategośmy grę przerwali, bo Anusieczka jak nie wycięła mię piłką w oko, aże mi żółte kręgi zakołowały i zabolało boleśnie. Tak mię zabolało, że nie miałem czasu zirytować się na samego siebie, bo co za pokraczne ustawienie się, niewybaczalne po prostu: w linii piłki! No ale już taki jestem – nie wychodzi mi tak gładko, jak innym, zawsze ustawię się w polu

uderzenia. Przybiegła zaraz do siatki, jak zdyszana! aż jej kręgi wystąpiły koło oczu z niepokoju, i żeby ją uspokoić, to uśmiechnąłem się kwaśno, że niby to nic.

Teraz siedzimy, pocieram to oko, nic mi się tam naprawdę nie stało. Anusia grzebie nogą dołek w ziemi, pochyliła się znowu – i kark jej, i ramiona.

Zamyśliła się, zmarszczyła czoło i nagle uderzyło mię: O CZYM ONA MOŻE MYŚLEĆ?... I mówię sobie: to nieważne. Przecież widzę ją tu i ówdzie, jesteśmy razem, a potem jej nie ma koło mnie, odchodzi, bo ma tam te sprawy panieńskie, bo jest tysiąc głupich innych dziennych spraw, a jak przychodzi do mnie, to tylko dla mnie i wtedy jest ze mną, a tamto jest nieważne. Taka niby-rusałka, co to o oznaczonej godzinie pojawia się, wydziera się z bagna – tutaj, w tej przenośni, to ta woda to ma być ten nie artykułowany świat drobnych, nieważnych, ale nieuniknionych innych spraw. I wstydzę się, że to wielkie pytanie: o czym to może ona myśleć, nie jest naprawdę ważne dla mnie. Wstydzę się, bo to mi odkrywa nieważność jak gdyby całej sprawy. Toż tę Anusię – cud, spektakl zadzierżysty i wspaniały – sprowadzam tą obojętnością do roli, do schematu maszynki, że niby w porządku, nie przejmować się, taka już jest: wszystko w niej udałe, inteligencja tak sprawna, jak w maszynie do liczenia, reakcje tak poprawne i dźwięczne, jak w automacie, gdzie dobrze ponaoliwiane sprężyny, tak jak ona cała. Że zajedzie czasem cudowną naiwnością, to w porządku, zgadza się, bo z tym jest najlepiej, że zdziwi się albo zaśmieje, to to jest właśnie ona jedyna.

Zastanawia mię: co to ona jest, czym ona jest, kto to jest Anusia? Jak ją pierwszy raz zobaczyłem, jeszcze zanim ją poznałem – może to było w przejściu, może na stacji kolejowej, już, cholera, naprawdę nie pamiętam, kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem – to pewnie było, uderzył mię przede wszystkim jej kształt albo ułamek kształtu, który zaleciał mię normalnie, bo może zobaczyłem jej łydki, kiedy stała, okraczając rower, i chustka jej zesunęła się na ramiona, i kosmyk włosów. Bardzo normalne, kiedy się jest mężczyzną i zaleci kobiecością. A potem to pewnie, że wszystko w niej takie było udałe i związane razem. A potem gdzieś ją poznałem, pewnie

przez rudą przyjaciółkę, i wtedy było oko w oko i pochylenie jej głowy, i, naturalnie, owe pamiętne ręce, ubabrane w niewinności po łokcie.

Musiała powiedzieć nawet wtedy coś trafnego i zabawnego może albo mądrego, albo głupiego, może powiedziała, że „gwizda na coś z magistratu” albo coś nietrywialnego, może bez pamięci i zastanowienia powiedziała coś takiego trafnego, że aż się człowiek ogląda za siebie, co za licho, kto jej to podpowiedział.

Potem byliśmy raz na wódce. Potrafiła oprzeć nogę o rurę baru i, zanim wypiła kieliszek wódki, popatrzeć półprzymkniętymi oczami albo zaśmiać się przyjacielsko i trafnie, kiedy, wściekły na siebie i zakłopotany, nie wiedziałem, czy mię na postawienie na dancingu stać będzie w ten wieczór.

Albo jak nigdy nie śpiewała, tak przy jakiejś okazji wyciągnęła coś tak pewnie siebie i tak czystym głosem, że był w swej poprawności nijaki, coś z folkloru, i to nie z naszych stron, tylko z Miechowskiego:

„Tam w ogródeczku lelije, za ogródeczkiem szałwije…
Tam panny siadają, wianeczki zwijają ruciane, ruciane,
ruuciiaane…”

Potem powiedziała mi, że zaczęła studiować medycynę, ale dla zdrowia musiała to porzucić.

Wspomniałem, że kiedyś coś zaśpiewała czystym głosem, coś z folkloru, ale nie znaczy to, że było w niej coś wspólnego z innymi panieńskimi apanażami. Ani nie miała w sobie nic z „ręce w małdrzyk – buzia w ciup”, ani kokieterii szablonowej panienek, ani tego: „panny, jak to panny – zebrały się w kupę”, ani nic [z] takiego chodzenia pod rękę parkami, ani telefonów – odrywania się od rzeczy na dźwięk telefonu, niewydarzona ucieczka od chwili przez mechaniczny zastrzyk, ani „oko”, ani podirytowane stany panieńskie, ani strach i cofanie się, ani wydrowatość, szołdrowatość i szmulowatość. Było w niej coś tak innego, aż wydawało się bezbarwne, ale to paradoks, bo przecież Anusia to była równocześnie jak furkot wstążek i jak zbawienie.

Obrzeż ją sobie, wyfilgranuj, utocz jej obrazek w dłoniach jak glinę, a nie ma pełnego obrazu. To pewnie dlatego, to pewnie ja, a wydaje mi się, że to ona. Czasami miałbym ochotę przymknąć oczy, którym nie dowierzam, i,

jak ślepi, wodzić po jej twarzy dłońmi, ażeby naprawdę wiedzieć, ażeby naprawdę nauczyć się jej; wydaje mi się, że dotykiem sprawdzona byłaby prawdziwsza, „namacalna”, wiedziałbym, że jest. Czasami, zamiast słuchać jej głosu, chciałbym położyć rękę na jej krtani, jak to robią niemi, ażeby wyczuć drganie jej gardła i chwycić w dłoń jej głos, i trzymać jak spłoszoną gołębicę (jaka by tam Anusia nie była cudowna, to jeszcze wydaje mi się to trochę wstrętnym trzymać rękę na jej krtani, na żywej harfie).

Dzień idioty.

Moja Anusia jest jak lunapark. Kręci się z nią wszystko i zanosi śmiechem, wszystko jest w flagach, chorągiewkach i falbankach. Wszędzie jest interesująco, ale już stąd ciągnie gdzie indziej, bo załopocze afiszem na parkanie, zatańczą żarówki sznurkiem jak paciorki, zatupocze jak na deskach sceny albo zasłoni nas cieniem jak skrzydłami namiotu, gdzie wróżą z ręki, z kryształowej kuli i z fusów kawy. Ale już znowu wyrwaliśmy się na otwarte i wszędzie jest zapowiedziane, i wszędzie zaproszą nas śmiech i tirli-tirli muzyczki. Moja Anusieczka to jest i błaźnica, i woltyżerka w trykocie, i ballada wybrząkana sentymentalnie na gitarze w cieniu kasztana. Moja Anusienieczka to także panoptikum osobliwości, jak się ma odwagę w nią zajrzeć: kobieta z brodą, gorylica, anakonda, dwieście kilo żywej wagi (bo mi strasznie leży na duszy, wisi u szyi młyńskim kamieniem), monstrum tatuowane, unikat, Madame Viola i poskramiaczka zwierząt.

Kiedyś widziałem w lunaparku idiotę. Idiotę, głupka, półgłówka poznać po niskim zmarszczonym czole, włosach ostrzyżonych przy skórze, mongoloidalnych, napuchłych rysach twarzy, zaniedbanym, ale schludnym stroju, po zgarbieniu pleców i najbardziej po zadowolonym chytrym idiotycznym uśmiechu. Wodogłowiec-hydrocefal ten obracał się pośród tego fantastycznego świata z satysfakcją widocznie przemieszaną z nieufnością i pełen podejrzliwości. Jego troskliwi opiekunowie zaopatrzyli wychowańca i pieszczocha w drobne, w kieszonkowe, i pochodził teraz pośród rozwirowanego miasteczka, z ostrożnością wyboru i namysłem filistra i Filistyna. Przejechał się raz w kółko na karuzeli, zafundował sobie kolorowej lemoniady, przystanął u koła szczęścia,

pomimo swej idiotycznej godności dał się ponieść małej kolejce przez tunele i mosty i nawet otrzepał sobie spodnie na kolanach z kurzu po jeździe na ruchomych schodach. Przez cały czas namarszczony, chytrze uśmiechnięty do samego siebie, sam, nie przeczuwający swojej samotności, chytry, przechytrze się uśmiechający, kiedy tak spijał śmietankę rozkoszy z wierzchu pośród rozhulanego, rozbawionego, rozszczebiotanego, rozćwierkanego tłumu dzieci, sam, idiotycznie podejrzliwie uśmiechnięty, bez strapień, bez konwulsji i histerii pełnej radości.

Teraz, kiedy obracam się pośród lunaparku Aneczki, kiedy wspominam szaleństwo, muzykę, dzwon, werbel, piszczałki, lutnie, śpiew, kołatki, kogutki piejące, syreny rozwyte, konfetti, ognie, chińskie latarnie jej lunaparku, to wydaje mi się, że stąpałem pośród tego z wdziękiem przeklętym i zgarbieniem łopatek idioty. Wydaje mi się dotąd, że czuję na twarzy zastygłe na zawsze bruzdy idiotycznego chytrego, przemądrzałego, „bujać to my” uśmiechu idioty.

To było tak z Anusią zawsze, że ona była taka sama, a ja przebierałem się ciągle. Raz robię z siebie idiotę, innym razem – impotenta, za trzecim razem – Borotrę, ciągle dopasowuję się do niej jak garbaty do ściany. Cholerny transwestytyzm.

A ona obnosiła się koło tego ze swoją jedyną, genialną kobiecością, dziewczyńskością, dokumentna; wydawałoby się, że przymierzę do niej wszystkie miary. I „przy samowarze siedzi moja Masza”, i na odmianę „*smart as a whip*”, i „wiochna”, i komsomołka z Krakowskiego Przedmieścia, córka rabina. Nie udawało mi się, nie wychodziło. Jak teraz pomyślę, jak się przymuszę naprawdę, to trudno mi zgadnąć. Bo zaraz najeżdża mię tłum gotowych, urobionych, wysztuderowanych porównań, paralel i wysztancowanych cyrkumnarracji. Co się zamyślę, to przypełzną mi „infantylizm” albo wyskubane rzęsy Grety Garbo, albo „proszę o głos” na zebraniu „Odrodzenia”.

A teraz, jak już jestem mądry po szkodzie, to także nie wiem. Może to był szok okresu późnego dojrzewania, że niby jak tu ja, a tu dziewczyna. Ja tu, a tu coś dziwnego, niewytłumaczonego, nasi starzy to nawet nie wiedzieli, jak to ulokować, to mówili o tym przez rodzaj nijaki, mówili:

„dziewczę”, „dziewczęcia”, „wybiegło”, „zapłakało”, „rozpuściło na wiatr włosy”, skądże znowu to nijactwo? przecież dziewczyna to dziewczyna! Co ich tak hamowało, jakież to mieli wstręty? Jakież to mnie samego wstręty, zatrzymania dojmowały?

Że niby ona taka, bo już tak jest. Pochyli głowę i na karku jej włosy kręcą się, szyja zbiega w ramiona, ramiona, barki tak mówiące, jak trzynastozgłoskowiec. W ich pochyleniu, w ich łuku jest tyle wypowiedzianego, cały ciąg wszystkiego, co mi wydawało się ważne i niezrozumiałe. Czasem przebiegnie nimi drżenie niby-strachu, niby-trwogi, tak jak przebiegnie wierzchołki drzew przed burzą. Tak jakby spazm, jakby się nad czymś zatargnęła, aż mi dziwnie i obejdę ją, i spojrzę jej w twarz: co takiego? A ona podniesie na mnie zdziwione oczy: co takiego? A ja nic, udaję, że nic! A może należało wziąć ją za te ramiona i przytrzymać, i zapytać, może to naprawdę coś było, może czekała na to? A ja, jak dureń, bałem się, że to wtedy będzie moja słabość. Wszystko domierzałem do jej stylu, do tego, że frygała jak wrzeciono. Może wydawałoby się, że to jej wina, że jak była taka fryga, to udawała. Ale to już jest tak, że składa się winę na nią, a trzebaż było inaczej.

Bywało, siedzimy w barze i pijemy wódę. Anusia patrzy na mnie i śmieje się i ja się śmieję, a to nieprawda! Już wyciągnąłem palec, już zacząłem wodzić nim w powietrzu, ażeby zarysować sobie, zanim je wypowiem, pytanie, i nic, absolutnie nic! A Anusia ma godność, nawet się nie zapyta, i akceptuje moje „panie Stasiu”, akceptuje moje „to niech pan nam da raz jeszcze z tamtej butelki”.

Bo, weźmy, zaplecie włosy w warkocz i już nie wiem, gdzie jestem – warkocze ładnie zwężające się: grube, gdzie zaczynają się za uchem, potem cienieją i, jak by nie było, od swej ciasności i solidności aż tłuste. I potem pobiegnie warkocz, zakręci się wokoło jej głowy, przewinie i upnie. Jest to tak całkiem inne, tak niezwykłe i osobne, że sama kontemplacja tego potrafi zabić wszystko inne. To podaję tylko jako przykład, jako zastanowienie. Jak pomyślę, jak okręcę sobie jej warkocz tego uprzytomnienia wokoło myśli, to tak, jakbym okręcił sobie ten warkocz wokoło dłoni. Warkocz Anusi to

coś tak solidnego, że jak sobie o nim pomyśleć, to już nie ma miejsca na nic innego. Niby solidne, a redukujące do nicości.

Bo, weźmy, wysypie się jej z torebki coś, upadnie panieńska karteczka, zapisek na kartce wyrwanej z notesu, i pismo jej strome i kobiece, inne aniżeli moje, inne od pisma rękopisu, jakikolwiek widziałem, i to nic, że mogę sobie przeczytać trywialną notatkę – może to był zapisek z pralni chemicznej, może adres i telefon znajomych, może tytuł książki do przeczytania – a pismo jest jak hieroglif, jak nieczytelny, niezrozumiały napis w kamieniu, pośród gąszczy tropikalnych odnaleziony, jak runy, jakie zacina sobie karbowy na kiju, jak szyfr i jak szarada.

Weźmy, na przykład, oprze nogę, o czym wspominaliśmy już, oprze but sportowy o rurę w barze i ma swój szyk i styl jej elegancki but, prawie nowiutka para z magazynu, ale już ścięła leciutko nosek i mikroskopijnie – obcas solidny jak koturn i już zadziwiło mię, gdzie niosło ją, jakie sprawy, co za zniecierpliwienie miejscem kazało jej być wczoraj tu, przedwczoraj tam, kiedy ją znam, że wszystko jest u niej ważne i trafne, więc skądże znowu to zniecierpliwienie miejscem? Przecież jest we wszystkim antytezą mnie samego. A ja nigdy nie potrafię powiedzieć, co dla mnie jest najważniejsze, nie umiem wybrać, nie jestem pewny, że to, co trzymam w tej chwili, jest najważniejsze, najuroczystsze.

To dlatego tak mię zastanawia i zahukuje ta inność we wszystkim: w płci, w charakterze, w błysku oczu, w ruchu ręki, w skłonie głowy. Co za choleryczna antyteza! No to mówię sobie: to tak ma być, jak to tam? „*les contradictions se touchent*” czy jak tam, taka egzogamia wszystkiego, co się znowu tak dziwisz?

Raz miałem takie dziwne zdarzenie. Byłem w domu, ale nie u siebie, tylko u znajomego, o piętro wyżej. Moje okna wychodziły na podwórze, ale mieszkanie znajomka patrzyło na ulicę już bardzo wysoko, bo było mansardowe, i żeby zobaczyć samą ulicę, trzeba było bardzo wychylić się, po prostu karkołomnie. Znajomego nie było, ale zwyczajem mogłem się gospodarować u niego, jak mi się żywnie podoba.

Otóż jestem tam i słyszę w ciszy domu dzwonek w moim mieszkaniu. Każdy lokator miał na dole swój osobny dzwonek. To żeby oszczędzić

sobie schodzenia, wychyliłem się przez okno, ażeby zobaczyć, kto to dzwoni. To była Anusia!

Nie spodziewałem się jej wtedy i niczego więcej nie chciałem widzieć bardziej w tej chwili, jak ją samą. Wychylony w swej karkołomnej pozycji, drżałem z wrażenia spełnionego zachcenia. I nic. Nie potrafiłem oderwać się od futryny okiennej. Wystarczyło zbiec, otworzyć drzwi na ścieżaj. Wystarczyło zawołać, krzyknąć z góry: „Anusiaaa!…” i dać jej znak. I nic. Dzwonek szarpnął po chwili raz jeszcze. A ja, jak głupi, na górze, jakbym ją podpatrywał bezwstydnie i lubieżnie jak Zuzannę w kąpieli, pożal się Boże, co tam było podpatrywać? widziałem jedynie jej szary kapelusik, którego nie znałem, i rękę w rękawiczce na guziku dzwonka elektrycznego.

Trwało to niedługą chwilę. Potem bardzo spokojnie odeszła od drzwi i poszła w kierunku przystanku tramwajowego. Widziałem z góry, jak szła bardzo blisko krawężnika, miała jakby pochyloną głowę, chociaż z góry to trudno określić trafnie. Była doskonale obojętna. Szła, nie oglądając się więcej na drzwi. Chciałem szybko domyślić się jej myśli. Co mogła sobie myśleć? Coś dziwnego było w niej, coś znajomego a bliskiego, ale co takiego? O czym mogła myśleć? I do czego mogła być podobna? I nagle aż mię zatkało, naszło mię, że to nie ona. Nic w niej takiego nigdy nie było. Szła zawsze tak, jakby u celu, gdzie miała dojść, miały być objawienie albo radość spotkania, albo ósmy cud świata. Jak gdyby, obracając się, kierowała wszędzie, gdzie zwrócona, reflektory jak samochód na pełnych światłach. Do czego była podobna? I nagle olśnienie, że to ja, ja sam. Przecież to ja tak idę blisko krawężnika, irytując tym zawsze przypadkowego współtowarzysza spaceru. Przecież to mnie nic nie czeka – każdy to zobaczy, że jak gdzieś idę, to nic mnie nie czeka; nikt tak nie idzie w ten sposób oczekiwany.

Chciałem zawołać, już był najwyższy czas, pomimo ruchu ulicy mogła mię doskonale usłyszeć. Wystarczyło zawołać: „Anuuusiaaa!” i odwróciłaby się, odzyskana i jedyna. Ale nie potrafiłem. Wyciągnięty na parapecie okna patrzyłem w ślad za nią. Idzie wzdłuż krawężnika, omija latarnię i znowu ścina brzeg chodnika. Teraz widzę, że ma pochyloną głowę. Jeszcze czas zbiec szybko na dół i pobiec wzdłuż domów. Ale ja

patrzę w ślad za nią, jakbym patrzył w plecy samego siebie, idącego w swoją bezcelową drogę. Prędko! Jeszcze czas! To dobrze tak sobie mówić, ale to tylko słowa. Cóż to znaczy: prędko? Cóż to znaczy: jeszcze czas?

Odszedłem od okna, chodzę po głupim, obcym, obojętnym mieszkaniu i sam nie wiem. Pytam się samego siebie: co to? Wszystko było w niej takie inne, wszystko było dziewczyńskie, kobiece, zamaszyste, celowe, pełne fantazji i co się zmieniło? Czy oszukiwałem się sam – co to było?

Co to było?

Za dobrą chwilę zleciałem po schodach, zabijając się po drodze. Ulica była pusta, jeszcze pobiegłem do rogu i nic.

To był koniec historii. Prawda, że jeszcze była jedna sprawa – epizod, aż żal i wstyd. Ta jej ruda przyjaciółka zatelefonowała mi: „Na miłość boską, pojedź, bo ona sobie coś zrobi…” Nie tyle przejęty sam, ile popędzony zdenerwowanym głosem rudej, pojechałem tramwajem tam, gdzie mieszkała sama. Dzwonię, nic, więc przez bramę – mieszkała na parterze i drzwi były przez kuchnię, od podwórza, zawsze otwarte. Tyle że przebiegłem kuchnię i przedpokój, w dużym jej nie było, drzwi od małego zamknięte, na klucz? Pchnąłem je tylko raz i puściły, bo nie były zabezpieczone u dołu zasuwką.

Moja Anusia przysunęła sobie stolik toalety na środek pokoju i chwiejąc się na nim, chciała uwiązać u haka w pośrodku sufitu jedwabną pończochę. Tak jak stała, zniosłem ją ze stołu i posadziłem w fotelu. Wezbrało się we mnie wszystko, nie mogłem słowa powiedzieć, bałem się, że [z]wymiotuję. A Anusię rozpuściło całkiem i pociągając nosem, płakała rzewnymi łzami na kołnierz mojej koszuli, płakała i płakała, i nie wiedziałem, co z tym fantem zrobić. Było mi wstrętnie i dziwnie, i żal jak cholera, i strach, co się stać mogło, i śmiech z tej jedwabnej pończochy, ale to wszystko razem było bardzo powierzchowne.

Ale to już był koniec i jeszcze dla uratowania pozorów odbyła się taka scena. Scena w „na górce” u Linttnera, pokoje śniadankowe, tam umówiliśmy się na ostatnie spotkanie. Nieszczęściem po obiedzie i coś tam nie sztymowało, bo na górce podawano tylko obiady, a że było już po

obiedzie, to nie bardzo nas chętnie widzieli. Kazałem sobie dać piwa, kufel na krążku tekturowym, a Anusia powiedziała:

„Proszę o czarną kawę”.

Ale demonstracyjnie zignorowali jej życzenie, nadpiłem swego piwa, ale było gorzkie, Anusia ze wszystkich możliwości mówi mi przez „pan”.

„Niech mi pan zamówi kawę”.

Mówię: Anusiu, Anusieczko, to niemożliwe, to chyba jakieś straszne nieporozumienie, nie wiem, co wymyślić, aż wyjechałem z tym nieporozumieniem.

„Proszę pół czarnej”.

Chciałbym powiedzieć jej: czy pamiętasz? Ale co? wstydzę się: będę jej przypominać, jak mi piasek sypała, jak mię zasypywała, zagrzebywała w piasku na plaży stryjskiej?… Że byliśmy tyle razem?… Wszystko, co było, przecież to było, to nie jest teraz… Teraz siedzimy „na górce” u Linttnera, mam na sobie nowe z igły szewiotowe ubranie od Łopatkowskiego, wielki szyk, i wstyd mi tego nowego eleganckiego przybrania, wydaje mi się jak ornat, jaki wkładano skazańcom wiedzionym na „*auto da fé*”, na całopalenie…

„Czy nie możnaż tu dostać kawy?”

Zawróci mi się nagle w głowie, nadleci, zaszaleje myśl, że to już ostatni raz, że już nie do odrobienia, nie do odstania się, żal straszny i co? a może po prostu najidiotyczniejsze przyzwyczajenie, braknie mi może tylko schematu i terkotu tej samej pasji podmalowanej?…

To było tak, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni: „na górce” u Linttnera, kiedy zostawiłem ją, nie dopiwszy swego piwa, kiedy wreszcie przyniesiono jej pół czarnej, kiedy nowy szewiotowy garnitur od Łopatkowskiego, kiedy wstałem i niezgrabnie i dziwnie rozstaliśmy się, i już jej potem nigdy więcej nie widziałem…

[prwdr. „Wiadomości” 1949, nr 49]

Deszcz

Niektóre sprawy zapamiętuje się w życiu na zawsze.

Pamiętam na przykład jeden deszcz. Musiałem być przez jeden dzień w tym miejscu obcym, nie znanym mi dotąd, byłem tam przez cały dzień i deszcz padał przez dzień cały, i zaledwie ustał nad wieczorem.

Kiedy przyjechałem tam rano, wcześnie, to przyjechałem już za tego deszczu. To było lato i ciepło i nic właściwie nie dolegało owego dnia, tylko deszcz. Było zielono: jasna zieleń wczesnego lata, jasna, srebrzysta i dlatego srebrzysta, że była zaciągnięta szarugą tego deszczu. Na stacji kolejowej trzeba było poczekać, może na to, ażeby ten deszcz trochę przestał tak padać, bo nie było nań rady – deszcz ulewny, ciągły. Potem, jak miałem tam pobyć cały dzień, to i przyzwyczaiłem się do tego deszczu, jakby należał on do krajobrazu, jakby tu nie miało nigdy być co innego, tylko deszcz. Bo ani przedtem tam nie byłem nigdy, ani potem. Mogłem sobie domyślać się, jak tam było za sucha, za pogody i słońca, ale wtedy, kiedy byłem, to był deszcz i zielono. Pamiętam zieleń tego miejsca, jakby zieleń ta, jak farba przez ten deszcz rozpuszczona, zafarbowała wszystko na zielono.

Powiedziałem tu przedtem: szaruga. Otóż nie, nie była to szaruga. Było coś świeżego, żywego w tym deszczu: padał prosto, nie zacinał, nie zalewał szyb okiennych ani ścian, ale w jakiś stanowczy, zdecydowany sposób, gdzie tylko było obrócić oczy, leżał pionowo na tym zielonym krajobrazie z zieleni drzew.

Byłem tam wtedy przez cały boży dzień. I było tam pusto, bo i deszcz, więc wtedy ludzie się chowają, i poza tym był to jeszcze półsezon, więc tych ludzi mało. A więc opustoszałe żwirowane chodniki, „deptaki” nie żwirowane, ale wysypane żużlem, to pamiętam, sztachety domów i willi, cienisto od drzew wysadzających te ulice, rynny chlustające wodą deszczową, mokre liście. Czasem przelatywał jakiś milczący ptaszek i to

było całe życie: lot skośny ptaka z jednego mokrego schroniska w inne. Nawet nie pamiętam, jakie tam było niebo, bo wszędzie były drzewa i przysłaniały je. Nie było także ani powiewu; może zaciągnęło chmurami i musiały się wypadać, i wtedy nie miało go być więcej, tego deszczu.

Już nie pamiętam, po co wtedy tam byłem, w tym miejscu. To dziwne: pamiętam deszcz, pamiętam tło tego deszczu, a poza tym niczego więcej już nie pamiętam. Więc czemu tak zapamiętałem ten deszcz? Jeden z tysięcy, jakie padały w mym życiu. Może to była jakaś ważna sprawa, z którą wtedy byłem tam, i o tej sprawie zapomniałem, a przez jakiś przeskok myśli, zamiast o niej, pamiętam jedynie ten deszcz?

Może szukałem tam za kimś, kto obiecał mi pieniądze? Obiecał, a coś zaszło, może nie można, nie należało na nim polegać, może fanfaronował, a mnie naraził na poranne tłuczenie się pociągiem i na deszcz? Może nałgał, a może to ja jemu nałgałem i stracił do mnie zaufanie, a może to ja go źle zrozumiałem, może wziąłem jego gadaninę za dobrą monetę? Nie pamiętam.

A może to była ta dziewczyna, co powiedziała mi miesiąc przedtem, że to już ostatni raz i że powinniśmy przejść z powrotem na „pan” i „pani”? A ja nie umiałem się z tym pogodzić i wybrałem się, ażeby jeszcze ją zobaczyć i przypominać, i prostować, bo bez niej było czarno, jak czarno! i nie mogło pomieścić się w głowie, że nie da się przekonać, że nie wyjdzie do drzwi i nie powie, że tamto to tylko nieporozumienie. Wyjdzie i zaśmieje się, wyjdzie i zawstydzi się, a po miesiącu niewidzenia będzie taka sama, przytrzyma ręką kapelusz i z boku będzie patrzyła swym profilem, jak dawniej.

A może wysłali mnie, ażebym zabił człowieka? Może ciążył mi w kieszeni przemoczonego gabardynowego płaszcza pistolet, któremu mechanicznie przesuwałem bezpiecznik z „*Safe*” na „*Fire*”? Posłali mnie aż tam, ażebym poczekał, aż będzie wychodził z furtki pensjonatu, i kiedy wystrzelone i usmolone łuski pistoletu będą lśniły na żużlu chodnika, to nawet wtedy nie będę widział twarzy zabitego przeze mnie i leżącego plecami do góry człowieka ze śmiesznie wykręconymi nogami.

Mogły więc to być sprawy bardzo ważne, szczególnie brzemienne w następstwa. A oto z tamtego czasu zapamiętałem jedynie deszcz. Zielony, srebrny, rozpryskujący się jak rtęć, zapamiętałem siwiznę tego deszczu wpośród zieleni, jednostajność i jakąś dziwną świeżość tego deszczu, a niczego więcej nie zapamiętałem.

Potem, wieczorem, ten deszcz ustał. Już była noc, w kałużach wody deszczowej odbijały się latarnie i światła domów, kiedy jeszcze musiałem gdzieś pod mokrymi drzewami czekać na coś po czarnej nocy na powietrzu tak niezmiernie świeżym i deszczowym, a potem wróciłem na stację do pociągu i już nigdy więcej tego miejsca nie widziałem. Zapamiętałem tylko deszcz.

Tak sobie ułożyłem to opowiadanie i teraz przyglądam się swemu dziełu. O czym ono ma mówić? Co za wieść cholerną ma nieść w sobie? Czy ma to być tylko rodzaj sygnału, ażeby odbiorca tego dopowiedział sobie kompletniej, czy też opowiadanie to jest moim osobistym sztucznym językiem, rodzajem volapüku, który jest tylko dla mnie zrozumiały? Czy implikuje ono jakąś… jakieś jedno wzruszenie, które będzie zawsze jednakowo ważne w czasie? Czy będzie zrozumiałe? Czy ma mówić o niedołężności ludzkiego porozumienia, czy o jego bogactwie, które niesie w sobie wszystkie możliwości, wszystkie wariacje? Czym ma być ono? Czy może tylko rodzajem układu elementów, ażeby zakołysało się w jeden rytm albo jedną kompozycję, zadowoliło, połechtało jakieś uwarunkowane, jakieś prawie że fizjologiczne węzły nerwowe czy jak by to nazwać, uderzyło w deskę tego samego rezonansu?

Deszcz, ma z tego zostać tylko deszcz, to znaczy, że niby wszystko jest nieważne, „*matajotes matajoton, ta panta matajotes*”, aż to sięga po jakiś morał, że co byśmy nie przeżywali, to w obrębie spraw nie liczy się to i że pozostaje tylko deszcz. Tak więc z kompleksu utajonego, anarchii, kiedy zapełniam swoje życie po brzegi wyimaginowaną ważnością transakcji dwudziestozłotowej, unoszącej mnie po prowincji i wpośród deszczu do obgryzania paznokci ze zniecierpliwienia. Albo że bolesny zadzior i przepastna rozpacz tego, że tamta dziewczyna wymykała się z samolubnych objęć teraźniejszości, potrafiłby jeden deszczowy dzień

uznać za jedyność godną kolekcji najtragiczniejszych dziań się od stworzenia świata. Albo że był to najaltruistyczniejszy dzień, kiedy w imię czegoś, dla racji takiej a takiej sprawy, w mokry dzień pod zmokłymi liśćmi alei uzdrowiska pomiędzy sezonami potrafiłem zabić z tyłu człowieka, którego twarzy nigdy nie widziałem, i patrzeć na swoje ręce, zanim panika poniosła mnie, jak pijaka, by zataczać się pomiędzy ścianami świata.

Nie wiem… Pamiętam tylko, że był taki jeden dzień i skończył się i że wróciłem na stację do pociągu, i że tego miejsca potem więcej nie widziałem. Zapamiętałem tylko deszcz.

[prwdr. „Wiadomości” 1953, nr 26]

Polowanie z Maupassantem

Pierwsze mioty zaczynaliśmy od wysuniętego na wschód języka lasów, a raczej: młodniaków. Graniczył on od północy ze zwartą ścianą lasów poddębieckich, od południa – z mało uczęszczanymi wygonami chłopskimi. Była to dziwna kraina: kępy brzóz i sosen, wysoka mietlista trawa, zarośla pozbawione liści. Śnieg przysypał to wszystko teraz niezbyt sutym kobiercem, a mróz powlekł kałuże leśne nietrwałą powłoką. Droga wiła się tam niezdecydowanie zakrętami, w których plątaninie błąkał się nie wtajemniczony przybysz.

Nagonka poszła naprzód. My, idąc gęsiego za gospodarzem, na jego milczące skinienie zostawaliśmy kolejno na stanowiskach. Znałem tę partię lasu – zawsze na tych beznadziejnych pustkowiach szła pierwszy raz nagonka, niczego nadzwyczajnego nie można się było spodziewać, ale ogarniała z miejsca gorączka łowiska. Stawałem starannie na ścianie przesieki od strony nagonki, wybierając wyglądające przedpole. Przede mną kapryśnie rozwidlały się łysiny międzyleśne, niektóre otwierały wąskie perspektywy na kilkadziesiąt kroków w przód. Rzut oka w prawo i lewo pozwalał mi ujrzeć pomniejszone i wyczekujące sylwety moich najbliższych sąsiadów, pustą strzałę linii leśnej i daleko na skraju pochylone łby koni z oczekującymi sańmi. Wsuwam nabój do lufy, przy czym wydaje ona dzwoniący szczęk zimnej stali. Jest dojmujące zimno, mimo rękawic palce mam skostniałe, biorę strzelbę pod pachę. Jest niebywale cicho, aż do dzwonienia w uszach. I przy tym zupełnie martwo. Wszystko zastygło w bezruchu. Nie ma zupełnie wiatru. Siatka zarośli przede mną jest sztywna jak druciana.

Naprzód moja normalna wyobraźnia, która mi zawsze służy na stanowisku w miocie, każe mi spodziewać się szeregu możliwości mniej lub więcej fantastycznych, uprzytamniam sobie sytuacje i reakcje i niespodziewanie wpadam w marzenia. Myśl moja, łagodna i upojona

sportem, wyszpula się ze mnie i błądzi. Rozproszone światło, które biel śniegu zwraca bez reszty światu, nie daje żadnych kontrastów. Sprzyja tej myśli, jest jak sen. Myśl, jak niewidzialna fala głosowa, oddala się sferycznie, łagodnieje jej amplituda, potrąca i sumuje się ze wspomnieniami, powstają nowe kręgi i nowe skojarzenia.

Myślę o tym, jaka jest wieś. Świat ogromnie odległy od tego, co zamykają ludzkie skupiska miast. Nawet inne prawa przestrzeni tu rządzą, nie mówiąc już o czasie. Odległości są tu mierzone nie tyle przyjętymi konwencjonalnymi jednostkami, ile tym, co się dzieje i darzy dla nich w tej przestrzeni. Więc „na Brzeźniaki" jest o tyle daleko, o ile idzie się tam rozbawionym towarzystwem po obiedzie lub o zachodzie słońca na spacer, a inaczej z tym, jeżeli jest tam od tygodnia zbiórka markowych kartofli, kiedy liczy się ilość obróconych „gar", a inaczej, kiedy włóczą tam brony, a inaczej, kiedy o sinym mroku idę miedzami podpatrywać sarny o najlękliwszych w świecie sercach i giętkich szyjach. Inna jest wieś w pracy, inna – w pryncypialnych pogaduszkach miejscowych rezonerów, inna – w trywialnie naiwnej pornografii życia seksualnego. Humor i filozofia ludzi ze wsi są im bardzo właściwe i osobne.

Nawet kiedy własne życie miało mię pochłaniać kompletnie, musiałem przeżywać obok siebie życie tych ludzi na wsi. Wydawało się, że przez swój egzotyzm będzie ono bardzo atrakcyjne. Tymczasem kiedy usiłuję przywołać wspomnienia, zjawiają się one i regenerują bardzo chaotycznie. Z mgły wspomnienia występują te lub inne twarze i przepadają potem w nicości. Prawie że nicością wydawało się ich życie dla mnie, a czy nie dla nich samych?

Więc czy są czymś jeżeli nie indywidualnie, to może w masie? Ale w masie rzadko albo prawie nigdy ich nie widziałem. No a, powiedzmy, jarmarki albo święta?

Poniedziałkowy jarmark spełniał jakieś raczej towarzyskie funkcje, bo w owoczesnych warunkach ekonomicznych wsi trudno sobie wyobrazić, żeby wiezienie nie dochowanej świni dwadzieścia kilometrów przy fatalnych drogach było pochodną racjonalnej kalkulacji. Na targ ten ciągnęły szosą wozy. Był chaotycznym zbiorowiskiem ludzi ściśniętych na

placach i targowiskach żywca lub na rynku. Wałęsanie się od jednego tandetnego żydowskiego sklepiku do drugiego. Wśród tego krążyli spryciarze i zgonnicy nierogacizny, niesłychanie szczwane typy, naginające się jednak do hieratycznego sposobu i zwyczaju tego podludzkiego stanu zbiorowiska.

Inny rodzaj zgromadzeń to z okazji uprawiania praktyki i dyscypliny religijnej. Ale to nie była ta bezcelowość, to było skostnienie w tym, kiedy skupiano się po niedzielnych nabożeństwach na cmentarzysku cerkiewnym.

Czasem wydaje mi się strasznym rodzaj gromadnego obcowania ludzi, niedużej komuny, na niedużym terenie, kawałku ziemi. Właściwie nie ma dla nich wzajemnych tajemnic, żyją jak ćmy w jednej jaskrawo oświetlonej latarni, znają przede wszystkim swoje wzajemne słabości na wylot i używają ich przeciwko sobie. Pewnie mają także swoje tereny marzeń niedostępne dla innych indywiduów, swoje mniej lub więcej wspólne tabu i uwarunkowania bronione milczeniem, niedomówieniem, ostatecznie – prymitywnym cynizmem.

Są bardzo zwierzęcy, wydaje się, jakby, idąc za Czechowem, jedynie ból miał być dla nich jedynym ich przeżyciem i tym, co ich uszlachetnia. Chociaż i przeciw temu byli dostatecznie zahartowani. Osobiście dla tak zwanego prostego człowieka żywiłem pewien sentyment wzruszeniowy, nie pozbawione to było nawet pewnej dozy łzawistej, ale może górowała w tym zazdrość o surowy prymitywizm, jaki im przypadł w udziale, daje może to większą łatwiznę w przeżywaniu życia, ma ostry zapach surowizny i potu, jest dalekie od jakiejkolwiek histerii i przemądrzania, od których wstydu nie ma ucieczki. Z drugiej strony, ten sam prymityw owadzi już zupełnie, nie ciasnota, ale brak myśli, natykanie się na pryncypialność pustki, roślinność człowieczeństwa w dzikim, chaotycznym świecie, który nie jest jeszcze światem (żyjemy w świecie okresu aluwialnego – taki sam okres geologiczny, jak sylurski), wydaje się ciasnotą i jedyną ostatecznością. Daleki byłem od jakichkolwiek patetycznych buntów, walk wewnętrznych i to było może dla mnie gorzej, bo nawet nie miałem tego, co daje – usiłowałem nazwać to sobie – prostracja i fizjologiczna reakcja po wyczerpaniu…

Budzi mię, jak grom z jasnego nieba, strzał sąsiada. Wysoka ściana lasów poddębieckich odpowiada stentorowym echem. To pewnie pierwsze ruszyły zające i ktoś zapomniał o lakonicznym gospodarza: „Pierwszy strzał nie do zająca…” Ale momentalnie wszystko we mnie się skupia, mam nieprzemożoną pewność, że za chwilę coś będzie się działo. I dzieje się w kolejności takiej, jakbym już kiedyś to przeżywał z całą wyrazistością, czuję uśmiech, jaki mam na twarzy, i działam tak mechanicznie, jakbym sam siebie kiedyś podpatrywał w takiej samej sytuacji. Przez gęstwinę obsypanych śniegiem świerków przedziera się coś pośpiesznie, dzieje się to w ułamkach sekundy, i na chwilę widzę na dwadzieścia kroków szare cielsko dzika w susie nad rowem leśnym, który tworzy jedyną otwartą lukę przede mną.

Ale dzieje się to zbyt szybko i nie reaguję, chociaż przebiega na dwadzieścia pięć kroków ode mnie. Czuję, co teraz nastąpi. Szedł skośnie do linii przesieki i za chwilę wypadnie na drogę! Czekam na ten moment, starając się opanować z kolbą przy policzku. Jest! Sekundę prowadzę go i ściągam język spustowy. Huk wstrząsa powietrzem ostro i sucho. Zwierzę przekopuje się w galopie przez śnieg, zadziwiająca jest zwinność i akuratność jego ruchów. Dzieje się to już na znaczniejszej odległości sześćdziesięciu–siedmdziesięciu kroków i ta odległość piorunująco szybko się zwiększa. Wyrzucam łuskę z repetiera i składam się znowu. Dygocę z emocji i dzikiej radości. Puszczam jeszcze jedną kulę za szarą sylwetką śmigającą między drzewami i kiedy repetuję znowu, nie ma nic.

Za chwilę, w ciszy nastałej po tych paru strzałach – wszystko jakby ze wstrzymanym oddechem – nadchodzi pan Ł. Patrzy pytająco na mnie i od razu wszystko rozumie. Potem objaśnia mię, co działo się u niego. Odyniec wyszedł na skośny promyk na jego stanowisku, wykonał w tył zwrot i wtedy dopiero wypadło mu strzelać. Słyszał moje strzały i nieomylnym słuchem starego bywalca kniei wiedział, że nic ważnego nie przynoszą. Idziemy na ślad. Po kilkunastu krokach pierwsze kropelki krwi rozpylone na śniegu. Świeże i jaskrawoczerwone. Obaj mamy ciche pretensje do tego, kto to spowodował. Ślad kul po śniegu! Paweł odchodzi trochę dalej

i mówi: „Ooo, kula!” Widać rysę smagnięcia po śniegu rozpalonego stożka pocisku. Skrupulatne badania nic nam jednak nie mówią.

Obchodzimy z daleka i ostrożnie ostatni miot. Przechodzi paru ludzi nagonki milcząco i nie ma nic, dosłownie nic. A mnie niebo pali się nad głową i śmieję się w duchu. Dzisiaj rano, wychodząc do sań, wywołałem Pannę z jej pokoju i nagle pochyliwszy się, objąłem ręką jej kolano w myśl przesądu myśliwskiego o kolanie dziewczyńskim przynoszącym szczęście. Panna stała przez chwilę zdumiona, a potem z krzykiem cofnęła się do pokoju. Śmiałem się z tego zdarzenia i gratulowałem sobie pomysłu i przedsiębiorczości, która mię samego zadziwiła, i trochę byłem niespokojny o reakcję Panny.

Teraz było ważne dla mnie, jak przedstawi się dalszy ślad, który nieomylnie poszedł. O, jest! W głębokim śniegu widać galop wytężony i ślad krwi jeszcze żywej i dużo. Ale idzie do bliskiej granicy i tam ginie. Stop! Dalej święta własność cudza. Patrzymy w nie znany krajobraz i bardziej egzotyczny wydaje mi się z uchodzącym weń postrzelonym dzikiem.

Wracamy do domu. Pan Ł. przywdziewa smoking staromodny i śmieszny i jedzie do sąsiadek – kilku sióstr, starych panien – prosić o pozwolenie podjęcia na ich terytorium postrzelonego zwierza. Ja zapomniałem o Pannie, obchodzę strzelby pozawijane w dery i potniejące po mrozie, przed czyszczeniem. Czekam jutra. Teraz jest już ciemno i pokojówki zapalają kolejno lampy w pokojach. W moim podnieceniu nikt mi nie przeszkadza. Panna także. Ma wyrobiony naturalny szacunek dla wyłączności spraw męskich, nie zastanawia się nad nimi i afirmuje w pewnym stopniu bezmyślnie. Znowu ja mam pewną satysfakcję, że te sprawy męskie oddzielają mnie od niej i stwarzają mi inny, uniezależniony teren. Poza tym jestem w poczuciu swej męskości, chociaż dzieje się to tylko przez ułatwioną sytuację człowieka korzystającego z dobrodziejstw cywilizacji: ogrzanego ciepłym mieszkaniem, regularnym posiłkiem zapewniającym mi w ten dzień mrozu odpowiednią ilość kalorii, cywilizacji dającej mi w rękę precyzyjną gwintowaną broń szybkopowtarzalną,

wysyłającą ekspansywne pociski, które rwą arterie i druzgocą tkankę kostną zwierza.

Następnego dnia pan Ł. jest niespodziewanie zajęty i ja sam, w towarzystwie Pawła, jadę do poddębieckich lasów. Panna już jest zniecierpliwiona i zaniepokojona o swój stan posiadania. Nie daje mi tego słowami poznać, ale czuję jej dezaprobatę. Dzisiaj nie dotknąłbym już jej kolana, chociaż ten gest wczoraj po powrocie zjednał mi jej śmiejący się błysk oczu.

Ale się wyrywam i od razu wpadamy w samo słońce, takie, jakie może tylko być wspaniałe słońce krótkiego zimowego dnia, kiedy jest prawie dwadzieścia stopni mrozu. Jedziemy niskimi sańmi naprzód przez wieś: wśród rozrzuconych chałup, rozrzuconych i pochowanych w zaspach domów z wysoko sterczącymi miotłami drzew i zabawnymi figurkami dzieci w zimowym okutaniu. Potem jest pole poranione miedzami i skibami i czerniejące czarnymi łatami wywianego śniegu. Porzucamy wreszcie drogę i zjeżdżamy ku ścianie lasów poddębieckich, gdzie ma być gajówka.

Dom gajowego stał kiedyś na skraju samego lasu, ale teraz między nim a lasem jest obszerna pustać poręby. Dom stoi teraz na wydmuchowisku i wśród przewianych śniegiem ogrodzeń. Kiedy tam wchodzimy, uderza w twarz gorąco wnętrza izby i zaduch biedy, dzieci i jakiegoś żywego dobytku trzymanego w izbie. Gajowy poddębiecki jest młody i przystojny. Wciągał właśnie buty, był uprzedzony o naszym przybyciu i jego celach. Jego żona, także młoda kobieta, trzyma na ręku kapryszące niemowlę, idzie od niej zapach mleka, dwoje innych dzieci, prawie nagich, siedzących na łóżku, przerywa swe zabawy tam i otwiera na nas oczy okrągłe ze zdumienia i ciekawości. Są małe, tak że niewiele jeszcze wrażeń miały w życiu i nasze zjawienie się na tej pustaci jest dla nich piorunującym fenomenem. Ich ciekawość krępuje mię, zawsze krępuje mię, kiedy wobec dzieci mam reprezentować dorosłe społeczeństwo. Izba jest bielona, widać, kilkakrotnie w miejscach, które jej biel najbardziej narażały na szwank. Wisi kilka jaskrawych obrazów religijnych – ordynarne jarmarczne litografie – za jednym zatknięta jest palma wielkanocna w papierowym przybraniu popstrzonym przez letnie muchy. Jeszcze jakieś fotografie,

jakieś grupy rodzinne czy wspomnienia ze służby wojskowej. Na stole znajdują się źle utrzymana dubeltówka strażnika i resztki śniadania, które do bukietu woni tego mieszkania domieszały swój mdlący zapach.

Gajowy jest grzeczny i jakby trochę drwiący, jego żona jest trochę zażenowana nieporządkiem domu, ale nie bardzo. Mój Paweł odprawia przepisane dobrym tonem i obyczajem banalne rozmowy na tematy zawodowe i ostatnich nikłych zdarzeń dziejących się w najbliższym promieniu trzydziestu kilometrów, wreszcie zabieramy się. Dopiero sadowiąc się na sanie, zaczepiamy o właściwy przedmiot i cel naszego tu przybycia, tamci zaczynają operować nazwami i topografią nie znanego mi terenu, siedzę jak na tureckim kazaniu. W każdym razie kopiemy się w nieomylnym kierunku. Konie idą dobrze, sanie zapadnięte w śniegu po szczeble przykrycia suną gładko i śnieg rozpylony przez kopyta wznosi się tęczową kurzawą w promieniach słońca.

Potem oni przechodzą na obce mi tematy, a ja zastanawiam się nad życiem tego młodego człowieka, życiem, w które przed chwilą zajrzałem. Musi to być coś o podkładzie bardzo fizycznym. Zagubieni na skrajach lasów, sami ze swoją miłością, robiący dzieci. Nad nimi jedynie czasza nieba zmienia się i ubiera w tła rozmaite dnie i noce. Usiłuję wyobrazić [sobie] siebie i Pannę w takim życiu: oderwanym, wypranym zupełnie z jakichkolwiek innych pożądań, pretensyj, marzeń i zawodów. Czy byłoby ono tylko jednym dniem, czy całą wiecznością?

Przywodzi mi to na myśl gdzieś kiedyś czytaną nowelę Maupassanta o córce pułkownika kawalerii, która ucieka z podoficerem. Mieszkają na Korsyce i autor słyszy jej opowieść, kiedy ona jest już staruszką sprościałą i zniszczoną przez warunki i czas, zgłupiałą i zordynarniałą u boku roztyłego męża, który teraz jest tylko resztką człowieka w przeobrażeniu roślinnego życia i w czasie, w prymitywie warunków. Ale, zapytana o istotę rzeczy, zbiera resztki zagłuszonej inteligencji, żeby móc powiedzieć, zapatrzona wstecz: „Byłam niezmiernie szczęśliwa…” To jest literatura, ale myślę nad tym, nie brak mi wyobraźni, żeby sobie wyobrazić nas, z Panną, oderwanych, samych, w prostocie, szarzyźnie i takim sprościeniu, gdzie by

szczęście miłości było naprawdę. Siedzę tak i myślę tak długo, aż obruszam się sam na siebie za ten rodzaj egzaltacji.
Droga jest drogą leśną, kręci się i załamuje niespodziewanie, lasy tu są, mimo swych obszarów, w trakcie gorliwej, w miarę dozwolonych granic, eksploatacji i nie ma śladów życia – nie to, co w lasach pana Ł., który gospodaruje łowiecko i z zamiłowaniem. Zwierzyna przychodzi tu w poszukiwaniu warunków albo, jak w tym wypadku, z farbą. Nasza droga naprowadza nas w końcu na granicę i w pewnym miejscu wszyscy trzej równocześnie widzimy ślad przeskakujący drogę. Zeskakujemy ze sań.

Słońce jest kosmate od promieni na niebie głęboko błękitnym. Nie czujemy kąsającego mrozu. Odbywamy naradę. W jej wyniku gajowy poddębiecki ma zajść w najbliższym kwartale drogę, a ja z Pawłem będziemy iść po śladzie. Konie odchodzą, żeby czekać w wiadomym miejscu. Zaczyna się pościg. Idę przodem z repetierem w zmarzniętych rękawiczkach, za mną w przyzwoitej odległości idzie Paweł. Wpadamy w nieprzebyte chaszcze porastające stare poręby. Ślad jest wczorajszy i krwawi. Idę naprzód ze słabą świadomością tego, że idę za rannym dzikiem, co podobno nie jest najpewniejszą asekuracją życia. Nie mam nawet świadomości jakiejś szczególnej odwagi, myślę, że nie należę do ludzi odważnych w szczególnie doraźnym znaczeniu, raczej dzieje się to u mnie wtedy w jakimś transie, za to sytuacje przypuszczeń, przywidywań i nerwów stwarzają u mnie stany wahania, które wywołują rumieniec.

W każdym razie teraz, pchając się przez krzaczowiska i gałęzie, na pół oślepły od sypiącego się zewsząd potrącanego śniegu i pole widzenia w rzadkich chwilach swobodniejszych na pięć kroków zaledwie, nie tyle nęka mię myśl nalezienia na rannego i zagniewanego odyńca, ile nieprzyjemna obecność Pawła z tyłu, za plecami, z napiętą iglicą starego pordzewiałego wojskowego karabinu, który jest jego służbowym wyposażeniem.

Przechodzimy w ten sposób jeden i drugi kwartał; po każdym wyjściu na linię wytrzepuję góry śniegu zza kołnierza. Ślad niknie i pokazuje się. Promienie słońca sączą się przez wzór z gałęzi osypanych śniegiem. Gorączka pościgu przejmuje mię, częściowo udziela się mym towarzyszom.

Wreszcie natykam się w zadętym śniegiem krzaczowisku na miejsce, gdzie leżał przed chwilą. Spędził tu noc i kałuża krwi oraz wygniecione w śniegu wgłębienie znaczą miejsce jego złego spoczynku. Ruszyło go przed chwilą nasze zbliżanie się. Przed chwilą tu był i ważył szanse ucieczki lub ataku. Kiedy byłem przed półminutą o dwadzieścia kroków z rękami ściskającymi broń, wtedy tak nieużyteczną i niezdarną w tej gęstwinie i oślepieniu, gotował się może do nagłego wypadu swego trzystokilowego cielska, swej inteligencji instynktu i decyzji rozstrzygnięcia sytuacji obcej dlań i wstrętnej, jak tylko wstrętna może być śmierć w naturze.

Potem podniósł się na nogi i poszedł na północo-wschód szlakiem najbardziej dziczym i wybranym ze wszystkich innych nieomylnie i nonszalancko. Ślad znaczyło jeszcze parę kropli krwi, a potem już nic. Zostaliśmy sami; bez porozumienia wiedzieliśmy, że na nic wszystko, że tyle widzieliśmy.

Ale dzień był wspaniały i wracałem jak upity. Dzieliłem się tym, co miałem w kieszeni brzęczącego, z mymi perypatetykami i zadowoleni ze siebie pożegnaliśmy się na skraju pól.

Teraz dopiero zobaczyłem, że krótki zimowy dzień kończy się.

[prwdr. „Wiadomości Polskie Polityczne i Literackie” 1943, nr 51–52, pt. *Polowanie świąteczne i Maupassant*]

Biały mazur

Naprzód trzeba się całkiem zagubić, zapomnieć, że się jest sobą, zapomnieć o ambicji dnia i ambicji miesiąca, i ambicji roku. Zabawić się w jakiegoś jogę indyjskiego, kiedy siedzi, nogi skrzyżowawszy, i ma płaskie stopy pod udami i płaską pierś, której westchnienie prawie że nie podnosi, a oczy w słup, a włos matowy i przysypany popiołem pokuty, a w bezradnych dłoniach, otwartych ku górze, dźwiga to nic, którego się pozbył i bez którego pozostaje.

Naprzód więc trzeba się pozbyć wszystkiego, wywrócić białka oczu do wnętrza, ażeby nie widzieć ani mrówek pośpiesznie i drobniutko, i chyżo mijających się w swej krętej dróżce-mijance, ani nie widzieć na dziesięć kroków, gdzie bliźni zabija bliźniego i wbija mu powoli, jak na filmie zwolnionym, nóż tuż powyżej obojczyka, i zaraz bluźnie krew i czarnym strumieniem rzygnie, i wypchnie ostrze noża, ani nie widzieć dalej na milę, gdzie drążą dół, ażeby dobyć glinę – chłop o grzbiecie mokrym od potu i nogawki od spodni ma podkasane, i stoi na dnie dołu na śliskiej desce, i nabiera łopatą glinę, i podaje ją wyżej, gdzie na oślizgłej desce stoi drugi i podawaną glinę nabiera łopatą, i podaje ją na kondygnację wyżej, a na górze strycharze mieszą glinę stopami, jakby wytłaczali wino, i formują ją i strychują w cegły, które wychodzą potem z pieców podobnych do grobowców rumiane i sypiące się cynobrowym pyłem ceglanym, i potem podają je mularzom, a mularze, jak masońscy bracia, mają fartuchy u bioder i kielnie, i trójkąty, i piony, i wasserwagi i kładą je na mokrej piaskowej, wapiennej zaprawie, i postukują je młotkami, i kładą je „głową” albo „wozem”, albo „kowadłem”, i rośnie mur, i staje ścianą, i wyżej, i wspina się, i staje urwiskiem, naroża ostre i bezlitosne, piony żelazne, rośnie suma warstw, odbiega od ziemi, zawisa w górze, płacze u dołu smołowymi łzami izolacji, wieńczy swe gzymsy przysiadającymi na nich gołębicami, wyrzyna się na niebie konturem, nastawia swą pierś wiatrom,

zamieciom, rzuca cień krwawy na ziemię, czarna jest w zachodzie słońca i złota o wschodzie.

Ani nie widzieć na tysiąc mil, ani na dwadzieścia tysięcy, kiedy rozwiną przed nami rulony map, kiedy wysypią przed nas mak statystyk, indeksy diabelskie, kiedy ukażą nam widma spektroskopu i babilońskie kartoteki i wyryją nam to w kamieniu, i utwardzą na taśmie filmowej, i otworzą ludzkie czaszki, ażeby pokazać fałdy szarej masy mózgu, kiedy powiedzą nam słowo i inne słowo, i tysiąc innych słów, i dwieście tysięcy innych słów i powiedzą, że tak już było, że to, co jest teraz sekwensem, to tego, co już było, że przeszłość wżera się w teraźniejszość, że tu jest okrąg, a tu jest granica, że to jest dobre, a to jest złe, że to jest kula, a to jest pseudokula, to jest ojciec, a to jest syn, to jest „Przybądź, Duchu Święty, oświeć serca i umysły nasze…”, a to jest „Łączę wyrazy poważania i szacunku”, a to jest „Potrzebny od zaraz zdolny kamizelkarz. Warunki według umowy”, a to jest „…dokolusineczka, moja kochaneczka!”

Jak popatrzeć, to nie widzieć wyuczonego kształtu, tak wygładzonego w swej znajomości, codzienności, tak wyślizganego od patrzenia, jak stopy Chrystusa w kruchcie kościelnej, wyślizgane dotknięciami, pocałunkami i westchnieniami pobożnych. Nie widzieć i nie być oswojonym, popatrzeć inaczej, zmusić się do tego – ciężko to – ale się zmusić, jak potrafili się przymusić impresjoniści, co tak chwalebnie biorą nas za rękę i wyprowadzają w „plener”, i pokazują, że cień, że sito liści, że palisada łodyg, że łuska na wodzie, kiedy wiatr dmie po jej powierzchni, że pokraczne konary drzew, że tu jakaś plama, że tam jakaś plama, i pokazali, a wziął ich przedtem za rękę jakiś chiński albo perski malowidełkarz, jako że nic nie ma z niczego, z samego siebie, i pokazał. Ale uważajmy, ażeby nie wpadać w tę chińszczyznę, bośmy mieli odgrodzić się od wszystkiego. No to dalej uważajmy i odgrodźmy się i od znajomego dotknięcia kołków w płocie, kiedy przebieramy się najbłotnistszą uliczyną wsi, kiedy miesi się środkiem błoto i kałabanie, i w nich topiel niebieska albo szaruga, a my popod zwisające przez płot gałęzie wiśniowe i trzymamy się rozchwierutanego płotu krzywej drogi wiejskiej, kiedy okna u zahaconych ścian mają łach, gałgan zwinięty w kulę i wepchnięty w miejsce wybitej

szybki, a jesteśmy tak zdeterminowani i zimni w swoim postanowieniu, że wobec tego stać nas na takie porównanie: właśnie kałuża, topiel w poprzek drogi wiejskiej, od płotu z jednej strony do drugiej, z wysterczającymi z jej zasutej mętem i źdźbłami słomy powierzchni garbami kolein – szczerbatymi graniami błota, i kiedy wychwytuję kołki płotu, ażeby przebrać się na drugą stronę, to co mi się wydaje? że nie ma skali i że to jest Magellańska droga: Cape Horn i Tierra del Fuego. I niech mi to będzie wolno. Niech mi będzie wolno tak samo wybierać się po paczkę tureckiego średniego do żydowskiego sklepiku, gdzie pachnie właśnie landrynkami, brudem żydowskim, cykorią Francka i Syna, bułkami czworakami i „szwarcem", i skórą batogów, tak jak jakiemuś psiakrewskiemu Magalhãesowi albo kapitanowi Cookowi można było przebierać się po korzenie Kathaju, a na fantazję także sobie mogę pozwolić, kiedy wolno było tamtędy przebierać się starożytnemu flisowi Coleridge'a, żeby nawet miał ściągnąć na swą głowę los, ustrzelając żagloskrzydłego albatrosa, a Cape Horn, piramidy jego urwisk mają swe stopy po kostki w szarej, stalowej, brudnopopielatej złej fali oceanu i poprzez mgły morskie zacinający lodem, igłami lodowymi, zadymą śnieżną, przemarzający do kości wicher dujawica bezludnego uroczyska, i poprzez te welony i krepy, kiedy trzymam się olodzonych sztag w rozpaczy opuszczenia i beznadziei, poprzez skiby wodne oceanu patrzę ku twardym, niedostępnym, upartym, samolubnym skałom Cape Hornu.

Potem wracam do domu, tym razem drogą, a właściwie: nie drogą, a przejściami poza chłopskimi obejściami i stodołami, dobrze udeptanymi ścieżkami, kędy wszyscy obchodzą i omijają te drogowe roztopy. Trzeba ostrożnie omijać odchody ludzkie, bo tam także wychodzą wsiowi na załatwienie najprymitywniejszych potrzeb, tam spotykają się o zmroku albo w ciemnościach wieczornych kochankowie i tamtędy przemyka się złodziej z ćwiercią owsa wyniesioną i podaną mu ze spichlerza przez fornala, tamtędy, wycierając żegadło w połę kożucha, żegadło zrobione z kosy, ucieka na oślep morderca wiejski, tamtędy bryka zagubione cielę, tymi pozachałupnymi drogami idą rzędami dziewczyny wiejskie w ich sztywnych krótkich spódnicach i chustkach przewiązanych na krzyż, kiedy

idą do cerkwi, tamtędy w chudym trenczkocie i utaplanych półbucikach przeprowadzany jest emisariusz, delegat UNR z miasta, kiedy idzie na spotkanie umówione, i tamtędy dwu policjantów, „szandarów”, ze szpikulcem bagnetu na przewieszonym na rzemieniu karabinku i wyrywa się im ze smyczy wilczur tresowany, tamtędy idzie Paweł i kusztyka po „chłopczyków” do nagonki, i pachciarka Judka utaplana – do swoich głodnych i mnogich dzieci, tamtędy kocur przebiera się na rżyska za polnymi myszami, tam straszy o północy, marznie gruda w osędziałe od szronu poranki, tam gromadzą się wrony, tam najsmutniej odbija się słońce w kałużach pod ciężkimi worami chmur, Boże, jak straszne i bliskie, i dalekie jest to korso, promenada, „*la salle des pas perdus*” na wsi, w powiecie rawskim: z jednej strony pola, miedze i rowy polne, i ondulacja płaskich wzgórz, i podmokłe łąki, biegnące ku wodzie, z drugiej – czarne od wilgoci strzechy dachów, grusze drżące listkami jak osiczyny, buki przy cerkwi, gnojówki podwórz i droga biegnąca pośród płotów i wygonów, z kałużami i przeglądającymi się w ich oceanach błotnistymi wybojami jak skały Cape Hornu.

Potem wysypuję na gazetę kopicę siana tabacznego z paczki tureckiego średniego, mosiężna „maszynka” do robienia papierosów, drewniany tłoczek, i powoli nadziewam gilzy z kremowej bibułki, układam systematycznie pryzmę z papierosów, obcinając porządnie ich rozczapierzone głowy. Zapalam jednego papierosa ponad szkiełkiem lampy i dziwny jest ten pierwszy sztach, przyswędzony ponad szkiełkiem, i jak pociągnąć i zaciągnąć się, dym zakotłuje się w pufy wokoło szkiełka i potem rozciągnie się w pokoju w długie smugi i welony. I jak wstrzymać oddech i nie zamącić go, to niesie się tędy i tędy i przeciąga w lubieżne i leniwe welony, i goni za nim mój wzrok, dopóki nie zaskwierczy na końcu tektura gilzy i nie przygniotę go w glazurowanej trywialnej popielniczce, którą ofiarowuje mi na zakończenie mych marzeń narkotycznych mój świat banalny, który jest dookoła mnie.

Trzeszczą brzozowe polana w piecu, przez szczeliny drzwiczek lanych z żelaza widać niespokojny płomień i wiele razy szpary pomiędzy nadłupanymi otynkowaniami pieca zalepiano gliną i pobielano, i znowu się

to tam poodpryskiwało, ciepło sieje się i promieniuje od pieca, pęknie czasem coś w drzewie piecowym i puknie mebel w pokoju. Czarne okno wychodzi na ogród zimowy, zgaduję zaglądające w nie drzewo, obce, cudzoziemskie drzewo, które rośnie przed mym oknem cudzoziemskie i niedyskretne jak podróżny z zamorskich krajów obserwujący sobie krytycznie, jak tu żyją ci Hiperboreje; długie, chude pnie i teraz nawet, w zimie, wiszą z ich gałęzi jakieś strąki jak z peruki zamorskiego diabła.

Mój pokój jest szkolnym pokojem, a że teraz wakacje świąteczne, więc mi tu wstawiono łóżko, nie naruszając zresztą chirońskiej atmosfery wnętrza. Wzdłuż ściany oszklone szafy biblioteczne zamknięte na klucz (tak samo, jak według starego, jeszcze szesnastowiecznego zwyczaju cukiernica jest zamykana na klucz, że to wtedy był kanar tak wyszukany i drogi, a teraz to przecież największa jeszcze tanizna). Więc zamknięte na klucz, tyle że przez szkło mogę widzieć grzbiety książek, więc: „Bibliothèque rose” z historyjkami dla panienek, a jakże, Verne’a *Przygody na okręcie „Chancellor”* i *Wśród dzikich plemion Buchary*, Daudeta *Monsieur le sous-préfet aux champs*, Guy de Maupassanta *Contes choisis*, Anatola France’a *L’Étui de nacre*, Euckena historia filozofii, Axela Munthego *Księga z San Michele*, Wassermanna *Sprawa Mauriziusa*, *Mały Larousse*, *Teka malarstwa polskiego*, *Les petites illustrations*, „Le Temps”, *Listy* panny de Lespinasse i *Żywot Mikołaja Srebrempisanego*, Spausty *Na tropach* i co by tam nie było jeszcze, groch z kapustą, ładnie pooprawiane w papier pakunkowy i atramentem powypisywane tytuły, autorzy i numery, aż tu mię dogania niespiesznym krokiem gąsienica, nieskorym czołgiem larwa biblio-książko-papiero-bibulasta, kęsając i żując, i ślini się jej pysk od miazgi papierowej, trą żuchwy na sieczkę i trociny papierowej makulatury, tnie się i wwierca przez mój mózg szeleszczący papierowy świat, który rozszargał się przede mną i zaplątał, i zatłamsił ten inny świat, aż zidiociałem od tego, nie wiedząc, w którym naprawdę świecie się znajduję, co jest prawdziwsze: czy „*ad pulchritudinem tres requiruntur: integritas*, *consonantia*, *claritas*”, czy Proxima Centauri, czy przepis na galaretkę owocową albo barszcz z rurą, czy regulamin musztry formalnej piechoty, czy architektura kościoła św. Prokopa w Strzelnie, pragmatyka

służbowa dla nauczycieli szkół powszechnych, manifest formistów, cennik maksymalny – wszystko to, co chce uporządkować ten świat, ponazywać i zebrać w harmonijną całość. Dlaczego ci właśnie, co własnymi rękami urabiają odpowiedzialnie jedną harmonijną całość i biorą za nią odpowiedzialność – mam na myśli zawody, rękodzieła: solidność, celowość szewskiej roboty, kiedy szewczyna ciągnie zębami dratwę, klepie skórę i potem mu wychodzi właśnie bardzo skończony kawałek roboty, albo cieśla, albo bednarz: parzy te klepki i pasuje obręcze, stolarz: klei swoje schodzące się na włos winkle i cynki – dlaczego właśnie ci, chyba zmęczeni tą akuratnością i celnością, i okrągłością, jaka im wychodzi z roboty, najbardziej skłonni są potem do anarchii, stąd ten anarchiczny szewski poniedziałek, kiedy upił się po niedzieli jak szewc, dlatego najzręczniejszymi dynamitardami i ciskaczami bomb, poczciwych staroświeckich bomb zeszłego stulecia, jak to się mówi, to byli właśnie że zegarmistrze.

Więc skądżeż tu znowu te anarchiczne dygresje, ten nagły wstręt do porządku i harmonii, czyżbyśmy nie pokrywali czegoś niedopowiedzianego, wzywając na pomoc duchy anarchistów i *nieposiediuszczich* burzycieli? Przecież tu, w tym pokoju, jak Herakles, w ramionach Maruszki chciałem pozostać, ze Heraklesowskich prac i heroików wybrawszy wstęp, uważając, że nawet gdyby tylko to miało pozostać, to lepsze aniżeli Tezeuszowska droga heroiki na mniejszą, możliwszą, ale mniejszą, kameralną skalę. Tutaj więc w ramionach Maruszki zapominałem o napiętrzonym świecie, jakby go nie było, jakby ten świat był tylko deseniem tapety dziecinnego pokoju, kiedy dziecinnymi oczami doszukuje się w nich zabawy, kształtu, strachu, wszystko jest wolno w ścianach dziecinnego pokoju; tutaj byliśmy my, a tam był świat wybzdurany, naopowiadany, a nawet oczekujące „prace” były fikcją, z której można było się śmiać albo grymasić, albo mówić sobie, że to inne aniżeli białe okrągłe ramiona Omfali, czad jej oddechu.

To tu było inaczej wtedy, rozmaiciej, mniej prawdopodobnie, a teraz, jak czas przeminął, jak czas przegryzł jeden za drugim węzeł, kiedy czas wyrównał kontrasty, to staję w bolesnym zdumieniu, że tak być może, czy

tak być może, jak skazaniec, któremu przy werblach odczytują sentencję wyroku i dziwi się, że tak być może, że tak być może…

Dom jest odbudowany po pożarze wojennym tamtej wojny, dozorował tego architekt z Zamościa, pijak, ręce to mu się o, tak! trzęsły w jakimś tam stadium już choroby Korsakowa czy delirium, że ołówka nie mógł w palcach utrzymać, ale attyka i pedyment, i kolumny ganku bardzo galancie i świetnie trzymały się kupy, ale za to wnętrze było łatane, co tu mówić, to nie czasy na magnackie zachcianki, więc stolarz wioskowy i zdun wiórowali i lepili po swojemu i wyszło to właśnie bardzo surowe i swoje, i dlatego podłoga goła i surowa, i sękata, i do tych sęków mi właśnie przyszło. Kiedy w nie patrzę, w ich znajome oka agatowe, to chciałbym ich nauczyć się na pamięć. Jak kiedyś szedłem za trumną drogą, to tak patrzyłem właśnie i uczyłem się na pamięć mory słoi i sęków trumiennych, ażeby zostały ze mną na zawsze; kiedy już tam mają próchnieć i gnić, i sczeznąć, to niech tu ze mną zostaną, niech się odbiją na mej duszy kamieniem jak sęki i słoje oszalowania robót betonowych i niech ze mną zostaną na wieki.

Więc ręce w kieszeniach od spodni i chodzę, i uczę się sęków podłogi na pamięć, niech je mam w duszy, niech nie przepadnie, chodzę, mechanicznie sięgam po papierosa i odpalam go ponad szkiełkiem lampy, i dziwnie smakuje pierwsze sztachnięcie się, niezapomnianie, i jestem sam, podpatrywany przez czarne okno przez dziwaczne strączaste cudzoziemskie drzewo.

Przed samym wyjazdem na polowanie odbyło się losowanie stanowisk, więc w jednym kapeluszu były kartki z nazwiskami, a w drugim – numery. Potem kolejno zajeżdżały przed ganek fornalskie wozy, konie fornalskie, wypasione na braże gorzelnianej, brzuchate od tej bragi, dymiły w chłodzie wczesnego poranka, wozy to były zwykłe fornalskie, tyle że wyścielone słomą i miały zdjętą jedną drabinę, tak że siadało po dwu, zwieszając nogi. Było to bardzo prymitywnie, improwizowanie i miało fantazję w tym improwizowaniu.

W powietrzu śmierdziało od zimy, ale śmierdziało jesiennie od butwiejących liści, od badyli śliskich od mokrości, od dymu chałup

chłopskich, śmierdziało od siniutkiej mgiełki, od powróseł słomianych, od grochowin ohacających chaty, od buraków dołowanych za oborą, od krowiego nawozu, od koksu w kuźni, od wiórów stelmacha, od kurzych odchodów dolatujących od kurników, od mleka wirowanego w mleczarni, od psów, które obwąchiwały końskie pęciny, od rżysk na polach, od skóry pokrowców i futerałów na strzelby, od grzybni toczącej się w mchu i trawach parku, od kisnących w cieple stogów słomy po wymłóceniu, od żydowskiego wioskowego sklepiku: tanie landrynki i tytoń, od pazuch fornalskich i kiecek dziewczyn folwarcznych, i perfum tak zwanych skórzanych i „męskich” pań domu, od wody kolońskiej świeżo ogolonych panów, od czyraków w pachwinie karbowego Hilka, od gratów na strychu i spirytusu lamp palnikowych.

Dzień jest zimowy, ale lekki i chłodny. Po pierwszym śniegu, który spadł przed Bożym Narodzeniem, nie zostało ani śladu i czeka się na ponowę. A teraz jest nieokreślenie: ani to zima, [a]ni to jesień, wydaje się, że czas stanął i zawahał się, i szalona uciecha jest z tego zatrzymania się czasu. Niebo jest perłowe nad głową, zaciągnięte chmurami koloru lawendy i czuje się, jak poprzez nie przebija niebieski błękit. Ale że to dzień zimowy, więc słońce gdzieś nisko, więc nie ma światła za wiele, ale na tyle, ażeby było rześko i wesoło. Pewnie dodało do tego wypicie kieliszka wódki do śniadania, a wódka nalana z ordynarnej karafki i dziwnie smakuje po kawie i chlebie z masłem, że tam do tego przegryzło się trochę poprzerastałą tłuszczem szynką.

Jak jest blisko do ziemi od ciepłego komfortu domu, kiedy wolno obracają się obręcze fornalskiego wozu, mieszą się w solidnym, gęstym błocie drogi i odrywają się od nich czasami ostrużyny błota, i tam, gdzie kopyta koni rozciapią kałużę, pryśnie kropelkami błotnistymi na loden mojego płaszcza. Siedzi się na desce dnie wozu, nogi majtają sobie parę cali nad ziemią, bo jedna drabina zdjęta, więc siedzi się bokiem do kierunku jazdy. Fornal jest przepasany pasem po kurtce z materiału już tak wytartego i wyszuranego, że trudno odgadnąć, jakiego był koloru, wytarty do białych nici osnowy. Przykląkł na przodzie wozu i w czerwonych od wiatru rękach trzyma guzowate postronki lejcy, i poprzez niego widać zady klaczy

fornalskich, kiedy zamiatają podciętymi ogonami, pokazując ich końskie genitalia dziwne i z gładkiej jak wyprawiona skóry. Odrywają się kopyta od mięsa drogi w wymuszonym kłusie i za chwilę przechodzą w stępa, a wóz przychyla się w wyboistej kałuży drogi.

Potem jest piasek, ciężki piasek, ciężki od wilgoci. Po jednej stronie sterczy kilka badyli słonecznikowych, a dalej zorane, a dalej podmokła łączka, chłopskie poletka długie, wyciągnięte. Na niektórym, jak duże kretowiska, kupy nawozu. Dalej, dalej smuga poddębieckich lasów.

Teraz już są drzewa i las. Pokazuje się od razu, jak jesteśmy inni i nie z tego samego wymiaru – niby się ocieramy o ten las i o tę dziczyznę, nibyśmy poznali wszystkie ścieżki i wszystkie drogi, ale to nie to samo. Teraz, kiedy wysadawiamy się z wozów i pochodzimy tędy i owędy, jesteśmy jakby z innego materiału, naszyci na tło lasu. Czasem znowu wydaje mi się, że nasza obecność tutaj jest wulgarna i nieprzyzwoita, i wstrętna jak wszy na materiale. A wydawałoby się, że tak łatwo przyszlusować do tego, że wystarczy tylko zrozumieć. Co zrozumieć? Że pień pochyły, że zeszłoroczne liście jeszcze trzymające się kurczowo guzłowatych gałęzi, kiedy pierwszy śnieg nie dał im jeszcze rady, i złote i czerwone kręcą się i zwijają jak spalony i kurczowo powykręcany węgielek papieru. Wydawałoby się, że słyszy się westchnienie otwartej kałuży leśnej, zakisłej jakąś tą czarną leśną wodą, a woda ta inna aniżeli otwartych przestrzeni, aniżeli woda, przy której leży życie ludzkie. Wydawałoby się, że popatrzeć, podpatrzeć wzdłuż poszycia leśnego to tak, jakby popatrzeć po portierze własnego mieszkania, a to nieprawda. Nie udawaj, że rozumiesz to, nie udawaj ornitologa, kiedy małe ptaszki leśne, podskakujące pośród drucianych, patykowatych gałązek cicho i milcząco, milcząco, bo zażenowane wulgarnością naszego pojawienia się pośród tego leśnego pokoju, to nie udawaj ornitologa i miłośnika natury od siedmiu boleści, bo co tam wykombinujesz, to tylko to, co sobie podkolorowałeś i podpowiedziałeś, kiedy jeszcze siedziałeś pośród znajomego smrodu i ciepełka, i gnieciuchy, kiedy żyjesz pośród ludzi.

Ale ładnie jest tak, jak jest i jak trochę dalej, to wysokie suche trawy leśne i zieleni się czarno mały świerczek leśny, a dalej ich cała kupa, a dalej

jest fiołkowo od mgiełki i złotopomarańczowo od jakiejś przesieki, i palisada drzew, i tchnie właśnie bardzo ładnie dzikością i lasem.

To tak sobie właśnie gramolimy się z naszych wozów: wielcy i mali, chudzi i tłuści, tu młody Turzański, prosty jak świeca, ma świetną, tweedową kurtkę z szlufkami na naboje na wierzchu rękawa i w nie powtykane gilzy mosiężne do repetiera, tu pan Grabowski, leśniczy z Wólki, sumiaste wąsy koloru konopianego, jest nadęty i poważny, jak przystało na wójta gminy Wólka, tu elegancki i przystojny pan Romer z Wierzbicy, pan Marmaross wysoki i chudy, z długą dubeltówką *hamerleską*, inspektor Nałęski ze straży granicznej, przystojny, z przystrzyżonym wąsem, trzymający się w mundurze po wojskowemu, ta jego szarża odpowiada pułkownikowi, a że był legionowym oficerem i tam go przydzielili do tej straży granicznej, więc pewien awans. Pan Rafałowicz z Ulwówka mały i przygarbiony, pan Czajkowski z Przytułowa ma orli rasowy, ale zaczerwieniony nos, książę Sapieha z Lubyczy i pan Tym, rezydent księdza Wałęskiego z Wólki, dziwny typ, podobno Rosjanin, emigrant, dziwaczna symbioza księdza z prawosławnym chytreńkim, pan Koziek z Waręża, młody dublańczyk, ksiądz Wałęski, ale nie będzie polował, ale kibicował, jak też i panny.

Jeżeli na otwartym światło było rozproszone, to tutaj, wpośród lasu, kiedy nie ma cienia, wszystko jest przetkane, i dalsze, i bliższe, jak deseń materiału. Trudno jest ocenić odległość, bo jak tu: brzoza biała łuszcząca się, pozioma kora brzozy, karłowate sosenki sadzone w rządki, to prawda, maleją z perspektywą, ale to wydaje się nieważne, solidny, soczysty cień pod drzewami, trą się, ocierają się o siebie źdźbła traw, gdzieś niespodziewanie wyskoczy na tle ciemnej kory drzew zacios siekierą świeży i biały, tam gdzie ścięto gałąź, ale kto, kiedy? Na porębie ładnie poustawiane sągi drzewa w rozmaitych kierunkach, solidnie pocięte piłą, solidna robota drwali leśnych, obok kupy poziome gałęzi tych drzew porządnicko zebranych i okołczonych, jak się należy. Powiadają: idziemy na stanowiska pierwszego miotu, powiadają: „Pierwszy strzał nie do zająca”, nagonka już od dawna czeka na granicy pierwszego miotu. Wszystko jest bardzo ładnie-składnie przewidziane, poszczególne

stanowiska wyznaczone zaciosanym kołkiem, na którym „lubryką” koszlawo przez gajowego wypisany wylosowany numerek strzelca. Mam przed sobą ładną łączkę, widać daleko na wszystkie strony. Pompuję do swego browninga pod lufę pięć tekturowych ładunków i przesuwam bezpiecznik. Tylko licho naniosło mi księdza.

Z myślami to jest tak jak ze spiralą. W jednym miejscu, jedynym, zahacza od punktu i wywija się, i odgina.

Ksiądz jest zasapany i pomidorowy, ale szczęśliwy. Innym kibicują panny, a mnie przyszło bawić księdza! O czym tu z nim mówić, omalże nie zacząłem od encykliki, ale ksiądz powiada rzeczowo: „A dziki tu z ręki karmicie burakami i macie je ponumerowane, co?” Cóż to za „macie”? – myślę, a do tego dziki tu przychodzą z Raty Dzieduszyckich, gdzie je właśnie karmią z ręki i numerują.

Przykicał zając i siadł, i nastawił uszy. I właśnie daleko zaczęła iść nagonka, oszczędnie pohukując, i słychać ostre uderzenia kijów po gałęziach poszycia, jak w ksylofonie. Potem nagle odezwały się dwa strzały raz po raz. Nasz zając poderwał się i leniwie pokicał w poszycie po naszej lewej stronie. Ksiądz przychylił głowę i powiedział: „To Marmaross i do zająca…” W powietrzu jest szklanie.

I nagle myślę, nachodzi mię: ukląc tu, na mchu, ucałować dłoń księżą gładzącą z satysfakcją kołnierz fokowy futra, jak łatwo to przyjść może, ale to nie dlatego, że łatwo, i nie dlatego, że ulga, że napiętrzony chaotyczny świat zatrzyma się u kręgu zarysowanego poświęcaną świecą absolucji, i jak wtedy nawrócić się i nawrócić do kruchty tak, właśnie na przekór wszystkiemu, właśnie dlatego, że tu, że labuś, że nie pasuje to do obojętnej, stężałej, spiżowej natury, niebożej, osobnej, wyniosłej, ażeby właśnie zrobić na przekór, na przekór sobie samemu; kiedy pomyślę, że mały, garbaty zatabaczony Schopenhauer, skąpy, małostkowy jak pedant, kłócący się ze swą gospodynią, kostyczny, a przecież potrafił odgrodzić się od tego wszystkiego sam, inaczej aniżeli wszyscy; więc na przekór pesymizmom, wolteriańskim mądrzeniom i zgryzocie poddać się, no i co? i wejść, wpaść w porządek nauczony, wyregulowany, a nawet żeby wątpliwości, to przywoływać łaski, przywoływać dary i skruchy, poddać grzbiet pod bicze

własnej myśli, wpaść w rytm? czy naprawdę tak? czy więc ukląc tu, na zeszłorocznych liściach i śliskich igliwiach, penitent, żalnik, pokutnik, włosiennik, pokajaniec, zaczadzić się raz jeszcze – czy tak? czy wystarczy? czy wstąpię w boskie strzemię, czy napnę duszę, jak łuk, w jeden zdrętwiały, krzywy, jedyny kształt – łuk i drżąca z ekstazy cięciwa będą wysyłać modlitwy w ciemność czy celne strzały w otchłań, która jest aż Bogiem?

A może to się już stało? a może już jest po wszystkim? kto nie da wiary temu? przecież nie forma jest ważna, a treść, więc intencja to tak, jakby to już było… forma, treść, forma, treść, a jeżeli forma jest treścią? przecież wszystko koło nas jest formą, a treść to tylko stosunek wzajemny pomiędzy formami a treścią, prawdziwą, prawą treścią będzie wybór formy, tej dobrej właśnie, trafnej, a odwracać się od formy złej… A co, jeżeli nie możemy oddzielić formy, jeżeli zachodzę za siebie jak kształt i to, co otacza kształt, jak cień i światło, jak pozytyw i negatyw? bo co, jeżeli powiemy, że słońce rozświeca ciemności? to słońce rodzi ciemności albo też ciemności gromadzą się wokoło, gęstnieją i spośród siebie rodzą światło? gdyby nie było ciemności, toby nie było światła, gdyby nie było zła, toby nie było dobra; więc już do tego doszło, że miamlam stare truizmy…

Naprzeciw pokazują się pomiędzy prętami krzaków postacie naganiaczy; trzymają się po dwu, po trzech, zamiast rozsypać dobrze, i Paweł mówi im coś tam za to od matery. Oddycham z ulgą i ksiądz szuka sobie zgrabniejszego towarzysza do następnego stanowiska, i w drugim miocie jestem sam.

Mam stanowisko naprzeciw gęstej szkółki świerków, pomiędzy którymi to drzewkami jest tak schludnie i czysto wysypane szpilkami, jak w salonie. I nagle na parkiecie salonowym wyszedł na mnie lis i popatrzył na mnie swoją trójkątną mordą lisią mądrze, ale był także zaskoczony moją obecnością. Ale ochłonął prędzej aniżeli ja i jak się nie zwinie w miejscu, jak nie zakręci! wyładowałem do niego raz, drugi – krótkie! i jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze – i krótkie, aż się igły posypały, i poszedł, i tyle go widziałem, a może to wszystko mi się przywidziało?

W trzecim miocie towarzyszyła mi Teresa. Powiada do mnie dobra stara Teresa: Zyziu, na pierwszym stanowisku stałam po prawej i obsypałeś nas śrutami. Teresa, mówię, jak Boga kocham, to niemożliwe, strzelałem do przodu, to niemożliwe – i przykro mi, bo dobra, grzeczna Teresa mi nie wierzy, mówię jej, powtarzam: było na sztych. Marmaross zabił lisa, [który] wyszedł do niego, wlokąc za sobą flaki, to pewnie ten, którego tak postrzelałem, aż wstyd.

Ostatni miot to był już na otwartym, ale już zapadał zmrok i kiedy na zakończenie zawołano nas do kotła, to już było całkiem ciemnawo. Z przywiezionego bigosu buchała para na chłodnym powietrzu i pachniało kapustą uparzoną pod pokrywą. Piliśmy do siebie nawzajem wódkę – od razu zakręca w głowie, aż łzy staną w oczach. Mali chłopcy z nagonki, poprzepasani po ojcowskich kurtkach i w za dużych buciorach, ucierali siarczyście nosy rękawem i stali tłumikiem, patrząc, jak to „panowie” piją wódkę. Co niektóry schylał się po wystrzelone kolorowe gilzy naboi do dubeltówki.

A żal bardzo zostawiać ten las, który zalewa teraz siny, granatowy zmrok jak atrament z wywróconego kałamarza. Wydaje się teraz, że to nie my odjeżdżamy, ale las oddala się od nas, odchodzi. Czarne drzewa, osłupiałe i jak spiżowe, odchodzą, chowają się za te następne i te odchodzą ciężkim krokiem, nie dudniącym krokiem, spada pomiędzy nimi i nami jedna zasłona rdzawa, druga zasłona fioletowa, trzecia zasłona niebieska i już jest między nami dystans, pustka, przestrzeń, jeszcze raz oglądam się i jeszcze raz, przeszykowują się kolumny i falangi, które wiedzie wyżej wystrzelający sztandar nasiennika, rozbiegła się ariergarda fizylierska poręb i zagajników, a teraz jest otwarte pole, opuszczone pole bitwy, niczyje zwycięstwo, połysknie czasem zimno i srebrnie kałuża pomiędzy skibami roli, jak klinga porzuconej broni, raz i znowu raz.

W domu zamieszanie, przedbalowy rozgardiasz. Bo jakże tu? ostatni czas! a tu tyle jeszcze do zrobienia. Podłogi posypuje się krajaną świecą, z kredensowego roznoszą lampy z palnikami spirytusowymi, świeżo wyczyszczone, ich żółte światło, miesza się nalewkę i rozlewa do karafek i rżniętych butelek, pachnie świerczyną, która dekoruje gzymsy wielkiej

sali, panny są rozgorączkowane, bo tu tylnymi drzwiami wnoszą swoje basetle i saksofony muzykanci z Rawy tu sprowadzeni, a tu od ganku już lampasy (panny: „lampasy!”) szaserów, oficerów z 6. Pułku Strzelców Konnych z Żółkwi, którzy tym samym pociągiem przyjechali, zaczynają zjeżdżać inni pierwsi goście, mam na sobie pożyczony frak pana domu i ciśnie mię pod pachami, i jest trochę staromodny. Panny są jeszcze smarkate i podniecone, i gadają głupstwa podlotkowskie: „Nasza lipa w parku to ta, co to pod nią byłby siedział Napoleon, gdyby tędy ciągnął na Moskwę” albo jak wyczytały w ogłoszeniach w gazecie, to udają naiwne i pytają: „Zyziu, a co to: »Veto chroni mężczyzn«?”, więc nie wiadomo, gdzie się kończą smarkule, a zaczynają wydry, a coraz to zajeżdża albo fiat sportowy, albo starożytne lando, albo po prostu „amerykanka”, goście wyłuskują się z bund, burek, szub, dach, odbiera je Benedykt, „Benedyk”, jego brat jest stelmachem folwarcznych, a Benedyk na przyjęcia jest kamerdynerem i wciąga na ręce niciane rękawiczki, a w [19]18 roku Benedyk był prezesem ukraińskiego komitetu na wsi i internowanym we własnym dworze jaśnie państwu wydzielał kaszę jaglaną, ale po wojnie to się to zapomniało i obie strony uważałyby za szokujące przypominać tamtejsze ukraińskie halcyjony. Jest pan Przegalski, pisze się „z Kościelca”, taki weyssenhoffowski typ, *causeur*, paryżanin, nie wymawia „r”, na polowanie przywiózł parę dubeltówek w futerale, o Wojciechu Radziwille to mówi: „Aba”, ale wspaniale grawituje pomiędzy ziemianami i arystokracją, a to już dwa bardzo różne gatunki, chociażby ci pierwsi antysemici, a ci drudzy wcale filosemici, bo żenią się z bogatymi Żydówkami, no to jak już o Żydach, to są baronówny Wattówny z Niemirowa, a w sieni od kancelarii czeka faktor w atłasowym chałacie, czeka już od rana i cierpliwie, „nu, ja poczekam”, a tu nagle muzyka urżnęła pierwszego kadryla, aż szyby zadrżały.

A jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia Maruszka wyjechała do krewnych do miasta. Nawet mi ulżyła jej nieobecność. Było już bardzo zimno i śnieg swoim zwyczajem spadł przed samą Wilią. Niewiele, tyle tylko, żeby pojaśnić krótkie jak mgnienie powieki dnie grudniowe. Zdarzenia przedświąteczne, same dni świąt i po nich toczyły się utartym

zwyczajem. Popijaliśmy w stołowym pokoju ostrą wódkę, zagryzaliśmy świątecznymi specjałami, urządzaliśmy amatorskie przedstawienia, za oknem widać było park pocukrowany tym przedwigilijnym śniegiem. Potem wytajał i czekało się na ponowę. Od strony kuchni wisiał za zadnie nogi dzik ubity na polowaniu, a łakome sroki polatywały na tle bezlistnych drzew – dzik Szrimir i cała srocza Walhalla. Jamniki, wypłoszone ze swej permanentnej drzemki nienormalną ilością gości, przetaczały się niezadowolone po pokojach.

A dzisiaj rano przyniósł mi fornal od rządcy jakiś list, a właściwie: nie dzisiaj, ale wieczorem dnia poprzedniego, ale schowałem go machinalnie do kieszeni i dopiero rano właśnie otworzyłem. To był list od niej. Pierwszy list od niej! Byłem tak poruszony nim, że do teraz nie wiem, a wtedy nie dowiadywałem się, jakim cudem list nie przyszedł normalną drogą: w zrudziałej torbie pocztowej przywożonej przez mleczarza w południe, tylko najfantastyczniejszą – przez folwark. Myślę, że Nemezis dla dodania uroku sprawom wielkiego kalibru zrządza takie dziwne i nieartykułowane sztafaże. Widocznie ażeby było bardziej wstrząsająco.

Było w tym liście o jakiejś babci, „babuni”, której nie byłem ciekaw, która to babunia urządziła dla niej jakiś snobistyczny raucik, jakieś coś, co było w jej życiu zdarzeniem, a co ja w swym odosobnieniu uważałem za trywialne, nieinteresujące. Przeraziła mię trochę jej interwencja w moich sprawach u wysoko postawionych, ale najnaiwniej w świecie wybranych postaci, ale przebolałem ten incydent. Było tam także dla mnie zdjęcie ulicznego „lejkarza” na temat jej osoby, jak to zdjęcia lejkowskie: trochę z góry, z szarego papieru, bez światła, z wyraźnie zarysowanymi płytami chodnika i kilku głupimi twarzami przechodniów na dalszym planie uciekającym wściekle w skrócie perspektywicznym ku tyłowi. Wyglądała na nim nieświetnie, ale były powab jej postaci i zadzierżysta fantazja mimo nie dobranego do twarzy kapelusika. To zdjęcie, jak mię objaśniał list, miało być naprzód podarkiem dla jakiejś znów ciotki, która gdzieś tam mieszkała i wywierała na jej życie wpływ dominujący, i wisiała nad nim ciężarem przygniatającym. Coś tam z tej poprzedniej dedykacji zostało obcięte i ja stałem się posiadaczem tego souveniru.

Od sali, gdzie muzyka, przez gwar głosów słychać młodego Józia Hadenia, który jest wodzirejem: „Paaanowie, rrrond!…”, aż się sypie ziarno z suchego dożynkowego wieńca w hallu, obok mnie słyszę, jak stary pan Wyłżewski opowiada: „…w Wiedniu u Sachera w biały dzień arcyksiążę i świta oficerów wchodzą, a tu arcyksiążę goły jak Adam w raju, tylko ma przypasaną szablę i czapkę na głowie, i oficerowie zrywają się od stolików i stają na *hab’acht.*…”, a dzisiaj rano przed gankiem stanęli tak zwani „podróżni”, a „podróżni” to byli w tych czasach młodzi ludzie, którzy jeszcze w życiu nie pracowali, chodzili od wsi do wsi i stawali przed gankiem, nic w tym z pokory ani nic z nachalności, nawet nieźle ubrani, tylko zabłoceni jak nieboskie, i to dzień w dzień, taki rodzaj poselstwa, memento czasów, stawali, ażeby pójść potem dalej, poszukiwacze pejzaży, automaty i roboty ekonomicznej teratologii, i stali nonszalancko, i patrzyli zimnymi oczami na dwór, i pan domu irytował się, sięgając po portmonetkę, i mówił, zirytowany, pani domu: „Ciągle ten pulares i pulares”, ale zrozumżmy go, kiedy zalega z sobotnimi wypłatami od dwu miesięcy, a do tego dzisiaj rano dostał zaproszenie zabałaganionego sąsiada na lisy na swoim własnym terenie. Józio Hadeń: „Paaanie, koszyczek!…” i widać przez drzwi otwarte nagie barki kobiece i nagie ramię, ramię kobiece o zwężającym się kształcie, wsparte w tańcu na piersi męskiej, zdawałoby się, przyciągając ją, zdawałoby się, odpychając, i dziewczynę w ciasnych koralach roznoszącą mazagran na tacy, a o młodym Turzańskim opowiadają, że ojciec jego miał aptekę i dorobił się, a syn już ma fason i zacięcie ziemianina i jest pierwszą partią w powiecie, a pan Rafałowicz z Ulwówka to ze starych Ormian, ale stary, ośmnastowieczny dwór jest zapuszczony, i żyje z własną kucharką, chłopką, pośród kur, wideł, garnków, psów i zzutych butów z cholewami, pelerynka księdza Wałęskiego i gors frakowy pana Przegalskiego, „Rizpaldiza ma w swoim stadzie takiego taranta”, „przegrał w karty sześć kopcy kartofli”, „tu się dziwicie, a ja mam ekonoma Żyda, który wstaje z budzikiem o czwartej rano”, „stary Prek, to go szlag trafił, jak się składał do kozła, to ci koniec”, a od sali Józio Hadeń: „Dziś, dziś! – z życiem!…” i łoskot hołubców jak sto diabłów, w sieni na krześle przed drzwiami do kancelarii śpi Żyd faktor,

furmani piją wódkę w piekarni pod schodami, frrruuu! przeleci zziajana i iskrząca się panna i: „Zyziu, na miłość boską, popraw mi ramiączko…”, w kredensowym szeleści w zwiędłych wieńcach – myszy?…

Muzyka wstrzymała oddech na chwilę… iiiiii jak nie wytnie mazura! Od kręgu par sala traci swój prostokątny kształt i puchnie w elipsę, ale tego za mało, ale tego za mało, to do środka i od środka, do siebie i na odsieb, ale tego za mało, światła kręcą się jak w rozszalałym planetarium i raz, dwa, trzy! i raz, dwa, trzy! i dziś, dziś, dziś! i hołubiec, ale to raz! i do środka i od środka, i do siebie i od siebie, i na odsieb, i hołubiec, ale to raz! ale tego za mało, więc do sieni i do sieni, więc do drzwi i: buuuuuuch! drzwi otwarte i para bucha z zimnego dworu, i po schodach, i schodami na zmarzłą grudę zajazdu, i dookoła domu, a dom się pali od czerwonych świateł jak od pożaru…

A nad siną nocą zaczyna wstawać świt, ostra kresa światła, i od chałup chłopskich widać ognie ruskiego Bożego Narodzenia jak dalekie ognie na Tierra del Fuego.

[prwdr. „Wiadomości” 1949, nr 2–3, pt. *Tierra del Fuego albo Biały mazur*]

PIM [II]

„Widzisz, jak by ci to wytłumaczyć?…” – mówił do mnie pan Ł. – „te likiery to był towar kredytowy… Na przykład to samo ze zbożem. Jeżeli zadasz sobie trudu, zasiejesz, zbierzesz, wymłócisz i zmielesz na mąkę, to dostaniesz za to tylko weksle – ale jak sprzedasz jeszcze na pniu, to będziesz miał gotówkę. Mąka to towar kredytowy, a pszenica w ziarnie to – gotówkowy…”

„Rozumiem, spirytus z gorzelni to towar gotówkowy, a likiery to – kredytowy; ale dlaczego tak jest?”

„To już tajemnica ekonomii agrarnej” – powiedział pan Ł. – „w każdym razie te likiery po kolosalnym wkładzie w rozmaite maszyny i specjalistów poszły w komis, dostałem za nie weksle, na dwadzieścia tysięcy złotych weksli mam, i przyszedł kryzys, i teraz mogę sobie tymi wekslami palić w piecu – taki był pierwszy eksperyment mojej duszki, »*entre nous soit dit*«”.

Szliśmy brzegiem piaszczystej drogi i sosny rzedziły się po jednej stronie i kiedy wyszliśmy na otwarte miejsce, spoza tych sosen ukazał się bladziutki sierp, nad horyzontem zachodzący nów.

Pan Ł. zdjął bobrową czapkę i poważnie ukłonił się nowemu księżycowi, i wydało mi się to ogromnie śmieszne, ten zabobon i atencja dla rogatego satelity – ale nie pokazałem tego po sobie. Droga piaszczysta znikła nagle w bajorze leśnym i ukazała się poza jego zwierciadłem odbijającym wiernie czuby czarne sosen i drugi księżyc na nowiu. Ostrożnie wybieraliśmy suche kępy, żeby przedostać się na drugą stronę.

„Te same prawa ekonomii agrarnej każą mi co roku sprzedawać po parę mórg ziemi, żeby to wszystko się nie zawaliło. I jeszcze nieźle tu się płaci – tu chłopi są głodni ziemi”.

„Ile tu kosztuje morga?” – zapytałem.

„Widzisz, w Wólce Tarnowieckiej idzie za dwieście złotych, bo piasek i parcelują, a w Werchracie sześćset, ale u mnie muszą kupować, bo, patrz, naokoło Hujcze ma bagna, tędy, jak Zielona, lasy, Hołe to głodna gmina. Ja dostaję tysiąc złotych. Ale nawet tam nie lubię chodzić, to tak, jakby ktoś ucinał mi palce u rąk”.

Myślałem o tym, skąd się ten głód rodzi. Dzisiaj rano siedzieliśmy w gabinecie, rozmawiając, i weszła pokojówka; jej brat Jasiek był kucharzem. Rózia była zaczerwieniona i widać było od razu, że ma jakąś niezwyczajną sprawę, bo przecież normalna rutyna pokojówki pozwalała jej poruszać się po całym domu ze swobodą i poufałością totumfacką, kręcąc się w swej kolorowej spódnicy, nucąc w hallu przy rozpalaniu ognia na kominie albo kłócąc się w „kredensowym” z lokajem. Ale teraz była zakłopotana i przy tym pełna jakiejś godności. „Proszę jaśnie pana” – powiedziała – „ja mam prośbę”. Pan Ł. złożył okulary i spojrzał na nią pytająco. „Dopraszam się łaski, ja bym kupiła morgę »na Wygonach«…” Przy obiedzie, kiedy podawała potrawy na półmiskach, było niezręczne milczenie, ale w pauzach, kiedy znikała w stronę kuchni, padały szybkie, przyciszone zdania: „Wystaw sobie, mój drogi, skąd oni uskładali ten majątek?” I okrutna konkluzja: „No, uskładali sobie, podkradając tu i ówdzie; w domu się nie ustrzeżesz…” Było mi niedobrze od tych rozmów i ucieszyłem się, kiedy zeszło na inny temat.

„Mój brat” – mówił pan Ł. – „ma inny stosunek. Lubi nawet chodzić u siebie na te miejsca, gdzie rozparcelował, i cieszy się, patrząc, jak się »pobudowali« tam. Ale mnie to jakby ktoś palce obcinał po kolei”.

W lewo była pusta poręba. Na jej fałdowiskach stały sążnie nie obrobionego drzewa, mietliła się leśna trawa i różańcem ciągnęły się sadzonki nowego lasu.

Pan Ł. udzielał mi ostatnich wskazówek:

„Przejdziesz mostek i zaraz między olchami jest »hochsztand«. To już prawie niemożliwe, żebyś miał teraz kozła z rogami, chybaby był »myłkus«. W każdym razie poznasz po »pędzlu«…”

Bawiła mię jego terminologia, inna zresztą od łaciny myśliwskiej zatabaczonych nemrodów. Pan Ł. uczył mię dobrych manier łowieckich

i większy nacisk kładł na to aniżeli na ordynarny sukces. Był skończonym dżentelmenem w tej materii, nawet dzik idący „na sztych” u niego nazywało się: szedł „z biletem wizytowym”. Patrzył uważnie i krytycznie, jak noszę strzelbę, i piętnował jakikolwiek cień nonszalancji, która jest bluźnierstwem przeciw dostojeństwu kniei. Swoją knieję znał i czuł na wylot. Wszystkie ścieżki i dzicze „weksle” wielu latami przygody natkane wspomnieniami. Zazdrościłem mu tego, kiedy, stępiały i pozbawiony węchu przez miastowe życie, natykałem się na surowość, nieprzystępność i dziczyznę lasu. Miałem kiedyś przyjaciela, mistrza w bilardzie, w „karambola”. Spędzaliśmy godziny nad zielonym suknem i mój przyjaciel był moim mistrzem, niedoścignionym zresztą. Z powagą i kontenansem zważał na moje dobre maniery i surowo korygował postawę i uderzenia, i nie znosił nonszalancji udanej, i chociaż nigdy nie byłem nawet „przeciętnym” graczem, wspaniałe formy nabyłem w długie kawiarniane wieczory, kiedy znudzeni kelnerzy opierają się o ściany i czerwone światło żarówek odbija się w czarnej kawie na stolikach. Pan Ł. uważał, jak sobie poczynam w lesie, i dobrodusznie krytykował. Sam w swej bobrowej czapce, wypełzłej kurtce i zielonych pończochach wydawał mi się raz podobny do lisa, innym razem było w nim coś borsuczego albo coś z dzika.

Teraz, zostawiwszy mię samego, wracał przez Brzeźniaki i szarzał, i malał na tle drogi, i zostałem sam. Przekroczyłem rów leśny po oślizgłych dylach mostku i odnalazłem hochsztand. Platforemka na wysokości dwudziestu metrów wśród gałęzi olch, na którą trzeba było wdrapać się po próchniejących szczeblach.

Z tej wysokości można było ogarnąć okiem szerszy horyzont. Czuby i szczyty sosen stały nieruchomo zastygłymi falami lasu i niosły się het! jak Wierzbica, Poddębce, Ulwówek, Krystynopol, puszcza i lasem wzdłuż Raty, przesypane wydmami piasków i przetkane bagnem i wodą, przekraczały Bug i szły, szły na wschód, jak okiem sięgnąć, jak wyobraźnią sięgnąć, sosny, sosny, czasem dęby i znów sosny, i leśna trawa, i dalej na wschód, i poprzez Bug i sto chodów Stochodu, i Słucz, i Horyń, i dalej na

wschód, gdzie wstaje czerwone słońce w fioletowych mokrych chmurach jesiennych świtów.

Usadowiłem się jak najwygodniej, złamałem savage'a i wsunąłem w lufę nabój 6 mm, jego koszulka ucinała się i ukazywała ołowiany stożek pocisku, który uderzając w cel, rozczepiał się jak rozeta i potrafił położyć dwustukilowego dzika jak uderzenie gromu. Przesunąłem bezpiecznik tak, że zakrył napis: „*Safe*" i odsłonił: „*Fire*". Potem przez lunetę umocowaną na lufie popatrzyłem w stronę najbliższych sosen i na ich powiększonych przez szkła sękach delikatnie zarysował się krzyż w lunecie.

Dokoła było pusto i nieruchomo. Czasem między prętami poszycia podfruwały małe ptaszki, milczące i leśne. Tam, gdzie kończyła się poręba, widać było zieleń oziminy. Było chłodniej i czuło się zbliżający się wieczór. Oczy zaszły mi łzami od wypatrywania naokoło i nic. Ani śladu życia.

Przypadkowo spojrzałem w dół i w dole, u stóp hochsztandu, tak że mógłbym mu plunąć na grzbiet, był lis! Płomieniło się jesienne futerko i bielił koniec kity. Obwąchał starą, pożółkłą końską czaszkę, która tam leżała, i trywialnie obsikał ją, i kiedy leciutko, na moje poruszenie, skrzypnęła brzozowa bariera hochsztandu, zniknął jak duch, przepadł! Zemocjonowałem się trochę i zastanawiałem, co by to był za strzał z góry, pionowo, i znów wydawało mi się, że to było tylko przywidzenie.

Nic. Naokoło nic.

Wpadłem w zamyślenie, w rodzaj czujnego marzenia. Wiedziałem, że ukazanie się kozła nie może mi ujść. Myślałem: głód ziemi… Z jednej strony dziedzic, pan: cztery tysiące hektarów ziemi, lasu. Z drugiej – wieś rozciągnięta wzdłuż błotnistej drogi. Dworskie łany, duże kwadraty spływające z płaskich wzgórz. Zdrenowane, solidnie nawiezione nawozem. Z drugiej – długie pasemka chłopskich mórg z czerniącymi się kupami nędznego podwórkowego gnoju. Krzyże na rozstajach. Dwór z parkiem, kortem tenisowym, gorzelnią, samochodem, okazyjnym zjazdem gości, ale za tym, z tyłu, izba skarbowa, „nożyce" cen, Żyd mający „chazokę" na dziedzica, jedyne źródło gotówki do wypłaty w sobotę, wypłaty zaległej od miesięcy, Żyd cierpliwy i z pieniędzmi, czekający godzinami w przedpokoju, kiedy z panem Ł. spokojnie w gabinecie przy kawie

i papierosach oceniamy zalety „rumuna” do kniei albo „czoki” nowej *hamerleski*, a Żyd w atłasem pokrytym futrze, wielki, poważny, z brodą, siedzi na krześle w przedpokoju, a dziedzic nie ma na zapłacenie patentu rocznego za gorzelnię, a tam wieś, cerkiew wśród starych buków, z młodym popem o chudej twarzy, radzącym z delegatem Masłosojuzu, który to delegat ma dyplom inżyniera, ale w jednego konia i w jednym trenczkocie w deszczowy jesienny dzień przyjechał, żeby chłopi bojkotowali wódkę państwowego monopolu i żeby nie kupowali „Machorkowych”, i znów ten bojkot był wyrokiem śmierci głodowej na jedyną pozostałą we wsi rodzinę pachciarza: tuzin skrofulicznych dzieci w grochowinami zahaconej karczmie, ale rasistowski Masłosojuz jest zorganizowany nie na sentyment, ale lepiej, niżby to zrobili sami Duńczycy i Dania – mówiła mi pani Ł., jak wspaniałą jest Dania, była tam u Karin Michaëlis oglądać jej „Radosną Szkołę”, a potem była w Anglii i jeździła do Szwajcarii, gdzie wspaniałe szkoły, przedszkola, szkółki slojdowskie, gdzie dzieci bogatych rodziców we wspaniałych puszystych jumperach uczą się na wolnym powietrzu kryształowym, a za tablicą widać jeziora i lodowiec Mont Blanc, i odżywione, inteligentne, słodkie i śliczne dzieci międzynarodowych bogaczy uczą się, i potem wróciła, i odmalowano skrzydło dworu, i były na biało lakierowane łóżeczka, „*les petits lits blancs*”, i miał to być pensjonat dla dobrze urodzonych panienek, ale to nie wyszło, jak z tymi likierami, bo chociaż panienek było dwa tuziny i slojd, i pomoce naukowe do fizyki, i sport, hokej na trawie, i pantomimy, to jednak nie miał pensjonat szczęścia i nauczyciel od greki zastrzelił się w swoim pokoju na górze, bo był nieuleczalnie chory na chorobę weneryczną, i „straszyło” potem w jego pokoju, i skandal się rozniósł, i rodzice pozabierali swoje dziewczynki, i, tak jak z tą fabryką likierów z herbem rodowym Nałęcz na naklejkach, było to nieudałą imprezą.

Pani Ł. odznaczała się niepożytą energią. Zainteresowała się psychoanalizą i sprowadziła całą bibliotekę, i kiedy międzynarodowa sława profesor C. był we Lwowie z odczytem pod tytułem *Libido na progu podświadomości*, został z odczytu sprowadzony wprost autem na głuchą wieś i nudził się, bo było błoto i nie można było nogą wyjść poza próg

domu, i jedynie pani Ł. mówiła płynnie po angielsku, i z nikim poza tym nie mógł rozmawiać. Zaczęła nawet pisać powieść psychoanalityczną w odcinkach do ziemiańskiego miesięcznika „Myśl Polska”, ale redakcja przerwała ich ciąg dalszy, kiedy biskup sufragan przemyski wymówił prenumeratę. Wyjątki nie ukończonej powieści czytano na głos czasem w zimowe wieczory, ale w międzyczasie pani Ł. zainteresowała się serowarstwem i sprowadziła serowara, i Spółka Ziemi Czerwieńskiej zbojkotowała te wyroby, bo znów w międzyczasie pani Ł. zajęła się polityką i popierała rządowego kandydata na sejm, sąsiada ekonomistę chorego na kamienie żółciowe, i prezes spółki, który kandydował w tym okręgu, nie mógł pogodzić się z tą zdradą. Pan Ł. obchodził codziennie pola, płacił podatki, płacił rachunki żony, której nie kochał i która go nie kochała. Mówił mi: „Ożeniłem się, jak byłem młodym człowiekiem. Wiesz, wtedy była moda długich sukien i jak byłem na uniwersytecie we Lwowie, kiedy upadł deszcz, tośmy z Józiem Hadeniem biegli na miasto, bo damy wtedy wdzięcznym ruchem unosiły suknie, aby ich w kałużach nie uwalać, i można wtedy było nogę damską zobaczyć aż do kostki”. Mówiła mi: „Nie chciałam wyjść za mąż za Jerzego i w dzień ślubu, rano, powiedziałam do matki: »Mamo, ja nie wyjdę za tego szympansa…« i, wiesz, moja matka, taka słodka, powiedziała mi: »Rób, jak chcesz, Elżuniu…«, no i tą słodyczą wpędziła mię… ale on jest idealnym mężem i mamy dzieci, i wiesz, że jestem katoliczką…” A obok były wieś i chłopi, i ziemia. Chłopi kołtuniaści, w tanich ubraniach, czasem stary kożuch, baby ciężarne i gorączka połogowa, dzieci bez butów w zimie, wybiegające boso na śnieg podwórza lub w za dużych, ojcowskich – do szkoły. Kiedy we dworze padły świnie na różycę i pogrzebano je na bydlęcym cmentarzu, w nocy zostały wykopane i zjedzone przez sąsiadów, a w niedzielne popołudnia parobczacy cyniczni i wrodzy (każdy miał latarkę elektryczną, taniutki i jedynie dostępny na wsi obiekt zmechanizowanej cywilizacji, i tymi latarkami poświecali o zmroku), otóż w te niedzielne popołudnia stali tłumem koło cerkwi, pod gałęziami wiekowych buków jej banie z cynkowanej blachy, i patrzyli złymi oczami, kiedy jechałem tamtędy konno na spacer na zrudziałym siodle na grzbiecie podręcznej klaczy

z wyjazdowej pary. Ich nierozumne przekleństwo ciążyło na mnie, miastowcu, sprzymierzeńcu ludzi, którzy mieszkali we dworze i dwór ten był od tego, żeby było gdzie co ukraść, bo kradzież na wsi była zwyczajem, udziałem, procentem w dobrobycie i była kalkulowana i budżetowana we dworze, jak zarazy bydlęce, rak kartoflany i grad letni, i miała swe ustalone formy i kanony. Co to jest zwyczaj na wsi? Jak powstaje? Raz szedłem z panem Ł. ścieżką przez dworski ugór na przełaj biegnącą, ścieżką dla pieszych dostępną, i spotkaliśmy tam starego chłopa pchającego taczki z gnojem. Pan Ł., jak nie unosił się nigdy, tak sklął tego Łucia czy Iwana i zawrócił go z pola. „Widzisz" – tłumaczył mi potem bez gniewu – „jak raz przejedzie taczkami, a potem ktoś wozem raz i drugi, i już jest zwyczaj, prawo, i będziesz miał drogę przez swój grunt…"

Teraz, kiedy własne życie pochłania mię tak całkowicie, chciałbym jeszcze raz przeżyć obok siebie ich życie, tych ludzi ze wsi. Wydawałoby się, że przez egzotyzm dla miastowca byłoby ono bardzo atrakcyjne. Tymczasem kiedy usiłuję przywołać wspomnienia, zjawiają się one i regenerują chaotycznie. Z mgły wspomnienia występują te lub inne twarze i przepadają w nicości. Prawie nicością wydaje mi się ich życie dla mnie, a czy nie dla nich samych?… Jak straszne wydaje mi się ich obcowanie, niewielkiej komuny, na niedużym terenie, kawałku ziemi. Nie ma dla nich właściwie tajemnic, żyją jak ćmy w jednej jaskrawo palącej się latarni. Znają przede wszystkim swoje słabości na wylot i używają tej wiedzy przeciwko sobie. Pewnie, że mają także swoje tereny marzeń niedostępne dla innych indywiduów, swoje mniej lub więcej osobiste tabu i uwarunkowania bronione milczeniem, niedomówieniem, uwarunkowaniem, ostatecznie – prymitywnym cynizmem. Są bardzo zwierzęcy, wydaje się, jakby, idąc za Czechowem, jedynie ból miał być dla nich jakimś przeżyciem i tym, co ich uszlachetnia. Chociaż i przeciw bólowi są dostatecznie zahartowani. Ludzie na wsi…

Już zaczął zapadać zmrok, kiedy zobaczyłem sarny. W miejscu, gdzie nic, przysiągłbym, nic nie było przed chwilą, były jak wyczarowane z nicości. Cztery. Poruszały się wdzięcznymi ruchami, ich postawione uszy strzygły uważnie, kiedy obracały głowami na giętkich szyjach. Cud niepokoju,

uwagi napiętej i bolesnej, płochliwość gazeli. Były na jakieś dwieście–sto pięćdziesiąt kroków. Myślałem: poczekam – zbliżą się. Skąd się wzięły? Są tak szare i tak zlewają się z tłem krzaczowisk, że może już dawno tam się pasą i jakiś ruch je zdradził. Teraz są wyraźne jak wycięte z kartonu. Przewdzięcznie poruszają się na smukłych nogach. Ostrożnie, bardzo ostrożnie podnoszę savage'a i opieram na zdradzieckiej poręczy, żeby nie skrzypnęła. Teraz patrzę przez lunetę za kozłem. Musi być! Poznam po „lustrze", po „talerzu". U kozła zawsze jest wydatniejszy. A może będzie jeszcze z rogami? Powiększone w ograniczonym kręgu lunety szyje, łyżki, ale już coraz ciemniej. Oko mi zachodzi łzą i wydaje mi się, że o, ten! schowany poza innymi ma jeszcze różki. Patrzę i patrzę, i myślę, że rogi. Żeby wyszedł!

Rusza się – przechodzi. Patrzę. Bardzo ostrożnie – to daleko – mogą usłyszeć zaskoczenie sprężyny – naciągam drugi język spustowy savage'a – język „sznelera", przyśpiesznika. Teraz wystarczy leciutkie dotknięcie pierwszego języka, żeby wyzwolić piorun z komory nabojowej. Naprowadzam krzyż lunety na łopatkę, chwilę – żeby zamglony pierścień lunety zgrał się koncentrycznie z kręgiem okularu – i dotykam spustu. Huk strzału i echo odpowiada Pod Dębem, potem poddębieckie lasy, potem Jakobicha i Brzeźniaki, potem jeszcze raz poddębieckie lasy. Saren nie ma. Rozwiały się jak mgła. Nie ma nic. Siedzę i jestem zły na pudło. Ale patrzę w miejsce i widzę dwadzieścia kroków dalej – białe. Patrzę przez lunetę – „talerz". Po spróchniałych szczeblach zjeżdżam na dół i idę w kierunku, i liczę kroki, i coś mię ściska w gardle. Dochodzę, jest jak uciął sto pięćdziesiąt kroków, jest kozioł – nie, sarna! Z bliska bardzo drobne to i cienkie, i głowa odrzucona, i półprzymknięte białe rzęsy ukazują oko już zmętniałe i matowe. Sarna. Czuję żal i mam wrażenie, że popełniłem morderstwo, i żal mi. Wolałbym, żeby tego nie było – żeby to się odstało…

Zapalam papierosa, coraz większy zmrok, myślę: gafa. To się nie da ukryć. Pawła bym przekupił, gajowego – ale znam wieś. Wyjdzie na jaw. Strzał słyszeli w polu przy „garach" z kartoflami, potem z wozu fornal krzyknie o tym do stelmacha, będą o tym mówić przy udoju, chłopak

popędzający beczkę z wodą powie o tym w kuchni, dojdzie to do „kredensu” i zanim jeszcze powrócę, będzie wiadome w salonie.

Wracam powoli do domu.

Potem w lecie przed wojną pojechałem na jeden dzień do Z.

Przechodziłem wtedy wszystkie stadia i symptomy, jakie nas naznaczają po tragicznej miłości. Albo dniami nie jadłem nic, albo jadłem bardzo dużo. Wobec bliskich i znajomych zachowywałem formy i uśmiech i najniespodziewaniej wpadałem w wynurzenia przed osobami, które spotkałem pierwszy raz w życiu.

Najpiekielniejszą męką było żyć wśród miejsc, które znałem z nią i które były tłem naszej miłości. Przez „*l’esprit de contradiction*” chodziłem w te miejsca i dlatego raz jeszcze pojechałem do Z.

Był to gorący letni dzień. Na Czarnem poszła pierwszy raz żniwiarka w łan pszenicy szary w pyle upalnego dnia, z bladymi okami bławatów i czerwoną wysypką maków.

W czasie poprzedniego pobytu w jesieni pomagałem w zbiorze markowych kartofli. W kurzu polnej drogi, zamyślony, poszedłem w tym kierunku, gdzie je kiedyś kopano, i nagle poczułem je – te kartofle. Te markowe kartofle, podobno bajecznie odporne na raka ziemniaczanego, „mozaikę” kartoflaną i inne straszne kartoflane choroby, te kartofle, niedbale zakopcowane na zimę – zmarzły i wiele tych „gar” pozostawiono tam, i psuły się one w pełni lata, i na wiele staj dawały znać o tym. Smród psujących się kartofli jest potworny, nie do zniesienia. Ścieki fabryczne, plugawa woda basenów brudnych portowych, kiedy jest odpływ morski, nawet rozkładające się trupy na pobojowiskach – ale nie, to nie to, to zbyt łagodne. Zawróciłem od tych kopców.

Nie można się było schować przed gorącem. Jamniki leżały w słońcu w pyle zajazdu. Dziewczyna wyniosła z lodowni bryłę lodu oblepioną źbłami słomy i poniosła ją w stronę kuchni. Poszedłem popatrzeć na aneroid do stacji meteo. Za owego pobytu w jesieni zajmowałem się jeszcze stacją meteo. Była to x-tego rzędu stacja PIM-u, czyli Państwowego Instytutu Meteorologicznego, i do moich obowiązków należało trzy razy dziennie: rano o siódmej, w południe i o siódmej wieczorem, kontrolować

instrumenty i robić zapiski. Raz na miesiąc preparowałem raport i „średnie”.

Nawet lubiałem wtedy tę codzienną rutynę. Szło się do stacji przez furtkę w ogrodzeniu i wśród grzęd truskawkowych, na podpróchniałych słupach była skrzynka z pulpitowym dachem i żaluzjowymi z drewnianych szczebli ścianami, otwierałem kłódkę i odnajdowałem tam dwa termometry: jeden maksymalny, jeden minimalny, aneroid i higrometr, i było tam jeszcze kalibrowane naczynie szklane do mierzenia ilości ewentualnego opadu. Naczynie to kiedyś zostało stłuczone i potem troskliwie posklejane „japońskim” kitem. Była tam jeszcze książka porubrykowana liniami do robienia zapisków i rogi kartek od tego regularnego przewracania pozwijały się w ośle uszy. Obok na wysokim maszcie była zamocowana róża wiatrów i skrzypiało blaszane skrzydełko skali Beauforta do mierzenia siły wiatru.

Do tej stacji nikt wtedy inny nie chodził, tylko ja sam. No tak, zawsze mi w tym codziennym rytuale towarzyszyły psy: jamniki i suka dobermanka. Ale kiedy one uganiały wokoło i płoszyły trznadle z malinowych rózg, ja szedłem najkrótszą drogą i przez wiele tygodni i dni wydeptałem wtedy własną ścieżkę – ja sam, tylko ja. Trochę jest nawet wstrętna taka ścieżka, którą się samemu wydeptuje. W życiu depcze się drogi, ścieżki pospołu z innymi. W takiej własnej ścieżce jest coś wariackiego, coś paranoicznego. Pomyślałem tam: wracam znów na własną ścieżkę…

Na tarasie domu pan Ł. złożył nie czytanego „Ikaca” i z trzcinowego fotelu patrzył na niebo, i był osowiały i milczący; coś się psuło w tym domu, pod tym niebem.

„Aneroid pokazuje na burzę” – powiedziałem.

„To jest fabryka pod gołym niebem, nigdy nie wiesz, czego masz się spodziewać” – powiedział do mnie. – „Nie podoba mi się ten dzień, może przynieść grad – »*il faut toucher du bois sec*«” – przesądnie odpukał w trzcinowe oparcie.

Wiedziałem, co się psuje w tym mechanizmie. Wiedziałem z plotek, z półsłówek i wiedziałem wprost od obojga, bo byłem rodzajem powiernika obu stron.

Więc po latach współżycia wziął swój rewanż. Powiedział mi o tym sąsiad spotkany we Lwowie. Potwierdził poufnie spotkany na stacji komisarz izby skarbowej. Zwierzyła mi się pani Ł., kiedy z goryczą powiedziała mi: „Gdyby przynajmniej mi w taki fair sposób nie przyznał się, nie wyspowiadał, gdyby to zostało nie omówione i uwarunkowane. Ale to już taki jego styl…” Pan Ł. zakochał się pod sześćdziesiątkę w higienistce powiatowej przybyłej na posadę z Poznańskiego. Oaza spokoju, przystań szczęśliwości, Soplicowo umiaru – Z. było po raz pierwszy za mej pamięci duszne i źle się poczułem tu pierwszy raz w życiu. I żałowałem swego przyjazdu, i siedzieliśmy w cieniu na tym tarasie, milczący niezgrabnie: pan Ł., pani Ł. i córki, poprawne, dorastające córki, i dzień był duszny i gorący, i między liśćmi drzew parkowych mogłem widzieć od wschodu gromadzące się chmury.

Piętrzyły się w upalnym powietrzu bladoróżowe, suche i nieprzyjazne. Stały nieruchomo i paliły się od dokuczliwego blasku słonecznego. Ale za nimi, daleko, nad horyzontem, widać było ciemny pas, wał regularny, od horyzontu do horyzontu. Wał ten rósł i zbliżał się powoli. Pod nim było już granatowo i przebiegał tam czasem dreszcz błyskawic.

Widać było, jak wygonem od wsi zawiał wiatr i podniósł tu i tam tuman kurzu. Drzewa, wysokie topole za wygonem, zadygotały i zamiotły pod podmuchem. Poniosło źbła słomy z chłopskich ściernisk przyśpieszonego przez przednówkowy głód żniwa. Groźny wał był tuż nad nami i groźny cień padł na szarugę ciągnącą się za burzą.

Jamniki zakolebały się w pośpiesznej ucieczce, kiedy cmoknęły pierwsze duże krople dżdżu. Gołębie potarganymi przez wiatr girlandami zatrzepotały się koło kominów folwarcznych. Kilkoro ludzi na folwarku zadarło głowy na nieprawdopodobną burzę i zakręciło gorączkowo koło spraw. Zadygotały otwarte wrota stodół i szop. Palnął ogłuszający piorun i na jego komendę lunął deszcz i zabębnił po wyschniętych gontach, i zaszumiał w liściach drzew parkowych. Rozhisteryzowane kury i indyki kryły się pod krzakami bzu i siwe krople odbijały się od lśniącego od wody grzbietu cierpliwej szkapy u dyszli beczki, tam gdzie była studnia. Przyczłapała z folwarku ze spódnicą zarzuconą na głowę pokojówka

czerwona i zadyszana, i roześmiana. Nasturcje w skrzynkach na tarasie wychyliły swe kwiaty na deszcz.

Burza, jak szybko przyszła, tak przeszła i zajaśniało słońce, i rozpyliło się na tysiąc słońc w kroplach wody zawieszonych.

Niech mię wytłumaczy mój stan ówczesny, że tak chaotycznie wspominam to, co było wtedy: kartofle, stację meteo i burzę, i to, że wspomnę o jeszcze jednym zdarzeniu. Ten piorun wtedy rozłupał stare drzewo lipowe na drodze do wsi. Między jego gałęziami, pod daszkiem był i patronował polom prymitywnie wydłubany z drzewa święty Izydor, patron oraczy. Ciekawe, że nie mogę sobie w żaden sposób przypomnieć, co się stało z figurą świętego.

Byłem tam, w Z., przed samą wojną. W pierwszych dniach wojny pan Ł. umarł i mimo gorączki wojny „okolica” zjechała się na jego pogrzeb bardzo tłumnie. Ten pokaźny orszak pogrzebowy, jak mi ktoś o tym opowiadał, był ogromną pokusą dla heinkla 111 i przejechał się tam salwą z karabinu maszynowego po tym pogrzebie wśród pól.

Ale to… ten „danse macabre” nie dotyczył już pana Ł., który umarł w tych pierwszych dniach wojny.

[prwdr. „Nowa Polska” 1944, z. 12, pt. *Ludzie na wsi*]

Jak wiosna przyjechała

Wiosną, na wiosnę, kiedy przychodzi wiatr, wiatr, wiatr i nadnosi nie słyszany dotychczas szmer-szelest-zapach, odwraca się we mnie i odkłada wspomnienie. Niech udar słoneczny w lecie, niech strach, trwoga, niepokój powszednich czasów, niech pogoń, gonitwa, drapieżne zachcenia interregnum wiosennego, niech namaszczona pycha i rozpaczne bluźnierstwa zapomnienia się w czasie odejdą, odpłyną. Powróz, zerwany przetarty powróz doczesności powlecze się za mną na znak, że był uwiąz, ale ja się nie boję tego, nie wstydzę. Bo jestem znowu wpośród wiosny sam, ach, jak sam! i przyjaźnie jest, nie byle jako jest, wspaniale i skromnie, ale inaczej i tak jak było, i tak jak się działo wtedy.

A działo się tak:

Naprzód ziewające wrony i kruki zebrały się pośród pola, jak opiłki żelazne przyciągnięte magnesem ukrytym pod kartką papieru. Tu tą białą kartą jest pole pokryte śniegiem, który w oczach staje się brudny i lotki, i chwiejny, i w oczach znika, i w oczach pozostaje tylko w bruzdach skib. A pole jest osobne i mokre, i samo, i ucieka, i strasznie jest pośród wiosennego pola – nic jeszcze się nie zaczęło i dlatego jest tak strasznie w tej pustce wyczekiwania.

Potem, po tej pustce z zahamowanym oddechem, jakby się coś zakot-łowało. Nie bardzo to dobrze wymyśliłem, bo z tym „zakotłowaniem się” to tak, jakby gwałt miał być zadany. A tu nie ma mowy o gwałcie: bełkocie nieharmonijnym, niezgrabności ruchów i zamachów, kiedy w gwałcie wypada się z harmonijnego, rytmicznego posuwu w skok-grymas.

W każdym razie na tle bezbarwnym zastojałej chwili podnosi się jak gdyby westchnienie piersi. Aż stajemy się nagle czujni na tę nową sensację. Bo kiedy ani to sobie wytłumaczyć, ani pojąć, a tu dogania nas w tej niesamowitej chwili, zawraca nam głowę westchnienie wiosny.

Więc i chłodno jeszcze, nawet może być bardzo chłodno i zimno, nawet niesiony deszcz przemieni się w lodowe krupy, a wiatr dotrze do szpiku kości, to moment i odmieni się, i odmieni, i już jest dziura niebieska w niebie, i obietnicą wiatr złagodnieje, i znowu, i znowu przyniesie ku nam szmer-szelest-zapach.

A wszystko to się dzieje jakby bez podstaw, jakby na słowo, bo skądże znowu ta pewność? z niczego: nie zawarowana, nie zabezpieczona układem, kontraktem.

I co dzień, dzień w dzień jest inaczej i pewniej, cieszę się z tej pewności, cieszę się, że oddycham, cieszę się powietrzem, które prześwietla się i ukazuje mi perspektywy, których ani nie dostrzegałem poprzednio, ani się ich domyślałem, że takie być mogą. Idę, a tu twardo, w głąb, w dal, solidnie odcina się krajobraz, niechby to nawet nie był krajobraz, może to nawet być zaśmiecona, zagnojona, fioletowa od parkanów i ruda od pokrzywionych ścian domów ulica żydowskiego miasteczka. A jest jednak i przychodzi wiosna.

Działo się tak, że wiosna była podobna do dziewczyny. Zaraz, proszę mi wybaczyć porównanie, które, kiedy jeszcze nie wyjaśnione, nie obudowane, nie opowiedziane, wydaje się jakże trywialne i nagie. Będę się starał być ściślejszy. Będę – muszę powiedzieć, jak to było. Było, działo się tak, że o tej wczesnej wiośnie wydarzyło mi się tęsknić, wzdychać, myśleć o dziewczynie, którą sobie wybrałem spośród wielu, wielu, jak to się zawsze zdarza.

Najważniejsze, najbardziej w niej było, najpierwsze to włosy. Jak by sobie nie upinała ich, nie rozczesywała, a potem zaplatała, okręcała, podbierała, układała, podnosiła jednym jedynym ruchem obu rąk od tyłu ku górze, jak by ich nie upychała pod kapelusik nasadzony na czoło, to włosy te wysypywały się, zwalały się kaskadą, którą niecierpliwie i wdzięcznie, i w półzamyśleniu, i nieuważnie podbierała dłońmi. Dłonie na karku, dłonie z tyłu głowy i ramiona wzniesione, i łokcie podane ku przodowi, i wtedy jej profil, zawstydzony profil na tle jej ramienia, a włosy wymykają się, jest ich cały kłąb albo są jak płonąca żagiew, albo węże Meduzy – ciężkie, uciężające, zdaje się, gniewne, zdaje się, żywe i osobne – przedzierają się

poprzez jej palce, jakież to one? mosiężne, mosiądz i cyna, błyszczą w słońcu jak talerze czyneli, puklą się i mienią jak złota łuska na napierśniku centuriona rzymskiego.

To właśnie z nią, z wiosną, jechałem, trzęśliśmy się wiosną dorożką, fiakrem, ze stacji kolejowej. Proszę uważać: wiosną, w wiosenny dzień biały jechaliśmy z dworca kolejowego, przed dworcem jest postój drynd, fiakrów, chabety dorożkarskie mają głowy w karmiakach i stoją kupy nawozu, łajna końskiego, i żółto ścieka mocz koński do rynsztoka, fiakrzy siedzą w ostatniej dorożkarskiej wiktorii i grają w karty. To my stajemy, położyłem walizki wiosenne na krawężniku chodnika i chwilę targujemy się o kurs z grubym dorożkarzem, który jeszcze nie poznaje wiosny, bo sam ma na sobie autentyczny kożuch, a tu gdzieee! słońce niebieskie i przypieka. Czerwona twarz dorożkarza, jak księżyc powstający o wieczornej śreżodze, i bat postawiony w tulejce na koźle. I już jesteśmy usadowieni, i słodko gną się resory wiktorii, i pachnie starą, niegdyś lakierowaną skórą fartucha, i siedzenia dorożki wysłane bialuśkimi, czystymi niebywale pokrowcami, i przed nami tylko wysoki kozioł woźnicy siedzącego szerokim zadem tłuściocha i okręconego kraciastym pledem, i wiktoria huśta się na kamieniach bruku, i dwie szkapy dorożkarskie, jakby drewniane i mechaniczne, i nie żywe, ale sztuczne maszyny, manekiny końskie, idą wprawnym truchtem, i kłapią kopyta po bruku w takt, w takt, błyszczą wypucowane latarnie po obu stronach kozła, huśta się pudło powozowe i jesteśmy jak para królewska: ja i wiosna.

W pohuście resorów, w takt, w takt kopyt koni dorożkarskich jedziemy, a tu przed nami szeroka wybrukowana ulica i drzewa ponad nią zawieszają swe korony, gałęzie, obsypane młodziutkimi liśćmi i kolor ich jest zielony, jasnozielony, rozkoszny, aż trujący, i co nas czeka? Czeka nas kawa, stół nakryty, sypki cukier w cukierniczce, masło pokryte rosą wody, z której je wyjęto, kajzerki jak muszle morskie i konfitury porzeczkowe, i bukiecik fiołków w szklance wody na stole. Fiołki, jakże to: fiołki? które były przyszpilone do piersi wiosny, fiołki głęboko fioletowe, wstydliwe, kręcące się swymi listkami w swym ciasnym bukieciku, fiołki kupione po drodze za dziesięć groszy u baby rozkraczonej na chodniku, na jego krawędzi, fiołki

wyrosłe gdzieś w cieniu wysokich drzew i uszczknięte, zebrane pośród wiosennej trawy, pośród wilgoci pachnącej grzybem wiosennego rana, mądrze przychylające swe kwietne główki, i jak pachną! jak pachną! podają ten zapach, ciskają nim w nas, a fiołki kupiłem, bo należały się wiośnie, przynależą się jej, w fanfarońskim geście, bo fiołki i fioletowe, i pachną, jak pachną! i leżały na wzniesionej piersi wiosny, na wznoszącej się oddechem piersi wiosny.

Więc to jest spełnienie się dawnych marzeń, zachceń, majaków przewidywanych i odgadywanych. Bo zastanowić się: przedtem to była pustka tak jak przed dniem stworzenia, przestrzeń nie skontrastowana, czarno-biała, z rozsypanymi opiłkami gawronów i kruków na chropowatym od białości polu. Lśnią tylko oślizgłe łozy, łozina, i jak wieczór, to gwiazdy trzeszczą ponad wierzchołkami gałęzistymi drzew. Naturalnie, że były przepowiednie tego wszystkiego – nie jestże przepowiednią, kiedy idzie się drogą i kałuże otwierają swoje przepaście pod nogami, skarpa drogi już od południa poczerniała od ziemi surowej, gnie się powietrze od załapywanego oddechu? Jest taka godzina rano, może koło dziesiątej, a tu słońce odwróci się jak grzanka i przypiecze – na ślepo, bez oczu, całą skórą, policzkiem poczuje się odmianę, tak samo jak prasowaczka, kiedy zbliża żelazko do odętej zafrasowanym zaprasowywaniem twarzy i poczuje się odmianę.

Bo zastanowić się: obeschły kamienie miejskiego chodnika, pierwszy kurz uniesie się, obuta noga następuje na pierwszą zieleninę wydobywającą się z ziemi, jakby nadepnęła na głowę zielonego dobrodusznego smoka, odrodzonego z posianych kiedyś zębów ludojadów.

A potem przyszło to uderzeniami, falami, zachłyśnięciami się, nie złapać jeszcze oddechu po pierwszym, a tu drugie i trzecie, i znowu! nadmiar, za dużo, ale nie ma czasu ochłonąć i znowu, i znowu, rana są wcześniejsze, słońce przychodzi rankami jakże gorliwe, jakże zziajane i dużo naraz się dzieje, za dużo, wszystko śpieszy się, zagonione, gdzie tu dać sobie radę, czas trzeba łapać za połę, jak kogoś zalatanego przytrzymuje się za klapy marynarki, tu coś załatwiam, a tam wiem, że inne nie może czekać, a nie mogę tego zaniedbać, trawa na skwerze z nocy na dzień jest już zielona, wszedłem do domu, bo czegoś zapomniałem, a tu w międzyczasie spadł

krótki deszcz i teraz już go nie ma, przegapiłem go, jaka szkoda! szkoda, ale nie czas żałować, bo zanim wymyśliłem nowy deseń perkalików wiosennych, to już ich tysiąc obleka rozpędzony czas, jak subiekt w bławatnym sklepie rozwija wałki z kolorowymi nadrukowanymi materiałami, już pierwszą zieleninę, zużytą i jeszcze soczystą, a już zwiędłą, zamiatają w rynsztok i przychodzi południe jak uderzenie pięścią w twarz.

I wtedy to na dworcu kolejowym powitałem wiosnę wysiadającą z pociągu.

[prwdr. „Wiadomości” 1951, nr 22]

Gołębie z placu Teodora [II]

Na plac Teodora nigdy nie doszliśmy, nigdy tam przedtem nie byłem i nigdy może tam nie będę. Pewnie zostanie mi tylko jak obraz własnej wyobraźni – nie sprawdzony, nie skonfrontowany z rzeczywistością. Jak wiele innych, które pozostaną terenem fantazji, nie przyniesie rozczarowań ani zaskoczy biegunową innością. Nie bardzo nawet wiem, jak go umiejscowić topograficznie w swoim mieście. W każdym razie, kiedy wybieraliśmy się tam, to w pewnym przeświadczeniu, że dzieje się on gdzieś w stronie, gdzie Krakowskie Przedmieście, plac Solskich, „Paryż".

To było tak: Panna chciała przywieźć swojej koturnowej ciotce jakiś prezent, coś, co miało podpierać pomosty łączące z tą damą – z nią i jej sprawami. Myślę nawet, że mogła sobie oszczędzić tej fatygi, bo były sprawy i tak bardzo ezoterycznie wiążące ją ze światem jej ciotki. Nie zastanawiałem się nad tym poważnie.

Ten prezent to miał być właśnie z placu Teodora. Więc jeszcze zanim tam wybraliśmy się, stworzyłem ten plac bardzo kunsztownie i precyzyjnie w mojej wyobraźni. Pewnie miał się nie bardzo różnić od innych *marchés aux puces* wielkich miast. A zatem za plecami potrzeba było mieć gmach Teatru Wielkiego i ruch żydowskiej handlowej dzielnicy, a przed sobą szare i ceglane prostokąty ślepych murów. Ulice zabłocone i zabrukowane, łamiące się w takt występów i cofnięć bezplanowo wznoszonych ruder. Sklepy, sklepiki, magazyny, stolarnie, składy wapna i skór, budki z wodą sodową i papierosami, zabłąkane drzewka i skwerki, stajnie i wozownie ciężarowych lor, plakaty kinowe palące się na parkanach, piekarnie i składy masarskie, szyldy: „NAFTA" i „HANDEL ZBOŻA", furmanki chłopskie przy krawężniku, wozy węglowe, smutne czeluście podwórz, wytwórnie lodów i materacy, rajcujące gromadki handlarzy starzyzną, sutenerów i paserów, składy rupieci i mury unickiego klasztoru, kasztany za ogrodzeniem, trzęsące liście na chodnik, i zakurzone szyby bóżnic, szyny tramwajowe

i słoma w poprzek ulicy, bele przędzy konopnej zeszyte stalowymi taśmami i dykta pudeł z drobnicą, rury kanalizacyjne złożone obok kup wyprutej przy robotach ziemnych gliny, niebo w kłaczkach chmur, wróble wirujące w spiralach śmieci podnoszonych wiatrem, krzątanina i ruch gatunku człowieczego przedmieścia, kramy z lichymi ubraniami i żelastwem, i gratami, i tandetnym naczyniem, papierami, pordzewiałymi lustrami i makulaturą.

Mieliśmy tam pójść i znaleźć ten plac Teodora. Nietrudno przyszłoby to, bo już z daleka powinno by się go poznać. Wiatr nanosiłby stamtąd posłańce lekkie i widmowo błądzące w powietrzu, wahające się niezdecydowanie, i białe i kolorowe pióra ptasie: ogony bażancie, lotki gęsie, puch kaczy, pawie oka i bersalierskie trzęsienia kogucich ogonów. No i zaraz zaszumiałby i zatoczyłby się zaułkami gwar ptasich głosów, wieża Babel rozhoworów i konkurs piękności głosów, i challenge wytrwałości na czas i wysokość tonów. A gdybyśmy tam doszli, to znaleźlibyśmy się w jarmarku kolorów i dźwięków, jak na tle śpiewającego dywanu. Pewien nawet nie jestem, czy w fantazji swojej nie przewidywałem nawet zagubienia się i zatracenia naszego w tym oczekiwanym świecie, najbardziej dopasowanym do naszego ówczesnego świata.

Los chciał, że nie doszło do tego. Szliśmy w tym przeczuwanym kierunku, szliśmy ulicą Chorążczyzny, blask słońca łamał się na gipsowych stiukach kamienicznych i w bramie domu, mimo którego przechodziliśmy, stał sobie człowieczek w zniszczonym ubraniu i niewyraźny, i zachciało mi się zapytać, gdzie jest plac Teodora.

„Pewnie, że wim, abo co? co panu na placu Teodora?” – powiada pewnie do mnie i jakby wiedział, o co mi chodzi.

„Chcielibyśmy kupić parę gołębi” – powiedziała Panna, patrząc na niego uważnie; szalenie lubiałem ją taką, kiedy rozmawiała z obcymi. Wydawała się, jakby była ich ciekawa, trochę zażenowana, zawsze dobra, niby to ona miała do darowania mu parę wspaniałych gołębi.

„Można, mogie dostarczyć” – powiedział jegomość, ściągając szalik na szyi; ukradkowo spojrzał na mnie, a potem zwrócił się do Panny znów,

jakby ta sprawa miała być tylko z nią.

„My chcemy z placu Teodora” – powiedziałem z żalem, że mi ten plac ucieka znowu w niepoznane, i Panna zaraz solidarnie powtórzyła:

„My chcemy z placu Teodora”.

„Ma się rozumić, proszy państwa, z Placu, ja sam przyniosę”.

Spojrzeliśmy na siebie, a potem na oferenta i przystaliśmy; widocznie Placu nie będzie nam danym poznać, zresztą równie dobrze możemy się tam jutro wybrać.

Stanęło na tym, że jutro po południu przyjdzie do nas – do domu, tam gdzie mieszkałem – przyjdzie ze swoim towarem.

Na pierwszym piętrze domu, w którym mieszkałem, od frontu mieściła się redakcja „Głosu Powszechnego”. Wchodziło się tam po schodach oświetlonych wysoko, gdzieś na czwartym piętrze, przez szyby kolorowe witrażu, który nadrabiał braki smaku artystycznego patriotycznymi epizodami.

Dziennik był organem rzekomo niezależnym. Nieprzyjaźni twierdzili, że dysze dzięki pieniądzom z wydziału bezpieczeństwa. W każdym razie było tam krucho z tymi pieniędzmi i zdarzało mi się być świadkiem żenujących i nieprzyjemnych sytuacji. Myślę, że dziennikarstwo jest w swych objawach bardzo zbliżone do funkcji par excellence fizjologicznych i na przykład redaktor piszący artykuły wstępne może dać znakomity, wprost kliniczny obraz sprawności trawiennej swego żołądka czy skutków używanych narkotyków.

Redakcja przypominała sztab brygady kawalerii. Był tam drugi redaktor od wstępniaków – rodzaj zastępcy [dowódcy] brygady i szefa sztabu. On prowadził politykę dziennika, patrzył na niebezpieczne horyzonty. Kierownik administracyjny, kwaśny i rzeczowy, urzędował ze swymi adherentami, zagłębiony w papierach i kwitach jak kwatermistrz. Redaktor sportowy, elegancki i rzadki jak kanar w siedmnastym wieku, zlatywał na mgnienie oka i pozostawiał za sobą zielone sportowe serwisy PAT-a. Redaktorka działu kobiecego, spokojna i zrównoważona w tym odrapanym lokalu, pomagała właściwie wszystkim po trosze. Był jeszcze poza tym redaktor sądowy, reporter miejski i dwu redaktorów nocnych. Aha, jeszcze

specjalista od kroniki prowincjonalnej. Na najniższym szczeblu Grzegorz, goniec redakcyjny.

Jeżeli chodzi o redaktora naczelnego „Głosu Powszechnego”, to była to osobistość może najmniej mi znana. Stale robił na mnie wrażenie człowieka jakby samym sobą zażenowanego: swą śmiałością, że potrafi, daje radę prowadzić dziennik, swą rolą miniaturowego Hearsta. Był należycie, jak na dużą odpowiedzialność i ekwilibrystykę dziennikarską, zajęty i rozczepiony na czworo, ale w zetknięciu się ze mną, w chwilach przytomności miał jakieś uczucie podziwu i niespotykanej u niego ciekawości widzenia stworu o najodmienniejszym trybie i dezyderacie życia.

Redakcja mieściła się w kilku pokojach, które tworzyły prawdziwy labirynt, skomplikowany jeszcze przez całe continuum szaf, półek i stosów starych gazet. Jedno z labiryntowych przejść prowadziło do drukarni, której okna wychodziły na wybetonowaną studnię podwórza. Tędy schodziłem ze swego piętra w oficynach, kiedy o jedenastej wieczorem rzucałem w kąt czytaną książkę i wiedziałem, że siedzący pod jaskrawą lampą redaktor nocny ucieszy się na mój widok. Trzymając w tej samej ręce bułkę z szynką i słuchawkę telefonu, notował jakąś korespondencję i kiwał mi porozumiewawczo głową. Siedział przed stołem, na którym prócz telefonów pokaźne miejsce zajmował słój z klejem zastygłym na jego ścianach w narośle koloru bursztynu. Poza tym błyszczały tam nożyce, które mi nieodwołalnie przypominały Hamsunowskiego „nożyczkarza” z *Głodu*.

Wertowałem plik gazet rozmaitego autoramentu, zeszyty w „komplet”, poza tym z nudów zagłębiałem się w periodyki wszelkiego rodzaju, którymi wymiennie obsyłano redakcję. Moje nieodpowiedzialne zainteresowania, automatyzm i nuda kazały zagłębiać się w tygodniki polityczne, traktaty ekonomiczne, miesięczniki z zakresu racjonalnej hodowli konia wyścigowego, biuletyny katedry kosmogonii i astronomii wydawane przez uniwersytet, serwisy humorystyczne agencji budapeszteńskiej. Szmer redakcyjnego wodociągu był znakomitą kanwą dla moich myśli.

Powracałem do siebie przez drukarnię, przedzieloną na linotypy i zecernię do składu ręcznego. Sala linotypów wypełniała podwórze

szelestem i stukiem maszyn, zecernia była ciemna od czernidła drukarskiego. Wymieniałem skinienia głową z maszynkarzami od linotypów, z grubym i olbrzymim panem Wolfem, pierwszym maszynistą od rotacyjnej, i z zecerami od składu ręcznego. Arystokracja pracowników graficznych – metrampaże byli ze mną w przyjaznym porozumieniu. Nawet z cynicznymi pracownikami ekspedycji byłem w stosunkach grzecznej i chłodnej komitywy.

Stara płaska maszyna bijąca „wywieszkę” ostatni raz ruszała w nocy około pierwszej. W stosunku do mojej na czwartym piętrze pracowni była bardzo głęboko w pionie położona – w suterynie, ale grzmot i łoskot jej potrafiłyby śmierć samą obudzić. Naturalnie, z czasem znakomicie się do niej przyzwyczaiłem, jej regularny marsz nie robił na mnie wrażenia.

Dom poza tym zajmowały jeszcze jakieś biura, poza tym mieszkali tam jeszcze ludzie, których, mimo wieloletniego sąsiedztwa, nigdy nie poznałem i którzy mnie zgoła nie interesowali. Na kilku wychodzących na podwórze balkonach służące rano trzepały mieszczańskie kurze i to – ten poranny werbel – doprowadzało mnie zawsze do wysokiego punktu rozbawionej rozpaczy.

Następnego dnia około umówionej pory zjawił się ów niepozorny jegomość w szaliku na szyi i pod połą luźnej marynarki, za druciane ucho trzymał klatkę z parą gołębi. Mrugnął do mnie porozumiewawczo i pokazał w uśmiechu popsute zęby. Gołębie były nastroszone i grdukało im w puszystych gardłach, i było im ciasno w klatce o zardzewiałych drutach i zaśmieconej odchodami ptaków i łuskami nasion.

Powiedział: „Całuję-rączki” w kierunku Panny, wyjmował gołębie, zręcznie przytrzymując uchwytem palców ich rozczapierzone ogony i koralowe szpony, robił się beztroski i swobodny: „Fajne ptaki – niedrogo – to z Placu” – ale nie ukrywało to jego niepokoju i nerwowego tiku, z jakim oglądał się za siebie. Nie było to uderzające, ale atmosfera stała się w dziwny sposób niezwyczajna i naelektryzowana.

Moja sąsiadka, zainteresowana naszym zakupem, poradziła mi zasięgnąć opinii pana Szczepaniaka, który był starym zecerem od składu ręcznego i podobno zamiłowanym hodowcą i znawcą gołębi.

Na pierwszym piętrze oficyny mieściły się drukarnie. Tutaj, wśród skośnych kaszt, panowały spokój i cisza. Jak wiadomo, składanie szpalt nie odbywa się przez potrząsanie czcionek w przetaku. Mechanicznymi ruchami wybierają zgarbieni zecerzy czcionki z kaszt, przedzielają je spacjami i wiążą w gotowe składy. Czarna pajęczyna czepia się żałobnym welonem kątów sali. Tłusto lśni rozwałkowane czernidło.

Pana Szczepaniaka znalazłem w tej ciemnej zecerni i znalazłem go wcale opryskliwym i nieufnym, ale temat mej sprawy powoli go atrapował. Tak – znał się na tym – panie tego – nie od dziś – ale – panie tego – co za zainteresowanie się u mnie – patrzył na mnie nieprzychylnie sponad okularów – pewnie – pewnie – znawstwa gołębi nie nabywa się – panie tego – z dnia na dzień – owszem, ma gołębie – państwo szukali na Placu – tam mają – ale ja tam – panie tego – ja nie chodzę – to nie mój interes – mówił, niechętny i zagniewany.

Ale kiedy wychodziliśmy, to szedł za nami, jednak amator, interesował się, przytrzymywał mnie za rękaw i: to niech pokaże, przyniesie – powiedział i wrócił do kaszt.

„Pierwszorzędne” – rozpoczął zachwalanie człowiek w szaliku na szyi – „państwo mają szczęście, żebym się z tego miejsca nie ruszył: królewska para i młode to, i zji niedużo, samo więcej znajdzie, za nic, za bezdurno – z Placu – ja mówił, że z Placu” – instynktownie czarował tym Placem i wydawało się, że zamknięty z ptakami w klatce plac Teodora wylewa się przez uchylone druciane drzwiczki na pokój, wylewa z okien w podwórze kamieniczne i milczącym zgiełkiem przewala ponad dachy domów.

Panna tuliła policzki do nastroszonych piersi gołębi – byłem niezdecydowany. Zdumiony i urzeczony patrzyłem na gołębie, które przekrzywiając głowy na bok, patrzyły na mnie paciorkami oczu – raz jednym, raz drugim.

Człowiek w szaliku przytrzymywał uprzykrzone drzwi, brał gołębie z rąk Panny, gruchał jak one, dmuchał w puch ich piór, z przepaścistej kieszeni wysypywał na dłoń i podsuwał im do dziobów proso, wzywał na świadka ciekawą sąsiadkę, która tymiż drzwiami usiłowała się wcisnąć,

pieszczotliwie wzywał swoje gołębie ich imionami i gwizdał na nie, i było to gwizdanie podobne do świstu wiatru w kominie.

„Ma się wiedzieć – w dobre ręce pójdą” – mówił – „tylko im prosa podsypać, a klatkę, niech stracę, dodam; gwarancja, dobrodziejko, że para, takiej drugiej nie znajdzie na Placu. Niedrogo: dziesiątkę; słowo uczciwości: para”.

Byłem niezdecydowany. Sąsiadka patrzyła powątpiewająco. Łypnął na nią obrażonym okiem i uciekła.

Panna śmiała się, siedząc na mym łóżku, i tuliła krętoszyje, ozdobne kryzami i o pierzastych łapkach gołębie, i wyglądała jak Velázquezowska Wenera z gołębiami.

„Zaraz” – powiedziałem i przez okno, w podwórzowej bramie zobaczyłem dwu innych: jeden gruby w płaszczu i drugi z klatką pod pachą, i mówili coś z żoną stróża, i pokazywali na moje okna.

„Zaraz” – powtórzyłem i skierowałem się do drzwi, i w drzwiach zderzyłem się z żoną stróża, która wycierała ręce w fartuch i miała jakieś widoczne pretensje do mnie. Nie byłem najświetniejszym ani też najczcigodniejszym lokatorem i pytała mnie ironicznie, czy Plac to mój interes i czy wiem, że pan Szczepaniak ataku sercowego dostał, i czy oni, ludzie pracy, to znaczy: ona i jej mąż, nie mogliby mieć spokoju, kiedy są uczciwi, i czy pan major Sobolewski, gospodarz, wie, i że w rezultacie ma mi coś powiedzieć, i ciągnęła mnie za rękaw. Mówiła głośnym szeptem:

„Panie, taż to, uchowaj Boże, czy pan wie, co to u takich pchnąć człowieka nożem? to nic; że »konkurencyja« dla takich to jak dla wściekłego psa? co pan sobie i nam nieszczęście na głowę sprowadza?! Ja nic do tego nie mam, ale niech Matka Boska broni…”

Nie rozumiałem, o co jej chodzi. Na schodach stali maszynkarze od linotypów, w kamizelkach, z rękawami od koszul zakręconymi po łokcie, typy z ekspedycji zamieniali ironiczne wyzwania z podwórzem.

„Gdzie pan Szczepaniak?” – zapytałem dwu chłopców praktykantów zecerskich; stali w oknie, zainteresowani, i patrzyli w bramę domu, i tam zobaczyłem opierających się niedbale o poręcze schodów, rajcujących w bramie i kupiących się u wyjścia ludzi: dorosłych i wyrostków, tęgich

kupców i odrapańców. W klatkach pod klapami podniesionymi surdutów trzepotały się skrzydła i rozkładały wachlarze ogonów gołębie: białe, siodłate, srebrne, szare indygowe, szare jak sól z pieprzem, siwe, popielate, dropiate, perłowe, brunatne, indygowe mieniące się tęczowo i gołąbkowego koloru gołębie, i gruchanie słodkie i gołębie wypełniało podwórze domu. Plac przywędrował aż tu, dotąd.

Pana Szczepaniaka znalazłem w kącie, dłubiącego w kasztach. Na mój widok obrócił pobladłą twarz i powiększone źrenice oczu w czerwonych obwódkach powiek. Był zdekoncertowany i szeplenił coś niewyraźnie, z czego jedynie „panie tego” zrozumiałem. Nie chciał w końcu ze mną mówić i wypraszał mnie bezceremonialnymi gestami z zecerni. Co u licha?! Chłopcy z zecerni śmiali się niespokojnie, a ja, nie mogąc nic wydusić ze starego, wróciłem na górę.

Gruby pan Wolf od maszyny rotacyjnej, czerwony i zasapany, ukazał się z suteryny, gdzie naoliwiony potwór maszyny rotacyjnej lśnił w kaskadach elektrycznego światła. Pan Wolf, olimpijski i olbrzymi, miał dla mnie pełną dystansu i godności sympatię i teraz, wbrew zwyczajowi, przełamał swą rezerwę i informował mnie przyciszonym basem:

„To mafia, panie, ci gołębiarze, to gorzej niż frankmasoni. Patrz pan, Szczepaniaka mało szlag nie trafił ze strachu, oni się znają między sobą i kundmanów sobie wydzierają, i amator to dla nich wróg, i lepiej niech pan to zostawi dla spokoju, panie szanowny, to gangsterzy i sitwa. Pójdź pan i zobacz. Ale co – pluń pan na to” – i chrząknąwszy z niesmakiem, schodził do hali rotacyjnej po spirali żelaznych schodów, które gięły się pod jego ciężarem.

Śmiać mi się chciało na myśl o gołębiarzach: czerwone i skrofuliczne twarze, postawione kołnierze i wymięte czapki konkurentów – gołębiarze, jakieś Trinity House ekskluzywności. Byłem oszołomiony tym wszystkim. Mam się za człowieka pozytywnego i oto, jak w powieści Kafki, coś irracjonalnego zaczyna dziać się koło mnie. Astralna orgia. Panna w obłokach i tęczy skrzydeł gołębich, lśnienia promieni słonecznych na szybach, furkot i łopotanie lotek, barokowe i ażurowe klatki i zgrzyt nasion pod obcasami. Przedmioty tracą swe oczywiste wymiary: jedne uciekają

i maleją, inne chorują na elephantiasis i rosną, i mętnieją w swym nienaturalnym przybliżeniu, klasyczna jedność i czasu, i akcji, jakiej podlegamy, gubi się w tym delirium.

Usiłuję przywołać się do porządku i zapędzić rozbiegane myśli i obrazy z powrotem na dawne miejsce. Decydujemy się bez wielkiego targu.

Plac zaczyna się powoli ulatniać z naszego domu. Odurzający jak zapach rozlanego eteru, jak eter ulatnia się i umiera. Jego heroldzi nakrywają klatki połami zniszczonych palt. W studni podwórza lądują ostatnie puchy piór. I dom wraca do dawnego porządku. Maszynkarze stukają w klawisze linotypów, stróżka pochyla się nad mydlinami w balii i Grzegorz, goniec redakcyjny, gwiżdże, zbiegając po schodach.

Klatkę pomalowałem na czerwony wesoły kolor i długo schła potem, plamiąc nam palce. Gołębie okazały się parą samic, jak uspokojony i niepoprawny jednak amator, pan Szczepaniak, zawyrokował, kiedy przyszedł do siebie po nerwowym szoku. Zostaliśmy bezwstydnie oszukani. A koturnowej ciotki i tak to nie zjednało dla mnie.

Na prawdziwy plac Teodora nigdy jednak nie doszliśmy, nigdy tam przedtem nie byłem i nie wiem, czy kiedy będę.

[prwdr. „Wiadomości Polskie Polityczne i Literackie” 1944, nr 7]

Dziwnie było bardzo, bo…

Ścieki uliczne biegnące środkiem jezdni były regulaminowo i co rana malowane wapnem na biało. Dawało to ulicy wybrukowanej nierównymi, okrągłymi kamieniami pozór schludności i świąteczny. A po obu stronach stały fasady drewnianych domów, niektóre dawno już nie malowane i fioletowe od wypełzłego od słońca i deszczów drzewa.

Chodnikami położonymi wcale wysoko przechodziło i spieszyło się niewielu ludzi. Pop prawosławny w obfitych fałdach sutanny i szczodrych rękawach, a spod jego czarnego kołpaka spadały mu na barki długie, kobiece całkiem kędziory i kręciła się innego, jaśniejszego koloru broda. Żydzi tych stron w laickich, nieortodoksyjnych marynarkach, co było także bardzo dziwne, i czapce z daszkiem, chłopi okoliczni w nasadzonych stromych „furażkach” i w barchanowych rubaszkach luźnych i nie przepasanych. Aptekarz w białym kitlu i binoklach w drzwiach apteki, w binoklach i z bródką, jak z Czechowa.

A obok zaraz na zielonej, porosłej trawą szkarpie mur cerkwi i bania cerkiewna malowana na jaskrawy zielony kolor świetnie, jak grynszpan miedzi, i gałęzie drzew nad ulicą, a trochę w prawo, gdzie wznosi się podjazd, strzela ku górze barokowa fasada kościoła i dwie wieże palą się jak dwie gromnice.

A jeszcze wyżej, że głowę trzeba zadzierać do góry, urwiska wąwozu, w którym leży miasto. I po jednej stronie wypróchniałe mury zamku Bony i stromy stok, jak fałdy spódnicy z lamy, spada ku miastu, a po drugiej stronie drzewa i zieleń, i gąszcz dwu cmentarzy rozbiegłych po szkarpach: katolickiego i prawosławnego.

Dziwnie było bardzo w tym mieście, bo:

Po pierwsze: studnie.

Po drugie: robaczki świętojańskie.

Po trzecie: „Tivoli”.

Po czwarte: cyrk.

Na ostatku były kopce kartofli, które zmarzły w zimie i teraz w lecie, na poły rozkopane, rozwłóczyły po polach ohydny, mdlący, do niczego niepodobny smród, ale to po prostu nie do zniesienia.

Więc studnie. Nie wiadomo, jakiemu geologicznemu fenomenowi przypisać to, że do wody dowiercać się było trzeba tu do fantastycznej głębokości. Mówiono: 60, 70 metrów. Kiedy wstępowało się stromymi bocznymi uliczkami miasta ku ścianom wąwozów, wpośród ciemnozielonych od drzew mieszczańskich ogrodów, kiedy gałęzie wiśni zwisają ponad drogą, śmieje się kwiat słodkiego groszku i czynele słoneczników zadzierają swe tarcze ku słońcu, natykało się na krzywe ocembrowanie na rogu i na zbakierowanym walcu kołowrotu nawinięte niezliczone spirale pordzewiałego łańcucha mówiły, że to nie byle jaka studnia. Jak wychylić się było z niepokojem nad gardłem studni, to wiała stamtąd bezdenna czeluść.

Studnia czekała, jakby zaczajona, co sobie będziemy poczynać, i od razu, jakby ktoś za nami podszepnął myśl, zjawiało się zachcenie. Powiedzieć, krzyknąć coś tej studni, bo echo. I rzeczywiście – echo. Ale jakie, niebywałe! Powiedzieć: „Echo!” – i w sekundę potem wspaniale, wyraźnie odwraca się nasz głos i w tętnie rozedrganych kamieni ocembrowania wraca i huczy, i oddźwięcza się nam piękniejszym i głębszym jeszcze głosem. Powiadamy, zadziwieni: „To fantastyczne…” i za chwilę skanduje się z jej głębi dźwięcznie jak śpiż: „…ntas – tycz – ne!…” Za chwilę znowu powraca nasze nabożne i zadziwione westchnienie: „Aaach!…” Ależ to zabawa! Jesteśmy zadziwieni i chwilowo zatkało nas – nie wiemy, co mówić. Za chwilę znowu wyrywamy się sobie i jeden drugiego odpycha, i chce sobie monopolizować czar studzienny. Ja, w pięknoduchowskiej egzaltacji:

„A kiedy milczy niebo, śpiewa chór…
A kiedy śpiewa chór, drży serce wroga…”

Tadzio Karasiński na przekór i z nieprzyzwoitą satysfakcją jakieś koprolalie… Za chwilę powraca i huczy: „…lczy niebo… rce… wro…”

i „…dknaj się… rdolonna mać…”

Pluszowy mech porasta cembrowinę.

Kiedy spuszcza się ogary w górach ze smyczy, to staje się na zasadzce w górze, bo co? bo zwierzyna uchodzi zawsze do góry i do góry. Kiedy napadały mię myśli jak zdyszane ogary, to uciekałem w górę wąwozów, jakie piętrzyły się po obu stronach miasta. Ogrody miasta wspinały się stromiej i stromiej i mieszały się z bukami, grabami, leszczyną, brzozą, drzewem akacji i kaliną rosnącą na zboczach.

Można sobie było potem, kiedy w dole miasto leżało głęboko i zaczęło zasnuwać się dymem wieczornych ognisk i mgiełką chłodnej nocy, można sobie było iść urwiskiem wąwozu i patrzyć ku dalekiemu horyzontowi, w którym znikał meander siny Ikwy, i patrzeć ku zachodowi, gdzie czerniał kopiec Sokolej Góry albo gdzie szczyty Ławry Poczajowskiej lśniły jak groty złocone w zachodzie słońca, albo ku smugom lasów, które dymiły się dymem tartaków w Smydze. Ku południowi miasto zaczynało wypełzać na pola domami nowoczesnych urzędniczych osiedli – przemyślanych, utylitarnych i tak nie w pejzażu.

Bona szczerzy swą trupią głowę i jej suknia ze sztywnej lamy leży bardzo po velázquezowsku (wydział miejski próbuje zalesić jej stoki sosną – nie wychodzi to bardzo, ale dodaje lamie sukni bardzo szlachetnego deseniu). Więc jak to tam z tymi ogarami myśli?

Otóż marzy się na tej górze, idąc urwiskami wąwozu, ładnie wydeptanymi ścieżeczkami, gdzieniegdzie „placki” krowie, dalej, jak się mówiło wyżej, cmentarze – dwa cmentarze, otóż marzy się tam „o wszystkim i o niczym”.

Jak popatrzeć w południową stronę – w stronę Wiśniowca, Katrynburga, Wołoczysk, Załoziec – to rozkładał się kraj jak wachlarz i jak rozsypana talia kart. Czadziła się nad nim w upale po gorącym dniu śreżoga i chmury układały się w nostalgiczne krajobrazy.

Potem robiło się ciemno i zapalały się światełka w mieście na dole. O zmroku kolory układają się w inną skalę: czerwone kwiaty, kora sosen stają się czarne, niebieskie za to bledną i nabierają lunatycznego światła. A żółte stają się o ton jaśniejsze i wydaje się, że palą się własnym

płomieniem. A potem wszystko zalewa się i układa jak wyrobione w jakimś solidnym materiale, i komponuje się w inne i niespodziewane grupy. Te dalekie uciekają na podwójny dystans, te bliższe przyskakują nam do twarzy. Jest nam wtedy niesamowicie i wesoło. Mamy jakieś siedmiomilowe buty i gdyby nie to, że nic się nam nie śpieszy, toby zabrakło nam przestrzeni.

I wtedy zapaliło się coś w jaśminowym krzewie i zgasło, i zapaliło się znowu, i przeniosło się na kępę trawy przy ścieżce. Co za zabawa! Aniśmy o tym myśleli, ani nam przez głowę taka ewentualność nie przeszła, aż tu taka oczywistość świętojańska i fosforyczny kawał, entomologiczna dziwaczność. Tak samo jak się obraca koło sezonów i pogody i zawsze do znudzenia jesteśmy gotowi wymieniać codziennie i tyle banałów na temat meteorologicznego kołowrotu, że to, „panie, słota", że to „leje jak z cebra", bo to „trzech braci mroźnych", a tamto, że „aneroid pokazuje na burzę", „ależ psia wichura" i tysiące innych i nieznudzonych, tak samo jak kłosi się nam pole i stajemy wobec tej oczywistości zadumani, oczywistości, że niesie chmurą pyłu zbożowego albo kręci się po tyczce spiralnie i precyzyjnie najgłupsza w świecie fasola, albo skrzypi nam pod nogami nie co innego, tylko odurzające nasienie buka, „bukwa", rozczerwieni się dzikie wino po kracie ganku albo wróbel tarza się w gorącym kurzu drogi, „kąpie się", albo zamarznie nam woda w miednicy w nie opalonej łazience, albo dotkniemy rozpalonej blachy wagonu w lecie i aż nam bąble wyskoczą od oparzenia, starzy już ramole i nudziarze, zblazowani i roztyli, mamy jeszcze pozostawiony nam strzępek cudownego daru dzieci dziwienia się światem.

Kiedy więc teraz przyklękam wśród łopuchów i chwastów, rozgarniam je rękami w pościgu za błękitnym płomyczkiem, to właśnie „w charakterze" impulsywnego i zabawionego entomologa. Że mi to nie wychodzi, że to, co, wydaje się, już nakryłem dłonią, gaśnie i zaczaja się automatycznie, to nic, bo zostaje mi zawsze dreszczyk i pointa świętojańskiego „a że to było w lato i wieczorami, to paliło się w krzakach od świętojańskich robaczków".

W tymże samym czasie był cyrk. Mówiły o tym biedne afisze, tłoczone na półarkuszu oszczędnie, i niebieskim ołówkiem wypełnione były puste miejsca pozostawione dla wpisania miejscowości i daty. Ale tłuściej to było, że BIM i BOM, że tresowane psy, że rodzina Corradinich, że Człowiek w Łańcuchach itp. Więc dnia jednego w czasie kąpieli w Ikwie, kiedy wymoczyliśmy się do obrzydzenia (wyjmowało się rowery i hajda! do tej Ikwy), to ktoś mówi: „Wybierzmy się do cyrku”.

Trudno, ale cyrk muszę także zaliczyć do cyklicznych zjawisk, bardzo niecodziennych, mało jest cyrków teraz, wykańcza je kino, rozmaite inne mechaniczności, ale jest zjawiskiem powtarzalnym. Każdemu z nas zdarzyło się być dzieckiem w cyrku (niejednemu pozostaje uraz i uwarunkowanie: pamięć terroru i niesamowitości), potem zawsze jeszcze pozostanie cyrk jako konieczny rekwizyt sztuk plastycznych, bardzo to wysublimowany temat: cyrk, klowni, arena i tak dalej, zawsze trapez będzie jak u masonów trójkątem dla każdego szanującego się artysty, trykoty także, a jakże.

Cyrk był bardzo biedny. Bardzo połatany namiot, w powszedni dzień bardzo mało publiczności. Jakiś bardzo wschodni cyrk, bo, proszę, weźmy, Bim i Bom w typowych włóczęgowskich i przepisowych żakiecie i pogiętym meloniku, i przybrudzonym kostiumie pierrota, i umączone twarze, i szpiczasto namalowane brwi, i czerwony rozwarty uśmiech wymalowany na twarzy. Ale swoje ordynarne, co tu mówić, plugawe kawały mówili w jakimś lingo, które pierwszy raz słyszałem: mieszanina rosyjskiego, białoruskiego i ukraińskiego, jakim mówią na Wołyniu z litwackim tonem, i, jak Boga kocham, nie mogłem tego zrozumieć. Więc to był cyrk, jeżeli zważyć tę specjalność i lokalność językową, był więc bardzo, jak się to mówiło, regionalny i zastanawiało mię to, że impreza ta obracała się w bardzo ograniczonym terenie: między Kamieniem Koszyrskim, Hrubieszowem, Stojanowem, Wiśniowcem, Ostrogiem i Rokitnem, geograficznie rozległym, ale o bardzo skurczonych i nieprzyjaznych możliwościach kasowych.

Potem był numer akrobatyczny. Po każdym popisie każdy z Corradinich wykonywał rodzaj „pas” czy pełnego godności dygu wstecz

z wyprostowanym korpusem i oboma rękoma wzniesionymi do wysokości ramion, dłonie zamknięte, tylko uniesiony wskazujący palec, i ten gest bardzo skoncentrowany i wybalansowany zakańczał każdy odosobniony pokaz, jak gdyby w jego skupionym i magicznym wyrazie zaważyć miało przypomnienie i utrwalenie, zamknięcie całkowite perfekcji i doskonałości numeru. Było to bardzo dobre i nawet jeżeli w gracji i wdzięku poszczególnego numeru coś szwankowało, jeżeli zawadzało to o trywialność lub styl się mieszał, to ten gest końcowy: poważny, hieratyczny i dziwaczny, bardzo ładnie ratował czasem sytuację.

Były pieski tresowane bardzo sztywne, biedne i pstro poprzebierane, i cały czas kątem oka wisiały zawieszone u spojrzenia tego pana, co sobie nimi tam dyrygował: kazał włazić na miniaturowe drabinki, chodzić po poręczy i wymagać kozły w powietrzu jak jakiś psi taniec świętego Wita.

Był jeszcze między innymi Człowiek w Łańcuchach. Naprzód jego uszminkowana asystentka oplątywała go w zwoje łańcuchów, kiedy ręce w łokciach miał już związane boleśnie powrozem. Potem miał dłuższą przemowę do publiczności w takim samym wspomnianym lingo, nic z tego nie rozumiałem, po czym świadkowie – dwu takich poproszono sobie jeszcze przedtem z widowni – świadkowie o przejętych odpowiedzialnością twarzach oglądnęli węzły i kłódki. Potem ten siłacz o nagim nabitym torsie zaczął nadymać się, pęcznieć, głowa wlazła mu w barki i w ciszy skupionej cyrku słychać było jego ciężkie sapanie. Pot obficie wystąpił mu na ramiona i barki, fałdy spuchniętego wysiłku w miejscach, gdzie nie było łańcuchów. Było to bolesne i niesmaczne patrzeć na te konwulsje. Wreszcie po jakimś czasie jakimś tam sposobem osunęła się jedna, druga pętla, długo nieskończenie trwało szamotanie się z powrozami krępującymi łokcie i przy nie bardzo frenetycznym aplauzie Człowiek wystąpił z koła opadłych na ziemię łańcuchów i miał czerwone pręgi na tłustych i muskularnych barkach.

Potem wkoło trocinowej areny tupotał w ciężkim kłusie biały koń, miał pięknie „wyganaszowany” łeb, spięty krótko do czerwonego napierśnika. Tłusty biały zad, pomimo skrupulatnego czyszczenia, miał żółte ślady od utarzania się w nieschludnej cyrkowej stajni i woltyżerka w różowym

trykocie i baletniczej spódniczce stała w piruecie na jego tłustym, drgającym w kłusie zadzie. Bardzo chudy człowiek w brudnej liberii szedł po krótszym kole areny i obracał sznur uwiązany do drewnianej poprzeczki od lonży cyrkowego konia. Trzech muzykantów: jeden z saksofonem, jeden ze skrzypcami i trzeci z bębnem i kotłami, ilustrowało dosyć melancholijnie i ostro cały ten spektakl.

No to jak już była tak wielka okazja, to po cyrku wybraliśmy się do „Tivoli". „Tivoli" to był ogródek-dancing i mieścił się w jakimś dawniej szanownym prawdopodobnie domu, i wchodziło się ładnie przez furtkę na haczyk, jak do babci w odwiedziny, w podwórzu rosły akacje i w ich nocnym cieniu stały porozstawiane stoliki, i na gałęziach drzew zawieszone na rozciągniętych drutach były festony z żarówek kolorowych i mrugały sobie między falbankami liści.

Wyżej po schodkach, na ganku, były „parkiet" i orkiestra i właśnie orkiestra zagrała „tusz", i potem na parkiet wyszedł właściciel i powiedział: „Panie i panowie!…"

Bez nas panów było trzech: podpity komisarz z Równego i dwu jegomościów wyglądających na podróżujących agentów przedstawicielstwa Cleveland Tractor, oraz kot śpiący na jednym z krzeseł. Panie to były dwie fordanserki siedzące przy stoliku najbliższym orkiestry: jedna bardzo duża i o ordynarnej twarzy i druga bardzo przystojna i nadąsana. W bocznej ścianie domu były otwarte drzwi od kuchni i bardzo jaskrawy kwadrat światła padał na trawę, i tamże strasznie niechlujny chłop szorował wnętrze olbrzymiego aluminiowego kotła, i to szorowanie zagłuszyło nam obwieszczenie właściciela.

Po czym orkiestra zaczęła melancholijnego bluesa i mój Tadzio Karasiński zostawił mię samego i poszorował prosto do stolika fordanserek, i poprosił tę przystojną do tańca. Ale odmówiono mu kapryśnie i Tadzio skierował się do tej większej, i, obdarzony uśmiechem i ramieniem, poprowadził ją na parkiet; górowała nad nim i chwilami, kiedy przesuwali się w pociągłych pas bluesa i była do mnie tyłem, to tak go zakrywała swą zwalistą postacią, że wydawało się dziwnie, że tańczy sama.

Teraz było już więcej gości w ogródku-dancingu: jakieś liczniejsze, rozbawione towarzystwo, jakaś para, „parkiet” zapełniał się tańczącymi, przy innym stoliku siedziało dwu poruczników pułku ułanów z Białokrynicy – jak bliźniacy: w kusych, letnich mundurach, fasonowych butach i obaj nosili szkła, i zachowywali się przystojnie, z lekką pogardliwą nonszalancją wobec cywilów. Mój Tadzio obserwował ich i ich maniery spod oka, ten snob zaprzysiężony, bardzo mu imponowała nonszalancja krótkowzrocznych poruczników.

Dyrygent orkiestry we fraku i bardzo znudzony przyciskał brodą skrzypce, miał elegancko podłożoną jedwabną chustkę, obracał się na obcasach w stronę zespołu, potem ku tańczącym. Podeszła do naszego stolika mała kwiaciarka i Tadzio położył jej pięciozłotówkę i wybrał dwie róże amarantowe, i było w tych kwiatach coś sztucznego. Dopiero jak ukłułem się boleśnie w palec, przekonałem się, że nie od kolca, ale od cienkiego drucika, którym płatki były spięte w koronie, ażeby nie rozsypały się w ciepłej atmosferze lokalu. Róże były także sztucznie naperfumowane tanią perfumą. Róże kelner zaniósł fordanserkom – ta przystojna nie rozdąsała się, ale ta duża rozwarła się w szerokim uśmiechu.

Tadzia już całkiem poniosło: „zakomenderował” karafkę wódki, muzyka zagrała tym razem coś „do słuchu”, Tadzio patrzy wyzywająco w stronę Bogu ducha winnych ułanów.

„Czemu nic właściwie nie robisz?” – wdzięcznie obiera sobie moją osobę za temat dyskusji – „więc nic nie robisz, jesteś leń, jesteś czymś, co nie pasuje do życia społecznego, nie widziałem takiego lenia… Chodzisz w kółko, gubisz się w samym sobie. Asystujesz mieszczańskiemu życiu, schlebiasz mu nawet paradoksem odwróconego życia, zapewniasz ich tym paradoksem o ich cnotach, żyjesz ochłapami, na śmietnisku, taki lumpenproletariusz – czy nie dobrze trafiłem?” – był zadowolony ze swej diagnozy i nie chciałem długo zostawić go takim zadowolonym.

„A ty jesteś po prostu snob” – powiadam mu już bez ceregieli – „jesteś snob i to, że miałeś onegdaj wizytę policji, to namaściło cię i nadęło jak purchawkę. Ty szakalu Żorża Siedleckiego”.

Tadzio na wzmiankę o Żorżu Siedleckim całkiem się rozmarzył. Znałem go w tym rozmarzeniu. Sam to nie potrafił i nie umiał, ale wyżywał się w Żorżu, z którym najbardziej co go łączyło, to to, że chciałby być taki, jak Żorż, zawsze chciałby być czymś, a nie sobą. Bluff, panie Karasiński! Powiadam mu to głośno:

„Bluff, panie Karasiński!”

Tadzio nie obraża się na mnie.

Wczoraj mnie nawracał, zanim poszliśmy spać. Zajechał mnie, naturalnie, *Manifestem komunistycznym* Marksa i że materializm historyczny, że żelazna logika tezy, antytezy i syntezy, że rewolucja, że nieuniknioność i oczywistość jej dziania się jest czymś, co rzeczywistość mieszczańską sprowadza do sfer abstrakcyjnych, do mgły i puchu. Słuchałem tego ładnie uwarunkowany przez wychowanie, a przy tym obojętny do tego stopnia, że oczywistość wywodu i perswazji nie dochodziła nawet do mojej drugiej skóry, co mi tam ten snob mówi. Bo też pożal się, Boże, na takiego emisariusza – Jana Chrzciciela prostującego ścieżki i pana z reflektorem po czarnych cieniach reakcji.

Tadzio Karasiński pił – był, co tu ukrywać, był alkoholikiem czystej wody. Trzeba było widzieć, jak przyniesiono nam na tacy wódę, jak, opanowany, ale intensywny, skupił się poważnie, a tu krążek księżycowy chwiejny i czuły chybota się u lejka kieliszka, kieliszek czystej z rosą paru kropel na cienkiej nóżce, kiedy jej trochę uroniono przy nalewaniu.

Jeden haust szybki i celny, od podniebienia uderza aż w nasadę nosa ostro, grzecznie a przymilnie, leciutko zajeżdża, ale to nieskończenie leciutko, fuzlem gorzelnianym, leciutko, bo to i czysta, i wyborowa, ale, swoją drogą, zawsze siwucha, i ma to swój smak także.

Po tym pierwszym kieliszku mój Tadzio ułamuje kawałek chleba, zwykły, pośny, żytniowy chlebek, łamie go chrystusowo i przytyka do nosa, wącha wprawnie, jak kiedyś zażywano tabakę, więc ten pijacki przesąd, nawyk i gest, tik pijacki hermetyczny i hieratyczny ubawił mię, ale ja nic.

No to drugi kieliszek, ale poważnie i spokojnie.

No, dosyć tego! Teraz, kiedy już ładnie jest podmalowane tło, sztafaż, drugi plan, kiedy opowiedziałem, jak to tam było i jak zielono pieniły się

drzewa w wąwozie miasta, jak było leniwie i nieodpowiedzialnie w gorące letnie południa – wszystko łagodne i domowe, i spokojne od kolorowych, dwukolorowych lemoniad w wąskich słojach w żydowskich sklepikach z napojami chłodzącymi (między innymi lodami także kwas chlebowy, a jakże) ze smakiem czereśni wodnistych i w kopiastych pagórkach na targu – kiedy wiemy, jak cieniuje się w pilastrach i kartuszach, i zdyscyplinowanym projekcie barokowa fasada kolegiaty, kiedy malowane olejną farbą na cynobrowo-róż indyjski i na oliwkowozielono blaszane dachy domów (i zaczyna osadzać się cieniutka warstewka grynszpanu-patyny na nowo pokrytym dachu i hełmach wież kościelnych), kiedy wiemy już, jak konie chrupią obrok z karmiaków, jak wozy stoją przy krawężnikach chodników i obrok rozsypany, i koński nawóz, kiedy wiemy, jak monotonnie i ustawicznie wilgi poświstują w lipowych kopułach drzew, monotonnie: „fiju, fijuu!…”, kiedy tak samo swojskie są szkrofuły na twarzy żydowskiego woziwody i binokle na nosie licealnego pedagoga, kiedy policjant w za ciepłym na lato i dyskretnie rozpiętym kołnierzu munduru i czapce powleczonej białym, świeżo upranym pokrowcem, kiedy chłopka, baba z Dederkałów, z małym zasmarkanym i bosym chłopcem, ale w nowej jarmarcznej czapce i oglądającym się za autobusem, a na autobusie napiętrzone kosze i walizy i przeładowany, i napis: „Równe–Ostróg”, i kiedy znajomi mi są i opatrzeni i sekretarz starostwa, i hycel miejski, i były sztabskapitan carski, i eleganci lokalni w za krótkich spodniach i fildekosowych skarpetkach, i kołnierzu wyłożonym, i sekciarz, tłumacz *Pisma świętego*, o wyleniałej bródce, i major z powiatowej komendy uzupełnień, architekt z Łucka na dietach, tutaj wysłany przez wojewódzkiego konserwatora, i panny biurowe z urzędu ziemskiego, i panny z kooperatywy „Tęcza”, i panny z letniego kursu muzykologii w drukowanych letnich perkalikach, i stary chłop w nie przepasanej rubaszce wypluwający siemiaczki, i monter z elektrowni miejskiej, i źle zakonspirowany emisariusz z Galicji, ukraiński irredentysta, wysłany na Wołyń do źle prosperującego tu oddziału Masłosojuzu, i wachmistrz ułanów z Białokrynicy wysłany po zakupy do kasyna oficerskiego, i katecheta licealny chudy, i ksiądz prałat tłusty, i nowa żniwiarka prosto

z wagonu, jeszcze kolorowe koła i etykiety, i ciężko załadowany wóz frachtowy do składów, i inny – z cegłą, i praktykant z tartaków na nowiutkim motocyklu „Harley-Davidson”, i tatra starosty, i linijka, na której przyjechało trzech poruczników ułanów, i czwórka bałagulska z krakowską uprzężą pana z Pustomytów, i żebraczka na odpust do Ławry Poczajowskiej, i kiedy znam już i postoły lipowe w kramach obok chevroleta, i kiedy wiadra cynkowane Huty Chorzów i uczniowie z liceum w pepegach i z piłką do siatkówki, i zabiedzona małżonka urzędnika IX kategorii w kapelusiku i z koszykiem do jatki, i kiedy ponad tym jeszcze raz niebo błękitne albo niebo popielate, albo niebo perłowe i liście drzew albo leciutkie od wieczornego chłodu, albo nerwowe od ulewy, albo blaszane od upału, i kiedy psy albo w podwórzach ujadające wzdłuż sztachet za przechodniem, albo chude i obojętne w poszukiwaniu za ochłapem na targu, albo wesołe i cyniczne, i głupie, kiedy kręcą się za małą suczką koncypienta adwokackiego, i kiedy to wszystko: wilgi, popi, Żydzi, włochate gąsienice pełzające po parkanie, łuszcząca się farba na drzwiach sklepików, kiedy nagrobek pani Salomei Bécu i papierosy „Płaskie” i „Sporty”, nerki i krzyżówka na haku w jatce i najnowszy system daltoński próbowany w liceum, kiedy to wszystko jest już dobrze przemieszane i swoje, i uleżone, i przykryte zapachem jaśminów wieczorem – to dosyć!

To nic, że działo się to wszystko parę lat przedtem, bo kiedy tego a tego poranka znalazłem się w tym samym otoczeniu, to powróciło to wszystko i odkryło [się] takie samo i takie identyczne. Czekał sobie ten światek i obracał się w swoim własnym układzie planetarnym, takim, jakim go poznałem lata temu, i ani nic dodać, ani nic ująć, jak co zapomniałem albo jak co zaginęło we mnie, kiedy kiedyś stąd się wyniosłem, to teraz jednakowe i takie samo – albo mi pachniało, albo mi się kolorowiło, albo układało w ten sam deseń, wszystkie te fenomeny, jakbym przepuścił film na nowo przez aparat projekcyjny. Słońce, bo słońce, Bona, bo ta sama trzyma miasto pod swą mediolańską stopą, administracja powiatowa chyba że ta sama, liceum swoje, Żydzi, ci postępowi – swoje, a ci chasydzi czy ortodoksi – swoje, lipy takie same, płoty – co niektóry spróchniał, to go

naprawili albo nie, Ikwa płynie, jaśminy pachną o właściwej porze. Cóż mię tu przywodzi?

To bardzo osobista sprawa, którą normalni ludzie przeżywają osobno i zagrzebują potem głęboko gdzieś albo jak się który upije, to wypłacze to na kamizelkę najlepszego przyjaciela albo nawet kogoś przypadkowego, w każdym razie jest to u normalnych, że tak powiem, bardzo kameralne. A, jak się okazuje, ja mogę sobie to wypowiedzieć w tak zwanej artystycznej formie.

To jest niedziela. Umówiłem się listownie na niedzielę i nie bardzo wiedząc gdzie, powiedziałem, ażeby w kościele była o jedenastej na mszy, i poszedłem w stronę kościoła jeszcze grubo za wcześnie, bo nie wiedziałem, gdzie się podziać. Naturalnie, że byłem za wcześnie. Idąc powoli, patrzyłem niewidzącymi oczami po zaułkach, murach, po starych domach, które miały dachy kryte holenderską dachówką w odróżnieniu od nowszych, krytych malowaną blachą. Architekt z Łucka spisał się, bo front barokowy kościoła był pięknie odmalowany i miedź dachów już ładnie pozieleniała, i rampa przed kościołem była cudownie odbudowana – kiedyś, kiedy tu byłem, była w ruinie, a teraz z tych ułomków, krzyżali, cokołów, stopni, lalek kamiennych balustrady sklejono to jak stare naczynie i gdzieniegdzie tylko wstawiony kamień w ten kiedyś rozsypany kamienny „*jigsaw*” odbijał się jaśniejszym kolorem od starych szczegółów.

W odświętnych ubraniach i sztywno, grupkami szli do kościoła mieszczanie, religijny instynkt i niedzielna nuda osiągnięcia siódmego dnia odpoczynku po przekleństwie i nudzie potu codziennego tygodniowego łażenia i zadzierania, i zaczepiania o mniej lub więcej artykułowaną pracę lub to, co w schematycznym mniemaniu miało być tą pracą, schopenhauerowska nuda mieszczańska sytości osiągniętej niedzieli, pustka tego osiągnięcia i nuda, i jeszcze raz nuda, i głupi wyraz twarzy człowieka w sztywnym kołnierzyku i niedzielnym ubraniu, i [z] małżonką zawieszoną u łokcia i potomstwem dwa kroki z przodu, i w za ciasnych niedzielnych trzewikach, a w domu pieczeń wieprzowa z purée grochowym i knedle ze śliwkami, nieuniknione jak śmierć, jak konstytucja i teoria Einsteina.

Chciałem sobie poczekać przed kościołem, ale, po pierwsze, zaszumiał letni deszczyk z niewiadomej chmury i głupio mi było tak czekać pod defilującymi spojrzeniami niedzielnej kongregacji. To sobie wszedłem do kruchty i tak się ustawiłem, żeby kto wchodzi, to go widzieć i nie przeoczyć jej.

Potem zaczęło się nabożeństwo, suma śpiewana, więc zadygotały organy i słuchałem, jak niskie tony dudniły już w [i] tak niskim, zredukowanym do ilu tam? do szesnastu drgań, kiedy głęboki ich głos jest już na granicy zaniku i bólu w uszach. Trochę wpadłem w trans, jaki miewałem w dzieciństwie, czad, w jaki zapadałem, kiedy w skupieniu, perspektywie nawy, z daleka pełgają świece ołtarza i w górę ucieka wzrok, gdzie takie czy owakie sklepienia czy fałszywy gotyk, czy żagle rokoka, czy spokój baroku, gdzie przede mną widzę pochylony kark chłopa, a skóra na szyi spalona na brąz i zbiegła w tysiąc zmarszczek, jak u zwęglonych zwłok, gdzie westchnienie nabożne u mego łokcia zatroskanej religijnie chłopki i fru, fru spódnic i halek mieszczaneczki z przedmieścia, i toczek, i woalka, i urękawiczniona ręka z książką do nabożeństwa tej czy owej pani z Towarzystwa św. Tomasza à Kempis, i sterczące uszy, i zwichrzone i mokre od szczotkowania głowy młokosów, i muzyka organów: głębokie tony dudnią w nieskończenie długim tle, a wyższe – w pasażach, jakby ktoś tam szukał i szukał, i chciał się wypowiedzieć. Nie ma jej.

Nie ma jej i nie ma. Może nie dostała listu, może ją przeoczyłem, może była na wcześniejszej mszy? Nie ma jej.

Potem jeszcze raz, kiedy ludzie wychodzą, to wartuję i szukam, i nie ma. Deszcz przestał padać, pozostawił kałuże w nierównych płytach chodników. To sobie myślę: ee, co tam, pójdę, podowiaduję się, gdzie jest dom tej tam jej kuzynki, co to jest za referentem ze starostwa, i dowiem się. Ktoś zapytany powiedział mi, gdzie jest starostwo, woźny w starostwie powiedział mi adres domu, gdzie pan referent: dom mieścił się w górę wąwozu; wszystko, co nie leżało przy głównej arterii, to było w górę – po jednej lub po drugiej stronie.

Tych państwa to tam nie zastałem – nie było ich jeszcze z powrotem lub nie chcieli mię widzieć ni informować – tak mi powiedziała służąca, to

poczekałem na ganku, popaliłem papierosa, zagasiłem go w wazonku na oknie werandy i ogłupiały i nie wiedzący, co robić, zeszedłem na ulicę.

I oto szła ona – powoli, z głową pochyloną i zapatrzona w ziemię. Ta sama i nie ta sama. Potem podniosła głowę i zobaczyła mię, i, jest na to takie słowo: żachnęła się – „żachnąć się” to jest kiedy coś gadamy i zagubimy tok myśli albo zaskakuje nas jakaś zmiana czy logiczny porządek rzeczy się popsuje. Można się żachnąć, kiedy się myśli. Więc żachnęła się.

Bardzo niezgrabnie przywitaliśmy się, coś tam tłumaczyłem się, jak się tu znalazłem, w okolicy tego domu jej kuzynów. Wiedziała, było oczywiste, po co aż tu zawędrowałem.

Idziemy teraz bardzo powoli i milczymy. Jest już ładnie na dworze i słońce. Idziemy leniwie, nie umiem teraz powiedzieć, czy się cieszę, czy smucę ze spotkania. To już prawie trzy miesiące minęły od pożegnania i nie widzieliśmy się całe trzy miesiące, i coś się stało w ciągu tego czasu, wiem, że się stało, ale nie chcę dopuścić myśli o tym do siebie. Więc nadrabiam miną i jestem beztroski i radosny, jak należy, z tego, że się znowu widzimy, znowu widzimy. Patrzymy na siebie z ukosa. Wzięła moją czapkę i niesie ją w ręce i obraca. Potem mówi do mnie:

„Przytyłeś. Przytyłeś i nosisz się jakiś zgarbiony”.

To dziwne, ale wydaje mi się, że przytyła także. Jest bardzo opalona i bardzo zdrowo wygląda, i nie pasuje przy tym mars, jaki ma na czole.

Pytam ją:

„Czy się coś zmieniło? Ty mnie już nie kochasz?”

„Tak, nie kocham cię…”

Jest to takie nieprawdopodobne, że przechodzę nad tym do porządku – cóż to za gadanie, za przekomarzanie się! Jestem nagle beztroski i gadatliwy, i pełen animuszu, i kryguję się, a tu skoczyła mi do gardła troska. Mówię jej:

„Co za głupstwa wygadujesz, wiesz, chodźmy gdzieś w górę od tej niedzieli, gdzieś, gdzie drzewa i trawa, wiesz, że kiedyś tu byłem, co to, parę lat temu, co za czasy były, czy jest tu jeszcze »Tivoli«, taki dancing, jak się idzie w stronę cmentarzy?…

Był ze mną wtedy Tadzik Karasiński: komunista, taki snob, mały, włosy mu tak jakoś sterczały jak nastroszone piórka, zawsze nosił słoneczne okulary… Pijak, alkoholik nałogowy, co tu ukrywać… miał straszną szramę na policzku – jak go było zapytać, to mówił: w knajpie mu butelką od piwa, ale naprawdę to miał pojedynek, taki snob, i przeciwnik, mistrz szermierki z Hasmonei, tak go rozkroił, i pozeszywali go, i mówił mi, że następnego dnia jechał na Boże Narodzenie i nie miał już na tramwaj, i szedł z walizką piechotą na dworzec aż z Łyczakowa, i walizka była ciężka, i szwy mu popękały, i dlatego ta szrama…”

Ma na sobie perkalikową sukienkę letnią w jakiś deseń, białą w deseń, i kapelusik i jest nachmurzona.

Wciąż gadam jej głupstwa. A było tak, że jechałem niespokojny i zmęczony długą podróżą i do mego niepokoju i niecierpliwości mieszał się krajobraz zataczający się za oknem wagonu, i jak stanęliśmy gdzieś na przystanku na krótko, to podbiegała łąka, taka pełna i gęsta od traw, mietlicy, koniczyny, dmuchawców, i zaraz dalej struga w cieniu wierzb, i osiczyny drzewa porozwidlane i ciężkie od chlorofilowej zieleni, i żyto już pod sierp, tylko z kąkolami i zabłądzonym między nim owsem, i znowu kępa drzew i druga, i tak wspaniale wkomponowane w krajobraz, i dalej, dalej strome urwisko płyty podolskiej siniutkie i ciepłe w popołudniu letnim, i chciałoby się wyjść i pójść na przełaj, jak to urwisko…

Tak jak teraz uciekam od rzeczy, tak wtedy uciekałem i płoszyłem się przed rzeczywistością nadchodzącą. Usiłuję ją wciągnąć w rozmowę: co tu robisz?

„Nic, przyjeżdżam czasem na parę dni, gramy w tenisa” – ożywiła się i przygasła.

Kiedy patrzę na deseń nadrukowany granatowo na białym perkalu jej sukienki, głowię się, co to jest, jakiż to deseń. Rozsiane drobne przecinki i zawijasy, w rezultacie można to od biedy przyrównać do obrazu laseczników gruźlicy, jakie widzi się pod mikroskopem. Bardzo niefortunne i dziwaczne porównanie, ale wysilam fantazję i nie mogę wymyślić nic innego. Kiedyś słuchałem wykładów literatury porównawczej i stary

profesor przez pół roku obrabiał poemat któregoś z poetów z czasów przedmłodopolskich, wiersz zaczynający się:

„Sukienkę miała w paseczki perkalikową…
Nie było milszej dzieweczki, daję wam słowo…”,

i tak przez pół roku, kiedy tylko siadał za katedrą i w powietrzu lepkim od nudy semestralnej każdą godzinę cyklu nieodmiennie zaczynał drewnianym skrzypiącym głosem od bazy – od dwuwiersza, który miał być kwintesencją i wyrazem poetyckim, na którym, jak na trupie w prosektorium, grzebał w pedantycznym poszukiwaniu – i dotąd słyszę jego głos cyniczny, suchy i niematerialny:

„Sukienkę miała w paseczki perkalikową…
Nie było milszej dzieweczki, daję wam słowo…”,

i przychodzi to tu za mną i dręczy mię, natrząsa się z mej udręki, i przybiega tu za mną, kiedy właściwie powinienem się cieszyć z widzenia jej, kiedy trzeba jedne sprawy wyjaśnić, może coś uplanować, w każdym razie odrobić te przeklęte trzy miesiące niepotrzebne i odżyć, oddmuchać, odchuchać solidny, pełny puls, w jakim przecież byliśmy tyle razem, i, jak by nie było, co to była za satysfakcja, począwszy od pierwszego pocałunku, który był wstydliwy i niezgrabny, i podlotkowsko-młokosowski, kiedy szło nam to niezdarnie i drżały nam od niepokoju i wzruszenia kolana, jak to gdzie? jak to komu? aha! jak to Wolterowskiemu Kandydowi, czyż nie tak? kiedy potem z czasem, z rutyną nabierało się pewności siebie, kiedy przewędrowało się wszystkie stopnie wzruszenia, udręki, niepokoju do cynizmu, wyuzdania i zblazowania pogodnego i dobrodusznego, a tu, jak się tak złożyło, że i ludzie nam sprzyjali, i nieba nam sprzyjały, i układało się wszystko jak ta lala, i jak co, to mieliśmy na to gotowy i urwisowski, i wyzywający humor, który pokrywał i pasował świetnie do naszej eskapady. Kiedy już pogodziliśmy się i nie miało to już tego dreszczu i popłochu, i strachu, że to pierwszy raz i nigdy przedtem, i że dziwnie i mnie, że ja tu z dziewczyną, kiedy przedtem nigdy – za palisadą i w odosobnieniu dojrzewania, na wygnaniu i…

Kiedy idziemy tak pod górę, już się całkiem wypogodziło i słońce rzuca ciężkie cienie liści drzew w poprzek krzywych uliczek. W jakimś tam miejscu napatoczyła się ta sama studnia. Jak świetnie i à propos jej akustyczne studzienne przypominamy sobie właściwości: że to niebywałe echo! że kawał i dystrakcja; miały mi posłużyć w tej ciężkiej i okrutnej chwili. To ciągnę ją za rękę, powiadam, że rozbawiam, i rozrywam, że echo. Jak trudno mi to przychodzi – ani jej to w głowie, ani ją to interesuje, ani bawi. Mówię:

„Echo, słyszałaś?… echo… jak powiesz coś, słuchaj… jak dokładnie, wyraźnie… echo…”

Prawie siłą ją ciągnę, gdzie studnia. Jest chmurna i nie bawi jej to, że studnia powraca rzucone w nią jej imię; jestem sam rozbawiony i zrozpaczony, zrozpaczony i nie wiedzący, co robić. Bo słuchaj – echo…

„…Echo…” – powtarza studnia.

Idziemy i idziemy powoli pod górę, uliczka przeszła w mało uczęszczaną ścieżkę, w gęstwinie krzaków i cieniu drzew u nadpróchniałych parkanów tłumią się łopiany, pokrzywy, powój, jaskier, dzika róża. Jest tu już odludnie, a ogrody niedzielne są opustoszałe i zielone, i buchające od tego wszystkiego, co w nich się darzy: i palisady tyczek grochowych włochate od pnączy, tęgie zielone łodygi słoneczników i gaje konopne. Na liściach, w ich zielonych naczyniach, zebrała się woda deszczowa lśniąca w cieniu jak rtęć. Zaciekłe pszczoły celują, gdzie kwiaty. Skośnym furkotem przelatuje ptak.

Kiedy już było wiadomo wszystko, że to koniec, i kiedy rozstaliśmy się, i miałem ogromne, długie popołudnie i wieczór do przeczekania do najbliższego pociągu, którym miałem wynieść się stąd, to nie wiedziałem, co ze sobą zrobić, i wybrałem się za miasto, w pola.

I tam natknąłem się na stare kopce kartofli, które zmarzły w zimie i teraz, w lecie, na poły rozkopane, rozwłóczyły po polach właśnie ów ohydny, mdlący, do niczego niepodobny smród, ale to po prostu nie do zniesienia!

[prwdr. „Wiadomości” 1947, nr 27, pt. *Krzemieniec*]

Jeździec bez głowy

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Z daleka, nie z bliska, piszę słowa mego listu. Przy stole siadam i papier rozkładam. Przyleciał sokół z góry i rzucił mi swoje pióro. Ty w środku, a ja z kraja, nasze ręce się podają. Ty górą, ja doliną, między nami woda płynie…”

Był to czas wielkiej samotności. W początkach nasz najazd bywał niespodziewany i wtedy można było jeszcze uchwycić życie na gorąco. Ale nasze żelazo, broń, brutalne najście, przyniesiony przez nas tu zgiełk i ryk motorów były jak przyjście burzy, jak piorun w słoneczne popołudnie. Jeszcze ciężko huśtające się na wybojach działa i załadowane pociskami jaszcze, zaczepiając piastami kół o przyciesie zabudowań i zdzierając żywcem korę z drzew, torowały sobie drogę wśród sadów, kiedy w popłochu, rozpaczy i trwodze ludzie rzucali się do wozów. Ręce gorączkowo mocowały postronki uprzęży u orczyków i kobiety z głośnym zawodzeniem ciągnęły ku nim dzieci, dygowały skrzynie, obrazy świętych zerwane ze ścian i poduszki, i za chwilę były pustka i czeluść, jakie zawsze sprowadzaliśmy ze sobą. Tylko muchy tłukły się o szyby okien i przepłoszone kury chowały się po kątach podwórz.

Z dniami jednak miejsca naszego najazdu zastawaliśmy już wcześniej opuszczone i bezludne. Domy porzucone własnemu losowi, drzwi ich na ścieżaj otwarte. Ściany, sprzęty, pierzyny, śpiżarnie, bydło wałęsające się po zagrodach, jabłka ciężko wiszące u gałęzi drzew, narzędzia, kołyski, ciasto w dzieży zaczynione, maszyny do szycia, bielizna i garnki na płocie – wszystko było pozostawione na pastwę pustki, ludzi nie było.

I tym razem na stole były nie tknięte talerze, nie zaczęli nawet jeść, kiedy nagle zabrali się i uciekli w popłochu. W tych miskach kluski już dawno wystygłe i zimne, nakrajany chleb, kapusta w garnku. Czas zatrzymany w pół kroku. Pomiędzy nami i ludźmi, którzy ten dom niedawno ożywiali,

coś zaszło i odgrodziło nas od nich bezpowrotnie. W tej pustce chaty chłopskiej było jednak coś wyniosłego, jakby nasze wtargnięcie, bezceremonialność objęcia jej w posiadanie, było czymś nierealnym, nieznacznym i naprawdę przemijającym, a więc godnym tolerancyjnego politowania. Za oknami słychać było, jak urządza się obsługa dział: kanonierzy cięli niemiłosiernie drzewka wiśniowe w sadzie i rozgradzali koły płotu, ażeby przed lufami otworzyć przedpole; do wieczora było już niedaleko.

Wieczór zapadał, ktoś zapalił naftową lampę, kuchenną lampę z mosiężnym reflektorem, i postawił ją na mapie rozpostartej na stole, z którego zabrano talerze z nie tkniętymi kluskami. Przez okno, za grzbietem wzgórza, widać było łuny pożarów: jedną, drugą, trzecią.

Wstydziłem się naszego szarogęsienia się wpośród tych ścian, na których rządkiem wisiały popstrzone przez muchy święte obrazy z powtykanymi za ich ramy zeschłymi palmami wielkanocnymi. W róg ramy jednego z tych obrazów wciśnięta była bardzo sztuczna jarmarczna fotografia rodzinna i kiedy zbliżyłem twarz, by lepiej ją zobaczyć, spostrzegłem wystającą spoza ramy kopertę. Wstydząc się, sięgnąłem po nią ręką, jakbym sięgał w głąb cudzego życia.

Był to list miłosny.

List zaczynał się od takiego wzoru: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Z daleka, nie z bliska, piszę słowa tego listu. Przy stole siadam i papier rozkładam…” Wyraźnymi kulfonami, pracowicie pochylonymi w jedną stronę, płynęły słowa listu. Dwuwiersz powtarzał się z rytmiczną, monotonną dokładnością. Chwilami w miejsce częstochowskiego rymu zaskakiwał dziwny asonans.

„Ty z brzegu, a ja z kraja, nasze ręce się podają…” Autor listu nie miał szczególnych trudności, posługiwał się szczudłami i rusztowaniami słów gotowych, uznanych, hieratycznych. Razem z nimi wylewał swe uczucia i chwytał je w stawidła umówionych, przyjętych schematów. Nie wahał się ani przez chwilę. Kiedy stawiał kropkę po każdym zdaniu, to nie miał żadnych skrupułów, niczego nie odżałowywał. Zanim jeszcze atrament wysechł po napisanym zdaniu, stawało się ono czymś naturalnym,

oczywistym, solidnym jak skamienielina. Pisał do ukochanej, ale równie dobrze mogło to być znakiem magicznym wyciętym w korze drzewa albo wykutym w kamieniu, albo zawiązanym w powróśle, albo rotą sądową, czymś mającym wartość niezmienną, ostateczną, jak słowa wypowiedziane w przysiędze.

„Ty górą, ja doliną, między nami woda płynie…”, „nogi twoje bym mył i ten brudek bym pił…” Nie śmiejmy się, na te sprawy mają tu ustalone hieratyczne kanony, sposoby, wzory. Do nich zabrali się niestrudzeni w żarliwości, zbieractwie, katalogowaniu, redakcji znawcy, kolekcjonerzy drgnień ludzkich, pedanci i konserwatorzy. Tomy periodyków, roczniki czasopism specjalnych zawierają niepomierną ilość tych zaklętych tekstów. Amator podglądania zawiódłby się, nie znajdując sensacji w tym liście. Nie potrafiłby go nawet ośmieszyć, bo poezja tego listu kawalera wiejskiego do jego panny była zbyt skomplikowanym szyfrem.

Komu przyszło z tragicznym namysłem, oporem, zaciekłym postanowieniem i wstrętem, aż do poczucia mdłości, zabierać się do pisania listu miłosnego, ten wie, że niewypowiedzianych wzruszeń, niesamowitej fizjologii miłości nie da się wymienić, przetłumaczyć na słowa. Ileż nienawiści przeciw samemu sobie wzbiera, kiedy patrzeć na zapisaną przez siebie kartkę, na udanie, naśladownictwo, wyuczone określenia, okresy choćby najcelniejsze, choćby podpatrzone i ściągnięte od nie byle jakich majstrów frazesu. Bo jak tu oddać coś, co odwija się w człowieku jak spiralna sprężyna albo co jest jak oddech zahamowany nagłym przypomnieniem albo bólem doznanym, kiedy bezwiednie wbija się paznokcie w dłoń, albo brzmi jak odległe kroki, zaleci zapachem zapomnianym kwiatów, głosem ptaków, zamazane jak przedmioty widziane we mgle? Nie zda się na nic.

Wtedy o zmroku, w ciemnej chałupie chłopskiej wiejski kochanek, „najprzystojniejszy chłopak we wsi”, niewidzialny, bo w czarnym „miejskim” ubraniu, w wyciągniętej ręce, przez czapkę podawał mi zapisany pracowitymi kulfonami swój list do kochanki, tym gestem pasując mnie na „umyślnego” posłańca miłości.

Nagle kazali nam coś robić, ruszać się za czymś. Któryś z nas, wstając nagle od stołu, nieostrożnie potrącił chłopską lampę i przez moment potoczyła się po stole, i już na ziemi poszła w kawałki. Błękitny i żółty płomień podniósł się z podłogi i zapełgał. W normalnych warunkach byłoby to wydarzeniem na inną skalę i podniosłoby sytuację do niebywałej potęgi. A tutaj? Pamiętam, że po prostu, tak jak się rozgniata pod podeszwami błoto albo rozciera plwocinę, kilkoma stąpnięciami butów zatratowałem, zagłuszyłem ten ogień – skonał pod mymi nogami w chrzęście szkła, jakbym zadeptywał w ziemię szatańskie ognie.

I zaraz wytargnęliśmy się na dwór, bo kazano nam iść.

U wjazdu do innej wsi, w pobliżu rozpaczliwej kalwarii leżał trup żołnierza z koniem. Nieopodal wznosił się słup, na którym była tablica obwieszczająca porządnie uszeregowanymi literami, że to „GMINA …, GROMADA ZAGADKA”. Ale nie było tu już żadnej zagadki, tylko pogięte blaszane dachy leżące wprost na ziemi, poopalane drzewa i aleja kominów sterczący wzdłuż drogi ku niebu sponad pieców i palenisk kuchni, a reszta była popiołem, spalenizną, z której unosiły się jeszcze w wieczornym powietrzu spiralne strużki błękitnych dymków, i pogorzelisko pokrywał wszędzie delikatny jak pianka morska popiół. Z osiedla ocalało tylko chybotliwe lustro wody w studni.

Wielekroć razy natykaliśmy się na trupy żołnierzy. O zmroku odbijały wyraźnie od ciemniejącej w wieczornym świetle trawy, bo z zasady te martwe ciała były odarte z mundurów i – przede wszystkim – butów. Pozostawione na nich koszule i gacie, okrywające ich pomordowane resztki, były resztką tego, co stanowiło o ich niedawnej przynależności do żyjącego świata. Bo nie było tego już w bezwładności rąk, spopielałych palców z sinymi paznokciami, z czarną obwódką brudu za tymi paznokciami. Nie było tego w szarych ich twarzach, sczerniałych wargach, zaostrzonych nosach, zmatowiałych włosach, w brudnym białku gałki ocznej wywróconej do wewnątrz.

Ilekroć natykałem się na zabitych, na rozdarte, nieme, usiłujące jeszcze w ostatnim skurczu członków naśladować po błazeńsku życie zwłoki, tyle

razy wzbierało we mnie uczucie nienawiści, pogardy, okrucieństwa. Jak nadmieniłem, nie było prawie wypadku, ażeby zwłok tych nie obdarto.

Pomiędzy Hinterlandem, linią tyłowego chaosu, raju cwaniaków, tchórzy, zabłąkańców, maruderów radzących tam sobie, wwalających się do opuszczonych domów, rozwalających drzwi sklepików, wypychających kieszenie jadłem, owocami, pudełkami papierosów, gadatliwych i wrzaskliwych, kryjących się przed nalotami w sienie domów i piwnice, rabujących i gwałcących, bredzących nieprzytomnie lub najchytrzej deformujących i tak już straszną prawdę, otóż pomiędzy tym a linią boju, czy jak to nazwać, był zawsze pas neutralny: ziemia niczyja, strefa bezosobowej, pustej trwogi. W niej to żyją i żerują bestie, stwory zrodzone z ciemności, którym wmiast oczu pali się zielone próchno, zamiast rąk mają szpony i haki, nawołują się niezrozumiałym językiem, stękaniem i świszczącym szeptem. Idą nie tłumem ani w pojedynkę, ale parami, w trójkę, pojawiają się żeby nie wiem jakie było pustkowie, idą pewnie, jak po sznurku, jakby wiedzione specjalnym węchem, w miejsca, gdzie niedawno śmierć w huku, zgrzycie, chichocie rozrzuciła ułamki ludzkich meteorytów. Z trudem dają się ściągać fasowane z magazynu buty żołnierskie jeszcze żółte od chromu i niebieskie jeszcze gwoździe podkutych podeszew. Ciężko otwierają się klamry pasów. Potem pod niebem, co po nocy tak zbliża się do ziemi, leżą już nagie, nienawistne resztki ludzkie.

Obok wzdętego pod popręgiem siodła, u którego oderżnięto już skórę tybinek, trupa końskiego leżał trup jeźdźca. Był to równie odarty trup młodego chłopca, jak można było domyślić się z podchorążowskiego sznurka, jakim obszyty był naramiennik ocalałej na nim porwanej kurtki polowej. To ten biało-czerwony kręcony sznurek identyfikował młodzieńczość żołnierza, bo tam, gdzie powinna być głowa, nie było nic. Wydarty niedaleko przez pocisk lej tłumaczył, co sprawiło to okaleczenie. Bezgłowość tego torsu robiła niesamowite wrażenie. Wydawało się, że nie były to resztki człowieka, ale coś nie z tej ziemi, przyniesione tu spoza jej granic: bezwzględna obcość śmierci, co nie jest z tego świata. Nic,

zakurzony ludzki tors bez głowy, jakby na urągowisko z bezsensu tej strasznej ofiary.

Nasza wyobraźnia stworzyła już świat mitologii – stworów nie zredukowanych, ale pomnożonych, złożoną morfologię, tłum gatunków nowych: centaury, harpie, gryfy, chimery – najcudaczniejsze kombinacje tułowi, ogonów, skrzydeł i szponów, jakby prostota i celowość naturalnego wzoru nie wystarczała. W chytrym zamierzeniu realizmu uda porastają pierzem, by przejść w szpony, łuski syren i chimer stopniowo zanikają, by stać się naskórkiem, hydra miota swoim wężowym ogonem, sfinks wpiera się lwimi łapami i dumnie wypina twarde kobiece piersi, nawet schron świętego Antoniego pod gałęziami drzewa harpie zachlapały ptasimi odchodami jak zwyczajny kurnik. Inna mitologia otwiera przed nami perspektywy korytarzy i sal muzealnych, gdzie w kurzu piętrzą się garby, pancerze i narośle paleontologicznych wykopalisk, ich palczaste ślady łap pozostawione w piaskowcu i błony skrzydeł zwapniałe w bryłach kamienia tu przydygowanych. Te mitologie pomnażają, kombinują, łączą formy, składają je w mnogości. Ale jest inna mitologia – na wywrót, przez redukcję, pominięcie. Mitologia sztuki: udającej życie, ale ograniczonej kompozycji, pominięcia szczegółu, prymitywu, schematu, ograniczenia się do esencji, akcentów, rodzaj amputacji dokonanej umyślnie, z zamiarem. Czyż niemota obrazu, ślepota wiersza, martwota rzeźby nie dowodzą tej zredukowanej, wyrażającej się skrótami mitologii?

Bezgłowy jeździec – w swej skłóconej, protestującej myśli przyrównałem [go] do pewnej jakże pożal się Boże patetycznej w patosie rzeźby, która z wyskubanymi jak u gęsi skrzydłami zrywa się z pojedzonego przez liszaje ułamku marmurowego dziobu okrętu na podeście schodów w wielkim muzeum. Postać ta do znudzenia już wypowtarzana we wszystkich albumach historii sztuki, encyklopediach, podręcznikach, kompendiach i winietach. Ze swymi kanelurami fałd oblepiających piersi, brzuch i uda jest ona już tak opatrzona i trywialna, że trudno wyobrazić sobie nawet, by miała kiedyś na marmurowej szyi dźwigać głowę. Każda rekonstrukcja, każdy domysł przyprawiający tej rzeźbie wydobytej z gruzu i ziemi głowę niczego nie doda, a raczej ujmie.

A może to nie była bogini zwycięstwa, może to był anioł śmierci albo jutrzenka, albo zły duch dla niepoznaki uskrzydlony? Może na barkach miała jaszczurczą albo kobuzią głowę, może utrącone ręce nie niosły wawrzynu, ale miecz albo pioruny, albo nic?

Na skraju wypalonej wsi, nad rowem, wygonem leżało odarte z butów, uciekające już w niebyt ciało ludzkie, w młodzieńczości jeszcze bezpłciowe – Nike z Samotraki, jeździec bez głowy.

[prwdr. „Wiadomości” 1958, nr 32]

Marsylianka

Przed samym Bożym Narodzeniem dostaliśmy po raz pierwszy gażę miesięczną. Nie jakieś podziały czy zasiłki, ułamkowe *Trinkgeldy*, ale solidną miesięczną pensję. Musiało to być dla niektórych ożywczym tchnieniem powrotu do dawnych czasów mieszczańskiego zabezpieczenia, rutyny, pensji na pierwszego.

A odbyło się to w nie najbardziej dekoracyjnych okolicznościach. Więc naprzód, jak zwykle, kilka–kilkanaście dni przedtem chodziły o tym pogłoski (nauczyłem się potem wierzyć pogłoskom – zawsze się sprawdzały), potem definitywnie dano znać, że tego i tego dnia o tej i o tej godzinie rano należy zgłosić się do biura płatnika w tym i tym bloku, bloku murowanym komendy i administracji obozu.

Kiedy się tam przyszło, to już czekał tłum gorliwszych, którzy nadążyli wcześniej, nadchodzili inni i wobec czego uformował się ogonek czekających, który, naturalnie, nie mieścił się na korytarzu pierwszego piętra, więc zakręcił w dół schodów. Stanąłem na końcu ogonka i zaraz nie byłem na końcu, bo nadchodzili inni i stawali poniżej mnie na stopniach schodów.

A popatrzeć po tłumie, a wsłuchać się w zgiełk rozmów. Przeważnie mamy na sobie mundury khaki francuskiej piechoty, wyfasowane zaraz po przybyciu do obozu w brudnym magazynie. Więc to są kuse kurtki zapinane na wypukłe guziki emaliowane na oliwkowo, z płasko leżącym kołnierzem odsłaniającym gołe grdyki, do czego dochodzą oszczędne bryczesy i [o] klęsko i poniżenie! owijacze włochate, tam gdzie ich nie obrębione brzegi, często koślawo i bez wprawy oplątujące golenie i łydki niedawnych świetnych elegantów i wykwintnisiów, kiedy to regulaminowo i z fasonem nosiło się buty od Hiszpańskiego miękkie jak rękawiczka, z wysokimi zapiętkami i o nieprzepartym szyku. A tu po słabo uczernionych ordynarnych buciarach komiśnych albo po narciarskich

wymyślnych i sportowych grubo szytych i sznurowanych butach te beznadziejne ci-devant owijacze, które zostały u nas wspomnieniem tamtej wojny.

Co niektóry wykwintniś kupił już sobie w Paryżu mundur oficerski albo zamówił go u krawca w Rennes, są też one różnego kalibru i kroju, co wolno i nieważne u Francuzów. Co niektóry nosi jeszcze fragmenty polskiego umundurowania – będą to przewiezione pod cywilnym ubraniem bryczesy, czasem kurtka polowa, no i owe właśnie buty od Hiszpańskiego.

A posłuchać, to i posłuchałbym nawet, o czym tak mówią w gwarze już spokojnych i uspokojonych po trzech miesiącach głosów, ale zaszedł tak zwany incydent.

Przede mną, w gęstym ogonku tych i owych: poruczników, kapitanów i majorów (na dziwnej szlufce poprzecznej francuskiego munduru mieli już przymocowane gwiazdki dystynkcji, ale co niektóry miał je właśnie w kierunku poprzecznym, dziwnie to wyglądało, jak niepolska szarża), jeden porucznik czytał „Daily Maila” i czytał go z takim uporem i namysłem, że widać było tę determinację postawienia na Anglików: niech tam sobie inni robią i mówią, co chcą, on z nimi czy bez nich stawia na Anglików, i tym „Daily Mailem” odgrodził się od nas dosyć nawet samolubnie, a „Daily Mail” inaczej wygląda aniżeli kontynentalne gazety: solidniejszy papier i wytłuszczone, czarne litery *headline’ów*.

A dalej trochę stał pułkownik kawalerii potężnej postury i o wydatnym brzuchu, i miał na sobie ciężki polowy płaszcz polski z proporczykami Centrum Kawalerii, miał nalaną twarz o bruzdach strapienia i nasunięte brwi, wydaje mi się, że był z komendy obozu, ale stał, tak jak my, w tłumie w oczekiwaniu na pierwszą miesięczną gażę.

I na to drobnym kroczkiem, z teczką skórzaną pod pachą nadbiega po schodach płatnik, bodajże kapitan. Jest grubo spóźniony i wyobrażam sobie, że dzieje się to nie z powodu zasiedzenia się nad poranną kawunią, ale pewnie on i te gryzipiórki płatnicze mieli furę roboty z przygotowaniem tych papierów i tak dalej. Ten płatnik był starszym panem o wymiętej zbabczałej twarzy i siwiejących włosach zaczesanych do tyłu. Kiedyś musiał być przystojny, teraz – jakiś pedziowaty i tatusiowaty.

W pomruku czekających, szybko, zaaferowany, spieszył się schodami w górę ważny i trochę z góry na stado czekające, ale musiał sobie zadać ten fason zapracowania po uszy – tłum to jest tłum.

A na górze pomiędzy czekającymi zobaczył wielką postać pułkownika, może nawet swego obozowego zwierzchnika czy wpływową obozową figurę, bo doskoczył do niego, dzierżąc te teczki pod pachą, i: „…Ależ, panie pułkowniku, pan nie może tu czekać, proszę w tę stronę, zaraz pana pułkownika załatwię…”, a ten pułkownik opryskliwie: „…Niech pan idzie do swej roboty…”, a on znowu: „…Panie pułkowniku, oczywiście, że pan pułkownik w pierwszym rzędzie nie może tu być zatrzymany, tędy, panie pułkowniku…”, wielki pułkownik rozdrażnionym głosem: „…Pan niech idzie do swej roboty…”, „…Ależ, panie pułkowniku…”, „…Proszę tu nie robić wystawy…”, płatnik zrozpaczony zaczął jeszcze „pana pułkownika”, a tamten uciął krótko: „Panie, nie pierdol się pan tu, marsz do kancelarii…”, teraz płatnik miał zmartwioną i prawie rozhisteryzowaną twarz i powiedział nieopatrznie: „Gdyby co, to proszę zważyć, że jestem starszym wiekiem…”, a pułkownik krótko: „To nie pańska zasługa, tylko pańskiego ojca…” Tak ci go chlasnął ten pułkownik i płatnik zakręcił się, zatrzepotał swymi teczkami jak spłoszona kura i zniknął w tejże kancelarii.

Popatrzyłem po tłumie i nie widziałem zbyt wiele satysfakcji, raczej przyjęto to jako zaokrągloną pointę sytuacji, sam pułkownik nie potoczył triumfującym spojrzeniem, tylko skupił się w tym swoim wielkim płaszczu kawaleryjskim i jakoś potoczyło się to niedługo sprawnie z tym wypłacaniem.

Przyszła w końcu i moja kolejka i na ćwiarteczce papieru powielone rubryczki o kolorze fiołkowym, jak liścik miłosny, a powiadają, że tak i tak, że *bulletin de la solde du mois du novembre*, naprzód ładnie podsumowane, co się należy, a to *solde*, *charges militaires*, *suppléments temporaires* i tak dalej, *total à déduire*, *2e total*, *contribution nationale*, *total*, *timbre*, *à payer* tyle i tyle, potem już czerwonym atramentem po polsku: kasyno – tyle, zwrot pożyczki – tyle, należności – tyle, fundusz gwiazdkowy, potem: do wypłaty i jeszcze na końcu zielonym ołóweczkiem jakaś suma, i podkreślone, co do wypłaty, zostaje 820 franków i 60 cent[ym]ów,

i wyliczyli, zwinąłem to w rulon i do kieszeni od spodni, i *au revoir*, cześć, *bye*, wychodzę na koszarowe podwórze, a przed sobą mam wolne dziesięć cholernych, cholernych własnych dni i świat, i wolność, i daleko od tego wszystkiego.

A umówiliśmy się poprzednio we czterech, że pojedziemy w góry. Tylko że na samym początku jeden nam się zgubił i już wiemy, co to będzie. Nie wytrzymał, na samą Wigilię pojechał do Paryża i trzeba go będzie „za dupę ściągać z kurwy".

Tak też i było. No więc ściągnęliśmy go gdzieś na rue Chabanais, potem wstąpiłem jeszcze na bulwarze St-Michel, ażeby kupić, szaleństwo! patefon, kosztował 200 franków, no i na czas znaleźliśmy się na Dworcu Lyońskim. Jedziemy.

Zostawiliśmy poza sobą parszywy wojenny Paryż z światłami przydymionymi – *ville lumière* na wywrót – z tłumem wojennym a zblazowanym już tamtą wojną, z tłumami *permissionaire'ów* na dworcach, zadekowanymi eleganckimi podoficerami, z dziewczętami uwieszonymi u ramion cwaniaków, którzy jakżeż nie spekulują już i nie głowią się w nowych warunkach, jak tu i co tu z tą wojną, ze strzępami i ruderami po wystawie od Place de L'Alma do Trocadéro, została jeszcze tylko wystawa poglądowa i pomyślana nauk ścisłych w jednym z budynków koło Grand Palais, gdzie pociągnąłem swych kompanionów, ażeby sobie popatrzeć, jak przemyślnie i nieukom pokazuje się jak na łopacie, że powierzchnia trzeciego stopnia może wyglądać jak abstrakcyjna rzeźba, że modele z topologii czy *analysis in situ* są jak marzenie formisty, no a i zauważyłem, że niektóre z modeli były pożyczone z niemieckich uniwersytetów, no dobrze, coś tu przypadkowo niemieckiego zagrabili, zostawiliśmy więc poza sobą parszywy Paryż jeszcze rosisty od wszelakich gatunków win, tłusty od serów, ociekający krwią befsztyków, z wystawami zapchanymi wszelakim dobrem i brylantami, zostawiliśmy Garde Mobile niezdarnie obstawiającą bulwarowe kawiarnie dla skontrolowania identyczności międzynarodowej zbieraniny – szczurów wypłoszonych z ich zakamarków, kiedy zaniuchały kataklizm i nie bardzo jeszcze je instynkt

pokierowuje, i tłoczą się, i są już u progu paniki, kiedy nie wiadomo jeszcze, co i jak. Jedziemy.

A rano był zimowy ranek ze śniegiem i barany chmur, i barany wełniste i śniegowe gór Savoie, już były góry i rano, i zupełnie uciekliśmy od tamtego zasmrodzonego, zadymionego, zapaskudzonego świata wojny.

A zachłysnęliśmy się od razu innością miejsca. Od chwili, kiedy wysypaliśmy się z wagonu na udeptany śnieg peronu, poczuliśmy się jak w starym dawnym miejscu, pomimo że przecież wszystko tu jest inne i niezwyczajne. Jest ostry mróz, zimno szczypiące policzki, para lokomotywy kłacze się przy nogach jak pierzyna, ciągniemy te swoje walizki i ja piastuję patefon, bo nowy, co ino kupiony w Paryżu, i jest nam beztrosko, nic jeszcze nie wiemy, jak tu i co tu, czy znajdziemy pomieszczenie, czy te tam nasze fundusze wystarczą na miejsce bądź co bądź luksusu, sportu, zjazdu milionerów całego świata. Ale my sobie na to: furda.

Mało ludzi, kręci się ten ludek tutejszy raczej – typowe zbijajgrosze miejsc wypoczynkowych sportowych – i że tam oni harują, kelnerują, przewodnikują, dogadzają, szukają, informują i są od tego, ażeby znoszący złote jaja turyści mieli wszystko podane, podgrzane, wyczyszczone, to i tak nie daje im to pozoru zapracowania, a nawet, powiedziałbym, gotowanie, smażenie tego wiecznego święta i pikniku dla innych udziela się i im także i dlatego nie są zafrasowani, tak jak to się dzieje z tymi z dołów. No dobrze.

Jeszcze nam, zdaje się, nikt nie powiedział, a już czujemy, że tu nienormalnie, że budy po prostu są na zamknięciu, że właściwie to jest katastrofa z punktu ich hotelarsko-gospodniowego widzenia. Bo co? Bo panika wojenna już poupychała tych dostatnich w jakieś zaciszniejsze miejsca albo po prostu są jeszcze zdezorientowani: nie wiedzą, co robić, co ryzykować, gdzie się podziać, co grozi ich ataraksji w tych nadchodzących czasach apokalipsy może. Mam uciechę z tego zmartwienia tych nieobecnych milionerów i trochę mi żal tych hotelarzy tutaj, ale już przeczuwamy, że to nam jakoś na dobrze wyjdzie. I wychodzi, jak Bozię kocham, wychodzi. Już nam ktoś powiedział, że miejsca jak lodu wszędzie, że wprawdzie co niektóre luksusowsze budy są na dobre zabite deskami, ale

że po innych jest pusto i wyczekująco. Już gdzieś wyczytaliśmy, że *pour les militaires* zniżki, ale jakie: 50%! że jakieś inne niebywałe udogodnienia, premie i benefisy. Ale nam się udało z tym pomysłem! Ktoś już nas wziął w swoją opiekę, ktoś inny ciągnie nasze chude wojenne walizy, kręcimy się w prawo, w lewo za kimś, kto nas zaprowadził na piechotkę, ale niedaleko i już jest przed nami ten Hôtel de la Mer de Glace i ładnie wyczyszczone kołatki, szybki w oknach *lounge'u*. *La patronne* wyciera umączone ręce i twarz się jej rozpryskuje w uśmiechach, a my taszczymy już te nasze graty na górę, pytamy, jesteśmy informowani, krzątają się koło nas, jakbyśmy byli indyjskimi nabobami, a nie obieżyświatami. Ale nie, nie mamy żadnych kompleksów, mamy urlop od wszystkiego.

Więc jeżeli jesteśmy teraz wolni na dziesięć dni od wszystkiego, to dalejże, uważajmy, ażeby od tego nie odbiegać. Trzymajmy się już tego z pasją i będziemy się już tak trzymać.

Więc na górze pokoiki jak dla lalek, a firaneczki w oknach, a umywalki i łazienki, stoliczki i bideciki. A łóżka – nie, to nie łóżka, to marzenie natchnionego tapicera: materace rozwiewające w puch ideje o grawitacji i ciężkości. Wszyscy czterej, jak umówieni, każdy wysiada ten materac i huśta się na nim, i odkrzykujemy sobie, i podpowiadamy nieuchwytne i nieokreślone wrażenia siódmego zmysłu: zmysłu zawieszenia w powietrzu. Ale i na to nie dają nam czasu, bo już przewidzieli i odczytali nam z oczu, że to z podróży, więc apetyty, więc wołają i przez jakieś korytarzyki, pasaże przewędrowują nas do jadalni, nasz stolik, nasz specjalny, zarezerwowany, serwetki jak infuły biskupie i platery, i zajeżdżają dymiący i lśniący od tłuszczu bekon i grzanki, i jajka, jak pawie oczy, sadzone, i chrzęści, chrupie chleb, i kawa, *café au lait*, i rozsiadamy się wpośród tego dobrobytu, *jamy* kolorowe, bo śniadanie jest na styl angielski. A my rozglądamy się i ciągnie nas do okien, które powleczone bielmem mrozu, i jeszcze nie wiemy, jak tam jest na zewnątrz, ale że wtrząchamy przede wszystkim obowiązkowo to śniadanie, to dopiero za chwilę. W kuchni hotelowej coś się tam dzieje i pitrasi, *la patronne* opiekuje się nami jak rodzona mama, nieba stara się przychylić, Raymond – to ten, co nas przyprowadził – już urzęduje ze szczotkami i w fartuchu, ale

pamięta o nas i wszystko jest ułatwione: narty? naturalnie, za bezdurno do wypożyczenia; a z butami? to całkiem proste: tą samą drogą, *et alors, vous nos alliés, oh! la Pologne, c'est ça, et qu'est-ce que vous pensez de la guerre? oh là là, ces sales Boches, mais la France, et la Pologne, quel malheur!* a ile dziennie? bagatela: 40 franków, *pour nos alliés*, więc wszystko w porządku.

A wychodzimy na wolne powietrze i głowę trzeba zadzierać wysoko. Słońce dopiero co wyszło spoza Mont Blanc de Courmayeur i zaginają się jego promienie, i leżą wzdłuż doliny Chamonix. Góry dokoła jak brzuchy ryb ogłuszonych ręcznym granatem. Białe brzuchy ryb.

Idziemy sobie beztrosko, wesoło środkiem ulicy, śnieg ładnie wypłużony w sterty po bokach chrzęści nam pod nogami i nie jest nam zimno, pomimo mrozu, bo w słońcu. Jak beztrosko jest powłóczyć się bez celu, bez planów, dogadywać sobie i patrzeć po soplach wiszących u okapów!

Jest mało ludzi, więc rzeczywiście wyludnione. Posterunek przed budynkiem *major de la zone*, strzelec alpejski w khaki i w hełmie na nasz widok staje na baczność i prezentuje broń sprawnie, siarczyście i punktualnie. Kiedy sobie przypominamy neurastenika, szyldwacha francuskiego w Coëtquidan w workowatych spodniach wypuszczonych na saboty, którymi gniewnie powłóczy po błocie i przytrzymuje karabin bodajże przewieszony na autentycznym sznurku, to kontrast jest niebywale zabawny. Ale jest nam przyjemnie i próżno, że nas honorują tu i salutują, i odbieramy to z całą satysfakcją naładowanego dobrze optymizmu.

Więc tu jeszcze także porządek wojenny zaziera, jeszcze na dworcu po drugiej stronie widziałem pakę jucznych mułów wojskowych popędzaną przez wysokiego chudego strzelca alpejskiego, na głowie miał beret wielki jak koło od wozu, przyplaskany na bok, i ten Sabaudczyk był bardzo góralski i dziki, po prostu jechało od niego koziną, jak się tak było z daleka popatrzeć. A od stoków górskich za Plain Praz dochodziły serie karabinów maszynowych, a może wydawało się, że to od Plain Praz, bo właściwie echo odbijało i roznosiło to, i odwracało ze wszystkich stron. Strzelcy alpejscy ćwiczyli gdzieś w ich strzelaniu na rodzaju strzelnicy górskiej.

Naturalnie, że powałęsaliśmy się – dookoła pełno sklepów z fantastycznymi ekwipunkami sportowymi: niebywałe narty, wiązania, buty, futra, wymyślne stroje i garnitury, pamiątki, antyki i souveniry, walizy ze świńskiej skóry, tkaniny, prymitywne wyroby z Savoie, Dauphiné, książki, magazyny, tysiące bibelotów i zabawek, figurki, teleskopy, koszyki. Malutkie souveniry mają jednak markę i znak: „*Made in Germany*”. Poszliśmy sobie tym nieodpowiedzialnym spacerkiem, gdzie Plain Praz i „małpi gaj” dla nart tuż w mieście, i funikular do wyciągania zabawników na niewysoki stok, i lodowisko, na którym bardzo niewielu łyżwiarzy, pustka, więc trochę zagubionych dzieci i zawodowców, świerki dokoła sterczą i zielenią się i mała dziewczynka, dziesięcio- lub ośmioletnia, kręciła się na łyżwach na swych wysokich sznurowanych bucikach i z krótką falbaneczką spódniczki, która w tym kręcącym się piruecie odsłaniała jej szczupły, obciśnięty w majteczki zadeczek dziecinny i bezpłciowy.

Jak już popatrzyliśmy sobie i tam, to z powrotem na obiad do hotelu.

Z powrotem w hotelu. Kolacja. W restauracji patrzą na nas ciekawie – tych niewiele osób, które pomimo wszystko tu zjechały. Jest nieodłączna stara panna Angielka, zagubiona nad książką, kiedy równocześnie łyżką czerpie zupę z talerza. Jest rodzina: papo, mama i dwoje dzieci – wszyscy w wełnianych kolorowych swetrach, jak i dwie tęgie panienki i, jak wszyscy tutaj, w spodniach narciarskich i takichże grubych butach. Jest jeszcze łodygowaty młody człowiek, z którym zawieramy znajomość, i jest to francuski porucznik marynarki z Brestu, który sobie tu na Nowy Rok przyjechał i, jak nas objaśnia, każdej chwili spodziewa się zjazdu swej rodziny. Przylgnął do nas bardzo i jest szczęśliwy, że ma towarzystwo, i całkiem oddany, jakbyśmy się przyjacielili od lat. Nazywa się Lagnasse.

Grymasimy i certujemy się nad jadłospisem, a tu tymczasem postawiono przed nami kopiasty koszyk chleba: ładnie nakrajane szypułki chrupiące skórką, zajechały *hors-d’oeuvre’y*, więc: sardynki i mule, krewetki różowe i tęczowe, grzybki, kaparki, jakieś szczypiorki i siekane jajka, do tego sos taki i sos owaki, ale stoją nad nami jak kat nad grzeszną duszą i zastanawiamy się, i deliberujemy: a to befsztyk krwawy, a to kapłon

z rożna, langusty albo kraby do wyboru, fryty, sałata taka czy inna, co niektóry z nas robi się zblazowany i splinowaty nad tym wyborem, a tu jeszcze *carte des vins*, no to komenderujemy sobie, było nie było, cztery butelki: bordeaux do befsztyka i chablis do nadziewanych krabów. Sałata, góra sałaty w drewnianej dzieży, to już pozwalają mi celebrować mieszanie i dolewam z tej butelki takiej oliwy, z tamtej – katańską, ocet i czosnek, jak się należy, wpychamy sobie z fanfaronadą rożek serwety za guziki munduru, a tu czerwieni się befsztyk jak krwawy agat, lśnią wypukłości liści sałaty ociekające oliwą, pieprz, na miłość boską, pieprz! nasz kuzyn kanclerza Łaskiego z dystynkcją i precyzją wyskrobuje skorupę kraba, wino przesącza czerwone światło na obrus, karczochy udają kwiaty i pozwalają obłamywać swe płatki do zanurzenia w maśle topionym z tartą bułką. Już nauczyliśmy się gestu gurmandów: wycierania chlebem sosu z talerzy, już inny z nas, snobów, denerwuje się, czy wino jest „szambrowane”. *Bon*. A tu sery. Na drewnianej tacy kolekcja niebywała: więc i trapistów, i camembert, i roquefort, i jakieś inne, roquefort dobrze nadpsuty, z kawernami zabarwionymi na kolor patyny, inny klei się jak introligatorski klajster, a inny znowu podany jest w pancerzu z rodzynek. Na końcu kawa, papierosy i likier – prawdziwy bénédictine.

Ale miało być o tych sakramenckich górach. No dobrze, więc o górach – ale zaczęło to się następnego dnia dopiero. A mówili nam i kładli nam w uszy, że na narty to tylko Col de Voza i Col de Voza. A że opiekują się nami, zgadują nasze życzenia, na rękach nas noszą, omalże za nami do łazienki, ażeby nas tam podtrzymać i zaopiekować się, więc wszystko ładnie przygotowane i rano nie mamy żadnych kłopotów. Deski i buty, termosy i szale, taksówka zamówiona, przysiadła w śniegu limuzyna ze specjalnymi rakami na narty, jest rano, para bucha z naszymi oddechami, pełni jesteśmy kawuni i chleba z masełkiem, szczypie nas tęgi mrozik, ładujemy się do samochodu.

Jedziemy doliną Chamonix. Po prawej masyw Brevént: złowrogie stożki i ściany zaśnieżone i pociągnięte krepą mgły. Po prawej masyw Mont Blanc na skalę tak ogromną, że nie ma się już właściwego „stosunku”, zredukowany jest do znaku, do konwencjonalnej idejki o górach, do samej

myśli o Mont Blanc. Naprawdę – patrzę na zaśnieżony garb wyzłocony słońcem i goły ponad siwą chmurą i wierzę, że jest to Mont Blanc, bo ktoś mi dał na to słowo honoru, a poza tym nie mam innego dowodu, i już.

Bawi nas szybkość, eskapada, nasze święto, od zakrętu do zakrętu, skarpy drogi śmigają koło nas zabawnie i uparcie. Zresztą niedługo tej jazdy i gdzieś dobrze zakręcamy od właściwej szosy, i trochę pod górkę, potem jakbyśmy się zawahali i już jest zaśnieżony budynek stacji, i strzelają z niego prawie pionowo w górę i zaraz znikają w chmurze kable „*funiculaire'u*". Czeka już parę osób i ładujemy swe narty do specjalnej przegródki na zewnątrz wagoniku, który jest jednym pazurem zahaczony o linę. Potem ciśniemy się do wnętrza, dzwonek telefonu, funkcjonariusz *funiculaire'u* zamyka drzwi i wagonik drga. Nasze żołądki uciekają nam gdzieś między łydki, szumi w uszach, budynek stacyjny znika nam pod podłogą wagonika, tam także zajeżdżają czuby jodeł górskich na stoku i wpadamy w chmurę.

Koło mnie stoi strzelec alpejski – wysoki, chudy drab, ma chustkę z fularu w kropki zawiązaną z wielką fantazją na szyi pod kołnierzem munduru, wielkie łapy i wielkie buty, buciary, ma budowę i posturę narciarza, jakiś nowy zmorfologizowany typ człowieka narciarza (znacie braci Jakubowskich ze Lwowa? wielkie dryblasy, dłonie jak łopaty, kciuki powybijane zawodowo ze stawów, nie ma pikoletów, które pasowałyby do ich stóp, bary takie, bruzdy uśmiechu w policzkach sparciałych od słońca i refleksów śniegu, w domu zagroda, gdzie skład, kupa desek postawionych na sztorc, a w śniegu na stoku, kiedy na zlodowaciałym stoku zgrzytają skamieniałe od lodu gałęzie pod poprzecznym zgrzytem nart christianii nożycowej). Mój strzelec alpejski – oczywista, jakiś tutejszy zawodowy zmobilizowany sportowiec, i już – patrzy na mnie z przyjaźnią i ma pionowy uśmiech fałd na twarzy i zmrużenie powiek, i jakby mówił, toby powiedział: *Dis donc, mon vieux*, to jakeście sobie wymyślili tę wojnę, to ją macie, a widzisz, mnie nic, mam to gdzieś i teraz, i przedtem, i potem, jeżeli co dla mnie najważniejsze, to tylko stok przywiany śniegiem na metr i szus, i pył śniegowy, i właśnie nożycowa christiania. A wy się tam bawcie.

Wynurzamy się z chmury i mija nas zjeżdżający w dół wagonik – to jakoś działa wahadłowo: jeden w górę, a drugi, przeciwwaga, w dół, a w górze szczerzy do nas swe dziąsła stacyjka na Col de Voza i gładko podlepiamy się u jej podniebienia, i już jesteśmy na wolnym, pali się od słońca i śniegu, bo jesteśmy na górze. Jesteśmy na wolnym i leniwie przypasowujemy sobie narty, dobrze nam wysmarowali je, wszystko, cholery, przewidzieli, jakimś lepniakiem do śniegu właśnie takiego, jaki tu jest.

Col de Voza jest jak olbrzymia pierzyna, wielki wał śniegowy. Albo jak siodło. W najniższym punkcie jest, naturalnie, hotel, wielopiętrowe pudło, i naokoło nic, tylko białość śniegu. Poniżej, już na stoku opadającym do Megève, jest stacyjka zębatej kolejki z Megève, po przeciwnej stronie – stacja *téléférique'u*, który nas tu wyciągnął. Od hotelu ciągnie się jeszcze wyciąg narciarski na szczyt Col de Voza.

Kiedy mamy dosyć nart i śniegu, to, naturalnie, wtłumiamy się na obiad. Powtarza się ta sama historia, jak w dole. Mało sportowców, to nas tu fetują: wszystkiego w bród, czego dusza zapragnie, wina takie i owakie, tym razem kazaliśmy sobie dać langustę – cynobrowe skorupy ugarnirowane zieloną sałatą i polakierowane majonezem. Bardzo duża i pusta sala restauracyjna z lśniącymi chromami i czerwoną skórą obić fotelów. Posadzki wyłożone grubymi płytami gumy, po której dziwnie się chodzi w ciężkich butach narciarskich. Dziewczyna w nieskazitelnym białym koronkowym czepku i fartuchu odczytuje nasze życzenia z naszych ust. Dziwny i niesamowity jest ten komfort postawiony i wygrany pośród dzikiej najsroższej natury.

Jeszcze przedtem, na śniegu, i teraz, nawet odgrodzony murami hotelu, słyszę przeciągły niski głos, niski ryk-buczenie, smutny i dojmujący, i pełen bezsilności. Nie mogę wyobrazić sobie, co to jest. Wydaje się, jakby uparte i spiętrzone kształty gór: niesamowite piony i skłony, światy postawione pochyło i uwieszone w chmurach, jak chmury z granitu szczyty gór – jak gdyby to wszystko, nie mogąc wyrazić się w solidności i tęgości masy i przestrzeni, zagęściło się i w strasznym i nieudałym wysiłku wszystko to chciało wypowiedzieć się w innym wymiarze, w innym niż przemożny

aspekt wzrokowy wyrazie. I dlatego ten ryk i buczenie. Pozostawiłem swych kompanów nad serwetami i stoję u okna, i naraz nieprawdopodobnie komicznie cała historia się wyjaśnia.

Pracowicie zapychając pod górę, spoza urwiska niknącej za nim linijki kolei nadciąga pociąg miniaturowy i drobniutko podciąga na poziomy już tor stacyjki. I jest ciągniony przez dwie miniaturowe lokomotywy, i ciągnie za sobą mały zestaw wagoników. Najkomiczniejsze jest to, że lokomotywy i wagoniki są w pierwszym rzędzie przystosowane do swej podróży po stoku, więc kotły są dziwacznie brzuchate i na poziomie stacyjki nie zachowują swego poziomu, i sterczą ich czarne i lśniące okrągłości jak garby, i efekt jest niesłychanie komiczny. To one, te dwie małe lokomotywy, w swej pracy ku górze wydawały unisono ten ryk i wydają mi się ucieleśnieniem dziwacznego przysłowia o stękającej górze, która urodziła mysz.

No ale czas nam z powrotem. Wyciągamy się jeszcze raz na Col de Voza, ażeby stamtąd zjechać na deskach w dolinę Chamonix. Zjazd przypomina trochę – jak odgrodzić się od tła alpejskich szczytów – klasyczne zjazdy z Trościana. Idzie nam to jako tako, nie najlepiej, bo, co tu ukrywać, tyle jeździmy na nartach, żeby nie wyglądać na idiotów na śniegu – nie ma co marzyć o szusach i maestrii zawodowców.

Z powrotem w Chamonix. Jest już ciemno i po kolacji gdzie by to się nie wybrać, wybierzmy się do „lokalu”. Jest taki, powiadają nam, nazywa się „La Hutte”. No to „La Hutte”. A że zawsze to ściąga ludzi, więc jest tam nie tak odludnie i pusto. Światełka przyćmione, lśniący bar, kazaliśmy sobie dać kawy i likieru, jest muzyczka, kręci się kilka par – tak mężczyźni, jak i dziewczyny w narciarskich spodniach i narciarskich butach posuwają się po parkiecie. W drugim kącie sali przy paru zestawionych stolikach siedzi grupa francuskich oficerów z batalionu strzelców alpejskich. Mają granatowe mundury i owijacze, złote guziki z strzeleckimi trąbkami. Coś tam sobie w ożywieniu dogadują, potem jakiś delegat od nich podchodzi do naszego stolika. Powiada, że *enchanté*, że *les chasseurs*, że byliby bardzo uhonorowani, gdybyśmy zechcieli się do nich przyłączyć. No to przenosimy się do ich kółka. Bardzo mili i zadzierżyści oficerkowie, jest

między nimi starszy kapitan i porucznik lekarz, który okazuje się ni mniej, ni więcej, tylko jakimś potomkiem polskiego emigranta, nawet nazywa się Malinowski, ale to wszystko, co mu z polszczyzny zostało. Ma za to bródkę i jest bardzo popularny między strzelcami. Strzelcy niedbale proponują coś doskonalszego aniżeli nasze napitki i ze swadą i nonszalancją francuską komenderują ostrygi i szampana.

Więc zajeżdża góra ostryg, dwu strzelców odkręca druciki u szyjek szampana i z butelek otulonych serwetą chluszcze piana. Robimy, co możemy z naszej strony, ażeby tę fetę brać naturalnie; Staszek co drugie słowo mówi: „*quand même*”, ażeby zyskać na czasie w konstruowaniu zdania. Strzelcy są inteligentni, weseli, wydaje się, że to wszystko, co zostawiliśmy w dole, ich nie dotyczy, nawiązuje się między nami najpogodniejsza przyjaźń. Jak już mamy trochę tego szampana w głowie, to, naturalnie, coś im tam wypada zaśpiewać, potem nas naciągają, potem my się certujemy i trudno nie wymigać się od tego rodzaju naciąganej, biednej propagandy. Potem znowu szampana. Nieduża salka lokalu już należy do nas całkowicie. Cywile tulą się po kątach albo przylegają do baru, damy w ich obcisłych na tyłkach spodniach narciarskich.

Potem okazuje się, jaką perłą jest doktór Malinowski, i stąd ta jego popularność. Albo się dorwie do stołka przy fortepianie i odklawiszuje rytmicznego fokstrota, albo zapędzi w kąt perkusistę i dwoi się wpośród jego narzędzi tortur. My uczymy się zawzięcie pod uważnym kierownictwem kapitana najnowszego przeboju tanecznego *Horsa*. Potem doktorek imituje, robi jakieś sztuczki prestidigitatorskie, rozśmiesza nas, ażeby za chwilę przepaść, zniknąć gdzieś za barem i nagle wyskakuje spoza niego wyniosły, poważny, wysunął szczękę ku przodowi i oparł kłykcie palców o cynk. A strzelcy zgromadzeni na parkiecie na jego widok wydają przeciągły ryk czarnych koszul: „Du-cee! Du-cee!” i pozdrawiają go faszystowskim wyciągnięciem ręki. Tedy Duce-Malinowski ucisza ich zamieceniem ręki i pyta w retorycznym ryku: „*A chi la Savoia?!*” „*A noi!…*” – ryczą strzelcy. „*A chi barba del negus?!*” „*A noi!…*” – ryk.

Wracamy teraz po nocy do hotelu, jest gwiaździsta noc wyiskrzona i biała od śniegów zawieszonych ponad naszymi głowami. Piętrzą się nad

nami Aiguilles du Midi, Mont Blanc du Tacul, Mont Blanc de Courmayeur, Le Dôme. Wydaje się ten widok tak nierzeczywisty, wydaje mi się, że ktoś zamknął dolinę Chamonix wielką panoramą – bęben gigantyczny, jego wnętrze namalowane i wyobrażone na nim Alpy i góry. Trzeba głowę znowu wysoko zadzierać, ażeby zobaczyć, jak ktoś gwiazdami ponabijał niebo.

A jak jesteśmy na miejscu, to układamy swoje zbolałe kości na nieziemskich materacach, poobijane boki bolą nas do wysokiego stanu rozśmieszenia. Niech Bóg da zdrowie strzelcom alpejskim za ich najwdzięczniejszy gest i francuską *fraternité*. Czego im życzyć? Chyba niczego, mają, cholery, wszystko, może żeby zaliczeni zostali potem w organizacje anielskie, między trony i chóry, bardzo by im było z tym do twarzy, tacy są anielscy, bujają gdzieś po stokach między chmurami, niechże więc im będzie pomiędzy chóry i potęgi.

My za to wracamy do dołów.

Jesteśmy już dobrze zatwardziali na rozstania, musimy być zatwardziali, bo jeszcze nieraz będziemy się rozstawali. Ale scena, jaka rozegrała się w *lounge'u*, była z tych prawie że łzy z oczu wyciskających. Bo zapomniałem powiedzieć, żeśmy doczekali się przedtem całej rodziny Lagnasse'ów: papy, *maman* i córeczki Pauline. Co za wspaniały egzemplarz burżujów francuskich! Ojciec, szczwany rentier o niebywale egoistycznej i inteligentnej twarzy, kiedy potrafił i umiał, i był szczerze przyjazny dla przypadkowej znajomości syna, kiedy od pierwszego spojrzenia otaksował nas i przenicował na wylot, i odpowiadało to zaraz jego gustowi – ta przyjaźń jego chłopca z kilkoma wyrzuconymi przez czkawkę losu ludźmi, którzy są nieszkodliwi a przyjemnie nieodpowiedzialni, i w dobrym tonie entuzjastyczni, a że wojna, to i na wiele sobie można pozwolić, do niczego to nie będzie zobowiązywać, a synowi to i tak się należy i wygładzi się w nim kanty, które nie oszorują się w ich rentierskiej atmosferze. Ale generalnie biorąc, to i tak w jego oczach czai się niepokój, jak w oczach większości: co tu z tym i jak[ie] losy nadchodzą, czy sztukować jeszcze i spekulować, czy poddać się instynktowi rasy, a instynkt rasy powiada: *laissez-passer*. A *maman* jest zupełnie roślinna i wtulona w atmosferę

swego rodzinnego świata jak mątwa w obłoku sepii, a córeczka jest to mała brzydka dwunastoletnia mądrala. Więc razem nakręcaliśmy gramofon i wzruszaliśmy się, kiedy łkał Tino Rossi i bradiażyła Lucienne Boyer.

A teraz powiadamy sobie: *au revoir* i obustronnie jesteśmy wzruszeni, i pozbieraliśmy się, i mgła lepka położyła się w dolinie Chamonix, kiedy w noc noworoczną 1940 wyciągnął się pociąg wzdłuż tej doliny Chamonix.

Jedziemy pociągiem już wojennie zapchanym, jak gdyby strapiona nędza nie mogła znaleźć innego klimatu jak zjełczały od dymu tytoniowego, od wiezionych i zjadanych wiktuałów, pieluch dziecinnych i skóry waliz sąg powietrza wojennego wagonu. W Dijon wsiadła do naszego przedziału, i ktoś jej ustąpił miejsca, dziewczyna-kobieta. Była melancholijnie przystojna, z poważną twarzą i niewidzącymi oczami cnotliwej i pewnej swej cnoty kobiety, kiedy odgrodziła się od wulgarności wojennego wagonowego świata zamknięciem się w sobie i swoją własną troską – uosobienie Francji, nie łydziastej i piersiatej Marsylianki w czapce frygijskiej i z zezem reakcji wzrokowej w pustych i wypukłych białkach oczu, ale Francji takiej, jaką ona tu była – spokojna, mądra, uważna i roztargniona zarazem. Patrzyła w czarne okno w ścisku naszego przedziału, od tego ścisku uciekając w czarną noc Francji, i taką ją zapamiętałem, kiedy usnąłem sam nie wiedząc kiedy, a kiedy się obudziłem, to już jej nie było.

Było nowe rano.

[prwdr. „Wiadomości” 1948, nr 41, pt. *Spotkanie z Marsylianką*]

„Dziewczynka z nóżkami na księżycach”

Dlaczego wszystko tutaj miało być tak straszne, tak oczywiste i tak straszne? Może dlatego, że było to o późnej jesieni, kiedy słońce, zaciągnąwszy na twarz kaptur nisko leżących chmur, przychodziło późno, ranami, rana ostre i chłodne jak stal przyłożona do karku. Wpośród tego sterczały tylko w niebo sztywne pnie drzew; jakie to były drzewa? choć wysilam się, to nie mogę powiedzieć teraz – może to były olchy, chociaż olchy to rosną na wodzie, może to były… ale naprawdę nie wiem, zresztą dla niepoznaki drzewa te, tym drzewom obcinano gałęzie, przycinano je, tak że w górę sterczał jedynie tępy pień, włochaty od rosnących, obrastających go odnóg, prętów. I tak wszędzie, gdzie obrócić oczy, sterczały po polach, poobsadzane na ich granicach kamiennych, na żywopłotach, te pnie. To miało dodawać niesamowitości temu krajobrazowi, może na pamiątkę markiza de Rais, który w swych szalonych ucieczkach i wędrówkach po pustkowiach nawet widlastym gałęziom, rozwidleniom ich, przypisywał prześladowcze i uparte znaczenie.

Wpośród tego krajobrazu, który jeszcze do teraz jest mi rudy i oliwkowy w oczach, pozostało mi przeczekać wiele tygodni. To była twarda ziemia i spod niej wyłaziły czerwone skały, wyłaziły, wysadzały się jakimś uporem, aby na przekór uczepionemu tu życiu pokazać, że to tylko ułuda, że naprawdę to liczą się i przetrwają one – palce martwoty wygrzebujące się spośród ziemi jak palce trupa kiedyś przysypanego żywcem, kurcz ich i beznadziejny apel, i szyderstwo dokonanej rzeczy na urągowisko i trwogę pozostałym nam tutaj. Może gnój tej ziemi śmierdzącej nawozem, nawóz wszędzie, w dużych kupach nawiezionych na pole, sujący się z ciężkich dwukołowych wozów zaprzęgniętych w ciężkie konie w szydło, kiedy ołowiane ich łby pochylone są w wysiłku, gnój walający się w rowach, wieńczący żywopłoty, lepiący się do butów, po prostu wyczesywany z włosów – na sprzeciw, na przekorę martwocie trzymającej pola w swym

posiadaniu. Wydawało się, że właśnie ten gnój był najbardziej przekonywującym dowodem życia – fermentująca miazga, agar dla nas, żyjących, skisłe życie, osocze, w które wracamy, zbawienny cuch dla naszych żartych przez laseczniki śmierci płuc.

Wpośród tego wlepieni w ten gnój żyli chłopi – czarne przecinki na tle krajobrazu, twardo w nim żyjący, oczywiści, jakże oczywiści i w pejzażu, chłopi chłopskością taką, że jakby byli innym gatunkiem człowieka, nie rozumiejący, patrzący zimno i blado, uczepieni rękami tej ziemi, poruszający się jak robactwo pośród tragicznie stężałych kłykci czerwonych skał.

Raz tylko stamtąd uciekłem na parę dni – wydawało mi się, że czarny sabot nastąpił mi już na gardło, i dlatego uciekłem, a potem zawróciłem się, zawstydzony. Bo i czegóż uciekać choćby nawet od takiego człowieczeństwa, czemu nie podeprzeć się, nie podeprzeć tej rzeczywistości?

Czyż nie winienem powiedzieć o swoim najbliższym kręgu na kwaterze, gdzie przyszło mi popasać? Otóż miałem izbę czy pokój na pięterku, wchodziło się naprzód przez kuchnię na dole, potem schodkami do góry i do swego pokoju musiałem przechodzić przez pokój gospodarzy. Moimi gospodarzami to była właściwie rodzina kobiet – trzy kobiety: stara matka żująca bezzębnymi [szczękami], wyjedzonymi zębami, co to podobno jest od picia cydru, więc mełła tymi bezzębnymi żuchwami, ale była jeszcze wcale żwawa i ona to prowadziła gospodarstwo. Potem były dwie córki. Jedna z nich pomagała matce w gospodarstwie, a druga była chora i złożona właśnie w tej ich izbie na górze, przez którą musiałem przechodzić na swoją kwaterę.

Nie umiem powiedzieć, co było owej cierpliwej pacjentce, a mojej sąsiadce. Była służącą w mieście, w Paryżu, gdzie wiele Bretonek idzie na służbę, ale kiedy dotknęła ją jakaś dolegliwość, to naturalnym porządkiem rzeczy powróciła do rodzinnej wsi. Nie wiem właściwie, co jej było. Ręce i palce miała okręcone jakimiś szmatami, jakieś mitenki kryły nieprawdopodobne schorzenia i właściwie w rzadkich chwilach, kiedy przechodziłem, przemykałem się do swoich leży, sakramentalnie witając

i żegnając chorą konwencjonalnym „*ça va?*”, to widziałem z niej tylko te jej ręce okręcone czarnymi szmatami i palące się oczy, oczy patrzące za mną z czeluści ich samotności i zamknięcia.

Co by nie dodać, o czym by to nie powiedzieć, ażeby jeszcze lepiej oddać atmosferę, timbre tego krajobrazu? Czyż nie winienem opowiedzieć o swym sąsiedzie, facecie skłóconym z całą wsią, jako że wpośród tych katolickich czarnych chłopów Wandei reprezentował libertynizm, antagonizował specyficznym rodzajem francuskiego komunizmu – mały facet o wyleniałej bródce, w krótkich bryczesach wpuszczonych w zielone pończochy, kiedy wybierał się na swoje myśliwskie ekskursje? Był bardzo w krajobrazie – sportsmen, typowy sportsmen francuski z fuzją wybierający się na polne włóczęgi, trochę podobny w tym do włóczęgi-kociska, jakiego spotykamy wpośród pól i miedz w jego apaszowskich wyprawach.

Trofea, które przynosił, ofiary drobnego śrutu „Gévelot”, krzyżował potem i rozpinał na wrotach i drzwiach swego obejścia. Dziwaczna, bolesna kolekcja, tragiczne muzeum historii naturalnej – ptaki rozbite w krzyż, przygwożdżone do tych bram: czaple o stalowych piórach, kuliki, bekasy, czajki, sójki; wydawało się, że to obraz, wnętrze, fantazja mózgu tego małego faceta wyrażała się artystycznie, ucieleśniała w tych eksponatach, wydawało się, że to jego myśli zbiegłe, ptasie, uciekłe, zestrzelone na uroczyskach i zdradzone, wystawione tu na pokaz, tłumaczą nam coś chaotycznie o nim samym. Ile razy wracałem na kwaterę, to odwracałem głowę, ażeby nie widzieć nowego dodatku, jaskrawszego znaku o rozpiętych skrzydłach i rozwartym w krzyku dziobie.

Wpośród tego, zwykle na pustym miejscu – ale zdarza się, że jedzie się autobusem i przeciska się jego pudło pośród ciasnej uliczki wsi: domy, progi kamienne i czerwona reklama stacji benzynowej, i wspina się, wlokąc za sobą odwłok potwora – dolmen: krzywy stół druidyczny, bezczelnie kumający się z domami żyjących, maskarada na skalę setek czy też tysięcy lat, taki skamieniały gabinet osobliwości, jarmarczna druidyczna ciekawość. Która nie będzie spędzać mi snu z powiek, ta osobliwość godna popularyzujących magazynów na tematy „techniczno-naukowe”. Ach, to może właśnie ugłaskiwała mię ta kolekcja dziwolągów, może dodawała

błazeństwa i dzięki temu rozpraszała nagle i nie wiadomo czemu napięte we mnie niesamowite uczucie odbierania samego kraju.

Kiedy poszedłem za czymś tam popytać do domu niejakiego Guy - Detoqa, to bardziej przejęło mię to, co zobaczyłem we wnętrzu tego domu. Ciemna izba, wielka jak kaplica, z jedną ścianą zabudowaną dziwną strukturą z ciemnego wyślizganego drzewa: olbrzymia kombinacja szaf, komód, skrytek, półek i łoża małżeńskiego w jednym kawałku, całość jakby to był ołtarz i konfesjonał, i chrzcielnica w jednym, niesamowita kombinacja, z drzewem wypuczonym od starości, pokrzywione to na cynkach, łoże zasłonięte jak błoną draperią, jak nisza w rzymskich katakombach.

I komin z otwartym ogniem, u którego progu wyszorowane przez użycie, wygładzone dłońmi pokoleń narzędzia: szczypce, miech z czarnej skóry w serce wycięty, miedziany kocioł, ruszt czarny od starości i węgla, hak usmolony i trójnóg. A przed kominem malutkie stołeczki z siedzeniem uplecionym ze słomy, najniesamowitsze z tego wszystkiego – lilipucie, niziutkie, puste i zapatrzone w ogień, zapatrzone aż do chwili, kiedy raz rano byłem u Detoqa, bardzo wcześnie rano. I wtedy na tych stołeczkach siedziały dzieci zerwane wcześnie rano, dzieci jeszcze brudne i posklejane ze snu, w koszulach nocnych, w chłodnym wczesnym poranku, kiedy gdzieś tam warzy się im jakaś kaszka, a dzieci siedziały zapatrzone w ogień na swych lilipucich stołeczkach, lilipucie i kruche, z kręgami pod oczami, sztywno, twardo siedziały wyprostowane w ten zimny zimowy poranek i patrzyły w pełgający ogień. Ogień był z prasowanych z miału brykietów, brykiety okrągłe i owalne jak jaja żarzyły się czerwono i pełgały niebieskim płomieniem, mrugały wielu źrenicami płomiennymi z tego ognia ku dzieciom, które swymi ptasimi oczami przyniesionymi ze snu wprost, jeszcze odwróconymi w sen, patrzyły, nie widząc mnie, nie widząc tego rana, nie widząc świata, tylko tamte oczy zaklęte i hipnotyzujące w płomieniu porannego ognia.

Można więc sobie wyobrazić, że nie inaczej było, jak tylko strasznie. Jedynym jasnym punktem w tym krajobrazie to była pożal się Boże kuchnia dywizjonowa. Naprzód kucharz, który został wybrany do tego nie dla

jakichkolwiek rekomendacji, ale przypadkowo, omalże nie zarżnął nożem sprężynowym Bogu ducha winnego kaprala, bo wydawało mu się, że ten zdradził jego kulinarne talenty nabyte kiedyś w cywilu. A w wojsku nie chciał być kucharzem i omalże dla zasady nie wypuścił kapralowi kiszek. A byłoby to nieporozumienie i nawet wbrew pasji, jaką miał, z jaką był urodzony. Oczywiście, jak wszyscy kucharze, był bardzo zawsze zafrasowany, nie miał poczucia humoru i niebezpiecznie było robić w jego obecności jakiekolwiek aluzje żartobliwe o tej sztuce. Ale sama instytucja była najpogodniejszym zakątkiem w tym demonicznym dystrykcie. Nie mogę się nie wykręcić, ażeby nie nadawać opowiadaniu o tej kuchni jakiegoś facecyjnego tonu – może sprawiało to samo wspomnienie kuchni, jej pogodnego, gorliwego kręgu, jej świateł jarzących się po nocy, szlących głęboko w górę słup rozpełganej pary, jak iluminacja nowoczesnego miasta, może zapach gotujących się flaków, soczystość i solidność, i dosytość ćwierci wołowych wiszących krwawo pod belką, kucharz wpośród tego w zaszmelcowanym fartuchu, pod ręką ma topór i w dłoni właśnie ów śmiertelny nóż sprężynowy, kiedy kraje porcje na posiekanym stole.
Nasze kasyno mieściło się na tyłach sklepiku. Właścicielem sklepiku był czarny jak Cygan jegomość nazwiskiem, o ile sobie przypominam, Jaloux-Huchet. Miał wiele dzieci i spłodził tę masę do spółki ze swą małą żoną, miłą kobietą o zatroskanych oczach. Zdaje mi się, że dzieci było dziesięcioro: od chłopca ośmnastoletniego do ledwie zaczynającej pełzać małej Renée.

Te dzieci spotykałem rano na swej drodze w drewnianym stukocie sabotów idące do szkoły w późne zimne bretońskie poranki. Chłopcy chowali czerwone od zimna ręce w kieszenie spodni, podnosząc wysoko czarne klotowe fartuchy, jakie mali chłopcy we Francji noszą na ubraniu. Poślizgiwali się na zlodowaciałej powierzchni szosy obramionej niskimi kamiennymi murami oplecionymi cierniem głogów. W parowie prymitywna, przywieziona tu w lecie prasa do tłoczenia cydru stała nieczynna pod niebem styczniowym.

Na obiad schodziliśmy się koło godziny pierwszej. Nasza jadalnia, jak wspomniałem, mieściła się na tyłach sklepiku i w normalnych czasach była

pewnego rodzaju odciętym pokojem dla bardziej szanownych czy pragnących samotności gości. Była wąska i obie ściany zajmowały półki z ubogim towarem sklepiku. Kolorowe barchany i drelichy, kapelusze słomiane sprzedawane w lecie, nadziane jeden na drugi w wysokie kolumny, rzędy komicznie kolorowych sabotów oszytych skórą i ewentualnie podbitych solidnie gwoździami. Stała tam jeszcze maszyna do szycia i za szkłem szafki stare i zużyte od przewracania książki do nabożeństwa.

Do stołu w kasynie podawała nam dziewczyna, która w domu Jaloux-Huchet była czymś w rodzaju służącej czy też najemnicy. Chyba nie pochodziła stąd, tak to sobie wyobrażałem, bo w przeciwieństwie do ludzi tutejszych, czarnych z czerwonymi plackami rumieńców na policzkach, była biała, włosy miała jasne, wyblichowane, i w ogóle była tak jakby anemiczna. Zaraz sobie wysztukowałem, że pewnie jest z Normandii, że tu jej tylko przyszło służyć. Jak jej było na imię, to albo nie pamiętam, albo też nigdy nie wiedziałem. Snuła się pomiędzy kuchnią i salką jadalną, przynosząc talerze, nakrywając do stołu, z pochyloną głową i spuszczonymi oczami tercjarki czy siostry służebnej, z wypukłymi łopatkami na chudych plecach, trochę szurając sabotami, skrzyp drzwi, odpycha łokciem, bo obie ręce ma pełne talerzy, nie patrzy po nas, tylko po obrusie, wpośród dymu tytoniowego ścierając plamy, piętrząc wyjedzone talerze, skrzyp drzwi, do ciemnej kuchni i znowu jak łodyga jakiejś rośliny jej ramię sięga poprzez głowy, by zabrać salaterkę z resztkami sałaty.

Dla tej pewnie analogii porucznik Boczyła, który spóźnił się na obiad i siedział osowiały, przypomniał się jej, cedząc wolno z przekąsem przez zęby, obdarowawszy ją twardym spojrzeniem:

„Królewno – kwiecie nenufaru – przynieśże mi zupę”.

Wiadomo, że okoliczności, szczególnie fach nasz, wiek, pogoda, zniecierpliwienia, mordęga, egoizm i wiele innych rzeczy pokryły nas takim pancerzem obojętności, tak zrogowaciałym, jak pancerz Pieczyngów z rogu kopyt końskich, toteż widzimisię innych traktowaliśmy obojętnie i nie byliśmy szczególnie wrażliwi na chropowatość, nietakty innych. Ale w tym wypadku czułem, że każdy z nas dezaprobuje niezgrabnie i w myśli,

czuje się niezręcznie i nieswojo w chwili, kiedy porucznik Boczyła był zaczepnie niegrzeczny wobec dziewczyny podającej do stołu.

Była to bardzo skomplikowana sytuacja. Po pierwsze, porucznik Boczyła nie obrażał jej w sposób bezpośredni, wyrażał swoje docinki i uszczypliwości w polskim języku, który oczywiście dla dziewczyny był niezrozumiały. A oskarżać kogoś o intonację głosu, intonację, która była oczywista i zrozumiała, i obrażająca sama w sobie, to byłby już daleki strzał, zarzut o to byłby poczytywany za prowokację. A z drugiej strony, intonacja ta była oczywista i bolesna, jeżeli wierzyć bolesnemu zgarbieniu jeszcze więcej łopatek na chudych plecach dziewczyny ugodzonej przez porucznika Boczyłę. Poza tym porucznik Boczyła nie brał nikogo na świadka, nie zwoływał sobie ani wspólników, ani audytorium specjalnie do swoich prawie że osobistych wycieczek. Nie porozumiewał się triumfującym wzrokiem z innymi na temat swojego nonszalancko-uszczypliwego traktowania dziewczyny, załatwiał to sobie otwarcie, nie troszcząc się o aprobatę czy też dezaprobatę współbiesiadników. Dodawało to sytuacji jakiegoś szczególnego posmaku, było to intymne załatwianie sobie sprawy pomiędzy porucznikiem Boczyłą a dziewczyną, czy nam się to podobało, czy nie, i w tej intymności artykułowanej na jawie, powiedziałbym: cynicznie, gdyby, o dziwo, nic w tym cynicznego nie było, miało to w sobie coś z bycia świadkiem, zaambarasowanym świadkiem sceny małżeńskiej prania rodzinnych brudów.

A tu znowu paradoks tego, że jedyną intymnością, jaka zachodziła pomiędzy porucznikiem Boczyłą a dziewczyną, to było wyskandowane przez zaciśnięte zęby: „Królew-no-wod-ny-ane-mo-nie-przynieś-że-mi-zupę”. Nie byle jakie zawalidrogi były wpośród nas, porucznik Boczyła nie miał szczególnie daru do jednania sobie przyjaciół, poza tym były i wyższe szarże, które takie nieprzyjemne wypowiedzenia się mogłyby brać także jako osobisty afront, ale konflikt porucznika Boczyły i dziewczyny podającej do stołu był tak przez niego wybalansowany, że „mucha nie siądzie”. Pozostawało nam jedynie przejść nad tym do porządku dziennego.

Dobrze to sobie mówić tak, ale żal było dziewczyny, kiedy spłoszona, zmieszana, z bolesną zmarszczką na czole pokłusowała ciężkimi sabotami

w stronę kuchni, ażeby po jakimś czasie trzęsącymi się rękami, z przyciętą zębami wargą i włosami wymykającymi się z płaskiego węzła na karku, ku groźnemu niebezpieczeństwu dla naszych mundurów ściśnionych przy stole, przynieść właśnie ów tak szczególnie pożądany talerz zupy.
Kiedyś wysłano mię do Rennes w sprawie służbowej i po długim jeżdżeniu po mieście zajechałem na przedmieście przed budynek z czerwonej cegły, który kiedyś był szkołą, a teraz był miejscem postoju kadry dywizjonu artylerii 5. Brygady Kadrowej. Budynek był, jak każda budowla, gdzie wojsko już postało sobie trochę, brudny i odrapany. Dyscyplina i porządek wojskowy idą w parze ze specyficznym wojskowym brudem; zawsze wykwita w rogu pusta pogięta blaszanka po benzynie na odpadki. Na drzwiach, na tabliczkach napisy i zachodzi zawsze sołdackim zapachem, jakimś specyficznym zapachem zjełczałego potu męskiego, zapachem impregnacji mundurów w magazynach wojskowych, gdzieś zawsze niedaleko musi być kuchnia wojskowa i domiesza do tego zapachu swoje kucharskie, i zawsze gdzieś coś nie działa w tych wojskowych wychodkach, żeby to się działo nie wiem w jakim kraju, gdzie sztuka instalatorska stoi na wysokich i powszechnych standardach, no, zanosi ludzkimi szczynami, co tu mówić. Inne armie dodadzą do tego swoje specyficzne zapachy: kwaśne wojskowych komiśniaków – chlebów, które kiedy sobie postoją, to apetycznie leciutko fermentują, inne mają swe dziegcie do smarowania butów i swoje naftaliny, które nie wietrzeją tak łatwo z mundurów; jednym słowem: idą za wojskiem te zapachy.

Zaraz po prawej stronie bramy był pokój oficera służbowego. Pokój ten był zarazem kancelarią kadrową, bo było tam więcej stołów – na jednym maszyna do pisania, książki o wytartych okładkach i rolka papieru klozetowego dostarczona tutaj dla wiadomych celów przemyślnie, a tutaj jeszcze przemyślniejszy piszczyk kadrowy, przystojny plutonowy, używał do pisania meldunków i brulionów rozkazów i rozporządzeń. Na ścianie przypięta była powielana na szapirografie instrukcja na wypadek pożaru po francusku i polska instrukcja na wypadek alarmu. Był jeszcze orzeł polski wycięty z papieru i naklejony na czerwoną bibułkę i napis: „Nie pluć!”

Pokój oficera służbowego musiał być także miejscem spotkań towarzyskich, bo było w nim paru oficerów najwyraźniej niczym [nie] zajętych.

Właściwie jeden z nich był zajęty najdziwniejszą w świecie rzeczą, mianowicie: Na jednym ze stołów było rozrzuconych kilka zabawek bardzo nawet zabawnych i precyzyjnych, i sprytnych. Był mały samochód nakręcany sprężyną, który, puszczony w ruch, zataczał zdenerwowane koła po asfaltowej posadzce i terczał wesoło i śpiesznie, póki nakręcona sprężyna nie rozkręciła się i wtedy stawał nagle i smutnie, prawdziwa zepsuta zabawka. Był mały kran, który był malutką miniaturą prawdziwego kranu czerpaka, jaki widuje się na robotach ulicznych, kiedy łyka rozwartym gardłem tony gruzu i z zawrotną szybkością zatacza swą szyją w półkole, i kiwa mu się ta przeciążona żuchwa. Był żółw, który mozolnie wiosłował koszlawymi łapami-grabami i wahadłowo przenosił swą głowę z prawa na lewo. Były jeszcze inne przemyślne kolorowe, łatwe i koszlawe zabawki. Ten jeden porucznik to cierpliwie je nakręcał i puszczał w ruch, a inni w swych ciężkich zielonych khaki płaszczach stali albo co niektóry przysiadł pośladkiem krawędź stołu i patrzyli na to zimno i obojętnie, jak dzieci bogatych rodziców w ich dziecinnym pokoju, kiedy są już znudzone tą lawiną zabawek i nic ich już nie rozbawi, i nic, żadne cudeńko, im nie zaimponuje – znudzone i smutnie zblazowane.

Dotąd dla mnie jest niewytłumaczoną zagadką, skąd się, do licha, wzięły te zabawki w najbardziej niespodziewanym miejscu na świecie: wśród szarych ścian szkoły przerobionej na koszary, w zimowym blasku zimy, kiedy żarówka czerwona pełgała w biały dzień nad stołem piszczyka kadrowego, a młodzi ludzie o znużonych twarzach siedzieli zapatrzeni w kolorowe i wesoło malowane zabawki udające życie. Może to któryś z nich miał je na prezent dla dzieci swych gospodarzy, u których stał na kwaterze, może któryś po prostu z fantazji i dla uczepienia się myślą czegoś skrajnie różnego wstąpił do sklepu z zabawkami i nakupił ich, i puszczał je teraz w ruch, i gonił za nimi swymi myślami. Było coś w tej nonszalancji i nieoczekiwaniu zaczepienia się myśli ludzkiej, było w tym coś z fantazji i wielkopańskości, i fanfaronady w dobrym stylu, w tej zabawie w obliczu

niebezpieczeństwa czy beznadziejności, jak podziwialiśmy to w skazańcu, który miał pójść na szafot, kiedy znalezionymi na podorędziu nożyczkami obcinał sobie paznokcie, kiedy czytano mu wyrok śmierci.

W sekrecie to ja sam zabawiam się takimi mechanicznymi zabawkami. Układam sobie sytuacje, nakręcam je, potem patrzę w ślad tego, jak rozkręcona sprężyna porusza nimi i jak wymyślony mechanizm nimi pokieruje. Już ja sobie przemyślałem porucznika Boczyłę i jego „królewno – kwiecie nenufaru".

No, myślałem sobie, te maupassantowskie sytuacje. To maupassantowskie porównanie najbardziej może się pchało, że to w Bretanii, pośród chłopów. Więc zaraz co? Zaraz, jak jakieś spięcie, konflikt, to właśnie tak jakby z tego pana, co to miał taki zawiesisty wąs i bicepsy wioślarza, a że mu się tam potem poprztykało w głowie, że, jak wieść gminna powiada, spirochety, krętki blade, rzuciły mu się na mózg, to właśnie potwierdzić miało ten francuski fin de siècle, te skomplikowane, wysmaczkowane sytuacje, że nawet i jemu z tego kręgu wymknąć się nie dało.

Więc jakże to ma być z tym porucznikiem Boczyłą? Że tu on patrzy twardym wzrokiem, a naprawdę to ta królewna jest dla niego prawdziwą królewną? Albo że nienawiści swoje, zawody to właśnie na nią spycha, ją za to czyni Bogu ducha winną? A ona? jakaż jest ona? co rozumie, a nie rozumie z tej szeleszczącej obcej mowy? a rozumie, nienawidzi go? a może przez przekorę mu się oddaje?

W połowie kwietnia w całej Bretanii zakwitły jabłonie. Pomiędzy domami, na polach, na wzgórzach, łąkach wpośród skał, w rozpadlinach i na otwartym wybuchły nagle białoróżowe kule i dnie zrobiły się białe. Stare, zgrzybiałe drzewa jabłoni i młode sadzonki pokrywające niebo czarnymi błyskawicami gałęzi, zanim jeszcze wypuściły pierwsze liście, rozpękły się w tych białoróżowych kwiatach. A potem, kiedy pierwsze ich płatki zaczęły opadać, u każdego drzewa, jak cień, rozsiewała się biała plama, kładła się na czarnej ziemi i gnoju białą zadymką i różową zaspą. Z daleka, z daleka widać było, jak skośnie, mądrze, uparcie, biało, księżycowo sypią się te płatki – medaliki, skroplone powietrze.

Bretonki noszą swe kornety-czepki, „*coiffes*”, każda parafia inne. Nawet zacząłem już odróżniać: te czepki z Ploërmel, a te koronki z Pontivy, a te krochmalone z Carhaix, Plouigneau, St-Brieuc, Paimpont…

Pewnej niedzieli, idąc drogą, zdarzyło mi się natknąć na dziewczynę, która podawała nam do stołu w kasynie. Siedziała na niskim murze obrzeżającym drogę i nie poznałem jej w pierwszej chwili – musiała mieć na sobie jakąś lepszą, niedzielną sukienkę albo też to: fakt, że siedziała bezczynnie, kiedy z kasyna pamiętam ją zawsze zagonioną, zalataną, to ta jej bezczynność była jak przebranie. Siedziała doskonale bezczynnie, z rękoma bezwładnie w podołku i patrzyła martwo w te swoje ręce – odmienna, inna, bezwładna, niedzielnie, niedzielnie-popołudniowo bezczynna, z włosami, które nieporządnie opadały, wymykały się z jej węzła na karku, w sukience tak szarej i pepitowej, i bezpłciowej, sukienczynie, i z jej zgarbieniem wąskich pleców. Siedziała zapatrzona w swe ręce, niewidząca, odległa. Na nogach, na czarnych pończochach, miała nową parę sabotów i te nogi w sabotach, kiedy tak siedziała na niskim murze przydrożnym, nogi zwieszone, trochę jakby sterczące ku przodowi, i mogłem widzieć nowe gwoździe podkucia i błękitne podkówki półksiężyce „dziewczynki z nóżkami na księżycach”.

A ostatni raz to widziałem ją wtedy, kiedy już zabieraliśmy się stamtąd, niedługo po tym spotkaniu niedzielnym. To był wielki rozgardiasz z pakowaniem, miałem rozmaite sprawy do załatwienia i kiedy poszedłem na obiad do kasyna, to już byłem ostatni, wszyscy inni już poszli. Siedziałem sam w tym kasynie i czekałem na obiad, czułem, jak zawsze na wyjezdnym, jak nie należę do miejsca.

I wtedy ta sama dziewczyna przyniosła mi zupę. Niosła ten talerz i, jak zawsze, patrzyła w dół, i z oczu jej ciekły ciurkiem łzy właśnie do mojej zupy. Byłem zaskoczony i nie wiedziałem, co się dzieje, i chciałem jej coś powiedzieć, ale sam nie wiedziałem co, to ją zapytałem:

„*Vous avez des chagrins, mademoiselle?*”

[prwdr. „Kultura” 1952, nr 6, pt. „*Dziewczyna z nóżkami na księżycach”*]

Barbarzyńcy patrzą w krajobraz podbitego kraju

Autobus zatrzymał się w samym środku miasta. Mały czarny południowiec, szofer, który nas tu przywiózł, zirytował się na mnie, kiedy chciałem wejść po żelaznej drabince, ażeby sobie ochoczo i bezpretensjonalnie odwiązać nasze worki i walizki przymocowane sznurami na dachu samochodu. Był taki serio od samego Awinionu, nic, tylko ten jego samochód, szoferowanie, na nas patrzył całkiem nieprzyjaźnie, jeżeli w ogóle patrzył.

Tu nas czeka kupa znajomych twarzy, któreśmy widzieli tak dawno. Omalże nas nie obmacują, przypominają. Zaraz obok, w parterowym domu, jest kasyno: długa ciemna izba z oknami prawie na poziomie szosy. A szosa przebiega miasto z północy na południe prosto jak strzelił, tyle że w mieście robi taką literę „S” i potem dalej wyciąga się prosto jak strzelił.

Mówią, opowiadają: a to na Węgrzech, a to, że tu czasami wieje, no, taki wiatr z Alp, nazywa się mistral, ale sami zobaczycie i że było zimno, ale teraz znowu na odmianę – gorąco jak cholera. Smaży się coś tam w kuchni kasynowej i jesteśmy już głodni. A szosa jest czarna od smoły i posoczy się w słońcu, i lecą nią wielkie, olbrzymie cysterny z winem, każda ma przyczepkę czterokołową także z wielką kadzią, cysterną, i są olbrzymie i jakieś bezosobowe jak czerwone meteory śpieszące się w swej drodze, ssssss! szuuuuuu! – przelatują poprzez śpiące miasteczko. A domy są tynkowane i mają żaluzje w oknach, a w drzwiach wiszą w nich zasłony z paciorków nanizanych w długie sznury jak w bajzlu i jak się wchodzi, to odgarnia się ręką, rozgarnia te paciorki. Jest placyk w środku miasta, przez który przelatuje nasz gościniec, kilka platanów w rządku, ich płaskie liście rzucają gęsty cień, a kora łuszczy się i odpada jak strupy, i ukazuje w świeżo odkrytym miejscu jaśniejszy kolor. Powiadają nam: chodźmy, zanim będzie obiad, napić się do „czerwonej”. To poszliśmy przez szosę na drugą stronę, przed bistro parę stolików i żelaznych krzesełek, bistro puste, kazaliśmy sobie dać cap corse’a, nalewa nam rzeczywiście czerwona baba,

mąż *sous les drapeaux* czy coś w tym rodzaju. Jest to 25 maja i rzeczywiście zaczyna nam być gorąco, ale powiadają nam: ho, ho, zobaczycie jeszcze.

No zobaczymy. A tu jest miasteczko jak mostek na pudle gitary, struny to srebrna struna Rodanu, czarna struna smołowanej szosy i stalowe struny szyn kolejowych Paris–Lyon–Méditerranée, a dalej wzgórza. W stronę Awinionu przybiegają do szosy i sterczą na nich ruiny zamków i warowni, jak u nas na Podolu, regularnie według linii, jak u nas Trembowla, Czortków, Jagielnica, Skała. Na północ jest Pont-St-Esprit, gdzie jest burdel, do którego się jeździ, na południe – Mondragon, Orange, aże potem Awinion. Lapalud ma dwie wieże: jedna kościelna gotycka fioletowa i niebieska, kamienna pośród różowych dachów, druga jakaś nie wiadomo od czego tępa i pomarańczowa jak wieża akademii katowskiej w Bieczu. Na nią można sobie wyjść i popatrzeć po dachach miasteczka ku Rodanowi, ku wzgórzom Bari, Bollène. I zaczyna być gorąco.

W dole szosą, z sykiem: ssssss!… szuuuuuu!… przelatują ciężkie cysterny z winem i przyczepione do nich *remorques* zaaferowane, wielkie, bezduszne.

Nasze kasyno jest na zakręcie litery „S” i jest tam także mostek nad ściekiem, i na niskich murowanych poręczach tego mostku siadamy po obiedzie i patrzymy po domach i ruchu drogowym, po platanach, po nielicznych mieszkańcach kręcących się koło ich spraw. Zawsze zbierają się tam koło nas ściągnięte towarzystwem psy miasteczkowe różnej maści i kalibru i jest pomiędzy nimi biała młoda suczka, która się właśnie „pali” i jest przedmiotem ambicji i pożądania całej ich zgrai, nawet starego, zgrzybiałego, prawie że paralitycznego, tłustego brudnego kundla.

Po przeciwnej stronie, przed hotelem siedzi w krześle tłusty „*patron*”, ale prawdziwa góra tłuszczu, i czyta „L’Éclaireura du Midi” czy też „Le Petit Niçois”. W hotelu kupuję sobie zawsze paczkę gauloisów.

Mówią: jest wielka heca – kąpiel w Rodanie, i śmieją się już na niespodziankę dla nowicjuszów. Mówią: nie w samym Rodanie, gdzie tam – cholera, rwie strasznie, ale w rozlewiskach, gdzie woda stoi. Co jeszcze mówią? że tu Południe, że skorpiony, o, takie! zresztą sami

zobaczycie. A miasteczko samo jest jakieś trupie, nie ma co ukrywać: połowa domów pustych. Gdzież się pozadziewali? A to jakieś demograficzne zjawisko czy coś takiego – wędrówka do miast, no to o mieszkanie nietrudno, ile sobie tylko zachcieć. Nasz gospodarz, taki emerytowany żandarm, ma dom w bocznej uliczce, pusty dom, to tam będę mieszkać, jak mu tam? monsieur Meunier, *retraité de gendarmerie*.

Pójść w jedną stronę – trochę domków i już jest poza miastem szosa prosto jak strzelił, wysadzona topolami; pójść w drugą stronę – szosa jak strzelił i dwa rzędy topoli, perspektywa.

I tylko ciężkie *remorqueury*, i: ssssss!… szuuuuuu!… gonią po sposoczonej terem i smołą nawierzchni, wielkie jak domy i niesamowite.

Już jest drugi dzień i tak jakby tu od długa. Więc to tak? to to jest Południe? niby zgadza się: słońce i jakie! i niebo niebieszczy się, i równo dookoła z taką zielenią i żółcią, i lawendowo, zgadza się, to tu sobie czy bardziej malują, że to jednakowo i murowane światło, Cézanne, Aix, Gauguin, van Gogh, nasz Pankiewicz, te pokręcone oliwki, panie dzieju, i kobaltowe i ugrowe wzgórza, i karakuły chmurek, no, no! To to jest Południe – i od razu snobuje się człowiek na sjestę, na omdlałość, na soczystość, na kolor – czego to się zaraz nie zachciewa: popuścić dziurki w pasie, a pamiętać o sałatach i oliwie, omaścić, jak się należy, bo Południe. Tylko jak słońce przypali i zajarzy się w kredzie i piargu ziemi, tam gdzie nie porosło albo nie obrodziło, to aż oczy bolą, a cień jest tak solidny, jakby wyłożony kaflami z innego materiału, a dal jest fiuuu! jak to się ściele i odbiega, no to cieszmy się, że jest tak, jak jest.

A trzeci dzień i w nocy przyszedł mistral i zatłukł okiennicami mojego pokoju. Dzień jest taki sam, a przez ten wiatr to nie taki sam. Słońce świeci, ale przesłonięte muślinem kurzu, i wieje, i jest niespokojnie i niesamowicie, głowa gdzieś kołuje i ucieka, nie można sobie znaleźć miejsca. Wiatr ni to zimny, ni to ciepły duje z północy, duje wzdłuż strun gitary bezgłośnie, bo wzdłuż, skrzypi okiennica okna, skwierczy piasek w ustach i wszystkie zęby, jakieś zapomniane newralgie się odzywają, a niech to cholera weźmie! W skrzyni kasynowego są tylko dżin i salami. Pijemy dżin

„Gordon’s Gin”, nie mamy pieniędzy i kasynowy stawia kreski przy nazwisku.

Tylko olbrzymie *camiony*-cysterny gonią po smołowanej szosie, ssssss!… szuuuuuu!… zazgrzytają na esownicy szosy w środku miasteczka i giną w dalekiej perspektywie szosy ciężkie, ohydne, zafrasowane.

Zęby mię bolą i Gordon’s gin nie pomaga. Pieski przeganiają się koło mostku i wiatr niesie i włóczy po terowanej drodze, ciągnie szeleszczące kartki „L’Éclaireura du Midi”. Naprawdę martwię się stanem moich zębów i kiedy mię tak bolą i duszno, wiatr wydaje się nadymać pokój jak balon, nie mogę zasnąć. Cały dzień był głupi i taki, jakby się miało zgagę i kacenjamer nie wiadomo po czym.

A inny dzień jest cudowny i świeży i cicho, zupełnie cicho, wiatru ani czuć, wszystko odmłodzone, ale to perła i zielono, zielone łopuchy i trawa w podwórzu, i czysto, i przeźroczyście, i od nieba niebiesko, niebieściutko, a mury jakież fiołkowe i różowe i słońce, i cienie. Wyjść na dwór to jakby wakacje, prostuję się i wdycham powietrze i tak czysto dookoła i świeżo, inny świat, inny świat. Jak też kawa smakuje i jak smakuje rozmowa, i skwierczy coś tam wesoło od strony kuchni, prawdziwe alleluja. Jest rano, a jest już gorąco. Idziemy do Rodanu do kąpieli. Idzie się ścieżką pośród pól, inne tu aniżeli u nas, wszystko jest jasnozielone i łodygowate, niby pewne siebie, ale to jakby jakieś nabieranie ta soczystość i wybujałość. Ale jak się przymusić, to można sobie wyobrazić, że to tak jak u nas w lecie, w każdym razie idziemy. Na ścieżce leży zabita i zadeptana przez kogoś żmija – smutne wężowe szczątki i oblazły je mrówki. A potem już zaczynają się rzeczne łozy i trzcina kolanowata i tęga jak bambusy, a potem już jest rzeka. Rzeka wysypała wielkie otoczaki i skrzyżale i z nich jest napiętrzona tama trzymająca tę lecącą wodę w jarzmie, i tylko tam, gdzie poprzeciekało, porozlewało się w wielkie baseny i zbiorniki. Woda jest czysta zwierciadlanie i widać poprzez nią kamienie i głazy. Sam Rodan toczy się z nieprawdopodobną szybkością i skrzy się w słońcu Południa, ale pachnie lodowcami alpejskimi, z jakich wytopił się nie tak dawno. Dlatego ta woda taka czysta, lodowa i śniegowa. A nad rzeką, jak zawsze nad rzekami, jest zaraz swobodniej i dziko, te łozy i wierzby zagęszczają się

i można się w nich schować z kretesem. Nawracają się dawne szczeniakowskie czasy wagarów nad rzekami, wrażenia ucieczki i ulgi od porządków dnia i, naturalnie, także wrażenia tej ucieczki, wagarów, więc zakazanych spraw, leciutkie ciśnienie winy i rzeczy wykradzionych, robionych po kryjomu, kiedy zakazane i zabronione. Jak by nie było, zawsze nad każdą wodą zaśmierdzi rybą i żabim skrzekiem, butwiejącą zgnilizną, rozgrzanymi kamieniami i piaskiem, a obłoki przeglądają się w wodach i zakumka coś pośród sitowia, zaszeleści w wierzbach, zaśmieci się naokoło patykami i wodną rzygowiną.

Leniwie porozbieraliśmy się i lu! do wody. A niech to najjaśniejsze!… To dlatego tak mrugali i podśmiechiwali się, kiedy mówili o kąpieli. Woda jest śmiertelnie zimna, aż do szpiku kości, i tak szybko, jak wskoczyliśmy, jesteśmy z powrotem na powietrzu, czerwoni jak ugotowane raki. No to bierzemy to teraz już na spokojnie. Można także przepenetrować na tamę, gdzie pcha się ta woda Rodanu, i idą właśnie galary w dół rzeki, solidne burty sterczą nam wysoko ponad poziomem wody i suną z ogromną szybkością z prądem i falą.

A potem mamy dosyć tego wszystkiego i droga powrotna trochę nam się dłuży, jak zawsze drogi powrotne, mijamy bambusy i trzciny, farmy pogubione i rozsiadłe w cieniu topól, ścieżka kręci się wzdłuż rowów irygacyjnych, obchodzimy rozdeptaną żmiję i znowu domki miasteczka i cienie uliczek, okiennice, paciorkowe firany.

Przeszła olbrzymia cysterna z uczepioną *remorque*, zakolebała się na esownicy szosy, ssssss!… szuuuuuu!…

Tak niedługo tu jesteśmy, a już wpadliśmy w rutynę, jednakowość dnia – te same czynności, przyzwyczajenia i nawyki. Ten sam zakręt uliczki, kiedy idę na swoją kwaterę, ci sami autochtoni grający wieczorem w „*boules*” na placyku przed moim domem, ten sam *bock* cap corse postawiony na świeżo startej ceracie w bistro. Te same twarze, kiedy przesiadujemy na omurowaniu mostku nad ściekiem, pieski kręcące się za białą suczką. Powietrze pachnie zieleniną i startym na proch kamieniem.

Te zęby, co mię zabolały, kiedy zawiał mistral, to była świetna wymówka, ażeby pojechać poradzić się wojskowego dentysty, który opiekował się

zębami żony w Awinionie. Jedyna kamionetka naszego oddziału zaspakajająca potrzeby transportowe, głównie przywożąc artykuły dla kuchni, odbywała codzienną drogę kilkudziesięciu kilometrów do Awinionu; miała mię zabrać, jak również jeszcze jednego pacjenta, kapitana Kłodę. Szoferem kamionetki jest Błażewski z Warszawy, „warsiawiak" wygadany, sprytny, gaduła – tego to pamiętałem jeszcze z Polski, kiedy powołali niezadowoloną rezerwę na długo przed wojną. Błażewski, pomimo wygadania się, ustawicznych pretensji, wszystko podlane dla pewności siebie warszawską gwarą, kiedy ma słowa jak ulał dosadne i nagłe na poparcie swych pretensji, ale w gruncie rzeczy poza tą pryncypialnością tłuściocha to dureń. A kapitan Kłoda jest mały, ale karzełkowaty to, ale patrzy na mnie z dołu z pewnością siebie, jakby patrzył z góry, jest czerwony na twarzy i ma czarne jak węgielki oczy, czasem ma takie zmrużenie oczu, jakby przyjacielsko sobie podrwiwał, i mówi z lwowska: „pani kuliego, ta co pan mówi du tego, taż to szkandał", i jakby mrugał na mnie, żeśmy to takie swoje chłopaki, żeśmy się wyrwali, więc znowu wagary.

Kamionetka śmiga wzdłuż doliny Rodanu, po lewej cały czas trzyma się urwisko, na którym co jakiś czas sterczą mury i bastiony ruin zamków, jak to u nas, jak wzdłuż doliny Seretu albo Gniłej Lipy, albo Wereszycy. Mijamy Mondragon, potem Orange, jeszcze Rzymianie wystawili tam dla nas łuk triumfalny: ciężka skrzynia kamienna i poobrywane gzymsy i rzeźby, i szosa z rewerencją robi półkole wokoło tego łuku, a potem jakoś jest już Awinion.

Jest już niedaleko południa i niebywale gorąco. Naprzód zajeżdżamy do szpitala, brama, na bramie szpitalnej szyldwach śmiesznie obładowany po bojowemu wojennym ekwipunkiem ze szpikulcem bagnetu na karabinie, potem jakieś tam te szpitalne podwórza, zabudowania, pokręciliśmy się trochę, znalazłem ambulatorium dentystyczne, dentysta podłubał mi w zębie, głupi fotel i terkoczący motorek świdra, i najgorzej jeszcze, zanim zacznie wiercić, wszystkie te przygotowania. A potem czekam na Kłodę w podwórzu szpitalnym i przyjechał wojskowy ambulans, i ktoś w nim tak strasznie ryczał, mało mię szlag nie trafił, nazbiegało się parę osób

szpitalnych, paru pacjentów przykusztykało, mało mię szlag nie trafił, że można tak wyć i zawodzić, i do tego, pomimo ucisku serca, mam wielkie podejrzenie, że ten facet, którego teraz wyciągnęli z ambulansu, przykrytego kocami, mam wielkie podejrzenie, że przesadzał, że przeczulał się, może symulował, cóż, czyż wojna to nie raj dla symulantów?

Wreszcie Kłoda się pojawił i wybraliśmy się do miasta. Mały Kłoda podreptuje koło mnie i patrzy z wyższością po tłumie ulicznym – rozchrobotany tłum południowców, dziewczyny kuczerawe, okulary przeciwsłoneczne, czerwone fezy strzelców marokańskich. Powiada Kłoda do mnie: „Pani kuliego, ta chodźmy gdzie zobaczyć te pamiątki”, idziemy pod górę i odsłania się olbrzymia masa zamku papieży jak zapuszczone szpony orła w skałę, jest jasny dzień i słońce pali i lutuje nasze cienie do kamieni i płyt chodnika, a masa zamczyska ma solidność i chłód iceberga, ktoś kiedyś, czytałem gdzieś, porównał go do olbrzymiej trumny, dobrze, niech będzie trumna, olbrzymie bonie głazów jak cyklopie mury, ale brama upstrzona jest wszędzie – wszystkie wejścia do zabytków – regulaminami, przepisami i jest budka, w której sprzedają pocztówki. Brama jest zamknięta, ale tuż-tuż mają otworzyć, niech tylko nazbiera się jakaś grupka zwiedzających. Jakoś się tam naskładało, pojawił się tęgi facet w czapce funkcjonariusza, guide, wchodzimy w cień bramy. Przy akompaniamencie przewodnika, jego rutynowanych pacierzy, jakie trzepie bez znużenia i z jakimś nauczonym patosem, podnosi się i opada jego głos, przechodzimy sale i korytarze. Jest z nami jakiś żołnierz francuski, dwie dziewczyny i jakaś para trzymająca się razem. W jednej z sal przewodnik każe nam zwrócić pilną uwagę na jakieś przedziwne echo, które tu zaklęli w kamienie budowniczowie tamtych wieków czy też może od chórów i kantat molekuły tych murów i głazów ściennych przemieszały się i ułożyły w nową strukturę i rezonują teraz, i oddają głos jak wygrane stradivariusy. To ma niby tak być, że jak zadrgało w bezwładnej masie, zagrało i dozbierało wszystkie drgnienia, i szczęśliwie to, jak w ruletce, się ułożyło, to stąd ta akustyczność. I nagle nasz przewodnik podparł się w tłuste biodra i emfatycznym barytonem zaśpiewał, modulując głos, i zrobiło mi się niespodziewanie i śmiesznie, i niezgrabnie na tę wokalną

niespodziankę, ten nie sprowokowany pokaz i nie sromujący się koncert południowego trubadura.

To mi popsuło trochę wycieczkę, ale Kłoda wziął to za całkiem dobrą monetę, w ogóle trochę spoważniał i zesztywniał, wiadomo, nie codzienną, zjadaczowskochlebną imprezę sobie tu zafundowaliśmy, i tu go nakryłem: ma facet słabą stronę, a wydawałoby się, że z tym zmrużeniem oka to miałby większe poczucie różnicy. Ale niech mu tam, zapisze się mu to na minus i upewnię się w swojej wyższości zblazowanego. A ta parka, która wdzięczy się do siebie, to prawdziwe skaranie boskie i teraz sobie zwróciłem na nich uwagę. On jest wysoki, trochę łodygowaty, siwiejące skronie, pionowe bruzdy po obu stronach ust, wysoki, o zgarbionych plecach, tweedowy garnitur, kończyny luźne w stawach, cyniczny i *débauché*, ona – trochę przysadzista, wdzięcząca się wydra już dobrze pod czterdziestkę, coś tam, jakieś tam pantofle z Côte d'Azur, torebka ze skóry rekina czy aligatora, oboje przyczepieni do siebie, on trzyma ją prawie wpół, są „*highbrow*", zadowoleni, cholera! zadowoleni ze siebie, biorą to wszystko cynicznie, zblazowani, są nawet ponad snobizm i zadowoleni, zadowoleni ze siebie i jak tak patrzę na nich, kiedy tacy zadowoleni i intymni, i aroganccy ze swoim zadowoleniem, pewni, wszystko zabezpieczone, pieniądze, gruba forsa, akcje, dewizy, papiery wartościowe dobrze poulokowane, znajomości, koneksje pewne, spryt i wygadanie się, politura kosmopolityczna, cynizm, wdzięczenie się do siebie, a mają za sobą i syte, użyte życie i jeszcze sobie planują i urządzają, i obracają się z nonszalancją wokoło nowych rzeczy, które jakże znają i wiedzą, że im zawsze wyjdzie na ich, a te konwulsje i epilepsje naokoło to tylko nowe użycie i widowisko, kiedy tacy usatysfakcjonowani, żeby tylko nerki i wątroba funkcjonowały, to kiedy ich takimi widzę, to przełykam ślinę, która mi napływa, ażeby nie plunąć, i wolę, żeby tam nie wiem co, swoją zgraję, swój nieporządek, wałęsaninę i włóczęgostwo, i niepokój, który przychodzi z zielenią tej wiosny, i tyle, że mi dowiera, że może obok tego życia, które podnosi teraz, w tej chwili, westchnieniem bolesnym od zatrzymania w piersi, że świat, że bolesna błona świata jest teraz napięta i lada chwila zacznie pękać w bólu i rozciąganiu. To jak ich tak widzę, a nie

mogę nie widzieć, to wydaje mi się to uosobieniem zła, bo nie chodzi mi o trywialną podkreślaną solidarność niby-człowieczeństwa, nieprawda, nie chodzi mi o jakąś komunię masową, euforię tłumu wstrząśniętego tym samym wzruszeniem, jakiejś calizny skrzypiącej pod śrubą dokręcaną tej samej prasy, nawet to by mi dokuczało i wzdrygałbym się od tego. Ale kiedy się jest niesionym tą samą falą, ten sam nurt ciągnie i chłonie nas, to wolę być w wirze, żeby mi to miało nawet grozić wciągnięciem w dół, żeby ciągnęło mię do dna, a jeżeli się nie dam, a jeżeli wyniesie mię, bo się uparłem, a jeżeli zachłysnę się gniewną falą sięgającą mi ust, to jeszcze jest to warte więcej aniżeli być pustym pęcherzem, bąblem niesionym po wierzchu, pianą zgniłą lepiącą się i mydlącą do okruchów tego, co niesie fala, co nie jest częścią fali. No to na coś ci się przydali, powiadam sobie, przydali się, możesz sobie odmierzyć dystans, wiesz, gdzie jesteś, nie irytuj się, powiadam sobie, no to nie będę się irytował, słowo honoru.
Zmrok zapada długi, leniwy, szosą przeszła cysterna z przyczepką, ssssss!… szuuuuuu!… ciężkie resory stękają na zakręcie, asfalt nawierzchni lśni w pełgającym zachodzie.

Już dawno po kolacji, ale siedzimy i jakoś znalazła się przed nami butelka Gordon’s ginu, przekomarzam się z Marcinem Rupniakiem.

Powiadam: Marcin, nie ukrywaj własnych pożądań, spychasz to na mnie, co za grubo szyty machiavellowski ścieg! Bo Marcin już od obiadu przyczepił się do mnie. A właściwie było to tak, że w czasie obiadu był telefon od pułkownika Barthélemy’ego, „Bartłomieja”, który jest *major de la zone*, że spadochroniarze. Po moim przyjeździe zaraz przydzielono mię do baterii, jedynej baterii złożonej z kilkudziesięciu kanonierów naszego zbierającego się oddziału. Dowódcą baterii był kapitan Kołodziejczyk, o którym nie inaczej mówiło się, jak stancą: „Kołodziejczyk łysa pyta”. Kanonierzy nosili letnie workowate drelichy francuskiej piechoty i pracowali w ciągu dnia na fermach u „bauerów” albo „bambrów”, którymi zresztą sobie serdecznie pogardzali. Nauczyli się pogardzać wszystkimi nacjami, wpośród których przydarzało im się popasać. Dlatego nawet niewiele ich widziałem poza wieczornym pośpiesznym apelem albo w soboty na wypłaty. Byli to ci sprzed trzech kwartałów z czynnej służby,

kiedy byli jednakowi: chłopakowaci i pogoleni, ale w ciągu tych paru miesięcy dojrzeli, podejrzewałem ich o cynizm i blagę. Zresztą chyba nie tylko ja, ale i władze. Bo, proszę, na każdy alarm trzeba było wyciągać z kancelarii zamkniętą skrzynię z amunicją i liczyć, i dzielić, kiedy stawali niespiesznie na zbiórce z długimi lebelami naszego wyposażenia.

Zbiórka. Odliczam.

Poza tymi, co są w polu, doliczam się dwudziestu paru. Teraz trzeba wydać naboje po dziesięć sztuk, Błażewski czeka z kamionetką, która nie mieści wszystkich, wiszą na stopniach, jedziemy w stronę Bari, wzgórz Bari – rejon nam przeznaczony do spatrolowania. Zaraz trochę jest przejazd kolejowy: szlaban z budką dróżnika, do córki dróżnika, co za romantyczność! zachodzi zawsze mój wódz kapitan Kołodziejczyk z cezurą: „Kołodziejczyk – łysa pyta”, wielka dla nas to wszystkich uciecha. Więc przejechaliśmy szlaban i dwa kilometry dalej stajemy, robię krótką odprawę: uwaga! meldują zrzut niemieckich spadochroniarzy, zadanie! nasz rejon, o, tędy, rozsypiemy się w tyralierę, odstęp: trzydzieści kroków, nie rozłazić się, łączność wzrokowa, Smełka! słyszycie? czy Smełka słyszy? co za konszachty teraz?! więc: łączność wzrokowa, kapral Toczyłowski będzie na prawym skrzydle, ogniomistrz Wnurek, gdzie ogniomistrz Wnurek? a, tu, to, ogniomistrzu, ja idę jako czołowy, dwadzieścia kroków w przodzie, uwaga na mnie, jak tak rozciągnę ręce, to tak zachowywać front – trudno brać serio tę bujdę Bartłomieja, ale mówię: spadochroniarze to rodzaj straceńców, dużo broni maszynowej – głupio mi tak to akcentować, to jeszcze na dodatek mówię: nie strzelać zaraz do czegoś, co się rusza, bo jeszcze jakiemu chłopu krowę skaleczycie, no! trzydzieści kroków w prawo, w lewo skoook! odbij!

Idziemy płaskim polem, ludzie chowają się w wysokiej kukurudzy, wziąłem trzcinę pod pachę, jest gorąco, gorące popołudnie, i po dziesięciu krokach koszula przylepła mi do pleców. Pcham się przez jakąś kapustę i pomidory i jestem serdecznie zły na siebie za ten cały absurd: polowanie za cieniami. Nie mam szczególnych pretensji do Bartłomieja, mój Boże, przecież jest tak zwana psychoza, czy nie tak się to nazywa? i tak zresztą nic nie wiadomo, i tak już Niemcy pod Paryżem, i nie słyszymy już przez

głośnik więcej Tour Eiffel. Ale zżymam się, mówi się tak: „zżymać się”, nie? na tę całą niezgrabiaszowską sytuację, dlaczego? Bo, po pierwsze, nie chce mi się wierzyć w prawdę tego i nie chce mi się bawić w żołnierzy czy żandarmów i zbójów; po drugie, wydaje mi się, że wygłupiłem się z całym tym „*Stimmungiem*” wojskowym, taki chwyt poganiania, podrywania rozkazem, czego musiałem nauczyć się a podpatrzyć, i posłuchać przedtem, i już mi to nawet weszło trochę w żyły, ale i tak za każdym razem się przymuszam i przymuszam. Potem obruszam się na siebie i „zżymam” za zżymanie się, bo niby, z drugiej strony, albo jest ta wojna, albo nie ma, przecież niedawno w Awinionie obrażałem się i gardziłem parą zabezpieczonych burżujów, banalnych używaczy i darmozjadów, a teraz nie chcę brać na serio tego właśnie, co chciałbym brać na serio. Więc pytam się sam siebie: a czego byś chciał? Pewnie chciałbym, ażeby to było jakoś inaczej, ażeby inaczej pasowało. Więc jak? Więc co? Sprzeciw inteligenta, normalna reakcja na dziejącą się rzecz, podrażnienie inteligenckie, intelektualistyczne rozglądanie się za alternatywą, za kontrastem, za paradoksem, za konturem, za kolorem dopełniającym? No, uważaj, mówię sobie, więc to już ma tak być, jest już zakreślone i zapowiedziane, że co się tylko dziać będzie, to ty masz to poczuć zaraz, reagować, pfu! reagować, ma cię świerzbić ten twój wyrafinowany, inteligencki naskórek, taka jest umowa, rozumiesz?! Oglądam się za siebie i, naturalnie, Smełka i Owoc zbili się razem i coś tam gadają, idąc razem. Przeszliśmy drogę, potem teren łagodnie onduluje, podnosi się ku stopom wzgórz Bari. Coraz więcej szczyru, wapiennych rumowisk, kłączą się srebrne drzewa oliwkowe, zatrzymuję całą linię, trzeba odetchnąć. Jesteśmy zziajani, drelichy kanonierów zrobiły się czarne na łopatkach i pod pachami od potu.

Teraz trzeba iść pod górę – teren jest połamany, pourywany odłóg górski, chaszcze głogów i oliwek, usypiska piargu, łomy kamienne, terasy porośnięte trawą, zaczajone dolinki, kotliny – i ciągle pod górę. Więc to jest Bari i tu gdzieś rozsypują się resztki rzymskich ruin osiedla na stoku wzgórza. Ciągnie się i poznać teraz drogę: stromą, wyżłobioną skosem w piersi góry – droga w litym kamieniu. Wyżłobione są w niej, wyjedzone obręczami kół, wykruszone w dwa głębokie rowy koleiny, wyrobione

kołami starożytnych rzymskich big dwukołowych, kiedy szprychy ich obracały się ciężko albo po prostu wielkie ich, solidne tarcze, kiedy kolebały się z wahadłowym ruchem jarzm wołów ciągnących je ku górze. W pionowych ścianach skały wydłubane w nich nisze, pieczary prymitywnego osiedla, wyzyskane naturalne zaplecze i mur i wyrąbane w nich, wytarte ogniska, kominy, paleniska i popiołowiska. Pośród teras skalnych, spomiędzy chwastów i bylin wysterczają jeszcze resztki fundamentów i przyzb kamiennych domów, tu kiedyś bielejących ścianami. A teraz rozsypane i kamienie ich murów powrócone ziemi.

A żeśmy spenetrowali i zlustrowali zakreślony nam teren, to komenderuję zbiórkę i spocznij! i mają wytchnąć. A sam idę wpośród tych piszczeli i skorup pozostałych po miejscu, gdzie było osiedle, i ciągle ku górze. Czasem jest tak stromo, że czepiam się kolczastych gałęzi głogu – na przełaj. W otwartym miejscu natknąłem się na człowieka. Był to pochylony starością węzeł tlejącego jeszcze życia. Oczy miał uciekłe i niewidome w głębi orbit, łuki jarzmowe skroni i wydatna kość nosowa, wargi zbiegłe i wessane w bezzębne usta, żuchwa zmalała i schowana pod sklepieniem podniebienia, grdyka obwisła pomarszczoną skórą jak indycza szyja, łuk zdrewniały pleców i starcze kolana na zawsze zgięte, i ręce luźno wiszące u barków, beznadziejność starego wieku jak uschłe drzewo, jak szkielet paleolityczny odgrzebany pośród skorup popielnic. Ależ to był matuzalem!

Co on tam robił, na tym uroczysku, wydmuchowisku, sam nie wiem. Ale jeszcze był żywy, jeszcze zakrzątany koło czegoś tam swojego – może zbierał jakieś gałęzie, może dłubał w jakimś zapomnianym ogrodzie, ale z odrażającym uporem, z niesamowitym, nieprzyzwoitym uporem starych ludzi zasłuchany, zaniemiały, czuwający nad resztkami ognia życiowego tlejącego się w nim, kiedy już mózg ma zwapniały na piankę morską, kiedy krew sączy się w nim leniwie w postronki żył na wierzchach dłoni i skroniach, a jeszcze nasłuchuje, a jeszcze odurza się, opiumuje tlenem łapanym rzężącym starczym oddechem.

Wdałem się z nim w rozmowę i trudno z niego coś wydobyć, kiedy ma już tylko inteligencję długowiecznego żółwia. Obraca ku mnie swą płaską głowę, wężową głowę, i zanim wypowie słowo, to łapie ustami i jest w tej

starości coś tak wstrętnego i wężowego, że chętnie bym go trzymał na odległość kija. Jest stary. Nie pamięta, ile ma lat. W roku 1870 był za młody, ażeby pójść do wojska, a naturalnie, że w [19]14 był już za stary, więc się wykręcił, wymigał śmierci. O tym, co jest teraz, nie ma, wydaje się, pojęcia. Porusza swą wężową głową i pochyla ku ziemi, i zbiera coś, co rozsypało się u naszych stóp. W szponach dłoni posuwa mi ku twarzy uzbierane na ziemi drobne kosteczki marmuru i kamieni.

Tutaj kiedyś stał dom rzymski. Bardzo niewyraźnie poznać zarysy atrium, cubiculów, fundamentów domu. Kiedyś posadzka atrium wyłożona była mozaiką z kunsztownie dobranych kosteczek marmuru, gnejsu i alabastru. Kiedyś te kolorowe ułamki układały się pod stopami we wzór: w meander, w ptaki i ryby, i mątwy. Patrzyły z dołu oczami półbogów, hydr i meduz, centaurów i gron winnych. Kiedyś, kiedy nazywało się to Gallia Narbonensis i rezydent rzymski tłoczył tę samą oliwę i zbierał te same grona winne, a doliną szły i chwiały się ponad idącymi na północ legionami orły rzymskie, mozaika atrium układała się w niewzruszony i pewny obraz. Wydawało się może wtedy tym, co wstępowali na nią nogą, że nic bardziej pewnego i solidnego nie uścieli się im pod nogi. A teraz rozbiegły się i rozsypały kostki mozaiki, wzór i obraz jedyny i celny przesypał się na nowo w chaos, przesiał i rozprószył. Dziwne to pomyśleć! Więc jak to? Naprzód było coś skałą, gnejsem, piaskowcem, alabastrem, masą nieprzeliczoną i tępą natury, calizną, blokiem i odłupane cierpliwie, i obrobione skrzętnie, i zlepione, i ułożone, przesiane przez mózg ludzki jak przez sito, dobrane, wyspekulowane, wygładzone i wyszlifowane, kiedy zbiegło się w obraz, kiedy pobłogosławione i wyświęcone do zaszczytu, do wzruszenia sztuki, dzieła sztuki, to po to tylko, ażeby przyszedł czas i rozdmuchał to znowu w chaos, w mnogość, czyli w nicość?

Widzisz, stary, myślę, wyszedłeś mi tu naprzeciw jak groźne memento, jak przypomnienie o nietrwałości. Wylazłeś mi tutaj spomiędzy oliwek, pokrzywiony korzeniu czegoś, co żyło, a już umarło. Kiedy pomyśleć, że byłeś kiedyś młody, że może o wieczornym zmroku trzymałeś wpół dziewczynę jak owoc brzoskwini, i kiedy wychodzisz, wypełzasz teraz na światło przypomnienia, to wydaje się to przypomnienie czymś wstrętnym

i bluźnierczym. Co się stało z tą dawną chwilą? Dlaczego odleciała od ciebie, dlaczego była? Kto zaklął ją wtedy? Czy mu przypomnieniem tego ma być tylko zewłok, jaki pozostał? Karykatura człowieka? Czemu wybucha to nagle wpośród nas, a potem odchodzi i pozostawia nas jak wydmuchane szczątki preparatów entomologicznych? Czyjego jesteśmy przedmiotem szyderstwa, natrząsania się i ironii? Kto robi sobie z nas takie widowisko, dwudziestoczterogodzinny spektakl, monotonny lunapark? Kogo to bawi, kto śmieje się z tego tak ustawicznie, że tego chichotu nie możemy usłyszeć?

Idę dalej ku górze, przebierając w kieszeni od spodni kilkoma kamyczkami mozaiki, jakie schowałem na pamiątkę.

Kilkadziesiąt kroków dalej, na drodze biegnącej po skosie góry natknąłem się na dwu żołnierzy. Byli to dwaj strzelcy z batalionu *tirailleurs sénégalais* z Orange. Okazało się, że Bartłomiej zaalarmował inne oddziały zony i batalion podwieziono *camionami* i rozsypano w teren. Ci dwaj odbili się od swoich. Ale nie bardzo tym byli przejęci. Kiedy tak stali na tej kamiennej drodze, zwróceni twarzami ku sinemu krajobrazowi Rodanu, na zachód, w pejzaż daleki, gdzie odkłada się horyzont za horyzontem, kiedy soczewka oka akomoduje się skokami, dalej i dalej, aż gdzie odwala się i odchodzi daleko, gdzie odgaduje się Massif Central i Puy de Dôme, patrzyli ku temu krajobrazowi. Patrzyli bez metafizycznego sentymentu, jak patrzymy my w obcy krajobraz, bez asocjacji i stowarzyszeń literackich ani geograficznych, ani historycznych; stali ci dwaj wyprostowani, wspaniałe chłopy, Senegalczycy, jakaś udana rasa: wielcy, sześciostopowi, kolor ich skóry prawie fioletowy i migdały oczu wyciągnięte ku skroniom, w oliwkowych hełmach stalowych i, o paradoksie! w pełnych zimowych sukiennych mundurach zapiętych regulaminowo pod szyję, nie porozchełstywani w gorącu Południa, jak my, „jak mamki”, ale pozapinani w swe żółte pasy, podpinki hełmów pod brodą; Francja swoje kohorty kolonialne inaczej tresuje i wystawia do przeglądu – bez broni, to znaczy: bez karabinów, tylko po prawej stronie u pasa mieli ciężkie skórzane pochwy-olstry na szerokie tasaki czy maczety do buszu afrykańskiego, kiedy w marszu wycina się nimi *pistes* na szerokość człowieka. Stali na tej

drodze i patrzyli barbarzyńsko, zimno i nieodgadnienie jak oksydowane na fioletowo posągi ze spiżu, podobni do siebie bliźniaczo, jak *Gemini*, swą przystojnością innej rasy i innego kontynentu, zimni i obojętni jak naoliwione części działa, pewni siebie i obojętni wpośród tego świata i ruin tego innego świata. I to nic, że utrzymani są w swym rygorze i chciwym zadaniu rentierów, kiedy wyszkolił ich wulgarny i karny koszarowy biały sierżant, to się nie liczy, sierżant katalizator nie liczy się, kiedy barbarzyńca nachodzi nowy świat i staje wobec nowego krajobrazu.

Więc dlatego nie bronię się przeciw atakom Marcina Rupniaka. Zresztą nawet bym nie potrafił, bo dostałem czkawki, co tylko otworzę usta, i pobudza nas wszystkich to do homerycznego śmiechu.

Koniec idylli. Radio Toulouse oznajmiło nam to, kiedy od szeregu dni stacja ta wołała patetycznie: „*Aux armes, citoyens!*” Byłem wtedy z wizytą na farmie pod miastem u znajomej rodziny koniokradów i cała rodzina koniokradów spłakała się na radiowe obwieszczenie.

Zapadał wieczór, kiedy nasz dywizjon robił gorączkową odprawę i pakowanie się do drogi. Wypijaliśmy szybko resztki Gordon’s ginu, zagryzając ostatkami salami, kasynowy skrzętnie stawiał nam kreski przy nazwiskach, pomimo straceńczej sytuacji. Mój wódz kapitan Kołodziejczyk (z cezurą: „łysa pyta”) znikł i zapodział się i zaraz poszedł głos o tym, że nie idzie dalej, że już więcej nie stawia, zostaje z córką dróżnika. Czeka nas pieszy marsz do Orange, gdzie pono ma być dla nas eszelon. Pieski zebrały się po raz ostatni na mostku na przejeździe, wielka konsternacja, bo białą suczkę posiadł w końcu cyniczny, na pół sparaliżowany, cierpliwy kundel, a reszta psich gierojów na sprężynowanych nogach i z postawionymi ogonami, jak niepyszna, asystuje – wielka okazja do filozoficznego zastanowienia się nad ironiami losów. Ale już na nic nie mamy czasu.

Tylko wielkie *remorqueury*, ciężkie i wiśniowe w zapadającym zmroku, szły z szelestem po asfaltowej esownicy drogi.

[prwdr. „Wiadomości” 1949, nr 29, pt. *Barbarzyńcy patrzą w krajobraz podbitego kraju. Nad Rodanem*; nr 40, pt. *Barbarzyńcy patrzą w krajobraz podbitego kraju. Wycieczka do miasta*; nr 43, pt. *Barbarzyńcy patrzą*

w krajobraz podbitego kraju. Fałszywy alarm; nr 45, pt. *Barbarzyńcy patrzą w krajobraz podbitego kraju. Matuzalem*]

Kawaler z morskiej pianki

Z nowym żywiołem to jest bardzo dziwnie spotkać się. Na samym początku to nie jest jeszcze taką rewelacją i zaskoczeniem, jak by się wydawało. Jak by nie było, tu jest ląd, susza, twardzizna, a dalej, z drugiej strony, zaczyna się płasko i odbiega daleko ruchome, ciekące, dalekie morze. Morze. To znaczy naraz wiele stowarzyszających się myśli o tym – fale, bo fale, wiadomo: idą do brzegu i odchodzą, i przychodzą nowe. Niebo tam dalej spada stromo do mokrej krechy morza. A ląd – bardzo dobre słowo: „ląd" – który jest taki sam, aż dziwnie, że nic w tym innego, trawka rośnie sobie i kamienie, i patyki, mogłoby to być, opuścić głowę, mogłoby to być wszędzie, nawet natknąć się można na trywialne śmiecie: zmięty i brudny kawałek papieru, pokruszone szkło butelki, kawałek deszczułki nie wiadomo skąd. Potem, jak popatrzeć po linii brzegowej, to widać linię przypływu, widać linię starą osadu i brudu morskiego najwyższego przypływu i niedawną linię czy kilka linii niedawnych przypływów. Biegnące linie jak warstwice na mapach hipsometrycznych, morze dochodzi do nich i ślini się jak niemowlę. I stąd zostaje ta linia brudu. A teraz jest odpływ i woda odbiegła. U tej linii przypływu zaśmieci się także morszczynami, które są jakieś kruche i pęcherzowe, i chrzęszczą pod podeszwą, wywołując dziwną sensację i satysfakcji, i obrzydzenia. Jakieś korki, kawałki drzewa, rozdarta skrzynka po czymś tam i oczywiście mętna butelka, zmatowiałe brudne szkło, butelka jak posłanie i sygnał od zagubionych pośród oceanu nieszczęśników, ze słowami zaklęć. Wypłukane i wyblichowane skorupy krabów, muszle morskich szczeżui i szkarłupni i świeżo wyrzucone śliskie ciało mątwy, sflaczałe już i zwisłe, kiedy wyniosło je na suchy piasek.

Patrzę w te mątwowe zwłoki, myślę, jak inaczej wyszedł ich los, kiedy z soczystego płynnego przestworu wody, który je wypełniał i nadymał, pomagał rozwiewać długie macki i pęcherzyć się głowie mątwowej

głowonoga, kiedy można jej było rozszerzyć jej własny okrąg przez wypluwanie i mącenie wody naokoło chmurą rozwodnionej sepii, jak przyszło jej teraz sflaczeć, oklapnąć jak guma z przekłutego balonu, wyschnąć pod słońcem na brzegu obcego i wstrętnie suchego kraju. A że samemu jest się tu wyrzuconym, to przychodzi uparta analogia, pomocniczy mechanizm myślenia, rytm porównania: a co ze mną? czy nie jestem takim samym zewłokiem wyrzuconym na skraj? czy nie flaczeję i nie rozłażę się w suchej atmosferze księżycowej kraju innego ciśnienia? Potem znowu strofuję się, ażeby nie popadać w łatwiznę, nie oszukiwać się łatwo zbudowanym porównaniem, tak zależnym od przypadku popołudniowego spaceru. Uważaj, mówię sobie, trzymaj się. To nie jest sedno rzeczy.

Potem fala. Leci z daleka, ale to nic markantnego. Dopiero kiedy spód jej zaszoruje po pochylni brzegu, to śpiesząca się góra nabiera rozpędu i jak człowiek, któremu podetną nogi, leci na głowę, piętrzy się, góra jej zakręca się w strzęp, koguci grzebień, wisi ten poszarpany rąb przez dobrą chwilę ponad pochylonymi wodami i biegnie do brzegu, i zakręca się jak trąbka papieru, i wali wreszcie na piasek z dziwnym głosem: szumem, uderzeniem, zaczesana wtedy w wałek, i potem już rozlewa się w przód płyciznę, cienką wodą liżącą piasek jak mydliny wychluśnięte z balii, i podbiegnie aż do moich stóp, i skona u nich jak pies zdychający, kiedy ostatni raz chce liznąć podeszwy moich butów. Można by łatwo wpaść w megalomanię, kiedy sobie pomyśleć, że przeszła pół oceanu pod słońcami i gwiazdami, niosła na sobie lewiatany i miasta sargassowe, ściągała pioruny i piętrzyła się w morskie wały, ażeby w końcu, w największej pokorze, cnocie tej pokory, położyć się i umrzeć u czyich? u moich stóp.

A cóż dopiero mówić o innych falach, które idą zaraz nieustannie, jedna umiera, a tysiąc innych idzie nieustannie, uparcie, ciągle, tłumem gęstym, widać je daleko, podchodzą, nadbiegają, zapatrzyć się w losy jednej, wybrać sobie jedną, a tu ich tyle innych. Na tym piasku u tego płaskiego wybrzeża nie wydają się groźne, wydaje się, że dotrzymują jakiejś umowy,

podziału świata: tam jest świat wodny, a tu jest świat lądu i na granicy tego dzieje się to umieranie fal.

Zapatrzeć się w płaskie morze, zadumać. Inne, nie to, cośmy dotychczas widzieli. Czubi się daleko gdzieś skłócone zderzenie fal, kreseczki fal i kreseczki mew nad nimi, jak ścinki papieru, skrawki papieru podmuchiwane wiatrem.

To jest w spokojny dzień. A niech przyjdzie wiatr, niech chmury leżą nisko, niech mgły zaciągną nieboskłon jak bielmo na oku ślepca. Wtedy od morza pójdzie jeden ciąg podmuchu, zaniesie rozpyloną słoną wodą morską i pianami. Morze zagotuje się, zakipi. Chce być granatowym, ale rozmamle się to w grzywach i pianach w brudny kolor ni to oliwkowy, ni to zielony, ni to szary. Popatrzeć ze znajomego miejsca i widać, jak puchnie woda na podejściu do brzegu. Grzywy morskie już piętrzą się daleko, rozhojdane fale drążą się i podnoszą. I jednostajny niesamowity głos nieżyjącej materii, chcącej w swym ponurym ryku, szumie wygadać swój ból i rozpacz bezwładu. Dla czyjej przestrogi? Komu na alarm? Zagubiony u cienkiego wybrzeża, wytrzeszczam swoje nienawyknione oczy gościa z głębi kontynentu, ambasadora innych utrapień. Ta furia i rozpacz wodna, jaka rozpętała się przede mną, zawstydza mię i upokarza. Wydawało mi się, że te właśnie moje własne strapienia miały być bardzo wielkie i furiackie, i przychodzę na obcy brzeg, nastawiam twarz do wiatru i poprzez łzy wysmagane tym wiatrem z oczu patrzę na nowy, dotychczas nie znany kataklizm. Łatwo mi opancerzyć się obojętnością, powiedzieć sobie, że to mnie nie dotyczy, że nie należę do tego i nie mam się co zanadto wzruszać. Ale nie da rady. Przecież nie ucieknę z tego świata, należę do niego we wszystkich jego częściach. Jak bym się nie opierał, to rozhuśta się to powoli we mnie jak most, po którym w rytmie przejdzie kolumna piechoty. Doda się jedno drgnienie do drugiego i już mię poniosło i rozbujało. Aż zacznę na sobie zapinać gorączkowo guziki, niechby to tam nawet były głupie guziki w przenośni mego dotychczasowego uporządkowanego wymiaru. Chciałbym się oglądnąć za siebie, udeptać wokoło siebie wzrokiem znajomą, pewną solidność ziemi. Ale już jestem urzeczony, już

mię wzięło i pociągnęło. Jestem w paszczy lewiatana. Ryczy i pluje, niesie od niego chuchem grozy. Jest nieżyjący, a straszny jak żywy. Patrzę.

A innym razem stoję u brzegu kamiennego omurowania małego rybackiego portu. Tam stłoczyły się domki rybaków i ich życie, jakże inne od życia mieszczuchów, miasta. Są milczący w swoich wypranych, z grubego niebieskiego płótna spodniach i kurtkach, twardzi i drewniani w swoim zakreślonym wąsko i ostro zawodzie. Twarde jest wszystko naokoło: guma ich butów, twarde liny, kawałki obrobionego drzewa, mur składany z ciężkich kamieni – mur mola, płyty, kostki kamienne pod nogami. Ostre jest wszystko naokoło i twarde. Sklepik, nawet sklepik jest jakiś taki, jak konfesjonał albo buda kordygardy. W nim czarno i ślisko od brązowego drzewa, tylko kilka kolorowych pudełek z drobnicą wdzięczy się swymi reklamowymi kolorkami. Kupuję papierosy i jest tam stara rybaczka, ale to starowinka zdrobniała i skurczona w swej czarnej chustce na ramionach, jak u wszystkich rybaczek, z jej brodą zakręconą i stykającą się z nosem, skóra na twarzy to zmięty wysuszony pergaminek, uwłosiony tylko na wszystkich brodawkach, i kupuje sobie tytoń do fajki czarny, którego uncje odcinają jej z jego skrętu jak skrętu smołowanej liny okrętowej – coś, co w paleniu uderza w ciemię wszystkimi stężałymi wysączynami nikotyny. A wokoło domków jest pustawo, tylko, jak flagparada, lecą na wietrze na sznurach gacie i spodnie świeżo wyprane, porozwieszane sieci, dłubanina koło czegoś tam domowego, a nieco dalej pochylnia, na którą wyciągnięto statek, i teraz tam coś malują i pakują w szczeliny kłaki przepojone smołą, i zawsze jest tam naokoło ta marynarska, rybacza graciarnia: poleży sobie czerwona od rdzy śruba, jakieś bele, blachy, ale wszystko dookoła czyste, jakby umyślnie uzamiatane na przybycie gościa. Statek wyciągnięty na suszę wdzięczy się swoimi krzywymi liniami, które dodają coś z błazeńskiego i bezecnego poczucia nagości, bo te krzywizny mają być tylko dla wody, te wypukłości i wklęśnięcia, i linie wykręcające się i podchodzące mają być wstydliwie ubrane, osłonięte i obwieszone wodą, a teraz to ma się wrażenie natknięcia się niespodziewanego na dziewicę w kąpieli i w pierwszej chwili jest coś jakby z szoku.

Dookoła dzieje się ta architektura przywodna, nadbrzeżna, utylitarna, która ma do czynienia tylko z wodą: przybudówki, budki strażnicze, zagrody, wrota do basenów, no i solidny, tęgi, barczysty mur mola. Jak go tu nastawiano, jak im szło to w sąsiedztwie i naporze wody, trudno sobie wyobrażać te wszystkie hydrauliczne kłopoty budowlane. Ale już to jest i stoi, i wypucza się w stronę morza. A morze?

Jest tu jedno miejsce – załom czy śluza przy basenie – gdzie morze załamuje się jak promień w pryzmacie. Przychodzi fala ciężka jak kobieta przed porodem i wmiesza się w ten wyłom ze stękaniem, i zanim ma czas się cofnąć swoim falowym odbiciem, nadbiega druga chyżo skosem wzdłuż mola, tnąca po drodze jak kosa, i natyka się na tę odbitą. A na to w tym momencie z przeciwnej strony nadgalopowała krótka zdyszana inna i teraz wszystkie trzy się spotkały. Jest chwila wahania, jakby mocowania się trzech zapaśniczek, aż z tego chaosu wystrzela do góry fontanna, rozpaczliwa kolumna wody rzygająca jak pod ciśnieniem, olbrzymi pióropusz wściekłości, gejzer lodowaty, i zawaha się w powietrzu, i chlaśnie, rzuci deszczem, mgłą, praskiem o kamienie, i poniesie je daleko w głąb wybrukowanego nadbrzeża, i trzask jak z biczów fornalskich. I teraz wszystko opada, jakby po tym natężeniu zabrakło wody w oceanie, uciekają resztki, zmywają wszystko, odsłaniają się warstwy kamieni podbudowy cokołu nadbrzeża, aż ukażą się spód i skała, i mokre to i lśniące od uciekającej fali, i ścigają tę uciekającą wodę strumienie zastrachane wody pozostałej w załomach. Ale to tylko chwila, bo oto znowu nadjeżdża tłusta fala jak wróg, który po zadanym ciosie cofnął się, i ulga, i teraz nowa rozpacz, kiedy to tylko cofnięcie się dla nabrania rozpędu, dla wezwania w sukurs, i podnosi się znowu fala, podnosi tak jak nam podnosi się serce do gardła w chwili beznadziejnej. I znowu to samo, i znowu.

A dalej, pośród mórz, widać łódź rybacką: długie czółno-szalupa na pochyłości fali. Zjeżdża właśnie w dół niecki i kryje się w niej tyle, że widać głowy siedzących w nim ludzi. Teraz jest od nas zasłonięta grzbietem, ale idzie do góry i widać jej dziób i ludzi pochylonych ciężko nad wiosłami. To jest coś z ich codziennego życia, ale w zaparciu ich we wiosła, w pochylonych grzbietach jest coś takiego z wysiłku śmiertelnej

chwili na tle brudnego stoku fali pośród grzmiącego oceanu, kiedy są ociekający wodą i odróżnić można jedynie ich ziemistoróżowe twarze, wydaje się to tak tragicznie nawołujące o ocalenie naszych dusz, o myśl bliźniego, o sygnał, że chciałoby się coś robić, dusza w nas kręci się w sobie bezradnie jak w popłochu, chciałoby się biec gdzieś, uderzać na alarm, wzywać pomocy, rozsyłać gońców, zagubić się w rutynie, w humanitarnym echu, w poświęceniu, dać coś z siebie, bo dusze ludzkie giną pośród wody, ale nie ma tej ulgi. Można tylko stać, przestępując w kałużach słonej wody, i patrzeć po gniewnej wodzie i srogim obrazie z zawstydzającym, tchórzliwym, nie przyznającym się uczuciem, że jednak ja tu jestem, a nie tam, pośród nich, i wstyd pali policzki i każe mrugać powiekami pod wiatr, pod wiatr, pod ołowiany blask morza, pod krzywy kształt łodzi i garby towarzyszy, ludzi, zgięte nad patykami wioseł.

A trzeci raz pójdę wzdłuż stromizn wybrzeża. To tam, gdzie smutne warstwice skał, ponadgryzane przez morze, sterczą skośnym murem, bastionem. Idzie się samą krawędzią, ścieżeczka ładnie wydeptana, jest to w górze, więc okiem można objąć daleko i szeroko. Morze łuszczy się jak druciana kolczuga, morze puste i martwe, a jednak i nie puste, i nie martwe. Bo i ptak zaleci nagle, z daleka zasnuje się dym parowca i zresztą czuje się, że jest tam to wodne życie, wszystkie te planktony i błąkany, woda napęczniała życiem i mrowiem, ale stąd dla oka wydaje się martwą jak kwas siarkowy w butli.

Ścieżka kręci się z pourywanym brzegiem, obchodzi głęboko w ląd wrzynające się wyrwy i nawraca potem do morza. Skała urwiska jest czekoladowa z wmieszanym niebieskim łupkiem. Ale w dole, gdzie się pourywało w usypiska, to kamienie zostały wyszorowane przez wodę do białości. Urwisko jest na dosyć jednostajnej wysokości może dwudziestu–trzydziestu metrów. W dole bałwani się morze. Pomimo tego, że jest teraz cisza i morze wydaje się płaskie i solidne, muszą nim przychodzić jakieś westchnienia wodne regularne i ciężkie, bo w zetknięciu ze stopą urwiska ciągle się tam coś dzieje. Woda przyjdzie i zawaha się jakby, i nagle pięścią wytnie o ścianę skalną, potem odejdzie spokojnie i westchnie znowu, i zapieni się na grani wysterczającej w morze. Kiedy idzie się górą, po

lewej jest całkiem sielski krajobraz polny z zaoranymi polami i płaskimi wzgórzami porośniętymi szczotką lasu. Niebo polne i niskie i ciemna zieleń północy. A po prawej, w dole: du, du, du, du! – uderza i kuje morze w skałę wybrzeża.

W jednym miejscu jest rozpadlina odcięta od morza, ale jest do niej dołem przejście i ta część oddzielająca jest jakby mostem wiszącym. Tu, w ten zamknięty kocioł, z każdym przyjściem fali wtłacza się woda w zgiełku, zamieszaniu i rozbijaniu jak tłum wbuchujący ciasnym wejściem na arenę. I ledwie wypełni, ledwie zaczubi się pianą wyżej i wyżej, to już odchodzi i ucieka tym samym wejściem. Odsłania się warstwa skały za warstwą: ociekające wodą progi i występy, i nisze rzygające i plujące resztkami powodzi, aże odsłoni się pochyły lej z piargu i kamieni usypany i teraz te utoczone głazy sypią się w ślad za uciekającą falą, grzechocą po sobie w pośpiechu, i w zamkniętym stożku odwróconym rozpadliny ukształtowało się jakieś dziwne echo, które potęguje i wzmacnia ten martwy głos ruchomego usypiska: ostre szorowanie i zgrzyt kamieni ostry i suchy, i twardy, chrobot i szur. Jeszcze się to nie skończyło, a już wpada nowa horda wodna, kłębiąc się ku górze i zalewając ledwie co opróżnione regiony. I znowu nie stało jej, a już triumfalnie czub wodny rozpylił się dwadzieścia metrów wysoko i chlasnął kroplami wody po kamienistej ścieżce, i już ucieka, gubi się ta woda, i zachrobocze dno kamienne, i zasypią się wyszlifowane mokre głazy, i znowu bucha nowy najazd. Można stać w zadziwieniu u szczytu tego urwiska, które wydaje głos, jak gdyby diabeł potrząsał do wariackiego tańca monstrualną tykwą.

I wszędzie leżą, czepiają się kamieni piany morskie, jedne już wyschłe i leciutkie, i kruche, „*Meerschaum*” – więc to to jest ta pianka morska, o której się mówiło? – inne jeszcze mokre i śliskie, i słone od wody morskiej. Czasem dmuchnie wiatr od morza i poniesie tymi brudnobiałymi kłaczkami śliniącymi i czepiającymi się skał. Tużeśmy zaszli? Tu nam w postaci kruchej piany morskiej ukazane zostały nicość i kruchość wszystkiego?

Zawsze tak będzie? Czy zawsze taka zabawa będzie? Czy z tego się nie wyrasta naprawdę?

Tylko obce morze ryczy i szumi w dole. Tylko żelazne morze idzie i tłucze się o skały lądu. Mam tu stać i patrzeć, jak nie znany żywioł szoruje się o ląd, jak łuszczy z niego żwir i pluje weń pianą słoną. Tylko obca woda, niezrozumiała i obojętna, tłucze się bezpamiętnie i pożera ziemię – ostatnie to, co mi zostało pod nogami.

[prwdr. „Wiadomości” 1950, nr 1, pt. „*Meerschaum”*]

Pejzaż ze wschodem słońca i obiektami ze stali

Czołgi stały za nami o jakie kilkadziesiąt kroków, jak małe pagórki. Od nich nadchodziło dwu czołgistów oficerów. Jeden to był kapitan o chudej twarzy urzędnika czy kancelisty, a drugi to był gruby i przysadzisty porucznik o grubych rysach. Ten porucznik był zdenerwowany specjalnym rodzajem zdenerwowania tęgich ludzi. Patrzył tylko ciągle w oczy kapitanowi i przytakiwał mu. Aż mię uderzyła ta służalczość, ciągle to: „tak jest, panie kapitanie”, „rozkaz, panie kapitanie”, „tędy, panie kapitanie”, aż dziwnie – tu wojna jak cholera, a ten basuje temu swojemu kapitanowi. Ale może to go trzyma, ten stosunek z innego życia, i pewnie to pomaga tamtemu także, że tu wojna, a stara sztampa tak zachowana, jak na placu ćwiczeń.

Obaj mieli na sobie czołgowe kombinezony, grubego porucznika robiło to jeszcze bardziej nabitym, szelki od oporządzenia mieli poprzekręcane i niezgrabnie dyndały się im olstry rewolwerów, mimo że mieli je specjalnym gurtem przypasane do uda prawej nogi, i zuchowato, po kowbojsku wyglądały z nich kolby webleyów i tulejki z zapasowymi nabojami naszyte na tych olstrach.

Na przedpolu było śmiertelnie pusto i cicho. Dlatego już dawno przestaliśmy kulić się za wrzosem i poruszaliśmy się swobodnie, jak na własnym podwórzu. Czołgi, co prawda, stały na płaskim pochyłym przeciwstoku i nie było ich widać stamtąd.

Z bliska czołg jest wielki jak cholera i jasnozielonooliwkowy, tylko rury wydechowe ma zasmolone czerwone, rdzawe, milczące. Dla cywilnego umysłu wyobrażenie o nim jest przesadne i wyolbrzymione, znakomity przykład psychologicznej szarży, ale nie tak jest z tymi, co mają w nich siedzieć. Nasłuchałem się dosyć opowiadań i miałem sporą ilość relacji od fachowców, relacji kończących się zawsze defetystycznym akcentem. Bo, proszę, zawsze jest tu coś źle z nimi. Pamiętam jeszcze vickersy w Polsce,

jak je sobie krytykowano słusznie i niesłusznie. Że pancerz. No pewnie, jak ma się siedzieć za tym pancerzem i własna wyobraźnia każe widzieć ryje przeciwpancernych dział wijące się za pokrętłem celowniczego i potem blask i przeraźliwy płomień wystrzału, i goni czerwony smugowy pocisk i rykoszetuje w poszukiwaniu pancerza, i kiedy, pomimo że ma się w głowie formuły o chromoniklowych stalach pancernych, stalach twardych, widiach, kiedy pomyśleć o balistycznych fantastycznych szybkościach początkowych tysiąca metrów na sekundę, to co? Co się dzieje? Opowiadali mi czołgiści z marsem na czole, nie bojąc się śmieszności, że pocisk taki wyprawia dziwne brewerie. O tym, że nie wywierca, ale wybija korki w ciężkim pancerzu. O tym, jak pod uderzeniem wnętrze wieży pryska w ostre nieprzewidziane fragmenty, jak instalacja elektryczna rwie się w nieoczekiwane krótkie spięcia, jak rzyga pod wysokim ciśnieniem i pali się oliwa z pomp obracających wieże, kiedy siedzi się w magicznym kręgu magazynu pocisków pięknie i pedantycznie powtykanych w ich tuleje wokół wieży. Zdradzają zastraszające i defetystyczne sekrety wad shermana, jak to, nie wybalansowany i wysoki, na pochyłości przewraca się od odrzutu własnego działa i nakrywa załogę stalowym palącym się sarkofagiem. Kiedy od podmuchu pękających obok pocisków artyleryjskich sprężyny otwartych klap nie wytrzymują i zatrzaskują się, miażdżąc ręce i głowy wychylonych z nich ludzi. Ale pancerz był najważniejszy i zaważał na samopoczuciu. Liczyli cale: dwa cale, trzy cale, trzy i pół cala w czole, a z tyłu prawie nic i tak dalej, i tak dalej. Tak, ci z czołgów to mieli wcale poważne miny, jeżeli przychodzi do tego, że trzeba wpakować się we wieżę i jechać na wskazany kierunek.

Czołgi stały cicho, tylko wydobywało się z nich granie i wycie twornic aparatów radiowych. Była godzina „H” do strojenia. Słychać było monotonny głos radioty, jak powtarzał:

„»Magda Jeden« – mówi »Magda Dwa« – słyszę was – siła: pięć – »Magda Jeden« do »Magda Dwa« – słucham…”

A potem dziwna sensacja, bo słyszę nagle taki głos, jaki już słyszałem. Głos strzelca z przestrzelonym krzyżem na noszach przed ambulansem – było to: „A-a-a… a-a-a…” Takie „a-a-a”, jakie było refrenem do piosenki

do usypiania dzieci: „A-a-a, były sobie kotki dwa…” Taki sam głos agonii i bólu, aż mię wzdrygnęło.

A tu [nie] było to nic innego, tylko radiota rzęził to swoje „a-a-a” do mikrofonu, ażeby samemu się sprawdzić, i patrzył drapieżnym okiem, jak mu wychyla się strzałka amperomierza. A niech go szlag trafi!

Ale jest spokojnie i najniespodziewaniej inaczej aniżeli ktokolwiek by się spodziewał. Jest wczesny świt. Przed nami jest dosyć faliście, a za nami łagodnie spada w dół i otwiera się w blasku rosnącego dnia daleki, daleki krajobraz. Jest chłodno, trochę bardziej niż rzeźwo, i jest to trochę dokuczliwe. Może dokucza ta niezwyczajna pora, kiedy to właściwie wszystko jeszcze śpi, oddycha snem porannym. A tu jestem już od czterech nocnych godzin na nogach, w ustach mam gorycz i niesmak od wielu wypalonych na czczo papierosów, jest mi nieprzyjemnie od tego, że jestem od dwu dni nie myty i mam dwudniowy zarost. Myślę, że gdybym był ogolony i czysty, to wszystko wydałoby mi się o wiele normalniejsze i prostsze, nawet potrafiłbym myśleć inaczej.

Posłali mię tutaj jako łącznikowego artylerii i tam, w Brygadzie, wyglądało na to, że wszystko będzie tylko od tej artylerii zależeć, a tutaj jakoś nikt na to nie zwraca uwagi. Owszem, przyjęli mię ze śladem zainteresowania i pewnie dobrze im to zrobiło, że mają zapewnioną artylerię, ale co by to ona mogła dla nich zrobić, to nie bardzo pamiętają z kursów dowódców, na których im coś kiedyś wykładali. Są drobiazgowo zajęci tym ich swoim… z jakimś rodzajem, powiedziałbym, małostkowości trzymają się tego swego oślego i upartego szymla, którego, ze złością myślę, sam nie rozumiem. Gonią tymi szymlami – już ja to znam i wiem, jakie to łatwe i bezmyślne. Ale czy to ja sam nie łapię się swoich szymlów, czy nie łapałem się tyle razy?

Jest taka pora rano, to trwa niedługo, ile? dziesięć–dwadzieścia minut, kiedy kończy się noc, a dzień jeszcze się nie zaczął i wszystko jest niezdecydowane i płynne. Jakieś tam dzieją się w górze tragiczne załamania pryzmatyczne światła, bo rozczepia się ono na tak zdecydowane kolory, że dławi w gardle. Słońca nie widać, gdzieś tam już powinno być, ale w tym miejscu walają się chmury, kryją je złowrogą frędzlą i pożyczają z tamtego

zbiornika kolorów najbardziej indygowe i fioletowe, ażeby nadać sobie ponurej ważności. Ale zaraz wyżej szarpią się w kłaki i między nimi jest różowo, ale to tak różowo, że do niczego to porównać, potem znów kłaki chmur i jest szafran i jak pozłótka na choince. A potem znów kongregacja chmur, obrzeżone perłowo i perłowo, i potem błękit nieba, i to już ponad głowami, a dalej chmury już białe, a za nimi, ku przeciwnej stronie nieba, seledyn i w nim bledziuchny płatek ubywającego księżyca. Wydaje się, że z tego nieba można doczekać się wszystkiego: że zawiać może palącym wiatrem albo że sypnie zeń śnieżną zawieją, albo że zakręci się to wszystko w apokaliptyczną trąbę powietrzną, albo – rozjaśni majowym deszczem. A jaki koniec tego wszystkiego? Chmury, bo chmury – zostają, rozwłóczą się, światło słoneczne zaczyna spoza nich przesiąkać białe i apatyczne; co tu mówić, cholera, jest dalej zimno, nieprzyjaźnie i obco, i niedomowo i chciałoby się być daleko od tego i nie mieć z tym nic wspólnego, i nie ma na to rady.

A na dole, co się działo na dole? Wszystko jest widoczniejsze, ale i tak samo jak było poprzednio: leciutka mgiełka od strony nieprzyjaciela, wrzosy i żółta trawa, i woda w lejach, i opuszczone miejsce, i dalej nic, chyba tych kilka figur ludzkich, co się tu i ówdzie kręcą. Żyć się od tego wszystkiego nie chce.

Jest odprawa dowódców czołgów. Kompania to dziewiętnaście czołgów: cztery plutony po cztery czołgi, czołg dowódcy, zastępcy dowódcy i jeden zapasowy, więc razem dziewiętnaście. Dowódcy czołgów wydrapują się ze swych kopuł, kopuł obwieszonych torbami i dobytkiem, na zewnątrz pancerza. Jeden jest wysoki i ma na sobie wyblakły kombinezon mechanika – ubiór kiedyś brązowy, a teraz jasnordzawy. Inny, mały, ma wyświecony od smarów beret z pogiętą blaszaną gwiazdką podporucznika i jest nie ogolony jak my wszyscy. Ludzie ci mają w sobie coś prostackiego, uczniowskiego. Stoją małym półksiężycem wokoło dowódcy. Dalej czołgi drzemiące w srebrnym świetle dnia. Sterczą tylko ich anteny, jak bicze, na wieżach, tym odróżnia się je od niemieckich w sylwetce, bo tamte mają je na kadłubach.

Dowódca kompanii jest dziwnym połączeniem nieporadności i miękkości – gubią mu się mapy z wielkiego mapnika pokrytego celofanem. Na tym celofanie ma zarysowane jakieś kreski, strzałki i notatki dermatograficznym kolorowym ołówkiem.

Widzę niewyspane twarze dowódców czołgów. Na twarzy najbliższego najwyraźniejsza troska nie o natarcie, ale o to, czy mu radiota zgrał się na sieci. Ciągle patrzy w tamtą stronę, a potem nie wytrzymuje i idzie tam z porucznikiem z plutonu łączności. Ten porucznik cały ten świt wisiał na wieżach czołgów z głową w środku i wiszącymi na zewnątrz nogami i coś majstrował tam, i martwił się o te swoje elementy i sieć. Kapitan spojrzał za dezerterami znużonym wzrokiem, ale nic nie powiedział, słychać było tylko ciągle to jego zastępcy: „tak jest, panie kapitanie!”, „rrrozkaz, panie kapitanie!”

Kapitan pokazał coś na celofanie, bąknął coś, co brzmiało jak: „jesteśmy, o, tu, nasza podstawa natarcia”, potem złamał mu się dermatograficzny ołówek, rozglądnął się bezradnie, ktoś pomacał się po kieszeni kombinezonu, czy nie ma noża, nie miał. I wszystko się rozprzęgło. Potem zobaczył mię i przyjaźnie kiwnął mi głową, i zaraz zatroszczył się: a co ze mną? No to pan pojedzie z „Magdą Pięć”; nie wiedziałem tylko, który to jest „Magda Pięć”. A tymczasem kapitan gdzieś mi się zagubił – patrzę, a jest już na szczycie wzniesienia, błyszczy mu się celofan w ręku, i jest tam ten jego zastępca, który ciągle przystaje, ażeby stuknąć obcasami, a potem kulejącym krokiem dogania kapitana. Puszczam się za nimi w pogoń, a mój kapral Smolikowski – za mną z wielkim trójnogiem lornety nożycowej i innymi aparatami, i moim mapnikiem.

Mijamy schowaną pod kępą wrzosów czatę dragonów – lśni od rosy *brengun*, obładowani są brezentowymi ładownicami z zapasowymi magazynami do brena i trzech śpi skulonych jak dzieci, jeden tylko leży i patrzy przez lornetkę w stronę nieprzyjaciela, i tak to go absorbuje, że nie zwraca na nas najmniejszej uwagi.

Przed czatą dragonów jest już tylko *no man’s land*, jak się to mówiło za tamtej wojny.

Jest bardzo ciężko drałować przez te wrzosy: kruszy się z nich jakieś świństwo i trzeba przymykać oczy, żeby się do nich ten pył dokuczliwy nie dostał. Na dobitek ten zasapany Smolikowski za mną z tą całą lornetą. Pytam go niepotrzebnie:

„Ile Smolikowski ma lat?”

Okazuje się, że jest moim rówieśnikiem.

„To co Smolikowski się tak zasapał? I ciągle zostaje z tyłu?”

„A bo pan porucznik to nie był w łagrze” – on do mnie z tym chłopskim przemądrzałym, zawsze tłumaczącym argumentem.

Mówię mu:

„A niech Smolikowski zostanie tam, z tymi dragonami…”

To został.

[prwdr. „Kultura” 1961, nr 10]

Henry Bush i jego samolot

Henry Bush to jest kuzyn Molly, wielkiej przyjaciółki mojej żony, i to go zobowiązywało do wielkiej przyjaźni i pamięci. Jeszcze za londyńskich czasów dostawaliśmy od niego z rzadka list solidnie wybity na maszynie, bardzo ładnie skomponowany i poważny. A raz na Boże Narodzenie dostaliśmy życzenia świąteczne i zamiast banalnego widoczku była tam rotograwiurowana odbitka fotografii, jak Henry Bush stoi przed swoim samolotem, stinsonem, ze swoją czternastoletnią córeczką. Ładnie tam sobie stoją: Henry Bush poważny, położył rękę na ramieniu swej pulchnej córeczki, zapięty oczywiście na wszystkie guziki. Przez te listy i te świąteczne życzenia z samolotem nabrałem jakiejś sympatii do Henry'ego Busha – i oddałem się swoim sprawom.

Po naszym przyjeździe do Stanów odnowiła się przyjaźń z Molly, ale Henry Bush pozostał daleko i, że tak powiem, mityczny, bo gdzie tu – mieszkał w Wirginii, a my daleko na Południu. Aliści tego lata przyleciał do Nowego Orleanu, a że akurat rozminął się z Molly, która znowu pojechała odwiedzić swoich w Wirginii, to do nas zatelefonował i przychodzi żona, i powiada: Henry Bush jest tutaj, no i, wyobraź sobie, proponuje, ażebyśmy z nim polecieli do Gulfportu na plażę, że, naturalnie, przyjęła z entuzjazmem to zaproszenie. Pytam, kiedy, no, jutro, kiedy jutro? gdzieś rano, zatelefonuje przedtem, da znać, pewnie nie przed dziesiątą.

Tak się złożyło, że miałem terminową robotę, musiałem nad nią przysiedzieć do późnego wieczora, potem byłem zmęczony, tak że nie miałem czasu o tym myśleć, gdzieś tylko w tyle mózgu kołatało mi, że mamy jutro eskapadę, a co z naszym synkiem? Zostawimy go pod opieką babki.

No a rano zaspałem i już było niedaleko dziesiątej, i zanim się ogoliłem, to dzwonek i wołają, że Henry Bush i Leeds właśnie co przyjechali – żeby się śpieszyć. Nasz mały synek już od wczoraj słyszał ciągle: Henry Bush

i Henry Bush, i już wykombinował sobie jakąś fantazję na ten temat. Na temat Henry'ego Busha, coś tak jak ja. Ze zgrozą ciągle sobie uprzytamniam nasze podobieństwo: mego synka i mnie – jesteśmy do siebie tragicznie podobni: jesteśmy jednakowo ładnie zaokrągleni w pasie i mamy jednakową ilość zębów, bo jemu jeszcze nie wyrosły wszystkie, a mnie już nie odrosną.

Ale wołają, że czekają, że Henry Bush. Schodzę na dół i rzeczywiście jest Henry Bush, trochę nie bardzo podobny do tego z fotografii, ale to dzieje się pewnie dlatego, że w naturze ma kolorki, oczka ma błękitne i małe i zachowuje się z dużą rezerwą. Ale nie mamy czasu na przyglądanie się i poznawanie, trzeba jechać.

Do lotniska nad jeziorem jest opętanych chyba z dziesięć mil.

Załatwmy naprzód stronę techniczną: Lotnisko jest wybudowane w trójkącie przypuszczalnie sztucznie nasypanym w jezioro, trójkąt opiera się jednym bokiem o brzeg. Lotnisko jest stare i służy tylko dla samolotów prywatnych, i jest przy nim także stacja hydroplanów. Nowe lotnisko dla ruchu komunikacyjnego, The International Airport, jest na drugim końcu miasta, długie *runwaye*, a tutaj to już jest przeżytek, prawie archeologiczna lotnicza historia. Od strony wjazdu jest kilka hangarów, dalej w lewo jest budynek stacji z wieżą kontrolną. Dojazd koło bramy jest zagracony, tuż koło bramy można zobaczyć pod ścianą hangarów jakieś gruchoty i resztki samolotów, bardzo dziwnie widzieć taki do niedawna wspaniały myśliwski lightning, teraz wypaproszony nieco i zapomniany, i pokazuje się nam oczywistość nowych czasów, kiedy coś, co było trzy lata temu ostatnim wymysłem techniki, jest już w tej chwili „*outmoded*", nadaje się do magazynu starożytności, do sentymentalnego wspomnienia – nic to, że blachy duraluminiowe jeszcze chwalą się nowoczesnym spawaniem i nitowaniem, a linie opływowe kurczowo naginają się do sylwetki ostatnich przedmuchiwanych modeli, ale już swoje odbyły, już swoje pokazały – stare kapelusze i przeczytane gazety wyrzucone na śmietnik. Są tu jeszcze jakieś inne modele czy ich szczątki, wala się pod płotem pływak hydroplanowy.

Leeds parkuje swój samochód, a my wychodzimy i wyprostowujemy się. Obok stoi na swych kichach helikopter, ładnie lśni czerwonym lakierem. Ktoś zdjął boczne blachy silnika i widać ażurowe wnętrze silnika – niebywale wymyślnej maszyny do popędzania wielkiego wiatraka poziomego, który ma unosić tę nieprawdopodobną maszynę i kręcić także pionowym wiatraczkiem zadartego ogona. To jest helikopter Sikorskiego, a służy jakimś odkrywczym zadaniom, bo ma ładnie wypisane na kadłubie: „Physiogeological Exploration” i domyślam się, że to grubo płacone i najęte przez jakieś towarzystwa naftowe do poszukiwania i wąchania za naftą pośród bagien Luizjany, gdzie nie dojedzie ani samochodem, ani łodzią dopłynie, więc do tego właśnie siadania pośród kisnącej wody, szuwarów i trzcin tych błot to właśnie jak nie wiem co nadaje się ta wielka mechaniczna ważka. W hangarze obok stoi drugi taki egzemplarz.

W tych hangarach także ładnie i niewinnie stoją grzecznie takie czy inne samolociki, awionetki i właśnie Henry Bush prowadzi nas w stronę drugiego hangaru, i teraz zaczyna się historia bardzo skomplikowana, bo właściwie przez długie kwadranse jesteśmy pozostawieni sobie i niepewność, jak zły ptak, usiadła nam na ramieniu. Więc naprzód długa rozmowa z atletycznym facetem, który kręci się koło hangaru, a że gorąco, to facet ma na sobie tylko spodnie i półkoszulek i wygląda raczej na zażywnego ojca rodziny, a nie – specjalistę od latania. Facet patrzy na niebo, powłóczy po nas spojrzeniem, potem dłubie coś przy motorze jednego z samolotów (znowu ażurowy silnik, a widziałem kiedyś niemieckiego focke-wulfa i dziwnie było patrzeć, kiedy zdjęto blachy opływowe silnika i silnik ukazał się tam tak szczelnie wypełniający ciasne wnętrze, że projekt i myśl konstruktorów nadały i przystosowały silnik do kształtu samolotu, i pierwsze wrażenie, kiedy było popatrzeć na spłaszczone rury, przewody, plątaninę kabli, płaszczy chłodzących, rur rozprowadzających oliwę albo płyny hydrauliczne, garnki tłumiące i karburatory, to narzucało się wrażenie, że stoi się przed preparatem fizjologiczno-anatomicznym, tak to wszystko było ciasno przystosowane do przestrzeni – niektóre części przywodzą na myśl żebra, a inne – wątrobę czy nerki przypasowujące do siebie nawzajem i wypełniające tę przestrzeń

szczelnie i bez reszty. Aż niesamowicie robi się na myśl tego odwzorowania anatomii i pewnie fizjologii maszynowej z wszystkimi chłodzącymi, przegrzewającymi, doprowadzającymi urządzeniami, gdzie wreszcie system elektryczny nerwowy ma upodobnić to, tę maskaradę, do dzieła natury). Ten tłusty facet znowu popatrzył na niebo, a niebo jest jakieś niewyraźne, daleko nad jeziorem widać muślin deszczu przechodzącego z miejsca na miejsce.

W dalszym ciągu nasza eskapada jest niepewna. Idziemy do budynku administracyjnego lotniska: wielka buda, na dole jakaś poczekalnia, a poza nią jest lokal, gdzie możemy napić się coca-coli, jest tam dużo ludzi, i napiliśmy się, a potem po schodach na piętro w poszukiwaniu biura meteorologicznego. Jest, owszem, tu takie biuro: stoły z rozpiętymi mapami, na ścianach wykresy i mapy i paru młodych ludzi coś tam zgarbionych nad tymi swoimi wykresami, i przychodzi do nas jeden – bardzo przystojny blondyn, taki jak Douglas Fairbanks junior, w koszuli rozpiętej na piersiach, obgania się od uprzykrzonego telefonu, który mu terkocze pod dłonią – i bardzo uprzejmie udziela Henry’emu Bushowi informacji, bloczek i ołówek, zapisuje mu jakieś cyferki, patrzymy po tych mapach: jedna wspaniała olbrzymia z Gulfem, Florydą, Kubą, Haiti, Antylami. Potem wychodzimy, coś nam Henry Bush tłumaczy, te hieroglify na kartce wyrwanej z bloczka, że tam, w Gulfporcie, siła wiatru – tyle, a pułap – taki, ciśnienie, front, nic z tego nie możemy wykombinować, wszystko zdane jest na Henry’ego Busha. Tak nie wiemy, co robić, i pniemy się po schodach w górę na wieżę kontrolną. Henry Bush już jest głową na platformie, pyta, czy można, powiadają: proszę bardzo, można, no to wchodzimy.

Jest tu jasno i przeźroczyście od szklanych ścian na wszystkie strony i trochę duszno od zamknięcia, pomimo wentylatorów po wszystkich kątach. Jest tu ze trzech ludzi, jeden wydaje się być komendantem tego urządzenia, naokoło jakieś odbiorniki, amplifikatory, cykają jakieś instrumenty, strzałki, na blokach wiszą bardzo podręcznie reflektory do sygnalizacji, takie jak lampa Aldisa, które mają przyrząd celowniczy do nacelowania na samolot i chwyt pistoletowy z cynglem do sygnalizacji.

Ten jegomość, który tu rządzi się, na tej wieży, to jest jeden z tych ludzi, jakich spotykamy z rzadka – niezwyczajnych i odmiennych; zdarza się nam spotkać od czasu do czasu człowieka, który różni się czymś niesamowicie od innych, i od razu nas ta niesamowitość uderza i niepokoi, i długo potem nie możemy zapomnieć. Ten tutaj wyglądał bardzo zwyczajnie, nawet małego wzrostu, bardzo sobie nawet nijaki – ale popatrzeć na jego oczy!

Miał oczy dziwnego przeźroczystego żółtego koloru; nie można powiedzieć, ażeby to były przyjemne oczy – było w nich coś innego i złowrogiego, ale wszystko razem było bardzo niezrozumiałe. Najbanalniejsze byłoby podpowiedzieć sobie, że takie oczy to oczy oprawcy, płatnego kata, który bez nienawiści albo bez współczucia, bez tępoty, ale z jakimś zrozumieniem nakłada ci w ostatniej chwili stryk na szyję, albo oczy siepacza czy zbira, czy instygatora lochów, gdzie stosuje badanie trzeciego stopnia, szefa Czeki albo Siguranzy, albo inkwizycji, ale to nie to samo. Wydawałoby się, że najbanalniej byłoby powiedzieć, że to są oczy człowieka, od którego uwagi zależy życie zawieszonych w górze ludzi – od jego błysku źrenicy, od niedbale rzuconego spojrzenia, od niedbałego rzucenia okiem albo od w porę rzuconego w ręczny mikrofon słowa orientacji, spokojnego komentarza albo nakierowania, albo od nieprawdopodobnej wprawy zawodowej wćwiczonej, kiedy przyciągnie jedną ręką sygnalizacyjną lampę i w mgnieniu sekundy nada błysk, i już wraca do swej roboty. Raz poobserwowałem sobie to u telefonistki na centrali w Regent Hotelu, przysadzistej paniusi ze słuchawkami na uszach: robi połączenia, kiedy zapalają się przed nią na tablicy lampki i opadają klapki, kiedy równocześnie wypełnia formularze, przyjmuje zamówienia od gości czekających niecierpliwie przed kontuarem, wydaje resztę, nakręca końcem tępym ołówka numery i robi to wszystko jak w transie, jak w półśnie, jej mózg pełen numerów i cyfr i zadziwiający automatyzm i przystosowalność.

Jegomość o żółtych oczach rozmawia z Henrym Bushem, odpowiada na pytania, a równocześnie w głośniku głos pilotującego samolot nad naszymi głowami i: „*over*”, i ten facet odpowiada nieomylnie i precyzyjnie, kiedy podnosi do ust mikrofon i równocześnie przyciągnął drugą ręką lampę

Aldisa i nadał błysk do czegoś, co poza frędzlą deszczu jest podchodzącym do lądowania innym samolotem. Jest niesamowicie w tej wieży i szklanie. Jezioro jest kobaltowe i na horyzoncie przechodzi w czarną smugę, na tle której białe przecinki nieruchomych w odległości żagli.

No, już za długo zasiedzieliśmy się tutaj i przeszkadzamy pewnie, więc dziękujemy i schodzimy schodami na dół, i ciągle jeszcze nie wiem, co tam z naszą eskapadą. Ale jedziemy, bo kierujemy się w stronę hangaru i pomagamy wypychać Bushowi jego stinsona na wolne powietrze. Potem sadowimy się do środka: ja z Henrym na przedzie, moja żona i Leeds na tylnych siedzeniach. Henry Bush naciska starter i powoli kołujemy wzdłuż *runwayu* na ostry koniec trójkąta. Na końcu Henry Bush coś przyhamowuje, oddaje i obracamy się w miejscu, Henry Bush patrzy w stronę wieży, odhacza ręczny mikrofon, coś tam mówi i: „*over*”, i za chwilę z głośnika w dachu naszej kabiny odpowiedź, potem łapię błysk zielony z wieży – to facet o żółtych oczach powiedział, że wolna droga – Henry Bush wyciąga gałkę od gazu i samolocik, do teraz ładnie pulsujący, zaryczał pełnym gazem. Za chwilę zwolnił hamulce i betonowa wstęga *runwayu* ożyła pod naszymi kołami, uciekając ku wodzie.

Trawy lotniska śmigają szybciej, ostry brzeg *runwayu*, ku przodowi nic nie widać, bo zasłania maska silnika, jesteśmy już więcej niż połowa rozbiegu i wydaje się, że ciągle na ziemi. Ale nagle czuję spokojny wahadłowy poprzeczny ruch – aaa więc już „*airborne*”! I w tej chwili widzę wierzchołki drzew cyprysowych pod naszymi kołami, a kiedy się oglądam, to lotnisko jest tylko trójkątem bardzo podobnym do tego, jaki widziałem na mapie.

Chciałbym mieć więcej oczu, ażeby sobie pouważać na wszystko, ale trudno, nie da rady. Chciałbym i wiedzieć, co tam Henry Bush manipuluje, a jak tam z jeziorem, a którędy miasto, więc co z tym pułapem chmur. Ale po kolei: Henry Bush urzęduje poważnie, więc jedną ręką przytrzymuje pałąk rudla, taki sam, bliźniaczy rudel mam przed swoim żołądkiem, jak też i pedały od sterów, ale przezornie podkurczyłem nogi, przed nami deska rozdzielcza, gdzie takie altymetry, zegary, wskazówki, wszystko porozmieszczane, Henry Bush kręci jakąś korbką ponad głową i domyślam

się, że to od dodatkowych *flapów*, które stinson wysuwa do startu i lądowania. Igła altymetru powoli obiega swą tarczę, pokazuje 600, 800, 1000 stóp i obiega na nowo następną dziesiątkę. Oglądam się za żoną, uśmiecha się do mnie odważnie i porozumiewawczo pokazuje wzrokiem w dół, że niby to niebywałe z nami: że my tu, a ziemia gdzieś tam w dole. Po lewej stronie podniosła się olbrzymia tafla jeziora, przepaścista i płaska zarazem. Po prawej wieże wodne stoczni Higginsa i mgiełka nad miastem, i przez nią przebija olbrzymi łuk Missisipi leżący skrętem i ginący ku północo-zachodowi. A pod nami, w dole, głęboko, rozbiegane drzewa, jak stada żyraf i antylop, rzucające swe kończaste cienie. A my po wielkim ruchu zawieszeni jesteśmy teraz nieruchomo w powietrzu, drga leciutko pudło samolotu od dreszczu motoru. W dole, w dole wstęga szosy, Highway 90, i na niej równie nieruchome przecinki samochodów, i poruszają się dopiero, kiedy mijają się te z jadącymi z przeciwka. Moja wyobraźnia pracuje całą parą – jestem tu i biorę wszystko to, co widzę, jak je widzę, ale równocześnie jestem i w dole i wyobrażam sobie, jak to zwyczajnie widok samolotu w powietrzu, że jesteśmy komarzo tam zawieszeni, a tu znów jestem w górze, a wszystko sobie zależy od rozchwierutanej budowy tego pudła i od skupionej uwagi urzędorzącego Henry’ego Busha. A stinsonik to jest sobie maszyna ze serii, jakie teraz wypuszcza się na rynek i popularyzuje: ni to wielkie, ni to mocne – tyle, żeby dopełnić, psiakrew, warunków, przepisów i obietnic reklamy, ale naprawdę to komu tam zależy? Bo ostatnie czasy, które sobie tak Stuart Chase krytykuje, to sprzyjają raczej produkcji masowej, ale tandetnej, powiada Stuart Chase, weźmy na przykład starą, sprzed pięćdziesięciu lat, maszynę do szycia Singera – to koszlawy, z gruba ciosany warsztat, ale co za solidność, jeszcze następnych pięćdziesiąt lat potrwa sobie, a nowoczesny i pretensjonalny wentylator, tani i blichtrowaty, psuje się w kilka godzin po kupieniu. Rozglądam się z nieufnością po wnętrzu limuzyny, w której lecimy. Jest w tym coś z ponurych uwag pana Chase’a. Jest tandeta – nie ma co mówić. Niby przemyślane i celowe, i jak by co, to odpowiada wszystkim warunkom i reklamy, i pewnie jakichś inspektorów od bezpieczeństwa, pewnie ma swój zasięg, „*cruising*”, 400 mil, pewnie

szybkość gwarantowana 120 mil na godzinę, ale to może być naciągane do idealnych teoretycznych warunków i z nimi się zgadzać, ale pamiętajmy, że jesteśmy w górze, zawieszeni w pośrodku kapryśnej aury, ale tu już wzruszą ramionami i za to nie gwarantują; coś mi się nie podoba: płótno lakierowane, *fabric*, rozpięte na szkieleciku, gdzieniegdzie ponaklejane łaty – to tam, gdzie Henry Bush już zdążył zadrapać. Jeszcze jak sadowiłem się do tego, to nie mogłem drzwi zamknąć i mało nie urwałem jakiejś bardzo podłej klamki z plastyku, ale jak teraz raz zatrzasnąłem, to mam wrażenie, że nie dam rady, ażeby otworzyć. Jeszcze najsolidniejszy wydaje się pas z gurtu zapięty na patentowany zatrzask, jakim jesteśmy przypasani do foteli, ale to słaba pociecha być tak solidnie przypasanym do takiej tandety.

Z wielką nieufnością patrzę na deskę rozdzielczą: wszystkie te altymetry, wariometry, ciśnienia oliwy, strzałki, guziki, automatyczne wycieraczki do szyby, zapalniczki elektryczne, cała ta niklowana, bakelitowa tandeta, aż mię zbrzydziło. Ale Henry Bush jest szczęśliwy pośród tego, gospodarzy i kucharzy między tymi manetkami, ciągle coś poprawia, odczytuje, koryguje, zadowolony ze siebie i ze świata, zakochany w swym dziele nimfoleptyk.

Czy nie zapomniałem powiedzieć poprzednio, że kraj ten tutaj to płaski jak podeszwa, naniesiony mułem rzecznym i wysypany nim do idealnej płaskości? Kiedy się jest na ziemi i żyje w tym dwuwymiarowym świecie, to ma się wrażenie, że świat jest ograniczony do stożka, który obejmuje nasze spojrzenie z wysokości naszej postury. Podobno pluskwy są tak płaskie, że żyją tylko w takim dwuwymiarowym świecie. Jedyne góry Nowego Orleanu to wymalowane na kurtynie w miejscowym audytorium.

A teraz, kiedy wyniosło nas dwa tysiące stóp, mam niebywałą okazję skonfrontować sobie ten świat i przeglądnąć. A że horyzont podniósł się z nami do poziomu naszych oczu, więc w dole jest po prostu olbrzymia misa – nic to, że wodom każe się wspinać na jej brzegi, uciekać i przelewać się poza horyzont. Droga nasza powietrzna wiedzie w kierunku wschodnim i znam ją z wycieczek samochodowych wzdłuż Highway 90, kiedy idzie na płaskim nasypie pośród bagien porosłych drzewami cyprysowymi i wody

pokrytej kobiercem hiacyntów wodnych, a dalej wyjeżdża się pomiędzy pustki rozlewisk, smutnych płycizn zarosłych wysokim szuwarem i trawą, gdzie kapryśnie wiją się *bayous* i gdzieniegdzie *camps* sportowców, budy sklecone z desek i małe przystanie, i mola. Droga przeskakuje przejścia, odnogi wodne po ażurowych mostach i znowu wyciąga się pośród pustki i wody.

Otóż teraz ukazuje mi się to z góry całkiem inaczej. Kiedy popatrzeć i zamieść wzrokiem po spodzie, to widzi się ziemię rozciągniętą i podartą jak skórę z jaszczura. Zatraca się wrażenie i proporcje dystansu w pionie: to, co leży i rozciąga się pod nami, jest równie dobrze w zasięgu ceraty pokrywającej stół albo fotografią powierzchni Marsa. Delta jest poszarpana, jak stlały materiał, w niespodziewane i przypadkowe strzępy i koronkę. To, co w dole chyliło się trawami, szorstkimi, ostrymi trawami bagien w jeden płaski horyzont szarobrudnozielony, to stąd jest nawet dosyć jaskrawokhakizielone. Kręcą się wpośród tego żyły wodne jak żyły na odwrotnej stronie świeżo zdartej skóry zwierzęcej albo naczynia krwionośne i sine żyłki na wierzchu dłoni ludzkiej albo na skroni dziecka. Patrzeć na to z góry, to wydaje się, że napięta jest pod nami skóra, pod którą pulsuje jakieś inne, nam nie znane życie, wydaje się nam, że śmierdzi od tego smołą i butwiejącą wodą, że zadrgać może ta skóra, jak nerwowo drga skóra sierścią pokryta konia.

Więc to jest tak w górze: inaczej i przepaściściej? Jeżeli przerwę swoje kontemplacje nad głębizną i obrócę wzrok przed siebie, to, i owszem, leży przede mną horyzont i nad nim chmury gęścieją w normalny sztafaż, tyle że jest więcej do ogarnięcia wzrokiem, że bogactwo przestworu. A powrócę do swej prawie że naukowej kontemplacji przepaści pode mną, to znowu odrywa mię to od rzeczywistości. Skóra: poszarpany jaszczur, deseń nieziemski, blady przestwór. Staram się doszukiwać znajomych szczegółów i znajduję je bez trudu. Tu jest Fort Pike, dobrze, z góry zostaje tylko zarys gwiaździstych robót i obudowań ziemnych: ostróg i bankietów, kiedy to sobie inżynierowie wojskowi owych czasów fantazjowali i komponowali gwiazdy i rozety, jakby sztuka inżynieryjna więcej miała do czynienia z proporcjami i układaniem monogramów i wzorów aniżeli samo sedno

rzeczy na celu. Ale niby zawieszeni jesteśmy w jednym miejscu, a już nam Fort Pike podpłynął pod koła i jest cieśnina Chef Menteur, którędy jest dostęp od zatoki do jeziora Pontchartrain. Ale niechbym nie wiem jak przymuszał się do poznawania i odnajdywania rzeczy, nie mogę sobie dać rady z proporcjami i uparcie widzę tę skórę z jaszczura.

Może w ten sposób płacę za przyzwyczajenie i nawyk brania świata jako Vaihingerowskiego „*Als Ob*”, za to, że nauczyłem się żyć abstrakcjami i wymysłami, i kiedy ten świat przychodzi mi widzieć własnymi oczami, a nie przez wymyślone i fikcyjne podstawienia, to ani rusz nie mogę tego świata zobaczyć takim, jaki jest. To wszystko przez nieprzemierzone mnóstwo słów, idiomów, semantycznych dziwolągów, porzekadeł, zawołań, skrótów, szablonów, schematów, niedomówień, dwuznaczników, komunałów, paliatywów, eufemizmów, pleonazmów, określeń „bez ogródek”, haseł i jeszcze słów, i trafnych i pomylonych sądów, przenośni, artystycznych szczudeł, rymów, aliteracji i innych, i innych.

Po lewej stronie w dole mamy teraz Pearl River, po prawej – deltę podartą w tysiące poszarpanych kształtów, odnóg, wysp, cieśnin. Wpośród tego, jak skręty olbrzymiego tasiemca-solitera, płaskie z oddalą leżą łuki, nawroty i błądzenia Missisipi.

Po prawej niebieszczy się i szarzy, i zieleni od wód zatoki. Daleko, daleko ku horyzontowi przechodzi w zieleń grynszpanową, która przebija blado przez mgły i śrežogi morskie. Bliżej wody są brudnożółtoczerwone od milionów metrów kubicznych mułu mącącego wody zatoki. Te odnogi, zalewy, płycizny przybrzeżne mają swą nazwę: „*sounds*” – więc: Mississippi Sound, Breton Sound, Chandeleur Sound – cieśniny. A dalej płaskie mierzeje i wyspy namiotanego przez fale mułu, ciągnące się jak nanizane korale i paciorki. Bije w ich płaskie brzegi wściekły przybój, a stąd to wygląda tylko jak biała obwódka, ta pieniąca się tam w dole piana.

Ale my pchamy naprzód, dokładnie ponad linią brzegową, i już widać Gulfport, u jego mol podługowate i wrzecionowate kształty parowców. W lewo od miasta, pośród zieleni lasów widać ostre kształty trójkątów bieżni *runwayów*. Tracimy szybko na wysokości i świat w dole zaczyna się gwałtownie przybliżać i powiększać. Henry Bush robi szerokie półkole

w powietrzu, bo wiatr mamy za sobą, i bardzo umiejętnie podchodzi do lądowania. Znowu wszystko pod nami nabrało ruchu i ma swoją szybkość – migają teraz banie jakichś zbiorników, przeleci nam w poprzek, jak zając, szosa, zakołyszą się wierzchołki drzew i oto jesteśmy już przy samej ziemi, i jeszcze chwila i odbiliśmy się raz lekko, i teraz już suniemy po szerokim betonie, wesoło terkocze motorek samolotu, dalekie hangary zbliżają się ku nam. Henry Bush jest spokojny i chłodny, jak ogórek, przez cały czas tych operacji lądowania. Moje wdzięczne myśli są przy nim, psia jego kula!

Podtacza pod pompę benzynową, gdzie ładnie jest namalowane koło, akurat w którego środku mają być koła samolotu. Wysoki chłopak w *overallu* odhacza węża i wprawnie otwiera przykrywę korka w dachu samolociku. My tymczasem wysiadamy i dziwnie jest poczuć twardy i solidny beton lotniska pod nogami. Hangary tutaj są olbrzymie i wiele ich w jednym rzędzie; musiało to być wojskowe lotnisko w czasie wojny na wielką skalę. Pogoda tu nie jest lepsza aniżeli w Nowym Orleanie – jedno jest pewne, że słońca nie będziemy mieli. Od zachodu wisi ciężko na niebie stalowy wał chmur jakiegoś frontu, którym się tam martwili, jeszcze jak byliśmy w biurze meteorologicznym.

Do plaży jest daleko. Więc Henry Bush prosi kogoś, ażeby zatelefonowali po taksówkę, i nagle ta taksówka zjawia się jak spod ziemi. Więc się pakujemy i teraz Leeds zabiera głos i podaje hotel nad plażą, do którego mamy się skierować. Jedziemy z tego bardzo zresztą odludnego i zamarłego lotniska i taksa chwieje się na wybojach smołowanej szosy i ciągle zmienia kierunek. Taksówkarz ma zainstalowane radioodbiornik i nadajnik i zaczyna się teraz komedia, bo gdzieś tam z tego sztabu taksówkowego ciągle go wołają i nasz taksiarz ciągle przez mikrofon konwersuje z nimi. Jedną ręką prowadzi samochód, a drugą ciągle rozmawia, podają sobie jakieś hasła i cyfry – oszalały ten nowy świat mechaniczny, niech ich wciornaści!

Nareszcie, po długich perypetiach i zygzakach, jesteśmy znowu na szosie 90, która biegnie wzdłuż wybrzeża. Więc po jednej stronie woda, a po drugiej domy – wybiegają od nich ścieżeczki i chodniczki ku morzu i odpowiadają im własne, prywatne mola i kładki biegnące daleko w płytką

zatokę. I tak już całą drogę. Dosyć jest tu także odludnie, ale zawsze kręcą się ludzie i dzieci i coś tam drobią nad tą wodą, zawsze woda ta ciągnie i pochyleni wszyscy i zapatrzeni w nią. U pali wbitych w wodę u mol kołyszą się i trajdają z malutką falą zgrabniutkie kształty łodzi, łódek, *dinghy*, płaskodenek i kanoe. Bardzo są one w żywiole i ambasadorują, i pośredniczą w obcowaniu wody i lądu. Jeżeli tamte żywioły są tak sobie obce i odpychające, to te tworzydła drewniane do pływania, balansowania, wypierania, bujania są jakieś ziemno-wodne: „ziemno", bo solidne i twarde, i kruche, i mocne zarazem, a „wodne", bo nagięte do dziwnego kształtu, jedynego kształtu, gdzie każda linia jest krzywa, każdy łuk zaczyna się tak, ażeby podgiąć się i wynieść potem na drugiej stronie – z której strony podpatrzeć, skąd tylko rzucić okiem, dziwne to i niesamowite w kształcie, ale jak się tłumaczy! jak jest trafne i celne! Hojdają się te bajdaki w takt podnoszącej je fali, pchają się do góry na jej grzbiecie i chowają się w jej nieckach. I czasem ktoś im domalował jakiś kolorek – ani dodać więcej, ani ująć, w sam raz. Ktoś mi mówił, że Sycylijczycy malują po każdej stronie dziobu oko prowadzące łódź właściwą drogą i ma to być bardzo trafne z kształtem łodzi – ba, ale Sycylijczycy to mają to od czasów chyba jeszcze kultury kreteńskiej.

Przed hotelem morze jak zupa podana na talerzu.

Jest południe, ale jakoś nie mamy apetytu i myślimy, ażeby pójść na plażę, i dlatego przedtem rozdzielamy się w hotelowej przebieralni, która jest tuż w poprzek drogi i od niej biegnie wąskie molo daleko w wodę. Bardzo niewielu ludzi jest tutaj i ci, co są, wyglądają na starych rezydentów świetnie ze sobą skomunikowanych; nie przeszkadzamy sobie nawzajem.

Na plaży rozścielamy swoje ręczniki; mamy butelkę rumu, więc w papierowych kubkach pełnych lodu, jakie dostaję w barze, mieszamy konkokcje, które koronują listki mięty przezornie przez mą żonę przywiezione w słoiku; w innym słoiku mamy cukier. Henry Bush wygląda na takiego wstrzemięźliwca, że jego charakter pilota, który ma nas bądź co bądź powieźć z powrotem, doskonale pasuje z tą odmową do sytuacji.

Morze jest tu płytkie i płycizna ta wychodzi daleko, daleko, i idzie się, twardy piasek pod stopami, i sięga ledwie do łydek, po długim czasie – do

kolan i wreszcie daleko poza molem – do pępka. Henry Bush ma ciałko białoróżowe i piegowate, uwłosione rudo tam, gdzie się należy, ale jest pełen konsernu, tak jakby nie okazywał okrągłego brzuszka, ale był pozapinany na wszystkie guziki. Usiłuję nawiązać z nim rozmowę – jest uprzejmy, ale małomówny. Nad naszymi głowami przelatują mewy, wdzięczne ich skrzydła i głupie głowy osadzone na grubej sztywnej szyi, i przekrzywiają je, ażeby się nam lepiej przyjrzeć jednym okiem. Henry Bush za każdym nalotem robi ze wskazującego palca dłoni rodzaj lufy pistoletowej i szybko bierze je na cel, i pstryka palcami, imitując strzał do ptaka w locie. Robi to bardzo poważnie i z konsternacją i bawi mię ta konsternacja, która nie wygląda wcale na błaznowanie – naprawdę robi to bardzo poważnie. Może poluje, myślę, i ma mechaniczny nawyk zawodowy, jak pewnie w chwilach wolnych ci, co dmuchają w rury hut szklanych, albo klarneciści nadymają policzki, albo zawodowy tik telegrafisty wystukującego depeszę kłykciem palca po stole, albo świerzbiące palce, poduszeczki palców, kasjera liczącego banknoty, albo składanie się z przyrzutu myśliwego z laską spacerową – więc pytam, czy ze sportów może strzela, poluje? Nie, powiada, nie ma o tym pojęcia.

Morze, jak powiedziałem, jest jak grochowa zupa. Ale jest przyjemnie i woda jest cieplejsza od powietrza. Przychodzą płaskie fale i bujają nas łagodnie, w ogóle woda morska niesie całkiem inaczej aniżeli słodka. Jest bardzo beztrosko i innie, i fajnie. Słońca nie ma i nie będzie go już pewnie dzisiaj, nie grozi nam obłażenie potem ze skóry. Nie, powiada Henry Bush, te ultrafiołkowe to i tak się przesączą przez chmury i poczujemy to jutro.

Ciężkim płaskim lotem przeleciał pelikan wyglądający jak z gutaperki i usiadł na palu sterczącym pośród płycizny. Jest dziwaczny, z ciężką głową dziobiastą i jest leciutkiego różowego koloru. Bardzo pasuje jego różowizna do indygowego nieba, są jakby z tego samego materiału albo wydaje się, że w niebie wystrzyżona jest dziura, wykrojony kształt pelikana, i spoza chmur pokazuje różowe niebo. To jest ten przedziwny ptak od metafory, altruistyczny abnegat, co to swym ostrym dziobem rani pierś własną i krwią karmi pisklęta na iluminacjach symbolicznych. Bardzo ładnie. Ale brzydal, to nie ma co mówić!

Potem jemy kolację w hotelu i przez okno mamy widok na limfatyczne morze. Sala jest bardzo pusta. Siedzi tylko samotnie mały chłopak, dwunasto–trzynastoletni, ma wodniste bezczelne oczy dziecka bogatych ludzi. Z zadufałością w sobie starego człowieka przebiera w jadłospisie, ze swobodą i zblazowaniem daje sobie radę w trudnej funkcji samodzielnej kolacji – zblazowane i pozostawione sobie samemu dziecko bogatych ludzi. Ale nogami nie sięgającymi ziemi majta bardzo po dziecinnemu. Potem, kiedy wychodzimy na wolne, to widzę go, jak w najlepszej komitywie coś tam pogaduje z chłopcem od windy.

Czy mam teraz powiedzieć o trudnościach naszego powrotu, o nieudałym rezultacie tego, o wątpliwościach, kontrowersjach, sprzecznościach, o skrótach myśli, rachunku sumienia, o wejrzeniu w siebie, o bezsilności, konsternacji, o gorączkowym kombinowaniu i pełnym ulgi „jakoś to będzie”, o dreszczu, o, co tu mówić, strachu? Z trudem mi to przychodzi, bo jak bym nie wykręcał, to powróci to zawsze do Henry’ego Busha, a Henry Bush przeżył to bardzo, chociaż starał się bardzo nie pokazywać tego po sobie, ale mu to pozostało na długo, aż nam go było żal. Bo Henry Bush nafujarzył.

Za dużo było przedtem tego w Nowym Orleanie łażenia po biurach meteorologicznych, telefonowania, kalkulowania, macania za pogodą. Tak że po długim dniu na plaży i kiedy zasiedzieliśmy się nad kolacją, to było już bardzo późno i po prostu nie było czasu na odjezdnym czy odlotnym powtórzyć tej całej historii.

Więc lecimy, jest już nadchodzący wieczór, od strony morza podnoszą się mgły i zacierają linię horyzontu. Kiedy przekroczyliśmy Pearl River – nasza droga, kurs, jest prosto jak strzelił – otóż daleko przed nami, gdzie nasz cel, ściana granatowa i zapala się w niej od chwili do chwili czerwone wrogie światło, ażeby rozpełznąć wpośród zaróżowionych na sekundę i wyczarowanych z jej jednakowości obłoków. Jeszcze pięć minut lotu i wygląda to bardzo niezachęcająco. Jeszcze pięć minut lotu i nawet my, owcze mózgi pasażerów, już wiemy, że nie, nie da rady. Henry Bush odwraca się w swym siedzeniu i powiada do Leedsa, powiada spokojnie: „*Shall we turn back – I presume…*” Nie czeka na potwierdzenie i robi

płaskie półkole, i dreszcze błyskawic pozostawiamy za plecami. Akurat nad Nowym Orleanem zebrało się na burzę, a nam nie zostaje nic innego, tylko paradować z powrotem, gdzieśmy zaczęli. Zaczyna robić się ciemno. Morze znowu mamy po prawej stronie i teraz, kiedy nie ma horyzontu, to podniosło się na nogi i podeszło ścianą do naszych okien. Ale popatrzeć w dół i widać wyraźnie linię brzegu i zaczynającą czernieć zieleń lasów.

Siedzę sobie i kombinuję. Mamy do nocy 10–15 minut, a tu spada noc, jak powieka, nagle i robi się ciemno. Co mamy za? Że za 15 minut będziemy nad lotniskiem w Gulfporcie, bo 120 m/h, to 1/4 to 30 mil, a my chyba nie dalej, jak… potem mi się miesza ten rachunek, potem myślę: a jak nie, to gdzie najbliższe zagospodarowane lotnisko? to chyba baza marynarki w Pensacola z *beaconami* i radiem, a ile do Pensacola? pewnie ze 150 mil, a ile 150 mil, kiedy mamy paliwa na 400 mil, a już upaliliśmy sto mil, to ile nam zostaje? i ta zabawa zajmuje mi sporo czasu, te kalkulacje amatorskie, i nagle przychodzi mi, jak olśnienie, myśl: człowieku! co to wszystko ma do rzeczy, kiedy świat przed tobą jest tak ładnie podzielony: z prawej burozielona ściana morza z perłową mgłą, z lewej fioletowe kształty chmur zacierające się z lądem, a kiedy popatrzeć jeszcze raz w dół, to stamtąd jest jasno, aż żółto, od ziemi promieniującej światło zaakumulowane w ciągu dnia. Ależ to bardzo ładnie, to jest bardziej realne od realności Busha, bardziej jeszcze namacalne. Właśnie w apogeum tego nieracjonalnego optymizmu zorientowałem się, że nos samolotu przygwoździł się w dół do szybko nadlatującej wstęgi *runwayu*, i jak tylkośmy dotknęli kołami, właśnie oklapła powieka nocy i zrobiło się całkiem ciemno.

Już w tych ciemnościach rolujemy do hangarów. W niskim budynku zarządu lotniska jest atmosfera jakaś bardzo rodzinna i prowincjonalna. Jest starszy jegomość, który wygląda na sklepikarza, jest młoda tęga kobieta – wygląda na to, że żona jednego z funkcjonariuszy, robi na drutach – i ugania i bawi się w koło mały chłopaczek, może czteroletni, z zaciekłą żywością dzieci tego wieku, z ich ptasią zabawną żywością nieskoordynowanych impulsów.

Moja żona komunikuje się telefonicznie z domem, ażeby uspokoić i dać znać – okazuje się, że rzeczywiście tam, nad miastem, burza choleryczna. Wchodzi do wnętrza dwu młodych ludzi, potem jeszcze ktoś. Dziwna i idylliczna jest atmosfera spokojnego wieczoru tutaj, pośród tych hangarów i całej mechaniczności. Jest idyllicznie, wioskowo, arkadyjsko i „*bergère*”. Pełga czerwone światełko żarówki, cykają lokusty, kolorowi się kalendarz-terminarz na ścianie, stary jegomość ma brązową i pomarszczoną skórę na szyi, moi towarzysze poprzysiadali stół, ci ludzie lotniskowi rozmawiają przeciągłym i niezrozumiałym *drawlem* południowców. Jest całkiem idyllicznie. Wydaje się, że za chwilę ktoś zażenie do środka stadko owiec i capów, że ktoś inny, zamiast butelki z coca-colą, będzie przychylał gliniane naczynie z winem, że między krzakami laurów przemkną płochliwe fauny, że kobieta wyciągnie pierś nabitą mlekiem i poda ją dziecku, a w rogu, zamiast zaplombowanych worów pocztowych, są nadęte miechy z mlekiem, że któryś z tych młodych chwatów w wypłowiałych niebieskich spodniach *jeans* zagra na jakichś dudach czy innej drumli, a nie będzie kręcił śrubką radia. Czego to się nie zachciewa…

Mowy nie ma o taksówce do Gulfportu – jest późno; ale bardzo po ludzku robią nam miejsce w starym gruchocie-samochodzie, którym wybieramy się do miasta, i pozostawiamy lotnisko opuszczone. Jak się pomieściliśmy, trudno uwierzyć: stary człowiek, kobieta, dziecko, trzech ludzi, nas czworo, to razem dziesięcioro i jeszcze ktoś na wyjezdnym się przyczepia i przykucnął na stopniu samochodu.

Na stacji autobusów złapaliśmy zaraz autobus długi i solidny jak pulman, kierowca wyszedł na chwilę na zewnątrz, pogadał w biurze autobusowym, potem wrócił – olbrzymi, z czapką zsuniętą na tył głowy – strzyknął spomiędzy zębów niedopałkiem papierosa celnie do rynsztoku, zaaprobował nas – wnętrze „*air-conditioned*” i niebywale komfortowe: z wygodnymi siedzeniami, światła przyćmione, bo noc – i ruszyliśmy, greyhound, rzucając w przód dwa wściekłe stożki światła zamiatające po czerwonych ugorach przydrożnych i zieleni drzew i traw, i w ten sposób, po czterech godzinach, późno w nocy dojechaliśmy do miasta. Powiedzieliśmy

sobie, senni i zmęczeni, pożyczyliśmy dobrej nocy, Henry Bush trochę zbity z tropu i na tym był koniec naszej eskapady lazurowej.

[prwdr. „Wiadomości” 1948, nr 43]

Z kroniki o latającym domu

Więc to jest egzotyka? To to tak? Niby gdzieś daleko, a tak nieznacznie, niezaskakująco.

Piasek biały miałki, tak jakby był z tłuczonego szkła. Jest biały, aż tu nagle brudny jakiś, zamoczony, brunatny. I na nim muszla, nie zaraz jakaś wymyślna morska koncha, dziwacznie pokręcona, nakrapiana czy fantazyjnie umalowana, ale właśnie płytka łódeczka brunatna, wyłożona tylko od wewnątrz mieniącą się macicą perłową, podobna do naszej szczeżui. Potem patyk, potem spróchniały pantofel tenisowy, potem nic, znów tylko piasek.

A podnieść oczy ponad piasek, to woda płaska brudnozielona i dopiero jak oczy pobiegną do horyzontu, to szmaragdowa, zielona, bardzo zielona. Nad nią chmury.

Więc to tak? Woda, piasek, śmiecie na piasku, niebo. To aż tu? A tak niezaskakująco.

Na tym samym wybrzeżu stoi dom wyważony przez huragan z fundamentów, opuszczony. Od drogi biegnącej wzdłuż wybrzeża odbity na pewien dystans – zgadza się, wygląda naprawdę, że leżał w drodze huraganu. Ramy całej budowli są zwichrowane i pokrzywione, przekrzywione na jedną stronę. Okiennice wiszą na pordzewiałych zawiasach i szczeble ich żaluzji wypełzłe są od deszczu. Podłogi są jednym rumowiskiem. Wpośród połupanego tynku, cegieł, drutów walają się resztki jakichś obić i firanek. Fotel z wyprutym siedziskiem szczerzy się sprężynami. Na wszystko to wypełzła pleśń. Pokrywa zacieki na ścianach i belki pułapu. A dookoła drzewa i cień przez nie rzucany, cień tego słonecznego dnia. Łopuszaste liście banana, agawy, poinsecji rozbujały się wpośród tragicznie pokręconych rur wodociągowych.

Ta ruina na wybrzeżu wpośród cieni drzew jakby naigrawa się z ludzkiego rozczarowania. Że to niby miał ten dom być schronieniem,

miały się ku niemu zwracać czyjeś myśli i marzenia tych, co byli od niego daleko, że to w jego tak zwanych czcigodnych ścianach, murach miało się mieścić poczucie ostatniego bezpieczeństwa, że to myśl miała do niego nawracać po prostu automatycznie. A teraz? Szczerzy swe zęby i dziąsła na urągowisko zaufaniu człowieczemu.

I gdzie się tu podziać teraz, czemu zawierzyć, kiedy własny dom, dach, okap, cień, ciepło i schron zwracają się przeciwko.

Odwracam się od niego plecami i jakże staje mi zaraz w oczach tamten dom… Wydawał się tak pewny, wydawał się tak solidny. Przecież był już przedtem, nim nastąpiło dla mnie stworzenie świata. Z jego okien temu stworzeniu się przyglądałem. Niebo nad nim ze słońcem, gwiazdami, księżycem, cała niebieska sfera kręciła się wokoło tej domocentryczności. Ileż razy nawracałem do niego! Ileż razy na przekór sobie wlokłem się do niego! Już z daleka ukazywał się wtedy, przesuwał pomiędzy drzewami, patrzył ku mnie oczodołami swych okien, stawał się, rósł i w końcu przymierzałem swoje ruchliwe, niespokojne nieszczęście do jego białych ścian.

Nocami nawiedza mnie do dzisiaj. Nadpływa poprzez przestrzeń i czas, głucho stąpa pod oknami obcych domów, gdzie żyję, jak trumna wydźwignięta z dołu, skrzypi krokwiami i podzwania blachą w ulewie i wichrze. Dudni w nim coś i stęka, stuka w nim kołatkiem-drukarzem i ćwierka rozespanym świerszczem w kominie. Puknie w nim rozsychający się stragarz pułapu, jak skrzypce zagrają schody od dawnych kroków, trzaska zniecierpliwionymi drzwiami, klekocze rozchwierutaną klamką, monotonnie zaświszcze nie domkniętym lufcikiem.

Pamiętam w nim szczury. Opasłe i bezczelne plądrowały w biały dzień po domu, w stajni, w szopie i na otwartym powietrzu. Żarły wokoło wszystko. Widać było, jak właziły do cebra, w którym podawano krowie omaszczone otręby. Wystarczyło zakraść się i niespodziewanie rzucić do cebra cegłę, ażeby na pewno ubić tłustego szczura. Ale taka szczurza śmierć była ohydna.

Ten sam wielki dom był od lat zajazdem wojsk, popasem, koszarami, szpitalem, dachem dla ludzi, co tu przychodzili, nocowali jedną noc albo

stali tygodniami. Płoty już dawno były rozgrodzone do ostatniego kołka, sztachety, a za to wokół wszystko było jednym olbrzymim śmietniskiem wojskowym, na którym walały się stare onuce, zrudziałe od krwi bandaże, obręcze i klepki rozsypanych beczek, pogniłe płótna namiotowe, kości. Ohydne śmietnisko wojskowe, od którego szedł mdlący odór, woń niesamowita karbolu, szmat i uryny.

Od okupowanych przez wojska przestrzeni domu bił nieustanny gwar głosów, rozmów, komend, przekleństw i śpiewów. Puste odrapane ściany powtarzały te głosy wielokrotnie. Ustawiczne kroki ludzkie, szczęk powłóczonych po schodach kolb karabinów, zgrzyt podkutych gwoździami butów, głosy, głosy niezdarzonego życia przewalającego się wokoło naszego życia.

I pożary. A w zimie te koczujące wojska, ta masa ludzka łaknąca ciepła jakby z siebie taki ogień rodziła. Mówili dawniej, że myszy rodzą się z mąki i brudnej bielizny – taka naiwna teoria samorództwa. Tak jak gdzie to? czy nie u Homera? o pszczołach mówią, że roją się same z niczego: ze stosów skrwawionych skór wołowych. Tak ten ogień rodził się z zagęszczenia ludzkiego, jak parzy się i dymi z kup obornika albo z wielkich hałd szlaki.

Naprawdę to ta mechanika czy chemia powstawania pożarów nie była czymś niewytłumaczalnym. Po prostu dłużej stacjonujące oddziały urządzały się bardziej komfortowo – jakieś paleniska, rury odprowadzające dym przez dziury wybite prowizorycznie w stropach były rezultatem tej zaradności. No i od tych ognisk i przewodów zaczynały tlić się dźwigary i belki stropowe, żarzyły się w cichości i nagle wybuchały w pożar.

Budziły nas w nocy głosy, nawoływania. Słychać było tupot biegnących, krzyki, zgrzyt skrzyń z amunicją wywlekanych na otwarte. Poprzez płomień, żar, kwaśny dym i iskry przedzierałem się na swoje wyznaczone mi już zwyczajem miejsce. Moim zadaniem było pobiec na przedmieście, gdzie u jednego z pół chłopów, pół mieszczan były w przechowaniu narzędzia przeciwpożarowe: gminna pompa, której parciane węże i szlauchy były dziurawe jak sito, osęki i wiadra.

Jak wtedy, przebudzony, zaczadzony, z przerażeniem w głowie, umiałem w noc zimową znaleźć drogę na przedmieście do domu nie znanych ludzi, jak ich pobudzić, obwieścić im wydarzenie, przynaglić i sprowadzić z ratunkowymi narzędziami, to dziś już nie pomnę. Ale pamiętam uśpioną zagrodę, dobijanie się do domu, niską izbę, pamiętam nawet, jak budziłem śpiącego na ławie i kożuchem owiniętego kilkunastoletniego chłopca. Pamiętam także to, że ludzie ci, których budziłem po nocy, stawali wobec zwiastowanego im nieszczęścia, trwogi przyniesionej do ich snu, wieści niesamowitej, wobec przynaglania i żądań pomocy stawali z najwyższym poczuciem wspólnoty, odpowiedzialności, gotowości i spokoju. Nie pamiętam ich imion, ich twarzy, ale zapamiętałem na zawsze spokój, precyzję ruchów, ludzki, pełen sensu i mądrości stosunek, natychmiastowość i harmonię nawet w ich zrywie niesienia pomocy. Mnie, dziecku, wydało się to wtedy, jakbym w chwili niebezpieczeństwa i trwogi budził z czuwania znużoną straż anielską, tak ci ludzie otwierali oczy i podtrzymywali mnie automatycznie współczującym i kojącym ujęciem dłoni. Gdzieś teraz w przestrzeni i przeszłości zagubieni trwają i czuwają nade mną do tej chwili. Ile razy do dzisiaj popłoch i trwoga niesamowitej chwili zatargają mną, to ich przypomnienie wzbudza otuchę i od pożaru tej chwili ratuje i ocala.

Tak poprzez rojowisko tłustych szczurów, ohydnych, spasionych na wojennych śmietniskach szczurów, poprzez płomienie wojennych pożarów przedzieram się do tamtej chwili.

Siedzieliśmy w kuchni: nasza mama i my, dzieci; odbywaliśmy lekcje czy też czytanie. Kuchnia, wiadomo: sanktuarium domowe, z jej tłustą blachą, na którą z pryskaniem i sykiem wymykają się spod pokryw garnków krople gotującej się wody, by zaraz ulotnić się w obłoczku pary. Kuchnia, w której za bratrurą kryły się w dzień wstydliwie pokolenia karaluchów (które, podobno, tak jak szczury, nas, ludzi, przeżyją na ziemi), kuchnia, w której odbywa się i rozciąganie na stole, na obrusie, cienkich błon ciasta na kruche strucle, gdzie w dzieży zachowuje się przygarść „kwaśnego” ciasta na zaczyn przyszłego chleba, gdzie w powietrzu unosi się zapach gwoździków, liści bobkowych, pieprzu, a na ścianach wiszą

rzędem rondle i garnki, i, na półkach, misy, połyskuje ich glazura, siatka ich pęknięć miesza się z deseniem odrutowania, znajome chochle, znajomy nóż, lśni mosiądz moździerza i tłuczka, durszlaki, sita gęste i rzadkie. Kuchnia pobielana wiele razy, drzewo stołu białe od szorowania. Siedzieliśmy w kuchni.

I wtedy otworzyły się drzwi i stanął w nich człowiek. Zanim miałem czas ujrzeć jego okoloną zarostem smutną twarz, nie miał na głowie nakrycia, zanim uświadomiłem sobie pojawienie się obcego, stało się coś strasznego. Człowiek ponad głowami nas, dzieci, patrzył na mamę i wyciągnął ku niej rękę. W kuchni rozległ się trzask, nie był to huk ani grzmot, tylko trzask: raz i drugi. W następnej chwili nie było go już.

A chwile dalsze były chaosem. I ludzie. Naraz ogromnie wielu ludzi ze wszystkich stron, tłum i gwar, i my, dzieci pogłupiałe i zagubione wpośród tego, i nie wiadomo, co to było. Wielki jak góra żandarm w sinym po kostki szynelu, ze sznurem od nagana pod szyją i odwróconą krzywizną *szaszką* w obciągniętej czarną skórą pochwie. Teraz to już z gwaru głosów, komentarzy, domysłów zaczęło i do nas przenikać, że ten jakiś ktoś (kto to był? czemu strzelał do mamy?), nigdy przedtem nie widziany, jakby go urodziła ogromna, nieogarniona nicość, splótł swoją straszną, szaleńczą, maniacką drogę z zacisznym biegiem życia kuchni naszego domu.

Wypchnięto nas na dwór i byliśmy wobec niemego muru domu, i mur ten u podmurowania fundamentów płakał czarnymi łzami smoły izolacji, i razem z nimi spływały nasze łzy strachu, przerażenia. I potem znowu w przyciemnionym sypialnym pokoju, i mama blada i niezmiernie spokojna, chociaż pierś jej unosiła się w szybkim oddechu, kiedy mówiła doktorowi, ukazując na stanik: „O, tutaj…” Na nasz widok uśmiechnęła się i powiedziała: „Widzicie, byłam dzielna jak skaut…”

W głosie jej była jakby duma z tego wszystkiego, co się stało, z tego niezwyczajnego i nie mieszczącego się wpośród innych rzeczy strasznych, ale zwyczajnych, okoliczności przerażających, ale jakże w ich uniwersalności pospolitych, które los ma zawsze dla nas w zanadrzu, o których mówią wstrząsające suplikacje o zachowanie od „powietrza, głodu, ognia i wojny”. Tej wojny chociażby, która przez nasz dom i sad

przepędzała tysiące uzbrojonych, zagonionych, zrozpaczonych i zdziczałych ludzi. W tę wojnę, w pośrodku jej chaosu, nasza mama, co ratowała nas spod rozpędzonego wozu tej wojny, chuchała na nas i uczyła, tak jak dla zarobku uczyła pokolenia miasteczkowych żydowskich dzieci (zielona trzyrublówka za miesiąc lekcji), zawsze śmiejąca się, przybierająca nasze życie w girlandy tradycyjnego szczęścia, naraz wyczarowała swoją własną tragedię, dramat groźny i oszałamiający, inny i sięgający ponad bezmyślność i łomot czasów.

Już wtedy zaczytywałem się w literaturze, opisach, relacjach i peregrynacjach, które obejmuje się jednym słowem: „egzotyka". Ta egzotyka, dziś z autopsji tak nijaka i nie zaskakująca, odkrywana wpośród przewracanych kart książek, owe „llanosy" i „pampasy", „*veldt*" południowoafrykański, „*bush*" australijski, prerie, tundry, sawanny zaczynały się u horyzontu naszego podolskiego stepu. To nimi cwałowały huragany, dął „pampero" i wyła „purga". Z tych opisów było mi wiadomym, że kiedy step taki płonie, kiedy idzie ku nam jedna ściana ognia i dymu, to podróżnikowi zostaje jedna ostateczność. Przyłożyć ogień do traw, suchych bodiaków, ogień przeciwstawić ogniowi, bezmyślnemu żywiołowi – ocalającą myśl.

A w parę tygodni potem była już wiosna. Późna wiosna: pełno liści, łopuchów, traw, łodyg, rozhulanej zieloności, gęsto i po pas.

Z wielką zaciekłością bawiliśmy się pod słodko i mdląco pachnącymi kwiatami akacji rosnących wokół naszego domu. Z tyłu domu, tam gdzie mury jego były ślepe, bawiliśmy się z szaleństwem i zaciekłością dzieci, aż nam brakowało tchu, tak jakbyśmy chcieli przemijający czas obrać do kości ze wszystkiego, wyssać go ze wszystkich możliwości. Wysoki ślepy mur domu służył nam do gry, znakomicie i wysoko odbijała się od niego piłka (jak to gdzie? jak to grają w „pelotę" o mury kościołów w kraju Basków). W murze tym na wysokości człowieka były dziury po kulach. Tutaj w zeszłym złym roku rozstrzelano człowieka i pozostały jedynie te dziury w murze. Wierciliśmy w tych dziurach i poszerzaliśmy ich otwory, aż sypał się z nich czerwony ceglany pył, jak kiedyś z przestrzelin rozstrzelanego ludzkiego ciała musiała się sypać miałka krew.

A w ogrodzie, wpośród zieloności, słońca przeciekającego jak miód przez liście, wpośród tak wybuchającego życia, tak wszystko przejmującego, jak nasze zabawy, przechadzała się mama. Miała rękę na temblaku, żółtawym bandażu, i była blada, i sponad łopuchów, kiści kukurydzianych, wijącej się fasoli, ponad kipiącym morzem zieloności patrzyła ku nam i pochylała się w tamtą późną wiosnę, która przyszła po przedwiośniu jak łuna świateł zapalająca się w teatrze, kiedy kurtyna zapada po wielkiej tragedii.

Chciałoby się ratować ten dom na dalekim, obcym wybrzeżu. Postawić go znowu na pion, naciągnąć na dziurawy bezwstydnie dach gałęzi, liścia, poszyć go bodaj słomą, okryć tę nagość, pomóc jej, uczynić to znowu schronieniem przed żywiołami, naprawić zło, oddalić zło, pokonać idące z nim opuszczenie i bezdomność.

A jak nie, to zawziąć się, podeprzeć się u narożników, zepchnąć go z tych węgielnych kamieni, na których się jeszcze chwieje, odebrać mu to nieprawe szczerbienie się w słońcu parodią zadomowienia, siekierą walić w przyciesie jak w korzenie spróchniałego drzewa, oczyścić z niego ziemię, zrównać go z nią. Ażeby i śladu nie zostało, rozwłóczyć te bele, krokwie, płatwie, zemleć tynk na nowo w piasek i posiać go na wszystkie cztery strony świata, strzępy firanek podrzeć z pasją na wstążki, szkło zakopać w ziemię, poobłupywaną wannę potrzaskać w skorupy, rury powyginać w nic nie mówiący kształt, a miejsce zaorać, zryć, wygrabić, zrównać, ażeby zarosło palczastymi liśćmi „*palmetto*”, bambusu i dzikiego banana.

Aż mi pot spływa po twarzy po dokonaniu tego dzieła unicestwienia i teraz dopiero odwróciłem się ku morzu. A morze?… z bliska szare i brudnozielonostalowe, a daleko, tam gdzie z niego wprost powstają chmury, szmaragdowe. Morze… przyszło z westchnieniem: aaach!… jakby w tej chwili uniesienia i rozpaczy opowiadało się za jedynego sojusznika…

[prwdr. „Wiadomości” 1959, nr 18]

Pierścień z papieru

Od razu poszła o mnie wieść. Na jarmarkach, po zajazdach, dworkach, plebaniach, między chłopami i Żydami. W kuźniach, na targowicy, po wozowniach, stajniach, w bazyliańskich monasterach. Przyjechał…

W czasie odpustów i prażników, przy tołokach, sianożęciu, u pocieni żydowskich sklepów, przed bóżnicą i u wejścia do cerkwi (na górze bania monasteru Bazylianów, do góry biegną ścieżki wydeptane przez pątników kręte, kapryśne, wpośród wyszczypanej przez gęsi murawy, zbiegają się u furty klasztornej, gdzie podcień i podwórze cerkiewne pachną w słońcu wapnem i potem świątobliwym, i tu taborem obóz dziadów, chałturów, kalek zawodzących i miamlących modlitwy, pieśni, błagania i prośby: „*Hospody, pomyłuj!*”, „*Świataja Preczystaja!*”, głosy, szkaplerze, różańce, tułowie, grzbiety, garby, kikuty, kule, powykręcane stopy, pokurczone w szpony garście, puste na zawsze oczodoły, ściągnięte zmarszczką skóry, grymasy niezrosłych od urodzenia ust, rachityczne pałąki, małpie twarze, kuternogi, obnażone na pokaz resztki ramion, torby, kije, głowy okutane w szmaty, czasem atletyczny tors obok wyschniętej na szczapy kupy kości ludzkich, a nad nimi na bielonych ścianach podcieni czarne płótna obrazów z głowami świętych w aureoli, twarze o surowym wyrazie z parą patrzących w słup oczu, którym brwi, rzęsy, oprawę prymitywny malarz zrobił maskarą jak w salonie piękności, a nad nimi w wieńcu głagolicy Duch Święty – Paraklet), w salonach resursy, nad zielonym suknem stołów karcianych, po kancelariach adwokackich, wśród wozów czekających przed młynem albo u przewozów i brodów powtarzano i wyolbrzymiano wieść – niosła się i rozchodziła. Przyjechał…

Wrócił, mówili. Majątek u niego, powiadali, kruszec, dobro – mnóstwo, massa. Przyjechał, mówili, z całym dworem, końmi, psami, a dywany i kobierce, mówili, u niego, srebrne naczynia, makaty, uprząż, rzędy, dywdyki, łańcuchy, stroje. Mówili o mnie, żem stanął w najlepszym,

najszykowniejszym zajeździe, żem z kozakami przyjechał, służbą, a konie u mnie – araby, a sfora – charty.

Tym, co mnie spamiętać nie mogli, bo gdzie tam, to było lata temu, to mówili, jaki to ja byłem wtedy, że nie było u nikogo większej fantazji. Że to od moich czasów datuje się pamięć koniarzy, furmanów, zaprzęgów, że to mnie spędzali konie od Azowa, od Mołdawii, z Anatolii i puszty węgierskiej różne maścią, zbierane po jarmarkach, kradzione za kordonem, spędzane z dalekich stron, uchlastane po kłęby, dosiadywane na oklep przez koniuchów, pławione wśród zarosłych szuwarami stawów, łypiące krwawym okiem wpośród tłumu, zgiełku i kurzu jarmarku końskiego, gdzie każą im iść stępa, kłusa, galopem, gdy wpośród szamotania się i tulenia uszu, z wiszącym u pyska koniowodnym kowal pasuje im do rogu kopyta rozpaloną podkowę, w kłębach gotującej się pary hartowaną.

To o mnie opowiadali, żem na czwórkę dobierał konie nie maścią, nie z wyglądu, ale dla ich wytrzymałości, a im brzydsze były i pokraczniejsze, tym bardziej były pożądane. Że sadziłem się na oryginalność, więc w czwórce z zasady musiał być srokacz, a inne żeby były jak najdziwniejsze: mroziate, dropiate, wilczate, deresze, rzadkich odmastków hamany, a jak który miał szramę po opaleniu w pożarze, to tą szramą wprzągało się go na zewnątrz, a jak miał rybie oko, czyli, jak się to mówiło, „zerkaty”, to tym cenniejszy. A uprząż to mogła być u mnie tylko z surowcowej skóry kręconej po domowemu, szytej nie dratwą, lecz rzemieniem, uprząż prosta i łatwa do wkładania czy też wyprzęgania naprędce, typu szorowego, ze skóry złożonej we dwoje mizdrą do środka i licem na zewnątrz, napierśnik i nakarczek, od którego po bokach i wokół biegł pas natylnik z upinaczem natylnika biegnącym grzbietem końskim, od którego podtrzymywały go szelki. To one powstrzymywały rozpędzony wóz, trzymały go konie dyszlowe, natomiast konie przyczepne, orczykowe albo tak zwane „biczowe”, kiedy w czwórce w „porącz” były wprzęgnięte do orczyków zaczepionych do bocznych posmyków zahaczonych o szynkle tylnej osi. A już prawdziwą ozdobą uprzęży były uzdy z ich nagłówkami, policzkami, nachrapnikami i rzemieniem biegnącym środkiem twarzy końskiej, nabijanym mosiężnymi tarczami. A zwłaszcza wspaniały, zdobny

w klamrę i mosiężne nabijania pas, który przebiegał od nagłówka pod szyję, ganaszowanie, pas, u którego zawieszało się bałabony, kałatały i szeptuny – bałabony lane ze srebra carskich rubli, szeptuny ciągnięte po domowemu z blachy starych pił i kałatały drewniane z dobrze wysuszonego drzewa gruszkowego, kwadratowe, skuwane na spojeniach – w które uderzały serca z drewnianych paciorków nanizanych na drut.

Ktoś mnie widział na drodze spadającej z Przełęczy Tatarskiej w stronę Rachova, drodze zapchanej kolumnami samochodów, ciężarówek, wozów, platform, sprzętu, ludzi pieszych zapatrzonych w jedną stronę, gdzie wpośród kurzu i tętentu kopyt przepychał się tabun koni gnany od setek kilometrów, stłoczony, ściśniony, fala grzyw i karków końskich, szyi zmydlonych i boków mokrych od potu. Konie były młode – jakaś stadnina z Janowa Podlaskiego? Włodawy? – dwu- i trzylatki zastrachane i toczące białkami oczu, z rozwartymi chrapami, w tumanach kurzu. Tym razem konie stanowiły jedno z ludźmi. Już nie było tej strasznej różnicy niemych zwierząt i artykułowanego przemądrzania się ludzkiego, nad grzbietami końskimi nie świstał bat ani przynaglało ich ludzkie przekleństwo.

A potem, wieść szła, miałem pół świata zwiedzić. Mnie, którym znał stadniny Chorostkowa, Czarnokoniec, Jarczowiec, Albigowej, Sławuty, przyszło poznać inne: w Bábolnie na Węgrzech, w Lippiza w Austrii, stadniny Pompadour i Tarbes we Francji, „Royal Mares” w Malmesbury i Tutbury w Anglii. Widziano mnie w Longchamps i u paddocków Newmarket, na przeszkodach w Saumur i w Hurlingham, gdzie grają w polo. Mówili, żem nocował w namiotach wahabitów i ujeżdżałem ich konie, i znałem ich rody, rody słynnej piątki Al-Chamsa – gniade o podłużnej twarzy i wysokim nadpęciu „kuhailany”, siwe „saklawi” o długich nogach i głębokiej piersi, złotej maści „munighi” o wąskim, wydłużonym tułowiu – żem je po ich chodach, pokroju, odsadzie ogona nieomylnie poznawał. Po czerwonym, krwawym rozwarciu chrap, nerwami przesianej delikatnej skórze, rżeniu biorących na kieł ogierów, po spadającej grzywie, różowych oczach przybranych w wiązane z czerwonej wełny uzdy klaczy i niecierpliwym szukaniu wymienia źrebaków.

Mówili, żem w Carogrodzie poturczył się, zbisurmanił, żem zaparł się wiary i przywdział turban paszy, i przyjął epolety, krzywą szablę i buńczuk. Powiadali ze zgrozą, że obraz Czarnej Matki Boskiej w monasterze ułaszkowieckim spłynął wtedy krwawymi łzami i pękły carskie wrota w jej cerkwi.

W każdym razie miałem przyjechać. Mniejsza o to, jakim tam obrzezańcem wróciłem, czym rozsiadał się na miękkich „karamani", perskich „hamadanach" i „sarukach", modlitewnych „szirwanach", mniejsza o to, czym gryzł bursztyn cybucha, czy za Firdausim słowik był dla mnie „*bulbul*", czym legitymował się firmanem (który odebrawszy, należy z szacunkiem ucałować), w każdym razie wróciłem.

Powiadali, żem przywiózł ze sobą żonę: obcą młodą czarnobrewą Greczynkę. To pewnie musiało należeć do tego orientalnego bagażu, bo jakżeby inaczej miało być. Taka spod dalekiego nieba, egzotyczna, zakwefiona, ognista, o powłóczącym spojrzeniu spoza welonów miała być tak nieodzowna, jak powymyślane bogactwa: srebra, konie i charty. Wieść po prostu sama zaokrąglała w kompozycję tę historię zapóźnionego powrotu.

Więc kiedy tak, to sobie to jeszcze sam uzupełnię. Każę sobie osiodłać konia, wycudzić, wystroić jak dryganta dla drużby na weselu. Z podwórza w bramę, z bramy drogą tędy jak kuźnia na skraju wsi.

Strzeż się kowalichy, co w ogrodzie wśród ostów, burzanów i łopuchów zasiewa *anhełycię*, dziewanny, rutę, biedrzeniec, *tiutiun*, rabarbar, rumianek, co zbiera szalej, piołun, kokoryczkę, belladonę, ślaz, co warzy pijanice, *Centaurium – dorohozołot*, dziurawce, co wie, gdzie znaleźć walerianę, *Passiflorę*, podbiał, dziką różę, co hoduje miętę, tymianek. Omijaj, unikaj jej oczu, nie patrz na jej nogi, kiedy spódnice zatyka w pasie, kiedy przędzie cieniutko, kiedy niesie wiadra na koromeśle od potoku, kiedy otręby zadaje świniom. To ona, jak podpatrzeć w samo południe, zakrada się do stajni ze stołkiem i skopcem i usiadłszy u ściany, gdzie na hakach wiszą uprzęże: szleje, uzdy, postronki, naszelniki, ujmuje wiszące końce lejcy, czarownica, i doi je, i strzyka z rzemiennych końców lejcy tych mleko do trzymanego udami skopca: ciur, ciur! „słońce świeci i deszcz

pada, czarownica masło składa…”, ciur, ciur! – mleko czarownica odbiera krowom ze wsi i doi je z tych rzemiennych lejcy, i z miaukiem ociera się o jej gołe kolana czarny kocur, towarzysz nocnych wypraw wiedźmy.

To na jej zbliżenie się ogiery tulą uszy, przypierają się do ścian klatki, kopią, cofają się, przysiadają na zadach, przestępują kopytami, gryzą i chrapią, stają dęba. To ona może sprowadzić na nie kolkę, ochwat, kulawiznę, parchy, odparzenia, koler, to ona sprawi, że zatratują się, zagwoździ im kopyto i gnić im będzie żywcem, rzuci się na nie nosacizna, ślepota, narowy, zastudzą się, będą chromać, gubić podkowy, płoszyć się u krzyży na rozstajach, czepi się ich dychawica, będą łykawe, ogarnie je błąd i będą ponosić.

To harap! aż pręgi występują na delikatnej skórze, i w pole!

Stary okop wojenny ciągnie się grzbietem pól – rów krzywą linią biegnący, z jego trawersami, przecznicami i dobiegami, z wysypanym na przedpiersie marglem, który kiedyś po zasypaniu będzie znaczył świeżo zorane niwy, jak blizna biała wśród czarnoziemu. Opuszczony okop służy za cmentarzysko końskie. Jest bardzo łatwo, i oszczędza to wysiłku, ściągnąć tu taki zewłok koński do tego rowu i naprędce przysypać go niezdarnie po wierzchu ziemią. Wkrótce psy tam znajdą drogę i tę ziemię będą rozgrzebywać, by dobrać się do ścierwa. Brzuch zapadnie się, sterczeć będą tylko żebra i rozwłóczone golenie i kopyta końskie. Czerep, głowa z czarnymi oczodołami, wyszczerzone zęby, potężna żuchwa, kręgi szyjne, łopatki, ostre kanciaste stawy biodrowe, szkielet – zmyślna machina, przeguby jej, anatomia celowa, maszyna obrana z mięśni, cuchnący zewłok koński. Po nocy dźwignie się rozpaczliwie, naprzód na przednie nogi, a potem z jękiem końskim bólu i rozpaczy, że coś mu jeszcze raz każe powstać, chwiejąc się, poderwie się jeszcze raz z przekleństwem życia, wzniesie puste żebra do oddechu przerywającego się jak spłoszony ptak przez pręty klatki. Po nocy pośród kłaków chmur straszliwa zjawa zbiegłych do kupy piszczeli końskich, powstałych w straszną karykaturę, ażeby jeszcze raz posłużyć ludziom, popozować do rozbieganej, rozgalopowanej czwórki Głodu, Moru, Wojny, Śmierci, wymyślonej przez ludzi, ozwie się strasznym rżeniem rozlatanego szczęściem wśród łąk

źrebaka, by przejść w dziki kwik koni, które w panice i trwodze kosiło na wszystkich polach bitewnych świata.

A my teraz stępa przez dąbrowę, twarde pożółkłe z jesieni trawy – miotły sztywne w styczniowym powietrzu. Lśnią wpośród grzywy mego konia, szumiącej grzywy, odświętnie wplecione w nią złote krążki, jak cekiny – w warkocz Cyganki. Jest już siny zimowy wieczór i las przechodzi w granat. Dobrze jest być blisko domu. Śmiało można patrzeć w czeluść świata, głęboko wciągać mroźne powietrze, nastawić mu policzek.

W domu knot naftowej lampy pływa w bursztynowożółtej cieczy, płomień, jak żółte pawie oko, patrzy uważnie i mądrze na cienie pokoju. W samowarze cieniutko pieje woda i herbata w szklance złoci pozostawioną w niej łyżeczkę pozłótką złotą i aromatyczną.

W świetle lampy widzę swą dłoń położoną na stole i na serdecznym jej palcu lśni błyskiem żelaznym pierścień z papieru.

[prwdr. „Kultura” 1962, nr 11]

Fragmenty

Z tamtej strony kordonu nie dochodziło nas wiele. Była granica austriacka, więc po tej stronie byli finance, a po drugiej stronie Zbruczu – sołdat ze sztykiem. W państwie rosyjskim strażą graniczną było wojsko, coś tak jak u nas KOP. Ale potem przyszła wojna i miało się to trochę zatrzeć. Więc przede wszystkim nazwy miasteczek i miast podbiegły bliżej. Przedtem to tylko były Wołoczyska naprzeciw Podwołoczysk, a teraz zabrzmiała i Żmerynka, i Wapniarka, i Winnica, i Kamieniec Podolski, i Płoskirów. Ale tamten kraj pozostał tamtym krajem, a tutaj to było tutaj. Tutaj to były Jagielnica i Probużna, i Skała, i Borszczów, i Ułaszkowce, gdzie się urodziłem. Gdzie spędziłem pierwszych pięć lat dzieciństwa.

I właśnie tych pierwszych pięć lat dzieciństwa. Prawie nic z tego nie zostało i pięć lat małego życia osobnych i odkrojonych we wspomnieniu, jak gdyby to ktoś inny, a nie ja je przeżył. Mówię sobie: wysil się, przypomnij sobie. I przypominam sobie, ale oderwane fragmenciki, jakbym przebierał w palcach paru ocalonymi kosteczkami mozaiki znalezionymi na miejscu dawnego rzymskiego domu, i z tego nie uda mi się odbudować obrazu.

Słabo pamiętam, że pomiędzy naszym domem i Seretem były pastwiska i pasły się tam podolskie woły strzeżone przez pastuchów. Zachodziłem tam czy też zapełzałem jakimś sposobem do tych pastuchów, od których jechało zapachem, cuchem pazuchy chłopskiej i nie mytego ciała. Woły wielkie i przerażające, rogate i heliosowskie pasły się swymi wolimi gębami, a pastusi byli bardzo dorośli, dobroduszni i cyniczni cynizmem pierwotnego człowieka, i szło od nich dzikością.

Kiedy wróciłem czy też nawrócono mię do domu, to oświadczyłem matce: „Chcę paść woły”. Wyperswadowano mi to natychmiast, widocznie była taka fantazja tak nie na miejscu, tak kolidowała z odosobnioną i wytężoną wolą zagubionej pośród prymitywu rodziny inteligenckiej, że,

nie bacząc na wiek niemowlęcy, absurdalność mego przekonania i wyboru, nie licząc się z poczuciem komizmu, wyperswadowano mi to brutalnie i pozostawiono we łzach.

W niedzielę, pamiętam, posyłano po obiedzie służącą do sklepiku Szora po wodę sodową. Pan Szor miał także skład desek i dotąd także pamiętam, jak mdli śmietnisko żydowskie ogrodu oddzielonego parkanem z powykręcanych desek, gdzie były pokrzywy i łopiany. Wody sodowej nataczano do przyniesionej karafki ze szklanym korkiem z wielkiej butli miedzianej brzuchatej i zakończonej syfonem i z sykiem ta woda kotłowała się, i widać było przez szkło niebywałe kuleczki gazu wariujące tam, w tym zamknięciu, i potem w domu dodawało się do tej wody, już w szklankach, konfitur malinowych, i woda zaróżowiała się, i był to w rezultacie napój boski, inny od czegokolwiek, nieziemski i sodowa woda.

Odwiedzało się dom pocztmistrza, gdzie było dużo dzieci i ciągle pocztmistrzowa rodziła nowe, i w domu tym jechało od zapachu nie pranych pieluszek, rozwolnień, i zabawki tych pocztmistrzowskich dzieci pachły także tym pieluszkowym zapachem, a zabawki, że cudze i inne, były najbardziej dziwne i egzotyczne. Choć zabij, żadnego z tych pocztmistrzątek nie pamiętam, a pamiętam do teraz jedną z zabawek – miniaturowy rower wykonany na kształt prawdziwego ze wszystkimi szczegółami: kierownicą, przekładnią, siodełkiem, pedałami, jakie by tam nie były, pamiętam do teraz, jak gdyby całego tamtego świata nie było, a był tylko ten miniaturowy welocypedzik. Proszę, pamiętam jeszcze także brodę pocztmistrza, bródkę w szpic – a dzięki specjalnemu zbiegowi okoliczności. Otóż zmarło się wkrótce temu pocztmistrzowi i zwyczajem to pocztmistrzowskie ciało leżało sobie tych parę przepisanych dni w domu, może nawet i zaśmierdział się trochę, i groza u nas, w dziecinnym pokoju. Groza pewnie przynoszona przez niepoprawne kuchty i niańki, które sobie na takim odludziu, gdzie to już ewenement, nie darują okazji i makabrycznych dreszczy, i ściskania w dołku. Któraś to z nich zwierzała się drugiej, niezgrabiara, przy dzieciach, a może nawet i umyślnie przy dzieciach, jak to tam, kiedy się chodzi dla oddania ostatniej posługi i odwiedzin bliźnich na katafalku sztywnych, kiedy zdarzyło się jej

z ciekawości dotknąć brody, szpicbródki pocztmistrzowskiej, i czy imaginacja, czy fakt kazały jej zaalarmować się lodowatym chłodem śmiertelnych szczątków.

Tak to więc wspomnienie pocztmistrza, zapewne młodego człowieka jeszcze, ale w ówczesnym zwyczaju przedwczesną dojrzałość podkreślającego przez pielęgnowanie zarostu, to wspomnienie będzie mi zawsze towarzyszyć, ile razy okazyjnie kontempluję przeszłość.

A wygląda to w ten sposób, że zakołysze się człowiek we wspomnieniu, a jak nie ześrodkuje się na tym myśli, to przyjdzie ona w marzeniu albo we śnie, albo kiedy odbije się coś przypomnieniem, czkawką po obiedzie, albo ustroi się w jakiś zachód słońca, albo przyniesie to ze sobą zapach dymu spalonego węgla w lokomotywie za zakrętem z żywopłotu, zaturkocze daleko, daleko furą na gościńcu, zazieleni się gęstymi łopuchami w cieniu albo zaskrzypi lodem pod obcasami na zimowej ścieżce. I już jest tutaj, i już jest z nami, ale inne – niby takie samo, a inne, i jednakie, i inne. Gont na dachu, gont poczerniały na sinoszaro, wyszurane chodnikowe płyty miasta, bańka wydęta z pozłacanego szkła w mieszczańskim ogródku, zapocony kołnierz marynarki, zapocony na czarno u tragarza przepasanego sznurami, łydki dziewczyny służącej trzepiącej dywan na galeryjce balkonu, suchotniczy kelner w restauracji ścierający nieschludną serwetą plamy z piwa po poprzednim gościu (po poprzednim gościu – po człowieku, po królu stworzenia, po bliźnim – zostały tylko plamy z piwa i połamane wykałaczki w solniczce; jak Boga kocham, to prawdziwa tragedia zniknienia!). To to tak więc powraca do nas dawne życie? To tyle zostało z tamtego świata? Tylko tyle? A to co jest teraz, w tej chwili?

W tej chwili – to trudno jest powiedzieć. Bo w tej chwili napakowany jestem wspomnieniem i marzeniem na przyszłość. Sam od siebie odpycham moment, sam przeklinam go i chciałbym od niego uciec. Kiedy czekam na przystanku na tramwaj i niecierpliwię się, to uciekam od obecności w cudowną przyszłość, która dziać się będzie za sześć minut – w cudowny świat jazdy tramwajem. Żyję już tą przyszłością, bo łaknę jej i gardzę chwilą czekania. Do czego by to porównać? Można by to porównać do jazdy na amplitudzie fali, jest taki sport hawajski, nie? jazdy na fali

przyboju grzmocącej w piasek wybrzeża. Już to tam nam powytłumaczali, jak to jest z tą falą: że masa wody stoi w miejscu, tylko fala piętrzy ją na przemian w grzbiety i niecki, ale kiedy znaleźć się w pewnym punkcie ześlizgu, to będzie się tak wiecznie zjeżdżać po ześlizgu grzbietu tej amplitudy, czyli będzie się niesionym z falą. Takie sobie porównanie wykombinowaliśmy, co ma tę skuteczną puściznę, że nic nam nie tłumaczy.

W tej chwili to jest dokładnie moment, kiedy staram się oszukać. Wspominam rzeczy pochlebne i sukcesy miłe, a unikam zdradzieckich wspomnień o tym, kiedy byłem na dole, kiedy byłem bity, kiedy nie przystawałem do ideału, jaki sobie wymyśliłem. Jestem stronniczym historykiem, Plutarchem własnego autoramentu, kronikarzem i syntetyzującym panegirystą samego siebie. Dlaczego tak się dzieje? Pewnie ażeby zachować siebie w kupie, nie zanarchizować się samemu i nie zatracić na rozmieszane ziarno i roztarty piasek prawdy. A nawet kiedy zadam sobie przymus i satysfakcję powiedzenia całej prawdy, to będzie to jak[że] subiektywne, wybór tej prawdy, przecież nie jestem jakimś cudem, wylezie to, tylko pewnie w innej formie. I, dodajmy, pozie.

W tej chwili patrzę w wyścielony przede mną krajobraz: fałdy i przypadkowo ukomponowane przedmioty tej krajobrazowej rzeczywistości, nic w tym nie ma różnego od krajobrazu stolika restauracyjnego z plamami po piwie, masami solniczek-pieprzniczek i dżunglą umierającego bukietu kwiatów w mętnym od szkła i wody flakonie. To nie tylko to jest różne, że przed chwilą, przed godziną, przed kilkoma setkami lat ten krajobraz był inny, bo w czasie, ale i wtedy, i teraz jest inny zależnie od pozycji obserwatora. Mój zachód słońca, który wlewa się we mnie z seledynowym i pomarańczowym światłem, jest dla kogoś innego, po drugiej stronie, wschodem melancholijnym albo radosnym. A także dla mojej dyspozycji – gdybym tylko brał moment i tylko ten moment – równie dobrze mógłby być on wschodem.

Co za kolosalne odkrycie siebie wpośród własnego, jedynego, nieprzekraczalnego świata! Co za satysfakcja i co za trwoga tego odosobnienia! Niechbym nie wiem jak przylegał do innych, kupił się

i wpierał w stado, nic mi to nie pomoże i zawsze zostanę sam, będę patrzył wzdłuż swego nosa.

A patrzenie wzdłuż własnego nosa przysporzy mi zawsze sensacji, które odgraniczą się prędzej czy później od nabytych mechanicznych, nieuniknionych, instruujących sensacji innych. Od samego początku, kiedy obraca się i uczy świata innych. „Moja mama mi mówiła” to jest świat spreparowany, którego uczyłem się na początku, jeszcze kiedy byłem sam. Więc nabiera się wiadomości, „folkloru” dziecinnego pokoju, świata uczepionego spódnicy mamy. Teraz, kiedy się jest dorosłym, to stoi i obramowuje to sentyment i wspomnienie, ale jak dziwnie i innie było wtedy. Mama i jej folklor domowego spokoju. Mówiła, że „prędzej zobaczymy własne ucho aniżeli »naszych«” (to było w czasie inwazji rosyjskiej, a „nasi” to były wojska austriackie). Patrzyłem ku górze na małe ucho mamy, jego koniec pod falą włosów, i dotykałem swego, i myślałem o tym, że nie potrafię go nigdy zobaczyć, bo naprawdę nie można, ale co? przecież można w lustrze, ale to już nie to samo. I zaraz odlegle zadrgało we mnie, ale nie uświadamiałem sobie tego, że to metafora, przenośnia, którą naszpikowaliśmy sobie mówienie, bo inaczej nie można by mówić. Mówiła mama, pokazując na nie gojący się palec, małe zadraśnięcie na wewnętrznej stronie zgięcia, że to „dzikie mięso”, o, wstrząsałem się na to „dzikie mięso” i, prawdę powiedziawszy, nigdy potem o takim zjawisku nie słyszałem. Mówiło się w domu, że stara pani Brasznicka, ale to bardzo stara, ma tak zwany „wilczy głód”, że pożera wszystko w ogromnych ilościach, i jak przychodzi do nas z wizytą, to zaraz jakby rozciągała się, zapuszczała macki żarłoczności aż do kuchni, aż do uświęconej spiżarenki: „widziałam, dzieci państwa miały taki smakowity placek” (co to było: strudlowy czy cwibak, z wiśniami, z makiem, orzechowy, przekładaniec?). Mówiło się, że panna Kasia to jest Rusinka – panna Kasia, towarzyszka pani Wandy Górskiej, zawsze nieodłączne, zawsze razem: pani Wanda Górska w czarnych koronkach, a przy niej panna Kasia – szczupła, w kapelusiku, sztywnym *Strohhucie*, nasadzonym na czoło, i z kokardą pod brodą wysokiego kołnierzyka – i dziwnie było, że Rusinką może być dama kapeluszowa, kiedy Rusinka zawsze to chłopka, w lecie bosa, z czarną

łuską brudu na wierzchu stóp, z podkasałą spódnicą, z chustką zawiązaną w węzeł pod brodą. A panna Albina, Albińcia, to była szwaczka i przychodziła na dniówki – panna Albińcia pochylona nad szyciem, nad maszyną, prawą ręką przyhamowująca rozpędzone błyszczące kółko maszyny do szycia, a sama maszyna to gmatwanina singerowska czopków, śrubek, dziwnych uszek i prowadełek dla nici, z wymyślnym urządzeniem do nawijania malutkiej szpulki, która potem jakże pasowała do lśniącego czółenka. A panna Albina lewą ręką opuszcza przytrzymadło do materiału, a materiał jest napiętrzony pod mostem, łukiem maszyny Singera w pomieszany krajobraz fałd, i drobniutko, tykocząco wybiega stebnowanie szycia, kiedy nogą ukrytą w spódnicy napędza szybko pedał maszyny. A wokoło tego rozbiegany światek zatrzasek, haftek, perłowych guziczków, skrawków, szpulek nici z trójką, igieł, igielniczek, jest i mała oliwiarka, i napisane: „Singer” w girlandach złotych wywijasów; panna Albińcia zjawia się i znika periodycznie jak światło księżyca, swą podługowatą księżycową twarzą świecąc regularnie i okresowo. Czasem było to w połączeniu z wokalnym, śpiewackim popisem – panna Albińcia wyciągała cienko poloneza Ogińskiego albo: „Wezmę ja kontusz, wezmę ja kontusz – szablę przypaszę” i nieodmiennie kończyło się to: „złote litery, złote numery wyryć każemy…”, albo: „Nie będę sobie warkocz trefiła”, albo coś z ruskich: „*Idy, idy, kaczuryku, dodomu, prodam tebe żydowyni rudomu…*”, albo: „*I szumyt', i hrymyt', dribnyj doszczyk ide…*” A innym razem przychodził kuśnierz i jego pomocnik i wyciągano stare futra i kożuchy, i naprzód mole, widziałem na własne oczy małe i wstrętne larwy molowe otorbione w długie odwłoki, jak spokojnie i żarłocznie żuły te swoje włosowe gaje, i generalne czyszczenie tego, a potem pan Aszkenazy i jego pomocnik wycinali, pasowali kawałki, z jednej strony cudowny jedwabisty włos, a z drugiej strony nijaka mizdra skóry, i wychodziło to w ściegu spod ich rąk w jedną całość, jakieś dawne szopy, lisy i skórki karakułowe, a my, dzieci, staliśmy, zadzierając wysoko brody, kiedy nam przymierzano te bezrękawe niekształtne podbicia, kiedy dziwiono się naokoło, że można tak róść. Albo przychodził szklarz Kimmel i zapachniało od razu kitem, i dziwnie i strasznie było popatrzeć, jak diament skrzypi po

szkle i odłupują się cienkie szklane listwy w palcach, które same jakby były szklane, i okna, wyjęte z zawias, leżały wielkie i nienaturalne płasko na stole, i szklarz postukiwał cienkimi gwoździkami, i formował wałeczki kitowe, i szast, jednym pociągnięciem noża wzdłuż listwy okiennej wyrównywał ten kit i sztrychował. Potem długie tygodnie można było sobie ten kit wydłubywać i lepić, tak długo trzymał się miękki i plastyczny.

I znowu skrawki materiału, „próbki” przynoszone przez podróżujących sprzedawców, malutkie książeczki z próbkami materiałów, ślicznie nazębkowane na brzegach, sukienne, kamgarny, szewioty, gabardyny, a do tego wstążki i szutaże, ołowiane cekiny do wszywania i obciążania żakiecików, a matinki, szlafroki, toczki na głowę i co jeszcze? rzuciki, kontrafałdy – dziwaczny świat, materia pochłaniająca, obramowująca nagie ciało. Czego znowu było się ciekawym od samego zaczątku. I wtedy przychodzi wspomnienie kąpieli w Serecie, wielka wyprawa do Seretu, ale to gdzieś daleko, i szło się latem, a powietrze aż stoi od popołudniowej spiekoty, i szło się skosami „ścianek” Seretu, gdzie wyłażą cienkie warstwy skałek i sypią się swoim skałkowym pyłem, a niżej wygony ponad rzeką, zaśmiecona ich trawa odchodami gęsi, których stada gęgliwe, siodłate i obskubane rozgęgały się, i równe na pochyłości schody wytratowane racicami krów schodzących do wodopoju w rytmiczne, jednakowe schody, i rozplaskany nawóz krowi: świeże placki szpinakowe i stare, zdrewniałe łajna. I dochodziło się gdzieś, gdzie w wielkim cieniu, w wielkiej gęstwinie, w zieleni stare młynisko z wodą młynówki kaskadującą po łopatkach nieruchomego koła, koła pokrytego oślizgłą jasnozieloną mazią wodnej grzybowiny, zielonego żyjącego wodnego szlamu, i tam dopiero. A tu woda ściekająca kroplami, haustami, kubłami z koła młyńskiego, a tu, wpośród tej wody, aż do zatchnięcia tchu w piersiach, a woda perli się na skórze jak pot kroplisty i wielkie ciała kobiet wpośród prześcieradeł, prześcieradła z konopnego płótna i mokre od wycieranej wody, i wielkie, sążniste ciała kobiet, przeguby ich kolan, fałdy ich bioder, veronese’owskie ciała, łydki zbiegające ku stopie, ku kostce, jak kliny, i uda jak toczone wały, i zapach ciał kobiecych w lecie, pachnących od potu, mydła i wody z młynówki, i kręcone włosy ich wstydliwych zbiegów ud i podbrzusza, nabite cycki

rozwalone na piersi i brzuchy wypukłe i wklęsłe, gdzie pas i talia, i włosy pod pachami, i śmiech ich jak rżenie kobył podnieconych w pławieniu, i dziwnie, nieziemsko, i pomieszanie, i dreszcz, i przekorny śmiech, i zachłyśnięcie się znowu wodą. Ażeby to potem zostało pomieszanym wspomnieniem w dreszczu godziny zasypiania dziecinnego pokoju. Dziecinnego pokoju woniejącego pieluszkami, pisiu, pudrem dziecinnym, landryneczkami i powojem.

Uczę się pośród tego, czy chcę, czy nie chcę, chłonę to naokoło wszystkimi porami skóry, tak jak oddycha się skórą albo tak jak soliter w jelitach chłonie całą powierzchnią ciała, swego robakowego ciała. Przychodzi to do mnie i rozmienia się we mnie, i tu właśnie zaczyna się to przetwarzanie świata na mój własny świat. Folklor mamy jest taki sam, jaki przychodzi, ale we mnie już z tym jest inaczej, bo i inaczej liczę czas, i inaczej pulsuję, pomimo tego, że niewidzialną pępowiną jestem jeszcze oplątany i na poły uduszony w matczynym uścisku.

A potem naokoło głosy i głosy, i powiedzenia, ogród słów, wystrzygane w tym ogrodzie ścieżeczki, naciągnie się taką gałąź ze słowami jak gałąź jaśminu, aż dreszcz przechodzi, kiedy posypie się deszcz kropel rosy. „Tamten ogród” to był drugi ogród koło składu desek Szora, od składu desek pachniało trocinami i śmiećmi żydowskimi. „Idzie jak z płatka” – mówiła mama i zastanawiałem się, jak to może być, że coś łatwo, składnie idzie jak z płatka. „Tadeuszowa” – to słowo określało cały świat stróżowej: jej dzieci, jej męża pijaczyny i, co tu ukrywać, złodzieja, i nieschludnego mieszkania biednych ludzi, a „Roszlakowscy” to znowu słowo obejmujące całą mieszczańską rodzinę, cały mieszczański światek, cały kosmos obracający się wokoło tych samych ustalonych spraw mieszczańskich, „z domu”, „po mężu” to znowu całe rytuały przyjętego małżeńskiego urządzenia społecznego, sztywnych praw, etyki, porządku społecznego.

Aż tu nagle wybucha: „Podpalacz!” I podpalacz: biedny, prowincjonalny, zagubiony pomiędzy polami Seretu Herostrates, piromaniak, który chciał się wyszarpać z jednakowości tego życia z bańką nafty i pudełkiem „siarników” w rękach herostratesowskich – i wybucha to słowo z łuną, czerwonym kogutem buzującym ponad dachami i wierzchołkami drzew,

kiedy my, dzieci, tłoczymy się do kolan matki i same nie wiemy, co to jest, ale słusznie i prawdziwie nas to straszy, że podpalacz! A kiedy już takim skokiem jesteśmy pośród trwogi, paniki, chwytu u gardła, kiedy jest tak strasznie, że ucieka nam myśl i ucieka przytomność, bo strach, to przyłącza się do tego zaraz inny strach, strach „wściekły pies”, i wściekły pies goni poprzez przestrzenie międzyplanetarne, jego ociekająca śliną morda rozdziawia się ponad naszymi snami i ogon, koniecznie ogon podkulony po psiemu wściekłemu pomiędzy nogi, i tylko tchu, i marzenie, ażeby być w domu, bezpiecznie, wysoko, za szybą okna, i nie koniec temu, bo dołącza się zaraz wyobrażenie na słowo: „wariat”, a przychodzi to ze wsi, gdzie nie ogolony, w dziurawych na tyłku portkach jakiś „durny Jasio”, wioskowy schizofrenik czy *dementia praecox*, w zaciśniętym wężu rąk wydeptuje swoją wariacką ścieżeczkę pod chałupą, i z daleka omijamy tamtejsze przejścia, i już lżejsze wydają się na co dzień strachy przed Cyganami, którzy kradną dzieci, przed Żydem Ćwiokiem, który przychodzi po gałgany i może „zabrać do worka”, jak się nie będzie grzecznym, i już lżejszy jest strach przed Kłymem nosiwodą, a Kłym jest zarośnięty i ma rudą jak franciszkański habit kapotę, i jedną nogę na zawsze wykręconą bokiem ku przodowi, i jego chłopski but w miejscu natarcia jest okuty kowalskim żelazem.

To po tym strachu z jaką ulgą wpada się znowu w szczęście, w puch szczęścia: woda sodowa! woda sodowa! buzująca kropelkami gazu w karafce i jak zamiesza się sok malinowy, to tęczuje się tam ten sok różowo jak samo szczęście!

Co to jest szczęście? Zakręci się od tego w głowie, jest przymilnie, swojsko, nic nie boli – w pierwszym rzędzie. W drugim rzędzie – nie ma nudy. Nuda to zapędzanie wczesne do łóżka, przed którym wieczorem broni się jak przed upadkiem w przepaść. Szczęście to jest wspomnienie, nabyty kawałek życia przeżytego na własność, nie do odebrania. A wspomnienie tego staje się naraz marzeniem. Marzy się. W tym świecie marzeń z ułamków, kawałków i odpadków zapamiętanych składa się na nowo inny kształt. Uśmiecha się do tego kształtu, jest to coś własnego, coś, co podnosi nas do bluźnierczej pychy tworzenia z niczego, tworzenia czegoś, czego

jeszcze nie było. Można siedzieć pośród połamanych zabawek, wiórów, łopuchów i trawy albo pośród krajobrazu i składać z porozrzucanego świata nowy kształt. I to wydaje się, że jest szczęście. Naturalnie, że do tego domiesza się zmartwienie, strapienie każdego twórcy. Że chwieje się nam to w palcach, nie klei, nie trzyma równowagi, ale trzymamy się tego. Wspomnienie. Wspomnienie, bo już w samym wspomnieniu jest rytm, aliteracja i powtarzanie się rzeczy, więc dudni to jak poemat. Ale do tego potrzeba także czegoś nowego zawsze i ciągle, jakby nas zabolały wszystkie nagniotki na duszy, jakbyśmy chcieli wypruć się raz z Dejaniry koszuli codzienności. Powtórzenie i nowość. Powtórzenie straszące nudą i nowość przerażająca nowością.

Co to jest szczęście? Gdyby chciał ktoś wydedukować sobie z najwidoczniejszej i najoczywistszej ludzkiej chęci i łapczywości, to wydawałoby się, że zaspokojenie ambicji. Bo niby wszystkie nasze drapieżne dążenia, szamotania się, wyszarpywania się wychodzą z jakiejś ludzkiej palącej potrzeby, żarłoczności do panowania człowieka nad człowiekiem. Dlatego już najwcześniej zaczyna się: „mój tato to – mój tato owo”, niby że przez tego tata, przez wyimaginowane czy prawdziwe właściwości tego pana, ma się okazję, pierwsze możliwości do wywyższenia, do wysunięcia się. Zaraz by sobie to jaki psycholog porównał do najbardziej pierwiastkowej, prymitywnej sztuki *mimicry* i udawania, kiedy ten czy ów owad naśladuje potężniejszy czy jadowitszy gatunek, stwarza przez to psychologiczną atmosferę wyższości i, naturalnie, zaraz z tej wyższości ciągnie natychmiastowe korzyści. Jak to ja jestem zdolniejszy, mądrzejszy, bogatszy, bardziej obdarzony, wpływowy, lepiej urodzony, cnotliwszy – to nie tylko to, że jestem cnotliwszy i bardziej obdarzony, ale do tego dołącza się i nawarstwia atmosfera tego do kwadratu: jestem bardziej potężny aniżeli jestem potężny. Takie sobie oszustwo od samego początku.

Co to jest szczęście? Kiedy za każdy wzlot – nazwijmy to ładnie wzlotem – przychodzi potem naturalna reakcja na ponuro, kiedy właśnie za taki plusowy ładunek elektryczny płacimy potem rozładowaniem, to byłyby to może po prostu tylko złudzenie i mechaniczna oscylacja. Jak się ma upór,

nie, przepraszam, nie upór, ale przekorę, przekora jest na takie rzeczy i zmysł niezależności, to będziemy uciekać się zawsze za tymi mądrzejszymi od nas w greckie ataraksje, indyjskie nirwany i jakie by tam jeszcze nie były. Kiedy oddać się omdlale temu natchnionemu rozwiązaniu, kiedy usunąć się w cień i monotonię braku wszystkich pożądań, [w] zapatrzeniu się we własny pępek, odwróceniu ócz od wiecznie drażniących i ekscytujących spraw fizycznego życia, to stajemy na progu właśnie najczystszej i najbardziej wyszukanej chwili spokoju – śmierci.

Ale teraz się żyje i jest się zewsząd oblepionym ciastem życia. W którą stronę się ruszyć, jak nie zadać sobie ciężaru tego, jak nie wetchnąć w siebie powietrza, życie przecieka, przeszywa nas jak kosmiczne promienie. Pełne życie, pełna świadomość i stany omdlałe, komy, stany nieuwagi, obojętności i wreszcie snu. Nawet we śnie się żyje, nawet we śnie przychodzi sen: dzikie, poplątane, niewyraźne zlepki jawy, przerażające albo rozkoszne, dziwaczne i niewyrozumiałe. Wielki demokratyczny sen sprowadzający do tych samych drżeń sny bogaczy i ubogich, sny zbrodniarzy i tak zwanych świętych, sny dzieci i dorosłych, kobiet i dziewcząt, i mężczyzn. Przed snem powtarzało się monotonnie, przez poziewywanie, klęcząc u łóżka, wpatrzonym w oleodruk z Mater Dolorosa i sercem siedmiu mieczami przeszytym albo w deseń dywanu, powtarzało się: „Aniele, stróżu mój, ty zawsze przy mnie stój”, a potem, już szybko pytlując: „rano, wieczór, we dnie, w nocy stój mi zawsze ku pomocy…”, deseń dywanu zachodzi na siebie, lśni poręcz łóżka i pufią się tęgie okrąglizny poduszek. A potem jest już tapeta na ścianie, krąg od lampy na suficie, zapach znajomego łóżka, znajome ściany, jakże znajome naokoło, jeszcze serce bije od wieczornej zmrokowej gonitwy, ale głowa ucieka, ucieka i jawa jeszcze miesza się ze snem, a potem jest otchłań, ciemnozielona? snu…

A inny dziwny stan jest u przebudzenia niezwyczajnego, kiedy niezwyczajnie w zimie budzę się do rana, które jest jeszcze nocą – zimowe rano roratów, kiedy jest jeszcze noc i pali się kuchenna lampa pomarańczowym kaprawym światełkiem, i jest od niego dziwnie, na pół raźnie, niezwyczajnie. Czarne okna, od których oczekiwało się dnia, czarne

i tępe, i światło lampy kładzie się na ściany, włochaty płomień lampy. I… i coś się tam dzieje, jak w tajemnicy, poranne krzątanie się kogoś, a po wypoczynku snu wszystkie zmysły są naostrzone wspaniale – zmysł zapachu, kiedy czuje się nosem, jak pachnie szatkownica, którą wczoraj szatkowano kapustę, i układano [kapustę] w beczce, przedzielając deskami i kładąc na luźne dno na górze ciężkie kamienie; szatkownicę wypożycza się i ktoś, chłop, przydźwigał ją na plecach. A szatkownica to bardzo prymitywne płaskie koryto drewniane, w pośrodku poślizgu jest ustawionych płasko kilka noży i suwa się po poślizgu głowę kapusty, i odstruguje się ta kapusta jak w mikrotomie, i pozostają kaczany, które, kiedy się gryzie, są wodniste i słodkawe. Ale teraz lampa się pali i pochwycić można zapach mąki, bo coś się tam przygotowuje do pieczenia, i miesi się ciasto, i buzuje wczesny, młodziutki, niedojrzały ogienek pod blatem kuchni, i jest niezwyczajnie w to ciemne nocne roratowe rano.

W to roratowe rano, wyrwane jedno z dzieciństwa, oddzieje się wszystko. Jeżeli nie brać pod uwagę przywiązanego do tego religijnego, nie sformułowanego, liturgicznego sczepienia się z tym idei o czymś nadrzędnym, tłumaczącym po prostu i prymitywnie i usprawiedliwiającym niepewność istnienia, to wtedy pozostaje mieszanina niepokoju i ciszy rzeczy dziejącej się sama przez się, uporządkowanej – że rano, że jeszcze ciemno i noc zimowa, że po wypoczynku i błogo jeszcze od katalepsji i udurzenia snem, że przy tym niezwyczajnie, bo przedtem jeszcze się to nie wydarzyło, nie było jeszcze przedtem takiego rana, cieniutki brzask, nienormalność godziny porannej i spokój z tego płynący, dobroduszność kaprawego światełka lampy.

Bo potem trzeba znowu wyjść naprzeciw świata przetłumaczonego na folklor mamy. To, czego się domyślam, i tego powiedzianego mi w języku szablonowym, w skrótach, słowach i powiedzeniach. Strach, który ze sobą przyniosłem, niewytłumaczalny instynktowny strach, zostaje mi wytłumaczony, podany i spreparowany w słowach. Nie dlatego się boję, że mam doświadczenie tego, ale dlatego, że ziarno z tego przyniosłem ze sobą. Przesiadam się tylko z niewytłumaczalnego w wytłumaczalne, opowiedziane, w słowa, które ubieram zresztą i stroję po swojemu. Strach

przed fizyczną presją. Wszystko jest po temu. Mówią a opowiadają o „pasach”. Pasy. Pasy. Przymknę oczy i widzę je. Owszem, widziałem gdzieś pasy transmisyjne. Mogło to gdzieś być. Szerokie taśmy z juchtu, skóry, zszywane na spojeniach surową skórą, wyślizgane i gładkie, leżące na swych kołach transmisyjnych. Nawet to ładnie wygląda, kiedy koło zamachowe lokomobili zawyje i szprychy kół transmisyjnych zaczną się obracać, naprzód powoli, a potem coraz prędzej, i pas jakby się zawahał, i potem rusza swym posuwistym ślizgiem, spojenie, szycie surówką czy nitami miedzianymi pojedzie i ucieknie, i zaraz nawróci, pas ma zwis i tolerancję i zabalansuje, zasyczy i pójdzie skręcony w ósemkę jak znak nieskończoności, jak powierzchnia topologiczna, która nie ma dwu stron, zahuśta się samolubnie, samotnie i napędza się w huku maszyny. To jest jedna sprawa. A teraz opowiadają: „pasy”. Chwyciły go pasy. I teraz całą wyobraźnię trzeba zwoływać, ciągnąć z rozmaitych zaułków domyślniki, wrażenia. Porwany przez pasy. Kto? Człowiek! – ten niesprecyzowany, nieznany, ogólny człowiek. Człowiek. Można go trochę sprecyzować, jak się trochę pomyśli. Nie będzie to, naturalnie, ktoś z naszej sfery, nie, niemożliwe. A właściwie: możliwe – może się zdarzyć ktoś niepowołany, zbliżający się do niebezpiecznego miejsca. Ale w każdym razie ten człowiek, o którym się mówi, to będzie coś bardziej z robotnika z dołu, z wyrobnika dniówkowego, który ma coś tam do roboty, albo może to był chłop, który tam przywiózł mąkę do zemlenia, furman, człowiek bardziej pasujący do wyobrażenia ogólnego gatunku, nienazwany, niesprecyzowany człowiek. I dlatego jest strasznie. Bo blisko mnie. Mogę sam być łatwo bliżej tego nieimiennego człowieczeństwa. Człowiek bliski mi tak, że identyfikuję się z nim. Człowieczeństwo nasze jest tak podobne, że jesteśmy jednym. Jesteśmy jednym i nie jesteśmy. Bo jak to – myślę swoim dziecinnym wyobrażeniem – że pasy! Pasy chwytają człowieka, trochę wtedy przeobraża się to w imaginacji w jakąś kukłę szmacianą, popsutego pajaca, który, szarpnięty i porwany pasami, rzucany jest o ścianę. Pasy, tragiczne linie pasów krzyżujących się prostymi jak jakieś asymptoty, w których tragiczną siatkę, celne kierunki chwycony jest człowiek, człowiek, to znaczy: i ty, i ja, i on, każdy z nas, i wtedy, o bezsilności!

o bezwładności! o nieporadności ludzka! pozostawiona sobie samej, kiedy za jedyne współczucie pozostaje spazm strachu i paniki w oczach innych, człowiek pozostaje samemu sobie w okrutnej chwili, chwycony w pasy transmisyjne jak tragicznie krzyżujące się asymptoty, znak muzyczny na liniach strun, wykrzyknik tragiczny i samotność. Potem to jest sobie trudno wyobrażać. Zlepić to sobie można: fura chłopska o słocie czekająca u bramy szpitaliku powiatowego, potem długie miesiące pośród jodoformów, potem rekonwalescencja na zapiecku brudnej chłopskiej chaty i wreszcie kikut ludzki u wydeptanych progów cerkiewnych albo miamlący: „*Ludy – Hospody, pomyłuj!*” pośród kurzu jarmarcznego. Ale to już za wiele jak na jeden niedorosły mózg. Zresztą czekają inne trwogi.

Kiedy po pałającej godzinie dnia letniego przyjdzie burza. Kiedy zawierci, zakręci w powietrzu liśćmi i źdźbłami traw, kiedy rozwarczy się piorun wpośród kłębiących się chmur burych, rozświeci się błyskawica, ażeby zasunąć biały, niebieski dzień stalową nakrywą chmur, i lunie deszczem, a deszcz raz skropli się po szybie okiennej, inny raz zacieknie płaskimi pionowymi strumyczkami, i dzień, i znajomy dom, i ogród staną się jakże opuszczone wpośród pionowych mórz, oceanów na sztorc postawionych, przyciśnięte do ziemi płaskim stropem, klaustrofobicznym sklepieniem chmur. I wpośród tego żywiołu staje się strasznie. Wydaje się, że już nigdy nie znajdziemy się na suszy, że niedawny świat słońca i szerokiego oddechu skończył się, że zostaliśmy sami. Zachwiały się w nas ufność i spokój codziennego dnia, jesteśmy sami wpośród wód i tylko blaszana rynna wściekle rzyga wodą deszczową jak gargulec katedry Notre-Dame, i znów zatnie deszczem po ścianach domu, i wiatr przygnie drzewka wiśniowe w ogrodzie. Na zalanej wodą ziemi podwórza aż włochato od rozpryskujących się kropel – jedna raszpla – i piorun, i znowu piorun. Patrzymy, wtuleni w siebie, w ten chaos, w naturę, która nagle wyzwala się z jarzma swego porządku, jesteśmy wpośród kataklizmu, jakbyśmy mieli być uniesieni szturmującą falą przypływową albo jakbyśmy cudem wybrani byli, nieszczęśni, jak nieszczęśni u stóp Mont Pelée Martyniki. Przybiega nam nie pocieszający słowniczek domowego folkloru, że „żelazo”, że zawsze należy oddalić od siebie żelazo, bo żelazo ściąga pioruny, że

potem są takie, że wpadają jak kula ognista, przypomną Benjamina, ze wszystkich możliwości, Franklina i jego latawce ściągające iskrę elektryczną, folklor dzwonka loretańskiego rozdzwonionego na trwogę wpośród trwogi, podnoszące to wszystko do kwadratu, i rzyga rynna blaszana wodą, tłustym strumieniem wody, i powtarza się sobie samemu drżącymi wargami, że to już było, że był potop, *déluge*, i że potem była tęcza przymierza, i że już nigdy więcej i nigdy więcej.

A potem przychodzi wieczór i wpośród burych chmur błyska złote, jakby zawstydzone światło – słońce zarumienione tym, że nas opuściło i zdało na łaskę nawałnicy, i wszystko błyszczy dookoła od wody, ale ten świat nie jest jeszcze pewny siebie, jest zmokły jak zmokła kura, wszystko wokoło zwiotczałe, zbabczałe od wody, wydaje się, że rzeczy straciły swoją solidność i stały się jakby ze śliskiej gumy. Czego się dotknąć, to mokre i niesolidne; czemu tu zawierzyć? – niepewny świat, nieprawdziwy, z jednym deszczem zmieniło się i z jednym deszczem przychodzi zwątpienie i rozczarowanie, i już nigdy nie zawierzyć, już nigdy nie być pewnym, już nigdy nie oprzeć się. Zmyła to woda deszczowa, dziwna woda – deszczowa, „deszczówka”, która zebrała się w tęgich cebrach i beczkach u okapów domu, rozkałabaniła się w kałuże, wylała się z rowów i przecieka teraz wszędzie brudnymi strugami.

Ale jest już radośnie, jest już wesoło, bo reakcja, bo ulga i zmartwychwstanie, popioły strachu rozsypują się za nami i już jesteśmy, i anektujemy to nowe, i anektujemy to w ten sposób, że brodzimy w brudnych, mętnych wodach podwórzowej i przeddomowej powodzi, i nie ma zmartwienia nawet w tym, że rozcinam sobie podeszwę na butelkowym rozbitym szkle na dnie rowu chlustającego wodną posoką świata.

Tak zaczyna się życie. Tak ma się z wtajemniczeniem. Tak reaguje mój naskórek, tym jestem. Będę teraz szedł, błąkał się pośród tego. Będę się parzył i odrapywał wpośród kantów. Zasłucham się we folklory, poddam się narkotykowi słowa innych, będę czepiał się fałd innych, będę odbierał szturchańce, pchnięcia albo spocone podane dłonie. Będę się buntować stadu i będę mu się oddawać, cisnąc się pośród jego ciżby. Będę wolał raz ostry dziewiczy oddech przepaści w górach i będę zamykał się w oborze na

odmianę z innymi. Będę trzymał się jednego kołu w płocie, ażeby puścić się go i chwycić innego. Będę myślał: to jest właśnie to, co jest warte, a tamto to nie było warte. Będę graczem, będę się hazardował niechcący, będę chwytał palcami los. Będę raz mądrym, wyrachowanym wybieraczem tego losu, innym razem będę bezprzykładnym korkiem poniesionym po fali. Raz będę jednością z całością, innym razem będę sam, zupełnie sam, nic innego nie będzie się liczyć, tylko ja sam. Będzie mi tak, jakby świat to był ja, a ja to świat. Kiedy mnie nie ma, nie ma świata. To mam w sobie wszystkie bóle i wszystkie szczęścia świata. Będę się samego siebie pytał, na jakie buty to się komu zdało. Potem będę pełen rezygnacji. Potem rozentuzjazmuję się do czegoś, potem przyjdzie znowu zmęczenie. Ale będę. Ale będę.

[prwdr. „Wiadomości” 1950, nr 21, pt. *Pięć lat dzieciństwa*]

OSTATNI ZBIÓR OPOWIADAŃ [1972]

Wstęp

Stul mordę… och, stulże raz mordę… Już słyszałem to tyle razy, w środku mi się przewraca od tego… No, stary, nie miej do mnie pretensji, ale człowiek ma swoje nerwy, nie? Dlaczego wybrałeś sobie mnie na wygadanie się? popatrz, całkiem zasmarkałeś mi kamizelkę tymi swoimi łzami… W przenośni, ty bucu, w przenośni! Wszystkim wam się wydaje, że każdy z was to jedyny i że nie ma nic ważniejszego niż wasze własne serdeczne podrygi. No i co z tego, no i co z tego? no, puściła cię w trąbę, zgrałeś się, no to walaj! Gdzie tak zwana godność męska? Ona jedna na świecie? Godność, mówię ci, godność…

Myślisz, że mało tego widziałem, że mało się napatrzyłem? Myślisz, że sam tego nie przeżywałem? jak się to mówi, każdy ma swego móla, co go szmula, tak się mówiło „wy Lwowi”. Jakeś mi tak zaczął, wróciło mi to z całą zgagą, jaką potem miałem, z bólem głowy po zaczadzeniu wódką, ze wszystkimi zadziorami…

No to teraz ja ci opowiem, jak to jest ze mną. Gdy mnie już tak sprowokowałeś i naciągnąłeś, może uda mi się to właśnie wypowiedzieć. Kiedy ci to będę mówił, wleje się to wszystko w koryta, w ścieki słów i Boże mi dopomóż, ażeby przez słowa i mechaniczny schemat składni nie ominęło to prawdy, ażeby było naprawdę tym, co chciałbym powiedzieć. Będę marszczył czoło i gryzł paznokcie, wybaczysz mi te nieapetyczne i nie kontrolowane odruchy, będę się pocił siedmioma potami, ażeby powiedzieć to, ażeby powiedzieć to. A ty słuchaj.

Co mamy dzisiaj? Jest sobota, kończymy swój umówiony tydzień pracy i mamy prawo do wypoczynku. Gdy podzieliliśmy sobie czas, gdy wpatrzyliśmy się w zachody słońc, gdy przyłożyliśmy ucho do ścian i gdy to, co słyszymy, mówi nam, że jesteśmy w tym samym kole zgiełku i szumu innych wokoło nas, trudno wymigać się od tego, ażeby nie żyć takim samym narzuconym życiem, jakim żyją inni. Więc jest sobota i przed

nami jest wypoczynek. I ty, i ja, i inni mamy chwilę wytchnienia i możemy sobie pozwolić na to, ażeby pomarzyć. Jak nas to zacznie wywlekać za daleko, jak zejdziemy z koleiny, jak potkniemy się o to, co jest poza drogą, wrócimy zaraz z powrotem w szereg, tak jakbyśmy dostali kopniaka i ktoś nam rzucił brutalnie: „Marsz!” Więc to nie jest tak łatwo.

[prwdr. „Wiadomości” 1949, nr 49, pt. *Madrygał dla Anusi* (fragm. początk.)]

I

Lutnia

O „Białokamiennej”, cóż to ja mogę napisać o „Białokamiennej”? Że tam nigdy nie byłem, że to daleko, gdzieś za światami, że nasi nie nazywali jej po imieniu, bo imię odnosiło się do całych obszarów, ale nazywali ją po prostu „Stolicą”. Stolicą, ale czego? Pogranicza tundry brzozowej i bagien, stepu i władztwa Tatarów. Toteż jeżeli już chcę ją sobie wyobrazić, to mojej wyobraźni pomoże wyobraźnia innych.

Weźmy na przykład taki obraz, który mógłby być produktem jakiegoś pompiera z XIX wieku z Tretiakowskiej Galerii albo, jeszcze lepiej, wzięty z filmu Eisensteina. Zima rozesłana śniegiem aż po siny las na horyzoncie i przysadziste wieże, i banie cerkiewne, i częstokół grodu, i biały dym z kominów miejskich na tle czarnego nieba. Przed broną bramy – czekają. W ciężkich tołubach i szubach, pikowanych grubych kaftanach, zbrojach ze skóry z ponaszywanymi na niej blachami, włosy przycięte, brody (nosili brody i w lata później pan Pasek wspomina, że w bitwie pod Lachowiczami aż dziwnie było najechać na takiego zasłaniającego się ikoną brodatego wojownika, „jakby się na panów ojców porywać” – powiada pan Pasek). Od horyzontu odrywa się ruchliwy przecinek, rośnie, już można odróżnić jeźdźca na koniu, koń kopie się przez zaspy, „zastrugi” i rozpyla piersią tuman śniegu przed sobą. Jeździec rośnie, już odróżnić można grzywę bachmata, pieniążki w nią wplecione, wysoko skurczonego na kulbace jeźdźca, w łubiu łuk, nahaj u przegubu ręki i skośną twarz. To posłaniec z Kazania, „baskak”.

A teraz zaczyna się ceremonia, protokół uroczysty niczym nie ustępujący sztywnym przepisom, jakie obowiązują na dworze habsburskim w Escorialu albo Valois w Tuilleriach. Jeździec jest tuż i spłoszone gawrony zrywają się ze śniegu i kołują pod niebem. Bachmat łypie oczami, chrapie i ostrożnie wstępuje na rozesłane na śniegu skóry wilcze, niedźwiedzie, łosiowe, tygrysie, na mieniące się cudnymi kolorami kobierce: saruki,

hamadany, karamani, bucharskie cuda. Grzęzną w nich i toną bose kopyta konia. Jeździec siedzi na nim niewzruszony i z góry patrzy na golone karki zebranych, kiedy czołem biją o ziemię. Teraz najstarszy z obecnych dostojników podchodzi do puśliska i podaje jeźdźcowi w obu dłoniach trzymaną czarę wypełnioną pieniącym się kumysem. Kumys ścieka z obwisłych wąsów pijącego posłańca i krople mleka spadają na kobierzec. Do tegoż ceremoniału należy, by najstarszy z witających najpokorniej przypadł do ziemi i zlizał uronione krople napitku.

Jeździec z konia nie zsiada. Z łubia na łuk szybkim ruchem dobywa zwój kory brzozowej: „gramotę", „jarłyk" z proklamacją, ukazem chana. Znów biją czołami i dotykają nimi ziemi.

Cóż mi tu opowiadać o „Białokamiennej": o Kitajgorodzie, o Krymgorodzie, o Bramie Troickiej, o Matce Boskiej Uspieńskiej, o cerkwi Wasilija Błogosławionego i wielkiej armacie, którą zwą Car-Puszka? Nigdy tych cudów nie oglądałem.

Kiedyś, gdy byłem mały, pamiętam, jak ojciec wrócił z jakiejś długiej podróży końmi, wynajętym zaprzęgiem. Coś tam było – zdaje się, że furman musiał zostawić w domu źrebię lejcowej klaczy i że musiał odciągnąć jej mleko; miała wymię nabrzmiałe, więc musiano zrobić ten zabieg. To mój ojciec kazał mu to mleko odciągnąć do podstawionego kubka, a potem kazał mi się tego kobylego mleka napić. Trochę to było dziwnie, trochę wstrętnie, ale napiłem się i ojciec zadowolony ze swego pomysłu patrzył na mnie i uśmiechał się jakby drwiąco, i powiedział mi: „A wiesz, teraz na górnej wardze z jednej strony wyrosną ci trzy takie włosy i z drugiej strony – trzy włosy, i oczy zrobią ci się skośne, i będziesz całkiem jak Tatar". A Tatarzy? Mówią nam dzisiaj, że nie było się znowu co tak nad nich wywyższać, że to była kultura, której my tylko nie rozumieliśmy ani dorównywali, że „każdy w kieszonce od kamizelki, każdy z tych Tatarów nosił zegarek na łańcuszku". Tak – ci ze Złotej Ordy i ci z Astrachania, i z Perekopu, i Dobrudży, i Nogajcy, i Biała Orda, i Czarna Orda, i ci, co ściągali haracz od kniaziów. Aż kiedyś poselstwo Rurykowiczów z haraczem przybyłe do Kazania nie miało go komu zdeponować. Przyszło Kulikowe Pole, minęło lat sto, dwieście lat, lat

trzysta i straszni niegdyś Tatarzy, mówią, stali się najlepszymi kelnerami w najprzedniejszych restauracjach imperium, zawsze podobno taki maître d'hôtel czy „*Ober*" w eleganckiej restauracji na Kreszczatiku czy na Mojce to był Tatar, kłaniał się i brał napiwki.

Ale „Białokamiennej" nigdy nie oglądałem ani nie dawałem napiwków Tatarom kelnerom.

Natomiast o Żółkwi mogę powiedzieć bardzo wiele.

Leży u stóp Roztocza – wzgórz, garbów zielonych od dębów, buków, grabiny, modrzewi. Kiedyś klimat tu był jeszcze słodszy, poznać to z nazwy przedmieścia Winniki, a wszędzie, gdzie są jakieś Winniki, dowodzi to zaraz, że sadzono tu kiedyś winną latorośl. Zresztą Winniki były tu przedtem, zanim założono Żółkiew.

Przepływa nią rzeczułka, która nazywa się po prostu Świnia. Pytałem ojca: dlaczego Świnia? „Widzisz" – powiedział mi ojciec – „ludzie tak zawsze nazwą wodę, jak im będzie robić szkody". Bo ta niepozorna woda płynąca głębokim rowem zarosłym zielenią łopuchów, wikliną, mętna od mułu, przeciekająca leniwie pod mostami, chłodna i spokojna, ciurkająca sobie, zamieniała się przed wiosną, na krótko zresztą, w pełną furii, rozjuszoną lochę – wściekłą samurę.

U izbic mostu piętrzyły się olbrzymie kry zielone i zbrukane i przelewała się przez nie z szumem woda, i podchodziła pod podłogę mostu. Od rana słychać było głuche detonacje. Na moście stał porucznik Sobolewski, w zębach miał kółko zawleczki ręcznego granatu. U przyczółka mostu, przy otwartej skrzyni, w której przegródkach były oliwkowego koloru jajka zaczepnych granatów, klęczał wachmistrz i „ostrzył" je, wkręcając im zapalniki. Za chwilę porucznik Sobolewski szukający oczami szczelin między lodem rzucał z zamachem granat i zginał się wpół przed bryzgami wody i deszczem lodowym, jaki po wybuchu leciał na podłogę mostu. Niewiele to pomagało. Niewiele pomogło, gdy inżynier Sawicki z powiatowego urzędu dróg i robót wodnych wytyczył za miastem, daleko za Winnikami, nowe koryto rzece, wytrasował jej nowy kanał: prosty jak strzelił, z solidnymi skarpami, ich odarniowaniem, opleceniem materacy i fartuchów, chruścianych ostróg. O wiośnie Świnia szalała i ryła od nowa.

Mówiło się o Żółkwi, że jest jak Carcassonne, bo miasto otaczają jeszcze mury i wały i wjeżdża się do niego bramami. Glińską – z klasycznymi hełmami, szyszakami wieńczącymi tympanon i z pordzewiałym łańcuchem brony czy zwodzonego mostu, Zwierzyniecką – z kratami tiurmy nad jej sklepieniem; a na wały miejskie rzucają swój cień drzewa i biegnie ich koroną deptak do spacerów. Rynek z podcieniami, kamienicą, u której w niszy rudy lew położył łapę na ewangelii – tu rezydował kiedyś poseł Wenecji. Zamek, cerkwie, klasztory Dominikanów i Bazylianów, ażeby było tak, jak nam to opisał książę-biskup warmiński: „bram cztery ułomki, dziewięć klasztorów i gdzieniegdzie domki". Owe „domki" ciągnęły się już poza murami, wzdłuż ulicy Lwowskiej, którą w uznaniu zasług burmistrza, doktora Muszkieta, przemianowano na ulicę Doktora Muszkieta. Doktór Muszkiet nie wzruszony tym gestem wdzięczności obywateli rzeczowo powiedział o tym: „Przedtem Żydzi wylewali nocniki na Lwowską, a teraz wylewają je na Doktora Muszkieta".

Fara olbrzymia renesansowa, założona na krzyżu, z kopułą wysoko w górze i wieżą dzwonnicą stanowiącą basztę w murach miejskich, obmywającą swe stopy w Świni. We farze nagrobki: płyty sławiące pochowanych w sklepiszczach pod posadzką Daniłowiczów, Herburtów, Strusów, Sobieskich, z czerwonego jak zaschła krew marmuru wysokie pomniki w murze Żółkiewskich: ojca i syna, Żółkiewskiej z Herburtów Reginy i synowej, i u mężów Żółkiewskich należne im, wyślizgane w czytankach szkolnych: „DVLCE ET DECORVM EST PRO PATRIA MORI" z Horacjańskiej ody i z *Eneidy* „EXORIARE ALIQUIS NOSTRIS EX OSSIBVS VLTOR" – „Mścicielu, powstań z kości naszych!"

W nawie bocznej po stronie lekcji wisi olbrzymie płótno Altomontego, ale to rozmiarów tak ogromnych, że zwisa u dołu fałdą jak żagiel galeony w czasie ciszy morskiej. A na nim *Ultor* pod Wiedniem. A z drugiej – po stronie ewangelii – bliźniaczy tegoż Altomontego obraz ukazujący bitwę pod Parkanami.

No to kiedy tak już po baedekerowsku jesteśmy pedantyczni, to przypomnijmy, że w tejże farze żółkiewskiej wisi obraz wyobrażenie jeszcze jednej bitwy. A że lubowali się wtedy w łacińskich inskrypcjach

i zaopatrywali nimi obrazy tekstem, jak w amerykańskich komiksach, to i na nim u góry jest taka sentencja, którą sobie odcyfrujemy: „DEXTERA DOMINI FECIT VIRTVTEM”. Na obrazie bitwa. Konie nie rozbrykane, ale, jak kazał to malować Ucello, zastygłe w hieratycznym skoku, kwadraty i prostokąty, i czworoboki zbrojnych pancernych ludzi, nad nimi las kopii, gąszcz „drzew” – te u pierwszego szeregu już wachlarzem są zniżane – wpośród tych lanc i kopii proporce i znaki. Namioty wojenne. Chmury dymów. A bitwa? Przepiszmy o niej:

„Gdy już wojsko stanęło w sprawie, objeżdżając pan hetman z hufu do hufu, animował swoich, ukazując, jako *necessitas in loco*, *spes in virtute*, *salus in victoria*, i kazał uderzyć w bębny, w trąby do spotkania.

Nieprzyjaciel też już był stanął w sprawie…

Trwała bitwa długo, bo i nasi, i oni, zwłaszcza cudzoziemcy, poprawowali. Naszym, którzy na moskiewskie hufy przyszli, łacniejsza była sprawa, bo Moskwa nie strzymała zrazu, jęli uciekać, nasi – gonić… Francuzowie i Anglikowie jezdni przecie z naszemi rotami w polu, coraz jedni drugich posilając, czepili; aż kiedy już nie stało onych Niemców pieszych, którzy przy płocie nam byli na przeszkodzie, skupiwszy się kilka rot naszych, uderzyli na oną jazdę cudzoziemską kopiami, kto jeszcze miał, koncerzami, oni też *destituti praesidio* ludzi moskiewskich i onej piechoty nie mogli się oprzeć, jęli w swój obóz uciekać, ale i tam nasi na nich wjechali, bijąc, siekąc, pędzili ich przez obóz ich własny…”

Przypatrzmy się dobrze pocztowi sztandarowemu. Podporucznik, wachmistrz, starszy strzelec konny. Szwadrony, które przymaszerowały na nabożeństwo niedzielne w farze, zachodzą z trójek w dwuszereg (tylko ostrogi: dzyń, dzyń, dzyń! i komenda: „Róóównaj! – Szaaable – w dłoń!”) i chorąży ściąga z drzewca sztandaru pokrowiec, i poczet sztandarowy schodzi tam, gdzie odwalona płyta w posadzce ukazuje czeluść schodów prowadzących do krypty fary. W czarnym lochu przy blasku świec zapalonych u sarkofagu widać długie szeregi trumien otwartych, a w nich wyschnięte szkielety w zetlałych żupanach, kontuszach, deliach, pasach, w tercjarskich habitach z kapturem nasuniętym na łyse czaszki – posesjonatów i urodzonych, dziesiątki ich, setki (pokapane woskiem

z ogarków świec, przy których dziad kościelny za grosze oprowadza nielicznych zwiedzających i przyświeca, by lepiej widać było wyszczerzone zęby i piszczele). Na sztandarze wyhaftowane: „Pułk Szósty Strzelców Konnych Imienia Hetmana Wielkiego Koronnego i Koronnego Kanclerza Stanisława Żółkiewskiego”. Przypatrzmy się dobrze pocztowi sztandarowemu – wszyscy w nim naznaczeni śmiercią.

Pan hetman długo służył i wiernie swym królom. Przeciwko Gdańskowi pod Batorym, z Zamoyskim pod Byczyną, z Jeremiaszem Mohyłą przeciw Turkom w roku 1595, w dwa lata później rusza przeciw hospodarowi Michałowi Odważnemu, by znowuż w dwa lata później zbić Szwedów pod Rewlem, a w roku 1606 – Tatarów nad Udyczą, a niedługo potem – rokoszan pod Guzowem. Teraz miał Stolicę.

„*Tandem* do tego się rzeczy przywiodły, że wojsko weszło, któremu pan hetman *opportuna in omnes casus* obrał, kupami w osobnych dworach stanęło wojsko, iżby na wszelki wypadek jedni drugim mogli być pomocni. Pułk pana Alexandra Zborowskiego stanął w Kitajgorodzie, w kupie wszyscy jeden drugiego blisko, pułk pana Kazanowskiego i pana Wajherów w Bełgorodzie także siebie blisko. Sam pan hetman z panem starostą wieliskim stanął w głównym zamku w Krymgorodzie, dworze, który był niegdy cara Borysa…

Przestrzegać pan hetman z pilnością rozkazał, żeby nasi zaczepek z Moskwą nie czynili; sędzie tak z naszych, jako i z Moskwy postanowił, którzy wszelkie diferencje rozsądzali, *quietissime* żyli tak, iż i bojarowie, i pospólstwo, którzy wiadomi będąc narodu naszego swawoleństwa, dziwowali się i chwalili, że tak spokojnie bez wszelkiej krzywdy, nic nikomu nie czyniąc, żyliśmy…”

„Białokamienną”, co tu mówić, budowali Włosi, szczególnie – Krymgorod. Granowitowoją Pałatę – Marco Ruffo i Pietro Antonio Solari, Sobór Uspieński – Aristotele Fioravanti, Sobór Archangielski, Mauzoleum Carów – Alevino Novi, wieżę dzwonnicę Iwana Wielikogo – Marco Bono. Każdy, kto jak ja tam nie był, może zajrzeć do encyklopedii i sprawdzić. Cieniowali ci mistrzowie, uczyli się u Bramantego, kopiowali stare pomniki, trzymali się kanonów i modułów Vignioli, wystrzygali swe cuda

w kamieniu, marmurze, granicie, drążyli kartusze, rżnęli w jaspisie i malachicie liście akantu, kanelurowali pilastry, rozpinali łuki, wydmuchiwali kopuły, sklepienia i nisze, lali w formy stiuki, gips, pozzuolę, terrazzo, przyozdabiali je w sgraffita, zawieszali na ścianach kobierce, gobeliny i płótna obrazów.

Opisywali nam tę „Białokamienną". Eliasz Pielgrzymowski w swym sprawozdaniu z poselstwa Lwa Sapiehy na dwór Godunowa. Jan Żabczyc, nadworny poeta orszaku Laszki Maryny i Łże-Dymitra, impostora Hryćki Otriepowa, w swym *Marsie moskiewskim krwawym*, xiądz Dembołęcki Wojciech w swej opowieści o przewagach „elearów, co ich niegdy lisowczykami zwano". Albo ludzie pana Alexandra Gąsiewskiego z załogi pozostawionej na Kremlu przez Żółkiewskiego. Ludzie z gatunku arkebuzjerów i pikinierów Cortésa, Diaza, Balboi, Pizarrów, Orellany, w ich rozpalonych słońcem Meksyku i Peru hełmach morionach i pancerzach, hipocentaurów cwałujących po peruwiańskich kamieniach Cuzco albo ginących od zatrutych strzał Amazonek na wodach Amazonki. Pan starosta wieliski trzymał swych ludzi na Krymgorodzie w ryzach. Kiedy jeden z żołnierzy, upiwszy się, strzelił z rusznicy do ikony Matki Boskiej na Nikolskiej Bramie, to kazał mu „odrąbać ręce i nogi, kadłub zaś żywcem spalić na stosie wzniesionym u miejsca zbrodni, a dłonie skazańca przybić bretnalami pod znieważonym wizerunkiem Bogurodzicy".

Ach, przepraszam, przecież miał to być przewodnik po Żółkwi.

Budowali ją Włosi. Cudowną tu renesansową synagogę – Battista di Quadro di Lugano, ten, co i w Ostrogu stawiał. Starą bóżnicę z jej zwieńczeniami fasad, przyporami, muszlami z kamienia, gzymsowaniami, akroteriami attyki, murem, który był złoty od starości, ze sklepieniami, kasetonami, lunetami wnętrza. A zamek, jak ten Gucciego w Baranowie, założony na prostokącie, z czterema kolosalnymi wieżami. Jak za jednej wojny wypali się jego jedno skrzydło, to w drugim coś się gnieździ. Jest tak przestronne, że pomieści i sąd grodzki, i urząd powiatowy dróg i robót wodnych, i kataster, i gimnazjum. Potem przychodzi nowa wojna, wypali to skrzydło, to powoli, z namysłem zabierają się do odbudowania drugiego. Kiśnie wapno w skrzyniach, sypie się pył zwożonej cegły, klecą

rusztowania i stawiają formy pod sklepienia i znowu mury nabierają życia i oddychają na nowo.

Nie było już panów i wielmożów, nie sprowadzało się architektów. Robił to Antek Łobos. O Łobosie dawno poszła wieść po salach rysunkowych, na wykładach ze statyki budowli, repetytorium form architektury klasycznej, architektury utylitarnej i projektowania wnętrz. Łobos i Łobos. Widzieliście, co narysował Łobos? Spoza góry śmiecia, fasad, gabarytów, wymęczonych projektów, profesorskiej sieczki wyzierał inny, zachwycający, porywający, kształt brył i harmonii. Łobos, mówili, Łobos, szeptali z zazdrością i nabożeństwem, podziwem i zażenowaniem, że niby jak, czy podobna, ażeby wpośród nas mógł narodzić się geniusz? A sam Łobos? Zawstydzony sobą i pewny siebie wieczny student z wystającymi łopatkami od wiecznego zgarbienia nad rysownicą, skromny i genialny. Po latach zrobił dyplom, ale nie czekał go świat z aplauzem, nie miał budować stolic, Brasilii, Hilversum, wielkich metropolii, monumentalnych pomników. Z jakiegoś zakurzonego biura konserwatorskiego jeździł do miasteczek i tam dźwigał z gruzów i sklejał czerepy starych budowli, mury i wieże, dawne kształty splatał z tym, co zrodziło się w jego głowie. We Lwowie, w Przemyślu, Rawie Ruskiej, Samborze, w Podhorcach, w Żółkwi. Wieże, fasady, podcienia, przypory, portale, balustrady, tarasy, baszty, bramy, galerie, krużganki – walające się po ziemi kamienie i płyty podnosił i stawiał od nowa. Odbudowywał jak lutnik, który naprawia stary instrument, skleja, pochyla się nad nim i nadsłuchuje, czy głos z niego wydobyty drży tak samo prawdziwie.

Głosy:

„Powiedzcie, ojcze, co się-ę stało,
Mówią, że Francuz, Francuz Moskwę spalił całą…”

W jesieni, kiedy przychodził nowy rocznik rekruta i dostawał się w ręce podoficerskie, rezonowało od tych głosów, pieśni, piosenek, zaśpiewów, bo to i znakomicie wyskandowywało marsz, i jakimś sposobem – dydaktyką słowa, melodii, rytmu – miało pomóc w wychowaniu, wykrzesaniu nowego gatunku. Albo:

„A wtem Napoleon na Polaków skinął,
Skoczył Kozietulski, szwadron w czwórki zwinął…”

Albo:

„Hej, zza gó-ó-ó-ó-ry jadą Mazury.
Jadą, jadą Mazureczki, wiozą, wiozą trzy wianeczki
Roz-ma-ry-ry-y-y-nowe, rozmarynowe!”

Albo, dla odprężenia po tych wzniosłościach:

„A u mojej Mańki cycki jak dwie bańki…”

Kiedy w lata potem zdarzyło mi się nawiać z obozu internowanych na Węgrzech i przycupnąć na chwilę w Budapeszcie, to za współlokatora w hotelu miałem przez dobę jednego pana, osobistość znaną przed wojną z awanturnictwa politycznego, za które i przesiadywał w więzieniu, czekając na rozprawy sądowe. Otóż ów pan przyniósł wieczorem butelkę wina węgierskiego i przy tej butelce wspomniał dawniejsze czasy: o tym, jak czekał w więzieniu śledczym we Lwowie i jak w tej samej celi siedział z nim jakiś Ukrainiec, ten z tych „z czarnym podniebieniem”, z tych, co to palili stogi zboża i robili zamachy, ażeby tym wywalczyć wolność swej ziemi spod jarzma Lachów, a znów ci za to robili im pacyfikację. Otóż wedle tego, co mi mówił gość w hotelu, ów ukraiński terrorysta, zwierzając się, jak to zawsze w więzieniu, współtowarzyszowi celi ze swego życia, wspominał lata, czas, kiedy służył, odbywał powinność wojskową w pułku strzelców konnych w Żółkwi. Tę służbę wojskową w pułku polskiej kawalerii ten zaciekły wróg polskości i spiskowiec wspominał jako najszczęśliwszy okres swego czarnego, niewdzięcznego życia. Nie mógł się zwłaszcza nachwalić jakiegoś rotmistrza, dowódcy szwadronu, że ten był i ojcem, i matką w jednej osobie dla swych konnych strzelców.

Z tej rozśpiewanej jesieni zapamiętam podporucznika Sterbę młodziutkiego, wciętego w pasie, który owej jesieni z nieszczęśliwej miłości do Nory Juffówny strzelił sobie w serce. Znałem go bardzo mało, bo chociaż był naszym lokatorem, wynajmował pokój w naszym domu, to był starszy o parę lat i ze szczeniakami się nie zadawał. Otóż jednego jesiennego wieczoru, kiedy wracałem do domu, spotkałem go po drodze

w otoczeniu zgrai psów, rozmaitych pułkowych pinczerów i dobermanów, między nimi była i legawa suka porucznika Konopki (porucznik Konopka zabił się znowu na przeszkodzie i odziedziczyliśmy po nim bezpańską już wtedy sukę). Podporucznik Sterba nie poznał mnie, był wesół i bawił się z psami – wesół, bo pewnie dla dodania sobie odwagi napił się przedtem. A w nocy zastukali do nas żandarmi i opieczętowali drzwi pokoju podporucznika Sterby, który zastrzelił się w koszarach. I potem na drzwiach jego pokoju w naszym domu pozostały różowe ślady – tam gdzie były pieczęcie z czerwonego laku – i były jak ślad krwi, który zmyć się nie da. I potem już w tym pokoju nikt więcej nie mieszkał.

W koszarach także wachmistrz, który nosił się w sobie z jakąś krzywdą i zadziorem, zastrzelił przed stajniami dowódcę pułku i ten wachmistrz z tego samego pocztu sztandarowego został skazany przez doraźny sąd wojskowy i rozstrzelany.

Ten poczet sztandarowy: podporucznik, wachmistrz i starszy strzelec konny, Ukrainiec, leżą sobie koło siebie na tym samym cmentarzu, gdzie wszyscy tamtejsi się spotkali. I dowódca pułku, i burmistrz doktór Muszkiet, i proboszcz u fary infułat ksiądz Izydor Kunaszowski, i mój ojciec, i moja młodziutka siostra.

To ją przypomina mi rezonans głosów młodych, szczeniakowskich tamtejszego gimnazjum klasycznego: „Szac kobita!”, „Odknaj się, bo ci dam majzla do ściany!”, „Co si kucasz?”, „Gała ci!”, „Ale ta ma nogi – łychą jeść!” I z boiska: „Spalony!”, „Faul!”, „Korner!” i wielka kłótnia, kto ma grać na „beku”. I nazwiska: Mietek Schabowski, Kłosowski, co skakał o tyczce jak olimpijczyk, i bracia Ziębowie, Adaś Obmiński, Jurko Kłymko, Łanocha, i dziewczęta z koedukacyjnych klas: Nora Juffówna, Walerka Herltówna, Olga Nowakówna („Ona Olga Nowakówna, a on Mundek, Żydek z Równa!”), i szkolne wodewile: „Waszą Maryś kocham szczerze i dlatego złość mię bierze – tidrajda, tidrajda, tidrajda!”, i długie godziny nudy nad „katylinarkami” albo gdy poczciwy zatabaczony belfer piłować każe i skandować: „*Quadrupedante putrem sonitu quatit ungula campum*”, i już w drodze ze szkoły, dla odprężenia: „Galopem, galopem, galopem – w daaal!”

W pobok cmentarza prowadziła droga, jak mówił drogowskaz: „Na Opłytną”. Dziedzicem, a właściwie: właścicielem, nie dziedzicem, był pan Żarczewski. Ojciec mówił mi: „Żaden Żarczewski, takiego nazwiska nie ma. Nazywał się Witz, po prostu jak »żart«, a więc stąd Żarczewski, a jego ojciec dorobił się gdzieś w Pomorzanach z apteki”. Pan Żarczewski trzymał fason, hodował konie wyścigowe i dosiadał ich w biegach na improwizowanym polu wyścigowym pułku, w którym był oficerem rezerwy, na polu przylegającym do cmentarza.

Pan hetman dobrze zasłużył się Rzeczypospolitej i królom. Buławę wielką i pieczęć dostał, kiedy był już starcem. Spisując swój pamiętnik, z którego ośmieliliśmy się przepisać niektóre ustępy, nie wynosi się, pisze o sobie w trzeciej osobie, po cezariańsku, zdania w nim płyną jak w *Commentariach*, nie zniża się do subiektywnej ekspozycji:

„Gdy już miał pan hetman z Moskwy odjechać… kniaź Mścisławski i insi przedniejsi bojarowie prowadzili dobrze z milę pana hetmana dobrą, a póki przez miasto jechał, mir, czerń wszystka po ulicach zabiegała drogę mu, żegnając i błogosławiąc”.

O tym, co zaszło, kiedy go tam nie stało, wiemy z relacji innych. Czytamy w listach staropolskich wydanych przez Hannę Malewską, listach z epoki Wazów, relację pana chorążego mozyrskiego, rotmistrza Józefa Budziły, już z niewoli w Niżnym Nowogrodzie, o straszliwym głodzie wpośród oblężonej na Krymgorodzie załogi polskiej. O tym, jak przyszło do tego, że jeść musieli padłe konie, popręgi i rzemienie siodeł, żyłowania z łuków, pergaminy i świece cerkiewne, trawę siekaną, wreszcie trupy z szubienic, jeńców i siebie nawzajem, bo „już tak łakomą paszczękę głodna samojedź rozwarła, że pan – sługi, sługa – pana, towarzysz towarzysza nie był bezpieczen…” A o tym, co potracili, o nagrabionych bogactwach pan porucznik husarski Samuel Maskiewicz napisał filozoficznie w swym pamiętniku: „…wszystko dyabeł pobrał – jedno poszarpali, a drugie pogorzało…”

Ale pan hetman już dawno stamtąd odjechał, by zapisać potem tylko:

„Tym sposobem moskiewska Stolica spłonęła z wielkim krwi rozlaniem i nieoszacowaną szkodą, gdyż dostatnie to i bogate miasto było, i *ambitus*

jego wielki. Jakoż ci, co bywali w cudzych ziemiach, powiadają, że ani Rzym, ani Paryż, ani Lizbona nie porówna wielkością, jako to miasto było *in sua circumferentia*. Krymgród, ten we wszystkim cały został…”

Ale pan hetman stamtąd odjechał, bo:

„…zawarte były uszy króla jegomości pana hetmanowym perswazjom…”

Do Żółkwi miał pan hetman wrócić, gdy wdowa wykupiła jego szczątki – zwłoki bez głowy i ramienia utraconych w bitwie – z rąk wroga. Może była to i prawda, o czym wspomina on sam w swym pamiętniku jeszcze przed Kłuszynem:

„…były po wojsku rozmaite mowy przeciwko panu hetmanowi, że świat mu zmierzł i wojsko chce z sobą zgubić…”

Zaprzeczy temu to, co pisał w trzy tygodnie po klęsce nad Dniestrem pan porucznik Abraham Złotopolski o ostatnich chwilach hetmana: „Pan kanclerz, zsiadłszy z konia, przebił go szablą, przykład drugim dając, że nie myśli uciekać, i szedł piechotą przez ćwierć mili…”

Miasto od wieków pobierało drogowe myto, stąd więc u jego wylotów rogatki. Szlaban rogatki dzierżawiła rodzina żydowska i jego drąg był opuszczany na noc w poprzek jezdni i zamykany na kłódkę. Ale w pośrodku miał zawieszoną latarnię, kopcił w niej naftowy knot i przestrzegał rwące się w samochodzie dziesiątki koni mechanicznych w nocy, na głównej magistrali Warszawa–Lwów. Trzeba było długo po nocy dobijać się do żydowskiej chałupy i wreszcie, trzęsąc się w chłodzie nocnym i opatulając chustką, wychodziła Żydówka, by otworzyć kłódkę i podnieść ów szlaban.

Na drodze, która z miasta wiodła w stronę Czeremusznej, Glińska, Woli Wysockiej, był jeszcze jeden szlaban. Był tam przejazd kolejowy, nasyp kolejowy podchodził tu krzywizną do drogi i przecinał gościniec. Tam, w tym miejscu miała mi objawić się wreszcie nowoczesność. Koleje wojny zawiodły mnie niespodziewanie aż po rogatki Żółkwi. Tu na przejeździe kolejowym, na zewnętrznej stronie łuku krzywizny toru ujrzałem leżącą do góry kołami nowoczesność – torpedę: słynny opływowy, napędzany silnikami Diesla wagon, szczyt nowoczesności, luksusu, wizję przyszłości

wcieloną w stal, lakier, szkło, chrom – na tej krzywiźnie toru, w panice wojny, w bezwstydnej ucieczce, tu za tę właśnie ucieczkę dotknięty katastrofą bolid, symbol klęski, zaryty w ziemię, w grób-krater, jaki sam sobie wyorał. A jakże – pociąg widmo, pociąg w nieznane, raj na kółkach „Brydż-Narty-Cocktail" wpośród szutru podżółkiewskiego gościńca, niewypał pierwszej i turystycznej klasy.

Dziwnie było znaleźć się tu w tak niezwykłych okolicznościach, ale na dziwowanie się niewiele było czasu. Trzeba było wyszukać dla baterii stanowiska, okopać działa i wreszcie wytchnąć. Spać można było tylko przy baterii, to nawet do domu, w którym dawno nie byłem, zajść nie było można. Ale że było to tuż pod zamkiem, to w wolniejszej chwili wybrałem się tam powałęsać się trochę śladami Łobosa.

Kiedyś, ażeby tu pochodzić, musiało się przepraszać rozmaitych radców za ich biurkami. Dzisiaj nie było tu nikogo. Na drzwiach, jak należy, powypisywane wielkimi literami: „TABULA", „KATASTER I", „-KATASTER II", pod sklepieniami, na półkach góry papierzysków: akta, całe pokłady geologiczne papieru, arkuszy powiązanych sznurkami, stosy ksiąg, foliałów, fascykułów, dzienników podawczych. Tamże bibularze, kałamarze, pieczątki i pieczęcie, mapy, na nich w skali katastralnej 1 : 4444 pajęcze nici zaznaczające granice posiadłości, „realności", mieszczańskich ogrodów, chłopskich mórg, łanów, obszarniczych włók – siateczka, kartografia drapieżnego ludzkiego uczepienia się ziemi.

Łażę tu korytarzami, odmykam urzędowe sanktuaria, wchodzę i zstępuję schodami i wreszcie gdzieś, na jakimś półpiętrze czy narożniku (wiem, gdzie to, ale nie powiem), drzwi, które z oporem i trudem obracają się na swych zawiasach, nigdy nie otwierane. I tam naszedłem na świat uśpiony.

Na półkach wzdłuż ścian, na podłodze pod sklepieniem piętrzą się zwały tomów, książek. Nikt tu nie zachodzi od lat, od dziesiątków lat, wszystko przysypane warstwą kurzu dziewiczą, po której nie wodzi żaden palec. Leżą te książki uśpione jakimś snem na jawie, łuszczy się skóra na grzbietach tomów, zrudziałe oprawy, złocone, sczerniałe i wklęsłe litery: antykwa, italiki, pergamin jaśnieje swą błoną aż przeźroczystą, papier pożółkł, ale to wciąż świetny papier owych czasów: skruszały na brzegach,

ale się trzyma. Tomiska, foliały, szpargały, pracowicie pozszywane kopiariusze, teki, z których wysypuje się zawartość.

Sięgam po pierwszą z brzegu książkę. Na karcie tytułowej: *Skład abo Skarbiec Znakomitych Sekretów Oekonomiey Ziemiańskiey…* dedykowany: „…Królowi Polskiemu, Wielkiemu Xięciu Litewskiemu, Ruskiemu, Pruskiemu, Mazowieckiemu, Żmudzkiemu, Kijowskiemu, Wołyńskiemu, Podolskiemu, Podlaskiemu, Inflanckiemu, Smoleńskiemu, Siewierskiemu, Czernihowskiemu Panu…”

A w nim przeczytać można i o *Świec łojowych robieniu*, o tym, jak zapobiec *Psi aby się nie wściekali*, jak *Złoto zrobić bez złota*, dalej – *Na inkaust do pisania krótki sposób*, *Człowiek, gdyby sechł, po jakich to poznać znakach*, *Na czary sposoby…*

Tamże:

O Jeleniu zwierzu okazałym
O Łosiu ogromnym
O Niedźwiedziu niezgrabnym
O Dziku abo Hodyńcu okrutnym
O Łani abo o Damulach
O Liszce sztucznej
O Iżu ościstym
O Castorze abo Bobrze y iego cnotach
O Wilku szkodnym, zdradnym
O Lwie, iego mężności
O Tygrysach y Lampartach z ich przyrodzeniem
O Nosorożcu srogim y żartkim
O Wężach sprośnych
O Krokodylach iadowitych
O Papugach uciesznych
O Żurawiach misternych
O Krukach y Gawronach zmyślnych.

Tamże:

O Salamandrze ognistej
O Bocianach bujnych, Pelikanach y Łabęciu…

I nagle na stosie książek – lutnia!

Zaraz, zaraz! Nic nie znam się na tym. Może to nie lutnia, może to viola da gamba albo lira da braccio, a może teorban, czyli lutnia wyolbrzymiona, albo bandura. Ale chciałbym bardzo, ażeby była to lutnia.

Bo, wiadomo, lutnia to instrument niezwyczajny. Grał na niej Gusman, wesołek królewski króla Zygmunta Augusta, a czyż nie także Walenty Bakfark, po którym, jako po Bekwarku, wziąć lutnię nie byle kto może. A z lutnictwem, proszę państwa, wiąże się wiele rzeczy. Po pierwsze, najlepsi lutniści sami sobie ten instrument budowali. I zajrzeć w cień do wnętrza takiego pudła, a tam wklejony karteluszek, a na nim koślawymi literami wypisane, wygryzmolone: „Anno Domini Jan Dankwart MDC Varsaviae" albo: „Baltazar Dankwart we Wilnie Anno 1602 Fecit", albo grubo późniejsze: „Fait à Krzemieniec par Ignace Klimowski Septembre 1821". A mamy także gdzieś zapisane, że znowu jakieś skrzypce wykonał i zostawił w nich swój podpis Stanisław Zwierzyński, „Chińczyk Jego Królewskiej Mości" – Chińczyk, czyli błazen nadworny Stanisława Augusta nie wstydzący się swej błazeńskości. A więc, po drugie, wiąże się z tym fachem błazeństwo – to samo, o którym wyklarował nam profesor Leszek Kołakowski: mądry rodzaj błazeństwa przeciwstawionego kapłaństwu!

A po trzecie, wiadomym jest także, że lutnia była instrumentem bardzo kapryśnym, czułym, trudno było grać na niej, bo ustawicznie się rozstrajała. Mówili i zaśmiewali się ówcześni z tego, że lutnista więcej czasu spędzał na przykręcaniu kołków aniżeli na samej grze. I wyobrażamy sobie, jak trzymał ją, dotykał palcami strun, przekrzywiał głowę i nasłuchiwał, i trącał te struny, i przykręcał kołki na gryfie, a tu przecież czekają zapatrzeni, niecierpliwi, nadsłuchujący z otwartymi ustami.

Lutnia! Skąd tu lutnia? Co za głupie pytanie! Przecież gdzie właśnie, jak nie tu, wpośród książek, jej miejsce? Czyż nie rytują zawsze podobizn poetów z jej wyobrażeniem, czyż to nie ten instrument przyozdabia wpośród liści bobkowych konterfektu pisarza w owalu?

Podchodzę do jej zjawiska na palcach. Leży – wdzięczna jej szyja, gryf i cudowne ciało, sklejone kiedyś z cieniutkich wiórów, drzazg, deszczułek,

podbiega do spodu i zbiega się w uchwycie, czerni się jej wnętrze nabrzmiałe rezonansem. Pokrywa ją – jak wszystko tu wokół, książki – warstwa wiekowego kurzu, który zmatowił połysk jej dawnej politury i złoceń, inkrustacji z perłowej macicy i srebrnych drucików jej rozety. Kiedy podchodzę, to płoszę pająka kosiarza, który bokiem odbiega swymi długimi odnóżami, potrącając jej struny, które za tym pajęczym dotknięciem wydają cieniutki, niedosłyszalny brzęk, i kryje się w czeluści jej pudła.

Może gładził ją kiedyś i palce kładł na jej strunach Sęp Szarzyński, stąd niedaleko urodzony? Może układał sonet? O swej nieszczęśliwej miłości do ślicznej Tarłówny, którą wydali za starego pana Hieronima Sieniawskiego z Brzeżan, może to o niej zaczynał od słów ruskich:

„*Terpyż, hołowońko, do szczastnoj hodyny…*”?

U Sępa Szarzyńskiego przychodziło to po prostu. Nie było w tej ruszczyźnie ani przekory pana starosty Kaniowskiego, co to stylizował się po kozacku, ani chłopomanii Szaszkiewiczów bałagułów, ani ukraińskiego snobizmu romantyków – lirników Ukrainy, słowików. Pisał tak, jak słyszał mowę wokół siebie, w sposób naturalny brał z niej słowa i wymieniał w sonecie i balladzie.

Może ta dwupostaciowość mowy podyktowała mu:

„Co będę czynił w tak straszliwym boju
Wątły, niebaczny, rozdwojony w sobie?”

Wdzięczy się tu ta lutnia, ale brakło młodej ręki, by z niej głos wydobyć. Śliczne drzewo, dźwięczne struny, ale jest w nim martwota, jakby nie była to lutnia, ale trumna, trumienka, pusta kołyska. Brał ją kiedyś ktoś w ręce i wykołysywał słowa, i słowa przebrzmiały, i wargi zniechęcone zwiędły.

Tak jak to miasto kiedyś rozbrzmiewające głosami, echem młodych kroków, szumem liści i zgrzytem kry lodowej po wodzie; a dzisiaj po nim pozostał tylko pusty grób – *kenotaph*.

Na starych mapach posiatkowanych różami wiatrów i rumbów żeglarskich, ukazujących kontynenty, przylądki, archipelagi, żyłkowania rzek i sopki łańcuchów górskich, pełno zawsze wszelkich ozdobników, zwłaszcza

wpośród wełniących się fal mórz i oceanów. Trytony, nereidy, lewiatany i syreny. Mniej ich tam, gdzie nostalgiczne obszary białych plam – miejsc jeszcze nie odkrytych. Kartografowie dawniejsi, by je jakoś kompozycyjnie zapełnić, dawali tam zwykle objaśnienie, że są to miejsca „VBI LEONES”.

Na nowych mapach tamte puste miejsca znikły, a w innych znowuż dykasteriach pojawiły się nowe białe plamy. Jedną z rzadkich tam nazw chciałem rozszyfrować.

Zajrzałem nawet do *Wielkiej encyklopedii sowieckiej*. Pod hasłem „Niestierow” jest tam, że w roku 1951 Żółkiew tak przezwano, by uczcić pamięć carskiego awiatora, który jeszcze w sierpniu 1914 roku pod tym miastem zginął, jak chce *Wielka encyklopedia sowiecka*, „*w wozdusznym boju*”.

[prwdr. „Kultura” 1966, nr 11, pt. *Lutnia albo Przewodnik po Żółkwi i jej pamiątkach, zebrał i do druku podał* …]

Lili Marleen

Sara, Sarusia, to była Żydóweczka, która przychodziła pod bramę naszych koszar i czekała na Wojciechowskiego. Bardzośmy się tym bawili, więc oczywiście podpowiadaliśmy sobie słowa piosenki głupie i trywialne:

„Małgosia biedna jest bez miary,
Troska dręczy ją,
Bo chciała wiedzieć, czy koszary
Z bliska ładne są…”

Śmieliśmy się i pokpiwali, ale przecież to było aż straszne. To było niebywałe na tamtejsze stosunki, coś jakby nienaturalnego, bo dziewczyna naprawdę wystawała pod bramą koszar godzinami, a tam przecież był ruch, ludzie szli tędy i owędy i każdy to widział od razu. A ona nic, tylko tam wystawała. Mówiono, że przecież była córką rabina – nie byle kogo, bogatego kupca, handlarza, który i bogacz, i był rabinem, i godności w kahale sprawował, piastował, a więc skandal ogromny i na wielką skalę. Żydóweczka zadurzona w „goju”, do tego koszary i wszystko na widoku. Toteż pokpiwaliśmy sobie, bo heca była do rozpuku, ale naprawdę jednak czuliśmy się nieswojo, niezgrabnie.

A do tego Sara, Sarusia, była… co by tu powiedzieć, jakich superlatywów użyć na opisanie kobiecego piękna? Przede wszystkim nie była kobietą, ale dziewczyną, dziewczynką; ile mogła mieć lat? szesnaście? siedemnaście? A więc wszelkie opisy dojrzałej kobiety jakoś nie przystawały. Była, spróbujmy: ani słowo „powabna”, ani „zachwycająca”, ani „cudo”, jakoś nie pasowało żadne z nich, ale była naprawdę cudowna. Bo oczy, proszę, jakie to miała oczy! Szare w czarnej oprawie rzęs i delikatnych brwi i takie zaokrąglenie policzków, i włosy jej się sypały na kark i czoło, i uśmiech naiwny, dojrzały i dziecinny zarazem, i pierś podnoszącą się westchnieniem, i nie wstydziła się niczego, była bezwstydna.

O tamtejszych Żydach mówiono, że to są najgłupsi Żydzi, o głupocie przysłowiowej, anegdotycznej, biblijnej, pełno było o nich opowiastek i przysłów. Na przykład, nie bardzo to dowcipne, ale mówiło się: „głupi jak indyk kantora z Chłądu", niby że to miała być jakaś kwintesencja głupoty, apogeum imbecylów, szczyt ograniczenia i prymitywu umysłowego. Albo była inna powiastka z folkloru żydowskiego – o tym, „jak Żydzi chłądowscy złapali księżyc w studni", niby że ujrzawszy odbicie chybotliwe księżyca w studni, w sposób najchytrzejszy w świecie czym prędzej przykryli cembrowiny i w ten sposób udało im się złapać pożal się Boże satelitę. O nich to nawet w Londynie mówiono: a że to w Banku Angielskim, u Old Lady of the Threadneedle Street, w safesie trzymają i pokazują z dumą dumni „*governors of The Bank of England*" pięciofuntowy banknot, który kiedyś zabłąkał się aż do Chłądu i tam Żydzi z kahału poświadczyli podpisami na tym bankocetlu, że to są prawdziwe pieniądze.

Ale dosyć tych anegdot. Żydzi tamtejsi byli inni od naszych galicyjskich, bo nasi chasydzi byli aż straszni, a ci tamtejsi – tacy litwaccy, nie widziało się tu chałatów, tylko nosili takie ich zgrabne czapeczki z daszkiem. Ale żyli, jak to Żydzi, razem, po żydowsku, sami zamykali się w swoim getcie, żadne to zresztą getto, tylko ulice ze sklepami, i ten ich tłum czarny, koniecznie „czarny", rozszwargotany, zabiegany w interesach – co to tam za interesy kręcące się koło złotówki!

Kiedyś byłem tu świadkiem najpatetyczniejszej sceny żydowskiej, jaką mi kiedykolwiek zdarzyło się widzieć w życiu. Idąc w górę główną ulicą w dzień biały i zalatany: interesanci, faktorzy, kupcy, geszefciarze, trudno się przepchać i widzę taką scenę. Ulicą szedł malutki oddziałek „*szomrów*" – żydowskich skautów czy harcerzy. Szli w krok, mieli tam jakieś mundury i chustki na szyjach, i, jak to wszyscy harcerze czy skauci, najrozmaitsze odznaki, insygnia ponaszywane obficie. O ile sobie przypominam, nie mieli żadnych czapek, imitując i wzorem, o żałości! w żenującej wprost ludzkiej skłonności do naśladownictwa aż błazeńskiego, podrabiając w stylu jakieś Hitlerjugend. Z podniesionymi sztywnie głowami i rozwianymi lokami włosów gołych głów maszerowali w krok.

Tłum na ulicy był podniecony i entuzjastyczny, że to przecież ich młodzi, którzy wyszli z getta, że mają postawę i samodzielność, i organizację i że idą tak w biały dzień środkiem ulicy, miasta, w krok, marszem, z podniesionymi głowami.

I wtedy to ujrzałem starego Żyda, który drobnym kroczkiem biegł zapatrzony w nich, biegł nie chodnikiem, ale rynsztokiem wzdłuż krawężnika, potykając się i dotrzymując kroku tej garsteczce młokosów, zapatrzony w nich jak w tęczę, biegł, potrącając ludzi, nic poza tamtymi nie widząc, i z bladych jego oczu ciekły łzy ciurkiem i spływały mu w brudną brodę rozwichrzoną. Cóż widział w nich on pod tym chmurnym niebem kraju odległego o tysiące mil od mlekiem i miodem płynącej ziemi lwa Judy i Machabeuszy, drzew oliwnych i figi, szarańczy i gazel, arki przymierza i Muru Płaczu, tu, w miejscu, które on i jego bliscy nazwali przecież sami Polin, co znaczy po hebrajsku podobno: „Tu osiądź i spocznij”? Biedny stary Żyd chwytający powietrze chodzącą mu grdyką, nie widzący nic poza tą garsteczką młokosów, potykający się w rynsztoku, z brudnymi łzami spływającymi mu po twarzy.

A miasto wyglądało tak: Na szczycie góry, która także nazywała się Chłąd, stał barokowy kościół pobazyliański, który także był kiedyś katedrą biskupstwa greckokatolickiego, siedzibą władyki, a za kościołem – cmentarz. O tym cmentarzu będzie mowa później, później, bo wiedzie to do asocjacji, o których mi teraz nijako, bo ten cmentarz… ale o nim później. Główną ulicą pod górę biegły sklepy, sklepiki, a także było przy niej gimnazjum klasyczne, a w nim, jak wiadomo powszechnie, zacni poloniści i faceci z twarzami opromienionymi natchnieniem wydawali nieregularnie ukazujący się periodyk „Dikte”, organ pisarzy i poetów prowincji, a dlaczego tak go nazwano? pewnie ażeby było trudniej zgadnąć. Ale szczęść im Boże, tej plejadzie awangardowej na prowincji, i jedźmy dalej.

Po przeciwnej stronie koszar (a nasze koszary pamiętały, że tu stał jeszcze carski dywizjon artylerii konnej – baraki z okrąglaków, już ze starości trochę pokrzywione, rzędy stajni i wielki maneż pośrodku), otóż po drugiej stronie drogi biegnącej wzdłuż koszar ulicy, na której wyczekiwała Sara, było płasko i nieużytek i na nim ćwiczyliśmy, aż miło, działoczyny

i baterię zaprzężoną. A dalej był szpital wariatów: szarożółte mury bezludne i twarde, a za nimi nasi bracia szaleni, nasi bracia nieszczęśliwi, których zamyka się w separatce, polewa tuszem, którym zakłada się kaftany i ma się leczyć, bo niby inni niż my, nienormalni.

A z drugiej strony góry było tamto miasto – nowe. I dziwnie było przejść tamtędy. Domy ze zdrowej, pełnej rumieńca cegły, dobra architektura, racjonalne rozwiązania, estetyka, utylitarność, urbanistyka od siedmiu boleści, wszystko przemyślane, rozplanowane, przestudiowane i – puste. Więc co, więc dlaczego? Miano tu przenieść jedną z wielkich dyrekcji państwowych z centralnej części kraju i zostało to ułożone z góry, i to w tych czasach, gdy o kredyty budowlane było tak trudno, gdy magistraty czekały miesiącami na pożyczki, a bezrobotni robotnicy budowlani przez lato z zasiłków nędznych kupowali chleb na połówki i ćwierci i opalali się na słońcu, czekając i czekając. Przechodziło lato, długie bezczynne lato, i nic się nie działo, i kredytów jak nie było, tak nie było. I przychodziła jesień syta, ale sama z siebie, i ciągle nic. Aż wreszcie pod koniec jesieni te powoli obracające się tryby kryzysowej ekonomii, te leniwie mielące młyny boże dawały otręby jakiegoś półskutku. Już w pluchach jesiennych zaczynały ciągnąć wozy z budulcem, na placach doły pod fundamenty kisły od stojącej wody i dobrze pod zimę zaczynał się sezon budowlany. A tu wyrosło z nagła miasto zaplanowane: ulice, aleje, chodniki, krawężniki, latarnie, wszystko solidne, twardo tu powstałe, nawet słupki z tabliczkami ulic nazw i alej: Mikołaja Reja, Romualda Traugutta, aleja Róż, aleja Szwoleżerów, aż miło. Tylko… Tylko coś tu nie było w porządku. Jakieś specjalne komisje kolaudacyjne dokonały przeglądu i lustracji i znaleziono jakieś poważne mankamenty, niedociągnięcia, jakieś normy i przepisy bezpieczeństwa publicznego nie dopisywały standardom, coś tu było nie w porządku. A zatem wszystko zostało wstrzymane w pół kroku. I nowe miasto wyrosłe tak po amerykańsku stało puste, niezamieszkałe, skazane na czekanie, na jakieś długo wlokące się procesami wyroki, i stał ten nowy gród bezludzki, aż w nim straszyło, puste ulice Traugutta i aleje Szwoleżerów, i tylko w słoty wiatr dudnił w nowiutkich rynnach, i okna domów patrzyły czarnymi oczodołami.

To ucieknijmy na chwilę od tej nieudałej strefy ludzkich interesów i zamiarów, chwyćmy się na chwilę czegoś pogodniejszego.

Na przykład wracaliśmy z ćwiczeń zwiadu, a może to był bieg myśliwski improwizowany, kiedy jechało się wertepem, lasem, galopem, rozbieganym rojem w pogoni za iluzją, w tętencie kopyt, kiedy to kopyta koni wybijają najwyraźniej rytm anapestu. (Skąd ta analogia z prozodii? Czyż nie mówiłem już o tym, że zwykła komenda kaprala, zwykłego zupaka, miała rytm i wyszukanie, że się tak wyrażę, aż poetyckie? Bo, proszę, kiedy dla doraźnego ukarania, przyprowadzenia do porządku kanoniera o nazwisku Kasperek wydawał zwięzłą kapralską komendę: „Kas-pe-rek! Kryj się!”, to wyskandowywał ją z całym poczuciem właśnie rytmu, z akcentem, przyciskiem na „-rek!”, a tłusty Kasperek, aż poderwany tym kapralskim nie uczonym, a wyczutym akcentem rytmu, „krył się”, to znaczy: przypadał do matki-ziemi i brał w tym udział, bo udzieliło mu się pełne zrozumienie kapralskiej poetyckiej stylistyki poganiania rekrutów). Otóż, o czym ja to mówiłem? aha, więc o tym końskim galopie, który rozlega się anapestem: ta, ta, tam! którego nasłuchiwaliśmy zawsze, od czasów najbardziej zamierzchłych, kiedy przykładaliśmy ucho do ziemi, nasłuchując pogoni, najazdu, tętentu koni niosących trwogę, burzę, niespodziewane.

A teraz jechaliśmy połogim stokiem, jakimś rżyskiem, z polami ścielącymi się dalej i dalej. A bliżej można było widzieć wpośród łanu grupkę ludzi: najemników, żniwiarzy, tych „pracowitych”, zginających się nad wyrosłym tu polem. Chustki kobiet, koszule mężczyzn, twarze czerwone od opalenizny i znoju, ruchy okrągłe i jakieś godne, pochyleni nad tą swoją robotą w polu.

I zapamiętałem wśród nich dziewczynę; myślę, że była to dziewczyna, a nie mężatka czy „*newistka*” (zwróćmy uwagę na to, że ziemia chłądowska to teren pogranicza etnicznego, że tu gdzieś jakimś meandrem przebiega granica między Polakami i Rusinami i że tu, jak zawsze na etnicznym styku, jakoś ostrzej, wyraźniej, dosadniej zaznacza się polszczyzna czy ruszczyzna, i że właśnie pogranicze sprawia, że mówią tu bardzo czystą, poprawną polszczyzną, jak w Szczebrzeszyńskiem, bez zaśpiewów, akcentów, mazurzeń gniazd i skupisk dialektycznych, mówią po prostu

prawie że „literacką” polszczyzną). Pochylona nad tą robotą wpośród pola podniosła się, wyprostowała, ręką odgarniając promienie włosów płowych czepiających się jej rzęs i brwi zarumienionej od opalenizny i od pochylania się twarzy. Pomyślałem sobie, że to zawsze takie u nas – dziewczyny i konie – wszystko to z nami tak przystające do krajobrazu, do kompozycji, surowizny jej w połączeniu statycznego zapatrzenia się i kinetycznego ruchu i że tak odbija się to we wszystkim: w bajce, w zaśpiewie („Mój Jasieniek na wojence daaalekiej…”, „Starsza siostra brata miała, na wojenkę go wysłała…”, „Jasio konie poił, Kasia wodę brała…” – zawsze z tym przeniesieniem akcentu na ostatnią sylabę dla męskiego rymu, bo inaczej to zaśpiewać się nie da).

A pod koszarami, pod bramą czekała Sara. Mieliśmy z tego uciechę i kiedy Wojciechowski nie słyszał, to śpiewaliśmy sobie:

„Małgosia biedna jest bez miary,
Troska dręczy ją,
Bo chciała wiedzieć, czy koszary
Z bliska ładne są…”

Ale nie było w tym nic z okrucieństwa i złośliwości, a pewnie nawet nam ta sytuacja się podobała, chociaż była skandaliczna. A piosenka była głupia, jak to zwykle tego rodzaju piosenki, trywialna, wodewilowa jakaś czy operetkowa, licho ją tam wie. Potem, w lata później, miała stać się sławną inna piosenka, równie trywialna, o tym samym temacie dziewczyny pod koszarami chętnie witającej wszystkie szarże. Miała zrobić ta druga piosenka karierę wpośród jakichś na pustyni bitew i zagonów, i okopów i miała się rozlegać zachrypłym głosem jej przypadkowej odtwórczyni, szwedzkiej pieśniarki o zachrypłym głosie, i zachrypła jeszcze bardziej od zdartej, wziętej jako łup wojenny, płyty gramofonowej, i miało to przydać tej wojnie jakiegoś romantyzmu i taniej nostalgii, i ckliwej zadumy.

Dziwne tylko, że historia tej piosenki miała powtórzyć się, że miała nawrócić się jakimś dziwacznym cyklem, spiralą, echem dobiec znowu po latach, w innych warunkach, pod innym niebem, za sprawą innych ludzi. Czy to sobie wymądrzył ten historiozof w peruce i wstążkach, pończochach pośród akroterii i stiuków, cyprysów i pinii, farbkowatych niebiesko wód

neapolitańskich, zasiedziały nad pergaminami i pocierający sobie nos w zamyśleniu magik i sensat Gianbattista Vico? Może maczał pióro gęsie w kałamarzu i nucił sobie przy tym pod nosem:

„Małgosia biedna jest bez miary,
Troska dręczy ją…”?

A więc ci Żydzi z Chłądu. Nie tacy jak nasi – inni. Bo nasi galicyjscy byli swojscy, chociaż dla innych tacy straszni. Sam Izaak Babel, który był śmiałym człowiekiem, przeraził się naszych chasydów. Temu odeskiemu Żydowi, krwistemu tęgiemu racjonaliście wychowanemu wpośród portowego harmideru na skraju między stepem, limanem i morzem, wpośród rubaszek i furażek, dyń i winorośli, kontraktów szlagońskich i bandytów Mołdawianki, „*gorodowych*” i kupców, uczepionemu ogona „Konarmii”, wpośród plakatów i sloganów rewolucji wodzącemu nosem krótkowidza po składanych naprędce szpaltach korespondenta, objawił się nagle straszny świat podolskiego miasteczka z bóżnicami z oknami zbiegłymi aż do gnojówki-ziemi, a za oknami rozkołysane, w tałesach, „śmiertelnych koszulach” i „tefilim” na czole głowy Żydów, ich chedery, mełamedzi, pejsaci malutcy uczniowie rozśpiewani nad książkami, na futrynach drzwi domów „mezuza”, na rogatkach rozpięte druty „*ejruw*”, po wschodniej stronie „*bimy*” w bóżnicy „*mizrech*” ze zwojami *Pisma świętego*. Osobny świat, od którego dobiegają nas tylko poszczególne słowa, określenia mówiące nam, że „pod chajrem” to znaczy: pod klątwą, „chucpa” to nic innego jak czelność, „bałaguła” to mistrz wozu, czyli po prostu: furman żydowski, „chazoka” to prawo posiadania ekskluzywnego, przywilej udzielany przez rebego, rodzaj monopolu, a „*szajbec*” to była płyta nagrobkowa na żydowskim cmentarzu. Żydzi z Chłądu mówili tam tym samym językiem, ale byli inni.

Kiedyś, po latach, w Nowym Orleanie bawiło mnie, kiedy Laly, ciotka mojej żony, staruszka, wertując dziennik przy śniadaniu, przede wszystkim zaglądała do działu nekrologów, czy nie figuruje tam „*anybody nice*”. Teraz sam nabyłem tego przyzwyczajenia i ilekroć wpadnie mi w ręce numer „Tygodnika Powszechnego”, to zaglądam do rubryki ostatnio zmarłych.

Zawsze tam bardzo godne nazwiska, tytuły, krótkie życiorysy i wspomnienia. Ostatnio natknąłem się tam na nazwisko pułkownika Chmury. Tak i tak, w dziewiętnastym roku dowodził baterią, w dwudziestym – dywizjonem, potem – takim i takim pułkiem, potem kierował artylerią dywizyjną, kawaler takich i takich odznaczeń i orderów, członek takich organizacji, wreszcie zamykało to: „były pracownik przemysłu zabawkarskiego". Hmmm… Kiedy byłem szczeniakiem, podchorążym, i po Włodzimierzu przydzielono mnie do dywizjonu w Chłądzie, to dywizjonem tym on wtedy dowodził. Dowodził – był panem życia i śmierci kilkuset ludzi, miał pod sobą kilkaset koni i kilkanaście dział ciężkich stalowych, pociągniętych oliwkowego koloru farbą, ich tarcze stalowe grube, tłuste od smarów lufy, ciężkie obręcze kół. I koszary: dylaste ściany baraków, stajnie z pełgającymi w nich rudymi żarówkami, konie na uwiązach i jezdni szczotkujący ich lśniące zady, kasyno oficerskie i wielki maneż, na którym wapnem pobielone stojaki do drągów przeszkód: „koperty" i „*triple bary*", i w południe trąbka do obrokowania.

(Więc ten ciężki o ponurej twarzy oficer olimpijski, daleki i niedostępny skończył, wyrabiając zabawki dla milusińskich. O losie innego oficera, rotmistrza kawalerii, opowiada plotka emigrancka, że skończył w Kanadzie, zamiatając, jako pomocnik „*szamesa*", podłogę w ładnej postępowej tamtejszej bóżnicy).

Rozkaz dywizjonowy brzmiał: „Służba rontowa. Baterie wystawią swe konne zwiady w pełnym oporządzeniu bojowym, wydane im zostaną ostre naboje i staną one z pocztem dowództwa dywizjonu na placu alarmowym o godzinie 21:00". Było to w dniu 1 maja.

Aha, miało być o tym cmentarzu. Bo Wojciechowski i Sara, Sarusia, gdzież to mogli pójść sobie poszukać samotności dla swych uciech, a może zgryzot? No, no, już tam Wojciechowskiego o zgryzoty nie podejrzewałem, a cmentarz był jedynym miejscem cienistym, odosobnionym, rozwieszone dokoła firany zieleni, chaszcze kalinowe, bzy, dereń, wilcza jagoda, laur. Cmentarz był koło katedry pobazyliańskiej, już na nim nie chowano od dawna, tylko zarósł i zdziczał, jak to cmentarze, i był rodzajem parku miejskiego mało uczęszczanego. Dla przyzwoicie zachowujących się parek,

które i ciasno lubią obcować, był, owszem, rodzaj „małpiego gaju” takiego jak w każdym szanującym się prowincjonalnym mieście. A tu któż miał być świadkiem miłości tych dwojga? Chyba czarny szkielet władyki Izasława Łuckiego złożony tu pod sklepiskiem zżartych przez liszaje kamieni, to był jedyny „*voyeur*”, to chyba jego dłoń obleczona w haftowaną perłami rękawiczkę z nasadzonym na jej palec pierścieniem biskupim błogosławiła tej zdrożnej parze.

A my? Któż to: my? Mały Księżycki, mały i napuszony, Góralczyk, embrion w cywilu dziennikarstwa, wygadany i szczerzący w uśmiechu swe popsute zęby, i Emil Milowicz, ten znów miał wcale końskie zęby, Emil Milowicz z Modryńca koło Hrubieszowa, którego kiedyś, po latach, mieli po prostu zarżnąć banderowcy – więc my byliśmy i dyskretni, tyle, żeśmy sobie podpowiadali:

„Małgosia biedna jest bez miary,
Troska dręczy ją…”,

przejmowaliśmy się końmi, „rąbką”, cięciem łóz szablami, i dawaliśmy się starszym od siebie ogrywać w pokera.

Wcale nie zadawaliśmy sobie pytania, dlaczego za teren swych harców nie wybrali cmentarza żydowskiego – kirkutu. Może dlatego, że był w jakichś innych odległościach, peryferiach – uporządkowany, z krzywo chylącymi się w różne strony płytami nagrobkowymi, „*szajbecami*”, a na nich ryte w kamieniu hebrajskie epitafia, które coś mówią przechodzącym, może wywodzą rodowody i powtarzają: „…a Amon zrodził Jozjasza, a Jozjasz zrodził Jechoniasza, a Jechoniasz zrodził Salatiela, a Salatiel…”, a może wersety z *Księgi Ester*, a może *Pieśni Salomona*, a wyżej siedmioramienny świecznik albo dłonie wzniesione do błogosławieństwa, albo róg *szofar*. Ale cmentarza żydowskiego pilnuje stróż „goj” i ma przykazane za mur nikogo nie puszczać. Aż przyszedł czas złowieszczy i cmentarz ten rozorali, płyty nagrobkowe wyrwali z ziemi i wybrukowali nimi chodniki małych miasteczek, po których to kamieniach ludzie mieli przechodzić bezczeszczącą stopą i do dziś mówią, że po miasteczkach gdzieniegdzie idzie się i stąpa po flisach kamiennych, a na

nich zadeptany ludzką stopą siedmioramienny świecznik i onże lew Judy. Tylko dzieci, jak to dzieci, kiedy na jednej nodze podskakują, wracając ulicą ze szkoły, to omijają w podskoku szpary i spojenia pomiędzy płytami i czy wtedy zadziwia je daleki, nie znany, odmienny wzór, dziwny rebus, zagadka ludzkości tak przepadłej, jak zagrzebane w ziemi stele świątyń królestwa Inkasów czy sponad dumnego nadproża Rzymu: „SENATVS POPVLVSQVE ROMANVS”, czy zatarte sury arabskich arabesków?

Kiedyś wpośród niziny Salisbury zdarzyło mi się odwiedzić miejsce, gdzie sterczą z ziemi kamienne pomniki Stonehenge, ich koło, a może koniecznie zaraz należałoby powiedzieć: „kolisko” przydygowanych tu z niezmiernych odległości potężnych głazów, postawionych na sztorc a mających coś tam wykreślać, wyznaczać, jakąś tam być monstrualną astrolabią, jak domyślają się tego i dochodzą poszukiwacze i rozwiązywacze zagadek, jakich nam przeszłość nie poskąpiła. Otóż tam zdarzyło mi się wpośród tej starożytności niemej i zagadkowej najść, nastąpić prawie o zapadającym zmroku już na oczywisty trywialny nowoczesny produkt gumowy, tak zwany środek antykoncepcyjny. A że byłem młody wtedy i skłonny do filozoficznych zamyślań się, to się i zadumałem nad tym paradoksem i kontrastem. Tu kurhan czy jak tam, tysiące lat zapomnienia i czeluść czasu, a czas uświęca wszystko, czarne na tle nieba, wysoko wyniesione rękami przepadłych gromad ludzkich głazy – i oczywisty bezczelny gest, bezwiedna kpina i żart, który sobie jakaś parka zafundowała kosztem czasu.

Mógłby ktoś powiedzieć, zapytać, czemu jakąś prostą opowieść naszpikowuję dygresjami, które prawie jakby ze sobą nie miały związku. Bo niby tu mówię o Żydach z Chłądu, dorabiam do tego taki sztafaż prowincjonalny, wpakowałem w to nic nie znaczącą bajkę o ślicznej Żydóweczce i tęgim podchorążym, który wywodzi ją na cmentarz pobazyliański, dorabiam do tego dekoracje już prawie gotyckie w swej ponurości nowoczesnych ruin, a na dodatek ni stąd, ni zowąd napominam o prowincjonalnym periodyku poetyckim z nagłówkiem o imieniu greckiej nimfy Dikte (a jakże, Dikte to taka najada – ktoś uczony to nam w naszym kółku wyłożył) i dla kontrastu albo nawiązania do tamtej żydowskości

zaczepiam o swojskość: polskie folklory i dziewczynę w polu. Tę dziewczynę, która podniosła pochyloną nad robotą głowę, odgięła się i przysłoniła czoło ręką, patrząc w naszą stronę. To wtedy ja jej chciałem powiedzieć coś z siodła, niby żeby to ładnie zaokrąglić, dokomponować sytuację, żeby to i było śmiałe, i zadzierżyste, i w tonie, i zuchowate, i tak z fantazją – no to żeby coś powiedzieć i pokazać się przed innymi, zawołałem do niej z siodła: „A nie wstydź się, nie wstydź!” A ona na to: „Miałabym też kogo!” Odcięła się, i już.

A czemuż to ja nie mogłem powiedzieć Sarusi, przestrzec ją słowami piosenki:

„Dunaju, dunaju, bystra woda w tobie,
Dziewczyno, dziewczyno, gadają o tobie…”?

Ale teraz już za późno, teraz już się nie odstanie. Już nie nawrócę, nie przestrzegę mej młodszej puszczającej się siostry. Nawet w pamięci zaciera mi się ona, widzę ją jak przez mgłę śliczną, ale daleką, ze świata, który przepadł, po którym zostały tylko „*szajbece*” – kamienne płyty, na których wyobrażenia lwa i dłoni błogosławiących, i krzywego rogu, który zwą *szofar*, a w który dmą w żydowski Nowy Rok, a i te kamienne płyty wykładające chodniki miasteczek tracą pod podeszwami ludzkimi swój wyraz i dla dzieci wracających ze szkoły są zagadkowe i niezrozumiałe jak coś, co było przed tysiącem lat.

W czarny wieczór pod czarnymi chmurami, w pierwszy dzień maja wyprowadzaliśmy konie spod dachu stajni opierające się, twarde, ciężkie. Po omacku w ciemności nakładaliśmy im złożone w ósemkę czapraki z der końskich, przyciągaliśmy popręgi, zębami przytrzymując końce przystuł, dłoń wsunięta pod popręg próbowała, czy w sam raz, konie tuliły uszy, kiedy nakładaliśmy im uzdy, wędzidła rozwierały ich zaciśnięte, szczerzące się złe zęby, kiedy cofały się na siebie zadami i z kwikiem biły kopytami. Dusił pod szyją pas karabinka, ugniatały w żebra ładownice nabite wydanymi nam śliskimi od smarów magazynkami nabojów. Tłukły się przypasane rzemieniami do siodeł szable. Na komendę: „Na koń!” ponad czarne na czarnym niebie kadłuby koni wyrosły sylwetki jeźdźców.

Ściśnionymi czwórkami, kiedy konie przypierają się ciasno do siebie brzuchami, kiedy trą się nasze cholewy butów i skrzypią skóry siodeł, i dźwięczą żelaza strzemion, w tupocie kopyt, czwórkami, ścieśnieni, z pasami karabinków przewieszonych przez plecy uwierającymi nam - grdyki, nie wzwyczajeni, przestraszeni nocą, wierzganiną siodłanych koni, skrępowani rzemieniami, trzymający w zsiniałych dłoniach, palcach poskręcane wodze, z goryczą w gardle, z nocą w oczach, z podpinkami czapek wbitych na uszy, z śmierdzącym zbitym zapachem naftaliny mundurów i stajni końskiej, z grubym suknem kołnierzy płaszczów szorującym nam szyje, wypatrujący pod okapem daszków nocy, ściśnionymi czwórkami wtłoczyliśmy się w bramę koszar i potem w klekocie, klaskaniu podków końskich po kamiennych kocich łbach bruku ciągnęliśmy ku miastu na spotkanie głupich Żydów z Chłądu.

[prwdr. „Kultura” 1966, nr 9]

To ja sam jestem Emmą Bovary

Na parapecie okna w baniastym słoju kisły sobie wiśnie pod grubą warstwą miałkiego cukru. Szyja tej bani była przewiązana gazą, ażeby muchy tam się zanadto nie pchały. A w furtce domu spotkałem, natknąłem się twarzą w twarz z mecenasem Czesnym, który unosił za ucho olbrzymi blaszany baniak, w jakim normalnie gotuje się bieliznę, kiedy jest pranie. To jego krzątanie się koło spraw domowych, włącznie z przynoszeniem czy odnoszeniem wielkiego, a nie przystojącego mu naczynia, świadczyło raz jeszcze, że jest ogromnie przywiązany do spraw materialnych i nawet baniak-kocioł z cynkowanej blachy jest ważny i wart, ażeby się o niego zatroszczyć i nie pozostawiać w narażonych miejscach.

Przyjechałem tam koleją jeszcze rano i przedtem jeszcze ojciec dał mi adres ludzi, u których miałem się zatrzymać. Ale nie anonsując się u nich naprzód, zabrałem swoje lary i penaty, tyczki, taśmy i pryzmaty i odszukałem kataster – długi ponury prowincjonalny budynek biurowy, gdzie nad bramą wejściową była tablica z urzędowym orłem i napisem: „Kataster I-szy”. Woźny poprowadził mnie wybielonym korytarzem, gdzie było kilku interesantów jak senne zimowe muchy poprzylepianych do kątów i kurz leżał na listwach okien.

Budynek był dawną siedzibą magnatów, ale pozostałością tego były tylko mury, a i te ścięto do wysokości pierwszego piętra i przykryto płaskospadzistym dachem krytym blachą. Z dawnej świetności została tylko brama – kamienie z piaskowca sterczące gzymsami i barokowymi kartuszami unoszonymi przez barokowe bambina i zefiry, z rysującymi się w nich herbowymi Trąbami i rodowym motto: „Bóg Nam Radzi”.

Po zapoznaniu się z zadaniami, dla których mnie tu przysłano, dopiero nad wieczorem skierowałem się do domu mecenasa Czesnego, gdzie miałem zatrzymać się. Mecenas Czesny przywitał mnie z dobrze wymierzoną grzecznością: ani tego za mało, ani za dużo, w sam raz do mej

pozycji niezgrabnego dorastającego młodzieńca, z którego nie wiadomo jeszcze co będzie. Może dlatego, że mecenas był małego wzrostu, to jakby przez kontrast niesione przez niego naczynie wydawało się jeszcze większe. Także jego żona górująca nad nim o głowę wydawała się znacznie od niego wyższą jeszcze. Była to już starsza osoba trzymająca się bardzo godnie, w długiej powłóczystej sukni i o siwiejących włosach. Bardzo przyjaźnie podała mi białą rękę, którą ucałowałem, i poproszono mnie na drugą stronę domu; trzeba było dom obejść naokoło.

Przedzielony od ulicy sztachetami dom wyglądał bardzo pospolicie od frontu, ale z drugiej strony, od ogrodu, było bardzo inaczej, niespodziewanie inaczej, z czymś w rodzaju kamiennego tarasu i łagodnym spadkiem ogrodu, w którego głębi rosły olbrzymie drzewa – srebrne topole. Te drzewa były niebosiężne.

Były tak olbrzymie, że górowały nad małym miasteczkiem i z bliska, i z daleka i kopuły ich było widać jeszcze na mile i mile, i jak w samym mieście było gdzie pójść, to gdzie popatrzeć, gdzie się rozglądnąć, to zielone srebrne kłęby ich listowia piętrzyły się pod niebem.

No to na tym tarasie było jakieś towarzystwo i tam także spotkałem Emmę Bovary.

Albo sobie utleniała włosy, albo były one naturalne tego koloru, te włosy, trochę koloru mosiądzu, trochę miedzi, zaczesane gładko od czoła i z tyłu, na potylicy poukładane w jakieś węzły i cerę miała białoróżową ze śladami piegów, ale i to bardzo leciutkich, i do tego je przypudrowywała. Była przystojna, ale trochę pospolita, miała ładną szyję i bardzo ładne ramiona i ręce. Domyślałem się, że jest wysoka – teraz, kiedy tak siedziała w ogrodowym fotelu trochę leniwa, ale czujna i nerwowa. Na serdecznych palcach obu rąk miała kilka pierścionków – jeden z brylancikiem i jeden z ametystem – i nieuważnie bawiła się nimi, na przemian usiłując ściągnąć je, ale przeszkadzał w tym staw palca. Suknię na sobie miała straszliwą: letnią z jakiejś gazy lila, coś ohydnego w samym sobie, ale na mojej Emmie Bovary nabierało to właściwie wdzięku. Kiedy przedstawiony całowałem ją w rękę, to zaleciało mnie mocno jakąś perfumą czy piżmem, aż mnie zemdliło.

Niektóre rzeczy z przygody tej w owo lato pamiętam świetnie, mogę aż do teraz widzieć wiśnie w szklanej bani na parapecie okna, a inne sprawy albo i ludzi pozapominałem. Któż to był tam wtedy na przyjęciu na tarasie – nie pamiętam. Jacyś państwo z córeczką – i tych sobie ani rusz nie mogę przypomnieć. Był jeszcze jakiś elegant miejscowy – tego także, choć zabij, nie pamiętam. Pamiętam za to szczegół taki jak ten, że dziewczynka miała czarne pończoszki i żółte płyciutkie pantofelki i kiedy sobie biegała wokół krzeseł dorosłych, to ten elegant, lokalny anegdociarz i dowcipniś, wołał za nią, za małą:

„A uważaj, Zosiu, bo ci pięta ucieknie” – bo dziewczynka miała w pończoszce na pięcie bardzo widoczną dziurę wielkości pieniążka.

I mała Zosia, i ja wzięliśmy to nawet za dobry kawał, ale rodzice – nie. Bo to był przecież przycinek uszczypliwy lokalny, miasteczkowy do mamy, że niedorajda, co tu mówić, niechluja, kiedy idzie z dzieckiem na wizytę, a pończoszki nie pocerowane. Trzeba było widzieć bezsilne złe spojrzenia rodziców i parafiańską uciechę innych.

Byli tam jeszcze jacyś ludzie: zamężna para, zięciostwo mecenasostwa Czesnych, i komendant tamtejszej ekspozytury policji państwowej, facet, zdaje się, nerwowy, bo wyciągał sobie palce ze stawów rąk, aż trzaskało.

No to my z powrotem do Emmy Bovary. Złożyło się tak, że po przedstawieniu znalazłem się koło niej i poczułem na sobie jej spojrzenie. Jakie? Znudzone, spłoszone, wzgardliwe, pytające, sarnie (miała co prawda zielone oczy), błagalne, wyzywające, aroganckie, powłóczyste. Cóż za suka? – pomyślałem sobie i przeszliśmy do rozmowy towarzyskiej.

Kiedy tam na tych swoich pomiarach posiedziałem dobrych parę tygodni, to nauczyłem się tego miejsca na pamięć.

Nazywali się: Ajzyk, Aszkenazy, Mordka, Szmul, Judka, Symche, Kimmel, Brajtszwancowa, Sobel, Grünbaum, Tennenbaum, Eck, Wasserman, Glück, Bickels, Szlome, Icyk, Mejir, Mendel, Mendelson, Zwiebel, Brillant, Jojne, Cukier, dzieci ich nazywały się pieszczotliwie: Sara, Sarusia, Jankiel, Mojsze, Izio (Izio miał stożkowatą głowę jak peruwiańskie formowane czaszki i delikatnie się uśmiechał), z całego żydowskiego folkloru małomiasteczkowego dochodziło nas: „pod

chajrem”, „chazoka”, „cheder”, „makagiga”, „puryc”, „majufes”, „*myszygene*”, „*mazeł tow*”, „*szabes goj*”, „Hamanowe ucho”, na drzwiach niskich domów były skośnie przybite w blaszanej oprawie „przykazania”, jak zaszło się do krawca o rannej porze, to stał w rogu pracowni, śmierdziało płótno przypalone żelazkiem, a krawiec miał na czole filakterię (nie, jak mylnie w *Panu Tadeuszu*, „*cyces*”) i rzemienie modlitewne okręcone wokół lewego łokcia, i „śmiertelną koszulę”, i modląc się, nie zapominał pokręcić za ucho malutkiego terminatora, który siedział zgarbiony i źle mu wyszło obrabianie dziurek do guzików, ulice wiodące wpośród żydowskich domów były pagórkowate od wyrzucanego na nie śmiecia i węgielków, i popiołu, i wychlustywanej brudnej wody, i nocników żydowskich, koza uwiązana do słupa na sznurze pasła się wśród pokrzywionych parkanów i wysoko, wysoko rozpinał się drut, jak antena rozpięty na żerdziach, znaczący całkiem wyimaginowane mury Jeruzalem. W innej wąskiej uliczce, przechodząc, można było ujrzeć w dole, w piwnicy, jak piekarz o nagim chudym torsie, z umączonymi po łokcie rękami formował bułki czworaki na łopacie i biło stamtąd gorąco w upalny już i tak poranek, a dalej była „szkoła”, „*szul*”, i dochodził stamtąd chór głosów dziecięcych, i mełamed, i mali chłopcy z pejsami sięgającymi policzków przynosili tam swe książki w ojcowskich aksamitnych pokrowcach na modlitewniki, a u wjazdu do miasta rogatkę miejską dzierżawiła żydowska rodzina i szlaban wisiał nad drogą, jak żuraw, obciążony na jednym końcu dla przeciwwagi kawałkiem szyny, a ściągany na drugim za łańcuch, i tam pobierało się myto od dyszla, od kopyta i ogona. Jak w nocy, to na szlabanie świeciła się latarka i długo trzeba było stukać po nocy w żydowskie okienko, zanim wyszła zaspana Żydówka, by podnieść zaporę. A na starym cmentarzu żydowskim była chałupa strażnika cmentarnego, stary kirkut żydowski był już nie w użyciu, stare nagrobki pokrywał mech wypełniający miejsca pomiędzy hebrajskimi napisami, wschodnimi i dziwacznymi, i czasem były wyrobione w kamieniu gwiazda Dawida, siedmioramienny świecznik albo lwy Judy, ale cmentarz miał być w poszanowaniu i dlatego ten strażnik cmentarny, młody człowiek, „goj”, mieszkał tam z żoną i mieli dzieci, najmłodsze niemowlę uśpione

w chustkach pomiędzy nagrobkami żydowskimi, a Józefowa karmiła je, dobywając spoza bluzki piersi nabite, jak wymiona, mlekiem, i pachniało od niej mlekiem, a chata ich była jak chatka na kurzej stopce, o pokrzywionych ścianach i pogarbionym starym dachu, i całość przykryto nowym dachem na słupach, przykryto z rozporządzenia kahału, i wyglądało to jak parasol nad domem.

Wieś podchodziła pod miasteczko i tu nazywali się: Hrycaj, Kołcan, Onufrej, Kłym, Hilko, Wołodyszyn, Wasyl, Petro, Matwij, Czmoła, Pajuk, Kłymowycz, Zazula, Krywyj, Ostafij, czyli Eustachy, Panas, czyli Atanazy, Kołymyszyn, Stup, Werbowyj, Bajan, Mykoła, Naum, Palij, Maksym (fornal z radziwiłłowskiego folwarku – włóczył w brony w ósemkę koni od świtu, ósemka wyciągnięta skośnie jak romboid, za bronami płowy kurz), Sweryda (kosił sitowie i trawę na stawiszczach Lubelli rozkraczony, krótkim krokiem posuwał się za każdym zamachem, brzęczało ostrze kosy i kładł się pokotem, odkładał pokos, i za nawrotem wbijał kosisko w ziemię, i z drewnianej króbki uczepionej na pasie z tyłu na krzyżach dobywał wytartą osełkę, i pociągał nią błękitny łuk kosy), Sysak, Humiecki (przecierali pień na deski, mając do tego najprymitywniejsze urządzenie: kiedy pień leży na rozkraczonych kobylicach, jeden z traczy wysoko na pniu, a drugi u dołu, gdzie w oczy sypie się pył trocin, i chodzi szeroka piła o poprzecznych rękojeściach, i pień przecierają w deski obrzeżone nierównym skrajem z jego pokrywką kory), Kowalczuk, Borowyj, Jewka (kiedy pasie krowę o deszczowym świcie, bydlę trzymane na powrozie oplątanym o rogi załapuje szorstkim językiem trawy po rowach i miedzach i wsuwa je do swej krowiej gęby, a pastuszka ma zarzucony na głowę kaptur zrobiony z worka, mający uchronić ją przed deszczem, zad krowy pokrywa pancerz z zaschłych grudek nawozu stajennego i powoli pęcznieje wymię), Wasyłycha (to już dobrych parę miesięcy, lat, jak wróciła z Ameryki i już znakomicie dostosowała się z powrotem do dawnego życia, tylko błyska w uśmiechu złotymi zębami, jakie sobie za morzem wstawiła), Dońka, Prakseda (jej mały dwumiesięczny synek leży w werecie na miedzy i ssie gałganek zatykający szyjkę butelki z mlekiem, a obok koszyk i w nim gliniane dwojaczki z barszczem i sierpy, których ząbkowane ostrza

owinięto chustką), Maryna (jutro będzie odprowadzać na stację kolejową syna, Wasyla, który, poborowy, dostał kartę powołania do 26. Pułku Piechoty, i matka będzie zawodzić i czepiać się klamki wagonu), Małanka, Maruśka. Mówią: „*Onufreju, tela zariż… Poobidały taj piszły w połe żaty… Widczyny dweri…*”, chwalą Boga: „*Sława Isusu Chrystu… Nawiky-wikiw… Maty Preczystaja…*”, wspominają: „*Ne tak buło za cisara… Buwało, horiwka za try krejcary i miszok jaczmeniu za piwtora rynśkoho… Pojichały na prażnyk na Światoju Pokrowu…*”, opowiadają bajki o „*Pokoty-Horoszku*”, zadają zagadki: „*Bez obrucziw, bez dna – powna boczka wyna… Szczo ce?*”, śpiewają: „*Oj, pojichaw mij myłeńkyj na koniu, na koooniu!*”, „*I szumyt', i hrymyt', dribnyj doszczyk ide…*”, a jak się pali po nocy, pożar, to słychać krzyk: „*Hoooryt! Hoooryt!*” A jak się spotykają, to mają skomplikowany protokół zagajania rozmowy: „*Sława Bohu… Nawiky… Pasete?… Pasu… Na doszcz ide…*”, ustalony, nakazany, uświęcony. Klną od matery. Co drugie słowo cyniczne obscena i aluzje. Skrobią się za przepoconą pazuchą. Siąkają nos w palce.

A przedmieście to pan Lenartowicz (zakład ślusarski), pan Domerecki, pan Sadłowski (betoniarnia i studnie artezyjskie), pan Kwaszczyszyn, pan Turczaniewicz (sklep kolonialny i pokój do śniadań, gdzie dostał i drożdże, i mąkę, cynamon, ryż, suszone śliwki, proszek do pieczenia, pędzle malarskie, farbę w puszkach, łapki na myszy, groch, fasolę, nasiona warzywne i kwiatowe, cukierki, rodzynki, świece, kadzidło, ser szwajcarski, ocet, naftę, wina, a sprzedająca panna Walerka albo kręciła korbą kasy „National” dla wydania reszty, albo znudzona wydłubywała sobie daktyla z bloku stojącego na ladzie), pan Nowaczek, pan Wysocki, pan Kozorys, pan Smalaski (plenipotent folwarku radziwiłłowskiego – siedział w gorące popołudnie niedzielne i sortował kwity leśne, i szlag go mało nie trafiał od letniego upału, a fornale poili konie w żłobie u studni folwarcznej), pan Gwóźdź, Hawrysz, Machan, Motowidło, Salewicz, Zuber, Sadowski, Wantuła, pan Roszlakowski i pan Pierdziel (legionista inwalida – miał kiosk koło izby skarbowej: papierosy i gazety, drzwi malowane w skośne pasy białe i czerwone, i stamtąd miał widok na rynek, kiedy stawał w drzwiach sklepiku, a mali chłopcy bawili się w kałużach koło

studni miejskiej i przedrzeźniali się z miasteczkowym idiotą, rudym Samowalejem, który z idiotycznym gniewem wołał za nimi: „A ga! A ga!”), pan Niedźwiecki (majster budowlany – stawiał domy i zapowiadał: „Mnie oddać wszystko, ja wystawię i pokryję, wykończę do ostatniego »paskwila« i oddam klucze”, a w sobotnie popołudnia jeździł na stawy Lubelli na kaczki z kurkową dubeltówką i sparszywiałym nierasowym Neronem) i leniwy majster murarski pan Szyk, pan Zięba, pan Kossonoga, pan Jarzemski (stolarz – mówili, że pił politurę i z szelaku „porobiły mu się w żołądku takie żywiczne kule-gałki”), pan Śniadecki, starszy brat kościelny w długim surducie obnoszący w niedzielę w kościele tacę, kiedy organy dudniły, w kościele nabitym po brzegi pachniało mirtem, potem ludzkim, marmurem, a w ciszy podniesienia słychać było pokaszliwania, a po ostatniej lekcji baby zaciągały cienkimi głosami: „Zacznijcie, wargi moje, chwalić Pannę Świętą, zacznijcie wypowiadać cześć Jej niepojętą…”, a kiedy wychodziło się z kościoła na świat boży, to było sztywnie i niedzielnie, i nie wiadomo, co ze sobą zrobić do obiadu, a po obiedzie ludzie wynosili do sadów wiśniowych poduszki i spali na trawie w gorące popołudnie.

Tytułowali się: sędzia Baryński, radca Kudlicki, radca Steinberger, aplikant Słomka, dependent adwokacki Szmurło, pan mecenas Czesny, dyrektor Ferdynand Ślepowron-Wierzbicki, komendant Wołoszyn, naczelnik Braun i doktór Owocowicz, i sekretarz Aleksander Bułka, kontroler Bazyli Skowroda, doktór Pfau, doktór Gegenwarten, profesor Konstanty Leliwa-Podhajski, inspektor Weltschmertz, magister Podsoński (apteka była pod wezwaniem Świętego Jana Szpitalnika i magister Podsoński stał w białym kitlu w drzwiach i zabawiał chłopa, który przyszedł z receptą, stereotypowymi pytaniami: „*A wy zwidky?… Ahum… A wy firoju czy pichotoju?…*”), ksiądz dziekan Paweł Suchecki i ksiądz katecheta Browniak, kapitan Trznadel, podkomisarz Wijun, doktór Umański i doktór Eisennagel, panna Teresa Patykowska, pani mecenasowa Wnękowska, pani Hałdzina primo voto Kwilecka, naczelnik straży pożarnej Kratochwil, doktór Derszko. Starzy kawalerowie spotykali się na tyłach sklepu Turczaniewicza, gdzie był pokój śniadankowy, zajadali kiełbasę

z chrzanem, popijali piwem okocimskim, potem był czas kolacji, więc dostawało się nogę świńską z purée grochowym, przedtem piło się wódkę wiśniówkę i już po nocy wychodzili zaczadzeni i odlewali się pod specjalnym drzewkiem jesionowym, które uschło od tego podlewania i pijacy byli bardzo z tego dumni. I mówią. Mówią oni wszyscy. Mówią: „grzech”, „przylepka”, „oścież”, „brytfanna”, „kataster”, „onyks”, mówią: „kolastra”, „krzywa Queteleta”, „płonica”, „okrężne”, mówią: „a szlag by to trafił!”, „sen kataleptyczny”, mówią: „ni w pięć, ni w dziewięć”, mówią: „cud”, „zalecać” i „przedrzeźniać”, mówią: „na ukos”, „wzdęcie”, „szablon”, „anachronizm”, „baj, baju”, „orli nos”. Mówią, mówią – słowa, słowa. Mówią: „o Boże!” i używają takich słów, jak „faktycznie” i „aktualnie”. Mówią, mówią – słowa, słowa. Mówią w gniewie, przymilnie, proszą, opowiadają, tłumaczą, przedrzeźniają się, wzdychają. Mówią przez sen albo świadczą przed sądem, zakochani szepczą sobie w ucho o zmroku, dewotki powtarzają słowa litanii, dzieci uczą się w szkole na pamięć, dorośli szachrują, donoszą, targują się, perorują i nie dają sobie przyjść do słowa.

No to my z powrotem do Emmy Bovary.

„Więc pan jest ze Lwowa? O mój Boże, jak tam u was inaczej aniżeli tutaj… w tych tutaj (*tu proszę wstawić sobie, co się komu żywnie podoba: Kopyczyńce, Rawę Ruską czy coś podobnego*). Wy tam jesteście bliżej świata (*skąd u niej to »wy«, »wyście« i czemu ta dramatyczna nostalgia za trochę większym partykularzem?*). Tu ani książki, ani teatru, ani towarzystwa. Czy wie pan, że tu niczego nie można dostać? Co prawda, u Soblowej koło ratusza to dostanie, ona ma wszystko i można się z nią potargować, ale, wie pan, to sklepik, gdzie i łańcuchy krowie, nasiona buraczane, fosfatyna, wiadra, taki to szykowny magazyn… Ale Soblowa ma wszystko – i „Soir de Paris”, i szampuny. Ale czy idzie o but, czy pomarańczę, czy rękawiczkę, szampun, pastę do zębów, to do Soblowej (*zdziwiło mnie, że takie szczegóły od pary, jak buciki, wymienia w liczbie pojedynczej, ale niech jej tam będzie*). We Lwowie (*to »we Lwowie« brzmiało, dźwięczało jak rapsod, jak kantata, jak duma i jak perska opowieść o odległym wymarzonym i mitycznym Bagdadzie; oczy Emmy*

Bovary zachodziły mgłą), kiedy byłam tam w zeszłym… Mój Boże – Frania, kiedy to byłyśmy tam? To tamtej jesieni byłyśmy we Lwowie na zakupy, byłyśmy na rewii w »Semaforze« i na kolacji w Krakowskim Hotelu, i na Sykstuskiej kupiłam… Wy jesteście w innym położeniu".

Kiedy ofiarowałem Emmie Bovary papierosa, nastąpił u niej z przyczyny bardzo błahej stan kulminacyjny i jakiejś ekstazy. A działo się to dla następującego powodu:

W ostatnich czasach Państwowy Monopol Tytoniowy wypuścił nowy gatunek papierosów, które nazywały się „Hele" i były fabrykowane i perfumowane na wzór amerykański, nawet kolorowe i celofanowe opakowanie było inne od tego, w jakim pojawiały się dotychczas popularnie palone papierosy z tytoniu tureckiego zakończone tekturowym munsztukiem.

Więc kiedy zaprodukowałem swoje hele w ich celofanowym opakowaniu, oczy Emmy Bovary zalśniły jak na objawienie. To tutaj, na ten padół prowincjonalny, w pośrodku jego nudy i codzienności, i zwyczajności, wpośród tych samych codziennych twarzy, ścian, dachów i ogrodów, krzywych uliczek, leniwego życia bliskiego życiu chłopów, w światku marzeń snutych wpośród realiów kur grzebiących w zaśmieconym piasku podwórza, myczenia krów powracających kolebiącym krokiem z pastwiska, kurzu i terkotu furmanek ściągających na czwartkowy targ, obok urzędniczego i rzemieślniczego światka o zatęchłym zapachu nie mytych ciał, starych zleżałych na strychach gratów, butwiejącego drewna pod przeciekającymi okapami i fermentującej zieleniny buchającej w pełni lata po ogrodach i rowach, światka usmarkanych dzieci bawiących się w pośrodku opustoszałych ulic, ciskających grudkami za innymi, żydowskimi dziećmi, z unoszącym się w powietrzu zapachem kadzielnicy nieszpornej i wosku świec dewotek, tutaj zostały zaprodukowane i ofiarowane, i wyczarowane, i przyniesione z odległego i ściskającego za serce marzeniem świata papierosy „Hele" w ich celofanowym opakowaniu.

Jest po deszczu. Kiedy idę wąskimi uliczkami miasteczka, bzy wysterczają swe mokre liście pomiędzy szczeble sztachet, woda zebrała się w kałuże

w dołkach jezdni ulicy. Chmury wiszą ciężkim pułapem brudne granatowe, czasem rzedną i w tym miejscu przebija żółte światło i odbija się we wodzie. Gałęzie są mokre i śliskie, drzewo poczerniało i rdza na blaszanych rynnach domów cieszy się i jest rada tej wilgoci. Kaczki są także rade i radosne tej słocie i mokrości. Jest przyjemnie chłodno i żwawo, powietrze pachnie surowizną zbutwiałą i wilgotną. Idzie się nierównym chodnikiem jakąś zygzakowatą linią, jak po pijanemu, bo ciągle trzeba omijać kałuże i kałuże. Czasem przejedzie trzęsący się wóz, błoto pryska spod obręczy kół, konie mają chwosty podwiązane w węzeł, ażeby się zanadto nie taplały.

Czasem zadziwi jakaś już znajoma twarz wyglądająca spod zbakierowanego parasola, jakiś niebywały płaszcz nieprzemakalny z kołnierzem pod oczywistym, już widzianym gdzieś nosem. Służąca przebiegnie do sklepiku i wierzchnią spódnicę ma zarzuconą na głowę, i czerwone bose od deszczowej wody nogi. Ale jest pustawo. Ktoś rąbie drzewo w drewutni i słychać uderzenia siekiery w suche drzewo jak w ksylofonie.

Jatka czy sklepik masarski: kawałek marmurowego blatu tłusty od sadła, za szkłem kiełbasa, na hakach zaczepione przednie szynki. Pień posiekany w miliony malutkich blizn. Móżdżek cielęcy rzucony na pustą poza tym półkę. Drzwi otwarte i widać zamiecioną i posypaną trocinami podłogę. Przez drzwi zagląda jakiś pies i masarka o policzkach świecących się od tłuszczu woła: „A pójdziesz, sobaka!”

Bywały proszone obiady, długie posiedzenia, na które i mnie zapraszano, choć nie pchałem się tam wcale „jak pies do jatki”. Czerwona od kuchni Maruśka roznosiła półmiski, przed nakryciem pana Bazylego Skowrody lśniła srebrna papierośnica z autografami, komisarz Wijun opowiadał tłuste kawały, ksiądz Suchecki podchmielił sobie i droczył się z panną Mieczysławą Kwilecką („Panna Miecia w białej jubce umaczała palec w dupce…”), naczelnik Braun wywodził („Panie dziu!… jak była inflacja, panie dziu!… ja bym był wtedy temu Grabskiemu order z cebuli… panie dziu!…”), doktór Eisennagel wpychał sobie serwetkę za kołnierz, kapitan Trznadel bronił się przed nową porcją pieczeni huzarskiej („Droga pani, tylko nie przy moim konsyliarzu… świetne, ale moja dieta”), mecenas

Wnękowski charakteryzował starorusinów i nie pozwalał stanowczo mieszać ich z talerhofcami, piwo, piana z piwa zasychała pierścieniem na ścianach „rżniętych” szklanek, galaretka owocowa nie wyszła w tym gorącym popołudniu, dzieci doktora Owocowicza poplamiły kremem foteliki w salonie i ich mama rozdzielała szybkie klapsy i wycierała batystową chusteczką ślady, klub radców otworzył pulę w drugim saloniku i dochodziły stamtąd szelest rozdzielanych kart i bas profesora Leliwy-Podhajskiego.

Emmy Bovary nie było. Wyszedłem do ogrodu – była tam prowadząca w dół ścieżka, po jej prawej stronie były krzaki malinowe i porzeczkowe, porzeczki wisiały koralowymi gronami zakurzonymi u dołu od pyłu ziemnego. Był nierówny trawnik i chyliły się nad nim krzywe pnie drzew wiśniowych. Pod drzewami bawiły się dzieci państwa Owocowiczów, synek profesora Podhajskiego i jeszcze jakaś dziewczynka nie pomnę czyjej progenitury.

Zabawiały się czymś swoim i zesztywniały na moje zbliżenie się. Powiedziałem usprawiedliwiająco, że przyszedłem się odmłodzić. Przyjęto moje tłumaczenie się ze śladem zaambarasowania, dziewczynki – z kokieterią i pąsem na twarzy. Mały Jurek Owocowicz wydłubywał spośród pęknięć w korze zastygłe tam stalaktyty wiśniowej żywicy jak bursztyn.

„Jurek! Ułam mi kawałek!” – powiedziała Andzia Owocowicz, a nieznajoma dziewczynka parsknęła śmiechem, patrząc spod oka w stronę mnie.

„Ooo – gąsienica!” – najmłodsze dziecko Owocowiczów, przykucnąwszy nad grzędą kapusty, trącało źdźbłem zieloną gąsienicę, która kręciła ślepą głową w prawo i w lewo.

Było mi nieswojo i niezgrabnie wpośród dzieci i nie wiedziałem, co powiedzieć. Popychały jedno drugie, więc nadarzyła mi się okazja i powiedziałem:

„Któż widział coś takiego, ażeby mężczyzna popychał dziewczynkę!”

Było to pod adresem Jurka i ten burknął coś na to, czego nie dosłyszałem, i nieznajoma dziewczynka krzyknęła ku mnie przeraźliwie:

„Proszę pana, proszę pana, on powiedział…” – Jurek zdzielił ją na odlew pięścią między łopatki, aż się zakaszlała.

„Powiedział: »Gówno!«” – najspokojniej w świecie zadenuncjowała Andzia. Jurek wisiał teraz głową w dół, zaczepiony nogami o gałąź wiśni, i w tej pozycji skandował:

„Skarży-pyta od ko-pyta
Z pieca spadła, nic nie jadła…”

Innego dnia, zamiast robić te swoje pomiary, wybrałem się po prostu za miasto. Było to około dziewiątej rano i słońce już potężnie przypiekało. Skończyły się zabudowania, został się ostatni dom na skraju po lewej stronie, dom, w którym „straszyło”: patrzyły jego okna bez ram okiennych i na ścianach były miejsca, gdzie poodrywała się pobielana ich gliniana epiderma, ukazując skośną drabinkę listew, które miały ją trzymać. Nawet w biały dzień było coś strasznego w tym domu, w którym „straszyło”. Patrzyły za mną puste jego i czarne oczodoły. Potem nie było już budowli, przepraszam, był niski dom szmaciarni odrapany i odrażający i walały się koło niego brudne gałgany. Sam szmaciarz gdzieś kołował swym wozem po powiecie i zbierał te szmaty i kości, wymieniając je u bab wiejskich za perkalowe chustki i u dzieci – za kogutki ulane z cyny.

Droga była kiedyś wysadzona drzewkami, które plantowano w święto sadzenia drzewek, ale na kilkadziesiąt tych drzewek owocowych ocalało żywe i mizerne tylko jedno. Było jeszcze ich parę uschłych i wyglądały goło i pojedynczo jak baty, biczyska, a po reszcie nie było nic, śladu. Potem, zanim jeszcze zaczynały się pola, to nie było nic, tylko jakieś szczyrki, szutrowiska i doły po wykopanej glinie.

Okazuje się, że dzień był za gorący na wycieczkę poza miasto, ale trudno, już przepadło. Szedłem sobie w stronę płaskich wzgórz, ku południowi, widać było na nich nierówną lizjerę lasu. Szło się teraz wśród pól ze stojącym na nich tęgim żytem. Droga kręciła się, szara od spieczonej ziemi przetartej obręczami kół wozów. Wśród przydrożnej trawy zrywały się koniki polne jak za zwolnieniem zielonej sprężyny.

Było bardzo melancholijnie i pusto w tym upalnym dniu. Jednakowość i swojskość pejzażu, kształtów i form roślinnych. Doganiała mnie tu

tęsknota i nie artykułowane marzenie za czymś innym i dalekim, a wiedziałem, miałem pełną świadomość tego, że to tylko rzeczywistość, wpośród której w tej chwili powłóczę krokiem próżniaka, każe mi marzyć o tym obcym i odległym.

Kiedy wpośród spiekoty przedpołudniowej dochodziłem łagodnym trawiastym stokiem granicy lasu na wzgórzach, to wybiegły naprzeciw mnie pochyłe i solidne od zieleni gałęzie leszczyny. Pola skończyły się i rzadki u skraja las i wyskubana przez bydło pasące się tu prawem jakiegoś kaduka trawa były dosyć wygolone. Drzewa, te u skraja, były obsmyczone z gałęzi w zasięgu wzrostu kobiet zbierających tu na niedobrze strzeżonej własności. Te chrusty i gałęzie, i sęki były nie zatwierdzonym serwitutem biedoty miasteczkowej, zbierającej je na opał.

A dalej już gęstsze poszycie lasu: paproć w zacienionych miejscach, mietlica, powój, kolczaste krzaki jeżyn i dzikich malin, zeszłoroczne zgniłe liście, mech i pleśń. Wszystko to tak swojskie i bliskie, jak zmarszczki i zrogowacenia własnej skóry, włosy na wierzchu dłoni, pryszcze na własnej twarzy widziane w lustrze i wyczesany łupież między zębami grzebienia.

Ten narcyzm każe mi się wzdrygać i dlatego odwracam oczy za czymś niebywałym, innym, wymarzonym.

Trzeba było wracać do miasteczka znowu drogą ze srebrnymi piołunami po jej bokach. Na niebie kłaczyły się nieduże białe obłoki i było bardzo, bardzo gorąco, i nie wiadomo skąd zaniosło paru kroplami deszczu – kilka ich i cienkich – i do beznadziejnej melancholii gorąca dodały one, parując, nim dotknęły kurzu drogi, wniosły rozpaczliwą otuchę, że nawet nad upałem jest zmiłowanie.

Pod miasteczkiem spotkałem starą kobietę. Niosła coś w płachcie i przystanęła, i opuściła ten niesiony ciężar z westchnieniem zmęczenia. Powiedziała do mnie:

„Pochwalony…”

„Na wieki” – i wydało mi się, że należy do niej zagadać, więc – „to to jest (*tu proszę wstawić sobie Kopyczyńce albo Rawę Ruską, albo coś podobnego*)?…”

„Oj… To, to…” – zaciągnęła.

Nie umiem rozmawiać z tak zwanymi prostymi ludźmi. Przez jakąś dziwną ekwilibrystykę wychowania znalazłem się na następnym schodku socjalnym, ściślej mówiąc: inteligencko-drobnomieszczańskim, odskoczywszy w ten sposób od straty, gdzie rozpływa się moja progenitura poprzednich pokoleń. Kiedy zastanowię się nad tym, to jest nawet coś nienaturalnego w odcięciu się od tej pożywki, agaru, z którego się wywodzę, i to się mści, mówią o tym symptomy martwicy. Bo, proszę, mam także wstręt do jakiegoś świata w górze, a instynktowne uwarunkowania starego świata zostały jakoś ze mną, w rezultacie jest się samym. Dlatego byliśmy zawsze sami. Moja matka i ciotki nigdy nie mogły darować memu wujowi, ich jedynemu i kochanemu bratu, że zakopany gdzieś na wsi jako plenipotent czy rządca, sam i instynktowiec, ożenił się z własną kucharką chłopką i z racji tego mezaliansu nie danym mi było poznać go i pokochać tak, jak one go kochały – najdroższego człowieka o dobrym głosie i pobłażliwym humorze. Aż kiedy mieliśmy w [19]18 roku wojnę ukraińską, to przyszli do niego po nocy, wyprowadzili na folwarczne podwórze i pozwolili pomodlić się chrześcijańskiej duszy, i przy latarkach elektrycznych rozstrzelali, i zakopali w folwarcznym gnoju. Do teraz dochodzi mnie krzyk mojej matki z przebitego żelazem boleści serca, kiedy wiadomość o tym przyszła po tygodniach, i do teraz pamiętam, jak pojechaliśmy cudowną letnią wyprawą wozem wiele mil do tego miejsca, gdzie go z gnojówki wykopano i sprawiono pogrzeb, i jak za trumną szła jego chłopska żona i płakała. Paradoksem wydaje mi się, że przez śmierć swoją stał się bliższy życia, jednocząc się w śmierci z gnojówką agarem.

Stara kobieta była zmęczona, ale skora do pogawędki. Było w niej coś bliskiego, czego z początku nie mogłem połapać, ale zaraz stało się to oczywiste i znane. Bo mówiła:

„Moiściewy… tyle lat już tu jestem, za drugim mężem tu, nieboszczykiem, byłam, ale ja to jestem z (*tu proszę wstawić Kopyczyńce albo Rawę Ruską*). Mój pierwszy nieboszczyk był tam piekarzem, mistrzem piekarskim. I dom mieliśmy, i był starszym bratem w parafii, i miał

dostawy dla infanteryjskiego pułku. Awstryjska granica była wtedy i narodowi powodziło się…”

Jej zamglone oczy patrzyły na wskroś przeze mnie, nie widzące i dalekie. W jej zapatrzeniu się wstecz, tęsknocie do przeszłości było to samo rozmarzenie kogoś zapatrzonego w przyszłość. Co, u licha?! Przecież to te same symptomy, ta sama Emma Bovary, tylko na wywrót, zapatrzona wstecz. Tylko tamta zapatrzona w celofanową, wyimaginowaną przyszłość, świat, który żeby tylko był inny, żeby tylko odległy, żeby tylko ujść, odbiec od tego samego kręgu twarzy, od westchnienia, kiedy po dniu kładzie się do skrzypiącego łóżka, kiedy następnego dnia rano wstaje się z metalicznym posmakiem w ustach.

Oczy starej kobiety wypełzłe od starości patrzyły we mnie, przeze mnie, bo nie zogniskowane, w sieci zmarszczek twarzy, kiedy, stękając, przysiadła na niesionym worze z czymśćiś tam, przywołując marzenia, wspomnienia przeszłości. Ta sama Emma Bovary w sukni z gazy lila.

„To co, to miała pani swoje życie?” – mówię w tej niezdecydowanej polskiej chińszczyźnie, bo nie wiem, może to się należało jej tylko „wy”, „wyście”? Ale, broń Boże, nie chciałem jej urazić, bo przecież była z waszecia, nie kapeluszowa wprawdzie, ale zawsze – pierwszy mąż mistrz piekarski…

Nie słuchała mnie, ale mówiła wciąż do siebie i kiedy już zacząłem przebierać się w stronę miasteczka, to słyszałem jeszcze za sobą:

„Mistrzem piekarskim był… Moiściewy…”

Natomiast jeżeli przychodzi pisać o miejscach odległych, to nie jest to takie łatwe. Bo widzę je sobie tak i tak, nowicjusz, przybysz, ale niech przyjdzie autochton, tubylec, i popatrzy na to dzieło, to nie pozna siebie, wyda mu się, że to o jakimś całkiem innym powiecie. Niedawno przeczytałem sobie na nowo *Listy z podróży*. I jak ta Ameryka Sienkiewiczowska jest inna, i jak nieprawdziwa! Można to temu geniuszowi kolorowej fabuły, twórcy, przypisać te notatki amerykańskie pomyłce, zwalić na karb młodości, powiedzieć, że nie umiał pisać z autopsji, że tylko genialnie umiał przykrawać sobie cudze pamiętniki, kroniki i listy. Ta Ameryka jego jest taka chateaubriandowska, powycinana z papieru, z ponasadzanymi

dekoracyjkami, bardzo ładnie to napisane i z humorem, ale to i tak nieprawda. A taki Henry James odkrywający swoją Amerykę na nowo, po długoletniej w niej nieobecności, opisał lato amerykańskie w dwu słowach – jak szalenie wyraziście! Jak to w gorący dzień letni w hotelu słyszy się na korytarzu hotelowym dzwonienie lodu w szkle z wodą, które niesie posługacz Murzyn. Jest w tym całe lato amerykańskie: straszliwie upalne, duszne, ciężkie, nie ma od niego ucieczki, jedynie w tej bardzo amerykańskiej ucieczce w postaci lodu we wodzie, i jest w tym upał lata, słoneczna śreżoga, w tym tłuczeniu się lodu w szkle z wodą roznoszoną przez posługacza Murzyna.

Chciałoby się napisać coś na sposób tak uniwersalny, by oddzwoniło to w uchu każdego, by miało to obiektywną wartość. Nazbiera się sobie szczegółów, autentyków, śmiecia egzotyki i w pocie czoła zabiera do pisania, i zaraz skrada się ku temu sztampa, coś samo wodzi ręką, by napisać tak, a nie inaczej, i co z tego wszystkiego wychodzi? Nieprawda, na której każdy się pozna, wyczuje instynktownie, że to nieprawda. A wystarczyłyby dwa słowa.

To rano, około dziesiątej rano. Już jest tęgie gorąco poranne i światło jak roztopiona platyna przenika wszędzie, bije z góry jak dłutami i przebija wszystko wokół. Jarzy się w nim olbrzymia reklama, czerwone farby reklamy jak odarte ze skóry ciało. Każdą rzecz widać ogromnie wyraziście, aż od tej wyrazistości jest się ślepym. Drzewa figowe w ogrodzie mają liście ciemnozielone blaszane, powycinane tępo i pod nimi jest ten figowy ich cień. Drzewo domów, ogrodzeń jest jakby spopielałe i szare. Wśród tego zieleń bucha i czapierzy się i liście lśnią w słońcu niebiesko.

A po południu, w upale przychodzi ulewa – w upale, który drgał w powietrzu jak przeciągnięta struna. Deszcz przychodzi nagle, niespodziewany, i lunął od razu, bez uprzedzeń, nie dramatycznie, ale jakby to była urzędowa sprawa do załatwienia. Liście drzew dygocą od uderzeń kropli. Na jezdni i chodnikach widać jakby zachodzenie się szlochem tego deszczu, kiedy zamiata jego smugami po ziemi i liściach. Potem nagle rozłupuje się to wszystko w piorunie i wydaje się, że jesteśmy w oszalałej

oranżerii w czasie trzęsienia ziemi, wpośród szklanych rozprysków szkła jej ścian i dachu.

A nad wieczorem u bulwarów rozlewiska wód, które otwierają się daleko z jednej strony. Jest tu przeźroczyście i nad wodą unoszą się opalizujące obłoki aż po horyzont, i w przeciwieństwie do płasko, dwuwymiarowo leżącej wody są trójwymiarowe, i jakoś to godzi te żywioły. W powietrzu jest ciężko i upalnie tej wieczornej godziny. U brzegu widać, jak ktoś łowi we wodzie, posługując się siecią z rodzaju, który zwie się „*butterfly*”. Rzucona z zamachem sieć, nim opadnie na wodę, wygląda jak zawieszona w powietrzu meduza pływająca w górze i drapieżnie rzucająca się na zdobycz. Od tej sieci aż lepko, sieć jest lekka jak z galarety albo pajęczyny. Przez to swoje podobieństwo nawraca sprawy człowiecze do prymitywu życia.

Stopnie zbiegające do wody wilgotnieją od chlapiącej o nie fali. Woda przychodzi zielonooliwkowymi chluśnięciami i oblizuje permanentnie zazieleniałe najniższe stopnie wału nadbrzeżnego.

Jest w dalszym ciągu gorąco i duszno, ale na otwartym nie jest to tak dokuczliwym. Już jest wieczór albo pora, kiedy dzień jest z nocą przemieszany jak rozmącony roztwór w szklanym naczyniu. Czas jakby zatrzymał się, dotrzymując kiedyś zrobionej obietnicy, i zahuśtał się w miejscu przez chwilę, w pośrodku przebiegających spraw i zjawisk. Uczepiony tego zatrzymanego czasu wpatruję się w przestwór wodny. Leniwie, bardzo leniwie stoi daleko trójkątny żagiel – jeden, drugi, trzeci, szósty, dziesiąty. Trójkąty białe; któryś przehalsuje i zrobi się pod światło brązowy i śniady. Żagle wydają się nieruchome, wydają się stać w miejscu, ale jak wzrok odwrócić i potem znów o nie zaczepić, to już albo rozeszły się, albo nawróciły.

Potem gwiazdy – jedna, dwie, tysiąc – pozawieszane w tych obłokach, które teraz świecą, jakby w ciągu dnia nasiąkły światłem słonecznym i teraz to zapożyczone światło emanują.

Ale z drugiej strony miasta niesie się inna woda. Olbrzymia rzeka kręcąca się wielkimi zakosami, ale nic z niej nie widać, bo zasłania ją wał „*levee*”. Tama w przekroju jest nieregularnym trapezem, którego odlądową

pochyłość zarasta gęsto trawa w tym klimacie szybko i bujnie odrastająca po każdym jej wykoszeniu. Odrzeczna strona tamy, stromsza i patrząca ku wodzie, nazywa się w technicznym języku „*batture*”.

Pomiędzy „*batture*” i rzeką jest ziemia niczyja. Przez pół roku obmywają ją rwące wody rzeki, a na drugie pół roku odsłania się zamulona, porasta sitowiem, żłobią ją ściekające wody, znaczy śmietnisko osiadłe na hipsometrycznej linii poszczególnych stanów wody. Monotonię tę przerywa tu i ówdzie jakiś dok pływający do niej przycumowany, jakieś pale – pozostałość po budzie tu wzniesionej przez biedaka na ziemi niczyjej.

Kiedyś szedłem spacerem koroną tej tamy i z daleka w jednym miejscu po stronie „*batture*” doszedł mnie głos ludzki. Wpośród sitowia zarastającego płyciznę widać było małą postać ludzką, a tym łatwiej że figurka ta była przybrana w rodzaj białej koszuli i bieliła się z daleka. Kiedy znalazłem się bliżej, to już mogłem rozróżnić, a po zastanowieniu się – i zidentyfikować w przybliżeniu to zjawisko. Był to stary niewielkiego wzrostu Murzyn. Miał starczą twarz z dołami w skroniach pokrytych rzadką wełną siwych włosów. Stał we wodzie po kostki wśród sitowia płycizny. Obok wbity w muł rzeczny był krzyż trochę ponad wysokość człowieka, niezdarnie sklecony z mizernych patyków. A człowiek ten mówił coś głośno i w natchnieniu i nietrudno było domyślić się, że to „*preacher*”, kaznodzieja z własnego namaszczenia, człeczyna wyraźnie stuknięty, bo przecież kazał tu na prawdziwej puszczy wodnej: wokół ni żywego stworzenia, chyba ważki wodne przysiadające na chwiejnych trzcinach i daleko nad rwącą potężnym nurtem rzeką polatujące mewy. A ja byłem najzupełniej przypadkowym słuchaczem wieści przyniesionej tu i głoszonej przez obłąkanego:

„*…God is the man… All nations come to see me… When you baptised… I am in the sight of God… Tricle of water… We need God… God hears about you… Judgment at hand… Time is ready… come down to water… If you are at… If you want to be saved… not be damned… Water is your witness… Come one into the water to see power of God… This river should be crowded by hundreds and thousands… Man command no mess when going back in darkness…*”

[prwdr. „Tematy” 1969, nr 31–32, pt. *To ja sam jestem Emmą Bovary…*]

Dwie wizyty

Kiedy pierwszy raz odwiedziłem poetę, było to w roku olimpiady, w lecie, kiedy odbywałem ćwiczenia w pułku artylerii w Stryju. Jakimś sposobem dowiedziałem się, że jest niedaleko w uzdrowisku, że spędza tam wakacje. Pomyślałem, że to, że jestem tymczasowym rezydentem miasta, gdzie chodził kiedyś do szkoły, zarekomenduje mnie. Żeby było bardziej poetycznie, do uzdrowiska podwiózł mnie Serafin. (Porucznik Jan Serafin naprawdę tak się nazywał, przeprowadzał zawsze próby pojazdów mechanicznych naprawianych w parku pułkowym i obiecał, że przy takiej okazji mnie podwiezie).

W uzdrowisku zieleń, deptaki, letnicy, kuracjusze, sfery urzędnicze i Żydzi w atłasowych chałatach, zawsze parami, także się tu leczą. W takim miejscu łatwo się dopytać. Powiedziano mi, gdzie i jak, i jest w cieniu willa, i tam przy otwartym oknie siedział poeta i oczywiście słuchał biuletynu z Igrzysk Olimpijskich w Berlinie. Moje nadejście przerwało tę popołudniowo-niedzielną zieloną cienistą pszczelą, rozgwizdaną wilgami atmosferę. Może było jak chrypiący z radia zgrzyt kolców po gorzkim żwirze bieżni, może jak warczenie oszczepu, kiedy drga jeszcze, wbity w ziemię, u kresu swej parabolicznej drogi.

Poeta uważnie i przychylnie wysłuchał zmartwień intruza. Zamknął radio i w cieniu mądrze połyskiwały okulary na jego młodzieńczej twarzy. Ekspert od spraw nierzeczowych i niepragmatycznych raz bodaj tylko zniecierpliwił się wobec uporu monomaniaka, gościa wyraźnie stukniętego, kiedy rozpaczliwie tłumaczył: „No cóż, proszę pana, niektórzy w takich wypadkach nie jedzą całymi dniami, inni ucztują…” Ale mi pewnie darował, bo to się działo w jego ziemi.

Tamtejsza ziemia inną jest od zwyczajnych okolic. Z dolin widać tam barierę gór od Przełęczy Użockiej po Pantyrską. Stokami tych gór zbiegają lasy ku wodom Świcy, Łomnicy, Czeczwy, Bystrzycy. Świecą wpośród tych

lasów białym drzewem wyślizgane koryta „ryzarni”, których stromością spływają w dół pnie górskich jodeł. Słyszy się cienki świst lokomotywy, kiedy pracowicie po wąskim torze ciągnie długi ładunek drzewa do broszniowskich tartaków, gdzie zetrą je w niebotyczne usypiska złotych trocin. Dziki ryją w starych austriackich okopach biegnących grzbietami gór w gęstwinie kosówki. W dole, wpośród kamieni potoku wytrzeszczają oczy pstrągi.

Potem ziemia poety przechodzi w doły, pola, wsie, osiedla pochowane w gęstwach drzew. Osmołoda, Synowódzko Wyżne, Bolechów, Sołotwina. Nad nimi gonty i blacha bani cerkiewnych, na zielonych wygonach nad stojącą już wodą czeredy gęsi, pasy bielonego płótna. Kalina rośnie „liściem szerokiem”, jarzębina, jesion, buk, czereśnia, leszczyna, głóg. Odurza bijąca z ogrodów woń konopi, odurza zapach wódki z otwartych drzwi propinacji. Huczą i brzęczą jak harfy eolskie druty telegraficzne biegnące wzdłuż zakurzonego gościńca. Czółno szoruje dnem, kiedy podchodzi do zarosłych chaszczami wikliny brzegów rzeki.

Tamtejsza ziemia inna jest od zwyczajnych okolic. Puchnie i wzdyma się od wzbierających w niej gazów, poci się i ocieka jakimiś nadmiarami soków, żywic, przesiąknięta ropą, tłusta od wosków, fosfatów, słona od soli, wody jej mienią się tęczowo od cieniutkiej błony olejów i nafty na nich porozlewanych. Wpośród pól i na stokach wzgórz stoją tam lasy czarnych wież wiertniczych, szybów naftowych, cystern i po nocy buchają tam gejzery pary i świecą się konstelacje lamp elektrycznych Tustanowic, Daszawy, Staruni, Kałusza. Wyrzuca ta ziemia ze swego łona potwory i dziwadła, smoki, szkielety i ciała dyluwialnych gadów, żeby dodać i pobudzić poetycką fantazję.

Ale po wierzchu, za dnia jest tam pogodnie i małomiasteczkowo. Warstaty kolejowe, urząd powiatowy, fabryka zapałek „Watra”, hotel Kofflerów, sklepiki żydowskie, garnizon, gimnazjum, trafika malowana w skośne pasy, z daleka sinieje piła – sierra Karpat. Rzeka wysypała swe koryto głazami otoczakami i pieni się, i huczy przez wąskie gardła, obmywa izbice mostu, ażeby niespodziewanie rozlać się w spokojne i leniwe głębizny, łagodna i słodka jej, jak ukochane ramiona, woda.

Tutaj poeta chodził kiedyś do cesarsko-królewskiego gimnazjum. Może tutaj w długie małomiasteczkowe godziny szkolne czytał z innymi, pod światłym kierunkiem pedagoga w plastronie i z „cwikierem” na nosie, teksty greckie. Może były to historie z Homera o tym, jak wleczono ciało bohatera na rzemieniu przeciągniętym przez ścięgna stóp i uczepionym do wojennego wozu. Może z pomocą niezawodnych „bryków” i nieocenionych w trudach nad przekładami wydawnictw Zuckerkandla ze Złoczowa czy księgarni Westa w Brodach danym im było poznać groźne, złowrogie dzieje wojen peloponeskich. A może Stagiryty uczony traktat z *Poetyki* mówił poecie, jak mamy tłumaczyć sobie przestrogi bogów, byśmy, uniesieni pychą, nie doznali kary większej niż ta, na jaką zasłużyliśmy, byśmy naszym przykładem nie wzbudzali w widzach tragicznego współczucia i trwogi.

Innym razem, po latach, odwiedziłem poetę na innej ziemi. Było to w jesień. Jechało się daleko – tam gdzie koniec lądu. Wydmy, diuny przerośnięte rzadkimi czubami traw, woda oceanu zapluwa plażę mydlinami pian i fal. Piasek, piasek starty na miał, poznaczony stąpnięciami, śladami czyichś kroków, które wiatr morski zatarł nie do poznania.

W jednym miejscu wody przypływu przedzierają się przez diuny i rozlewają w słone płycizny. Tutaj gromadzą się odlatujące na wyraj ptaki. Hałas i gawor, i zlot ptasi – niezliczone stada dzikich łabędzi, gęsi, kaczek, żurawi, czapel, kulików, siewek, nurków podnoszą się chmurami, wzbijają w niebo, kołują, zapadają w zgiełku w sitowie, pokrywają ławice, mącą wody zalewu.

Poeta patrzy w ich stronę, podziwia, rozpoznaje, zapamiętuje. Uśmiecha się, zachwyca go ich lotność, niepospolity dar oderwania się od miejsca, żeglowania górą, ich ptasi instynkt, pewność obranej i odnalezionej drogi.

[prwdr. „Wiadomości” 1958, nr 19]

II

Nietota

Nasięźrzale,
Rwę cię śmiale
Pięcią palcy, szóstą dłonią,
Niech się chłopcy za mną gonią…
(z folkloru)

Mógłbym to zacząć staromodnie, na przykład tak:

„Wołoczyszcze i okolice należały kiedyś do książąt Zbaraskich wywodzących się od kniaziów Nieświckich, którzy wywodzili się z kniaziów Pińsko-Turowskich. Wasyl Nieświcki w XV wieku miał trzech synów: Wasyla, Semena i Sołtana. Młodszy, Wasyl, odziedziczył Zbaraż i trzydzieści innych wsi, Sołtan – Wiśniowiec, Dwór, Maniów i inne wsie w powiecie krzemienieckim. Tenże Wasyl miał synów: Michała i Semena, a tego ostatniego córka, Marusza Zbaraska, zmarła w 1620 roku, była zamężna za Wasylem Zahorskim, kasztelanem bracławskim. Jej znowu córka, Hanna, wyszła za Konstantyna Wiśniowieckiego, którego za jej sprawą, bo była wielką katoliczką, nawrócił na katolicyzm jezuita ojciec Nahaj. Ich syn, Janusz Wiśniowiecki, był starostą krzemienieckim. Miał synów: Konstantego, Krzysztofa i Dymitra Jerzego. Córki tego ostatniego to: Eugenia Katarzyna Koniecpolska, Zofia Leszczyńska i Salomea. Salomea, obrana ihumeną – ksienią panien benedyktynek przemyskich, zrzekła się Wołoczyszcza (czyli Wołoczysk z przedmieściem Staromiejszczyzna) i wsi Wołoczkowce, Dorofiejówka, Korostawa, Balkowce, Januszowce, Manaczyn, Pisarzówka, Zielone, Dederkały, Krzysztofówka, Medwedówka, Broniówka, Kaczorzyńce, Petrykowce, Sarnów, Kurniki, Porochnia, Niemierzyńce, Kociary i Hłochwasty na Potockich, którzy sprzedali je Moszyńskim”.

Cały ten wstęp miałby być o tyle potrzebny, że kiedy Nietota była na pensji w klasztorze Panien Benedyktynek przemyskich, to straszył tam

wciąż duch Salomei, chociaż ksieni zmarła jeszcze w roku 1716.

Albo mógłbym to zacząć w stylu ekspresji:

„Taka panna Winsloe napisała kiedyś sztukę, z której zrobiono także film. Nazywało się to *Mädchen in Uniform*. We tle pruska pensja dla panienek, z jakimiś tam komplikacjami psychologicznymi lesbijskimi, atmosferą dosyć, jak na ów czas, szokującą. Pamiętam z filmu scenę taką, że tej jakiejś *virago*-wychowawczyni przywołana przez nią pensjonarka, pensjonara, ma się zameldować. Przychodzi, a jakże, z lekcji fechtunku w sali gimnastycznej, ma jeszcze na sobie obcisły kostium szermierczy, pończochy do kolan, pantofle, w obcisłym plastronie fechtunkowym, w lewej ręce trzyma drucianą maskę szermierczą, w prawej floret z jego lśniącym koszem, floret giętki jak bicz, z gałką nasadzoną na koniec ostrza”.

Otóż widzę Nietotę, jak to Nietota w obcisłym plastronie szermierskim zapiętym wysoko pod szyję, bluza pozapinana na guziczki na ramieniu i piersi ma obcisłe i wysokie pod tą bluzą, strome, a na plastronie, wiadomo, tam gdzie bije serce, ma wyszyte, naszyte, wycerowane serce z czerwonego safianu, czerwone, szkarłatne *cœur*. Na „planszy”, zanim pierwsze „*en garde!*” przeciwnika, wita się, salutując floretem: kosz gardy do twarzy i świetnym jedynym ruchem, skosem, jakby zataczając szarfę ze stali, jednym śmignięciem, paradą, garda od ust, w prawo w dół, i Nietota salutuje tak samo przed ksienią, przywołana do ksieni. A uczył fechtunku sierżant – szermierz, instruktor wychowania fizycznego dziewcząt w szkole klasztornej, sierżant 1. Pułku Czołgów z Żurawicy. *Quinta! Tercia! Patinando!* Na *patinando*! Raz! Dwa! Trzy! – szybki posuw do przodu, wypad prawej stopy, przytup i ostry okrzyk, i sztych! i cofnięcie się do tyłu.

Albo mógłbym przepisać to, co mam zastenografowane w pamięci, słowo w słowo własne słowa Nietoty. Mówiła mi kiedyś, że wybrała się do podmiejskiego parku nad Sanem i tak sobie tam po panieńsku kołowała po trawie na welocypedzie, lśnią i migają się jego szprychy i koła podskakują na nierównościach, i szeleszczą po trawie gumowe opony maszyny. I tu niech już sama opowie własnymi słowami:

„Na szkarpie nad brzegiem rzeki siedziała para staruszków: takie to zasuszone i powiędłe, twarze w zmarszczkach i przygarbieni, i zmęczeni tacy życiem, łagodni i po starczemu zastraszeni tym światem, który wokół nich się toczy, przegonił ich czas, i już, i zostali w tyle staruszkami, jeszcze zasłuchani w życie, ale dolatuje ich ono jakby z daleka, jak turkot oddalającego się wozu. I wyobraź sobie, niewprawna, niezdara, jadę, koło przednie mi się giba i chwieje, i widzę, Boże! widzę, że jadę wprost na nich, na ich pochylone, zgarbione plecy, i coś mnie pcha, i nie mogę się zatrzymać, przeklęty rower… No i wjechałam na tę parę, na tego Filemona i tę Baucis, śmiesznie i niezdarnie, a oni przestraszeni, aż oczy porobiły się im, o, takie okrągłe, a ja stałam rozkraczona na tym rowerze i wargi mi się trzęsły od płaczu i przepraszania, głupia niezdara, przestraszyłam tych dwoje, na starość przysporzyłam im upokorzenia i strachu, aż mi było żal, jak żal… Ale takie rzeczy zdarzają się, i już, prawda?”

Bo kiedy życie nasze składa się z tryumfów i klęsk, to Nietota zawsze o klęskach. Przecież miała swoje tryumfy i radości, ale przez przekorę czy zamiar jej nie znany, nie zrozumiany, czemuś miały one zawsze domieszkę klęski. Była ogromnie, niebotycznie, cudownie uzdolniona, najtrudniejsze rzeczy przychodziły jej jakże łatwiutko, jakby od niechcenia, jakby bez wysiłku najmniejszego, na marginesie ważniejszych poczynań. Na pensji, gdy inne kujony pracowicie dorabiały się swych stopni, Nietota chwytała to wszystko na gorąco, od razu, łapczywie, utrwalała to bez wysiłku w pamięci, mogła cytować, recytować po tygodniach zasłyszane zdania, wiersze, ustępy, formuły, a do tego oddawała to wszystko w dwójnasób: upiększone, przeformowane, zharmonizowane, cudownie skomponowane. A wieńczyły to dowcip, humor, bystre podpatrzenie paradoksu sytuacji, udziwnienie, niezwykłość. Najnudniejsze stawało się przez nią najbardziej zajmującym.

Nietota o swoich klęskach. Opowiadała mi, jak kiedyś wracała z klasztoru na wakacje do domu z jakąś znajomą pociągiem, podmiejską linią ze Lwowa, pociąg chwieje się i stukocze na krzywiznach i rozjazdach, mija i zatrzymuje się na podmiejskich stacyjkach, kręci się za oknami wagonu tamtejszy krajobraz: wzgórza porosłe bukowym lasem, potem pola,

chłopskie morgi i łany, ich pasy i miedze, wierzby nad przeciekającą wodą, dalekie chałupy chłopskie. Wagon jest twardy i kiwają się na ławkach nijacy pasażerowie. To sobie moje panienki pogadywały, co tu mówić, plotkowały sobie niewinnie o małomiasteczkowych wydarzeniach i skandalikach, jak to panny. Nietota śmiała się i była jeszcze do teraz zakłopotana tym, co się wtedy wydarzyło. Bo za temat swoich niewinnych panieńskich obgadywań wybrały jakiegoś pana, który był im osobiście nie znany, który niczym się nie odznaczał, pewnie jakiś urzędnik powiatowy zaharowany tam i dbający o jakieś tam swoje sprawy. Nie mówiła mi, o czym mogły to sobie wtedy opowiadać, pewnie w tym nie było nic szczególnie ciekawego, ale w każdym razie był temat, sądziło się innych ze słyszenia, coś sobie i przy tej okazji się zmyślało, byle tylko językiem obracać. No i nagle siedzący w tym samym przedziale pan przerwał pannom te historie sobie wzajemnie opowiadane i może nawet zakłopotany, ale i dotknięty do – jak się to mówi – żywego, powiedział tak po inteligencku: „Bardzo panie przepraszam, ale panie mówią o mnie i o moich sprawach”. A więc gafa, mój Boże, niezręcznie i nieprzyjemnie, i jak to wtedy krew napływa do policzków, a odrobić się już nie da i nie da. Nawet sobie wyobrażam i zakłopotanie samego tego pana, było mu nieprzyjemnie, zdaje się, że w tym wspomnieniu Nietoty było o tej wyczutej u niego nieprzyjemności, ale ten pan ani nie okazał się ordynarny, ani się nie rzucał, po prostu zareagował przyzwoicie i godnie, tym większy ambaras.

Ten pan z pociągu, którego nigdy nie widziałem i nie znałem, jest mi tak dobrze znajomy, jak wnętrze pociągu, podmiejskiego wagonu wnętrze. Należał do klasy ludzi, z których sam się wywodzę. Co na nią składało się? Przede wszystkim była to kasta urzędnicza, wszędzie autorytety stwarzały sobie systemy, urządzenia z ludzi na żołdzie, płaconych skąpo, bo skąpo, trzymanych w ryzach, w ramach, formach, kierowanych nakazem z góry. W imperium carskim wszystkich przecie robili urzędnikami: arystokrację, szlachtę, kupców, nadawali im rangi, kategorie, kazali im nawet nosić uniformy, mundury, fraki czy jak tam, dawali w nagrodę do noszenia wstęgi, ordery – cóż to, czy Puszkin nie nosił kapelusza stosowanego czy

takiego kaszkietu z bączkiem na dworskie przyjęcia albo czy gdy trojką wybierał się z wizytą? Lubili sobie ci, co rządzili i wodzili innych za nos, poubierać ich i ponadawać im tytuły takich i owakich radców tajnych i radców dworu, i hofratów, i konsyliarzy, bo to i łatwiej utrzymać w szeregu i zidentyfikować. W niektórych historycznych organizacjach, weźmy Bizancjum, to nawet odbierali im męskość, a jakże, kastę urzędniczą najchętniej stwarzano z eunuchów, rzezańców, bezpłciowców, nawet sięgało to i w sfery militarne – czyż Narses, admirał Justyniana, nie był eunuchem? A przedtem pierwszy Rzym miał tych swoich konsulów i prokonsulów, kwestorów, pretorów, cenzorów, prefektów i stamtąd te tytuły do nas przywędrowały. Stąd te setki innych tytułów: konsyliarzy, dependentów, referendarzy, profesorów, aplikantów, adiunktów, przewodniczących, asystentów, prałatów, dziekanów, naczelników, dyrektorów, koadiutorów, kierowników, kolaudantów, asesorów, prokuratorów, podsekretarzy, kuratorów, kustoszów, plenipotentów, pryncypałów, hospitantów, prokurentów, szefów, referentów, absolwentów, alumnów, abiturientów, inspektorów, docentów, komisarzy, magnificencji, prorektorów, praktykantów, kierowników resortów, suplentów i tak dalej, i tak dalej. Wszyscy oni mieli z nadania, z namaszczenia i z tytułu władzę i tytuł trzymania innych w ryzach, w garści, „za mordę”, w posłuszeństwie. Ci ludzie organizacji mieli z góry patrzeć na innych i pogardzać „pracowitymi”, co to w ziemi błocku grzebią, cioszą, dłubią, paprają się i parają, bez których anibyśmy wyżyli – żremy ten chleb, co nam wygnietli, żłopiemy – co nam przydygowali w beczkach, garnkach i co podają nam na klęczkach w kielichach. Wciągamy na siebie koszule, wzuwamy buty, okrywamy się kożuchami czy futrami, co to nam je wyścibali, wyszyli dratwą, wygarbowali, chronimy się pod dach, co go nam wyrychtowali nad głową, huśtamy się na resorach, włazimy jakby nigdy nic na siedzenia powozów, dla których koła musiał kiedyś zdziałać jakiś kołodziej, koła toczące się po gościńcu, który wyścieliły nam kamienie w znoju rozbijane młotkiem pod bezlitosnym słońcem przez tych, co to „kamienie tłuką przy drodze”, i dudnią pod tymi kołami dyle, podłoga mostu, jaki nam wymościli (i do tego ukradliśmy im na dobitek ich własne miano, bo

przecież to ten, co ten most dla nas kładł, kiedyś nazywał się nie inaczej, a „pontifex”, a dzisiaj ten pontifex maximus to najwyższy kapłan tych, co to sobie rąk nie uwalają). Inteligenci, ci to usadowili się! Źle! Nie usadowili się zaraz, bo to po mieszczańsku czy posiedzicielsku, a to ani mieszczanie, ani posiedziciele. Uplasowali się w takiej warstwie, gdzie dziurawo i nędznie, ale fason się trzyma, tych rąk właśnie nie uwala, gdzie się jest zawsze przez „pan”, „pani”, gdzie obowiązuje ten specjalny literacki, inteligencki język, to prawda, przeładowany banałami, komunałami, „*dictionnaire des lieux communs*”, elegancja wysłowienia się, osobny dialekt bez surowizn, ta osobna literacka polszczyzna wyślizgana jak wytarte łokcie marynarki, jak leciutko przybrudzony kołnierzyk koszuli i krawata, ale kołnierzyk i krawat muszą być! A do tego śmietnisko drobiazgów: spinek, breloków, owszem, i papierośnica, którą z trzaskiem zamyka się na preferansowym stole, cygarniczka, takie i owakie getry, kamizelki, pulowery, butonierki, no i oczywiście, jakżeżby bez tego, bez nich, rękawiczki! szare zamszowe z świńskiej skóry, parasol, pilśniowy kapelusz, płaszcz raglan czy sakpalto, czy palto „miastowe” z wyleniałym, ale futrzanym kołnierzem, a u pań rozmaite fioki, bluzki, kasaki, koroneczki, fastrygi, kroje, rzuciki, kapelusiki, toczki, budki, rajery i inne pierze zdechłych ptaków, bo jakżeżby. Osobna społeczna warstwa czy kasta: inna, hieratyczna, zbalansowana na jednym poziomie, z maturą gimnazjalną czy tytułem doktorskim, a zawsze adresujący się przez trzecią osobę i przez „pan”, aż wyszło tak, jak wyszło koledze Przybosiowi w jego antologii poezji chłopskiej (ach, te antologie!), że z tego uroczego lirycznego zbioru poezji chłopskiej pierwszy nieszczęśliwie i złowieszczo zaczyna się od słów: „Diabli wzięli pana…” No to już nie znęcajmy się nad nimi. Pod tymi tytułami, tak jak pod bindami, pomadą, za szkłami okularów i pince-nez, pod kresą kapelusza panama, pod kamizelką z łańcuszkiem, pod klapą z wpiętą w nią odznaką, pod przyciskiem na biurku, bibularzem, pod stosami aktów podawczych, jak za parawanikiem w saloniku i za szpalerem krzaków porzeczkowych, za firankami i dzikim winem oplatającym pokrzywiony ganeczek w miasteczku czy za portierą

straszliwego przedpokoju kamienicznego mieszkania w mieście, za tym wszystkim…

Alem się rozpędził – jak ów szewc Rozpędek z bajki, który smołował dratwę, klepał skórę i tak walił młotkiem, że żadne buty mu nie wychodziły, bo się zanadto rozpędzał – a ten rodzaj twórczości pisarskiej nazywa się „fleuve", „*stream of consciousness*".

Nietota pojechała na wakacje na takie letnisko nad Dniestrem, gdzie to południe, upalne lato, a zieleń tam rozbujała: gąszcze zarośli, wielkie kopuły czereśni, gaje drzew, leszczyna, grabina, dęby – i pola, ogrody, a w nich aż kotłuje się od tej rozbuchanej zieleni: gęsta dżungla konopi, słoneczniki obracają swe głowy za słońcem, fasola na niebotycznych tykach, słodki groszek jak pachnie! dynie, harbuzy, melony rozwalające się, opasłe po grzędach, strąki, boby takie jakieś woskowate, maliniaki i porzeczkowe krzaki, agrest włochaty i ciężkie jeszcze od zielonych jabłek gałęzie jabłoni, i cała ta zielenina rozmaitych marchwi i pietruszek, i łopianowe cienie u parkanów, i winna latorośl, tu przecież wino się udaje, i słodko, sennie, gorąco i jaskrawo od tarniny i jarzębin, i dereni, i ludzie tamtejsi zachodzeni koło swych robót w obejściach, ogrodach i na polach, i oczywiście muchy, roje ich, siadają wszędzie, i pełno rozmaitych mrówek, pełzających żuków, chrząszczy, liszek, gąsienic, mszyc, i paprzą się w kurzu wróble, i przelatują ptaki, trzepoczą skrzydłami, fruwają, kląskają i pogwizdują, i „ścianki" nad Dniestrem, ich płytki, blaszki kamienne sypiące się z urwisk, i na zboczach dniestrowych ciężkie kolebiące się krowy powychodziły stopnie, schodząc do wodopoju, a nad tym wszystkim kopuła niebieska, niebieściutka nieba jak szklany dzwon z niebieskiego szkła.

Otóż w tych cieniach i tym słońcu przesiaduje się, do wody, kąpieliska niedaleko, trawa, ręczniki kąpielowe, jakieś tam chusty, szale, koszyki plecione, dzieci bobasy, robótki, buteleczki, korki, pieluszki, zabaweczki, łopatki, koneweczki, w ogóle śmieciarnia dziecinno-letniskowa i towarzystwo rozleniwione. Między taką kompanią letników, inteligentów na letnisku, zawiązuje się oczywiście komitywa, gra się w brydża, czasem wieczorem szło się na dancing w restauracyjce, gdzie i fasony

wielkomiejskie, i menu nie byle jakie: z daniami, specjalnościami miejscowymi, pstrągi, góry owoców, przystawek, lodów, gospodarz uwija się i kłania, panie rozszczebiotane, wieczór, kolacja, ale jeszcze z dnia duszno od gorąca, przy pianinie chudy pianista i drugi, skrzypek, co to i do tańca zagrają, i „do słuchu” jakieś tango albo coś rzewnego ludowego.

Dzielą się uwagami na temat nawzajem sobie wypożyczanych książek: powieści – rodzaju sztuki, który sobie inteligencja ekskluzywnie przyswoiła; inny gatunek ludzi powieści nie czyta. Będą to nowości jeszcze nie rozcięte albo dobrze już zaczytane powieścidła, teraz nie nazywa się już tego „romanse”. Rzeczy najróżnorodniejszego autoramentu najnowszych autorów, a także klasyków. Dostojewski z jego strasznościami, niesamowitościami i rozhisteryzowanymi i rozgadanymi, straszliwie rozgadanymi psychologicznościami, nic tam się u niego nie dzieje ani też niczego nie widać: ani krajobrazu za oknami wagonu, ani widoków Szwajcarii czy Nadrenii, ani Rosji, ani nie bardzo wiemy, jak tam wyglądają twarze i grymasy tych jego bohaterów. Lepiej już u tego zaczytywanego Dickensa, bo ilustrują je sztychy Cruickshanka: panowie we frakach i halsztukach, obcisłe inekspymable ze strzemiączkami i te ich tam bakenbardy przy wygolonych podbródkach, i na czoło zwisa im ówczesny lok, a panie w budkach, pasterkach ze wstążką pod brodą albo „*follow me*” i spod fałdów spódnic, krynolin wygląda im czubek bucika, pantofelka przewiązane[go] w kostce, pęcinie i foryś na siodłowym koniu zaprzęgu dyliżansu, i wiechy oberż i zajazdów. A znowuż u Schnitzlera to domyślamy się sztafażu wiedeńskiego Prateru, fircyków w wafenrokach, z wąsami usztywnionymi i dobrze ufryzowanymi przez bindę. To znowu Maupassant i w ogóle francuscy noweliści, takie to u nich wyfajnowane, ciut, ciut, psychologie i perwersje, wysmakowane, „cienkie”, tylko że ówczesne wydania miały psujące wrażenie ilustracje, a na nich piórkiem, koniecznie wyszrafowane piórkiem: znowuż panowie z wąsami, w wysokich kołnierzykach, a panie z biustami i w długich spódnicach, z włosami poupinanymi niemożliwie, w kapeluszu takim-owakim. Już nie mówię o naszych młodopolskich nowelistach w okładkach z secesyjnymi zawijasami, wywijasami, rozdziały mają szkaradne winiety, a ich akapity

zaczynają się od dużej litery z wielkimi zakrętasami. Ale już posypały się najnowsze wydawnictwa, lepsza czcionka, dobre tytuły. I spoza tego wszystkiego wyziera ku nam świat wymyślony, nieprawdziwy, imitujący, małpujący życie: fabuły, zawiązki sytuacji, charaktery postaci, bujda na resorach, ale jakże przywykliśmy do tego oszustwa i zmyślania – do poduszki na wakacje przydygowane tu z wypożyczalni.

Ależ ta bzdura, popis, udawanie są umową dopuszczalne! Nawet gdy osobiście jesteśmy odstręczający, niegodni, to, jak jest w *Nie-Boskiej* tego „hrabiego z długim nosem” o poecie: „Ty jesteś ten, przez którego płynie strumień piękności – ale sam nie jesteś pięknością”, to pisze się dla czytelnika, ufa się czytelnikowi, że nam pomoże, że nam ułatwi zrozumienie, bo jak powiada Coleridge, poeta ma prawo spodziewać się po czytelniku, że ufając, daruje mu zmyślenie, że „dobrowolnie stłumi w sobie niewiarę”.

Wedle reguł *Poetyki* sztuka poważna ma być w założeniu imitacją akcji poważnej, a także winna ona mieć wymiar, ma być całością w sobie i zawierać takie incydenty, które winny wzbudzać współczucie i trwogę, i wtedy u odbiorcy osiągnie się wyraźne poczucie „tragicznej przyjemności wynikłej ze współczucia i trwogi”. Te warunki tragicznego katharsis, „oczyszczenia”, uzyskamy i wtedy, gdy bohaterowie tragedii nie są z gruntu ani źli, ani dobrzy, nie lepsi ani nie gorsi od innych. Ich nie pycha, czyli *hybris*, ale zaufanie w osiągnięte szczęście, „błąd osądu” sprawi, że nie usłyszą przestrogi bogów. A w nas wzbudzi to wtedy tym większe nawet współczucie, bo ich nieszczęście jest niewspółmiernie większym od winy, i wzbudzi w nas tym większą trwogę, bo ukaże nam możliwości naszej własnej klęski.

Historia o Nietocie błąkała mi się po głowie od dawna i nawet myśli, które mi jej temat nasuwał, notowałem rodzajem półsłów i haseł, i nazbierało mi się tego nawet sporo, ale teraz nieraz sam własnego szyfru nie mogę rozszyfrować. Zaczęło się od imienia, które miało pójść na tytuł: „Nietota”. Wyszukałem w etymologicznym słowniku Brücknera, że „Nietota znaczy »nie to ta«, bo to *Lycopodium*, roślina czarownicza, a roślin czarowniczych nie nazywa się po imieniu”. I tamże uzupełniłem Brücknera,

że nie wymienia się po imieniu i istot potężnych budzących w nas trwogę, strasznych, a także i osób nam drogich, by uszły uwagi tamtych zazdrosnych potęg (*phtonos theon* – zawiść bogów). Potem była zaraz uwaga: „Nietota pisze lewą ręką”. Miała taką przywarę, która w owych czasach u dobrze wychowanych, „*bien rangé*”, panienek była skazą, i wadę taką bezlitośnie tępiono u takiej „mańki”, a nie wiedzieli, że mogło to się przerzucić, że dziecko, które przymuszają, by władało prawą ręką, może na przykład zacząć się jąkać. Dalej: „»Gwiazda Syberii«”. A obok cała trupa z commedia dell’arte: Arlecchino, Dottore, Capitano Spavente, Pantalone, Rosalinda, Scaramouche… Skąd to znowu? Ano w teatrzyku pensjonarskim dawały przedstawienia i Nietota szyła (lewą ręką), szyła sobie pstrokate domino Pulcinelli. A potem: „»Nietoto – co ci oczko podbito!«” Czemu? Nie wiem. A potem: „Przez Zawrat i klamry do Morskiego Oka”. Czemu? Nigdy w Tatrach nie byłem. A potem znów o oczach i ciągle o oczach. „»Czy woli pan blondynki, czy brunetki?«” To wiem, nagle widzę ją jak żywą. Przymyka raz jedno błękitne oko, raz drugie błękitne oko i pyta, czy wolę blondynki, czy brunetki, bo gdzieś usłyszała o osobie o jednym piwnym, a drugim modrym oku. Dalej zapisane: „»Uroczne oczy«” i całe wyjaśnienie do tego: Otóż kiedyś na letnisku wracali spacerem z przechadzki, kiedy idzie się wolno w kurzu drogi, omijając „placki” krowie, a wszyscy tacy różni od otoczenia: panny w perkalikach, chłopcy w ich koszulach z kołnierzem à la Słowacki, z marynarką przerzuconą przez ramię, a wokół bosonoga wieś cuchnąca potem, stajnią, chlewem, z jej zapachami ogrodów i sadów, obrazek jak z Moneta czy Podkowińskiego. I na ich nadejście wypada „*żinka*”, chłopka, i porywa bawiące się w kurzu drogi dziecko, i przyciskając je do piersi, ucieka do chałupy (próg jej wysoki, przyzba z gliny, pod okapem strzechy zeszłoroczne kaczany kukurudzy i „hładuszczyki” i rozbiegają się spłoszone kury, gubiąc pióra, i wita nas zgraja kundlów wsiowych obudzonych z pełnego kłapania za muchami snu). A bo puścił ktoś po wsi, że błękitne oczy Nietoty rzucają urok, że są uroczne i że niedobrze, kiedy padną na dziecko – przesąd, babska złośliwa plotka, kto by pomyślał!

Zapisane tam miałem skrzętnie także i motto. Teraz to już niemodne, nie stawia się go na początku historii. Przepisane z elżbietańskiego dramatu:

„*Cover her face… my eyes dazzle… she died young…*”

I jeszcze wpośród tego śmietnika słów na końcu zapisane: „Pieniążki”. Długo się nad tym słowem zastanawiałem, aż przypomniałem sobie. Już wiem! Na urocznych oczach położone pieniążki, miedziaki, przyciskające na zawsze zamknięte powieki…

Ileż to można przeżyć w tak krótkim czasie? Co można zamknąć w tak krótkim życiu? Mało tych wiosen, mało tych lat i zim, a przecież świat tak ogromny, czas tak się rozciąga, rozwłócza, że jest w tym miejsce na wszystko: na radości, na cierpienia, nudę, ciosy i upokorzenia. Raz dni wydają się mgnieniem oka, innym razem wloką się nieskończenie, kleją właśnie wtedy, kiedy w nas dygoce od zniecierpliwienia, od gorączki, bo mówią, że u gruźlików to całkiem inna fizjologia, że te stany gorączkowe to całkiem tak jakby rausz, jakby pod alkoholem. Jak jej życie mogło się wydać, co potrafiło jej te chwile wypełnić, jakimi je obwieszała welonami marzeń, wspomnień, zamyśleń w tym dalekim samotnym domu?…

[prwdr. „Kultura” 1969, nr 1–2]

Perekotypołe

„Oznajmujemy tym listem naszym wszem wobec i każdemu z osobna, komu wiedzieć o tym należy, iż pozwoliliśmy i pozwalamy Wielmożnej Salomei Wiśniowieckiej, aby prawa swego dożywotniego, które piastuje na swych dobrach na Wołoczyszczu i wsiach Wołoszczowce, Dorofiejówka, Korostawa, Balkowce, Januszowce, Manaczyn, Pisarzówka, Zielone, Matwijowce, Medwedówka, Kaczorzyńce, Petrykowce, Sarnów, Porochnia, Niemierzyńce, Kociary i Hłochwasty w powiecie krzemienieckim leżących ze wszystkimi folwarkami, budynkami, rolami, polami, zaroślami, borami, gajami, łąkami, pastwiskami, rzekami, strugami, stawami, sadzawkami, młynami, karczmami, poddanymi i ich robociznami, czynszami, daninami i innymi przynależytościami dawno według prawa i zwyczaju tamże leżącymi, w spokojnej posesji trzymanymi i zażywanymi, zrzec się mogła, a to dla chwalebnej chęci złożenia ślubów czystości, ubóstwa i posłuszeństwa w słynącym w Kościele bożym i ludzkim zasługami domu cnotliwych panien reguły i *ex ordo* świętego Benedykta, by stać się oblubienicą Chrystusa. Co dla lepszej wiary i wagi ręką naszą podpisawszy, pieczęć koronną przycisnąć kazaliśmy…”

Za sprawą tego wydanego przez kancelarię królewską dokumentu duch ksieni, „panny garbatego ciała”, zmarłej jeszcze w roku 1716, straszył w klasztorze, gdzie Nietota była na pensji.

No bo oczywiście strachy. Jest coś niesamowitego w trwodze, zmorze, drżeniu i dygocie przed sprawami strasznymi, a zarazem czemuś one pociągają i wabią, choć dojmują i wstrząsają, i za tym wstrząsem, dreszczem coś ciągnie, porywa, tak jak pociąga nas ostrze opartej o ścianę siekiery, błękitnej zastygłej w grozie stali, albo kiedy nieuniknienie ciągnie urwa, przepaść, obryw skalny czy przerębel w lodzie, czy toń bezdenna wody, czeluść klatki schodowej w wielopiętrowym domu, gzymsowanie na wieży zapraszające do przejścia się pomiędzy niebem i ziemią. Trwoży

ciemność, noc, cienie, w których kryją się rzeczy niesamowite, pustka wszelaka, puste mieszkania, domy opuszczone, w których „straszy”, a wszystkiemu temu dopomoże gadka, opowieść, bzdura wyssana z palca albo przekonywująca i znów dajemy się oszukać, sami tego chcemy, sami dopomagamy, sami ściszamy w sobie niewiarę, byle osiągnąć tę chwilę doprowadzającego do zawrotu głowy strachu i strachu. A znowu dla odmiany strasznym może być najjaśniejszy dzień, samo południe z okrutnym słońcem zawieszonym wysoko na niebie, z jego palącym jaskrawym nie do zniesienia okiem obejmującym świat u dołu, gdzie nic się przed nim nie ukryje, nie zatai, gdzie sino od horyzontu i różowo w drgającym upale – kryształe powietrza, i tylko zawiruje wariacki w upalnej ciszy wirek pyłu – skręt, korkociąg diabelski, ni z tego, ni z owego podnoszący się z ziemi, tuman kurzu zataczający się wpośród kłosów – podniesie się i przepadnie jak południca, co to zakręciła się pod niebem w obłędnym tanecznym solo i z nagła swym babskim zadem południcy przysiadła wpośród miedz i rozstajów, i szczy po babsku, w przysiadzie, bo aż tu, do nas doniosło ni stąd, ni zowąd – pod błękitną kopułą bezchmurnego nieba, wpośród upału i suszy – paru kroplami deszczu.

Strach w samo południe. Nachodzi mnie o nim wspomnienie z czasów pierwszej wojny. Było tak, żeśmy rodziną z dziećmi, manatkami, koszami, naprędce zebranym, dającym się unieść dobytkiem uciekali. Uciekali, bo ucieczka jest dla nas wszystkich kinetycznym przedłużeniem życia, ostatnią obroną nas wszystkich, w ucieczce chcemy jeszcze bardziej tym życiem zachłysnąć się, pozostawić pomiędzy nami i strasznym ocalającą przestrzeń, odgrodzić się nią, odżegnać od niesamowitego. Była stacja węzłowa i siedzimy w restauracji dworcowej zapchanej, zatłoczonej, ale stoliki wciąż jeszcze przykryte obrusem, lśnią nakrycia i wazonik z kwiatami, i solniczka, i pieprzniczka, chociaż podłoga zaśmiecona, zapluta, u stolików oparci czołem o blat śpią ludzie. Jakiś pan siedzący przy stoliku obok nas stuka obrączką na palcu w blat stołu, bo chce, by mu przyniesiono zupę. I w tym stukaniu, jak w *Dziadach*, chociaż to nie noc, ale samo południe, na stacji węzłowej zapchanej uciekinierami,

zaśmieconej, z tłumem, walizami, tobołami, rozgardiaszem, w rojącej się od ludzi i much restauracji stacyjnej, w biały dzień, w samo południe słyszeć nam się daje przestroga. Kiedy taki inteligent, pan zatroskany i zniecierpliwiony, ale wciąż poprawny, tak po inteligencku stuka obrączką na palcu za kelnerem restauracji stacyjnej, który to kelner może dwa dni temu jeszcze sam uciekł pierwszym pociągiem albo może to jego naprędce postawili „*k stienkie*” magazynu kolejowego, bo go ktoś wziął za szpiega… A tu stukanie jak w *Dziadach*: „Dzieci, chodźcie pod kantorek… Czego potrzebujesz, duchu?… Proszę o troje paciorek…” A my, dzieci zapatrzone w tego pana, co to taki fason odwala wpośród chaosu, zawieruchy wojennej, ucieczki. My, dzieci zapatrzone w niego, wsłuchane w ten stuk, pukanie odzywające się w samo południe.

To ostrzeżenie nie kazało czekać długo. Nadszedł pociąg uciekinierski i zakotłowało się u wszystkich wyjść i na peronach – bezładnie, z bagażami i tobołami, spocone twarze, tupot nóg, szturm przypuszczany do wagonów. Pociąg był zestawiony z najrozmaitszych wagonów pasażerskich i towarowych już zapchanych ściśnioną masą ludzką, ich pudła ciężkie, zastygłe w tej chwili w bezruchu na szynach – zaplutym, zaśmieconym, czarnym od pyłu węglowego, zacieków smarów i szczyn ludzkich torze.

Przed nami czeluść towarowego wagonu. Odsunięte na rolkach ciężkie drzwi, brudnoceglana wypełzła od słońca i pluch farba desek oszalowujących ściany, szczeliny wąskich okienek, znaczone białą farbą hieroglify matryki wagonowej, cyfry, zrudziałe żelazo okuć, sztab, śrub. Przed tłoczącą się ciżbą ludzką rozdziawiona straszliwa paszczęka drzwi wagonu towarowego. W lata potem miał wyglądać tak samo, tyle że szczeliny okienek oplatał drut kolczasty, a za siatką ramki despeczerskiej widnieją kartki ceduł frachtowych i destynacji dla tych, co na torach rozrządowych zestawiają eszelony, [kartki] pedantycznie informujące o miejscach przeznaczenia: Birkenau, Bełżec, Sobibór, Theresienstadt, Dalstroj, Wostok, Gułag…

Ta zapowiedź przyszła w dzieciństwie, które przecież samo przez się jest takie puchowe, różowe, z którym my, dorośli, wiążemy nasze pojęcia o niewinności, beztrosce, anielskości, sielskości. Zapomnieliśmy…

Ach, te wszystkie rymy dla dzieci, bajki, gadki, wierszyki, klituś-bajduś pracowicie układane przez pożal się Boże rozmaite paniusie i Konopnickie, żeby tylko tym milusińskim dobrze poprzewracać w głowie, owe „ciszkiem, chyłkiem, milczkiem, bokiem biegła Mańcia w pole mrokiem… ot, w sekrecie wam powiadam, że uciekła od swej Madam, od swej Madam, od swej bony, co parasol ma zielony…” czy „chlupu-chlupu, chlastu-chlastu, nie mam rączek jedenastu, ale mam dwie rączki małe, lecz do prania doskonałe…”, czy „kling-kling-kling-kling-kling-kling! śliczna miejska kolej elektryczna…”, czy „a jakże mi się masz, panie Żurowski? a kupię ja tobie czerwone pończoszki…”, albo „o mój ty buraczku ćwikłowy, rada bym ja wianuszek zdjąć z głowy, rada bym mieć takiego mężulka, co czerwony i spaśny jak kulka…”

Współczesny owemu Hohenstaufowi, Fryderykowi Drugiemu, którego nazywano „dziwem świata i osobliwym przeinaczaczem” (*„stupor mundi et immutator mirabilis*”), temu sycylijskiemu królowi i cesarzowi Świętego Cesarstwa Rzymskiego, co to zdumiewał ludzi swym geniuszem, znawstwem nauk: astronomii, astrologii, alchemii, organizacją biurokracji, mecenatem sztuk, prawodawstwem, dociekaniami w historii naturalnej, własnym traktatem z ornitologii o sokołach i układaniu ich do łowów, a który był zarazem najrozwiąźlejszym z królów, okrutnikiem, który potrafił poddać najwymyślniejszym torturom posądzonego o zdradę najlepszego przyjaciela, który skrybie, co błędnie zapisał imię cesarskie, jak nic kazał uciąć kciuka u dłoni – owóż współczesny mu mnich kronikarz zanotował gdzieś, że Fryderyk „żądny wiedzieć o tym, jak brzmiałaby po dorośnięciu mowa dzieci, którym nie danym byłoby słyszeć jakichkolwiek słów w niemowlęctwie… nakazał opiekującym się nimi w zastępstwie matki piastunkom i mamkom karmiącym je i mającym pieczę nad nimi, by za nic nie gaworzyły z nimi, nie lulały ich, bo chciał dowiedzieć się, czy mowa ich, gdy dojdą swych lat, będzie mową hebrajską, najstarożytniejszą ze wszystkich, czy grecką, czy łaciną, czy mową arabską… Ale trud jego poszedł wniwecz, jako że wszystkie te dzieci poumierały, nim dorosły. Jako że nie ma życia bez słów miłości…”

A tu tymczasem ci mali, te bobasy czy jak tam im dorośli wymyślają tak przemile, to osobny gatunek ludzki, niedołężny, bo niedołężny, ale mający swe własne zrozumienie, swoje własne tradycje, swój folklor, własną teorię poznania, swój żargon-gwarę, mowę sekretną podawaną z pokolenia na pokolenie tylko między parolatkami (a to: „Ency, pency, w której ręcy?” czy liczenie w zabawie: „Inki, pinki, lodominki, inki kwas – ty, zajączku, biegaj w las!”, czy inne tym podobne, co to pono wywodzi się jeszcze z sanskrytu, jak to jakiś lingwista podsłuchał, wytłumaczył), swoją własną opowieść, rytuał, moralność, etykę, swoje dociekania, przesądy, tabu niczym nie gorsze od wymysłów, przesądów i tabu dorosłych. Niektóre z tego aż straszne, kiedy na przykład tak się ostro uderza po ręce, po wierzchu dłoni szczotką, aż na skórze wystąpi prawdziwa krwawa „rosa” albo gdy ten sam wierzch dłoni pocierać do białości, a potem powąchać, to „pachnie trupem”. Kładzie się palec na czubku nosa i robi zeza albo wywraca oczy, by tylko widać było białka. Zadziwia to, kiedy ścierpnie noga i aż dziwnie, i nie można na niej ustać. A jak długo można wstrzymać oddech? Straszne, kiedy powstrzymać życiodajny haust do płuc i czeka się, aż policzki zsinieją. Albo zamknąć oczy i iść po omacku, macając przed sobą świat, albo znowu kiedy naciskać gałki oczne przez zamknięte powieki, to pojawią się, jak w transie narkotycznym, kręgi żółte i sine pod powiekami, aż strasznie. Popatrzeć na świat przez zielone szkło z rozbitej butelki po piwie i cieszyć się nim, widzianym na zielono. I nagle „dzwoni w uchu” jak cieniutki telefon czy dzwonek elektryczny. A umiesz „po włosku?” Co znaczy: czy umiem po włosku? No to wyrywa się rozmówcy boleśnie włos, ażeby wiedział, co znaczy: umieć „po włosku”. I smaki najprzedziwniejsze od zawsze łakomej słodyczy, słodkości najrozmaitszych rodzajów lodów, soków, cudownej aromatycznej słodyczy miodu wprost z plastra pszczelego, niesamowitej słodyczy poziomek, na której samo wspomnienie niejeden dostaje alergicznej wysypki, cudownych wiśni moreli, aż nudnej słodyczy wysysanego kwiatu akacji, aż do przestąpienia progu słodkości, kiedy zje się za dużo kostek cukru, po rozmaite kwasy, kwaskowatości, ostrości, pieprzności, papryki, aż po gorycz gorczycy „dwa ziarnka”, o którą dopraszają się dusze umarłych dzieci, aż po gorycz

i kwasotę gąbki przepojonej żółcią i octem, jaką na ostrzu włóczni Umęczonemu podawał zdjęty litością żołnierz rzymski.
No to jakże wobec tych wszystkich straszności nie miała Nietota nie zatracić się w przesądach, w zabobonach, czarach, kabałach, znakach złowróżbnych, wróżbach, przepowiedniach, zaklinaniach, odczynianiach uroków, w tym osobnym folklorze panieńsko-dziewczęco-dziecinnym i kobiecym?

Obiera Nietota jabłko, weźmy, uważnie, by okorowane ze skórki, łupiny, tej łupiny broń Boże nie przerwać! aż wyjdzie jej ta łupinowa loksodroma ostrzem noża obrana z czerwonego jabłuszka („Maruszka moja, Maruszka, pójdziesz ze mną rwać jabłuszka!”), i wtedy jednym ruchem rzuca się przez ramię poza siebie skręcającą się łupinę, i kiedy ta upadnie i ułoży się w przypadkowy monogram, kształt pokręcony, to wtedy od biedy można zawsze odczytać, jak w esach i floresach ukazuje nam jakąś literę, a ta litera będzie początkowym wskaźnikiem imienia tego kogoś, co w przyszłości będzie kochankiem, narzeczonym, mężem.

Uważa Nietota, by nie przejść pod opartą o mur drabiną, nie przeskakuje tarzających się po trawie dzieci, bo nie urosną, nie wstaje lewą nogą z łóżka rano, bo nieszczęście, a już te wszystkie piątki fatalne, feralne, złowróżbne trzynastki czy dobrowróżebne dotknięcie się garbusa, po czym ujrzenie białego konia, by znowu nie nawracać po potrzebne, ale zapomniane w domu drobiazgi, owe poniedziałki „szewskie” – tyle różnych spraw, o których należy pamiętać albo też i same zaraz się przypomną. Siedzi się w rozgadanym towarzystwie takich samych młodych i z nagła powstaje pauza, cisza, przerwa w rozmowie, kiedy nie pada ani słowo. No to wiadomo, że ktoś w tym gronie ma skrzyżowane nogi albo na pewno gdzieś „oficer kawalerii płaci długi”. Tak samo uszy nam ni stąd, ni zowąd czerwienieją – aha, gdzieś daleko mówią o nas. A już gdy w sierpniowy wieczór mignie świetlana smuga „spadającej gwiazdy”, tej, co spełni nasze życzenia, to dopiero gratka!

No to jakżeżby Nietocie miały ujść karty. To przecież była dla niej ostatnia ucieczka w samotności – karty powierniczki jej marzeń i zachceń, domysłów, wyroczni i wróżb. Może nie kabała cygańska łudząca

i oszukująca z jej „blondynami”, „brunetem” zawistnym po lewej stronie i czarnym krzyżem trefla mającym położyć kres wszystkiemu, czy asem karo zwiastującym list – to dobre dla analfabetów. Kładło się pasjansa, „solitera”, zabawka w przypadkowość, kiedy to kładzie się na przemian kolory albo wedle starszeństwa i pasjans wychodzi „napoleoński” albo „zegar”, w dachówkę, w koło, czernią się piki i trefle, czerwieni karo i *cœur*, zniecierpliwienie, kiedy pasjans „nie wychodzi”, i nuda i pustka, kiedy wszystko składa się i szereguje. Tylko, broń Boże! nie szachrować, nie podglądać kart, do czego korci i świerzbi.

Ileż uciechy z tej talii kart z ich konterfektami waletów, dam, królów, z ich magicznym starszeństwem, karty wzorowane jeszcze na średniowiecznych koślawych drzeworytach, z waletami, ich halabardami i marsowo zakręconym wąsem, z królami o ładnie ufryzowanych brodach i przekrzywioną na bakier koroną w lilie, z berłem poważnie wspartym o ramię, z ich damami w kwefach, koronkach i diademach, z okrągłą piersią wydzierającą się z ciasno zasznurowanego stanika, a w palcach róża albo zwierciadło, a na policzkach róż i bielidło. Kolory nazywa się wykwintnie, wymawia z francuska, a to przecież poczciwe dzwónka, wino, czerwień i żołądź stangretów i zmiany warty w kordegardzie, i murarzy, i młokosów zagrywających w ostatnich ławkach skrycie przed okiem profesora w „zechcyka”, „durnia”, „*einundzwanzig*”, bo już inteligenci to tylko w „belotę”, „preferansa”, wreszcie w brydża.

Był czas, w którym strony, okolice, w których majątków swych i dóbr wyrzekła się panna ksieni benedyktynek przemyskich, wydzierali sobie… w których w ciągu paru lat rozmaici okupanci i rozmaite władze zmieniały się bodajże czternastokrotnie. Rozrywali je sobie Niemcy, petlurowcy, Denikin, strzelcy siczowi z Galicji, Polacy, bolszewicy, „zielone” bandy Baćki Tutnyka i banda Marusi, a nawet jakiś „Niczyj Dewiatyj Połk”. Właściwie królowała tam wtedy taczanka.

Taczanka to lekki pojazd, który wynalazczo przerobiono na podwozie dla karabinu maszynowego. Wóz, który z daleka wydać się mógł chłopską podwodą ciągnącą na jarmark czy na wesele załadowany snopami czy zarzucony weretą, robił nagle na drodze zwrot czy galopem wyjeżdżał

z zagajnika i sponad półkoszków wyszczerzał nagle pysk maxima i szczekał serią, kiedy powożący trzymał rozbiegane konie, a polem kładł się pokos poszerzanej serii.

Do tego celu zabierali po dworach, folwarkach, cukrowniach lekkie nie malowane „*perekładne*” bryczki, „amerykanki”, najtyczanki, linijki, powoziki, dryndy na resorach, na sprężynujących drewnianych listwach i na tym montowało się karabin maszynowy „Maxim” albo „Colt”, „Browning” czy „Schwartzlose”. Dąbrową wołyńską niesie się echo serii, skacze i chodzi korba zamka i karabinowy strzelec, trzymając uchwyty u tylca broni, wodzi lufą objętą rurą płaszcza chłodnicy, i maszyna łyka gurt z nabojami. Oczy strzelca bladoniebieskie, zimne oczy śmierci patrzą przez szczerbinę, kciuk naciska na zwalniacz spustu. Sypie się deszcz wyrzucanych łusek.

A tu w czasach beztroskiego spokoju i pogody w ułańskich szwadronach karabinów maszynowych, w plutonach taczanek błotniki czterech malowanych w ochronny kolor wozów znakowano dla fantazji, z mody karcianej, w cztery asy: trefl, karo, pik i *cœur*.

Nietota pozwala mi oglądać swój zielnik. Wielki foliał, którego karty poprzekładane są arkuszami bibuły, a na kartach systematycznie ponaklejane, porozpinane i sprasowane źdźbła, liście, łodygi, szypułki, kwiatostany, strąki, włochate torebki nasienne, baldaszki, bedłki, pręciki, łuski, kwiaty zasuszone i kolory ich bladziutkie i wypełzłe, tkaneczka liści kruchutka. Wszystkie pedantycznie zaopatrzone w imiona, nazwy łacińskie. Ruta, rozmaryn, macierzanka, kozłek lekarski, czyli waleriana, męczennica-*Passiflora*, mięta, nagietki, rdest albo *driasen*, dzika róża, rabarbar, żywokost, borówki-łochynie albo pijanice, rumianek, pokrzyk wilcza jagoda (*Atropa belladonna*), prawoślaz, jaskółcze ziele, lipowy kwiat, dziewanna, dzięgiel, *dorohozołot*, co zwie się także tysiącznikiem-centurią, ciemięrzyca to cząbr, czemer-jad, podbiał, lulek czarny, ostróżka, bieluń, dziędzierzawa albo dywderewo, szalej, naparstnica (*Digitalis*)… A to co? Nie, nie śmiej się, to przecież widłak nietota… A to? To? To *perekotypołe*. *Perekotypołe*? No tak, ze ślazowatych. *Salsola pestifer*. Tu nie jego miejsce, bo to zielnik roślin leczniczych, ale zabłąkał się. Bo, wiesz, błąka się, nie

czepia miejsca, toczy się kulą po ziemi, czepia płotów i krzaków, wiatr niesie nim, sam widziałeś, nie? *Perekotypołe*…

Ta mania zbieracka zrozumiała u bab, wiedźm zamawiających choroby, zrozumiałą była u młodej dziewczyny, nie jakiejś „*snowydy*”, ale po prostu studentki medycyny. Nie dawała się nawet wtedy, gdy była w sanatorium Bratniaka. „Gryzę granit nauki” – pisała. Nawet nie mam pojęcia, co to było, ta nauka – no, wiadomo, studia medyczne, chemia taka i owaka, organiczna i nieorganiczna, fizjologia, histologia, farmakopea, a w początkach przede wszystkim anatomia, już nie nauka, a dyscyplina, bo nic tam nowego wymyślić nie można, tylko setki, tysiące łacińskich do nauczenia się na pamięć słów w tę stronę i na wywrót. Prosektorium zaczynali wtedy już na pierwszym trymestrze w chłodnych, wysterylizowanych, lśniących od białej farby olejnej ścian salach śmierdzących formaliną. Prosektor wielki, siwy, z wiechciami wąsów, w fartuchu z czarnej ceraty i dłoniach urękawicznionych w gumę, surowy i rubaszny, nie krępujący się dziewcząt studentek, mówiący ostatnie gruboskórne świństwa.

No to Nietota, ażeby mi zaimponować, zabrała mnie kiedyś do prosektorium, kiedy nikogo tam nie było, ażeby mi pokazać zwłoki. Były to zwłoki kobiece, jakiejś staruchy, żebraczki pewnie, zabrane z przytułka czy po prostu z ulicy, chudy trupek z jego ogoloną czaszką, wymoczone w formalinie ciało koloru mahoniu z wydatnym nawet u staruszki wzgórkiem Wenery.

I znowu po latach przyszło to nawrotem, kiedy na świadectwo czasom pogardy ukazano nam setki, tysiące fotografii stosów ludzkich trupów w obozach śmierci czy u rozkopanych dołów masowych egzekucji. Wyschłe i kanciaste od kości obciągniętych skórą, straszliwy teatr lalek, manekinów, żebra, piszczele, miednice, wyszczerzone zęby i golone czaszki, szpiczaste kolana i stawy łokciowe, skóra napięta na kościach policzkowych, wpadłe w oczodoły, zagasłe oczy – i w tym ciała kobiece bezwstydne w ich nagości, ukazujące właśnie ów sterczący wzgórek Wenery. Widoki jakby z obrazu jakiegoś mistrza z quattrocenta, góry zwłok jakby w ruchu, jakby podnoszących się z ziemi, powstających z martwych,

by pójść tłumem, zdążyć długim wijącym się wężem ku dolinie sądu ostatecznego. Albo jakby jakiś ludzki zielnik martwych i zasuszonych ludzkich łodyg, jak w zielniku Nietoty.
„Ja wiem” – powiedziała – „ja wiem wszystko! Naprawdę wiem!” Mówiła podniesionym głosem wyraźnie i metalicznie, ostro i dźwięcznie. Nogi trzymała razem i oboma rękoma opierała się o brzeg sanatoryjnego łóżka, tak jakby chciała pozostać dokładnie symetryczna, jakby przez doskonałą symetrię miała dodać ostrości i klarowności temu, co miała powiedzieć.

„Wiesz, jak parę lat temu byłam na wakacjach u wujostwa, to odnajmowali letnisko przy tej wielkiej linii kolejowej idącej na zachód. Tam, z tego domu co parę godzin można było widzieć, jak idzie pośpieszny. Wiedziało się o tym naprzód, bo szyny kolejowe zaczynały ciężko stękać, rozlegały się wśród podkładów głuchy stuk i westchnienie. I potem cisza… A potem znów… A teraz to już słychać było z daleka szum i łoskot nadjeżdżającego pociągu. I głos ten jakby się podnosił. I to było straszne, takie wyczekiwanie… Wuj, no, wiadomo, inżynier, mówił, że w fizyce nazywa się to efektem czy zjawiskiem, czy zasadą Dopplera. Szum, gwizd lokomotywy nadchodzącego pociągu w miarę zbliżania się podnosi się do górnej granicy, by potem opaść, zaniknąć z powrotem. Aha, nie jakaś tam akustyczna ciekawostka, bo ma to zastosowanie i w innych dykasteriach nauki, weźmy w astronomii, gdy dokonują pomiarów odległości gwiazd na podstawie przesunięć się linii Fraunhofera w widmie spektroskopu. Widzisz, jak to uczenie wykładam. Ale wyczekiwanie było straszne… Możesz się śmiać ze mnie, z takiej egzaltacji, ale to było strasznie wyczekiwać, strasznie… Jestem głupia, co tu mówić, nie mam tego, co nazywa się wyobraźnią. No, zawsze czytam poezje: Słowackiego i Staffa, ale zawsze… No, nie mam wyobraźni i nie mam… Ale jak wtedy wyczekiwałam, to chciałam sobie wyobrazić to, co nadchodzi… a że nie stać mnie było na wymyślenie czegoś, to oczywiście czepiały się mnie oczywiste asocjacje, bo wiadomo: »pośpieszny czwarta dwadzieścia trzy«, to więc nadleci coś z taką ognistą grzywą. Ale znów jak nie widziało się grabowego żywopłotu dwutorowej »sztreki« ani perspektywy szyn, ani nieba, ani ziemi, to stawało się to tylko wyczekiwaniem. Myślałam sobie…

czy może być coś takiego, jak samo tylko wyczekiwanie… bez obrazu, bez światła, bez bólu?… możesz się śmiać… To tak jakby ktoś myślał, że można żyć, powiedzmy, samym smakiem truskawek, że wszystko: świat, dobre i złe, głupota i nuda, ambicja i poczucie humoru, dewocja i zmartwienie, że wszystko to można skupić na jakiejś jednej sensacji. No, powiedziałam na chybił trafił: »smak truskawek«. Ale możesz mieć, co ci się żywnie podoba… To u mnie wtedy wszystko zmieniło się w wyczekiwanie… Czemu się na mnie patrzysz?… Czy myślisz, że przyszło coś, że nadleciało? Czy wydaje ci się, że byłabym tutaj, czy myślisz, że po takim wyczekiwaniu naprawdę mogło nadejść coś większego, innego, coś, co by miało mnie zabrać i porwać w tym szalonym pędzie, że zostałoby coś po mnie?

No, chyba nie muszę ci mówić, że przeszedł »pośpieszny czwarta dwadzieścia trzy«.

Jeżeli dotąd pali mi się w głowie rozpalonym ćwiekiem czerwonego światła semaforu po przejeździe pociągu, to nawet żeby nie wiem jak było to bolesne i dziurawiące mi mózg na zawsze, to nigdy, nawet w najbardziej wyrozumowanym tłumaczeniu nie…”

Nietota siedziała teraz już niesymetrycznie na sanatoryjnym łóżku i była zawstydzona i zmieszana swoim wybuchem.

[prwdr. „Kultura” 1969, nr 7–8]

El Pelele

Wyrzekając się swych dóbr doczesnych i majątków „z folwarkami, gruntami, budynkami, z tartakami i foluszami, z młynami i ich wymiałem, ze stawami, z bobrowymi gony, ze stawkami i sadzawkami, z prawem łowienia w nich ryb, z sadami, gajami, zapustami, z lasami, borami i dąbrowami, z polami, sianożęciami i ogrodami, z zasiewami, z bydłem wszelakim i innemi pożytkami, z bojarami putnymi i pancernymi (*»putni« do służby posyłkowej i »pancerni« do zbrojnej*), z ludźmi ciągłymi (*»*tiahłyje ludy*«, to jest tacy, co byli posiadaczami inwentarza pociągowego*) i nieciągłymi (*»*netiahłyje*«, odbywający swe powinności pieszo*), z ich robotami na pańskim, szarwarkami, podwodami, furami, czynszami groszowymi i owsianymi, z daniną miodową, z przysądem, kunicami i innymi, inną daniną wszelaką, z opłatami pieniężnymi i niepieniężnymi, z arendami, pachtem, z karczmami wszelkiego napoju, z czopowem od piwa, miodów, gorzałek i też garnców wina muskateli, małmazyi i wszelkiego picia, z opłatami od przewozów i promów, i z czwartego grosza od wszelkich towarów i wołów, i rogatkowego, i składnego, z mytem i promytem”, otóż wyrzekając się tego wszystkiego, panna ksieni nie wyzbyła się trosk związanych z materialnymi, doczesnymi sprawami ziemskimi. Cnotliwe panny benedyktynki przemyskie były beneficjantkami, spadkobierczyniami wielu zapisów, testamentowych kodycylów, nadań, dóbr wyposażających ich dom. Wiano zapewniali im liczni fundatorzy, dobrodzieje, kolatorzy, jałmużnicy ziemi przemyskiej, samborskiej, jasielskiej, krośnieńskiej, a zawiadywanie tym powierzano opiekunom, plenipotentom, powiernikom, kuratorom, komisarzom, dzierżawcom, rządcom, podstarościm, pisarzom prowentowym i ekonomom. By jednak ludzka nieudolność a pazerność, i łapczywość nie zubożyła tych tenut i dochodów, trzeba było ich doglądać i czuwać nad nimi. Toteż raz do roku wypadało pannie ksieni wybrać się na objazd

kluczów, włości, folwarków klasztornych, na generalną ich inspekcję. Chociaż od lat już wybudowano ze Lwowa na Kraków „sztrekę”, „*żeleznycię*”, kolej imienia Arcyksięcia Karola Ludwika, panna ksieni nie korzystała z tego piekielnego wynalazku nowoczesności. W podróż-objazd wybierała się starą, kiedyś poszóstną, dziś zaprzężoną w parę fornalskich hamanów karetą. W jej odrapanym pudle hojdającym się na resorach i pasach po wybojach i szutrze gościńca, w chrzęście kół i stukaniu piast, przez szczelinę w zasuniętych w jej oknach firankach abatissa patrzy i pamięta jeszcze z dawnych czasów ziemianki-posiedzicielki, że tu orzą „w skład” albo „na rozorywkę”, że tam włóczą albo piętrzą stogi, coś sprzątają, grabią czy dołują. Panna ksieni w czarnym kłobuku-*cidaris*, z pastorałem ksieni wspartym o siedzenie karety, w palcach przesuwa kuleczki – paciorki różańca.

Tak samo na co dzień, kiedy powłóczy korytarzem cellarium i przystanie u okna, to może okiem objąć, co się dzieje na podwórzu klasztornym. A dzieje się coś, czemu panna ksieni przytaknie, chociaż nie da tego po sobie poznać. Na podwórzu czy w wirydarzu dziewczęta w czasie rekreacji urządziły sobie zabawę – nazywa się to „*Der Hampelmann*”. To pocieszna kukła, pajac, manekin naprędce zrobiony ze szmat, prześcieradeł, majtek, niezdarnie, ale przydaje to tylko zabawie: głowa z jaśka z usmarowanymi na nim gałami i nosem, i pokracznie wykrzywioną gębą, peruczka z kłaków, ręce z gałganów i gidiowate, powykręcane w stawach nogi i stopy przybrane w pończochy i pantofelki, fraczek-kubraczek z czegoś tam zmajstrowany, z rozlatanymi połami. Niezdarny, bezwładny, bezsilny pajac podrzucany w górę na kilimku, a panieneczki rozswawolone, rozhisteryzowane, rozchichotane na widok pokracznych póz, jakie w powietrzu przybiera. Że oto ten właśnie „on” – mężczyzna, co to nastaje na ich niewinność, ale o którym się marzy i plotkuje, i spodziewa, którego się boi, od którego ucieka się, którego podnieca się i drażni tą ucieczką, wabi, podchodzi, obiecuje, robi do niego „perskie oko”, dla niego stroi i mizdrzy się w lustrze, że ten właśnie, w tej postaci niezdarnej i bezbronnej oddany jest im na pastwę. Panna ksieni, kusztykając korytarzem i zatrzymując się u okna, pochwala i przytakuje okrutnej zabawie

dziewcząt, toleruje ją – na pewno w dobrej wierze i trosce o spokój i cnotę, wierność, dziewictwo, poprawność i ułożenie powierzonych sobie *in loco parentis* na wychowanie istot.

To ona w czasie ostatnich modlitw zamykających dzień, po ostatniej litanii i antyfonie zaintonuje stary hymn, śpiewany w klasztorach na kompletę: „*Procul recedant somnia…*”, w którym wzywa się i ucieka pod obronę przeciw złym snom i majaczeniom nocy, jej trwogom i fantazjom, nawołując moce niebieskie, by starły pod swą stopą łeb duchom grozy, byśmy „*super aspidem et basiliscum ambulabunt*”, byśmy, a fe! nie doznali zgorszenia. Odbiera nam sny, odgradza od nich, od ich przypadkowości, złowróżbnych znaczeń, nieoczekiwanych splotów i asocjacji, dziwaczności, alogiczności, niepokoju snów, ich szyderstwa z życia, ich udawania życia, cierpienia w nich za winy nie popełnione, snów rekompensat i snów samobiczowań, naiwnych, a tak wypranych z humoru, prześladowczych, a nie spełniających najniewinniejszych naszych marzeń i zachceń. Panna ksieni wie dobrze, co robi. Nie pozwala nam wymknąć się spod jej władzy, kostura-pastorału ksieni, chce, byśmy pozostali niewinni i bezgrzeszni, za nas chce wziąć na siebie ciężar naszych grzechów i z grzechów wynikłych zmaz sennych.

Skąd te szczegóły spoza furty klasztornej, klauzury? Ano rekonstruuję sobie to, co mi Nietota opowiadała, i staram się niezdarnie opowiedzieć własnymi słowami. Oto widzę Nietotę, jak to Nietota już nie w szermierczym plastronie i z floretem, ale jako Pulcinello melduje się u ksieni w swym pstrokatym domino, w ręku ma *tamburino* i uderza w nie, i pobrzękują jego brzękadła przed celą panny ksieni, i podniesionym głosem Nietota zapowiada:

„*Signori comici sono arrivati!*”

Jakże jej w to graj, Nietocie, która jak się rozszalała, to się rozszalała, niebaczna na kary, pensa, strofowania i połajania! A dwoiła się w tej postaci: raz Pulcinello chytry, podstępny, lisi, zdradziecki, oczajdusza, a innym razem – zawadiacki zabijaka skłonny do bójki, złodziej i chuligan zakochany w trzpiotowatej Colombinie. Wiernie mu sekunduje Arlekin w masce czarnej, bo kiedyś w początkach był Murzynem,

w kostiumie w szachownicę, bo to przecież łaty łachmanów na łotrzyku wiernym swemu panu aż do chwili, kiedy zapomni o nim dla wylizywanego garnka. A Capitano Spavente albo Bombardone, albo Fracassa, „syn grzmotu i trzęsienia ziemi, brat śmierci i serdeczny przyjaciel Belzebuba", o wąsach jak u rysia, przy ostrogach i szpadzie, zamykający oczy, by nie widzieć rąk, nóg, głów, uszu latających pod jego ciosami, pies na płeć nadobną ulegającą mu tuzinami, o węchu niesłychanie czułym na zapachy kuchenne, ale gdy mu pięść pod ten nos podsunąć albo gdy zaszeleści spadający liść, to zamienia się w zająca. No i Pantalone, chytry kupiec wenecki albo profesor boloński, albo prawnik kauzyperda, o przyprawionym wielkim nosie i długonogi, zazdrosny o żonę czy powierzoną sobie siostrzenicę sierotę.

Ów właśnie teatrzyk pensjonarek, zabawa w commedia dell'arte unaoczniła mi skarykaturowane, wyolbrzymione swymi właściwościami słabości ludzkie. Capitano Spavente to przecież uosobienie żołnierza samochwała, fałszu, bufonady, maskarady wszelkiej militareski od najdawniejszych czasów, kiedy to pióropusze, grzebienie na hełmach, wszystkie te szamerunki, plecenia, insygnia, szarfy, porte-épée, rabaty, chorągwie, lampasy, sztandary, wyłogi miały być postrachem kryjącym pod pancerzem, *cuirasse*, tchórzy usiłujących takich samych innych tchórzów naprzeciw przestraszyć, oszołomić, zaimponować im psychicznie, zdruzgotać, do tego wszystkie te zawołania, komendy, paradne kroki, buńczuki, kotły i trąby wojenne, zgiełk i krzyk podnoszony przez najrozmaitsze hufce, kohorty, legiony, bataliony, te kity, tarcze, ostróg dźwięk, rżenie rumaków bojowych – cóż za dziecinada!

Właśnie: dziecinada.

A czyż nie jest z mej strony dziecinadą zapuszczać się w teren egzotyczny, nie z autopsji? Niejeden już zrobił tego rodzaju pomyłkę, płacąc za to drogo, narażając się na nieporozumienia, krytykę, nierzadko i śmieszność. Trzeba tu stąpać bardzo ostrożnie, wymierzać, przewidywać, domyślać się, odgadywać, obchodzić. Wiemy, wiemy. Kiedyś, dawno temu wpadł mi w ręce tomik nowel Marii Konopnickiej, co tu mówić, autorki i poetki i chwalonej, i poniewieranej, chociaż swoimi ludowościami,

krzywdami chłopskimi mogła zdrowo dojechać. (Ale bajkę to już pani Konopnicka umiała opowiedzieć: „…Niech se Krasnoludek siędą” – zapraszają do ogniska dzieci Koszałka-Opałka, a Zośka Kowalczanka, zakrywszy wierzchem ręki oczy, zawołała prędko: „A to nam bajkę powiedzą…”). Przecież to ja sam, jak lis Sadełko (a już podawałem się przedtem jako szewc Rozpędek – przypomni mi Nietota), zezując w tamtą stronę, wzdycham: „Jakże chętnie w pracy wyręczyłbym tę interesującą sierotkę! Czuję w tej chwili jakby objawienie moich przeznaczeń: nawracać zbłąkane gąski – to powołanie moje” (a Nietota dodałaby z humorem: „Aha, cztery białe i trzy siodłate!”), kiedy chcę pisać o pensjonacie klasztornym. Otóż w tym zbiorku pani Konopnickiej była nowela, zdaje się, pod tytułem *Stacho Szafarczyk*. Już nie pamiętam, co było jej tenorem, ale pozostało mi przypomnienie o tym, jak jej bohater, chłopski niedorostek, kosi żyto. I tu pani Konopnicka, dama bądź co bądź z epoki, z pince-nez, w „tiurniurze”, a nie jakaś traktorzystka, dała się ponieść fantazji, porwała się na opis czegoś takiego, jak koszenie żyta przez dzień cały boży, czym jest dla chłopca kilkunastoletniego ciężka robota dorosłego chłopa: utrzymanie ciężkiego kosiska, odkładanie pokosu w stękaniu i zamachu, kiedy aż w krzyżach łamie i skręca, kiedy gęsta ściana zboża stoi murem i opiera się, i stawia tej kośbie. (A do tego przecież wysokie zboże kosi się kosą z takimi półgrabkami, by odkładać nieskłócony pokos na słomę „kulową”, czyż nie tak? Ale mniejsza z tym, że tam u Konopnickiej nie było o tym). No tak, wyobraźnia, domysł artystyczny to jedna sprawa, a realia to druga. Samemu nigdy nie zdarzyło mi się kosić i nie porwałbym się na opisanie tego.

Za to ja wiem, naprawdę wiem, czym jest wyładowywanie wagonu towarowego, jego ładunku niegaszonego wapna. Sam kiedyś to zrobiłem w ciągu jednego długiego straszliwego dnia. Wagon stał na bocznicy i do odsuniętych na rolkach jego ciężkich drzwi, do jego pudła pociągniętego farbą wyblakłego ceglastego koloru, do tych odsuniętych drzwi wagonu z jego czarnymi i szarymi od pyłów tarczami kół, z jego sztangami, śrubami, tępymi talerzami zderzaków, szczękami hamulców obejmującymi wypolerowane obręcze kół, do tych odsuniętych drzwi podstawiano

furmankę garę – drewniane koryto na kołach. Ja sam, potykający się i chwytający równowagę na rumowisku brudnobiałych gruzeł wapna z łopatą w ręce, podbieram z zalegającego do połowy ścian wagonu rumowiska wypalanych gdzieś tam, gdzie palą u kamieniołomów w wapiennikach grudy wapna, nabieram szuflą ciężar, od którego zginam się wpół w krzyżach, i półobrotem skręcam się ku otwartej na świat boży prostokątnej framudze drzwi wagonowych, rzucającej, wpuszczającej przeraźliwe światło do ciemnego białowapiennego wnętrza. W tym wnętrzu unosi się uparty, zły, żrący tuman wapiennego kurzu. I nie ma od niego ucieczki. Pcha się w oczy, do nosa i gardła i mimo że zrobiłem sobie z chustki do nosa rodzaj prowizorycznej maski, przenika przez jej tkaninę, pcha się do krtani i płuc i nos mam już spuchnięty od gaszącego się w nim pyłu wapiennego. Moje półbuciki, mankiety nogawek inteligenckich spodni pobielały, zgrzyta żelazo szufli, cięży straszliwie każdy haust unoszonych nią grud. Ciężka gara u dołu przed drzwiami powolutku zaczyna się wypełniać, ale z usypiska, na którym stoję w wagonie, jakby nic nie ubywało. Koszula lepi mi się do ramion, barków, pleców, ściany wagonowe rezonują swym pudłem metalicznemu szuraniu i zgrzytowi żelaza szufli, oczy zalewa pot spływający mi po czole. W świszczącym oddechu, z krwią dudniącą mi w skroniach, przycinając zębami dolną wargę, niezgrabnie, nieumiejętnie, po amatorsku nabieram łopatą grudy wapienne. Jestem sam, sam ze sobą i swoimi myślami, w tej chwili chaotycznymi i gubiącymi się, miażdżonymi przez wysiłek fizyczny, trzepoczącymi się niezdarnie, czepiającymi się wariacko jakiegoś tematu, przeskakującymi na inny, by uciec gdzieś znowu, aż staję na chwilę w bezruchu z szuflą na pół zarytą w rumowisku, zapytujący się: Kim jestem? Czemu tu jestem? Dokąd stąd pójdę? Czy to jestem ja sam, naprawdę? Ja? To moje ręce? Z nabrzmiałymi na przedramionach żyłami, piersią unoszącą się przerywanym oddechem, z potem lepiącym mi koszulę do pleców.

I oto nagle wydaje mi się, że wagon jest w ruchu. Najwyraźniej słyszę stuk jego obręczy kół na spojeniach szyn, przez szczeliny w deskach widzę migające drzewa, na krzywiźnie toru podłoga wagonu chyli się i chwieje i daleko, daleko, gdzieś na początku wielkiego zestawu wagonów pociągu

wyje lokomotywa, i głos jej miesza się z wyciem, rykiem tłumu, pochlipywaniem dzieci, bezsilnym tępym łomotem pięści ludzkich tłukących w deski oszalowania wagonów, i straszny chóralny krzyk: „*Gewaaałt!*” zwierzęcy, bezsilny strachu i rozpaczy ludzkiej ludzi stojących po kostki w gruzowisku wapna, jakim podłogi wagonów wysypano precyzyjnie dla dezynfekcji. A potem już, po wyładowaniu ciżby ludzkiej, wagony już puste i lekkie, w stukocie, w metalicznym stuku zderzaków przebiegającym jak dreszcz zestawami eszelonów rozrządzanych, przestawianych i sczepianych na torach, dobrze wydezynfekowane wagony odchodzą po nowy i nowy ładunek ludzki. Uff! Ocieram łokciem pot z czoła i mówię sobie: co ci się przyśniło, człowieku, toż to biały dzień, masz wyładować ten wagon z wapna, druga furmanka gara już czeka – no, śpiesz się, do roboty!

Tak więc wydawałoby się, że to taka prosta sprawa wyładować wagon wapna na stacji Persenkówka.

Co przejmowało owego lata Nietotę? Oczywiście przede wszystkim sprawy najbliższe, zwykłe – to, co nas wszystkich przejmuje: codzienna rutyna wstawania rano z łóżka, śniadanie, kawa, rogaliki, a tu na dworze już upalnie od lata, złoto od słońca przesiewającego się przez liście, modro od błękitu nieba, dźwięcznie od głosu ptaków: „fijut, fijut!” wilg, bzykania much, rozdzwonionej sygnaturki u Dominikanów. Po toalecie jakże prymitywnej nad miednicą pełną wody Nietota zasiada na górze do pianina. Na nim stosy nut, SZKOŁA z monotonnymi gamami i palcówkami, rozmaite łatwe kawałki, jakieś potpourri z operetek, Beethovena sonata, serenada Schuberta, Grieg, Weber, *Eine kleine Nachtmusik*, a jakże, także *Modlitwa dziewicy*, arie z *Halki*, walce, mazurki, kujawiaki, dosyć to wszystko obtargane, z takimi tam winietami tytułów, z ich nutowymi hieroglifami, kluczami wiolinowymi i basowymi, „krzyżykami”, bemolami, a pod linijkami nut wiersze słów poprzedzielanych pauzami, ażeby sylaby wypadały tam, gdzie nuta, słowa, słowa. „U prząśniczki przędą jak anioł dzieweczki… do Królewca płynie młodzieniec z wiciną…”, „Ura ho! – daaalej, z naszym hetmanem. – Ura ho! dalej!”, „Ty pytasz mnie, dlaczego już – pijany szałem – chwytam nóż… Do portu już dobija łódź…”, „Spiesz,

barko moja – pogoda sprzyja – niech cię prowadzi – Santa Lucia…”, nuty, nuty, krzyżyki, krzyżyki, allegro, andantino, adagio, maestoso, „Leci liście z drzewa…”, „Za Niemen tam precz…”, „Szynkareczko, kochaneczko – stój, na Boga, stój!”

A po chwili ciszy dyszkant Nietoty:

„*Czowen sered wody – chyta-ajesia…*
Czowen sered wody – chyta-ajesia…”

I cisza. I znowu:

„*Czowen chytajesia sered wody – zdałeka wydno seło*”.

Potem ucichła. Słychać było tylko skrzyp drutu pedału i szelest przewracanych kartek zeszytu nutowego. Potem zaperliło się w wysokich oktawach od uderzanych szybko klawiszy i znowu cisza, by odezwać się jakimiś niecierpliwymi jazzowymi synkopami. Potem znowu cisza i w niskich oktawach akordy poloneza. Wreszcie słychać trzask wieka pianina i Nietota sfrunęła schodami do ogrodu, tylko drzwi ganku zawahały się tędy i tędy.

„Jak *crescat*, to *decrescat*, a jak *decrescat*, to *crescat*” – mówiła Nietota, kiedy wieczorem nad wierzchołkami drzew niespodzianie pokazywał się bladziutki opłatek półksiężyca. Niby że kształt wielkiej litery „C” od *Crescat* należało tłumaczyć odwrotnie u tego sierpa na niebie, a teraz wieczorem ukazujący się na nowiu miał kształt litery wielkie „D”, *Decrescat*. Taka mnemotechniczna zabawa pensjonarek, bo to znakomicie pozwala zapamiętać i orientować się w zawiłościach wszelkich, gdy za dużo tego dla naszej pamięci, żeby wiedzieć, kiedy „wietek” księżyca jest na nowiu, a kiedy mu ubywa. Tak samo jak rymowane i rytmem wbijające się w pamięć o zodiaku: „…Lew przed Panną uchodzi, to są letnie znaki… Waga chłodzi z Niedźwiadkiem, Strzelec zimnem grozi, Koziorożec lód wiąże, Wodnik Ryby mrozi…” Cóż tym pannom po zodiaku czy kosmogonii, czy astrolabiach, czemuż im zapatrywać się w konstelacje niebieskie? przystoi im raczej wcielać się w nie, zawieszać wpośród welonów Drogi Mlecznej, lśnić przez nie gwiazdozbiorami Andromedy,

Kasjopei mitologicznie na wabia albo zagubić się wśród nich jak owa El Suha, „Zapomniana”, zagubiona w konstelacji Wielkiej Niedźwiedzicy.

Zgódźmy się – przecież może jedyną na ziemi wspólną wszystkim ludziom sprawą, jednako rozumianą, wspólnym dla nich mianownikiem jest przecież jedynie niebo, gwiazdy, chmury. Wszystko inne: równiny, stepy, wzgórza, góry, urwiska, morza, rzeki, cała ta ziemska, a tak rozmaita skorupa, kożuch, te wszystkie rozmaite jamy, garby, czeluście, szczyry, gleby, mokradła, siąpy, tundry, zalasy, zaborza, puszcze, zadrzewia, wydmy, diuny, delty, limany, cała ta „rzeźba” i „szata”, a niech to cholera weźmie! wszystko to takie rozmaite i zaraz obce i odległe, i zamorskie przyzwyczajonemu do własnego. A tu podnieść głowę, spojrzeć w czeluść nieba i zaraz wszystkim ono i znajome, i wspólne. Niebo jest dla nas wszystkich wspólne, rodzinne, znajome, jednakie. Chmury pędzone nim rozwłóczone, pułap ich albo niski, albo pozawieszane na dziesiątkach tysięcy metrów wysokości welony, albo wełniące się baranki, „tuczki”, albo oślepiające białością w słońcu cumulusy, albo ich „kowadło” czarne z frędzlą deszczu, albo niebo skamieniałe w granitowe sklepienie z chmur bezsłonecznego dnia, albo bezchmurne, przerażające swą przepaścią, bez chmur, których obserwowanie było przecież ulubioną zabawą królów perskich. Przydawanie ich kształtom znaczeń i stowarzyszeń myśli było także zabawą Nietoty, która kazała im być raz smokiem, innym razem akweduktem, a potem znowu czterolistnym liściem koniczyny, wrzecionem, grobowcem, wodotryskiem, wachlarzem, łabędziem, okrętem, by miały ją rozczarować, przechodząc w smugi i szale szarugi i słoty.

Ale co tu wmawiać, wymyślać, napiętrzać – jest się samemu. Samemu chce się wypowiedzieć coś za innych, żeby to byli najbliżsi, żeby to była najukochańsza istota, z którą jakże to, wydawałoby się, można się porozumieć, a do tego służy i wspólnota mowy, porzekadeł już nie w jednym języku, ale w jednej rodzinie, w jednej grupce ludzi, co pozwala na idiomatyczne skróty i półsłowa, półznaczenia, półdomyślniki, kiedy porozumiewa się już prawie tylko gestem, grymasem, mrugnięciem oka, dąsem na twarzy, uniesieniem kącika ust, skinieniem głowy, prawie że spastycznym odruchem mięśni rąk, zgarbieniem pleców, odwróceniem

głowy, zakręcanym na końcu palca kosmykiem włosów, stukotem zniecierpliwionego obcasa, założeniem rąk w małdrzyk, złożeniem buzi, ujęciem się pod boki, wywróceniem oczu w słup, zrobieniem krzyża świętego czy ziewnięciem, splunięciem i zatarciem śladu tego splunięcia podeszwą pantofla. Tym wszystkim porozumiewamy się, to nas łączy i rozłącza, tym się wstydzimy albo dokuczamy innym, albo udajemy i chcemy zaimponować, i odstawiamy ważnych, i łasimy się, i żebrzemy o pamięć.

Ale co tu oszukiwać, sztukować – jest się samemu.

Nietota umiała opowiedzieć o sobie najbardziej własne, upokarzające w swym komizmie historie. Jak to kiedyś na tymże letnisku nad Dniestrem wybrała się na przejażdżkę czółnem – tamtejszym, płaskodennym, którego płaskodenne koryto długo szoruje i chrobocze na płyciznach brzegu, kiedy woda pachnie letnio rybą, szuwarem, skrzekiem żabim. Przypadkowy galant letniskowy, gracki, ale niezgrabny, jakoś sobie daje radę, manewrując sposobem tamtejszych chłopów, rybaków dniestrzańskich, „na pych", i czółno, „*czowen*", zachybotało się wreszcie na głębszej wodzie i poooszło! już gładko, tylko „*chytajesia*", kiedy niewprawny *gondoliere* stara się utrzymać równowagę na stojąco, a wiosło „na pych" chowa się w wodę aż po koniec rękojeści. No to Nietota opowiada, jak to w pewnym miejscu, gdzie wiklina zwisa ciężkimi od wąskiego listowia gałęziami, opowiada, jak to ona sama bardzo malowniczo upozowana: na leżąco, na jakichś poduszkach i pledach, palce jej dłoni ledwie przez niską burtę gładzą, grabią leniwą falę i jak to, kiedy te gałęzie wiklinowe nadpłynęły i kiedy czesała je uniesionymi teraz palcami, jak na obrazie Moneta, nagle dla jakiejś przekornej chętki te głaskające liście palce zacisnęła i jakiś przekorny wewnętrzny mus kazał jej te palce zacisnąć w kurczu nie pozwalającym im się wyplątać, a prąd wody był w tym miejscu chybszy, a *gondoliere* znalazł lepszy i solidniejszy grunt pod wiosłem i dobrze się zaparł – no i co? No to Nietota nagle z tej omdlewającej, rozkosznie powłóczystej, sennej, leniwej pozycji została uniesiona i oto czółno umyka spod jej stóp i mknie pod nią, i moja Nietota została sama nad wodą, uwieszona u gałęzi, które pod jej ciężarem ugięły się, nachyliły jeszcze

bardziej, zawahały raz, i moja Nietota znalazła się, uczepiona ich, w nurtach wody, tylko jej sukienka na chwilę wzbiła się w banię uwięzionego powietrza („jak u pławionej czarownicy” – mówiła o tym Nietota) i nabrawszy, nasiąkłszy szybko wodą, oblepiła się wokół jej nóg, gdy twarz Nietoty przerażoną i rozśmieszoną, przelękłą i w grymasie śmiechu i krzyku oblaną rumieńcem zawstydzenia dobrodusznie i łaskawie przykryła siatka liści wikliny. No, śmiechu było co niemiara i w pensjonacie, i potem po miesiącach, kiedy przychodziło wspomnienie, jak to na wycieczce czółnem Dniestrem Nietota chwyciła się gałęzi wiklinowych, jak to jej czółno uciekło spod nóg i jak to znalazła nie zamierzoną kąpiel w rzece.

„Czowen sered wody – chyta-ajesia…”

I tak jak to czółno na wodzie dniestrowej, zachybotała się własna moja myśl, i czółno uciekło, i ja sam zostałem z tą myślą…

Myśmy tam żyli, współżyli z ludźmi, którzy podobnie, ale inaczej mówili, inaczej żyli, pazurami z tej ziemi wydzierali sobie byt, kochali, umierali… Mówili podobnie, ale inaczej: z przydechem, *aspiré*, od nich przychodziło wiele do nas, do lwowszczyzny, do tej szlacheckiej, mieszczańskiej, inteligenckiej polszczyzny, przydając jej prowincjonalizmy, prowincjonalny rozpoznawczy akcent. I owszem, dumki, zaśpiewy ruskie, bo mówiło się u nas: „ruski”, „Rusini”, mówiło się: „greckokatolicki”, a nie jak Kongresowiacy, co to mówili: „rusiński”, „unicki”. Dziwię się, że nie dziwiło to rdzennych Polaków, że Ksiądz w *Dziadach* ma dzieci („Dzieci, chodźcie pod kantorek…”), bo to był właśnie ksiądz unicki, pop – miał żonę, czyli „popadię”, no i zawsze wiele córek, „popadianek”, które przecież trzeba było powydawać za mąż, straszne utrapienie, te dzieci, dla pasterza dusz ludzkich, to pamiętanie o zbieraniu grosza za chrzty, śluby, msze na intencję, „*pochorony*”, „panichidy”, wszystkie te „*iura stolae*”, a tu bieda aż skwierczy i sami parafianie podrwiwają ze swego parocha tak zalatanego za ziemskimi sprawami, nawet pazernego na „paski” – białe chleby wielkanocne znoszone przez wiernych na cmentarz cerkwi dla ich poświęcenia, a które potem stawały się beneficjum duchownych.

A jakże, ci duchowni. Nie obejdzie się tu i bez anegdoty. Alumni seminarium greckokatolickiego we Lwowie, mieszczącego się przy ulicy Kopernika pod numerem 36, wyprowadzani parami na przechadzkę do Ogrodu Jezuickiego, dzielili się na dwie kategorie: tych, co jakoś nie mieli jakiejś matury gimnazjalnej, ale, jak by nie było, mogli przygotowywać się do stanu duchownego, których w żargonie seminaryjnym nazywano „Formacja", oraz tych z maturą, bardziej edukacyjnie przygotowanych, szczycących się przezwiskiem „*Geschichta*". Zwyczajowo czy kanonicznie i jedni, i drudzy po seminarium, a przed wyświęceniem musieli znaleźć sobie żonę, bo potem już przepadło. Owszem, wyższa hierarchia cerkwi greckokatolickiej była bezżenna, także to zwyczajowo czy kanonicznie. No, to był podobno widok przekomiczny, kiedy taki młody alumn w ciągu paru miesięcy przed wyświęceniem uganiał się w poszukiwaniu partii. I stąd też „*Geschichta*" bawiła się wierszykiem śpiewanym o „Formacji":

„*Oj, pojichaw* pan Formacja do panny w konkury,
Taj zabuw win, neboraczok, szczo win bez matury…"

Na co znów tamci odwzajemniali się:

„*Kopernyka trycić sziść, jiść, Geschichta, kaszu jiść,*
Jiść, Geschichta hałasuje, funduszkasza jim smakuje,
Bo *Geschichta ist kein Mensch…*"

Oto anegdoty opowiadane sobie przez inteligencję polską o klerze greckokatolickim, jak to jest wszędzie, jak to zawsze jedna kasta, kategoria, dykasteria podrwiwa sobie z innej. Pewnie, że Argentyńczycy pokpiwają sobie z „*Indios*", Meksykanie – z *gringos*, w opowiadaniu Amicisa Lombardczycy z północy – z Kalabryjczyków, Rosjanie – z Ukraińców, nazywając ich chachołami, ci znowu – tych pierwszych: kacapami, Francuzi nabijają się z Marsylczyków i Tarasconu, pewnie Jakuci – z Czukczów, pewnie ci z Andaluzji – z Katalończyków, Kantończycy – z tych z Sinkiangu, Małopolanie – z Mazurów, Ślązacy – z „Galijoków", my wszyscy – z Żydów, opowiadając sobie o nich szmoncesy, a Żydzi – z nas; zawsze się ktoś gdzieś śmieje w kułak albo otwarcie, tak jak dzicy – tak zwani „dzicy" – z Wyspy Wielkanocnej rechotali na widok dziwnych

włochatych, groźnych, ale śmiesznych ludzi przygnanych do tamtejszych brzegów w ogromnych okrętach z wiatrem wydymającym dziwaczne białe płachty u rej i masztów, jak kiedyś Odyseusz i jego towarzysze spotkali się pewnie z drwiną u Lotofagów, zjadaczy lotosów. Tak samo pewnie śmieją się z nas – ocalałych, unoszących za granicę głowy inteligentów szczątkowców z naszymi manierami, honorami, ambicjami, poprawnościami, gestem, grymasami, całowaniem rączek, naszą szczątkową szkolną łaciną („Gdy ty, Tytyrze, w cieniu buków na lichej fujarce wywodzisz melodie pasterskie, ja porzucam kraj rodzinny…").

Co każe mi powtarzać anegdoty, doszukiwać się porównań, wynajdywać paralele, popisywać się pseudoerudycją, usprawiedliwiać tym wszystkim mój opis wobec mnie samego i innych przywoływanych na świadków? Czy ma być to dopełnieniem szczerości podjętego zamiaru wierności prawdzie, która to prawda jest tak nieuchwytna, tak względna, tak niepokojąca i tak nie zaspakajająca, ale bez niej świat, jaki mnie otacza, [i] ja sam nie istnieję, bo albo coś jest prawdą, albo nią nie jest, a więc wtedy nie istnieje. A znowuż sztuka mająca nam tę prawdę objawić jest przecież ustawicznie na pograniczu oszustwa, złudy, udawania, mizdrzenia się, sugestii, w sztuce zawsze jedno coś ukazujemy przez coś innego, prawdę chcemy ukazać przez kształt udany albo przez wymyślony porządek – jak w muzyce przez uszeregowanie dźwięków, jak w poezji przez słowa, ich rytm, aliteracje, asonanse, współbrzmienia, tonikę, akcenty, patos, wymysł. Czemu jest tak, że posługujemy się całym arsenałem (gdzieś przeczytane, zasłyszane, zapamiętane) zmyślenia, nieprawdy, ażeby wyrazić prawdę?

Wobec czego niech mi będzie wolno domyślać się i narzucić własne wyobrażenie o tym, jak to panna ksieni pochwala i przytakuje okrutnej zabawie dziewcząt, kiedy tą maszkarą, tym pajacem jak ze szkicu gobelinowego Goi w Muzeum Prado, tym El Pelele jestem ja sam. To przecież mnie te panny żywcem dręczą, nabijają się ze mnie, kiedy tak po koszarowemu całkiem „dają mi koca", odbijają sobie na mnie swe panieńskie trwogi, zahamowania, zawstydzenia, marzenia, zachcenia, mszcząc się za wszystkie byłe i przyszłe panieńskie klęski i zniewolenia. To

przede mną abatissa przestrzega i radzi z zimną krwią: „Kolanem pomiędzy nogi, to zaboli!”

Panna ksieni może miała na myśli pokusy, nawiedzenia, rozkosz bólu, jaki maluje się na twarzy karmelitanki świętej Teresy z rzeźby Berniniego ufundowanej w kościele Santa Maria della Vittoria w Rzymie (ufundował ją kardynał Wenecjanin na pamiątkę zwycięstwa nad heretykami pod Białą Górą), ukazującej zdrożną, grzeszną w uniesieniu i spazmie ekstazę marmurowej twarzy o ustach rozchylonych i oczach wywróconych w słup od bolesnego rozkosznego doznania, które barokowy rzeźbiarz z barokową perwersją kontrastu świętości i grzechu w jednym potrafił dać w kamieniu ku zgorszeniu i wzburzeniu znawców, amatorów, poszukiwaczy sensacji i wzruszeń.

A może sobie przypomniała *Pieśń wieczorną* – cudowny hymn, którym jakże przebrzmiewały po capstrzyku głosami rekrutów koszary w Żurawicy, słowa wołające o przyjęcie naszych wszystkich dziennych spraw, o odwrócenie nocnych przygód, wszelkiej szkody, byśmy się znowu obudzili. Tylko że twórca jej, inny kochanek innej Justyny, potrafił także i noc zaprzepaścić grzesznie, jak wynika z jego wcale dla panien w klasztorze nie przystojącego wiersza o tym, jak:

„Noc się krótka zdawała,
Żegnamy się ze świtaniem;
Miłość sen nam zabrała:
Miłość żyje niespaniem”.

Taka zabawa: wymyślanie historii detektywistycznej. Tytuł? *Zbrodnia w klasztorze*. Poddajemy sobie pomysły i Nietota odrzuca mój jakiś w stylu historii Barbary Ubryk. „To dobre dla kucharek!” Tu muszą być i groza, i węzeł dramatyczny, i logika wydarzeń, mylne poszlaki, dedukcja. Tak jak odbywa się to uporządkowanie w przyzwoitej historii detektywistycznej czytanej do poduszki, a nie – chaotycznej, bzdurnej, nijakiej, tak jak to bywa w życiu. Dobrze, naprzód fakty. Zbrodnia z premedytacją. Narzędzie zbrodni? Owszem, może to być stary gwer znaleziony w lamusie klasztornym. Skąd? No, jakiś rekrut z austriackiego pułku infanterii, Pułku Mazzucchelli, stacjonowanego przed latami w Przemyślu, dezerter,

uciekinier z posterunku przerzucił gwer przez mur do ogrodu klasztornego. Albo z czasów pierwszej światówki, z czasu oblężenia twierdzy, jaką był wtedy Przemyśl, karabin znaleziony na glacis festungów z tej strony Sanu albo u kazamat fortecznych, pordzewiały rosyjski karabin, jaki zabłąkał się w obejście klasztorne; może odebrano go stróżowi nocnemu, bo był za groźnym uzbrojeniem, zostawiono mu tylko szpiczasty bagnet nasadzony na kij, z którym z parą dzikich, zajadłych wilczurów klasztornych odbywa swoje obchody, a sam karabin porzucono gdzieś w piwnicznym kącie. Albo jeszcze lepiej: stary muszkiet czy rusznica, czy samopał znaleziony w przejściu na dzwonnicę wpośród zwałów starych szpargałów… Ale nie ubiegajmy wydarzeń. Ofiara – warunek, wiadomo, tak nieodzowny – znajdzie się. Motywy zbrodni? Oczywiście i przede wszystkim wedle klasycznej reguły prawnej: *cui prodest?* No dobrze, niech będzie rusznica. Krogulcze oko panny ksieni dojrzało i porzucony tam rożek z prochem. Zadyszana od wspinania się po schodach na wieżę abatissa w świszczącym oddechu nabija strzelbę. Z dawnych kresowych czasów pamięta, jak się to robi. Odmierza, odsypuje proch, nie ma tu pod ręką pakuł na przybitkę, więc z pierwszego pod ręką foliału wydziera kartę (tu poddaję: ze starego kancjonału i akurat czernią się na niej drukiem słowa hymnu „*Dies Irae, Dies Illa, Solvet Saeculum In Favilla, David Teste Cum Sibilla.*…”; „No, niech będzie” – zgadza się Nietota). „Panna garbatego ciała” ugniata i miętosi z niej przybitkę, wprowadza do wylotu, dzwoni stempel w lufie. A teraz kula! Jaka? Zamawiana, zaklinana, poświęcana. Panna ksieni popluła na nią i przeżegnała, nim dobiła ją stemplem, a za nią – drugą przybitkę. Jeszcze podsypać prochu na panewkę, jeszcze skałkę u kurka odciągniętego ze zgrzytem starej pordzewiałej sprężyny przeczyścić paznokciem, szponem, pazurem.

Teraz już starczo zdyszana panna ksieni kusztyka korytarzem cellarium ku oknu wychodzącemu na wirydarz. Za sobą powłóczy, ciągnie po płytach posadzki kolbę rusznicy. Przez kraty okna wysuwa rudą od rdzy lufę z jej zaśniedziałymi mosiężnymi, nikle odbijającymi światło okuciami łoża. Mierzy. Bierze na cel. Z dołu dobiegają głosy roześmianych, rozbawionych dziewcząt. Na ich rozbiegane, roztańczone postaci pada już cień muru.

Tylko manekin przybrany w gałgany i podrzucany na kilimku pojawia się raz po raz w pełni światła, gdy w rozlatanych karykaturalnie pozach ukaże się na tle nieba.

Błysk, huk jakby gromu. U zapału i wylotu broni kłaczy się czarny kwaśny dym wionący siarką i saletrą i na chwilę przysłania widowisko. Sypie się cieniutko tynk od wstrząsu wystrzału i kawki poderwały się z wież klasztornych. A na niebie zawisł na chwilę rozkrzyżowany jak konstelacja Oriona kształt i poświęcona kula dosięgła i przewierciła me serce bijące w piersi słomianego pajaca El Pelele.

[prwdr. „Kultura” 1970, nr 1–2]

Baskijski diabeł

Weź se, Maryś, czepek nasadź,
Jak nie chciałaś gęsi pasać,
Jak nie chciałaś statków myć –
Idźże za mąż, idźże, idź!

(Zygmunt Gloger, *Pieśni ludu*)

Powie ktoś: coś tu się autorowi poplątało. Przecież Salomea Wiśniowiecka, ihumena panien benedyktynek przemyskich, sam autor to już raz napisał, zmarła jeszcze w 1716 roku, więc gdzież tu znowu? A tu nagle ni stąd, ni zowąd wydziwia, że ustrzeliła go z przeciwpancernej rusznicy porzuconej gdzieś u wstępu drugiej wojny światowej. Jeszcze by brakowało, żeby kazał pannie ksieni i płeć zmienić, kiedy już tam mu się wszystko pomieszało.

A bo naprawdę ustrzeliła mnie z przeciwpancernej rusznicy. Był taki wynalazek, patent pono podpatrzony u Szwajcarów: kb ppanc wzór 35 o dwumetrowej lufie, zamek ryglowany systemem Mausera, broń niepowtarzalna, bo gdzie tu? nabój jak szparag o zdolności przebijania pociskiem dwudziestopięciomilimetrowego pancerza, straszliwie kopie i po jednym wystrzale w uszach dzwoni przez parę dni. Broń będąca najskrytszą tajemnicą wojskową, pod przysięgą przechowywana w magazynach mob w zaplombowanych skrzyniach. Strzelców wyborowych w pułkach szkoliło się po kryjomu, pod ślubowaniem, za specjalnym ustnym tylko rozkazem i wyszkolenie to nie było dostatecznym, kiedy broń tę wydano dopiero w chwili mobilizacji – trzy przeciwpancerne rusznice na kompanię piechoty. Taki jeden z tych cudów wojskowych, broń cudowna i ostateczna, mająca zapewnić przewagę i zwycięstwo.

Bo naprawdę panna ksieni ubiła mnie z tej właśnie rusznicy i był to bodajże jedyny pożytek, jaki na tej wojnie broń ta przyniosła. O, mogę państwu pokazać, o, tu – blizna, ślad po kuli. Tyle że historia ta miała pseudokomiczne zakończenie. Otóż po klęsce uciekinierzy i internowani

tak przechwalali się, a zwłaszcza przed Anglikami, wspaniałymi osiągnięciami tej tajemniczej a doniosłej broni-wynalazku, że jakiś tam attaché wojskowy dał się nabrać i ustanowił premię, patriotyczną premię za zdobycie i przywiezienie, przeszmuglowanie z jakiegoś pobojowiska tej rusznicy. Bo jakoś żaden egzemplarz w żaden jakiś sposób nie zawędrował na Węgry, gdzie rozbrajano oddziały przechodzące przez Pantyr Pass. I to zrobiła się heca. Ambicja! To ja! Ja pierwszy! I poszli przez granicę już w śnieg i przez góry, odmrażając sobie palce u nóg, i szukali, bojąc się nie tyle gestapo czy NKWD, czy łapsów Siguranzy, czy Abwehry, ale kolegów z konkurencyjnej paczki.

Mnie samego natomiast prześladowali po większej części ci w uniformach, zawsze chodzący we dwójce – torba, karabinki na pasie – parami. Na Węgrzech dla kogucich piór noszonych u kapelusza nazywało się ich „bażantami”, w Turynie takich dwu doprowadziło mnie dla indagacji do budynku, na którym wypisane było: „Carabinieri Reali”. W Paryżu wpadłem w łapy dwu żandarmów na Gare d’Orléans, gdzie mnie wyłuskali z tłumu *permissionaires* i odstawili do koszar Bessières, w których nad bramą powitał mnie napis: „Navarre sans peur!” Ale o tym, o Nawarze, będzie później. (Powinno być tam jeszcze wypisane, jak podobno stoi to zawsze na koszarach w Chinach: „Bójcie się, tu mieszkają żołnierze!”).

Jak mnie wzięli już tak na oko, to ledwie, zziajany, mogłem im się wymknąć. Już z daleka poznawali moją sylwetkę: podejrzane buty wojskowe z wypuszczonymi na ich cholewy nogawkami cywilnych spodni i w cudzej ciasnej pod pachami marynarce.

Jak mnie wzięli już tak na oko – zawsze we dwu, zawsze parami, za każdym rogiem ulicy albo już obstawiają jakieś bistro: „*Identité?*” – to ani popasałem w cieniu platanów Tuluzy, ani też, gdzie tam! miałbym czas na oglądanie murów i baszt Carcassonne, bo miałem ich wszędzie na piętach.

Zapędziłem się aż po Bayonne, ale spóźniłem się. Tłumy uciekinierów, to przenocowałem w jakimś pomieszczeniu przy jakimś boisku sportowym, które w dzień okazało się stajnią dla byków, bo miejsce to było areną do ich walk. A rano, raniusieńko wpadłem już nie na parę, ale na cały batalion: hełmy, mauzery, pistolety maszynowe schmeissery w poprzek przez pierś,

granaty ręczne. Zakurzeni zdobywcy – już są tu, wcale nie jakieś *Panzers*, ale na rowerach, cały ich batalion, *Radfahrerbataillon*, pompki i wentyle rowerowe już ich tu przyniosły, aż tu dojechali, taki Tour de France. No to ja chodu! Gdzie? W góry.

Autostopem, podebrany przez kogoś, w rozklekotanym starym citroenie, wciąż w górę i w górę, wzdłuż szumiącej po kamieniach Bidassoi, takiej tamtejszej Czeczwy. Ale u szlabanu „Douane" po drugiej stronie stała już jednak znajoma para, tym razem w pelerynach, lakierowane czarne stosowane kapelusze z podpinką pod brodą, karabiny na pasie, twardo, nieprzychylnie-pytająco-wyczekująco patrzą na mnie: Guardia Civil. No to ja z powrotem, ale po paru kilometrach znów para żandarmska, Kastor i Polluks, tym razem w skórzanych kurtkach, hełmy motocyklowe, pasy, karabinki, już ustawiają motocykle na podpórce i do mnie ze stereotypowym: „*Vos papiers, m'sieu?*" Znalazłem się jak szczur w pułapce.

Działo się to w górach, ale nie w górach, jakie znałem, tylko obcych, o których nic mi nie było wiadomo, tak obcych, że nawet o nich nigdzie nie czytałem ani nikt mi nie opowiadał. Oczywiście, wszelkie góry są do siebie jakby podobne, tchną taką samą surowizną i tak samo nas zaskakują nagle otwierającymi się perspektywami dolin, stoków, takie same garby podnoszą się i podnoszą, jakieś „Płeczi" czy Maryszeska, czy jak szło się na Sywulę, widać, jak zwarty las na garbie zaczyna rzednieć, robi się tam przestronniej, świerki rozsypują się tyralierą, już stoją pojedynczo, smagane wiatrem ich „chorągiewki", szarpane wiatrem w jedną stronę – po czym geofizycy poznają, którędy tu wieją stałe wiatry – wyglądają jak chorągiewki na mapie znaczące pochód wojsk nieprzyjacielskich. Tak samo w Gorganach, tak samo w Alpach Savoie czy szkockich Cairngorm.

Nie znałem tych gór i nie chciałem ich znać, czułem do nich rankor, i już. A przyszło mi dobrze wśród nich posiedzieć, w tej Dolinie Bez Wyjścia. Leżała gdzieś między departamentem Tarn-et-Garonne i Nawarrą, odcięta od świata, jakiś zabytek z zamierzchłych czasów, rzeczpospolita z własnym parlamentem, a jakże, a że takie ambitne kraiki nazywają je po swojemu: *Lietuva* z Tarybą, Irlandia ma dla swych dwu izb miano Oireachtas, w Hiszpanii, jak to nazywa się? Kortezy, a w Izraelu Kneset, to tutaj po

baskijsku nazywał się ten parlament Batzar. Rzeczpospolita rządziła się sama, ale jurysdykcję miał tu z jednej strony prefekt departamentu Tarn-et-Garonne, a z drugiej – biskup z Urgel. Autochtoni tu żyją z hodowli owiec, turystyki i przemytu – mrukliwi górale w ich wywróconym na wierzch runem kożuchu, z czarnym beretem nasuniętym na brwi, z wielkim parasolem chroniącym przed tygodniowymi słotami-deszczami górskimi.

Z okna mego pokoju w hoteliku, w którym znalazłem schronienie, mogłem widzieć ich grających w pelotę, kiedy wielkim szponem zakładanym zamiast rękawicy na dłoń miotali piłki o ślepą ścianę apsydy kościoła wznoszącego swe mury przy tym samym placyku miejskim. Mój gospodarz, właściciel hotelu, który był także syndykiem parlamentu, a także, zdaje się, dygnitarzem syndykatu przemytników tutejszych, tolerował mnie przyjaźnie, pewnie z sentymentu dla jedynego w owych czasach turysty w rzeczpospolitej.

Przepraszam, że opowiem tu historię jedną z tysięcy innych takich, jakich nasłuchałem się w tychże czasach, jedną z tysięcy perypetii, wędrówek, naszych *anabasis*. A do tego będzie to przede wszystkim historia nudy.

Bo, proszę, cóż tu do opowiadania? Przyszła jesień i wiatry, ten sam ogieniaszek trzeszczy na palenisku, kiedy schodzę co rana na śniadanie, ten sam kieliszek cienkusza, kiedy się czeka na *déjeuner*, ta sama płyta gramofonowa skrzypi, porysowana:

„Voulez-vous que je sois, madame, votre amant…”

Te same złowrogie garby, szczyty zaśnieżone i urwiska gór piętrzących się wokół Doliny Bez Wyjścia. Ich nazw tamtejszych nigdy nawet nie nauczyłem się wymawiać czy poznać, a i tak z jesienią zakrywał je parawan pędzonych wiatrami chmur. Do czytania jakiś stary, sprzed tygodni numer „L’Éclaireur du Midi”. Nie nasuwałem się ludziom na oczy, po co? jeszcze mnie kto zadenuncjuje i albo wydadzą mnie biskupowi z Urgel: inkwizycja, *strappado, garrote,* albo odstawią do prefektury departamentu Garonny i tu znowu *juge d’instruction* i już za uszy ciągną mnie pod, co to u nich? nóż

gilotyny. To już lepiej uszy po sobie i sza! Nie ma to jak nasza własna wyobraźnia, żeby napędzić nam stracha.

Przed grozą tych gór, przed piętrzącymi się poza nimi niebezpieczeństwami uciekałem we wspomnienia, tam gdzie było tak swojsko, a przede wszystkim – płasko.

Kiedy w polu ukażą się strączki na grochu, to matki zwykły straszyć dzieci, mówiąc: „Nie chodź do grochu, bo cię przypołudnica weźmie”.

Do naszego tak zwanego Tamtego Ogrodu przylegało wielkie płaskie pole dworskie. Raz kiedyś w myśl gospodarki płodozmianowej zasiano je grochem, a że to niezwyczajnie w tamtych stronach, by poza ogrodami groch zasiać na tak olbrzymim płaskim łanie, to od owego płodozmianowego roku nosiło ono już na zawsze nazwę Grochowiska. Pamiętam nawet, jak po zbiorze tego grochu pastuchy tamtejsze mogły nazbierać jeszcze wiele jego wysianych strąków i przy ogniu pastuszym, na kawałku blachy przypiekali sobie te ziarna grochu.

Ale pole to przechodziło także wiele innych zmian i przy swej pustce i przestrzenności pozwalało dziać się na nim ustawicznie różnym sprawom. Albo przecinały je okopy przeznaczone dla ćwiczeń piechoty, ośrodka wyszkoleniowego wojsk rosyjskich w czasie pierwszej wojny, który zwał się Uczebnaja Komanda. Okopy były bardzo solidnie wyrobione, nie ryte naprędce, jak to już w pierwszych tygodniach tej wojny zaczęto robić, kiedy to od razu, pod ogniem karabinów maszynowych uczyniła się tak zwana „pustka pól bitewnych”; miały plecenia faszyny z chrustu, poprzecznice, zygzakowate rowy dobiegowe i przedpiersia fachowo, jak należy kamuflowane kładzionymi na nich badylami ostów. Nigdy tu bitew nie było i okopy te zostały tak, jak je wykopano, tyle że parapety rowów strzeleckich zaczynały zasypywać się same, a także służyły za cmentarz dla padłych sztuk inwentarza, ścierwa końskiego.

Potem ukośnie przez Grochowisko poprowadzono drogę skrót transportowy dla trenów wojskowych i pozwalało to omijać miasteczko. Do wykonania tej drogi okupanci spędzili przymusowo ludzi ze wsi, wytyczyli jej profil i kazali kopać, i w czasie suszy droga ta była nawet twarda i solidna, ale nie daj Boże, gdy spadły deszcze. Dla jej

przeprowadzenia spędzili cierpliwą tamtejszą ludność nagle, na alarm, do bezpłatnej przymusowej roboty i ludzie ci zginali nad nią grzbiety i robili łopatami, wzwyczajeni od setek lat, od pokoleń, że ktoś przychodził, stał nad nimi, poganiał puhą, batem, kijem, pałką, nahajem i uważał, by przykładali się do tej roboty, a pomimo tego wszystkiego była w tych ludziach jakaś godność, której żadna przemoc nie odbierze.

Aha, jeszcze w pobok Grochowiska biegła w wyrwie inna – stara polna droga wyrobiona kołami wozów w wąwozik, jego urwiska zarosłe burzanami, i tam wielokrotnie z Nietotą braliśmy ten wąwóz Somosierra w galopie, cwałując z Kozietulskim na czele czwórek szwoleżerów, aż kurz podnosił się spod naszych bosych stóp, i ścinaliśmy szablami głowy ostów tam rosnących – hiszpańskiej piechoty broniącej wstępu przez wąwóz w górach Guadarrama wiodący na kopyczyniecki cmentarz. Jedyna tu rozegrana prawdziwa bitwa.

Tamże, na tym Grochowisku ustawiono o jakimś czasie dwa działa przeciwlotnicze i kiedy pojawił się wysoko, wysoko na niebie prawie nieruchomy na tej wysokości punkcik taube czy fokkera, to „zenitówki”, jak to je wtedy nazywano, skierowane prostopadle w górę, prosto w zenit, odzywały się jedna po drugiej i wysoko, wysoko ubierały krzyżyk samolotu w girlandę z kłaczków szrapneli raz na tle błękitnego nieba białych, innym razem na tle białej chmury śniadych.

I tam także pewnego czasu wybrano miejsce na ubój bydła jakiegoś polowego szlachtuza wojskowego. I tam także z Nietotą byliśmy świadkami straszliwej śmierci wołu. Uczestniczyłem tam w obrządku, misterium taurobolium, krwawej ofierze, jakby wprowadzany, wtajemniczany w misterium Mitry. Któż to byli ci kapłani namaszczeni do tej ofiarnej funkcji? Dotąd ich widzę: w rozchełstanej rubaszce, z furażką przekrzywioną na głowie, samych przestraszonych dokonywanym przez siebie mordem sołdatów z tego wojennego szlachtuza, kiedy uwieszeni u rogów, zapierający się butami w ziemię naciągali powróz mający powstrzymać rozszalałe zwierzę, niewprawni rzeźnicy z morderczym błyskiem oczu. Źle ogłuszony obuchem topora potężny siwy wół podolski poderwał się z klęczek i z gardłem rozerżniętym, wlokąc uczepionych

powrozów ludzi, wyrwał się, roztrącił ich olbrzymią lirą rogów i runął przed siebie, wydzierający się okrutnej i przerażającej śmierci, nie chcący się jej dać. I odtąd na zawsze będę pamiętał z dzieciństwa strach przed śmiercią, panikę przed nieznanym, przed czymś, co jest przed nami zakryte, czemu przecież idziemy na spotkanie od urodzenia – jedyny pewny, nieunikniony cel życia. Tylko zgraja, paka psów wygłodzonych, złych, zaślinionych, parszywych, z pomierzwioną sierścią i poszarpanymi uszami, i o wystających żebrach, psów, suk, kundli najrozmaitszego autoramentu – szczerzący zęby i skowyczący pomiot tej wojny czeka na rzeź, na zlizywanie gorącej krwi, na śmierć.

Masz tobie, zapatrzyłem się wstecz, gdzie sielsko-anielsko, płasko, bezpiecznie, i już pole to stało się areną przerażającego taurobolium śmierci. A widzisz, a nie trzeba było tak samolubnie zamykać się, uciekać przed innymi, trzeba było zostawić drzwi otwarte. Przyjdą. I przychodzili.

Z odwiedzających mnie stale gości pozwolę sobie wymienić następujące osoby: pan Kasztalewicz – mistrz fryzjerski, Tadzik Patryn – inżynier chemik, Fryderyk Koffler – poeta, Dziunek Fisz – apasz lwowski, czyli batiar. I wreszcie, jak Boga kocham! odwiedziła mnie raz para kochanków.

Pan Kasztalewicz przychodził nieregularnie rano, ażeby mnie ogolić. Był to mały zabiedzony człeczyna o czerwonym szpiczastym nosie. Pod pachą nosił małe etui z przyborami golarskimi, wecował brzytwę na pasku, namydlał mi twarz i zabierał się do golenia. Taki bankrut-golibroda, który zaprzepaścił własny warstat czy balwiernię i trudnił się domokrążczo goleniem młodych ludzi, którzy po przepitej nocy nie potrafiliby utrzymać brzytwy w ręku, a także dlatego, że młodzi ludzie są dobrego serca i co komu szkodzi wydać kilkanaście groszy, ażeby przy tym jakiś biedaczyna mógł wyżyć.

Tadzik Patryn był typem nałogowego pijaka. Było nawet w tym coś strasznego: człowiek w cęgach nałogu, o jakiejś drugiej naturze. Bo wiem od innych, że był technikiem, naukowcem pierwszej wody. Ale wódka była mu potrzebna do życia tak jak dla innych oddychanie. Przychodził, nawiedzał mnie wtedy tylko, gdy był pod alkoholem. Upodobał sobie coś we mnie – może to, że, słabego charakteru, nie dawałem się zostawić

w tyle, że mogłem coś mieć przy sobie z gotówki, a więc czy posłać po wódkę, czy przejść się samemu do najbliższego szynku było mi bagatelą. Nieraz zarzygał mi pokój w niemożliwy sposób. Był asystentem profesora Pilata, naftowca, był potrzebny i ceniony, chociaż nie mogę sobie wyobrazić, jak mógł zebrać myśli do prac nad jakąś analizą czy frakcją i że mogli mieć zaufanie do jej wyników. Czasem po pijanemu, kiedy go przycisnąłem, to próbował powiedzieć mi coś o swej pasji, którą były sadze. Tak, sadze, i jak o tym wspomniałem jakimś znajomym chemikom, to z uszanowaniem powtarzali, mówili: „tak, tak, sadze”, a mnie aż śmiesznie było, że można tak poważnie i z takim uszanowaniem oceniać czyjeś poszukiwania nad sadzami, które znałem tylko z kopcącej lampy albo kiedy trzeba było wołać kominiarza.

Oczywiście, że bardziej była mi zrozumiałą pasja innego z mych gości, Fryderyka Kofflera, bo ten był przecież poetą. Jak każdy poeta, używał sobie na mnie: kazał wysłuchiwać swych wierszy spisywanych na luźnych kartkach papieru. Oczywiście uwielbiał Heinego, ale osobiście skłaniał się ku awangardzie i swoje asonanse umiał wysmakować. Ale cóż, był najwyraźniej stuknięty, miał hyzia i jego rodzina, zamożni hotelarze w Stryju, opiekowali się nim, jak mogli, ale trzymali go na dystans; utrzymywali, to prawda, był takim typowym „*remittanceman*”, kochali go pewnie tak jak zawsze kocha się zapóźnione, niedorozwinięte dziecko w rodzinie, ale trzymali go na dystans, ażeby im nie dokuczał czy ambarasował, dlatego trzymali go z dala. Miał typową manię prześladowczą – zapomniałem, jak to się nazywa w psychiatrii – był pełen bojaźni i podejrzeń, że chcą go otruć. Kto? Ano, jak zawsze, „oni”, i przynosił do mnie ze sobą słoik z mlekiem, które gospodyni podawała mu na śniadanie, a mleko oczywiście było zatrute.

O Dziunku Fiszu była już kiedyś mowa. Przychodził, kiedy mu zabrakło papierosów, pytał: „Nie ma pan szluga, panie mistrzu?”

A oto jednego dnia odwiedziła mnie para kochanków, jak Boga kocham! Nie, nie chcę naśmiewać się z nich, chociaż cudze sprawy tego rodzaju mają dla nas posmak jakby komizmu. A tu ja sam, niewiele co od nich starszy, byłem porzuconym kochankiem i znalazłem się w przedziwnej

sytuacji niby-speca, mentora, niby-filozofa miłości, który jakże to już zmądrzał i jak to wie już wszystko. A tu dwoje zakochanych, znaleźli do mnie jakoś drogę, doszukali się mnie i jakby wiedzeni przeczuciem, że niby-ten, co to już zaznał, co już wiedział, to im opowie, to im wyklaruje, jak to się te sprawy mają.

Nawet sam nie wiem, jak do mnie trafili, co ich skierowało, jakim instynktem byli wiedzeni, czujnością zakochanych. Pewnie koło byłych zakochanych roztacza się jakaś aura, wyczuwa się ich jakimś zmysłem – no i cóż, znalazłem się nagle niby jakiś ekspert od spraw pożal się Boże miłosnych, że to niby do mnie: puk, puk! jak do chatki pustelnika, a tenże wyjdzie i jakże się rozpromieni, i jakże to wyłoży, i doda otuchy, i będzie poradą. Cóż to niby za pustelnik, eremita ze mnie! – taki sam szczeniak, ale coś im podpowiedziało i naprowadziło tych dwoje beztroskich, a tak zakochanych, podpowiedziało im, że tu właśnie sięgną prawdy.

Więc wcale się nie nasrożyłem, i owszem, byłem niezmiernie przyjacielski i trochę mnie to nawet połaskotało – w każdym razie teraz, po latach, nawet jest to łaskocące – ale, prawdę powiedziawszy, tych dwoje jakże niewinnych, jakże miłych, jakże zakochanych, jakże beztroskich, ci dwoje niechcący dotknęli we mnie straszliwą drzazgę i chociaż byłem dla nich miły, naruszyli, rozdrapali niechcący coś we mnie, i chociaż byłem przyjacielski i gościnny, to nie wiedzieli, nie wiedzieli…

Tak więc panna ksieni dobrze się na mnie uwzięła. Kiedy zrobiłem unik przed poświęcaną kulą, to rozpuściła za mną sfory żandarmów, nasadziła na mnie w górach z jednej strony biskupa z Urgel, a z drugiej – prefekta departamentu Garonny, napuściła na mnie zmory wspomnień. Wreszcie nasłała na mnie, kiedy już sama nie mogła, nasłała na mnie diabła, baskijskiego diabła.

Ten diabeł był zresztą już sam raz dobrze przegrany, czytałem gdzieś o tym, w jakimś uczonym dziele z lingwistyki. Bowiem w tych górach dogadać się ledwie mogłem przy mojej kulawej francuszczyźnie, bo górale tamtejsi mówili przeważnie po katalońsku, a reszta – po baskijsku. Ten baskijski to wedle lingwistów jest najbardziej różnym od wszelkiej ludzkiej mowy. Różnymi są inne języki z rodziny ugrofińskich i uralskich i wśród

Madziarów, Łotyszy, Estończyków, zawsze u Mordwinów, u Zyrian, u Czeremisów pokutuje jakaś historia o takim, co to poszedł o zakład z diabłem, zakład o duszę, w którym warunkiem było, że zły duch ma nauczyć się i posiąść któryś z tych języków. I zawsze oczywiście kończyło się to jego przegraną. Baskijski bije wszystkie inne. Lingwiści spekulują na ten temat, domyślają się, że baskijski był mową człowieka przedhistorycznego, troglodytów z epoki kamiennej, paleolitu, i że w tej postaci przetrwał i zachował się do naszych czasów w tych górach. I tutaj ten faustowski pakt z diabłem powtarza się raz jeszcze, powtórzył się w każdym razie w moim wypadku.

W salce jadalnej na dole w hotelu, gdzie jadałem i gdzie był także stary gramofon z jedyną ocalałą płytą („*Voulez-vous que je sois, madame, votre amant…*”), stał także stół bilardowy i w czasie wielomiesięcznych nudów w braku jakiegoś partnera rozgrywałem na nim sam ze sobą partie.

Kiedy za młodu, jak to w młodości, oddawałem się takim różnym młodzieńczym pasjom, żeby nie powiedzieć: nałogom, to między innymi także grałem w bilard. Co prawda, nie miałem specjalnych do tego sportu czy gry zdolności, ale szczęście sprzyjało mi w tym, że miałem dwu mentorów, prawdziwych mistrzów w „karambola”. Taki Ignac umiał wyciągnąć pięćdziesiąt „od kija”, a już Kossonoga, mityczny Kossonoga, produkt jednego z gimnazjów w Samborze (w Samborze były dla czegoś aż cztery gimnazja: dwa polskie, jedno z językiem wykładowym ukraińskim i jedno gimnazjum żeńskie, i produkowały te gimnazja takich abiturientów na kopy corocznie, i ci, już niezdolni do czegokolwiek innego, a dla braku środków nie mogący iść na studia na wyższych uczelniach, dusili się bezczynnie w tymże Samborze naznaczeni tą maturą gimnazjalną, która odebrała im wszelką zdolność, męskość do parania się czymkolwiek innym w życiu), otóż ten Kossonoga był mistrzem nad mistrzami, to on wykształcił Ignaca także na mistrza, a ja zostałem z kolei ich pupilem, ale bez talentu, i już.

Czemu o tym tu opowiadam? A bo z kolei ja sam, niedołężny, bo niedołężny, byłem mentorem Nietoty, uczyłem ją grać w bilard. Skąd się wzięła w Dolinie Bez Wyjścia? Nie wiem, byłem dyskretny, nie pytałem.

Udawała, że przynależy tutaj, była, zdaje się, dla niepoznaki, uchodziła za córkę patrona, hotelarza, owego syndyka parlamentu tutejszej rzeczpospolitej, jej trudniących się szmuglem obywateli. Dla zachowania pozorów nawet się jej zbyt nie przypatrywałem, nie dopytywałem, a zresztą, w myśl diabelskiego paktu, ja przecież po baskijsku ani be, ani me. Lekcji gry w bilard, kiedy zjawiała się wieczorem na salce, gdzie był stół bilardowy, udzielałem po swojemu. Nie bardzo była pojętna, ale też znalazła sobie profesora! Ale znakomicie wypełniało to czas – długie miesiące jesieni i zimy w górach.

„Uważaj” – mówiłem – „tak się kreduje koniec kija bilardowego. W pozie eleganckiej, ale i odpowiednio nonszalanckiej, tylko ma być to, naturalnie, bez sztucznej nonszalancji. Ludzie przy innych stolikach patrzą. Niewielu tu klientów o tej późnej porze, światło lamp odbija się w pół czarnej na stoliku obok i zaspany »markier« kawiarni lwowskiej opiera się o ścianę znudzony. Teraz uważaj! Na tym przykładzie pokażę ci, jak w tej sytuacji nie należy zagrać – to nazywało się u bilardzistów »świnią«. A tak się »ściąga«. Nie bardzo mi to wyszło, ale żebyś to zobaczyła, jak Ignac to robił! Ignac miał zawsze pogardę dla mych najgorliwszych wysiłków, mówił mi: »Nie sil się, nie sil się, najważniejsze to styl! styl!« A to znowu nazywało się »*massé*«, ale gdzie mnie tam!”

Uważnie celowałem, suwając na wykwintnie rozstawionych palcach kijem, pochylony nad zielonym prostokątem sukna, by w odpowiednim momencie uderzyć, pchnąć białą pożółkłą kość słoniową kuli, a ta wdzięcznie, lekko tym wprawiona w ruch toczy się po zielonym krajobrazie stołu bilardowego i oto: stuk! i energię swą przekazała drugiej, czerwonej, a sama, pozbawiona jej nieznacznie, toczy się, kręci, leci ku bandzie bilardu i pod kątem dokładnie jednakowym odbija się, i już: stuk! dotknęła trzeciej.

A jak się nam to znudziło, to zabawiałem Nietotę rozmową. Właściwie nie była to rozmowa, ale mój monolog, odpowiadałem na jej nieme zapytania. Czemu tu się znalazłem? Jak to jest gdzie indziej? Skąd ci ludzie, co mnie nachodzą, z którymi rozprawiam w samotności, tak że się ze mnie w kuchni śmieją? A ci zakochani, jak wyglądali, jakiej to rady

szukali? Czy pobrali się wreszcie? Czy byli szczęśliwi? I w ogóle jak to jest z małżeństwem?

Zawahałem się. Jak to opowiedzieć, jak nie zgorszyć, jak odrzeć to z marzeń, przybrań, zmyślania? Czy zrobić z tego bajkę, kiedy się nie da, kiedy nawet Sienkiewiczowska bajka o kniaziównie ma swoje wpakowane mimochodem zakończenie u początków *Potopu*, że kniaziówna „się roztyła”? I bardzo prawdopodobnie. A powinno być tylko jak w bajce: „… i żyli szczęśliwie długie lata”.

No, no, pannie ksieni-kniaziównie nic z tego nie groziło. Co prawda, dogadzali jej – mówiła mi Nietota, że w refektarzu podawali jej na stół kwiczoły, owe kwiczoły, co to same w poświęceniu nadziewają się jagodami i nie musi się ich patroszyć, upieka się je tak jak są, tyle że oskubane, i same wpadają do gąbki. Ale panna ksieni-kniaziówna była chudej nikczemnej postaci, „garbatego ciała”, przypominała raczej modliszkę, „*lou Prègo-Diéu*”.

„Ciekawaś, Nietoto, to ci opowiem, posłuchaj. Kiedyś, było to w niedzielę we wczesne rano, przed południem, kiedy to ulice miasta są tak puste świątecznie, a już zwykle tak gwarna ulica Akademicka z jej wystawami sklepów, z ich zaciągniętymi w dół żaluzjami – jak wymieciona. I wtedy to, bo akurat wypadłem od siebie, by kupić w budce papierosów, natknąłem się na idący jej chodnikiem orszak weselny. Niedużo tego – owszem, pan młody w przepisowym czarnym ubraniu, jacyś pewnie krewni, drużbowie i druhny – ubogie wesele z przedmieścia, dla fasonu brany wczesną porą ślub, przed mieszczańską »dwunastówką«, ale żeby to było w śródmieściu: może w katedrze czy u Bernardynów, u Sakramentek czy Klarysek. A potem już ciągnęli do domu, do siebie, może nie stać ich było na dorożki. Otóż z tego wszystkiego zapamiętałem tylko pannę młodą. Miała na sobie oczywiście białą suknię ślubną i welon oczywiście z mirtowym przybraniem, a dlatego ją zapamiętałem sobie, bo rzadko kiedy widzi się w życiu taki tryumf osiągnięcia, jak u tej panny młodej. Nawet puściła rękę pana młodego i była jakby sama, jeszcze dziewicza, a kto ją tam wie, pewnie i nie bardzo dziewica, bo nic to wszystko nie znaczy, miała swoje wesele, swój ślub, swój jedyny dzień

w życiu i od tego tryumfu, szczęścia osiągnięcia, apogeum życiowego twarz miała rozpromienioną, rozpryskiwała się jej ta twarz w uśmiechu i oczy miała po prostu w słup, nie widząca, ale i tak widziała, znalazła sobie we mnie zaprzysiężonego nieproszonego świadka swego ślubu, swego szczęścia i osiągnięcia i tak do mnie uśmiechała się ślicznie w słoneczny letni lwowski poranek owej niedzieli, której był jej! jej! jej! ślub! To nic, że zaraz potem miała przyjść nędza, urywanie się za złotówką, pewnie balia z brudną bielizną w cudzym domu, nad którą miała się pochylać, pewnie pijany w sobotę po wypłacie mąż albo tłukący ją i bez wódki bezrobotny robiący jej dzieci jedno po drugim, od których to porodów miała zestarzeć się przed trzydziestką, z obwisłymi workowatymi piersiami, powykrzywianymi obcasami pantofli, w kamienicznym podwórzu z jednym zlewem-kranem, jazgotliwe sąsiadki i deszcze, i mgły, i śniegi, i upały miejskie, i nowy poród z komplikacjami w wyżebranej klinice kasy chorych, i kaszel po nocy, i pluskwy gnieżdżące się za obiciem nad skrzypiącym łóżkiem, i nie zapłacony miesięczny rachunek w sklepiku, gdzie nie chcą więcej dać »na kredę«, i jazgot, i kłótnie z innymi tak jak ona, co drugie słowo wymyślające sobie od kurw, a po latach niewdzięczne dzieci znęcające się nad zniedołężniałą matką, i na pociechę kruchta z zapachem święconej wody i świec i zawodzący nieszporami chór. Ale teraz w słoneczne rano niedzielne to był jej dzień, jej, nie do odebrania, jej tryumf i gloria i to dlatego była taka, jaką była, i patrzyła mi w oczy wyzywająco, tryumfująco – dumna, zuchwała, pyszna, roześmiana, wyższa nad patrycjuszki Rzymu, bazylissy bizantyjskie, księżniczki Gotów i Wandalów, kniaziówny halickie, principessy biponckie, baronówny żydowskie i »królewny smalcu«. Gotowa mi się oddać wpierw, przed nowo poślubionym mężem, mnie, obcemu, bo przecież to wszystko jedno, bo był to jej dzień, oblubienicy, tej, której wolno, która oddaje się każdemu symbolicznie. W dniu jej własnego tryumfu, panny młodej, panny nie będącej już więcej panną, żony, *newistki*, bo to jej dzień, dla którego warto było przyjść na świat, znieść jego szorstkie, bolesne, drapiące dotknięcia już od rachitycznego, przeżywanego w głodzie, niedostatku, brudzie, nędzy, potrącanego dzieciństwa pełnego strachów i przekleństw, i zalęknionej,

»macanej« dziewczęcości z jej jadami zazdrości, krzywd, popychania, jej niepokojami dojrzewania, nudą i upokorzeniami szkoły, domu, kaplicy, dniówek (»podaj wapno!«), w tym jedynym jej dniu, jej wesela!

I ja tam byłem, miód i wino piłem…”

Tak to przekładałem Nietocie w długie samotne wieczory nad bilardem, a było to gdzieś daleko, za światami, w Dolinie Bez Wyjścia, wpośród groźnych, ponurych gór, w Pirenejach, w których nigdy nie byłem.

[prwdr. „Kultura” 1970, nr 5]

Balon

Przyjechałem tam już jesienią. Do pensjonatu podwiózł mnie fiakier wiktoria w jednego konia, jak w mieście, tyle że góral dorożkarz w cyfrowanych portkach i kapeluszu z muszelkami przysiadł bokiem jej kozioł, i to na niego zdałem się, gdzie się tu zatrzymać. Podwiózł mnie do niewielkiego pensjonatu już na stoku Gubałówki, nie targowałem się o pokój, zresztą miało to być tylko na parę dni, a już po sezonie i do tego zaczął wiać halny.

W pensjonacie ulokowałem się naprędce, zniosłem dosyć burkliwie zaciekawione, jak to zawsze w pensjonatach, spojrzenia na nowego przybysza. Do wspólnego stołu na kolację mnie przypuszczono, ale na szczęście byłem nic ciekawego, to mi dali spokój. Tylko tam ze sobą pogadywali już tym tam pensjonarskim umówionym językiem żargonem, kiedy to porozumiewa się skrótami wyślizganymi w codziennej śniadaniowo-obiadowej werandowej mowie, te same przekomarzania się czy docinki, lingua franca kuracjuszy. Ale grunt, że dali mi spokój, spenetrowawszy od razu obcego niezgrabiasza nudziarza, i już.

Przez okna widać było, jak z wału górskiego zstępowały dymy: kurzawa mgieł, chmur pędzonych od południa przez halny. Dudniły od podmuchów dyle ścian i gonty dachu i smreki koło domu drgały i dygotały pod uderzeniami wichru. Wiatr był duszny i ciepły i chciał wedrzeć się do domu, który postękiwał pod tym dobijaniem się. Zdawało się, że szczelinami, szparami wdziera się i że napompowuje wnętrze wzmożonym ciśnieniem, że od tego dom puchnie i nadyma się i za chwilę dźwignie się z posad, fundamentów, murowańca piwnicy i pociągnie nim po stoku, pochyłości, zawadzając o drzewa, głazy i słupy przewodów, jak zerwanym z uwięzi balonem.

Porównanie z tym balonem napatoczyło mi się z bezwiednie podsłuchiwanej rozmowy przy kolacji, rozmowy pomiędzy stołownikami

pensjonatu. Ktoś lamentował, że halny, a więc nowa przeszkoda i zwłoka w przedsięwzięciu, o którym gazety rozpisywały się od dosyć dawna. Bo tu miało się to odbyć, tutaj dla jakichś tam względów dowodzonych i argumentowanych wybrano miejsce startowe, i to na ten właśnie temat toczyła się przy kolacji rozmowa. Jak to zwykle w takich okolicznościach, zdania były podzielone, już ktoś z uporem i zapałem dowodził swego i powoływał się na takie i owakie autorytety meteorologiczne, fizyko-geograficzne, sezony. A że akurat w Dolinie Kościeliskiej? No tak, zacisznie, dolina, a więc jakby naturalna zasłona, stoki zalesione, gdzie tylko sporadycznie z południowego zachodu wieje „orawski", ale, proszę bardzo, żadne to wydmuchowisko jak u dołów, gdzie zawsze można się było spodziewać kaprysów z tą pogodą, a tu wiadomo. A halny to nic? – zrywa się oponent – o, proszę, posłuchajcie, jak duje, tegoż właśnie należało się spodziewać, a co za siła! niech się *Föhn* alpejski schowa. Na to ktoś inny zaczął się popisywać znawstwem wszystkich innych mistralów, sirocco, samumów, chamsinów, wiejącego z północo-wschodu gregale, mówił o huraganach, tornadach i cyklonach, o *Santa Ana wind* kalifornijskim i jakim to jest „*chinook*" w Wyoming, o jakichś tam pasatach i monsunach, a o purdze kazachstańskiej słyszeliście? Na to klasyk wyjechał z eurocyklodonami, boreaszami, zefirami, całym tym antycznym workiem eolskim wiatrów. A inny znowu o stratosferze, jonosferze, biosferze, promieniach kosmicznych, o profesorze Piccardzie czy Amerykanach, co to, startując w Dakocie Południowej w hermetycznie zamkniętej kuli podwieszonej u długiego pończoszastego worka balonu, sięgnęli gdzieś tam zawrotnych dziesiątków tysięcy metrów wysokości. Wszystko to było tylko lat temu czterdzieści, przed rakietami, pojazdami kosmicznymi, orbitami – tym wszystkim, czym dzisiaj jesteśmy już znudzeni i zblazowani do mdłości.

Ale słuchało mi się tego nieuważnie, piąte przez dziesiąte.

Wybrałem się do miejsca tutaj, gdzie ostatni raz ją widziałem, słuchałem jej żywej. Bo już jej nie było więcej. Gdzieś odeszła, zapadła się w nicość, w czeluść, która rozdziawia się przed nami wszystkimi. Wszyscy tam trafimy, czy myśląc o tym, czy odpychając myśl o tym; czas obecny

pozwala nam łaskawie zapomnieć o czekającej nas nicości. Była – nie ma jej. Była – i już jest gdzieś poza, tylko oglądnąć się wstecz i zacierają się rysy, kształty, cień jej. Może wydawało się tylko, że była, że żyła, oddychała, śmiała się, płakała, marzyła, mówiła. No i nie ma jej, i może była tylko przywidzeniem?

Kiedy to było? W jakieś miesiące po tym wszystkim. Pchało mnie w te góry, by je zobaczyć z bliska, bo kiedy ją tam przedtem odwiedzałem, to na krótko, zawsze na parę dni. A teraz chciałem zobaczyć kształt tych gór, których sylwetka na zawsze odbiła się w jej oczach. Może by sprawdzić, że nie były one takim jak ona mamidłem, że nie zabrała ich ze sobą, że nie były tylko przywidzeniem, i już, że jak tam przyjadę, to nie będzie pusto i nijako, jakby zrolowano jakieś dekoracje teatralne i wywieziono z całym cyrkowym bagażem, larami i penatami. Czyż to nie chowali w kurhanach tych jakichś scytyjskich ludzi z ich całym dobytkiem: garnkami, kobiercami, utensyliami, bransoletami, bronią, końmi, psami, wozami, nałożnicami i służbą, i ich dzieci w ich dziecinnych przybraniach, koralikach, z ich dziecinnymi zabawkami? Chciałem sprawdzić, czy Nietota nie zabrała ze sobą wszystkiego tego, co było jej zabawą i pasją, przyzwyczajeniem, codzienną sukienką, książką, drobiazgiem, skarbem, pamiątką otaczającego ją świata.

Skąd Nietota? To nie z Brücknera, o którym już była mowa, ani też, uchowaj Boże, z tego takiego młodopolskiego poety i dramatopisarza, co to sposobem młodopolskim koncypował wielkie poematy, a także na modłę młodopolską odkrywał i zachłystywał się, jak to oni, Tatrami. Bo Tatry, wiadomo, były dla Młodej Polski rezerwatem natchnień, uniesień, ekstaz, odkryć, ale przeważnie to przesiadywali oni jednak po knajpach zakopiańskich albo po willach dorobkiewiczów, gdzie sobie inteligencja znachodziła wakacyjne siedziby. Tenże Tadeusz Miciński napisał coś, co nosiło tytuł nie byle jaki, bo aż *Nietota. Księga tajemna Tatr*. Nigdy tego nie miałem w ręku i nie próbowałem, musiało to być coś na kosmiczną skalę, napisane z wielkimi ambicjami, ale gdzie mnie tam do tego! Owszem, i *Kniaź Patiomkin* z flagą czarną, a także, jakże to tam było? „Chryste Panie! – W konie!”, owszem, bardzo zgrabny wierszyk, nie ma

antologii liryki polskiej, ażeby go tam nie było. Był ten Tadeusz Miciński taki sezonowy, szanowna „krytyka” krakowska nawet go sobie zmonopolizowała, ale już jest zapomniany. Tylko przypomniał mi się niesamowity tragiczny koniec tego poety. Gdzieś na Kresach w czasie końcowego chaosu po tamtej pierwszej wojnie było tak, o czym dochodziły groźne słuchy, relacje niekompletne, że gdzieś ten Tadeusz Miciński jechał, pewnie takim kresowym traktem, mogę to sobie wyobrazić, jakimś wynajętym zaprzęgiem skądś, z jakiegoś może dworu, gdzie zdarzyło mu się pobytować, czy z miasteczka, pewnie w drodze na jakąś stację kolejową – typowo po inteligencku zawsze bez miejsca, zawsze przenoszący się w miejsce inne. No i nawet mogę sobie wyobrazić, że gdzieś na jakimś wygonie wsiowym zdziczali przez wojnę chłopi wyciągnęli go z sań i zatłukli kłonicami za to, że był taki inny.

Niech więc będzie Nietota. O swym tu życiu opowiadała mi, niewiele z tego zapamiętałem. To było towarzystwo młodych jak ona i wesołe. Bo u gruźlików te stany gorączkowe, rumieńce suchotnicze na twarzy i organizm w stanie fizjologicznego alarmu sobie rekompensuje, stąd podnieceni i wyprawia się brewerie, buntuje wobec nakazów lekarzy, grywa do późna w karty, sporadycznie urządza jakąś młokosowską pijatykę. Tylko że przychodzi blade rano i w szlafroku czeka się w kolejce na „wysłuchanie” przed ambulatorium z poczuciem winy, że czytało się coś porywającego do dobrze popółnocnych godzin. No i nie ma ucieczki od diet, brania temperatury, zastrzyków, odmy, od nasłuchiwania, jak na sąsiedniej werandzie ktoś głucho kaszle i odpluwa, a tak nawet, jak to w *Czarodziejskiej górze* Manna, przyjęła się tam nazwa „błękitnego Henryka” kieszonkowej spluwaczki z niebieskiego szkła, a *Zauberberg* już dobrze sobie przewertowali zblazowani, że „bujać to my, a nie nas…”

Tylko jeden był taki – opowiedziała mi kiedyś – co to po naukowemu, systematycznie, sam zabrał się z postanowieniem, że on przetrzyma, że się nie da, a że to technik, [człowiek] racjonalny, matematyczny, więc narzucił sobie z zacięciem zębów i przekonaniem nakaz: jak gruźlica krtani, to nie odzywać się. I nie odzywał się. W pasiastym szlafroku, na głowie wielki jak koło kapelusz słomiany, ze stosem skryptów technicznych na pledzie, na

leżaku, odgrodził się i zamknął w sobie samolubnie, nie odzywał się tygodniami do ludzi – że to ma postanowienie i żelazną wolę wyzdrowienia, niedania się po naukowemu, po inżyniersku. I pewnie dotrzymał danego sobie słowa, wydrwił się, wymigał; wiedział, czego chciał, kiedy tak samolubnie, skoncentrowanie, z pasją, z zamysłem, z postanowieniem uczepił się życia.
A potem, kiedy już się tyle zapomniało, to zacząłem odtwarzać ją sobie z fikcji. Pojawiała się, przychodziła w najbardziej realistycznie budujących się sytuacjach – nie we śnie czy marzeniu, ale tak jakby to było naprawdę. W sytuacjach nie z przeżycia, ale wymyślonych, uzurpujących sobie prawo do jakiejś rzeczywistości.

Bo czym jest zapatrzenie się wstecz? Można by to przyrównać do tego, kiedy się prowadzi samochód, a równocześnie patrzy w lusterko wstecz, ku przejechanej drodze, na której wszystkie znaki, szczegóły uciekają, pomniejszają się, zatracają kształt, a że do tego odwrócone, więc tym bardziej nas mamią tą swoją odwrotnością. Jeszcze chwilę temu widzieliśmy je tuż przed sobą nadbiegające, nowe, nieoczekiwane, nie znane dotychczas, a teraz – przez mgnienie oka przelatujące obok nas tak wyraziste, a teraz – już ledwie zapamiętane, bo cisną się nowe i nowe, więc te znajome, wydawałoby się, tak bliskie już są poza nami. Ale dopomaga nam pamięć, jakieś sprzężenia myśli, błysk czegoś podobnego do innego, już dawniej poznanego, a do tego, jak zawsze, wysnuwa się z nas nasz własny kłębek myśli, automatyzm doznania i z tą spontanicznością nowych zjawisk komponuje się to nam w świat osobny, nieprawdziwy, nie istniejący naprawdę. Bo jakżeż to wszystko zależne jest także od stanu naszego samopoczucia, od wpływu, jaki na nas może mieć, jak to uczenie się nazywa? akcja hormonów wydzielania, od tego, jak trawimy czy jak odbywa się w nas proces metaboliczny, albo może nas zaświerzbić, zaswędzi naskórek, nasze poczucie równowagi zachwieje się od jakiegoś innego bodźca, bo samochód bierze jakiś wiraż, przeleci nam po oczach cień drzew, nadleci jakieś bez związku wspomnienie, odwróci uwagę nic nie znaczący szczegół widziany kątem oka i już jest inaczej, i nasz obraz przeszłości wykrzywia się, olbrzymieje albo maleje: raz widzimy ją jak pod

lupą, gdzie każdy włos czy krosta, czy zgrubienie naskórka urastają do rozmiarów szczegółów surrealistycznego pejzażu, albo odbiega znowu i karleje, niby nawet bardziej wyraziście, ale jakby patrzeć przez odwróconą lornetkę. Tak, tak, nie uchwyci odbiegłego czasu, nie odtworzy tego, co działo się przed paru minutami czy przed ćwierćwieczem.

Oto z runów wycinanych w drzewie buku, ze znaków na korze brzozowej czy skórze bawołu, z podań latopisów, napisów rytych w marmurze („SENATVSPOPVLUSQVEROMANVSDIVOTITODIVIVESPASIANI[F(ILIO)]VE SPASIANOAVGVSTO…" – z tryumfalnego łuku Tytusa), z ksiąg sądowych („*Since you have been found guilty of these horrible treasons, the judgment of the Court is that you shall be had from hence to the Tower of London, there to remain until the day of execution and from there you shall be drawn upon a hurdle to the place of execution, there to be hanged and cut down alive, and your body shall be opened, your heart and bowels plucked out and your privy members cut off and thrown into the fire before your eyes then your head to be stricken off and your body shall be divided into four quarters to be disposed at the King's pleasure. And God have mercy on your soul.*…" – ze sentencji wyroku, jaką usłyszał sir Walter Raleigh), z napisów nagrobkowych („tu leży pochowana nieśmiała Sara, córka… Zmarła w drugim dniu święta Purim, w roku… ery narodu żydowskiego. Oby duchem pozostała wśród żyjących…" – na *szajbecu* starego kirkutu z czasów tureckiego panowania w Budzie), wyczytana z dwudziestotomowej *Historii papieży* Pastora czy wyzgadywana z zatartych na pieniążkach miedziakach, szelągach, obolach, tynfach, groszach, denarach znaków, profili, symbolów odtwarza się nam przeszłość. Powolny, statyczny obraz widmo jej; w miarę jak czas historyczny dochodzi naszej teraźniejszości, wspina się ku górze wierzchołkowej nieartykułowanych spraw dziejących się w tej właśnie chwili w ich chaotycznym tumulcie, który niepodobna ogarnąć, którego ni pojąć, ni uporządkować, kiedy zgrzyt, pisk, wstępujący dysonans spraw dziejących się w tej chwili ogłusza nas i wierci w uszach dojmującym crescendo. Ale tu zaczyna przechodzić na powrót w jednostajny pogłos czasu biegnącego

w przyszłość – opadająca symetrycznie amplituda, tak samo odchodząca, jak przyszła, odchodząca w niewiadome, w świat nadziei, oczekiwania, niosąc ufność w spokój, porządek i symetrię dziejących się rzeczy.

Kiedyś, za czasów wojny, w Anglii zdarzyło mi się stanąć w hotelu, takim tamtejszym wielkim hotelu kolejowym będącym jakby przedłużeniem poczekalni dworcowej. W jednym z setek numerów tego olbrzyma-hotelu, gdzie zatrzymałem się na jedną noc, znalazłem współgościa. Był to Polak, młody podporucznik, który co tylko przyjechał z Bliskiego Wschodu; przyniosło go tutaj i gdzieś był w drodze do jakichś przeznaczeń. Był to bardzo młody człowiek, zresztą nijaki, pospolity, blondynowaty. Jedynym, co w nim było pociągającego, była młodość. Kiedyśmy się na tym jednonocnym postoju zgadali, to dowiedziałem się, że na Bliski Wschód przedarł się z Rosji, przebierając się z jakiejś Workuty czy innego kraju za kołem polarnym, gdzie przyszło mu przed zwolnieniem – w wielostopniowym mrozie, po pachy w śniegu – rąbać sosny arktyczne. Z niechętnie przywoływanych wspomnień jego dowiedziałem się, czym jest to, kiedy o głodzie, skąpo wydzielanych racjach, kiedy „cynga” i „ponos”, i „kurza ślepota” nocy polarnej, jak to wychodziło się popędzanym na kwartały do powalania drzew. Powtarzam, mówił o tym niechętnie, zbywał mnie ciekawego, bo miał to za sobą, nawet nie pozował się na męczennika, nawet nie tryumfował, że jemu to udało się wymigać, bo był młody, a starsi marli tam dziesiątkami. Nie chciał mówić o tym, bo miał to za sobą. Co uderzyło mnie u tego przypadkowego współlokatora na jedną noc w hotelowym pokoju, to jego pęd, krok, zapatrzenie się w przyszłość. Parł ku tej przyszłości zziajany, zachłystujący się otwierającą się przed nim drogą.

Nawracam do nękającej mnie myśli: co też ona przemyśliwała w swej samotności, kiedy ogłoszono jej wyrok, w zasumowaniu, goryczy, trwodze, terrorze przed śmiercią, przed nicością? Wydaje się aż świętokradczym podrabiać sobie jej myśli, przypisywać niedołężnie tak samotnej, tak strwożonej własne elukubracje, podpatrywać z daleka i z innego czasu. Jedno jest pewne. Nie przeliczała w palcach lichych pieniążków, nie wytartych monet niedługiego życia. Nie zabierała ze sobą niczego,

zostawiała to za sobą, odepchnęła już niewarte, byłe, zapomniane i poszła w nowe, obiecujące, przyszłe, jak tamten młody żołnierz.

Chciałem się wybrać jej śladem przez Zawrat i klamry do Morskiego Oka. Nie: Morskiego Oka, bo to nazwa wymyślona przez tych tam młodopolskich poetów – nazywało się przecież naprawdę Rybie Jezioro. Te cepry to wszystko poprzekręcali, tak mi się wydaje, zrobili z tych z Podhala jakieś plemię Mohikanów – te wszystkie cyfrowane portki i parzenice, styl zakopiański, ciupagi, nawet obsadki do piór w kształcie ciupagi, cuchy, „oscypki", bryndza, beczą im nawet te barany i owce mową góralską. A to plemię przechytrze umiało tylko te „dudki" z ceprów wyciągać, a za to, za owe – dobrze popić czystej wyborowej, a także wypisywać temu z Krzeptowskich, co to ich na *Goralenvolk* chciał przerobić: „Wacuś, bedzies wisioł za cóś…"

No to idę! „Cała dolina moja!"

Nie pamiętam. Może była to Olczyska, bo to w tamtą stronę, stronę Kuźnic, szło się do Pięciu Stawów Polskich, czyż nie? Może mi ktoś z bywalców, co to mu znane, pomoże, bo dla mnie było to obce. Potem wstępowało się na jakiś garb, wał, kamienistą ścieżką, las smrekowy zaczynał rzednąć, zrobiło się przestronniej, ze zwartych kolumn lasu reglowego jodły rozsypały się luzem, już stoją pojedyńczo, od południowo-zachodniej strony osmyczone „orawskim" wiatrem.

Teraz na potęgę duł halny. Pchany nim z góry zstępował ścieżką ktoś, w kim z bliska rozpoznałem juhasa pewnie idącego z hali z dwiema bańkami mleka. Ten wyglądał już całkiem miastowo: na głowie miał cyklistówkę, a na nogach narciarskie buty. Ale, mijając mnie, pośpiesznie rzucił w mą stronę po staremu:

„Hej, wiera, halny! Bo ponem ciśnie…"

Nie dałem się temu odwieść od zamiaru i pchając się do góry, dla dodania sobie animuszu przepowiadałem sobie zasłyszane ze sceny pierwsze strofy dramatu Calderona:

„Tyżeś sprzęgnięty w parę z wichrem
Bajecznym hipogryfem?
Bezblaskim gromem, bezpiórym ptakiem,

Bezłuską rybą?
Tyżeś dziwolągiem czterech żywiołów
Zbytym instynktu, co by pohamował
Ten pęd na złamanie karku?
Kędyż wpośród labiryntowej pustki skał
Ponosisz, rozbiegany koniu?”

Dobrze mi się dostało za tę pretensjonalną egzaltację. Bo kiedy znalazłem się na garbie z szarugą leżących na nim chmur, przyszedł nagle prawdziwy poryw wichru. Ciął piargiem i toczył kamieniami wielkości pięści ludzkiej. Przypadłem do ziemi i już dosłownie na czworakach zacząłem zwlekać się drogą powrotną.

A na dole, już w pensjonacie, kiedy pakowałem swoje manatki, musiałem jeszcze nasłuchać się nie byle jakich lamentów. A stało się to poprzedniego wieczoru. Zapadła jakaś decyzja i miał nastąpić start niewczesny. U baterii wielkich cylindrów ze sprężonym gazem odkręcono wentyle i rozpoczęło się napełnianie sflaczałej na ziemi powłoki balonu stratosferycznego, który miał przecież sięgnąć niedostępnych dotąd wysokości, sięgnąć przyszłości. Ale w przewodach doprowadzających gaz na skutek jakichś tarć oraz innych zjawisk towarzyszących wszelkim tego rodzaju eksperymentom doszło do wytworzenia się fatalnej „statycznej” elektryczności czy coś podobnego, iskra, no i wszystko poszło w jednym fajerwerku.

Ten balon miał nazywać się „Polonia”.

[prwdr. „Kultura” 1970, nr 9]

Trzy

Nazywała się ta rzecz „Wieczory Rodzinne”. Był to dobrze oprawny w angielskie czerwone płótno tom in quarto o świetnym papierze i z dobrymi kliszami ilustracji. Właśnie jakby z powodu tych ilustracji był tam także artykuł o sztuce ilustracyjnej, o całej technicznej stronie grafiki, a więc o drzeworytach, miedziorytach, sztychach, akwafortach, monotypiach, o litografii, jak to tam wytrawia się w kamieniu rysunki, a rysunki te oczywiście robione są „na lewo”, jako że dopiero po odbiciu mają wyjść, jak należy. O ilustracjach wykonywanych metodą cynkografii siatkowej – i były tam w powiększeniu przykłady tego, jak przy użyciu „rastrów” wszystko na kliszach wychodzi w czarnych i białych punkcikach, które jakżeż to przepływają i zlewają się tam, gdzie trzeba, by dać efekt plastyczny.

Czego tam nie było! Była tam historia zatytułowana *Ładunek palmowego oleju* Hajoty, pseudonimu pani Szulc-Rogozińskiej, z domu Bujnickiej, secundo voto Pajzderskiej, podróżniczki rodzaju Józefa Conrada w spódnicy, tylko że to ona nie lubiała Anglików. A historia była o wyspie Fernando Po u brzegów Afryki, o internowanych tam przez rząd hiszpański powstańcach z dalekiej Kuby. Była tam inna historia, *Dwaj mali dobosze*, o walkach na Granicy Północno-Zachodniej, historia po kiplingowsku wcale „*jingo*”, ale jakże po majstersku opowiedziana. W lata potem zapoznałem się z nią w oryginale, którego tytuł brzmiał nieprzetłumaczalnie: *The Drums of Fore and Aft*. Historii tej towarzyszyła znowu kolorowa ilustracja (metodą offsetu) na całą stronę: na tle skał Khyber Pass jakiegoś Waziristanu czy Kafiristanu dwie czerwone figurki chłopców, jeden w białym korkowym hełmie, a drugi z gołą głową, idący samotnie naprzeciw zmasowanej gdzieś za brzegiem ilustracji armii Afrydów czy Patanów, i te dzieci londyńskiego rynsztoku dają przykład bohaterstwa i giną. Co może i lepiej dla nich, jako że Afrydzi i Kurdowie

bardzo byli łasi na chłopięce pośladki („szkoda, że za rzeką, a ja nie umiem pływać…” – brzmiała koszarowa piosenka angielskich *Tommies*). Oczywiście to nie na owe czasy i Kipling, po którym przetrwały jedynie ballady koszarowe, nie posunął się za daleko.

Cóż tam jeszcze było w tych „Wieczorach Rodzinnych”? Aha, był - Cypriana Norwida szkic dramatyczny, tytułu nie pomnę, dramat z czasów rzymskich wojen punickich, oczywiście z ilustracją, na której umiera ukrzyżowany Kartagińczyk Mago. Był sążnisty artykuł Leona Pinińskiego o sztuce, a za tytuł miał *Przechadzki po muzeach madryckich*, z wieloma oczywiście reprodukcjami arcydzieł tam nagromadzonych, już nie pomnę, co z tego tam było, pewnie Velázquez, Goya, El Greco, Zurbarán, pewnie te krynoliny i gorsety, i koronkowe kołnierze, i upończoszone łydki sztywnych grandów, infanty i karły, i wielkie zady końskie, i te tam dalekie andaluzyjskie, kastylskie i z Nawarry pejzaże w tle. Już tego wszystkiego nie pamiętam, co ten szekspirolog tudzież namiestnik Galicji napisał o tym, sam z fotografii trochę na granda hiszpańskiego wyglądający, o którym pewien radca lwowski opowiadał mi, że kiedy w czasie socjalistycznych demonstracji huzarzy szarżowali z jego rozkazu na kotłujący się na placu Strzeleckim tłum robociarski, to pan namiestnik zasiadł sobie do fortepianu, aby ten moment zilustrować sobie muzyką.

Było tam wiele innych rzeczy, groch z kapustą, ale jakże to dobrze zrobione i inteligentnie, i ze smakiem, i umiarem, i potem zawędrowało to sobie do dalekiej mieściny podolskiej, do pokoju z jego żarliwą lampą naftową w pośrodku stołu, z jej zielonym abażurem, i można było zagłębić się w kartach tej książki i odpłynąć w jakieś inne kraje i czasy, zaczadzić się sprawami odmiennymi, byle innymi, byle odległymi.

Był tam jeszcze wyjątek z pomnikowego dzieła tego dociekacza i podpatrywacza życia owadów, jakim był Jean-Henri Casimir Fabre. Ale w pamięci pozostało mi z tego nie to, co było przedmiotem owego wyjątku, ale pasja, upór, skoncentrowanie się tego *voyeura*. Miał mi pozostać za wzór niedościgniony. Nawet wtedy, gdy pisze, czym za swe pasje musiał zapłacić.

Bo kiedy od świtu trwał na kamieniu w zasadzce u dołu wąwozu, podpatrując obyczaje ós, to mijały go tam kobiety – pisze o tym – pracownice w drodze do winnicy. Kiedy o zachodzie słońca wracały z koszami na głowie, ten wciąż tam siedział zagłębiony w rozmyślaniach, z oczami utkwionymi w to samo miejsce. Jego bezruch, upór, z jakim trwał w tym samym miejscu, musiał zrobić swoje wrażenie. Kiedy przechodziły, to widział kątem oka, jak jedna puka się w czoło, i słyszał jej szept pod adresem innych:

„*Un paouré inoucènt, pécaïré*…”

I żegnały się znakiem krzyża świętego.

Powiedziała: idiota, *un inoucènt*, biedaczysko, zgoła wcale nieszkodliwy, ale półgłupek, i przeżegnały się, bo idiota to taki, co nosi piętno boże.

Na masz – pomyślałem. Cóż za ironia losu! Tylko co: w takim trudzie chcesz dociec, czym jest instynkt i inteligencja stworzeń, a sam w oczach tych kobiet jesteś rozumu pozbawiony! Co za upokorzenie! Ale niech tam: *pécaïré*, w dialekcie prowansalskim określenie najgłębszego współczucia, wypowiedziane tak z głębi serca pozwala mi zapomnieć o *inoucènt*.

A próbowali mnie odstraszyć, namówić do powrotu. Już pomijając sam fakt uporu z mej strony, bo to im było wcale zrozumiałe – dzisiaj poszukiwacz i badacz nie jest, jak Fabre, uważany za pomylonego i dziwaka, nauka dopięła się swego prestiżu, ma swoje uważanie – ale mój całkiem amatorski pomysł wydał się im naprawdę z pierza. Mówili mi: „Ukamienują!”, najzupełniej biblijnie ukamienują. Miejscowi, od pokoleń tu zasiedzieli, coś o tym wiedzieli, nie? Przecież – mówili mi – mają całkiem ludzkie chwytne palce, a w tym veldcie kamieni a kamieni, zatłuką, jak nic.

Veldt. Rano, kiedy się nań wyszło, jarzył się różowo w afrykańskim słońcu suchy, sterczący badylami i krzaczowiskiem. Wiem o tym, bo z czasów „Wieczorów Rodzinnych” zapamiętałem go z innej książki, jaką mi ojciec raz przywiózł, a tytuł jej był *Dżok, przygody psa i jego pana w puszczy*.

Ale nie dałem się odwieść. Nie robiłem żadnych specjalnych przygotowań, wybierałem się w *veldt* prawie nagi. W porwanej wcale koszuli khaki i wytartych na siedzeniu szortach i na nogach miałem tylko

dobrze schodzone trampki. W kieszeniach koszuli miałem tylko trochę keksów i kilka pastylek aspiryny. W kieszeniach szortów nóż składany i fularową chustkę do nosa, z której w razie czego mogłem zrobić sobie prowizoryczne nakrycie głowy przed słońcem. Nawet nie miałem ogryzka ołówka, wszystko chciałem zawierzyć pamięci, a nie odstraszać jakimiś dziwacznymi gestami zapisywania czy robienia notatek. Dla poczucia bezpieczeństwa, bo jest się ostatecznie tchórzem, nie? pod pachą lewego ramienia miałem umocowaną, przypasaną olstrę, w niej mały 6,35 mm pistolet automatyczny „Mauser” z zapasowym magazynkiem. Bo przecież w razie czego…

Przestrzegali, mówili mi: „Ukamienują!” Toteż zachowywałem się jak najprzystojniej, jak najspokojniej, wlokąc się powoli z tyłu za bandą. Zgraja miała swoją organizację. Samcy i wyrostki na czele, po bokach i z tyłu. W pośrodku samice z małymi. Te albo uczepione ich brzuchów, albo w podskokach i podrygach dziecięcych, ale zawsze trzymające się matek.

Kiedy banda zatrzymywała się, by zająć się zbieraniną, to porządek trochę się rozluźniał, ale teren wciąż obstawiały pikiety i posterunki, bacznie obserwując przedpole, horyzont. Ja sam przysiadałem wtedy w kucki na ziemi znieruchomiały, wystrzegający się jakichś nagłych, mogących wzbudzić niepokój ruchów. Powoli przyzwyczajono się do mnie, do widoku mej postaci, bo, wlokąc się za nimi, garbiłem się i upodobniałem do reszty. Starałem się być jak najmniej zauważalnym, nie istnieć, swoje własne istnienie poświęcić tylko życiu innych, oderwać, odwrócić uwagę od siebie, nie być. Jak to się mówi retorycznie: cały zamienić się we wzrok, w słuch. Nawet nie czułem much obsiadających spoconą powierzchnię nie zasłoniętego ciała, nie czułem nawet pragnienia ani nie chciało mi się jeść, nie dokuczało mi palące z góry słońce. Kiedy przysiadałem w kucki wpośród wypalonej trawy *veldtu,* to nie czułem nawet bólu i skurczu mięśni nóg nie wzwyczajonych do tej pozycji. Sam nie istniałem. Udało mi się tego dokonać. Czyżby?

Zgraja posuwała się powoli, leniwie, ale stale i uporczywie w jednym kierunku. Flankierskie placówki zmieniały się na jakiś niewidoczny sygnał nieuchwytnie dawany przez jej herszta. Czasem dochodziło do starcia

pomiędzy jakimś dwojgiem wydzierających sobie jakiś smakołyk – glistę czy jaszczurkę znalezioną pod odwróconym kamieniem. Czasem padał sygnał, fałszywy alarm, na który rozbiegane towarzystwo kupiło się w obronny wędrowny obóz. Alarm był fałszywy, wywołany przez płochliwe antylopy, wpośród których pasącego się rojowiska posuwaliśmy się zdecydowanie i pewnie, chociaż tak niezauważalnie.

Pomimo powolnego ruchu, a częściej – bezruchu, kiedy w swoich obserwacjach przysiadałem na piętach, to jednak koszula lepiła mi się do pleców poczerniała od potu. Ale pochód odbywał się bezustannie i od czasu do czasu uprzytamniałem sobie, że jestem dobrze w tyle, poza strategicznie obronnym kręgiem zgrai, i wtedy doszlusowywałem co rychlej. Bo przy całej narzuconej sobie pozie nie istniejącego obserwatora miałem pełne poczucie braku bezpieczeństwa i przypominały mi się ostrzeżenia autochtonów, i macałem pod pachą kolbę mauzera.

Bo przestrzegali, mówili mi, że jak mnie nie ukamienują, to kiedy tak starałem się upodobnić, to najpewniej stanę się ofiarą czającej się za bandą, idącej w jej ślad cętkowanej bestii „krążącej, szukającej, kogo by pożreć". Mówili mi: jak się upodobnisz, to nawet się nie spostrzeżesz – skok, kły wczepione w kark, straszliwe pazury wyszarpujące ci wnętrzności, rozorywujące ci twarz, zobaczysz. I nawet wydało się im to śmiesznym, zabawnym – makabryczny kawał, że przez pomyłkę będę uznany za jednego z tamtych, ofiarą qui pro quo.

Z nadejściem nocy, która tu zapada nagle jak opadła na oko powieka, całe towarzystwo sadowiło się wpośród gałęzi parasolowych drzew akacjowych *veldtu*. Mnie przychodziło noclegować samemu wśród traw.

Nade mną rozciągało się dziwne obce czarne niebo pozabijane dziwnymi obcymi gwiazdami. Układały się w jakieś nie znane, nie oglądane w naszych stronach konstelacje: Krzyż Południa, Corona Australis, Argo, Sekstans, Hydra, Wielki Pies, Alfa Centauri i Beta Centauri, Obłok Magellana… Zaczynałem układać je i komponować w przez siebie wymyślone, chciałem ich rojowisko jakoś uporządkować i ponazywać, pozawieszać wpośród nich mitologię własnego wyboru imion. A ładnie sobie ci Grecy wyrychtowali mitologię, swoich bogów i półbogów,

wyposażając ich we wszystkie ludzkie pasje, przywary, okrucieństwa, zawiści, kłótnie, intrygi!

Gwiazdozbiór Centaura nasunął mi pomysł wyrysowania na tym obcym niebie jeszcze jednej konstelacji. Będą to owe karmione ludzkim mięsem konie, ludojady – Klacze Diomedesa. Tylko zaraz! Wedle *Dictionnaire de la fable* Chomprégo konie te nosiły imiona wcale męskie: Podargus, Lampus, Ksantus i Dinus. Wyraźnie tam tak stoi. Więc skądże: klacze? Powinno być: ogiery.

A może były to konie hermafrodyty? Wiadomo, Hermafrodyt, cudownej urody syn Hermesa i Afrodyty, stał się za sprawą nimfy w nim zakochanej dziwolągiem natury, gdy kochanka uprosiła bogów, by połączyli ich na zawsze w jedno, w postać o oznakach obu płci: piersiach kobiecych i tak zwanych prywatnych częściach męskich. Kształt ten pokutuje w perwersyjnej sztuce od setek lat. Kiedyś zwiedzając Luwr, widziałem wpośród jego zbiorów rzeźb klasycznych, w rogu którejś sali marmurową postać w na poły leżącej pozie, odwróconą od widzów, ale z widocznymi pełnymi piersiami dziewczyny. Od strony ściany mur był dobrze wyszurany przez ciekawych, chcących sprawdzić oznaki płci rzeźby – a dobrze musieli się przecisnąć.

Proszę się nie śmiać, ale nawróciłem z tej „puszczy". Co tu ukrywać – i stchórzyłem, i dałem się powodzić fantazjom i ucieczkom myśli nie licującym z naukowym dociekaniem. Okazuje się, że nie było we mnie materiału na poszukiwacza, obserwatora, odkrywcę, kronikarza, Plutarcha nawet prymitywnego gatunku.

Do skarbów przechowywanych w panieńskich biureczkach, szufladach wpośród puszków do pudru, wstążek, „harnadli", mydełek, szpilek, żetoników, haftek, koralików, zatrzasków, szydełek, włóczek, kremów należą się także i zabłąkane tam stare bilety, przepisy na galaretkę, fotosy gwiazdorów, wycinki z magazynów, szarady i krzyżówki, programy teatralne, święte obrazki, liściki. Należą się tam także kompendia przekazywane pensjonarską modą: zeszyciki z wykaligrafowanym na okładce tytułem *PELE-MELE*. Podobne do sięgającego danych lat „pamiątnika", romantycznego albomu czy biedermeierowskiego

sztambucha. A tam… Mój Boże, czegóż tam nie było! Prawdziwe silva rerum wierszy, [od] epigramatów, powiedzeń, zaklęć, kuplecików, aforyzmów (w rodzaju: „Fiku-miku, już ja jestem w Twoim pamiętniku…”) do natchnionych ód czy inwokacji, czy „złotych myśli” (w rodzaju: „Młodość życia jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały; choć przemija raźno, szparko, cios jej dłuta wiecznie trwały…”). Tak jak w starym sztambuchu: „Niechaj mnie Zosia o wiersze nie prosi, bo kiedy Zośka do Ojczyzny wróci…” czy w albumie tej złowrogiej Johanny urwany sonet o Jastrzębiu i tamże innego obcego poety: „*Czto w imieniu Tiebia mojom*…” A do tego wszystkiego rysuneczki piórkiem czy blade akwarelowe girlandy kwiatków niezapominajek, amorków, gołąbków, wstążeczek – słabo się robi…

Wspomnienie przeglądanego kiedyś skromnego zeszytu pensjonarskiego Nietoty nasunęło mi pomysł historii jego pierwowzoru.

Miało to dziać się w okolicach, w których dóbr swych wyrzekła się panna ksieni benedyktynek przemyskich. Co roku odbywały się tam przetargi na młode konie zakupywane przez komisje remontowe korpusu jazdy Królestwa Polskiego i Imperium Rosji. W Kodni stał sztab remonty polskiej: czterech pułków strzelców konnych, pułku strzelców konnych gwardii, czterech pułków ułańskich i baterii artylerii konnej gwardii. W Berdyczowie była główna kwatera remontowa dywizji huzarów – pułków: aleksandryjskiego, achtyrskiego, mariupolskiego i księcia Orańskiego.

Konie spędzano do Berdyczowa na jarmarki: na świętego Onufrego – 13 czerwca, na Preczyste – 15 sierpnia, na Kosmy i Damiana – 1 września, na Pochwalne – w dniu 24 marca. Na targowicach u rogatki machnowieckiej i rogatki białopolskiej widzieć można było hurmy, tabuny i zgony ze stadnin Sanguszków w Gumniskach, Padlewskich z Czerniawki, ogiery z Ołyki, klacze z Jabłonowa koło Kopyczyniec spoza austriackiego kordonu, konie Boguckich z Czarnokońców, Dzieduszyckich z Jarczowiec, z Kuniszowiec pod Horodenką, konie z jarmarków w Bałcie na Pobereżu, z jarmarków w Ułaszkowcach nad Seretem, z Dubna, chowy Grocholskich, Abramowiczów, Podhorskich, Żurowskich, z Kulczyniec i Białej Cerkwi.

Miało to dziać się w Kodni, w karczmie pod wieczór. Na stole miała palić się świeca przyniesiona przez Żyda, miały tam stać wódka w butelce z mętnego szkła, nadkrojony bochen chleba, kałamarz z gęsim piórem i miał tam leżeć właśnie wspomniany tomik oprawny w safianową skórę, ze złoceniami brzegów jego welinowych kartek.

Przed gankiem karczmy miał stać huzar w dołmanie, z obnażoną szablą, z mosiężną łuską podpinki czaka okalającej jego dziobatą od ospy twarz. Miały podźwiękiwać ostrogi jego butów z ich rozetami u sercowatego wycięcia cholew. Na podwórzu miała paść się żydowska koza uwiązana na sznurze, a dalej, u żurawia inni huzarzy w stajennych kitlach mieli poić w korycie konie.

Widok huzarów pojących konie miał mi nasunąć wspomnienie jakiegoś wiersza, nie jakiegoś wiersza, ale Puszkinowskiej ballady o huzarze, i miałem nawet przytoczyć jej stancę, chociaż ja to ledwie dukam w tej mowie, ledwie przebrnę przez hieroglify alfabetu grażdanki z jej greckimi, łacińskimi i hebrajskimi literami – stancę:

„Zdies' na tiebia, kak lutyj zwier',
Gladit chaziaj, a s chaziajkoj –
Nie bojs', nie wymanisz' za dwier'
Jejo ni czestiu, ni nagajkoj…”

Tak to kiedyś przyzwoicie zaczynało się opowiadanie, historię z niegdysiejszych czasów. Zaczynało się oczywiście od wprowadzających szczegółów. Zacznijmy od Kodni. Gdzie to ta Kodnia? Ano na północ od Berdyczowa, na pół drogi do Żytomierza, chyba nad Teterewem. A Teterew? Pewnie podobny do Stochodu, do Słucza, do Ikwy, do Horynia, leniwie przeciekający pomiędzy szuwarami, a te przecież znałem. Karczma jak karczma z jej szynkwasem, stołami. Świeca będzie potrzebna, by można było przygrzać nóż nad jej płomieniem, ażeby odkleić wosk pieczęci listu znalezionego pomiędzy kartkami sztambucha, listu zaadresowanego do panny Salomei Wiśniowieckiej. Wszystko ma być, jak należy, logiczne, niczego nie pozostawi się czytelnikowi do sztukowania, domyślania się, odgadywania.

Nawet z huzarami trzeba uważać, by czegoś nie poplątać. Chyba że wymaga tego specjalna licentia poetica. Bo, weźmy, kiedy pan hrabia Fredro wystawił nam tę znakomitą komedię o damach i huzarach, to pomieszał to umyślnie. Bo przede wszystkim na korpus jazdy Królestwa Polskiego składały się, jak nadmieniono już wyżej, cztery pułki ułańskie i pięć pułków strzelców konnych, w tym jeden gwardii, i nie było tam ani dragonów, ani huzarów. Ale Aleksander hrabia Fredro musiał uważać, żeby sobie kogo nie narazić, choć żył za austriackim kordonem. A w komedii tej mamy i postać konieczną, i zabawną: kapelana ni stąd, ni zowąd luterskiego. I czemu to? No, no, czyż w komedii polskiej na scenie można było wtedy, a i teraz chociażby, pokazać księdza, może jeszcze w sutannie? Niemożliwe! Fredrze, który, wiadomo, był wcale libertynem, była potrzebna komiczna postać kapelana, a jak nie mógł go pokazać w sutannie, to bodajże jako lutra w kusej czamarce i w butach – jeszcze uciekszniej.

A nawet uwiązana na sznurze koza pasąca się pod parkanem nie miała być czymś przypadkowym. Po pierwsze, miała podmalować rodzajowy pejzaż – zawsze na żydowskim podwórzu była taka koza, należała do tego śmietniskowego sztafażu, wspinała się na pochyły pień wierzby czy na poły uschłej gruszy. A tutaj miała jeszcze posłużyć jako symbol. Proszę się nie śmiać, ale tu właśnie miała przywieść na pamięć czarnego kozła, w którego postać przyobleka się czart na szatańskich zborach czarownic i wiedźm na uroczyskach i Łysych Górach, gdzie odbywają się nabożeństwa ku jego czci, sprawy, o których opowiadają bajki, stare protokoły sądowe i wiersze poetów. Jej obecność miała wzbudzić i spotęgować nastrój przechodzącego w półmrok wieczoru, chwili zawieszonej jak zatrzymane wahadło zegara, godziny niepokoju i grozy. W owej chwili zostajemy sami. O tej porze, o której mówi się, że jest „*entre chien et loup*”, jesteśmy niewinni, zagubieni, bezbronni wobec złowrogich zamiarów, kiedy z zapartym oddechem nasłuchujemy nie rozeznający przedmiotów, konturów, kształtów znajomych, zapatrzeni w jakieś nie widziane przedtem sylwety, zjawy, stwory wyszczerzające do nas bezzębne dziąsła w grymasie bezgłośnego śmiechu…

Ktoś może, i słusznie, zapytać: czemu wydziwiam i w tym urwanym w pół opowiadaniu czy szkicu do niego posługuję się taką formą składni na przykład, jak: „…uwiązana na sznurze, pasąca się pod parkanem koza miała być podmalowaniem rodzajowego pejzażu…”, „przed gankiem karczmy miał stać huzar w dołmanie, z obnażoną szablą… miały podźwiękiwać ostrogi jego butów…” Skąd to?

A bo obok „Wieczorów Rodzinnych” i historii mającej za tytuł *Dżok, przygody psa i jego pana w puszczy* na stole z jego lampą naftową z zielonym abażurem pojawiała się i gramatyka języka polskiego, abyśmy się uczyli, bo ojciec bał się, że mu dzieci w czasie tej wojny zdziczeją. I tam, w tej staromodnej gramatyce było o tym, że forma składni *coniugatio periphrastica*, to znaczy: przyszłości czynnej, pozwala nam mówić o dalszej, dopiero przewidywanej przyszłości.

Chyba nie muszę dopowiadać, że my, dzieci, z Nietotą, nudziliśmy się śmiertelnie, słuchając o częściach mowy nieodmiennych, przysłówkach czasowych i sposobowych i przydawkach. Ojciec zniechęcony naszą nieuwagą sam zaczytywał się w tej gramatyce. W pewnym miejscu, chcąc nam dać przykład „dopowiedzenia” w zdaniu, cytował głośno zamieszczony tam przykład:

„Orszuli Kochanowskiej, wdzięcznej, uciesznej, niepospolitej dziecinie, swojej najmilszej dziewce…”

[prwdr. „Kultura” 1971, nr 1–2]

III

„Światy”

Odkryj się, świecie, pokaż swą twarz położoną na płask, otwartą do nieba, zakisłą wodą, rogatą od gór, strączastą od dróg. Przyjdzie noc i rozciągnie na cię zasłonę jak prześcieradło zaciągnięte na zwłoki w tężcu skanciałe. Tylko księżyc odbije się w wodach jak w pieniążkach położonych na przymkniętych powiekach trupa. Potem przyjdzie dzień jak posługacz prosektorium.

Kto cię opisze i kto cię nazwie, i kto jeszcze raz skłamie o tobie? Kto znowu zaludni cię bogami, którzy rodzą się pośród ciebie jak wszy w szwach nieschludnej koszuli? Czemu pozwalasz, ażeby liszaje czasu zarastały i plamiły twą głupią regularność i pustkę kuli? A mogłeś być jak perła kałakucka zwieszona w welonach Mlecznej Drogi. A mogłeś być jak „światy” wycięte niezgrabnymi nożycami chłopki, wycięte z poświęcanego opłatka i zawieszone u belki pod sufitem. A wybrałeś właśnie, wybrałeś sobie mnie, upodobałeś sobie we mnie, zdałeś się na moją łaskę i niełaskę. Wydawało się, że będę na cię chuchał i dmuchał jak na wielki cymes, ale zapadłem się sam w sobie i nie stać mnie więcej na podtrzymywanie ciebie. Świecie! Świecie!…

Chciałbym zabrać się do każdego po kolei, wybrać, wyłuskać osobno każdego z masy i ze zbiegowiska. Pooglądać sobie, poobracać do światła, jak to jest z nim naprawdę. Dość tego uogólniania, myślenia i widzenia zbiorowego! Wziąć każdego człowieka z osobna, jakby to był unikat, przekonać się samemu, że jest to tylko unikat. Taki sam jak ja, taki sam jak tamten drugi. Naprawdę osobny człowiek, naprawdę jedyny.

Jedyny, jedyność człowieka! Jakże mi sobie z tym tu dać radę? Co zrobię, kiedy rozlezie mi się w palcach w ogromny kraj, nieogarnięty przestwór? Gubi mi się w przestrzeni, w czasie. Człowiek sprzed kilku lat przepadł mi tak jak woda, która ciekła rzeką pięćdziesiąt lat temu. Pewnie,

że naniosło w tym miejscu mułem, pewnie, że, o, tu! leży spróchniały pień, jaki przyniosła na swym grzbiecie umarła lat temu pięćdziesiąt fala.

Ten, który był tu ze mną, jest teraz gdzie indziej, poniosło go na skraj ziemi albo do sąsiedniego powiatu, i już zmalał i rozpłynął się we mgle albo przepadł za rogiem, zasłonił się czytaną gazetą.

A tu ja chcę, najpretensjonalniejszy badacz i dociekacz, chcę tego człowieka zrobić drugim sobą. Chyba że trzymam go za rękę tak, jak trzymało się, ujmowało się za rękę przeciwnika, kiedy odbywała się próba siły. Łokcie położone na stole, zawsze znajdzie się przygodny sędzia, rozjemca, który to, przychylając głowę, mierzy odległość, wyrównywa szanse. Teraz mocujemy się i śmiesznie patrzeć w twarz przeciwnika, która robi się czerwona jak moja, i czuję jego uparty opór, bo to niby zabawa i heca, a jednak…

Otóż przychodzi chwila – już wielki czas, aby ta chwila była – kiedy przymuszę się i nawrócę, odwrócę głowę, by spostrzec, poznać człowieka drugiego, bliźniego, towarzysza, nieprzyjaciela. Jestem zawstydzony głęboko swoim solipsyzmem, przymuszam się, bo to nie jest tak łatwo, kiedy wszystko stare własne, osobiste ciąży na mnie nieskończenie. Będę musiał dać sobie radę z tym zagadnieniem. Przecież nie jestem sam, nigdy nie byłem sam, a to, czym jestem, zawdzięczam temu wielkiemu tłumowi, który jest naokoło mnie, który był, a nawet: który będzie, bo to, co się ze mną dzieje, dzieje się także za jakimś nakazem na przyszłość.

Więc uważam i jestem trzeźwy i spokojny w tej wielkiej chwili. Nie muszę się znowu tak bardzo rozglądać. Ten mój bliźni jest obecny, jest tuż przy mnie i suszy do mnie zęby albo jestem mu wstrętny. Nie uda mi się go uniknąć, jest tuż. Salut! człowieku drugi, karykaturo mnie samego, ziomku nieszczęsny i powłoko cielesna i osobna tej samej masy. Salut!

Ale jak bym się nie odwrócił na pięcie nagle i zdradziecko, chcąc zaskoczyć szpiega, tajniaka, który szedł moim śladem, skradał się za mną od rogu do rogu, jak bym nie zwinął się w miejscu, by złapać go za złodziejską rękę, przyskrzynić, nigdy mi się to nie uda, bo oto już stoi obojętnie przed wystawą sklepową, melonik tajniaka na głowie, i udaje, że patrzy na wystawę sklepową, a patrzy w moje odbicie w tafli szklanej.

Gdzie jest granica pomiędzy mną i drugim? Ten drugi, ten inny, ten osobny pojawia mi się w tłumie, wielkim niezrozumiałym zatroskanym tłumie: tłumie ulicznym, w poczekalniach dworcowych, na trybunach sportowych, w zbiegowisku, w restauracjach, w kinie, i ciągle, dojmująco jest o nim wszędzie: w gazetach, w propagandzie, w statystykach, równo, masowo, ciągle, ze wszystkich stron, gdziekolwiek się obrócić, wszędzie jego ślady, tego jego dłubania, klejenia, układania – jak krajobraz, to porżnięty drogami, wyorany polami; jak las, to przycięty albo obsmykany; jak woda, to tłuste plamy oliwy i śmiecie ludzkie pływające po niej; jak puszcza, to zaraz pordzewiała puszka po czymś, koleiny wozu, który przejechał. Nie da zapomnieć o sobie.

A jak osobno, a jak pojedynczo, w pojedynkę natknąć się – i las już nie jest lasem, bo ktoś graci coś wpośród niego; jak późna nadranna godzina wpośród wyludnionych ulic miasta – wyjdzie zza rogu i zastukocze obcasami po płytach chodnika; jak znaleźć się w opustoszałym gmachu – nadejdzie, dzwoniąc kluczami i poświecając mdle latarką elektryczną; jak przejść pustymi łąkami nad strugą – wyniesie się samotną kobietą, a że to pustka i uroczysko, więc jej nijakie biodra urastają do gigantycznych rozmiarów Rei, a popielaty włos świecący się od tłuszczu trzeszczy iskrami jak aureola.

Drugi człowiek i nie drugi, drugi człowiek to tak jak ja, to ja sam. Zanim napotkam wzrok, zanim wymienię spojrzenie, już wiem, już mi wiadomo i aż uroczyście od tego stwierdzenia.

Ten drugi niezależnie od płci, charakteru, wzrostu, wieku sterczy przede mną i zastawia sobą inne. Jest mi aż nieswojo i dziwnie, kiedy uprzytomnię sobie jego zdradzieckie podobieństwo do mnie i łudzącą ze mną jednakowość. Aż straszne, że ma takie same odruchy i że kiedy obaj patrzymy w ten sam zachód słońca, to wzbiera w nas podobnym wzruszeniem; że kiedy nagły cień padnie ku nam, płoszymy się w sobie jednakowo solidarni i okrutni w swojej solidarności. Solidarni w myślach, w nawykach, w przesądach. Żyjemy obaj w tej samej cieniutkiej sprzyjającej życiu błonie – warstewce biosfery i każde oddzielenie się,

bodaj na ułamek, każde oddzielenie się, przebicie tej błony w górę czy w dół znaczy dla nas unicestwienie.

Ten drugi, krew z krwi i kość z kości mojej, jest mi drogi i odrażający zarazem. Odrażający do wstrętu. Wstrętne mi są zarówno włosy, jakie ma pod pachami, jak i tik nerwowy, który mu twarz wykrzywia, jak banały, jakimi operuje. Jest mi najbliższym przyjacielem i wilkiem zarazem. Odda dla mnie wszystko, wiem, jestem pewien, że odda, a także gotów jest zarżnąć mnie, rżnąć mnie tępym nożem o głupstwo i najmizerniejszą i ułudną wartość. Znamy się nawzajem na wylot, przenicowaliśmy się nawzajem, znamy swoje myśli, drogi i jesteśmy sobie nieskończenie obcy i nieznajomi, jakbyśmy byli z innych gwiazd. Ten drugi, ten osobny jest mi tak nienawistny i nieznajomy i tak samo drogi, jak ja sam. Przecież ja sam jestem sobie samemu tak nienawistny, złowrogi i tak samo nie znam samego siebie i boję się siebie samego. Tak samo boję się niespodzianki z jego strony, jak boję się tego, co jest we mnie, co w każdej chwili może wyleźć, wyróść ze mnie, z mego strasznego wnętrza.

A gdy o tym wszystkim zapomnę, a gdy wypłucze się to ze mnie, wyblichuje, złuszczy, czymże zostanę? Nowe rzeczy przechodzą po mnie i tratują, wyszorowują we mnie wklęsły ślad jak nogi ludzkie wydeptują i wyszczerbiają stopień schodów, próg domu. Czepiam się wtedy niecierpliwie pozostałych z życia obrazów, naginam ku sobie gałęzie i pręty wspomnień. Chciałbym zachwiać, zatrząść drzewem, pniem twardym nienawistnym, obojętnym, ach, jakże twardym pniem życia, z którego wyrosłem. Czasami wplecione palce targnę z wściekłością, by zwolnić kurcz, epileptyczny uchwyt, kabłąki palców uwięzionych rąk. Ale wiem, że nie puszczę, bo gdybym rozluźnił ten uchwyt ostatni, cóż by mi pozostało poza pustką dłoni o zdartej skórze, gdzie mnie zawlecze dujawica, gdy nie stanie solidnej, czcigodnej statycznej ostoi mojego drzewa, mojego drzewa?

Dzieje się pewnie tak dlatego, że od tego drzewa nie można się odczepić, bo po prostu nie ma przerwy pomiędzy mną i drzewem, jesteśmy zrośnięci, jakaś symbioza roślinno-zwierzęca nas łączy, kiedy poprzez dłonie czuję, jak chlorofil roślinny, posoka drzewna przesącza się w me żyły i zamienia z krwią. Nie darmo starożytni kładli na skronie wieńce z liści lauru albo

dębu, nie darmo dziewczyny wpinają we włosy kwiaty, a dzieci plotą ze źdźbeł trawy kluczki i ślinią je własną śliną, i szkli się cieniutka błona rozpięta w małym łuczku obręczy zielonej, i odbija „światy”…

[prwdr. „Wiadomości” 1950, nr 32–33, pt. „*Światy”. Wstęp do dłuższej historii*]

Warianty

Odchodzę i przychodzę, przybliżam się i oddalam. Jest chwila, kiedy jestem doskonale świadomy siebie, a potem gubię się i rozdrabniam z otaczającym przestworem. Tu jestem, a nie ma mnie, bo wyszedłem na spotkanie wymyślonego.

Jest rano, majowe rano i spadek ogrodu do stawu, stawiska. Kończy się równa wesoła trawka ogrodu jak uciął i zaczyna dokładnie i podmokłe wodą stawiszcze. Oczeret – trzciny ostre tęgie, inne niż trawowe, odchodzą daleko. Można odważyć się i pójść nimi, woda wsiąka zaraz stopy po kostki i jest wstrętnie i niespokojnie w tym wodnym marszu. Daleko, po drugiej stronie stawiska grunt znów się podnosi i widać na tę odległość jakieś budynki, brudny komin cegielni, parę drzew i niebo. Jest to ni blisko, ni daleko, ale na tyle, ażeby ten nieosiągalny świat był obcy i odgrodzony. Zawsze, codziennie widzę ten nieskomplikowany krajobraz, ten sam w swej prostocie: komin cegielni, parę chat, drzewa, parę pasących się krów. Ale nigdy tam nie byłem, nigdy tam nie będę. Pozostanie dla mnie nie znany z bliska ten świat, który towarzyszył mi wiele miesięcy. Kiedy mieliśmy wyprowadzić się z tego miejsca, to stałem w pokoju w oknie wychodzącym na ten sam krajobraz i myślałem sobie wtedy, myślałem, że już nigdy tego samego miejsca nie zobaczę, nigdy; że było ze mną i już nie będzie go więcej. Ten ubogi krajobraz: komin cegielni, parę domów, pasące się krowy. Było tam rozmaicie – mogło to być pod deszczem, pod chmurami albo niebo niebieszczące się, chmury letnie poukładane sobie tam, ale już tego nie będzie więcej. Tutaj wszystko było znane dokładnością pokoju ślepca, tak było wymacane spojrzeniem. Trawa ogrodu spadającego łagodnie do stawiska, pokręcone drzewka wiśniowe, krzaki porzeczkowe i malinowe – porzeczki były zawsze zakurzone, zwłaszcza te niżej, przy ziemi, a maliny trzeba było bardzo ostrożnie odrywać, patrząc, czy

wewnątrz nie ma, nie jest nadjedzona przez wijącą się w swoim koralowym światku gąsieniczkę.

Tak samo na stacji kolejowej, czekając przed odjazdem pociągu. Jest wieczór, noc, siedzę przy oknie, twarda wagonowa ławka, już mi jest znane to wagonowe wnętrze pachnące gazem świetlnym, który słabiutko syczy w zbakierowanej siateczce auerowskiej w baniastym kloszu lampy. Upewniające się spojrzenie, czy walizka jest wciąż na swoim miejscu – stara poczciwa fibrowa walizka domowa, kawałek własnego domu w podróży. Głupie napisy nad dźwignią od kaloryferu: „Ciepło 1/2 Zimno”, „Nie wychylać się!” i „Nie plić!” A za oknem jest rozgwieżdżony w światłach lamp stacyjnych krajobraz torów kolejowych: szyny płaskie i proste, te bliżej – szeroko rozstawione, te dalej, z perspektywą – zbiegające się ku sobie. Dziwny krajobraz mechaniczny stacji, torów, jakby kiedyś świat miał stać się tak przez ludzkie obrabiania wyrównany, podsypany tłustym tłuczniem. Dalej idzie gdzieś kolejarz wzdłuż torów, za każdym krokiem chwieje się jego latarnia niesiona za ucho w ręce, zniknie za wagonami i znowu wychynie – pająk i świętojański robaczek wpośród żelazno-stalowej pajęczyny. W górze, na wysokich słupach kosmate jarzące się żarliwie lampy elektryczne stacji czuwające jak wieloraka opatrzność. Czerwone światło sygnałów czasem nie wiadomo kiedy, w nieuchwytnej chwili przeskoczy ze swego czerwonego koloru w zielony. Ten spokojny kolor, że „wolna droga”, kolor dobra, ale nie ma nic w tym z intensywności i siły czerwonego koloru, że „stój!”, że zło. Wszystko w tym krajobrazie wydaje się brudne od pyłu węglowego: barierki żelazne przy jakichś urządzeniach blokowych, tępy koniec ambulansu pocztowego, rura gumowa od gazu wleczona przez robotnika ku czekającemu zestawowi wagonów pasażerskich. I wszędzie wagony towarowe – niezgrabne pudła malowane na kolor różu indyjskiego i wszystko przybrudzone, z niewidocznymi znakami i cyframi, grubaśne ich osie i obręcze kół lśniące i wypolerowane od toczenia się po piersi ziemi. A nad tym konstelacje lamp elektrycznych chcących się wypowiedzieć w ich zodiakowych łamigłówkach i tylko czasem cień rzucony przez słup semaforu leży

i uderza tak ostro, brutalnie, że po prostu dostaje się jakby uderzenie w ciemię.

Szyby okien wagonowych opalizują od tych nokturnalnych świateł. Para ucieka z sykiem, kiedy szyny zastękają pod manewrującym parowozem. Z daleka, wzdłuż zestawu naszego pociągu zbliżał się coraz wyraźniejszy głos, klangor, kiedy robotnik szedł wzdłuż toru i młotkiem osadzonym na długim trzonku uderzał kolejno w obręcze kół. Jego powolne zbliżanie się było jak ostrzeżenie powolne: z początku słabiutki metaliczny dźwięk, a potem coraz bliżej perspektywa tonu. Wydawało się, że nie śpieszy się z tym objawieniem, że dzieje się to stopniowo, daje nam czas na namysł, na decyzję, na zrobienie rachunku sumienia, na stanięcie twarzą wobec obwieszczenia, jakie będzie miał, kiedy znajdzie się przed nami. Słucham tego zbliżającego się odgłosu w napięciu, w poczuciu tego, że jestem niegodny, że to jeszcze nie jest chwila właściwa, że nie jestem dostatecznie przygotowany. Ale znowu wydaje mi się, że kiedy taki honor ma być mi oddany, że jestem pomimo wszystko uznany za przyszłego piastuna tej wieści, to sznuruję się wewnątrz siebie, zaciskam pięści i jestem gotowy, wyprostowany na przyjęcie tego. Klangor się zbliża, już tylko następny, sąsiedni wagon i zaraz, i już! I za chwilę, za moment wahania uderzenie w obręcz koła, które nas ma unosić, ostre: raz! potem chwila wahania i następna oś: raz! I już. To wszystko. I oddala się monotonnie, malejąc z oddaleniem. Obeszło się bez obwieszczenia. Zostało to sobie metaliczne mechaniczne, rutynowane jak puszczony w ruch mechanizm, jak automat. Wielkiego spodziewałem się efektu po tym puszczonym gdzieś na krawędzi kosmosu wahadle, wbiłem oko w czarny przestwór, wyczekując jego zbliżenia się. Wszystkie znaki na niebie i na ziemi zwiastowały mi to zbliżanie się. Miałem wiele czasu, mogłem się pogłowić, mogłem tyle sobie wyperswadować. Mogłem patrzeć z zamierającym mi w gardle sercem, jak ciężkie wahadło z czasem, z przestrzenią, z prawami fizycznymi nabiera rozpędu, jak z tym tak niewiele mi pozostawało czasu na zastanowienie się, jak kurcząc się w sobie z pokory, nie czułem się godny na chwilę, jak z paroksyzmami samozaufania, nagle tryumfującej pewności siebie stawałem się zawadiacki w oczekiwaniu na przyjęcie posłannictwa

i przychodzi wreszcie wielki dzień, oczekiwany moment, i nic, ale to nic, nic nawet z trywialnego dreszczu spotkania, z eksplozji uderzenia, nic z fajerwerku i temperatury starcia się tego czegoś i mnie, po prostu moment i oto już wsłuchuję się w oddalający się dźwięk, malejący odwrotnie efekt, znajomy i niestraszny już głos, pozostaje we mnie na dnie cienki osad żalu za poprzednim wyczekiwaniem, za rozhuśtaniem z tym wahadłem, za dreszczem.

Siedzę w wagonie, na półce znajoma walizka fibrowa, mam, jak zwykle, ze zdenerwowania podróżą niedyspozycję żołądka, zgagę w ustach, stacyjne kolejowe poczucie pragnienia, powieki mi ciążą, ale i tak spać nie będę, a przed sobą w obramowaniu prostokątnym okna księżycowy krajobraz torów, świateł, wizję świata, jakim ten świat zresztą nie będzie, noc, chmury niskie i jasne od świateł stacyjnych, cieniutkie kałuże po niedawnym deszczu pomiędzy progami kolejowymi, stukot buforów w przetaczanym pociągu towarowym.

Myślę sobie, a właściwie: nie myślę, ale mam w głębi siebie przeświadczenie, że takiej chwili nie zaznam więcej w życiu. Nie ma dwu takich samych rzeczy na świecie. Kiedyś znowu, innym razem będę siedział w wagonie kolejowym na stacji po nocy, rozpalą się takie same światła, zajarzą w wypolerowanych szynach i w kałużach, ale nie będzie to to samo. Jestem mały, głupi, niedoświadczony. Napastuje mnie pośród tego myśl, że to dlatego, że to ja sam nie będę już taki sam, nie będę miał w sobie tego samego zestawu kondycji fizycznych i psychicznych. Po prostu powiedziawszy, może będzie to dlatego, że innym razem zamiast rozwolnienia będę miał zatwardzenie, może mnie ząb zaboleć albo głowa dokuczać, może będę miał jakieś inne zmartwienie, może potrąci mnie ktoś poprzednio albo przedział wagonu będzie pełny i wulgarny i ktoś powie słowo, które nakieruje mój tok myśli w innym kierunku, może będę palił za wiele papierosów i będę pod wpływem depresji nikotynowej. I co? I przyleci tamten krajobraz do mnie, przyjdzie w pośpiechu, ustroi się tak samo na spotkanie, zawtóruje takimi samymi drganiami, a ja będę i ślepy, i głuchy na to. Może potrafiło coś powtórzyć się identycznie, może coś powtarza się stale i dobija do mnie, jak podróżny dobija się z wieścią po

nocy do uśpionego domu, a ja nic nie będę wiedział o tym, nic, może takie dobijanie się, straszne, ważne sygnały palą się koło mnie od czasów, może dygocze coś i kołuje koło mnie, jedyne i prawdziwe wytłumaczenie, takie samo powtarzające się dydaktycznie z uporem i rozpaczą, i wyczekiwaniem, kiedy mnie – porwanemu przez czas i wyczekiwanie, i przemijanie, zmianę wariacką i błędną, wir szalony – nie jest do odebrania, kiedy ślepy na to daję się ciągnąć, usypiany monotonnością ruchu. A wydawałoby się, że wystarczyłoby tylko po dziecinnemu wyciągnąć rękę, powiedzieć: stój! chcieć zatrzymać. I nie, i nie. I już jestem daleko…

Najserdeczniejsze gusta to te, które zacierają się w nas, kiedy jesteśmy jeszcze nie uporządkowani. Dziwnie jest wtedy, w tym stanie niewinności i błazeństwa niedojrzałego czasu, wpatrywać się w ich powstanie w nas, ich pączkowanie, ich niedorozwinięte kiełki. Wpatrzymy się w nie i obok nadziei budzą w nas odrazę, kazirodczo-narcystowski wstręt; [jesteśmy] zażenowani jakby własną słabością.

O niepewności, o wahania! Co wybrać, a co odrzucić? Jakie na to mam wymierniki, jakie warunki, jakie prawdy? Co to jest prawda? Czy to to, że wszystko ma składać się i zbiegać jak w rachunku albo jak w logice, czy prawda jest zależna od mechanizmu, czy od przypadku?

Tam, gdzie żyliśmy wtedy, to był kraj, który trudno określić, spreparować sobie jego określenie. Austriaccy oficerowie, wysyłani tam do pułków kawalerii na okresowe staże, wiedeńskie fircyki, określali go jako „*Arschhöhle*”, więc już nie samo *Arsch*, więc określeniem idącym już najdalej w pejoratywności, lekceważeniu. Że niby już wtedy nic nie pozostawało wpośród małości i nudy miasteczka dalekiego od Ringu – Żydzi, fizyk powiatowy, kilku adwokatów, sąd powiatowy, chłopi, popi, małe chude krowy po wygonach, ubogie stacyjki, rzadkie gościńce, drogi wiejskie błotniste, życie płynące tak powoli i leniwie.

Wydawałoby się, że tak może wyglądać nicość. Nic się nie działo wpośród tego krajobrazu, któremu ani się równać do pocztówkowej malowniczości innych dykasterii: Alp, Pasterzengletscherów, Lido, kanałów Rotterdamu, granitów Finlandii, dzikiego brzegu Bretanii, gór-miast

Hiszpanii, słodyczy doliny Loary, piły zębatej Apeninów, nawet melancholii piasków Mazowsza. Ludzie żyli tam bardzo regularnie i ospale, na spokojnie przyjmując dobroczynności i klęski historycznego postępu.

Ale tak było po wierzchu i, powiedzmy szczerze, dla uprzedzonych. Ale popatrzyć po drzewach, powiedzmy, w lecie, po czereśniach, które stały tęgimi gajami Hesperyd – olbrzymie drzewa czereśniowe, olbrzymie jak sekwoje kalifornijskie, pieniące się czarnym albo czerwonym jak minia owocem. Chłopcy, kilkunastoletnie drapichrusty, wynajmowani na warunkach spółki części zbioru, żyli w dzień pośród gałęzi i liści tych drzew, przyciągając ich obwieszone owocami gałęzie kluczkami, i do teraz słyszę ich nawoływania do siebie, kiedy olśnieni, otępieni mnogością, ilością tego wspaniałego dobra, zawieszeni pośród zielonych kul drzew nawoływali do siebie słowami: „Massa jagód, massa!”, i to zabawne popisywanie się pańskim, niebywałym, niecodziennym, podchwyconym określeniem „masa” było największym hołdem i pochwałą mnogości, brzemienności, nośności tej kipiącej ilości darów owoców. Dotąd słyszę to „massa” prawie że aż monotonne jak śpiew i nawoływania wilg, „massa” chłopców ptaków zawieszonych wpośród przestworu głowami w dół (mam na myśli: jak wszystko inne zawieszone głowami w dół – drzewa, domy – w dół niebieskiego przestworu, przepaści strasznej i rozkosznej).

A weźmy inny dzień, kiedy pojechaliśmy wczesnym ranem daleko, daleko, nazywało się to Popławy, gdzie leżały kwaśne łąki, i to było w sianożęci. Dzień był deszczowy, słotny i nic się nie zmieniło po naszym przybyciu na miejsce, i z bratem schowani byliśmy pod wyprzężonym wozem, pod weretą przed deszczem, a kosiarze szli i maleli po łąkach, przesłonięci smugą deszczu, i pokosy leżały krzywymi liniami, i było najstraszliwiej pusto i beznadziejnie: nic, tylko brudna zieleń traw, woda i wilgoć, ciurki deszczu spływające po wszystkim, i deszcz niesiony pochyło i zapylający i zawiewający świat do najbeznadziejniejszej pustki, i zgrzyt brzękliwy kos po trawach, i kamień osełki toczący kosę, i ten sam garb horyzontu, i ten sam deszcz, i niebo szare jak woda w akwarium. Wydawało się pod mokrymi batami deszczu, że świat już dosięgnął zapowiedzianego błogostanu wyrównania entropii, że rozpuścił się

w nirwanie jednakowości szarzyzny oślizgłej i jednakowej, niebo zeszło do ziemi i zmieszało się z nią, wszystko stało się płaskie i dwuwymiarowe. Tylko trawy leżały pod deszczem gęste i otulające w swym uścisku ziemię i tchu, zdawało się, braknie, kontemplując tę beznadziejność łąk.

A inny dzień, świąteczny niedzielny, znowu w słońcu i dwie wieże kościelne barokowe białe i kanciaste od gzymsów i akroterii, i kościelny zapach kadzidła, wosku, świec, szuwaksu wypucowanych butów i krochmalu spódnic i halek dziewcząt niosących w procesji feretron na niezgrabnych nosidłach, kiedy jedna ręka spocona przyciska do piersi książeczkę do nabożeństwa okręconą różańcem, a druga przytrzymuje drążek feretronu, i gęsta zieleń drzew, i wozy chłopskie ściśnięte na postoju koło kościoła, chabety mają głowy całkiem pochowane w napęczniałych sieczką karmiakach zawieszonych u dyszli, i kupy pośladu końskiego, i wściekle omiatające się przed muchami ogony, i gzy końskie, i siwe od zaschłego błota szprychy kół. Nuda długa nabożeństwa, kiedy organy dudnią i złoci się promień słońca wbiegły przez okno, i stacje męki pańskiej, i zacheuszki na ścianach kościelnych, które są twarde i sterczące do góry jak dogmat. Ławka kościelna pokapana świecą, chór kobiecych głosów zanoszący wysoko i ponad organy pieśń o Pannie Niepokalanej. Szur butów i pokasływania w czasie podniesienia, cieniutki brzęk dzwonków ministrantów i tęgo i złoto haftowany ornat księdza, kiedy rozłożywszy ręce, czyta z mszału lekcję pośród palisady wysokich świec ozdobionych sztucznymi kwiatami.

Po wyjściu z kościoła ma się taki straszny ucisk i próżnię równocześnie serca, jakby wina za to, że brało się porcję wiary jak komunię i świętokradczo, kiedy nie można było wzbudzić w sobie prawdziwej wiary, i stał tęgi barczysty dzień jak klucznik więzienia. Słońce już w zenicie i ponad głowami ludzi i parkanami gęste drzewa, smuga cienia, pszczoły ujadające wokoło kwiatów jak psy, dziewczyny w ich halkach, z ich piegami na twardych dziewczęcych głupich twarzach, kurz gościńcowy, butla z wodą sodową u drzwi sklepiku.

Jak tu uchwycić istotę rzeczy, jak sobie zadać ten worek, którędy pomacać za futryną drzwi? Z wielkim przeczuciem, z naiwnym rozmysłem

macam nogą kładkę, kładeczkę prowadzącą na właściwą stronę. Pewnie, że się będę mylił, ale najważniejsza jest w takim wypadku decyzja; jedno, co pozostaje, zdecydować się ostro.

Bardzo trzeba się odseparować, odkroić, odlepić, odessać od cycka wiadomości, łona rzeczy omówionych i grubych. Myślenie musi być cienkie, filigranowe, kruche kruchością wyciągniętego na gorąco szkła. Trzeba sobie z tym dać radę.

Trzeba oddzielić się od przestrzeni, jak by to nie było trudne i niemożliwe, powiedzieć sobie: tu jest tu, a tam jest tam. Być sobie takim panem, który jest obiektywnym panem. Posegregować sobie, ale nie systematycznie, bo w całej systematyce można zagubić się dla dobra samej systematyki, ale podzielić sobie i powiedzieć, że jest inaczej.

Nie dlatego, że powiedziano nam co ino o względności i porządku rzeczy zależnym od kondycji, instrumentu, jakim mierzę, od tego, gdzie przypadkowo się znalazłem.

Tylko nie być zaraz trąbą jerychońską.

[prwdr. „Kultura” 1950, nr 7–8]

Strachy

W nocy z 26 na 27 kwietnia w roku 1928 spadł „deszcz krwi”. Wczesnego rana dzień zapowiadał się pogodny, ale słońce świeciło jakby przez śrežogę: czerwone i przysłonięte rdzawym welonem. Ulice, chodniki, gałęzie drzew, parkany, gzymsy pokryte były cieniutką warstwą, warstewką czerwonego kurzu. Delikatny pył, kiedy przejechać było po nim palcem po występie murów, zostawiał ślad wśród czerwonego nalotu.

„Czerwony deszcz” przyszedł od wschodu. Poznać to było po tym, że pył ten uczepił się chropowatości murów, tynków, ścian od strony wschodniej. Gdzieś od dalekiego wschodu, od niezmiernych przestrzeni, stamtąd, gdzie wschodzi słońce w zimnym blasku poranków, z dalekich przestworów przyszedł ten duch, dmuchawica niezmierzonych lądów. Niosło chmurę tego pyłu po nocy, konał ten wiatr nad dolinami, czepiał się czubów drzew, siał delikatnym pyłem, pudrem i cieniutkim piaseczkiem i osiadał, czepiał się przedmiotów, domów i drzew, i naznaczał je, i podkolorowywał z tej wschodniej strony.

Z dnia na dzień zrobiło się niesamowicie. To prawda, że nic się nie stało, wszystko szło swoim kołowrotem. Ale czerwone powietrze i zapylone ściany, wyniosłe mury, dachy i gzymsy okien patrzących na wschód były tym pyłem ubrane jak w cień złowrogi.

Palcem przejechać po gzymsie, to zostawiał czysty ślad. Można było podpisać się tym białym śladem, można było podpisać jak diabelski cyrograf i zamiast zasypać go piaskiem jak z piasecznicy, można było, odwrotnie, zdmuchnąć i zetrzeć go, tak leciutki, nietrwały był ten pył. Myślałem sobie: przyjdzie prawdziwy deszcz i zmyje to, i nie zostanie śladu. Myślałem: przeminie, jak przemija tyle innych rzeczy, które na początku wydają się niesamowite i straszne. Bo, jak wszystko, co jest niezwyczajne, niecodzienne, ten „czerwony deszcz” był straszny.

Strach, ten sam strach, który czai się w pustych domach, strach rozstajnych dróg w gorące lato, strach odludzi, strach przed południcą, strach, który nami owłada, kiedy zimą jeży się sierść na leżącym u naszych stóp psie, kiedy podnosi zatrwożony pysk ku czemuś, co stanęło nocą u drzwi naszego domu. Strach trywialny, kiedy zatłucze żwirem znikąd w okna naszego domu, strach wywołany psikusami „*poltergeistów*”. Strach przed drewnianym wnętrzem wagonu towarowego, strach, strach, strach…

Strach to jakby gniew czyjś przeciwko naszemu zasiedzeniu się w codzienności, w kwietyzmie, w obłoczku porannym z kawusią i bułeczkami. A przecież owo niewytłumaczalne, ów strach przed sprawami niebywałymi, które nagle pojawiają się i dzieją w pośrodku naszego normalnego życia, to przez to, że się nagle one stały, odbyły – przez to samo powinny włączyć się w ową uspokajającą codzienność. To raz. A po drugie, powinno by się odnosić do nich na sposób, co by tu wymyślić? powiedzmy na przykład: tak jak na strzelnicy, kiedy strzela się do nagle pojawiających się i znikających figur. Trzeba być tylko na nie przygotowanym tak jak na strzelnicy, kiedy przed kulochwytem wyskakują maszkary, aby przedrzeźniać się z nami na odległość. Leżeć tak jak na strzelnicy: z lewym okiem przymrużonym, z palcem na spuście. Tu, tam, ówdzie wyskakują, odmieniają się tarcze, figury i biję w nie, roznoszę w strzępy, przywracam do stanu właściwego. Sypią się z nich pył i trociny. Tak by się wydawało…

Najstraszniej jest, kiedy na świeżo, kiedy pierwszy raz, kiedy nagle, znienacka wychynie coś z czeluści świata i skoczy nam do twarzy pierwszą, nigdy przedtem nie znaną, potworną, nie do zniesienia, bo nigdy przedtem nie zaznaną oczywistością. A że nazywam to oczywistością, to dlatego jest nią, że towarzyszy jej, przychodzi z nią także straszne dziwaczne wrażenie, że jak gdybym już ją kiedyś poznał, jak gdybym już ją kiedyś przeżywał. Nie było tego ze mną przedtem, przeraża mnie to i zadziwia, ale jak przychodzi, to szereguje się i patrzy we mnie dotychczasowym doświadczeniem. Uparty paradoks, chytry absurd sprawia, że w tym omamieniu wydaje mi się, że to już kiedyś tak było.

Ale potem to już idzie całkiem gładko. Potem to już jest znacznie łatwiej i niestrasznie. Nazbierać sobie tylko, uskładać mały zapasik jednakowo pulsujących przypomnień, kiedy odbija się w nas echo drobniutkich takich samych już słyszanych głosów, jakże już znanych, rodzinnych i znajomych. Już zasadziliśmy wokół siebie ogródek – choćby nawet kolczastych krzaków, szalejów, piołunów i lulejów – i już jest swojo, i już powtarza się. Popukać naokoło, ten sam stuk odpowiada, zaleci tym samym zapachem, zakręci w głowie znajomym czadem, zatykocze w głowie ta sama automatyczna maszynka wspomnień, nasz własny gramofon zazgrzyta w głowie, gdzieś w tyle mózgu, pękniętą płytą.

Wchodziło się naprzód schodami na wysoki parter. Stąd dwie kondygnacje schodów prowadziły w górę i na dół, w połowie zatrzymując się na mezaninach. Nasz mezanin był położony między parterem i suterenami. W korytarzu było ciemno, drzwi malowane na brudny biały kolor, blaszka z guzikiem dzwonka elektrycznego i tych drzwi i terkotu dzwonka elektrycznego można było nauczyć się na pamięć w ciągu krótkich sekund, kiedy czekało się pod drzwiami, ale tych oczekiwań było wiele setek w ciągu roku, cała wieczność. A potem był wąziutki przedpokój, drzwi na prawo do klozetu, drzwi na lewo do kuchni i na wprost do pokojów. Okna kuchni i pokojów wychodziły na podwórze kwadrat betonowy i z trzech stron wznosiły się ku górze mury domu z ich oknami i galeryjkami, aż gdzie okap dachu. Z czwartej strony był dosyć wysoki mur odgradzający od sąsiedniej parceli jeszcze nie zabudowanej, dzięki czemu nawet nasz najniższy mezanin miał trochę dziennego światła.

Tylko dalej, poza murem widać było szczyt ślepego muru sąsiedniej kamienicy, z surowej cegły mur, w którego jednostajnym deseniu kładzionych cegieł jakiś nostalgiczny majster już na zakończenie roboty ułożył cegłę innego gatunku – wiśniówki czy jakiejś tam – położył je w kształt niepewnych, przypadkowych prawie znaków zodiaku. Wiele razy patrzyłem w te znaki zodiaku. Przypadkowość zamyślań się nad przypadkowością tych znaków…

Smutne dni widziane z czeluści tego mieszkania. Zapachy kuchenne na zawsze przylepłe do murów. Biedne światła korytarzowe, rutyna

codziennego kupowania wiktuałów w sklepie korzennym mieszczącym się od frontu w tym samym domu. Ci sami mieszkańcy, których się nie znało, troglodyci czający się w swych jaskiniach, mijani na schodach, w bramie, ich twarze pochwycone w oknach za szybami. Każde z ich mieszkań dołączające swoisty zapach do chóru składającego się na ich symfonię. Codzienność dobijająca się uporczywie zawsze tym samym szurem miotły stróżowskiej, klekotem tych samych gratów, baniek, te same skorupy szkła na dnie podwórza, ten sam kurz i brud osiadłe na ścianach przejść. I poręcz schodów z pozaginanej mosiężnej blachy: rury, mosiądz nie pucowany od lat, matowy i ciemnożółty. Dom, jak osobny świat, stężały i martwy swą zamkniętą przestrzenią.

Szyby okienne bezduszne i samolubne, ich tafle zakurzone i zapłakane na sucho z zewnętrznej strony. Jak przytulić do nich nos, to mają swój szybowy dziwny nieprzyjemny zapach. Połuszczona farba ram okiennych, szary od starości sznurek story jak stryk domowego wisielca. Ściany pokojów malowane w tapetowy deseń. Kuchnia, spartańska kuchnia z jej kaflowym piecem i czarnymi od gazu i węgla częściami metalowymi. Drzwi kuchenne wychodzące na balkonik. Skrzynia na węgiel i z jej szpar wysupłujący się nieprzyjemny pył węglowy. „Klucz” od strychu, gdzie zawsze istnieje możliwość, że skradną bieliznę, „klucz” od piwnic, gdzie w prywatnej przegrodzie „tona” węgla; węgiel ciągle „idzie w górę”. Te same uparcie wariackie nie własne meble, mieszkanie jest nie własne. Parawanik japoński z trzciny z wpowsuwanymi w nią wachlarzami z patyczków. Widoczek Innsbrucku naklejony u płaskiej podstawy szklanej soczewki i ten tyrolski widoczek jest skarykaturowany w tym szkle. Rożki sarnie nad drzwiami. Kołdry na łóżkach. I nuda niedzielna zalegająca mieszkanie jak hydra, jak zwoje pytona, nuda tak wściekle dojmująca i zajadła, że wydaje się, że można tę abstrakcję zobaczyć na jawie, pomacać. I podwórko, i niebo widziane z ukosa, niebo, z którym jestem skłócony i dlatego nawzajem patrzymy na siebie na bakier.

Ale. Ale może wydać się to dziwnym, a jednak można w takim świecie tak sobie uszeregować impulsy, zachcenia, marzenia, że nie dowiera to wszystko, nie razi. Obramia się sobie, szlifuje odbijający inny wymyślony

kształt i zapatrzenie się. I wtedy godzi się z tym i nie ma się zachcianek innych ani ciągot. Ręka ślizga się po poręczy z wstrętnego mosiądzu, nie dotykając jej, wzrok spływa po brudnych ścianach, myśl przebija mur jak elektron, waży się coś w mózgu i to ma taki ciężar gatunkowy własny, że dom naokoło jest jak wnętrze wydmuchanej z gliceryny bani.

Tylko wieczorem księżyc skacze po dachach załamujących się na niebie w krajobraz i patrzą ku mnie głupie, niekompletne, nieudałe straszne znaki zodiaku.

Na jakiejś stacji kolejowej miałem przesiąść się raz jeszcze. Już było po nocy, dobre rano, ale w cieniu hali dworcowej było nikle i jakby w tunelu, i bardzo pusto. W tej pustce widziałem jedynie grupkę ludzi, którzy widocznie także przesiadali się do innego pociągu. Przy wielkim zmartwieniu, jakie miałem wtedy, chciałem od niego odbiec i wyostrzyłem sobie nagle zmysły na uwagę i dociekanie zewnętrznych rzeczy, toteż tych ludzi zapamiętałem sobie na zawsze. Dlatego może, że byli inni, i dlatego właśnie, że byli tacy, jakich jakbym się spodziewał. To była jakaś trupa cyrkowa czy wodewilowa i wszystko, co ich dotyczyło, było oczywiste i zrozumiałe, tak zrozumiałe przez tę oczywistość, aż zabawne. Był dyrektor, kierownik tej grupy: tęgi pan w jakimś płaszczu ulsterze skrojonym ze znakomitej, choć przybrudzonej teraz imitacji wielbłądziej sierści. Miał worki pod oczami, był wygolony i w ustach, w wargach koniecznie „mięsistych” miał cygaro, bo jakżeżby inaczej u dyrektora cyrku. Była taka lafirynda wyfiokowana i w czymściś tam: fokach? piżmowcach? i para jakby bliźniaków, mieli jednakowe kratkowane szale, i był karzełek wspinający się na palce i zadzierający brodę dużej, za dużej głowy, i drobnym kroczkiem podkreślający swą godność człowieka. I był także facet, pewnie siłacz w tym zespole, i drugi – o pomarszczonej twarzy klowna incognito. I trzymali się razem, zdegustowani światem, który wybzdurał sobie nagle inne, rzekomo ważniejsze sprawy, i pojawili się wśród tego jakby nietaktownie, i jakby chcieli ten nietakt pokryć pewnością siebie. Olbrzymia hala dworca była pusta jak sala cyrkowa o nie wykupionych miejscach, namiot pusty, w którym znalazłem się nieoczekiwanie jedynym gościem. Toteż patrzyli na mnie jakby ze złością:

patrzcie, jeden taki wygłupił się i nabrał; że wariat; że jak świat cały ich zlekceważył, to ten jeden został, ażeby było na kim skrupić złość i zadzior.

I nagle wydało mi się, że to ja zostałem jedynym błaznem na tej olbrzymiej scenie-arenie, błaznem obnoszącym się ze swoim błazeńskim nieszczęściem. Ci z profesji, stare wygi i wyjadacze, od razu poznali we mnie amatora. Amator to taki, co bierze błazeństwo i tragedię na serio. Bo to „śmiej się, pajacu!" to przecież także znany chwyt na publiczkę, te tragedie klownowskie, poliszynelowskie to chwyt na podejście przeciętniaków. A tu ten facet – to niby ja, znaczy się – bierze to na serio.

Węchem, starym nawykiem poznali mnie od razu, poznali z marsa na czole, z niewyspanych oczu, z płochliwości uciekiniera, kiedy kresą kapelusza nasuniętego na czoło, na oczy chce zasłonić się od spojrzenia innych, ukrywa, chowa się ze swoim nieszczęściem, ale mu się to nie uda. Znalazłem się wśród błaznów, poznałem ich zaraz, ale zaraz i oni mnie poznali.

A innym razem prowadzili mnie pośpiesznie znajomą ścieżką w straszną, dującą śniegiem lodowatym zimę. Dęło śniegiem, sunęło nim po szczerbach grud, przysypywało nim grzbiet ziemi, ziemi niczyjej, tylko zimna, mrozu i pustki. Tą ścieżką doprowadzili mnie do wykopu, którym szła linia kolejowa. Domyślałem się jej więcej niż widziałem. Tylko z bliska zaśpiewał i zabrzęczał słup telegraficzny twardy i porozsychany wzdłuż szczelinami pęknięć. Śnieg, pył śniegowy uderzał weń i obrzucał ostrym miotem. Słup telegraficzny twardy, znikający gdzieś w górze w zadymce, drzewo jego tragiczne jak drzewo krzyża, drzewo hańby i męczeństwa, znak tragiczny pomiędzy teraźniejszością i wiecznością.

O bladym półdniu zimowym przywiedli mnie do niego. Zdarli mi z ramion koszulę i w przegubach skrzyżowane ręce okręcone sznurem przywiązali wysoko u drzewa, aż rozległo się: trrraaaaaach! nierównej salwy.

Ile to? dzień? dwa dni temu? szliśmy o wieczorze parkiem.

Park to ogrodzona połać ziemi, którą pocięto ścieżkami, ponasadzano w grupach krzaki i zarośla, wycięto tu, przystrzyżono tam, tu zniwelowano, a tam zostało zdrenowane. Park jest miejscem, gdzie idą ludzie w chwili

wolnej: rodzina – tato, mama, dzieci, wujenka; do parku wyrywa się student, który oblał egzamin; paczkę szczeniaków tu przyniosło, dzieci drapią nawierzchnię ścieżek w NIEBO I PIEKŁO. Do parku wynoszą ludzie swoje myśli i wyczesują je tu jak łupież z głowy; nad parkiem niebo i chmury się przeganiają; wpośród trawy wyskoczą w mokrości wiosny sasanki, a zwiędłe zeszłoroczne liście leżą pod zwisającymi gałęziami drzew. Oszukuje nas ten park, bo jakby dziczyzna i osamotnienie, ale nie, bo i ścieżka wygracowana, i przystrzyżony szpaler, i ławki chropowate i pokrajane scyzorykiem w inicjały i hieroglify, i gdzieś zawsze ku pamiątce czegoś pomniczek, wodotrysk i pawilon, i cieplarnia. Kryją to wszystko drzewa dziurawym i prętowym dachem dającym cień pleśni.

Tego wieczora w parku było pusto, zupełnie pusto, tylko my dwoje. I szliśmy tym parkiem, zapomnianym parkiem, który leżał pochyło w dół i ciągle w dół, i byliśmy zupełnie sami. Wieczór ciągnął się leniwie i długo, i nieskończenie. Wydawało się potem, że noc tam nigdy nie nadeszła, że gdzieś tam nad jakimś pobojowiskiem Jozue wstrzymał słońce w zenicie, a myśmy tu zostali zapomniani w tym stojącym, zatrzymanym półzmroku, rudym zmroku, śreżodze i zostaliśmy sami, i już.

To było wiosną, ciepło już było pokaźne, ale nic się jeszcze w tej ziemi nie ruszyło, nie drgnęło, tylko takie wyczekiwanie, tępe wyczekiwanie, niezrozumiałe, jakby ze wstrzymanym oddechem. I tylko żeby temu nadać niesamowitości, to światło, kolor rudy starych liści, kory, czerwony o zmroku kolor jak zaschła krew pomieszana z pyłem ceglanym pulsował jak znak, jakby na odpowiedź, gdyby zapytać, gdzie ta wiosna.

Szliśmy obok siebie w dół łagodną pochyłością, ciągle w dół, niebo nad nami jakby z mlecznego szkła, ale nie tafla, nie broń Boże kopuła, ale niebo niskie mlecznofioletowe. Wyciągnąć rękę, to można by tę fioletowość lekceważąco podrapać paznokciami.

W ciągu całego wieczoru, jaki tam spędziliśmy w tej dziwnej godzinie zmroku, wpośród gałęzi drzew i krzaków parku odzywały się, grały, kląskały ptaki. Nie widzieliśmy ich, ale przez cały czas naokoło rozlegał się klamor i klangor, chór, ustawiczne skandowanie czasu. Nie wiem do teraz, co to były za ptaki, jakie to ich gatunki tą wiosną nawoływały się po nocy.

Ten kląsk ich ustawiczny do teraz wyraźnie słyszę. Ich bulgot, gędźbanie, klekot dobiega mnie uparcie po latach jak strach.

[prwdr. „Kultura” 1963, nr 11]

Zabawa w „zielone”

Pośród łąki, traw, burzanów założyć ręce pod brodę i patrzeć po zielonym świecie;
takie oderwanie się od innych rzeczy – aż wstyd.
Co za ucieczka od spraw innej skali!
Trzeba się trochę przymusić i rozluźnić wszystkie muskuły myśli;
nie mówić sobie, że inne sprawy są nieważne, nie artykułować tego, broń Boże!
nawet pogodzić się z tym, że to ciśnienie głupiego obowiązku dla innych spraw
zostaje ze mną, niepokój,
bo wtedy może bardziej apercepuje się to, co jest tutaj;
taki drażniący faktor i zaciśnięty pasek.
Po łące popatrzyć na ukos pod światło przez zmrużone powieki.
Mieć całą świadomość tego, że ze wszystkich stron,
naokoło, na pewno, równiutko, zielono
roztacza się łąka jak tarcza.
Zatrzymać cykający motorek myśli, wstrzymać oddech.
Nic to nie szkodzi, że miesza się niepokój,
że zazielenię sobie nowe jasne spodnie na kolanach.
Nie dać się temu, że może nie tu, ale pięć kroków dalej
będzie lepiej i stosowniej.
Łąka jest taka i tu, jak i tam.
Pomyśleć, ale innym zestawem myśli,
że nie ma tu ani początku, ani końca.
Jak mi coś podsunie temat, że tego tu nie było,
że erozja wyłysiła sąsiednie wzgórza,
ich garby teraz rude od gliny,
na korzyść, na benefis tej łąki, to puścić to mimo uszu.
Jak przyjdzie inna oczywistość z doświadczeń z przeszłości,
że o swoim czasie przyjdzie kosiarz
i położy tę łąkę na płask,
i zostanie z niej tylko pożółkła szczecina,
i świadectwo jej dadzą spopielałe kretowiska,
to nie poświęcać temu uwagi.
Nie bać się tego, pozwolić sobie na to, przymusić się, kiedy potrzeba, odważyć się –
eksperyment, który mi się opłaci.

Popatrzyć skosem, pożuć kolanko źdźbła urwanej trawy.
Broń Boże nie wpadać w botanikę.
Co mi tam, że to się będzie nazywać dmuchawcem,
a chłopi powiedzą na to, niańka-chłopka nazwie to „babką”,
że tamto to jest tymotka, a to – mietlica,
a leżą płaściutko liście dzikiego szpinaku,
że chrzan jest nie do wytępienia, koński chrzan,
którego korzenie wiercą się do środka ziemi!
Cóż mi z tego, że jakieś tam baldaszki, nasienniki, zalążki, słupki i pręciki!
Nie myśleć o koniczynie jako o koniczynie
ani o tym, że ma ona pewne właściwości, że dzięki specjalnym bakteriom żyjącym u jej korzeni,
jak to u grochów, fasoli i wszelkich motylkowatych, i łubinów,
właściwości ściągania azotu z powietrza,
a więc – cudowny zielony nawóz.
Co mi tam azot! –
powiedzieli, że jest składnikiem powietrza;
widział kto kiedy azot?
No to jak w końcu?
Wypolerować sobie myśl jak srebrne zwierciadło
tak szkliste i czyste, że nie doszuka się skazy,
że nie będzie prawie nic w tej gładkości i lustrowatości.
Teraz wystarczy chuchnięcie lekkie,
cieniutki chuch człowieka w letargu,
ażeby skontrolować, zauważyć, spostrzec, uchwycić to, co jest.
Wystarczy, ażeby zagubiona rzęsa z powieki upadła na tę powierzchnię nicości
krzywym łuczkiem, cienkim przecinkiem,
ażeby naokoło tego odbudować świat.
Nie bać się tego, pozwolić sobie na to, przymusić się, kiedy potrzeba, odważyć się;
eksperyment, który mi się opłaci.
Więc kiedy leżę pośród traw
i nic to, że szalej koło mnie, bodiaki, że srebrzysty piołun, jaskry jak płomyki, macierzanka, powój,
a powój kręci się,
dziki owies jest, jak włóczęga, wesoły i zadzierżysty,
dziki mak i rosiczka,
a przy wodzie,
gdzie mokre kaczeńce, solidnie żółte i tłuste kaczeńce

(proszę zauważyć, że używam całej nomenklatury, ale to nieodpowiedzialnie),
kiedy leżę i słucham, jak grzmi bąk o pluszowym prążkowanym odwłoku,
jak leci pszczoła,
kiedy podpatruję po odwrotnej stronie liści
mszyce lepiące się cierpliwie do ich zieleni,
to jestem jak w innym kraju.
Moje zwykłe życie zatrzymało się u skraja tej zieleni
i słyszę jego oddech jak szept miechów,
jak ciurkot wody w kaloryferze za ścianą.
Dzień jest gorący i bezchmurny
i nie wiadomo skąd
zaniosło paru kroplami deszczu,
ale to tak, ażeby zrobić tylko wrażenie niesamowitości.
Żuję źdźbło trawy i mam niesamowitą pewność siebie.
Coś się odetkało we mnie,
przedtem to było jak wyczekiwanie, a teraz problem jest rozwiązany.
(Znacie niesamowitą, niepokojącą pewność siebie nabitej butelki szampana,
latami zasznurowanej w gorset pozłacany i w uprzęży z drutu –
i przychodzi chwila
i następuje otwarcie,
i stoi szampańska butelka,
dymi się z jej spokojnego teraz wnętrza jak z wulkanu
i jest spokój osiągnięcia).
Teraz wydaje się wszystko zrozumiałe, otwarte,
nie ma potencjalnej pretensji wyczekiwania,
problem jest otwarty i podany.
Żuję źdźbło trawy,
podpatrzyłem sobie łąkę pod wskos,
jestem bardzo pewny siebie.
Kiedy materia naokoło mnie wlała się w tysiące, w miliardy form,
kiedy odmienia się od czasów, jakie tylko pamiętam, jak odmieniec, jak kameleon,
cała ta morfologia –
jedne powtarzają się monotonnie aż do znudzenia,
inne mutują się nagłymi skokami –
to wydaje mi się, że ma to być rodzaj szyfru, szarady na mój użytek,
kod niesamowity, który mam odczytać.
Czasem wydaje mi się, że możliwości tego objawienia są bardzo ograniczone,
jakże prostackie i takie same, i jakże niewyrafinowane,

innym razem jest to wokoło mnie skomplikowane do niemożliwości.
Naturalnie, że reaguję na to tak, jak materiał ten na to zasługuje.
Raz dostaję z zaciekłości poszukiwawczej aż gorączki,
innym razem jestem doskonale obojętny.
Dzieje się to – no to się dzieje – mam zmartwienie?
Który stan jest ważniejszy?
Posuwam się od jednego do drugiego.
Pewnie oba są ważne.
Pewnie z obydwu mam tę samą ludzką pociechę.
Obracam się po moim życiu,
podróżnik wpośród oceanu prostracji
i rozbitek na wyspach złudzeń,
jak Ulisses swojego autoramentu.
Najadłem się kwiatów lotosu po dziurki w nosie,
ażeby być wyrzyganym przez Scyllę wzburzeń innych okresów;
żarłem z tego samego koryta ze świniami Kirke
i podpatrywałem u kąpieli towarzyszki Nauzykai.
Niepokoiłem się nonsensem i prolongatą końca mej podróży;
upodobałem sobie w tym nonsensie także
i upatrzyłem sobie nekrofilską przyjemność
w kontemplacji tego końca.

[prwdr. pośm. w: Z. Haupt, *Szpica. Opowiadania, warianty, szkice*, Paryż 1989]

IV

Szpica

Każdy z zawodów solidnych, zasiedziałych, ukształtowanych ma swoją biblię, brewiarz, zbiór kanonów, przykazań i reguł. Solidną podstawę, na której opierać się będzie wszystko, co się poczyna. Medyk będzie miał *Anatomię* Graya, prawnik – pandekta, architekt – da Vignolę, a żołnierz oczywiście – regulamin służby w polu.

Regulamin służby w polu bardzo oczywiście i jasno powiada, jak ma być zorganizowany porządek wojsk w chwili, kiedy nie ma styczności z nieprzyjacielem. To znaczy wtedy, kiedy się jest w marszu spotkaniowym albo w pościgu. Nieprzyjaciel nie istnieje wtedy i należy go, musi się go wyczarować z tej nicości, wywiedzieć się, gdzie to on jest, w jakim porządku czy chaosie, jakie są jego siły. Jest próżnią, której sztuka wojenna nie znosi. Szuka się nieprzyjaciela, wychodzi naprzeciw niego albo się za nim podąża w pewnym oznaczonym porządku. Siły główne wydzielają straż przednią, której skomplikowany skład jest wyznaczony także paragrafami regulaminu. W dalszym ciągu straż przednia wyrzuca oddział wysunięty mniej skomplikowany i oczywiście jest on, jako frakcja straży przedniej, znacznie słabszy, a ten oddział wysunięty rozdrabnia się w tym samym geometrycznie malejącym wzorze, wysyła przed siebie tak zwaną szpicę. Słowo „szpica” przyjęło się w polskim regulaminie z niemieckiego „*die Spitze*”, „*Kavalleriespitze*”. Szpica jest to garstka jezdnych, przy czym idą oni wachlarzem, szperaczami, zwłaszcza w pokrytym terenie. Ale jeden jest zawsze ostrzem.

Droga jest jak dom. Mijane słupy telegraficzne, czarne od impregnującego je teru, mają zadziory i są od nich włochate i z drogą, z perspektywą maleją i zacierają się w jedną palisadę. Kiedy przejeżdżać koło każdego z nich, to drży i brzęczy, raz wyżej, raz niżej, ale zawsze C, jakby były troskliwie nastrojone. Droga od lat jest zaniedbana i wyboista, i porozlewała się, rozmieszona obręczami kół, rozlazła się do rowów, a rowy zarastają

łopuchy i trawa, jak skamieliny, szare od kurzu drogowego. Ścieżeczka wydeptana przez pieszych biegnie po jej bankiecie i w kurzu tej ścieżeczki widać dokładnie odciśnięte ślady bosych stóp ludzkich, ślady. Droga raz podnosi się, raz opada łagodnie ku zlewowi, którym leniwie cieknie sobie jakaś woda, i tam także zawsze będzie most, przepust z rur betonowych dla tej wody, i odgrodzą od niej w tym miejscu niskie bariery z grubych belek, które także są czarne i wyjedzone przez czas. Droga jest jak dom.

Bo choć jedziemy nią i przemija się z nami, to ciągle jednakowa i taka sama, takie samo brzęczenie słupów, jakby się było roztarasowanym w jednym miejscu, takie same wierzby ustawicznie się powtarzają, wierzby zawsze tam, gdzie spada ku tej wodzie, wierzby jak głownie powtykane po bokach drogi, palące się swym płomieniem oliwkowozielonym liści i prętów.

Po obu stronach są pola i pomimo tego, że dobrze wytrzeszczam oczy w prawo i w lewo, patrzę po tych polach i niedalekim horyzoncie, bo od tego może moje życie zależeć, to jestem jak w domu, mam wspaniałe poczucie pewności, że jestem w domu. Bo to już od lat, miesięcy i tygodni to właściwie mym domem jest droga, zwęża się przede mną, ucieka poza mną droga, jakże mi znajome jest: du-du-du-du! kopyt konia po drodze, doły wyjedzone przez koła, stary szuter zarosły trawą w miejscach, gdzie kiedyś były pryzmy.

Mijam czasami kalwarię z pobielonego wapnem kamienia albo dom na pustkowiu, albo drzewo przybiegłe tu miedzą i są one czymś bardziej w ruchu, są jak gest, jak sygnał, jak przestroga, są dziwne i obcokrajowe w porównaniu ze statecznością, spokojem, jednakowością drogi. Patrzę po horyzoncie i coś zaczepia moją uwagę: jakiś daleko, daleko pokrzywiony daszek, kapliczka albo kępa drzew, przysiółek albo spadek gdzieś tam i poisko i stoi w nim kilka mizernych krów, i te szczegóły są najbardziej ożywione, zmieniają swoje miejsce, przesuwają się leniwie albo, kiedy nie obserwowane, nagle przyskoczą na krótki dystans. A droga? Zawsze taka sama, zawsze jednakowa, od zakrętu do zakrętu prosta, ciągle na wschód i na wschód. Gubi się czasem pod kopytami mojego konia, kiedy rozpada się na kawałki u wjazdu do miasteczka. Przeciął ją tor kolejowy, to prawda,

na torze stoi na poły spalony wagon pasażerski, z wyrwanych bocznych drzwi sypią się podarte pokrycia ławek i pordzewiałe sprężyny siedzeń. Spalona chałupa tam, gdzie był szlaban rogatki miejskiej, potem domy rozbiegają się w prawo i w lewo w uliczki mieściny, ogródki mieszczańskich domów, w całą gmatwaninę miejsca, które także nie jest statyczne, bo rusza się w oczach i ćmi jak rozsypane szkło, jak kryształ w roztworze, przyrasta go lub ubywa mu, chce coś znaczyć, oddać się czemuś, choćby to miał być cmentarz albo kirkut żydowski, zaśmieca się drobiazgami nieważnymi i aż mi tęskno do drogi na nowo, i oto już jestem po drugiej stronie, i droga powraca ku mnie jak żywy dom, wstępuję na nią kopytami swego konia, jakbym wstępował w progi domu, na którego progu koń pozostawi swą podkowę na szczęście.

Czasem przejeżdżamy most, most prymitywny postawiony na słupach podpór dawnego mostu spalonego przez najeźdźcę, i czarne i zwęglone, usmolone są jego izbice pochyło patrzące w stronę nadbiegającej wody, i głucho potyka się koń na świeżych jeszcze poprzecznych dylach mostu, głucho stukają hacele po drzewie i widać wodę pomiędzy szczelinami podłogi mostu, jak łuszczy się od wiatru, i oto drugi koniec mostu.

I znowu droga – droga dom, znowu popielaty różowy kurz w słońcu, suche łajno krowie i milowy kamień mówiący o dystansie jakże nieważnym teraz i nieistotnym, jak gdyby kilometry, jakie dzielą mnie od tego, co było i co będzie, miały się liczyć, jak gdyby miało mi zależeć na tym, jak daleko dom mój jest od miejsc, które przestały być domem, do których, jako do domu, już nie tęsknię.

Kiedy jechać było po nocy, to pozostawała ta droga tak zwyczajną, jak była nią w ciągu dnia. Jechać drogą to tak jak poruszać się po znajomym domu. Nawet noc była bardziej sprzyjająca i wjeżdżać w nią, zaciągnąć się jej zapachem było tak jakby porosnąć nową wierzchnią skórą. Przez noc stawałem się bogatszy o czarny kożuch, włochaty płaszcz czerni, jakim się okręcałem.

I wtedy to po nocy, wpośród własnego domu-drogi natknąłem się na obcą rzecz i pierwsze wrażenie było bolesne jak potknięcie się w ciemnościach we własnym pokoju i bolesne ucięcie się w goleń.

Zanim jeszcze do tego dojechałem, to zastraszył się koń, prychnął i zrobił wstydliwy krok bokiem, ale zaraz się otrząsnął, jakby w jednym mgnieniu oka zrozumiał i pojął, i przebaczył temu, i nie miał pretensji, i jakby wśliznął się w swym spokojnym stępie na powrót w naturalny porządek rzeczy. Minęliśmy po drodze czarną zwaliznę leżącą połową w rowie – trupa końskiego.

I zaraz potem zaczerniło się znowu przed nami w kurzu drogi i leżały dwa inne. I potem już ciągle mijać było i mijać zlepki czerni, skoncentrowaną ćmę nocną. Z wdzięcznością pomyślałem o swym koniu: uczyć mi się od ciebie, zrozumieć, pojąć tak, jak ty to pojmujesz i przebaczasz.

W jednym miejscu leżała para wielkich ciężkich koni artyleryjskich perszeronów czy normandów i leżały nienaturalnie: po psiemu, na brzuchach. Jeden z nich miał wygięty łukowato kark i głowę położył na karku towarzysza od pary pieszczotliwie, jak to widzieć można czasem [, jak] robią konie na pastwisku, kiedy kładą sobie nawzajem łby na karkach. I łby, szyje ich były wykręcone i ciężkie, i leżąc tak na brzuchach, wyglądały, wydawało się, jakby pławiły się w fali oceanu, jakby wprzągnięte w monstrualną konchę nocy, ich grzywy mieszające się i mieniące z pianą fal, z grzywami bałwanów, i ta olbrzymia para dyszlowa w swym kołysie wpośród płaskiej drogi jakby – zastygła w kamień i granit pomnikowy – rwała w przód, ciągnąc swój rydwan czarnego, wygasłego słońca.

Trudno było przejechać koło tej grupy komponującej się po nocy w pomnik, wyrzut, protest. Gdybyż nie było to tak zajadle obstające w swej słuszności, w swej bezwładnej rezygnacji! Gdybyż nie wyciosało się to w ten sposób: czarne wygięte karki, wspięte przednie kopyta, zaschłe od kurzu i potu grzbiety jak z brązu, jak gdyby ktoś ukomponował je w tragiczną grupę, przygniótł je do ziemi, ściągnął munsztuki w pyskach, aż wpośród zdartych patetycznie warg końskich widać ich wyszczerzone zęby jak w metopach Partenonu i: raz-dwa-trzy! postrzelał im w łby, by zastygły kwadrygą słońca – wypalonego, czarnego, zetlałego w popiół słońca, wobec którego czarna noc wydała się dniem białym!

Gdybyż nie wyprowadzono ich ze stajni, nie wprzągnięto w wóz o rozkracznych kołach, nie wparto w suche fale oceanu niebieskiego, gdybyż nie kazano spalającemu się słońcu w strąkach promieni, mickiewiczowskich papilotów zwęglonych i stroszących się komiczną koroną wokół jego głowy, i nie postrzelano im szybko: raz-dwa-trzy! w łby, ażeby tę tragiczną kompozycję utrwalić w błazeńskim skurczu rigor mortis!

Bo w dzień było całkiem inaczej. W biały dzień jechało się drogą i w poprzek leżało padło końskie: rozdęty brzuch i sztywne nogi, i gazy wysadziły kiszkę odbytnicy, muchy zbierały się u jego warg i powiek. W dzień nie było to „kompozycyjne", w dzień ścierwo końskie walało się ohydnie w pośrodku drogi – cyniczne wyzwanie, bezczelne mruganie kaprawego oka losu ku mnie, cyniczne wyzwanie, słodki smród ścierwa, aluzja nekrofilska, Baudelaire'owskie naśmiewanie się z mego wzdragania:

„Rappelez-vous l'objet que nous vîmes, mon âme,
Ce beau matin d'été si doux:
Les jambes en l'air, comme une femme lubrique…"

Zawsze myślimy o sobie jako o sobie, a zaraz potem, jak wyglądamy w oczach innych. Jeżeli mamy trochę oleju w głowie, to żeby nie wiem jak krygować się, to i tak dojdzie nas w końcu słuszne domniemanie, że to nie będzie tak w oczach innych, jak byśmy sobie wymarzyli.

Dzisiaj rano, kiedy jechałem drogą powoli, na połogim stoku po prawej stronie widziałem chłopską chałupę. Niebo od wschodu było jedną czerwoną żagwią i od tej czerwoności wszystko było różowe, miało różowe obwódki, jakby farba puściła po generalnym praniu wszystkiego. Z chaty wyszedł chłop w koszuli tylko i portkach, boso i stał pośród nędznego podwórza, włosy miał zmierzwione od snu, to było jeszcze bardzo wcześnie rano, i stojąc w ten sposób tyłem do chaty i do wschodzącego słońca i czochrając się jedną ręką pod pachą brudnej koszuli, patrzył w moją stronę. Patrzył w moją stronę i jakby poprzez mnie, jakbym ja miał być tylko pryzmatem, przez który widział rzeczywistość rozczepioną moim spektroskopicznym pojawieniem się. Wydawało się, że moje pojawienie się pośród tego rana niespodziewane miało posłużyć mu, miało raz wreszcie rozwiązać jego problem rozumienia rzeczy. Myślałem sobie: to jest

człowiek osobny, a ja jestem tylko środkiem dla rozumienia rzeczy. Ja w swoim ruchu z zachodu na wschód wykreślam jakąś linię, do której będzie mógł sobie wszystko odmierzać i wreszcie raz, nareszcie, w końcu pojąć.
Tak więc jestem jakby w zamkniętym wrzecionie, zwęża się ono poza mną aerodynamicznie, opływowo, potem rozpucza się w puchliznę obecnej chwili naokoło mnie, jestem otorbiony w tej wrzecionowatej puchliźnie jak wągry w mięsie i przede mną zwęża się to w przód ostro w oczekiwane i nieoczekiwane jak szpic. Zacząłem wtedy tę historię tak, jak wówczas wydała mi się: jakby z nicości, jakbym narodził się z nicości, bez początku, samorodnie, potem rozdęło się to w przypadkową fantastyczną genialną soczewkę, galaktykę, przez którą skupiłem w sobie wszystkie nadbiegłe promienie, zapulsowało w niej galaretowatą materią wspomnień, tego, co jest, co było i co ma być, i potem zwęża się i cieni w ostry stożek, szpic wślizgujący się w przyszłość.
Jestem bardzo niefortunnym wyborem, kiedy powierzono mi jazdę na szpicy. A może bardzo fortunnym? Bo kiedy jadę na przedzie, na samym ostrzu wysuniętego oddziału straży przedniej, to tak wżywam się w swoją rolę, że jestem i sobą, i domem – przepraszam – drogą, i krajobrazem, i szczegółami terenu. Mam taki zapas wyobraźni, że mogę, że potrafię siebie samego widzieć z daleka jak figurkę z kineskopu albo kurka na dachu. Kiedy patrzę w oczy spotykanych ludzi, to widzę swoje własne odbicie w ich oczach jak w wypukłych zwierciadłach. Skarykaturowane odbicie, nieprawdziwe – i jeżeli im niosę coś, to widzę to w ich oczach, jak jest to zniekształcone. I dzieje się to z ich milczącym przyzwoleniem, z ich oczami, źrenicami, tęczówkami, które podobne i barwne, jednakowe, rodzinne – rzęsy, brwi i białka oczu – i zostawione we mnie, pływające po wierzchu mej duszy jak oka na rosole w talerzu.

Więc jest to bardzo fortunne, bo potrafię wżyć się w otaczający przestwór, odgadnąć myśli, wrażenia tych, których mam napotkać. Wybór mnie jest jednocześnie niefortunny, bo rozprasza mnie i tępi moją uwagę, która powinna być aż bezosobowa, zupełnie płaska, bo wtedy na jej

powierzchni każdy szczegół, każdy znak ma odbić się i krzyczeć w szalonym spazmie alarmu, że „stój!”, że „wróg!”, że co innego…

Według regulaminu służby w polu zadaniem szpicy jest wywabić, nabrać, wykiwać palcem wroga. To jest najważniejsze: nie dać mu się powstrzymać. Choćbym miał tysiąc oczu, to i tak to nie pomoże, bo on, bo wróg roztopił się w terenie i moim tysiącem oczu go nie wypatrzę, nie wyszukam w polu. Ja mam ściągnąć na siebie ogień. Oto dlaczego tu jestem. Mam na to szeroką pierś, szeroką jak horyzont, i tę pierś mam nastawić do niego na cały widnokrąg, „po winkelriedowsku”. To ja mam na siebie wziąć wszystko, odkryć całą prawdę.

A że zawsze się tego spodziewam, to w krótkie noce wypoczynku, kiedy leżałem pod przygodnym dachem albo pod niebem w cieniu nocy, w pogłosie futrowanych koni, kiedy śmierdzi skóra siodła podłożonego pod głowę, to sobie umyśliłem i wyperswadowałem wszystko – przechodziłem ten moment wiele razy w wyobraźni, nauczyłem się tego na pamięć – mówiłem sobie, że kiedy przyjdzie moment, to będzie krótki, że nie będzie wtedy czasu ani żałować, ani cieszyć się z wypełnionej chwili, ani zatchnąć się samą chwilą, kiedy jedyna i nieunikniona, i nigdy więcej nie powtórzona przyjdzie, że to się stanie tylko raz, tylko raz i bezpowrotnie, że nawet gdybym nie wiem jak myślał, to sama chwila będzie inna i niespodziewana.

I przyjdzie w letnie rano, kiedy cienie jeszcze będą długie, kiedy będzie bardzo spokojnie i w polu poderwie się skowronek w górę i pójdzie wysoko, jeszcze wyżej i jeszcze wyżej, i rozćwierka się tam w górze, na szczycie piramidy swego głosu, której za fundament na dole źdźbła trawy zielone i błękitne od rana. Będzie spokojnie i swojo, i cicho, zaskrzypi tylko skóra siodła, cieniutki kurz uniesie się spod kopyt konia i nagle – to już! to już!

[prwdr. „Kultura” 1951, nr 7–8]

Do dwu razy sztuka

Niski budynek kasyna oficerskiego miał kilka sal jadalnych, ubikacje kuchenne i dużą salę kawiarnianą. Posiłki: śniadania, obiady i kolacje, jedzono pośpiesznie w przerwach pomiędzy zajęciami służbowymi; do stołów usługiwali „czerwoni” Hiszpanie – młodzi ludzie, których przywożono wcześnie do zajęcia ciężarówkami i wieczorem odwożono. Usługiwali oni do stołu wprawnie i dyskretnie i w przerwach pomiędzy daniami stawali pod ścianami z założonymi na piersiach rękami. Ci niedawni kombatanci zamienieni teraz w kelnerów, usługujący obcym i niezrozumiałym językiem mówiącym ludziom mieli w sobie hiszpańską godność ludzi.

A w sali kawiarnianej wieczorem było gwarnie i pełno dymu papierosowego i kiedy nie było już miejsca przy stolikach, stawaliśmy przy kontuarze i każdy sobie smakował to, co sobie niewprawnie wybrał, zamówił: wino białe czy czerwone, czy jakiegoś courvoisiera, czy cap corse’a. Czarne okna wychodziły na drzewa, których się domyślić można było po nocy, i coraz to ktoś nowy wchodził i przeciskał się ode drzwi, a u kasjerki można było dostać papierosów, jakie kto chciał.

„To ten blondyn, co, widzisz, stoi tam przy barze, za bilardem” – mówił mi Staszek Doczymiński i zobaczyłem tęgiego młodego kapitana o czerwonej twarzy i blondynowatych włosach, jak pochylony, nieskładną francuszczyzną coś sobie zamawiał; właściwie widziałem tylko jego szerokie plecy. – „Tak ci wsiadł na kobyłę i przyjechał na stanowisko, i powiada do niego – do tego majora: »Co tu się dzieje?«, a tamten jakby go nie widział, z takim obłąkanym wzrokiem do ludzi, do kanonierów – że wszystko stracone, że koniec, że rzucać broń – a ten powiada: »Co mi ludzi buntujesz?!« i do kabury, i wyciągnął efena, i tak z konia, na dwa kroki buchnął do niego, i zawrócił kobyłę, i dał jej łydkę, i wrócił na punkt, a tego wieczora to i tak zdemontowaliśmy działa…”

Szukałem go wzrokiem i teraz znów go widziałem – miał nos trochę zadarty i śmiał się, i do kogoś coś mówił, ale właściwie niewiele w nim widziałem humoru, bo przecież człowiek, co zabija drugiego człowieka z odległości dwu kroków, pewnie nie ma za dużo humoru w sobie. Ale przyłapałem się na pewnego rodzaju podziwie i ciekawości zobaczenia człowieka, co na zimno zabił drugiego, bo Staszkowi Doczymińskiemu chyba można było wierzyć – nie miał za grosz fantazji i nic by nie potrafił zmyślić, nawet głupstwa. A przy tym był szczerze, do teraz jeszcze zszokowany.

Marthe przyniosła nam dwa kieliszki cap corse'a i certowaliśmy się, kto ma zapłacić. Dwie tylko były kelnerki: ta Marthe i jeszcze druga, szkaradna i ordynarna. Marthe była mała, zniszczona, zabiedzona i stroskana, musiała mieć pod czterdziestkę. Kiedyś zwierzała mi się, że ma pięcioletniego synka i męża, który już powołany został „*sous les drapeaux*", i kiedy w tych pierwszych czasach ktoś podniecony jej ubogą kobiecością smalił koperczaki, jak to nasi, była opryskliwa i opryskliwie zaskoczona i ci pierwsi szarmanci mieli nawet dosyć zmyte miny. Ale długo nie mogła wytrzymać pod tym obstrzałem. Raz miałem kilkunastodniowy wyjazd służbowy i gdy wróciłem i zaszedłem do kawiarni, nie poznałem Marthe. Jak zwykle blada, miała wypieki początkującej suchotnicy, ale te niezdrowe rumieńce były grubo zapudrowane, usta – ukarminowane, miała zalotny błysk w oczach, ale kiedy przeciskała się wśród komplementów między stolikami, żałośnie wyglądały jej biedne ramiona w czarnej sukience subretki-niesubretki i ledwie mnie poznała, a natknąwszy się na moje zdziwione spojrzenie, jeszcze te ramiona zniecierpliwieniem zgarbiła – w podświadomości drażnił ją mój zadziwiony krytycyzm.

Znów szukałem wzrokiem tego blondynowatego kapitana, ale go już nie było przy barze, poszedł w stronę stolików.

Myślałem: jak to jest tak, że można zabić człowieka ni stąd, ni zowąd: buch! – nie ma…

Raz, kiedy siedzieliśmy w saloniku czy pokoju „do wszystkiego" na dole, było to około szóstej wieczorem, w przeddzień Wigilii, przyszła pokojówka

i powiedziała pani, żeby poszła zobaczyć w kredensie Miśka – głowa go boli, chodzi o proszki czy coś podobnego.

Zawsze w kredensie koło szóstej działy się jakieś konszachty. Albo przychodził rządca zdawać rachunki z dnia, albo pachciarka, zatroskana Judka, rówieśniczka pani, i ta pachciarka, gdy pokręciła coś ze sprawami pośrednictwa, mogła dostać nawet kilka autentycznych szturchańców, sam to widziałem i bardzo tym byłem zmieszany, widokiem, jak jedna dorosła kobieta daje kuksańce między chude łopatki drugiej dorosłej kobiecie, a obie przecież były takie same, miały nawet dzieci w tym samym wieku. Albo ogrodnik wrócił z targu z nie sprzedaną brukselką, miał jej całą garę, nie poszło, no i zmartwienie. Dójka obracała w korytarzu centryfugę i wirówka wyła ponuro niskim głosem, i zjawiał się tam zawsze kot niepomny na straszliwe niebezpieczeństwo ze strony zajadłych jamników. A za oknami była wczesna zimowa noc i wszystko było już w cieniu i niewyraźne.

Że Miśko tam już był, poznać było z konszachtów; w końcu przyszła pokojówka i powiedziała pani, że Miśkowi coś jest i może proszki. Nawet bez chodzenia do kredensu mogłem sobie wyobrazić, jak to tam jest: obojętne zainteresowanie się pokojówek, pewnie że zwierzęca, prawie że roślinna rezygnacja samego pacjenta na przypadłość czy ból, skurczenie się w sobie, chyba żeby tego było za dużo, to wtedy coś w rodzaju chłopskiej histerii bólu.

No więc pani poszła po aspirynę do łazienki, a potem zajrzał do niego do kredensu rządca, kiedy wychodził z kancelarii, i nagle okazało się, że Miśko zabił człowieka.

Miśko miał dwadzieścia–dwadzieścia jeden lat. Nastał niedawno jako pomocnik Pawła, gajowego. Przejął się bardzo swoim stanowiskiem i prawie że instynktownie nadał sobie zaraz styl i sznyt strażnika leśnego, *garde-chasse'a*, jakich mają w państwowych lasach: umundurowanych, zdyscyplinowanych po wojskowemu, w mundurach khaki, z zielonymi otokami czapek o okutym daszku, z salutowaniem, z postawą na baczność itp. A Paweł był mały, zgarbiony, w wypłowiałym okrągłym kapeluszu, zielonych pończochach, w które miał wpuszczone kortowe bryczesy

kupione na jarmarku w Rawie Ruskiej. Paweł nie stawał na baczność i swoje obowiązki służbowe traktował dyskretnie i z tą chłopską zdolnością do upraszczania, sprowadzania spraw do automatyzmu roślinnego i spokoju, a tym mu to łatwiej przychodziło, bo tu się miało do czynienia z lasem.

Natomiast Miśko, jako prawdziwy nowicjusz i entuzjasta, sprowadził swe funkcje do drażniącego stanu zniecierpliwienia. Paradował w swej sztywnej czapce z daszkiem i zielonym otokiem leśnika, nawet miał złote liście dębu na froncie tej czapki; przepasany pasem na kurtce wdzięczył się swą postacią prosty jak świeca i czerwony na twarzy od wiatru i podniecenia. Widać go było i na wsi, i na gumnie, i baraszkował z dójkami koło obory albo przystawał u opłotków domu, który był lokalem „Strzelca", koła gospodyń i straży pożarnej na tej ruskiej wsi.

Paweł jako wyposażenie służbowe miał stary pordzewiały karabin wojskowy. Miśko miał dostać pistolet, który w popleśniałej skórzanej olstrze leżał w szufladzie szafy z „rurkami" pana. Miało nadejść z policji pozwolenie na broń dla Miśka i czekał na nie z niecierpliwością.

Staszek Doczymiński trzymał pusty po cap corsie kieliszek i okrągłą jego podstaweczką rozmazywał na blacie marmurowym stolika rozlany wermut w mokrą okrągłą plamę, i nie mogliśmy się doczekać Marthe, ażeby nam znów coś przyniosła.

„Jak tu tak patrzę naokoło, to wydaje się, że ci wszyscy, co tu są, to niby każdy powinien, jak przyjdzie co do czego, wyciągnąć tylko pistolet… A on, masz, to potrafił…"

Blondynowaty kapitan grał teraz z kilkoma innymi w „grzybka". To taki mały bilardzik, na którym w czasie gry nie należy kulą trącić toczonego z drzewa grzybka stojącego na cieniutkiej nóżce na zielonym suknie, jak kieliszek cap corse'a. Mogłem go widzieć teraz wyraźnie, jak ze skupionym wyrazem twarzy, pochylony, na szeroko rozkraczonych nogach uważnie celował kijem opartym na grzbiecie dłoni spoczywającej na suknie bilardu, uważnie celował, jakby z pistoletu do człowieka. Może wtedy, jak zabijał tego majora, też miał taki zimny skupiony wyraz twarzy.

Szafa z „rurkami” była zawsze zamknięta na klucz, ale przez oszklone jej drzwi można było widzieć stojące sztywno w swych stojakach strzelby. Więc „rumuna” do kniei, a był to ekspres o lufach szerokich i tęgich w komorach nabojowych i zwężających się i krótkich do wylotów, z ujęciem pistoletowym i „poduszką” na kolbie do położenia policzka; w przeciwieństwie u niektórych, na odwrót, zamiast „poduszki” jest wgłębienie na ten policzek i nazywa się to wtedy „kontra”.

Obok stała dwunastka o długich lufach, „L. C. Smith”, o kolbie z pięknego orzecha w kapryśnych i wijących się słojach drzewa, a na metalowej obsadzie luf były wyobrażone cienkim grawerowaniem to kuropatwy wystawiane przez wyżła, to słonka, to kaczki i wreszcie rozbiegany zając. Była jeszcze druga dwunastka bez ozdób, miała tylko wyraźnie wycięty znak: „Holland and Holland, London”. A obok ciężki i ordynarny browning, któremu wpompowywało się w magazyn pod lufą pięć ładunków, broń prawdziwie nie fair, niesportowa, wielostrzałowe narzędzie mordercze.

Potem były repetiery. Więc mannlicher-schönauer z łożem biegnącym wzdłuż całej lufy brunatnym drzewem, z lunetą w uchwytach na lufie chronioną tulejkami o ładnej rymarskiej robocie. Potem mauzer przerobiony w „Armie” we Lwowie z typowej broni wojskowej, zaadaptowany świetnie, ze wspaniałym szmelcowaniem lufy i części zamka i dobrą robotą części drewnianych. A potem był jeszcze savage z kluczem koło kabłąka na cynglu do łamania i także z lunetą.

To były „rurki”. Były tam także wyciory i „sztoki” do ich czyszczenia, pakuły, wata, patentowana oliwa „kościana” do zamków, kartonowe pudełka z nabojami do dubeltówek, maszynka do robienia nabojów, chociaż w domu nigdy się ich nie robiło, kilka rzutków asfaltowych i zakorkowana próbówka z nasieniem pszenicy.

Otóż pokrótce sprawa wyglądała następująco: Pozwolenie na broń przyszło dnia poprzedniego i Miśko dostał pistolet, ten chowany w szafie z „rurkami”, i dzisiaj zapolował sobie na człowieka.

Myślał, że to gładko i łatwo zabić człowieka, tak jak panowie strzelają zające, jak to ma być jutro, kiedy w Wigilię rano będzie polowanie. Myślał,

że jest to tak samo składne i uporządkowane, jak kiedy Paweł w przeddzień pochodzi po wsi, ażeby zamówić „chłopczyków” do nagonki (rzeczywiście szli na to mali chłopcy w za dużych ojcowskich butach i wytartych w szwach kurtkach, szli ławą przez zarośla i przesieki, stukali w martwe i znieruchomiałe w zimie poszycie lasu i pohukiwali oszczędnie, i wychodzili potem na linię myśliwych, z twarzami zsiniałymi od mrozu, i ucierali siarczyście nosy rękawami, i patrzyli na „panów”, jak ci przekładali dubeltówki pod ramię, a gdzieniektóry chłopak szukał w śniegu wystrzelonych tekturowych gilz ładunków i dostawał taki kawaler za dzień w nagonce 50 groszy, no, tyle, co kosiarz w lecie). Tak jak dobrze zorganizowane polowanie z wozami fornalskimi czekającymi na gości na przesiece, kiedy podwoziło się ich od jednego miotu do drugiego – jedna drabina wozu wyjęta, ażeby można było przysiąść na desce wymoszczonej słomą i zwiesić nogi. Z bigosem w parującym kotle, jaki podwozi się pod zmrok, ażeby przy ogniu kieliszkiem wódki zakropić wspaniały, byczy dzień.

A człowiek, na którego się poluje, ma także regularne i stereotypowe zwyczaje, jak zwierzyna w lesie. Wie się, gdzie o jakiej porze będzie, wie się nieomal, z której jest wsi, nieomal – jak się nazywa. Kłusownik. Chłop pozostawiający za sobą w chałupie swą codzienną skórę razem z babą, dziećmi, pługiem, zmartwieniami, chorą krową i idący do lasu, pędzony dziwnym instynktem odziedziczonym za sprawą jakichś genów od pokoleń wstecz, kiedy odbywało się czyhanie na zwierza. Gdyby Miśko wiedział, co to jest „fair play”, miałby jeszcze jedną wymówkę, bo kłusownik, zwykły człowiek zamieniony w polujące zwierzę i napotkany w lesie, jest tak samo niebezpieczny jak ranny tygrys, proszę państwa, kłusownik, proszę państwa, zabija napotkanych. Wszystkie prowincjonalne meldunki policji i komunikaty prowincjonalnych korespondentów są zawsze pełne tego. Zabija dlatego, że prawo bardzo drastycznie karze kłusownictwo i nachodzenie lasu. I dlatego, że łączy się to także z konfiskatą broni, której zdobycie i posiadanie daje mu taką satysfakcję, czy będzie to pordzewiała od przechowywania w strzesze kurkowa dubeltówka, czy „*obriez*” (tamta wojna przysporzyła dziwoląg przystosowalności: powtarzalny karabin

wojskowy, w którym upiłowano lufę i kolbę i można to było nosić pod połą). Kłusownik zabija, bo pewnie zamienia się na tę noc w zwierzę i kąsa, i uchodzi.

Ale racje Miśka swoją drogą, a zabicie człowieka – swoją. Potem było śledztwo, autopsja, obdukcja, sekcja zwłok przez „fizyka" powiatowego i odtworzono mniej więcej całą sytuację. Otóż Miśko wiedział, gdzie i kiedy najdzie kłusownika – nie darmo był strażnikiem. Dostał ten pistolet i poszedł prosto do lasu. Był już zmrok, kiedy koło Jakobichy natknął się na postać szarą i niewyraźną na tle poszycia leśnego, które go od niej przedzielało. Widział go tam i tamten go widział. Usłyszał dźwięk stali, jaką wydają lufy dubeltówki, kiedy się je pośpiesznie składa z kolbą, ażeby złożyć strzelbę przyniesioną w kawałkach pod połą kożucha do lasu. Miśko przyklęknął i wycelował, dzierżąc pistolet w obu dłoniach, w szarą przykucniętą postać, i wypalił raz. Więc zabił człowieka. Potem, zataczając się miedzami i potykając o skiby przydęte śniegiem, doszedł do wsi i dworu. Nie umiał nawet uprzytomnić sobie tego wszystkiego, co przeszedł. W kredensie dostał nudności i zwymiotował, i chichoczące pokojówki zawołały panią.

Miśko nie był przesubtelnionym inteligentem, refleksje, jakie go nachodziły po tym wszystkim, były może raczej instynktowne i podświadome, zresztą był młody i spełzło to po nim albo zamieniło się w jakieś uwarunkowania, które objawiały się może w innych, oddalonych sprawach. Może miał potem jakiś nerwowy tik albo może jąkał się w pewnych okolicznościach – nie należy to już do naszego opowiadania. Posłużyliśmy się jedynie tym, by dać przykład, dowieść, że niełatwo, nie każdy może zabić człowieka.

Tak mi to opowiedział przedtem Staszek Doczymiński: że naprzód byli bardzo pomęczeni i nikt nie wiedział, co będzie; że nikt nie wiedział, gdzie jest sztab, gdzie odwody, gdzie jest front, a gdzie są tyły; że furażowali konie gdzie i kiedy popadło, a konie miały łopatki poodparzane od źle w mobilizację dopasowanej uprzęży i od marszów i słońce świeciło zimno i obojętnie wysoko w górze nad spopielałym od dymów horyzontem.

Najbardziej denerwującym było, że punkt obserwacyjny gubił się, urywał wciąż z nikłym kablem telefonicznym i wtedy zostawało się samemu wśród pól z ludźmi pomęczonymi i końmi szczerzącymi zęby do przydrożnej trawy, i ciężar odpowiedzialności, i nic nie wiadomo.

A drogą w jedną i drugą stronę szli, uciekali, wlekli się ludzie. Albo pchali wózki dziecinne, albo trzymali się drabin wozów załadowanych wysoko. Ciągnęli swój dobytek w walizach i tobołach, na taczkach. Szli z nogami owiniętymi w szmaty, boso, kobiety w pantoflach o powykręcanych obcasach. Wlokła się Żydówka, dźwigając na plecach otyłe i bezwładne ciało kilkunastoletniego chłopca, oczywistego i tępego matołka-idioty. Żydówka uginała się pod tym ciężarem, dysząc i stękając, z uporem, jakby to, co niosła, było najlepszą częścią tego świata i jakby chciała to dla świata tego ocalić. Przychylony karkołomnie w rowie palił się samochód ciężarowy. Na wozach patetyczne matki z niemowlętami przy piersi, poduszki, obrazy świętych pańskich jeszcze popstrzone przez muchy, nocniki, maszyny do szycia Singera. Szli księża, co rzucili parafie, policjanci, co zostawili posterunki, urzędnicy izby skarbowej, więźniowie z ciężkiego więzienia, których wypuszczono, gdy dach im zapalił się nad głową, [więc] pozrzucali więzienne pasiaki i w gaciach wędrowali przez pół kraju.

Mówił mi Staszek Doczymiński, że najbardziej drażniła go – a mówił tak nieskładnie, że właściwie to raczej domyślałem się jego wrażeń, cóż, szczery był chłopak, z kościami, ale jego „artystycznych wrażeń” musiałem się dopiero domyślać – otóż najbardziej z tego wszystkiego drażniła go oczywistość tego całego zjawiska, patetyczność i już po prostu rodzajowość całej tragedii, która w swym tragizmie oczywistym i koturnowym rozpływała się prawie w komunał.

„Wiesz, że już mnie szlag trafiał” – mówił mi Staszek Doczymiński – „coś buntowało się we mnie i chyba nie tylko we mnie. Powiadam ci, że chciało mi się właśnie na przekór temu wszystkiemu być wesołym, skakać, bić piętami, zrobić jakieś głupstwo – do cholery miało to wszystko być tak oczywiste i usmarkane. Dziwię się tylko, że ja tego wszystkiego nie przewidziałem: tego, że jak gdzieś dopali się, to uciekają, a jak uciekają, to

zabierają tyle śmiecia; że na magistrali stoją pociągi i pociągi, parowozy z wystygłymi paleniskami, i te żałobne zderzak do zderzaka stoją milami szczelnie; że miasteczka są na pół wymarłe, szkło i drzwi sklepów zrabowanych przez maruderów leżą na miasteczkowych ulicach; że po łąkach ryczą nie dojone krowy, a chłopi wychodzą na drogi patrzeć na ten nieustający smutny odpust i święto, że nawet powkładali do tego niedzielne ubrania.

No, dosyć o tym. Staliśmy, mieliśmy stanowisko baterii pod taką wsią i mieliśmy nawet łączność z punktem obserwacyjnym. Amunicji to nawieźliśmy sobie o świcie, taki był jej skład na gazonie małego starego dworu, góra granatów większa jak ten dom, niektórzy kanonierzy grali w karty, wiesz, mieli taką samą potrzebę ucieczki od rzeczywistości jak ja, i kapral Gabryszewski grał na harmonii: »A w Brzuchowicach festyn klawo gra…«

Działa stoją na stanowiskach porządnie okopane i przykryte gałęziami i lufy patrzą na dozór 4200, wygląda to jeszcze bojowo i fajnie, i podchodzi do nas od drogi jakiś zakurzony oficer, major. Jest dzień, ale ma na sobie płaszcz porozpinany i ma chudą nie ogoloną twarz i głęboko wpadnięte oczy, i wypieki na twarzy. »Wszystko stracone!« – powiada. – »Żołnierze! Rzucajcie broń! Idźcie do domów! Wszystko stracone!«

Mówię ci, że zgłupiałem. Po pierwsze dlatego, że mówił oczywiste rzeczy i rzeczywiście wszystko było stracone. Po drugie, że sztabowy oficer przychodzi i rujnuje to, co jeszcze funkcjonuje, co jeszcze gra – jak popsuta maszyna, ale gra. Musiał facet mieć chyba gorączkę, w każdym razie był bardzo podniecony, aż mu głos wpadał w dyszkant piskliwy jak u ludzi, kiedy zaczynają gadać w natchnieniu. Stał tak, rozwiane poły płaszcza, kanonierzy patrzą od kart, jezdni zagapieni i nie wiedziałem, co zrobić, jeszcze byłem szczeniakiem, jeszcze miałem się uczyć – cholera! No to poszedłem do telefonu, kręcę korbką induktora, kręcę – »‘Demon Dwa’!« – wywołuję – »tu ‘Demon Jeden’! Zawołajcie pana kapitana do słuchawki«. Zawołali. Powiadam mu: tak i tak, jest tu na baterii jakiś major, namawia ludzi do składania broni, powiada ten major, że wszystko stracone. On

słucha, powiada: »Poczekajcie tam, zaraz przyjadę«. Siadł, miał taką gniadą kobyłę, przyjechał.

Ten major jakby go nie widział, rozkłada rękami. »Chłopcy« – mówi – »nasza sprawa przegrana, przeciwności za wielkie, ocalić naród, tamto stracone, do domów…«

A ten, tak jak siedział na koniu, rozpina kaburę i blady na twarzy powiada: »Co mi tu ludzi buntujesz?!«, i z efena strzelił mu w pierś, i dał łydkę kobyle, zawrócił i pojechał.

A tego wieczora to i tak zdemontowaliśmy działa”.

[prwdr. „Wiadomości” 1963, nr 13]

Meldunek o nieprzybyciu Wełnowskiego

Podczas gdy w Kodni na Wołyniu odbywał się przetarg na remonty dla pułków strzelców konnych i ułańskich korpusu jazdy Królestwa, na drugim końcu świata, w dalekiej Bretanii czekaliśmy na stacji w Guer na transport koni dla naszego dywizjonu.

Poprzedniego dnia po *déjeuner* w naszym kasynie powiedział do mnie dowódca dywizjonu:

„Jest awizo. – Jutro rano na stacji w Guer – transport – około czterdzieści koni. Pojedziesz – szczegóły będą w rozkazie dziennym. O szóstej trzeba być na miejscu. Ludzie – kantary – sobie to oblicz – około czterdziestki koni”.

A właśnie przy obiedzie była mowa o koniach, na które czekaliśmy od dawna, o pierwszych dla nas tu koniach. Dyplomowany kapitan Świebodziński opowiadał o swoim stażu w kawalerii włoskiej jeszcze przed wojną:

„Marsze zawsze kłusem i galopem”.

„Ciekawe” – mówił pułkownik – „a właściwie to można tak, tylko trzeba dobrze karmić. Zawsze byłem zdania: karmić, doglądać i gnać. A jakie konie?”

„Dobre. Szwoleżerowie mieli lekkie konie, ale dragoni i »lanczieri« – a dlatego pewnie tak się nazywali, że w przeciwieństwie do dragonów i szwoleżerów nie mieli lanc – dragoni i »lanczieri« mieli kościste, ciężkie. Ale dobre konie. Moja klacz była twarda w pysku, jakbym miał wodze uwiązane do pnia. Jakie rzędy? Czerwone od rdzy, siodła po prostu historyczne, kryte kozimi skórami, wszystko przy siodle: szabla, karabinek w olstrze”.

Moim sąsiadem przy stole był inny kapitan, Heybowicz – tego znałem jeszcze z Polski. Fasonował się na koniarza, ale coś w tym było podejrzanego, coś nie było z tym w porządku, coś nie klapowało. Miał

ostrogi obszyte skórą, tylko ich same żgadła były gołe, więc bardzo to oryginalnie, bo tego nigdzie przedtem nie widziałem. A ostrogi to bardzo ważna rzecz, to niesłychanie ważna rzecz. Na ten przykład część podchodząca po obcas nigdy nie miała być z metalowego łańcuszka, takiego jaki konie noszą przy munsztuku. Nigdy oficer nie mógłby sobie na to pozwolić, to był fason „podoficerski”. Więc kapitan Heybowicz miał je oszyte skórą, dobrze, ale i tak nic to nie pomogło, coś było z nim nie w porządku. To potem, o ile wiem, poszedł do artylerii konnej, do daku, gdzieś do którejś ze wschodnich brygad.

Spotykam go teraz i to już tyle lat, i jest teraz tęgi jakiś i, co tu mówić, chamski. Jakiś cynizm zakradł mu się do oczu, ale głupi chamski cynizm. Przydzielili go teraz do nas, zawodowego kapitana, i zagrywa po zawodowemu, pewny siebie, o nas nie dba, zajęty jakimiś swoimi machinacjami. Ma samochód, chamski zwyczaj dochrapywania się jakiegoś samochodu, chodzi sobie sam i widać, że kombinuje. Był jakiś czas w „Reginie”, ale zdaje się, że się go pozbyli, wylali, nakopali. Ale że w trywialnym znaczeniu facet mógł pewnie i zaszkodzić, to uważali, że nie będzie to znowu taką degradacją, no to do dywizjonu, do „linii”. Od pierwszego rzutu oka już się tu mu nie podobało, już przygadali sobie z pułkownikiem, ale o tym cicho, sza! bo to na innym szczeblu: pomiędzy zawodowymi.

„Dużo jazdy w terenie” – ciągnął dalej dyplomowany kapitan Świebodziński. – „Co? Czy specjalnie dobrze jeżdżą? Ułani, jak u nas – przeciętnie, oficerowie – poprawnie. To tak wyglądało: pobudka o drugiej, za to praca wcześnie się kończy, obiad i po obiedzie obowiązkowo wszystko śpi, sjesta; właściwie mają to podzielone: śpią dwa razy w ciągu doby. To tam na tamtejszy klimat – jak to się nazywa? Sjesta. A dragoni mają wspaniałe hełmy – takie, o! Projektował je Canova…”

Kapitan Heybowicz na mój widok ożywił się, bo mu przypomniałem dawne czasy. Powiadam do niego: to pan kapitan był w daku? Byłem, mówi, nareszcie przy koniach. A gdzieście byli, pytam, w kampanii? A, powiada, w tej i tej brygadzie. A ta, jak wiadomo, obracała się koło Prus Wschodnich, to potem… ale tu kapitan zagubił się w jakichś

topograficznych szczegółach i niewiele z tego wyrozumiałem. A potem, po siedemnastym września, to mówi: najechali nas na szosie na dziśnieńskim trakcie i czołgi jak wyjechały… I pociskami po bateriach… Tylko kwik koński poszedł po dywizjonie. Głupio gada i chamsko i wyjechał z tym kwikiem końskim, aż mnie zatkało. Chciałem to sobie wyobrazić, jak to mogło wyglądać w tamtejszych stronach, ale mickiewiczyzna to nic? „Wpośród pagórków leśnych, wpośród łąk zielonych…”, zielone kopuły drzew i trakt litewski z rozjechanymi koleinami, ale zawsze markuje się czterokołowy ślad, jako że tam koniki chodziły w hołoblach – nie tak jak u nas dyszlowe pary – to wyjeżdżały cztery koleiny, kiedy to koń szedł raz jedną, to drugi raz inną koleiną.

Chciałem sobie wyobrazić, jak to wyglądało: kurz i mokra sierść na koniach, ścisk i ciągłe przystawanie pochodu, aż tu z nagła, ni stąd, ni zowąd, tak jak tamte brzozy, poruszyło się coś niesamowitego, dotąd nie widzianego, i zaczerniło, i zaszarzyło, i oderwały się stamtąd czerwone pociski, i stąd właśnie ten kwik po koniach, po bateriach…

„Podjechał taki do mnie” – mówił mi kapitan Heybowicz – „podjechał takim »gazikiem« i powiada do mnie: »Ty polska świnia, ty oficer. *Smotri-ka, u niego tołstaja roża kak żopa…*«”

Po obiedzie poszedłem do adiutantury, by zapoznać się ze szczegółami swej misji, które tam do rozkazu dziennego redagowano. Kiedy tu każdy urządzał się, jak mógł, to nasz adiutant dywizjonowy przystojniak i poprawny, jak to zawsze adiutanci, zakręcił się koło tego najszybciej i już, ani się oglądnąć, miał swoją kancelarię kubek w kubek urządzoną na modłę i podobieństwo tej w starym garnizonie. Stoły porozstawiane i teczki z papierami i dziennikami rozkazów, i ten sam podoficer do pisania na maszynie, i adiutant nachmurzony nad swym stołem i bibułą podawał wchodzącym, jak dawniej, przez szerokość stołu linijkę do liniowania do uściśnięcia na dzień dobry, przedłużając w ten sposób rękę, by nie wysilać się na szerokość blatu. Zapachniało tu, jak dawniej, farbą do hektografu i papierami i już jest tak samo, siedzi w swej dawnej skorupie, niech go szlag trafi! Tu naokoło inny, dziwaczny świat, kamienny i jakby porosły liszajem inności, a tu ten sam młody człowiek już

obudował się w swą ślimaczą skorupę swojskości i wciągnął w nią z mlasknięciem satysfakcji.

Zajrzałem do notesu, bo trzeba wybrać ludzi. Kto może pójść? Dzisiaj o dwunastej bateria wystawiała wartę: jeden plus zastępca, plus dziewięciu, plus goniec. Dowódca warty: Grzesiak, zastępca: Szkoła, potem jest Grot – Grot jest przekreślony, poszedł Adamek – poszedł za niego, bo Grot choruje. Majda, inni. Goniec: Kołodka, ale mam zapisane, że trzeba wyjaśnić, bo gońca dawaliśmy wczoraj. Kapral Ogrodnik jest podoficerem służbowym, a bombardier Antczak – zastępcą. Natykam się na memorandum, że ma być podana zmiana naszego adresu, ale jaki, u licha, ten nowy adres? Gdzie go zapisałem? Meldunek o nieprzybyciu Wełnowskiego. Wykaz kwater – do siódmego. Lista żołdu – do ósmego. Meldunek: buty – jedenaście par za małych. Aha! Jest! „Secteur postal 370”. Aha! Jutro kanonier ze starszego rocznika mówiący po francusku – u księdza o ósmej. Wszyscy mówią po francusku. Niektórzy nie mówią wcale po polsku. Z wyjątkiem oficerów i paru podoficerów wszyscy są stąd.

Patrzę na listę bateryjną: Antczak Stefan, Bat Jan, Bożek Piotr, Bachowski Bolesław, Dziektarz Leon, Dłubak Józef, Foryś Wacław, Fryga Franciszek, Fryga Marian – to bracia… Makara Michał (dlaczego zapisałem przy nim: „Departament Tarn-et-Garonne”? Pewnie dlatego, że to osobliwość, bo wszyscy są z Nord: albo Pas-de-Calais, albo Seine-et-Oise). Patrzę dalej: Piecko Józef, Pacułt Stanisław, Rzepisko, Rozwałka, Rożniecki, Stasik, Sobkowicz…

A oficerowie i podoficerowie nie byli stąd. Weźmy szefa mojej baterii, ogniomistrza Góralczyka. Kiedy tu go przysłali i meldował się pierwszy raz – rosły przystojny młody człowiek – pytam o dane potrzebne dla ewidencji. Kiedy doszło do tego, czym był w cywilu, zawahał się. Przecież z książeczki wojskowej wyraźnie wynika, że był z rezerwy. Więc jak? Panie poruczniku – mówi mi – proszę, tylko żeby się nie wydało. Po co? Niech ci ludzie nie wiedzą. Po co? Był w cywilu przodownikiem policji państwowej. Był to bardzo solidny, świetny podoficer.

W noce ciemne jak atrament, poświecając sobie latarką elektryczną, chodziłem, potykając się o kamienie i ciapiąc w błocie po kostki, po odległych fermach Breil du Coq, La Turtelière, Pluneret, St-Gildas-des-Bois… U okien, za którymi jarzyło się czerwone światło latarni, poruszały się leniwe cienie żołnierzy po suficie. Słyszałem: „*Dit donc, mon vieux – sans blague…*”, „U nas w Melun…”, „A u nas w Avesnes…”, „*Qu’est-ce que tu voudras – tois…*”, „*Ça va?*”, „*Merd’alors!*”, „*Eh, ne bougez pas…*” – i to Konieczny Piotr, Kuśnierz (Kuśnierz w ogóle nie mówił po polsku), Koziołek, Pogoda, Sagan, Stuż, Wielobób, Zych, Żyła… Ale w dzień nawet dzieci bretońskie śpiewały za nami podsłuchane u maszerujących oddziałów, śpiewały, „grasejując”:

„Rhano, rhano, rhaniusieńko, rhano po rhosie
Wyganiała Kasia wołki, rhozwidniało się. Rhaz! Dwa!
Rhozwidniało się…”,

słowa, których nie rozumiały.

Był tylko jeden nietutejszy, ale i to nie z Polski, ale z co niedawno przyłączonego Śląska Cieszyńskiego. I do tego nazywał się bardzo niezwyczajnie, nazywał się Palmi. Był w baterii trębaczem. Bardzo ładnie.

Ale właściwie miało to być o koniach, które dopiero miały przyjść. Patrzę, gdzie mam zapisaną uprząż. Więc kantary. Mamy kantarów surowcowych ze sznurami 28, kantarów surowcowych z łańcuchami 39, kantarów bez niczego tyle a tyle… Razem… No, wystarczy.

Ktoś zniecierpliwiony może i zapytać: skąd ta precyzja szczegółów, aż podejrzana ścisłość imion, pedanteria nawet liczb? To przyznam się, że ja, który nie mam pietyzmu dla osobistych szpargałów, natrafiłem na ocalały gdzieś na dnie kufra stary kalendarzyk sprzed lat, notes, w którym wtedy zapisywałem konieczne w warunkach służby memoranda ważne. Z tego lichego dokumentu, który okazuje się w tej chwili dla mnie tak bezcenny, jak *CORPVS INSCRIPTIONVM LATINORVM* dla historyka, odtwarza mi się umarła przeszłość.

Tak jak odtwarzała mi się, gdy przeglądałem stary sztambuch Salomei Wiśniowieckiej, w którym jakaś inna ręka na odwrocie welinowych kart porobiła także jakieś notatki tyczące się koni, ich ras, rodów, maści

i odmastków. Było tam zapisane: skarogniady, jabłkowity, myszaty, wilczaty, tarantowaty, mroziaty, cisawy, jasnogniady (i w nawiasie – „koń cisawo-pleśniwy rycerzom szczęśliwy”), bułany, dropiaty, szreniowaty, srokaty w jaskier, żelaznosiwy, piegowaty, popielczaty, światłosiwy, ciemnorydzy, złocistawy, konopiaty, sobolowaty, porcelanowaty, dereszowaty, wrony, moręgi – o ciemnej maści.

Było tam wiele innych notatek tyczących się spraw końskich: pokroju koni, charakterystyki, było o rączości, sprawności koni, o ogierach czołowych, ogierach starego zawodu polskiego, rumakach, drygantach, dzianetach i znowu o ich chowach i rasach od prymitywnych bitiugów ze stepów koło Woroneża, rysakach orłowskich, garbonosach dońskich, koniach kirgiskich, kałmuckich, kabardyńcach, criollo i bronco z pampasów i prerii, o odmianach kulturowanych: tekińcach, turkmeńskich, perskich, im pokrewnych karabachach, o pełnej krwi arabach z pustyni Negeb, najcenniejszych: kochejlanach, seglawi, berberach, andaluzach, o angloarabach, hunterach irlandzkich, anglonormandach… O ich chodach: rysią, cwałem, *ventre à terre*…

Było o rzemieniach, skórach surowcowych: solonych sucho, suszonych, piklowanych, juchtowych, faledrowych, blanko-juchtowych, napalanych, pekari, glacé, *nappé*, zamszach, irchach, skórach nubukowych, lakierowanych, welurowych, szewro, safianach, o ściągniętym licu. O rzędach, siodłach, uprzężach, cuglach, wodzach, uzdach, tręzlach, czepcach…

W staropolszczyźnie „czepce” to były ozdobne uzdy końskie. Stąd to pewnie w tym kalendarzyku sprzed lat obok tak potrzebnych mi list uzd i kantarów, z którymi trzeba nam było wybrać się na stację kolejową w Guer po odbiór koni, znalazła się inna lista, katalog, zbiór i kolekcja, a nawet odręczne szkice innego gatunku czepców. Było to o czepkach, „*coiffes*”, noszonych przez kobiety w Bretanii. To już zamiera tam, może teraz już ich nie zaoczy, już ich nie noszą. Ale wtedy można było je widzieć, zwłaszcza u starszych kobiet. Młodsze wkładały je także, pewnie z kokieterii. Każda parafia inne. Zacząłem nawet je rozpoznawać: a że te to

z Ploërmel, a tamte koronkowe – z Pontivy, a te krochmalone – z Carhaix, St-Brieuc, St-Gildas-des-Bois, Breil du Coq, Paimpont.

A więc przede wszystkim czepki na co dzień, „*de tous les jours*”, „*de la campagne*”. A potem inne do wyjścia, od święta, „*de ceremonie*”, „*de jours de fête*”, „*coiffe de la ville*”. *Bonnet tuyauté, coiffe de dentelles, coiffe à oreilles*, czyli z rodzajem jakby nausznic, *cornette, bonnet à pompon, bonnet ruché, les ailes* – zebrane krochmalone szarfy w stojący ich pęk na głowie, zaraz inny czepek skrzydlaty równie, a nazywał się „*coiffe de papillon*”. Zastanawiające jest, że w sąsiadujących ze sobą parafiach nie istniało jakieś współzawodnictwo – w jednej były bardzo skromne gładkie, nieozdobne czepki, a zaraz obok w innej na głowach piętrzyły się jakieś bezprzykładne krochmalone po prostu orchideje. Były i czepki przypominające tak zwane „budki” z epoki biedermeier, zasłaniające twarz, a nazywały się „*quichenotte*”. Dopiero znacznie później gdzieś wyczytałem, że to przyswojone z angielszczyzny, że „*quichenotte*” to po prostu przekręcone angielskie „*kiss me not*”.

Skąd mi to się znalazło w zapiskach? Ano z uporem i bezceremonialnością amatora-zbieracza po prostu naprzykrzałem się i rozpytywałem. W drodze do baterii natykam się na kobiecinę staruszeczkę, takie to skurczone, skarłowaciałe, powłóczące w błocie sabotami, twarz same zmarszczki i brodawki, ma chyba ze sto lat. Ale ja nic, nic to, że mogę starowinę i przestraszyć, etnolog-entomolog pożal się Boże, pytam: „*Madame, excusez-moi, comment on appelle ça?…*” Starowina ogląda się, nie wie, o co mi chodzi, wreszcie dorozumiewa się, że chciałbym dowiedzieć się nazwy czepka, jaki przystraja jej głowinę. Uśmiecha się bezzębnymi ustami i mówi: „*Corne de Sainte-Hermine… ou… grisette…*”

W żałobie po stracie kogoś bliskiego czepek przystrajało się w czarną aksamitną wstęgę, nazywało się to *coiffe de grand deuil*. I to właśnie przypomniało mi historię Wełnowskiego, o którego nieprzybyciu miałem zanotowane w mym kalendarzyku, a jakże, w notesie, który już przyrównywałem do *Index inscriptionum* czy *Corpus inscriptionum latinorum*, czy też *EPHEMERIS EPIGRAPHICA*.

Wełnowski figurował u nas w ewidencji na liście baterii, ale nikt go nigdy nie uświadczył na oczy. Ale że pokutował na tej liście, to periodycznie meldowałem, gdzie należy, o jego nieprzybyciu. Po kilkunastodniowych poszukiwaniach zawiadamiano mnie, że Wełnowski jest gdzieś tam w wojskowym szpitalu, kurują go. A potem zaczynało się od nowa: meldować o Wełnowskim. I znów szedł meldunek o nieprzybyciu Wełnowskiego.

Aż jednego dnia przychodzi fonogram: Wełnowski zmarł w tym wojskowym lazarecie i bateria, na której był liście, ma wysłać oficera i pluton do Rennes, gdzie przy ulicy takiej i takiej mieści się ów wojskowy szpital, i przy tej asyście, po załatwieniu wszelkich urzędowych spraw związanych ze świadectwem zgonu, pogrzebu i tak dalej, można go będzie kazać szefowi ogniomistrzowi wymazać z listy. No dobrze. Aha, z funduszu kwatermistrza zakupić i trumnę.

To powiedział mi adiutant, podawszy mi przedtem przez stół do uściśnięcia linijkę do liniowania, którą przedłużał sobie rękę, by nie fatygować się z jej wyciąganiem.

Dookoła, naturalnie, dzieją się normalne sprawy – tyle, ażeby osłonić samotność każdego z nas. Gdzieś tam o wyznaczonej godzinie mają stawić się trzytonówki, ażeby pobrać chleb, kapustę, mąkę, mięso. Kierowcy – ci odbijają się od reszty, „fajfusy”: gaulois w wargach i głaszcze koło kierownicy. Gryzipiórki kancelaryjne: zblazowane to i eleganci, spodnie zaprasowane, pochylają przylizane czoła nad kwitariuszami i cedułami. Do brudnej tu roboty to zawsze zapędzą, „wyznaczą” jakąś ofermę bateryjną, zahukanego, niedorozwiniętego – zafasowali mu miotłę i hajda do roboty. Kucharz – kucharza poznać po poważnym wyrazie twarzy i zaszmelcowanym drelichu, kiedy zimnym okiem oderwie się od swędzenia i smalenia na kuchni, ażeby popatrzeć na intruza. Osobno ci, co dłubią w warstacie samochodowym, spawają, przykręcają. Daleko, daleko za rżyskiem i łąką, pod drzewami obciągnięte brezentem skrzynie z amunicją i szary wartownik przy nich, tylko hełm mu kłania się na czoło i karabin, i wysoko upięte ładownice, i wartownik patrzy po horyzoncie, jakby był z innego świata, jakby podniósł się z pola bitwy lata temu na niej

poległy, i jeszcze raz odmaszerowuje swój żołnierski spacer: piętnaście kroków w jedną stronę, piętnaście w drugą.

Obramia to wszystko dookoła smuga drzew, kępy i skupiska drzew, widły i okapy gałęzi i liści drzew szarych od kory, oliwkowych wysp drzewnych.

A odprawa warty odbywała się o godzinie pierwszej po południu. Ale już o dwunastej zmieniało się „starego" oficera inspekcyjnego i czekało się, kiedy na placu zmiany warty pojawią się mały oddziałek i rozmaici służbowi z poszczególnych oddziałów. Parę minut przed pierwszą zastukał do drzwi mojego pokoju służbowego goniec z 7. Baterii i zameldował, że wszyscy są na miejscu. Kiedy siedziałem tam w płaszczu i wszystko na mnie pozapinane, to wystarczyło mi tylko włożyć hełm i poprawić podpinkę, ażeby być gotowym.

Ale nie. Kiedy wyszedłem przed drzwi i spojrzałem jeszcze na swoje buty, to przekonałem się, że od chodzenia pomiędzy kwaterami zabłociły się, więc zaszedłem za budynek wartowni, gdzie, wiedziałem, pod rynną jest kałuża wody deszczowej, i w tej kałuży delikatnie wykąpałem te buty, ażeby zmyć z nich tę trochę błota. Nie można przecież iść na odprawę, kiedy się samemu nie jest w porządku.

Idę w stronę placu, gdzie stoi rządek warty. Plac jest rozległy i w kałużach po deszczu. Od szeregu odrywa się figura nowego dowódcy, robi pół obrotu i słyszę głos: „Naaa pas …oń!", „Na leeewo – patrz!" Zanim do niego dochodzę, stanął już znowu wzdłuż szeregu i recytuje: „Melduję wartę do przeglądu. Skład: jeden plus jeden, plus dziewięć. Wartę wystawia Bateria Siódma". Jest to wielki chłop, kapral nie znany mi zupełnie, jeden z tych, co przyszli niedawno. Może ma trzydzieści, może trzydzieści pięć lat. Mówię: „Dać: »Do nogi broń!«"

Wspomnienia nakładają mi się jedne na drugie. Bo oto jedziemy trzytonówką na pogrzeb Wełnowskiego w Rennes. Pluton i trumnę załadowałem pod brezentową budę ciężarówki, sam siedzę koło kierowcy. Kierowca nazywał się Smełka, Franciszek Smełka. Mamy między sobą na pieńku, bo wczoraj wieczorem był urżnięty, ale to w sztok, i jak mnie do niego zawołali, bardzo drażliwa sytuacja, stał przede mną na chwiejących

się nogach i twarz miał czerwoną i oczy nie widzące mnie. A może widział mnie pomnożonego do czterech. Nieprzyjemne to: mieć poczucie, że się jest poczwórnym w czyichś oczach, a do tego pijaniusieńki. Powiedziałem mu wtedy najspokojniejszym, na jaki mogłem się zdobyć, głosem, powiedziałem mu: „Niech Smełka idzie spać”.

Kierowca wspiął się na swe siedzenie i nacisnął starter. Na jakimś skrzyżowaniu dróg, kiedy stanęliśmy, by przeczekać, i motor ścichł, doszły nas spod budy trzytonówki jakieś słowa rozmawiających tam kanonierów. Zrozumiałem tylko: „dzwónka” i „żołądź”. Kiedy już dobrze ruszyliśmy, Smełka powiedział do mnie: „Panie poruczniku, cholery grają w karty na trumnie” – i zrobił zeza, żeby zobaczyć, jaki to będzie miało na mnie efekt. Nie jest zgorszony, tylko jakby przekorny, jakby chciał mnie złośliwie zajechać, pewny mej bezradności.

A już dobrze nauczyłem nie przejmować się, wyrobić sobie taki styl, ażeby nie być zaskoczonym czymkolwiek, co by się nie zadziało. Najspokojniej sięgnąłem po papierosa, a po namyśle wyciągnąłem paczkę gaulois bleu i do kierowcy. Ten, nie odrywając oczu od szosy, wprawnie wybrał papierosa, potem błyskawicznie zapalił zapalniczkę i nie patrząc ku mnie, posłużył mi ogniem, lewa ręka cały czas na kierownicy. Kierownica jest „samozwrotna”, bo to wspaniała trzytonowa amerykańska „Szewroleta”. I jeszcze: pstryk! wyskoczyła popielniczka z plastyku na desce rozdzielczej.

Mam zmartwienie. Było w rozkazie, że mieliśmy zabrać na pogrzeb kapelana. Ale nasz kapelan pułkowy gdzieś od dwu dni zapadł się jak pod ziemię. W dowództwie nie mogłem się doszukać telefonicznie wyższej szarży duchownego „*castrensis*”. A czasu nie starczyło. Kanonier ze starszego rocznika, mówiący po francusku, który miał być na miejscowym probostwie po księdza tutejszego, zameldował mi, że *monsieur le curé* wyjechał do kurii. A więc pochowek odbędzie się bez księdza. Trzeba będzie samemu odmówić pacierz za duszę. Brrr! jak to tam przedrzeźniało się w sztubie? „A światłość wiekuista niechaj mu śwista…”

Może trzeba było zabrać ze sobą granat niewypał podniesiony na poligonie i włożyć w trumnę u stóp, jak to w czasie pochowków na morzu

za dawnych lat u nóg zaszytych w płótno żaglowe zwłok przywiązywało się armatnią kulę, „…a ciało niechaj spocznie w morzu…”

Na zakończenie formalności związanych ze zmianą warty oficer inspekcyjny obejmował komendę nad całością. Komenderował: baczność! prezentuj broń! chwilę wytrzymywał i wypowiadał sakramentalne: „Służba wartownicza!” Na to stojący o trzy kroki za oddziałem wartowniczym Cieszyniak Palmi podnosił do ust munsztuk i rozlegał się sygnał: hasło Wojska Polskiego. Trzebaż było przynajmniej zabrać trębacza…

Takim był koniec meldunku o nieprzybyciu Wełnowskiego. Koledzy grali na jego trumnie w „belotę”, kapelan się zapodział, o trębaczu zapomniano, kiedy resztki jego powierzano morzu obcości. Jedna Bretania zlitowała się nad nim i niebo nad sobą zaciągnęła kapturem czarnych chmur, *coiffe de grand deuil*.

[prwdr. „Kultura” 1971, nr 7–8]

Więzień z Isle of Ely

Z mego łóżka w szpitalu mogłem widzieć przez okno jedynie szczyty dachu i na nim żelazną różę wiatrów, na pionowej osi której obracała się chorągiewka wyrobiona w kształcie dżokeja na rozbieganym koniu. Ten jeździec blaszany z uporem i determinacją galopował nieskończenie i stał w miejscu i ta dwoistość kinetyczno-statyczna była niepokojąca, ale zrozumiała.

Oddział szpitala, w którym się znalazłem, nosił nazwę Pageant Ward od imienia fundatora, zdaje się, i w normalnych czasach był oddziałem dla dzieci. A teraz został przeznaczony dla pacjentów ze stopniem oficerskim. Zastanawiało mnie, pamiętam, a co z dziećmi-pacjentami na czas wojny, ale jakoś nie mogłem tego wypenetrować. Ściany tu były wymalowane w kulawe kacząt ka i kominek miał siatkę taką, jakie zawsze są w dziecinnych pokojach, ażeby milusińscy nie wpadali tam, gdzie nie potrzeba.

W pokoju o kilkunastu łóżkach połowa z nich była pusta. Po mojej lewej stronie przedzielony ode mnie pustym łóżkiem leżał młody podporucznik, Anglik o chudej zielonej twarzy i podkrążonych oczach, i miał nogę w gipsie. Coś tam źle było z tą nogą, bo w szpitalu leżał już bardzo długo. Na skamieniałym gipsie opatrunku miał chemicznym ołówkiem wyrysowane, jak ma tam te kości połamane, i na tę białą gazę wystąpiły brudne plamy od przesiąkającej materii.

Od tej jego nogi, za przeproszeniem, śmierdziało, ale to strasznie, trudno to opisać. Są wonie, które rodzą się i żyją w jedynych, odosobnionych miejscach: w szlachtuzach, w jakichś fabrykach, na przykład wokół fabryk drożdży, browarów, u cukrowni w czasie kampanii, wytwórni nawozów sztucznych, i jak tam natknąć się na te ścieki przypadkowo, to sobie myślimy: co za gama!

Kiedyś oglądałem na kocu szpitalnym jakieś pismo ilustrowane i był tam taki rysunek z podpisem. Miało to być zabawne: rysunek przedstawiał parę skunksów, śmierdzieli amerykańskich (proszę mi wybaczyć te zapachowe historie – zaraz skończę), i była tam także ich młoda progenitura, a słowa miały uzupełnić ten dowcip: „O, mały nasz już dorasta, zaczyna śmierdzieć…” Są takie okoliczności, że jakiś prosty bardzo, naiwny kawał, choć prymitywny, podrażni nasz zmysł poczucia komizmu nieproporcjonalnie do wartości podniety i nie możemy utulić się od śmiechu, napada nas to jak czkawka. Czasem zarazimy tym kogoś będącego podobnym do nas wyjątkiem i wtedy to już prawdziwe konwulsje, ile razy napotkać porozumiewawczy wzrok. Ale tym razem trząsłem się sam od bolesnego śmiechu, bo aż mnie szwy bolały, i to może potęgowało jeszcze bardziej moje chichoty. Po prostu nie mogłem wytrzymać.

Mój sąsiad zainteresował się moimi dreszczami i podałem mu ów magazyn z tym kompromitująco naiwnym dowcipem. I co się okazało? co zaraz pojąłem i odżałowałem jako nie chcianej z mej strony gafy. Każdy inny dowcip, tylko nie na temat zapachów, ubawiłby może mego sąsiada z lewej. Ale ten wywołał jedynie bolesny grymas na jego twarzy.

W parę dni potem przyjechali do niego w odwiedziny rodzice. Przywieźli mu tam jakieś smakołyki i siedzieli przy jego łóżku tacy szczęśliwi, że go widzą, zatroskani, ale już znudzeni tym długim popołudniowym siedzeniem, kiedy nieopatrznie w ciągu pierwszych dwudziestu minut wyczerpali wszystkie domowe i wojskowe, i szpitalne perypetie i tematy. I siedzieli potem godziny całe ładnie skupieni, wypowiadający jedno zdanie w ciągu całych okresów milczenia. Można było widzieć trwożny niepokój zaczajony na stałe w źrenicach ojca, a przy tym nerwowe drganie muskułów szczęk, ażeby nie zaziewać. Czasem matka poprawiła coś tam z poduszek albo wygładziła koc i znowu zapadali w milczenie. Czasem rodzice grzecznie pomagali w czymś tam pacjentom innym – ot, jakieś drobnostki: zapytanie o przyniesienie książki czy podanie wody. Było dla nas i dla syna dużą ulgą, kiedy wreszcie sobie pojechali.

Naprzeciw Anglika było łóżko, które zajmował Polak, kapitan. Naszedł gdzieś na minę talerzową i wykręcił się z tego tym, że urwało mu palce u prawej nogi, ale już było wszystko bardzo ładnie wygojone i kusztykał teraz całkiem raźnie, i niedługo miał się wypisać. Co rana przychodził i meldował się u niego jego ordynans, młody chłopaczek. Stawał w progu, stukał obcasami i salutował i pojawienie się jego było witane przez wszystkich sympatycznym uśmiechem. Zawsze coś tam przynosił swemu panu i coś tam zawsze prowadzili jakieś konszachty. Mały żołnierz polski pytał się innych pacjentów na sali, czy nie mają jakichś życzeń czy spraw do załatwienia.

Polski kapitan był bardzo zamknięty w sobie i zawsze zagłębiony w jednej i tej samej książce. Mógł to być kryminał albo *Biblia*, albo regulamin służby w polu, książka zawsze ta sama, i nie mogłem wypenetrować, co to było, bo, jak powiedziałem, kapitan był zamknięty w sobie i nieprzystępny. Facet miał chyba pod czterdziestkę, był z batalionu czołgów, bardzo typowy zawodowy oficer.

Potem było znów puste łóżko i dalej, już naprzeciw mnie, był pacjentem mały młody podporucznik, Szkot o rumianej twarzy. Coś mu tam było w pośladek, który mu raz dziennie smarowano za parawanem. Poza tym wyglądał najzdrowiej w świecie. Rano ubierał się kompletnie i zabierał do polerowania swego koalicyjnego pasa. Robił to z ogromnym nabożeństwem i uwagą. Miał do tego cały zestaw flakonów z płynami, pasty, flanele i irchę. Po godzinach czyszczenia i chuchania na kocu leżało coś, co w blasku i połysku, i iskrzeniu się było czymś nieprawdopodobnym. Muszę zaznaczyć, że w tym codziennym ćwiczeniu inni byli bardzo zainteresowani i nie szczędzili artyście uwag, porad i aprobaty.

Następne łóżko oddzielone przejściem przez salę było zajęte przez holenderskiego oficera. Był to młody jegomość i miał także jakieś historie z nogą. Ale co to był za facet! Był atletyczny i przystojny, wbrew naszemu wyobrażeniu o białorzęsych blondynach z Holandii był brunetem o gęstych brwiach i silnym zaroście, który nawet po solidnym wygoleniu się rano kładł mu na policzki ciemne smugi. I ustawicznie gadał. Gadał i gadał jak najęty, trzymał prym, rej wodził, perorował i pryncypalił. Usadowiony

wygodnie w na poły leżącej pozycji, popodpierany poduszkami, z nie czytaną książką na kolanach, omiatając pokój szpitalny pewnym spojrzeniem, pobudzał do rozmów, argumentów, dowcipkował, mówił paradoksy, udzielał rad i wskazówek na wszystkie strony. Z zasiedziałymi pacjentami był w doskonałej komitywie i mieli już własny język i styl, jaki rodzi się w zamkniętych środowiskach, i porozumiewali się łatwo, a mnie trudno było połapać się, o czym mówią.

Potem był kapelan wojskowy, typowy „*padre*” w okularach, któremu nie wiem co było, tak zdrowo i normalnie wyglądał, i był wścibski, i interesował się sprawami innych, to już z powołania. Ale nawet Holender krępował się zażywać przy nim grubszych słów, tyle że siostrę pielęgniarkę z nocnej zmiany nazywał „*nightmare*”.

Potem było łóżko Polaka, podporucznika od czołgów, który miał przetrącony kręgosłup i chodził w gipsowym gorsecie – tak, nie leżał, ale chodził – i kręcił się wszędzie. Rano pomagał przesuwać łóżka i w czasie robienia porządków na ochotnika zabierał się do zamiatania. Był z tego samego batalionu, co starszy kapitan, i ten kapitan to jakby szorstko opiekował się tym podporucznikiem.

Potem, już naprzeciw niego, leżał milczący i chory francuski major, *commandant*. Potem angielski porucznik, który miał coś tam z nerkami. A następnie, już najbliższy mnie z drugiej strony, po mojej prawej stronie, ale przedzielony przejściem – mały angielski kapitan od czołgów, którego przysłali na dogojenie z Libii. To byliby wszyscy.

Nie, nie wszyscy. Był tu jeszcze jeden pacjent, ale nie z nami, tylko w separatce, osobno. Dochodziły mnie o nim tylko słuchy, skróty, uwagi. Istniał gdzieś tam i swoją obecnością tam narzucał się mimo woli, jak to zawsze zaprzątnie umysły czyjaś właśnie nieobecność, a przez to wszechobecność. Był gdzieś tam i istniał przez niedomówienie, niedopowiedzenie, zagadkę, poprzez szepty, współczujące westchnienia.

Jak tu dociec, kim był naprawdę? Wszystko, co o nim wiedziałem, to tylko poprzez słowa. A same słowa tylko to jak palce ślepca wodzące po twarzy bliskiej osoby, mające coś o niej powiedzieć. Jak tu obmacać czeluść głęboką, jaskinię wielopiętrową, jak słowami pokryć, odgadnąć

wszystkie jej załomy, odgadnąć wklęśnięcia, zmierzyć niezmierzoność niezmierzonej groty?
Było to kiedy indziej, gdzie indziej.

Rano w dzień Nowego Roku przez interkom szpitalny zapowiedziano, że „*chers malades*” odwiedzi tradycyjnie, jak co roku, Jego Ekscelencja biskup St-Jérôme, monseigneur Ferret. I od samego rana zrobił się szalony ruch.

Pielęgniarki, zamiatacze, siostry zakonne, interniści – cały szpital wpadł w niezwykły ferwor. Lśniące i tak podłogi polerowano do ostatecznego połysku. Jak wiadomo, nawet w szpitalu pokój staje się z dniami prywatną norą, drobiazgi, książki, szlafroki ubierają go w swojskość właściwą i bliską okupantowi. Tę jedyność wnętrza, w którym zdarzyło mi się pokutować, zbiorowe siły załogi szpitalnej usiłowały zredukować do jednakowej nicości. Wszystkie drobiazgi z mego stolika powędrowały do szuflad, potrzebne mi podręczne rzeczy pochłonęła głębia szafy. Z wielkiego zapału omal nie zapomniano dać nam śniadania. Story zostały opuszczone, okna pomimo zimy utrzymano do połowy otwarte.

Przykryli mnie aż pod brodę, chociaż mój wielki palec u nogi wystający z gipsu byłby wrażliwy nawet na dotknięcie przez welon oblubienicy. Zbliżała się wielka chwila. W ostatnim momencie wpadła jeszcze siostra zakonna z rozpylaczem i skropiła wodą leśną klamkę u drzwi mego pokoju.

Nastało wyczekiwanie, jakieś szmery, kroki. Znowu cisza. Nagle drzwi drgnęły i otwarły się i do pokoju wpadł mały zaśnieżony chłopak z tępą czerwoną od mrozu twarzą i zwichrzonymi od zdartej czapki włosami. Gazeciarz, który co rana przynosił mi paczkę gazet: nowojorskiego „-Timesa” i lokalne kanadyjskie gazety, a że to w prowincji Québec, to oczywiście gazety francuskie.

Znów nastało wyczekiwanie. Znów drzwi drgnęły i otworzyły się, i tym razem w asyście całego orszaku z kierownictwa szpitala, sióstr i pielęgniarzy ukazał się zapowiedziany wizytator. Spodziewałem się, że będzie to jakiś majestatyczny prałat, a tymczasem był to niedużej postaci, wzrostu co tylko przepadłego chłopaka gazeciarza starszy ksiądz w sutannie. Podszedł do mego łóżka i podał mi rękę, którą wykonał drobny,

jakby stenograficzny gest błogosławieństwa. Przypomniałem sobie, że całuje się wtedy pierścień biskupi, co też i zrobiłem. Patrzył, uśmiechnięty łagodnie, trochę jakby przeze mnie, jakby nie ześrodkowywał soczewek oczu. Tak jak pisze o tym Proust, kiedy był dzieckiem w jakimś Dieppe czy Ostendzie z babką na plaży i był świadkiem spotkania tej starej bogatej Żydówki z jakąś księżniczką? młodą arystokratką? która przegrzecznie rozmawiała z tą babką, ale arystokratycznie nie ześrodkowywała wzroku na niej, tak jak się jest miłym i grzecznym wobec dzieci, ale ich się naprawdę nie widzi.

„*Vous êtes un Polonais, on dit?*” – powiedział do mnie monseigneur. – „Znam pański kraj, byłem kiedyś w Polsce”.

W czasie tej krótkiej wizyty, przystanku u mego łóżka monseigneur, łagodny biskup St-Jérôme, znalazł chwilę czasu, by powiedzieć mi, jak przed laty zdarzyło mu się w charakterze jakiegoś sekretarza? wikarego? kapelana? na jakimś misyjnym objeździe czy rekolekcjach pobytować w stronach, które tak dobrze znałem. Już nie pamiętam, o czym z tego wspominał. Owszem, z wielkim pietyzmem mówił o tamtejszym biskupie polskim, o świątobliwości tej postaci, o człowieku, który wedle powszechnej opinii zmarł „*in odore sanctitatis*”, o kimś, kto dla tego kanadyjskiego księdza zabłąkanego aż na Wołyń pozostał uosobieniem wiary, dobra, nieskazitelności.

A może wspominał krajobraz tamtej ziemi, wody jej rzek: Stochodu, Słucza, Horynia, Ikwy, Seretu, wody lazurowe i czyste, i srebrzyste jak szkło, czyste i zwierciadlane, z piaskiem przeświecającym z ich dna, piaskiem tak białym i czystym, że można nim wysypywać posadzkę kościoła przed wielkim świętem? I wiklinę, gąszcze wikliny nadbrzeżnej, osobny kraj wikliny nie mający nic wspólnego z innymi krajami, kraj należący do wody.

A może był świadkiem tego, jak innym odbiera się wiarę? Jak rewindykuje się stare świątynie w asyście policji, starosty, szwadronu KOP, jak zdziera się blachę z cebulastych bań cerkiewnych, wyważa z zawiasów stare carskie wrota, wyrywa płótna poczerniałych wizerunków świętych z ram obrazów, rozwłócza z posad przyciesie, narożniki dzwonnic…

Prospekt usłyszenia jeszcze jednej opowieści szpitalnej zapowiada już prawdziwą nudę, banał, antycypuje ekshibicjonizm, kliniczny opis dolegliwości, krytykę fachowców, co to niby mają nieść ulgę cierpiącej ludzkości, ale wbrew Hipokratesowskiej maksymie: „*Primum non nocere*” dobrze jeszcze doleją pacjentowi.

Już z góry powinienem był przeprosić za tło i przyrzec, że nic tu nie będzie o mnie i moich cierpieniach. Natomiast…

Rano zaczynał się tu ruch bardzo wcześnie. Po śniadaniu, po wyporządkowaniu mego pokoju pojawiały się prawdziwym stadkiem młodziutkie pielęgniarki, a właściwie nie pielęgniarki, ale istoty tego gatunku „in spe”, bo były to kursistki? studentki? praktykantki? pielęgniarskiego college’u związanego ze szpitalem i ich półdniowy poranny najazd był widocznie w *curriculum*, programie kursu. Były świeżutkie, młodziutkie, w sztywno nakrochmalonych czepkach i fartuszkach. Każda miała, a jakże, z tyłu w pasie u węzła ciasno zapiętego fartuszka wetkniętą parę nożyczek – takich do rozcinania bandaży i innych podręcznych operacji. Były rozświergotane i uśmiechnięte, i takie zdrowe, i sympatyczne, i aż jasno się robiło od tego najazdu. Poprawiały poduszki, patrzyły pod światło na słupek w termometrze, poprawiały kwiaty we flakonie, kazały dobrze się naginać, kiedy masowały zbolały grzbiet i nacierały spirytusem, ażeby nie porobiły się odleżyny. Aha! już odleżyny, a obiecywałem, że nic nie będzie o fizycznych, cielesnych dolegliwościach. No już dobrze, przyrzekam, że nic nie będzie.

Jakże je tu zabawić? Już wiem! Kiedy jeszcze wcześniej rano przyniesiono mi gazetę, która teraz leżała porzucona na podłodze obok łóżka, nie! bo już ją skrzętnie podniesiono i złożoną uplasowano na stoliku obok baterii słoików i pigułek, otóż, przerzucając jej szpalty, natrafiłem tam na swego rodzaju historię.

Była to historia żołnierza dezertera, który wiele lat temu, w czasie wojny na kontynencie europejskim, a było to gdzieś w Normandii, zdezerterował po prostu, i już. Nie chciało mu się nastawiać karku, po prostu nie mieściło mu się w głowie, by wyrwany z jednego kraju miał służyć za cel broni ludziom innego kraju, walcząc o wolność i tak dalej. Wielomilionowe armie

już z racji wielkich liczb ludzkich wchodzących w rachubę i nieubłaganych praw statystyki socjologicznej liczyły dziesiątki tysięcy dezerterów i pewnie to było i brane w obrachunek, i jakoś to pewnie załatało się w końcu po wojnie, i skończyło happy endem. Ów niechętny żołnierz po zdezerterowaniu znalazł sobie schron, przytułek i azyl w ramionach prowincjonalnej dziewczyny kochanki, takiej na pół chłopki, normandzkiej dziewczyny, co to pewnie pracowała w jakiejś manufakturze albo była „*une bonne*”, a może była bileterką w kinie albo prowadziła sklepik z materiałami piśmiennymi albo modami w malutkim miasteczku, a ukochanego ukrywała w domu i doglądała, i dogadzała. Sypiał tam, w tym domku, w kryjówce pod schodami, bo to przecież wojna, dezercja, żandarmi.

I żyli tam, jak to w zakończeniu każdej bajki o miłości dwojga, szczęśliwi razem długie lata pod schodami, on i ona, jak w bajce, i miało przyjść zakończenie jak w bajce.

Oczywiście, na francuskiej prowincji, w malutkim miasteczku wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi. Bo mademoiselle – oczywiście pracowita, skrzętna, poprawna, pilnie bywająca w niedzielę w kościele, jak na mademoiselle przystało – nie potrafiła czy nie chciała uchronić się od następstw nieodłącznych w pożyciu dwojga młodych. Po prostu co rok to prorok. Dzieci pojawiały się z nieubłaganą logiką i oczywistością, pewnie bez jakichś położniczych komplikacji, podrastały w ciągu lat, lata biegną, nie? Mama w wolnych od zarobkowej pracy chwilach doglądała je, hołubiła, warzyła im kaszki i rozdzielała całusy i klapsy, co kiedy się należało. Już najstarsze zaczęły i do szkoły chodzić – chłopcy w czarnych klotowych fartuszkach nakładanych zwyczajem francuskim dzieciom na ubranka. Ojciec pewnie dzielnie pomagał w tym wychowywaniu, jako że to on miał specjalnie wiele czasu, kiedy pokazywał się ze swej kryjówki pod schodami.

Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi, i w małym miasteczku przyjęto to nawet zgodnie i bez specjalnych gestów zgorszenia, bez szczególnych łamań rąk, a nawet ten matrymonialny dziwoląg, będący pewnie przedmiotem plotek, rozmów i dyskusji, stał się i rodzajem jakiejś dumy tego zapadłego kąta,

w każdym razie ułożyło się to wcale ładnie. A mogło być inaczej. Trzebaż bo to znać straszliwą francuską prowincję. Mogło to przyjąć inne formy, zawijasy ludzkiej-nieludzkiej pasji, potępienia, zajadłości, okrucieństwa, braku pobłażliwości, niezrozumienia, nienawiści dla faktu nieuszanowania konwenansu, dla czegoś, co nie mieściło się w zaściankowym kodzie przyzwoitości.

Wojna się skończyła i zapomniano o niej, minęły lata i leniwie i gnuśnie obracające się tryby maszyny porządku społecznego bez szczególnych zgrzytów zmełły i wchłonęły niestosowne pozostałości tego romantycznego incydentu. Wszystko zostało przebaczone i zapomniane, jak zapewniła o tym notatka dziennikarska, którą zachwyciłem i ubawiłem moje pielęgniarki bez miary.

W całym tym gadulstwie, głośnym marzeniu, kiedy wodzę sobie oczami po otaczającym świecie, odrywam je, zmęczone, od jednych przedmiotów, zaczepiam o inne, kiedy mi z falą myśli nadpłynie takie czy inne zaczadzenie, naraz gdzieś mi się to wszystko gubi i szukam wpośród gratów myślowych naokoło całkiem tak, jak to kiedy nam coś się zapodzieje w domu, tuż-tuż było, mógłbym przysiąc, i pewnie leży gdzieś na wierzchu, ale tego nie widzimy sami sobie na przekorę i trochę to irytuje, ale nie bardzo, bo i tak wymyślimy sobie coś nowego, a jak nie, to to stare i tak się znajdzie.

Inni wybiorą sobie z życia jakiś jego wycinek, okienko na jedną sprawę i dopiero nanoszą w to dodatków, krawiecczyznę: to obłoczek, to wachlarz, to ścierwo, odbije się im coś po jedzeniu albo zaświerzbi im w uchu, ubiorą to w sieczkę konwersacji, usmażą razem w tragicznym sosie, odcedzą, nachuchają na to, i już gotowe.

A tymczasem tak nie jest.

Są sprawy niezrozumiałe i tak pozbawione początku i końca, sensu, tak wyzbyte nawet cech zagadki, aluzji, że nie ma o co się zaczepić i wyprowadzić jakiegoś ciągu dalszego. A gdy przymusić się do pójścia w jedną stronę, to wychodzi się na inną albo kręci w koło jak podróżny, który zabłąkany wpośród zadymki śnieżnej natrafia na własne ślady.

Stąd i zakończenie urywków tych historii. Raz byłem w nich dezerterem wielkiej wojny ukrywającym się w ramionach ukochanej pod schodami domku na dalekiej prowincji francuskiej, innym razem świętokradczą ręką pomagałem przy „rewindykacji” greckich prawosławnych cerkwi na Kresach polskich, a jeszcze innym razem byłem tajemniczym „więźniem w masce” w separatce szpitala w Isle of Ely.

[prwdr. „Kultura” 1971, nr 12]

Z Laczczyny

„Powiadali” – a było już o tym, nie? – „a powiadali, że przywiózł ze sobą żonę: obcą czarnobrewą Greczynkę. Bo to miało należeć do tego orientalnego sztafażu-bagażu, bo jakże inaczej miałoby być? Taka spod dalekiego nieba, egzotyczna, zakwefiona, ognista i powłócząca spoza welonów spojrzeniem była pewnie tak nieodzowna, jak kobierce wschodnie, jak bogactwa: srebra, wierzchowce, czwórki bałagulskie, sfory ogarów i smycze chartów. Wieść po prostu sama zaokrąglała w kompozycję tę historię powrotu.

A naprawdę jak to było? To pewnie nadąsana lewantyńska piękność wywodząca się ze stambulskiego rynsztoka, paplająca rynsztokową francuszczyzną i w chwilach kłótni plująca lewantyńskim przekleństwem. Swoją nudę, chciwość, kaprysy, podejrzliwość i złość skupiająca na głuchawym starcu. Można się domyślić, jak w długie jesienne, zimowe wieczory dojadała staremu za wygnanie, zamknięcie, nie spełnione marzenia, niewyżytą młodość, jak pod pudrem i szminką pokrywającymi nie domytą twarz więdła szybko i jak w strachu przed nadchodzącą własną starością, przed zmarnowanym i nieuniknionym losem umiała kąsać na ślepo i boleśnie.

Dodajmy do tego inne nijakie towarzystwo. Będzie nim nieunikniony pół przyjaciel, pół sługa, *fac totum*, towarzysz wierny jak pies, uczepiony zawsze wielkości, cień i zaradny brat łata, zawsze taki jakiś adiutant rękodajny, głupi, nudny i uczciwy, wierny psią wiernością do ostatka, alter ego, ludzki sprzęt przydatny w porę, człowiek kij, na którym wspiera się do ostatka, wyzbyty własnych ambicji i własnych pasji, echo powiedzeń, odbiornik, rezonujące pudło i kozioł ofiarny gniewów i kaprysów »szefa«. To on zawsze przeżyje, choć niedługo, swego pana, ażeby przekazać o nim potomnym konterfekt: rozpływające się w nicość, zacierające się we mgle zapomnienia rysy i linie twarzy. To on nie doje, byle jego pan, generał,

»wódz« miał co jeszcze do gęby włożyć, to on bierze na siebie odium cudzych pretensji skierowanych do tamtego, to on będzie pamiętać o terminach, tenutach, procentach, to on będzie zacierał ślady grzesznych postępków czy gorszych niż grzechy pomyłek tamtego, a wyolbrzymi, rozdmucha nikłe czy nawet urojone sukcesy, zdobycze i osiągnięcia swego ideału. To on będzie ujadać się z dłużnikami, kupcami, dostawcami siana i owsa, to on po nocy zwlecze się z łóżka do chorego konia, będzie pamiętać o tym, żeby rzemienie uprzęży wyłatać, żeby dzwona kół wymoczyć we wodzie, ażeby pozbyć się ochwaconej chabety i dopatrzyć zlęgu suki.

A kiedy już mowa o suce, to stawać będzie mężnie w chwilach kryzysu i kłótni pomiędzy tamtymi dwojgiem. Raczej na siebie ściągnie odium i pretensje tej nieszczęsnej pary, zniesie obrazy i zniewagi ze strony niegodziwców, aby jeszcze chętnie i poddańczo dla udobruchania starego przegrać do niego w »chapankę« grosze ze swej adiutanckiej chudoby.

To dzięki jego zapobiegliwości, chytremu gospodarowaniu pozory będą zachowane do ostatka. Będzie domagał się dla starego respektu, choćby przy tej okazji jego własną cześć sponiewierano. Ale tego nawet nie poczuje, bo to przecież nie ze ścirciałów się wywodził i byle kto tej godności jego nie naruszy, nie nadweręży.

I córka…”

Nie, nie wychodzi. A pomysł już miałem, a także poszukałem za jakimś materiałem, porobiłem notatki. O tym, jak ten niegdysiejszy porucznik Pułku Jazdy Wołyńskiej Karola Różyckiego tudzież emigrant, a także autor romantycznych opowieści (*Kirdżali*, *Ukrainki* i tak dalej), a potem Mahmud Sadyk, wreszcie Sadyk Pasza, twórca 1. Pułku Kozaków Otomańskich (w którego 2. Sotni na liście wolontariuszy figuruje imię Adama Mickiewicza), powróci w 1872 roku do Kijowa, by z imperatorskim przebaczeniem dostać folwarczek Borki w guberni czernihowskiej; by za łaską cesarską zabezpieczyć wychowanie, posag i miejsce frejliny na dworze dla córki z drugiej żony, Greczynki; by wreszcie starcem z górą osiemdziesięcioletnim, zgrzybiałym i głuchym odebrać sobie życie w tychże Borkach. Nawet miałem gotowe zakończenie:

„…w gęstniejącym mroku tli się w kącie kłak przybitki i skąpymi kroplami wycieka krew z przestrzelonej starczej skroni, kiedy palce zmartwiałe obejmują ostatnim jeszcze kurczem kolbę stygnącego pistoletu”.

Nie, nie wyszło. A pomysł już był, materiału się nazbierało, na zakończenie makabra, już pisało się potoczyście, pewny samograj, no i nie wyszło.

A może zacząć należało w rodzaju tak zwanej „gotyckiej” opowieści z jej znakomitym elementem nieoczekiwanego. Tym niespodziewanym bywa zawsze obcy, „niepilak”, gość nie z naszego środowiska, tajemniczy przybysz, outsider, ktoś, kogo przyniosło z innego klimatu, pojawiający się wpośród nudy i jednakowości naszego bytowania. Tak jak takim dziwnym przybyszem bywał wędrowny przekupień: Cygan, Słowak, góral, który z niesionej na plecach skrzynki wypakowywał i rozkładał chusty, korale, harmonijki, świecidełka i kiedy mówił, to jakby wobec zbiegłych do siebie dzieci, dziewcząt, kobiet rozwijał z kłębków nici i kolorowe wstążki albo jakby pokazywane przez niego święte obrazki i oleodruki nabierały z tym jego w łamanym języku zachwalaniem tym większego lśnienia. A słowa te, obce i nietutejsze, tym bardziej były podobne do paciorków, tombakowych medalików i cynowych kogutków.

Ale ten obcy, który miał pojawić się w mym opowiadaniu, miał być jeszcze bardziej inny, a i tło miało być odmienne nastrojowo:

„W taką zimę straszną, mroźną, dującą śniegiem, obladzającą gałęzie drzew, z jej czarnym niebem nad białą śmiertelnie od grudniowej pokrywy ziemią, w taką zimę urodzone z jej pustki nadeszło niepokojące, przyprawiające o dreszcz zjawisko obcego. Spomiędzy jej kopnych zasp, od horyzontu czerwonego od zachodu kończącego się dnia, kiedy wszystkie szczeliny najbliższego życia pozatykane są jakby watą, tak że każdy głos brzmi osobno, bez perspektywy, jak głuchy, owinięty szmatami dzwonek u sań albo martwy jak stuk laski ślepca, niespodziewanie zatrzymała się u wrót naszego podwórza czwórka, jaką powoził.

Od parujących zgrzanych boków końskich, od zgrudzonych gruzłów śniegu uformowanych u pęcin końskich, od grzyw i chmyzów, i delikatnego dzwonienia sprzążek uprzęży, twardych od lodu postronków uprzęży

i słomy gubiącej się z siedzenia wymoszczonych nią sań, i od: »Prr… prrru!« powożącego nią obcego, kiedy omotywał lejce o kół sztachetów, zaleciało oddalą i innością, i tajemniczą obcością.

W czwórce dyszlowe różniły się maścią: podręczny był gniady, a lejcowy – skarogniady, a już orczykowe w porącz zaprzężonej czwórki to jeden był siwy, a drugi – srokaty, wszystkie z wielkimi chmyzami na czole, głęboko wpadłymi kośćmi skroniowymi, z ogonami podwiązanymi w węzły i pianą u gryzionych wędzideł. Srokacz miał jedno oko rybie, mówiło się: był »zerkaty«, i chwytał zębami, kiedy było podejść od strony tego ślepego oka. U kopyt dymiły się kupy świeżego końskiego pośladu i konie niecierpliwie biły kopytami, kiedy nasz As próbował obwąchać ich pęciny. Zimowy włos koński stroszył się i rozczapierzał tam, gdzie leżały obiegowe pasy i napierśniki prostej z surowej skóry uprzęży cuchnącej juchtem i smołą, i tłuszczem, pociągowe postronki zwisały luźno łukami ku ziemi, lejce z postronków omotane wokół słupa ogrodzenia…”

Tu spauzuję, bo trzeba dobrze zastanowić się i namyślić się, kiedy mam opisać uprząż końską. Bo ubrać konia niewłaściwie to przy pięknej głowie końskiej byłoby tak, jak by to powiedzieć? to tak jakby to była śliczna dziewczyna i przebrano ją złośliwie i umyślnie, jakby jakaś zła macocha wystroiła ją na czupiradło i dziwoląga.

Nic sam nie wymyślę. Ale wychowałem się na Podolu galicyjskim wpośród tamtejszych Rusinów. W tamtych stronach to było jeszcze bardzo prymitywnie. Chłopi chodzili całe boże lato boso, w koszulach wypuszczonych na białe gacie. Było coś bardzo patriarchalnego w tym białym ich prymitywnym stroju. Nosili kapelusze plecione ze słomy. W podolskim słońcu w lecie, kiedy było bardzo gorąco i upalnie, wyglądało to bardzo pierwotnie.

Ale było to dawno i teraz to wydaje się to rodzajem raju z aniołami w słomianych kapeluszach. Niech to nie wyda się zaraz jak jakaś scena z jasełek czy biblijnego widowiska. To było inaczej i broń Boże! wcale nie rodzajowo. Było daleko.

Ale teraz ma być zima i sanie przysypane wymykającą się z nich słomą, i zapach rzemieni, nie wyprawionej, surowej skóry, i ten proustowski

zapach przypomina mi jarmark ułaszkowiecki na świętego Jury, zapach wapna świeżo wybielonych słupów podcieni „sklepów”, warowny obóz wozów, szprych, kół, dyszli, drabin, kramy obwieszone festonami świecideł, kolorowymi frędzlami batów z żółtej skóry i znów niezapomniany zapach juchtu, garbnika, chromu, uprzęży, szlej szytych smołowaną dratwą, powrozy, sznury, postronki, kłaki konopi srebrne i tęczowe, obręcze kół i ich dzwona, piramidy paszy, worki z owsem, mąką, góry harbuzów i kopce czereśni. I tłum.

Ale nawróćmy do podolskiej uprzęży. Ktoś tam gdzieś wymyślił, że to chomąto miało być tym epokowym wynalazkiem i że to od niego, jako że miało umożliwić pierwszy racjonalny sposób na pociąganie ciężarów, że to niby od niego zaczęła się prawdziwa cywilizacja materialna. Ale przecież z wizerunków na starożytnych płaskorzeźbach czy z monet rzymskich widać wyraźnie, że ukazane na nich tamte kwadrygi końskie ciągną nie jarzmem chomąta, ale że ciągną piersią, na której leży rodzaj szorów czy szlei. Taką właśnie szleją jest chłopska uprząż podolska. Widać, jak nakarcznik jej pionowy zbiega się z poziomym napierśnikiem w rodzaj ucha, o które zaczepiony jest pętlą postronek. I żadne tam u nas hołoble, ale para u dyszla. A hamowanie odbywa się w ten sposób, że u końca dyszla zaczepiony pierścień rozdziela parę naszelników obejmujących szyje końskie albo pasy obiegowe zawieszone na szelkach nośnych, pasy obiegające zad koński. I teraz już możemy puścić się na łeb, na szyję z góry, gdy rozbiegane konie zapierają się zadami, ich szyje rozchylone, kiedy błyskają i toczą białkami oczu, kiedy strach, oszołomienie i pijacka radość z niebezpieczeństwa i wariackiej straceńczej jazdy.

Skóry na uprząż wyprawiano, garbowano wedle od wieków przyjętych sposobów, przepisów, tajemnic. Po zeskrobaniu od strony mizdry żył i tłuszczu moczono je w roztworach ałunu, saletry, bejcowano garbnikami, po czym szły na kołowrót, na którym ciężko obracająca się rama wykręcała i rozciągała tęgą skórę wołową, co nadawało jej miękkość i czyniło ją podatną. Od garbarni niosło ciężkim cuchem; tam na deskach rozpięte i rozkrzyżowane skóry schły. Po czym je rozcinano warstwami, krajano, cięto w pasy, rzemienie, troki, przystuły, puśliska, popręgi, baty.

Potem rósł gaj konopiany, dżungla podolska na wysokość człowieka, podwójnego wzrostu człowieka, odurzająca wonią konopianą żeńskich „płoskunów” i męskich „głowaczy”, aż w żniwo wyrywano je z korzeniami i długo schły w polu ich długie wiązki ustawione jak w kozły broń. Potem zwożono je nad rozciekłą spokojnymi wodami rzekę i kazano im kisnąć we wodzie przez dni całe – wpośród stojącej wody, przyciśnięte w niej kamieniami – i rozchodził się po ich wyciągnięciu z wody jakiś odór ciężki jak haszysz. A potem schły w słońcu, bieliły się ich paździerze, kiedy na międlicy z łamanych na niej łodyg oddzielano szorstkie włókna i kiedy wyczesywano je na żelaznych grzebieniach w długie srebrne włosy.

Kopyczynieckie powroźnictwo to na tyłach, zaułkach domów żydowskich długie pasaże, wzdłuż których wyciąga się i skręca sznury, postronki, liny konopne na uprząż. Tutaj pod dachem szopy spiętrzone motki kłaków konopianych. Kołowrót powroźniczy to kombinacja koła wprawianego w ruch korbą, przenoszącego swój ruch na kilka w trybach osadzonych haków. Na stołeczku u koła siedzi mały Żydek – dziecko niedorosłe o drobnej główce, którą obramiają wymykające się spod jarmułki pejsy. Dziecko cierpliwie i monotonnie obraca korbę warstatu mechanicznym ruchem rączki, zapatrzone nie widzącymi słodkimi oczami w nicość, i za sprawą tej powoli obracającej koło rączki w migotaniu szprych wielkiego koła odbywa się obrzęd uplatania powrozu na uprząż.

Ojciec, wysoki chudy Żyd, jest przepasany workiem, który wypina mu na brzuchu zapas konopianych kłaków. Kroczy tyłem od warstatu wychodzonym śladem powroźniczej ścieżki i wyszarpuje z worka kłaki, których wysnuwany początek zaczepiony jest u obracającego się haka warstatu. Ręką nieomylnie wyskubuje i popuszcza z dłoni strzępiący się wątek, który w miarę odstępywania w tył rzemieślnika skręca się w długi sznur. Już tuziny tych sznurów leżą wzdłuż całej długości chodnika, by z kolei zostać splecionymi w powrozy o jednym doskonałym, nieomylnym skręcie, ciężkie, solidne, gładkie i tęgie.

Krzywo na zawiasach wiszące drzwi kuźni otwierają się w jej czeluść. Jej zasmolone, zakopcone wnętrze rozświeca żar węgli na palenisku. W powietrzu rozchodzi się narkotyczny swąd spalonego koksu.

Monotonnie chodzi dźwignia miechów i z ich świszczącym westchnieniem rozjarza się w półmroku rozpalona, w węglach zanurzona podkowa. Po kątach walają się kawałki żelastwa, obręcze, noże lemieszy, wszędzie żelaziwo powleczone rudą warstwą rdzy albo nowiutkie błękitne sztaby. Kowalskie kleszcze, cęgi, stągiew z wodą. I kowadło na potężnym pniu w pośrodku przestrzeni, która nawet teraz, w przerwie pełnej ciszy, zda się drgać od rozjęczanego metalicznego bicia młotów, jakim kuźnia wita i mówi na odległość.

Obrządek, jaki się tu odbywa, ma coś w sobie z magii czarów. Nie darmo kowalskim, konowalskim radom i zabiegom, doktorowaniu koniom kazano rozszerzyć zakres i na ludzkie przypadłości. Tu nie tylko wyrywano zęby, ale i odczyniano uroki. A także za dawnych czasów kuźnie, jak świątynie pańskie, uważano za miejsce, gdzie ścigany mógł znaleźć schron, azyl, w kręgu ich bezpieczny i pewny ocalenia.

Tutaj ocalenie przed nudą znajdzie ścigany nią przechodzień. Nigdy nie zabraknie gapia, kiedy na niskim trójnogu-koźle stawiają kopyto, któremu strugiem kowalskim i raszplą nadaje się kształt, gdy przypasowuje się rozpaloną podkowę, aż róg skwierczy i swędzi się dymem. A kiedy wreszcie szybko przyklepywane podkowiaki wygładzane są równo, to pomaga przytrzymać, ściskając nozdrza wierzgającemu i cofającemu się koniowi.

I wozy. Szprychy, obręcze kół, przodki, rozwory, luśnie, wagi, szynkle, sworznie, kłonice, drabiny, półkoszki, wąsągi. A już wielkie ciężarowe wozy towarowe przystosowane do dalekich, wielomilowych podróży po przestrzeniach Podola, z ich wysokimi plecionymi w kosz drabinami, ze specjalnymi pałąkowatymi zamknięciami przodu i tyłu wozu, podróżne, wyrobione z giętego drzewa, opływowe jak łodzie motorowe do pójścia na przestwory „suchego oceanu”, z ich latarnią u osi hamulca z tyłu jak pozycyjna latarnia na rufie galeony.

A ich przeciwnością „linijka”. Po prostu deska położona na osiach czterech kół, z której powozi się, przysiadłszy ją okrakiem. Konie idą powoli, wyrzucając łbami i oganiając się od much siadających im na szyi

i łopatkach. Koła z ich szprychami chropawymi od zaschłych grud błota obracają się powoli.

Kiedy zatrzymać je u skraju lasu, chciwie, żarłocznie nurzają pyski w trawie przydrożnej, ich pyski ociekające zieloną śliną. Na porębie leży drzewo pocięte i porządnie poukładane w sągi, niebo odbija się w spiłowanych tarczach pni, wokół stare już i fioletowe trzaski, wióry i odciosy tego leśnego gospodarowania. Las to las – „nie było nas, był las, nie będzie nas, będzie las…”

Jakby tym wyczarowany, daleko na lizjerę wyszedł lis. Bieli się koniuszek jego kity, lis daleki, niezwyczajny, jakiś taki wężowy, lisi, taki jakiego nigdy nie widzieliśmy i nigdy już nie zobaczymy. Musi od niego śmierdzieć lisem, ale to tylko domysł, bo to daleko. Lisi i chytry, *łys Mykita*, pewnie dlatego ma taką szpiczastą mordę, jakby uciekł z ilustracji do bajek La Fontaine’a, jeden jedyny, ostatni z lisów…

A miałoż być przecież o tym „obcym”. Otóż taki „obcy”, „przybysz”, gość z daleka pojawiał się w mym życiu kilkakrotnie. Przynosił ze sobą jakąś wieść, posłanie, powierzono mu jakieś szczególne zadanie, sekret, który miał mi zakomunikować, ale to do mnie nie doszło. Kilka razy natknąłem się na niego samego, innym razem dobijał się po nocy do domu, gdzie mieszkałem, jeszcze innym razem dawał znać o swym nadejściu przez kogoś innego. Być może, że jakieś zakazy nie pozwalały mu na wypowiedź wprost, być może, że hasło czy kod, w jakim mi to miał przekazać, były zbyt skomplikowane, być może, że działo się to w okolicznościach wyjątkowo nie sprzyjających porozumieniu albo w warunkach, kiedy groziłoby to całej sprawie niebezpieczeństwem, narażało ją na nieudanie. Nie wykluczam także tej możliwości, że to ja sam nie dopisałem, może byłem zbyt tępy, niedomyślny, bez daru zrozumienia języka, jakim do mnie mówił.

„Owej nocy wiosennej – a było to z dnia 26 na 27 kwietnia w roku 1928 – spadł deszcz krwi…”

I tu urywa mi się od samego początku. Bo co? Czyż to i przedtem, i potem nie zdarzały się sprawy na kosmiczną skalę? ale były najnaturalniejszymi.

Był taki jeden wieczór po krótkiej burzy. Zdarza się, że nijakie, normalne niskie niebo zwykłe i po prostu takie, jakie miesiącami rozpinają się nad naszymi głowami, to niebo dzięki szczególnie sprzyjającym okolicznościom – warunkom po burzy przybierze obraz, który mnogością swego wyrazu sprawia, że oczu od niego nie można oderwać.

Wieczór ciągnął się długo. Nad nim pionowo w górę wznosiły się zamki z chmur postawione jeden na drugim. Pomiędzy ich różowymi blankami przedzierało się niebo błękitne i fioletowe w górę, a nad nim nowe kondygnacje murów, fos, przypór i baszt chmurowych. Pomiędzy zamkami otwierały się dalekie krajobrazy w głąb i w górę i cieniowały się liliowo. Były wpośród nich drogi wijące się stokami wzgórz, urwiska, skarpy i przepaście. Pomiędzy murami wznoszącymi się na tych stokach wykwitały nowe widoki: dalekie i wysokie zbiorowiska chmur jak szranki wojsk uszykowanych do szarży. Wymieniały się pomiędzy tymi widokami tęcze, mosty, łuki, fantastyczne akwedukty, gaje, fontanny, szpalery i perspektywy. I nagle wystrzelała ponad nimi w górę masa wieży aż czarnej od cienia, ażeby przez okna jej na przestrzał ukazać niebo tym różowsze i tym błękitniejsze. Pomiędzy tymi krajobrazami wojny i zawieruchy bitewnej jak strzały z armat i moździerzy oblężniczych wymieniały się błyskawice pozostałe po burzy. Te dreszcze błyskawic rozświetlały na mgnienie oka partie murów w cieniu i ukazywały ukryte dotąd dla oczu nowe krajobrazy i widoki.

Daję słowo honoru, że wszystko inne: ziemia, pola, lasy, miasta, rzeki, tory kolejowe, ogrody, fabryki, wszystko wydawało się niczym i znikomym, i niezauważalnym wobec tej olbrzymiej panoramy innego świata. Jakbym przez dziurkę od klucza podglądał jego stworzenie.

No i cóż? Okazuje się, że nie umiem opowiedzieć nawet jednej rzeczy, że nie ma we mnie materiału na Szeherezadę z jej bajkami z tysiąca i jednej nocy.

[prwdr. „Kultura” 1972, nr 4]

UTWORY ROZPROSZONE

Wybór [1937–1950]

Aspekt Śląska

Droga

Jest droga bruk, wlecze się wzdłuż niej solidarna para szyn tramwajowych; droga ujęta w nieskończoną perspektywę murów, ogrodzeń, skarp. Blade październikowe niebo podzielone w zawiłą sieć wielokątów drutami telefonu i przewodów elektrycznych. I kominy. Jedne blisko drogi po cztery w rzędzie wyrastają z kłębów pary i dymu jak dłoń Boga z obłoków polichromii sklepienia kościelnego, inne – jak działa dreadnoughta po oddaniu salwy w niebo. Na horyzoncie to szczeć na nie ogolonym podbródku spracowanego człowieka. Cierpliwa glina tej krainy, wypalona w czerwoną cegłę, czerwieni się wysiłkiem wzniesionych murów. Żelazo to szlachetny już metal, akcentuje tylko zrudziałymi od rdzy bramami, oprzędza drutem i nagle zaczerni się konstrukcją estakady. Olbrzymie koło dźwigu kopalnianego kręci się w samolubnym pośpiechu.

Droga trwa. Pogodziła się już z niewolnictwem 7/100 dopuszczalnego dla niej spadku. Ale w dal jest wolna. Wyraża to triumfem rozpędzonych silników limuzyn, półtoratonowych ciężarówek i leciutkim brzęczeniem komarzych szprych rowerów. Jest solidna i pewna, jak gdyby sięgała ostrą brzytwą do jądra ziemi. Ale wiemy, że jest tylko kostka na głębokiej jak dłoń warstwie betonu, potem miękka ściółka piasku, a potem ziemia, ziemia…

Mury urywają się. Zbiega ku drodze połogie kartoflisko. Za nim na rudym jak cynober nasypie wagoniki wąskotorowej kolejki zajęte bardzo pilnie, bardzo po dziecinnemu transportem. Pną się z mozołem na potworny grzbiet hałdy. Elektryczna lokomotywa przebiera po przędzy rozpiętego nad nią babiego lata. Kadzidlane dymy szlaki snują się po zboczu usypiska w błagalnej modlitwie. Wagoniki wracają niepuste – pełne poczucia spełnionego obowiązku.

Przez pola wielkim krokiem pielgrzymują słupy przewodów wysokiego napięcia. W dłoniach izolatorów lśni jesienne słońce. Powiązane, jak taternicy, obwisłą liną przewodów idą na zdobycie północy.

Droga. Środkiem jezdni wyjeżdżona smuga oponami samochodów, bliżej brzegu kamienie są białe w siatce mozaiki. Auta mkną jak duchy. Zwiastuje je tylko perspektywicznie rosnący zgiełk trybów dyferencjału. Czasem – profanujący ciszę jazgot klaksonu. Cykliści ze smakoszostwem wybierają miękkie banty drogi, żeby wsłuchać się w szelest żwiru pod kołami. Z rzadka pojedyńczo idący człowiek jest czymś dotkliwie realnym na tle tego mistycznego pośpiechu.

Technika, interes manifestują swoje panowanie na Śląsku. Tylko postrzępione cirrostratus-chmury nie dadzą się pomieszać z cumulusami dymów węglowych. Frędzle dalekich deszczów zwisające nad ziemią i wiatr, który dmie w twarz, są takie same, jak kiedyś. Jak prymitywnie przy autostradzie poczerniały od pyłu węglowego krzyż przemawia na poły czytelnym napisem inwokacją, skargą: „…Jak tyn Jezus od Judasza za trzydzieści srebrników sprzedany…”

Miasto

Wygląda z daleka jak angielski tort urodzinowy obsadzony świeczkami. Tort jest czekoladowy, a świeczki to kominy. Przez szybę autobusu, który ciężko balansuje na resorach, usiłuję zdmuchnąć jednym tchem dymy kominów, żeby wyczytać inicjały wróżebne.

Ratusz w stylu secesji berlińskiej, czarny i wielki odbiera resztki skośnych promieni jesiennego słońca anemicznemu skwerowi. W mosiądzu tablic na dyrekcjach hut odbijają się blade twarze dzieci. Kilka autobusów na węzłowym przystanku udzieliło sobie informacji co do drogi i rozjechały się w chmurze dymu. Tramwaje wyrzuciły przeżute ciała pasażerów i zgrzytają z niesmakiem na zakręcie. Policjant na jezdni zna mowę głuchych aut i porozumiewa się z nimi mimiką rąk. Ludzie na chodnikach mają cel przed sobą i tworzą łańcuch jakiegoś gigantycznego paciorkowca, przylepiają się do błon szyb wystawowych i ciśnienie osmotyczne wyrzuca ich z bram domów. Odpadki obsiadają ławki skwerów. I znów auta,

autobusy, ciężarówki, wozy, wózki, rowery, platformy, wozy meblowe, gigantyczne reklamy na kołach, cysterny, tramwaje, motocykle zaklęte tętnem miasta pulsują.

Jezdnia jest czysta, wymieciona, pozioma, mury domów są pionowe, czerwone cegłą, żółte tynkiem i brudne od węgla. Stosy kolorowych lśniących wurstów i kiełbas sąsiadujące z wystawami sklepów tytoniu z martwymi liśćmi brunatnych cygar. Manekiny sklepów z ubraniami w niedzielnej sztywności czczą handel i interes przez powstanie. Na szyldach obok nazwisk czysto śląskich dużo niemieckich. „Probiernia od Wesołego Karlika” jest pewnie instytucją, gdzie zaznać i spróbować można rozkoszy, które nie są smutnymi zapewne. Kina rozziewają swe wejścia wytapetowane miką błyszczących fotosów i upstrzone krostami kolorowych lampek elektrycznych. Nagle ulica jednym skokiem przesadza plątaninę szyn kolejowych gdzieś w dole. Przęsło żelaznego mostu drży pod ciężarem pojazdów. Z prawej strony zgrzyta i stęka huta. Potworne kominy wyrastają tuż przy chodnikach. Monumenty pieców, pergole powietrznych kolei, hale, szklane dachy, elewatory. Huczy dźwig na potężnych łapach filarów. Gdzieś na wysokości ósmego piętra w szklanej klateczce mały móżdżek kieruje potężnymi szczękami, które chciwie chwytają wielotonowe rozpalone tygle, ażeby małpim ruchem wytrząść ich zawartość na zwalaną ziemię. Z otwartych czeluści huty biją snopy iskier, pełgają nikłe postacie robotników. Oto w zgrzycie nadjeżdża nowy dźwig elektryczny z przylepłą u spodu kulą ciężką. Na moment znieruchomiały nad ziemią. Życiodajny prąd został przerwany. I kula spada z hukiem, rozbija żużlowy kształt tygla w gruz. Dźwig chciwie ślizga się w dół, prąd obiega zwoje elektromagnesu, kula przylepła znów i płynie. Z rozwartej bramy wytacza się gąsienica kolei. Węgiel wypełniający wagon w muszlowych przełomach aksamitną czernią wsysa promienie słońca. Dymy kominów opatulają mury wełną czarną, cień ich pełznie po ścianach domów. Punkciki sadzy wirują w powietrzu jak negatywy płatków śniegu.

Dalej domy – dzielnica robotnicza. Mury koloru zeschłej krwi, czarne okna i smutne bladobłękitne niebo między nimi z kłaczkami dymów. W narożnych sklepikach spożywczych nieśmiertelne kolorowe lśniące

wursty i reklamy proszku do pieczenia „Persil”. Grube sklepowe, jak ryby w akwarium, mętnieją za szybami.

Domy rozskakują się. Z placu wystrzela ku niebu wieża kościoła…

Ludzie

Ślązacy są samolubni. Ślązacy są materialistami. Ślązacy są szorstcy w obejściu. Ślązacy to klerykali. Ślązacy są wspaniałym ludem. Jeżeli są samolubni, to nie ukrywają tego, ale są otwarcie samolubni. Jeżeli są materialistami, to znaczy, że umieją być materialistami. Są szorstcy? No to co? Ich szorstkość jest chropowatością żołnierzy w okopach, robotników budujących tamy przed groźnym żywiołem, jest twardością ludzi tworzących na wielką skalę. W tramwajach międzymiastowych, autobusach, na ławkach pociągów, na żużlowych chodnikach, na przystankach obserwowałem ludzi innej planety. W czarnych fałdach twarzy, pod nasuniętymi brwiami, spod rond zatłuszczonych kapeluszy, z zgiętych pracą grzbietów, w stąpaniu drewnianych hutniczych chodaków wyczytywało się inną mentalność. To nie był niekonkretny oblazły uśmiech człowieka innych stron pracy. Wyświecony kubrak miał inne zakamieniałe fałdy – energicznego samolubnego ruchu. Ten fason trzymania się muszą mieć górnicy Pensylwanii, robotnicy budujący „*pistes*” samochodowe w Sudanie, dokerzy w San Francisco, norwescy rybacy z Arktydy. Ich klerykalizm? To jest forma dla nas niezrozumiała. Obserwacja. Czterech mężczyzn w czarnych surdutach i cylindrach na głowie i trzy kobiety na czarno w sutych fałdach spódnic, czepkach na gładko przedzielonych włosach. Wracają czy idą na pogrzeb, wesele, chrzciny. W ich śmiesznych, przeświadczonych o godności ruchach przebija się pewność osiągniętej rzeczywistości. Tak różna od gapiowatej galaretowatości niedzielnej obywatela Siedlec czy Nowego Sącza. Stąpają całą stopą, idą chodnikiem i jezdnią, rytm kroku jest bez fałszu, nic nie mówią. Ci ludzie celebrują swą rzeczywistość. Śląsk zainterpelowany patrzy wprost w oczy ostrą szpilką źrenicy, myśli, naprawdę myśli, i albo mówi bez żenady, że na ten temat nic nie może powiedzieć, albo mówi rozsądnie, treściwie, logicznie, samolubnie. Obserwacja. Wznoszą potężne maszty radiostacji. Potwornych

kształtów werkmistrz przechodzi z miejsca na miejsce. W jego kroku było tyle twórczej pewności siebie, tyle potencjalnej siły konstrukcji, że wydawało się, że, jak demiurg, może kazać ciężkim profilowanym belkom żelaznym unosić się w górę i spajać się w acetylenowym ogniu jego wzroku.

Te słowa przybyszów z innych części Polski, osiadłych na Śląsku, godne są słownika komunałów Flauberta.

„Materialiści. Ślązak zapisze dziecko do niemieckiej szkoły, jeżeli dostanie za jego duszę więcej od Niemców". Tak mówi mi inżynier z Brzezin, na granicy. „Za pracę społeczną humanitarną żąda doraźnego materialnego ekwiwalentu. Nawet harcerze na zbiórki przychodzą jak na płacone szychty".

Te słowa frapują. Ale to jest szczere i otwarte. A ile zakłamania jest w pracy społecznej u nas, gdzie wkracza się z ideą w bramę bezinteresownej pracy społecznej, a wynosi się worek prywacyjek przez dziury w płocie.

Religijność, klerykalizm Śląska wynika z stosunku do materii. Intelekt tych ludzi jest w ścisłym kontakcie z konkretnym światem rzeczywistości. Delikatnych rozgałęzień tego kontaktu nie rozluźnia i nie kurczy narkotyk frazesu, bezmyślności, atrofii siły życiowej. Człowiek, który po ośmiu godzinach pracy w sztolni przy świdrze pneumatycznym przewiercającym caliznę albo szofer trzytonówki-auta przewiercającej przestrzeń osiąga wyżyny metafizyki, choćby to przejawiało się w czytaniu wieczorem ubogich klerykalnych periodyków albo podtrzymywać mu kazało w niedzielnej sztywności czarnego surduta tandetę dewocjonalnych feretronów.

Après nous le déluge

Granatowy policjant z orłem śląskim na naramienniku po stwierdzeniu, że w narożnej budce z dziennikami nie ma pism niemieckich bez debitu, skręca w przecznicę. Na jego widok kilka małych wózków ręcznych pełnych węgla, pociągniętych zasmolonymi rękoma dzieci, ucieka w głąb ulicy. To węgiel z biedaszybów. Śląsk ma do stu tysięcy bezrobotnych.

Węgiel z biedaszybów, wydarty ziemi ma zamienić się w chleb dla nich. Rozumie to policjant i odwraca głowę. Ale odwrócenie głowy władzy to nie tylko afirmacja sprzedaży ubogiego cudzego węgla, ale jest afirmacją chaosu. Odwracamy głowy od narzucającej się rzeczywistości. Natura obdarzyła nas zbyt elastycznym karkiem. I w kraju, gdzie ludzie stoją zawsze wobec rzeczywistości twarzą w twarz, jeżeli nie staniemy z nimi naprzeciw zamętu, naprzeciw alogicznemu porządkowi rzeczy, Ślązak będzie prowadził dziecko do niemieckiej szkoły i w Bytomiu przymierzy swastykę Trzeciej Rzeszy.

„Krytyka i Życie” nr 6, [dodatek do:] „Dziennik Polski” 1937, nr 38

Moi przyjaciele

Czy zdobędę się na pełny obiektywizm w opisie mych przyjaciół i ich zwyczajów, nie wiem. Solipsyzm utajony czy świadomy, który każe obracać się układom pozagalaktycznych mgławic wokoło naszych mizernych istnień, nie pozwala na to zbyt łatwo. Subiektywne zabarwienie spełnia jednak rolę barwnika w preparacie mikroskopowym. Wydobywa i eliminuje z chaosu zdarzeń, z perspektywy codzienności najcharakterystyczniejsze zakręty i naczelne człowieczeństwa.

Ryszard Brandsteter jest antropologicznym dolichocefalem. Wąską twarz wydłużała jeszcze pionowa zmarszczka na czole wyglądająca jak szrama. I ta domniemana blizna uszlachetniająca czoło jak gdyby symbolizowała jego psyche. Wydawało się, że jest zewnętrzną ekspozyturą jakiegoś duchowego pęknięcia. Zdawało się, że mocnym słowem kiedy trącimy tę duszę, to odpowie dźwiękiem ochrypłym pękniętego dzbana metalowego. Ale zawiedzie się zacny poszukiwacz tragicznych urn. W piersi otulonej jedwabiem beżowej koszuli i zapiętej z trudem na ostatni guzik kamizelki nie ma obawy o cierpień pełne westchnienia. Kiedy go pierwszy raz poznałem, siedział przy pianinie snobistycznego domu w czasie zebrania Truwerów. Jedną ręką dobierał akompaniament do piosenki, którą śpiewało zebrane towarzystwo, druga wystukiwała takt na pudle pianina, trzepotała się jak gołąb w powietrzu, była, zdawało się, ożywiona własnym życiem, zdawało się, omalże oderwana od ciała zabieli się na tapecie w neonowym napisie: „Mane, Tekel, Fares” bezkrwistych lat trzeciego dziesiątka dwudziestego wieku.

Stykałem się z nim potem wiele razy. Łączył w sobie zresztą nie zadziwiający teraz paradoks mieszczańskości i cyganeryjności. Należał do chóru kościoła św. Guduli, był nauczycielem gimnazjalnym w leżącym niedaleko miasta powiatowym miasteczku. Budującym był widok, jak prowadził czeredę swych uczniów na wycieczce w czasie zjazdu na 700-

lecie Torunia, gdzie przypadkowo to widziałem. W domu typowo mieszczańskim: foyer z fotografiami, palmami i fotelami obitymi pluszem, z pietyzmem przechowywał biedermeierowskie wykaligrafowane dyplomy czy afirmacje kupieckie, a miłościwie przez cesarza Ferdynanda nadane. Ubierał się w zwyż wspomniane jedwabne beżowe koszule i bielskie materiały. Ta sama pensja kontraktowego nauczyciela dopuszczała jeszcze nieodzowny wydatek na aparat fotograficzny marki „Express Lumen” i na radioodbiornik na raty „Supervox”. Ta sama pensja jeszcze pozwalała na traktowanie nas, reszty, trochę tak, jak się patrzy na idącego w kurzu gościńca podróżnego przez szybę zapchanego i brudnego autobusu.

Na naszych posiedzeniach jednak mocą reakcji zmieniał się w przemiłego cygana. Zaplecze pozycji dawało mu tło, na którym wykręcał się po prostu w konwulsjach rozkiełznanego pięknoduchostwa. Nasze nieodpowiedzialne rozmowy straciłyby wiele bez jego point i ripost, bez tej atmosfery, jaką umiał stworzyć.

Juliusz Włoch jest mały, śpieszy się zawsze bardzo, charakterystycznej jego sylwety z podniesionym kołnierzem palta i dłonią wzniesioną przy powitaniu nie przeoczyłbym nigdy. W teczce pod pachą piastuje swoje artykuły, kilka książek i kolację zimną niesioną z domu na kawalerskie mieszkanie. Kolacji tej nigdy nie mógł donieść, bo zawsze mu ją zjedliśmy.

Był komunistą znanego autoramentu. Komunistą snobem. Materialistyczna doktryna liczy wielu takich. W sposób cyniczny umie jednak godzić się z panującym porządkiem rzeczy na razie i ogranicza się jedynie do wygłaszania na ten temat pewnej ilości mniej lub więcej efektownych paradoksów.

W domu ma *Kapitał* Marksa założony na sto dwudziestej stronie. Dotąd go przeczytał. Uprawnia go to do wygłaszania arbitralnych sądów w każdym konflikcie między burżujskim idealizmem a materialną rzeczowością, jaki wybuchał w naszych rozmowach. Ma pokaźny zbiór książek, wiele z autografami, i zazdrosny jest o jego całość jak filatelista. Każdą pożyczoną książkę odprowadza wzrokiem pełnym bólu, pamięta o niej i biada temu, kto kochankę jego z tego seraju puścił dalej w obieg.

Zbrodniarz jest ścigany, imię jego powtarzane jest przy każdej okazji z goryczą, jego wartość moralna jest zjadliwie kwestionowana.

Ta miłość do książek ma w sobie znamiona perwersji. Jakich dreszczy dostarcza mu podglądanie stron jeszcze nie rozciętej broszury! Analogia z przedwstępnymi obmacywaniami kobiety, która za chwilę będzie twoją.

Juliusz Włoch jest zawziętym wrogiem drobnoburżujstwa. Sam wyszedł z tego milieu.

Jego wiersz o ojcu jest tym, co go ma odgrodzić od tego środowiska. Raz, pukając w futrynę drzwi rodzicielskiego domu, powiedział mi: „Stąd zaczyna się linia demarkacyjna mojego świata". Nie widzi tego, jak okrutnie złośliwie jest przez tamten świat zarażony. Cóż z tego, że potrafi wśród nieprawdopodobnych orgii spędzić noc, kiedy pod nieprzepartym nakazem sublimowanego burżujstwa układa przed spaniem drobiazgi z kieszeni w symetryczne pogotowia i wciąga piżamę rywalizującą z całym ich continuum efektownością deseniu i fałdującą się na jego chudym ciele w fałdy mieszczaństwa.

Ma ogromne poczucie komizmu. Jego wiersze satyryczne mają ostrość introligatorskiego noża wrzynającego się w dziąsła. Nastroszony jest, jak jeż, kolcami swego intelektu na zewnątrz, ale nigdy sprawdzian tak nieomylny nie podrażni jego samego. Chyba żeby zmienił skórę. Entuzjastycznie tłumaczy Bertolta Brechta. Jego *Pieśń o mieście Mahagonny* stała się naszym bojowym hymnem. Strome uliczki z brudnymi płatami topniejącego śniegu w świetle sektora ubywającego księżyca odbijają echo naszych powrotnych kroków i:

„*Where is the telephone?*
Is there no telephone?…
. . . . . .
Let us go to Benares…"

Narcyz Briquet jest nieodłącznym satelitą Włocha i kalamburzystą przysięgłym.

Zdzisław Modrzewski jest, według klasyfikacji Kretschmera, astenikiem. Włosy wiją mu się w fale, to znaczy, że są w przekroju owalne. Zęby miałby piękne, gdyby nie to, że jeden siekacz jest lekko skrzywiony. Ale

jest bezpretensjonalny, bo często się śmieje. Jest prawdziwym poetą. Nie chcę tu występować w roli jego Boswella. Zresztą nie odznacza się on nieobliczalnością Johnsona. Jest tak prosty i przejrzysty, jak sok wyciekający z brzozy. Jest prawdziwym poetą. Nawet z lekką dozą pozy, meskinerii i kabotyństwa, które każą mu siadać w salonie na podłodze, puszczać się na samotne wędrówki za kwiatami i grymasić nad kieliszkiem wódki. Adleryzm znajduje w nim klasyczny przykład, jak przez kompleks niższości dochodzi się do panowania nad otoczeniem. Jest miękki [i] żal wzbiera, kiedy widzę, jak pod brutalnym uderzeniem rzeczywistości cofa się i patrzy zdziwionym wzrokiem.

Jest dla mnie zadziwiającym zjawiskiem poety. Proza, jaką popełnia – w przeważającej części dla wierszowego – jest słaba, sztuczna i zdradza kompletny brak materiału. Poezje swoje pisze jak gdyby w pozarealnym kontakcie z światem nie podpadającym pod zmysły. Nie wystukuje metrów palcami po stole, nie ma pojęcia o istnieniu czegoś takiego, jak poetyka Tarnowskiego, ale to, co pisze, jest tak poetyckie, jak gdyby umyślnie chciał zadziwić jakimś sztukmistrzostwem zjawiania rzeczy z niczego nam, przytomnym.

W naszym światku Truwerów przyjęte było, przy całym ekshibicjonizmie jego członków, mówienie sobie prawdy. Było po prostu „*dans l’esprit de la maison*”. Praktycznie wyglądało to tak, że mówiono sobie w oczy niesłychane rzeczy, inwektywy, przeprowadzano druzgocące konfrontacje, dokonywano na sobie wiwisekcje bez narkozy konwencjonalnych obudowań frazesem, spazmatyczne wywnętrzania się, przy których efektowni, publicznie spowiadający się grzesznicy Armii Zbawienia wyglądaliby jak symbole zamknięcia się w sobie i enigmatyczne sfinksy. Te orgazmy ekshibicjonizmu pokrywały i zatajały pokłady urazów, studnie podświadomych abominacyj, jaskinie idiosynkrazji.

Rozpamiętując chwile naszych spotkań i rozejść, kiedy fenomen Zdzisława Modrzewskiego błyszczy mi się miką wspomnień, myślę, że to on nadał timbre tym fałszywie adekwatnym wynurzeniom. Jego anhelliczny gest wyciągniętej dłoni z sercem miał dla mnie wiele z patosu pretensjonalnego prosektora pod szklaną kopułą amfiteatru kliniki.

Kurt Föhn-Żagielski przy całym swym roztrzęsieniu i aprecyzji psychicznej wydawał mi się najbardziej świadomym swych planów i zamierzeń. Z codziennego niechlujstwa umawianych i nie dotrzymywanych spotkań, niezdecydowanych projektów, spóźnień, zniechęcających autokrytyk, przegapionych telefonów, pesymistycznych refleksyj i całego bagażu *Minderwertigkeitkompleksu* wyłaniała się zdecydowana linia realizowanych osiągnięć.

Podkładał pod swe literackie, intelektualne, zmysłowe wynurzenia i osiągnięcia skomplikowane rusztowania i szczudła komentarzy i pleonazmów. Przykład: Wielką popularnością cieszyła się kiedyś rwąca regularnie, jak newralgia, raz na tydzień audycja miejscowej stacji radiowej, niezapomniana entuzjastom, pod nazwą *Szalonego mikrofonu*. Kurt, którego talent parodystyczny i zdolność *mimicry* znalazły tam pole do popisu, stworzył tam postać starego ramola, która przy kilku innych radiogwiazdach, radioodbiorczo płytkich, naprawdę pretendowała do roli klasycznej sylwetki jakiegoś pana Prudhomme'a w całym hieratyzmie filozofii mieszczańskiego *niveau*. Naturalnie, Föhn-Żagielski swoje zdeklasowanie intelektualne jakoby (przez zejście z sfery abstrakcyjnych syntez i uogólnień w świat wulgarnych realiów) osłonił niezwłocznie parawanem subtelnych i skomplikowanych usprawiedliwień, w których autorytet Bergsona, Lippsa itp. uszlachetnił stronę komizmu i humoru.

Rafał Breitman nie obrazi się, jeżeli, nazywając go snobem, dodam, że jest jak wycięty z *The Book of Snobs* Thackeraya. Jest kłębkiem snobizmu i jego lunatycznie poprawna sylwetka linoskoczka chodzącego po linie położonej na ziemi wprawia w podziw. Można przewidzieć dzięki temu każdy jego krok. Naturalnie, chodzenie po linie, abstrahując od tego, jak wysoko jest ona położona, usprawiedliwia każdy rodzaj egoizmu, bo nie czas wtedy na altruistyczne dygresje.

Utkwiła mi w głowie kiedyś jakaś popularna dysertacja o sposobach życia wymoczka o skomplikowanej nazwie naukowej *Paramecium caudatum Ehrenberg*. Ponieważ w wędrówkach swoich od wszelkich przeszkód odbija się on i odpływa pod pewnym stałym kątem, można go

zmusić nawet do podpisania się. Myślałem o takim eksperymencie na moim przyjacielu Rafale.

Ale nieprzewidzianą jest dla mnie u niego sprawa, która tak nie koreluje z schematem, jaki, myśląc o mych przyjaciołach, wyrobiłem sobie o nim. Jego zadziwiające porozumienie z bratem. To nie szablonowy związek pokrewieństwa ani łatwizna w samolubnym szukaniu rezonansu wrażeń. Jest to coś, czego nie potrafię określić. Błysk oczu, słowo, porozumienie! To ma dziwny urok czysto wizualny. Dlatego może, że tak prawdziwe i własne.

Bardzo ironiczny z wyżłobionymi fałdami sarkazmu na młodej twarzy Alojzy Zamsz umie myśleć bardzo ściśle i dwa ukończone fakultety nie zaszkodziły precyzji jego w budowaniu sądów. Wydaje eklektyczne pismo literackie „Zastrzały” i to zburzyło świetny stan dystansu, jaki sobie stworzył, żeby móc podrwiwać z rzeczy. Zadziwiający jest dla mnie także fakt, że raz wystawił się wobec nas na tak niewygodny i niemiły mu stan, kiedy przechodził na prawosławie. W czasie ceremoniału, pamiętam, był taki moment, że musiał ukląc i widziałem wtedy podeszwy jego nowych butów. Zastanowiło mię wtedy, że są chwile ważne w życiu ludzi, kiedy ma się możność oglądania ich nowych podeszew – ostatecznie na katafalku nosami do góry.

Kiedyś w dzieciństwie opowiadano mi bajkę, jedną z tych słynnych *nursery rhymes*, którymi od zarania ogłupia się ludzi. Była tam mowa o braciach, którzy rozchodzą się w świat i na rozstajach wbijają w drzewo sztylety. Po latach los ich sprowadza do tego pnia, w którym tkwią ich noże. Stalowe brzeszczoty informują ich wzajem o losach.

Noszę w sobie zimne ostrza wspomnień, faktów, zdarzeń. W plątaninie swych dróg, przyjaciele, będziecie przechodzić koło mnie. Będziecie wyciągać ze mnie swe noże, będziecie patrzyć w lustro ich kling i wróżyć z plam krwi. To tylko moja krew… przyjaciele.

„Krytyka i Życie” nr 7, 8 [dodatek do:] „Dziennik Polski” 1937, nr 45, 52

Krzemieniec

…wołałem krzemienieckiej góry,
Aby stanęła za mną – lub pode mną.

(Słowacki)

Kiedy pierwszy raz dojeżdżałem do Krzemieńca, była wczesna wiosna. Śnieg leżał jeszcze płatami na skarpach kolei. Słupy telegraficzne uciekały szybko wstecz, mniej śpiesznie – białe pnie brzóz przy torze, a czarna siatka grabów w głębi lasu stała uporczywie w miejscu. Nagle las skończył się i na horyzoncie – wzgórza. Bliżej – zorane pola: skiby przetkane kamieniami. Zaraz Krzemieniec.

Jedzie się ze stacji kocimi łbami wołyńskich ulic. Miasto w wąwozie urwiska płyty podolskiej. Po obu stronach ulicy domki. Z drzewa koszlawa architektura nakryta dachem z blachy pomalowanej na czerwono albo holenderskiej omszałej dachówki. Zaraz poza domkami ucieka do góry stromy zadrzewiony stok wąwozu.

Domki coraz ciaśniej zwarte, dachy narastają na siebie jak kolonie grzybów na korze dębu. Stroszy się wpośród nich petersburska architektura cerkwi dla odmiany o zielonych kopułach. Ścieki w myśl wschodnich nakazów higieny wymalowane wapnem na biało. Śródmieście. Barokowe fasady starych domów, schody, drewniane galeryjki, balkony. Nad wszystkim dominuje od zachodu fasada kościoła liceum.

Z drugiej strony przygniata miasto Góra Bony. Jeżeli naprawdę Bona Sforza fundowała ten zamek i była kiedyś w Krzemieńcu, to musiała być oczarowana jego pięknością. Bo gdzie Mantui Sforzów w nudnej nizinie Padu do bohaterskich urwisk wąwozu krzemienieckiego!

Miałem mało czasu. Wieczorem musiałem wracać. Łapczywie pochłaniałem miasto. Byłem pod niedawnym wrażeniem *Beniowskiego*. Może to dobrze, że Krzemieniec nie będzie jakimś Szekspirowskim Stratfordem z wszystkimi autentycznymi zlokalizowaniami młodości

Słowackiego. Długo szukałem na starym cmentarzu empirowej urny grobu pani Salomei Bécu. Wyobrażałem sobie, [że] głogi wieńczące szczyty wzgórz czepiały się fałd jej biedermeierowskiej sukni, kiedy w towarzystwie tabaczkowych surdutów wybierała się na przechadzki.

W parę tygodni potem śmieszne uliczki krzemienieckie odbijały echo twardych kroków. Było nas kilku ze Lwowa, czereda młodych uczenic Szkoły Sztuk Pięknych z Warszawy – i słońce. I lipiec. Autochtoni: Żydzi, mużyki ze wsi i światek referentów ze starostwa patrzył ze zgorszeniem na gołe opalone nogi malarek i dekadencki fontaź kolegi P.

Razem chodziliśmy na plenery, razem przesiadywaliśmy naprzeciw ugrowych w słońcu i ultramarynowych w cieniu domków i fasad krzemienieckich, razem zapijaliśmy się lemoniadą w ogródkowym „Tivoli" i wałęsaliśmy się wieczorami po stokach Bony. Głębokie studnie wiercone w marglu wzgórz krzemienieckich powtarzały spóźnionym echem nie skoordynowane strzępy dyskusji. Mały wędrowny cyrk znalazł w nas entuzjastycznych widzów.

A Ikwa. Srebrna Ikwa, w samej nazwie mająca skoncentrowany romantyzm. Ikwa. Niełatwo dotrzeć do niej. Naprzód obiad, zęby cierpną od zimna lodów (na dworze 30 stopni w cieniu), a tu jakiś szanowny pedagog liceum cuda opowiada o Daltońskich metodach nauczania. Wymykamy się chyłkiem, nudziarz zostaje sam z muchami. W śmiesznym składzie, gdzie „wszystko" można dostać, wypożyczamy rowery i Ikwa zbliża się do nas. Miękki torf łąk nadrzecznych ugina się pod pneumatykami.

Godzinami można chodzić wzdłuż zarośniętych brzegów rzeki wijącej się wężowymi skrętami wśród traw. Zanurzać się w spokojne nurty z seledynowymi wodorostami. Powrót przy bladym wieczornym księżycu nad stokami wąwozu.

W skwarze dni jeździłem jednokonną wołyńską linijką wśród falistych pól. Kłosy czepiały się kół, koń parskał i wyrzucał głową przed muchami. Czuby Sokolej Góry i wzgórz krzemienieckich drgały w rozpalonym powietrzu. Mijam wozy zaprzężone surową skórzaną uprzężą w konie

powożone przez chłopów w furażkach i barchanowych kolorowych koszulach.

Trzeba żegnać Krzemieniec. Niski księżyc kładzie długie atramentowe cienie na białe kamienie uliczek. Barokowy kościół licealny wystrzela dwiema świecami wież ku gwiazdom. Na górze czernią się drzewa krzemienieckich cmentarzy. Ubogie prawosławne wieloramienne krzyże, melancholijne jak pomniki genueńskiego Campo Santo.

Trzeci raz w Krzemieńcu byłem po paru latach. Szedłem wśród znanych uliczek przy bębniącym w liściach drzew deszczu. Przyjechałem wczesnym rankiem w te odległe strony w czasie odbywania manewrów wojskowych.

Z goryczą chodziłem po miejscach, w których kiedyś byłem. Wspomnienia chwil natrętnie przysuwają swe twarze. Ekshumowane wrażenia mają blade, bezkrwiste zarysy. Nowy świat, nowe życie podkreślają ich minioność.

Chodziłem uliczkami, wspinałem się na stoki wąwozu po oślizgłej od deszczu trawie. Zimne mury kościoła licealnego drżały w huku organów. Powoli przetarły się chmury i wyjrzało słońce. Kamienie szybko schły. Sklepiki z jaskrawymi szyldami, ruch niedzielny w uliczkach, kraty cieniów i blasków słonecznych nie ożywiły teraźniejszości.

Szczerby murów na Górze Bony wykrzywiły się ironicznym uśmiechem potwornej czaszki. Błękitne niebo nabrało tonu wyblakłych draperii makabrycznego obrządku.

Czas i mijanie lśnią w wyślizganych poręczach mostków, z zielonych od nalotu kamieni murów, wyszczerbionych dachów i skrofulicznych twarzy Żydów.

Kiedyś przed laty, za pierwszego słonecznego pobytu w Krzemieńcu w swoich włóczęgach natknąłem się w polu na rozwalony kopiec zmarzłych w zimie kartofli. Straszliwy odór gnijącej materii na kilkadziesiąt kroków wstrzymywał przechodzącego. Dzisiaj pod naciskiem obsesji tego faktu skierowałem się w tamtą stronę. Falista równina ciągnie się w stronę Szumska i Katrynburga. Z kopca, naturalnie, ani śladu. Ale o umysł mój uderza i zaczadza fala wspomnień w rozkładzie. Wspomnienia pozbawione siły witalnej w czystym powietrzu teraźniejszości oszałamiają.

Wróciłem do hotelu. Z suchymi oczyma utkwionymi w sufit przeleżałem resztę dnia.

W nocy, w stukocie pociągu wróciłem do świata.

Nie należy wracać do miejsc.

„Krytyka i Życie” nr 11, [dodatek do:] „Dziennik Polski” 1937, nr 73

Fluctuat nec mergitur

Paryż jest kształtu elipsy. Oś długą elipsy tworzy avenue des Champs-Élysées, rue de Rivoli, rue du Faubourg St-Antoine. Prostopadle do niej oś krótka: boulevard Sebastopol i boulevard St-Michel. Eliptyczne współśrodkowe pierścienie to bulwary otaczające jądro – La Cité. Na zachodzie Bois de Boulogne, na wschodzie lasek Vincennes. Na północy Montmartre, na południu Montparnasse. Już nie zbłądzimy.

Sekwana, jak wąż, skręca się pośrodku.
W Sekwanie nurza swe stopy święta Genowefa Landowskiego. Galary i parowce ciężko toną w oliwkowej wodzie. Inne lekkie, z wysoko widoczną linią zanurzenia, składają kominy pod łukami mostów. Światła Samaritainu drżą we wodzie. Puste *quai* koło Hal Wina odbija echo kroków. Kopułę nieba obramowuje łamana linia dachów, kominów; okna paryskie ujęte w wyblakłe od deszczu żaluzje z dzielącymi je u dołu poręczami, okna kryjące zatęchłe foyer mieszczańskich rentierów, abażury, palmy, sztychy za szkłem, zakurzony hełm stalowy z okopów znad Sambry i fałszywe fajanse z „Unis Prix”.

Narożna kawiarenka wysypała rój krzesełek na chodnik, wśród których nudzi się garson w białym fartuchu. Otyła konsjerżka z węzłem włosów na czubku głowy (lata dziewięćsetne) wyprowadziła na wieczorny spacer astmatycznego pinczerka obwąchującego okratowane drzewka przy krawężniku. I znów sklep z tytoniem z czerwono i nieprzyzwoicie płonącym cygarem i bladoniebieską skrzynką na listy. Od Hal Wina niesie odurzającym zapachem beczek. W dole przy jaskrawym świetle lamp elektrycznych dźwig w obłokach pary wyładowuje kamienie ze zgrzytem z barki przytulonej do brzegu. W nadbudówce w tyle łodzi nie przeszkadza to rodzinie sternika zgromadzić się w rodzajowym kiczu przy kolacji.

Wiatr jest ciepły i pachnie gumą opon roztartą o asfalt. Przemknęła taksówka i zakołysała się, skręcając na most. Jakiś pan, dotykając laską

brody, kontempluje brudne nurty rzeki.

Skrzynie bukinistów na parapecie wyglądają jak szeregi trumien oczekujące Charona, który ma przewieźć je na brzeg drugi. Ulice mijane jakoś odwrotnie perspektywicznie rozszerzają się w górę. Blady sierp księżyca ukazał się akurat nad miejscem, gdzie, spodziewam się, leży paryski meczet muzułmanów. W niewiadome dnie świąt islamu spotkać tam można czarnych Senegalczyków z Troupes Coloniales stacjonowanych w Paryżu. Czarne gęby z porcelaną zębów, nieodzowny złoty zegarek na przegubie ręki, khaki mundur i czarne kepi na bakier na wełnistych głowach. Jardin des Plantes, naturalnie, zamknięty. Posegregowana egzotyka menażeryjno-gabinetowa tchnie stamtąd naftaliną i kurzem. Skamienieliny, setki czaszek jak w podziemiach rzymskich Kapucynów, fenomeny i potwory w spirytusie, zewnątrz żywe flamingi drzemiące nad ogrodzonym siatką stawem, wyleniała antylopa gnu, a nad wszystkim unosi się duch Buffona, który dziwi się potwornościom naszego wieku. Ponad nim lśnią gwiazdy i księżyc, już wyżej.

Ogromny bąbel kopuły Panteonu drży na tle nocnego nieba u wylotu rue de la Valette. Za szybami słabo oświetlonych *bistros* pochylone nad dominem czerwone od wina twarze robotników. Gdzieś z mansardy domu przy wąziutkiej rue Laplace dochodzą tangowe melodie akordeonu. Ulica Soufflot pęka światłami, jak granat, na boulevard St-Michel. Drzewa Ogrodu Luksemburskiego, drzewa wśród posągów królowych Francji, wśród kobiet.

Perspektywę Pól Elizejskich okraczył ostrą sylwetą Łuk Triumfalny. Oddech dwustu tysięcy samochodów Paryża łagodzi tęcza rozbita w piórach fontann Rond-point des Champs-Élysées. Gorący pulchny asfalt chodników wykwita kwiatami kobiet, które Worth i Patou zamienili w mistyczne anioły. Rój stolików wysypanych przed kawiarniami obsiadły syfony z wodą sodową zahipnotyzowane zawrotnym ruchem ulicy. Tylko liszki garsonów pół czarne, pół białe pasożytują niewzruszenie między krzesłami. Olbrzymi samolot Farmana za szybą wystawy uwięziony rwie się do lotu. Pogardliwe neonowe oko „Vu” nie dziwi się jego upokarzającej niewoli, sąsiadującej z bibelotami „made in England” w witrynie obok. Łuk

Triumfalny rośnie. Przyjście jego zwiastuje czerwony spocony kark policjanta celebrującego w zaklętym kręgu gwoździ asfaltu magię ruchu. Propaguje go zielony wytatuowany napisami brzuch autobusu. Płaszczą się przed nim lśniące pudła limuzyn.

Rozsiadł się na wielkim placu jak ukwiał na ciele rozgwiazdy morskiej. Jedno jej ramię: avenue Wagram, ginie w dali w dymach Gare St-Lazaire. Drugie ramię drga konwulsyjnie próżnością i blaskiem avenue du Bois de Boulogne. Rozgwiazda przemienia się w apokaliptyczną kometę, której ogon strzela ku Port Maillot, przekracza Sekwanę, aby gdzieś w Calais utonąć w morzu. A Łuk trwa. Skamieniała w patosie Marsylianka Rude'a.

Paryż, lato. Oczy moje parzy asfalt puchnący w słońcu jak zaczyn kwaśnego ciasta. Ale kiedy je dźwignę, czyha na nie miliard laseczników rozpełzłych po murach, słupach, transparentach, ekranach, portalach. To napisy. To słowa. Hipnotyczne inwokacje reklam, chamsko poufałe ostrzeżenia, rajfurskie drogowskazy. Słowa zmumifikowane w farbie, lakierze, emalii, metalu, szkle. Ocieka nimi odwłok autobusu, przymila się syfilityczny szalet pisuaru i rzyga światłem w niebo Tour Eiffel. „Clôture annuel" mówi o sielankowych uciechach mieszczucha, który zamknął na lato budę i moczy się z rodziną w Pourville. „Avis aux citoyens", to znaczy, że do ciebie, obywatelu, idę ja i za twój głos i perłowe niebo Pornic dam ci posadę kontrolera w plugawym lochu Metropolitainu! „Arret facultatif" przystanku śpiewa ci o zielonym szczęściu tramwaju, jeżeli stać cię będzie na gest podniesienia ręki. „Attention au voitures" brzmi groźniej niż: „Memento mori". „Stock américain" – w tym dźwięczy mosiądz trąb barbarzyńców idących na Romę. „Signal aux piétons!", „Défense d'afficher – loi du 22 septembre 1882", „Défense expresse de cracher dans la voiture", „Charcuterie", „Vins charbons", „St-Raphaël". I wszędzie „Dubonnet" i „Société Laitiere Maggi".

Uszy wypełnia nie milknący zgiełk trybów dyferencjałów samochodów, gwizdki policjantów regulujących ruch i: „»Paris Soir«!", i: „»-L'Intransigeant«!" sprzedawców gazet.

Oszołomionego potrącają ludzie w marynarkach, bluzach, mundurach, burnusach.

Miasto kontrastów. Można przerzucić się z zacisznego ogródka domu Balzaka w Passy, gdzie w cieniu kasztanów spijało się słodycz spokoju, w okolice Giełdy, skąd krzyk dziesiątków ludzi, jak z kręgu dantejskiego piekieł, pędzi zdezorientowanych w stronę Hal, między keniony z gór mięsa, owoców, chleba – codziennej porcji molocha – do chaosu wieczornego nasilenia ruchu koło Madeleine. Od przepychu rue Royale, avenue du Friedland, Passy do straszliwszych miast skleconych z skrzynek od pomarańcz i łachmanów za granicami, *octroi*, Paryża.

„Krytyka i Życie” nr 16, [dodatek do:] „Dziennik Polski” 1937, nr 106

Wspomnienie z III Zawodów Szybowcowych w Rhön Polski – Ustjanowej

Zimny świt wdzierał się przez okno wagonu, kiedy ocknąłem się z drzemki na ławce pociągu do Ustjanowej. Sanok, Rymanów, Iwonicz i coraz więcej słońca. Linia kolejowa wije się serpentyną wśród wzgórz; wychylony z okna wypatruję Ustjanowej. Nareszcie. „Ooo!” współpasażerów ubiega mnie. Nad wzniesionym wałem wzgórz błyska raz po raz iskierka. Już odróżniam jeden szybowiec, a oto drugi zagrał błyskiem lakieru na skrzydle pod słońcem, oto trzeci, dziesiąty. Fantastyczny widok! Z daleka wygląda to jak rój komarów, za chwilę jednak to albatrosy, kormorany kołują czarnymi krzyżami na bladym błękicie październikowego nieba. Wyraźnie widać granicę wstępującego nad Żuków prądu powietrza, wszystkie szybowce trzymają się tego komina.

Pociąg skręca, zwalnia – prowizoryczny przystanek: Ustjanowa. Na szkarpach przekopu biało-żółte barwy z sugestywnym napisem: „Uczmy się latać”. Wysiadamy.

Z lotniska z lewej strony wytrysnął w niebo samolot. W piruetach loopingów gubi się w zenicie. Wszyscy idą nienormalnie z zadartymi w niebo głowami, ale rozlatany *meeting* szybowców nad Żukowem przyciąga przede wszystkim spojrzenie.

Wśród tłumu ludzi, kombinezonów, rękawów z kolorowymi opaskami znajoma twarz. To znany pilot szybowcowy Franciszek Kotowski. Parę ostrożnych pytań profana, jakim jestem, mięsza się z konkretnymi odpowiedziami. A więc: Zawody szybowcowe w Ustjanowej są trzecimi z rzędu w Polsce po początkach w Gdyni i Nowym Targu. Początki nie były efektowne, szybownictwo przeszło okres budowania zasadniczych podstaw. Ogniskuje się w Związku Awiatycznym Studentów Politechniki Lwowskiej, a rozpina skrzydła po „odkryciu” Bezmiechowej, która jest tym dla Polski, czym dla Niemiec – Rhön-Wasserkuppe, a w Sowietach – Krym. Padają

pierwsze rekordy, szybują pierwsze aparaty wyczynowe. Każdy śnieżnobiały cumulus nad Bezmiechową to sztandar nowych zdobyczy. Każdy w pomruku grzmotów nadchodzący wał chmur to rekordowy lot na czole burzy. Nad lotniskami Lwowa, Warszawy, Krakowa, Poznania wyzwalają się ciągnione na holu ptaki. Każdy tydzień przynosi odkrycie nowych terenów szybowcowych – Małopolska, Wołyń, Kieleckie to obszary nieskończonych możliwości. Wzwyż tysiąca pilotów szybowcowych – od tych, którzy przeszli niedawno pierwsze „szuranie", do starych akrobatów.

Mego informatora odwołują. Wspinamy się na zbocze Żukowa. Lina wyciągu wlecze do góry zmęczonego ptaka, który osiadł gdzieś na dole, inne na szczycie pochylone na jedno skrzydło i przypięte do ziemi robią wrażenie spętanych.

Jeden z nich przygotowuje się do startu. Pilot zapina na sobie klamrę spadochronu, polskiego irvinga, nakrywa głowę przejrzystą kopułą z celuloidu aerodynamicznej linii dziobu. Przez tubę woła starter:

„Pilot gotów?"

„Gotów!"

„Ogon gotów?"

„Naciągać!"

Sześciu ludzi naciąga wielkie „V" liny gumowej.

„Biegiem! Puść!"

Płoza szurnęła po zdeptanej trawie zbocza. I cud w naszych oczach. Szybowiec odrywa się od ziemi. Daje szusa, wbrew sile ciężkości, w przestwór. Niepotrzebna lina, splątana, opada. Pilot zostaje sam. Przed nim deska z armaturą, w dole przepaść.

Ale nie jest sam – mija z prawej, lewej, z dołu, w górze kilkanaście innych ptaków. I jedna myśl: latać jak najdłużej, jak najwięcej…

Rasowe sylwetki szybowców przeźroczyścieją pod słońcem skrzydłami ważek. Świst powietrza pikującego do ziemi szybowca to jedyny głos i – cisza. Na grzbiecie Żukowa hangary i namioty, w których mieszkają zawodnicy, odsunięte są dalej. Na tablicy wypisane zadanie dnia:

„Przelecieć od coty… do coty… dla kategorii takiej a takiej lądowanie na zboczu północnym, dla kategorii takiej… – na zboczu południowym”.

Biało-czerwony rękaw trzepocze się na maszcie, wskazując kierunek wiatru. Komisje sędziowskie na wyrywających się na wietrze papierach znaczą wyniki. Dzień się kończy. Z żalem schodzimy ze zbocza. Za nami pozostaje góra i nad górą kołują nieprzerwanie szybowce, żeby wylatać nową skrzydlatą przyszłość.

„Krytyka i Życie” nr 29, [dodatek do:] „Dziennik Polski” 1937, nr 202

Tarok

Był złotogniady, od czoła do chrap przebiegała trochę skośnie strzała biała, na wysokości nozdrzy zaróżowiona. Pęciny tylnych nóg były jak umaczane w śmietanie. Nadawało mu to pozór lekkości, strzelistości.

Był nerwowy i strzygł niespokojnie uszami i tym różnił się tylko, przynajmniej w moich oczach, od spokojnego irlandzkiego huntera kapitana. Wytykano mu i inne wady, ale ja ich nie widziałem.

Nasz ogniomistrz zaprzęgowy Rojek nie darzył go sympatią. Ironicznie wtykał swój czerwony nochal ugarnirowany szydłami wąsów do boksu, kiedy karmiłem konia chlebem, a na przeglądach tygodniowych, o pół kroku za kapitanem, z rękami na szwach spodni, zezując złośliwie w moją stronę, mówił:

„Coś Tarok tak mizernie wygląda…”

Oznaczało to, że na najbliższe wyjazdy będę tłukł się na jakimś mongolskim tarpanie bateryjnym, a Tarok będzie skazany na nudy konowiązu.

Tarok! Był wspaniałym talentem do wyzyskania. Przed wszystkimi konkursami hippicznymi: *„military”, steeple chasse,* zawodami jego kandydatura była gorliwie roztrząsana i w rezultacie zawsze odpadał. Miał swoje przedziwne fanaberie i bano się uzależniać od jego kapryśnej indywidualności. Potrafił po przebyciu skomplikowanych *triple barów, oxerów* i „fortepianów” wyłamać przed jakąś głupią „kopertą”, a upartego jeźdźca – zrzucić, ażeby ku uciesze gawiedzi, z rozwianą grzywą i rozlatanymi strzemionami dać się długo łapać przez luzaków w ciężkich butach.

Rano po apelu chodziłem do stajni. Po obu stronach wybetonowanego korytarza, między słupami uwieńczonymi natłuszczonymi siodłami i uprzężą lśnią zady końskie. Gdzieś w głębi słychać nie obowiązujący głos gderania zaprzęgowego ogniomistrza. Tarok stoi zaraz obok

arystokratycznych boksów wierzchowców kapitana i pierwszego oficera. Koścista długa klacz pierwszego oficera, Lora, kapryśnie przebiera między długimi źdźbłami siana. Tarok prychał, gryzł całe pęki i wywracał białkiem oka w moją stronę. Złote smugi słońca kładły się na jego lśniących bokach.
„Do wsiadania! Naaa – koń!”

Przepiękne słowa komendy! Lewa noga tkwi już w strzemieniu, wodze chwycone tak, że koń toczy się na człowieka, czuje się między palcami ogień grzywy i „na koń!” po prostu unosi, odrywa od ziemi, od lekkiego wysiłku krew uderza do głowy, świat kręci się z drzewami około, kiedy wykonuje się pół obrotu, i oto z wysokości siodła otwiera się horyzont.

Z tyłu słychać kwik jakiegoś znarowionego konia, który nie pozwala się dosiąść, i prawa noga szuka celnie strzemienia.

Ruszamy. Stęka bruk pod kołami dział, konie jeszcze niezgrane naciągają nierównomiernie postronki, najeżdżają na siebie, zabawnie uciska cholewa buta, kiedy przyciśnie ją do boku sąsiedniego konia. Siodła skrzypią. Kurz uniesiony kopytami pachnie końskim potem.

Tarok wygina szyję, z góry widziany jej kark jest gruby, pełny życia z rozwichrzoną frędzlą grzywy opadającą na prawą stronę. Na jej połyskliwym łuku sadowi się zielony bąk. Spędzam go. Zagniewany zrywa się z brzękiem, leci zygzakiem wzdłuż zaprzęgu i siada na czole flegmatycznego podręcznego dyszlowej pary.

Jedną z wad dyskredytujących Taroka jest to, że „sztorcuje”. To znaczy: nie potrafi iść stępa. Stale zachowuje denerwujący ni to kłus, ni to trucht, nigdy nie dostosowany do tempa baterii. Po dwudziestu minutach takiej jazdy łzy napływają do oczu, wszystkie wnętrzności bolą, gdzieś u nasady czaszki rodzą się iskry, które skrzypią w zębach i ulatują przed ekranami siatkówki pod daszek czapki.

Jesteśmy w polu, przed nami w kurzu zwiadowcy, zaprzęgowy ogniomistrz na końcu baterii… Ściągam wodze. Defiluje przede mną druga, trzecia para zaprzęgu, obracają się szprychy kół i nadjeżdża oliwkowozielona blacha tarczy.

Jedyne na świecie miejsce, gdzie Tarok będzie szedł stępem, to za tarczą działową.

Szeroka czteromilimetrowej grubości blacha tarczy ze stali chromoniklowej zasłania mu pół świata. Czemu poza nią tylko jego wiecznie napięte nerwy doznają ukojenia? Czemu nie osiągnąłem tego perswazją i poklepywaniem po gładkiej szyi? Tarok jest mi zagadką. Czy ma on jakieś irracjonalne założenia, które w tym jego odgrodzeniu się od świata mają przynieść jedyny spokój i pewność? Matowa jednobarwna ściana posuwa się przed nim w drganiach i chybotach wybojów drogi, metafizyczna czeluść wciąga nas w ślad za nią, fragmenty świata z jednej i drugiej strony drogi swoim natręctwem nie przerywają naszego urzeczenia. Tarok wyrzuca głową, frędzle włosów grzywy wiatr zwiewa, sierść w upale słonecznego dnia ciemnieje tam, gdzie na delikatną skórę występuje pot.

Jak trudno wczuć się w tajemniczą psychikę zwierzęcia! Pewnie, anatomia porównawcza, embriologia, histologia będą mówić o większym przedziale między nami niż to, co dzieli mego Taroka od jego prototypu z epoki eocenu: konia czteropalczastego wielkości psa czy impresjonistycznych sylwetek wydrapanych na ścianach grot aluwialnych przez troglodytów. Jaki jest jego świat, tak różny od moich stereoskopowo widzianych obrazów, świat pełen woni, tajemniczych elektromagnetycznych wyładowań instynktu, nieprzepartych trwóg, zielonych nirwan? Jak godzi on swój świat ze światem człowieka, który samolubnie każe mu wkładać głowę w chomąto swoich interesów, nieść w galopie i kurzu szarży śmierć w jego człowieczych sprawach, każe mu uskrzydlać się w symbole pegazie na pomnikach i wśród strof rapsodu, a po dniach służby szczerzyć białe zęby czaszki na tragicznych pustkowiach? Czy ma rekompensatę w tym, że jest piękny? W złocie lwiej grzywy, w gazelej czerni i aksamicie oka, w błysku szczęście niosącej podkowy, w bohaterskim i niewypowiedzianie pięknym łuku szyi, w tanecznym rytmie nóg i pomnikowym skoku? Tarok ma swoją rekompensatę w pędzie.

Bateria zostaje za nami gdzieś na szosie, przykuta ciężarami swych spraw. Ziemia rzadkiego zagajnika dudni pod kopytami: duch-duch! Kiedy skracam wodze (czy wiecie, że Tarok, kiedy jest w pełnym oporządzeniu, w munsztuku, wygląda jakby wycięty z obrazu Géricaulta?), kiedy skracam

wodze, nawet dobre wychowanie maneżowe i szkoła remontu nie mogą go opanować. Wysuwam prawą nogę w tył i dotykam boku. Lekko, bardzo lekko. Tarok wyrzuca przednie nogi w galop. Czuję bezwładnością swego ciała jego siłę. To żywioł! Drzewa z prawej i z lewej strony uciekają w tył. Pędzimy skrajem lasu. Rowy i kisnące w zielonym skrzeku kałuże przepływam w celnym i harmonijnym rytmie skoku. Staram się jak najbardziej zgrać z ruchem konia. Powietrze uderza mi w twarz, łzy napływają do oczu. A potem łąka – zielona arena triumfalna mego konia. Gdzieś głębokie pokłady torfu huczą pod jego zwycięskim kopytem. Gonimy dalekie obłoki na horyzoncie. Potem i one nikną. Nie ma spraw, nie ma teorii kwantów, nie ma obosiecznych pesymistycznych zgorzknień ustępujących kalejdoskopowo jedne drugim, nie ma kochanki, która zdradza, nie ma noża, który godzi w moją pierś, nie ma fałszywej karty, którą mi ktoś przybija na stole ostatni atut mego życia, nie ma pogardy, która mię wciąga w otchłań z sobą! Jest pęd! Całkowite oderwanie się od życia.

I to się dzieje za sprawą Taroka. A jest to sobie wierzchowy wałach, według pierwszej litery imienia jeszcze młody (wszystkie konie na literę „T” mają w ewidencji wojskowej sześć lat), maść jasnogniada, przynależność: Bateria 3. A zaprzęgowy ogniomistrz nie z sentymentu dlań, ale z uwagi na dobro wojskowe nieprzychylnie patrzy na ciemne od potu boki konia i mówi:

„Ij, panie podchorąży, pan póńdzie do cywila, a Tarok tu ma zostać… Nie wolno go tak zganiać…”

Bateria stoi na szosie, konie wierzchowe ustawione są w poprzek drogi. Kanonierzy posiadali w zakurzonym rowie. Patrzę, czy nikt nie widzi, i przytulam twarz do spoconej szyi Taroka.

Płaty piany występują na niej i schną na słońcu.

„Krytyka i Życie” nr 35, [dodatek do:] „Dziennik Polski” 1937, nr 237

Elektra [I]

W spiekocie i kurzu prowadziła droga z poligonu artyleryjskiego.

Koła ciężkich dział obracały się powoli w piasku bezdroży i ryły głębokie koleiny, i piasek sypał się z obręczy po szprychach i siał się cieniutkimi strużkami. Kanonierzy obsługi piesi szli bocznymi ścieżkami drogi i drelichy pociemniały im od potu i lepiły się do pleców. Pot ściekał im po skroniach brudnymi kroplami, po czerwonej pałającej skórze okrągłych twarzy.

Jechałem w dwójce na czele baterii, obok mnie porucznik Maziarz, zawodowy podporucznik, „pistolet” i młodzieniaszkowaty, i rozmawialiśmy o czymś, i widziałem, jak z ukosa rzuca okiem na mój but, na lewą nogę, i byłem w całym poczuciu tego, że mam nowe fasonowe buty od szewca wprost, buty, które zamówiłem sobie, kiedy zostałem powołany na te letnie ćwiczenia jako podporucznik rezerwy. Nie mogłem widzieć, tak jak on, swej nogi w zgrabnym wypięciu poprawnego dosiadu, kiedy przepisowo obcas do dołu, a ostroga jest zapięta wysoko, jak najwyżej, i wtedy ten but – botfort kawaleryjski z miękkiej skóry, jedynie ze sztywnikiem z tyłu na łydce i tym wysokim zapiętkiem – tworzył tę elegancką linię wystylizowaną i z polska przesadną – wspaniały but szewieckiego warszawskiego kunsztu.

Te nowe buty, tak eleganckie i fasonowe, były jednak nowe i za ciasne i gorzko opłacałem ten szyk i fason, kiedy mi noga drętwiała w ich skórzanym uścisku.

Długo mijało się odłogi, bagna i piaski, i zagajniki poligonu, zanim ukazały się stacja kolejowa, wieża ciśnień i zabudowania Powurska. Przejechaliśmy rampę i bateria wtaczała się szeroką ulicą pół wsi, pół miasteczka.

Jak tak jeszcze siedziałem na koniu w tej ulicy, adiutant pułkowy – przyjemny, przystojny porucznik Aksamitowski – machał ku mnie ręką,

w której trzymał jakiś papier.

„Telegram dla pana…” – powiedział i zaraz dodał – „otworzyłem i – niech pan będzie dobrej myśli…”

Byłem zdziwiony i tym telegramem, i tym, że mię tak uspokaja współczująco. Podał mi ten telegram na konia.

Otworzyłem złożony papier i nie bardzo mogłem w pierwszej chwili zrozumieć, o co chodzi. Było tam: „Przyjedź – nie wiem, co ze sobą zrobię – Elektra”.

Siedziałem na tym siodle i zastanawiałem się, i trwoga i niepokój zaczęły rosnąć we mnie.

Było z nią ostatnio gorzej i teraz sobie uprzytomniłem, że jest sama tam daleko, w tym sanatorium, i uprzytomniłem sobie, że to już tak długo, jak leży i czeka tego wyleczenia i końca tej samotności, i, naturalnie, zaraz do tego miesza się satysfakcja, że jestem jej tak nieodzowny i potrzebny, i niepokój, i trwoga, która mi nagle skoczyła do gardła.

Wałach gryzł niespokojnie wędzidło, spieszyło mu się za innymi końmi, bo tymczasem bateria nas wyminęła i już prowadzono wyprzęgnięte pary na kwatery.

Drżałem i nogi mi drętwiały w strzemionach, a porucznik Aksamitowski, taki poprawny i współczujący, powiedział:

„Już załatwiłem panu u dowódcy, niech pan zajdzie do kancelarii po rozkaz wyjazdu – będzie pan mógł pojechać wieczornym pociągiem”.

Och, Elektra!

Z Powurska do Zakopanego jest bodaj ze 400 kilometrów, ale miałem szczęśliwe połączenia kolejowe i nawet to, że o świcie, przesiadając w Krakowie, omalże nie zgubiłem pociągu, bo nie mogłem wciągnąć tych przeklętych butów na spuchnięte nogi, kiedy te buty zdjąłem w czasie jazdy męczącej.

Do Zakopanego przyjechałem około dziesiątej rano i dorożka z góralem woźnicą zawiozła mię pod Gubałówkę, gdzie było sanatorium.

Tak jak stałem, nie umyty, popytałem się portiera i dzwoniąc ostrogami po linoleum, wśród zimnych błysków niklów i szkła modernistycznego

sanatorium poprzedzono mię i poprowadzono w stronę, gdzie jej pokój – Elektry.

Kiedy wszedłem do jej pokoju, od razu ją zobaczyłem. Byłem w tych nieszczęsnych butach za ciasnych, czapce z lśniącym okuciem i płaszczu narzuconym na ramiona. Zrzuciłem ten płaszcz na poręcz pierwszego nadarzającego się sprzętu i podszedłem do łóżka, i wziąłem ją w ramiona. Nie miałem czasu się jej przyglądać. Cała była różowa na twarzy i miała jakiś różowy *nightdress* z koronkami, i wśród tego błękitniały jej oczy i rozchylały się różowe usta, rozchylały się w pół uśmiechu, pół zachwycie, i miały, jak zawsze w tym półuśmiechu, krzywiznę goryczy. Te usta, które tak znałem, te usta tak bliskie i podobne i tak rodzone i wilgotne, i rozwarte jak kielich jakiegoś kwiatu, kwiatu, który niepokoi swą nienaturalną odrębnością, zwyrodniałością, kwiat-usta, kwiat – część ciała ludzkiego, kwiat teratologiczny, kwiat – jej usta.

Przycisnąłem wargi do jej ust i teraz pierwszy raz w życiu całowałem ją w usta, chłonął mię i ssał goryczą soczysty kwiat, i widziałem jej oczy i brwi, i powieki z bliska, półprzymknięte w omdleniu, kiedy źrenice jej zamglone i uciekłe w głąb, w siebie, w rozkoszy zbliżenia, w jedyności tego zdawały się nieprzytomne, dalekie, a jednak uważne i bacznie we mnie patrzące, i kosmyki jej włosów łaskotały mi policzki, i całowałem i ssałem gorzką wilgoć jej ust, i pałała mi w twarz tęcza i różowość jej policzków, i nie wiem jak długo to trwało, i w głowie mąciło mi się, kiedy ją taką czułem w swych ramionach, i w końcu oderwaliśmy się od siebie, i siedziałem na brzegu jej łóżka, i patrzyliśmy w siebie, i ona powiedziała, trzymając mię za rękę:

„Żorż, och, Żorż…”

Rano dom pustoszał. Około dziewiątej ciotka szła do swego biura (była przewodniczącą Towarzystwa św. Tomasza à Kempis), kucharka z koszem – na targ, ojciec był w banku, a Michał Okszański poprowadził konie do przekucia. Zostawaliśmy sami w pustym domu. Porządki nie były jeszcze porobione i łóżka w pokojach z porozrzucaną i zmiętą pościelą, wydawało się, jeszcze emanują ze siebie sen tych, którzy tu spali.

Południowa część domu nagrzewała się od słońca. Zieleń ogrodu pieniła się i wylewała poza parkany ogrodzeń, i, zdawało się, chce się wedrzeć do pokoju.

Byłem niespokojny. Ze swego pokoju na górze zeszedłem na dół i skierowałem się do kuchni. Kuchnia była w błękitnym cieniu od północy. Lśniły szyby okien i złote w słońcu podwórze widać było przez otwarte drzwi.

Zeszedłem boso i nie słyszała mnie. Właśnie się myła w tej kuchni.

Była obnażona do połowy. Wydało mi się niezwyczajne, jak miała tęgi tors – tors kobiety dojrzałej, a nie dziewczynki, jaką jeszcze była.

Była boso i stała nachylona nad miednicą, rozkraczona mocno nogami, których łydki wydawały się tak grube i miały na wewnętrznej stronie delikatną i trochę wstrętną siateczkę bladych niebieskich żyłek. Jakaś spódnica i koszula zebrane były w fałdy, węzły na jej biodrach. Mydliła sobie właśnie szyję i uszy, jej włosy złote pociemniały od wody i kosmyki lepiły się do karku. Była pochylona nad niespokojnym, pieniącym się lustrem wody i w tym pochyleniu jej piersi o różowych sutkach, duże pełne piersi wisiały jak dwa grube sople stalaktyty. Skóra torsu i piersi była białoróżowoperłowa. Stałem jak wrośnięty w ziemię i bałem się, że spostrzeże moją obecność, chociaż miałem uczucie, że wie o tym.

Cofnąłem się na górę i byłem dalej niespokojny o wczoraj.

Wczoraj już około dwunastej, kiedy zgasiłem światło i byłem w łóżku, zawołała mnie: „Żorż!”

Przedtem była u mnie w pokoju i rozmawialiśmy o upiorze z Düsseldorfu. Właśnie gazety były pełne tego, jak w ponurym okręgu fabrycznym grasował sadystyczny potwór i masakrował samotne kobiety.

Elektra bała się tego i była podniecona, i uczepiła się tego tematu. Potem jeszcze coś czytałem, a ona wróciła do swego pokoju, a potem, kiedy już byłem w łóżku, zawołała mię:

„Żorż!”

„Co?”

„Ja się boję…”

„Czego?”

„A tego upiora”.

„Nie bądź głupia – śpij!”

Chwila ciszy.

„Żorż!”

„Coo?”

„Kiedy ja się boję…”

„A widzisz – sama gadałaś i gadałaś, a teraz masz. No, nie bój się – śpij…”

„Żorż!”

„Co?”

„Bo ja wiem? Boję się…”

„Ech – co tam – śpij – nie myśl o tym…”

„Żorż!”

„No co?” – udzieliło mi się to trochę i trochę czułem, że jest nieszczera w tym, co mówi.

„Żorż – chodź tutaj…”

Dreszcz! – nie wiem czemu.

„Ależ śpij”.

„Żorż!”

Nie odpowiadam.

„Żorż!”

Drzwi mego i jej pokoju były naprzeciw i otwarte. Było ciemno i z tej ciemności jej głos trochę proszący, trochę nadąsany, trochę niepewny.

„Żorż…”

„Co?”

„Kiedy ja się boję. Chodź tutaj…”

Wstałem ze swego łóżka i po ciemku poszedłem do jej pokoju. Macając przed sobą palcami, natrafiłem na poręcz jej łóżka i poczułem pościel.

Posunęła się szybko, robiąc mi pośpiesznie i ostentacyjnie miejsce.

Byłem podniecony i niepewny, czy robię dobrze. Położyłem się obok niej i w pierwszej chwili niepewny, czy mam się przykryć, czy nie, tym, co ją okrywało – ale w rezultacie zagarnąłem na siebie skraj tej kołdry i chwilę leżałem nieruchomy, i powiedziałem:

„Ależ nie bój się…”

„Już się nie boję…”

Im bardziej rośliśmy, tym bardziej sytuacja się komplikowała. Ona była bezwzględnie kobieca. Miała różowe rumieńce i kiedy była podniecona, to twarz jej pałała i ciemniała od krwi uderzającej na policzki.

Była trochę niedbale ubierana, ale właściwie była jeszcze podlotkiem. Do mnie odnosiła się bardzo naturalnie. Tym bardziej kontrastowały nagłe realizacje i uprzytomnienia. To było naturalne, że zwracała się do mnie, mając takie czy inne wydatki. (Wtedy był okres, że dużo wygrywałem i miałem sporo pieniędzy, z którymi nawet nie bardzo wiedziałem, co robić). Coś miała do kupienia z garderoby albo na zapłacenie kortu. Ale raz, kiedy przyszła i jak zwykle: „Żorż, daj mi na tenis”, i nagle zaczerwieniła się, i: „Nie, nie potrzeba…” Wydawało się to na granicy utrzymania jej. Była młodsza ode mnie o wiele, ale seksualnie z pewnością przerastała mię w dojrzałości.

Powoli z podświadomości zaczęła mi nadpływać myśl, spychana i unikana, mego stosunku do niej. I potrafiłem już to nazwać po imieniu. Więc – kazirodztwo.

To było wstrząsające. To napawało strachem. Po pierwsze – potępienie tego, nieomówienie tego w kole rodziny, potem – potępienie tego i omówienie na szerokim polu. Zaczęły mię frapować i napastować wszelkie tego asocjacje i precedensy. Czytałem wiele. W klasycznej historiozofii i socjologii to było traktowane jak wykopalisko – jak schemat, który nas, żyjących, nie dotyczy. Małżeństwa święte i hieratyczne u faraonów, gdzie tylko siostra była godną małżonką, u Inkasów, endogamia u ludzi pierwotnych. Kazirodztwo u ludu, wyraz tego w folklorze. Przypomniałem sobie z Tetmajera o rodzeństwie Słodyczków, czytałem dziwactwa Przybyszewskiego. Pornografię Leonharda Franka.

Kodeks karny, eugenika potępiały to bezapelacyjnie.

Więc, myśląc o tym, starałem się opisać to sobie i unaocznić, i uspokoić moje tragizmy, będące już, już [na] skraju histerii. Myślałem: jeżeli to jest, istnieje w naturze – to znaczy, że jest to naturalne. Ale w dalszym ciągu nie umiałem tego ubrać i przemyśleć słowami.

Jedynie nocami, kiedy w chwilach podniecenia seksualnego puszczałem wodzy fantazji – w tych rozkiełznanych pasażach myśli, których za białego dnia miałem się wstydzić i potępiać się, i uważać się za zawieszonego nad otchłanią wynaturzenia i potworowatości – jedynie w tych grzesznych i pełnych grozy chwilach słodyczy puszczałem wodzy fantazji i widziałem siebie i ją w długich zbliżeniach w wyuzdaniu i intymności, i ten grzech, i dreszcz – brat i siostra! – okupywałem za białego dnia czadem potępienia i samokrytyki.

Milczeliśmy oboje. Czułem ją tuż i wydawała mi się tak masywna u mego boku, dotykałem jej biodra udem i wyraźnie czułem to biodro. Oddychaliśmy oboje szybko i milczeliśmy.

Było nam niewymownie gorąco pod przykryciem. Milczeliśmy. Było to rozkoszne i niepokojące. Oddychałem i mój oddech musiał być gorący, i wpadały mi w usta jej włosy, i czułem ją tak całą, pełną obok siebie. Drżeliśmy oboje.

Czułem zapach jej włosów, dziwny intensywny zapach jej włosów z bliska i czułem ją tak całą obok siebie, i rozkosz potęgowało to, żeśmy tak oboje razem pod jednym przykryciem niewygodnie, niezgrabnie ściśnięci, i wiedziałem, że jest jej niewygodnie, i chciałem jej sprawić ból z tej niewygody i z przyparcia do zimnej ściany i żeby czuła to, i jeszcze i trwoga, i dreszcz, i czułem okrągłość jej biodra, i wdychałem woń jej włosów, i tak trwaliśmy – nie wiem jak długo – brat i siostra!

Zaproponowałem:

„Zróbmy »austriackiego orła« – odwróconego orła”.

A ona po pewnej chwili powiedziała:

„Już się nie boję…”

I wstałem pośpiesznie, i boso po zimnej podłodze wróciłem do swego pokoju.

Po ciemku trafiłem do okna – było otwarte. Było mi niedobrze. Wychyliłem się i wymiotowałem.

Potem położyłem się do łóżka i zaraz zasnąłem.

Ale jak miałem jej uniknąć, kiedy ona sama stwarzała i sprzyjała sytuacjom, które bluzgały krew na moje policzki.

Raz siedzieliśmy razem i czytaliśmy książkę – to był nasz obyczaj: czytanie pośpieszne wspólne książek, żeby które[ś] z nas nie miało czekać. To było zabawne – bo raz jedno, raz drugie czekało po ukończeniu strony na drugie spóźnione.

Siedzieliśmy na schodach domu i ona przycisnęła moją rękę, którą miałem położoną na stopniu, przycisnęła ją udem. Panna była już wyrośnięta i czułem to udo, i nie cofnąłem ręki, natomiast uprzytomniłem to sobie i fakt ten, tego jej uda, i ręka mi drętwiała, i było mi niewyraźnie, i udawaliśmy, że niby nigdy nic, a przecież ona wiedziała, że przygniotła mi rękę, i czuła ją pewnie, i było jej niewyraźnie, i nie dawaliśmy sobie tego do poznania, ale nasze czytanie stało się kalekie i przerwaliśmy je, i zaczęliśmy o czymś mówić najbardziej obojętnym, ale głosy nam drżały z podniecenia i było nieskończenie dziwnie…

Brat i siostra.

[*Courtesy of Department of Special Collections, Stanford University Libraries*]

Elektra [II]

Spotkałem Bunia Jakubowskiego, który mieszkał w dawnym mym pokoju – i powiedział do mnie:

„Słuchaj, tam wczoraj dostałeś jakiś telegram, leży tam od wczoraj”.

Podeszliśmy do tego mego starego mieszkania i zaczekałem na niego na ulicy, i przyniósł mi złożony i zaklejony telegram. Dziwiłem się, co to może być, i otworzyłem, i było tam:

„Elektra umarła – pogrzeb w piątek – ciotka”.

Obróciłem się na pięcie, zostawiłem zmieszanego Bunia i poszedłem wzdłuż ulicy. Cały olbrzymi świat nieobjęty i rozmaity, wszystko to, co wiedziałem, co macałem palcami, co przeczuwałem, co mi opowiadano, co sobie fantazjowałem, w co nie wierzyłem, co mię nudziło, co mię pasjonowało, wszystko dalekie i bliskie, wszystko dobre i złe, bolesne i rozkoszne, wszystko to zbiegło się nagle ku mnie, a że było to wszystko tuż koło mnie, naokoło mnie, to wszystko to się zmniejszyło i przemieszało, i stało się nicością, i dlatego nie mogłem tego zrozumieć, i nie wiedziałem, o co właściwie chodzi, i szedłem tak, gniotąc w kieszeni telegram, i nic nie myślałem. Więc wiedziałem, że zdarzyło mi się coś ważnego, ale nie chciałem o tym teraz myśleć – może potem, ale nie teraz – więc żeby [o] czymś myśleć i nie dopuścić tamtej myśli, muszę coś podstawić za to, tak jak się podstawia w algebrze, na przykład: zamiast 2a bierzemy x… Więc słowo… powiedzmy, „ucieka”. „Ucieka” – bardzo pasujące słowo, nie wiem dlaczego, ale bardzo pasujące. Ucieka… Co ucieka? No, cokolwiek. Wszystko może uciekać, nawet najbardziej niemożliwe. Czy woda może uciekać? Naturalnie, że może! Jak się otworzy śluzy w stawie, to woda ucieka ze stawu i robi się coraz większa susza, i odpływa. Albo wyobrazić sobie, że, powiedzmy, Morze Śródziemne, powiedzmy, że powstała różnica poziomów, że tam, gdzie Gibraltar, gdzie Słupy Herkulesa, przelewa się szybko morze, to tu, gdzie brzeg, zaraz będzie poznać, bo woda odbiegnie

prędko i zmywać będzie pośpiesznie, i odpływać po pochyłym brzegu naczynia, i coraz prędzej, i jak zechce się nam dogonić, to już będzie za późno, bo tylko mokry ślad po wodzie i płytka fala odpływa, i będziemy doganiać tę płyciznę na płaskim brzegu czaszy, naczynia, morza świata, i będzie ubywać, i tak to dręczące, jak we śnie, i żeby to się zatrzymało bodaj na chwilę, żeby mieć czas na zastanowienie się, na pochwycenie tego zjawiska – ale nie, ucieka i ucieka…

Uderzenie! i pociemniało mi w oczach, i żółte płaty zalatały i zatrzepotały mi pod powiekami… Idąc ślepo, uderzyłem głową w słup latarni i akurat jakiś pierścień słupa lanego żelaza, ozdoba toczona na wysokości wzrostu człowieka, i wyciąłem głową o ten słup. Bardzo tępy ból na wysokości tuż ponad brwią i czułem, że spływa mi krew, i jak dotknąłem palcami i popatrzyłem na palce, to były czerwone.

Ulica prowadziła na peryferie i nie była uczęszczana. Wyjętą z kieszeni chustkę przycisnąłem do brwi i czułem, jak mi czoło w tym miejscu nabrzmiewa, i poszedłem wzdłuż ogrodzeń z siatki mieszczańskich domów i ogródków. Potem minąłem nie zabrukowany plac i doszedłem tam, gdzie ulica zbiegała się z inną i obie połączone podnosiły się rampą, ażeby mostem, łukiem z czerwonej cegły, przeskoczyć trasę dwutorowej linii kolejowej biegnącej w głębokim wykopie. U zbiegu obu ulic był hydrant uliczny z krótką dźwignią, którą jak nacisnąć, to tryskała strumień wody. Tam nie obserwowany – ulica była bardzo pusta – przykładałem wielokrotnie zakrwawioną chustkę do czoła i zatamowałem krew.

Potem przelazłem druty ogrodzenia i usiadłszy na skarpie, patrzyłem na bliski horyzont z kopułami drzew i czerwoną masą budynków, i wysoko wyniesioną wieżą ciśnień szpitala obłąkanych.

W dole na plancie kolejowym kilku robotników kolejowych pracowało przy naprawie linii. Nadszedł i przejechał pociąg towarowy: lokomotywa z tendrem załadowanym węglem, który palacz polewał wodą ze szlaucha, potem brankard i otwarte lory także załadowane węglem. Węgiel miał tłusty połysk i był skropiony białymi pasami wapna.

Potem poszedłem kawałek wzdłuż plantu, aż doszedłem do drugiego mostu i tutaj był także koniec linii tramwajowej biegnącej do miasta.

Wsiadłem do tramwaju, który czekał tak długo, aż w perspektywie ulicy ukazał się inny wagon zdążający do tego terminusu i wtedy konduktor zadzwonił, nasz wagon ruszył.

W czasie jazdy kilku nielicznych pasażerów patrzyło na mnie uporczywie, ale tego nie zauważyłem, dopóki konduktor nie powiedział do mnie:

„Coś niech pan zrobi, panie – krew panu idzie…”

Dotknąłem czoła i znów okazało się, że mam chustkę czerwoną. Jak zobaczyłem pierwszy szyld: „APTEKA”, to wyskoczyłem. Już było późno i w świetle lampy stary aptekarz przykleił mi nad brwią łatę z różowego leukoplastu.

Wtedy już poszedłem do domu.

Autobus odjeżdżał następnego dnia rano o dziewiątej z placu Strzeleckiego i czekałem tam dosyć długo, bo nie trzymano się pedantycznie rozkładu jazdy, ale wyruszenie zależało od tego, czy zebrała się pełna załoga pasażerów. W końcu nie ogolony kierowca wdrapał się na siedzenie, kolektor pieniędzy za bilety długo wydawał resztę z skórzanej torby na brzuchu, przyjeżdżały i zakręcały na placu zakurzone autobusy z załadowanym bagażami i koszykami dachem, ruszyliśmy.

Naprzód przejeżdżaliśmy Żółkiewskie Przedmieście, ruchliwe miasto: wozy ciężarowe i powolne na zakrętach tramwaje, potem była rogatka akcyzy miejskiej i mury rafinerii spirytusu i młynów parowych z wielkimi silo na zboże, potem szynki przedmieść, parkany, mury fabryczne, bocznice kolejowe z pustymi wagonami, śmietniska, składy, ścieki.

Potem była już wstęga gościńca obsadzonego regularnie wierzbami. Mijaliśmy wozy ciągnące do miasta i ścieżką, wzdłuż drogi wydeptaną na bantach, szły pieszo kobiety zgięte pod ciężarem niesionym w zgrzebnej werecie. Ogrody i ogrody po obu stronach drogi z palisadą tyczek fasolowych i kwadratami obsadzonymi kapustą i pomidorami. Na szkarpach drogi czapierzyły się krzaki głogu szare od gościńcowego kurzu. Pracował walec drogowy dymiący i lśniło koło zamachowe w szaleńczym rozpędzeniu, i skrzypiał świeży szuter pod ciężarem jego cylindrów.

Jak były wsie, to mali chłopcy biegli do drogi i ciskali za autobusem grudkami ziemi, i gestykulowali podnieceni, i zjeżdżał z drogi pług zaprzągnięty w parę chudych koni wlokących go na podłożonych dwu skrzyżowanych ubłoconych żerdziach. Na wygonach rozległych wpośród wsi gęgały czeredy gęsi białych i siodłatych, i obskubanych i krowy obracały swoje oczy na przejeżdżających albo stały w błocie u wodopojów koło studni i ciężko przeżuwały.

Kiedy dojechaliśmy na miejsce i wydobyłem się z zatłoczonego autobusu, skierowałem się bocznymi uliczkami do naszego domu. Z daleka widziałem jego blaszany dach pomiędzy wybujałymi krzakami bzu. Na ulicy przed domem zobaczyłem mego ojca. Stał do mnie tyłem i kontemplował coś na bramie wjazdowej na froncie domu. Był posiwiały i plecy zgarbiły mu się boleśnie, kiedy stał tak z pochyloną głową i studiował poprawnie wytłoczoną i lśniącą od tłuszczu drukarskiej farby klepsydrę z szeroką na cal żałobną obwódką i wytłuszczonymi literami anonsującymi i obwieszczającymi małemu światkowi miasteczka, że Elektra „…w dziewiętnastej wiośnie życia… nieutuleni w żalu…”

Ojciec usłyszał moje kroki i obrócił się, i patrzył na mnie mrugającymi oczami w czerwonych obwódkach powiek, i powiedział:

„Widzisz, Żorż… Widzisz…”

Zjechało się dużo krewnych, chodzili po pokojach, siedzieli, gadali, jeden z dalekich i obojętnych wujów wielki i barczysty popłakiwał ciągle – nie, żeby dotknęła go śmierć Elektry, ale widocznie czuły był na atmosferę żałoby – przychodzili i odwiedzali nas obcy i nie mogłem sobie znaleźć miejsca. W końcu odkryłem, że najspokojniej jest w kuchni.

W kuchni gotowało się ciągle, by obdzielić niezwyczajną ilość stołowników, i Jewka kucharka kręciła się pomiędzy piecem kuchennym i stołem, i żeby jej nie przeszkadzać, usiadłem blisko okna i patrzyłem na drzewa ogrodów podmiejskich, i na blacie kuchennym syczały i parowały krople ześlizgujące się spod pokryw garnków, i muchy uwijały się jak szalone i obsiadywały bielone gzymsy pieca.

Kucharka biła teraz kotlety, tłukąc je nasiekanym na krzyż obuchem młotka, smażyła mąkę na zaprażkę i uchylała pokrywę garnka z gotującymi

się w bulgocie kartoflami. Kiedy ktoś uchylał drzwi do kuchni, to wtłaczał się z reszty mieszkania ciężki zapach zieleniny, „wody leśnej” i palących się w upalny dzień świec. Ale kiedy drzwi się zamykały, to odgradzały kuchnię od tego i zaraz myśl czepiała się czego innego.

[*Courtesy of Department of Special Collections, Stanford University Libraries*]

Ułan Czuchnowski

Jak wielką rolę w życiu odgrywa przypadek! Spotkałem się z tym w życiu – z tym dziwnym zbiegiem okoliczności, który wydaje się sprowadzać nieogarniony świat do wielkości łupiny orzecha.

Ułana Czuchnowskiego spotkałem w swym życiu trzykrotnie. Nie wiem, czy go jeszcze kiedy zobaczę, psułoby to nawet harmonię naszych spotkań, bo stanowią one jakby harmonijną konstrukcję w życiu. Wstydzę się nawet tego, że tak samolubnie robię z wycinka swego życia taką pretensjonalną całość: z wstępem, tragedią i zakończeniem, tym bardziej że ułan Czuchnowski uratował mi życie. Taka jest już kulawość ludzkiej natury.

Pierwszy raz spotkałem ułana Czuchnowskiego przed samą wojną. Jak zawsze przed wszystkimi wielkimi wojnami-masakrami ludzkości, jakby natura kipiała od żywotności: było cudowne lato, wspaniały „rok urodzaju", prawdziwe święto życia.

W takich okolicznościach jest urodzaj na wszystko. Jest w tym coś z zdrowego pozornie wyglądu suchotnika przed kryzysem: ostre gorączkowe wypieki robiące wrażenie zdrowia. Nawet moje normalne kłopoty i trudności, jakie miałem, pisząc swe nieudałe wiersze, uleciały gdzieś i kiedy szedłem ulicą swego miasta, wydawało mi się, że potrafię wszystko. Myślę, że zawsze byłem bardzo aspołeczny i nie przeczuwałem nadchodzących wypadków, byłem na to za tępy. Cieszyłem się pozorami.

Idąc ulicą, nie czułem podnieconej atmosfery, wydawało mi się, że życie jest właśnie takie, i cieszyłem się tym, jak się cieszy dziecko, kiedy niebo rodzi w nadmiarze komety, które jednak nie są dodatkowym fajerwerkiem, ale przestrogą.

I wtedy spotkałem się jakby z przestrogą.

Przede mną szła para ludzi. Młody chłopak w mundurze i stara kobieta w wiejskim ubraniu. Syn i matka, to było niewątpliwe i oczywiste. Chłopak był wysoki i przystojny i miał czapkę polskiego ułana nasadzoną

zawadiacko i z fantazją nie do naśladowania w świecie, lewą ręką przytrzymywał szablę i nachylał się ku kobiecie idącej z nim w parze.

Wieśniaczka była bardzo czysto i skromnie ubrana, widocznie przyjechała odwiedzić syna do miasta, w ręku niosła kosz z jakąś zawartością przykrytą chustką. Kiedy tak szli i rozmawiali, nie słyszałem tej rozmowy, ale w ruchach, pochyleniu ku sobie i w rzucanych na siebie spojrzeniach było tyle oczywistej miłości i oddania tych dwojga, że na tle tego miasta i ruchu ulicznego wydało się to tak wzruszające i jedyne.

Moje własne sprawy kazały mi iść w swoją drogę, ale kiedy przekroczyłem ulicę i jeszcze raz oglądnąłem się za nimi, widziałem ich twarze zwrócone ku sobie ufne i zatroskane.

Kiedy wróciłem wieczorem do domu, czekała mię karta wzywająca natychmiast, w związku z ogłoszoną dnia tego mobilizacją, do mego pułku, gdzie miałem przydział jako oficer rezerwy.

Czterdzieści ośm godzin temu były pokój i niczym nie zakłócone lato. Od czterdziestu ośmiu godzin jest wojna. Przyszła o świcie w rzężeniu niemieckich bombowców nad uśpionymi miastami. W ciągu tych czterdziestu ośmiu godzin nauczyłem się nowego świata, którego nawet nie przewidywałem w najfantastyczniejszych marzeniach czasu pokoju, kiedy potrafiłem tak fantazjować swoje wiersze.

Bo tak: Przede wszystkim od czterdziestu ośmiu godzin jeszcze nie spałem ani godziny. Ale ten czas wydaje mi się nieskończenie wydłużony, od tego początku mogłoby mnie równie dzielić czterdzieści ośm tygodni albo i miesięcy.

Więc tak: W tym czasie już nauczyłem się odróżniać staccato naszych lekkich browningów od trochę wyższego tonu serii z niemieckich karabinów maszynowych Maxima. Inaczej brzmi z daleka zwolnione tempo: tach! tach! tach! najcięższego karabinu przeciwpancernego z czołgu niemieckiego, a inaczej z bliska, „*point-blank*”, kiedy ten czołg wyjechał na nas nagle zza fałdy terenowej…

Wtedy uratował mię ułan Czuchnowski.

Kiedy moja bateria zajeżdżała na nowe stanowisko – zjeżdżaliśmy z drogi na niewielką łączkę zacienioną drzewami – to mijaliśmy przy

drodze rozsypany szwadron ułanów. Konie, lśniąca skóra łęków siodeł, postacie ułanów w zielonym pejzażu, wszystko to było romantyczne i jak na obrazach Detaille’a i do tego mieli oni lance, tak! lance w czasie tej rozpętującej się wojny motorów.

Usłyszałem rozkaz:

„Szwadron do walki pieszej!”

„Bagnet na broń!”

Spieszeni ułani formowali kolumienki wzdłuż drogi. Co trzeci ułan pozostawał jako konowodny z wodzami trójki koni i lancami towarzyszy w garści.

Szwadron miał wesprzeć resztki batalionu piechoty, batalionu, który miał już dzisiaj trzy natarcia czołgów i piechoty, batalionu, a raczej: resztek, które zostały po trzech natarciach i przeciwuderzeniach.

Na piętach posuwających się plutonów dotarłem do płaskiego wzgórza, gdzie miał być punkt obserwacyjny. Leżał tam z głową owiązaną brudną i zakrwawioną szmatą porucznik piechoty, który po śmierci dowódcy i zabranych z pola walki rannych dowódców kompanii dowodził resztkami batalionu. Klnąc i jęcząc z bólu, informował mię o sytuacji:

„…o, tam, jak ta fałda, gdzie widać czuby drzew – stanowisko wyjściowe czołgów; widzi pan ten kurz?… to ściągają nowe na stanowisko; tam, jak granica lasu, mają okopane gniazdo karabinów maszynowych – mają wstrzelane cele i dosłownie nie można drgnąć, żeby nie zaczęli siec…”

Zagdakała w tej chwili seria i ponad nami zaszumiały i rozbrzęczały się struny pocisków. Na zoranym poza nami polu podniósł się kurz i zaraz poprawili. Przywarliśmy do wyrzuconej ziemi dołów, kiedy kule zaczęły pryskać wokół nas jak rzadkie krople dżdżu.

„Może pan położyć ogień tam, jak ta zbierająca się…? Może pan zaraz? Och, cholera…” – przycisnął rękę do brudnego opatrunku.

Mój patrol rozwijający linię telefoniczną nie nadążył za mną i oczywiście albo zgubił mój ślad, albo leżą przed polem, na którym aż kurzy się od poszerzanego ognia cekaemów.

Rozglądam się rozpaczliwie dokoła. Ułani okopują się, najbliższy mnie rozłożył przed sobą kolekcję ręcznych granatów i nastawia celownik karabinu, celownik podany przez młodziutkiego podporucznika, dowódcę plutonu. Ociekająca potem twarz ułana wydaje mi się dziwnie znajoma. Nie czas po temu, ale wytężam wszystkie myśli, żeby sobie przypomnieć, gdzie ja go widziałem. Porucznik obok mnie znów jęczy i mówi:

„…teraz…”

Gdzie ja widziałem tę twarz? Prędko! Jakby od tego miało wszystko zależeć…

Zatroskana kamienna twarz ułana. Aha! Przecież to było dawno, przed wojną – na ulicy, przytrzymując szablę, pochylał się opiekuńczo ku starej kobiecie – ku swojej matce.

Mówię do podporucznika:

„Zabieram panu ułana… Ułan! Słuchajcie… tam w dole ciągnie patrol linię… W skok niech tu przyciągną…”

Rozkaz! Już go nie było.

Zza lizjery lasu wysuwa się pierwszy czołg niemiecki. Ileż to od nas? Oceniam: tysiąc… tysiąc dwieście… drugi, trzeci… słychać dudnienie, warkot motorów raz głośniej, raz słabiej, jak niesie powiewem wiatru.

Wyciąga ich więcej. Gałęzie drzew maskujące je upodobniają je do Szekspirowskiego lasu z *Macbetha*. Przez lornetkę widzę otwarte klapy wieżyczek i uniesione postacie dowódców lustrujące teren.

Nareszcie słyszę z tyłu warkot bębna rozwijającego kabel. Jak oni przechodzą to pole!… Ułan przypada koło mnie.

Jest telefon!

Przygotowane dane poszły na baterię.

Nasze działko Boforsa na lewym skrzydle szczeknęło i czerwony pocisk poleciał w stronę czołgów. Jakby to miało być sygnałem, czołgi ryknęły silnikami i ruszyły. Rozjechały się po polu. Wyjeżdżają nowe!

Pierwsza seria bateryjna szczęśliwie leży koło zgrupowania. Idzie druga. Czołgi toczą się ku nam. Niektóre przystają na chwilę i zaraz widać czerwony blask na tle wieżyczki. Strzelają. Jeden staje i wykwita z niego bury pióropusz dymu, widać, jak wyskakuje z niego obsługa.

Strzelają do naszego boforsa, widać ich smugowe pociski mijające się z naszymi.

Nagle dostaję uderzenie grudą ziemi w oczy i jestem oślepiony, i nie wiem, co się stało. Kiedy je przetarłem, to tylko po to, żeby ujrzeć czerwony blask i rykoszet następnego pocisku. I znów powietrze dźwięczy jak gong, rozdzierane pociskami z działek czołgowych skierowanych na nas. Wykryli nas!

Czołgi na przedpolu są już znacznie większe. Jeden oczywiście ugodzony pociskiem z działka stanął i pali się ciemnowiśniowym płomieniem, jest blisko tak i widocznie kierowca upadł i przycisnął klakson albo nastąpiło spięcie, i ten klakson wyje bez przestanku, i w grozie swej wydaje się to, jakby dyluwialny potwór ranny śmiertelnie wydawał ze siebie ostatni krzyk trwogi i rozpaczy.

Działko na naszym lewym skrzydle umilkło już dawno. Chciałbym przenieść ogień baterii bliżej, ale telefon nie działa. Telefonista ma rozerwany na plecach mundur i czoło usmarowane roztartą krwią, mówi: „Przerwa na linii, panie poruczniku…” i ma twarz bladą jak płótno.

Podporucznik, dowódca tego plutonu, leży twarzą do ziemi nieruchomo i trawa około niego jest rumiana od krwi.

Tak długo zajmowałem się tym przeklętym telefonem, że kiedy obróciłem twarz na przedpole, bieg rzeczy przybrał ostateczny wygląd. Pięćdziesiąt kroków od nas stał czołg niemiecki stalowy i ciężki, i drgający od tętna silników, w wieżyczce z uniesionymi klapami stał niemiecki czołgista, przez beret miał na głowie słuchawki aparatu radiowego, wieża czołgu powoli obracała się na nas, szczerząc wyloty działka i karabinu maszynowego, a na wyrzuconej ziemi przedpiersia pośpiesznie wykopanego okopu naszego punktu klęczał ułan Czuchnowski i brał na cel tego Niemca, klęczał w przepisowej, poprawnej pozycji z łokciem opartym na kolanie, i wszystko działo się jak w filmie „*au ralenti*”: Niemiec trafiony osunął się, zapadł między klapami i równocześnie ujrzałem twarzą w twarz, jak na tle wieżyczki wykwita płomienny storczyk, i strasznym uderzeniem rzuciło mię o ziemię…

„Ciągnij, bracie!”

„Nie poradzę dalej…”

„E, co tam, ciąg, mówię”.

Słyszę skrzyp źle nasmarowanych osi kół. Czuję swą lewą nogę, jakby ktoś okręcił ją spiralnym drutem od czubka palców do pachwiny. Słoma łaskocze mię w policzki i źbła jej usiłują wpakować mi się w posklejane oczy. Przez szczeble drabin wozu widzę obracającą się obręcz koła.

Co to? Gdzie ja jestem, co się ze mną dzieje?

Powoli wraca mi świadomość. Czerwony storczyk wykwitający z wieżyczki czołgu…

Unoszę głowę ciężką jak dzwon i kiwa mi się ta głowa bezwładnie w słońcu. Jest dzień i kurz wzbity kołami wozu i nogami kroczących ludzi ukazuje mi ten dzień w rudej śreżodze. Widzę chudy grzbiet konia u dyszla wozu, widzę u nóg swoich, obok i u wezgłowia i czuję ich gniotących siebie i mnie w ciasnoci – ludzi bezwładnych i w mundurach czarnych od zeschłej krwi. I głos:

„Dobra nasza, panie poruczniku, to już jak pan otwiera oczy, to gruntownie będzie pan… E, ty, bracie, nie markieruj!…”

Znajoma twarz ułana. Strużki potu ściekają mu [po] tej twarzy, ramieniem zaparty jest o kłonicę wozu, pochylony pcha i dyguje ten wóz wypchany bólem pozbieranym z pobojowiska.

„No, jak pana ciepło, to myślałem, że nie ma co zbierać. Ale jakoś wybabraliśmy się… Ale ze szwadronu to chyba niewiele zostało, a koni to szkoda…”

„To wyście mnie wyciągnęli?”

„Poczekałem, aż fala, ta pierwsza, czołgów przejdzie, i tak ściągnąłem pana do parowu, i ci z patrolu telefonicznego mi pomogli, ale konowodnych już nie było i konie się rozbiegły, jak przyszło uderzenie z boku. To przyszło pana wlec, a człowiek, jak zemdlony, to dwa razy więcej waży, ale teraz już dobrze”.

„Co mi się stało?” – usiłuję znów unieść głowę i zobaczyć swą nogę. – „Po coście mi nogę owinęli drutem?”

„Jakim tam drutem – to panu tak zacierpło, ale niech pan będzie spokojny, bo widzi mi się, że kość nie ruszona, a com zaopatrzył, to na

początek wystarczy”.

„A bateria?”

Ułan popatrzył na mnie przez obracające się szprychy koła i twarz miał czerwoną od wysiłku.

„Panie poruczniku, to było wczoraj po południu, a dzisiaj jest dzień i rano i to w tej wojnie to chyba tak jak miesiąc temu… Bateria… gdzieś jedzie”.

„No tak…” – pomyślałem uspokojony już – „bateria gdzieś jedzie”.

Ranny u moich nóg na wozie zaczął jęczeć i głowa mu się kiwała z prawa na lewo. Ten, który przygniatał mię z prawej strony, miał szeroko otwarte usta i wdychał łapczywie kurz drogi.

„Szkapa nam zdycha” – poinformował mię ułan i zrozumiałem to, że pcha ten wóz i że innych popędza.

„Ale – jak wam jest?” – zapytałem jeszcze przez obracające się szprychy koła.

„A Czuchnowski…”

Chciałem mu w jakiś sposób odwdzięczyć się za to, co dla mnie zrobił, chciałem mu powiedzieć, że znam jego matkę, bo przecież widziałem ich kiedyś razem na ulicy mojego miasta, ale nagle noga zabolała mię dotkliwie i zemdlałem powtórnie.

Te trzy tygodnie minęły mi szybko: w ruchu, podróży, ciągnięciu w tłumach uciekinierów. Myślę nawet, że ten rozgardiasz pozwolił mi zapominać o nodze i może dzięki temu niezauważalnie goiła się bardzo szybko.

Kiedy przyszedł czas ostatecznej klęski, kiedy w rozterce i goryczy decydowałem się na przekroczenie granicy z Polski do Węgier, na samej granicy danym mi jeszcze raz było spotkać tego ułana Czuchnowskiego.

Było późne popołudnie, słońce złociło strome zbocza węgierskich gór i czuby jodeł przy drodze. Drogą węgierską płynął potok ludzi, wozów, działa – resztki tego, co pozostało po polskich Cannae.

Szła kolumna młodych koni dwulatków z jakiejś państwowej stadniny. Młode konie spocone, zakurzone po grzywy szły w tupocie, szczęku podków, w chrapaniu wyciągniętych pysków, w tym ścisku – taka żywa metafora.

Ze swego miejsca wysoko na ciężarowym wozie, miejsca, którego mi litościwie udzielono ze względu na mą nie wygojoną nogę, poprzez grzywy koni, po drugiej stronie, na jakimś innym wozie zobaczyłem znajomą twarz.

Uniosłem się i złożywszy dłonie, krzyczałem, wołałem i w końcu na to moje: „Czuchnowski! Hej! Czuchnowski!” usłyszał mię i poznał. Na twarzy miał ten sam wyraz zatroskania, ale była w tym także determinacja i zaciętość. Chciałem mu coś jeszcze powiedzieć, dodać otuchy i szukałem słów, chciałem mu powiedzieć o matce, ale za zakrętem rozpoczynał się spadek i wóz jego potoczył się żywiej w kłęby kurzawy.

To był ostatni raz, kiedy go widziałem. Myślę, że ułan Czuchnowski da sobie sam radę ze swą troską. Szczęść mu Boże…

[*Courtesy of Department of Special Collections, Stanford University Libraries*]

Dzień targowy

We czwartek był dzień targowy. Ze wszystkich stron do miasta jechały wozy chłopskie klekocące po bitym gościńcu i ciągnące za sobą tuman kurzu. Co na niektórym pod siatką z powroza widać było tłusty grzbiet wieprza albo cielę wysterczało swe uszy spomiędzy szczebli drabin. Bokiem gościńca szli chłopi i baby w płótniankach białych w słońcu.

Wielki knur prowadzony na sznurze uwiązanym do zadniej nogi fukał coś tam i wybierał się ryjem w inną stronę i prowadzący go chłop ciągnął za ten sznur, zadzierając mu nogę, i sękatym kijem nawracał na właściwy kierunek. Inny chłop dźwigał nowe koło od wozu: przesunął kij przez piastę i zadał sobie to koło na plecy, a koło lśniło nowymi słojami szprych i dzwonu i żelazne obręcze i pierścienie były błękitne od hartowania.

A w rynku trudno było się przecisnąć teraz w tłoku ludzkim. Był długi stragan z butami i na długiej żerdzi zawieszone parami za uszy wisiały nowe juchtowe buty: cholewy z jasnej, nie czernionej skóry i półksiężyce podkówek. Obok był stół założony perkalami tanio i kolorowo śmiejącymi się do słońca i nad tym stołem wysoko wyniesiona w powietrzu była postać żydowskiego sprzedawcy, który stojąc na jakiejś pace, był cały w konwulsjach i krzyku jak derwisz tańczący – gestykulował i rozkładał ręce, i włos mu się zmierzwił, i ściągał tłum: chłopi z ustami otwartymi w na poły nieufnym, na poły nie dowierzającym uśmiechu, kiedy ten kupiec zachodził się w swym najprymitywniejszym pokazie sprzedawania.

Sąsiedni kram prezentował ubrania męskie z łódzkiego cajgu sztywne i lśniące na szwach i dymkowe materiały, i sztruksowe bryczesy i żydowski kramarz także stał na stołku i skandował rytmicznie:

„Hur-ma! Sztur-ma!
Na bagnety!
Hurma! Szturma!”

Znaczyło to, że śmiało! że należy iść ławą do niego jak do szturmu, i hipnotyzował chłopów tym krzykiem i wojennym rozkazem, ale na tyle tylko, że stali wokoło niego kołem i patrzyli.

Obok na żerdziach wisiały kantary końskie z surowej skóry, naszelniki, szleje parciane i baty – warkocze z kolorowej skóry śmierdzące garbnikiem, odurzającym zapachem prymitywnie wyprawionej skóry – baty kolorowe i wiązane w skomplikowane węzły. Stały w pękach biczyska. Hufnale i hacele. Pęki podków związane drutem. Półkoszki świeżo uplecione z wikliny, koła wozowe z drzewem usmolonym tam, gdzie nadziewano na nie rozpalone obręcze i polewano wodą, ażeby stygnąc, ścisnęły je żelaznym pierścieniem. Kury powiązane za nogi i leżące wyciągniętą szyją na ziemi. Jajka w gniazdach chust, szczotki do bielenia wiązane z leśnej trawy, cebula połyskująca perłowo swymi głowami w pękach, grzyby ususzone i nadziane na sznur jak naszyjniki, żółte kaczany końskiego zębu i kasza w nabitych workach podwiniętych w górze w kołnierz. W jednym miejscu było płowo i szaro od glinianych naczyń wystawionych na sprzedaż. Zajmowały pokaźną przestrzeń rozsypane jak muszle na wybrzeżu morskim. Otwierały swe skorupy czarnymi od cienia słonecznego szyjami dzbany albo lśniły dna mis czysto zatoczonych ręką zduna na kole garncarskim i czułą dłonią wygięte ich kręgi jak kielichy kwiatów, wypalone w piecu, zabarwione gliną czerwoną na cynobrowo albo iłem na błękitnoszaro, wylane polewą wewnątrz i ta polewa ściekła na zewnątrz zaciekami o niedoścignionym czarze przypadku. Czasem niektóre zaznaczone było wężem lub meandrem udanym tak, że nic ani odjąć, ani nie ująć. Sita do cienkiej mąki z włosienia końskiego i do ziarna z fabrycznej siatki i uplecionego sitowia, łyżki lipowe, kołotuszki do mleka i maselnice. Białe drzewo i brązowe łyko kobiałek, i czerwone drzewo wikliny koszów. Kram z dewocjonaliami: wiszące gęsto różańce, książki do nabożeństwa, gipsowe Madonny i bardzo kolorowe drukowane obrazy świętych i Chrystusa, i Matki Boskiej z sercem przebitym siedmioma mieczami, i święty Franciszek z mikroskopijnym dzieciątkiem Jezus (łysa tonsura świętego i brązowy habit), święci męczennicy z narzędziami męczeństwa i palmami w dłoniach, kropielniczki i inne dewocjonalia.

A obok kosy: nowe, błękitne i ze złoconym znakiem marki „Kościuszko”, jeszcze nie klepane, jeszcze nie wypolerowane w zamachu świszczącym wśród źdźbeł traw, a obok lemiesze i noże pługów, i czepigi pługa, i patentowane siewniki o czerwonych kołach, a dalej rozłożone kołacze i strucle, i bochenki „miejskiego” chleba, i bułki „czworaki”, słonina w połciach na masarskim straganie, sadło w tłustych zwojach i kiełbasa śniada w słońcu, przy tym pękata beczka z kiszonymi ogórkami i w niej łodygi kminku i druga z barszczem i pokryty ten barszcz ładną powłoką pleśni barszczowej, i trzecia beczka ze śledziami i poznamy to po ich zapachu słonym morskim i straganowym, ażeby odsłonić za zakrętem kram z papierami kolorowymi i papierowymi falbankami, jakimi ustraja się półki i robi girlandy pod obrazami świętych, i bibułki kolorowe, i zabawki, kwiaty z barwnego celuloidu, piszczałki z toczonego drzewa i wypalone czerwonym drutem otwory na palce do przebierania i cynowe kogutki, i scyzoryki składane, latarki elektryczne i baterie do tych latarek, latarnie stajenne, lampy naftowe z mosiężnym reflektorem, blacha cynkowana w arkuszach, żelazo sztabowe, wiadra, klepki, gwoździe, puch gęsi, makuchy, płótno zgrzebne i kożuchy baranie, zawiasy drzwiowe i szkaplerze. W jednym miejscu nad straganem z zabawkami kręcił się zawieszony gołąb – zabawka wyrobiona najprymitywniej: z wydmuchanej skorupy jajka, do której przyklejone były skrzydła i ogon z cienkich wiórów wypostartych jak wachlarze – i ten Duch Święty unosił się nad głowami ludzkimi w majestatycznym spokoju, umiarze celnym i pełnym dostojeństwa – sztuczny ptak, a żywy, gołąb, a inny od tych, co zrywały się od rozsypanych obroków ku wieży kościelnej, dzieło rąk ludzkich, a boży.

A wpośród tego tłum ludzi mielący się w słońcu i przebierający między kramami, kupujący pochyleni nad wystawionym towarem, targ i dobijanie ceny, i z daleka głosy zbierały się w jeden szum i burr-burr-burr! i czasem tylko wybił się krzyk sprzedającego, mamlanie żebraka albo zarżał koń wyprzęgnięty i głową uwiązany do wąsągu, albo rozkwakały się nieznośnie kaczki. Chustki na głowach kobiet i kaszkiety mężczyzn, bose i czarne od brudu i podróży stopy z paznokciami jak róg kopyta zwierzęcia albo buty szare od kurzu drogowego i o cholewach w fałdach jak miechy albo

koncertina, portki mężczyzn z płótna drukowanego prymitywnym sposobem w prążki, kożuch zmarszczony drobno w szwach i z połami zakrojonymi jak żupan, a po nim nadziana płótniana powleczka z bielonej w słońcu nad potokiem tkaniny. Przepocone wstążki lichych wyblakłych kapeluszy męskich, szyje ludzi brązowe i pomarszczone od słońca palącego, kiedy zgięci pod upałem nad polem. Zgonnicy bydła i świń: w tęgich butach, o wydatnych brzuchach i byczych karkach, kiedy kołnierz marynarki czarny i przepocony i w ręku solidna laga, którą obmacuje czarne boki wieprza, a w zanadrzu tłusty pugilares wypchany banknotami pomiętymi i zatłuszczonymi. Mali chłopcy: usmarkani i nowa za duża czapka na łepetynie, i trzymający się kurczowo spódnicy matki; próżniacy lokalni z źbłem słomy w zębach i głodnymi oczami próżniaków; meksykańskie całkiem baby siedzące na ziemi wpośród rozłożonej ogrodowizny, a resztę wydają mozolnie z supła w rogu chustki, w którym zawiązane są szóstki i grosze miedziane. Świnia ryje w cieniu wozu i zagubiony gęsior kroczy poważnie między nogami ludzkimi. Paniusie miasteczkowe – kapelusz z piórkiem i trzymające się ich córeczki – kiedy targują się z rzeźnikiem, a tu pień nasiekany milionem cięć i z zamachem, jak nóż gilotyny, spada błyszczące ostrze topora, i widać przekrój różowy cielęcego pośladka, kość żółtą i szpik różowy. W tłumie, w zapachu ciał ludzkich i nawozu bydlęcego, w kurzu i brzęczeniu much, w cieniu drzew i blasku słońca jest dobrze zarazem i strasznie.

[prwdr. „Wiadomości” 1947, nr 41]

Luizjana

Sur la route une charrette,
Dans la charrette un enfant
Qui ne veut baisser la tête
Sous des cahots surprenants.
La violence de la route
Chasse l'attelage au loin
D'où la terre n'est que boule
Dans le grand ciel incertain.
Ne parlez pas: c'est ici
Qu'on égorge le soleil.
Douze bouchers sont en ligne,
Douze coutelas pareils.
Ici l'on saigne la lune
Pour lui donner sa pâleur,
L'on travaille sur l'enclume
Du tonnerre et de l'horreur.
»Enfant cache ton visage
Car tu cours de grands dangers.
– Ne vois-tu pas, étranger,
Que j'ai un bon attelage.«
Garçons des autres planètes
N'oubliez pas cet enfant
Dont nous sommes sans nouvelles
Depuis déjà très longtemps.

(Jules Supervielle,
Le voyage difficile)

Rzeka jest czerwona. Kiedy podejść na koronę jej tamy, *levee*, która ciągnie się tutaj nieskończonym jedynym wzgórzem, kiedy stanie się na jej szczycie, odkrywa się pierś rzeki szeroka i solidna. Woda niesie się wezbrana i toczy, co tu mówić, majestatyczna jak nie wiem co. Skarpa tamy od strony wody zbiega stromo i daje się lizać płaskiej rzecznej fali. Rzeka jest czerwona.

Kiedy się idzie koroną tamy, to po jednej stronie leży płaska aluwialna dolina delty: zieleń dębów, drzew magnoliowych, cyprysów, które, proszę uważać, nie są włoskimi cyprysami, czarnymi wrzecionami żałoby, ale to drzewa rozłożyste, korzeniami w bagnie i gałęziami obwieszonymi festonami hiszpańskiego mchu, który znowu nie jest mchem właściwie, ale dalekim kuzynem ananasa, ale uciekajmy od tej botaniki i patrzmy w zieleń drzew i wachlarze liści palmowych smutnych i niebosiężnych waszyngtonii, szeleszczących smutnie swymi suchymi liśćmi i eleganckich jak z Riwiery *Canariensis*.

Domy, drewniana architektura prowincjonalna amerykańska (Ameryka prowincjonalna jest drewniana i pionierska, jeżeli chodzi o chałupy), słupy telegrafu jak u nas na Wołyniu smutne i krzyżowe, wyskakuje na pajęczych nogach zbiornik ciśnień, ale wszystko zlewa się w jeden horyzont zieleni i dachów, i kabli i ponad tym wschodzi ogromny księżyc, krąg pomidorowy z niebieskimi literami reklamy: „GULF”, i wydaje się być kręgiem toczydła, szlifierki biorącej pod swój ostry łuk wszystko na tej ziemi, i oszlifowującym ją do tego właśnie poziomu horyzontowego.

A obrócimy się w drugą stronę – rzeka. Leci jej wezbrana pierś. Niesie na niej pnie, korzenie drzew wymytych gdzieś tysiące mil w górze, kiedy nurt podchodzi pod brzegi, podmywa i urywa tych brzegów urywiste skarpy i korzenie wiszą ażurowe jak ramiona ośmiornicy, i słania się zielona korona, i wali w przepaści wodne. Od czasów La Salle’a rzeka zmieniła łożysko wielokroć, kąsając brzeg Illinois, zalewając doliny Tennessee, przerywając pętle Arkansas, i tam, gdzie łabędzie piersi kanoe szytych z kory brzozowej, kiedy La Salle płynął na południe, wisiały nad wiszarami wód, tam teraz całą drogę przejść można suchą stopą. Niesie pnie buków i rozczapierzone korzenie sosen, patetycznie wykręcone ku niebu suche konary drzew bawełnianych, niesie budulcem ukradzionym z nadbrzeżnych składowisk i rozbitkami tratew, zakręca w wirze rzecznym dylami z podmytych domów i z poniesionych rzecznych molo. Drzewo niesione wodą niczyje i błędne. Na płaskich zakrętach spiętrzy je woda w dżunglę suchą i las skamieniały. Odbiją się od kadłubów głęboko zanurzonych barek i berlinek. Wyłowią je cierpliwie biedacy mieszkający w budach na palach

wzniesionych pomiędzy tamą i rzeką na ziemi niczyjej, nad wodą wzdychającą powodzią i suszą.

Aż ciasnymi ujściami palczastej dłoni delty wyniesie je na przestwory Gulfu. Będą pławić się z prądami, jak tragiczni topielcy, w skurczu śmiertelnym gestów korzeni powykręcanych. Będą straszyć nocną wachtę na transportowcach. Będą rwać sieci i pływaki rybackich statków. Przybój, *surf*, usieje nimi piaszczyste, muszlowe wybrzeża zatoki w kolczastą kolię, w pejzaż suchy i doskonały, kiedy powykręcane korzenie i powyjadane słoje drzew w leciutkich gładziutkich smużkach piasku mokrego od słonej zielonej fali Gulfu.

Rzeka i rzeka.

Tutaj to chodzimy z mym synkiem, który jest jeszcze bardzo mały, chodzimy na spacery. Po pierwsze dlatego, że dobrze jest, jeżeli się ma okazję obcować z wielkością, po wtóre, może dla paradoksu, że niby jesteśmy tacy mali wobec czegoś tak ogromnego. Bo, proszę – Missisipi razem z Missouri jest największą rzeką świata i jej dorzecze to połowa kontynentu. Dolina jej w tej chwili wykarmia pół świata, kiedy mile kwadratowe urodzaju pszennego kładą się pod żuchwy „*combined harversters*” i krany portowe nurzają w lukach transportowców sieci obciążone worami mąki, kiedy maszyny łuszczą góry usypane z kukurydzianych kaczanów, którymi pasą wieprze [i] bydło do uboju na wywóz.

A było kiedyś tak, że dziewiczego ekwilibrium kontynentu nie mącił i nie mieszał jeszcze człowiek (jak się to zawsze pisze w popularnych książeczkach o postępie przez wielkie „P”), kiedy u ujścia mulistej rzeki żaglowce Hernando de Soto wyrzuciły kotwice za burty i kiedy Hiszpan ze swą drużyną zbrojną w arkebuzy i krzyże pchali wiosłami pod prąd. Było, że La Salle w łodziach kanoe z brzozowej kanadyjskiej kory przepłynął całą długość rzeki z północy na południe, aby zachwiały się te łodzie w fali Zatoki Meksykańskiej.

Patrzymy obaj po tej wodzie, przepowiadamy sobie nazwiska i imiona włóczykijów ówczesnych: de Soto, La Salle, jak gdzie indziej La Pérouse, da Gama, Balboa, Bougainville, Magalhães, a żeśmy zabłądzili w te strony

obce i odległe zamorskie, to i nam coś z tego odkrywczego dreszczu się udziela.

A kiedy czas nam z powrotem na podwieczorek, to droga akurat nam wypada przez tory kolejowe. Kiedy nam sprzyja szczęście, to akurat przejeżdża towarowy pociąg.

Szyny kolejowe solidnymi hakami przybite do podkładów. Podkładów, czyli progów kolejowych. Wszystko to razem leży w nasypie z szutru, kamieni, tłucznia. Ale jak się trochę popodróżuje, to można sobie zauważyć, jak różni się ta podsypka trzymająca tę żelazną drogę (u nas Rusini mówili: „*żeleznycia*"). A nawet można sobie odtworzyć ekonomiczny obraz danego kraju zależnie od materiału, jakim podsypuje się te szyny. Więc u nas magistrale miały solidny tłuczeń i wszystko było solidne i masywne. Ale po prowincjach jednotorowe koleje to leżały sobie albo w lokalnym krzemieniu, w otoczakach górskich, ba, w piasku, a przewędrowałem sobie raz kilometry linii prowincjonalnej, gdzie jako materiału użyto żużlu fabrycznego, pokruszonej szlaki i po prostu śmietnisk miast, gdzie progi kolejowe leżały w szmatach, pordzewiałych puszkach, miednicach pogiętych i nocnikach. Kiedy już tak zagłębiamy się w masę i prawie dotykalność materiału, jakiego używa się na nasypy, to wspomnę, jak widziałem kiedyś na Podolu w sezonie, kiedy wyroiły się majowe zielone żabki, miliardy tych żabek [, które] pokrywały kilometry linii kolejowej tak gęsto, że wydawało się, że szyny i progi leżą w tym drgającym żabim nasypie. Ale co tam – czytałem gdzieś, że w czasie pierwszej, francuskiej imprezy budowy Kanału Panamskiego tylu zajętych przy budowie linii kolejowej kanału zmarło na żółtą febrę, że odtąd mówią, że pod każdym progiem tej linii kolejowej leży Francuz.

No to wróćmy od tych makabr i zauważmy, że w Luizjanie tory kolejowe wysypane są białymi kredowymi muszelkami morskimi i te muszle palą się w słońcu przeraźliwie biało, ale że aż oczy bolą od tego blasku. Jak gdyby „lasowały się" jak gaszone wapno i parzyły nam oczy.

A jak losy nam sprzyjają, to akurat nadjeżdża pociąg. Już z daleka słychać bicie dzwonu i: czuu! czuu! lokomotywy. Alabama czuu! czuu! Dla pewności trzymamy się ręka w rękę – rączka mego syna spocona

z przejęcia. A tu w drganiu i stękaniu szyn na spojeniach, w zamachu korbowodów, w płomieniach palników ropy, w parze i dymie, w łoskocie iluś tam koni mechanicznych przedudnia lokomotywa. A potem toczą się w rytmicznym stukocie kół ciężkie czteroosiowe wagony towarowe, a na nich w znakach, cyfrach, markach cały kontynent: „Santa Fé”, „Pennsylvania & Ohio”, „Louisville & Nashville”, „Illinois Central”, stuk, stuk! stuk, stuk! i jeszcze jeden, i jeszcze jeden. Wydaje się, że przepływają z nimi zielone wzgórza Karoliny Północnej, czerwone pola Georgii, prerie Oregonu, góry Wyomingu, wieje pyłem Oklahomy, piętrzy się Koloradem i skrzypi solą Jeziora Słonego, pluszcze falą Pacyfiku. I oto minęły ostatnie koła, i czerwone światła uciekają pośpiesznie, i zostajemy sami.
Jedziemy! Jedziemy! Jedziemy! Naprzód ładujemy do samochodu toboły z odzieżą, kosz czubaty puszkami, w których mamy zakonserwowaną żywność na tych parę dni – śmieszna wymiana niezależności i komicznie skoncentrowane nasze życie parodniowe zalutowane w oklejonych kolorowymi naklejkami puszeczkach – potem idą zabawki: pies Fido i pies Merrythought, i pajace, wózki i bąki, co jeszcze? książki, cała ich paczka owiązana sznurkami, aparat fotograficzny, skrzynka z piwem, jakieś niebywałe stołeczki, śliniaczki; żeby czego tylko nie zapomnieć. Jedziemy!

Już jesteśmy na drodze, już minęliśmy domy, mosty zwodzone na kanałach, składy, magazyny, skwery miejskie, parki, cmentarze, wieże ciśnień, stocznie okrętowe, osiedla robotnicze. Już minęliśmy cmentarze, lunaparki, slumsy. Nie jesteśmy sami, bo goni z nami albo naprzeciw nas sznur samochodów o głupich opływowych liniach, ludzie w nich zapudełkowani, więc wydają się takie martwe, puste i mechaniczne. Inne stadami zaparkowane przed mamucimi sklepami żywności, przed stadionami sportowymi i przed fabrykami.

Jedziemy. Po obu stronach rośnie na bagnie las cyprysowy w festonach mchu hiszpańskiego. Lecą naprzeciw nas tablice reklam wielkie jak domy, uparte i samolubne. Ale w wodzie po obu stronach szosy kwitną hiacynty wodne i leżą na wodzie solidnym, gęstym dywanem.

A szosa przed nami prosta jak strzelił i zawsze daleko przed nami niesie się po niej fatamorgana od rozpalonego w słońcu betonu i odbijają się

w niej drzewa i samochody jak w lustrze wody.

Jedziemy i to jest dla nas esencją życia w tej chwili. Wydaje się nam, że kiedy mijamy drzewa, reklamy, rozlewiska wód w tempie 45 mil na godzinę, że żyjemy podwójnie. Nasz wzrok łakomy cieszy się przemijalnością. Nasza wyobraźnia każe nam upiększać i łaknąć tego, co się odwija przed nami, i dodawać uroku celowi, który statecznie czeka sobie tak samo jak to, co było zostało za nami równie statyczne i godne pożądania, gdyby nas kto tylko obrócił o 180 stopni. A niech no będziemy już na nowym miejscu, to spowszednieje nam i scodziennieje i zaniepokoimy się i zakołacze w nas niepokojem: a co jest za tym nowym horyzontem? I wydawać się nam będzie, że to jest jedynie warte i pożądania godne, co jest poza nami, co zakrywa się i ucieka od nas, i zaczarowuje nas [na] nowo dystansem i diabelskim mirażem.

Potem skręcamy z głównej szosy na boczną, ażeby dostać się do promu, który nas przewiezie na drugą stronę Missisipi. Jest stromy zjazd do ciężkiej tratwy na łańcuchach i pomost chwiejny ma na nią nas wprowadzić. Ale czekamy, bo prom jest akurat po drugiej stronie. Dokoła jest pusto i odludnie. Jest pole bawełniane i chodzi po nim traktor i ciągnie za sobą specjalną maszynę do wypalania chwastów – najnowszy wynalazek i cudo mechaniczne. Przy ziemi idzie szereg palników jak lutlampa i palą chwasty, nie naruszając bawełnianych krzewów. Pole dymi smużkami – dymy tam, gdzie jeszcze coś samo wypala się po przejściu maszyny. Swędzą się cieniutkie spirale dymków. Bliżej nas jest odłóg i zaśmiecony jest drutem, pordzewiałymi blachami i puszkami, i butwiejącą gumą, i spróchniałymi szmatami. Ameryka poza miastami to jest właściwie jedna olbrzymia pustynia albo śmietnisko zagracone przeżutymi, pordzewiałymi, rozkładającymi się resztkami maszynowej produkcji.

A rzeka idzie przed nami wielką taflą i łaskocze dyle tratwy. Jest wielka i milcząca. Wypływa gdzieś z dalekiego świata jak z jaskini i że niby jest to dzień jasny i szeroko nad nami jest otwarte niebo, nieznaność i niezgłębioność jej wielkości, jej ciężkiej siły, obcość jej mokrego żywiołu nam, nawykłym do suszy i solidności stąpanej i tratowanej ziemi, robi ją właśnie taką jaskiniową i obcą, i niezrozumiałą.

Prom po drugiej stronie rzeki zabuczał i widać, jak powoli odkleja się od jej dalekiego brzegu. Potem płasko i powoli, i nieznacznie zaczyna iść ku nam jakoś bokiem i ruch jego podchwycamy, tylko że nieznacznie, ale rośnie i przybiera na wielkości. Jest już całkiem blisko, tuż, i zaczyna wykonywać dziwne sakramentalne manewry: maszyna staje, potem jest kontrpara, potem dodaje w przód i wreszcie nasza tratwa drga, kiedy płaski statek ociera się o jej brzegi. Dwa kominy blaszane sterczą teraz wysoko nad nami i buzuje z nich czarny dym węglowy, wysoko w nadbudówce kręci kołem facet z ogryzkiem cygara w wargach. Czarny jak smoła Murzyn w khaki spodniach i kolorowej koszuli rzuca linę i kładzie szybko ósemki na żelaznym kowadle od cumowania.

Teraz niesie nas westchnienie rzeki. Kiedy popatrzeć w górę jej wód, a potem szybko obrócić się w jej dół, to chwyta się wzrokiem dokładnie różnicę poziomu zwierciadeł wodnych, że to rzeczywiście tam jest góra, a tam jest dół.

Jedzie się na Grand Island szosą samochodową. Naprzód jedzie się normalną smołowaną lub betonową drogą wzdłuż Bayou Lafourche (po lewej stronie *bayou*) z oliwkową stojącą wodą, kręcą się z tą wodą niewysokie tamy porośnięte zieloną trawą i poobgryzane przez czas. Stoją w tej wodzie lugry rybackie, te od ostryg, z wielkim lukiem i nadbudówką z tyłu, gdzie motor i koło sterowe, albo kutry motorowe; zderzaki to wywieszone na zewnątrz stare opony samochodowe. Mija się płaskie pola z równiusieńkimi rządkami po trzcinie cukrowej i na brzegu każdego żuraw i dźwignie do podnoszenia i ładowania snopów trzciny cukrowej, dziwacznego dla mnie żniwa. Dalej za to *swamps* z drzewami cyprysowymi. Droga kręci się dokładnie z biegiem kapryśnym *bayou* i zaraz wyskoczy osiedle: domy drewniane obite deskami *weatherboards* i z podcieniem od ściany szczytowej i w ogrodzeniu pasie się muł kłapouchy drewniany jakiś i obrzydliwy, prawdziwie muli. Małe stocznie i warsztaty statków i widać pod dachem szkielet żebrowy nowego pływadła: żebra wygięte i wióry, i deski na sztorc postawione, i śmietnisko tej drzewnej roboty, statek postawiony na równi pochyłej na wózku, który wciąga albo wyciąga te wodne stwory do reparacji lub budowy. I zaraz

fabryczka, gdzie mrożą i wyłuskują te ostrygi, i miele się coś tam, i pod wyrzucającą rynną stoi ubrudzona lora, i rzyga stamtąd i wypluwa puste już, ale jeszcze śliskie skorupy tych ostryg – pewnie tam jakaś przemyślna maszyna umie i potrafi otwierać te ciasno zamknięte skorupy ostryg i wybierać ich śliskie ciała ostrygowe. Które do czegoż są podobne? Thackeray powiedział, że duża ostryga podobna jest do ucha, które odciął słudze kapłańskiemu Piotr rybak.

A dookoła zaśmiecone tymi skorupami ostrygowymi i ciasno jest w tym osiedlu, i wyskakują nad nie nagle wieże wiertnicze, bo tu gdzieś podbiegła kopuła solna, pod którą ciśnie się zwierciadło ropy, i tak właśnie wypadło, że to jest pod osiedlem, i interes i dywidenda nie znają przeszkód, i stoją rozkraczone ponad domami, jedną nogą pokraczną wstąpiwszy w podwórze *farmu*, i chodzi ramię pompy, a wieża pcha się w górę metalowa i ażurowa sucha, nie takie, jak smarowne i oszalowane deskami nasze drewniane wieże borysławskie, ale to nie kanadyjski, tylko jakiś inny system, *rotary* czy jak mu tam, i idzie to gładko, i nie ma specjalnego ruchu – maszyneria i porządek.

A potem kończy się dobra droga i już tylko projekt – ostatnich mil czterdzieści do Grand Island – droga, tyle że wytyczona i wysypana właśnie tymi morskimi białymi muszlami i kopnie w nich, i roluje przednimi kołami samochodu, i niesie się za nami biały pył muszlowy. Już jest pusto dookoła i niespodziewanie, bo wymyśliło mi się poprzednio, że aż do morza będzie jakaś dżungla: jakieś drzewa mangrowe sterczące korzeniami w morze albo palmy przeglądające się w wodzie. A tu płasko i bagno, tylko trawa i sitowie suche, twarde od tej wody mieszanej (nazywa się taka pół słodka, pół morska woda „*brakish*” i ma swoją specjalną florę i faunę brakiszową). Więc te trawy ścielą się i chylą płasko i daleko tego nie widać, bo płasko zupełnie i smutnie jest nieskończenie, i monotonia doskonała. Czasem kępa drzew i w jej cieniu prymitywny „*shack*”: dom przychylony i z właśnie tych desek, i pokrzywiony ganeczek szczytowy, i jakieś tam łachy w oknie, pogięte i pordzewiałe puszki koło domu i brudna i pusta butla po czymś tam, i pogniłe deski schodków. To dom trapera – żyją tu porozrzucani, stawiają pułapki w bagnach. Mały chłopiec w koszuli tylko przykucnął

przed domem tyłem do nas, aby się po prostu wysrać – w całkowitym wyzwaniu całego świata świecą jego chude półdupki. Samochód toruje prawie po osie w muszlach. Dalej jest zupełnie martwo. Czasem jedynie przeleci skośnie błękitnie zimorodek, a dalej wielkie jak indyki sępy, *buzzards*, siedzą ciężko na drodze i ciężko zrywają się z naszym zbliżeniem, rozwijają skrzydła i sterują nimi w powietrzu, i obrzydliwe są ich sępie głowy na krótkiej szyi.

I oto droga skręca w lewo, i jeszcze samochód trochę podskakuje, i jest morze: Gulf, zatoka, i oddziela nas od Grand Island tylko wąski przesmyk – cieśnina, na którą wjeżdżamy długim i niskim pomostem na palach. Jak mówiłem, jest bardzo płasko i właściwie cały czas jesteśmy jakby na poziomie morza, toteż horyzont nie jest rozległy. A zatoka zadziwia, bo jak ku horyzontowi, to staje się szmaragdowa i niebieska, i radosna tym kolorem i biegną sobie ku brzegowi niewielkie fale, i czuje się wiatr nadlatujący od morza, i jest całkiem inaczej.

Co widzieliśmy dzisiaj? Widzieliśmy dzisiaj jaszczurkę. Spłoszyliśmy ją, kiedy przylepła do drewnianej ściany szopy, gdzie upadły na chropawe deski skośne promienie wiosennego słońca i wywabiły ją z zakamarków swym ciepłem.

Ja już jestem stary i zblazowany i widok śliskiego małego ciała zaledwie wzbudził we mnie dreszczyk ciekawości i zainteresowania. Mój synek jest jeszcze bardzo młodziutki, tak młodziutki, że zainteresowanie jego jest nikłe i bladziutkie. Nigdy nie widział jeszcze w swym życiu jaszczurki. Jest to dla niego jeszcze nie apercepujące. Patrzy z takim samym nikłym, ale budzącym się zainteresowaniem, z jakim niknącym ja na nią patrzę. W tym jesteśmy do siebie smutnie podobni.

Ale jest coś, co nas ma połączyć. Gonitwa. Mianowicie ja ułamuję źbło trawy i supłam jej koniec w pętlę, i mamy gotowe prymitywne lasso. Na to lasso usiłuję złowić małą jaszczureczkę. Jej podgardle nadęte lekko drga i pulsuje, jakby miała ślinę w pyszczku albo nabrała wody dla milczenia. Moje usiłowania złowienia jej nie wyszły. Nie mam widocznie wprawy. Jaszczurka popatrzyła na nas swym jaszczurczym wzrokiem i szybkimi wijącymi się ruchami (każdy ruch jest, jak przecinek, nagły i oderwany)

pobiegła – czy pobiegła? jak się może nazywać taki ruch jaszczurczy? nie: pełzanie, ani: wspinanie, coś zupełnie innego – no i znikła gdzieś w jakiejś szparze.

Co widzieliśmy jeszcze dzisiaj? Po drodze, dojeżdżając do domu, kiedy po obu stronach drogi były rzadka poręba i pastwiska, na których pasące się krowy drewniane jakieś i obojętne, to widzieliśmy dziewczynę kowboja albo raczej: *cowgirl*. I uśmiałby się ktoś, kto by spodziewał się oczywistego i innego kowbojskiego spektaklu. To prawda, że dziewczyna jechała na źrebcu, „pony", niskiej miary i ze sztywnym karkiem, i skudloną grzywą, twardym w pysku „pony", na prawdziwym siodle meksykańskim (proszę: drewniane strzemiona ze skórzanymi ochronami na stopy, siodło bez tybinek, tylko szerokie na dłoń puślisko, kula kulbaki i dwa szerokie popręgi, których nie zapina się na sprzączki, ale luźny ich koniec przewleka się i zawiązuje w skomplikowaną pętlę), otóż ta dziewczyna w spodniach z farbowanego na niebiesko bawełnianego płótna i w czarnym kowbojskim kapeluszu miała włosy blond, prawie białe, rozpuszczone na plecy, twarz miała piegowatą jak indycze jajo i na dobitek wszystkiego w okularach i wyglądała jak najlepsza uczennica w szkole.

Co widzieliśmy jeszcze dzisiaj? Widzieliśmy na tyłach naszego domu, jaki wybiega nad *bayou*, gdzie drzewa nad wodą i pusto, widzieliśmy parę białych czapli. Pierwszy raz je tu widziałem – poznałem je takie, jak wysztychowane przez Audubona w jego wspaniałym katalogu ptaków amerykańskich. Ta dostojna para z upodobaniem wybrała sobie miejsce koło naszego domu do jej zaszczycającej nas niebywale chwili spoczynku? zabawy? gry? Coraz to któryś z ptaków podrywał się do czaplego lotu – popisu gracji i wdzięku. Niknąc pomiędzy czarnymi gałęźmi drzew i wypływając na perłowe niebo, nigdy nie tracił ani na jotę płynności i harmonii ruchów. Sinusoida ruchu skrzydeł, spokojne i nieomylne lądowanie na drewnianym pomoście, zmiana jak w balecie, kiedy drugi podchodził do lotu, ażeby opisać te swoje epicykle i ewolwenty w powietrzu i dać się odbić temu w zwierciadle *bayou*, i znowu siąść nad spokojną wodą. Mojego synka i moja admiracja nie mąciła ich harmonii, czuliśmy się obaj zupełnie unicestwieni i przepadli. A potem ku naszemu

żalowi ten wspaniały duet koloru najbardziej białego wpośród drzew *bayou* czarnych zerwał się unisono i odleciał i długo patrzyliśmy za nim, kiedy już zniknęły białe kreski ptaków za wierzchołkami drzew, i na chwilę zostaliśmy bardzo sami.

No ale nie na długo zostaliśmy sami, bo przecie jest nas dwu, co tu mówić, nawet nie licząc mamy.

Widzieliśmy dzisiaj ptaka kardynała – w kardynalskiej purpurze rzeczywiście – polatywał sobie pomiędzy magnoliowymi gałęziami. A magnolie właśnie kwitną ciężkimi białymi aksamitnymi kwiatami, które, kiedy więdną, stają się czarne.

A wieczorem ponad wierzchołki drzew wychodził „karybski" księżyc wykrwawiony do śmiertelnej białości. W *bayou* cichym do teraz, pod pomostem, gdzie uwiązana jest łódź, odezwała się żaba, o pół mili odpowiedziała jej inna i nagle na ten sygnał odezwał się wielotysięczny chór. Czasem wmiesza się do tego bawoli ryk żaby wołu, *bullfrog*. Potem zaczynają się jakieś metaliczne nawoływania, potem regularne kucie jakby w kuźni, ale do złudzenia, do bólu w skroniach.

Mój mały synek śpi już od dawna, przepadły w niedosięgłym świecie jego malutkich snów. Bardzo się wtedy zostaje samemu. Długo w nocy, kiedy już umilkły żabie chóry, myślę o dawnym i niedawnym i staje się bardzo strasznie. Myślę, jak to przez góry i doliny fal grudniowego Atlantyku, w drgającej od ruchu turbin kabinie uspokajałem płaczącego i kapryśnego, mówiłem mu: „*A ne serdysia*…" W Nowym Jorku, kiedy zimowy wiatr ciął jak kosą od East River, znaleźliśmy na hotelowym balkonie zmarzłego na śmierć wpośród tych turni szklano-betonowych gołębia. Z okna wagonu patrzyliśmy, jak leży czerwona ziemia Georgii i na dworcu w Atlancie przytrzymuje za klapy pijanego jegomościa policjant.

Potem chciałbym doszukać się wątku tej całości aż do tego, że jesteśmy tutaj, aż do ostatniego momentu, i odnaleźć sens i sekwens tego wszystkiego.

Martwię się, ale na złość egzystencjalistom przypominam sobie Kandyda: „Wszystko to bardzo ładnie – ale wróćmy do pracy w naszym ogrodzie".

[prwdr. „Wiadomości” 1948, nr 2]

W barze Harry’ego

Kiedy z mym synkiem wracamy ze spaceru, to, naturalnie, wstępujemy na piwo. Mamy wiele poważnych przyczyn i uspakajamy nasze sumienie. Bo: Lato w Luizjanie jest straszliwie gorące. Kiedy z cienia domów osłoniętych okapami dachów, zasklepionych szczelnie roletami i markizami, i firanami wyjść na ulicę, to gorąco uderza w pierś jak rozpalona blacha. Nienawistne światło słoneczne, kiedy w bezlitosnym lazurze tkwi i pali jak kolba do lutowania rozżarzona do białości słońce i białe mury i biało malowane szalowania domów oddają ten blask spotęgowany, kiedy obojętne i emaliowane liście drzew palmowych i magnoliowych oszczędnie i z wyrachowaniem dają tylko tyle cienia, ile ich chlorofilowa obojętność każe im, to wydaje się, że jest goręcej dwa razy. Bo jesteśmy ciekawscy, jak to tam jest z tymi ludźmi, co są tutaj – z autochtonami, jak się mówi. Bo nam się po prostu zachciewa piwa.

W barze jest kwaśny zapach alkoholu, po półce zastawionej flaszkami łazi karaluch, „*roach*”, w kącie gra automatyczna szafa, *jukebox*, i od wnętrza oświetlona fantastycznie i kolorowo, i ażurowo ruchomymi światłami.

Stereotypowo pytają: „*What’s yours, Mac?*” albo: „*doc*”, ale najczęściej: „*cap’n*”, „*cappie*”, bo to portowe miasto. Odpowiada to – jak by to ująć? – temu, co u nas było w modzie: „dziedzicu”, „radco”, „naczelniku” albo po prostu: „wodzu”.

Piję piwo śmiertelne z lodu, że zęby kołczeją, i patrzymy z synem, co tu i jacy tu.

Po krótkiej stronie baru siedział jegomość w kapeluszu, twarz miał nabrzękłą i ogłupiałą i patrzył uparcie, agresywnie, z agresywnością pijaka. Koło nas był drugi, położył na ladzie pięciodolarowy banknot, a w ręku obracał budzik z białego plastyku, który właśnie wygrał w automacie, gdzie wrzuca się pięć centów, a potem szybko manewruje metalowymi szczękami

miniaturowego kranu, które poślizgują się wpośród ohydnych eksponatów i bardzo trudno jest wygrać coś w ten sposób, trzeba być ekspertem. „Harry” – powiada ten jegomość do barmana – „szkło zbiło się. Co za porządki! Zostawię to, ażeby wymienili…” „*Sure*…” – mówi Harry – „powiem im, ażeby ci wyłożyli to gumą…” Inni się śmieją. „Zapisz to” – powiada chudy facet w skórzanej wiatrówce – „wyrównam w sobotę”. Harry patrzy ostro, zimno na faceta w skórzanej kurtce, ale ma pewność siebie, kiedy nieprzyjaźnie sięga za kasę „National” i na obszarpanej tekturze przytrzymany stalowym klipsem plik zabrudzonych papierów, i coś tam gryzmoli. Teraz wchodzi gruby jegomość z fałdą tłuszczu na karku i pomimo gorąca w płaszczu i woła coś bezceremonialnie, rozumiem tylko: „Harry”, i nagle rzuca na stół z zamachem butelkę piwa, i butelka odbija się z głuchym nienaturalnym łoskotem, i nic się nie stało, butelka jest „*dummy*” do reklamy jakiegoś napitku i efekt udaje się grubasowi. Grubas jest, jak wszyscy pyknicy, w nastroju hipomaniackim i wesołym, sypie dowcipami, coś mu się bardzo w życiu udało, wygląda, jak gdyby zrobił jakieś wspaniałe pociągnięcie, wygrał na loterii albo coś podobnego. I nagle ni stąd, ni zowąd komenderuje Harry’emu, że stawia dla wszystkich.

„*On me!*” I przede mną stawiają butelkę piwa i bardzo tego nie lubię – trzeba patrzeć wdzięcznie na amfitriona, a amfitrion tymczasem zagłębił się w rozmowę z policjantem – policjant tęgi o byczym karku, z wieloma naszywkami na rękawie za lata służby i czysto wygolona broda, i podbródek opierający się na białym czystym kołnierzyku koszuli, a amfitrion rzuca jednak spojrzenia wokoło, ażeby upewnić się, że ugoszczeni przez niego nagle goście są w należytym czarze tego gestu. Żal mi tego pyknika, bo czytałem gdzieś, że tacy jowialni właśnie i dobroduszni, hałaśliwi i głuszcowaci to nieomylnie kończą właśnie na melancholię, zawsze mi się tak wydaje, kiedy patrzę na grubasa, ale niech mu Pan Bóg da zdrowie.

Coraz więcej ludzi. Niektórzy wyrwali się, jest ich większość, wyrwali się od pracy i poznać ich po tych ich ubiorach i kombinezonach. Patentowane *dungaree* szyte z ostrego płótna i w najbardziej narażonych miejscach szwów nitowane miedzianymi nitami, spodnie z niebieskiego

wyblakłego materiału, *jeans*, kurtki wojskowe, po czym poznać niedawnych weteranów, workowate białe pantalony kombinowane z szerokimi szelkami, z przemyślnymi kieszeniami na kolanach, na udach na takie czy inne narzędzia i metrówki. Na głowach czapki płócienne z daszkiem, niektóre firmowe firm od wyrobów i farb z literami reklam albo z „*safety first*”, czapki od baseballu, kapelusze, czapki uniformowe tramwajarzy i szoferów taksówek, na koszulach i kurtkach często odbity literami znak firmy, w której pracują: piekarni, gdzie się parzą, pralni mechanicznych, mleczarni, garażów, tartaków, sortowni, młynów, magazynów – firm.

Jakby im mało było tego znakowania i stygmatów, to na obnażonych po łokcie rękach i piersiach widocznych przez rozwartą koszulę tatuaże: orły na nich uskrzydlone i Old Glory, i kolumny, i znaki kabalistyczne, kotwice, okręty o wypostartych żaglach, syreny i po prostu wulgarne nagości. W zębach własnych czy sztucznych ogryzki cygar. Często szkła. Sygnety z solidnego złota na środkowym palcu. Co niektóry starszy ma dyskretny bakelitowy aparacik za uchem dla pomożenia niedomagającemu słuchowi.

Bar Harry’ego jest miejscem pośpiesznego posiłku. Szybko, najprościej smaży się hamburgera posypanego cebulką albo kiełbaski włożone pomiędzy rozkrojoną podłużną bułkę. Inny sobie zadysponował krewetki i obiera je teraz z ich czerwono-różowej skorupki, inny łamie kleszcze krabów, inny znowu dostał porcję meksykańskich *chili*. W dalszym końcu baru dwie damy, jedna podługowata i chuda, a druga przysadzista, przyrządzają te przysmaki w swędzie spalenizny i na gwałt. Od brudnej roboty jest tam opasły Murzyn z twarzą nalaną i skończenie obojętną, w białym bawełnianym swetrze i w wełnianej czapce żeglarskiej, o barkach i brzuchu atlety, pitrasi coś nad tą żeńską robotą i czasem obrzuca wnętrze baru pogardliwym spojrzeniem.

Chciałbym posłuchać, o czym tu mówią, co ich trapi, jakie mają remedia na to, ale gwar jest zmieszany i robi wszystko niezrozumiałym i chaotycznym.

To są wszyscy nasi dobrzy znajomi z naszych przechadzek. Maszyniści kolejowi wychylający się z lokomotyw na przejazdach kolejowych albo ci

z dieslowskich maszyn do przetaczania wagonów na stacjach, operatorzy dźwigów mechanicznych i kranów, kierowcy lor ciężarowych i cystern z gazoliną, kiedy z niedopałkiem papierosa w wargach i łokcie obnażone na kierownicy, a wściekłe wycieraczki śmigają po szybie frontowej w deszczu i ulewie, taksówkarze uwieszeni na postojach taksówek, kiedy telefonują i odpowiadają na zawołanie, ci, co manewrują ciężkimi na gąsienicach czerpaczkami i skrobaczkami mechanicznymi, kiedy wokoło śmigają liny i sterczą lewary przekładni i zmian biegów, a inni, co nasypują góry piasku ssane potwornymi wężami do wielopiętrowych elewatorów, a inni ze stacji benzynowych, a inni kurczowo trzymają rękojeści pneumatycznych świdrów, a powietrze wokoło drga od sprężenia, ci, co pistoletami rozpylają farbę i emalię w lśniące powierzchnie, spawacze w potwornych maskach, a u ich urękawicznionych dłoni pali się przeraźliwie płomień białoniebieski, i niciarze z drgającymi w ich rękach mechanicznymi nitarkami, a głowy ich chronią hełmy stalowe, ci, co w magazynach pośpiesznie przewożą na elektrycznych wózkach góry skrzyń napiętrzonych jedna na drugą bez wysiłku szczękami hydraulicznymi, windziarze z wielopiętrowych składów i domów handlowych, szlifierze, specjaliści od sieci przewodów elektrycznych u pasa w skórzanych futerałach mają komplety narzędzi i szczypiec, pisarczyki i magazynierzy z zielonym daszkiem na czole, zaszmelcowane od wycierania dłoni pośladki spodni khaki, rękawice bawełniane wyłożone na dłoni skórą, ciężkie gumowe buty, chodaki „*longshoremanów*”, kolty w olstrach policjantów i strażników, krawaty i okulary, i spinki agentów ubezpieczeniowych, sprzedawców, komiwojażerów, karciarzy i naganiaczy wyborczych.

Twarze różne, twarze coraz to inne, wielka głowa z twarzą jak piąstka, krzaczaste brwi i fałdy tłuszczu, i wystające kości policzkowe, i bruzdy, i zmarszczki starszych, i gładkie i bez charakteru twarze młodych ludzi, włosy ścięte krótko, *crew crop*, albo rozmierzwione, albo łyse pały, skóra u jednych zbabczała i obwisła, a inny południowiec ma smagłą i aż błękitną od golenia, najfantastyczniejsze zbiorowisko i mieszanina, zagubione rasy i nagle wyskakuje przez jakiś skok konikowy najbardziej charakterystyczna cecha Hiszpana, meksykańska, słowiańska, ale kundysowość rasowa nie

uporządkowana i rozbita góruje ponad wszystkim i nadaje temu zbiorowisku cechy najbardziej inne i specyficzne. Jak wpatrzeć się w te twarze, jak podsłuchać mieszaninę gwaru nieartykułowaną, inną, czuje się niesamowite uczucie, kiedy jakby uciekał grunt spod nóg i wszystko wokoło staje się płynne i niestatyczne.

Harry błyskawicznie odkapslowuje butelki z piwem, nalewa z tej czy innej takie czy inne whisky albo *rye*, szafuje usmarowanymi butelkami z sosem i *ketchupem*, dzwonią i zapalają się światełka zabawkowych maszyn i dudli melodia z *jukeboksu*.

Potem wychodzimy z synem na wolne powietrze i idziemy sobie skrajem przedmieścia.

Jest dom murzyński: podparte słupy ganku i zbakierowana podcień, i mdlące śmietnisko niedaleko. U podcienia bawią się dzieci murzyńskie – chłopcy w połatanych spodniach i z baseballową piłką – i chowa się za pokrzywiony słup ganku mały Murzynek, żółtka oczu błękitnieją mu w brązowej twarzyczce i obwodzi nas spłoszonym ciekawym i głębokim spojrzeniem. Na pace przed domem drzemie w słońcu stary Murzyn – ma pogięty filcowy kapelusz na głowie, koszulę w kratę i wpadnięte doły na skroniach.

[prwdr. „Wiadomości” 1948, nr 15]

Zamierzchłe echa

Za czasów tamtej wojny, kiedy byłem małym chłopcem, to matka nasza utrzymywała całą naszą czeredę, w trudnych warunkach okupacyjnych wydając „domowe” obiady i kolacje. Między innymi stołownikami przychodził do nas podstarzały ck radca sądu okręgowego, doktór Reck. Pamiętam wieczór zimowy, kiedy stał w ciemnej sieni, tupał nogami, ażeby otrząść śnieg z kaloszy, i odkręcał szal, i dopiero w pokoju oszczędnie zdmuchiwał płomień świecy w latarce (nazywał ją ten ck radca „*fonarik*”, jako że to była rosyjska okupacja), i szukał mnie wzrokiem, i wiedziałem, że przyniósł mi obiecaną od jakiegoś czasu książkę. Były to *Przygody Hucka* Marka Twaina.

Potem siedziałem przy wieczornym stole pod kręgiem lampy naftowej i przewracałem kartki książki, którą do teraz pamiętam ze wszystkimi szczegółami. Nawet to, że była wydaniem „Biblioteki Dzieł Wyborowych”, jaką wydawali pozytywiści warszawscy: Święcicki, Potocki i doktór Ochorowicz, i pamiętam wstęp do książki Święcickiego o humorze i komizmie – poważne, jak na temat, studium, gdzie i o Bergsona *Śmiech* zaczepiał.

A to było na zapadłym Podolu galicyjskim i za oknami stał tęgi mróz i siniał las na horyzoncie, wpośród bezlistnych gałęzi drzew kręciły się z krakaniem wrony, przejeżdżał saniami chłop w parę małych kudłatych koników, chorzy z sąsiedniego szpitala polowego w gaciach i kitlach szpitalnych palili machorkę w podwórzu, w kuchni w balii pluskały się w wodzie karpie na Wilię, a koło szpitalnej kuchni kręciły się chude bezpańskie psy.

Przez pokój w cieniach wieczoru, kiedy tak sobie filuje znajoma lampa dzieciństwa, kiedy buchate poduszki zasłanego do snu łóżka i kiedy w drugim pokoju moja mała siostra ćwiczy gamy na fortepianie powtarzające się smutnie: ta-ta-ta-ta-ta!… kiedy na mrozie w podwórza

naszego domu wwala się zdrożona zaśnieżona rota rosyjskiej piechoty w walonkach, szynelach, baszłykach po baranich czapach i granatowe bagnety i łamią resztki ogrodzeń okolicznych, ażeby pod czarnym niebem rozpalić po śniegu buzujący ogień, to przez pokój mnie, który znałem tylko „ścianki" jarów Seretu i stawy rozlewające się wpośród popróchniałych grobli, przepływa Missisipi i tafle jej wód wypełniają ściany mieszkania po brzegi i rozlewają się od cmentarzy do cmentarzy miasteczkowych.

A potem znowu, już w gimnazjum, na lekcjach francuskiego, kiedy ślimaczyły się godziny nad „dukaniem" stron z Chateaubrianda *Atala*, *René*, *Chez les Natchez*, kiedy lektura była przerywana doszukiwaniem się „*participe passé*" i „*subjonctif*", a tu niesie się przestwór Missisipi i Ohio, i Tennessee, i Arkansas, i Rzeki Czerwonej.

Więc romantyzm Chateaubrianda i folklor Marka Twaina kazały mi odmalować sobie Luizjanę daleką, inną, luizjańską: bawełnianą i murzyńską, nieść się parowcom rzecznym o wielkich obracających się kołach i basowym falsecie gwizdków parowych, kiedy ciągną smugi dymu po nadbrzeżnych koronach drzew i mijają Hannibal i St. Louis, i Cairo, i Memphis, i Natchez, i Baton Rouge – do Nowego Orleanu i delty.

Ale od czasów Chateaubrianda, Mr Clemensa, czyli Marka Twaina, Harriet Beecher Stowe zmieniło się i obróciło na inne. I ludzie tu są inni, i może tylko *Cajuns* i *Acadians* mówiący jeszcze po francusku, ale dziwacznym francuskim, pochowani po zatokach i bagnach, i wyspach delty, to inni zmienili skórę i obyczaj i przekręcony kołowrót amerykańskiego życia zrobił ich innymi, a do tego dochodzi napływ najbardziej innej i kolorowej emigracji: Włochów, Niemców, Żydów, wszelkiego rodzaju „*Dagos*" i „*Wops*", i Chińczyków, Malajów, Greków, Serbów czy Jugosłowian, i od tego zrobiło się inaczej aż do ostatnich wędrówek ludów amerykańskich, kiedy wojna wyludniała jedne miejsca, a rodziła do życia inne, jak w tym wypadku stocznie barek desantowych Higginsa, jak odlewnie żelaza i nadbrzeża portowe miasta.

Dlatego kto by się chciał doszukać wpośród tej nowoczesności dawnego pejzażu i rytmu, to bardzo by się zawiódł. Nie ma już domów plantacyjnych, gdzie pod cienistym portykiem w halsztuku i butach do

konnej jazdy siedzi w wiklinowym fotelu plantator ze szklanką *toddy*, a gniady koń grzebie muszle wysypujące podjazd i szeleszczą suknie wleczone po płytach podłogi, i odbijają w zwierciadłach biedermeierowskie loki.

Porównania same się proszą, kiedy kontempluję tutejszość i naszość. Bo weźmy chociażby rozmowy ciotek i babek. Obracają się wokoło tych samych problemów, więc: służby domowej i służących.

Nasza kucharka ma na imię Mildred. Jest u nas od paru dni zaledwie. Przed nią była Gladys. Przed Gladys była Carrie. Przed Carrie była Alice. Przed nią były trzy Mary pod rząd. Było w ciągu trzech kwartałów ich więcej, ale nie pomnę już ich imion. Z domowych rozmów wnioskuję, że problem kucharek jest bardzo ważny, ich niestałość i frywolność w traktowaniu zajęcia jest po prostu artystyczna i cygańska. Mają swe kaprysy, poważne zobowiązania rodzinne i łamią kontrakt i umowy z nonszalancją i lekkością do pozazdroszczenia.

Mój mały synek w ciągu parodniowego pobytu najemnicy potrafi przywiązać się i cieszyć się prawdziwie wzajemną przyjaźnią. Cóż z tego, kiedy rozwiewa się ta komitywa i przedmiot jego adoracji i powierzeń. W ciągu tych paru dni z trudem nauczy się imienia nowej powiernicy, ażeby stawać wobec problemu, kiedy pojawia się nowa twarz. Dlatego zawsze nową kucharkę nazywa imieniem tej sprzed tygodnia. Więc Mildred dla niego to Gladys, Gladys była Carrie, Carrie – Alice i tak dalej.

Poza tym dom jest zawsze pełen innych czarnych twarzy. Sporadycznie pojawia się Jim, który jest specjalistą od froterowania podłóg i polerowania mosiężnych klamek, kołatek, krat kominkowych. Przed Jimem był, naturalnie, Robert czy Edgar. Sporadycznie przychodzi Viola (Viola nawet wpośród przeciętnie grubych Murzynek jest monstrualnym unikatem), prawdziwa góra tłuszczu. Jest do robienia porządków na górze. Robi to w jakiś dziwny sposób: na siedząco. Po niej teraz przychodzi Evelyn. Poza tym pojawiają się ciągle jakieś inne twarze: dwa razy dziennie czarny listonosz, chłopak na posyłki z naszego „*drugstore'u*”, dżentelmeni od strzyżenia trawnika i gracowania ścieżek. Czarne twarze i głowy pokazują

się i znikają jak w lunaparku, uśmiechają się szerokimi wargami i błyskają białymi zębami.

Kiedyś widziałem u nas *Otella* granego na jakiejś prowincjonalnej scence i Otello miał uczernioną twarz i dobrze namalowane wargi, a na rękach miał czarne rękawiczki, w których dusił Desdemonę pod weneckimi kotarami. No dobrze! A tu, kiedy pierwszy raz widzę Murzynów na co dzień, to pierwsze, co rzuca się w oczy, to ich różowe dłonie, ich białe, jak nasze, podeszwy i pięty bosych nóg, gdzie pigment nie dobiega. I jest to bardzo dziwne i niespodziewane, i, powiedziałbym, dla mnie nawet trochę wstrętne.

Więc rozmowy ciotek i babek. Udzielają sobie nawzajem wskazówek, charakteryzują, rekomendują, tyle że mówi się tutaj i narzeka na niezaradność Mildred czy Rebeki i sprowadza się do tego, że są one z „*backwoods*”, a u nas – że Prakseda czy Małania były z *seła*. Udzielają sobie nawzajem porad i przepisów na „*gumbo*”, rodzaj zawiesistej zupy, w której jest wszystko: kleszcze krabów i boczek, ryż, ostrygi, krewetki, selery, czosnek, kapusta, wszystkie rodzaje pieprzów do czerwonego z - Cayenne’y, a koronuje to „*tabasco*”, który garbuje podniebienie na jucht. Tragedię Mayerlingu omawia się szczegółowo i „Almanach Gotajski” znany jest na wyrywki. Potem przechodzimy do spraw prawnych i łatwiej nam jest z tym, bo Luizjana ma Kodeks Napoleoński, jak u nas. Więc sprawy rozwodowe, sprawy spadku, bo, proszę, ten i ten trzymał akuszera za rękaw z chronometrem w dłoni, kiedy położnica wydawała ostatnie tchnienie, ażeby mógł dziedziczyć po synu, straszne! prawda? A ciocia Adela *née* Blanche przypomina à propos inny wypadek rodziny: babki, matki i syna na „Titaniku” i kontrowersji spadkowej potem, że niby kto wtedy, w czasie tej światowej katastrofy morskiej, zginął najpóźniej, w jakim porządku: babka? matka? dziecko? ażeby dziedziczenie poszło właściwym porządkiem. Papuzie ręce babek i ciotek pożyłkowane jak liście zwiędłe klonu, worki pod oczami, włosy starości na brodzie, peleryny fantastyczne, szale koronkowe, pióra u kapeluszy, kiedy zajeżdżają w odwiedziny w szeleście opon buicków i pontiaków. Pamiętają czasy odległe, czasy Teddy’ego Roosevelta, czasy wojny hiszpańsko-

amerykańskiej, czasy, kiedy Degas malował giełdę bawełnianą w Nowym Orleanie, w rozmowach z zimną krwią poruszają nazwiska Whitneyów, Morganów, Mellonów, czasy, kiedy nie było jeszcze samochodów, ale jeździło się victoriami i landami, czasy „*liverystables*", czasy, kiedy w porcie Nowego Orleanu stał na niebie las krzyżów: barek, brygów, kliperów masztów, *boomów* i rej.

Od rzemyczka do koniczka schodzi się na wojnę domową. Wyciąga się stare albumy fotografii, pożółkłych dagerotypów. A na nich – w bufach rękawów, w tiurniurach, w krynolinach, rzucikach, gorsetach, szutasach, falbanach, pelerynach, fiszbinach, koronkach, matinkach, pudermantlach, rajerach, kokach, kolczykach, medalionach – matki babki i prababki, ciotek i babek. A obok – w tużurkach, żakietach, szlusrokach, halsztukach, plastronach, krawatach, z łańcuchami zegarków po kamizelce, w cylindrach, mundurach, w kepi, z rzędami błyszczących guzików, a twarze okolone brodami albo faworytami, *muttonchops*, *whiskers* – ich mężowie, wujowie, dziadkowie, a dalej ich pierwsze samochody, ich pojazdy, ich jachty i łodzie.

A sama wojna domowa, jak każda najbliższa historia, zasłonięta jest mgłą i niedomówieniem ludzi, którzy po niej przyszli i o niej zapomnieli. Coś tak jak z naszym powstaniem z [18]63 roku z nią rówieśnym. A przecież żyli jeszcze za moich czasów ludzie, którzy w nim brali udział. Kiedyś ojciec, przyjechawszy do miasta, zabrał mię z internatu na obiad do Naftuły – były olbrzymie wieprzowe kotlety i ojciec kazał podać piwo, bo miał gościa. To był wysoki i tęgi, i zgarbiony stary ksiądz o białej czuprynie siwych włosów. Nie pamiętam już teraz, jak się nazywał, był bardzo stary i ojciec powiedział mi, że był on powstańcem w sześćdziesiątym trzecim. Stary ksiądz śmiał się bezzębnymi wargami i przytakiwał. Potem opowiadał, że był w bitwie pod Kobylanką, miał wtedy 17 lat, i że to było na samej granicy Lubelskiego, i na austriackiej granicy stali huzarzy, i oficerowie huzarów bili brawo, kiedy szli z kosami na Moskali. Powiadał, że dostał cięcie szablą w głowę i kiedy leżał potem w lubelskim szpitalu, to w malignie ślubował, że kiedy wyzdrowieje, to zostanie księdzem. Potem

pochylił głowę i wolno mi było namacać palcami szczerbę w starej czaszce po tym cięciu kozacką szablą.

A kiedy stary ksiądz wypił parę kufli piwa, to śmiał się bezzębnymi ustami i pokazując mię ojcu, powtarzał: „wypychacze!”; nie bardzo to wtedy rozumiałem, ale kiedyś potem, jak dojrzałem, to domyślałem się, że oznacza to niby nowe pokolenie czy coś w tym rodzaju, wypychające starych.

Z pamiątek po tym powstaniu pamiętam w domu album sztychów, drzeworytów i fotografii ze złoconymi cyframi na okładce: *1863*, i w nim zaczynało się od fotografii pięciu poległych na placu Zamkowym w Warszawie jeszcze w sześćdziesiątym pierwszym, a potem zdobycie Miechowa, rozstrzelanie Padlewskiego w Płocku, demolowanie linii kolejowej warszawsko-wiedeńskiej, bitwa pod Kurowem, pod Małogoszczą, dyktator Langiewicz i jego adiutant żeński Henryka Pustowojtówna, szubienice Murawiowa na Żmudzi, właśnie ta bitwa pod Kobylanką i wiele innych, i wiele innych, i fotografie powstańców w długich czamarach, wspartych na szablach albo dwururkach, młode bezwąse twarze albo brody żuawów Rochebruna, a ze wspomnień mówionych, to mówiło się o szarpiach, rannych, kibitkach, Sybirze, prochu strzelniczym, kapslach, kurkach, gardach szabli, „kozuniach” i „Mochach”, o hrabim Bergu i generale Czengierym. Nawet były wtedy gilzy do papierosów marki „Pobudka” z kolorową etykietą, a na niej powstańcy i wesoło dymy pożarów. Jak podrosłem, to trudno mi było sobie wyobrazić, że ci sami bohaterowie Turgieniewa, Czechowa i Tołstoja zajmowali się „*usmirenijem polskogo miatieża*”.

A wszystko razem właściwie odsunęło się i wysublimowało w jakiś inny, nierealny wymiar, jakby nasz wiek nie graniczył z tamtym, jakby była to fantazja drzeworytnika i opowiadanie babci, a nie niedawna rzeczywistość.

To to samo tutaj. W tym samym czasie kłębiło się tu i dłużyło od wojny, w której po obu stronach padło milion ludzi – milion to i w dzisiejszych czasach niemało – Unia mało że nie zagłodziła Południa blokadą, a jak powiada gdzieś profesor Toynbee, gdyby Sherman nie rozpuścił zaraz po przestaniu walk południowców razem z ich końmi z powrotem na farmy,

tak że mogli osprzątywać pola jeszcze tego samego sezonu, to ten nieznaczny na pozór fakt nie pozwolił na zachwianie się ekwilibrium ekonomicznego kontynentu, co chyba ma jakiś wpływ na to, co się i teraz w świecie dzieje.

A jednak te czasy są tak przepadłe! Jak oglądać fotografie Matthew Brady'ego z owych czasów, przeważnie fotografie pól bitew z górami trupów, patetycznych i powykręcanych pajacy ludzkich, jakimi śmierć ironicznie robi przestrzelonego człowieka, kiedy czyta się krótki list Abrahama Lincolna do Mrs Bixby, której pięciu synów padło w tej wojnie, osiem wymownych wierszy listu, albo kiedy czytać *Czerwoną odznakę za odwagę* Stephena Crane'a, młodo zmarłego zdolnego pisarza, który tę nie znaną sobie wojnę zaraz na świeżo odtworzył, to jednak uciekło to już za wyrosły za nami pagór zapomnienia i nierzeczywistości.

Trudno sobie wyobrazić inaczej, jak tylko fantazję, kolumny wojsk, piechotę w szarych i zapylonych czerwoną ziemią mundurach, w zgniecionych kepi, kiedy pochyło leżą im na ramionach ciężkie gwery i koce zrolowane i policzki zapadłe od pragnienia albo kiedy ta piechota rozsypana w terenie w myśl nieprawdopodobnej ówczesnej taktyki, kiedy stemple dźwięczą w przybijanych wojłokowymi przybitkami lufach, a proch dymny ściele bałwany, przez które na dystans dwustu kroków widać czerwone twarze unionistów odgryzających ładunki i głowy przychylone do zamka karabinu. Trzeba przymuszać fantazję, ażeby widzieć, jak jezdni leją batami szóstki koni artyleryjskich i klekoczą piasty kół działowych baterii zajeżdżających na stanowisko. Z listu pisanego z reduty obłożonej workami z piaskiem, z listu gryzmolonego ołówkiem na kawałku pożółkłego papieru, pomiędzy dobrze ułożonymi i stylizowanymi zdaniami dżentelmena, oficera południowców, domyślać się gryzących wątpliwości i tęsknoty, i zaciekłej fanfaronady, a wszystko spokojnie i nie zapomina się o pozdrowieniach dla kuzynów i plotek z własnego wojennego garnizonu. I nazwiska i glorie generałów: „Stonewall" Jackson i Beauregard, J. E. B. Stuard i major Pelham, bitwy pod Bull Run, Gettysburgiem, Chattanooga, Maryland podzielany i roztargany na pół przez zwolenników Unii i Południa, kiedy brygady Marylandu najkrwawiej

rzuciły się na siebie przy bratobójczym spotkaniu, „kolorek ułański” jak u nas, kiedy zagony kawaleryjskie z jednej strony „Jeb” Stuarda, a z drugiej – Sheridana, i wiersze wojenne, i *Dixie*, i *John Brown Body*, i *Sheridan Ride*, *Charleston*, *The Virginians of the Valley*, *The Picket Guard*, i fregaty Unii blokujące Południe, i korsarze konfederackie biorące abordażem klipery Północy, i walka „pancerników” „Merrimac” i „Monitora”, i krzyż konfederackiej flagi wdeptany w błoto ulic Nowego Orleanu.

[prwdr. „Wiadomości” 1948, nr 24]

Oak Alley nad Missisipi

> Wtedy się dowiesz ode mnie – gdy suchy piasek w dłoniach przesypuję, że owo ziarnko czyste, sypkie i niezliczone jest duszą naszą wieczną, ludzką i jedyną, która wszystko do krwi przeciera, nim się sama do szczętu zetrze na wieki i na nic.
>
> (J. Kaden-Bandrowski, *Wakacje moich dzieci*)

Ani plantacja, ani dom Valcour Aimé już nie istnieją. Pokazują wprawdzie palcem miejsce, gdzie dom ten stał, i poznać je, owszem, jak zawsze miejsca, gdzie są ruiny po domu. Rosną tam jeszcze drzewa i zarośla: bambusy, laury i chwasty. Jest taki rodzaj chwastów: roślin homotropijnych – towarzyszących człowiekowi i żyjących na jego śmietniskach. I tam, gdzie nie stało już ludzi, wydają się tak bezpańskie, zagubione i pozostawione sobie, i skazane na wygnicie.

Więc nie ma już Valcour Aimé, ale i tak nic straconego, bo pół mili stąd jest Oak Alley, kiedyś: Bon Séjour. Ale teraz nazywa się to Oak Alley i właśnie mijamy odsłaniającą się nagle perspektywę alei zielonych dębów. Ale wjazd jest dalej i u bramy jest tablica informująca turystów, że zwiedzenie kosztuje dolara. Nie grozi nam to, bo przyjechaliśmy zarekomendowani, coś jakby goście, ale tłumaczy na wstępie, dlaczego dom jest tak wspaniale zachowany, jak to się dzieje.

Ale jeszcze nic nie oglądamy, tylko rude bielone cegły domu przed naszymi twarzami – czujemy się trochę intruzami. Jest pani, której dom; wyszła do nas, dalibóg, jak u nas dziedziczka na wsi – w kapeluszu, a dyskretnie nam powiedziano przedtem jeszcze, że jest w świeżej żałobie, wdowa, więc nam niewyraźnie, no ale już tu jesteśmy, więc starajmy się być delikatni. Powiadamy: tak i tak, nie chcemy deranżować, pooglądamy sobie cicho, proszę nas tolerować. Pani jest bardzo uprzejma, wchodzimy pod słupami podcienia do długiego korytarza na tym samym poziomie, co dwór, pojawia się jakaś kuzyneczka i ta nas oprowadzi.

Więc dom jest prostokątem otoczonym ze wszystkich czterech stron słupami doryckimi, rzymskimi na dwa piętra i nadają mu pozór, że jest znacznie większy. Za to wnętrza od tych podcieni są w półmroku i lśnią woskowane posadzki, i cedzi się światło przez perkale i gazy falbanowatych firanek. Kreton pokrywający fotele, lśniące blaty mahoniowych stołów, w których odbijają się porcelany wdzięcznych waz i półmisków. Mówią nam, że na lato porcelana zastępuje srebrne naczynia i bibeloty, bo porcelana wygląda chłodniej. Na ścianach malowane na jedwabiu albo ryżowym papierze chińskie obrazki przywiezione przez jakiegoś dziadka-admirała. Z czarnych płócien patrzą na nas i wodzą za nami oczami twarze dawnych mieszkańców. W owalnej ramce jest dagerotyp znowu innego dziadka w mundurze konfederatów, w kepi, wspartego na szabli we wdzięcznym kontrapoście przy piramidzie karabinów ustawionych w kozły.

Potem oglądamy sypialnie, łóżka z rzeźbionymi kolumnami i baldachimem, gotowalnie w ścianach odokiennych, rozłożone na nich srebrem kryte komplety szczotek, grzebieni i flakonów.

Potem wchodzimy po schodach na piętro, gdzie korytarze kręcą się i odsłaniają wejścia do rozmaitych pokoi i wyjścia na balkon obiegający dom dokoła. W kącie stoi wiklinowy fotel bardzo misternej roboty z oparciem rozwierającym się w olbrzymi wachlarz wiklinowy, w rozpostarty ogon pawi. Już prawie po szczeblach drabiny wspinamy się na poddasze, gdzie strychy i pokoiki z lunetami okien. Tutaj już podpatrzeć nam można konstrukcję dachu: płątwie, zastrzały, sosręby i dźwigary z czerwonego drzewa cyprysu. Każą nam zwrócić uwagę, że konstrukcja ta: zawiłe zamki, nakładki w jaskółczy ogon, wręby i krokwie, stolce konstrukcji dachowej, jest robotą starą ciesielską, nie ma tu śladu haków, klamer metalowych ni gwoździ; gdzie potrzeba, wzięte na drewniane kołki i kliny jak u nas, jak dachy naszych kościołów i dzwonnic cerkiewnych, i dworów, i szpichlerzy. Leży sobie na tych balach i dźwigarach cieniutka warstewka kurzu siejącego się od czasu, kiedy zamieciono ostatnie wióry nowo wzniesionego domu. Jak u nas, strychy są zbiorowiskiem i składem emerytowanych mebli, gratów, pudeł, waliz, skrzyń, wiszą porządnie na

kozłach stare siodła angielskie i haftowane rzemieniem, popękane skóry meksykańskich kulbak.

Potem wychodzimy na dwór i wokoło domu rosną krzewy bananowe, gardenie, „*pointer plants*”, ostre liście jukki – hiszpańskiego sztyletu, ścieżeczki są ładnie wygracowane, bo to prawie muzeum, i nawet krowy się nie pchają na kamienne posadzki podcieni. Dalej, wpośród drzew magnoliowych i bambusów widać murowane ściany, gdzie pordzewiałe walce starożytnych pras do wytłaczania cukru, gdzie brukowane podwórza stajenne i do teraz jeszcze słupy z pierścieniami żelaznymi do uwiązywania koni. Wszystko to przypomina prymitywną ekonomię i rękodzieło feudalnego i starego porządku, kiedy stały jeszcze domy dla niewolników i ten na poły feudalny, na poły patriarchalny ustrój. A teraz jest spokój i martwota doskonała. Już jest nawet po gorączce katastrofy i wysprzedaży starego porządku. Czeka tu sobie wszystko w kataleptycznym spokoju, aż blachy wyrdzewieją, próchno rozłoży drzewo domu, cegła rozsypie się, tynki i gipsy sporowacieją, złuszczy się farba cienkiej stolarszczyzny lunet okiennych, owali ponad drzwiami w attykach, zetleją kretony mebli i obicia ścian, skruszy się kamień podjazdu. Rozniosą te szczątki mrówki pośpiesznie defilujące im znanymi tylko ścieżeczkami, regularnymi dróżkami, którymi drobniutko, ciągle idą i mijają się – po szczelinach posadzek, pęknięciach słupów, łodygach pnączy czepiających się ścian domu.

Kiedy posługujemy się w tym opowiadaniu ciągle sztuką paraleli, to przypomnijmy sobie, jak raz podjechaliśmy w Rawskiem do znajomego domu, trochę nieartykułowanie zapowiedzeni; mieliśmy to zobaczyć jeden ze starych domów, bodaj kładzionych jeszcze z modrzewia. No to przyjeżdżamy, a tu coś niewyraźnie i zaraz domyślamy się, co za sprawa. To się nazywało Poddębce, ta miejscowość, i mieli, zapomnieliśmy o tym, mieli właśnie sprzedawać las – preliminaria do kompletnej zagłady. Więc byli tam i ci sami …scy z Wandzina, i inna gałąź …skich z Ulwówka, atmosfera „przesycona elektrycznością”, drzwi frontowe zamknięte, drzwi od parku i od kredensu strzeżone, Żydzi pchają się oknami, w domu walczą o decyzje, bo to nie byle gratka: chodzi o wiele tysięcy. Więc tu, gdzie

i Bank Gospodarstwa Krajowego, i Towarzystwo Ziemskie Kredytowe, gdzie „nożyce cen”, gdzie weksle, gdzie kupcy drzewni w atłasowych chałatach, to nie bardzo jest miejsce na wizytę i trochę jesteśmy speszeni, bo gospodarze roztargnieni, radzący gorączkowo nie zapominają jednak o przyzwoitości i uśmiechu gościnności.

A sufity domu są niskie – kiedy wyciągnąć rękę, to można ich sięgnąć – ale piękne parkiety i palisandry, meble brzuchate od wypukłej linii krytej cienkim fornierem, pokrowce na fotelach, liry nóżek biedermeierowskich stolików, szkło gablot aż opalizujące, pieski w rogach kanap, w dużej sieni z kominem stół bilardowy służący w zimie do zrzucania ciężkich szub, główki Isabeya w owalnych ramkach na ścianie, rożki sarnie i próbki nasion w słoikach, i stare dożynkowe wieńce, i bosa dziewczyna przynosząca herbatę na tacy. Dach gontowy czarny, tylko gdzieniegdzie bieli się nowy gont wstawiony (przypominam sobie: kiedy byłem mały, moja matka, widząc na fotografii dwór w Opinogórze Krasińskich, skrytykowała: „No, patrzcie, tacy Krasińscy i dach łatany gontami…”).

Więc cóż ten metabolizm domów? Że tam gonty próchnieją czarne i wstawia się łaty z białego drzewa, że tu wielka z lanego żelaza misa, w której dawniej chodził walec miażdżący trzcinę cukrową, teraz kiśnie w niej woda deszczowa i leżą płaskie liście lilii wodnych? Że tam nasturcje w skrzynkach i róże „sztamowe”, a tu kamelie, azalie i zielone sztylety jukki?

Kiedy wykładam pasjansa, mój mały synek niecierpliwie asystuje mi i odganiam go jak muchę, ale wreszcie pasjans „wychodzi”. Leżą sobie ładnie pikowe siódemki na pikowych ósemkach, „dyski” odpowiednich kolorów – na waletach, bardzo ładnie! No i teraz przychodzi burza, wir powietrzny: małe rączki mego synka, jak małe różowe kraby, mącą ten porządek i rozsypują w rozlatujący się chaos. Kiedy patrzę w rozstrzelone i rozsypane karty, to kiedy się przymuszę, to potrafię odwrócić bieg rzeczy. Mógłbym porównać to do filmowej taśmy kręconej w odwrotną stronę. Karty fruwają chaotycznie w powietrzu i układają się, i oto mam poprzedni porządek: znowu pikowe trójki leżą na pikowych czwórkach i „dyski” – na waletach.

Z chaosu wykładamy sobie pasjanse i wychodzą nam albo nie wychodzą, ale układa nam się ten porządek, jakiś karciany metabolizm wymienia się nam z dreszczykiem satysfakcji i zbliża do ideału, ażeż tu nagle psuje się wszystko i zamiesza, nawraca do chaosu. Ale pozostanie nam satysfakcja popatrzenia wstecz, no i dreszczyk nowego pasjansa, który zaczynamy sobie wykładać.

A teraz wychodzimy na stronę domu, gdzie jest aleja dębów. Nazywają się te dęby „zielone", że niby są wiecznie zielone, ale liść ich jest właściwie czarny. Dwa rzędy pni rozwidlających się w górze w konary i gałęzie i dach i sklepienie jak ponad nawą, i mimo że oba rzędy są odsadzone, drzewa są tak rozrosłe, że i gałęzie u góry się splatają, i korzenie u dołu wypełzają ku sobie. Wpośród płaskiego pejzażu, pod jednobarwnym liliowym niebem z jednej strony dom na śmierć skazany, z drugiej – rzeka na wieczność skazana; lecą i stoją te drzewa alei obojętne na cel, jaki wyznacza ich geometryczna linia, zastygłe w swej obojętności wobec spraw, które dzieją się gdzie indziej, wobec ludzi, którzy, cóż… raz czy dwudziesty raz przejdą w ich cieniu i odejdą za czymś ich niespokojnym i dwunożnym.

Przeszliśmy w ich cieniu aż do ogrodzenia, potem przeleźliśmy przez nie (czy znacie satysfakcję przełażenia przez płoty? niewinna gimnastyka…) i podeszliśmy jeszcze na tamę, ażeby zobaczyć rzekę. Żółta fala czkawką odbija się od faszyny. Ciężko zanurzona barka we wodzie i holuje ją parowiec o dwu kominach (na Missisipi nazywa się taki parowiec nie, broń Boże! „*tugboat*", ale „*towboat*"). Idzie w dół do Nowego Orleanu.

Jest pusto i bezludnie, nawet zaniosło drobnym deszczem. Wracamy do smutnego domu, gdzie żałobna wdowa.

[prwdr. „Wiadomości" 1948, nr 28]

Cyklon

Na biuletynach meteorologicznych US Weather Bureau zarysowany jest tylko kontur kontynentu wyglądający jak szynka. A cała mapa jest pokryta kapryśnymi liniami izobar podobnych w rysunku do słoi drzewa. Poza tym grubiej i tłuściej linie frontów zimnych, ciepłych i statycznych. Legenda u dołu mapy objaśnia nas, że cyfry rozmaite powiadają nam o temperaturze, a inne z miejscami dziesiętnymi mówią o wysokości opadów, a cyferki przy izobarach – o ciśnieniu w milibarach, a jeszcze inne – o wysokości słupa rtęciowego w calach. Cała mapa usiana jest pierzastymi strzałkami celującymi w rozmaitych kierunkach, ilość kresek w bełcie strzały pokazuje siłę wiatru w skali Beauforta i wieją zawsze w kierunku zgodnym z biegiem wskazówki zegara ku środkowi niżu barometrycznego, a od środka wyżu ma się to na odwrót. Legenda tej mapki, którą mogę sobie codziennie oglądać w gazecie, powiada i informuje, że front zimny przeważnie posuwa się ku południowi i do wschodu, a front ciepły ku północy i także do wschodu.

A że nie jestem ani rolnikiem, ani pilotem, ani marynarzem, nie param się żadnym zawodem, który by zmiany pogody dotkliwie interesowały, więc moje kontemplacje „Timesa” przy śniadaniu i ostateczne zaczepienie uwagi na mapce biuletynu meteorologicznego są najbardziej oderwane i idealne. Jest zupełnie bezinteresowne i pozbawione życzeń, może w tym jest tylko trochę mechanicznego podziwu dla nowoczesności usiłującej wszystko zapiąć w gorset cyfry, udałej statystyki i linii jednakowych współczynników: wszystkich „izo”, wszystkich ekwiwalent i ekwidystant. (W moim podziwie jestem podobny do chłopa, który widział w małym miasteczku, jak „*żydiwśka dytyna*” jadła chleb posmarowany marmoladą. Aniby mu przez głowę przeszła myśl o sensacji jedzenia samemu chleba z marmoladą, mechanicznie podziwia i natyka się na jedzenie chleba z marmoladą).

Ta nowoczesność zachłyśnięta jest nagle nadeszłą zdolnością ludzkiego mózgu do szeregowania, systematyzowania obserwowanych zjawisk i do wybijania monety słów, które kosztem rzeczywistości nabierają niezachwianych i opętujących nas znaczeń. Razem z dawną sztuką uogólniania i abstrahowania i logiką dedukcji stworzyliśmy sobie osobny świat w świecie, „*fool's paradise*", jak mówią Anglicy.

Dedukcja nas zubaża. Dedukcja, logiczny wątek, który determinuje nam przyszłość i sprowadza ją do nudy. Jesteśmy funkcjami rozmaitych danych, które grodzą nasze życie od pierwszej świadomości do agonii. Z życia zrobiliśmy mechaniczną maszynę do wnioskowania, nomogramiczny cyrk, jesteśmy jak cyfra w suwaku logarytmicznym. Powie ktoś, że ten absurd cyfrowy – planowanie pozwoli nam na przetrwanie, że co innego, kiedy na przykład zasiewa się pole do przyszłorocznych zbiorów, to ma się na to kalendarz rolniczy i znajomość klimatu i kołowrotu pór i sezonów, a Murzyn z Wybrzeża Kości Słoniowej to pomagał sobie i pewny był sukcesu, bo według niego pora zbiorów nadchodziła dlatego, że składał ofiary i wypraszał u bóstw właśnie tę jesień zbiorów. No to ten przysłowiowy Murzyn miał więcej zabawy, panie dziejski, więcej smaku w życiu, obcował z bogami i był sam prawie półbogiem, jeżeli z tego obcowania i komitywy dopraszania się miał taki sam sukces, jak nasz współczesny facet i jego statystyki i kalendarzyk. (Zdarza się nam być świadkiem bankructwa najbardziej w nas wrosłych pojęć. Weźmy pojęcie czasu. Są jacyś prymitywni Algonkińczycy czy inni jacyś, nie pamiętam, jak im tam, mający bardzo obszerny słownik, bardzo różnoraki, gdzie potrafili „logicznie" dać różne nazwy dla tego samego karibu zależnie od tego, czy ten się pasie, czy biegnie, czy stoi, inne dla ptaka w powietrzu, a inne – w gnieździe; wydaje mi się to bardzo trafne i bogate. Nie mają za to określenia na coś, co „było" lub że „będzie" – symultaniczność urągająca wbudowanej w nas świadomości przemijania czasu, wbudowanej w nas, innych, od tysięcy lat. I dopiero przychodzą Bergson i Proust, i nawracają do punktu, gdzie zaczęliśmy i rozeszliśmy się z tymi anegdotycznymi Algonkińczykami, i zrobiliśmy wielkie koło).

No ale do rzeczy. W ciągu dziesiątków lat zbieranych drobiazgowo raportów, średnich meteorologia dedukuje pewne zjawiska z dużą pewnością. Weźmy burze przypadające na czas jesiennego porównania, „*equinoctial*”. Przychodzą z dokładnością zegara. Gdzieś tam w pasie równikowym składane przez szereg przyczyn: obrót wirowy ziemi, masy powietrza nagrzane i wznoszące się ku górze, zimne pokłady napływające na jego miejsce i wiele innych i skomplikowanych – wszystko to rodzi i daje początek cyklonom. Odrywają się one od swej macicy i luzem puszczone, wędrują po jakichś dziwnych krzywych – loksodromach burzowych, po wypukłej powierzchni oceanu ze wschodu na zachód. Wrze wtedy na stacjach meteorologicznych, zagubione na morzach statki nadają radio swe pozycje, ciśnienia barometryczne, temperatury i wilgotność, i siły wiatru otoczenia, kreślarze w biurach meteorologicznych nanoszą je na mapy i kalki, specjaliści tacy i owacy kombinują, selekcjonują i wypośrodkowują i już bardzo odpowiedzialne osobistości redagują ostrożne biuletyny.

Tak i tym razem dowiedzieliśmy się, że… ale popatrzmy na mapę…

Zatoka Meksykańska albo po prostu Gulf to jak wielkie zielone oko, które od góry zamyka rzęsa Florydy, a od dołu – powieka Jukatanu. Wielką życionośną źrenicą wypływa złoty promień Prądu Zatokowego i aberruje ku północy-wschodowi. A przed nim jak rój moskitów rozpyliły się po przestworach oceanu Bahamy, Wielkie i Małe Antyle, Kajmany, Ławice Moskitów, Serrany, Serranille, Keys, Wyspy Nawietrzne i Wyspy Odwietrzne, aż gdzieś daleko na wschód rozpłuczyło się i zaciągnęło śliską zieloną mgłą Morze Wodorostów. No dobrze!

Ale nas to jeszcze nic nie obchodzi. A najwyżej obchodzi o tyle, że kiedy sobie przewracamy „Timesa”, to zaczyna nam zalatywać nazwami dźwięcznymi i obcymi dalekich wysp: hiszpańskich, duńskich i holenderskich zdobyczy i odkryć sprzed pięciuset lat. Zahaczy nam wyczernione drukiem: Cap Orange, Paramaribo, Trinidad, Tobago, Grenada, Barbados, Saint Lucia, Dominica, Antigua, Anguilla, Guadeloupe, Guayama, ale nas to jeszcze nic nie obchodzi.

Ale następnego dnia to się powtarza i już uprzytamniamy sobie, że coś się tam dzieje, więc ogniskuje się nasza uwaga i przychodzi uprzytomnienie, że to gdzieś sobie poprzez wypukły brzuch wodny oceanu dzieje się jakaś niezwyczajność, która znana nam jest tylko z nieprawdopodobnego dźwięku nazwy i ewenementu, którego nie potrafilibyśmy sobie naprawdę przedstawić, jaki to jest, bo – kudy! nie mamy na to precedensu. Huragan, cyklon, orkan, burza, nawałnica, trąba powietrzna? Cóż o tym możemy wiedzieć my, którzy znamy te sprawy, kiedy ich imion używamy do przenośni i paraboli – czy nie tak?

Więc nas to nic nie obchodzi. Tylko każdego rana, a jest to już trzecie albo czwarte rano nad gazetą przy śniadaniu, że się nam to powtarza i może już nawet powszednieje. Ale serio obchodzi to może właśnie tych gryzipiórków meteorologicznych, których opinia jest na szwank narażona, i pewnie także interesuje to już Straż Przybrzeżną (Coast Guard). Suche biuletyny Weather Bureau przerabiane są przez dzienniki na ekscytujące wstawki, które zaczynają z dnia na dzień wędrować na pierwsze strony gazet. Nagłówki zaczynają rosnąć i wytłuszczać się: *Twister Approaching Our East Coast!*, *Equinoctial Hurricane at the Door!*, *Trouble from the Atlantic*, *High Wind Sweeps the Ocean*, *70 Miles Wind Directs to Our Shore*. I wreszcie przepowiednia: *Cape Hatteras the Aim of Equinoctial Hurricane!* I z biuletynów widać, że orkan idzie po krzywej od południo-wschodu wykręcającej ku północy i uderzy prawdopodobnie, jak Cape Hatteras.

Coast Guard wyciąga na ten znak na blokach sygnały burzowe: wielkie czarne kule i stożki alarmujące o burzy i kierunku, skąd nadchodzi. Sygnały takie jak kosze wyciągane u nas na wyścigach konnych, kiedy przez tłum szedł szmer: „*Di bombe gajt…*” Stacje radiowe wysyłają iskrówki do statków i flotyll rybackich. Kutry Straży Przybrzeżnej patrolują pas przybrzeżny, ostrzegając sportowców w żaglowych *dinghy* i pasibrzuchów z *cabin cruiserów*, i letników z *houseboats*.

Piątego dnia huragan zmienił drogę i uderzył we Florydę w pasie między Palm Beach i Miami.

Co leży w drodze zdyszanej burzy?

Na południe od Mason-Dixon Line ciągnie się pas kontynentu, który sobie nazywają w myśl uproszczenia, zschematyzowania i pod nazwę i slogan podciągania spraw i rzeczy, które nie są proste, nazywają sobie rozmaicie: pas kultury kukurudzy albo Corn Belt, pas czarny od elementu murzyńskiego homogenicznego, a H. L. Mencken to urobił nawet przyjęty pas *Biblii* – Bible Belt.

Pas kultury kukurudzy pozostał mniej więcej w takich samych granicach, jakie miał w czasach odkryć geograficznych. Socjologowie podzielili sobie ładnie kontynent na partie takie i inne, gdzie nam powiadają i pokazują jak na dłoni, że o, tędy sięgał teren łowców i myśliwych, a tu była tylko kultura leśna zbieraczy nasion i orzechów Kalifornii i Sierry Nevady, a tam, gdzie teraz Oregon i Waszyngton, to menu to tylko łososie. Teraz to się pozmieniało radykalnie, a pas kukurudzy właściwie został, jak było przed tysiącem lat.

I niech nam mówią o plantacjach tytoniu Karoliny Południowej, o fabrykach tekstylnych Augusty i o milionerach coca-coli Atlanty w Georgii, o wysokich piecach Alabamy, o bawełnie, o TVA (Tennessee Valley Authority) białym węglu i o trzcinie cukrowej, polach ryżowych i wieżach wiertniczych Luizjany, Teksasu, Oklahomy, to dzieje się to w krajobrazie wysokich łodyg, wpośród rzędów kolanowatych badyli i jedwabnowłosych kaczanów kukurudzianych, kiedy barki czarnego człowieka albo białego nędzarza, *sharecroppera*-bandosa, zgięte nad czepigami kultywatora ciągnionego przez chudego muła. A ludzie tych stron jakąś dziwną *mimicry* podobni do siebie, chociaż przedziela ich „*color bar*”, kiedy depczą tę samą czerwoną grudę ziemi czarni w rezygnacji, prostracji i inercji ich odmiennej rasy, a znowu biali, tak zwani „*white trash*”, zachowani najczyściej rasowo Anglosasi, kiedy w Alleghenach albo pośród wzgórz Oklahomy przechowany został elżbietański język najczystszy, przyszły tu jeszcze [z] pierwszą falą kolonistów i pionierów.

A teraz ich poznać po ostrym zimnym i okrutnym wzroku, ich żony i córki w ich sukienkach z perkalu „*calico*” albo „*bandana*”, kiedy linia warg zacięta w kreskę, ich mężowie żylaści empirycy w spodniach „*jeans*” patrzący uważnie, nieprzyjaźnie i są nonszalanccy i wilczy.

A domy ich drewniane budy „*shantys*”, „*cabins*” i „*camps*” wpośród pustego, chandrowatego pejzażu, wokoło nich dzieci brudne i okrutne zabawiają się nad czymś ich niedziecinnie zaciekłym i egoistycznym.

A ich kościoły, zbory, *meeting-house’y*, w których modlą się do ich ironicznego Boga metodyści, baptyści, prezbiterianie, badacze *Pisma świętego*, Christian Science, anabaptyści i setki innych sekt i derywacji: zwolennicy arborolatrii, ofiolatrii albo czczenia węży z ol’Kaintuck, kultu fallicznego tuż przy Merrick Highway, Holy Rollers albo: tarzający się, wszystkie odcienie bożych egzaltacji – od purytanów i kwakrów do wyuzdań biczowników, do Crucifying Penitents Nowego Meksyku. Przypomni nam ten kalejdoskop, że ta łamigłówka i szyfr ludzkich spekulacji jest pospólna i odwracalna, przypomni nam wschodnich raskolników, białych popów, wikułowszczan, rabinowszczan, kastratów, szkaplerzników, mołokanów, biczowników i wędrowców przestworów Rosji.

Chciałbym wspomnieć, że arystokraci i feudałowie dawnego Południa brali sobie metresy – utrzymywali je, wydawali słynne „*quadroon balls*” w Nowym Orleanie – tylko Murzynki, nie brali zaś nigdy spośród „*white trash*”.

To ten świat leży w drodze cyklonu…

Więc stworzyliśmy sobie dookoła ten wielki uporządkowany świat statystyczny, demograficzny, mapowy, biuletynowy, ponazywaliśmy to sobie wymyślnymi imionami i posegregowaliśmy, i poszufladkowaliśmy, i wierzymy sobie w niego na słowo honoru – a tu jesteśmy sami w swoim małym światku dotykalnym.

Tu jest balkon, do którego przypierają się gałęzie magnolii, tu ogród i parkan, na którym do słońca wygrzewają się jaszczurki, tu garaż, a tu kuchnia, gdzie Gladys „fasuje” *eggplant* na obiad, a tu łóżeczko w niszy pokoju, a tu zakręt schodów, po którym wpełza się na piętro, tędy wyjście na ulicę, gdzie nie wolno nam bez tata lub mamy nosa wychylić, na gałęziach brzoskwiniowych przysiadła para kardynałów, po liściach palmy kanaryjskiej, nie do uwierzenia! huśta się wiewiórka, ażeby nabrać rozpędu i przeskoczyć na konary zielonego dębu, tak dzwoni tramwaj w alei, a tak

dzwon motopompy albo syrena ambulansu wyje do bólu w uszach, teraz napieramy się tego, a wtedy odpychaliśmy z pasją coś innego, co w nas wmuszano, dywan jest puszysty, sprężyny fotela to niebywała huśtawka, ale kant stołu, o który stuknęliśmy się, to boli! a muszelki, którymi wysypane jest podwórze, to aż nas łaskocze, ażeby zbierać je garściami i rzucać o płot, a aż świerzbi nas, ażeby w skarpetkach, bucikach wdepnąć w najbardziej odrażającą kałużę, ale za to mokrą, bo mokre jest całkiem inne aniżeli suche, tak jak lekkie, weźmy, pióro, puszek wyskubany z poduszki, to dziwnie inne od ciężkiego na przykład młotka albo przycisku na biurku, które są aż przyjemnie ciężkie, kiedy ważą w rękach, a ciepłe jest inne od zimnego, powiedzmy, ucho od filiżanki z gorącą herbatą, a kostka lodu ze szklanki z whisky, a straszne, to już na to nie ma określenia, straszne jak ciemny pokój albo warczący motorkiem elektroluks, albo przepaść pod nogami, kiedy wychylić się przez poręcz balkonu, i straszne jest inne od przyjemnego, przyjaznego, którym jest znany krąg zabawek, śmiesznie pluskająca woda z kranów łazienki, stukot znajomych kroków listonosza, merdanie ogonem psa i pewnie, jak się pocieszamy, widok i miłość rodziców.

A to wszystko wiruje razem z biegiem codziennego dnia od chwili przebudzenia, przez uciążliwe praktyki ubierania, niecierpliwiące podbródki zawiązywane do śniadania, wpośród tupotu i skweresu dorosłych, kiedy niby to kochają, ale potrącają i komicznie narzucają swój własny wygodnicki szablon, ale to nic – i tak jest zabawnie i ciekawie, i najbardziej to prawdziwie ciekawiej.

A my znowu już jesteśmy dorośli. Dorośli, to znaczy: znamy te wszystkie cudeńka, najedliśmy się wielu rozumów, jesteśmy już jakże zblazowani, już po wszystkich dreszczach, już po wyczekiwaniach, już po marzeniach, mamy już ten świat, któregośmy się tak napierali, mamy już tę sakramencką *security*: poczucie bezpieczeństwa, schemacik, dryl, mieszczańskie ciepełko albo, jak kto woli, mieszczańskie cygaństwo, już naoglądaliśmy się wszystkiego, już naziewaliśmy się aż do trzeszczenia w uszach nad zapragnionymi rzeczami, sprawami, już jesteśmy wyślizgani i matowi jak wydany z resztą grosz, jak wychodzony stopień schodów i jak zaszłe

trądem lustro. Już nam nie odśmiechnie się niebo, już nie nadpłynie nam gorąca krew zawstydzenia ani gniewu, ani radości do twarzy, nie zaświergoce dyszkant niespodzianki w gardle, nie grozi nam udławienie się światem, który przez przekorę i pomyłkę włożyliśmy sobie do ust.

A co nam zostało?

Zapatrzmy się w świat naszego dziecka…

Wracając jednak do cyklonu, wyglądało to tak: Szóstego dnia radio zapowiedziało, że w przeciągu dwudziestu czterech godzin należy spodziewać się burzy. Po czym nastąpił szczegółowy opis tego zjawiska: że burza posuwa się w kierunku północno-zachodnim (jak wiemy, wielka nienormalność i niezwyczajność kierunku), że posuwa się z szybkością piętnastu mil na godzinę, ale że wiadomo, że to jest szybkość posuwania się całego systemu, a że sam ruch wirowy mas powietrza wokoło centrum ma szybkość do stu mil na godzinę, że należy spodziewać się przejścia oka cyklonu, po czym, proszę sobie to „wystawić” (jak mawiała pewna pani), kiedy przekracza drugi brzeg wirującej czary, to wicher jest w odwrotnym kierunku.

Dużo jeszcze kładziono w uszy przez to radio, atmosfera w ogóle przypominająca preliminaria wojenne, kiedy nerwowe i gorączkowe sygnały, telegraficzne w swym stylu informacje, znamy te służby społeczne i stany pogotowia i wyjątkowe, kiedy przodują i wysuwają się na czoło ludzie z tak zwaną „inicjatywą” i zdolnościami przywodzenia, charaktery i organizatorzy, którzy normalnie, w spokojnych chomątach codziennego życia, najwyżej biorą inicjatywę w tramwaju, kiedy chodzi o zamknięcie czy otwarcie okna albo upomnienie jegomościa naruszającego przepisy o paleniu tytoniu. Bardzo nawet tacy ludzie są potrzebni, ale czasami ich pryncypialność i jednostronna pewność siebie jest drażniąca. Ale niech im tam! Poza tym dojrzałe społeczeństwa mają już na to swoje instytucje stężałe, zrutynowane, jest znowu cała nauka już o tym: o kierowaniu masami, o kanalizowaniu masowej psychozy – o wielu stylach, o [wielu] szkołach i filozofii.

Ale to nie jest temat do persyflażu, to tutaj jest kontynent olbrzymi, gdzie przestrzeń, srogość klimatu, eksploatacja, budownictwo i burzenie idące na

wielką skalę, kiedy do tego dochodzi charakter człowieka nasiekany jak raszpla przez ustawicznie czujny i napięty instynkt walki o byt i współzawodnictwa, kiedy od barier prawnych i dyscypliny społecznego życia przy lada zachwianiu równowagi jest bardzo blisko do gwałtu, samosądu, anarchii, kiedy z jednej strony wytrenowane oddziały ochotnicze, Czerwone Krzyże, czołówki żywnościowe, Gwardia Narodowa, *levee*, *posse*, z drugiej strony chuligan o instynktach jaskiniowca.

Od czasu, jak tu jestem, a tak niedługo, to działo się kilka katastrof, które są normalnym wyrazem. Ażeby pewnie dopełnić prawdziwości obrazu i zaskoczyć właśnie konformizmem, jaki z własnymi wyobrażeniami przywiozłem. Kto nie czytał o San Francisco i sławnym trzęsieniu ziemi (à propos: nietaktem jest wspominać tam to jako trzęsienie ziemi; mówi się: „wtedy to, kiedy był wielki pożar”), jak znowu pożarze chicagowskim! Więc od czasu, jak tu jestem, był straszliwy pożar wielopiętrowego hotelu w Atlancie, kiedy goście wyskakiwali masowo z najwyższych pięter, albo eksplozja w Galveston, nie mówiąc już o pomniejszych huraganach Teksasu i pożarach lasów i miast w New England. Więc to jest tu w klimacie i w skali i jest całością.

Więc tak i tak, należy zachować spokój i jeszcze raz spokój, władze myślą, władze czuwają, punkty alarmowe takie, pierwsza pomoc tu, ewakuacje zapewnione, komunikacja zapewniona, numery telefonów takich instytucji takie, owych – owakie, kwaterunki przewidziane, rozdziały funkcji, informacje, prewencje, użyteczności publiczne, prąd elektryczny wyłączony, baczność na instalacje gazowe, ruch kołowy ograniczony, pompy, stacje zborne, doraźne interwencje, raporty, relacje, ale przede wszystkim spokój, Gwardia Narodowa, rezerwa policji, placówki baptystów, czeki Czerwonego Krzyża, ambulanse pogotowia, US Coast Guard, US Engineers, kapitanat portowy, szkoły zamknięte, ale zachować spokój, *deputy sheriff*, *patrolmani* szos federalnych, policja stanowa i miejska, liga taka i liga owaka, zarządy rafinerii gazoliny, ochotnicy, skauci, związek weteranów, ale, na miłość boską, zachować spokój – pamiętacie huragan z [19]15 roku? – zatrzymać się w domach, odciążyć

sieci telefonów, słuchać biuletynów radiowych, jednym słowem: „szafa gra”.

A my? My wieczorem pozabijaliśmy gwoździami co ruchliwsze okiennice, zaopatrzyliśmy się w świece i dodatkowe kartonowe puszki z mlekiem i czekamy, co to będzie.

W powietrzu pachnie burzą. Jest już wieczór i gonią po niebie poszarpane obłoki, i przeziera przez nie perłowe niebo. Dmie wcale pokaźnie i tak już będzie przez całą noc.

A rano, od bardzo wczesnego rana jesteśmy już na nogach. Za oknami dzieje się już naprawdę inny świat. Duje prąd powietrza, przez szczeliny w okiennicach widać drzewa pochylone i nagięte w jedną stronę pod nieustannym ciężarem wiatru. Na mgnienie oka, kiedy przemyka fala lżejsza, odprężają się, drgając jak widełki stroikowe, i zaraz ze skrzypem i stękaniem naginają się do swej pochyłej postury. Widzimy teraz to lepiej z poddasza – najwyższego piętra domu, gdzie przenieśliśmy swoją kwaterę główną, punkt obserwacyjny i miejsce czuwania. Z moim małym synkiem chcemy to uważać jako rostrum albo, jeszcze lepiej, jako pokład okrętu, mostek kapitański, z którego bez zmrużenia powieki mamy stawić czoło huraganowi i przeprowadzić nawę naszego domu do ostatecznego końca. To ma niby być przedłużeniem w rzeczywistość naszych marzeń i fantazji budzonych nad lekturą książek o żywiołach, burzach, okrętach, nawałnicach. Niech się nam to raz sprawdzi i pokaże, jak jest w rzeczywistości, jak jest naprawdę. Udajmy, że wczepiamy się nogami w pokład okrętu, że wobec grozy żywiołu, szatańskiej pokusy, ażeby ulec, zwolnić napiętą wolę przetrwania, oddać się zagładzie, jak nieprawdopodobna żądza człowieka wychylonego nad przepaścią, który nie mogąc znieść tortury agorafobii, rzuca się w otchłań i ostateczną ulgę. Ale pamiętamy, że jesteśmy winni sobie wierność i ufność, że kiedy już jesteśmy tutaj, kiedy oparliśmy stopę o rozdygotaną podłogę, przepraszam! pokład okrętu, że słodycz „cnoty” i balsamiczny posmak zwycięstwa nad samym sobą.

Tak sobie fantazjujemy, a tu nad nami niebo jak sklepienie wykute w gnejsie, drapie to sklepienie, goniąc z zachodu na wschód, tabun

obłoków czarnych, lepią się rozwleczone welony mgły. Palmy, czuby palm, zaczesane dokładnie w jedną stronę i pnie ich w drżączce i wysiłku dostania miejsca. Leci z wichrem deszcz liści, łamanych gałęzi, dachówek, szczątków blach dachowych, kurz i grube rzadkie krople dżdżu. Czasem widać, jak odłamuje się drzewo z grupy stłoczonych w popłochu zielonych kopuł. Rozdziawia się na oczach zadzierzysta biała rana drzewa. Wali się w poprzek jezdni, porywając za sobą kable, przewody, łamiąc sąsiednie drzewa, parkany, i rozbija mury jak taran. Podnosi się stamtąd kurz pyłu ceglanego i zakręca się wir liści.

To już dawno biały dzień, ale panuje półzmrok.

Kiedy się siedzi w zamkniętym pudle domu, to, co nas dochodzi z tego, to huk i szum, jakby dziesięć pośpiesznych pociągów dudniło przez gardła tunelu albo jakby wyciągnął naraz wszystkie rejestry organów i odetkał wszystkie piszczałki, i jakby zgiełk tłumu spotęgowany przez gigantofon. Wydaje się, jakby z masami powietrza przelatywały wielkie pęcherze zamkniętych w nich próżni i wtedy jakby czuje się ucisk na bębenki uszu, i miesza się do tego pośpieszne bicie pulsu w skroniach. Trudno oderwać oczy od okien, od świata na zewnątrz, który nagle zrealizował się w Heraklita: „*Panta rhei*”.

Aliści po dwu godzinach zaczyna się przejaśniać i w pewnym momencie, który, naturalnie, przegapiliśmy z kretesem, bo był taki moment jak ucięcie nożem, wszystko to zatrzymuje się z zapartym oddechem. Chwila mija, zanim uprzytamniamy sobie, że jest przede wszystkim śmiertelna cisza. Palmy stoją wyprostowane i sztywne, drzewa zastygły w bezruchu. Na wyprzódki zbiegamy na dół i odryglowujemy drzwi.

A na dworze jak po apokaliptycznym karnawale. Jezdnie, chodniki, szyny tramwajowe zasypane na stopę liśćmi, gałęziami, pogiętymi szyldami sklepowymi, leżą powalone słupy telegraficzne i przewodów wysokiego napięcia, co kilkanaście kroków drzewa poległe w najbardziej nie spodziewanych pozach i rozpaczliwych na wznak. Co niektóry podlejszy budynek ma zbakierowany dach albo brakuje mu jednej zdmuchniętej ściany.

A nad tym wszystkim niebo błękitne i śmiejące się i cud powietrza, które, przyniesione z wirem jak gość niespodziewany, onieśmiela nas aż do wstrzymywania oddechu. Ptaki śpiewają w gałęziach drzew i drzewa wsłuchane są i oniemiałe, wzruszone, czuje się wzruszenie i jakby spazm tych drzew po ich histerycznym popłochu w huraganie.

To więc oko cyklonu, samo oko! Wiemy, że za dziesięć, za dwadzieścia minut zacznie dąć na nowo i przepisowo w przeciwną stronę. Ale teraz jest rozejm, zawieszenie broni. Chodzimy, pochylamy się nad trupami naszych znajomych i żywych do niedawna drzew. Włożyliśmy przed wyjściem jakieś fantastyczne i porwane naprędce fragmenty ubrań: jakieś nieprawdopodobne buty gumowe, peleryny nieprzemakalne, szale, albo w innym miejscu nie jesteśmy ubrani dostatecznie, ale nam i sąsiadom naszym to wolno, to jakby udział w tym karnawale.

Zygzakiem torując na pierwszym biegu, przecierają się pomiędzy powalonymi drzewami ambulanse albo drabiny strażackie rwące do pożarów. Jakieś lory i dźwigi, i pługi mechaniczne, wszystko to małe wobec spustoszenia i grozy pejzażu.

Z ciężarowego samochodu załadowanego materiałem ratowniczym, na nim kilka postaci załogi, zeskakuje Murzyn w obszernym płaszczu ceratowym, ma na brwi zaciśniętą kresę zdemobilizowanego stetsona, jakie dawniej noszono w armii. Murzyn jest wysoki i muskularny, uśmiecha się białymi zębami, porusza się ze sprężystością i nonszalancją młodego ciała. Coś tam manipuluje przy opuszczonym na trasie tramwaju, zabija wielkie kliny hikorowe pod koła. To bardzo raźnie widzieć taką świeżą siłę człowieczą w poprzek i na przekór dzikości żywiołu.

Już po wszystkim. Jest wieczór i wprawdzie jest wielkie zamieszanie, nieporządki i zatraciła się rutyna codziennego dnia, nie ma światła, coś się popsuło z gazem, pozapodziewały się rzeczy, ale wracamy do rutyny.

A wieczorem po ceremoniach kąpielowych i tym podobnych nasz mały synek zapakowany jest do łóżeczka. Jeszcze trzyma się, stojąc, szczebli tego łóżeczka i zaziera w stronę nas, i w dziwnym świetle świec jego oczy z cieniów pokoju patrzące w stronę nas odbijają światło, jak kocie, i kiedy

tak stoimy, trzymając się za ręce, to jest nam drogi, mimo że oczy jego patrzą w nas uważnie i dziwnie jak oczy bazyliszka.

[prwdr. „Wiadomości” 1948, nr 36]

Czuwanie i stypa

Otworzył drzwi od klasy tercjan wysoki, niewyraźny i z włosami przystrzyżonymi na jeża. Całe swe życie spędzał w małym pokoiku koło furty i nikt go właściwie nie znał.

Powiedział, że czeka na mnie ojciec.

I kiedy pobiegłem szybko korytarzem i zbiegłem po schodach, i poniżej klatki schodowej z jedną oszkloną ścianą była poczekalnia dla odwiedzających, z wyślizganymi ciemnymi krzesłami, figurką malowaną z gipsu Madonny i kropielniczką przy drzwiach.

W głębi pod lampą stał ojciec wielki i tęgi w zimowym palcie i twarz miał w cieniu, i jedynie blask na wysokim, wyłysiałym czole. Na poręczy krzesła miał przerzucony szal i kapelusz mokry od tających płatków śniegu.

W poczekalni było zimno.

Patrzyłem pytająco na ojca i ojciec zrobił krok w stronę mnie, i jakby uważnie się wpatrywał, jakby szukał czego w mej twarzy i chciał coś poznać. Wziął mię za obie ręce i niecierpliwie przyciągnął do siebie. Potem powiedział:

„Zbieraj się. Pojedziesz ze mną. Babka umarła, pojedziesz ze mną na pogrzeb”.

Potem dodał:

„Mówiłem już z rektorem, ażeby cię w szkole usprawiedliwiono”.

Potem ojciec usiadł na krześle, które sobie przysunął, i znów mi się przyglądał. Dziwna i niezwyczajna tkliwość ojca, ostentacyjność tego, zmroziła mię trochę. Jako że nie demonstrowało się w domu czułości, jako że każdy szanował i nie penetrował terenu drugich, że był nie umówiony kod na zbliżenie i porozumienie, to słaba manifestacja ze strony ojca na temat wzruszenia i strapienia, i bólu z powodu śmierci babki – zahamowało mię to wszystko i popsuło mi radość, że widzę ojca.

Ale usiłowałem taktownie dostosować się do sytuacji. Zacząłem sobie przede wszystkim przypominać i uświadamiać sam fakt śmierci babki. Babki prawie nie znałem, słabo przypominałem sobie jej twarz zbiegłą w siateczkę zmarszczek i czarne, bardzo czarne oczy, i ręce, ręce z gałązkami żył na wierzchu dłoni.

Uważałem, że muszę się dostosować do sytuacji, i byłem trochę zbuntowany przeciw temu przymusowi, że nie dano mi ochłonąć wobec tego zjawiska, wobec tego zwiastowania śmierci, ale byłem także zaszczycony tym, że liczę się w rodzinie już jak dorosły członek, któremu należy się to, ażeby brał udział w oficjalnym i ceremonialnym nabożeństwie pogrzebu – tak niebywale połączone to z wyjazdem, wzięciem rozbratu ze szkołą, konwiktem. Żal mi także było ojca, który był jednak bardzo inny i złamany.

Ojciec wziął mię przede wszystkim na późny obiad do Naftuły, gdzie mieliśmy się najeść przed nocnym pociągiem z Podzamcza. Postawiono przede mną talerz z olbrzymim kotletem wieprzowym, na stole leżały tekturowe podstawki pod kufle piwa i musztarda, i pieprze rozmaitych kolorów, ojciec wypił jeden, dwa, trzy kieliszki wódki i teraz w jaskrawym świetle lokalu widziałem, jak zmęczone ojciec ma oczy. Na ścianach knajpy były duże obrazy w mahoniowych ramach wyobrażające jelenie na rykowisku, płaszcze zimowe pęczniały na wieszadłach w rogu, tędzy jegomoście pili piwo i wódkę przy bufecie i kelner ścierał poplamiony obrus serwetą.

Dorożka zawiozła nas na Podzamcze i wkrótce siedzieliśmy w pociągu. Para syczała na złączach rur między wagonami i w jej obłoku twardym jak wata nie można było odnaleźć klamki wagonu. Wagon był napchany ludźmi i było w nim przyjemnie ciepło po zimnie, jakie było na dworze. Potem był gwizdek konduktora i światła peronów przesunęły się przed oknami wagonu, i potem nadpływały kolorowe światła semaforów i zwrotnic i odpływały, i znów nadpływały i odpływały, potem dalej widać było światła i światełka domów przedmieść i pociąg nabierał rytmu i tętna.

Przypomniałem sobie inną jazdę z ojcem. Było to w czasie zeszłorocznych świąt Bożego Narodzenia czy też dobrze już po świętach.

Ojciec jeszcze w lecie w Domagałach, miasteczku leżącym o dwadzieścia kilometrów stąd, zamówił powóz u tamtejszego specjalisty powoźnika, powóz typu faeton.

Otóż niespodziewanie po tych świętach przyszedł list od powoźnika bardzo lakoniczny i notabene nieortograficzny:

„Panie Radco Wielmożny. Fajton już gotów.
Z poważaniem,
Wincenty Papierski”.

Następnego dnia założono do starego wózka i ojciec wziął mię i wyjechaliśmy po śniadaniu.

Jechało się do tych Domagał gościńcem, który szedł prosto jak strzelił w kierunku na południo-wschód. To było w odwilż przed ponową i stary śnieg, który w ciągu ostatnich ciepłych dni szybko wytajał, porozlewał się po obu stronach gościńca w niezmierzone tafle wśród pól i wierzby ogołocone z liści i czupierzące się po miedzach odbijały się w czarnych wodach rozlewisk i potopów. Wody te w czasie nocnych przymrozków zamarzały lodowiskami pokrywającymi gładko i szklanie bruzdy i skiby pól i dziwnie było patrzeć na tę pustać, szklaność tam, gdzie pod spodem winny być oziminy i oziminy.

Wózek turkotał wartko po szutrze bitego gościńca i konie szły kłusem zabawnie, bo czasem ostro i unisono, czasem ten tupot i klask kopyt przemieszał się, bo podręczny wałach miał krótszy skrocz.

Wrony i kruki przechadzały się po gładkim lodzie lub zrywały się ciężkim łopotem skrzydeł, ażeby usadowić się wśród gałęzi topoli przydrożnych i spędzić te, które tam już siedziały. Słupy telegraficzne nadbiegały monotonnie, brzęcząc jak harfy. W lewo, poza fałdą widoczne były szczyty chałup i nie utrzymana droga odbiegała od gościńca w stronę tego osiedla, a tam, gdzie dobiegała do gościńca, była tablica na słupie i na niej było wypisane: „Gromada Dołęż, Gmina Batiatycze”.

Ojciec powiedział do mnie:

„Wiesz, skąd to się nazywa Batiatycze?”

Nie wiedziałem, więc ojciec objaśniał:

„Jak raz król Sobieski polował w tych stronach – a były tu przedtem lasy, że ho, ho! – takich już teraz nie ma – to zabłądził. Szukali go wszędzie, na wszystkie strony i nie mogli znaleźć, aż w końcu taki młody Kozaczek miał szczęście i nadybał go, i tak się tym przejął i wzruszył, że na widok królewski wybuchnął płaczem. Ma się rozumieć, ujęło to bardzo króla i w nagrodę uszlachcił go – mówiło się wtedy: nobilitował – i powiedział, że za majątek może sobie tyle ziemi wziąć z tych lasów, ile zdąży w zamkniętym kole objechać w ciągu dnia. No to ten Kozaczek wziął sobie konia, na drugiego wsadził takiego dziadygę i jucznego konia dał obładowanego wiechami, tykami do wyznaczania granic, i wioo! I co ujechał, to wołał do swego pomocnika: »*Batia! Tyczy!*«, i ten wbijał znak, i dalej. I od tego wołania: »*Batia – tyczy!*« zrobiło się Batiatycze. Rozumiesz?”

Rozumiałem. A właściwie: rozumiałem i nie rozumiałem. Kompozycja i rytm opowiadania bawiły mię, ale zaraz obudziła się we mnie czujna nieufność. To nie jest życie – myślałem. To nieprawda. Życie nie jest ciągłym łańcuchem jakby skomponowanych frazesów, to by było za łatwe i nudne pewnie także, życie nie jest jednym ciągiem przyczyn i skutków, szeregiem przesłanek, z których wynikają ładnie zaokrąglone wnioski, ani też nie jest materiałem do funkcji, ani też – rodzajem nomogramu. No to w takim razie to jest sztuka. Bałem się przymusu wynikającego ze sztuki. Dlatego, że tak i tak mię wychowano, że tak mię nauczono, że nie pokazano mi tego, a za to pokazano tamto, to jest się jak koń w szorach, w hołoblach i kieracie, i okularach odsłaniających pole widzenia w jednym tylko kierunku.

Po prawej stronie drogi, równolegle do niej, w odległości dwu kilometrów zaczynał się płaski pas wzgórz Woroniaków, w głębi zalesionych, bliżej łysych i strzępiących się urwiskami i krzakami głogu. Ich spokojne niesymetryczne obłości wydymały się pod niebem i cieniowały bladoniebieskim cieniem, jaki niskie zimowe słońce kazało im rzucać, jak powierzchnie matematyczne czwartego stopnia, puste i niezamieszkałe, obojętne i zimne, dalekie, a bliskie, chciałoby się iść ku nim i wstępować po ich płaskich stokach, i zajrzeć, co jest za ich

krawędzią-horyzontem, i dać się zaczadzić nowemu horyzontowi, i schodzić ku niemu po przeciwstoku, i znowu iść z pragnieniem w gardle za niewypowiedzianym, co jest za tym nowym horyzontem, który zawsze będzie odskakiwać na zaklęty dystans.

Wózek turkotał usypiająco, pryskało błoto i roztajała woda pod klaskaniem podków końskich i zwolniło się pod pochyłą górkę, a potem, jakby odkrył wieko pudełka, z góry ukazało się miasteczko Domagały i zaczęliśmy ostro zjeżdżać ku niemu.

A potem był warstat pana Papierskiego i wśród wiórów, trocin, desek spiętrzonych na stos pionowo, obrobionego i na pół obrobionego materiału stał nowo narodzony faeton: świeży, pachnący pokostem, politurą, lakierem, szmelcowanym żelazem, rzemieniem, lakierowaną skórą, sztruksem i końskim włosiem, błyskający szkłem latarń i okuciem miedzianym, elastyczny, o pałąkowatych kołach, z odbiciem promieni słońca na szprychach kół i z muszlami piast, z pudłem wyrobionym jak skrzypce i szlachetną tapicerską robotą siedzeń, wałkiem na wysokim siedzeniu woźnicy – faeton.

Kiedy wracaliśmy, to gapie ubogiego rynku Domagał zaaprobowali nas jako apetyczny widok na tle codzienności i jednakowości miasteczka. Chudy Żyd powroźnik powoli cofał się wzdłuż wąskiej szyi uliczki i wywlekał z konopnych pakuł, jakie miał w przewiązanym w pasie worku, wyszarpywał konopne promienie koloru srebra i formował je w palcach w sznur, który nakręcał się i rósł w długość w miarę tego cofania się, a drugi koniec był zaczepiony do haka prymitywnego kręcidła obracanego powolnym ruchem przez małego Żydka o delikatnej twarzy i pejsach zwieszających mu się wzdłuż uszu spod małej jarmułki. To koło powroźnicze obracane rączką dziecka wydawało mi się, że jest jedynym sensem, środkiem spraw wszystkich nie mających ani początku, ani końca, logicznych jedynie tym, że są dalej lub bliżej, że są koncentryczne do osi ubogiego koła powroźniczego nasmarowanego dziegciem i obracanego rączką dziecka.

Ojciec obruszył się z zamyślenia i zapytał mię:

„No a jak tam ci u tych Zmartwychwstańców?”

I, nie czekając na odpowiedź, pytał:

„A wiesz ty, kto ufundował ten zakład?”

„Wiem, pewnie” – powiedziałem – „to ksiądz Hieronim Kajsiewicz i ksiądz Semeneńko”.

„Hm – no dobrze”.

A potem dodał:

„No, Mickiewicz także, jak by nie było…”

Potem ojciec umilkł i jechaliśmy w milczeniu. Nigdy wiele z ojcem nie rozmawialiśmy.

W przedziale było bardzo gorąco i jaskrawo od palących się gazowych lamp, i ciasno od tłumu jadących. Ale nie mogłem zasnąć i patrzyłem na jadących współpasażerów: trochę inteligentów, baby z koszami i szwargoczący Żydzi. Za szybą była czarna noc migająca w szybkim biegu pociągu i odbijały się w niej światła wagonu i jego wnętrze.

Ojciec siedział nic nie mówiący z przymkniętymi oczami i wydawało się, że śpi-nie śpi. Potem pochylił się ku mnie i położył mi głowę na kolanach, i wydawało się, że zasnął. Coś mi ścisnęło gardło od tego – od tego, że ojciec złożył swą głowę na mych kolanach; widziałem jego siwiejące włosy i żyły na skroniach. Było mi trochę wstrętnie od tego i niezwyczajnie, powtarzam: nigdy nie było między nami rozczulających gestów i zbliżeń. Ale byłem bardzo zmęczony i odurzony podróżą.

Nawet nie wiem, kiedy stanęliśmy na stacji przeznaczenia. Było już bardzo późno w nocy, a przed nami mieliśmy jeszcze długą drogę końmi.

Pod zajazdem stacji czekały sanie i chłop w baraniej czapie i kożuchu, z sękatym biczyskiem i jeszcze ktoś przysiadał się do nas na tę podróż. Na dworze było czarno od nieba i biało od śniegu. Włożono na mnie jakieś płaszcze z dorosłych osób, kilka takich płaszczy i bund, ojciec wciągnął na siebie olbrzymią szubę baranią – wyglądał w niej jak góra. Zagrzebano mię w nogach siedzenia w słomę i przykryto po czubek nosa.

Sanie zasunęły zaraz po śniegu i ruszyliśmy. Naprzód jechało się od stacji gościńcem białym teraz od śniegu w stronę miasteczka; słupy telegraficzne i ogrodzenia ogrodów niknące w nocy. Potem krótko miasteczko z bardzo skąpymi światełkami o tak późnej nocy, potem

przejeżdżało się koło młyna nad zamarzniętym stawem i droga była już gminna i krzywa. Było potężne zimno, mróz, ale cicho i jedynie od pędu sań w kłusie zawiewało tym mrozem po policzkach i kłuło w nosie. Ciekawie wyglądałem spod mego przykrycia, już bardzo wytrzeźwiałem ze snu. Konie szły kłusika, nie poznawałem ich, były gniade i włochate, i nieznajome. Śmierdziało od nich końską stajnią. Jak z tyłu patrzeć na nie, to zabawnie: tylko zady i iksy nóg szybko odrywających się od ziemi i wyżej widać strzygące uszy, i parskanie. Małe grudki śniegu odrywały się od podrywanych kopyt i śmigały w tył i głuchy tupot po śniegowej warstwie, jakby biegły w filcowych pantoflach, i jedynie czasem lejcowy wałach, zaczepiając kopyta tylnych nóg, krzesał iskrę o podkowy i dźwięczała sucho podkowa. Czasem sanie szły w zatokę, kiedy wyślizgany lód pod śniegiem nie dawał oparcia bosym saniom, i raz lub dwa szły całkiem w poprzek drogi, i wtedy woźnica zdzielał je batem po grzbietach i klął: „*A szczob tebe!*…”, i zmuszał do wyprostowania sztywnego dyszla. Słoma, w której mię zagrzebano, kłuła mię w uszy.

Jak patrzeć było w noc, to nic nie było widać. W górze niebo, które było czarne i granatowe i mogło być bardzo wysoko albo tak nisko, że jak wyciągnąć rękę, to można było dotknąć jego niskiego pułapu. A pole uciekało zaraz na krótki dystans i nic dalej. Czasem czernił się mijany krzak głogu kolczasty i nagi. Czasem mijało się figurę kamienną: krzyż pobielony wapnem, tak bliski temu śniegowi, że prawie go nie było widać, a cóż dopiero mówić o wyrzezanych w kamieniu szczegółach… A ja sobie uprzytamniałem tam widziane za innych dni: kalwarię bardzo niezdarnie w kamieniu wyrobioną, kiedy Chrystus skłania głowę w koronie cierniowej na ramię i głowy Jego i stojących na tym samym poziomie Marii i Jana apostoła są nieproporcjonalnie duże w stosunku do tułowi, i zeschnięte kwiaty adoracji w czasie lata, i pracowity a koszlawy napis wydłubany w piaskowcu: „Христа Господа Мука Сьвята”.

Nie było drzew, nie było ich w tych bezdrzewnych stronach. Od Zborowa, przez Cecowę, Glinnę, Płauczę Małą, Płauczę Wielką, Taurów, Kozowę, Końskie, Popławy kraj leżał płaski jak tarcza pod łukiem nieba, otwarty i pusty, leżał polem, jednym oddechem – jak ręką zatoczyć, jak

okiem zamieść. Czasem urywał się urwiskiem jaru, w którym przeciekała rzeka, która wymyła go tysiące lat przedtem i płynęła teraz kapryśnie wybranym łożyskiem, ażeby z następną powodzią przenieść się w inne i zaróść szuwarem i tatarakiem. U urwisk jarów czepiały się wsie jak zbiegłe do wody stadko gęsi. Chowały się w lecie w gajach konopnych i sterczały nad nimi kopuły cerkiewne i grusze o osiczynowych liściach.

Ale były to bardzo bezdrzewne okolice. Chaty lepione były ze słomianych okłotów i gliny, stodoły – wyplatano im ściany z chrustu i miast ogrodzeń i płotów sypano wały, na których sadził się krzak kolczasty dzikiej róży, głogu i jeżyny. Drzew nie było i budulec woziło się wozami z odległych powiatów, i ceniono go na wagę złota, a w piecach palono słomianymi powrósłami. Na całą okolicę słynne dlatego były świerki przed domem mego dziadka. Dziadek zasadził je jeszcze, kiedy się tu zakładał i dom stawiał, i z tych małych świerkowych choinek po latach wyrosły czarne samotne, widne z daleka na horyzoncie piramidy świerków, które, czarne i żałobne w gorące lato, szarpane wiatrem jesiennym jak chorągwie, stały czarną piłą w pośrodku pól na straży – urągowisko i pohybel bezlistnej pustce tego kraju.

Po jakimś czasie zgubiliśmy drogę. Furman wstrzymał konie: „Hoou!” i zeszedłszy z sani, podszedł ku przodowi, i zasłoniły go konie, rozbiegany poprzednio dzwonek, zaczepiony u końca dyszla, zajęczał raz i drugi samotnie i krystalicznie w ciemności nocy. Ojciec pochylił się z siedzenia i poszukał dłonią w rękawiczce po śniegu, i powiedział: „Skiby”. Potem furman ujął konie za wodze przy pysku i zaczęliśmy nawracać, ujechaliśmy stępa kilkadziesiąt kroków i znów zawrócił sanie pod kątem 90 stopni. Było tak czarno, że dalej jak dziesięć kroków nie było widać.

Ojciec kazał mi wygrzebać się i biec koło sani. Śnieżku było niedużo tutaj – tyle, że przykrywał skiby – i potykałem się, i było mi zimno, ale ojciec oglądał się na mnie i wołał: „ruszaj się!”, i nagle zaczął kląć parobka od matiery, ale tamten nic, tylko prowadził konie przy pysku. Zaczęliśmy teraz podchodzić pod jakąś górę i dziwnie mi było z tą górą, bo były to strony bardzo, zupełnie płaskie i skąd znowu góra?

Dopiero jak ojciec w swej długiej baraniej szubie zaplątał się w jej poły i upadł w śnieg, przestraszyłem się. Nagle myśl straszna przeszła mi przez głowę: zabłądziliśmy! Dotychczas nic, a teraz, jak widziałem, że ojciec taki wielki, olbrzymi w swej szubie, że uosobienie siły i upada w śnieg, to było zbyt wstrząsające. Zacząłem trząść się z dygotu i zimna, które dopiero teraz poczułem.

Wtedy także zaszedł jeden incydent, którego nigdy nie mogłem zrozumieć. Usłyszeliśmy w odległości, w dole głos jakiś i jak było wytężyć wzrok, to można było dalej, w ciemnościach zobaczyć coś: plamę ciemną, która, zdaje się, była inną parą sani, i widać tam było jakiegoś człowieka: postać chłopa, który w naszą stronę coś krzyczał i gestykulował. Byłem zmęczony, śpiący i nie mogłem ani tego zrozumieć, ani pojąć. Mogłoby to być coś w rodzaju tym, że inny człowiek zabłądził po nocy, albo też mógł to być ktoś, kto nas naprowadzał na dobrą drogę i objaśniał, czegoś innego trudno było dopatrywać się w tym, a jednak wydawało mi się, że ten człowiek w nocy złorzeczył nam i wygrażał, ale co mogłoby być tego powodem, tego wygrażania i złości do zbłąkanych podróżnych, tego nie mogę pojąć. Może to urodziło się jedynie w wyobraźni niewyspanego i zmęczonego mózgu.

Potem byłem już tak zmęczony, że nie wiem dokładnie, co się działo i jak wybrnęliśmy. Przypominam tylko sobie, jak sanie ślizgały się w poprzek skib i miedz albo tarły po oziminach lekko przysypanych śniegiem, konie zapadające w rowy po brzuchy w śnieg, jak gramoliliśmy się do sani i jak w końcu o późnej nocy zaczerniały gałęzie świerków przydmuchanych śniegiem i psy ujadające przed domem.

W domu było napalone i nieznośne gorąco, i jacyś krewni i ludzie, i jaskrawo od światła, i zaraz zapakowano mię do łóżka – miałem trochę gorączki od tej jazdy i było przyjemnie od tej gorączki i od ciepła, głowa uciekła mi gdzieś w dół i nie wiedząc kiedy, zasnąłem zmorzony.

A rano, zanim obudzono mię i zanim ubrałem się, to wszystko zbliżało się ku końcowi. Nawet czarna trumna stała już na zewnątrz domu na ławie przed czarnymi świerkami oddzielającymi dom od drogi i przed nią stał pop w wielkiej czarnej kapie narzuconej na komżę opinającą się na futrze,

czytał z modlitewnika o złoconych brzegach i sięgał kropidłem do miedzianego naczynia trzymanego przez diaka. Na schodach domu, w przejściu, w bramie i na drodze czernił się tłum: chłopi w kożuchach i baby w chustkach otulających im głowy. W samej bramie stał dziadyga oburącz trzymający drzewce wysokie chorągwi czarnej i oszytej, obrzeżonej srebrną frędzlą, i na czarnym jej tle naszyty był znak trupiej głowy i skrzyżowane piszczele, jakie znałem z książek o piratach i co tam nazywało się „*Jolly Roger*”, i tam przywodziło na myśl awanturę i przygodę, a tutaj chorągwisko przyniesione z kąta zakrystii cerkiewnej łopotało się na wietrze, kiedy odnoszono trumny na cmentarz.

Cmentarz był prawie o płot – pogarbiony chłopskimi mogiłami pod śniegiem. Chłopi stali już tam także tłumkiem, mali chłopcy ześlizgiwali się z tych pagórków, gdzie spychali jeden drugiego, ażeby lepiej widzieć. Czarna ziemia wyrzucona przez łopatę grabarza mieszała się ze śniegiem. Pop zaciągnął: „*Hospooody, pomyyyłuj!…*” i wrony zerwały się z drzew akacjowych koło cerkwi. Niebo było białe jak mleko i ciemniało, schodząc ku horyzontowi nad ośnieżonymi strzechami chat.

Potem wracaliśmy drogą do domu i była jakaś ulga po tym zimowym dniu.

W domu przede wszystkim podano na tacy wódkę. Naprzód ktoś odkorkował butelkę ze srebrną główką i porozlewał wódkę do kieliszków, których było tak dużo, że niektóre były innego kalibru, i trochę wódki się porozlewało. Na półmisku były także nakrajana kiełbasa i widelce i każdy, jak chciał, tak brał na widelec.

„Dlaczego styczeń się tak nazywa?” – pytał tłustej żony pocztmistrza pan Fałdziński, geometra z Taurowa. Pan Fałdziński miał brodę i filuterne czarne i kaprawe oczka i wydłubywał zapałką kawałeczki mięska z tej kiełbasy spomiędzy popsutych zębów, i filuternie patrzył na biust pocztmistrzowej.

„…a bo w styczniu wilki się stykają, aha!”

Było gwarno i ciasno od ludzi, w piecach okropnie napalone, ale było to po tamtej ponurej chwili bardzo przytulne i wesołe i chociaż byłem taki

niedorostek, sam między tymi wszystkimi głośno gadającymi, to kręciłem się, unikając widoku ojca.

„Ho, ho, ho! Ho, ho, ho!” – grubym basem śmiał się ksiądz Czmoła, pop, który po zdjęciu aparatów cerkiewnych był dalej duży i tęgi, nawet bez futra, ale w swej wyświeconej na brzuchu sutannie, z czerwoną twarzą i roześmianą gębą był taki inny i ludzki.

„To się nazywało bardzo elegancko »pudreta«, a to nie było nic innego, tylko mielone suszone gówno. Jak raz mieliśmy to w worku w polu i deszcz trochę przykropił, Iwan przyszedł i sięgnął ręką w worek, i powiada do mnie: »Ktoś nasrał do worka – panie rządco«”.

„Co, panie, Szynda? Taż, panie, jakbym, panie, tego waszego Szyndę, panie, jakbym wziął go za nogi, tłukł mu głową w podłogę, toby waszemu Szyndzie, panie, szóstka z portek by nie wyleciała, panie? co pan? panie…”

„…to jemu już chałupa śmierdzi, a mnie nie śmierdzi, to *ne daj Boże z Iwana pana*…”

„Radziłabym pani tylko do Czarnomskiego. Inni jeżdżą po doktorach albo do Lubienia, albo Buska, majątki tracą. Co się stało ze Stasiem Jaworowskich? Nie mogli mu poradzić i nie mogli, co się najeździli! do kliniki do Krakowa i do Wiednia jeździli. A Czarnomski przepisał mu tylko nacierania i dietę, i żeby leżał w ogrodzie i patrzał na zielone. Tak patrzał na zielone, moja pani…”

Mój wuj zniżonym głosem mówił do Stahrembergowej z Płauczy Wielkiej:

„Te kraty trzymałem za oborą i ile razy matka je tam widzi, to, zmiłujcie się, gryzie mnie, że ich nie postawiłem. A u Lenartowicza je zamówiłem w Zborowie, co? pięć lat temu. A teraz się postawi, podmuruje się i krzyż postawię…”

„*Swynia lubyt bołoto*” – nie udał się dowcip księdzu Czmole, kiedy nakładłszy gotowanej wędzonki, mieszał kapustę i kartofle na talerzu.

Powietrze było gęste od tytoniu, gorąca, zapachu potraw. Na rzeźbionym zegarze u szczytu otworzyły się drzwiczki i drewniany ptaszek wyskoczył, i w gwarze można było domyślić się tylko, że wykukał pierwszą. Za szybami zielonymi widać było śnieg.

Jak jedyne jest w swoim rodzaju – zima! Jedyne i niesamowite, kiedy po rudej, fioletowej, rdzawej, sepiowej i ugrowej, rudej jesieni przyjdzie jednego dnia śnieg. Kiedyś, pamiętam, kiedy byłem w szkole podchorążych, w sieni przed wejściem do koszar czyściliśmy rano po ćwiczeniach buty z błota, właściwie: inni czyścili, bo ja byłem służbowym. To było akuratnie pierwszego grudnia. Na dworze było czarno od błota, zimna i jesieni. I czerwone ceglane mury koszar, i czarny asfalt posadzek, i smród koszarowy, i udręka, i przymus, i fałszywy romantyzm służby wojskowej. Nadszedł dowódca baterii i zdenerwowany i ze ściśniętym sercem zameldowałem mu się, jak było przepisane. Kapitan, sztywny Prusak w pozapinanym na guziki ciężkim płaszczu i z monoklem w oku, i zaciętymi oślinionymi wargami, zimno i sztywnie usiłował nawiązać rozmowę i było chłodno i dreszczowo w tym zimnym dniu. I wtedy w otwartych na ścieżaj drzwiach wychodzących na nijakie koszarowe podwórze, na tle pustki tego podwórza i cynobrowym tle ceglanym innych budynków zawirowały pierwsze tej zimy płatki śniegu. I jak zakręciło się od nich w powietrzu, i jak na tle jasnego, mlecznego nieba zakręciły się płatkami sadzy, a na tle ciemnym podwórza i błotnistego placu ćwiczeń zatrzepotały się pyłem, pudrem, pierzem białym, to zrobiło się jak zwiastowanie i posłanie skądyś, gdzie nam sprzyjają, gdzie uważają nas i myślą o nas, i wiedzą, że najgorszym z tego, co ma się tutaj do przeżycia, to beznadziejność tych samych rzeczy, i mądrze, i przychylnie, i kojąco, i zamaszyście w tym, z taką fantazją sypnięto nam karnawałowego konfetti. Jak inaczej wydało się teraz wszystko, jak obiecująco i wesoło!

Prymus i lizus bateryjny wyprężył się służbowo i że to było akurat pierwszego grudnia, zameldował służbiście dowódcy:

„Zima zaczęła się regulaminowo, panie kapitanie. Tak jest!”

Stałem z boku w swym ciężkim płaszczu, pozapinany w pasie i z podpinką pod brodą, i było mi ogromnie dobrze, i otucha od tego śniegu.

A potem to już wiecie, jak to jest z tym śniegiem. Bywa, że pada kapryśnie i z namysłem, obietnicą zamiecie po szybach i zamieni się w krupy drobnego gradu, i rozleje w deszcz. Albo sklejają się płaty duże i mokre i zimnym pocałunkiem siadają nam na kołnierzach płaszczów, na

mokrych płytach chodników, na oślizgłych od jesieni parkanach i gontach, na korze drzew, na grudzie drogi, na powiędłych resztkach grzęd ogrodowych, na sinych i pordzewiałych dachach domów. Albo przychodzi raz tak, że zaczyna padać i padać uporczywie, nieskończenie i jak się przytula twarz do zimnej szyby, to [nie] widać nic, tylko kurzawę i rojowisko płatków kapryśnych kręcących się tam, tu, ówdzie, traci się poczucie, czy lecą one z nieba na ziemię, czy z dołu do góry, traci się wrażenie przestrzeni: czy ja jestem tu? czy ja jestem tam? gdzie te dalsze? mijają się, jedne białe, drugie czarne, zarysy przedmiotów, drzew, domów zacierają się, zamglają, ludzie za nimi przemykają się ulicą jak konspiratorzy, ale nie umkną temu, bo naznacza i piętnuje ich i siada im na ramionach i garbach, zarzuca ich płaszczem i delią komicznej godności, zawisa im roztopioną kroplą u nosa, rozgwieżdża im się na rzęsach, umacza im wąsy w niesłodkich lodach śniegowych i zdziwionym, kiedy znajdą się w domu, ukazuje na rękawie topniejącą gwiazdę kalejdoskopową, a każda inna i przemyślnie skrystalizowana, i niedościgła w swej nietrwałości topniejącej.

Niech ten liryczny panegiryk dla śniegu pierwszego nie będzie mi poczytany za słabość, na jaką zawsze sprowadzi nas solipsyzm, narcyzm, kompleks samolubny objawiający się, ile razy tylko odwrócimy się w siebie samych, kiedy wydaje się, że najbłahszy nawet temat, ale dotyczący naszego wewnętrznego wrażenia, będzie ważny i cenny. Wyciągam rękę i gładzę szybę matową od mego oddechu i przez szpary między palcami przesypuję ten śnieg sypiący się za oknem, siejący się z klepsydry, którą odwraca i dla mnie, i dla innych niewidzialna dłoń. Zapatrzeni ze wszystkich okien, podwórzy i placówek, na których postawił nas los, odszukujemy się wszyscy w jej urzekającym ruchu. Patrzę w oczywisty, monotonny, nieciekawy, banalny świat śniegu spadającego w płatkach czaru – urzeczony i wstrząśnięty. Kładzie się od niego cisza i opatula nas; narzuca się oczywiste porównanie z watą. Wyjdźmy na próg i głosy u sąsiadów, szczekanie psa na końcu ulicy i świst lokomotywy na końcu miasta oszpulone są już i odizolowane puszystą błoną znanej nowości. Jak się wciągnie powietrze, to dlaczegoś każe nam myśleć o tym, że ma inny

zapach: dziczyzny, kiedy myśli się teraz o uroczysku, wydmuchowisku i pustej miedzy, i skraju lasu, i opuszczonym wygonie, i zapomnianej kępie wśród nieużytków. Napędza nam ten zapach myśli nowe i zdziwione samymi sobą – jak w rauszu, kiedy wypije się szybko, raz po raz, dwa kieliszki wódki.

Zadumani i zabawieni schodzimy po stopniach, a tu śniegu tylko na cal zaledwie, ale już pozostają ślady naszych stóp ostro i dokumentarnie odbitych i odtworzonych i patrzymy w nie zaskoczeni i zaalarmowani jak Robinson Crusoe na widok stóp ludzkich odciśniętych na piasku wybrzeża.

Goście się rozjechali i my także ruszamy. Widać przez gołe krzaki, że tam już zaprzęgli gniadą parę do sani – nic to, że garść słomy na nich czy grochowin.

Konie niechętne i puszyste od zimowego włosa ruszają noga za nogą i płozy sań czasem zachrobocą i zasuną po przysypanej śniegiem zamarzłej folwarcznej grudzie.

Oboje wujostwo są z nami.

„Jak będziecie mieli szczęście, no, jak zajedziecie dobrze i nie spłoszy się, to będziesz miał lisa, panie dziu”.

To „panie dziu” to ma być skrót od „panie dobrodzieju” i wuj tak sobie pokpiwająco robi z siebie hreczkosieja i na staropolsko, bo w innych rzeczach zaprzecza temu, ale po domowemu to lubi sobie pokpiwać i dlatego nawet, jak jest w humorze, to mówi do żony przez „duszko”. To także ma zajeżdżać dobroduszną staropolszczyzną.

W ogóle są jacyś inni i niecodzienni w czasie tej stypy i aż mi śmiesznie. Dzisiaj nawet, przedtem, to ich złapałem w kredensowym pokoju, gdzie smakołyki ze stypy stoją zimne i porozkładane na półmiskach, i we dwoje tam sobie coś ukrawywali i zajadali milczkiem, i było to niesamowite i niecodzienne, bo normalnie nie przywiązywali wagi do podniebiennych rzeczy, a teraz w czasie stypy to pilnowali raczej gości, ażeby jedli, toteż ta ich milcząca komitywa nad półmiskami, w samotności wydawała mi się i zabawna, i tak jakbym przyłapał ich niechcący, świadek jakiejś poufałości małżeńskiej.

I wtedy także przyszedł ktoś z folwarku, był to może rządca albo może polowy, albo któraś z dziewek, i powiedzieli o tym lisie. Zadziwiająca była ta droga wiadomości dochodzących do domu. Wydawało się, że w ciągu naszych rozmów lub milczenia dom rezonuje powiedzeniami, wiadomościami, uwagami, które wypowiadane są w odległości pięciu kilometrów; że jeżeli coś się stało „na Popławach” albo przy kopach zboża, albo jak załadowywali buraki w Zborowie do lor na bocznicach, albo na plebanii ruskiej coś się mówiło, to te wieści przylatują z wiatrem i uderzają o membranę gontowego dachu lub odbijają się od pudeł powozów w wozowni, albo odbrzęczają się od miedzianych kotłów gorzelni, albo wyją w centryfudze, albo dyszą w miechach kuźni i w ten sposób, zmieszane z potocznymi rozmowami, dobiegają te wieści i posłania do naszej świadomości.

Przyszedł ktoś i powiedział, że lis wyszedł z jarów i myszkuje teraz za myszami koło stert, za Czarnem. Stały tam i ciężkie, i czarne pod dachami ze śniegu na wyniosłym garbie od zachodu. Wśród pól zaoranych lub zabronowanych pod oziminę, za niwami i miedzami długich poletek chłopskich, za wielkimi kwadratowymi akrami dworskich pól. Śnieg na polach leżał nierówno, skiby czerniły się długimi pasami, śnieżek leżał w ich załamaniach, a dalej biało i biało, i mroźnie, i pomimo białego i pogodnego dnia jakby mgła, nie! mgiełka, i daleko ściana horyzontu.

Ruszyliśmy; ja, wyczekując swej nagrody, wyobrażając sobie, jak na tym pustkowiu, koło stert lis myszkuje – jedyne słowo, kiedy wyobrazić sobie, jak z nosem przy ziemi między tymi stertami pobiega, wlokąc za sobą kitę. Ślady tam tylko ptaszków małych, które tam kręcą się o niewiadomej porze, bo teraz o nich głucho, ślady ich łapek jak odbicia małych gałązek w śniegu i łuska wyplewionego ziarna, i źbła słomy, i ani śladu człowieka, tak tam dziko i dziewiczo.

Ale to sobie na razie wyobrażam, a teraz jedziemy: konie idą kłusikiem, sanie suną z sykiem, droga jest dosyć wyślizgana i śnieg na niej w lód od tego wypolerowany i pożółkł tam, gdzie mocz koński i nawóz go poplamiły, i leżą na niej olodowaciałe źbła słomy, a na głogach

przydrożnych łopotają o ich nagie gałęzie gawrony niezdecydowane jeszcze, w którą stronę zabrać się na kolację.

[prwdr. „Kultura” 1950, nr 2–3]

Nota edytorska

Stworzona przez Wydawnictwo Czarne możliwość wznowienia *Baskijskiego diabła* dała okazję do rewizji zasad przyjętych podczas opracowywania poprzedniej edycji[2]. W obecnym wydaniu nadano zatem twórczości literackiej Haupta porządek chronologiczny, przedrukowując poszczególne tomy opowiadań według kryterium czasu ich powstania. Zaprezentowano inną rekonstrukcję siódmego i ósmego akapitu *„Kiedy będę dorosły”* oraz usunięto zniekształcenia tekstu zauważone w *Entropii*, *Ogrodzie Jezuickim*, *Wariantach*, *Strachach*, *Szpicy* i *Więźniu z Isle of Ely*. Z większym niż poprzednio pietyzmem oddano licznie występujące w języku autora archaizmy. Podział na fragmenty składowe opowiadań z tomu *Pierścień z papieru* przyjęto za autorskim maszynopisem książki (a więc i za jej pierwszym, paryskim wydaniem), a nie – jak w 2007 roku – za pierwodrukami czasopiśmiennymi, co spowodowało zmiany w następujących utworach: *W Paryżu i w arkadii*, *Meine liebe Mutter, sei stolz, Ich trage die Fahne*, *Madrygał dla Anusi*, *Deszcz*, *Biały mazur*, *Jak wiosna przyjechała*, *Gołębie z placu Teodora* [*II*], *Dziwnie było bardzo, bo…* i *Marsylianka*. Wreszcie inaczej potraktowano problem Hauptowskiej interpunkcji.

Haupt posługiwał się przestankowaniem niekonsekwentnym, w wielu wypadkach niepoprawnym (na przykład czasem oddzielał podmiot od orzeczenia, przydawkę od wyrazu określanego, nie oddzielał zaś członów wyliczenia itp.), co w połączeniu ze skomplikowaną, niejednokrotnie zawiłą, a incydentalnie nawet błędną składnią skutecznie zaciemniało znaczenie zdania. Dlatego w niniejszej edycji zdecydowano się na konsekwentne zastosowanie we wszystkich tekstach interpunkcji możliwie najprostszej, czyli takiej, która uwydatnia przede wszystkim logiczną strukturę wypowiedzi.

Zachowano cudzysłowy jako autorskie wyróżnienia niektórych wyrażeń obcojęzycznych i regionalizmów, dodając kursywę jako edytorski wyróżnik wyrażeń obcojęzycznych (lecz nie takich, które się już zleksykalizowały, i nie regionalizmów). Kursywą zaznaczono też narratorskie wtrącenia nawiasowe w przytoczeniach występujące w *W Paryżu i w arkadii*, *Meine liebe Mutter, sei stolz, Ich trage die Fahne*, *To ja sam jestem Emmą Bovary*, *El Pelele* i *Ogrodzie Jezuickim*. Uszanowano autorski zwyczaj ujmowania przytoczeń w cudzysłowy przy jednoczesnym oddzielaniu ich od narracji za pomocą myślników, a ponieważ ową manierę Haupt zaczął stosować w miarę konsekwentnie dopiero w *Ostatnim zbiorze opowiadań*, pozostałe teksty ujednolicono pod tym względem.

Modyfikacja przestankowania skutkowała w pewnych wypadkach zmianą granic zdań, zgodnie zresztą ze sposobem zapisu praktykowanym przez pisarza w niektórych utworach (na przykład w *Lili Marleen*, *W barze Harry'ego*, *Cyklonie*). Mianowicie w opowiadaniu *Odwilż* tekst: „Raz było to tak. Pani Ł., która przyjaźnie i z ciekawością była przytomna naszym namiętnościom […]" zmieniono na: „Raz było to tak: Pani Ł. […]", podobnie w *Kuligu*: „A to było tak. Byliśmy u stelmacha folwarcznego z Panną i jedną z dziewczynek" – „A to było tak: Byliśmy […]", *Wyspach Galapagos i wyprawie na Mount Everest*: „Więc tak. Panna miała upodobania i znajomości-przyjaźnie […]" – „Więc tak: Panna […]", *Polonezie na pożegnanie ojczyzny*: „To ja ci powiem tak. Jak byliśmy pod Myślenicami […]" – „To ja ci powiem tak: Jak byliśmy pod Myślenicami […]", *Rigor mortis*: „Na rękawach mundurów naszyte, wyhaftowane nazwy krajów i miast, skąd pochodzą. »New Zealand«, »Mauritius«, »Nova Scottia« […]" – „[…] skąd pochodzą: »New Zealand« […]", *Ułanie Czuchnowskim*: „Bo tak. Przede wszystkim od czterdziestu ośmiu godzin jeszcze nie spałem ani godziny" – „Bo tak: Przede wszystkim […]", „Więc tak. W tym czasie już nauczyłem się odróżniać […]" – „Więc tak: W tym czasie już nauczyłem się odróżniać […]", *Pokerze w Gorganach*: „Teraz tak. Z Gorganów wypływają i przedzielają je dolinami z południa na północ doliny rzek: Świcy, Czeczwy, Łomnicy, Bystrzycy" – „Teraz tak: Z Gorganów […]", „Ale wracając do kąpieli. Wybraliśmy sobie miejsce

[…]” – „Ale wracając do kąpieli: Wybraliśmy sobie miejsce […]” i: „I jeszcze jedno. To zaczynała się pora rykowiska […]” – „I jeszcze jedno: To zaczynała się pora rykowiska […]”, *Jak wiosna przyjechała*: „A działo się tak. Naprzód ziewające wrony i kruki zebrały się pośród pola jak opiłki żelazne przyciągnięte magnesem ukrytym pod kartką papieru” – „A działo się tak: Naprzód […]”, *Gołębiach z placu Teodora*: „To było tak. Panna chciała przywieźć swojej koturnowej ciotce jakiś prezent […]” – „To było tak: Panna chciała […]”, „[…] robił się beztroski i swobodny. »Fajne ptaki – niedrogo – to z Placu« – ale nie ukrywało to jego niepokoju […]” – „[…] robił się beztroski i swobodny: »Fajne ptaki – niedrogo – to z Placu« […]”, *Henrym Bushu i jego samolocie*: „Załatwmy naprzód stronę techniczną. Lotnisko jest wybudowane w trójkącie przypuszczalnie sztucznie nasypanym w jezioro […]” – „Załatwmy naprzód stronę techniczną: Lotnisko […]”, „Ale po kolei. Henry Bush urzęduje poważnie […]” – „Ale po kolei: Henry Bush urzęduje poważnie […]”, *Lili Marleen*: „[…] w zaśpiewie. (»Mój Jasieniek […]«)” – „[…] w zaśpiewie (»Mój Jasieniek […]«), *To ja sam jestem Emmą Bovary*: „A działo się to dla następującego powodu. W ostatnich czasach Państwowy Monopol Tytoniowy wypuścił nowy gatunek papierosów […]” – „A działo się to dla następującego powodu: W ostatnich czasach […]”, „[…] wieści przyniesionej tu i głoszonej przez obłąkanego. »*God is the man*… […]«” – „[…] wieści przyniesionej tu i głoszonej przez obłąkanego: »*God is the man*… […]«”, *Do dwu razy sztuka*: „Otóż pokrótce sprawa wyglądała następująco. Pozwolenie na broń przyszło dnia poprzedniego […]” – „Otóż pokrótce sprawa wyglądała następująco: Pozwolenie na broń […]”, *Meldunku o nieprzybyciu Wełnowskiego*: „[…] przychodzi fonogram. Wełnowski zmarł […]” – „[…] przychodzi fonogram: Wełnowski zmarł […]” i *Z Laczczyny*: „[…] a i tło miało być odmienne nastrojowo. »W taką zimę straszną, mroźną, dującą śniegiem […]«” – „[…] a i tło miało być odmienne nastrojowo: »W taką zimę straszną, mroźną, dującą śniegiem […]«”.

Poprawiono oczywiste błędy literowe oraz zmodernizowano ortografię. Współczesne standardy wydawnicze narzuciły również konieczność

ingerencji w większym niż poprzednio stopniu w gramatykę i leksykę; sporadycznie ulepszono też stylistykę niektórych utworów, przy czym ustalanie nie umotywowanych względami artystycznymi odstępstw od norm poprawności lingwistycznej dokonywało się głównie na podstawie tak zwanego *Słownika warszawskiego*[3], dokumentującego to stadium rozwoju polszczyzny, które ukształtowało indywidualny język pisarza.

Zachowano formy: „buciary", „dowiera", „katakomby", „kęsając", „kukurudza", „lotki" (przymiotnik), „lubiał", „nabob", „nadnosić", „olstra" (liczba pojedyncza), „olstry" (liczba mnoga), „orchideje", „palito", „pocztmistrz", „ścieżaj", „trzystokilowy", „uczenice", „wazonek", „wćwiczone", „zadowalnia", „zastojała" i oboczności: „albom/album", „dżemy/*jamy*", „ciążyć/ciężyć", „funikular/*funiculaire*", „gwizdał/gwiźnie", „idee/ideje", „kukurudziany/kukurydziany", „mię/mnie", „osiem/ośm", „osiemnaście/ośmnaście", „ówdzie/owdzie", „opóźniać/opaźniać", „pachniało/pachły", „patrzeć/patrzyć", „pocienie/podcienie", „podwórzy/podwórz", „pojedynczo/pojedyńczo", „pomieszać/pomięszać", „przezroczysty/przeźroczysty", „siedem/siedm", „siedemdziesiąt/siedmdziesiąt", „siedemnastowieczna/siedmnaście", „skarpa/szkarpa", „skrofuliczne/szkrofuły", „szpichlerz/śpichrz", „spiżowa/śpiżowy", „strychować/sztrychować", „śpieszyć się/spieszyć się", „triumfalnie/tryumfalnie", „tysiączny/tysięczny", „uspokajać/uspakajać", „warsztat/warstat", „źdźbło/źbło", „żegadło/żgadła".

Nie zachowano oboczności: „brydż/bridża/*bridge'a*", a także form: „altimetr", „aperceptować", „centim", „cidr", „czinele", „dziecinnada", „gorżki", „hygrometr", „hypnoza", „hypnotyzować", „kamion", „karybu", „kristiania", „narcyzystowski", „narcyzyzm", „poinsettia", „pyromaniak", „serowarz", „skarzyć", „stanza", „transwestycyzm", „wąsog", „wierżba", „w miast", „zadzierżgnąć" oraz podwojeń spółgłosek w wyrazach obcego pochodzenia: „alluwialny", „assesor", „belladonna", „gaffa", „globtrotterzy", „passat", „passeizm", „pudretta", „pullower", „tennis", „tennisowy", „waffenrok".

Przywrócono zignorowaną przez Haupta zasadę zgodności gramatycznej orzeczenia z różnorodzajowym podmiotem szeregowym. Skorygowano

niekonsekwentną odmianę imion i nazwisk cudzoziemców. Wyeliminowano błędy leksykalne: „Prowansalia” (*Nuda*, *Sur le pont d’Avignon*), „wymyśleć” (*Poker w Gorganach*, *Madrygał dla Anusi*, *Dziwnie było bardzo, bo…*), „domyśleć się” (*Madrygał dla Anusi*, *Jeździec bez głowy*) i „wenecjańskie” (*Zamierzchłe echa*), lecz nie takie pomyłki językowe, które jednocześnie są błędami merytorycznymi – na przykład „reklamy proszku do pieczenia [właśc.: prania – A. M.] »Persil«” (*Aspekt Śląska*) czy „»*szajbec*« [właśc.: *macewa* – A. M.] to była płyta nagrobkowa na żydowskim cmentarzu” (*Lili Marleen*). Nie prostowano też takich niezgodności z empirią, które na pierwszy rzut oka wyglądają na uchybienia rzeczowe, lecz niekoniecznie nimi być muszą, jak na przykład zawarta w *Weselu u chłopów* i w *PIM-ie* [*II*] fikcyjna nazwa miejscowa „Wólka Tarnowiecka”, która oznacza u Haupta wieś położoną w powiecie Rawa Ruska w województwie lwowskim; jak się wydaje, nazwą tą (notabene prawdziwą, zapożyczoną z województwa krakowskiego) pisarz zastąpił rzeczywisty rawski toponim Wólka Mazowiecka – być może z obawy, że ta historyczna nazwa może zasugerować czytelnikom mniej zorientowanym w geografii przedwojennej Polski mylną lokalizację fabuły obu opowiadań na Mazowszu, i do tego jeszcze w powiecie Rawa Mazowiecka. Poprawiono natomiast pisownię niefikcyjnych nazw miejscowych (najdalej idące zmiany w tym zakresie to zastąpienie w *Białym mazurze* – którego akcja dzieje się w Zaborzu w powiecie rawskim – nazwy nie istniejącej miejscowości „Pawęż” nazwą miasteczka Waręż leżącego w graniczącym z powiatem rawskim powiecie sokalskim oraz anulowanie Hauptowskiej poprawki w opowiadaniu *Henry Bush i jego samolot*, polegającej na zastąpieniu w zdaniu: „Ale niby zawieszeni jesteśmy w jednym miejscu, a już nam Fort Pike podpłynął pod koła i jest cieśnina Chef Menteur, którędy jest dostęp od zatoki do jeziora Pontchartrain” – ostatniej nazwy nazwą jeziora Champlain, której to poprawki nie da się w żaden sposób uzasadnić, jako że jezioro Champlain znajduje się na drugim końcu USA: na granicy z Kanadą, a dokładnie – na styku stanów New York i Vermont oraz prowincji Québec, dokąd samolot Henry’ego Busha nie mógł żadną miarą przybyć, zważywszy choćby na

jego ograniczony zasięg), autentycznych nazwisk (na przykład w *Białym mazurze* „Mormoros/Mormoross” zmieniono na „Marmaross”) oraz tytułów utworów (na przykład w *O Stefci, o Chaimie Immerglücku i o scytyjskich bransoletkach* oraz w *Białym mazurze* tytuł powieści Jakuba Wassermanna – u Haupta: „Wassermana” – *Sprawa Mauritiusa* zmieniono na *Sprawa Mauriziusa*). Rozwinięto także niektóre skróty i skrótowce.

Poniżej podano pozostałe ważniejsze modyfikacje gramatyki i leksyki:

***Opowiadania*:**

Entropia: „Takie same zjawisko” – „Takie samo zjawisko”; „zestandardyzowania” – „zestandaryzowania”; „radio, prasa i kino robią z nas powoli milionami i miliardami jednakowo zaopatrzonych w sztancowane ideje ludzi” – „[…] miliony i miliardy […]”; „Muchy gęsto popstrzyły obłupaną emalię tarczy tandetnego zegara wiszącego na oddrzwiowej ścianie, tarczę z naiwnym jarmarcznym malowidełkiem kwiatów” – „[…] ścianie, tarczy z naiwnym jarmarcznym malowidełkiem kwiatów”; „obłoki […] kłębiące się kopułami i minaretami Bagdadu chmur, stwarzające dantejskie kręgi, przestylizujące się w feerie o klasycznej harmonii” – „[…] przestylizowujące się […]”; „naukowopopularnego” – „popularnonaukowego”; „przesieków” – „przesiek”;

„Kiedy będę dorosły”: „romantyczny obraz reprodukcja przedstawiająca, jak […]” – „romantyczny obraz reprodukcja przedstawiający, jak […]”;

Wesele u chłopów: „pięć kilometrów, które po niedawnej słocie były pasem przemieszanego obręczami kół, gęstego błota” – „[…] przemieszonego […]”;

Odwilż: „*She have!*” – „*She has!*”;

Kulig: „omszały i dziurawy gotowy dach wozowni” – „[…] gontowy […]”;

Wyjazd o świcie: „Zabijałem obrazy w skrzynie i klatki z drewnianych szczebli, wypełnionych słomą” – „[…] wypełnione […]”;

Kapitan Blood: „*caput mors*” – „*caput mortis*”;

Ogród Jezuicki: „narobiliśmy ogromnie wiele »*snapshotów*« nawzajem siebie i w towarzystwie Asa” – „[…] nawzajem sobie […]”; „spód, jak

podbrzusze chrabąszcza, wstrętne i inne od gładkiego i malowanego nadwozia, ukazywał” – „[…] wstrętny i inny […]”; „*caput mors*” – „*caput mortis*”;

Nuda: „z powodu jakieś wady” – „[…] jakiejś wady”;

Cyrk: „evolenty” – „ewoluty”;

Pejzaż armorykański: „memorando” – „memorandum”; „Bretonki noszą swe kornety-czepki, »*coiffures*«” – „[…] »*coiffes*«”;

Sur le pont d’Avignon: „ekspedycyjna armia angielska i francuska […] cofały się” – „[…] cofała się”; „Miała okrągłe ramiona i wspaniałą pierś, właściwie: pas na wysokości ramion nigdy nie opalony przez słońce, unoszące się w łagodnym rytmie oddechu” – „[…] unoszący się […]”; „*caput mors*” – „*caput mortis*”;

W drodze na morzu: „obmurowaniu” – „podmurowaniu”;

Rigor mortis: „import i eksport na schematach map statystycznych oplata i dławią rozpuchłymi liniami” – „[…] dławi […]”; „do boleśnie rozkosznego uczucia zazdrości, jakiego zachowanie się tej osoby będzie spory zapas udziałem” – „[…] jakiego zachowanie się tej osoby mi przysporzy” [według pierwodruku];

Ułan Czuchnowski (opowiadanie dydaktyczne): „Tu jego młodociany cynizm, źródło goryczy i pesymizmu, znajdowały przyjazną atmosferę” – „[…] znajdował […]”.

***Pierścień z papieru*:**

Co nowego w kinie?: „Byłby je sobie zerwał, ale przytrzymałem go i, pomimo że ze ślepego bólu pokąsał mię w dłoń dotkliwie, i teraz, szczęśliwy i niepomny na niedawne rozpacze, hasał po ogrodzie i płoszył perlice” – „[…] przytrzymałem go, pomimo że ze ślepego bólu pokąsał mię w dłoń dotkliwie […]”; „taka wędzona »*tsantsas*« była głową białej kobiety” – „[…] »*tsantsa*« […]”; „miał imię Stefana” – „miał imię Stefan”; „powiedziałam do Maryśki Zuberównej” – „[…] Zuberówny”;

Coup de grâce: „kołnierz surdutu” – „kołnierz surduta”;

W Paryżu i w arkadii: „*rużja* z trójgraniastymi żądłami bagnetów” – „*orużyja* […]”; „rubasze” – „rubaszce”; „*Vois tu, le petit chevrillon!*” –

„[…] *chevrillard!*”;

Poker w Gorganach: „nie mówiąc już o dalszym planie: całych wzgórzach, lasach na garbach i plecach gór i całą Sierrą Nevadą, jaka piłuje nieboskłon” – „[…] i całej Sierra Nevada […]”; „Miałem tę broń po ojcu, który kupił go od jakiegoś rotmistrza” – „[…] kupił ją […]”; „Papier na skale poszedł w strzępy, no to znaleźliśmy jakąś puszkę po konserwach (skąd się to wzięła?)” – „[…] (skąd się tu wzięła?)”; „nogi w kostce grubo oplątane i owinięte rzemieniem kierpiec góralskich” – „[…] kierpców […]”;

Meine liebe Mutter, sei stolz, Ich trage die Fahne: „a także trzaskało w, ze wszystkich możliwości, w kasztanach »maronach«, jakie piekliśmy” – „a także trzaskało ze wszystkich możliwości w kasztanach »maronach«, jakie piekliśmy”; „Łosie, zakochani w swych koniach” – „Łosie, zakochane w swych koniach”;

Madrygał dla Anusi: „Żydóweczki paradują najwymyślniejsze stroje kąpielowe” – „Żydóweczki paradują w najwymyślniejszych strojach kąpielowych”; „to pewnie było, uderzyło mię przede wszystkim jej kształt albo ułamek kształtu” – „to pewnie było, uderzył mię przede wszystkim jej kształt albo ułamek kształtu”; „nie wiedziałem, czy mi na postawienie na dancingu stać będzie w ten wieczór” – „nie wiedziałem, czy mię na postawienie na dancingu stać będzie w ten wieczór”;

Polowanie z Maupassantem: „ogrzanego ciepłym mieszkaniem, regularnym posiłkiem, zapewniające mi w ten dzień mrozu odpowiednią ilość kalorii” – „[…] posiłkiem zapewniającym mi […]”; „Wreszcie napotykam się w zadętym śniegiem krzaczowisku na miejsce, gdzie leżał przed chwilą” – „[…] natykam się […]”;

Biały mazur: „jak tu żyją te Hiperboreje” – „jak tu żyją ci Hiperboreje”; „chodzili i od wsi do wsi i stawali przed gankiem” – „chodzili od wsi do wsi i stawali przed gankiem”; „»Zuziu, na miłość boską, popraw mi strzemiączko…«” – „»Zyziu, na miłość boską, popraw mi ramiączko…«”;

PIM [*II*]: „Była to x-tego rzędu stacja PIM-u, czyli Państwowego Urzędu Meteorologicznego” – „[…] Państwowego Instytutu Meteorologicznego”;

Jak wiosna przyjechała: „jak by je nie upychała pod kapelusik” – „jak by ich nie upychała pod kapelusik”;

Dziwnie było bardzo, bo…: „niewiele ludzi” – „niewielu ludzi”; „i nigdy do znudzenia jesteśmy gotowi wymieniać codziennie i tyle banałów na temat meteorologicznego kołowrotu” – „i zawsze do znudzenia […]”; „rubasze” – „rubaszce”; „tygodniowego łażenia i zadzierania o i zaczepiania o mniej lub więcej artykułowaną pracę” – „[…] zadzierania i zaczepiania o […]”;

Marsylianka: „niewiele łyżwiarzy” – „niewielu łyżwiarzy”; „Zjazd przypomina trochę – jak odgrodzić się od tła alpejskich szczytów – jak klasyczne zjazdy z Trościana” – „[…] jak odgrodzić się od tła alpejskich szczytów – klasyczne zjazdy z Trościana”; „bęben gigantyczny, jego wnętrze namalowane i wyobrażone na nich Alpy i góry” – „[…] na nim Alpy i góry”;

„Dziewczynka z nóżkami na księżycach”: „Co by nie dodać, o czym by to nie powiedzieć, żeby jeszcze lepiej oddać atmosferę, timbre tego krajobrazu?” – „[…] ażeby […]” [według autografu wcześniejszej wersji]; „Ach, to może właśnie ugłaskiwała mnie ta kolekcja dziwolągów” – „[…] mię […]” [według autografu wcześniejszej wersji]; „to bardziej przejęło mnie to, co zobaczyłem we wnętrzu tego domu” – „[…] mię […]” [według autografu wcześniejszej wersji]; „jak nisza w rzymskich katakumbach” – „[…] katakombach” [według autografu wcześniejszej wersji]; „świateł jarzących się po nocy, ślących głęboko w górę słup rozpełganej pary” – „[…] szlących […]” [według autografu wcześniejszej wersji]; „od chłopca osiemnastoletniego” – „[…] ośmnastoletniego” [według autografu wcześniejszej wersji]; „Kiedyś wysłano mnie do Rennes w sprawie służbowej” – „[…] mię […]” [według autografu wcześniejszej wersji]; „koślawymi łapami-grabami” – „koszlawymi […]” [według autografu wcześniejszej wersji]; „koślawe zabawki” – „koszlawe […]” [według autografu wcześniejszej wersji]; „spirochety, skrętki blade, rzuciły mu się na mózg” – „[…] krętki […]”; „tę francuską fin de siècle” – „ten francuski fin de siècle”; „Bretonki noszą swe kornety-czepki, »*coiffures*«” – „[…] »*coiffes*«”;

Barbarzyńcy patrzą w obraz podbitego kraju: „Omalże nas nie obmacowują” – „[…] obmacują”; „mąż *aux drapeaux* czy coś w tym rodzaju” – „[…] *sous les drapeaux* […]”; „przelatują ciężkie cysterny z winem i przyczepione do nich *remorqueurs*” – „[…] *remorques*”; „A miasteczko same jest jakieś trupie” – „[…] samo […]”; „Przeszła olbrzymia cysterna z uczepionym *remorqueurem*” – „[…] z uczepioną *remorque*”; „nazbiegało się parę osób szpitalnych, parę pacjentów przykusztykało” – „[…] paru pacjentów […]”; „I to nic, że utrzymani są w swym rygorze i chciwemu zadaniu rentierów” – „[…] i chciwym zadaniu rentierów”;

Kawaler z morskiej pianki: „i podbiegnie i aż do moich stóp, i skona u nich jak pies zdychający” – „i podbiegnie aż do moich stóp […]”; „coś, co w paleniu uderza w ciemię wszystkimi stężałymi wysoczynami nikotyny” – „[…] wysączynami […]”; „Zjeżdża właśnie w dół niecki i kryje się w nich tyle, że widać głowy siedzących w nim ludzi” – „[…] w niej tyle, że […]”; „Tu nam w postaci kruchej piany morskiej ukazane zostało nicość i kruchość wszystkiego?” – „[…] zostały […]”;

Pejzaż ze wschodem słońca i obiektami ze stali: „Aż mnie uderzyła ta służalczość” – „[…] mię […]”; „Taki sam głos agonii i bólu, aż mnie wzdrygnęło” – „[…] mię […]”; „Posłali mnie tutaj jako łącznikowego artylerii” – „[…] mię […]”; „Owszem, przyjęli mnie ze śladem zainteresowania” – „[…] mię […]”; „rozszczepia się ono na tak zdecydowane kolory” – „[…] rozczepia […]”; „i pożyczają z tamtego zbiornika najbardziej indygowe i fioletowe” – „[…] zbiornika kolorów […]”; „wisiał na wieżach czołgów z głową w środku i z wiszącymi na zewnątrz nogami” – „[…] i wiszącymi na zewnątrz nogami”; „słychać było tylko ciągle to jego zastępcy: »Tak jest, panie kapitanie, rrrozkaz, panie kapitanie!«” – „[…] »tak jest, panie kapitanie«, »rrrozkaz, panie kapitanie«”; „Potem zobaczył mnie” – „[…] mię”; „A tymczasem kapitan gdzieś się zagubił” – „[…] gdzieś mi się zagubił” [wszystkie zmiany według autografu wcześniejszej wersji];

Henry Bush i jego samolot: „wygląda raczej na zażywnego ojca rodziny, a nie specjalisty od latania” – „[…] specjalistę […]”; „i paru młodych ludzi

coś tam zgarbieni nad tymi swoimi wykresami” – „[…] zgarbionych […]”; „odgania się od uprzykrzonego telefonu” – „obgania się […]”; „gdzie kapryśnie wiją się *bayou* i gdzieniegdzie *camps* sportowców” – „[…] *bayous* […]”; „Bardzo niewiele ludzi jest tutaj” – „[…] niewielu […]”; „albo świerzbiące palce, poduszeczki palców, kasjera liczącego banknoty, więc składanie się z przyrzutu myśliwego z laską spacerową” – „[…] albo składanie się z przyrzutu myśliwego z laską spacerową”;

Z kroniki o latającym domu: „Naraz ogromnie wiele ludzi” – „[…] wielu ludzi”; „Tę egzotykę, dziś z autopsji tak nijaką i nie zaskakującą, odkrywaną wpośród przewracanych kart książek, owe »llanosy« i »pampasy«, »*veldt*« południowoafrykański, »*bush*« australijski, prerie, tundry, sawanny zaczynały się u horyzontu naszego podolskiego stepu” – „Ta egzotyka, dziś z autopsji tak nijaka i nie zaskakująca, odkrywana wpośród przewracanych kart książek, owe »llanosy« […]”;

Pierścień z papieru: „perskich […] »saroukach«, modlitewnych »czirwanach«” – „[…] »sarukach«, […] »szirwanach«”;

Fragmenty: „I już jest tutaj, i już jest z nami, ale inne – niby takie same, a inne” – „[…] takie samo […]”; „*Idy, idy, kaczoryku, do domu, prodam ja tie Żydowyni na wedu…*” – „*Idy, idy, kaczuryku, dodomu, prodam tebe żydowyni rudomu…*” [według: *Ukrainian folk songs for piano*, arranged by Wasyl Barvinsky. *Українські народні пісні на пяно*, уложив Василь Барвінський. Published by Ukrainian Music Edition, New York (b.d., reprint wyd. z 1920 r.), s. 9, nr 12 (*Ой, ходила дівчинонька беріжком*…), zwr. 2]; „a do tego wstążki i szutasie” – „[…] szutaże”; „to będziemy uciekać się zawsze za swymi mądrzejszymi od nas” – „[…] za tymi mądrzejszymi […]”; „jak nie westchnąć w siebie powietrza” – „[…] wetchnąć […]”; „wpatrzonym w oleodruk z Mater Dolorosa i serce siedmiu mieczami przeszyte” – „[…] i sercem siedmiu mieczami przeszytym”; „Jeżeli nie brać pod uwagę przywiązanego do tego religijnego, nie sformułowanego, liturgicznego sczepienia się z tym idei o czymś nadrzędnym, tłumaczącym po prostu i prymitywnie i usprawiedliwiającego niepewność istnienia” – „[…] usprawiedliwiającym […]”; „spojenie, szycie surówką czy nitami miedzianymi pojadą i uciekną, i zaraz nawrócą” – „[…]

pojedzie i ucieknie, i zaraz nawróci”; „o nieporadności ludzka! pozostawiona sobie samemu” – „[…] sobie samej”.

***Ostatni zbiór opowiadań*:**

Lutnia: „za współlokatora w hotelu miałem przez dobę jednego pana, osobistości znanej przed wojną z awanturnictwa politycznego” – „[…] osobistość znaną […]”; „z nieszczęśliwej miłości do Nory Juffównej” – „[…] Juffówny”; „*O Dziku albo Hodyńcu okrutnym*” – „*O Dziku abo Hodyńcu okrutnym*” [według pierwodruku]; „*O Salamandrze ognistym*” – „*O Salamandrze ognistej*”; „więcej czasu spędzał na samą grę” – „[…] samej grze”; „ślicznej Tarłównej” – „ślicznej Tarłówny”;

To ja sam jestem Emmą Bovary: „opakowanie było inne od tego, w jakich pojawiały się” – „[…] w jakim […]”; „wpośród realii” – „[…] realiów”; „krawiec miał na czole filakterium (nie, jak mylnie w *Panu Tadeuszu*, »*cyces*«)” – „[…] filakterię […]”; „*Onufreju, tela zażeny…*” – „[…] *tela zariż…*”; „*Bez obrucziw, bez dna – powna boczka wyna… Szo ce?*” – „[…] *Szczo ce?*”; „*If you is at*” – „*If you are at*”;

Nietota: „zrzekła się Wołoczyszcza (czyli Wołoczysk z przedmieściem Staromiejszczyzna) i wsiami Wołoczkowce, Dorofiejówka” – „[…] i wsi […]”; „Ileż to można przeżyć w tak krótkim czasie? co można zamknąć w tak krótkim życiu?” – „Ileż to można przeżyć w tak krótkim czasie? Co można zamknąć w tak krótkim życiu?” [według pierwodruku];

Perekotypołe: „*k'stionce*” – „*k stienkie*”; „Myślałam sobie… czy może być coś takiego, jak samo tylko wyczekiwanie… bez obrazu, bez światła, bez bólu?… możesz się śmiać…” – „Myślałam sobie… czy może być coś takiego, jak samo tylko wyczekiwanie… bez obrazu, bez światła, bez bólu?… Możesz się śmiać…”;

El Pelele: „*super aspidem et basiliscus ambulabunt*” – „[…] *basiliscum* […]”; „w kostiumie w szachownicę, bo to przecież łaty łachmanów na łotrzyku, wierny swemu panu aż do chwili, kiedy zapomni o nim dla wylizywanego garnka” – „w kostiumie w szachownicę, bo to przecież łaty łachmanów na łotrzyku wiernym swemu panu aż do chwili, kiedy zapomni

o nim dla wylizywanego garnka”; „wspólnym dla nich mianownikiem to przecież jedynie niebo, gwiazdy, chmury” – „[…] mianownikiem jest […]".

Baskijski diabeł: „wzdłuż szumiącej po kamieniach Bidassoa, takiej tamtejszej Czeczwy” – „[…] Bidassoi […]”; „geofizycy poznają, którędy tu wieją to stałe wiatry” – „[…] wieją stałe wiatry”; „matki zwykłe straszyć dzieci” – „[…] zwykły […]”; „Niewiele tu klientów” – „Niewielu tu klientów”; „Czemu tu się znalazłem? jak to jest gdzie indziej?” – „Czemu tu się znalazłem? Jak to jest gdzie indziej?” [według pierwodruku]; „kniaziównej” – „kniaziównie”;

Balon: „kazakstańskiej” – „kazachstańskiej”;

Trzy: „konie z jarmarków na Pobereżu w Bałcie” – „konie z jarmarków w Bałcie na Pobereżu”; „*coniugatio periphrasis*” – „[…] *periphrastica*”;

Warianty: „jedyne i prawdziwe wytłumaczenie, takie same, powtarzające się” – „[…] takie samo powtarzające się”; „Dzień był deszczowy, słotny i nic się nie zmieniło po naszym przybyciu na miejsce pod wyprzężonym wozem, pod weretą przed deszczem” – „Dzień był deszczowy, słotny i nic się nie zmieniło po naszym przybyciu na miejsce, i z bratem schowani byliśmy pod wyprzężonym wozem, pod weretą przed deszczem” [według pierwodruku]; „i stacje męki pańskiej na ścianach kościelnych, które są twarde i sterczące do góry jak dogmat” – „i stacje męki pańskiej, i zacheuszki na ścianach kościelnych, które są twarde i sterczące do góry jak dogmat” [według pierwodruku];

Strachy: „Bo te »śmiej się, pajacu!«” – „Bo to »śmiej się, pajacu!«”; „myśmy tu zostali zapomniani w tym stojącym, zatrzymanym w półzmroku, rudym zmroku, śreżodze” – „myśmy tu zostali zapomniani w tym stojącym, zatrzymanym półzmroku, rudym zmroku, śreżodze” [według pierwodruku];

Szpica: „jakże mi znajomy jest: du-du-du-du! kopyt konia po drodze” – „jakże mi znajome jest: […]”; „zwęża się to w przód ostro w oczekiwane i nieoczekiwane jak w szpic” – „zwęża się to w przód ostro w oczekiwane i nieoczekiwane jak szpic” [według pierwodruku];

Do dwu razy sztuka: „męża, który już powołany został »*aux drapeaux*«” – „[…] »*sous les drapeaux*«”;

Meldunek o nieprzybyciu Wełnowskiego: „*tousta roża*” – „*tołstaja roża*”;

Więzień z Isle of Ely: „i pewnie to było brane i w obrachunek i jakoś to pewnie załatało się” – „i pewnie to było i brane w obrachunek, i jakoś to pewnie załatało się” [według pierwodruku].

***Utwory rozproszone. Wybór*:**

Aspekt Śląska: „Tramwaje wyrzuciły przeżyte ciała pasażerów i zgrzytają z niesmakiem na zakręcie” – „[…] przeżute […]”; „opatulują” – „opatulają”;

Moi przyjaciele: „pozwalała na traktowanie nas, resztę, trochę tak jak” – „pozwalała na traktowanie nas, reszty, trochę tak jak”; „postać starego ramola, która […] pretendowała do roli klasycznej sylwetki jakiegoś Pana Proudhon w całym hieratyzmie filozofii mieszczańskiego *niveaux*” – „[…] pana Prudhomme’a w całym hieratyzmie filozofii mieszczańskiego *niveau*”;

Krzemieniec: „Domki coraz ciaśniej zwarte, dachy narastają na siebie jak kolonie grzybów na korze dębu. Stroszy się spośród nich petersburska architektura cerkwi dla odmiany o zielonych kopułach” – „[…] Stroszy się wpośród nich […]”;

Fluctuat nec mergitur: „Puste *quais* koło Hal Wina odbija echo kroków” – „[…] *quai* […]”; „fałszywe fajansy” – „[…] fajanse […]”;

Tarok: „koniowiązu” – „konowiązu”; „prototypa” – „prototypu”;

Ułan Czuchnowski: „widocznie kierowca upadł i przycisnął klakson który albo nastąpiło spięcie” – „[…] przycisnął klakson albo nastąpiło spięcie”;

Dzień targowy: „Inny chłop dźwigał nowe koło od wozu: przesunął kij przez piastę i zadawszy sobie to koło na plecy, a koło lśniło nowymi słojami szprych i dzwonu i żelazne obręcze i pierścienie były błękitne od hartowania” – „[…] zadał […]”;

Luizjana: „wydaje się być kręgiem toczydła, szlifierki biorącej pod swój ostry łuk wszystko na tej ziemi, i oszlifujący ją do tego właśnie poziomu horyzontowego” – „[…] i oszlifowującym ją do tego właśnie poziomu horyzontowego”; „potem idą zabawki: pies Fido i pies Merrythought,

i pajace, wózki i bąki, co jeszcze? książki, cała ich paczka owiązana sznurkami, aparat fotograficzny, skrzynkę z piwem, jakieś niebywałe stołeczki, śliniaczki” – „[…] skrzynka z piwem […]”; „dwa szerokie popręgi, które nie zapina się na sprzączki” – „dwa szerokie popręgi, których nie zapina się na sprzączki”;

Zamierzchłe echa: „na lekcjach angielskiego, kiedy ślimaczyły się godziny nad »dukaniem« stron z Chateaubrianda *Atala*, *René*, *Chez les Natchez*, kiedy lektura była przerywana doszukiwaniem się »*participe passé*« i »*subjonctif*«” – „na lekcjach francuskiego […]”;

Oak Alley nad Missisipi: „korytarze kręcą się i osłaniają wejścia do rozmaitych pokoi i wyjścia na balkon” – „[…] odsłaniają […]”;

Cyklon: „izobarów” – „izobar”; „ekwidystantów” – „ekwidystant”; „aberuje” – „aberruje”; „nazywają w myśl uproszczenia, zschematyzowania i po nazwę i slogan podciągania spraw i rzeczy” – „[…] pod nazwę […]”; „przysiadły para kardynałów” – „przysiadła […]”; „najedliśmy się wiele rozumów” – „najedliśmy się wielu rozumów”; „To ma niby być przedłużeniem w rzeczywistość nasze marzenia i fantazje budzone nad lekturą książek” – „[…] naszych marzeń i fantazji budzonych […]”;

Czuwanie i stypa: „Chrystus skłania głowę w koronie cierniowej na ramię i głowa Jego i stojących na tym samym poziomie Marii i Jana apostoła są nieproporcjonalnie duże w stosunku do tułowia, i zeschnięte kwiaty adoracji w czasie lata, i pracowity a koszlawy napis wydłubany w piaskowcu” – „[…] i głowy Jego i stojących na tym samym poziomie Marii i Jana apostoła są nieproporcjonalnie duże w stosunku do tułowi, i zeschnięte kwiaty adoracji w czasie lata, i pracowity a koszlawy napis wydłubany w piaskowcu: »Христа Господа Мука Сьвята«”.

Wyeliminowano nie uzasadnione względami stylistycznymi powtórzenia wyrazów w zdaniach: „Jego natchnione strofy i, powiedzmy **także**, naiwne gadulstwo samouka **~~także~~**” (*„Kiedy będę dorosły”*); „[…] złoto wszechobecne promieniujące jak rad przez pancerne kasy banków sprawia indukcyjną atmosferę, w której **~~jak~~** wszystko, **jak** u króla Midasa, zamienia się w złoto […]” (*Rigor mortis*); „Może to była jakaś ważna sprawa, z którą **wtedy** byłem **~~wtedy~~** tam […]” (*Deszcz*); „Nauczyli się pogardzać

wszystkimi nacjami, wpośród których przydarzało **im** się ~~**im**~~ popasać" (*Barbarzyńcy patrzą w krajobraz podbitego kraju*); „Teraz jest **od nas** zasłonięta grzbietem ~~**od nas**~~, ale idzie do góry i widać jej dziób i ludzi pochylonych ciężko nad wiosłami" (*Kawaler z morskiej pianki*); „Tu nie tylko wyrywano zęby, ale **i** odczyniano ~~**i**~~ uroki" (*Z Laczczyny*); „tłumaczy na wstępie, dlaczego dom jest tak wspaniale zachowany, jak **to** się ~~**to**~~ dzieje" (*Oak Alley nad Missisipi*); „[…] jesteśmy **już** jakże ~~**już**~~ zblazowani, już po wszystkich dreszczach, już po wyczekiwaniach, już po marzeniach […]", „**Na mgnienie oka**, kiedy przemyka fala lżejsza, odprężają się ~~**na mgnienie oka**~~, drgając jak widełki stroikowe, i zaraz ze skrzypem i stękaniem naginają się do swej pochyłej postury", „Wydaje się, jakby z masami powietrza~~**, zamknięte w nich,**~~ przelatywały wielkie pęcherze **zamkniętych w nich** próżni" (*Cyklon*); „Zacząłem **sobie** przede wszystkim przypominać ~~**sobie**~~ i uświadamiać sam fakt śmierci babki" (*Czuwanie i stypa*). W *Kapitanie Bloodzie* natomiast poddano korekcie stylistycznej kontaminację frazeologizmów występującą w zakończeniu zdania rozpoczynającego szósty akapit: „A kamienica w moim mieście była dla mnie czymś **najbardziej smutnym w świecie pod słońcem**", którą to ingerencję, polegającą na usunięciu zwrotu „pod słońcem", uzasadnia obecność w trzecim zdaniu kolejnego akapitu prawie identycznego wyrażenia: „Najpodlejsza, **najsmutniejsza pod słońcem** ulica miała swoją daleko smużącą się perspektywę albo niespodziewany czarodziejski spadek lub zakręt". Wreszcie z drugiego akapitu *Stypy*, będącej wyimkiem z większej całości pod tytułem *Czuwanie i stypa*, usunięto wzmiankę narracyjną odnoszącą się do pominiętej przez autora początkowej części pierwotnej wersji opowiadania: „Było mi trochę wstrętnie od tego i niezwyczajnie, **powtarzam:** nigdy nie było między nami rozczulających gestów i zbliżeń".

Dwóm opowiadaniom o Elektrze autor nie nadał tytułów, więc ich nazwy – *Elektra* [*I*] i *Elektra* [*II*] – zostały ustalone przez obecnego edytora. W jednym wypadku dokonano modyfikacji tytułu: *Lili Marlene* jako wersję językową nie uzasadnioną tekstem opowiadania zmieniono na *Lili Marleen*.

Adresy bibliograficzne pierwodruków opowiadań włączonych przez pisarza do tomów i nieliczne niezbędne uzupełnienia redakcyjne tekstu podano w nawiasach kwadratowych.

Aleksander Madyda

[1] Parę słów wyjaśnienia. Zdarzyło mi się, że przeleżałem kilkanaście dni w angielskim szpitalu wojskowym, pierwszy raz w życiu zdarzyło mi się być w szpitalu. Oddział, na którym znajdowałem się, był kiedyś oddziałem dziecinnym. Zabawny był kontrast pomiędzy pacjentami rannymi na polu bitwy, w wypadkach samochodowych i ofiarami zapalenia ślepej kiszki a wnętrzem dziecinnego szpitala malowanym w śmieszne kaczuszki. Nawet przed kominkiem była siatka, jakie są w dziecinnych pokojach. Oddział ufundował przed laty Mr Pageant i nazwany został jego imieniem.

„Pageant" po angielsku znaczy także: wspaniałe widowisko kostiumowe z żywymi obrazami, dramatycznymi scenami, historycznymi scenami itp.

[2] Z. Haupt, *Baskijski diabeł. Opowiadania i reportaże*, zebrał, opracował i posłowiem opatrzył A. Madyda, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", Warszawa 2007. Pozostałą część dorobku pisarskiego Haupta gromadzi edycja: Z. Haupt, *Z Roksolanii. Szkice, opowiadania, recenzje, warianty*, zebrał, opracował, bibliografią i posłowiem opatrzył A. Madyda, Księgarnia Studencka, Toruń 2009.

[3] J. Karłowicz, A. Kryński, W. Niedźwiedzki, *Słownik języka polskiego*, t. 1–8, Warszawa 1900–1927. Zob. też Z. Kurzowa, *Polszczyzna Lwowa i Kresów południowo-wschodnich do 1939 roku*, wyd. 2 rozszerzone, Warszawa–Kraków 1985.